

OPRACOWAL ROBERT SILVERBERG

NEIL GAIMAN

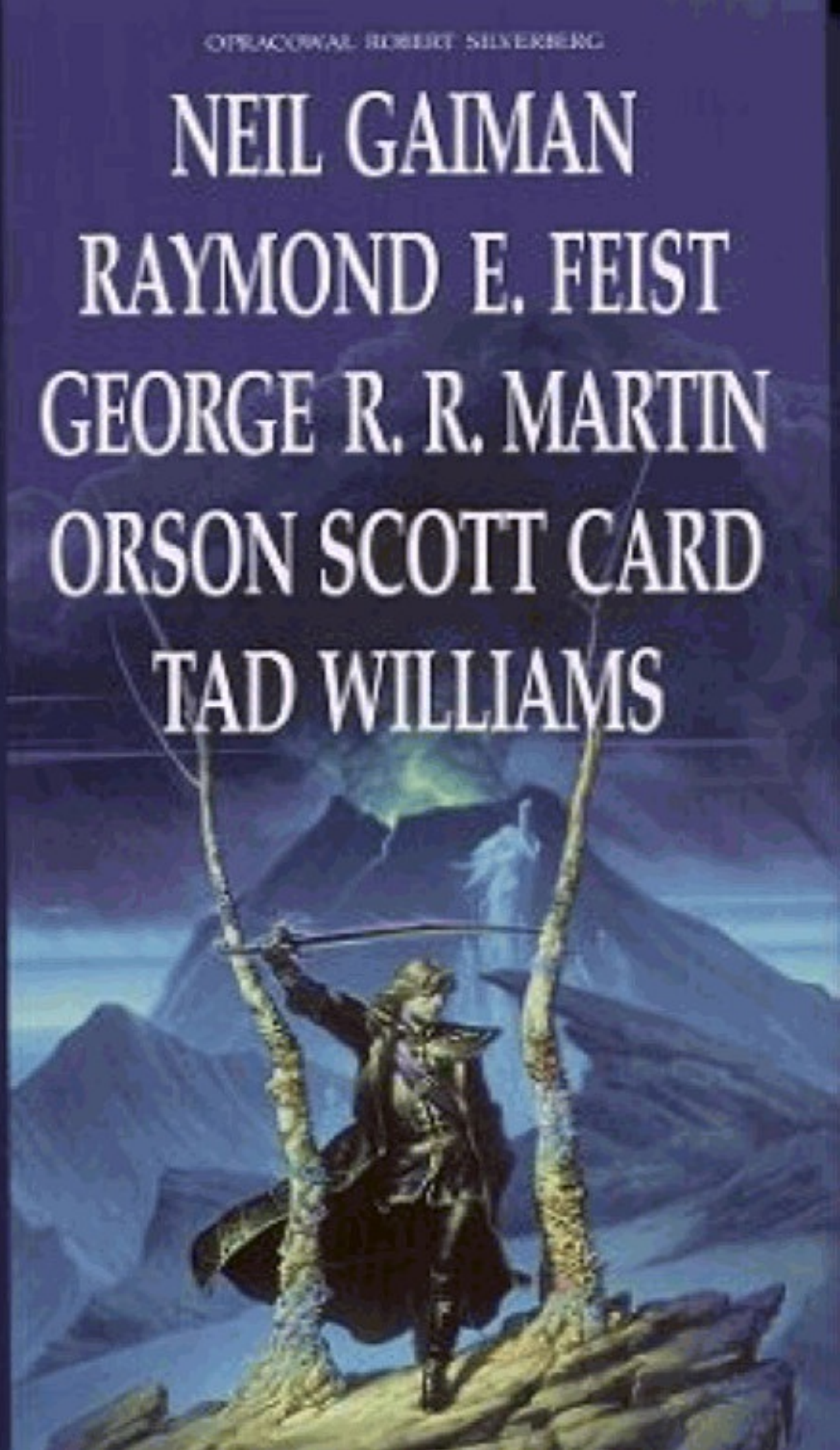
RAYMOND E. FEIST

GEORGE R. R. MARTIN

ORSON SCOTT CARD

TAD WILLIAMS

LEGENDY II



Legendy II

Legendy II

Opracował Robert Silverberg

Przełożyli: Robert Bartold Paulina Braiter Radosław Kot Jarosław Kotarski Paweł Kruk Krzysztof Sokołowski

Dla George'a R. R. Martina, który zastawił pułapkę, i Terry'ego Brookesa za śmiałe przyjęcie z nieoczekiwaną pomocą.

Wprowadzenie

Pierwsza, opublikowana w 1998 roku antologia *Legendy* zawierała jedenaście nie przedstawianych wcześniej nowel autorstwa najpopularniejszych pisarzy fantasy, a akcja każdej z tych opowieści rozgrywała się w realiach szczególnego, wyobrazonego uniwersum, które dany twórca rozślawił na całym świecie. W zamierzeniu książka miała być najlepszą i niezrównaną antologią współczesnej fantasy i – sądząc po reakcjach czytelników z wielu krajów – cel ten osiągnęła.

Teraz pojawiają się *Legendy II*. Skoro jednak pierwszy tom był najlepszy i niezrównany, po co wydawać kolejny?

Odpowiedź jest prosta: fantasy to literatura o nieograniczonych możliwościach. Zawsze znajdziemy nowe historie do opowiedzenia i nowych autorów gotowych to uczynić. I żadnego tematu, nawet starego jak świat, nie da się nigdy wyczerpać.

Jak wspomniałem we wprowadzeniu do pierwszego tomu, fantasy to najstarszy gatunek twórczości beletrystycznej, którego początek zbiega się z narodzinami ludzkiej wyobraźni. Nietrudno uwierzyć, że ten sam zapał artystyczny, który piętnaście, dwadzieścia czy nawet trzydzieści tysięcy lat temu zrodził niezwykle malowidła naskalne w Lascaux, Altamirze i Chauvet, pozwolił zaistnieć też fascynującym opowieściom o bogach i demonach, talizmanach i zaklęciach, smokach i wilkołakach, cudownych krainach leżących daleko za horyzontem – opowieściom, które odziani w skóry szamani wygłaszali zaintrygowanej publice przy ogniskach płonących w skutej lodem Europie. Podobnie działo się w spalonej słońcem Afryce, w pradawnych Chinach, w starożytnych Indiach, w obu Amerykach: praktycznie wszędzie, i to od tysięcy czy nawet setek tysięcy lat. Ja sam uważam, że potrzeba snucia opowieści jest cechą uniwersalną ludzkiej kultury, że gdy tylko pojawiły się na tym świecie istoty określane mianem „ludzi”, zaraz znaleźli się wśród nich gawędziarze i bazarze, którzy poświęcili wszystkie swe wysiłki i talenty tworzeniu niezwykłych, cudownych rzeczy, co trwało przez całą naszą długą ewolucję. Sumeryjski epos o Gilgameszu jest opowieścią fantastyczną, to samo można powiedzieć o *Odysei* Homera i wielu innych utworach, aż do dzieł takich fantastów, jak E. R. Eddison, A. Merritt, H. P. Lovecraft czy J. R. R. Tolkien, i wszystkich wielkich pisarzy science fiction, od Verne'a i Wellsa po nasze czasy. (Wspominam o science fiction, ponieważ moim zdaniem fantastyka naukowa należy do gatunku fantasy: jest jego szczególną gałęzią, skupiającą się na technice odmianą wizjonerskiej literatury, w której możemy puszczać wodze wyobraźni, urzeczywistniając to, co jest z punktu widzenia nauki niemożliwe, a przynajmniej nieprawdopodobne.)

Wielu współautorów pierwszych *Legend* miało ochotę powrócić do swoich fantastycznych światów. Niektórzy z nich tak często wspominali o nowej antologii, że w końcu ja także zacząłem uważać, iż drugi tom może być całkiem dobrym pomysłem. No i oto macie go przed sobą. Sześcioro pisarzy – Orson Scott Card, George R. R. Martin, Raymond E. Feist, Anne McCaffrey, Tad Williams i niżej podpisany – pojawia się ponownie. Dołączyło do nich czworo innych – Robin Hobb, Elizabeth Haydon, Diana Gabaldon i Neil Gaiman – którzy zdobyli ogromną sławę od czasu publikacji pierwszej antologii, oraz wielki weteran fantasy, Terry Brooks, który w ostatniej chwili musiał się wycofać z udziału w pierwszym projekcie, ale zasilił nasze szeregi teraz.

I tym razem pragnę podziękować mojej żonie Karen i agentowi Ralphowi Vicinazy, którzy niestrudzenie wspierali mnie w trakcie pracy nad tą książką, oraz oczywiście wszystkim autorom, którzy dostarczyli przedniej jakości teksty. Szczególne wyrazy

wdzięczności składam Betsy Mitchell z wydawnictwa Del Rey Books, której mądre rady i dobry humor miały wielkie znaczenie dla realizacji tego przedsięwzięcia. Bez jej pomocy książka po prostu by nie powstała. Robert Silverberg luty 2003

Przełożył Radosław Kot

Kraina Najstarszych Robin Hobb

Trylogia „Skrytobójca”

Assassin's Apprentice (1995) *Uczeń skrytobójcy* (1997) *Royal Assassin* (1996) *Królewski skrytobójca* (1997)
Assassin's Quest (1997) *Wyprawa skrytobójcy* (1998)

Trylogia „Kupcy i Ich Żywostatki”

Ship of Mage (1998) *Czarodziejski statek. Środek lata* (1999), *Czarodziejski statek. Jesień, zima* (1999)

Mad Ship (1999) *Szalony statek t. I-III* (2001) *Ship of Destiny* (2000)

Trylogia „Złotokóry”

Fool's Errand (2002) *Misja błazna* (2003) *Golden Fool* (2003) *Złocisty błazen* (2003) *Fool's End* (2004)

Akcja pierwszej trylogii Robin Hobb, „Skrytobójcy”, toczyła się w Królestwie Sześciu Księstw. Jest to opowieść o skrytobójcy Bastardzie Rycerskim. Już samo ujawnienie istnienia tego bękarta wystarczyło, by księżę Rycerski zrezygnował z prawa do tronu. Ustępuje on, cedując tytuł następcy tronu na swojego młodszego brata, Szczerego, a dziecko oddaje pod opiekę masztalerza Brusa. Najmłodszy księżę, Władczy, ma własne ambicje i chce się pozbyć bękarta. Ale stary król Roztropny dostrzega korzyści z przyjęcia chłopaka i wyszkolenia go na skrytobójcę, bękarta bowiem można narazić na niebezpieczeństwa, na które syna z prawego łóża narazić nie wolno, oraz obarczyć go zadaniami, które splamiłyby ręce następcy tronu.

I tak Bastard Rycerski uczy się tajemnej sztuki skrytobójstwa. Wykazuje skłonności do Rozumienia, budzącej odrazę w Królestwie Sześciu Księstw magii zwierzęcej. Na tę ukrywaną skazę młodego skrytobójcy przyryka się oko, ponieważ więź ze zwierzęciem może się okazać przydatną cechą. Gdy okazuje się, że może on władać dziedziczną magią Skrytobójców, Mocą, staje się zarówno bronią króla, jak i przeszkodą na drodze księcia Władczego do tronu. W okresie nasilenia rywalizacji o tron i gdy najeżdźcy w szkarłatnych okrętach Zawyspiarzy wciągają Sześć Księstw w wojnę, Bastard Rycerski odkrywa, że los królestwa może zależeć od działań młodego bękarta i królewskiego Błazna. Uzbrojony w niewiele ponad lojalność i swój często zawodny talent do dawnej magii, Bastard podąża zacierającymi się śladami króla Szczerego, który przewędrowawszy przez Królestwo Górskie, dotarł do krainy legendarnych Najstarszych, zabiegając – być może na próżno – o odnowienie dawnego przymierza.

Akcja trylogii „Kupcy i ich żywostatki” toczy się w Jamaillii, Mieście Wolnego Handlu i na Wyspach Piratów, daleko na południe od Królestwa Sześciu Księstw. Wojna na północy przerwała wymianę towarów, która stanowiła siłę napędową Miasta Wolnego Handlu, więc kupcy – mimo posiadania czarodziejskich, rozumnych statków – przeżywali trudny okres. Niegdyś posiadanie żywostatku, zbudowanego z magicznego

czarodrzewu, zapewniało rodzinie kupca pomyślność. Tylko żywostatek potrafił stawić czoło niebezpieczeństwom Rzeki Deszczowej i umożliwiał handel z legendarnymi kupcami z Deszczowych Ostępów, którzy mieli tajemnicze, magiczne towary wykradzione z zagadkowych ruin Najstarszych. Altea Vestrit spodziewa się, że rodzina dochowa tradycji i przekaże jej rodzinny żywostatek *Vivację*, gdy przebudzi się on do życia po śmierci jej ojca. Otrzyma go jednak jej siostra Keffria i knujący intrygi chalcedoński mąż tejże – Kyle. Dumny żywostatek staje się środkiem transportu w pogardzanym, lecz przynoszącym wielkie zyski handlu niewolnikami.

Zdana na własne siły Altea postanawia radzić sobie sama i jakoś odzyskać żywostatek. Jej stary przyjaciel, żeglarz Brashen Treli, tajemnicza rzeźbiarka Amber i *Paragon*, słynny szalony żywostatek, są w tej walce jej jedynymi sojusznikami. Piraci, bunt niewolników, wędrujące węże morskie i dopiero co wykluty smok to tylko nieliczne z wielu przeszkód, które musi pokonać, by dowiedzieć się, że żywostatki nie są tym, czym się wydają, i że mogą mieć własne marzenia, które pragną urzeczywistnić.

Trylogia „Złotokóry”, w chwili, gdy piszę te słowa, jeszcze nie ukończona, podejmuje opowieść o Bastardzie i Błaznie piętnaście lat po wojnach szkarłatnych okrętów. Królowa Ketriken zdecydowana jest zapewnić tron swemu synowi, księciu Sumiennemu, aranżując małżeństwo z Elianą, córką dawnych nieprzyjaciół z Wysp Zewnętrznych. Jednak w samym Królestwie Sześciu Księstw jest niespokojnie. Rozumiejący mają dość prześladowań i mogą obalić tron Skrytobójców, ujawniając, że krew Sumiennego ma dawną skazę. Narczeska Eliana wyznacza wysoką cenę za swoją rękę: księżę musi dostarczyć jej łeb Lodognia, legendarnego smoka z wyspy Alevjal.

Tymczasem na południu kupcy z Miasta Wolnego Handlu nadal toczą wojnę z Chalcedończykami i pragną nakłonić Królestwo Sześciu Księstw, by przyłączyło się do nich i pomogło zniszczyć Chalcedonie. Smok Tintaglia,

chimeryczny sprzymierzeniec Miasta Wolnego Handlu, pomaga im w tym z własnych powodów; mogą one doprowadzić nie tylko do odrodzenia rasy smoków, lecz również do powrotu magii Najstarszych na Przekłety Brzeg.

Powrót Do Domu Robin Hobb

Dzień 7 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Tego dnia skonfiskowano mi, bez dania racji niesprawiedliwie, pięć skrzyń i trzy kufry. Stało się to w czasie załadunku statku *Venture*, który wyruszał szlachetnym staraniem Satrapy Esklepiusa, by skolonizować Przekłety Brzeg. Skrzynie zawierały co następuje: jeden blok doskonałego białego marmuru wielkości stosownej dla popiersia. Dwa bloki artystycznego nefrytu wielkości stosownej dla popiersia. Jeden wielki, piękny steatyt wysokości człowieka i takiejże szerokości. Siedem wielkich sztab miedzi doskonałej jakości. Trzy sztaby srebrne jakości zadowalającej. I trzy baryłki wosku. Kufry zawierały co następuje: dwie suknie jedwabne, jedną niebieską, drugą różową, uszyte przez szwaczkę Wistę i noszące jej znak. Materiał na suknię, zielony. Dwie chusty, jedną z białej wełny, drugą z niebieskiego płótna. Kilka par pończoch grubości odpowiedniej na zimę i lato. Trzy pary pantofli, jedną jedwabną i haftowaną w paki róży. Siedem halek, trzy jedwabne, jedną z płótna i trzy wełniane. Jeden gorset z lekkich fiszbinów i jedwabiu. Trzy tomy poezji spisane własnoręcznie. Miniaturę Sojjiego przedstawiającą mnie, lady Carillion Carrock z domu Waljin, zamówioną przez moją matkę, lady Arston Waljin, z okazji moich czternastych urodzin. Zawierały również ubranka i pościel dla dziewczynki w wieku czterech lat i dwóch chłopców w wieku lat sześciu i dziesięciu, włącznie z zimowym oraz letnim strojem na uroczystości oficjalne.

Rejestruję tę konfiskatę, żeby po moim powrocie do Jamailii można było złodziei oddać w ręce sprawiedliwości. Kradzieży dokonano w następujący sposób. Gdy nasz statek był załadowywany przed wyruszeniem w drogę, ładunek należący do znajdującej się na pokładzie arystokracji zatrzymano na nabrzeżu. Kapitan Triops poinformował nas, że nasze rzeczy będą bezterminowo powierzone opiece Satrapy. Nie mam zaufania do tego człowieka, ponieważ nie okazuje ani mojemu małżonkowi, ani mnie należytego szacunku. Sporządzam więc tę notatkę, a najbliższej wiosny, po moim powrocie do Jamailii, mój ojciec, lord Crion Waljin, wniesie tę skargę do sądu Satrapy, jako że mój małżonek wydaje się mniej chętny to uczynić. Co uroczyście przyrzekam.

Lady Carillion Waljin Carrock

Dzień 10 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Warunki na pokładzie są nie do zniesienia. Robię kolejny wpis w swoim dzienniku, chcąc odnotować trudności i niesprawiedliwość, tak by pozostało świadectwo pozwalające ukarać tych, którzy ponoszą za to odpowiedzialność. Mimo że jestem szlachetnie urodzona, z domu Waljin, i mimo że mój małżonek jest nie tylko arystokratą, ale również dziedzicem tytułu lorda Carrock, kwatery nam przyznane nie są wcale lepsze od tych, które przydzielono prostym emigrantom i spekulantom, to znaczy jest to cuchnące miejsce w ładowni. Jedynie pospolici przestępcy, skuci łańcuchami w najgłębszych ładowniach, cierpią bardziej od nas.

Podłogę stanowi pełen drzazg pokład, ściany zaś to surowe deski kadłuba. Wiele

wskazuje na to, że ostatnimi mieszkańcami tego miejsca były szczury. Jesteśmy traktowani nie lepiej niż bydło. Nie ma oddzielnej kwatery dla mojej służącej, więc jestem zmuszona znosić to, że śpi niemal obok nas! Pragnąc uchronić moje dzieci od kontaktu z bachorami emigrantów, poświęciłam trzy adamaszkowe zasłony, żeby się odgradzić od reszty. Ci ludzie nie okazują mi żadnego szacunku. Jestem przekonana, że ukradkiem plądrują nasze zapasy żywności. Gdy ze mnie kpią, mąż każe mi nie zwracać na to uwagi. Ma to okropny wpływ na zachowanie mojej służącej. Dziś rano służąca, która w naszym okrojonym teraz gospodarstwie domowym pełni również funkcję niani, niemal szorstko zwróciła się do małego Petrusa, każąc mu być cicho i przestać ciągle zadawać pytania. Gdy ją za to zgańiłam, ośmieliła się zmarszczyć czoło.

Moja wizyta na otwartym pokładzie była stratą czasu. Pełno na nim lin, płótna oraz nieokrzesanych mężczyzn i nie ma warunków, żeby damy i dzieci mogły zażyć świeżego powietrza. Morze było nudne, a jedyny widok stanowiły odległe, zamglone wyspy. Nie znajdowałam nic, co poprawiłoby mi nastrój, podczas gdy ten obrzydliwy statek unosił mnie coraz dalej od strzelistych białych iglic poświęconego Sa błogosławionego miasta Jamailia.

W tej ciężkiej dla mnie sytuacji nie mam na pokładzie żadnych przyjaciół, którzy by mnie rozbawili czy pocieszyli. Lady Duparge zaprosiła mnie raz, a ja zachowywałam się uprzejmie, ale różnica pozycji utrudniała rozmowę. Lord Duparge jest dziedzicem niemal wyłącznie swojego tytułu, dwóch statków i jednej posiadłości, która graniczy z

moczarami Gerfen. Lady Crifton i lady Anxory wydają się zadowolone z własnego towarzystwa i w ogóle nie wystosowały do mnie zaproszenia. Obie są zbyt młode, aby mieć osiągnięcia, którymi mogłyby się podzielić, mimo to ich matki powinny były pouczyć je o obowiązkach towarzyskich, jakie mają wobec ludzi wyższego stanu. Obie mogłyby skorzystać na mojej przyjaźni po powrocie do Jamaillii. To, że postanowiły nie zabiegać o moje względy, niezbyt dobrze świadczy o ich intelekcie. Bez wątpienia byłabym nimi znudzona.

W tym okropnym otoczeniu czuję się nieszczęśliwa. Dlaczego mój małżonek postanowił zainwestować swój czas i środki w to przedsięwzięcie, przekracza możliwości mojego pojmowania. Z pewnością ludzie bardziej przedsiębiorczej natury lepiej przysłużyliby się tej sprawie naszego Znamienitego Satrapy. Nie potrafię też zrozumieć, dlaczego nasze dzieci i ja sama musimy mu towarzyszyć, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę mój stan. Nie wydaje mi się, żeby mój małżonek choć przez chwilę zastanowił się nad problemami, jakie podróz ta może stwarzać ciężarnej kobiecie. Jak zwykle nie uznał za stosowne przedyskutować ze mną swoich decyzji, tak samo zresztą jak ja nie radziłabym się go w sprawie moich artystycznych pasji. Mimo to moja ambicja musi ucierpieć, by on mógł oddać się swoim pasjom! Ma nieobecność poważnie opóźnić ukończenie *Kurantów w kamieniu i metalu*.

Brat Satrapy będzie bardzo rozczarowany, ponieważ instalacja ta miała uświetnić jego trzydzieste urodziny.

Dzień 15 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Byłam głupia. Nie. Zostałam oszukana. Nie jest głupotą zaufać, gdy ma się wszelkie podstawy oczekiwać solidności. Gdy ojciec powierzył moją rękę i los lordowi Jathanowi Carrockowi, był przekonany, że jest to człowiek zamożny, solidny i poważany. Ojciec

błogosławił Sa za to, że moje artystyczne osiągnięcia przyciągnęły zalotnika o tak wysokiej pozycji. Gdy płakałam nad losem, który zmusił mnie do poślubienia mężczyzny o tyle ode mnie starszego, matka doradziła mi, żebym się z tym pogodziła oraz zajęła się swoją sztuką i zdobyła sławę dzięki jego wpływowi. Zastosowałam się do jej mądrej rady. Przez ostatnie dziesięć lat, gdy moja młodość i uroda zbladły u jego boku, urodziłam mu troje dzieci, a pod moim sercem rośnie kolejne. Byłam jego ozdobą i błogosławieństwem, a mimo to oszukał mnie. Gdy myślę o tych godzinach, które poświęciłam na zarządzanie jego domem, godzinach, które mogłam poświęcić mojej sztuce, krew ścina mi się w żyłach z goryczy.

Dzisiaj po raz pierwszy poprosiłam, a później, z poczucia obowiązku wobec moich dzieci, zażądałam, żeby zmusił kapitana do przydzielenia nam lepszej kwatery. Wysławszy trójkę naszych dzieci z nianią na górny pokład, wyznał, że w planie kolonizacyjnym Satrapy nie jesteśmy inwestorami z własnej woli, lecz wygnańcami, którym dano szansę uniknięcia hańby. Wszystko, co zostawiliśmy: posiadłości, domy, wartościowe przedmioty, konie, bydło... wszystko to zostało skonfiskowane przez Satrapę, podobnie jak rzeczy, które nam zajęto, gdy wchodziliśmy na pokład. Mój szacowny, poważany małżonek zdradził naszego szlachetnego i ukochanego Satrapę i spiskował przeciwko tronowi błogosławionemu przez Sa.

Wyciągałam z niego to wyznanie po kawałku. Stale mówił mi, żebym nie zawracała sobie głowy polityką, że to jest wyłącznie jego zmartwienie. Mówił, że żona powinna ufać mężowi, iż ten właściwie pokieruje ich życiem. Mówił, że do następnej wiosny, gdy statki przyłyną z uzupełnieniem zapasów dla naszej osady, odzyska nasz majątek i powrócimy na łono społeczeństwa Jamaillii. Ja jednak w dalszym ciągu zadawałam mu te niemądre kobiece pytania. „Cały nasz majątek zajęty?” – spytałam go. – „Cały?” A on powiedział, że zrobiono to, żeby ocalić dobre imię Carrocków, tak aby jego rodzice i młodszy brat mogli żyć z godnością, nie uwikłani w skandal. Pozostała mała posiadłość, którą odziedziczy jego brat. Dwór Satrapy będzie przekonany, że Jathan Carrock postanowił zainwestować cały swój majątek w przedsięwzięcie władcy. Jedynie ludzie z najbliższego otoczenia Satrapy wiedzą, że to była konfiskata. Aby uzyskać to ustępstwo, Jathan przez wiele godzin błagał na kolanach, poniżając się i prosząc o wybaczenie.

Bardzo długo się nad tym rozwodził, tak jakby miało to zrobić na mnie wrażenie. Ale co mnie obchodziły jego kolana. „A co z Thistlebend?” – zapytałam. – „Co z tamtejszym domkiem przy brodzie i pieniędzmi, które przynosił?” Wniosłam mu go w posagu i chociaż jest skromny, myślałam, że zostanie przekazany Narissie, gdy będzie wychodzić za mąż. „Przepadł – powiedział – przepadł na amen”. „Ale dlaczego?” – naciskałam. – „Ja nie spiskowałam przeciwko Satrapie. Dlaczego mnie się karze?”

Rozzłoszczony powiedział, że jestem jego żoną i oczywiście będę dzielić jego los. Nie rozumiałam dlaczego, a nie wyjaśnił mi, w końcu zaś powiedział, że taka głupia kobieta nigdy tego nie zrozumie, i kazał mi zamknąć buzię na kłódkę, zamiast mleć ozorem i dawać dowody ignorancji. Gdy zaprotestowałam, że nie jestem głupia, że jestem

słynną artystką, oświadczył mi, że teraz jestem żoną kolonizatora i że mam wybić sobie z głowy swoje artystyczne pretensje.

Ugryzłam się w język, żeby na niego nie wrzasnąć. W środku jednak aż się gotowałam z wściekłości na tę niesprawiedliwość. Thistlebend, w którym z moimi siostrzyczkami brodziłyśmy w wodzie i zrywałyśmy lilie, udając boginie z tymi naszymi białozłotymi berłami... przepadło z powodu głupoty i zdrady Jathana Carrocka.

Słyszałam plotki o wykryciu spisku przeciwko Satrapi. Nie zwracałam na nie uwagi.

Myślałam, że to mnie nie dotyczy. Powiedziałabym, że kara jest sprawiedliwa, gdybyśmy ja i moje niewinne dzieci nie wpadły w te same sidła, w których znaleźli się spiskowcy. Tę ekspedycję sfinansowano ze skonfiskowanych bogactw. Arystokraci, którzy popadli w niełaskę, zostali zmuszeni do przyłączenia się do Towarzystwa złożonego ze spekulantów i eksploratorów. Co gorsza, trzymani w ładowniach wygnani przestępcy – złodzieje, prostytutki i zbiry – zostaną uwolnieni i dołączą do naszego Towarzystwa, gdy dobijemy do brzegu. W takim to otoczeniu będą przebywać moje kochane dzieci.

Nasz Błogosławiony Satrapa wspaniałomyślnie dał nam szansę zrehabilitowania się. Nasz Najszlachetniejszy i Prześwietny Satrapa przyznał każdemu mężczyźnie z Towarzystwa dwieście leferów ziemi, które można sobie wybrać wzdłuż biegu Rzeki Deszczowej, stanowiącej granicę z barbarzyńską Chalcedonią, lub na Przeklętym Brzegu. Nakazuje nam założyć pierwszą osadę nad Rzeką Deszczową. Wybrał dla nas to miejsce z powodu starożytnych legend o Królach Najstarszych i ich Królowych Ladacznicach. Powiada się, że dawno temu wzdłuż rzeki znajdowały się ich wspaniałe miasta. Posypywali skórę złotem i nosili klejnoty nad oczami. Tak mówią podania. Jathan powiedział, że starożytny zwój, na którym przedstawione są ich osady, został niedawno przetłumaczony. Wątpię w to.

W zamian za szansę zdobycia nowych fortun i odzyskania dobrego imienia Nasz Wspaniały Satrapa Esklepius domaga się jedynie połowy tego, co uda nam się tu znaleźć lub wyprodukować. Za to wszystko Satrapa otoczy nas opieką, za naszą pomyślność będą się odbywać modły, a dwa razy do roku do naszej osady przyplyną jego statki, by mógł się upewnić, że dobrze nam się powodzi. Gwarantuje to podpisana osobiście przez niego Karta naszego Towarzystwa.

Lordowie Anxory, Crifton i Duparge popadli w taką samą niełaskę jak my, jednak ich upadek był mniej bolesny, byli bowiem lordami o mniejszym znaczeniu. Na pokładach pozostałych dwóch statków naszej floty są inni arystokraci, ale żadnego z nich nie znam dobrze. Cieszy mnie, że moi drodzy przyjaciele nie podzielili mego losu, chociaż boleję, że udaję się na wygnanie sama. Nie będę oczekiwać pocieszenia od małżonka, który sprowadził na nasze głowy to nieszczęście. Na dworze rzadko kiedy tajemnica długo pozostaje tajemnicą. Czy to dlatego właśnie żaden z moich przyjaciół nie przyszedł do portu, żeby mnie pożegnać?

Moja matka i siostra niewiele czasu mogły poświęcić na pakowanie mych rzeczy i pożegnanie. Płakały, żegnając się ze mną w domu mojego ojca, lecz nie towarzyszyły mi do brudnego portu, w którym czekał na mnie statek banitów. Dlaczego, o Sa, nie powiedzieli mi prawdy o moim losie?

W tym momencie wpadłam jednak w histerię, zaczęłam drzeć i płakać, a od czasu do czasu krzyczałam, czy tego chciałam czy nie. Jeszcze teraz ręce trzęsą mi się tak mocno, że te rozpaczliwe bazgroły błakają się po całej stronie. Wszystko straciłam: dom, kochających rodziców i – co najbardziej bolesne – sztukę, która daje mi radość życia. Rozpoczęte dzieła, które zostawiłam, nigdy nie zostaną ukończone, a to boli mnie równie mocno jak urodzenie martwego dziecka. Żyję tylko po to, by doczekać dnia, gdy będę mogła powrócić do wspaniałej Jamaillii nad morzem. W tej chwili – wybac mi, Sa – pragnę znaleźć się tam jako wdowa. Nigdy nie przebaczę Jathanowi Carrockowi. Żółć wzbiera we mnie na myśl, że moje dzieci muszą nosić nazwisko tego zdrajcy.

Dzień 24 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Ciemność spowiła moją duszę, ta podróż na wygnanie trwa wieczność. Mężczyzna, którego muszę nazywać swoim mężem, każe mi lepiej zajmować się domem, a ja z trudem utrzymuję pióro w ręce. Dzieci nieustannie płaczą, kłócą się i skarżą, moja służąca zaś nie robi nic, żeby je zabawić. Z każdym dniem coraz bardziej mnie lekceważy. Gdybym miała dość sił, wymierzyłabym jej policzek i starła z twarzy ten grymas niezadowolenia. Mimo że jestem w ciąży, pozwala dzieciom szarpać mnie i domagać się mojej uwagi. Wszyscy wiedzą, że kobieta w moim stanie powinna mieć spokój. Wczorajszego popołudnia, gdy usiłowałam odpocząć, zostawiła obok mnie drzemiące dzieci, a sama wyszła poflirtować z jakimś prostym żeglarzem. Obudził mnie płacz Narissy, musiałam wstać i

spiewać jej, dopóki się nie uspokoiła. Skarży się na ból brzucha i gardła. Gdy tylko ją uciszyłam, przebudzili się Petrus i Carlmin i wdali w jakąś chłopięcą sprzeczkę, która całkowicie odebrała mi chęć do życia. Zanim niania wróciła, byłam wyczerpana i na skraju hysterii. Gdy zbeształam ją za zaniedbywanie obowiązków, zuchwale odparła, że jej matka wychowała dziewięcioro dzieci bez pomocy służby. Jakbym pragnęła takiej pospolitej harówki! Gdyby był tu ktoś, kto mógłby przejąć jej obowiązki, natychmiast bym ją odesłała.

A gdzie w tym wszystkim jest lord Carrock? Na pokładzie, dyskutuje z tymi samymi arystokratami, którzy przyczynili się do tego, że popadł w niełaskę.

Jedzenie staje się coraz gorsze, a woda ma obrzydliwy smak, ale nasz tchórzliwy kapitan nie dobije do brzegu, żeby poszukać lepszej. Ów żeglarz powiedział mojej służącej, że Przeklęty Brzeg zasłużył na swoją nazwę i że nieszczęścia spadają na tych, którzy tam przybijają, podobnie jak spadły na tych, którzy niegdyś tam żyli. Czy i kapitan Triops wierzy w takie bezsensowne przesady?

Dzień 27 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Miota nami sztorm. Statek śmierdzi wymiocinami nieszczęsnych mieszkańców jego trzewi. Nieustanne kołysanie miesza cuchnącą wodę w zęzie, więc musimy wachać ten smród. Kapitan nie pozwala nam wychodzić na pokład. Powietrze tu, na dole, jest wilgotne i gęste, a z belek kapie na nas woda. Musiałam umrzeć i wiodę teraz za karę jakieś barbarzyńskie życie pozagrobowe.

Pomimo wilgoci ledwie starcza wody do picia, a na pranie nie ma jej w ogóle. Ubrania i pościel zabrudzone wymiocinami trzeba płukać w wodzie morskiej, po czym są sztywne i pokryte solą. Mała Narissa jest najbardziej nieszczęsnym z dzieci. Przestała wymiotować, ale niemal się nie rusza ze swojego siennika, biedactwo. Proszę, Sa, niech to okropne kołysanie i chlupotanie wreszcie się skończy.

Dzień 29 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Moje dziecko nie żyje. Narissa, moja jedyna córka, zmarła. Sa, miej dla mnie litość i wymierz sprawiedliwość zdradzieckiemu lordowi Jathanowi Carrockowi, gdyż zło, którego się dopuścił, jest przyczyną całej mojej niedoli! Owinęli moją dziewczynkę w płótno i wrzucili ją oraz jeszcze dwoje innych dzieci do wody, a żeglarze oderwali się od swoich zajęć, żeby popatrzeć, jak odchodzą. Myślę, że byłam wtedy trochę niespełna

rozum. Lord Carrock przytrzymał mnie w ramionach, gdy próbowałam skoczyć za nią do morza. Walczyłam z nim, ale okazał się dla mnie zbyt silny. Pozostałam w pułapce tego życia, na znośnienie którego skazała mnie jego zdrada.

Dzień 7 miesiąca pług 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Moje dziecko nadal jest martwe. Ach, cóż to za głupia myśl, a mimo to jej śmierć nadal wydaje mi się niemożliwa. Narisso, Narisso, nie mogłaś odejść na zawsze. To musi być jakiś okropny sen, z którego się obudzę!

Dzisiaj, gdy siedziałam i płakałam, mąż wcisnął mi ten notatnik i powiedział: „Napisz wiersz, to ci przyniesie ulgę. Schroń się w swojej sztuce, dopóki nie poczujesz się lepiej. Rób cokolwiek, tylko przestań płakać!” Tak jakby proponował wrzeszczącemu dziecku słodki smoczek. Jakby sztuka odrywała człowieka od życia, nie zaś pozwalała się w nim głębiej zanurzyć! Jathan robił mi wyrzuty z powodu mojego żalu, mówiąc, że ta jawnie okazywana żałoba straszy naszych synów i zagraża dziecku w moim łonie. Jakby go to naprawdę obchodziło! Gdyby troszczył się o nas jako mąż i ojciec, nigdy nie zdradziłby naszego drogiego Satrapy i nie skazałby nas na taki los.

Ale żeby przestał mieć taką gniewną minę, usiądę tutaj i popiszę jakiś czas, jak na dobrą żonę przystało.

Dwunastu pasażerów i dwóch członków załogi zmarło na dyzenterię. Ze stu szesnastu osób, które rozpoczęły tę podróż, zostało dziewięćdziesiąt dziewięć. Pogoda się poprawiła, ale ciepłe promienie słońca na pokładzie jedynie kpią sobie z mojego smutku. Mgła unosi się nad morzem, a na zachodzie niewyraźnie widać odległe góry.

Dzień 18 miesiąca pług 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Nie mam nastroju na pisanie, ale nie ma nic innego, co zajęłoby mój udręczony umysł. Ja, która kiedyś tworzyłam najbardziej błyskotliwą prozę i najwznioślejszą poezję, teraz z mozołem zapełniam stronicę słowo po słowie.

Parę dni temu dotarliśmy do ujścia rzeki; nie pamiętam daty, w takim byłam pogrążona smutku. Gdy je dostrzegliśmy, wszyscy mężczyźni wydali okrzyk radości. Jedni mówili o złocie, inni o legendarnych miastach, które będzie można splądrować, jeszcze inni o czekających na nas dziewiczych lasach i ziemi uprawnej. Myślałam, że oznacza to koniec naszej podróży, ale ona ciągnie się nadal.

Początkowo przypływ pomagał nam płynąć w górę rzeki. Teraz załoga musi ciężko pracować wiosłami, żeby statek przesunął się naprzód o jedną długość. Więźniowie zostali oswobodzeni z kajdan i wykorzystani jako wiosłarze maleńkich łodzi. Płyną w górę rzeki, osadzają kotwy i ciągną nas pod prąd. Wieczorem stajemy na kotwicy i wsłuchujemy się w szum silnego nurtu i krzyki niewidocznych stworzeń w dżungli. Z każdym dniem krajobraz staje się coraz bardziej fantastyczny i coraz groźniejszy. Drzewa na brzegach rzeki są dwa razy wyższe niż nasz maszt, a te, które rosną dalej, jeszcze potężniejsze. Gdy koryto się zwęża, rzucają na nas głębokie cienie. Przed naszym wzrokiem rozciąga się niemal nieprzenikniona ściana roślinności. Poszukiwania przyjaznego brzegu wydają się głupotą. Nie widzę tu żadnych śladów bytności człowieka. Jedynymi stworzeniami są jaskrawo ubarwione ptaki, wielkie jaszczurki, które

wygrzewają się na słońcu w korzeniach drzew nieopodal wody, i coś, co popiskuje i przemyka wierzchołkami drzew. W ogóle nie ma tu soczystych pastwisk czy twardego gruntu, a jedynie błotniste brzegi i wybujała roślinność. Ogromne drzewa wbijają się w rzekę korzeniami jak pale, przystrojone pnączami ciągniętymi przez kredowobiałą wodę. Część ma kwiaty, które jaśnieją nawet w nocy. Zwisają one, mięsiste i grube, a wiatr niesie ich słodki, zmysłowy zapach. Dokuczają nam żądłące owady, wiosłarze dostają bolesnej wysypki. Woda w rzece nie nadaje się do picia; co gorsza, rozpuszcza zarówno ludzkie ciało, jak i drewno, rozmiękczając wiosła i powodując owrzodzenia. Gdy odstawi się ją w wiadrze, górna warstwa staje się zdatna do picia, ale osad szybko dziurawi dno. Ci, którzy ją piją, skarżą się na bóle głowy i szalone sny. Jeden z przestępców zachwycał się „pięknymi węzami”, po czym rzucił się przez burtę. Dwóch członków załogi zakuto w kajdany, ponieważ wygadywali niestworzone rzeczy.

Nie widać końca tej okropnej podróży. Straciliśmy z oczu dwa pozostałe statki. Kapitan Triops ma nas wysadzić w bezpiecznym miejscu, które pozwala się osiedlić i uprawiać rolę. Z każdym dniem nadzieja Towarzystwa na znalezienie rozległych, słonecznych pastwisk i łagodnych wzgórz staje się jednak coraz mniejsza. Kapitan mówi, że ta rzeczna woda szkodzi kadłubowi. Chce nas wysadzić na moczarach, twierdząc, że drzewa na brzegu mogą przesłaniać wyżej położone ziemie i rozległe lasy. Nasi mężczyźni sprzeciwiają się temu, często rozwijają Kartę, którą nam dał Satrapa, i kładą nacisk na to, co nam obiecano. On ripostuje, pokazując rozkazy, które otrzymał od Esklepiusa. Mówią one o punktach orientacyjnych, które nie istnieją, szlakach żeglownych, które są płytkie i kamieniste, oraz miastach, w których rozpanoszyła się dżungla. Przekładali dokonali kapłani Sa, a oni nie mogli kłamać. Ale coś tu jest bardzo nie w porządku.

Cały statek się zamartwia. Często wybuchają kłótnie, załoga burzy się po cichu przeciwko kapitanowi. Jestem strasznie nerwowa, tak że łatwo zbiera mi się na płacz. Petrus ma koszmary senne, a Carlmin, dziecko zawsze milczące, niemal w ogóle przestał się odzywać.

Och, piękna Jamaillio, moje miasto rodzinne, czy jeszcze kiedyś ujrzę twoje wzgórza o łagodnych zboczach i pełne lekkości iglice? Matko, ojczu, czy opłakujecie mnie jako straconą na zawsze?

A tą wielką plamą jest Petrus, który wdrapując mi się na kolana, trąca mnie i mówi, że jest znudzony. Ze służącej prawie nie mam pożytku. Niewiele robi, żeby zasłużyć na jedzenie, które pochłania, po czym wymyka się, by włóczyć się po statku jak kotka w czasie rui. Wczoraj oświadczyła jej, że jeśli z tych jej niemoralnych namiętności będzie dziecko, wyrzucę ją. Ośmieliła się powiedzieć, że to jej nie obchodzi, ponieważ dni jej służby u mnie są policzone. Czy ta głupia latawica zapomniała, że jest związana z nami umową na następne pięć lat?

Dzień 22 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Stało się to, czego się obawiałam. Przysiadłam w załomie ogromnego korzenia, moim biurkiem zaś jest skrzynia ze skromnym dobytkiem. Drzewo, które mam za plecami, średnicą dorównuje wieży. Płatanina korzeni, z których część jest tak gruba jak beczki, utrzymuje je w bagnistym gruncie. Spoczęłam na jednym z nich, żeby uchronić spódnicę przed zabrudzeniem wilgotną, porośniętą kępami trawy ziemią. Płynąc środkiem rzeki, mieliśmy przynajmniej światło słoneczne. Tutaj roślinność rzuca cień, pogrążając nas

w wiecznym półmroku.

Kapitan Triops porzucił nas na tych bagnach. Twierdził, że statek nabiera wody, wobec czego nie pozostaje mu nic innego, jak go rozładować i uciec z niszczącej rzeki. Gdy odmówiliśmy zejścia na ląd, doszło do przemocy i załoga usunęła nas z pokładu. Kiedy jednego z mężczyzn wyrzucono za burtę, po czym uniósł go nurt, opuściła nas chęć stawiania oporu. Zapasy, dzięki którym mieliśmy przetrwać, zatrzymano. Jeden z mężczyzn rozpaczliwie chwycił klatkę z gołębiami pocztowymi i próbował ją wyrwać. W zamieszaniu klatka się rozpadła, a wszystkie nasze ptaki zerwały się do lotu i zniknęły. Załoga wyrzuciła skrzynie z narzędziami, nasionami i zapasami, które miały pomóc nam założyć kolonię. Zrobili to, by zmniejszyć masę statku, a nie po to, by nam pomóc. Wiele skrzyń spadło na głęboką wodę, poza naszym zasięgiem. Mężczyźni ratowali, co się dało, z rzeczy wyrzuconych na łagodny brzeg. Resztę pochłonęło błoto. W tym zapomnianym miejscu znajdują się teraz siedemdziesiąt dwie osoby, z których czterdzieści to silni mężczyźni.

Górują nad nami olbrzymie drzewa. Ziemia trzęsie się pod naszymi stopami jak kozuch na budyniu, a w śladach stóp mężczyzn, którzy chodzą i zbierają nasz dobytek, błyskawicznie zbiera się woda.

Nurt szybko uniósł statek i wiarołomnego kapitana poza zasięg naszego wzroku. Niektórzy twierdzą, że musimy zostać tu, gdzie jesteśmy, nad rzeką, i wypatrywać pozostałych dwóch statków. Sądzą, że ich załogi nam pomogą. Ja myślę, że musimy wejść głębiej w las, znaleźć twardszy grunt i uciec przed kąsającymi owadami. Ale jestem kobietą, która nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Mężczyźni odbywają teraz naradę, na której mają wybrać przywódcę naszej wyprawy. Jathan Carrock zgłosił swoją kandydaturę, jako że jest najszlachetniejszego pochodzenia, ale został zakrzyczany przez pozostałych, byłych więźniów, kupców i spekulantów, którzy stwierdzili, że nazwisko jego ojca nie ma tutaj żadnego znaczenia. Kpili z niego, ponieważ wszyscy, jak się zdaje, znają tę „tajemnicę”, że w Jamailii jesteśmy w niełasce. Nie mogłam na to patrzeć i odeszłam rozgoryczona.

Moja sytuacja jest rozpaczliwa. Nieodpowiedzialna służąca nie opuściła statku razem z nami, tylko została na pokładzie, dziwka żeglarza. Życzę jej, żeby dostała to, na co zasłużyła! Teraz Petrus i Carlmin kurczowo się mnie trzymają, skarżąc się, że buty im przemokły i że na skutek wilgoci mają poobcierane stopy. Sama nie wiem, kiedy znowu będę miała chwilę dla siebie. Przeklinam swoją artystyczną duszę, bo gdy patrzę w górę, na padające ukośnie promienie słońca, które przedzierają się przez nachodzące na siebie warstwy konarów i liści, dostrzegam dzikie i niebezpieczne piękno tego miejsca. Obawiam się, że gdybym się temu poddała, mogłoby się to okazać równie kuszące jak przenikliwe spojrzenie nieokrzesanego mężczyzny.

Nie wiem, skąd się biorą te myśli. Chcę tylko wrócić do domu.

Gdzieś tam, na liście nad naszymi głowami pada deszcz.

Dzień 24 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Przed świtem obudziłam się nagle, wyrwana z żywego snu o zagranicznym festiwalu ulicznym. Wyglądało to tak, jakby ziemia pod nami rozstępowała się na boki. Potem, gdy słońce stało już dość wysoko na niewidocznym niebie, znowu poczuliśmy, jak grunt zadrżał. Trzęsienie ziemi przeszło obok nas przez Deszczowe Ostępy jak fala. Już

wcześniej przeżyłam trzęsienia ziemi, ale w tym zimnym regionie drgania wydawały się silniejsze i groźniejsze. Nietrudno sobie wyobrazić, jak ten bagnisty grunt połyka nas niczym złoty karp okrusz chleba.

Pomimo wędrówki w głąb lądu grunt pod naszymi stopami nadal jest bagnisty i zdradziecki. Dzisiaj spotkałam się oko w oko z wężem zwisającym z gęstwiny zieleni. Jednocześnie urzekł mnie swoim pięknem i przestraszył. Jakże lekko się uniósł, przyjrzawszy mi się, i kontynuował wędrówkę po splecionych gałęziach nad moją głową. Gdybym ja potrafiła tak bez wysiłku wędrować po tej krainie!

Dzień 27 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Piszę, siedząc na drzewie jak jedna z tych jaskrawo ubarwionych papug, które dzielą ze mną gałąź. Czuję się głupio, ale jestem w radosnym nastroju, pomimo głodu, pragnienia i ogromnego zmęczenia. Być może to upojenie jest efektem ubocznym głodu.

Pięć dni mozolnie przedzieraliśmy się przez rozmiękły grunt i gęste zarośla, oddalając się od rzeki w poszukiwaniu bardziej suchego terenu. Niektórzy z naszej grupy protestowali, mówiąc, że gdy na wiosnę przybędzie obiecany statek, nie zdoła nas znaleźć. Ugryzłam się w język, ale wątpię, czy jakikolwiek statek popłynie jeszcze w górę tej rzeki.

Marsz w głąb łądu nie poprawił naszego położenia. Grunt nadal jest drżący i grząski. Po przejściu całej grupy zostają za nami błotnisty ślad i stojąca woda. Wilgoć powoduje stany zapalne stóp i gnicie mojej spódnicy. Wszystkie kobiety chodzą teraz jak flejtuchy.

Porzuciliśmy wszystko, czego nie mogliśmy unieść. Każdy – mężczyzna, kobieta i dziecko – niesie tyle, ile zdoła udźwignąć. Maluchy są zmęczone. Czuję, jak z każdym krokiem dziecko w moim łonie staje się coraz cięższe.

Mężczyźni utworzyli Radę, która ma nami rządzić. Każdy z nich ma w niej jeden głos. Uważam to lekceważenie przyrodzonego porządku rzeczy za niebezpieczne, jednak wygnani arystokraci w żaden sposób nie są w stanie dojść swoich praw do władzy. Jathan powiedział mi na osobności, że lepiej będzie, jeśli się na to zgodzimy, bo wkrótce Towarzystwo zrozumie, że prości rolnicy, kieszonkowcy i awanturnicy nie nadają się do rządzenia. Chwilowo przestrzegamy ustalanych przez nich zasad. Rada połączyła kurczące się zapasy żywności. Codziennie wydziela nam się jej odrobinę. Rada mówi, że wszyscy mężczyźni będą tak samo pracować. I tak Jathan musi pełnić w nocy wartę z pozostałymi, jakby był prostym żołnierzem. Mężczyźni stoją na straży po dwóch, ponieważ jedna osoba łatwiej ulega dziwnemu obłądowi, który czai się w tym miejscu. Niewiele o tym mówimy, ale wszyscy mają dziwne sny, a niektórzy członkowie Towarzystwa zdają się błądzić daleko myślami. Mężczyźni uważają, że to wina wody. Mówi się o wysłaniu zwiadowców, żeby znaleźli dobre, suche miejsce, w którym moglibyśmy się osiedlić.

Nie wierzę w powodzenie tych śmiałych planów. To dzięki miejsce za nic ma nasze zasady i naszą Radę.

Niewiele tu znaleźliśmy rzeczy, które nadawałyby się do jedzenia. Roślinność jest dziwna, a jedyne życie zwierzęce, które zaobserwowaliśmy, toczy się w wyższych partiach drzew. Mimo to w tym dzikim i skłębionym bezładzie nadal można, jeśli się tylko chce, dostrzec piękno. Światło słoneczne, które dociera do nas przez baldachim drzew, jest łagodne i cętkowane. Oświetla pierzaste mchy zwieszające się z pnączy. Raz je

przeklinam, gdy z trudem przedzieramy się przez te zwisające sieci, a po chwili widzę w nich ciemnozielone koronki. Wczoraj, pomimo mojego zmęczenia i zniecierpliwienia Jathana, przystanęłam, żeby nacieszyć się pięknym kwitnącego pnącza. Gdy przyjrzałam mu się bliżej, zauważyłam, że w każdym przypominającym trąbkę kwiecie znajduje się odrobina wody deszczowej osłodzonej nektarem. Sa, wybacz mi, że ja i moje dzieci porządnie napiliśmy się z wielu tych kwiatów, zanim powiedziałam innym o swoim odkryciu. Znaleźliśmy też grzyby, które rosną jak półki na pniach drzew, i pnącze o czerwonych owocach. To jednak za mało.

To dzięki mnie śpimy dzisiaj w suchym miejscu. Drżałam na samą myśl o spędzeniu kolejnej nocy na wilgotnej ziemi, o tym, że przebudzę się przemoczona i ze swędzącą skórą albo skulona na naszym dobytku, który powoli zapada się w błotnisty grunt. Tego wieczoru, gdy cienie zaczynały się pogłębiać, zauważyłam, że z niektórych konarów drzew zwisają niczym kołyszące się portmonetki ptasie gniazda. Aż za dobrze wiem, jak zręcznie Petrus potrafi się wspinać po meblach czy nawet kotarach. Wybrawszy drzewo z kilkoma grubymi konarami rosnącymi niemal na jednym poziomie, podpuściłam syna, pytając, czy ich dosięgnie. Chwycił się pnączy, które zwisały z drzewa, a jego małe stopy znalazły oparcie w twardej korze. Wkrótce siedział wysoko nad nami na bardzo grubej gałęzi, machając nogami i śmiejąc się, gdy się na niego gapiliśmy.

Zaproponowałam Jathanowi, żeby poszedł w ślady syna i żeby zabrał ze sobą adamaszkowe zasłony, które przydzwigałam aż do tego miejsca. Inni szybko przejrżeli mój plan. Z gęstych drzew zwisają teraz niczym jaskrawe owoce pasy tkanin różnego rodzaju. Jedni śpią na grubszych gałęziach lub w rozwidleniach konarów, inni w hamakach. To niebezpieczny sposób spania, ale przynajmniej jest sucho.

Wszyscy mnie chwalili. „Moja żona zawsze była inteligentna” – stwierdził Jathan, jak gdyby chciał odebrać mi zasługę, więc przypominałam mu: „Mam własne nazwisko. Na długo, zanim stałam się lady Carrock, byłam Carillion Waljin! Niektóre z moich najsłynniejszych dzieł artystycznych, *Zawieszane misy* i *Unoszące się latarnie*, wymagały takiej właśnie znajomości równowagi i punktów podparcia! Różnica dotyczy skali, nie własności”. Na to kilka kobiet grupy wydało stłumiony okrzyk, uznając mnie za samochwałę, ale lady Duparge wykrzyknęła: „Ma rację! Zawsze podziwiałam twórczość lady Carrock”.

Wtedy jakiś prostak był na tyle śmiały, że dodał: „Okaze się równie inteligentna jako żona kupca Carrocka, bo tutaj nie będzie żadnych lordów i dam”.

Myśl ta podziałała na mnie otępleniście, poza tym obawiam się, że on ma rację. Urodzenie i wychowanie mają tutaj niewielkie znaczenie. Już przyznali prawo głosu pierwszym lepszym mężczyznom, gorzej wykształconym od lady Duparge czy ode mnie. Więcej do powiedzenia co do naszych planów ma jakiś rolnik niż ja.

A co mruknął do mnie mój mąż? „Przyniosłaś mi wstyd, zwracając na siebie uwagę. Jakaż to próżność chełpić się swoimi «artystycznymi osiągnięciami». Zadbaj, żeby dzieciom niczego nie brakowało, zamiast się przechwalać”. W taki oto sposób pokazał mi, gdzie jest moje miejsce.

Co się z nami stanie? Co z tego, że śpimy w suchym miejscu, skoro brzuchy mamy puste, a gardła suche? Tak bardzo mi żal dziecka w moim łonie. Wszyscy mężczyźni krzyczeli do siebie „Uważaj!”, gdy robili dźwig i używali płachty materiału, żeby podnieść mnie na tę grzędę. A jednak nawet najbaczniejsza uwaga nie uchroni tego dziecka przed dziczą, w której się urodzi. Nadal brakuje mi mojej Narissy, lecz myślę, że sposób, w jaki dokonała żywota, był łaskawszy niż to, co ten dziwny las może mieć w zanadrzu dla nas.

Dzień 29 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Dziś wieczorem znowu zjadłam jaszczurkę. Wstyd mi się do tego przyznać. Za pierwszym razem zrobiłam to, myśląc niewiele więcej niż kot rzucający się na ptaka. Gdy odpoczywaliśmy, zauważyłam na pierzastym liściu paproci małe stworzenie. Było zielone jak klejnot i nieruchome. Zdradziły je jedynie błysk jasnego oka i ledwo dostrzegalny puls na gardle. Rzuciłam się płynnie jak wąż. Złapałam je i w mgnieniu oka przytknęłam miękki brzuch do ust. Wgryzłam się w ciało; było gorzkie, obrzydliwe i słodkie równocześnie. Schrupałam ją, kości i całą resztę, jakby był to gotowany na parze skowronek ze stołu na bankiecie Satrapy. Później nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam. Spodziewałam się, że będę się źle czuła, ale tak nie było. Niemniej jednak byłam zbyt zawstydzona, żeby powiedzieć komukolwiek, co zrobiłam. Takie pożywienie wydaje się niestosowne dla cywilizowanego człowieka, nie mówiąc już o sposobie, w jaki je zjadłam. Powiedziałam sobie, że tego wymagało rozwijające się we mnie dziecko, że było to chwilowe odchylenie od normy spowodowane dręczącym głodem. Postanowiłam więcej tego nie robić i wyrzuciłam to z głowy.

Ale dzisiaj wieczorem znowu to zrobiłam. Było to smukłe, szare stworzenie w kolorze drzewa. Spostrzegło szybki jak błyskawica ruch mojej ręki i skryło się w zagłębieniu kory, lecz wyciągnęłam je stamtąd za ogon. Trzymałam je mocno między kciukiem a palcem. Wyrwało się jak szalone, po czym zamarło, wiedząc, że to nic nie da. Przyglądałam mu się uważnie, myśląc, że jeśli tak zrobię, to zdołam je wypuścić. Było piękne, miało błyszczące ślepia, maleńkie pazurki i cienki ogon. Grzbiet miało szary i pobrużdżony jak kora drzew, ale miękki brzusek koloru śmietanki. Miękką krzywizną gardła była niebieska, a w dół brzucha biegł bladoniebieski pas. Łuski na brzuchu były maleńkie i gładkie, gdy przeciągnęłam po nich językiem. Czułam łomotanie jego maleńkiego serca i smród strachu, gdy przebierało małymi pazurkami po moich spierzchniętych ustach. To wszystko było już jakoś tak bardzo znajome. A potem zamknęłam oczy i wgryzłam się w nie, trzymając obie ręce przy ustach, żeby nie stracić ani kęsa. Miałam na dłoni małą plamę krwi. Zlizałam ją. Nikt tego nie widział.

Sa, słodki Panie wszystkiego, czym ja się staję? Co skłania mnie do takiego zachowania? Uczucie głodu czy zaraźliwa dzikość tego miejsca? Sama już nie wiem. Sny, które mnie prześladują, nie są snami lady z Jamailii. Wody ziemi parzą mi dłonie i stopy, aż po zagojeniu stają się twarde jak łupina orzecha. Boję się, jak muszą wyglądać moja twarz i włosy.

Dzień 2 miesiąca zielenienia 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Ostatniej nocy zmarł chłopiec. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Dziś rano po prostu się nie obudził. Był zdrowym smykem, mniej więcej dwunastoletnim. Na imię miał Durgan i chociaż to tylko syn kupca, odczuwam wraz z jego rodzicami głęboki smutek. Petrus często z nim chodził i wydaje się bardzo wstrząśnięty jego śmiercią. Szepnął mi, że ostatniej nocy śniło mu się, że ta kraina go pamięta. Gdy zapytałam, co ma na myśli, nie umiał mi wytłumaczyć, ale powiedział, że być może Durgan umarł, bo to miejsce go nie chce. Brzmiało to bezsensownie, ale powtarzał to z uporem, dopóki nie kiwnęłam głową

i nie powiedziałam, że być może ma rację. Słodki Sa, nie pozwól, by szaleństwo ogarnęło mojego chłopca. Mnie to również przeraża. Być może to dobrze, że Petrus nie będzie już szukał towarzystwa takiego pospolitego chłopaka, chociaż Durgan uśmiechał się szeroko i był skory do śmiechu, czego wszystkim nam będzie brakowało.

Gdy tylko mężczyźni wykopali grób, wypełnił się on mętną wodą. W końcu trzeba było zabrać stamtąd matkę chłopca, a ojciec powierzył jego ciało wodzie i błotowi. Gdy prosiliśmy Sa, by dał mu wieczny odpoczynek, dziecko w moim łonie kopnęło gwałtownie. Przestraszyło mnie to.

Dzień 8 miesiąca zielenienia (Tak myślę. Marthi Duparge twierdzi, że jest 9) 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Znaleźliśmy skrawek bardziej suchej ziemi i większość z nas będzie tu odpoczywać kilka dni, podczas gdy wybrana grupa mężczyzn wyruszy na poszukiwanie lepszego miejsca. Nasze schronienie jest tak naprawdę trochę stabilniejszą wyspą na bagnach. Zauważyliśmy, że pewien rodzaj iglastych krzewów to oznaka twardszego gruntu, a tutaj rosną one dość gęsto. Są na tyle przesycone żywicą, że palą się nawet zielone. Dają gęsty, duszący dym, ale trzymają z dala kąsające owady.

Jathan jest jednym z naszych zwiadowców. Uważałam, że ponieważ niedługo ma się urodzić nasze dziecko, powinien zostać i pomóc mi opiekować się chłopcami. Powiedział, że musi iść, żeby zdobyć pozycję przywódcy w Towarzystwie. Lord Duparge także ma wyruszyć jako zwiadowca. Ponieważ lady Duparge również jest brzemienna, Jathan stwierdził, że możemy sobie nawzajem pomagać. Taka młoda żona jak Marthi nie może być zbyt pomocna przy porodzie, ale jej towarzystwo będzie lepsze niż żadne. Wszystkie kobiety zbliżyły się, gdy głód zmusił nas do dzielenia się śmiesznie małymi zapasami dla dobra naszych dzieci.

Inna z kobiet, żona tkacza, wymyśliła sposób robienia mat z bujnych pnączy. Zaczęłam się tego uczyć, niewiele bowiem innego mogę robić, taka ociężała się stałam. Maty można wykorzystać jako sienniki, można je także ze sobą łączyć, by zrobić przenośne osłony. Pobliskie drzewa mają gładką korę, a ich gałęzie zaczynają się bardzo wysoko, więc musimy zapewnić sobie wszelkie możliwe schronienie na ziemi. Kilka kobiet przyłączyło się do nas i zrobiło się miło, a nawet domowo, gdy siedzieliśmy wspólnie, rozmawialiśmy i zajmowałyśmy się pracą. Mężczyźni śmiali się z nas, gdy wznosiliśmy plecione ścianki, pytając, co takie słabe zapory mogą powstrzymać. Czułam się głupio, gdy jednak zapadła ciemność, korzystałyśmy z naszej nietrwałej chatki. Tkaczka Sewet ma piękny głos i gdy swojemu najmłodszemu dziecku śpiewała do snu starą piosenkę *Chwalcie Sa w niedoli*, łzy napłynęły mi do oczu. Mam wrażenie, że minęły wieki, odkąd ostatni raz słyszałam muzykę. Jak długo moje dzieci będą musiały żyć bez wszelkiej kultury i bez nauczycieli, o ile przeżyją bezlitosny sąd tego miejsca?

Mimo że gardzę Jathanem Carrockiem za spowodowanie naszego wygnania, dziś wieczorem tęsknię za nim.

Dzień 12 lub 13 miesiąca zielenienia 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieconego Satrapy Esklepiusa

Ostatniej nocy nasz obóz ogarnęło szaleństwo. Najpierw jakaś kobieta zaczęła

wykrzykiwać w ciemnościach: „Słuchajcie! Słuchajcie! Czy nikt inny nie słyszy ich śpiewu?” Mąż próbował ją uciszyć, ale wówczas jakiś mały chłopiec zawołał, że słyszy ten śpiew już od kilku nocy. Po czym dał nura w mroki, jakby wiedział, dokąd idzie. Jego matka pobiegła za nim. Wtedy owa kobieta wyrwała się mężowi i popędziła na bagno. Trzy inne ruszyły za nią, nie po to jednak, by ją sprowadzić z powrotem, lecz krzycząc: „Poczekaj, poczekaj, pójdziemy z tobą!”

Wstałam i objęłam synów, żeby nie porwało ich to szaleństwo. Osobliwa poświata zalewa w nocy tę dżunglę. Robaczki świętojańskie znamy, ale dziwnego pająka, który umieszcza w środku swojej sieci kapkę jarzącej się śliny, już nie. Małe owady wlatują prosto w nią, tak jak ćmy pędzą do płomienia latarni. Jest też zwisający mech, który świeci bladym, zimnym światłem. Nie ośmielę się okazać swoim chłopcom, jak bardzo jest to dla mnie makabryczne. Powiedziałam im, że zadrżałam z zimna i z troski o te biedne, ciemne nieszczęśnice, które zaginęły na bagnach. A jeszcze silniejszych dreszczy dostałam, gdy usłyszałam, że mały Carlmin mówi o tym, jak piękna jest dżungla w ciemnościach i jak słodko pachną kwitnące nocą kwiaty. Powiedział, że pamięta, jak piekłam kiedyś ciastka, dodając te kwiaty do smaku. W Jamaillii nigdy nie było takich kwiatów, ale gdy to rzekł, niemal przypomniałam sobie brązowe ciasteczka, miękkie pośrodku, a kruche na brzegach. Nawet pisząc te słowa, prawie przypominam sobie, jak nadawałam im kształt kwiatów, zanim usmażyłam je w gorącym, bulgoczącym tłuszczu.

Przysięgam, że nigdy nie robiłam takich ciastek.

Do południa wciąż nie ma śladu po tych, których ogarnęło nocne szaleństwo. Poszukiwacze ruszyli za nimi, ale mokra i pokąsana przez owady grupa wróciła niepokieszona. Dżungla ich połknęła. Kobieta pozostawiła małego chłopca, który zawodził za nią prawie cały dzień. Nikomu nie powiedziałam o muzyce, którą słyszę w snach.

Dzień 14 lub 15 miesiąca zielenienia 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieconego Satrapy Esklepiusa

Nasi zwiadowcy jeszcze nie wrócili. Za dnia udajemy przed dziećmi, że wszystko jest w porządku, ale w nocy, gdy moi chłopcy śpią, Marthi Duparge i ja dzielimy się obawami. Z pewnością mężczyźni powinni już wrócić, choćby po to, by donieść, że nie znaleźli lepszego miejsca od tej grząskiej wyspy.

Ostatniej nocy Marthi rozplakała się i powiedziała, że Satrapa celowo posłał nas na śmierć. Byłam wstrząśnięta.

Kapłani Sa przetłumaczyli starożytne zwoje, które mówiły o miastach nad tą rzeką. Mężczyźni służący Sa nie mogą kłamać. Niewykluczone jednak, iż popełnili błąd, na nieszczęście tak poważny, że może on kosztować nas życie.

Nie ma tutaj dostatku, a jedynie dziwność, która czai się za dnia i krąży między naszymi szalasami nocą. Niemal każdej nocy jedna czy dwie osoby budzą się z krzykiem dręczone koszmarami, których nie mogą sobie przypomnieć. Młodej kobiety lekkich obyczajów nie ma już od dwóch dni. Była tanią prostytutką z ulic Jamailii i tutaj nadal uprawiała swoją profesję, żądając jedzenia od mężczyzn, którzy korzystali z jej usług. Nie wiemy, czy odeszła, czy też została zabita przez kogoś z naszej grupy. Nie wiemy, czy pośród nas skrywa się morderca, czy też ta przerażająca kraina zażądała następnej ofiary.

My, matki, cierpimy najbardziej, ponieważ dzieci proszą nas o więcej, niż zawierają przyznane nam skromne racje. Zapasy ze statku się skończyły. Codziennie ruszam z synami u boku na poszukiwania żywności. Kilka dni temu natknęłam się na wzgórek

poruszonej ziemi i pogrzebawszy w nim, znalazłam jajka w brązowych, cętkowanych skorupkach. Było ich niemal pięćdziesiąt i chociaż niektórzy Mężczyźni odmówili, mówiąc, że nie będą jeść jaj węża czy jaszczurki, żadna z kobiet tak nie postąpiła. Pewną podobną do lillii roślinę trudno wyrwać z płycizny, ponieważ zawsze oblewa mnie przy tym piekąca woda, a korzenie są długie i włókniste. Niemniej są na nich gruzelki, nie większe od dużych pereł, które mają przyjemnie pikantny smak. Sewet wykorzystuje same korzenie, wyplatając koszyki, a ostatnio również zgrzebną tkaninę. Przyda się. Nasze spódnice są postrzępione aż do łydek, a buty stały się cienkie jak papier. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy znalazłam te perły lillii. Kilka osób spytało, skąd wiedziałam, że są jadalne.

Nie umiałam na to odpowiedzieć. Kwiaty wydawały się znajome. Nie potrafię powiedzieć, co skłoniło mnie do tego, żeby wyrwać korzenie, ani co kazało mi zerwać perłowe gruzelki i włożyć je do ust.

Mężczyźni, którzy tu zostali, nieustannie skarżą się na trzymanie warty w nocy i podsycanie ognia, ale uważam, że w istocie rzeczy kobiety pracują równie ciężko. W tych warunkach zapewnienie dzieciom bezpieczeństwa, wyżywienie ich i utrzymanie w czystości wymaga wysiłku. Przyznaję, że wiele nauczyłam się o wychowaniu chłopców od Chellii. W Jamailii była praczką, a jednak tutaj została moją przyjaciółką i dzielimy mały szałas, który zbudowałyśmy dla pięciorga dzieci i nas samych. Jej mężczyzna, niejaki Ethe, również jest w grupie zwiadowczej. Mimo to Chellia zachowuje pogodną twarz i nalega, żeby trójka dzieci pomagała jej w codziennych obowiązkach. Naszych starszych chłopców wysyłamy razem, by zbierali suche drewno na ognisko. Przestrzegamy ich, żeby oddalali się tak, by zawsze słyszeć odgłosy z obozu, ale i Petrus, i Olpey skarżą się, że w pobliżu nie ma już suchego drewna. Piet i Likea, córki Chellii, doglądają Carlmina, gdy zbieramy wodę z kwiatów o kształcie trąbki i wygrzebujemy wszystkie grzyby, jakie tylko uda nam się znaleźć. Znalazłyśmy korę, z której można zrobić pikantną herbatę; pomaga ona również oszukać głód.

Jestem wdzięczna za jej towarzystwo; zarówno Marthi, jak i ja chętnie przyjmujemy pomoc Chellii, gdy nadejdzie czas rozwiązania. Jednak jej Olpey jest starszy od mojego Petrusa i namawia go do śmiałego, lekkomyślnego zachowania. Wczoraj nie było ich aż do zmierzchu, a gdy wrócili, każdy z nich miał tylko naręcze drewna. Powiedzieli, że usłyszeli odległą muzykę i poszli za nią. Jestem pewna, że zapuścili się w ten bagnisty las głębiej, niż należy. Złazałam ich obu; Petrus był onieśmielony, Olpey natomiast drwiąco zapytał, czy w takim razie ma zostać tutaj, w błocie, i zapuścić korzenie. Wstrząsnął mną sposób, w jaki zwrócił się do swojej matki. Jestem pewna, że to pod jego wpływem Petrus ma koszmary senne, ponieważ Olpey uwielbia opowiadać przerażające historie. Aż roi się w nich od upiornych zjaw, które unoszą się jak nocne mgły, jaszczurek, które wysysają krew. Nie chcę, żeby Petrus słuchał takich zabobonnych bzdur, ale co mogę zrobić? Chłopcy muszą przynosić nam drewno, a nie mogę wysłać go samego. Wszyscy starsi chłopcy w Towarzystwie mają podobne obowiązki. Smuci mnie, gdy widzę, że Petrus, potomek dwóch znamienitych rodów, musi wykonywać taką pracę razem z dziećmi z gminu. Boję się, że zanim wrócimy do Jamailii, zepsuje się.

I dlaczego Jathan do nas nie wraca? Co się stało z naszymi mężczyznami?

Dzień 19 lub 20 miesiąca zielenienia 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieczonego Satrapy Esklepiusa

Dzisiaj do obozu weszło trzech ubłoconych mężczyzn i kobieta. Gdy usłyszałam wrzawę, serce zabiło mi żywiej, ponieważ myślałam, że to nasi mężczyźni wrócili. Zamiast tego przeżyłam wstrząs, bo okazało się, że to grupa z jednego z pozostałych statków.

Pewnego wieczoru statek dosłownie się rozpadł i kapitan, załoga oraz pasażerowie po prostu wpadli do rzeki.

Nie bardzo mogli uratować zapasy. Zginęła ponad połowa osób będących na pokładzie. Z tych, którym udało się dotrzeć do brzegu, wielu zabrało szaleństwo i w dniach następujących po katastrofie odebrali oni sobie życie lub przepadli w dziczy.

Wielu rozbitków zmarło podczas pierwszych kilku nocy, ponieważ nie udało im się znaleźć twardego gruntu. Zastoniłam uszy, gdy opowiadali o ludziach, którzy przewracali się i dosłownie tonęli w błocie. Niektórzy budzili się bez rozumu i opowiadali z zachwytem o dziwnych snach. Jedni z nich wyzdrowieli, ale inni odeszli na bagna i nigdy więcej już ich nie widziano. Ta czwórka stanowiła przednią straż tych, którzy pozostali przy życiu. Po paru minutach zaczęli przybywać następni. Nadchodzili trójkami i czwórkami, przemoczeni, pocięci przez owady i strasznie poparzeni wskutek długiego kontaktu z rzeźną wodą. Jest ich sześćdziesięcioro dwoje. Kilkoro to skompromitowani arystokraci, a pozostali to ludzie z gminu, którzy sądzili, że rozpoczną nowe życie. Speculanci, którzy zainwestowali majątek w tę wyprawę w nadziei, że zarobią fortunę, wydają się najbardziej zgorzkniali.

Kapitan nie przeżył pierwszej nocy. Żeglarze, którzy ją przetrwali, są zrozpaczeni i przerażeni tym, że nagle stali się wygnańcami. Niektórzy z nich trzymają się z dala od „kolonistów”, jak nas nazywają. Inni rozumieją, zdaje się, że muszą sobie znaleźć miejsce wśród nas lub zginąć.

Część naszej grupy oddaliła się, mamrocząc, że ledwo wystarcza schronienia i jedzenia dla nas samych, ale większość chętnie się podzieliła. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że zobaczę ludzi bardziej zrozpaczonych od nas. Mam wrażenie, że wszyscy odnieśli z tego korzyść, a Marthi i ja być może największą. W ich grupie jest Ser, doświadczona akuszerka. Jest również rzemieślnik kryjący domy strzechą, cieśla okrętowy i mężczyźni posiadający umiejętności łowieckie. Żeglarze to ludzie sprawni i krzepcy i mogą dostosować się na tyle, że staną się przydatni.

Nadal nie ma śladu po naszych mężczyznach.

Dzień 26 miesiąca zielenienia 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieanego Satrapy Esklepiusa

Mój czas nadszedł. Dziecko się urodziło. Nawet go nie zobaczyłam, a akuszerka już je zabrała. Marthi, Chellia i Ser zgodnie twierdzą, że urodziło się martwe, chociaż jestem pewna, że słyszałam, jak jęknęło. Byłam zmęczona i bliska omdlenia, ale z pewnością pamiętam, co usłyszałam. Moja córka krzyknęła do mnie, zanim zmarła.

Chellia mówi, że tak nie było, że dziecko urodziło się sine i nieruchome. Zapytałam, dlaczego nie mogłam go przytulić, zanim oddali je ziemi? Akuszerka stwierdziła, że dzięki temu mój żal będzie mniejszy. Ale błędnie, ilekroć o to pytam. Marthi nie rozmawia na ten temat. Czy boi się własnego rozwiązania, czy też coś przede mną ukrywają? Dlaczego, Sa, zabrałeś mi tak okrutnie obie córki?

Jathan usłyszy o tym, gdy wróci. Być może gdyby tu był, żeby pomóc mi w tych ostatnich ciężkich dniach, nie musiałabym się tak bardzo trudzić. Być może moja mała

dziewczynka by żyła. Ale nie było go przy mnie wtedy i nie ma go przy mnie teraz. I kto dopilnuje moich chłopców, znajdzie dla nich jedzenie i zadba, żeby każdego wieczoru bezpiecznie wrócili, gdy ja muszę tu leżeć i krwawić z powodu dziecka, które nie żyje?

Dzień 1 miesiąca ziarna 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieanego Satrapy Esklepiusa

Wstałam z połogu. Czuję, że moje serce zostało pochowane z moim dzieckiem. Czy nosiłam je tak daleko i w takim trudzie na nic?

W obozie jest teraz tak tłoczno, że trudno przejść między prowizorycznymi schronieniami. Carlmin, rozdzielony ze mną na czas połogu, obecnie chodzi za mną jak chudy, mały cień. Petrus bardzo zaprzyjaźnił się z Olpeyem i w ogóle nie zważa na moje słowa. Gdy każę mu być blisko obozu, przeciwstawia mi się i zapuszcza jeszcze głębiej w bagna. Chellia mówi, żebym dała mu spokój. Chłopcy są pupilkami obozu, gdyż znaleźli zwisające kiście kwaśnych jagód. Małeńkie owoce mają żółty kolor i są kwaśne jak żółć, ale nawet takie obrzydliwe pożywienie jest mile widziane przez ludzi tak głodnych jak my. Doprowadza mnie jednak do szału to, że wszyscy zachęcają mojego syna do nieposłuszeństwa wobec mnie. Czy nie słyszeli szalonych historii, które chłopcy opowiadają o dziwnej, dobiegającej z oddali muzyce? Petrus i Olpey przechwalają się, że dotrą do jej źródła, a moje matczyne serce wie, że to, co wabi ich coraz dalej w tę niezdrową dżunglę, nie jest ani naturalne, ani dobre.

Z każdym dniem sytuacja w obozie się pogarsza. Ścieżki wydeptano tak, że pełne są błota, stają się coraz

szersze i bardziej grzaskie. Zbyt wielu ludzi nie robi nic, żeby poprawić nasz los. Żyją dniem dzisiejszym, nie martwiąc się o jutro, i liczą, że my dostarczymy im pożywienia. Jedni siedzą i wpatrują się w jakiś punkt, inni modlą się i płaczą. Czy spodziewają się, że Sa zstąpi tu osobiście i ich uratuje? Ostatniej nocy znaleziono martwą rodzinę, całą piątkę, ściśniętą u stóp drzewa pod nędzną zasłoną z mat. Nic nie wskazuje na to, co ich zabiło. Nikt nie mówi o tym, czego wszyscy się boimy: że podstępne szaleństwo jest w wodzie, a może wydobywa się z samej ziemi i wkrada w nasze sny jako nieziemską muzyka. Budzę się ze snu o dziwnym mieście, myśląc, że jestem kimś innym, gdzie indziej. A gdy otwieram oczy na to błoto, owady i głód, czasami pragnę zamknąć je znowu i po prostu wrócić do mojego snu. Czy to właśnie spotkało tę nieszczęsną rodzinę? Gdy ich odkryliśmy, wszyscy mieli szeroko otwarte oczy i w coś się wpatrywali. Wrzuciliśmy ich ciała do rzeki. Rada podzieliła ich skromny dobytek, ale wiele osób narzekalo, że rozdała pozostawione mienie między swoich przyjaciół, a nie najbardziej potrzebujących. Rośnie niezadowolone z tej Rady kilku, którzy narzucają zasady nam wszystkim.

Nieprawie schronienie zaczyna nas zawodzić. Nawet pod śmiesznie małym ciężarem plecionych szałasów delikatna darni zamienia się w błoto. Kiedyś zwykłam pogardliwie wypowiadać się o tych, którzy żyją w brudzie i nędzy, że „żyją jak zwierzęta”. Ale w istocie zwierzęta tej dżungli żyją godniej niż my. Zazdroszczę pająkom ich sieci rozpiętych w górze w snopach słonecznego światła. Zazdroszczę ptakom, których tkane gniazda zwisają nam nad głowami, z dala od błota i węży. Zazdroszczę nawet bagiennym królikom o płaskich łapach, jak nasi myśliwi nazywają tę drobną zwierzynę łowną, które tak zręcznie drepcą po zbitych trzcinach i unoszących się na płycznach liściach. Za dnia ziemia wciąga moje stopy przy każdym kroku. Nocą nasze sienniki toną w niej i budzimy się przemoczeni. Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie, ale inni mówią tylko: „Poczekajmy.

Nasi zwiadowcy wrócą i zaprowadzą nas w lepsze miejsce”.

Myślę, że jedynym lepszym miejscem, jakie znaleźli, jest łono Sa. Wszyscy możemy się tam znaleźć. Czy ujrzę jeszcze kiedyś kojącą Jamaillię, czy przejdę się kiedyś po ogrodzie przyjemnych roślin, czy jeszcze kiedyś najem się do syta i napiję, nie martwiąc się o jutro? Rozumiem pokusę, by oderwać się od życia, drzemiąc godzinami i śniąc o lepszym miejscu. Jedynie moi synowie trzymają mnie na tym świecie.

Dzień 16 miesiąca ziarna 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieczonego Satrapy Esklepiusa

Czego nie dostrzega świadomy umysł, serce już wie. We śnie pędziłam jak wiatr przez Deszczowe Ostępy, szybując tuż nad rozmiękłą ziemią, a później przemykając między kołyszącymi się gałęziami drzew. Nieskrępowana błotem i żrącą wodą, dostrzegłam nagle złożone piękno naszego otoczenia. Złapałam równowagę, chwając się jak ptak, na pierzastym liściu paproci. Jakiś duch Deszczowych Ostępów szepnął do mnie: „Postaraj się to opanować, a wtedy to opanuje ciebie. Stań się częścią tego i żyj”.

Nie wiem, czy mój świadomy umysł w cokolwiek z tego wierzy. Serce wrywa mi się do białych iglic Jamaillii, do spokojnych, błękitnych wód jej portu, do jej cienistych alejek i słonecznych placów. Łaknę muzyki i sztuki, wina i poezji, jedzenia, którego nie wygrzebuję na czworakach w gęstwinie dżungli. Łaknę piękna zamiast brudu i nędzy.

Dzisiaj nie szukałam żywności ani wody. Zamiast tego poświęciłam dwie strony swojego dziennika, żeby naszkicować mieszkania odpowiednie dla tego bezlitosnego miejsca. Zaprojektowałam również unoszące się przejścia łączące nasze domy. Będzie to wymagało wycięcia paru drzew i ociosania bali. Gdy to pokazałam, niektórzy śmiali się ze mnie, mówiąc, że to zbyt wielkie zadanie dla tak małej grupy ludzi. Inni zwracali uwagę, że nasze narzędzia szybko tutaj korodują. Odparłam, że musimy użyć ich teraz, żeby zbudować schronienia, które nas nie zawiodą, gdy narzędzia już znikną.

Niektórzy z zainteresowaniem przyglądali się moim szkicom, ale potem wzruszali ramionami i pytali, po co pracować tak ciężko, skoro zwiadowcy mogą wrócić lada dzień i poprowadzić nas do lepszego miejsca. Nie możemy, mówili, żyć na tym bagnie wiecznie. Odparłam, że mają rację i że jeśli się nie ruszymy, umrzemy tutaj. Nie chcąc kusić losu, nie wypowiedziałam swoich najczarniejszych obaw – że pod tymi drzewami na wiele mil wokoło nie ma nic poza bagnem i że nasi zwiadowcy nigdy nie wrócą.

Większość ludzi odeszła po mojej szyderczej uwadze, ale dwóch mężczyzn zostało i zgromiło mnie, pytając, jaka przywoita kobieta z Jamaillii podnosiłaby głos na mężczyzn. Należeli do pospólstwa, podobnie jak ich żony, które stały za nimi i kiwały głowami. Nie mogłam jednak powstrzymać łez, a i głos mi drżał, gdy pytałam, jacy z nich mężczyźni, skoro wysyłają moich chłopców do dżungli na poszukiwanie żywności, a sami siedzą w kucki i czekają, aż ktoś rozwiąże ich problemy. Unieśli ręce w geście oznaczającym bezwstydną kobietę, jakbym była ulicznicą. A potem wszyscy odeszli. Nie obchodzi mnie to. Udowodnię im, że się mylą.

Dzień 24 miesiąca ziarna 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieczonego Satrapy Esklepiusa

Jestem rozdarta między uniesieniem a żalem. Moje dziecko nie żyje, Jathana ciągle nie ma, a mimo to mam dzisiaj większe poczucie sukcesu niż po jakichkolwiek

pochwałach moich dzieł sztuki. Chellia, Marthi i mały Carlmin trudzili się razem ze mną. Tkaczka Sewet zaproponowała ulepszenia moich projektów. Piet i Likea szukały za mnie pożywienia. Drobne rączki Carlmina zdumiały mnie swoją zręcznością, a on sam podniósł mnie na duchu swą determinacją, by mi pomóc. Przy tym zadaniu udowodnił, że jest pokrewną mi duszą.

W dużym szałasie zrobiliśmy podłogę z przeplecionych mat osadzonych na podłożu z trzciny i cienkich gałęzi. To rozkłada ciężar, więc unosimy się na gąbczastym gruncie tak łagodnie jak splątane trzciny na pobliskich wodach. Gdy inne schronienia codziennie toną i trzeba je przesuwac, nasze już od czterech dni stoi w jednym miejscu. Dzisiaj, zadowoleni, że nasz dom jest trwały, zaczęliśmy wprowadzać kolejne ulepszenia. Nie mając narzędzi, złamaliśmy małe drzewka i odarliśmy je z gałęzi. Kawalki ich pni, połączone korzeniami lillii, tworzą poziomą drabinę, szkielet przejść wokół naszego szałas. Warstwy plecionki, które mamy dodać jutro, jeszcze bardziej wzmocnią te liche przejścia. W moim przekonaniu cała sztuka polega na tym, żeby rozłożyć ciężar ludzi na możliwie największą powierzchnię, podobnie jak to robią bagienne króliki dzięki swoim płaskim łapom. W najwilgotniejszej części, za naszym szałasem, zawiesiliśmy przejście jak pajęczą sieć na drzewach. To trudne, ponieważ pnie mają wielki obwód, a kora jest gładka. Gdy staraliśmy się je podwiesić, dwa razy wszystko się zerwało, a część ludzi, którzy przyglądali się naszym wysiłkom, szydziła z nas, ale za trzecim razem udało się nam. Nie tylko kilkakrotnie owinęliśmy drzewa dla bezpieczeństwa, ale udało nam się też stanąć na naszym kołyszącym się moście i popatrzeć ponad resztą osady. Nie był to rozległy widok, bo znajdowaliśmy się na wysokości pasa nad ziemią, ale mimo wszystko pozwoliło mi to spojrzeć z perspektywy na naszą niedolę. Przestrzeń marnuje się z powodu chaotycznie biegnących ścieżek i przypadkowego usytuowania szałasów. Jeden z żeglarzy podszedł, mocno się kołysząc i żując gałązkę, by sprawdzić, jak nam poszło. Po czym miał chęć zmienić połowę naszych węzłów. „Będą trzymać, pani” – powiedział mi. – „Ale niezbyt długo i nie pod dużym obciążeniem. Musimy lepiej to przymocować. Proszę popatrzeć w górę. Tam musimy się dostać i przywiązać to do tych wszystkich gałęzi”.

Spojrzałam na przyporządkowaną o zawrót głowy wysokość, na której zaczynały wyrastać gałęzie, i powiedziałam mu, że bez skrzydeł nikomu z nas nie uda się tam dostać. Uśmiechnął się i rzekł: „Znam człowieka, któremu mogłoby się to udać. Gdyby ktokolwiek myślał, że warto”. Po czym wykonał jeden z tych śmiesznych żeglarskich ukłonów i odszedł.

Musimy szybko coś zrobić, ponieważ ta drżąca wysepka z każdym dniem staje się mniejsza. Za dużo się po niej chodzi i w naszych śladach stoi już woda. Muszę być szalona, żeby próbować; jestem artystką, nie inżynierem czy budowniczym. Gdyby jednak nikt inny się nie zgłosił, skłonna jestem podjąć ryzyko. Jeśli mi się nie uda, to przynajmniej przegram ze świadomością, że próbowałam.

Dzień 5 lub 6 miesiąca modłów 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieczonego Satrapy Esklepiusa

Dzisiaj zerwał się jeden z moich mostów. Trzech mężczyzn wpadło do bagna, a jeden z nich złamał nogę. O swój niefortunny wypadek obwiniał mnie i oświadczył, że do tego właśnie dochodzi, gdy kobiety próbują wykorzystać podczas budowy doświadczenia z szydełkowania. Jego żona przyłączyła się do oskarżeń. Nie cofnęłam się przed nimi.

Powiedziałam, że nie wymagam, aby korzystał z moich przejść, i że każdy, kto nie pomagał przy ich budowie, a mimo to ośmielił się po nich chodzić, zasłużył na los, jaki zesłał mu Sa za jego lenistwo i niewdzięczność.

Ktoś wrzasnął: „Błuznierstwo”, ale ktoś inny krzyknął: „Prawda jest mieczem Sa”. Czułam, że stanięto w mojej obronie. Pracowników było już na tyle dużo, że można było podzielić ich na dwie grupy. Sewet pokieruje drugą i biada mężczyźnie, który będzie szydził z mojego wyboru. Jej umiejętności tkackie mówią same za siebie.

Jutro mamy nadzieję zacząć wznosić pierwsze podpory pod moje Wielkie Platformy na drzewach. Może się to okazać najbardziej spektakularną porażką. Bale są cięższe i nie mamy prawdziwej liny do ich wciągania, a jedynie sznury ze splecionych korzeni. Żeglarz zaprojektował dla nas kilka topornych wielokrążków. On i mój Petrus wspięli się po gładkim pniu do miejsca, z którego rozchodzą się ogromne konary. Po drodze wbijali haki, ale mimo to serce mi drżało, gdy patrzyłam, jak wysoko wchodzą. Żeglarz Retyo mówi, że jego wielokrążki sprawiają, iż nasza siła wystarczy do każdego zadania. Uwierzę, jak zobaczę. Boję się, że doprowadzi to tylko do tego, iż nasze

plecione liny jeszcze bardziej się postrzępią. Powinam spać, a mimo to leżę tutaj, zastanawiając się, czy mamy dość liny, żeby podciągnąć te belki. Czy nasze drabinki sznurowe wytrzymają codzienne użytkowanie przez pracujących? Na co ja się porwałam? Gdyby któryś z nich spadł z takiej wysokości, z całą pewnością by zginął. Jednak lato się skończy, a gdy nadejdą zimowe deszcze, musimy mieć suche schronienie.

Dzień 12 lub 13 miesiąca modłów 14 rok Satrapy Esklepiusa

Porażka za porażką. Z trudem znajduję siły, żeby o tym pisać. Retyo mówi, że za sukces musimy uznać to, iż nikt nie odniósł obrażeń. Gdy spadła nasza pierwsza platforma, nie tyle rozleciała się na kawałki, ile zatoneła w rozmięklej ziemi. Żeglarz z humorem stwierdził, że to dowód wytrzymałości platformy. To zaradny młody człowiek, inteligentny pomimo braku wykształcenia. Zapytałam go dzisiaj, czy jest rozgoryczony tym, że zamiast pozwolić mu żeglować, Los skazał go na budowanie kolonii w Deszczowych Ostępach. Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. Zanim został żeglarzem, był druciarzem i rolnikiem, więc, jak powiedział, nie ma pojęcia, jaki los mu się należy. Czuje się uprawniony brać każdy i obracać go na swoją korzyść. Chciałabym mieć jego charakter.

Próżniacy z Towarzystwa gapią się i szydzą z nas. Ich sceptycyzm podkopuje moje siły tak samo, jak kredowobiała woda powoduje owrzodzenie skóry. Ci, którzy najbardziej narzekają na naszą sytuację, najmniej robią, żeby ją poprawić. „Poczekajmy” – mówią. – „Poczekajmy na powrót zwiadowców, którzy zaprowadzą nas w lepsze miejsce”. Jednak nasza sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Chodzimy teraz właściwie w łachmanach, chociaż Sewet nieustannie eksperymentuje z różnymi włóknami, które wydostaje z pnączy i wrywa z miększu trzciny. Ledwo znajdujemy tyle jedzenia, żeby zaspokoić nasze codzienne potrzeby, i nie mamy żadnych zapasów na zimę. Próżniacy jedzą tyle samo co ci, którzy dzień w dzień pracują. Moi chłopcy trudzą się z nami każdego dnia, a mimo to otrzymują takie same racje jak ci, którzy się wylegują i użalają nad swoim losem. Petrus ma na karku rozszerzającą się wysypkę. Jestem pewna, że to z powodu kiepskiej diety i ciągłej wilgoci.

Chellia musi odczuwać to samo. Jej małe córeczki, Piet i Likea, to sama skóra i kości, ponieważ w przeciwieństwie do naszych chłopców, którzy jedzą w trakcie szukania

pożywienia, muszą zadowolić się tym, co otrzymają pod koniec dnia. Olpey stał się ostatnio tak dziwny, że przeraża to nawet Petrusa. Petrus nadal codziennie się z nim wyprawia, ale często wraca do domu na długo przed przyjacielem. Tej nocy obudził mnie cichy śpiew Olpeya przez sen. Przysięgam, że nigdy nie słyszałam takiej melodii i tego języka, a mimo to wydawały się niezwykle znajome.

Ulewne deszcze. Nasze szałas powstrzymały większość opadów. Szkoda mi tych, którzy nie podjęli żadnych kroków, by zapewnić sobie schronienie, i dziwię się ich brakowi inteligencji. Dwie kobiety przyszły do nas z trójką małych dzieci. Marthi, Chellia i ja nie chciałyśmy, żeby tłoczyły się z nami, ale nie byłyśmy w stanie znieść żalostnego drżenia ich dzieci. Wpuściłyśmy je więc, ale stanowczo zaznaczyłyśmy, że jutro muszą nam pomóc w budowie. Jeśli pomogą, my pomożemy im zbudować własny szałas. Jeśli nie, muszą się wynieść. Być może trzeba zmusić ludzi, by zaczęli działać we własnym interesie.

Dzień 17 lub 18 miesiąca modłów 14 rok Satrapy Esklepiusa

Podnieśliśmy i zabezpieczyliśmy pierwszą Wielką Platformę. Sewet i Retyo sporządzili drabinki sznurowe, które zwisają aż do ziemi. Była to dla mnie chwila wspaniałego triumfu, gdy tak sobie stałam i patrzyłam w górę na solidnie umocowaną między konarami drzewa platformę. Gałęzie niemal skrywały ją przed wzrokiem. To moje dzieło, pomyślałam. Retyo, Crorin, Finsk i Tremartin wykonali większość prac związanych z podnoszeniem i mocowaniem, ale projekt platformy, lekkość balansowania na konarach, umieszczenie ciężaru tylko tam, gdzie może zostać utrzymany, oraz wybór miejsca to moje dzieło. Czułam się taka dumna.

Nie trwało to jednak długo. Wchodzenie po drabinie z pnączy, która ugina się pod każdym krokiem i huśta tym bardziej, im wyżej się wejdzie, nie jest dla ludzi słabego serca ani na wątłe kobiece siły. W połowie drogi na górę siły mnie opuściły. Mocno przywarłam do szczebli, na poły omdlała, i Retyo był zmuszony przyjść mi z pomocą. Wstyd mi, że ja, mężatka, zarzuciłam mu ramiona na szyję, jakbym była małym dzieckiem. Ku mojemu przerażeniu, nie zniósł mnie na dół, lecz uparł się, żeby wejść ze mną na górę, bym mogła zobaczyć z naszej platformy nowe widoki.

Zapierały dech w piersiach i zarazem sprawiały mi zawód. Staliśmy wysoko nad bagnistym gruntem, który tak długo wciągał nasze stopy, a jednak ciągle poniżej parasola liści, który przepuszcza tylko najsilniejsze promienie słoneczne. Spojrzałam w dół na zwodniczo solidne podłoże z liści, gałęzi i pnączy. Chociaż inne ogromne pnie i

gałęzie przesłaniały nam widok, udało mi się nagle spojrzeć daleko w las w niektórych kierunkach. Wydawało się, że ciągnie się bez końca. A mimo to widok gałęzi sąsiednich drzew niemal stykających się z naszymi przepełnił mnie ambicją. Nasza następna platforma będzie się wspierać na trzech sąsiadujących drzewach. Platformę Pierwszą z Platformą Drugą połączy kładka. Chellia i Sewet już plotą sieci bezpieczeństwa, dzięki którym nasze dzieci nie spadną z Platformy Pierwszej. Kiedy je skończą, każę im zamocować nasze kładki i sieci, które będą je osłaniać.

Starsze dzieciaki najsprawniej się wdrapują i najszybciej przystosowują do naszego nadrzewnego życia. Już są przerażająco nieostrożne, gdy wychodzą z platformy po ogromnych konarach, na których ta jest wsparta. Gdy często napominałam je, żeby były ostrożne, Retyo łagodnie mnie zgał. „To ich świat” – powiedział. – „Nie mogą się go bać. Będą chodzić tak pewnym krokiem jak żeglarze po takielunku. Te konary są szersze

niż chodniki w niektórych miastach, jakie odwiedziłem. Przed przejściem po tym konarze powstrzymuje cię jedynie świadomość, jak daleko jest do ziemi. Zamiast tego pomyśl o drewnie pod stopami”.

Pod jego okiem, trzymając go kurczowo za ramię, faktycznie przeszłam po jednym z konarów. Gdy pokonałszy już kawałek i zaczął się kołysać pod naszym ciężarem, straciłam odwagę i uciekłam na platformę. Spoglądając w dół, z trudem dostrzegałam szalasy naszej błotnistej, małej osady. Wspięliśmy się do innego świata. Więcej tu światła, choć nadal jest ono rozproszone, i jesteśmy bliżej zarówno owoców, jak i kwiatów. Jaskrawe ptaki skrzeczą do nas, jakby kwestionowały nasze prawo do przebywania w tym miejscu. Ich gniazda zwisają niczym zawieszane na drzewach koszyki. Przyglądam się ich wiszącym domom i zastanawiam się, czy nie mogłabym zaadaptować tego przykładu, by zrobić bezpieczne „gniazdo” dla siebie. Już mam poczucie, że to nowe terytorium należy do mnie z prawa ambicji i sztuki, jakbym zamieszkiwała w jednej z moich podwieszanych rzeźb. Czy potrafię sobie wyobrazić miasto wiszących chat? Nawet ta platforma, pusta teraz, ma równowagę i lekkość.

Jutro usiądę z żeglarzem Retyo i tkaczką Sewet. Przypominam sobie sieci ładunkowe, które przenosiły wielkie ciężary z nabrzeża na pokład statku. Czy platformy nie dałoby się umieścić w takiej sieci, sieci pokrytej dla zachowania prywatności strzechą, a wszystkiego zawiesić na solidnym konarze, tworząc wzniosłą i prywatną komnatę? Jak zapewnimy wtedy dostęp z takich siedzib do Wielkich Platform? Pisząc te słowa, uśmiecham się, ponieważ nie myślę, czy to się da zrobić, lecz jak to zrobić.

I Olpey, i Petrus mają wysypkę na głowie i szyi. Drapią się i skarżą, że skóra jest w dotyku chropowata jak łuski. Nie potrafię nic na to poradzić i boję się, że może się to przenieść na innych. Widziałam sporo dzieci, które się żałośnie drapały.

Dzień 6 lub 7 miesiąca złota 14 rok Satrapy Esklepiusa

Dwa wydarzenia o wielkim znaczeniu. Jestem jednak tak zmęczona i przybita, że niemal nie mogę pisać ani o jednym, ani o drugim. Ostatniej nocy, gdy zasnęłam w tej kołyszącej się klatce dla ptaków, którą nazywam domem, czułam się bezpieczna i byłam niemal pogodna. Tej nocy to wszystko mi odebrano.

Pierwsza sprawa. Ostatniej nocy obudził mnie Petrus. Drżący wpelzł pod moje maty i położył się koło mnie, jakby znowu był moim małym chłopczykiem. Szepnął, że Olpey go straszy, śpiewając piosenki z miasta, i że musi mi o tym powiedzieć, chociaż przyrzekł, że nie powie.

Podczas swoich wypraw po pożywienie chłopcy odkryli w lesie nienaturalnie kwadratowy kopiec. Petrus poczuł niepokój i nie chciał się do niego zbliżyć. Nie potrafił powiedzieć mi dlaczego. Olpeya kopiec przyciągał. Dzień po dniu syn Chellii nalegał, żeby tam wrócili. Kiedy Petrus wracał sam, to dlatego, że Olpey badał kopiec. W którymś momencie tego grzebania i kopania chłopak znalazł wejście do niego. Obaj wchodzili tam już kilka razy. Petrus określił to jako zasypaną wieżę, chociaż nie miało to dla mnie sensu. Powiedział, że ściany są popękane i przedostaje się przez nie błoto, ale w zasadzie są solidne. Są tam gobeliny i stare meble, jedne w dobrym stanie, drugie przegniłe, a także inne znaki, że kiedyś mieszkali tam ludzie. Mimo to Petrus, gdy to mówił, drżał. Stwierdził, że nie wydaje mu się, żeby to byli ludzie tacy jak my. Mówi, że to stamtąd dochodzi muzyka.

Petrus zszedł tylko jedną kondygnację, ale Olpey powiedział mu, że sięgają one dużo

głębiej. Mój syn bał się schodzić w ciemności, wówczas jednak Olpey, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, sprawił, że cała wieża zalana została światłem. Drwił z tchórzostwa Petrusa i opowiadał historie o niezmiernych bogactwach i dziwnych przedmiotach w głębi wieży. Twierdził, że rozmawiają z nim duchy i wyjawiają mu swoje

tajemnice, także tę, gdzie znaleźć skarbiec. Wtedy też Olpey zaczął mówić, że kiedyś mieszkał w wieży, dawno temu, gdy był starym człowiekiem.

Nie czekałam na rano. Obudziłam Chellię, a ona po wysłuchaniu tej opowieści obudziła Olpeya. Chłopiec był wściekły. Syknął, że już nigdy nie zaufa Petrusowi i że wieża jest jego sekretem, a wszystkie skarby należą do niego i nie musi się nimi dzielić. Gdy ciągle jeszcze panowała noc, Olpey uciekł, biegnąc po jednym z konarów, które stały się ścieżkami dzieci. Nie wiedzieliśmy dokąd.

Kiedy rano w końcu przedarł się przez przesłaniające niebo gałęzie, Chellia i ja poszliśmy za Petrusem przez las do tej wieży-kopca. Retyo i Tremartin towarzyszyli nam, a mały Carlmin nie chciał zostać z dziewczynkami Chellii. Ujrzałam kwadratowy kopiec wystający z bagna i odwaga mnie opuściła. Nie chciałam jednak, żeby Retyo uważał mnie za tchórza, więc zmusiłam się, by iść dalej.

Szczyt wieży był gęsto obrośnięty mchem i spowity pnączami, a mimo to miał zbyt regularny kształt, żeby zlać się z dżunglą. Na jednym z boków chłopcy odsunęli pnącza i mech, odsłaniając okno w kamiennej ścianie. Retyo zapalił pochodnię, którą przyniósł ze sobą, po czym gęsiego ostrożnie weszliśmy do środka. Roślinność zapuściła do tego pomieszczenia wąsy i korzenie. Na brudnej podłodze widać było błotniste ślady stóp chłopców. Podejrzywałam, że obaj badali to miejsce znacznie dłużej, niż Petrus był skłonny przyznać. W rogu pokoju stała rama łóżka przyozdobiona skrawkami tkaniny. Z zasłon owady i myszy zrobiły wiszące strzępy.

Mimo półmroku i zniszczeń widać było w tym pokoju ślady dawnego piękna. Chwyciłam kawałek przegniłej zasłony i zeszkrobałam nalot z fryzu, wznecając chmurę kurzu. Zdumienie powstrzymało kaszel. Moja artystyczna dusza odżyła na widok pięknie ukształtowanych i pomalowanych kafelków oraz delikatnych barw, które odsłoniłam. Ale moje matczyne serce zamarło na widok tego, co się ukazało. Postaci były wysokie i szczupłe, ludzie przedstawieni jako patykowate owady. Mimo to nie uważałam, że to zarozumiałstwo artysty. Niektórzy trzymali coś, co mogło być instrumentami muzycznymi lub bronią. Nie potrafiliśmy tego ocenić. W tle pracownicy doglądali zagonu trzciny przy rzece jak rolnicy zbierający plony z pola. Kobieta we wspaniałym złotym fotelu górowała nad tym wszystkim i wydawała się zadowolona. Twarz miała surową, a jednak życzliwą; czułam, jakbym widziała ją już wcześniej. Przyglądałabym się dłużej, ale Chellia zażądała, żebyśmy szukali jej syna.

Z surowością, której nie czułam, kazałam Petrusowi pokazać, gdzie się bawili. Zbladł, gdy zrozumiał, że domyśliłam się prawdy, ale poprowadził nas. Opuściliśmy alkierz krótkimi, biegnącymi w dół schodami. Na podeście w dwóch oknach były grube szyby, ale gdy Retyo przysunął do jednego z nich pochodnię, oświetliła długie, białe robaki przeciskające się w wilgotnej ziemi. Nie wiem, jak szkło mogło wytrzymać jej napór. Weszliśmy do szerokiego holu. Pod naszymi stopami dywany rozpadały się na wilgotne nitki. Mijaliśmy drzwi, niektóre zamknięte, i inne sklepione przejścia z rozdziawionymi, mrocznymi paszczami, ale Petrus prowadził nas dalej. W końcu dotarliśmy do szczytu schodów, dużo bardziej okazałych niż pierwsze. Gdy schodziliśmy tymi otwartymi schodami w krąg ciemności, byłam wdzięczna, że mam Retyo u swego boku. Jego spokój dodał mi odwagi. Starożytny chłód kamienia przenikał przez moje znoszone buty

i wspinał się po nogach do kręgosłupa, jakby zmierzał do serca. Pochodnia oświetlała niewiele więcej niż nasze przestraszone twarze, szepty cichły, wzbudzając upiorne echa. Minęliśmy jeden podest, potem drugi, a Petrus ani się nie odezwał, ani nie zawahał, prowadząc nas w dół. Czułam się, jakbym weszła w paszczę jakiejś wielkiej bestii i teraz schodziła do jej trzewi.

Gdy w końcu dotarliśmy do dna, jedna pochodnia nie była w stanie rozproszyc otaczającej nas czerni. Płomień migotał w przepływającym powietrzu dużo większej komnaty. Mimo półmroku wiedziałam, że w porównaniu z tym pomieszczeniem wielka sala balowa w pałacu Satrapy wydawałaby się mała. Powoli posuwałam się po omacku naprzód, gdy nagle Carlmin bez strachu oddalił się ode mnie i opuścił krąg światła. Zawołałam go, ale jedyną odpowiedzią był pospieszny tupot jego kroków. „Och, biegnijmy za nim!” – poprosiłam Retyo, lecz gdy ruszył, pomieszczenie niespodziewanie zalało światło, jakby horda duchów zdjęła osłony ze swoich latarni. Krzyknęłam przerażona, po czym zaniemówiłam.

W środku komnaty stał na tylnych łapach wielki, zielony smok. Pazury tylnych łap były głęboko zatopione w kamieniu, a jego chłostający ogon rozciągał się na pół pomieszczenia. Rozwinięte szmaragdowe skrzydła podtrzymywały wysoki sufit. Na szczycie wijącej się szyi znajdował się łeb wielkości wozu. W błyszczących srebrnych oczach jaśniała inteligencja. W mniejszych, przednich łapach ścisnął rączkę wielkiego kosza. Sam kosz był kunsztownie ozdobiony pasem kokardek z nefrytu i wstęgą z kości słoniowej. W środku spoczywała, pogodnie oparta, kobieta nadnaturalnej władczy. Nie była piękna – aura władzy sprawiała, że piękno było nieistotne. Nie

była też młoda i pociągająca. Przekroczyła wiek średni, a jednak zmarszczki, które rzeźbiarz wyrzył na jej czole i w kącikach oczu, wydawały się bruzdami mądrości. Klejnoty umieszczono powyżej zmarszczek na czole i wzdłuż policzków, co naśladowało łuski smoka. Nie było to pozbawione wyrazu przedstawienie żeńskiego aspektu Sa. Wiedziałam, że ta rzeźba powstała ku czci kobiety z krwi i kości, i wstrząsnęło to mną do głębi. Giętka szyja smoka została wyrzeźbiona tak, żeby patrzył na kobietę, i nawet jego gadzie oblicze zdradzało szacunek, jaki dla niej żywił.

Nigdy nie widziałam takiej podobizny kobiety. Słyszałam zagraniczne opowieści o Królowych Ladacznicach i władczyniach, ale zawsze wydawały mi się zmyśleniami jakiegoś barbarzyńskiego i zacofanego kraju, uwodzicielskimi kobietami o złych zamiarach. Ona sprawiła, że legendy te stały się kłamstwem. Przez jakiś czas widziałam tylko ją. Później ocknąłam się i wróciło poczucie obowiązku.

Mały Carlmin, uśmiechnięty od ucha do ucha, stał w pewnej odległości od nas z ręką na płycinie przymocowanej do kolumny. W tym nienaturalnym świetle jego ciało wyglądało jak lód. Jego drobna postać dawała wyobrażenie o ogromie tej komnaty, a ja nagle dostrzegłam wszystko, co przesłonili mi smok i kobieta.

Światło płynęło z bladych gwiazd i latających po całym suficie smoków. Pełzło po pnączach na ścianach, obramowując czworo odległych drzwi, które wiodły do mrocznych korytarzy. Fontanny bez wody i rzeźby łamały ogromną płaszczyznę podłogi. Był to olbrzymi wewnętrzny plac, miejsce, w którym ludzie gromadzili się i rozmawiali lub dla zabicia czasu spacerowali między fontannami i rzeźbami. Mniejsze kolumny podtrzymywały wijące się pnącza z liśćmi z nefrytu i kwiatami z krwawnika. Rzeźba wyskakującej z wody ryby przeczyła suchemu basenowi fontanny. Rozpadające się sterty rozrzucone po całej komnacie wskazywały na pozostałości drewnianych konstrukcji, straganów lub scen. Jednak ani kurz, ani zniszczenia nie były w stanie przesłonić

wywołującego dreszcze piękna tego miejsca. Skala i lekkość owego pomieszczenia pozbawiły mnie tchu i wzbudziły nieufny podziw. Ludzie, którzy zbudowali taką komnatę, nie mogli łatwo zginąć. Co pokonało tych, których magia nadal, całe lata po ich śmierci, potrafi oświetlić komnatę? Czy niebezpieczeństwo, które ich zniszczyło, zagraża także nam? Co to było? Dokąd odeszli?

Czy naprawdę odeszli?

Jak w komnacie powyżej, odnosiło się wrażenie, że ludzie po prostu wyszli, zostawiając wszystkie swoje rzeczy. I tutaj błotniste ślady chłopców na podłodze zdradzały, że byli tu wcześniej. Większość prowadziła do jednych drzwi.

„Nie zdawałem sobie sprawy, że to miejsce jest takie duże”. – Cichy głos Petrusa brzmiał ostro w tym bezmiarze, gdy patrzył na damę i jej smoka. Obrócił się powoli dookoła, przyglądając się sufitowi. „Musieliśmy tutaj używać pochodni. Jak zapaliłeś światło, Carlmin?” – W głosie chłopaka słychać było niepokój z powodu wiedzy jego małego brata.

Ale Carlmin nie odpowiedział. Mój maluch biegł truchtem przez ogromną komnatę, jakby zaproszono go do jakiejś zabawy. „Carlmin!” – krzyknęłam, a mój głos odbił się tysiącem upiornych ech. Gdy się gapiłam, zniknął w jednym z przejść. Rozświetliło się w niepewny, mroczny sposób. Pobiegłam za nim, a pozostali za mną. Ściagałam go w zakurzonej korytarzu.

Gdy dotarłam za nim do mrocznej komnaty, rozbłysło wokół mnie światło. Mój syn siedział u szczytu długiego stołu z gośćmi w egzotycznych strojach. Rozbrzmiewały śmiech i muzyka. Wtedy mrugnęłam i po obu stronach stołu tkwiły już tylko rzędy pustych krzesel. Z uczyły zostały chropawe plamy na kryształowych kielichach i talerzach, ale muzyka nadal rozbrzmiewała, stłumiona i przeciągła. Znałam ją ze snów.

Wznosząc kielich w toaście, Carlmin przemówił głucho: „Za moją lady!” Uśmiechnął się czule, gdy jego dziecięcy wzrok napotkał niewidoczne oczy. Kiedy zaczął unosić go do ust, chwyciłam syna, złapałam go za nadgarstek i wyrwałam mu kielich. Spadł w kurz, roztrzaskując się na drobne kawałki.

Patrzył na mnie oczyma, które mnie nie poznawały. Mimo że bardzo ostatnio wydoroślał, chwyciłam go i przycisnęłam do siebie. Głowa opadła mu na moje ramię i zamknął oczy, drżąc. Muzyka umilkła. Retyo wziął go ode mnie, mówiąc stanowczo: „Nie powinniśmy pozwolić chłopcu tu przyjść. Im szybciej opuścimy to miejsce z jego umierającą magią, tym lepiej”. Rozejrzał się z niepokojem. „Dobijają się do mnie nie moje myśli i słyszę głosy. Czuję, że byłem tu wcześniej, choć wiem, że nie byłem. Powinniśmy zostawić to miasto duchom, które je

nawiedzają”. Wydawał się zawstydzony tym, że przyznał się do strachu, ale poczułam ulgę, że jedno z nas powiedziało to na głos.

Wtedy Chellia krzyknęła, że nie możemy zostawić tutaj Olpeya, skazując go na działanie czaru, któremu uległ Carlmin. Wybacz mi, Sa, bo chciałam jedynie zabrać własne dzieci i uciec. Ale Rety o, niosąc i pochodnię, i mojego syna, prowadził nas dalej. Jego przyjaciel Tremartin roztrzaskał krzesło o kamienną podłogę i podniósł jedną z nóg, traktując ją jak maczugę. Nikt nie spytał go, jaki będzie pożytek z maczugi przeciwko pajęczynie obcej pamięci, która nas schwytała. Petrus przeszedł do przodu, żeby objąć przewodnictwo. Gdy spojrzałam za siebie, światło w komnacie zamrugało.

Poszliśmy holem i kolejnymi schodami, które wiodły w dół, do mniejszego holu. Posągi stały w niszach wzdłuż ścian, przed każdym zaś znajdowały się pokryte grubą warstwą kurzu ogarki świec. Wiele z tych posągów przedstawiało kobiety, koronowane i gloryfikowane jak królowie. Ich szaty lśniły od maleńkich kamieni szlacheńskich, a we

włosach miały sznury pereł.

Nienaturalne światło było niebieskie i niepewne, migotało, grożąc zapadnięciem całkowitych ciemności. Sprawilo, że poczułam się dziwnie senna. Wydawało mi się, że słyszę szepty, raz zaś, gdy otarłam się o drzwi, usłyszałam w oddali śpiew dwóch kobiet. Wzdrygnęłam się ze strachu, a Rety obejrzał się, jakby i on je słyszał. Żadne z nas nie powiedziało słowa. Poszliśmy dalej. Jedne korytarze rozbłyskiwały światłem, gdy nimi przechodziliśmy. Inne uparcie pozostawały ciemne, sprawiając, że nasza zawodna pochodnia wydawała się oszustwem. Nie wiem, co mnie bardziej zniechęcało.

W końcu znaleźliśmy Olpeya. Siedział w małym pokoju na bogato rzeźbionym krześle przy męskiej toalecie. Złocenia odpadły od drewna i ich fragmenty poniewierały się dookoła. Patrzył w nadgryzione zębem czasu lustro; miało mnóstwo czarnych plamek. Rogowe grzebienie i rączka szczotki zaśmiecały stojący przed nim stół. Na kolanach trzymał otwarty kuferek, a na szyi miał wiele wisiorków. Głowa opadła mu na bok, ale oczy miał otwarte i uważne. Mruczał do siebie. Gdy się zbliżyliśmy, sięgnął po flakon perfum i udawał, że spryskuje się dawno wywietrzonym płynem, obracając głowę na boki przed swoim zamglonym odbiciem. Naśladował wyniosłego i zarozumiałego człowieka.

„Przestań!” – syknęła jego przerażona matka. Nie wystraszył się, a ja poczułam się niemal tak, jakbyśmy to my byli tutaj duchami. Chellia złapała go i potrząsnęła nim. W tym momencie się przebudził, ale był przerażony. Krzyknął, gdy ją rozpoznał, spojrzał dziko na siebie, po czym zemdłał. „Och, pomóżcie mi go stąd zabrać” – błagała biedna praczka.

Tremartin położył rękę Olpeya na swoich ramionach i w zasadzie włókł chłopca, gdy uciekaliśmy. Światła gasły, w miarę jak opuszczaliśmy kolejne pomieszczenia, tak jakby ścigająca nas ciemność była tylko o krok za nami. Najpierw muzyka robiła się wokół nas głośniejsza, przycichała zaś, gdy biegliśmy. Kiedy w końcu wydostaliśmy się przez okno na otwartą przestrzeń, bagna wydały nam się zdrowym miejscem, pełnym światła i świeżości. Przeżyłam wstrząs, zorientowawszy się, że na dole spędziliśmy większą część dnia.

Na świeżym powietrzu Carlmin szybko doszedł do siebie. Tremartin ostro przemówił do Olpeya i potrząsnął nim, a wtedy ten ze złością oprzytomniał. Wyrwał się mężczyźnie i nie chciał powiedzieć nam nic sensownego. Na zmianę ponury i bezczelny, nie chciał też wyjaśnić, dlaczego uciekł do miasta ani co tam robił. Nie miał zamiaru zemdleć. Był wściekły na Petrusa i ogromnie zazdrosny o ozdobne wisiorki, które miał na sobie. Błyszcząły kamieniami szlacheńskimi wszelkich kolorów, a mimo to zawiesiłabym sobie któryś na szyi równie niechętnie, jak pozwoiliabym, aby owinął się wokół niej wąż. „One są moje” – ciągle wykrzykiwał. – „Moja ukochana dała mi je dawno temu. Nikt ich mi teraz nie zabierze!”

Potrzeba było całej cierpliwości i matczyńskich sztuczek Chellii, żeby nakłonić Olpeya do powrotu. Mimo wszystko włókł się za nami niechętnie. Nim dotarliśmy na skraj obozu, niemal zapadły ciemności, a owady zrobiły sobie z nas ucztę.

Na położonych wysoko w górze platformach szumiało od podnieconych głosów jak w zaniepokojonym ulu. Wspięliśmy się po drabinkach, a ja byłam tak wyczerpana, że myślałam tylko o własnym schronieniu i łóżku. Jednak gdy dotarliśmy do Wielkiej Platformy, powitały nas okrzyki podniecenia. Zwiadowcy wrócili. Na widok męża, chudego, brodatego i obdartego, ale żywego, serce zabiło mi szybciej. Mały Carlmin stał i gapił się na niego, jakby

był nieznajomym, ale Petrus popędził, żeby go powitać. Retyo pożegnał się ze mną smutno i zniknął gdzieś w tłumie.

Jathan z początku nie poznał syna. Gdy zrozumiał, kto to, spojrzął na górę i popatrzył ponad tłumem. Kiedy dwukrotnie minął mnie wzrokiem, wyszłam naprzód, prowadząc Carlmina za rękę. Myślę, że zorientował się, kim jestem, bardziej po wyrazie mojej twarzy niż po wyglądzie. „Na miłość Sa, Carillion, czy to ty? Zlituj się nad nami wszystkimi”. Doszłam do wniosku, że nie jest zadowolony z tego, jak wyglądam. Nie wiem, dlaczego tak mocno mnie to dotknęło ani dlaczego poczułam się zawstydzona, że uściskał mi dłoń, ale mnie nie objął. Mały Carlmin stał obok mnie, patrząc obojętnie na swojego ojca.

A teraz muszę przestać rozczulać się nad sobą i streścić ich relację. Odkryli jedynie dalsze bagna. Rzeką Deszczową uchodzi do morza większość wód rozległego systemu rzecznoego, który obejmuje całą szeroką dolinę. Woda płynie w równym stopniu na powierzchni ziemi i pod nią. Nie znaleźli suchego terenu, jedynie mokradła, trzęsawiska i moczary. Odkąd nas opuścili, nie udało im się zobaczyć czystego horyzontu. Z dwunastu mężczyzn wróciło siedmiu. Jednego pochłonęło grzęzawisko, jeden zniknął w nocy, a trzech pozostałych pokonała gorączka. Ethe, mąż Chellii, nie wrócił.

Nie byli w stanie określić, jak daleko w głąb łądu się zapuścili. Korony drzew niweczyły ich wysiłki, by kierować się gwiazdami, i w końcu musieli zatoczyć ogromne koło, ponieważ stwierdzili, że znowu stoją na brzegu rzeki.

W drodze powrotnej natknęli się na tych z pasażerów trzeciego statku, którzy przeżyli. Porzucano ich w dole rzeki, tam gdzie i nas zostawiono. Ich kapitan zrezygnował z wypełnienia zadania, gdy zobaczył przepływające obok szczątki statku. Był bardziej miłosierny od naszego, ponieważ dopilnował, żeby cały ich ładunek dotarł na brzeg, a nawet zostawił im jedną łódź. Niemniej wiedli ciężkie życie i wielu chciało wrócić do domu. Najlepszą wiadomością było to, że nadal mają cztery gołębie pocztowe. Jednego posłali, gdy znaleźli się na brzegu. Drugiego wyprawili z wiadomością o swej niedoli po pierwszym miesiącu.

Nasi zwiadowcy rozwiali wszelkie ich nadzieje. Grupa postanowiła zaprzestać wysiłków tworzenia osady. Siedmiu z ich młodych mężczyzn wróciło z naszymi ludźmi, żeby i nam pomóc się ewakuować. Gdy się z nimi połączymy, wyślą gołębia do Jamailii z prośbą o statek ratunkowy. Wtedy pójdziemy w dół rzeki, na wybrzeże, licząc na ratunek.

Gdy wróciłam z Chellią i Retyo, Towarzystwo kwaśno przewidywało, że żadnego statku nie wyślą. Niemniej jednak wszyscy się pakowali, żeby ruszyć w drogę. Wtedy przybyła Chellia ze swoim synem obwieszonym kamieniami szlachetnymi. Gdy próbowała opowiedzieć, co się stało, tłumowi zbyt dużemu, żeby wszyscy mogli ją słyszeć, niemal doszło do zamieszek. Niektórzy mężczyźni, pomimo zapadających ciemności, chcieli natychmiast wyruszyć do zasypanej wieży. Inni koniecznie chcieli potrzymać klejnoty, a gdy Olpey nikomu nie pozwolił ich tknąć, doszło do przepychanki. Chłopiec wyrwał się i dawszy susa ze skraju platformy, skakał z jednego konaru na drugi jak małpa, dopóki nie zniknął w mroku. Modlę się, żeby był dziś w nocy bezpieczny, ale obawiam się, że popadł w obłąd.

Inny rodzaj obłądki ogarnął naszych ludzi. Skryłam się z synami w swoim szałasie. Na zewnątrz, na platformach, noc rozbrzmiewa krzykami. Słyszę, jak kobiety proszą, żeby wyruszyć, a mężczyźni odpowiadają im, że tak, owszem, wyruszą, ale najpierw sprawdzą, jakie skarby skrywa miasto. Gołąb pocztowy z kamieniem szlachetnym przywiązany do nogi szybko sprowadzi statek, żartują. Oczy im błyszczą i wszyscy mówią głośno.

Nie ma przy mnie męża. Pomimo długiego rozstania rzucił się w wir tych dyskusji, zamiast być ze swoją żoną i synami. Czy on w ogóle zauważył, że choć nie jestem już

w ciąży, to moje ręce są puste? Wątpię.

Nie wiem, dokąd poszła Chellia ze swoimi córkami. Gdy się dowiedziała, że Ethe nie wrócił, załamała się. Mąż nie żyje, Olpey zaginiony lub gorzej. Boję się o nią i łączę się z nią w ból. Myślałam, że powrót zwiadowców przepełni mnie radością. Teraz nie wiem, co czuję. Wiem jednak, że nie jest to radość czy nawet ulga.

Dzień 7 lub 8 miesiąca złota 14 rok Satrapy Esklepiusa

Przyszedł do mnie ciemną nocą i pomimo bólu, jaki noszę w sercu, oraz śpiących obok naszych synów dałam mu to, czego chciał. Część mnie pragnęła jedynie delikatnego dotyku, część kpila ze mnie z tego powodu, ponieważ on przychodził do mnie tylko wtedy, gdy załatwił już swoje pilniejsze sprawy. Niewiele mówił i zaspokoił się w

ciemności. Czy mogę go winić? Wiem, że została ze mnie skóra i kości, cerę mam szorstką, a włosy suche jak słoma. Wysypka, którą miały dzieci, teraz niczym wąż pełźnie wzdłuż mojego kręgosłupa. Lękałam się, że jej dotknie, głównie dlatego, iż przypomnieliby mi to, że ją mam, ale nie dotknął. Nie tracił czasu na pieszcoty. Patrzyłam ponad jego ramieniem w ciemność i myślałam o Retyo, zwykłym żeglarzu, który mówi z akcentem z wybrzeża. Kim ja się tutaj stałam?

Popołudnie

I tak znowu jestem żoną lorda Jathana Carrocka, który może rozporządzać moim życiem. On zdecydował o naszym losie. Gdy Olpey zniknął, a nie można było znaleźć ani Retyo, ani Tremartina, Jathan oświadczył, że odnalezienie ukrytego miasta przez jego potomka daje mu pierwszeństwo do wszystkich znajdujących się w nim skarbów. Petrus zaprowadzi jego i pozostałych mężczyzn do zasypanej wieży. Systematycznie ją przetrząsną w poszukiwaniu skarbów, którymi wkupimy się ponownie w łaski Satrapy. Jest bardzo dumny, gdy twierdzi, że Petrus odkrył wieżę, a tym samym Carrockom przysługuje większy udział w skarbie. Nie przejmuje się tym, że Olpeya nadal nie ma i że Chellia i jej córki szaleją ze zmartwienia. Mówi tylko o tym, że skarb zapewni nam powrót w chwale na łono społeczeństwa. Wydaje się, że zapomniał o milach bagien i morza, które dzielą nas od Jamaillii.

Powiedziałam mu, że miasto to niebezpieczne miejsce i że nie powinien myśleć tylko o łupach. Przestrzegłam go przed groźną magią, przed światłami, które się zapalają i gasną, przed głosami i muzyką, które dobiegają z oddali, ale zbywa to lekceważąco jako „twory wyobraźni wyczerpanej nerwowo kobiety”. Każe mi trzymać się z dala od niebezpieczeństwa w moim „małym małpim gniazdku”, dopóki nie wróci. Wtedy powiedziałam mu otwarcie. Towarzystwo nie ma zapasów żywności ani sił, żeby wyruszyć w podróż na wybrzeże. Jeśli się lepiej nie przygotujemy, zginiemy po drodze, ze skarbem czy bez niego. Myślę, że powinniśmy zostać tutaj, dopóki nie będziemy lepiej przygotowani lub dopóki nie przybędzie tutaj po nas statek. Nie musimy się przyznawać do porażki. Możemy sobie poradzić, jeśli wszystkich mężczyzn skierujemy do zbierania żywności i znajdziemy jakiś sposób gromadzenia wody deszczowej. Nasze nadrzewne miasto może być czymś wspaniałym i pięknym. Pokręcił głową, jakbym była dzieckiem przynudzającym o skrzatach w kwiatnych altankach. „Jak zwykle pochłonięta jesteś swoją sztuką” – stwierdził. – „Nawet głodna i w łachmanach nie widzisz, co jest realne”. Potem powiedział, że podziwia to, czym się zajmowałam podczas jego nieobecności, ale teraz wrócił i weźmie sprawy rodziny w swoje ręce.

Miałam ochotę plunąć mu w twarz.

Petrus nie chciał poprowadzić mężczyzn. Jest przekonany, że wieża zabrała Olpeya i że już go nie zobaczymy. O podziemiach mówi z głębokim lękiem. Carlmin powiedział ojcu, że nigdy nie był w zasypanym mieście, po czym usiadł i zaczął ssać kciuk, czego nie robił, odkąd skończył dwa lata.

Gdy Petrus próbował ostrzec Jathana, ten roześmiał się i rzekł: „Jestem innym człowiekiem niż ten delikatny arystokrata, który opuścił Jamaillię. Skrzaty waszej niemądrej matki nie martwią mnie”. Gdy powiedziałam mu ostro, że ja też jestem inną kobietą niż ta, którą zostawił, żeby sama radziła sobie w dziczy, odparł chłodno, że widzi to aż nazbyt wyraźnie i ma tylko nadzieję, iż powrót na łono cywilizacji przypomni mi zasady dobrego wychowania. Po czym zmusił Petrusa, żeby poprowadził ich do ruin.

Nie wróciłabym tam za żadne skarby świata, nawet gdyby podłogi zasłane były brylantami, a z sufitów zwisały sznury pereł. Niebezpieczeństwo nie zrodziło się w mojej wyobraźni i nienawidzę Jathana za to, że zaciągnął tam Petrusa.

Spędzę ten dzień z Marthi. Jej mąż wrócił cały i zdrowy, lecz natychmiast zostawił ją, by uganiać się za skarbami. W przeciwieństwie do mnie niezmiernie radują ją jego plany i mówi, że dzięki niemu wrócą do społeczeństwa i znowu będą bogaci. Ciężko jest mi słuchać takich bzdur. „Moje dziecko będzie się wychowywać w mieście błogosławionym przez Sa” – mówi. Jest chuda niczym sznurek, a jej brzuch wygląda jak zawiązany na nim supeł.

Dzień 8 lub 9 miesiąca złota 14 rok Satrapy Esklepiusa

Śmieszna data dla nas. Tutaj nie będzie miesiąca złotych żniw. Satrapa też już nic dla mnie nie znaczy.

Wczoraj Petrus pokazał im drogę do okna wieży, ale gdy mężczyźni weszli do środka, uciekł, zostawiając krzyczącego ze złości ojca. Wrócił do mnie blady i drżący. Mówi, że dobiegający z wieży śpiew stał się tak głośny, że nie potrafił się skupić, kiedy jest w pobliżu. Czasami w korytarzach z czarnego kamienia migały mu postaci

dziwnych ludzi. Pojawiali się i znikali w okamgnieniu jak ich zapalające się i gasnące światło.

Uciszyłam go, ponieważ jego słowa wzbudzały niepokój Marthi. Pomimo planów Jathana wczorajszy dzień spędziłam na przygotowaniach do zimy. Na obydwu naszych wiszących szalaszach położyłam drugą strzechę z szerokich liści powiązanych pnączami. Myślę, że nasze schronienia, szczególnie mniejsze wiszące chatki i małe piesze przejścia, które łączą je z Wielką Platformą, trzeba będzie wzmocnić przed zimowymi wiatrami i deszczami. Marthi nie pomogła mi za bardzo. Cięża sprawiła, że jest niezgrabna i powolna, ale tak naprawdę chodzi o to, że wierzy, iż wkrótce udamy się do domu, do Jamaillii. Większość kobiet czeka teraz tylko, by ruszyć w drogę.

Niektórzy poszukiwacze skarbów wrócili ostatniej nocy, donosząc o rozległym zasypanym mieście. Bardzo różni się ono od Jamaillii, wszystko jest ze sobą połączone jak w labiryncie. Być może niektóre jego części zawsze znajdowały się pod ziemią, ponieważ w najniższych położonych komnatach nie ma okien ani drzwi. W wyżej leżących częściach budynków były domy i tereny prywatne, w usytuowanych niżej – sklepy, magazyny i rynki. Część miasta od strony rzeki się zawaliła. W niektórych komnatach ściany są wilgotne, a proces gnicia mebli daleko posunięty, ale inne wytrzymały próbę czasu i tam zachowały się dywany, tkaniny dekoracyjne i odzież. Ci, którzy wrócili, przynieśli naczynia i krzesła, dywany i biżuterię, posążki i narzędzia. Jeden z mężczyzn

miał na sobie pelerynę połyskującą jak płynąca woda, miękką i lejącą. W którymś z magazynów znaleźli amfory z winem, ciągle zapieczętowane i nienaruszone. Wino ma złoty kolor i jest tak mocne, że mężczyźni niemal natychmiast się upili. Wrócili roześmiani, w oparach alkoholu, zachęcając nas, żebyśmy wszyscy poszli do miasta i świętowali winem bogactwo, które nam przypadło. W oczach mieli szalone błyski, które mi się nie podobały.

Inni wrócili przestraszeni i znękani i nie chcieli mówić o tym, co zobaczyli. Ci zamierzali wyruszyć następnego dnia o świcie, by dołączyć do ludzi w dole rzeki.

Jathan w ogóle nie wrócił.

Mający obsesję na punkcie grabieży mówią głośno, pijani starym winem i szalonymi snami. Już gromadzą skarby. Dwaj mężczyźni wrócili posiniaczeni, bo doszło do bójki

O wazę. Do czego doprowadzi nas chciwość? Czuję się osamotniona w swoich ponurych przewidywaniach.

Miasto nie jest przecież podbitym terytorium, które można złupić. Bardziej przypomina opuszczoną świątynię, którą należy traktować z szacunkiem należnym każdemu nieznanemu bogu. Czyż wszyscy bogowie nie są jedynie przejawami obecności Sa? Ale słowa te przyszły mi do głowy zbyt późno, żeby je wypowiedzieć. Nie usłuchano by mnie. Mam straszne przeczucie, że ta orgia plądrowania będzie miała konsekwencje.

Moja osada na drzewie niemal się dzisiaj wyludniła. Większość naszych ludzi zapadła na gorączkę poszukiwania skarbów i udała się do podziemi. Tylko chorzy i kobiety z najmłodszymi dziećmi zostali w wiosce. Rozglądam się i przepełnia mnie żal, ponieważ widzę kres moich marzeń. Czy powinnam być bardziej elokwentna, bardziej dramatyczna, bardziej poetyczna, jak mi się kiedyś wydawało? Nie. Powinnam po prostu stwierdzić, że jestem dogłębnie rozczarowana. I wstrząśnięta tym, że tak to odbieram.

Trudno mi stanąć twarzą w twarz z tym, co oplakuję. Waham się, czy powierzyć to papierowi, ponieważ słowa tu pozostaną, żeby mnie później oskarżać. Jednak sztuka jest przede wszystkim uczciwością, a ja jestem przede wszystkim artystką, a dopiero potem żoną, matką czy nawet kobietą. Napiszę więc. Nie chodzi o to, że jest teraz mężczyzna, którego wołałabym niż męża. Przyznaję to otwarcie. Nie dbam o to, że Retyo jest prostym, siedem lat ode mnie młodszym żeglarzem, którego nie mogą rekomendować ani wykształcenie, ani pochodzenie. Nie to, czym jest, lecz to, kim jest, zwraca ku niemu moje serce i wzrok. Jeszcze dziś wzięłabym go do łóżka, gdybym mogła to uczynić, nie narażając na szwank przyszłości moich synów. Napiszę to wyraźnie. Czy mam się wstydzić, mówiąc, że wolę jego względy od względów mojego męża, gdy Jathan tak jasno pokazał, iż wyżej ceni względy innych mężczyzn z Towarzystwa niż miłość swojej żony?

Nie. Moje serce zamienia się w kamień, gdyż powrót mojego męża, odkrycie skarbów w zasypanym mieście i rozmowy o powrocie do Jamaillii niszczą życie, które tutaj zbudowałam. To mnie smuci. Trudno o tym myśleć. Kiedy tak całkowicie się zmieniłam? To życie jest surowe i trudne. Piękno tej krainy to piękno wygrzewającego się na słońcu węża. Jest równie kuszące jak niebezpieczne. Wyobrażam sobie, że mogę je opanować, darząc najszczerzym szacunkiem. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam odczuwać dumę z umiejętności przetrwania

oraz poskromienia drobnej części jego okrucieństwa.

1 pokazałam innym, jak to robić. Coś tu działałam i było to coś znaczącego.

Teraz mam to utracić. Znowu stanę się żoną lorda Jathana Carrocka. Moje przestrogi będą odrzucane jako głupie kobiece obawy, a ambicja posiadania pięknego domu wśród drzew zostanie zlekceważona jako niemądre kobiece mrzonki.

Może on i ma rację. Nie, wiem, że ma rację. Ale jakoś nie obchodzi mnie już, co jest

śluszne i mądre. Zostawiłam za sobą życie, w którym tworzyłam sztukę po to, by ludzie ją podziwiali. Teraz moją sztuką jest to, jak żyję, i codziennie dodaje mi to sił.

Nie sądzę, żebym mogła z tego zrezygnować. Porzucić wszystko, co tu zaczęłam, to ponad moje siły. I w imię czego? Powrotu do jego świata, w którym znaczę nie więcej niż zabawny śpiewający ptak w filigranowej klatce.

Byłam dzisiaj z Marthi, gdy przyszła Chellia, żeby poprosić Petrusa o pomoc w poszukiwaniu Olpeya. Petrus nie chciał na nią patrzeć. Chellia zaczęła go błagać, więc chłopak zasłonił uszy. Męczyła go, dopóki się nie rozplakał, czym przestraszył Carlmina. Chellia wrzeszczała jak opętana, zarzucając Petrusowi, że nie dba o swojego przyjaciela, a tylko o bogactwa miasta. Uniosła rękę, jakby chciała uderzyć mojego chłopca, więc podbiegłam i odepchnęłam ją. Upadła. Jej dziewczynki postawiły ją na nogi i odciągnęły, prosząc: „Chodźmy do domu, mammo, chodźmy do domu”. Gdy się odwróciłam, Marthi już nie było.

Wieczorem siedzę sama na konarze nad moją chatką, a moi chłopcy śpią w środku. Jest mi wstyd. Ale synowie to wszystko, co mam. Czy to źle, że dbam o ich bezpieczeństwo? Co dobrego stałoby się, gdybym poświęciła swoich synów, żeby ocalić jej syna? Mogłybyśmy stracić ich wszystkich.

Dzień piąty miasta Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Boję się, że przeżyliśmy tyle trudności i udręk tylko po to, by zabiła nas własna chciwość. Ostatniej nocy zginęło w mieście trzech mężczyzn. Nikt nie wie jak; ich ciała bez żadnych obrażeń przyniesiono z powrotem. Jedni mówią, że to obłąd, inni opowiadają o złej magii. Po tym makabrycznym wydarzeniu siedemnaście osób utworzyło grupę i pożegnało się z nami. Daliśmy im liny, plecione maty i co tylko jeszcze mogliśmy i życzyliśmy im wszystkiego najlepszego, gdy odchodzili. Mam nadzieję, że dotrą bezpiecznie do drugiej osady i że kiedyś ktoś w Jamailii usłyszy opowieść o tym, co nas tu spotkało. Marthi prosiła ich, żeby zatrzymali tę drugą grupę dzień czy dwa dłużej, zanim wyruszy na wybrzeże, bo do tego czasu mąż dostarczy ją do nich.

Nie widziałam Retyo od powrotu mojego męża. Nie sądziłam, że pójdzie szukać skarbów w mieście, ale chyba tak zrobił. Przyzwyczaiłam się do tego, że żyję bez Jathana. Nie mam żadnego prawa do Retyo, a mimo to właśnie do niego bardziej tęsknię.

Znowu odwiedziłam Marthi. Jest jeszcze bledsza i zaraziła się wysypką. Skórę ma suchą jak jaszczurka. Jest nieszczęśliwa z powodu swojej ociężałości. Jak szalona opowiada o tym, że jej mąż znajdzie ogromne skarby i że ona będzie się z nimi afiszować przed tymi, którzy skazali nas na wygnanie. Wyobraża sobie, że gdy tylko gołąb pocztowy dotrze do Jamailii, Satrapa wyśle szybki statek, żeby zabrał nas do miasta, gdzie jej dziecko urodzi się w dostatku i bezpieczeństwie. Jej mąż wrócił na krótko z wieży, żeby przynieść jej małą szkatułkę biżuterii. Na matowych włosach ma siateczkę z połączonych w łańcuchy klejnotów, a błyszczące bransolety zwisają z jej chudych nadgarstków. Unikam Marthi, bo inaczej powiem jej, że jest głupia. Tak naprawdę nie jest, tyle tylko że ma zbyt wybujałe nadzieje. Nienawidzę tych bogactw, których nie możemy ani zjeść, ani wypić, ponieważ wszyscy skupili się na nich i z własnej woli głodują, pragnąc zgromadzić ich jeszcze więcej.

Pozostałości Towarzystwa utworzyły różne frakcje. Mężczyźni pozawierali sojusze i podzielili miasto na odrębne terytoria. Zaczęło się od sporów o stopy porzuconych rzeczy i znalezione skarby oraz od oskarżeń o ich podkradanie. Szybko doprowadziło to do powstania grup, z których jedne strzegły skarbów, a inne ogołacały miasto z bogactw.

Doszło do tego, że mężczyźni uzbrajają się w pałki i noże i wystawiają strażę, które pilnują zajętych korytarzy. Ale miasto to labirynt i prowadzi przez nie wiele dróg. Mężczyźni walczą ze sobą o łupy.

Ja i moi synowie przebywamy na Wielkiej Platformie z ludźmi chorymi, starymi, małymi dziećmi i kobietami w ciąży.

Tworzymy własne sojusze, ponieważ gdy mężczyźni zajęci są kradzieżą, nikt nie zbiera żywności. Łucznicy, którzy zdobywali dla nas mięso, teraz polują na skarby. Mężczyźni, którzy zastawiali pułapki na bagienne króliki, teraz zastawiają pułapki na siebie nawzajem. Jathan wrócił na platformę, zjadł wszystko, co zostało z naszych zapasów, po czym znowu wyszedł. Na mój gniew zareagował śmiechem, mówiąc, że martwię się o korzonki i nasiona, podczas gdy zbierać trzeba kamienie szlachetne i monety. Ucieszyłam się, gdy wrócił do miasta. Niech go pochłonie! Wszelkie pożywienie, jakie udaje mi się teraz znaleźć, natychmiast daję chłopcom lub sama zjadam. Gdy tylko obmyślę jakąś skrytkę, zacznę je tam odkładać.

Petrus, dla którego miasto jest terenem zakazanym, znowu zaczął gromadzić pożywienie, i to z dobrym skutkiem. Dzisiaj wrócił z trzciniami podobnymi do tych, które uprawiali chłopci na mozaice w mieście. Powiedział mi, że ludzie z miasta nie uprawialiby ich, gdyby nie miały jakiegoś zastosowania, i że powinniśmy odkryć, co to było. Bardziej zaniepokoiłam się, gdy oznajmił, że pamięta, iż teraz jest pora ich zbioru. Kiedy powiedziałam mu, że nie może pamiętać nic takiego, pokręcił głową i wymamrotał coś o „wspomnieniach z miasta”.

Mam nadzieję, że z czasem wpływ tego dziwnego miejsca zniknie.

Wysypka pogorszyła się u Carlmina, atakując policzki i brwi. Zrobiłam mu okłady w nadziei, że ustąpi. Mój młodszy syn niemal się do mnie tego dnia nie odzywał i boję się, co zajmuje jego myśli.

Moje życie stało się tylko czekaniem. W każdej chwili mąż może wrócić z miasta i oświadczyć, że czas już zacząć wędrówkę w dół rzeki. Teraz, gdy wiem, że wkrótce porzucimy to miejsce, nic, co bym jeszcze zbudowała, nie miałoby znaczenia.

Olpeya nie znaleziono. Petrus obwinia się o to. Chellia bliska jest obłędu ze zgrzyoty. Przyglądam jej się z oddali, ponieważ już ze mną nie rozmawia. Zaczepia każdego mężczyznę wracającego z miasta, domagając się wieści o swoim synu. Większość z nich ignoruje ją, niektórzy wpadają w gniew. Wiem, czego ona się obawia, bo ja też się tego boję. Myślę, że Olpey wrócił do miasta. Uważał, że skarby należą do niego, ale ponieważ nie ma ojca i jest gminnego pochodzenia, któż uszanowałby jego prawa? Czy zabili chłopca? Wiele bym dała za to, żeby nie czuć się tak winna w jego sprawie. Cóż mogę zrobić? Nic. Dlaczego więc czuję się tak źle? Jaką korzyść przyniosłoby komukolwiek narażenie Petrusa na kolejną wizytę w mieście? Czyż zniknięcie jednego chłopca nie jest wystarczająco tragiczne?

Dzień ósmy miasta Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Dzisiaj w południe wrócił Jathan. Dźwigał kosz ze skarbami, biżuterią, osobliwymi zdobieniami, narzędziami z dziwnego metalu i splecioną z metalowych ogniów portmonetką pełną dziwnie wybitych złotych monet. Twarz miał całą w sińcach. Opryskliwie powiedział, że ma dość, że chciwość panująca w mieście jest bez sensu. Oświadczył, że dogonimy tych, którzy odeszli. Według niego w mieście nie ma już dla nas nic dobrego i mądrzej będzie uciec z tym, co ma, niż walczyć o więcej i tam zginąć.

Nie jadł, odkąd nas opuścił. Zrobiłam mu pikantną herbatę z kory i papkę z korzeni lillii i nakłoniłam, żeby opowiedział, co się dzieje pod ziemią. Z początku mówił tylko

o naszym Towarzystwie i o tym, co tam robili. Z goryczą oskarżył ich o zdradę i oszustwo. Doszło do rozlewu krwi z powodu skarbu. Podejrzewam, że Jathan został przepędzony z tym, co zdołał unieść. Ale jest gorsza wiadomość. Niektóre części miasta się zapadają. Zamknięte drzwi otwierano siłą, co miało katastrofalne następstwa. Niektóre nie były zamknięte na klucz, ale nie otwierały się z powodu napierającej na nie ziemi. Teraz błoto powoli wpływa przez nie, stopniowo zalewając korytarze. Niektóre są już niemal nie do przejścia, ale ludzie lekceważą niebezpieczeństwo, próbując uratować bogactwa, zanim te zostaną pogrzebane na zawsze. Wydaje się, że wpływające błoto osłabia starożytną magię miasta. Wiele komnat pogrąża się w ciemności. Światła rozbłyskują jasno, po czym przygasają. Muzyka rozbrzmiewa głośno, a następnie cichnie do szeptu.

Gdy zapytałam, czy to go przestraszyło, gniewnie odparł, że bym była cicho i że bym przypomniiała sobie o szacunku dla niego. Wykił moją uwagę, że uciekł. Powiedział, że jest oczywiste, iż starożytne miasto wkrótce zapadnie się pod ciężarem bagna, i że nie ma najmniejszego zamiaru tam zginąć. Nie wierzę, by powiedział mi wszystko, ale przyznaję, że chyba cieszę się, iż miał dość rozumu, aby stamtąd wyjść. Kazał mi przygotować dzieci do podróży i zebrać całą żywność, jaką mamy.

Niechętnie go posłuchałam. Petrus, który wyglądał na uspokojonego, zerwał się do pakowania naszego

mizernego dobytku. Carlmin siedział bez słowa i zdrapywał okład z wysypki. Pospiesznie przyłożyłam następną. Nie chciałam, żeby Jathan zobaczył miedziane łuski na skórze swojego syna. Wcześniej próbowałam oderwać jeden strup, ale gdy go zdrapywałam, Carlmin płakał, a skóra pod nim krwawiła. Wygląda to tak, jakby rosła mu rybia łuska. Staram się nie myśleć o wysypce na moim kręgosłupie. Robię ten wpis w pośpiechu, po czym starannie zwinę notatnik i włożę go do mojego koszyka. Niewiele więcej można tam włożyć.

Niechętnie opuszczam to, co zbudowałam, ale nie potrafię zignorować ulgi, jaka pojawiła się w oczach Petrusa, gdy jego ojciec powiedział, że wyruszamy. Wolałabym, żebyśmy nigdy nie weszli do tego miasta. Gdyby nie to nawiedzone miejsce, być może moglibyśmy zostać tutaj i tutaj byłby nasz dom. Podróż przeraża mnie, ale nic nie można na to poradzić. Może gdy wyprowadzimy stąd Carlmina, znowu zacznę mówić.

Później

Będę pisać pospiesznie, a później zabiorę ten notatnik do miasta. Jeśli kiedykolwiek moje ciało zostanie odnalezione, być może jakiś dobry człowiek dostarczy go do Jamaillii, dzięki czemu moi rodzice dowiedzą się, czym się stała Carillion Waljin i gdzie dokonała żywota. Najprawdopodobniej jednak zostanie na zawsze pogrzebany wraz ze mną w błocie wewnątrz ukrytego miasta.

Skończyłam pakowanie, gdy przyszła do mnie Chellia z Tremartinem. Mężczyzna był wychudły, a jego strój pokrywało zaschnięte błoto. W końcu on i Retyo znaleźli Olpeya w mieście, ale chłopak stracił rozum. Zabarykadował drzwi i nie wyjdzie stamtąd. Żeglarz został przy drzwiach, starając się, żeby błoto zalewające przejście się do nich nie dostało. Tremartin nie wie, jak długo uda mu się je powstrzymać. Retyo uważa, że Petrus mógłby namówić Olpeya do otwarcia drzwi. Tremartin i Chellia przyszli do nas błagać o tę przysługę.

Nie mogłam dłużej ignorować rozpacz w oczach mojej przyjaciółki i byłam zawstydzona, że tak długo to czyniłam. Powiedziałam do Jathana, że możemy pójść prosto do miejsca, w którym przebywa chłopiec, przekonać go, żeby wyszedł, po czym

wspólnie wszyscy wyruszyć. Starłam się nawet przekonywać go, że taka większa grupa lepiej sobie poradzi w Deszczowych Ostępach.

Nie wziął mnie na stronę ani nie zniżył głosu, gdy dopytywał się, dlaczego miałby ryzykować życie swojego syna i spadkobiercy dla chłopaka praczki, którego nie zatrudnilibyśmy nawet jako służącego, gdybyśmy nadal byli w Jamaillii. Zgromił mnie za to, że pozwoliłam, by Petrus przywiązał się do takiego prostego chłopaka, po czym ostro oświadczył, że bardzo się pomyliłam, jeśli uważałam go za głupca, który nie wie o Retyo. Powiedział jeszcze wiele obrzydliwych rzeczy. Mówił o tym, jaką to jestem ładaczną, że wzięłam mężczyznę z gminu do łóżka, które prawnie należy się lordowi, i że podstępnie popierałam prostego żeglarza, gdy zgłosił chęć objęcia przywództwa w Towarzystwie.

Nie będę opisywać już innych jego żenujących oskarżeń. Tak naprawdę nie wiem, dlaczego nadal potrafi doprowadzić mnie do łez. W końcu przeciwstawiłam się mu. Gdy powiedział, że albo pójdę z nim teraz, albo w ogóle, odparłam: „W ogóle. Zostanę i pomogę przyjaciółce, bo nie obchodzi mnie, jaką pracę wykonywała. Tutaj jest moja przyjaciółka”.

Ta decyzja dużo mnie kosztowała. Jathan wziął ze sobą Petrusa. Widziałam, że mój starszy syn jest rozdarty, a mimo to chce uciec z ojcem. Nie winię go. Jathan zostawił Carlmina, mówiąc, że wskutek moich błędów stał się kretynem i dziwolągiem. Carlmin zdrapał okład z twarzy, odsłaniając łuski, które obejmują teraz brwi i górną część policzków. Mój chłopczyk nawet nie mrugnął na słowa ojca. W ogóle nie zareagował. Ucałowałam Petrusa i obiecałam mu, że wyruszę za nim najszybciej, jak będę mogła. Mam nadzieję, że uda mi się dotrzymać tej obietnicy. Jathan i Petrus zabrali tyle naszych rzeczy, ile byli w stanie unieść. Gdy wyruszę z Carlminem, nie będziemy mieli zbyt wielu zapasów, dopóki ich nie dogonimy.

Teraz zapakuję ten notatnik i wrzucę go, razem z piórem i kałamarzem, do małego podręcznego koszyka, który mi zostawili. Są tam jeszcze materiały na pochodnie i do rozpalać ognia. Któż może wiedzieć, kiedy znowu coś zapiszę? Jeśli czytacie te słowa, moi rodzice, wiedzcie, że kochałam was do śmierci.

Dzień dziewiąty miasta, jak sądzę Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Jakże głupi i melodramatyczny wydaje mi się teraz mój ostatni wpis do dziennika.

Kreślę to pospiesznie, żeby zdążyć, nim zapadnie ciemność. Moi przyjaciele cierpliwie na mnie czekają, chociaż Chellia uważa, że głupio robię, upierając się przy pisaniu, zanim pójdziemy dalej.

Nie minęło jeszcze dziesięć dni, odkąd po raz pierwszy zobaczyłam to miasto, ale postarzało się ono o całe lata. Gdy wchodziliśmy, wyraźnie widać było mnóstwo błotnistych śladów stóp i wszędzie widziałam oznaki grabieży. Jak zagniewani chłopcy poszukiwacze skarbów zniszczyli to, czego nie mogli zabrać, odłupując płytki z mozaiki, odłamując kończyny posągom zbyt wielkim, żeby je nieść, i używając pięknych starych mebli jako opału. Chociaż to miasto wzbudza moje przerażenie, ogarnia mnie smutek, gdy widzę je splądrowane i spustoszone. Przez lata opierało się bagnu po to tylko, by w parę dni paść łupem naszej chciwości.

Jego magia słabnie. Tylko niektóre części wielkiej komnaty były oświetlone. Smoki na suficie przygasły. Wspaniałe posąg kobiety ze smokiem nosił ślady przypadkowych uderzeń młotkiem. Nefryt i kość słoniowa z koszyka władczyni pozostały poza zasięgiem poszukiwaczy skarbów. Reszta pawilonu była w gorszym stanie. Fontannę z rybą ktoś

wykorzystał jako wielkie naczynie na swoje skarby. Mężczyzna stojący na czubku sterty zrabowanych przedmiotów z nożem w jednej ręce, a pałką w drugiej krzyknął do nas, że zabije każdego złodzieja, który się zbliży. Wyglądał tak dziko, że mu uwierzyliśmy. Wstydziłam się za niego i patrzyłam w bok, gdy pospiesznie go mijaliśmy. W pomieszczeniu płonęły ogniska, przy każdym były skarby i strażnik. Z oddali dobiegały nas czyjeś słowa, a czasami prowokacyjne okrzyki i odgłosy walenia młotem. Spostrzegłam czterech mężczyzn wspinających się po schodach z ciężkimi workami łupów.

Tremartin zapalił jedną z naszych pochodni od porzuconego ogniska. Opuściliśmy komnatę tą samą drogą co poprzednio. Carlmin, milczący od rana, zaczął nucić dziwną i chaotyczną melodię, od której włosy jeżyły mi się na karku. Prowadziłam go naprzód, podczas gdy dziewczynki Chellii, trzymając się za ręce i idąc za nami w półmroku, popłakiwały cicho.

Minęliśmy strzaskane drzwi komnaty. Gęste błoto z wodą wylewało się z pomieszczenia. Zajrzałam do środka – przez szerokie pęknięcie na tylnej ścianie wpływało błoto, które wypełniło pokój. A jednak ktoś tam wszedł i szukał skarbów. Spleśniałe obrazy zerwano ze ścian i rzucono w sięgające coraz wyżej błoto. Przyspieszyliśmy kroku.

Na skrzyżowaniu korytarzy zobaczyliśmy przesuwającą się z wolna falę błota i usłyszeliśmy dobiegające z oddali głuuche skrzypienie, jakby drewniane belki ustępowały powoli. Niemniej jednak na skrzyżowaniu tym stał strażnik, który ostrzegł nas, że wszystko, co jest za nim, należy do niego i jego przyjaciół. Oczy błyszczały mu jak u dzikiej bestii. Uspokoił nas, że szukamy tylko zagubionego chłopca, i pospieszyliśmy dalej. Usłyszeliśmy, jak za nim zaczynają walić młoty, i domyślił się, że jego przyjaciele wyłamują następne drzwi.

„Powinniśmy się pospieszyć” – rzekł Tremartin. – „Kto wie, co będzie za następnymi drzwiami, które wyłamią. Nie zrezygnuj, dopóki nie wleje się tu rzeka. Zostawiłem Retyo przed drzwiami Olpeya. Obaj baliśmy się, że mogą nadejść inni i pomyśleć, że pilnuje skarbu”.

„Chcę tylko swojego chłopca. Wtedy z chęcią opuszczę to miejsce” – powiedziała Chellia.

Nadal mamy na to nadzieję.

Niewiele mogę napisać o innych rzeczach, które widzieliśmy, ponieważ światło mruga. Widzieliśmy mężczyzn ciągnących skarb, którego nigdy nie zdołają przenieść przez bagno. Przez chwilę atakowała nas kobieta o szalonym wzroku, która wrzeszczała: „Złodzieje, złodzieje!” Przewróciłam ją i uciekliśmy. Biegając, dostrzeżliśmy na podłodze wilgoć, potem wodę, a w końcu wlewające się błoto. Błoto wciągało nasze stopy, gdy przechodziliśmy przez mały pokój z toaletką, w którym znaleźliśmy Olpeya za pierwszym razem. Jest zniszczony, piękną toaletkę porąbano na kawałki. Tremartin poprowadził nas bocznym korytarzem, którego nie zauważyłam, następnie zaś w dół wąskimi schodami. Czułam zapach stojącej wody. Starłam się nie myśleć o napierającej mokrej ziemi, gdy schodziliśmy kolejnymi, krótszymi schodami, a potem weszliśmy do szerokiego holu. Drzwi, które teraz mijaliśmy, były z metalu. Widać było ślady po uderzeniach młotem, ale wytrzymały oblężenie poszukiwaczy skarbów.

Gdy minęliśmy skrzyżowanie, usłyszeliśmy odległy trzask, jakby grzmot, po czym mężczyźni zaczęli krzyczeć z przerażenia. Nienaturalne pręgi światła rozbłysły na ścianach i zgasły. Chwilę później przebiegli obok nas poszukiwacze, uciekając drogą,

którą przyszlismy. Za nimi pędził potok, który zmoczył nas do kostek, a który toczył się tym wolniej, im był szerszy.

Wtedy rozległo się głuche i złowieszcze dudnienie. „Idziemy!” – polecił Tremartin i poszliśmy za nim, chociaż myślę, że wszyscy wiedzieliśmy, iż wystawiamy się na coraz większe niebezpieczeństwo, zamiast go unikać.

Minęliśmy jeszcze dwa zakręty. Materiał, z którego zbudowano ściany, zmienił się nagle z ogromnych szarych bloków w gładki czarny kamień, przetykany gdzieś tam srebrnymi żyłkami. Zeszliśmy po długich schodach o niskich stopniach i nagle korytarz się rozszerzył, a sufit podniósł, jakbyśmy opuścili część dla służby i wkroczyli do części dla szlachetnie urodzonych. Zagrabiono posągi z nisz. Pośliznęłam się na plamie wilgoci. Gdy oparłam się ręką o ścianę, żeby nie stracić równowagi, nagle ujrzałam wokół nas mnóstwo ludzi. Ich stroje i zachowanie były dziwne. Był to dzień targowy, pełen światła, odgłosów rozmów i intensywnego zapachu wypieków. Życie miasta zawirowało wokół mnie. Po chwili Tremartin złapał mnie za rękę i odciągnął od ściany. „Nie dotykajcie czarnego kamienia” – ostrzegł nas. – „Przenosi w świat duchów. Idziemy. Chodźcie za mną”. W oddali zobaczyliśmy jaśniejszy błysk ognia zawstydzający niespokojnie migoczące światło.

Ogniem tym okazała się pochodnia Retyo. Żeglarz był usmarowany od stóp do głów. Nawet gdy nas zauważył, nie przestał odgarniać prymitywną drewnianą łopatą błota od drzwi. Strumień wodnistego mułu płynął nieprzerwanie przez cały hol; nawet dziesięciu mężczyzn nie mogłoby go powstrzymać. Jeśli Olpey nie otworzy szybko drzwi, zostanie uwięziony w środku, gdy muł wypełni korytarz.

Zrobiłam krok i stanęłam w płytkim wgłębieniu, od którego Retyo odsuwał błoto. Nie zważając na błoto za sobą, nie zważając na to, że mój syn i przyjaciółka przyglądają mi się, objęłam go. Gdybym miała czas, zrobiłabym to, o co oskarżał mnie mąż. Być może w duchu już jestem wiarolomną żoną. Mało mnie to jednak obchodzi. Dochowałam wierności przyjaciółom.

To był krótki uścisk. Nie mieliśmy czasu. Wołaliśmy Olpeya przez drzwi, ale milczał, dopóki nie usłyszał płaczu swoich siostrzyczek. Wtedy gniewnie kazał nam odejść. Matka błagała go, by wyszedł, mówiąc, że miasto osiada i że błoto wkrótce go uwięzi. Odparł, że tu jest jego miejsce, że zawsze tu żył i że tu właśnie umrze. Gdy my krzyczeliśmy i błagaliśmy, Retyo z determinacją pracował, odsuwając napływające błoto od progu. Kiedy nasze prośby nie poskutkowały, on i Tremartin zaatakowali drzwi. Mocne drewno nie ustępowało jednak ani kopnięciom, ani uderzeniom pięści, a nie mieliśmy żadnych narzędzi. Tremartin szepnął głucho, że musimy go zostawić. Mówił to ze łzami w oczach. Mężczyźni nie nadążali już odsuwać błota, a my musieliśmy myśleć o pozostałej trójce dzieci.

Głos Chellii przeszedł w krzyk protestu, ale utonął w niosącym się za nami echem bulgotaniu. Coś wielkiego musiało nie wytrzymać naporu. Błota było nagle dwukrotnie więcej, ponieważ teraz docierało z obu stron. Tremartin podniósł pochodnię. Na obu końcach korytarza panowała ciemność. „Otwórz drzwi, Olpey – prosiłam – bo wszyscy tu zginiemy w błocie. Wpuść nas, w imię Sa!”

Nie wydaje mi się, żeby mnie posłuchał. To raczej podniesiony głos Carlmina, wydającego rozkaz w języku, którego nigdy nie słyszałam, w końcu wywołał reakcję. Usłyszeliśmy odsuwanie rygli, po czym drzwi z trudem, przebijając się przez błoto, otworzyły się ze skrzypieniem. Rozświetlona komnata oślepiła nas, gdy do niej wpadliśmy. Woda i błoto próbowały dostać się za nami na bogato zdobioną kafelkami podłogę, ale Tremartin i Retyo z wysiłkiem zamknęli drzwi, choć żeglarz musiał opaść na

kolana i usunąć muł, żeby się to udało. Woda z domieszką mułu nieprzerwanie wdzierала się do środka pod zamkniętymi drzwiami.

Była to najlepiej zachowana komnata, jaką widziałam. Wszystkich nas olśniło bogactwo komnat i krótkie, złudne poczucie bezpieczeństwa pośród dziwności. Na półkach z błyszczącego drewna stały cudowne wazy i małe, kamienne posążki; misterne rzeźby i srebrne ozdoby szerniały z czasem. Małe, kręcone schody prowadziły w górę, do miejsca, które znajdowało się poza zasięgiem naszego wzroku. Każdy ich stopień był oświetlony. Wyposażenie pokoju mogłoby wkupić z powrotem całe Towarzystwo w łaski Satrapy, ponieważ przedmioty były i piękne, i dziwne. Olpey przyklęknął opiekuńczo, żeby zwinąć dywan, któremu groziło zalanie przez muł. W jego rękach był giętki, a gdy strzepnął zeń kurz, ukazały się jaskrawe kolory. Przez kilka chwil nikt nic nie mówił. Gdy Olpey stanął przed nami, zaparło mi dech w piersi. Miał na sobie szatę, która przy każdym jego ruchu mieniła się barwami. Na czole nosił kilka połączonych metalowych dysków, które zdawały się jaśnieć własnym światłem. Chellii nie ośmieliła się go uściskać. Mrugnął jak sowa, a ona z wahaniem zapytała, czy ją poznaje.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili. „Śniłaś mi się kiedyś”. Po czym, rozejrzawszy się po pokoju, rzekł zmartwionym głosem: „Albo może ja wstałam w sen. Tak strasznie trudno to odróżnić”.

„Zbyt często dotykał tej czarnej ściany” – warknął Tremartin. – „Ona budzi duchy i kradnie duszę. Dwa dni temu widziałem mężczyznę, który siedział plecami do ściany i opierał o nią głowę. Uśmiechał się, gestykułował i rozmawiał z ludźmi, których nie było”.

Retyo kiwnął posępnie głową. „Nawet gdy się jej nie dotyka, trzeba całej siły woli, żeby utrzymać duchy z dala po spędzeniu tu jakiegoś czasu w ciemności”. Po czym niechętnie dodał: „Może być już za późno, żeby Olpey całkowicie do nas wrócił, ale nie zawadzi spróbować. Wszyscy musimy możliwie najlepiej strzec własnych umysłów, rozmawiając ze sobą. I wyprowadzić stąd maluchy, najszybciej jak się da”.

Zrozumiałam, co ma na myśli. Olpey podszedł do małego stolika w rogu. Srebrny czajniczek czekał przy srebrnej filiżance. Gdy w milczeniu patrzyliśmy, przechylił czajniczek nad filiżanką, nie nalewając do niej niczego, po czym szybko ją opróżnił. Wytarł usta grzbietem dłoni i zrobił minę, jakby właśnie napił się zbyt mocnego trunku.

„Jeśli mamy wyjść, musimy wyjść teraz” – powiedział Retyo. Nie potrzebował dodawać „zanim będzie za późno”. Wszyscy o tym wiedzieliśmy.

Ale już było za późno. Pod drzwiami stale wpływała woda, a gdy mężczyźni próbowali je otworzyć, nie zdołali ich ruszyć. Nawet kiedy wszyscy dorośli naparli na nie barkami, nie drgnęły. A wtedy światła zaczęły złowieszczo mrugać.

Nacisk błota na drzwi nasila się tak, że aż trzeszcza. Muszę się spieszyć. Schody prowadzą w kompletną ciemność, a pochodnie, które zrobiliśmy z rzeczy znajdujących się w pokoju, nie wytrzymają długo. Olpey zachowuje się jak ogłuszony, a Carlmin jest w niewiele lepszym stanie. Ledwie nam odpowiada jakimiś mruknięciami. Mężczyźni poniosą chłopców, Chellia zaś poprowadzi swoje dziewczynki. Ja poniosę zapas pochodni. Pójdziemy tak daleko, jak się da, w nadziei, że znajdziemy inną drogę powrotną do komnaty z kobietą i smokiem.

Dzień – nie wiem który Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Taki dałam nagłówek tej relacji, ponieważ nie mamy najmniejszego pojęcia, ile czasu upłynęło. Mnie się wydaje, że były to lata. Drzę, ale nie jestem pewna, czy z zimna, czy z wysiłku, żeby pozostać tym, kim jestem. Kim byłam. W głowie mi się kręci od różnic i mogłabym się w nich utopić, gdybym się poddała. Jeśli jednak ta relacja ma się w ogóle komuś przydać, muszę przywołać swoją dyscyplinę i przedstawić myśli w sposób uporządkowany.

Gdy wchodziliśmy po schodach, światło w komnacie przygasło, po czym zapanowała ciemność. Tremartin dzielnie unosił pochodnię, ale ta ledwo oświetlała jego głowę i ramiona. Nigdy nie zetknęłam się z tak absolutną ciemnością. Tremartin chwycił Olpeya za nadgarstek i zmusił chłopca, żeby poszedł za nim. Jego śladem podążał niosący Carlmina Retyo, potem zaś szła Chellia prowadząca drżące córki. Ja kroczyłam na końcu, obciążona prymitywnymi pochodniami zrobionymi z mebli i zasłon. Chwył za nadgarstek rozwścieczył Olpeya. Chłopak rzucił się na Retyo i ten musiał uderzyć go otwartą dłonią w twarz, żeby przestał. Otumaniało to uciekiniera i przeraziło jego matkę i siostry, ale zrobił się uległy, o ile nie skłonny do współpracy.

Schody prowadziły do pokoju służby. Bez wątpienia arystokraci z położonej niżej komnaty dzwonił wzywali swoich służących, a ci pędzili spełnić ich życzenie. Widziałam drewniane balie, być może służące do mycia, a zanim Tremartin kazał nam się pospieszyć, kątem oka zauważyłam też stół do pracy. Było tylko jedno wyjście. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, w korytarzu panowała ciemność.

Trzask płonącej pochodni wydawał się głośny; oprócz niego słyhać było jedynie kapanie wody. Bałam się tej ciszy. Tuż za nią czaiły się muzyka i upiorne głosy.

„Płomień płonie równo” – zauważyła Chellia. – „Nie ma przeciągów”.

Nie pomyślałam o tym, ale miała rację. „Oznacza to tylko, że między nami a wyjściem na zewnątrz są drzwi”. Nawet ja wątpiałam w swoje słowa. „Drzwi, które musimy znaleźć i otworzyć”.

„W którą stronę idziemy?” – Tremartin zwrócił się z pytaniem do wszystkich. Już dawno straciłam orientację, więc się nie odzywałam.

„Tędy” – odpowiedziała Chellia. – „Myślę, że ta droga prowadzi w stronę, z której przyszliśmy. Może natkniemy się na coś, co rozpoznamy, a może światło znowu się zapali”.

Nie miałam lepszej propozycji. Oni prowadzili, a ja szłam na końcu. Każdy z nich miał kogoś, kogo mocno chwycił, żeby trzymać z dala od siebie duchy miasta. Ja trzymałam w ramionach tylko tobolek z pochodniami. Moi przyjaciele wyglądali jak cienie między mną a drżącym światłem pochodni. Gdy spojrzałam w górę, światło pochodni oślepiło mnie. Patrząc w dół, widziałam wokół swoich stóp skrzaci taniec cieni. Na początku słyszałam jedynie nasze ciężkie oddechy, szuranie stóp na wilgotnym kamieniu i trzask pochodni. Potem zaczęłam słyszeć inne odgłosy, a może wydawało mi się, że je słyszę – nierówne kapanie wody i, raz, przeciągły dźwięk, jakby coś w oddali ustąpiło pod jakimś naporem.

I muzykę. Była to muzyka cieniutka jak rozwodniony atrament, przytłumiona grubą warstwą kamienia i czasu, ale dosięgła mnie. Zdecydowana byłam posłuchać rady mężczyzn i zignorować ją. Aby moje myśli pozostały moimi, zaczęłam nucić starą jamailliańską kołysankę. Dopiero gdy Chellia syknęła na mnie: „Carillion!”, uświadomiłam sobie, że nucenie przeszło w niesamowitą piosenkę z kamienia. Przerwałam, przygryzając wargę.

„Podaj mi następną pochodnię. Najlepiej będzie zapalić nową, nim ta całkiem się

wypali”. Gdy Tremartin wypowiedział te słowa, uświadomiłam sobie, że już dwukrotnie zwracał się do mnie. Ośłupiała wystąpiłam naprzód, wręczając mu niesiony w ramionach ładunek prowizorycznych pochodni. Pierwsze dwie, które wybrał, wykonaliśmy z szali owiniętych wokół nóg stołu. W ogóle się nie zapaliły. Z czegokolwiek utkano te szale, nie chciały się zająć. Trzecia pochodnia zrobiona była z poduszki przywiązanej z grubsza do nogi krzesła. Płonąc, wydzielala dużo dymu i obrzydliwy fetor. Nie mogliśmy jednak wybrzydzać i trzymając wysoko płonąca poduszkę oraz przygasającą pochodnię, powoli szliśmy naprzód. Gdy pochodnia stała się tak krótka, że płomień niemal lizał palce Tremartina, ten musiał ją rzucić i do oświetlenia drogi pozostała nam już tylko tłąca się poduszka. Ciemność podeszła bliżej niż wcześniej, a od obrzydliwego smrodu rozboleła mnie głowa. Wlokłam się noga za nogą, przypominając sobie, jak wokół moich szorstkich palców zaplątał się długi, nieprzyjemny w dotyku włos, gdy obwiązywałam nim poduszkę, żeby była bardziej sprężysta i dłużej się paliła.

Retyo potrząsnął mną mocno, po czym w moich objęciach znalazł się pociągający nosem Carlmin. „Chyba powinnaś chwilę ponieść syna” – odezwał się żeglarz, nie ganiąc mnie, gdy zatrzymał się, by zebrać zapasowe pochodnie, które upuściłam. Znajdująca się przed nami w ciemności reszta grupy wyglądała jak cienie w cieniach, z czerwoną plamą naszej pochodni. Po prostu się zatrzymałam. Ciekawe, co by się ze mną stało, gdyby Retyo nie zauważył mojej nieobecności. Nawet gdy rozmawialiśmy, miałam wrażenie, że jestem dwiema osobami.

„Dziękuję” – powiedziałam zawstydzona.

„Nie ma za co. Trzymaj się blisko” – odparł.

Poszliśmy dalej. Przytłaczający ciężar Carlmina sprawiał, że byłam skoncentrowana. Po jakimś czasie postawiłam go na podłodze i zmusiłam, żeby siedł obok mnie, ale myślę, że to było dla niego lepsze. Po tym, jak wpadłam w sidła zastawiane przez duchy, postanowiłam mieć się bardziej na baczności. Mimo to, gdy tak kroczyłam przez ciemność z otwartymi oczami, przez moją głowę przebiegały fragmenty dziwnych snów, fantazje i odgłosy rozmów prowadzonych w oddali. Niezmordowanie wlekliśmy się naprzód. Dały o sobie znać głód i pragnienie. Przesączała się strumyczkami woda była gorzka, ale i tak oszczędnie ją piliśmy.

„Nienawidzę tego miasta” – powiedziałam do Carlmina. Jego mała dłoń, skryta w mojej, stawała się coraz zimniejsza, w miarę jak zasypane miasto kradło nam ciepło ciał. – „Pełno w nim pułapek i sideł. Są tu pokoje pełne błota, które chce nas pochłoniąć, i duchy próbujące ukraść nam dusze”.

W równej mierze mówiłam do siebie jak do niego. Nie liczyłam na odpowiedź, ale wówczas rzekł powoli: „Nie zbudowano go, by panowały w nim ciemność i pustka”.

„Może i nie, ale teraz właśnie tak jest. A duchy tych, którzy je zbudowali, próbują ukraść nam dusze”.

Bardziej usłyszałam, niż zobaczyłam jego grymas niezadowolenia. „Duchy? To nie duchy. To nie złodzieje”.

„Kim więc są?” – zapytałam go głównie dlatego, żeby nadal mówił.

Milczał chwilę. Wsłuchiwałam się w odgłosy naszych kroków i oddechów. Potem powiedział: „To nie ludzie. To ich sztuka”.

Sztuka wydawała mi się teraz czymś odległym i bezużytecznym. Kiedyś wykorzystywałam ją do usprawiedliwiania

swojego istnienia.

Obecnie była dla mnie próżniactwem i wybiegiem, czymś, czym się zajmowałam, żeby ukryć marność swojego codziennego życia. Słowo to sprawiało, że niemal się wstydziłam.

„Sztuka” – powtórzył. Gdy mówił dalej, wcale nie odnosiło się wrażenia, że jest małym chłopcem. – „Sztuka to sposób definiowania i wyjaśniania sobie nas samych. W tym mieście uznaliśmy, że codzienne ludzkie życie jest sztuką miasta. Z każdym rokiem coraz silniejsze były trzęsienia ziemi, burze piaskowe i opady popiołu. Schowaliśmy się przed tym, zamykając nasze miasta i kryjąc je pod ziemią. Wiedzieliśmy jednak, że nadejdzie czas, gdy nie zdołamy się oprzeć samej ziemi. Jedni chcieli wyjechać i pozwoliliśmy im na to. Nikogo nie zmuszaliśmy do pozostania. W naszych tętniących życiem miastach była już tylko garstka ludzi. Na jakiś czas ziemia się uspokajała, ale powtarzające się wstrząsy przypominały nam, że nasze życie jest codziennie zagrożone i może się skończyć w każdej chwili. Jednak wielu z nas uznało, że skoro żyliśmy tutaj od pokoleń, tutaj też umrzemy. Nasze jednostkowe istnienie, bez względu na jego długość, tutaj dobiegnie końca. Ale nie nasze miasta. Nie. Nasze miasta będą żyć dalej i przypominać o nas. Przypominać o nas... Będą przywoływać nas do domu, ilekroć ktoś przebudzi echa nas samych, które tu zgromadziliśmy. Wszyscy tu jesteśmy, całe nasze bogactwo i złożoność, wszystkie nasze radości i smutki...” – Jego głos ucichł, gdy ponownie pograżył się we wspomnieniach.

Zrobiło mi się zimno. „Magia, która przyzywa z powrotem duchy”.

„Nie magia. Sztuka”. – W jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

Nagle Retyo powiedział niepewnie: „Ciągłe słyszę głosy. Niech ktoś ze mną porozmawia”.

Położyłam mu rękę na ramieniu. „Ja też je słyszę. Ale brzmią po jamailliańsku”.

Z bijącymi sercami nasza grupka pospieszyła w ich kierunku. Na następnym skrzyżowaniu korytarzy skręciliśmy w prawo i głosy stały się wyraźniejsze. Krzyknęliśmy, a oni odkrzyknęli. W ciemnościach słyszeliśmy ich pospieszne kroki. Błogosławili naszą kopczą czerwoną pochodnię – ich już się wypaliła. Było to czterech młodych mężczyzn i dwie kobiety z Towarzystwa. Przestraszeni podobnie jak my, ciągle kurczowo trzymali łupy. Nie posiadaliśmy się z radości, że ich znaleźliśmy, dopóki nie obrócili naszej ulgi w rozpacz. Droga do świata Zewnętrznego była zablokowana. Byli w sali z kobietą i smokiem, gdy usłyszeli dobiegające z pokojów na górze dudnienie. Rozległ się głośny trzask, a następnie powolny jęk ustępujących belek. W miarę jak zgrzytliwy dźwięk się nasilał, światła w wielkiej komnacie zaczęły mrugać, a wodnisty muł spływać po ozdobnych schodach. Natychmiast rzucili się do ucieczki, ale odkryli, że schody zablokowane są przez kamienie, które obruszyło wdzierające się błoto.

W sali z kobietą i smokiem zebrało się około pięćdziesięciu osób, które przygnał tutaj z powrotem złowieszczy odgłos. Gdy światła najpierw przygasły, a potem zupełnie zniknęły, jedni poszli w jednym kierunku, inni zaś w drugim, szukając drogi ucieczki. Nawet w takim niebezpieczeństwie wzajemne podejrzenia o chęć kradzieży nie pozwoliły im połączyć sił. Budzili moją odrazę, co też im powiedziałam. Ku mojemu zaskoczeniu, przyznali mi z zażenowaniem rację. Potem chwilę staliśmy beczynnie w ciemności, słuchając, jak dopala się nasza pochodnia, i zastanawiając się, co robić.

Nikt się nie odzywał, więc zapytałam: „Znacie drogę do komnaty ze smokiem?” Staralam się mówić spokojnie.

Jeden z mężczyzn powiedział, że zna.

„To musimy tam wrócić. I zgromadzić wszystkich ludzi, jakich się da, oraz wszystkie wiadomości na temat tego labiryntu. To nasza jedyna nadzieja na znalezienie wyjścia, zanim pochodnie się wypalą. W przeciwnym razie możemy się błąkać, dopóki nie umrzemy”.

Ponure milczenie wyrażało ich zgodę. Młody mężczyzna poprowadził nas z powrotem. Mijając splądrowane pokoje, zbieraliśmy wszystko, co nadawało się do spalenia. Wkrótce ci, którzy się do nas przyłączyli, musieli porzucić łupy, żeby móc nieść drewno. Myślałam, że będą się woleli rozstać z nami niż ze swoimi skarbami, ale postanowili zostawić je w jednym z pokoi. Oznaczyli swoje prawo do nich na drzwiach, dodając groźby pod adresem złodziei. Uważałam, że to głupota, ponieważ oddałabym wszystkie klejnoty tego miasta za samą możliwość ujrzenia znowu normalnego dziennego światła. Ruszyliśmy dalej.

W końcu dotarliśmy do komnaty z kobietą i smokiem. Poznaliśmy ją bardziej po odbijającym się w niej echu niż po tym, co zobaczyliśmy dzięki naszej zawodnej pochodni. Ciągłe tliło się tu małe ognisko, przy którym siedziało kilku

nieszczęślików. Dołożyliśmy do niego drewna. To przyciągnęło pozostałych i wtedy krzyknęliśmy, żeby przywołać wszystkich, którzy zdołają nas usłyszeć. Wkrótce nasze małe ognisko oświetlało około trzydziestu ubłoconych i umęczonych osób. W blasku płomieni widziałam przestraszone blade twarze przypominające maski. Wielu z tych ludzi nadal ścisnęło tobołki z łupami i przyglądało się podejrzliwie innym. Było to niemal bardziej przerażające od powolnego zbliżania się gęstego błota, które spływało ze schodów. Ciężkie i gęste, ciekło nieubłaganie i wiedziałam, że miejsce naszej zbiórki niedługo pozwoli nam się przed nim chronić.

Stanowiliśmy żalosną grupę. Niektórzy byli lordami i damami, inni kieszonkowcami i dziwkami, ale w tym miejscu staliśmy się w końcu równi sobie i dostrzegliśmy, kim naprawdę jesteśmy – zrozpaczonymi ludźmi, którzy są od siebie zależni. Zebraliśmy się u stóp posągu smoka. Retyo podszedł do jego ogona i nakazał nam: „Ucziszcie się! Słuchajcie!”

Wszyscy przycichli. Słyszeliśmy trzaskanie ogniska, a potem dobiegły nas z oddali jęki drewna i kamienia oraz odgłosy przeciekania i kapania rzadkiego błota. Były to przerażające dźwięki i zastanawiałam się, dlaczego kazał nam się w nie wsłuchiwać. Gdy przemówił, powitaliśmy jego głos z ulgą, ponieważ zagłuszył sygnały niebezpieczeństwa nadwerężonych ścian.

„Nie mamy ani chwili do stracenia na zamartwianie się skarbami czy kradzieżami. Możemy mieć nadzieję jedynie na to, że ujdziemy stąd z życiem, a i to tylko wtedy, gdy zdołamy zebrać wszystko, co wiemy. Nie marnujmy więc czasu na badanie korytarzy, które prowadzą donikąd. Czy jesteście co do tego zgodni?”

Po jego słowach zapadła cisza. Chwilę później odezwał się usmolony mężczyzna z brodą: „Zajęliśmy z partnerami korytarze zachodniego łuku. Badaliśmy je przez wiele dni. Nie ma tam żadnych schodów na górę, a główny korytarz kończy się zapadliskiem”.

Była to fatalna wiadomość, ale Retyo nie pozwolił nam się nad nią rozwodzić.

„No cóż. Ktoś jeszcze?”

Zapanowało niespokojne poruszenie.

Głos Retyo brzmiał stanowczo. „Ciągłe myślicie o łupach i tajemnicach. Zostawcie je albo zostańcie tu z nimi. Ja chcę jedynie się stąd wydostać. Teraz. Interesują nas wyłącznie schody na górę. Czy ktoś coś wie na ten temat?”

W końcu odezwał się z wahaniem jakiś mężczyzna. „Było dwoje ze wschodniego łuku. Ale... no cóż, ściana nie wytrzymała, gdy otworzyliśmy drzwi. Nie możemy się już do nich dostać”.

Pogrążyliśmy się w głębszym milczeniu, a światło ogniska zdawało się przygasać.

Gdy Retyo ponownie się odezwał, jego głos był beznamiętny. „Cóż, to tylko ułatwia

nam sprawę. Będziemy mieli mniejszy obszar do przeszukania. Potrzebujemy dwóch dużych grup poszukiwawczych, które będą się mogły dzielić na każdym skrzyżowaniu. Każda grupa oznaczy swoją trasę. Po drodze wchodzić do wszystkich otwartych komnat i zawsze rozglądajcie się za prowadzącymi w górę schodami, ponieważ bez wątplenia jest to nasza jedyna droga ucieczki. Oznaczajcie każdą trasę, którą idziecie, żebyście mogli do nas wrócić”. – Odchrząknął. – „Nie muszę was ostrzegać. Jeśli drzwi się nie otworzą, zostawcie je w spokoju. Zawrzyjmy taki układ: ten, kto znajdzie drogę na zewnątrz, zaryzykuje życie, by tu wrócić i poprowadzić resztę. Wobec tych, którzy wyruszają na poszukiwanie, zostający tu zobowiązują się dbać o to, by ognisko nie zgasło, żebyście, jeśli nie znajdziecie drogi na zewnątrz, mogli tu wrócić, zabrać światło i podjąć następną próbę”. – Przyjrzał się uważnie wszystkim zwróconym w jego stronę twarzom. – „W tym celu każdy z nas zostawi tutaj skarby, które znalazł. Aby skłonić każdego, kto znajdzie drogę na zewnątrz, do powrotu. Jeśli już nie po to, by dotrzymać danego nam słowa, to dla zysku”.

Nie ośmieliłabym się wystawić ich na taką próbę. Rozumiałam, co zrobił. Stos łupów będzie dawał nadzieję tym, którzy muszą tu zostać i pilnować ognia, jak również skłoni do powrotu po resztę każdego, kto znajdzie wyjście. Tym, którzy upierali się, że zabiorą swoje skarby, Retyo powiedział tylko:

„Jak chcecie. Ale zapamiętajcie dobrze, jakiego wyboru dokonaliście. Nikt, kto tu zostanie, nie będzie wam winien pomocy. Jeśli wrócić i zobaczycie wygasłe ognisko, a nas już nie będzie, nie ludźcie się, że po was wrócimy”.

Trzech mężczyzn, bardzo obciążonych, odeszło na bok i gorąco dyskutowało. Inni ludzie zaczęli powoli wracać do pawilonu ze smokiem i szybko poinformowano ich o układzie. Ci, którzy próbowali już znaleźć wyjście, szybko przystali na te warunki. Ktoś powiedział, że może reszta Towarzystwa zacznie kopać i nas uwolni. Myśl ta spotkała się z ogólnym milczeniem, bo wszyscy przypomnieliśmy sobie liczne stopnie, po których schodziliśmy, żeby się dostać do tego miejsca, a także całe to błoto i ziemię, które dzieliły nas od świeżego powietrza. Nikt już później o tym nie wspominał. Gdy w końcu wszyscy przystali na plan Retyo, policzyliśmy się i okazało się, że w sali jest pięćdziesięcioro dwoje brudnych i zmordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Dwie grupy wyruszyły w drogę. Zabrały większość naszego drewna na opał, które przerobiliśmy na pochodnie. Zanim poszły, pomodliliśmy się wspólnie, ale wątpiłam, czy Sa nas usłyszy, tak głęboko byliśmy pod ziemią i tak daleko od świętej Jamailii. Zostałam z synem, by pilnować ogniska. Na zmianę odbywaliśmy krótkie wycieczki do sąsiednich pomieszczeń, znosząc wszystko, co można by wrzucić do ognia. Poszukiwacze skarbów zdążyli już spalić większość znajdującego się blisko opału, ale ciągle udawało się nam znaleźć różne rzeczy, począwszy od masywnych stołów, do których przeniesienia trzeba było ośmiu osób, po kawałki przegniłych krzesel i strzępy zasłon.

Większość dzieci została przy ognisku. Poza moim synem i dziećmi Chellii, było ich jeszcze czworo. Po kolei opowiadaliśmy im bajki lub śpiewaliśmy piosenki, starając się odwrócić ich uwagę od duchów, które tłoczyły się coraz bliżej, w miarę jak coraz słabiej płonęło nasze małe ognisko. Żał nam było każdego kawałka drewna, który do niego wkładaliśmy.

Mimo naszych wysiłków dzieci milkły jedno po drugim i pogrążały się w snach zasypanego miasta. Potrząsnęłam Carlminem i uszczypnęłam go, ale nie znalazłam w sobie dość siły, żeby być na tyle okrutną, by go obudzić. Prawda wyglądała tak, że duchy dobijały się również do mojego umysłu. W końcu odległe rozmowy w nieznanym

języku zdawały się bardziej zrozumiałe niż pełne rozpaczny pomruki pozostałych kobiet. Przynęłam na chwilę, po czym zerwałam się gwałtownie, bo przygasające ognisko wołało, bym wypełniła swój obowiązek.

„Może lepiej byłoby pozwolić im śnić aż do śmierci” – powiedziała jedna z kobiet, gdy pomagała mi wepchnąć róg ciężkiego stołu do ogniska. Wzięła głębszy oddech i dodała: – „Może wszyscy powinniśmy podejść do czarnej ściany i się o nią oprzeć”.

Pomysł bardziej kuszący, niż chciałabym to przyznać. Chellia wróciła z wyprawy po drewno. „Myślę, że więcej opału zużywamy na pochodnie, niż przynosimy” – stwierdziła. – „Posiedzę chwilę z dziećmi. Idźcie zobaczyć, czy jest jeszcze coś do spalenia”.

Wzięłam od niej resztkę pochodni i ruszyłam na poszukiwanie drewna na opał. Zanim wróciłam z żalnymi kawałkami, do ogniska dotarła część jednej z grup poszukiwawczych. Szybko wyczerpali swoje możliwości i pochodnie i wrócili z nadzieją, że innym bardziej się poszczęściło.

Gdy wkrótce potem nadeszła druga grupka, poczułam większe zniechęcenie. Przeprowadzili siedemnaście osób, które znaleźli, wędrując po labiryncie. Owa siedemnastka była „właścicielami” tej części miasta. Wiele dni temu odkryli oni, że górne kondygnacje tego jego fragmentu się zapadły. Przez wszystkie dni poszukiwań, ścieżki zawsze prowadziły na zewnątrz i w dół. Wszelkie dodatkowe działania w tym kierunku będą wymagały więcej pochodni, niż obecnie mamy.

Zapas drewna się zmniejszał, a w splądrowanych pokojach nie znaleźliśmy dużo materiałów, które nadawałyby się na pochodnie. Wielu z nas doskwierał już głód i pragnienie. Zbyt szybko będziemy musieli się zmierzyć z jeszcze bardziej zniechęcającym brakiem. Kiedy ognisko zgaśnie, pogrążymy się w całkowitej ciemności. Gdy tylko odważyłam się o tym pomyśleć, serce zaczęło mi walić jak młotem i byłam bliska omdlenia. Wystarczająco trudne było utrzymywanie z dala od siebie ciągle żywej „sztuki” miasta. Wiedziałam, że pogrążona w mroku ulegnę jej.

Nie tylko ja zdałam sobie z tego sprawę. Przy milczącej zgodzie pozwoliliśmy, żeby ognisko przygasło, i utrzymywaliśmy mniejszy ogień. Spływające po okazałych schodach błoto przyniosło wilgoć, od której ochłodziło się powietrze. Ludzie zbijali się w grupki, szukając w równej mierze ciepła, jak i towarzystwa. Wzdrygnęłam się, gdy woda po raz pierwszy dotarła do moich stóp. Zastanawiałam się, co najpierw mnie pochłonie: całkowita ciemność czy błoto.

Nie wiem, ile czasu upłynęło do powrotu trzeciej grupki. Znaleźli troje schodów, które wiodły w górę. Wszystkie

były zatarasowane, nim dochodziły do powierzchni. Im dalej szli łączącym je korytarzem, tym bardziej był on zniszczony. Wkrótce brnęli przez płytkie kałuże, rozpryskując wodę, a zapach ziemi robił się coraz silniejszy. Gdy ich pochodnie niemal się już wypaliły, a woda stawała się coraz głębsza i coraz zimniejsza, sięgając im do kolan, wrócili. Retyo i Tremartin byli w tej grupie. Samolubnie ucieszyłam się, że żeglarz znowu jest przy mnie, nawet jeśli znaczyło to, że nasze nadzieje ograniczyły się do jednej już tylko grupy poszukiwawczej.

Retyo chciał potrząsnąć Carlminem, żeby wyrwać go z otępienia, ale zapytałam go: „Po co? Żeby popatrzeć sobie w ciemność i pograżyć się w rozpacz? Niech śni, Retyo. Nie wydaje mi się, żeby miał złe sny. Gdy będę mogła wynieść go stąd na światło dzienne, to go zbudzę i postaram się, żeby do mnie wrócił. Do tego czasu zostawię go w spokoju”. Siedziałam. Retyo obejmował mnie, a ja myślałam o Petrusie i moim niegdysiejszym mężu Jathanie. No cóż, podjął jedną mądrą decyzję. Czułam się mu dziwnie wdzięczna za to, że nie pozwolił mi zaprzepaścić życia obu synów. Miałam nadzieję, że bezpiecznie

dotarł z Petrusem na wybrzeże i w końcu wrócił do Jamaillii. Przynajmniej jedno z moich dzieci ma szansę osiągnąć dorosłość.

I tak, gdy czekaliśmy, nasze nadzieje słabły równie szybko, jak wyczerpywało się drewno. Mężczyźni musieli zapuszczać się coraz dalej w mrok w poszukiwaniu opału. W końcu Retyo powiedział głośniej: „Albo nadal prowadzą poszukiwania, mając nadzieję, że znajdą wyjście, albo je znaleźli i za bardzo się boją, żeby po nas wrócić. Tak czy owak, siedząc tutaj, nic więcej nie zyskamy. Idźmy tam, dokąd poszli, kierując się znakami, póki jeszcze mamy światło, które pozwoli nam ich zobaczyć. Albo znajdziemy tę samą drogę ucieczki co oni, albo umrzemy razem”.

Zabraliśmy całe drewno, do ostatniej drzazgi. Co bardziej nierozsądni przygotowali też swoje skarby, chcąc je wynieść. Nikt nie protestował, chociaż wielu gorzko się śmiało z ich pełnej nadziei chciwości. Retyo bez słowa podniósł Carlmina – ujęło mnie to, że dla niego skarbem jest mój syn. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy osłabiona przez głód zdołałabym ponieść syna. Wiem jednak, że nie zostawiłabym go tam. Tremartin przewiesił sobie Olpeya przez ramię. Chłopiec był bezwładny jak topielec. Zatopiony w sztuce, pomyślałam. Zatopiony we wspomnieniach miasta.

Z dwóch córek Chellii Piet ciągle jeszcze była przytomna. Szła, potykając się żałośnie, obok matki. Młody mężczyzna o imieniu Sterren zaproponował Chellii, że poniesie Likeę. Rozplakała się z wdzięczności.

I tak mozolnie posuwaliśmy się naprzód. Mieliśmy jedną pochodnię na przedzie i jedną na końcu pochodu, tak by nikt nie padł ofiarą czaru miasta i nie został z tyłu. Szłam w środku grupy, a ciemność zdawała się szarpać i nękać moje zmysły. Niewiele mam do powiedzenia o tej nie kończącej się wędrówce. Nie robiliśmy przerw na odpoczynek, ponieważ nasze pochodnie zużywały się w zatrważającym tempie. Było ciemno i mokro, głodni, spragnieni i zmęczeni ludzie coś wokół mnie mamrotali, i znowu ciemność. Tak naprawdę nie widziałam korytarzy, przez które przechodziliśmy, a jedynie plamę światła, za którą podążaliśmy. Kawalek po kawałku oddawałam swój ładunek drewna osobom, które niosły światło. Gdy ostatnim razem przesunęłam się do przodu, żeby podać nową pochodnię, zobaczyłam, że ściany są z błyszczącego czarnego kamienia poprzecinanego srebrem. Były misternie ozdobione sylwetkami ludzi z jakiegoś lśniącego metalu. Zciekawiona wyciągnęłam rękę, żeby jednej z nich dotknąć. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Retyo jest obok mnie. Złapał mnie za nadgarstek, zanim zdążyłam którejś dotknąć. „Nie rób tego” – ostrzegł mnie. – „Raz otarłem się o jedną z nich. Wskakują do umysłu, gdy się ich dotknie. Nie rób tego”.

Szliśmy, kierując się znakami grupy poszukiwawczej, która jeszcze nie wróciła. Po drodze oznaczali ślepe korytarze i rysowali strzałki, więc szliśmy, ciągle mając nadzieję. Po czym, ku naszemu przerażeniu, dogoniliśmy ich.

Stali zbici na środku korytarza. Gdy pochodnie się wypaliły, zatrzymali się sparaliżowani całkowitą ciemnością, niezdolni ani iść dalej, ani wrócić do nas. Niektórzy postradali zmysły. Inni na nasz widok jęknęli z radości i zgromadzili się wokół pochodni, jakby światło było życiem, które do nich wracało.

„Znaleźliście drogę na zewnątrz?” – spytali nas, jakby zapomnieli, że to oni jej szukali. Gdy w końcu dotarło do nich, że byli naszą ostatnią nadzieją, wydawało się, iż życie z nich uszło. – „Korytarz ciągnie się bez końca – mówili – ale nie znaleźliśmy jak dotąd żadnego miejsca, z którego można by się skierować w górę. Komnaty, do których udało nam się wejść, są pozbawione okien. Uważamy, że ta część miasta zawsze znajdowała się pod ziemią”.

Przygnębiające słowa. Nie ma co się nad nimi rozwodzić.

Dalej poszliśmy razem. Natknęliśmy się na kilka skrzyżowań i na każdym wybieraliśmy kierunek niemal na chybił trafił. Nie mieliśmy już pochodni, żeby sprawdzać wszystkie możliwości. Na każdym skrzyżowaniu mężczyźni na przedzie zastanawiali się, po czym decydowali. A my szliśmy za nimi, za każdym razem myśląc, czy nie popełniamy fatalnej w skutkach pomyłki. Czy nie oddaliśmy się od drogi, która doprowadziłaby nas do światła i powietrza. Zrezygnowaliśmy z pochodni na końcu kolumny, zamiast tego każąc ludziom chwycić się za ręce i podążać za nami. Mimo to zbyt wcześnie zostały nam jedynie trzy pochodnie, a potem już tylko dwie. Jakaś kobieta zaczęła lamentować, gdy zapaliliśmy ostatnią. Nie paliła się dobrze, a może nasz strach przed ciemnością był tak wielki, że nie wystarczyłoby żadne światło. Wiem, że stłoczyliśmy się bliżej osoby, która niosła pochodnię. Korytarz się poszerzył, sufit podniósł. Od czasu do czasu w blasku ognia ukazywała się srebrna postać lub żyłka srebrzystego minerału w wypolerowanej czarnej ścianie, które zachęcająco do mnie mrugały. Niemniej jednak maszerowaliśmy rozpaczliwie dalej, głodni, spragnieni i coraz bardziej zmęczeni. Nie wędrowaliśmy szybko, ale przecież nie wiedzieliśmy, czy był jakiś inny cel tej wędrówki poza śmiercią.

Zagubione duchy miasta zaczęły mnie. Pokusa, żeby dać sobie spokój z tym żalnym życiem i zanurzyć się w zachęcającym wspomnieniu miasta, była coraz silniejsza. Fragmenty ich muzyki, rozmowy słyszane jako odległe mamrotanie, wydawało mi się, że nawet dziwne zapachy – atakowały mnie i kusily. Cóż, czy to nie przed tym Jathan zawsze mnie ostrzegał? Że jeśli nie zapanuję bardziej nad swoim życiem, najpierw zanurzę się w swojej sztuce, a potem mnie ona pochłonie? Ale tak trudno było się oprzeć, ciągnęły mnie jak haczyk wczepiony w pysk ryby. To wiedziało, że mnie ma, czekało tylko, aż wciągnie mnie ciemność.

Z każdym naszym krokiem pochodnia dawała mniej światła. Każdy krok mógł być krokiem w niewłaściwym kierunku. Przejście rozszerzyło się w hol; nie widziałam już błyszczących czarnych ścian, ale czułam, że domagają się mojej uwagi. Minęliśmy martwą fontannę obrzeżoną z dwóch stron kamiennymi ławkami. Na próżno rozglądaliśmy się za czymś, co mogłoby podtrzymać ogień. Tutaj ci dawniejsi ludzie budowali dla wieczności, z kamienia, metalu i wypalanej gliny. Wiedziałam, że te pomieszczenia stanowią teraz skarbnicę wszystkiego, czym byli. Wierzyli, że będą tu żyć zawsze, że woda w fontannach i wirujące promienie światła zawsze będą tańczyć na ich skinienie. Wiedziałam to równie dobrze jak to, jak się nazywam.

Tak samo jak ja naiwnie uważali, że będą żyć wiecznie dzięki swojej sztuce. Teraz istniała tylko ich sztuka, i nic więcej.

W tej chwili wiedziałam już, jaką podjęłam decyzję. Pojawiła się tak jasna i wyraźna, że nie jestem pewna, czy była ona wyłącznie moja. A może jakiś od dawna nieżyjący artysta pociągnął mnie za rękaw, błagając o wysłuchanie i o to, żeby ktoś ostatni raz go ujrzał, zanim pogrążymy się w ciemności i ciszy, które pochłonęły to miasto?

Położyłam rękę na ramieniu Retyo. „Idę do ściany” – powiedziałam po prostu. Trzeba mu przyznać, że od razu zorientował się, co mam na myśli.

„Zostawisz nas?” – spytał żałośnie. – „Nie chodzi o mnie, ale o małego Carlmina. Zatoniesz w snach i każesz mi samotnie stawić czoło śmierci?”

Stałam na palcach, żeby pocałować go w zarośnięty policzek i przycisnąć na krótko usta do pokrytego meszkiem czoła syna. „Nie zatonę” – obiecałam mu. Nagle wydawało się to takie proste. – „Wiem, jak pływać w tych wodach. Pływałam w nich od urodzenia

i niby ryba popłynę nimi w górę strumienia do źródła. A ty pójdziesz za mną. Wszyscy pójdziecie”.

„Carillion, nie rozumiem. Oszalałaś?”

„Nie. Ale nie umiem tego wyjaśnić. Idź po prostu za mną i ufaj mi, tak jak ja ufałam tobie, gdy szłam po konarze drzewa. Pewnie wyczuję ścieżkę, nie pozwolę ci spaść”.

I wtedy zrobiłam najbardziej skandaliczną rzecz w życiu. Złapałam swoje znoszone, wystrzępione do połowy łydki spódnice, i oddarłam je od wszywanego paska, tak że zostałam tylko w pantalonach. Zwinęłam materiał w kłębek i wcisnęłam mu w drżące ręce. Pozostali przerwali swój powolny marsz, żeby obejrzeć mój osobliwy występ.

„Dokładaj je do pochodni, po jednym kawałku, żeby nie zgasła. I idź za mną”.

„Będziesz szła przed nami wszystkimi niemal naga?” – zapytał przerażony, jakby miało to wielkie znaczenie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. „Gdy moje spódnice będą się palić, nikt nie zauważy nagości tej, która się rozebrała, żeby dać wszystkim światło. A gdy się już spalą, wszystkich nas skryje mrok. Tak jak sztukę tych ludzi”.

Potem odeszłam od niego w ciemność, która nas otaczała. Słyszałam, jak krzyczy do człowieka, który niósł pochodnię, żeby się za trzymał, i jak inni mówili, że oszalałam. Ja jednak czułam się, jakbym w końcu wskoczyła do rzeki po tym, jak przez całe życie cierpiałam pragnienie. Podeszłam do muru dobrowolnie, więc zanim dotknęłam zimnego kamienia, już spacerowałam wśród nich, słuchając plotek, muzykantów na rogu i targowania się.

To był rynek. Gdy dotknęłam kamienia, ze zgiełkiem powrócił do życia. Nagle tam, gdzie moje oczy nie widziały światła, mój umysł je postrzegał, czułam też smażące się na dymiącym ruszcie rzeczne ryby i widziałam nadziane na szpikulec, posmarowane miodem owoce na tacy ulicznego domokrażcy. Jaszczurki wędziły się w płytkim koszu. Dzieci goniły się wokół mnie. Ludzie przechadzali się ulicami ubrani w błyszczące stroje, które mieniły się przy każdym kroku. I to jacy ludzie! Ludzie, którzy pasowali do takiego wspaniałego miasta! Niektórzy mogli pochodzić z Jamaillii, ale pośród nich kręcili się inni, wysocy i smukli, pokryci łuską jak ryby lub o skórze brązowej jak z polerowanego metalu. Ich oczy też błyszczały – srebrem, miedzią i złotem. Zwykli ludzie ustępowali tym wywyższonym bardziej z radością niż z zimnym szacunkiem. Kupcy wychodzili ze swoich kramów, żeby zaoferować im to, co mają najlepsze, a dzieci zerkały zza spódnic swoich matek, żeby przyjrzeć się owym członkom rodziny królewskiej. Bo za takich ich miałam.

Z niejakim wysiłkiem odwróciłam wzrok i myśli od tej pełnej przepychu gali. Niejasno próbowałam sobie przypomnieć, kim jestem i gdzie naprawdę się znajduję. Wyobraziłam sobie Carlmina i Retyo. A potem świadomie się rozejrzałam. W górę i do nieba, powiedziałam do siebie. W górę i do nieba, do powietrza. Niebieskie niebo. Drzewa.

Lekko dotykając ściany, ruszyłam naprzód.

Sztuka to pogrążenie się, a dobra sztuka to pogrążenie się całkowite. Retyo miał rację. Chciało mnie wciągnąć. Ale Carlmin też miał rację. W tym tonięciu nie było zła, tylko pochłonięcie, którego wymaga sztuka. A ja byłam artystką i, jako osoba uprawiająca tę magię, przyzwyczajona byłam do tego, by trzymać głowę ponad nurtem, nawet gdy ten był najsilniejszy i najszybszy.

Mimo to mogłam jedynie kurczowo trzymać się swoich dwóch słów. W górę i niebo. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy moi towarzysze idą za mną czy też zostawili mnie mojemu szaleństwu. Z pewnością Ketyo tego nie zrobił. Z pewnością idzie za mną,

prowadząc mojego syna. Potem, chwilę później, wysiłek konieczny, by pamiętać ich imiona, okazał się za duży. Takie imiona i tacy ludzie nigdy nie istnieli w tym mieście, a ja byłam teraz jego obywatelką.

Maszerowałam zamaszystym krokiem przez rynek w porze największego ruchu. Ludzie wokół mnie kupowali i sprzedawali egzotyczne, fascynujące towary. Kolory, dźwięki, a nawet zapachy kusily mnie, by tu zabawić, lecz kurczowo trzymałam się słów: „W górę i do nieba”.

Nie byli to ludzie, którzy ceniliby świat zewnętrzny. Zbudowali tutaj ul, w znacznej mierze pod ziemią, oświetlony i ciepły, czysty i chroniony przed wiatrem, burzami i deszczem. Wprowadzili do środka stworzenia, które im się podobały, kwitnące drzewa, śpiewające ptaki w klatkach i małe, błyszczące jaszczurki uwiązane do krzewów w donicach. Ryby wyskakiwały i błyskały w fontannach, ale nie biegały tu i nie czekały psy ani ptaki nie latały nad głowami. Zabronione było wszystko, co mogło spowodować bałagan. Wszystko było uporządkowane i pod kontrolą, jeśli nie liczyć żywiołowych ludzi, którzy krzyczeli i śmiali się, i pogwizdywali na swoich starannie zaplanowanych ulicach.

„W górę i do nieba”, powiedziałam do nich. Nie usłyszeli mnie, oczywiście. Ich rozmowy toczyły się dokoła, dla mnie bezużyteczne, i chociaż zaczęłam ich rozumieć, sprawy, o których rozmawiali, nie interesowały mnie. Cóż mogła mnie obchodzić polityka królowej nie żyjącej od tysiąca lat, śluby osób z towarzystwa czy potajemne romanse, o których plotkowano hałaśliwie? „W górę i do nieba”, szeptałam do siebie i powoli, bardzo powoli wspomnienia, których szukałam, zaczynały do mnie napływać. W tym mieście byli bowiem inni ludzie, dla których sztuka oznaczała „W górę i do nieba”. Była tu wieża, obserwatorium. W mgliste noce sięgała ponad nadrzeczne mgły i tam uczeni mężczyźni i kobiety mogli badać gwiazdy oraz przewidywać, jaki wpływ mogą mieć na

śmiertelników. Skupiłam na niej umysł i wkrótce już „pamiętałam”, gdzie się znajduje. Sa, bądź błogosławiony za to, że nie była ona daleko od ich rynku.

Raz się zatrzymałam, bo gdy wzrok mówił mi, że droga przede mną jest dobrze oświetlona i gładko wybrukowana, moje ręce znalazły zimny stos kamieni, które spadły, i ziemię, przez którą przesączała się woda. Jakiś mężczyzna krzyknął mi coś do ucha i przytrzymał ręce. Jak przez mgłę przypominałam sobie wcześniejsze życie. Jakie to dziwne otworzyć oczy na mrok i zobaczyć, że Retyo ściska moje dłonie w swoich. Wokół, w ciemności słyszałam ludzi płaczących i mamroczących rozpaczliwie, że poszli za marzycielką na śmierć. Nic nie mogłam zobaczyć. Ciemność była nieprzenikniona. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło, ale nagle uświadomiłam sobie pragnienie, które niemal mnie zadusiło. Retyo nadal kurczowo trzymał moją rękę i wtedy dowiedziałam się o długim łańcuchu ściskających się za ręce ludzi, którzy z ufnością za mną szli.

„Nie poddawajcie się. Znam drogę. Chodźcie za mną” – wychrypiałam.

Później żeglarz opowiadał mi, że nie mówiłam w żadnym znanym mu języku, ale mój przepełniony emocjami krzyk przekonał go. Zamknęłam oczy i raz jeszcze miasto wróciło wokół mnie. Inna droga. Musi być jakaś inna droga do obserwatorium. Obróciłam się plecami do ludnych korytarzy, ale gdy mijałam fontanny ze skaczącymi rybami, te zadrwiły ze mnie swoją zapamiętaną wodą. Kuszące zapachy jedzenia wisiały w powietrzu i czułam, jak mój żołądek kurczy się z tęsknoty. Ale moje słowa to „W górę i do nieba”, więc szłam dalej, nawet gdy uświadomiłam sobie, że poruszanie się sprawia mi coraz większą trudność. W innym miejscu mój język przypominał kawałek wysuszonej skóry, brzuch zaś skłębioną kulkę bólu. Ale tutaj poruszałam się z miastem, zanurzona w nim. Teraz rozumiałam słowa, które przelatywały obok mnie, czułam znajome zapachy

jedzenia, a nawet znałam całe piosenki, które śpiewali uliczni grajkowie. Byłam w domu bardziej niż kiedykolwiek w Jamailii.

Znalazłam inne schody, które prowadziły do obserwatorium, tylne schody dla służby i sprzątaczy. Po tych schodach prości ludzie wnosili sofę i tace z kieliszkami wina dla arystokratów, którzy pragnęli ułożyć się wygodnie i wpatrywać w gwiazdy. Były tam drzwi z kiepskiego drewna. Otworzyły się, gdy je pchnęłam. Usłyszałam, jak za mną ktoś po cichu wciąga powietrze, a potem wykrzykuje słowa pochwały, które otworzyły moje oczy.

Światło dzienne, nikłe i rozproszone, podkradło się do nas. Kręcone schody były drewniane i chwiejne, ale postanowiłam im zaufać. »W górę i do nieba” – powiedziałam swoim towarzyszom, gdy stawiałam nogę na pierwszym skrzypiącym stopniu. – „W górę i do nieba”. A oni poszli za mną.

W miarę jak wchodziliśmy coraz wyżej, światło stawało się silniejsze i mrugaliśmy w tym słodkim półmroku niczym krety. Gdy w końcu dotarłam do górnej komnaty o kamiennej podłodze, uśmiechnęłam się, aż rozwarły się moje suche wargi.

Grube szkło okien obserwatorium popękało, przez szpary zaś wdarły się wszędobylskie pnącza, które zostawiając za sobą światło dzienne, straciły barwę i zmieniły się w blade spirale. Światło przenikające przez okna było zielonkawe i przyćmione, ale było to światło. Pnącza stały się dla nas drabiną, po której wyjdziemy na wolność. Wielu z nas roniło gorzkie łzy podczas tej ostatniej bolesnej wspinaczki. Nieprzytomne dzieci i otumanionych dorosłych przekazywano na górę, do nas. Wzięłam bezwładnego Carlmina w ramiona i trzymałam go na dziennym świetle i świeżym powietrzu.

Czekały na nas deszczowe kwiaty, jakby Sa chciał, byśmy wiedzieli, że to z jego woli przeżyliśmy, wystarczająco dużo deszczowych kwiatów, żeby każdy z nas mógł zwilżyć usta i odzyskać zmysły. Wiatr wydawał się chłodny i śmialiśmy się radośnie, trzęsąc się z zimna. Staliśmy na szczycie dawnego obserwatorium, a ja z miłością przyglądałam się ziemi, którą kiedyś znałam. Moja piękna, szeroka dolina rzeki była teraz bagniskiem, ale nadal była moja. Wieża, która sięgała tak wysoko, teraz ledwie wystawała nad ziemię, lecz wokół znajdowały się pochylone i porośnięte mchem ruiny innych budowli, co sprawiało, że ziemia była twarda i sucha. Nie było jej dużo, niecały leffer, a mimo to po miesiącach spędzonych na bagnach wydawała się wspaniałą posiadłością. Z jej szczytu widzieliśmy rzekę leniwie toczącą swe kredowobiałe wody, na które ukośnie padały promienie słoneczne. Mój dom się zmienił, ale nadal należał do mnie.

Każdy z tych, którzy opuścili komnatę ze smokiem, wyszedł z tego żywy i nietknięty. Miasto połknęło nas, przetrawiło i uczyniło własnymi, a potem uwolniło, odmienionych, w tym bardziej przyjaznym miejscu. Tutaj, dzięki pogrzebanemu pod nami miastu, ziemia jest twardsza. W pobliżu rosną wspaniałe drzewa z wieloma konarami, na

których możemy zbudować następną Wielką Platformę. Jest tu nawet pożywienie, mnóstwo pożywienia według norm Deszczowych Ostępów. Swego rodzaju winorośl zdobi pnie drzew i jest ciężka od mięsistych owoców. Przypominam sobie, że takie same owoce sprzedawano w kramach w moim mieście. Dzięki nim nie umrzemy z głodu. Na razie mamy wszystko, czego potrzebujemy, żeby przetrwać tę noc. O reszcie możemy pomyśleć jutro.

Dzień 7 światła i powietrza Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Sześć dni zajęła nam wędrówka w dół rzeki do naszej pierwszej osady. Czas spędzony w dziennym świetle i na świeżym powietrzu przywrócił większości z nas zmysły, chociaż wszystkie dzieci są trochę bardziej wycofane niż wcześniej. Nie uważam też, że bym tylko ja miała owe barwne sny o życiu w mieście. Teraz chętnie je witam. Tereny tutaj ogromnie się zmieniły od czasów miasta – kiedyś wszystko było solidnym gruntem, a rzeka błyszcząca, srebrną nicią. Ziemia w tamtych czasach także bywała niespokojna, a woda w rzece przybierała niekiedy barwę mleka i była żrąca. Obecnie drzewa zajęły z powrotem pastwiska i grunty uprawne, ale nadal rozpoznaję niektóre cechy ukształtowania terenu. Wiem też, które drzewa nadają się na drewno, z jakich liści można przyrządzić miłą, orzeźwiająca herbatę, z jakich trzciny otrzymać zarówno papier, jak i włókna, gdy ubije się je na papkę, i bardzo wiele innych rzeczy. Przetrywamy tutaj. Nie będziemy opływać w dostatki, nie będzie też nam się żyło łatwo, ale jeśli zaakceptujemy to, co ta kraina ma nam do zaoferowania, może nam to wystarczyć.

I tak jest dobrze. Moje nadrzewne miasto niemal całkowicie opustoszało. Po katastrofie, która zamknęła nas pod ziemią, większość ludzi stąd uznała, że wszystko stracone, i uciekła. Ze skarbów, które zgromadzili i zostawili na Wielkiej Platformie, zabrali jedynie drobną część. Pozostało bardzo niewiele. Marthi, jej mąż i syn są wśród nich. Marthi po moim powrocie rozplakała się z radości.

Gdy dałam wyraz swojemu gniewowi, że inni odeszli bez niej, powiedziała całkiem poważnie, że obiecali przysłać pomoc, i była pewna, że dotrzymają słowa, bo ich skarby ciągle tu są.

Jeśli chodzi o mnie, to znalazłam własny skarb. Petrus ostatecznie został tutaj. Jathan, człowiek o sercu z kamienia, wyruszył bez niego, gdy chłopak w ostatniej chwili zmienił zdanie i oświadczył, że poczeka na powrót matki. Cieszę się, że nie czekał na mnie na próżno.

Byłam wstrząśnięta, że Marthi i jej mąż zostali, dopóki nie włożyła w moje ręce powodu, dla którego to zrobili. Jej dziecko się urodziło i dla niego będą tu żyć. Jest gibkim i żywym maluchem, ale pokrywa je łuska niby węża. W Jamailii byłoby wybrykiem natury. Ono należy do Deszczowych Ostępów.

Jak teraz my wszyscy.

Myślę, że byłam równie wstrząśnięta zmianami, które zaszły w Marthi, jak ona zmianami, które dokonały się we mnie. Wokół jej szyi i nadgarstków, na których nosiła biżuterię z miasta, pojawiły się maleńkie narośla. Gdy wpatrywała się we mnie, myślałam, że to dlatego, iż dostrzegła, jak bardzo zmieniły moją duszę wspomnienia z miasta. W rzeczywistości to pierzaste łuski na moich powiekach i wokół ust przyciągnęły jej wzrok. Nie mam lustra, więc nie potrafię powiedzieć, jak łatwo je zauważyć. I mam tylko słowo Retyo na to, że pas szkarłatu wzdłuż mojego kręgosłupa jest bardziej pociągający niż odpychający.

Widzę, że dzieci zaczęły się pokrywać łuską, i prawdę powiedziawszy, nie wydaje mi się to wstrętne. Większość tych, którzy zeszli na dół, do miasta, ma po tym jakiś ślad – albo coś w spojrzeniu, albo delikatny zarys łusek, albo stwardniałe ciało wzdłuż szczęki. Deszczowe Ostępy oznakowały nas jako swoją własność i powitały nas w domu.

Przełożył Robert Bartold

Pieśń Lodu i Ognia George R. R. Martin

A Game of Thrones (1996) *Gra o tron* (1996-1998) *A Clash of Kings* (1998) *Starcie królów* (2000)

A Storm of Swords (2000) *Nawałnica mieczy. Stal i śnieg* (2002), *Nawałnica mieczy. Krew i złoto* (2002)

A Feast for Crows (w przygotowaniu)

A Dance with Dragons (w przygotowaniu)

The Winds of Winter (w przygotowaniu)

„Pieśń Lodu i Ognia” ujrzała światło dzienne jako trylogia, ale rozwinęła się już do sześciu ksiąg. Jak powiedział kiedyś J. R. R. Tolkien, historia rozrosła się w trakcie opowiadania.

Cykl osadzony został na wielkim kontynencie Westeros, w świecie podobnym i zarazem niepodobnym do naszego, gdzie pory roku trwają całe lata, a niekiedy i dziesiątki lat. Westeros leży na zachodnim krańcu znanego świata, dalej jest już tylko morze. Na południu sięga czerwonych piasków Dorne’u, a na północy mroźnych gór i lodowych pustkowi, na których śnieg pada nawet w długim lecie.

Podczas Zarania Dni pierwszymi znanymi mieszkańcami kontynentu były dzieci puszczy, niewielkiej postury rasa, która mieszkała pośród lasów i zostawiła po sobie dziwne twarze wyrzeźbione w białych niczym kość drzewach. Potem zjawili się Pierwsi Ludzie. Nadeszli wąskim przesmykiem z większego kontynentu na wschodzie, niosąc ze sobą miecze z brązu. Mieli też konie i przez stulecia walczyli z dziećmi, aż w końcu zawarli pokój ze starszą rasą, przyjmując jej pradawnych, bezimiennych bogów. Był to początek Ery Herosów, w której Pierwsi Ludzie i dzieci wspólnie zamieszkiwali Westeros i w której powstały i upadły setki małych królestw.

Potem zjawili się kolejni najeźdźcy. Andalowie przebyli niewielkie morze na statkach, po czym ogniem i żelazem zmietli królestwa Pierwszych Ludzi i wypędzili dzieci z puszczy, które w znacznej mierze wykarczowali. Przynieśli własną wiarę w boga, którego siedem aspektów symbolizowała siedmioramienna gwiazda. Pierwsi Ludzie ocalili tylko daleko na północy, gdzie pod wodzą Starków z Winterfell zdołali odepchnąć przybyszów. Wszędzie indziej Andalowie święcili triumf za triumfem i w końcu stworzyli własne królestwa. Lud dzieci puszczy wymierał z wolna, aż całkiem zniknął, Pierwsi Ludzie zaś zaczęli się mieszać ze zdobywcami.

Kilka tysięcy lat później pojawili się Rhoynarowie, oni jednak byli nie tyle najeźdźcami, ile uchodźcami. Pokonali morze na dziesięciu tysiącach statków, aby uciec przed rosnącą potęgą władców Valyrii, którzy rządili wówczas większą częścią znanego świata. Byli to czarownicy o olbrzymiej wiedzy, którzy jako jedyni spośród ludzi nauczyli się hodować smoki i podporządkowywać je swojej woli. Niemniej czterysta lat przed czasami opisanymi w „Pieśni Lodu i Ognia” na Valyrię spadła zagłada. W ciągu jednej nocy wielkie miasto przestało istnieć, a wkrótce potem całe imperium runęło, pograżając się w barbarzyństwie i wojnach.

Oddzielony morzem Westeros uniknął najgorszego, jednak z setek królestw pozostało już tylko siedem, a i te nie miały przetrwać wiele dłużej. U ujścia Czarnej Wody wyładował z małą armią potomek władców Valyrii, Aegon Targaryen. Towarzyszyły mu dwie siostry (które były też jego żonami) i trzy wielkie smoki. Jadąc na ich grzbietach,

najeźdźcy wygrywali wszystkie bitwy i ostatecznie ogniem, mieczem i dyplomacją podporządkowali sobie sześć z siedmiu królestw Westerosu. Następnie zebrali zniszczony i popalony oręż przeciwników i zrobili z niego olbrzymie kolczaste siedzisko – Żelazny Tron, z którego król Aegon, Pierwszy Tego Imienia, władał Andalami, Rhoynarami i Pierwszymi Ludźmi zamieszkującymi Siedem Królestw.

Założona przez niego dynastia przetrwała prawie trzysta lat. Jeden z potomków Aegona, Daeron Drugi, włączył do swego królestwa także Dornę, skupiając cały Westeros pod jednymi rządami. Nie uczynił tego podbojem, ale przez małżeństwo, gdyż ostatni smok wyzionął ducha pół wieku wcześniej. Akcja *Błędnego rycerza*, opowiadania opublikowanego w pierwszym tomie *Legend*, rozgrywa się pod koniec panowania Dobrego Króla Daerona, jakieś sto lat przed okresem opisanym w pierwszej powieści cyklu. Wszędzie panuje jeszcze pokój, a dynastia Targaryenów przeżywa szczyt chwały. W tamtej historii dochodzi do pierwszego spotkania Dunka, giermka pewnego błędnego rycerza, z Jajem, chłopakiem, który nie jest dokładnie tym, za kogo się podaje. Razem uczestniczą oni w wielkim turnieju na Łąkach Ashford. *Wierny miecz* to dalszy ciąg tamtej opowieści i odnajduje jej bohaterów mniej więcej dwa lata później.

Wierny Miecz

Opowieść Z Siedmiu Królestw

George R. R. Martin

Przy skrzyżowaniu dróg wisiała żelazna klatka, w której gniły na słońcu ciała dwóch mężczyzn. Jajo zatrzymał się pod nią.

–Jak myślisz, ser, kim oni byli?

Wdzięczny za moment wytchnienia muł Maester zaczął skubać rosnącą przy drodze suchą trawę. W ogóle nie

przeszkadzało mu, że cały czas dźwiga na grzbiecie dwie pokaźne baryłki wina.

–Złodziejami – odpowiedział Dunk. Z grzbietu Groma widział ciała o wiele lepiej. – Gwałcicielami. Mordercami. – Jego stara zielona tunika pociemniała pod pachami od potu. Słońce paliło mocno z błękitnego nieba i od zwinęcia obozu musiał wypocić kilka galonów.

Jajo zdjął słomiany kapelusz z szerokim rondem. Nadal był całkiem łysy. Odgonił kapeluszem muchy, które setkami roily się wokół trupów. Też były rozleniwione upałem.

–To musiało być coś złego, skoro zostawiono ich w tej klatce, by umarli – rzekł giermek. Wykazywał się niekiedy wielką mądrością, czasem jednak wychodził z niego dziesięcioletni chłopiec.

–Są panowie i panowie – powiedział Dunk. – Niektórym nie trzeba wiele, aby zabić człowieka.

Klatka nie była duża, normalnie ledwie pomieściłaby jednego człowieka, ale jakoś upchnięto w niej tych dwóch. Stali twarzami do siebie, ze spletanymi rękoma i nogami oraz plecami przyciśniętymi do rozgrzanych czarnych prętów. Jeden próbował nadjeść drugiego, wgrzając się w jego szyję i ramię. Potem wrony ucztowały równo na obu. Gdy Dunk i Jajo wyłonili się zza wzgórza, ptaki wzleciały chmurą tak gęstą, że aż Maester się przestraszył.

–Kimkolwiek byli, byli przeraźliwie wygłodzeni – powiedział Dunk. Szkielety obciążnięte gnijącą skórą, pomyślał. – Może ukradli chleb albo upolowali sarnę w pańskim lesie.

Susza trwała już drugi rok i większość władców coraz ostrzej traktowała kłusowników. A nigdy przecież nie obchodzono się z nimi łagodnie.

–Mogli też należeć do jakiejś bandy banitów.

W Dosc słyszeli, jak harfiarz śpiewał *Dzień, w którym powiesili Czarnego Robina*. Od tamtej pory Jajo gotów był widzieć dzielnych banitów za każdym krzakiem.

Dunk spotkał kilku, gdy służył staremu za giermka. Nie tęsknił, aby poznać następnych. Żaden z nich nie wiedział wiele o galanterii. Jednego ser Arian pomógł nawet powiesić, gdy okazało się, że chodzi o złodzieja pierścieni. Odcinał ludziom palce, aby zabrać biżuterię. To w przypadku mężczyzn, kobietom bowiem wolał je odgryzać. Dunk nie słyszał o nim żadnych pieśni. Banici czy kłusownicy, na jedno wychodzi. Trupy to kiepskie towarzystwo, pomyślał. Poprowadził Groma powoli obok klatki. Puste oczodoły zdawały się ich śledzić. Jeden z martwych miał zwieszoną głowę. W szeroko otwartych ustach brakowało języka. Być może wrony go wyjadły. Podobno wrony zaczynają zawsze od oczu, ale widocznie w drugiej kolejności wydziobują języki. A może to pan kazał wyrwać skazańcowi język za coś, co powiedział.

Dunk przeczesał palcami strzechę spalonych słońcem włosów. Martwym nijak nie mógł pomóc, a wino czekało na dostarczenie do Standfast.

–Skąd przyjechaliśmy? – spytał, patrząc to na jedną, to na drugą drogę. – Chyba straciłem orientację.

–Do Standfast tędy, ser. – Jajo wskazał kierunek.

–Ruszajmy więc. Powinniśmy wrócić przed wieczorem, a nigdy nam się to nie uda, jeśli zasiedzimy się tutaj, licząc muchy. – Ścisnął Groma piętami i skierował wielkiego rumaka w lewo. Jajo włożył z powrotem obwisły kapelusz, po czym szarpnął wodze muła. Maester zostawił trawę i pomaszerował bez najmniejszego sprzeciwu. Jemu też jest gorąco, pomyślał Dunk, a te baryłki muszą być ciężkie.

Letnie słońce tak spiekło drogę, że stała się twarda niczym cegła. Kolejny były na tyle głębokie, że koń mógłby złamać w nich nogę, Dunk poprowadził więc Groma równiejszym pasem pośrodku. Sam skręcił nogę na takiej drodze, gdy opuścili Dosc. Wędrowali wtedy nocą, kiedy było chłodniej. Jednak rycerz musi się nauczyć znosić różne dolegliwości, jak mawiał stary. Tak, chłopcze, złamane kości i blizny to taki sam znak rycerstwa jak miecz i tarcza. Ale gdyby Grom złamał nogę – Cóż, rycerz bez konia to żaden rycerz.

Jajo podążył pięć jardów za nim, prowadząc obciążonego baryłkami muła. Chłopiec stawał jedną bosą nogę w koleinie, drugą na równym, przez co z każdym krokiem unosił się i opadał. Przy pasie miał pochwę ze sztyletem, buty kołysały mu się uwiązane do plecaka, znoszoną brązową tunikę obwiązał wkoło pasa. Oblicze pod

kapeluszem poznaczone było smugami brudu, oczy wielkie i ciemne. Miał dziesięć lat i niecałe pięć stóp wzrostu. Ostatnio wystrzelił w górę, lecz wyglądało na to, że jeszcze długo potrwa, zanim dogoni Dunka. Wyglądał jak zwykły stajenny, którym nie był. W ogóle nie przypominał tego, kim był naprawdę.

Martwi zniknęli wkrótce z tyłu, ale Dunk nie mógł przestać o nich myśleć. Królestwo roilo się ostatnio od ludzi, którzy nie poważali prawa. Nic nie zapowiadało końca suszy i lud tysiącami wyległ na drogi w poszukiwaniu miejsc, w których padałby deszcz. Lord Bloodraven nakazał im wszystkim powrócić do miejsc zamieszkania, ale niewielu go posłuchało. Liczni winili nawet lorda i króla Aerysa za klęskę suszy. Powiadali, że to kara boska za królobójstwo. Gdyby mieli nieco oleju w głowach, nie powtarzaliby tego głośno. „Ile oczu ma lord Bloodraven?” – pytano w zagadce, którą Jajo usłyszał w Starym Mieście. „Tysiąc i jedno” – odpowiadano.

Sześć lat temu Dunk widział go na własne oczy w Królewskiej Przystani. Lord jechał na siwym koniu ulicą Stalową, a za nim maszerowało pięćdziesięciu członków formacji Zęby Kruka. Było to, zanim jeszcze Aerys odziedziczył Żelazny Tron i uczynił Bloodravena Ręką Króla, ale lord i tak robił wrażenie, gdy podążał tak z Mroczną Siostrą przy boku. Błada cera i białe włosy sprawiały, że wyglądał niczym żywy trup. Przez policzek i brodę biegło szkarłatne znamię, które miało przypominać kształtem kruka, chociaż Dunk widział tylko zwykłe przebarwienie skóry. Wpatrywał się w lorda tak intensywnie, że królewski czarnoksiężnik musiał to poczuć. Odwrócił się i spojrzał przelotnie na Dunka. Miał tylko jedno oko, całkiem czerwone, po drugim został pusty oczodół, pamiątka spotkania z Bittersteelem na Polu Czerwonej Trawy. Dunkowi wydało się jednak, że dwoje oczu przeniknęło jego ciało, sięgając aż do duszy.

Mimo gorąca wzdrygnął się na to wspomnienie.

–Ser? – zawołał Jajo. – Źle się czujesz?

–Nie – odparł Dunk. – Jestem tak samo zgrzany i spragniony jak one. – Wskazał na pole przy drodze, na którym leżały szeregi skurczonych melonów. Trawa i osty przy szlaku jakoś sobie radziły, lecz z uprawami było o wiele gorzej. Dunk domyślał się, jak

mogą się czuć te melony. Ser Arian powiadał, że co jak co, ale pragnienie błędnemu rycerzowi nie grozi: „W każdym razie tak długo, jak długo ma hełm, aby nałapać do niego deszczówki. Deszczówka to najlepsza woda do picia, chłopcze”. Jednak stary nigdy nie widział podobnego lata, Dunk zaś zostawił swój hełm w Standfast. Było zbyt gorąco, aby nosić coś równie ciężkiego, a i deszczu nie należało raczej oczekiwać. Co ma zrobić błędny rycerz, gdy nawet żywopłoty, wśród których zwykle wędruje, żółkną i wysychają na wiór? – pomyślał.

Może napotkają jakiś strumień, w którym będzie się można wykąpać? Uśmiechnął się, myśląc, jak wspaniale byłoby wskoczyć prosto do wody i wypłynąć z mokrymi włosami, rozradowaną twarzą i ubraniem przylepionym do ciała. Jajo też mógłby zapragnąć kąpieli, chociaż wyglądał raczej na brudnego niż spoconego. W ogóle rzadko się pocił. Poza tym lubił ciepło. W Dornie chadzał z gołym torsem, aż opalił się niczym Dorneńczyk. To jego smocza krew, pomyślał Dunk. Widział ktoś kiedyś spoconego smoka? Sam też chętnie zdjąłby tunikę, ale jemu nie wypadało. Błędny rycerz mógł jechać goły, gdyby tak postanowił, bo tylko on musiałby się wstydzić. Inaczej wszakże było, gdy ktoś złożył przysięgę na miecz. Kiedy przechodzisz na chleb pana, cokolwiek czynisz, dotyka też jego, mawiał ser Arian. Zawsze czyn więcej, niż on od ciebie oczekuje, nigdy mniej. Nie unikaj żadnego zadania ani niewygody. Przede wszystkim jednak nie sprowadzaj wstydu na pana, któremu służysz. W Standfast „chleb” oznaczał kurczaki i piwo, gdyż wszyscy jadali tam tak samo jak ser Eustace.

Dunk nie zdjął więc tuniki i piekł się dalej.

Ser Bennis herbu Brunatna Tarcza czekał przy starym moście.

–Wróciliście więc! – zawołał. – Tak długo was nie było, że myślałem już, że uciekliście ze srebrem starego.

Rycerz siedział na swojej marnej szkapie, żuł prymkę tytoniu i wyglądał, jakby usta miał pełne krwi.

–Musieliśmy szukać wina aż w Dosk – odparł Dunk. – Trakeny najechały Mniejsze Dosk. Zabrały, co mogły, uprowadziły kobiety i spaliły połowę tego, co musiały zostawić.

–Dagon Greyjoy prosi się o stryczek – mruknął Bennis. – Ale kto go powiesi? Widzieliście Pate’a Szczypawę?

–Powiedzieli nam, że nie żyje. Zbrojni zabili go, gdy próbował zapobiec uprowadzeniu córki.

–Niech to cholera! – Bennis odwrócił głowę i splunął. – Raz ją widziałem. Jakby ktoś mnie pytał, nie warto dla niej umierać. Ten głupi Pate był mi winien pół sztuki srebra.

Rycerz wyglądał tak samo jak wtedy, gdy wyjeżdżali, a co gorsza, tak samo śmierdział. Codziennie nosił to samo: brunatne nogawice, zszarganą ciężko bluzę i buty do jazdy konnej. Gdy wkładał pordzewiałą kolczugę, dochodziła do tego jeszcze obszerna brunatna peleryna. Pas miał z wygotowanej skóry, która nie różniła się wiele od tej na jego ogorzalej twarzy. Głowa Bennisa przypomina melony, które mijaliśmy po drodze, pomyślał Dunk. Nawet zęby rycerz miał brunatne od nieustannie żutych liści. W całej tej ciemnej oprawie jasno jarzyły się tylko bladezielone oczy; były niewielkie, blisko osadzone i niewolne od złośliwości.

–Tylko dwie beczki – zauważył. – Ser Bezżyteczny chciał cztery.

–I tak mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy te dwie – odparł Dunk. – Susza dotarła też do Arbor. Słyszeliśmy, że winogrona już na łądogach zmieniają się w rodzyunki. I jeszcze ci rozbójnicy...

–Ser? – wtrącił się Jajo. – Woda zniknęła.

Dunk tak bardzo skupił się na Bennisie, że nawet tego nie zauważył. Pod zwichrowanymi deskami mostu pozostały tylko piasek i kamienie. Dziwne, pomyślał. Gdy jechaliśmy w tamtą stronę, wody nie było wiele, ale płynęła.

Bennis roześmiał się. Śmiać się zwykł na dwa sposoby. Czasem zanosił się gdakaniem, czasem zaś ryczał głośniejszym niż muł chłopaka. Tym razem odezwał się kurczak.

–Strumień wysechł, gdy was nie było. Wiecie, mamy suszę.

Dunk był rozczarowany. Nici z kąpieli. Zeskoczył na ziemię. Co będzie z plonami? – pomyślał. Połowa studni w Reach już wyschła, poziom rzek opadał z dnia na dzień. Nawet potężny Mander i Czarny Nurt nikły w oczach.

–Paskudztwo ta woda – mruknął Bennis. – Raz wypilem trochę i chorowałem potem jak pies. Wino jest lepsze.

–Nie dla owsa czy jęczmienia. Ani dla marchwi, cebuli, kapusty. Nawet winorośl potrzebuje wody. – Dunk pokręcił głową. – Jak mógł wyschnąć tak szybko? Nie było nas tylko sześć dni.

–Już wtedy nie było w nim wiele wody, Dunk. Mniej niż moich szczyń co rano.

–Nie mów do mnie Dunk – powiedział Dunk, zastanawiając się, dlaczego zaczęło mu to przeszkadzać. Bennis był człowiekiem podłym i bawiło go dokuczanie innym. – Mówiłem ci, jestem ser Duncan Wysoki.

–Dla kogo? Dla twojego łysego szczeniaka? – Spojrzał na Jajo i roześmiał się gdakliwie. – Jesteś wyższy niż za czasów Arłana z Pennytree, ale dla mnie ciągle Dunk.

Dunk potarł kark i spojrzał na kamienie.

–Co robimy?

–Zawieź wino i powiedz ser Bezżytecznemu, że strumień wysechł. Studnie w Standfast ciągle pełne są wody i pragnienie mu nie grozi.

–Nie nazywaj go Bezżytecznym. – Dunk lubił starego rycerza. – Sypiasz pod jego dachem i jesteś mu winien szacunek.

–Twojego szacunku wystarczy za nas dwóch, Dunk – powiedział Bennis. – Będę mówił na niego, jak mi się podoba.

Szare deski mostu zaskrzypiały rozgłośnie pod Dunkiem, gdy poszedł rzucić okiem na puste koryto. Między kamieniami ciemniało kilka kałuż, żadna nie była większa od jego dłoni.

–Tam i tam leżą martwe ryby, widzisz?

Ich woń przypomniała mu o trupach widzianych na rozstaju.

–Widzę, ser – powiedział Jajo.

Dunk zeskoczył z mostu, przykucnął i odwrócił jeden z kamieni. Był ciepły i suchy od góry, mokry i zabłocony od spodu.

–Woda musiała zniknąć niedawno – rzekł, wstając. Cisnął kamień na brzeg, gdzie uderzył głucho o wyschniętą ziemię i wzbił chmurę kurzu. – Gleba pęka po bokach koryta, ale pośrodku jest miękka. Te ryby jeszcze wczoraj były żywe.

–Pennytrees mawiał, że w myśleniu jesteś powolny niczym żubr, o ile pomnę. – Ser Bennis splunął krwawo na kamienie. Plwocina zalśniła w słońcu. – Tacy jak ty nie powinni za wiele kombinować, bo się zmęczą.

„Skóra gruba jak mury zamku i powolny w myśleniu niczym żubr”, przypomniał sobie Dunk. Ser Arian rzeczywiście tak mówił, jednak był dobrym człowiekiem, nawet gdy chciał komuś dociąć. W ustach ser Bennis’a te same słowa brzmiały całkiem inaczej.

–Ser Arian nie żyje od dwóch lat – powiedział Dunk. – A ja nazywam się teraz ser Duncan Wysoki. – Kusilo go, aby podnieść rękę na brunatnego rycerza, rozkwasić mu

nos i wybić te czerwone pieńki zębów. Tamten był może i silny, ale Dunk przerastał go o co najmniej półtorej stopy i ważył ze cztery kamienie więcej. Mógł być słabowity na umyśle, ale na pewno był wielki. Czasami miał wrażenie, że połowa drzwi w Westerosie jest dla niego za niska, a w belki stropowe w gospodach uderzał wszędzie od Dorne’u po Przesmyk. Aemon, brat jego giermka, zmierzył go w Starym Mieście i powiedział, że brakuje mu cała do siedmiu stóp. Ale to było pół roku temu, mógł więc przez ten czas urosnąć. To jedno wychodziło mu naprawdę dobrze, jak mawiał stary.

Podszedł do Groma i wskoczył na siodło.

–Jajo, wracaj do Standfast z winem. Ja sprawdzę, co się stało z wodą.

–To normalne, że strumienie wysychają – powiedział Bennis.

–Chcę tylko zerknąć...

–Tak jak zajrzałeś pod kamień? Nie trzeba odwracać kamieni, Dunk. Nigdy nie wiadomo, co spod nich wypełźnie. Mamy w Standfast wygodne sienniki, jajecznicę prawie każdego dnia i mało co do roboty poza słuchaniem, jak wielki był kiedyś ser Bezużyteczny. Dobrze jest. Daj sobie spokój, mówię. Strumień wysechł, i tyle.

Dunk był jednak na swój sposób uparty.

–Ser Eustace czeka na wino – rzekł do chłopaka. – Powiedz mu, gdzie pojechałem.

–Powiem, ser.

Jajo szarpnął muła, który zastrzygł uszami, ale zaraz ruszył przed siebie. Chce się pozbyć tych baryłek z grzbietu, pomyślał Dunk. Trudno byłoby mieć o to do zwierzaka pretensje.

Strumień płynął ku północnemu wschodowi – gdy płynął, oczywiście – Dunk zwrócił więc konia na południowy zachód. Nie ujechał nawet dziesięciu jardów, gdy Bennis go dogonił.

–Lepiej dopilnuję, żeby cię nie powiesili – rzekł, pakując kolejną Prymkę do ust. – Za tamtymi wierzbami zaczyna się na prawym brzegu pajęczy kraj.

–Zostanę na naszym.

Dunk nie chciał zatargu z panią Zimnej Fosy. W Standfast miała złą sławę. Zwano ją Czerwoną Wdową, bo pochowała wielu mężów. Stary Sam Stoops twierdził, że jest czarownicą i trucicielką, a nawet jeszcze gorzej. Dwa lata wcześniej wysłała rycerzy przez strumień, aby pojмали jednego z ludzi Osgreya, który ukradł owcę. „Gdy mój pan pojechał upomnieć się o niego, kazano mu szukać nieszczęśnika na dnie fosy”, powiedział Sam. „Kazała zaszyć biednego Dake’a w worku z kamieniami i utopiła go. To było zaraz po tym, jak ser Eustace przyjął ser Bennis’a na służbę, aby trzymał pajęki z dala od naszej ziemi”.

Grom kroczył miarowo pod palącym słońcem. Niebo było intensywnie niebieskie, bez śladu chmur. Koryto strumienia wilo się między skalistymi pagórkami i smutnymi wierzbami, mijało nagie wzgórza pokryte spaloną trawą i pola z wysychającym na wiór zbożem. Godzinę później stanęli na skraju niewielkiego Lasu Wata. Z daleka zieleń wyglądała soczyście i zapraszająco, przywodząc Dunkowi na myśl cieniste wąwozy i szemrzące strumienie, jednak gdy wjechali między drzewa, przekonali się, że te też cierpią z braku wody. Gałęzie zwieszały się ku ziemi, niektóre wielkie dęby gubiły liście, a połowa sosen zbrązowiła niczym ser Bennis. Wokół ich pni utworzyły się pierścienie opadłych igieł. Jest coraz gorzej, pomyślał Dunk. Jedna iskra i to wszystko pójdzie z dymem.

Niemniej brzegi Wody Szachownicy nadal porastały gęsto kolczaste, splątane krzewy, wśród których widać było też pokrzywy, wrzośce i młode wierzby. Miast przedzierać się

przez chaszczę, przeszli na brzeg Zimnej Fosy, gdzie wykarczowano drzewa, aby stworzyć w ich miejsce pastwiska. Na pożółkłej trawie, pośród wyblakłych kwiatów, pasło się kilka czarnonosych owiec.

–Nie znam drugiego tak głupiego zwierzaka jak owca – odezwał się ser Bennis. – Chyba masz z nimi coś wspólnego, co, Dunk?

Gdy Dunk nie odpowiedział, Bennis zachichotał gdakliwie.

Dwa staje dalej na południe natrafili na tamę.

Nie była tak wielka, jak się to czasem zdarza, ale wyglądała solidnie. Przez koryto strumienia przerzucono dwie drewniane barykady, przestrzeń pomiędzy nimi zaś wypełniono kamieniami i ubitą mocno ziemią. Za tamą rozlewało się z wolna jezioro. Wykopanym z boku kanałem woda płynęła na pola lady Webber. Dunk stanął w strzemionach, żeby lepiej widzieć. Odbicia słońca w wodzie zdradziły, że podobnych wykopów jest więcej; rozbiegały się we wszystkie strony niczym sieć pająka. Kradną nam strumień, pomyślał. Widok oburzył go, szczególnie gdy dotarło doń, że drzewa użyte do budowy tamy musiały pochodzić z Lasu Wata.

–I zobacz, do czego doprowadziłeś, Dunk – mruknął Bennis. – Mogłeś uznać, że strumień po prostu wysechł, ale nie. Może na razie chodzi tylko o wodę, ale niebawem poleje się też krew. Najpewniej twoja i moja. – Brunatny rycerz wyciągnął miecz. – Cóż, teraz już trudno. Widzę paru po trzykroć przeklętych kopaczy. Dobrze będzie trochę ich nastraszyć. – Uderzył konia ostrogami i pogalopował przez trawę.

Dunk nie miał wyboru, pojechał za nim. Przy boku miał miecz ser Arlana, porządny kawał stali. Jeśli ci ludzie mają choć trochę oleju w głowie, to uciekną, pomyślał. Grom wzbijał kopytami tumany kurzu.

Jeden z kopaczy upuścił na ich widok łopatę, ale to było wszystko. Łącznie były ich ze dwie dziesiątki, niskich i wysokich, starych i młodych. Wszyscy byli spaleni słońcem. Gdy Bennis podjechał blisko, ustawili się w najeżony łopatami i kilofami szereg.

–To ziemia pani Zimnej Fosy! – zawołał jeden z nich.

–A to strumień Osgreya. – Bennis wskazał mieczem. – Kto postawił tę przeklętą tamę?

–Maester Cerrick – odparł któryś z młodszych robotników.

–Nie – odezwał się starszy. – Stary pokazał nam, jak to zrobić, ale to my ją postawiliśmy.

–No to ją teraz rozbierzcie.

Spojrzeli na niego ponurym, wyzywającym wzrokiem. Jeden otarł pot z czoła, ale nikt się nie odezwał.

–Macie kłopoty ze słuchem? – spytał Bennis. – Muszę obciąć parę uszu, żeby dotarło? Kto pierwszy?

–To ziemia lady Webber – powiedział uparty i zuchwały stary. – Nie masz prawa na niej przebywać. Utnij choć jedno ucho, a moja pani utopi cię w worku.

Bennis zbliżył się do niego.

–Nie widzę tu żadnych pań, a tylko paru pyskatek wieśniaków. – Dotknął sztychem nagiej, opalonej piersi mężczyzny, wytaczając z niej kilka kropli krwi.

Posuwa się za daleko, pomyślał Dunk.

–Opuść miecz – ostrzegł go. – To nie jego pomysł. On tylko nimi kieruje.

–Z myślą o zbożu, ser – powiedział wielkouchy kopacz. – Jęczmień umiera. I grusze też.

–Może jednak być i tak, że to wy umrzecie.

–Nie wystraszy nas takie gadanie – powiedział stary.

–Nie? – Bennis ze świstem przeciął mieczem powietrze i rozorał mężczyźnie policzek od ust do ucha. – Powiedziałem, że może nie tylko grusze zginą, ale wy także.

Oblicze kopacza spłynęło krwią.

Nie powinien tego robić, pomyślał Dunk, lecz opanował złość. Ostatecznie był po tej samej stronie co Bennis.

–Uciekajcie stąd! – zawołał do kopaczy. – Wracajcie do zamku swojej pani!

–Biegiem! – ponaglił ich Bennis.

Trzech rzuciło narzędzia i posłuchało. Inny z mężczyzn jednak, opalony i krzepki, uniósł motykę.

–Ich jest tylko dwóch – powiedział.

–To głupota iść z łopatami na miecze, Jorgen – rzekł stary, przyciskając dłoń do policzka. Krew ciekła mu między palcami. – Ale to jeszcze nie koniec. Niech wam się nie wydaje, że sprawa skończona.

–Jeszcze jedno słowo, a koniec będzie z tobą.

–Nie chcieliśmy was krzywdzić – powiedział Dunk do starego. – Chcemy tylko wody. Naszej wody. Powiedzcie to swojej pani.

–Och, na pewno jej powiemy, ser – obiecał Jorgen, ciągle trzymając motykę w dłoniach. – Na pewno.

W drodze powrotnej przecięli Las Wata wdzięczni za tę odrobinę cienia rzucanego przez drzewa, ale i tak o mało się nie ugotowali. Zapewne żyła tu zwierzyna płowa, lecz jedynymi zwierzętami, jakie napotkali, były muchy. Krążyły całą chmarą wkoło twarzy Dunka i próbowały wlaźć Gromowi do ślepi, co nieustannie irytowało wielkiego rumaka. Powietrze stało nieruchomo i trudno nim było oddychać. W Dornie nawet przy ciepłych dniach noce były tak zimne, że człowiek zamarzał mimo peleryny, pomyślał Dunk. Jednak w Reach po nastaniu ciemności robiło się niewiele chłodniej, nawet daleko na północy.

Schylając głowę przed nisko zwieszoną gałęzią, Dunk zerwał liść i potarł go w palcach. Rozpadł się na kawałeczki niczym tysiacletni pergamin.

–Nie musiałeś ranić tamtego człowieka – powiedział do Bennis.

–Ledwie go drasnąłem, aby pilnował języka. Powinienem poderznąć mu gardło. Wtedy reszta uciekłaby jak króliki i moglibyśmy na nich zapolować.

–Zabiłbyś dwudziestu ludzi? – spytał Dunk z niedowierzaniem.

–Dwudziestu dwóch. To więcej, niż masz palców u rąk i nóg, Dunk. Trzeba by ich zabić, żeby się nie wygadali – dodał Bennis, gdy objeżdżali powalone drzewo. – Ser Bezużytecznemu zaś powiedzielibyśmy, że strumyk po prostu wysechł.

–Ser Eustace’owi. Okłamałbyś go?

–A dlaczego nie? Kto powiedziałby mu prawdę? Muchy? – Bennis skrzywił się nieprzyjemnie. – On nigdy nie opuszcza wieży, chyba że schodzi do chłopców.

–Przysięgałeś mi. Jesteś zawsze winien mi prawdę.

–Zależy jaką. Prawda nie zawsze służy, Dunk. – Splunął. – Bogowie zsyłają suszę. Człowiek nie ma jak sprzeciwić się bogom. A Czerwona Wdowa... Powiemy Bezżytecznemu, że ta suka wzięła jego wodę, a on uniesie się honorem, żeby ją odebrać. Sam zobaczysz. Uzna, że musi coś zrobić.

–Owszem. Nasz lud potrzebuje tej wody, żeby nie stracić zbiorów.

–Nasz lud? – Ser Bennis zaśmiał się. – Kiedy Bezżyteczny zrobił cię dziedzicem?

Chyba musiałem wtedy mieć służbę. Jak liczny jest ten lud? Dziesięć sztuk? Chyba liczysz też syna Jeyne'a, tego słabego na umyśle, co nie wie, za który koniec topora złapać. Zrobimy wszystkich rycerzami i będziemy mieli połowę tego co Wdowa, nie wspominając jej giermków, łuczników i reszty. Będziesz potrzebował wszystkich palców, żeby ich policzyć. I jeszcze palców twojego łysego chłopaka.

–Umiem liczyć bez palców.

Dunk miał już dość upału, much i towarzystwa brunatnego rycerza. Może i Bennis przestawał kiedyś z ser Arlanem, pomyślał, ale ludzie jednak zmieniają się z latami. Czasem na gorsze. Pogonił konia i wysforował się naprzód, z dala od smrodu.

Standfast zwano zamkiem jedynie przez uprzejmość. Budowla znosiła się wprawdzie dumnie na szczycie skalistego wzgórza i widać ją było na wiele staj wokół, ale w rzeczywistości składała się tylko z wieży z przybudówkami. Część zapadła się na dodatek już wieki wcześniej i trzeba ją było odbudowywać, wskutek czego północna i zachodnia ściana były w górnej partii z wyraźnie jaśniejszego kamienia. Podczas remontu dodano jeszcze wieżyczki, ale tylko dwie. Pozostałe dwa narożniki zdobiły pradawne rzeźby tak nadwerżone przez pogodę, że trudno było rozpoznać, co właściwie przedstawiają. Dach z sośniny był płaski, ale w wielu miejscach wypaczony i przeciekał przy byle deszczu.

Od stóp wzgórza prowadziła do wieży ścieżka kręta i tak wąska, że dwóch ludzi nie mogło nią jechać obok siebie. Tym razem Dunk prowadził, Bennis zaś podążał za nim. Nad sobą Duncan dojrzał Jajo, który stał na skalnym występie w słomkowym kapeluszu.

Zatrzymali się przed przytuloną do wieży małą stajnią z obrzuconej tynkiem plecionki. Obrastający purpurowym mchem dach prawie przygniatał ją do ziemi. Obok muła stał w środku tylko jeden koń, siwy wałach starego. Jajo i Sam Stoops zanieśli już prawdopodobnie wino do środka. Po podwórku kręciły się kury. Jajo podbiegł do Dunka.

–Wiecie już, co się stało ze strumieniem?

–Czerwona Wdowa przegrodziła go tamą – powiedział Dunk, zsiadając z konia i oddając chłopakowi wodze. – Nie pozwól mu wypić za wiele od razu.

–Oczywiście, ser.

–Chłopcze – zawołał ser Bennis. – Weź też mojego konia. Jajo spojrzał na niego zuchwale.

–Nie jestem pańskim giermkim.

Kiedyś napyta sobie biedy przez ten niewyparzony język, pomyślał Dunk.

–Weź jego konia albo uszy ci poobrywam.

Jajo skrzywił się, ale zrobił, co mu kazano. Jednak gdy sięgał po wodze, Bennis chrząknął, splunął soczyscie i trafił go w stopę.

–Naplułeś na mnie, ser – powiedział Jajo, mierząc rycerza lodowatym spojrzeniem.

Bennis zlaźł na ziemię.

–Tak. Następnym razem plunę ci w twarz. Nie lubię takiego gadania jak twoje.

Dunk dojrzał budzące się w oczach chłopaka iskiereki gniewu.

–Zajmij się końmi, Jajo – rzekł, nie czekając, aż zrobi się jeszcze gorzej. – Musimy porozmawiać z ser Eustace’em.

Jedyne wejście do Standfast wiodło przez obite żelazem dębowe drzwi dwadzieścia stóp nad nimi. Dolne stopnie czarnych kamiennych schodów były tak wytarte, że aż potworzyły się w nich zagłębienia. Wyżej przechodziły w drewniane schody, które w razie kłopotów można było wciągać niczym most zwodzony. Dunk rozpędził kury i ruszył, przeskakując po dwa stopnie.

Standfast było większe, niż wydawało się z daleka. Sporą część wzgórza zajmowały obszerne lochy i piwnice. Sama wieża wyrastała na cztery piętra, z czego dwa górne miały okna i balkony, dolne zaś tylko wąskie otwory strzelnicze. W środku było chłodno i tak mrocznie, że Dunk musiał poczekać chwilę, aż jego oczy się przyzwyczają. Żona Sama Stoopsa klęczała przy palenisku i wygarniała popiół.

–Ser Eustace jest na górze czy na dole? – spytał ją Dunk.

–Na górze, ser – odparła stara kobieta; była tak przygarbiona, że głowę trzymała poniżej ramion. – Właśnie wrócił od chłopców w jeżynach.

Chłopcy – Edwyn, Harrold i Addam – byli synami Eustace’a Osgreya. Edwyn i Harrold zostali rycerzami, Addam tylko giermkim. Wszyscy zginęli piętnaście lat temu na Polu Czerwonej Trawy, pod koniec rebelii Blackfyre’a.

–Dobłą śmiercią zginęli, walcząc za króla – powiedział kiedyś Dunkowi ser Eustace. – Przywiozłem ich do domu i pochowałem między krzewami jeżyn.

Tam też spoczywała jego żona. Ile razy otwierał nową baryłkę wina, schodził na dół, aby ułać każdemu odrobinę na grób. „Za króla!” wołał głośno, nim sam wypił.

Sypialnia ser Eustace’a mieściła się na czwartym piętrze wieży, tuż nad salą wielką. Dunk wiedział, że właśnie w sali wielkiej go znajdzie, pośród skrzyń i baryłek. Na grubych szarych ścianach wisiały zardzewiała broń i zdobyczne sztandary, trofea ze stoczonych całe stulecia wcześniej bitew, o których już tylko sam ser Eustace potrafił coś powiedzieć. Połowę sztandarów pokrywała pleśń, wszystkie zaś były wyblakłe i zakurzone. Żywe niegdyś barwy ustąpiły miejsca odcieniom szarości i zieleni.

Gdy Dunk dotarł na górę, ser Eustace próbował czyścić szmatką zniszczoną tarczę. Chwilę potem w komnacie wraz ze swym zapachem zjawił się Bennis. Oczy starego rycerza pojaśniały jakby, gdy ujrzał Dunka.

–Mój dobry olbrzym – powiedział. – I odważny ser Bennis. Chodźcie spojrzeć, co znalazłem na samym dnie skrzyni. Prawdziwy skarb, chociaż w strasznym stanie.

Miał na myśli tarczę, czy raczej to, co z niej zostało. Azostało niewiele. Prawie połowa zniknęła, odrąbana, reszta zaś poszarzała i popękała. Żelazną obręcz trawiła rdza, drewno znaczyły ślady po kornikach. Tu i ówdzie widać było jeszcze plamy farby, zbyt jednak nieliczne, aby cokolwiek orzec o herbie.

–Panie – powiedział Dunk. Osgreyowie od wieków nie byli już władcami, niemniej ser Eustace lubił, gdy przypominano mu o dawnej świetności jego rodu. – Co to jest?

–Tarcza Małego Lwa. – Stary potarł obręcz, zrywając nieco płatów rdzy. – Ser Wilbert Osgrey nosił ją podczas bitwy, w której zginął. Jestem pewien, że znacie tę historię.

–Nie, panie – rzekł Bennis. – Jednak nie. Mały Lew? Czy to był karzeł albo ktoś taki?

–W żadnej mierze – powiedział stary, ruszając wąsami. – Ser Wilbert był roslym i silnym mężczyzną. I wielkim rycerzem. Miano nadano mu w dzieciństwie, jako najmłodszemu z pięciu braci. W jego czasach siedmiu królów władało ciągle Siedmioma Królestwami, Wysogród i Rock zaś były często w stanie wojny. Nami rządząli wówczas zieloni królowie, Ogrodnicy. Byli potomkami starego Gartha Zielonorękiego, a ich znakiem była zielona dłoń na białym polu. Gyles Trzeci poprowadził swoje wojska na wschód, przeciwko Burzowemu Królowi, i wszyscy bracia Wilberta poszli z nim, bo w tamtych czasach lew z szachownicą zawsze towarzyszył zielonej dłoni, gdy król Reach ruszał do bitwy. Jednak gdy Gyles był daleko, król Rock dojrzał sposobność, aby urwać kawałek Reach. Zebrał oddziały na zachodzie i najechał nas. Osgreyowie byli marszałkami Północnej Marchii, zatem to Mały Lew musiał wyjść mu naprzeciw.

Lannisterów prowadził król Lancel, czwarty, a może piąty. Ser Wilbert zastąpił mu drogę i zmusił do zatrzymania się. „Dalej nie pójdziesz”, powiedział. „Nie chcemy cię tutaj, a ja zabraniam ci deptać ziemię Reach”. Ale Lannister kazał swoim oddziałom ruszać dalej. Walczyli pół dnia, złoty lew i lew z szachownicą. Lannister nosił valyriański miecz, z którym żadne zwykłe żelazo nie mogło się równać, Mały Lew otrzymał więc srogie cięgi. Stracił tarczę i miecz i w końcu, brocząc krwią z wielu ran, rzucił się na wroga. Pieśniarze powiadają, że król Lancel przeciął go prawie na pół, ale zanim Mały Lew zginął, zdążył znaleźć lukę w pancerzu króla i wrazić mu sztylet pod pachę. Utraciwszy władcę, zachodni wycofali się i Reach zostało ocalone. – Stary pogłaskał szczątki tarczy tak czule, jakby to było dziecko.

–Tak, panie – rzekł chrapliwie Bennis. – Przydałby się nam dzisiaj ktoś taki. Dunk i ja wyprawiliśmy się w górę strumienia, gdyż wysechł nagle i wcale nie od suszy.

Stary odłożył tarczę.

–Opowiedzcie. – Zajął miejsce i pokazał im, aby zrobili to samo.

Potem słuchał z uwagą, gdy brunatny rycerz zdawał relację. Mimo wieku trzymał się prosto jak kopia, z uniesioną brodą.

W młodych latach ser Eustace Osgrey musiał być ucieleśnieniem rycerskości, wysoki i przystojny, z szerokimi barami. Czas i strapienia naznaczyły go, ale nie przygięły ku ziemi. Nadal był postawny, a za sprawą ostrych rysów przypominał wiekowego orła. Krótko przycięte włosy okryła siwizna, jednak okalające usta wąsy pozostały barwy popiołu. Brwi

były tego samego koloru, a w nieco jaśniejszych oczach malował się nieustannie smutek.

Jeszcze bardziej posmutniał, gdy Bennis wspomniał o tamie.

–Ten strumień od tysięcy lat nosi nazwę Woda Szachownicy. Może nawet dłużej. Łapałem w nim ryby jako chłopak, tak samo wszyscy moi synowie. W gorące letnie dni Alysanne lubiła pluskać się tam na płycznach. – Alysanne była jego córką, która zgasła wiosną. – Na jego brzegu po raz pierwszy pocałowałem dziewczynę. Była moją kuzynką, najmłodszą córką mojego stryja z Osgreyów znad Jeziora Liści. Wszyscy oni już nie żyją, nawet ona. – Wąsy mu zadrżały. – Tego nie można tolerować, panowie. Ta kobieta nie zabierze mi wody. Nie dostanie mojej szachownicowej wody.

–Tama jest solidna, panie – ostrzegł ser Bennis. – Nie dalibyśmy z ser Dunkiem rady zburzyć jej w godzinę, nawet mając łysego chłopaka do pomocy. Trzeba będzie lin, oskardów i toporów. I tuzina ludzi. A to tylko do pracy, nie do walki.

Ser Eustace zapatrzył się na tarczę Małego Lwa. Dunk odchrząknął.

–Panie, skoro o tym mowa, trafiliśmy też na ludzi z łopatami i...

–Dunk, nie zwracaj naszemu panu głowy błahostkami – powiedział Bennis. – Dałem tamtemu głupcowi nauczki i tyle.

Ser Eustace uniósł gwałtownie głowę.

–Jaką nauczki?

–Naznaczyłem go mieczem. Drasnąłem mu policzek, panie. Stary rycerz spojrzał na niego przeciągle.

–To... było nierozsądne, ser. Ta kobieta ma serce pająka. Zamordowała trzech swoich mężów. Wszyscy jej bracia zmarli jeszcze w pieluchach. Tych było pięciu, a może sześciu, nie pamiętam dokładnie. Stali pomiędzy nią a władztwem na zamku. Sama zdarłaby skórę z każdego niepokornego wieśniaka, ale żeby ktoś ranił jej ludzi... Nie ścierpi takiej obrazy. Nie miej złudzeń. Pośle po ciebie, jak posłała po Lema.

–Dake'a, panie – powiedział Bennis. – Za wybaczeniem, pan go znał, ja nie, ale na imię miał Dake.

–Jeśli mój pan sobie zażyczy, mogę pojechać do Złotego Gaju i powiedzieć o tej tamie lordowi Rowanowi – odezwał się Dunk.

Rowan był panem lennym starego. Czerwona Wdowa czyniła zamachy i na jego ziemie.

–Rowan? Nie, nie ma co szukać u niego pomocy. Siostra lorda Rowana wyszła za

Wendela, kuzyna lorda Wymana, jest więc on spokrewniony z Czerwoną Wdową. Poza tym nie lubi mnie. Ser Duncanie, rankiem objedziesz moje wioski i zbierzesz wszystkich mężczyzn zdolnych do walki. Jestem stary, ale jeszcze żyję. Ta kobieta przekona się wkrótce, że lew z szachownicą ciągle ma pazury!

Dwa, pomyślał ponuro Dunk. I ja jestem jednym z nich.

Ziemie ser Eustace'a obejmowały trzy liche wioski, z których każda składała się z gromady chałup, kilku owczarni i chlewików. W największej osadzie wznosił się nawet dumnie kryty strzechą; jednoizbowy sept, w którym nieudolnie wymalowano węglem na ścianach wizerunki Siedmiu. Mudge, przygięty do ziemi świniopas, który był kiedyś w Starym Mieście, odprawiał tam co siedem dni nabożeństwa. Dwa razy do roku zjawiał się prawdziwy septon, aby odpuszczać grzechy w imieniu Matki. Lud cieszył się z rozżeszenia, ale nie cierpiał wizyt septona, bo trzeba go było żywić.

Ujrawszy Dunka i Jajo, też za bardzo się nie uradowali. Dunka znali jako nowego rycerza ser Eustace'a, ale nie na tyle, aby podać mu chociaż kubek wody. Większość mężczyzn była w polu, z chat wyszły im więc na powitanie głównie kobiety i dzieci. I jeszcze kilku staruszków, którzy nie nadawali się już do pracy. Jajo niósł porzecz Osgreyów – szachownicowego, złotozielonego lwa stojącego na tylnych łapach na białym polu.

–Przybyliśmy ze Standfast z wezwaniem od ser Eustace'a – powiedział Dunk. – Wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni pomiędzy piętnastym a pięćdziesiątym rokiem życia mają stawić się jutro o poranku pod wieżą.

–Mamy wojnę? – spytała chuda kobieta z dwojgiem dzieci chowających się za jej spódnicami i trzecim przy piersi. – Znowu czarny smok nadciąga?

–Nie ma żadnych smoków, czarnych ani czerwonych – odparł Dunk. – To sprawa między lwem z szachownicą, a pająkami. Czerwona Wdowa zabrała waszą wodę.

Kobieta pokiwała głową, ale spojrzała nieufnie, gdy Jajo zdjął kapelusz, by się powachlować.

–Ten chłopak nie ma włosów. Chory jest?

–Ogolony – powiedział Jajo. Włożył z powrotem kapelusz, pogonił muła i powoli odjechał.

Chłopak jest dzisiaj w kiepskim nastroju, pomyślał Dunk. Od wyjazdu nie odezwał się prawie. Dunk popędził Groma i szybko zrównał się ze swoim giermkim.

–Zły jesteś, że nie wziąłem wczoraj twojej strony w sporze z ser Bennisem? – spytał, gdy wędrowali do następnej wioski. – Myślę o nim to samo co ty, ale on jest rycerzem. Powinieneś zachowywać się wobec niego uprzejmie.

–Jestem twoim giermkim, nie jego – rzekł chłopak. – A on jest brudny, złośliwy i szczypie mnie.

Gdyby wiedział, kim jesteś naprawdę, zeszczałby się ze strachu, pomyślał Dunk.

–Mnie też kiedyś szczypał.

Dunk dopiero teraz sobie o tym przypomniał. Ser Bennis i ser Arian należeli swego czasu do oddziału rycerzy wynajętego przez kupca z Dorne'u do ochrony karawany

podążającej z Lannisport do Przełęczu Księcia. Dunk nie był wtedy starszy niż Jajo, chociaż wyższy. Też szczypał mnie pod pachą, pomyślał, aż zostawał ślad. Palce miał jak obcęgi. Nigdy jednak nie powiedziałem o tym ser Arlanowi. Jeden z rycerzy zniknął wtedy w pobliżu Kamiennego Septu i powiadano, że to Bennis wypatroszył go w trakcie kłótni.

–Jeśli jeszcze raz cię uszczyplnie, powiedz mi, a skończę z tym. Póki co możesz bez wysiłku zajmować się i jego koniem.

–Koniem musi się ktoś zajmować – zgodził się Jajo. – Bennis nigdy go nie szczytkuje ani nie sprząta jego boksu. Nie nadał mu nawet imienia!

–Niektórzy rycerze nie nazywają swoich koni. W ten sposób, gdy rumak padnie w walce, łatwiej znieść żal. Wiadomo, że konie się zmieniają, ale zawsze to przykre stracić wiernego przyjaciela. – W każdym razie tak mówił stary, który jednak nigdy nie stosował się do własnej rady. Nadawał imiona wszystkim swoim koniom, pomyślał Dunk, który postępował tak samo. – Zobaczymy, ilu stawi się pod wieżą... Ale czy będzie ich pięciu, czy pięćdziesięciu, również nimi będziesz musiał się zajmować.

–Mam służyć chłopstwu? – spytał z oburzeniem Jajo.

–Nie służyć. Pomagać. Musimy nauczyć ich walczyć. – O ile wdowa da nam dość czasu, pomyślał Dunk. – Jeśli bogowie okażą się łaskawi, paru będzie już miało za sobą nieco wojaczki, ale większość okaże się zielona jak trawa. Bardziej nawykli do motyki niż włóczni. Tymczasem pewnego dnia może od nich zależeć nasze życie. Ile lat miałeś, gdy pierwszy raz wzięłeś miecz do ręki?

–Mały byłem, ser. A miecz dostałem z drewna.

–Ci tutaj chłopcy też walczą na drewniane miecze, tyle że zrobione z kijów i ułamanych gałęzi. Niech cię nie zwiodą, Jajo. Mogą nie znać nazw poszczególnych części pancerza ani znaków wielkich rodów, nie wiedzą też raczej, który król zniósł prawo pierwszej nocy, lecz i tak traktuj ich z szacunkiem. Jesteś giermkim szlachetnej krwi, jednak ciągle jeszcze chłopcem. Większość z nich to już mężczyźni, a mężczyzna ma swoją dumę, nawet gdy jest bardzo nisko urodzony. Gdybyś poszedł między nich, też okazałbyś się ignorantem. Nie umiałbyś skopać dobrze zagonu ani ostrzyc owcy. Ani nazwać wszystkich ziół i kwiatów

rosnących w Lesie Wata.

Chłopak zastanowił się chwilę.

–Mógłbym nauczyć ich herbów rodowych i opowiedzieć, jak królowa Alysanne przekonała króla Jaehaerysa, aby zniósł prawo pierwszej nocy. A oni pokazać mi, które zioła najlepiej nadają się do produkcji trucizn i które jagody można bezpiecznie jeść.

–Mogliby – zgodził się Dunk. – Jednak zanim dojdiesz do króla Jaehaerysa, zajmij się nauką władania włócznią. I nie jedz niczego, czego nie tknie Maester.

Następnego dnia pośród grzebiących w ziemi kurczaków pojawił się w Standfast tuzin kandydatów na wojowników. Jeden okazał się za stary, dwaj byli za młodzi, pewien chudy chłopak zaś okazał się chudą dziewczyną. Dunk odesłał tych wszystkich do wiosek, zatrzymując ośmiu: trzech Watów, dwóch Willów, Lema, Pate'a i Wielkiego Roba, który trochę szwankował na umyśle. Jak mógł, tak starał się ukryć rozczarowanie. Nigdzie w okolicy nie było widać ani jednego z tych przystojnych, młodych wieśniaków, o których zwykły marzyć w pieśniach wysoko urodzone damy. Ci zaś mogliby konkurować ze sobą, jeśli chodzi o obrośnięcie brudem. Na dodatek Lem miał pięćdziesiąt lat, jeśli nie więcej, Pate natomiast był czemuś płacziwy, i tylko tych dwóch parało się wcześniej żołnierką. Obaj wyruszyli z ser Eustace'em i jego synami do walki w czasie rebelii Blackfyre'a.

Pozostała szóstka była dokładnie tak zielona, jak Dunk się obawiał. Cała ósemka miała wszy, a na sam koniec okazało się, że dwaj z trzech Watów to bracia.

–Domyślam się, że wasza matka nie знаła innego imienia – zachichotał Bennis.

Co do broni, przynieśli jedną kosę, trzy motyki, stary nóż i kilka drewnianych pałek. Lem miał zaostrzony kij, który mógłby ująć za włócznię, a jeden z Willów nadmienił, że celnie rzuca kamieniami.

–I bardzo dobrze, posłużysz za katapultę – stwierdził Bennis. Od tej chwili mężczyznę nazywano Katapultą.

–Czy któryś z was umie się posługiwać łukiem? – spytał Dunk. Mężczyźni wbili oczy w pokrytą kurzymi odchodami ziemię.

–Przepraszam, ser – powiedział w końcu płacziwy Pate. – Nasz pan nie pozwala nam mieć łuków. Tutejsze sarny są dla Osgreyów, a nie dla takich jak my.

–Dostaniemy miecze, hełmy i kolczugi? – spytał najmłodszy z trzech Watów.

–Jasne, że tak – powiedział Bennis. – Musicie tylko zabić jakiegoś rycerza Wdowy i obedrzeć go z rynsztunku. I pamiętajcie, żeby sprawdzić tyłek jego konia. Niektórzy trzymają tam swoje srebro. – Uszczyptała młodzika pod pachą, aż ten pisnął z bólu.

Następnie poprowadził wszystkich do Lasu Wata, aby naciąć nieco włóczni.

Gdy wrócili, mieli osiem zahartowanych w ogniu włóczni różnej długości i prymitywne tarcze ze splecionych gałęzi. Ser Bennis też zrobił sobie włócznię i zaczął pokazywać, jak nią rzucać i jak parować za jej pomocą ciosy. I gdzie najlepiej wrazić czubek, by zabić.

–Najlepiej mierzyć w gardło albo brzuch. – Uderzył się pięścią w pierś. – Tutaj mieści się serce. Wystarczy trafić. Tyle że po drodze są jeszcze żebra. Brzuch zaś jest miękki i wrażliwy. Od wyprucia flaków umiera się powoli, ale nieodwołalnie. Nie znam nikogo, kto przeżyłby z wiszącymi jelitami. Niektórzy będą tak głupi, aby odwrócić się do was tyłem. Wtedy należy mierzyć między łopatki albo w nerki.

To jest tutaj. Po rozwaleniu nerek też się umiera.

Obecność trzech Watów w oddziale sprawiała kłopoty, ile razy Bennis chciał któremuś coś nakazać.

–Możemy nadać im nazwiska od wiosek, ser – zaproponował Jajo. – Tak jak było z ser Arlanem z Pennytree, pod którym kiedyś pan służył.

Byłby to dobry pomysł, ale wioski – okazało się – nie miały nazw.

–Trudno, nazwijmy ich zatem od okolicznych upraw, ser – powiedział Jajo.

Jedna wioska leżała pośród pól fasoli, wokół drugiej rósł głównie jęczmień, w trzeciej uprawiano kapustę, marchew, cebulę, rzepę i melony. Nikt jednak nie chciał się nazywać Kapuściany czy Rzepa, stanęło więc na Melonach. I tak mieli wkrótce w oddziale czterech Jęczmiennych, dwóch Melonów i dwóch Fasolowych. W przypadku braci Watów konieczne było dalsze rozróżnienie, gdy więc młodszy wspomniał, że wpadł kiedyś do wioskowej studni, Bennis nazwał go Mokrym Watem, i było już dobrze. Na wszystkich zrobiło wielkie wrażenie, że otrzymali „pańskie” nazwiska. Jeden tylko Wielki Rob się nie cieszył, bo nie potrafił zapamiętać, czy jest Fasolowy czy Jęczmienny.

Gdy wszyscy mieli już nazwiska i włócznie, ser Eustace wyszedł ze Standfast, aby do nich przemówić. Stary rycerz stanął przed drzwiami wieży odziany w kolczugę i napierśnik okryte długim wełnianym płaszczem, który niegdyś biały, teraz wyraźnie żółkł. Na piersi i na plecach widniały wizerunki lwa wyszyte w złotych i zielonych kwadratach.

–Chłopcy, wszyscy pamiętacie Dake’a – powiedział. – Czerwona Wdowa wpakowała

go do worka i utopiła. Zabrała go nam, a teraz chce zabrać nam naszą wodę, Wodę Szachownicy, która żywi nasze plony... Ale niedoczekanie jej! – Uniósł miecz nad głową. – Za Osgreyów! – zawołał donośnie. – Za Standfast!

–Osgrey! – krzyknął Dunk. Jajo i rekruci podjęli.

–Osgrey! Osgrey! Za Standfast!

Potem ser Eustace patrzył z balkonu, jak Dunk i Bennis prowadzą z małym oddziałem ćwiczenia wśród kurczaków i świń. Sam Stoops wypchał słomą kilka starych worków, które miały odgrywać rolę wrogów. Rekruci zaczęli się wprawiać w używaniu włóczni, Bennis zaś kwitował nieustannie ich wysiłki krzykiem.

–Wbij, zakręć i wyciągnij. Wbij, zakręć i wyciągnij. Wyciągnij, do cholery! Zaraz będziesz jej potrzebował na następnego. Za wolno. O wiele za wolno, Katapulto. Jeśli nie potrafisz szybciej, wracaj do rzucania kamieniami. Lem dodaj swoją wagę do ciosu. Dobrze, chłopcze.

Raz i dwa, raz i dwa, raz i dwa. Jakbyś się pieprzył, mocno, mocno, mocno...!

Gdy worki zostały już rozszarpane na strzępy i słoma wysypała się na ziemię, Dunk włożył kolczugę i zbroję, wziął drewniany miecz i stanął przed rekrutami, aby sprawdzić, jak poradzą sobie z żywym przeciwnikiem.

Wkrótce przekonał się, że nie wychodzi im to najlepiej. Jedyne Katapulto był dość szybki, aby minąć włócznią tarczę Dunka, a i tak udało mu się to tylko raz. Dunk odpierał jeden niezgrabny atak za drugim, parował włócznie i skracał dystans. Gdyby jego miecz był ze stali, a nie z drewna, usiekłby każdego z nich kilka razy.

–Gdy dochodzę tak blisko, to już po tobie – powtarzał, młócąc kawałkiem sośniny po rękach i nogach, aby lepiej zapamiętali lekcję.

Katapulto, Lem i Mokry Wat nauczyli się w końcu, jak oddawać pole. Wielki Rob rzucił broń i zaczął uciekać. Bennis musiał go gonić i ciągnąć z powrotem, całego we łzach. Gdy popołudnie zmierzało ku końcowi, większość była posiniaczona, a zgrubiałe dłonie miała w pęcherzach. Dunk nie ucierpiał, spociał się jedynie jak mysz. Ostatecznie Jajo pomógł mu zdjąć zbroję.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, Dunk poprowadził więc wszystkich do piwnic i zmusił ich, aby wzięli kąpiel. Nawet tych, którzy kąpali się nie dawniej niż zimą. Potem żona Sama Stoopsa postawiła przed nimi misy z duszonym mięsem, w których nie brakło też marchewki, cebuli ani pęczaku. Rekruci byli mocno zmęczeni, ale sądząc po treści rozmów, uważali, że będą wkrótce równie niebezpieczni jak rycerze ze Straży Królewskiej. Ser Bennis zagrzewał ich jeszcze wzmiankami o urokach żołnierskiego życia, z których najbardziej eksponował dwa: łupy i łatwy dostęp do kobiet. Obaj weterani ochoczo się z nim zgodzili. Lem przyniósł z wojny nóż i parę dobrych butów. Buty okazały się wprawdzie za małe, ale powiesił je na ścianie. Pate zaś nadal był pod wrażeniem markietanek, które towarzyszyły smoczej armii.

Sam Stoops przygotował dla nich osiem sienników, więc gdy tylko napełnili brzuchy, położyli się spać. Bennis zabawił w piwnicy na tyle długo, aby powiedzieć Dunkowi, co o tym

wszystkim myśli.

–Szkoda, że nasz pan nie zabawiał się częściej z wiejskimi dziewczuchami. Gdy jeszcze mógł, oczywiście. Napłodziłby bękartów i mielibyśmy teraz porządne wojsko.

–Nie wydają się gorsi niż przeciętni wieśniacy – rzekł Dunk. Poznał nieco takich ludzi, wędrując z ser Arlanem.

–Może. Za parę dni będą wystarczająco dobrzy, aby stanąć przeciwko swoim. Ale żeby mieli szanse z rycerzem... – Bennis pokręcił głową i splunął.

Zamkowa studnia mieściła się w podziemiach, w zimnym i wilgotnym pomieszczeniu, w którym żona Sama Stoopsa wymoczyła, wymiętosła i wygrzmociła kijanką wszystkie ubrania, nim zaniosała je na dach, aby wyschły. Wielka kamienna wanna służyła zarówno do prania, jak i do kąpieli. Aby się wykąpać, trzeba było najpierw naczepać wiadrem wody, podgrzać ją w wielkim żelaznym kotle nad paleniskiem, przelać do wanny... i tak kilka razy. Kocioł mieścił cztery wiadra, wanna zaś – trzy kotły. Zanim ostatni się podgrzał, woda z pierwszego stawała się już letnia. Ser Bennis mawiał podobno, że to wszystko całkiem zbędna fatyga. Jemu jednak nie wadziły ani łażące po nim wszy i pchły, ani to, że śmierdział jak mocno przejrzały ser.

Dunk mógł szczęśliwie skorzystać z pomocy giermka, gdy nagle zapragnął ablucji. Tak jak tego wieczoru. Ponury Jajo w milczeniu nabierał wody i w milczeniu czekał, aż się podgrzeje.

–Jajo? – spytał w końcu Dunk, gdy trzecia miara wody zaczęła wrzeć. – Coś mi umknęło? – Chłopak jednak nie odpowiedział. – Pomóż mi z kotłem.

Razem zanieśli wrzątek do wanny, uważając, żeby się przy tym nie poparzyć.

–Ser – odezwał się nagle Jajo. – Co właściwie zamierza ser Eustace?

–Zburzyć tamę i odeprzeć ludzi Wdowy, gdyby próbowali nas powstrzymać – odparł Dunk na tyle głośno, aby było go słychać przez plusk wody. Para uniosła się pod strop, a Dunk zaczerwienił się z gorąca.

–Mają tarcze ze splecionych gałęzi, ser. Włócznia przejdzie przez nie bez trudu. Albo belt kuszy.

–Gdy będą już gotowi, poszukamy dla nich jakichś kawałków zbroi.

To było najlepsze, na co mogli liczyć.

–Mogą zginać, ser. Mokry Wat to jeszcze prawie chłopiec. Will Jęczmienny ma się ożenić przy najbliższej wizycie septona. A Wielki Rob nie potrafi odróżnić prawej nogi od lewej.

Dunk odstawił pusty kocioł na zastępujące podłogę klepisko.

–Roger z Pennytree był młodszy niż Mokry Wat, gdy zginął na Polu Czerwonej Trawy. W zastępie twojego ojca byli i tacy, co się świeżo ożenili, i tacy, co nawet jeszcze nie całowali dziewczyny. I setki podobnych Robowi. Może tysiące.

–To była inna sprawa – stwierdził Jajo. – Wtedy była wojna.

–Teraz też jest. Tylko mniejsza.

–Mniejsza i głupsza, ser.

–Nie nam o tym orzekać – mruknął Dunk. – Ich obowiązkiem jest wyruszyć na wojnę, gdy ser Eustace tego zażąda. I zginąć, jeśli będzie trzeba.

–Skoro tak, to nie powinniśmy nadawać im nazwisk, ser. Bardziej będzie żal, gdy zginą. – Skrzywił się. – Gdybyśmy użyli mojego buta...

–Nie. – Dunk stanął na jednej nodze, aby samemu zacząć zdejmować buty.

–Ale mój ojciec...

–Nie. – Drugi but upadł na klepisko.

–My...

–Nie. – Dunk ściągnął przez głowę przepocone odzienie i rzucił je chłopakowi. – Poproś żonę Sama Stoopsa, żeby to wyprała.

–Poproszę, ser, ale...

–Powiedziałem nie. Masz kłopoty ze słuchem? – Odwiązał troczki spodni. Pod nimi nic nie nosił, było za gorąco. – To dobrze, że troszczysz się o Wata, Wata i Wata oraz całą resztę, ale po takie coś należy sięgać tylko w wielkiej potrzebie. – Ile oczu ma lord

Bloodraven? – pomyślał Dunk. Tysiąc i jedno. – Co powiedział twój ojciec, gdy kazał ci zostać moim giermkim?

–Abym całkiem ogolił głowę. Albo farbował włosy. I nikomu nie wyjawiał swego prawdziwego imienia – odparł chłopak bez entuzjazmu.

Jajo służył Dunkowi już niemal dwa lata, chociaż czasem wydawało mu się, że minęło tych lat ze dwadzieścia. Razem przeszli Przełęcz Księcia i rozległe, czerwone i białe piaski Dorne'u. Potem popychana żerdziami łódź zabrała ich z nurtem Greenblood do Płanky Town, skąd galeasa *Biała Pani* dotarli do Starego Miasta. Sypiali w stajniach, zajazdach i rowach, łamali się chlebem z prawdziwymi świętymi, kurwami i komediantami. Obejrzeli ze

sto przedstawię kukielkowych. Jajo troszczył się o konia Dunka, ostrzył miecz rycerza i czyścił jego kolczugę z rdzy. Był świetnym towarzyszem i trudno byłoby szukać lepszego. Błądny rycerz zwykł myśleć o nim prawie jak o własnym bracie.

A jednak nim nie jest, pomyślał Dunk. To jajo smoka, nie byle nioski. Jajo mógł być giermkim błędnego rycerza, ale był również Aegonem z rodu Targaryenów, czwartym i najmłodszym synem Maekara, księcia Summerhall, czwartego syna nieodżałowanego króla Daerona Dobrego, drugiego tego imienia, który zasiadał na Żelaznym Tronie dwadzieścia pięć lat, aż zabrała go wielka wiosenna zaraza.

–Większość ludzi jest przekonana, że Aegon Targaryen zaraz po turnieju w Ashford wrócił ze swym bratem Daeronem do Summerhall – przypomniał mu Dunk. – Twój ojciec nie chce, aby ktokolwiek wiedział, że wędrujesz po Siedmiu Królestwach z jakimś błędnym rycerzem. Dlatego proszę, nie wspominaj więcej o bucie.

Jajo tylko spojrzał na niego znacząco. Miał duże oczy, a ogolona głowa sprawiała, że wydawały się jeszcze większe. W półmroku piwnicy były czarne, jednak w lepszym świetle można było dostrzec, iż są ciemnopurpurowe. Valyriańskie oczy, pomyślał Dunk. W Westerosie mało kto miał takie oczy prócz naznaczonych smoczą krwią. Nie mówiąc o włosach, które lśniły niczym złoto z wplecionymi w nie srebrnymi nitkami.

Gdy żeglowali w dół Greenblood, płynące tą samą łodzią osierocone dziewczynki zwykły pocierać łysinę Jaja na szczęście. Robił się od tego cały czerwony, czerwiejszy niż owoc granatu.

–Dziewczyny są takie głupie – mawiał. – Następna, która mnie dotknie, wyląduje w rzece.

–Wtedy to ja tak cię dotknę, że jeszcze przez miesiąc będziesz słyszeć dzwony – musiał ostrzec go Dunk.

Chłopaka tylko zachęciło to do bezczelności.

–Lepsze już dzwony niż dziewczyny – stwierdził, ale nie wrzucił żadnej z nich do wody.

Dunk wszedł do wanny i usiadł, pozwalając, aby woda sięgnęła mu do brody. Z wierzchu nadal była gorąca, chociaż w głębi zdążyła już podstygnać. Rycerz zacisnął zęby, aby nie jęknąć. Gdyby to zrobił, chłopak zareagowałby śmiechem. Jajo uwielbiał bardzo gorące kąpiele.

–Jeszcze wrzątku, ser?

–Wystarczy. – Dunk potarł przedramiona i spojrzał na spływający brud. – Rzuć mi mydło. I jeszcze szczotkę na długim trzonku. – Rozważania o włosach chłopaka sprawiły, że pomyślał o swoich. Wymagały umycia. Dunk zaczerpnął głęboko powietrza i je zamoczył. Gdy się wynurzył, rozchlapując wodę, Jajo stał obok wanny z mydłem i szczotką z

końskiego włosia. – Masz włosy na policzku – zauważył Dunk i wziął mydło. – Dwa. Tutaj, pod uchem. Zajmij się nimi przy następnym goleniu głowy.

–Tak, ser. – Chłopak wyraźnie ucieszył się z odkrycia.

Niewątpliwie uważa, że zarost czyni go mężczyzną, pomyślał Dunk. Też tak uważał, gdy dojrzał pierwszy meszek nad swą górną wargą. Próbował się nawet golić sztyletem i prawie obciął sobie nos.

–Teraz idź już spać – powiedział Dunk. – Nie będziesz mi potrzebny aż do rana.

Długo trwało, nim zdołał zmyć cały zlepiony potem brud. Następnie odłożył mydło, wyciągnął się na ile tylko zdołał i przymknął oczy. Woda była już znacznie chłodniejsza; po upalnym dniu przynosiła upragnioną ulgę. Moczył się, aż skóra na palcach zaczęła się marszczyć, a poszarzała woda zrobiła się zimna. Niechętnie wyszedł z wanny.

Wprawdzie mieli z Jajem porządne sienniki w jednej z piwnic, ale Dunk wolał sypiać na dachu. Tam powietrze było świeże, poza tym nie musiał obecnie obawiać się deszczu. Odkąd tu przybyli, jeszcze nie padało.

Zanim dotarł na dach, Jajo już zasnął. Dunk położył się na plecach z rękami pod głową i twarzą zwróconą ku niebu. Wszędzie lśniły gwiazdy, wiele tysięcy gwiazd. Przypomniał sobie noc przed turniejem na Łąkach Ashford. Noc ze spadającą gwiazdą. Podobno spadające gwiazdy przynoszą szczęście, kazał więc Tanselle wymalować taką gwiazdę na swojej tarczy. Jednak w Ashford szczęścia nie zaznał. Niewiele brakło, aby stracił dłoń i stopę, a trzech dobrych ludzi postradało życie. Zyskałem za to giermka, pomyślał. Gdy wyjeżdżałem z Ashford, Jajo był już ze mną. To jedno dobre, co się wtedy stało. Miał nadzieję, że dzisiaj nie ujrzy żadnej spadającej gwiazdy.

W dali wznosiły się czerwone góry, a pod stopami ciągnęły się białe piaski. Dunk kopał pośród suchej i rozgrzanej pustyni, odrzucając piasek za plecy. Kopał grób. Grób nadziei, pomyślał. Nieopodal stało trzech rycerzy z Dorne'u i kpiło cicho z niego. Dalej czekali kupcy z mułami, wierzchowcami i saniami piaskowymi. Chcieliby już jechać, ale on nie mógł ruszyć, nie pochowawszy Kasztanki. Nie zostawi wiernego konia wężom, skorpionom i psom pustynnym.

Wierzchowiec padł z pragnienia w czasie długiego przemarszu od Przełęczu Księcia do Vaith. Niósł Jajo na grzbiecie, gdy nagle przednie nogi jakby złożyły się pod nim, przyklęknął, padł na bok i odszedł. Teraz ciało leżało obok dołu. Zdążyło już zeszywnieć, a niebawem miało zacząć śmierdzieć.

Dunk płakał, pracując łopatą, co mocno dziwiło rycerzy z Dorne'u.

–Woda jest zbyt cenna, aby ją tak marnować – powiedział jeden z nich. – Nie powinienes tak czynić, ser.

–Czemu płaczesz? – zachichotał inny. – To był tylko koń, i to wcale nie najlepszy.

Kasztanka, pomyślał Dunk. Nazywała się Kasztanka, nosiła mnie przez lata i nigdy nie kopnęła ani nie ugryzła. Wyglądała mizernie przy wielkich i smukłych rumakach, na których Dorneańczycy wędrowali po pustyni. Brakło jej równie zgrabnej głowy, wysmukłej szyi i powiewającej grzywy, ale dawała z siebie wszystko.

–Płaczesz za szkapą? – spytał starczym głosem ser Arian. – Po mnie nie płakałeś, chociaż to ja posadziłem cię w jej siodle. – Zaśmiał się krótko, aby okazać, że nie czuje się urażony. – Dunk-kunk, gruboskórny jak mur zamku.

–Po mnie też nie wylał łez – odezwał się z grobu Baelor Breakspear. – Chociaż byłem jego księciem, nadzieją Westerosu. Bogowie nigdy nie chcieli, bym umarł w młodości.

–Mój ojciec miał tylko trzydzieści dziewięć lat – powiedział książę Valarr. – Miał zostać wielkim królem, największym od czasu Aegona Smoka. – Spojrzał chłodno na Dunka błękitnymi oczami. – Dlaczego bogowie zabrali jego, a zostawili ciebie? – Młody Książę miał jasnokasztanowe włosy ojca, ale biegła przez nie smuga siwizny.

Ty nie żyjesz, chciał krzyknąć Dunk. Wszyscy trzej nie żyjecie, dlaczego więc nie zostawicie mnie w spokoju? Ser Arian umarł od przeziębienia, książę Baelor od ciosu, który własny brat zadał mu podczas Dunkowej próby siedmiu, Valarr zaś, syn Baelora, padł ofiarą zarazy. To nie była moja wina, pomyślał Dunk. Byliśmy w Dornie i nie wiedzieliśmy nawet, co się dzieje.

–Zwariowałeś – powiedział stary. – My nie wykopimy ci grobu, gdy szaleństwo doprowadzi cię do śmierci. Pośród piasków trzeba strzec swej wody.

–Pokój z tobą, ser Duncanie – powiedział Valarr. – Odejdź.

Jajo pomagał mu kopać. Chłopak nie miał szpadla, używał własnych dłoni. Tymczasem piasek osypywał się z powrotem, jakby próbowali kopać w morzu. Muszę, nie mogę przestać, pomyślał Dunk, chociaż plecy i ramiona bolały go od wysiłku. Muszę pochować go głęboko, aby psy go nie znalazły. Muszę...

–...umrzeć? – spytał głupi Wielki Rob z dna grobu. Leżał tam, nie ruchomy i zimny, z wielką czerwoną raną w brzuchu. Wcale nie wydawał się już taki wielki.

Dunk przestał kopać i spojrzał na niego.

–Ty nie zginąłeś. Śpisz w piwnicy – rzekł i spojrzał na ser Arlana, szukając pomocy. – Proszę mu powiedzieć, ser – błagał. – Proszę mu kazać wyjść z grobu.

Tyle że teraz nie stał już nad nim ser Arian z Pennytree, ale ser Bennis herbu Brunatna Tarcza. Zachichotał tylko.

–Głupi Dunk – powiedział. – Patroszenie zabija powoli, ale pewnie. Nigdy nie znałem nikogo, kto by to przeżył. – Czerwona piana pojawiła mu się na wargach. Odwrócił się i splunął na biały piasek, który chciwie wpił wilgoć. Za nim stał Katapulta ze strzałą w oku.

Płakał powoli czerwonymi łzami. Był jeszcze Mokry Wat z głową przerąbaną niemal na pół. I stary Lem, i czerwonooki Pate, i cała reszta.

Wszyscy, zdawało się, żuli to samo co Bennis. Dopiero po chwili Dunk Pojął, że to krew cieknie im z ust. Nie żyją, pomyślał, wszyscy nie żyją.

Brunatny rycerz ryknął śmiechem.

–Istotnie – powiedział. – Lepiej przyłóż się do roboty, bo musisz wykopać jeszcze wiele grobów, głupku. Osiem dla nich, jeden dla mnie, jeden dla ser Bezużytecznego i na koniec jeden dla twojego łysego chłopaka.

Łopata wyslizgnęła się Dunkowi z rąk.

–Jajo! – krzyknął. – Uciekaj! Musimy uciekać!

Jednak piasek ustępował im pod stopami. Gdy chłopak chciał wyjść z dołu, ściany osypały się i lawina piasku rzuciła go na dno. Dunk ujrzał, jak fale zasypują otwarte usta Jaja. Chciał mu pomóc, ale pustynia pochłaniała i jego, wciągając coraz głębiej, wypełniając usta, nos, oczy...

O świcie ser Bennis zaczął uczyć rekrutów, jak tworzyć mur tarcz. Ustawił wszystkich w szeregu, ramię w ramię, z brzegami tarcz stykającymi się kolejno i włócznie wystającymi przed szereg niczym długie drewniane zębiska. Potem Dunk i Jajo wskoczyli na siodła i zaatakowali oddział.

Maester nie chciał podejść bliżej niż na dziesięć stóp od grupy, Grom jednak był szkolony i wiedział, jak się zachować. Runął prosto na rekrutów, nabierając jeszcze prędkości. Kury umykały z gdakaniem spod coraz głośniejszych uderzających kopyt. Ich panika musiała być zaraźliwa, bo Wielki Rob znowu jako pierwszy rzucił wszystko na ziemię i uciekł, tworząc wyrwę pośrodku szeregu. Zamiast zewrzeć szyk, pozostali

wojownicy Standfast poszli w jego ślady. Zanim Dunk zdołał zatrzymać wierzchowca, Grom przegalopował po ich tarczach, miażdżąc splecione gałęzie żelaznymi podkowami. Ser Bennis puścił piętrową wiązaną, podczas gdy wieśniacy i kury zmykali zgodnie we wszystkich możliwych kierunkach. Jajo walczył mężnie, aby się nie roześmiać, ale w końcu przegrał nierówną walkę.

–Wystarczy. – Dunk zatrzymał w końcu Groma i zdjął hełm. – Jeśli zachowają się tak w czasie bitwy, większość z nich zginie. – I my za pewne też, dodał w myślach.

Mimo wczesnej pory było już gorąco i czuł się tak brudny i spocony, jakby wcale się wczoraj nie kąpał. W głowie pulsowało mu boleśnie, nie mógł też zapomnieć koszmaru, który nawiedził go w nocy. To się nigdy nie zdarzyło, przekonywał sam siebie. Było całkiem inaczej. Owszem, Kasztanka padła podczas długiej drogi do Vaith, to akurat się zgadzało. Musiał wziąć Jajo na konia i jechali razem, dopóki brat chłopaka nie dał im Maestera. Jednak cała reszta...

Nigdy za nikim nie płakałem, pomyślał Dunk. Może i chciałem, ale nie płakałem. Zamierzał pochować wówczas konia, jednak Dorneańczycy nie byli gotowi czekać tak długo.

–Pustynne psy też muszą coś jeść i wyżywić czymś swoje młode – powiedział jeden z rycerzy, pomagając Dunkowi zdjąć rządy z martwego wierzchowca. – Jego ciało nakarmi psy albo piasek. Za rok jego kości będą białe i czyste. To jest Dorne, przyjacielu.

Dunk dobrze to zapamiętał i teraz nie mógł przestać myśleć o tym, kto pożywi się na ciałach Watów i innych. Może w tym strumieniu są ryby?

Wrócił pod wieżę i zsiadł z konia.

–Jajo, pomóż ser Bennisowi zebrać ich i sprowadzić tutaj.

Rzucił chłopakowi swój hełm i ruszył po stopniach na górę.

Ser Eustace czekał na niego w półmroku sali wielkiej na przedostatnim piętrze.

–Nie wyszło to dobrze.

–Nie, panie – zgodził się Dunk. – Tak nic nie uzyskamy.

Przysięga zobowiązuje do służby i posłuszeństwa, ale to jest szaleństwo...

–To był ich pierwszy raz. Ich ojcowie czy bracia równie słabo przyswajali sobie nauki. Moi synowie zajmowali się nimi, zanim ruszyliśmy pomóc królowi. Codziennie, przez dwa tygodnie, aż zmienili ich w dobrych żołnierzy.

–A jak się sprawowali, gdy doszło do bitwy? – spytał Dunk. – Ilu wróciło potem do domów?

Stary rycerz spojrzał na niego przeciągle.

–Lem i Pate – rzekł w końcu. – I Dake. Dake zajmował się furazem. Nie znałem nigdy nikogo, kto tak dobrze sprawdzałby się w tej roli. Nigdy nie maszerowaliśmy z pustymi brzuchami. Trzech wróciło, ser. Trzech i ja. – Jego wąsy zadrżały. – To może potrwać dłużej niż dwa tygodnie.

–Panie, ta kobieta może się zjawić ze wszystkimi swoimi ludźmi nawet jutro – powiedział Dunk. To dobre chłopaki, ale jeśli będą musieli stanąć przeciwko rycerzom z Zimnej Fosy,

bez dwóch zdań wszyscy zgina, pomyślał. – Musi być jakiś inny sposób.

–Jakiś inny sposób. – Ser Eustace przebiegł palcami po szczątkach tarczy Małego Lwa. – Nie uzyskam sprawiedliwości ani od lorda Rowana, ani od obecnego króla... – Ujął Dunka za przedramię. – Chociaż przypominam sobie, że w dawnych czasach, gdy władali zieloni królowie, można było zawrzeć ugodę, płacąc za zabitego wieśniaka czy zwierzę cenę krwi.

–Cenę krwi? – spytał z niedowierzaniem Dunk.

–Pytałeś o inny sposób. Mam odłożone nieco pieniędzy. Ser Bennis twierdzi, że to było tylko draśnięcie na policzku. Mógłbym zapłacić temu mężczyźnie sztukę srebra za zranienie i Wdowie trzy za obrazę. Mógłbym... gdyby rozebrała tamę. – Stary zmarszczył czoło. – Jednak nie mogę do niej jechać. Nie do Zimnej Fosi. – Tłusta czarna mucha zabręczczała mu nad głową i przysiadła na ramieniu. – Ten zamek należał kiedyś do nas. Wiedziałaś o tym, ser Duncanie?

–Tak, panie.

Sam Stoops mu powiedział.

–Przez tysiąc lat przed Podbojem to my byliśmy marszałkami Północnej Marchii. Hołd lenny składało nam dwudziestu pomniejszych Lordów i setka rycerzy. Mieliśmy wtedy cztery zamki i wieże strażnicze na wzgórzach, aby wypatrywać wrogów. Zimna Fosa była największą z naszych siedzib. Zbudował ją lord Perwyn Osgrey. Perwyn Dumny, jak go nazywano. Po Polu Ognia królowie zostawili Wysogród namiestnikom i nasz ród podupadł. To syn Aegona, król Maegor, odebrał nam Zimną Fosę, gdy Ormond Osgrey przeciwstawił się tłumieniu wystąpienia Gwiazd i Mieczy, jak zwano wówczas biedotę i synów rycerskich – dodał nieco chrapliwym głosem. – Nad bramą Zimnej Fosi widnieje wyryty w kamieniu szachownicowy lew. Ojciec pokazał mi go, gdy pierwszy raz zabrał mnie ze sobą, odpowiadając na wezwanie starego Reynarda Webbera. Ja z kolei pokazałem go potem moim synom. Addam... Addam służył tam jako paż i giermek i nawet... zrodziła się pewna nić sympatii pomiędzy nim a córką lorda Wymana. Pewnej zimy wdziałem zatem najlepsze szaty i pojechałem do lorda Wymana z propozycją małżeństwa. Odmówił w bardzo uprzejmych słowach, ale odchodząc, słyszałem, jak śmiał się z ser Lucasem Inchfieldem. Nigdy więcej nie pojechałem już do Zimnej Fosi, poza tym jednym razem, gdy ta kobieta porwała jednego z moich ludzi. Gdy powiedzieli jednak, że mam szukać Lema na dnie fosi...

–Dake'a – odezwał się Dunk. – Bennis twierdzi, że on miał na imię Dake.

–Dake? – Mucha wędrowała mu po rękawie i co chwila przystawała, aby potrzeć łapki. Jak to zwykle muchy. Ser Eustace przegonił ją i potarł górną wargę. – Dake. Tak powiedziałem. Oddany sługa, pamiętam go dobrze. Zajmował się naszym furazem podczas wojny. Nigdy nie maszerowaliśmy z pustymi brzuchami. Gdy ser Lucas powiedział, co zrobili z moim

biednym Dakiem, przysięgłem, że nigdy więcej moja noga nie postanie w tym zamku. Chyba że go odzyskam. Widzisz więc, że nie mogę tam pojechać, ser Duncanie. Ani po to, aby zapłacić za przelaną krew, ani w żadnym innym celu. Nie mogę. Dunk zrozumiał.

–Ja mogę pojechać, panie. Niczego nie przysięgałem.

–Jesteś dobrym człowiekiem, ser Duncanie. Prawdziwym i odważnym rycerzem. – Ser Eustace ścisnął rękę Dunka. – Gdyby tak los oszczędził moją Alysanne. Właśnie o kimś takim dla niej marzyłem. O prawdziwym rycerzu.

Dunk się zarumienił.

–Przekażę lady Webber to, co powiedziałaś, panie, o cenie krwi, ale...

–Ocalisz ser Bennisa przed losem Dake'a. Dobrze o tym wiesz. Nie chcę nikogo oceniać, ale ty wyglądasz na rycerza. Gdy cię zobaczą, zastanowią się. Może zrozumiawszy, że Standfast ma takiego obrońcę, ta kobieta sama rozbierze tamę.

Dunk nie wiedział, co powiedzieć. Przyklęknął.

–Panie, wyruszę jutro rano i zrobię, co w mojej mocy.

–Rano. – Mucha okrążyła ser Eustace'a i usiadła na jego lewej dłoni. Stary uniósł prawą i rozgniół owada. – Tak, jutro rano.

–Znowu kąpiel? – spytał zniesmaczony Jajo. – Kąpałeś się wczoraj.

–A później spędziłem cały dzień w zbroi i spłynąłem potem. Nie komentuj, tylko napełnij kocioł.

–Kąpałeś się tej nocy, gdy ser Eustace przyjął nas na służbę, wczoraj i teraz znowu. To już trzy razy, ser.

–Muszę się spotkać z wysoko urodzoną panią. Czy mam stanąć przed nią, woniejąc jak ser Bennis?

–W tym celu musiałbyś się wytarzać w plackach Maestera. – Jajo nalał wody do kotła. – Sam Stoops powiada, że kasztelan Zimnej Fosy jest tak wysoki jak ty. Nazywa się Lucas Inchfield, ale przez wzrost nazywają go Długim. Myślisz, że naprawdę jest tego samego wzrostu co ty, ser?

–Nie. – Dunk od lat nie spotkał nikogo równie wysokiego. Wziął kocioł i zawiesił go nad ogniem.

–Będziesz z nim walczył?

–Nie. – Dunk niemalże pragnął, aby stało się inaczej. Może nie był najlepszym rycerzem królestwa, ale wzrost i siła dawały mu spore szanse. Chociaż wszystkiego to nie wyrównywało. Czasem trudno mu było znaleźć właściwe słowa, nie radził sobie też w kontaktach z kobietami. Perspektywa spotkania z olbrzymem Lucasem nie peszyła go nawet w połowie tak bardzo jak rozmowa z gospodynią. – Mam przekazać coś Czerwonej Wdowie, to wszystko.

–Co jej powiesz, ser?

–Że musi zburzyć tamę. – Musisz zburzyć tamę, pani, bo inaczej... – To znaczy poproszę ją o zburzenie tamy. – Proszę, oddaj nam naszą wodę. – Jeśli będzie skłonna. – Chociaż trochę, gdybyś była skłonna... Nie, ser Eustace nie chciałby, abym prosił o cokolwiek. Ale skoro tak, jak mam to powiedzieć? – zastanawiał się.

Niebawem woda zaczęła puszczać bąbelki i parować.

–Pomóż mi dotaszczyć to do wanny. – Razem zdjęli kociół znad ognia i przenieśli do wanny. – Nie umiem rozmawiać z wysoko urodzonymi paniami – wyznał, gdy nalewali wodę. – W Dornie obaj mało nie zginęliśmy przez to, co powiedziałem lady Vaith.

–Lady Vaith była szalona – przypomniał mu Jajo. – Ale owszem, mogłeś być bardziej dworny. Takie damy to lubią. Gdybyś miał ratować Czerwoną Wdowę w taki sam sposób, jak tamtą lalkarkę ratowałeś przed Aerionem...

–Aerion jest w Lys, a Wdowa nie potrzebuje ratunku.

Nie chciał rozmawiać o Tanselle. Nazywała się Tanselle za Wysoka, ale dla mnie za wysoka nie była, pomyślał.

–Cóż – mruknął Jajo – niektórzy rycerze śpiewają pieśni swoim wybrankom albo chociaż grają im na lutni.

–Nie mam lutni – rzekł Dunk pośępnie. – A tego wieczoru, gdy upiłem się w Planky Town, powiedziałaś mi, że nie śpiewam, tylko ryczę jak wół przy błotnej kąpieli.

–Zapomniałem, ser.

–Jak można zapomnieć coś takiego?

–Kazałeś mi o tym zapomnieć, ser – odparł niewinnym tonem Jajo. – Powiedziałaś, że dasz mi w ucho, jeśli raz jeszcze o tym wspomnę.

–Tak czy owak, śpiewu nie będzie.

Gdyby nawet miał głos, znał tylko jedną piosenkę *Niedźwiedź i Jasna Pani*. Raczej nie

zyskałby nią względów lady Webber. Kociół znowu zaczął parować. Przenieśli go do wanny i opróżnili.

Jajo ponownie nabrał wody ze studni i siadł na cembrowinie.

–Lepiej nie pij ani nie jedz niczego w Zimnej Fosie, ser. Czerwona Wdowa otruła wszystkich swoich mężów.

–Nie zamierzam się z nią żenić. Ona jest wysoko urodzona, a ja jestem tylko Dunkiem z Pchlego Zadka, pamiętasz? – Zmarszczył brwi. – Wiesz, ilu miała tych mężów?

–Czterech. Ale żadnych dzieci. Ile razy miała rodzić, do zamku przybywał nocą czarny demon i zabierał jej potomka. Żona Sama Stoopsa powiada, że Wdowa sprzedała dzieci władcy Siedmiu Piekieł, aby uczył ją w zamian czarnej magii.

–Wysoko urodzone damy nie trudnią się czarną magią. Tańczą, śpiewają i wyszywają.

–Może tańczy z demonami i wyszywa złe zaklęcia – powiedział z zadowoleniem Jajo. – Ale skąd możesz wiedzieć, co robią takie damy, ser? Dotąd znałeś tylko Vaith.

Nie było to uprzejme, ale za to prawdziwe.

–Może i nie znam ich, ale znam jednego chłopaka, który aż prosi się o kuksańca. – Potarł kark. Zesztywniał mu po dniu spędzonym w kolczudze. – Ty poznałeś królowe i księżniczki. Tańczyły z demonami i praktykowały czarną magię?

–Lady Shiera tak. To kochanka lorda Bloodravena. Kąpie się we krwi, aby pozostać piękną. I raz moja siostra Rhae dołała mi do pucharu napoju miłosnego, abym ożenił się z nią, a nie z mą siostrą Daellą.

Jajo wspomniał o potencjalnym kazirodztwie, jakby była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Dla niego pewnie jest, pomyślał Dunk. Targaryenowie przez setki lat zawierali małżeństwa pomiędzy rodzeństwem, aby nie skalać smoczej krwi. Wprawdzie ostatni smok zmarł na długo przed narodzinami Dunka, ale ród trwał dalej. Może bogom to nie przeszkadza, pomyślał rycerz.

–I jak, napój zadziałał?

–Zadziałałby, ale go wyplułem – powiedział Jajo. – Nie chcę żony. Chcę być kapitanem Straży Królewskiej i służyć królowi z całych sił. Członkowie Straży ślubują nie brać sobie żony.

–To bardzo szlachetny zamiar, jednak gdy dorośniesz, bardziej pociągać cię będą pewnie dziewczyny niż biały płaszcz. – Dunk myślał o Tanselle za Wysokiej i o tym, jak uśmiechnęła się do niego w Ashford. – Ser Eustace powiedział, że o kimś takim jak ja marzył dla swojej

córki. Miała na imię Alysanne.

–Ona nie żyje, ser.

–Wiem – rzekł z irytacją Dunk. – Zaznaczył, że gdyby żyła. Gdyby żyła, chciałby, abym ją poślubił. Albo by poślubił ją ktoś taki jak ja. Nigdy dotąd żaden lord nie chciał dać mi swojej córki.

–Ona nie żyje. Poza tym Osgreyowie mogli być wielkimi lordami w dawnych czasach, teraz jednak ser Eustace jest już tylko ziemianinem.

–Wiem dobrze, kim jest. Chcesz kuksańca?

–Wcześniej dostanę kuksańca niż żonę. Szczególnie taką, co nie żyje. Kociół paruje.

Przelali wodę do wanny i Dunk ściągnął górne odzienie.

–Do Zimnej fosy ubiorę się w strój z Dorne’u.

Było to najlepsze, co posiadał. Jedwab z malunkiem herbowego wiązu i spadającej gwiazdy.

–Jeśli tak, to przepocisz go w czasie jazdy, ser – powiedział Jajo. – Włóż to, co nosiłeś dzisiaj, a ja wezmę zmianę i przebierzesz się, gdy dotrzesz do zamku.

–Zanim dotrę do zamku. Głupio bym wyglądał, zmieniając ubranie na moście zwodzonym. Poza tym kto powiedział, że ze mną jedziesz?

–Rycerz, występując z giermkim, zyskuje większy szacunek.

To była prawda. Chłopak miał wycucie w takich sprawach. Ostatecznie powinien, pomyślał Dunk. Dwa lata służył jako paż w Królewskiej Przystani. Niemniej Dunk i tak się wahał, czy go narażać. Nie wiedział, jakie powitanie czeka go w Zimnej Fosie. Jeśli Czerwona Wdowa jest rzeczywiście tak niebezpieczna, jak powiadają, skończy w klatce niczym ci dwaj mężczyźni z rozstajów.

–Zostaniesz i pomożesz Bennisowi z wieśniakami – rzekł w końcu. – I nie patrz na mnie z takim wyrzutem. – Zrzucił portki i wszedł do parującej wody. – Teraz idź się wyspać i daj mi się cieszyć kąpielą. Nie jedziesz. To postanowione.

Gdy Dunk obudził się o brzasku, Jaja już nie było. Bogowie, jak o tak wczesnej porze może być równie gorąco? – pomyślał rycerz. Usiadł, przeciągnął się, ziewnął i wstał. Niemrawo zszedł do studni, zapalił grubą łojową świecę, po czym spryskał twarz zimną wodą i się ubrał.

Gdy wyszedł na słońce, Grom czekał już przy stajni, pod siodłem i w uprzęży. Jajo też

czekał, razem z mułem.

Chłopak włożył buty, a do tego kubrak w zielone i złote szachownice oraz parę białych wełnianych spodni. Naprawdę wyglądał jak giermek.

–Spodnie były rozdarte na siedzeniu, ale żona Sama Stoopsa mi je zaszyła – oznajmił.

–Ubranie należało do Addama – powiedział ser Eustace, wyprowadzając ze stajni swego siwego rumaka. Na ramionach miał pelerynę w szachownicę z lwem. – Kubrak zatęchł nieco w skrzyni, ale powinien się nadać. Rycerz poważniej wygląda z giermkim, dlatego uznałem, że Jajo powinien towarzyszyć ci do Zimnej Fosi.

Zostałem przechytrzony przez dziesięcioletniego chłopca, pomyślał Dunk i bezgłośnie powiedział giermkowi: „Dostaniesz w ucho”. Jajo tylko wyszczerzył zęby.

–Dla ciebie też coś mam, ser Duncanie. Chodź. – Ser Eustace pokazał pelerynę i rozwinął ją dwornie.

Była z białej wełny obszytej na brzegach kwadratami z zielonego atlasu i złotogłowia. Wełniane okrycie było ostatnią rzeczą potrzebną Dunkowi w tak upalny dzień, ale gdy ser Eustace narzucił mu je na ramiona i urósł z dumy, Dunk nie miał serca mu odmówić.

–Dziękuję, panie.

–Niech ci dobrze służy. Żałuję, że nie mogę ci dać nic więcej – powiedział stary z drżeniem wąsów. – Wysłałem Sama Stoopsa, aby przeszukał złożone w piwnicy rzeczy moich synów, ale Edwyn i Harrold byli mężami niższymi, o węższych piersiach i krótszych nogach. Nic z tego, co nosili, nie będzie na ciebie pasować.

–Peleryna wystarczy, panie. Nie przyniosę jej wstydu.

–W to nie wątpię. – Poklepał konia. – Chciałbym odprowadzić was kawałek, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

–Nic a nic, panie.

Jajo na Maesterze pierwszy ruszył w dół.

–Czy on musi nosić ten słomkowy kapelusz? – spytał ser Eustace. – Wygląda w nim dość niezręcznie, nie sądzisz?

–Nie tak bardzo jak wtedy, gdy świeci łysiną, panie.

Nawet teraz, gdy słońce było jeszcze nisko nad horyzontem, robiło się już gorąco. Do południa siodła tak się rozgrzeją, że będzie się można nabawić pęcherzy na siedzeniu,

pomyślał Dunk. Jajo mógł wyglądać elegancko w stroju pazia, ale do wieczora zmieni się w nim w gotowane jajo. Dunk przynajmniej miał szansę. Dobre szaty wiozł w jukach, a na grzbiet narzucił stare zielone ubranie.

–Wyberzemy zachodnią drogę – orzekł ser Eustace. – Mało kto z niej korzystał przez ostatnie lata, ale to najkrótszy szlak między Standfast a Zimną Fosą. – Ścieżka obiegła wzgórze i minęła groby, w których pośród jeżyn stary rycerz złożył swoich synów i żonę. – Moi chłopcy uwielbiali zbierać tu jeżyny. Gdy byli mali i wracali z twarzami lepkiimi od soku i rękami całymi w zadrapaniach, od razu wiedziałem, co robili. – Uśmiechnął się. – Twój Jajo przypomina mi Addama. Jak na swój wiek był bardzo odważny. Podczas bitwy próbował chronić rannego Harrolda, ale ciżba ich ogarnęła. Jakiś rycerz znad rzeki, z sześciora żołędziami na tarczy, odciął mu toporem rękę. – Spojrzał ze smutkiem szarymi oczami na Dunka. – Twój dawny pan, rycerz z Pennytree... brał udział w tamtej bitwie?

–Tak, panie. To było, zanim jeszcze mnie przyjął. – Dunk miał w tamtym czasie nie więcej niż trzy albo cztery lata i półnagi biegał po uliczkach Pchlego Zadka. Bardziej przypominał zwierzątko niż dziecko.

–Z czerwonym smokiem czy z czarnym?

„Czerwony czy czarny?” nawet teraz było niebezpiecznym pytaniem. Od dni Aegona Zdobywcy ród Targaryenów nosił na tarczach czerwonego trójgłowego smoka na czarnym polu. Daemon Uzurpator odwrócił te barwy, tak jak robiło to wielu pretendentów do tronu pochodzących z nieprawego łoża. Ser Eustace jest moim panem i ma prawo spytać, pomyślał Dunk.

–Walczył pod sztandarem lorda Hayforda, ser.

–Zielona sieć na złotym polu czy bladozielona falująca linia?

–Nie wiem, panie. Jajo powinien wiedzieć. Chłopak potrafił podać znaki połowy rycerzy Westerosu.

–Lord Hayford był znanym lojalistą. Król Daeron uczynił go tuż przed bitwą swoją Ręką. Butterwell tyle razy splamił się niegodnymi czynami, że wielu kwestionowało jego lojalność, ale lord Hayford przeszedł próbę charakteru.

–Ser Arian był przy nim w chwili jego śmierci. Ściął go rycerz z trzema zamkami na tarczy.

–Wielu dobrych ludzi zginęło tamtego dnia. Po obu stronach. Trawa nie była tam czerwona przed bitwą. Ser Arian mówił ci o tym?

–Ser Arian nie chciał rozmawiać o tamtej bitwie. Jego giermek też wtedy zginął. Nazywał się Roger z Pennytree i był synem siostry ser Arlana.

Nawet wypowiadając to imię, Dunk miał lekkie poczucie winy. Zabrałem mu miejsce, pomyślał. Tylko książęta i wielcy panowie mogli mieć dwóch giermków. Gdyby Aegon Niegodny oddał swój miecz prawowitemu potomkowi Daeronowi, a nie Daemonowi, nie doszłoby być może do całej rebelii, a Roger z Pennytree żyłby zapewne do dzisiaj. I pewnie byłby wielkim rycerzem, pomyślał Dunk, prawdziwszym niż ja. Ja zaś skończyłbym na galerach albo w Strażnicy Cieni i do końca życia patrolowałbym Mur.

–Wielka bitwa to coś straszego – powiedział stary rycerz. – Jednak pośród rzezi można czasem ujrzeć coś tak pięknego, że aż serce zadrży. Nigdy nie zapomnę, jak słońce oświetlało Pole Czerwonej Trawy, gdzie padło dziesięć tysięcy ludzi. Wkoło rozlegały się jęki i płacz, a tymczasem niebo okryło się tak cudnymi czerwieniami, że aż zapłakałem z bólu, iż moi synowie nie mogą tego zobaczyć. – Westchnął. – Było krucho. Gorzej, niż się dzisiaj uważa. Gdyby nie Bloodraven...

–Zawsze słyszałem, że to Baelor Breakspear wygrał bitwę – powiedział Dunk. – On i książę Maekar.

–Młot i kowadło? – Wąs starego drgnął. – Pieśniarze mają wyobraźnię. Daemon był owego dnia wcielonym Wojownikiem. Nikt nie mógł dotrzymać mu pola. Rozsiekał przednią straż lorda Arryna, zabił Rycerza Dziewięciu Gwiazd i Dzikiego Wyla Waynwooda, zanim wpadł na ser Gwayne'a Corbraya ze Straży Królewskiej. Prawie godzinę krążyli dokoła siebie konno, a ludzie ginęli wokół nich. Powiadają, że ile razy ich miecze, Blackfyre i Lady Forlorn, uderzały o siebie, słychać to było na staję. Podobno był to na poły krzyk, a na poły pieśń. W końcu jednak Strażnik osłabł i Blackfyre przebił jego hełm, zostawiając rycerza ślepego i krwawiącego. Daemon zsiadł z konia i przekonał się, że jego przeciwnik żyje, kazał więc Redtuskowi zanieść go do medyków na tyłach. Ten błąd kosztował go życie, gdyż Zęby Kruka zebrały się tymczasem na Grani Płaczu, a Bloodraven dojrzał barwy swego przyrodniego brata ledwie trzysta jardów dalej. Nieco niżej wypatrzył Daemona i jego synów. Najpierw zabił Aegona, starszego z bliźniaków. Wiedział, że Daemon, póki krew będzie krążyć w jego żyłach, nie zostawi chłopaka. I nie zostawił, chociaż białe strzały padały wokół jak deszcz. Aż siedem go przeszło, wszystkie z magicznego łuku Bloodravena. Młody Aemon przejął Blackfyre'a, gdy miecz wyśliznął się z dłoni umierającego ojca, więc Bloodraven zabił i jego, młodszego z bliźniaków. W ten sposób zginął czarny smok i jego ród. Wiem, że potem działo się jeszcze wiele. Nieco sam widziałem... Rebelianci uciekali, ale Bittersteel zawrócił i poprowadził straceńczy atak. Stoczył walkę z Bloodravenem, która ustępowała tylko pojedynkowi Daemona z Corbrayem. Książę Baelor uderzył na buntowników od tyłu. Dorneańczycy z krzykiem wypełnili powietrze włóczniami. Jednak pod koniec dnia to wszystko nie miało już znaczenia. Wojna skończyła się wraz ze śmiercią Daemona. Ale było krucho, jak wspomniałem. Gdyby Daemon odjechał, zostawiając rannego Corbraya jego losowi, mógłby pokonać resztę sił Maekara jeszcze przed przybyciem Bloodravena. Dzień należałby wtedy do czarnego smoka, skoro Ręka Króla zginął i droga do Królewskiej Przystani stała otworem. Daemon mógłby zasiąść na Żelaznym Tronie, zanim książę Baelor nadciągnąłby ze swoimi rycerzami

i Dorneańczykami. Śpiewacy mogą opowiadać o młocie i kowadle, ale tak naprawdę mieliśmy tam zabójcę krewnych, który zmienił koleje losu za pomocą białej strzały i czarnej magii. Nie zapominaj, że teraz rządzi i nami. Król Aerys jest jego figurantem. Nie zdumiałbym się, słysząc, że Bloodraven nałożył zaklęcie na jego wysokość, aby uczynić go powolnym swej woli. Nic dziwnego, że dosięgło nas przekleństwo. – Ser Eustace potrząsnął głową i zamilkł z ponurym obliczem.

Dunk zastanawiał się, ile Jajo mógł z tego usłyszeć, ale nie miał teraz jak go spytać. „Ile oczu ma lord Bloodraven?” – przypomniał sobie zagadkę.

Robiło się coraz goręcej. Nawet muchy uciekły, zauważył Dunk. Mają więcej rozumu niż rycerze. Nie pchają się na słońce. Zastanowił się, czy mogą z Jajem liczyć na jakąś gościnność w Zimnej Fosie. Kufel ciemnego piwa dobrze by im zrobił. Chwilę później Dunk przypomniał sobie jednak, co Jajo powiedział o trucicielskich wyczynach Czerwonej Wdowy. Pragnienie przeszło mu jak ręką odjął. To nie jest jeszcze najgorsze, co może się zdarzyć człowiekowi.

–Były czasy, gdy ród Osgreyów władał wszystkimi tymi ziemiami na wiele staj wokół, od Nunny na wschodzie po Cobble Cover – powiedział ser Eustace. – Zimna Fosa była nasza, tak samo jak Wzgórza Podków, jaskinie Derring Downs, wioski Dosc, Mniejsze Dosc i Brandybottom, oba brzegi Jeziora Liści... Panny Osgreyów wychodziły

za Florentów, Swannów i Tarbecków, a nawet za Hightowerów i Blackwoodów.

W polu widzenia pojawił się skraj Lasu Wata. Dunk przestłonił oczy dłonią i zerknął na zieleń. Zaraz pozazdrościł swemu giermkowi słomkowego kapelusza. Przynajmniej będziemy mieli trochę cienia, pomyślał.

–Ten las ciągnął się kiedyś aż do Zimnej Fosi – odezwał się znowu ser Eustace. – Nie pamiętam, kim był ów Wat. Przed Podbojem można było tu spotkać tury i wielkie łosie o porożu szerokim na dwadzieścia dłoni. A nawet szerszym. Było tu więcej zwierzyny płowej, niż człowiek mógłby upolować przez całe życie, bo nikt oprócz króla i szachownicowego lwa nie miał prawa szukać w nim zwierzyny. Jeszcze za czasów mojego ojca las porastał oba brzegi strumienia, ale pająki wykarczowały drzewa na pastwiska dla koni, owiec i krów.

Strumyk potu spłynął Dunkowi po piersi. Nagle zapragnął, żeby jego pan przestał mówić. Za gorąco na rozmowę, pomyślał. Za gorąco na jazdę. W ogóle jest za gorąco.

Zaraz na skraju lasu natknęli się na zewłok wielkiego burego rysia. Robaki już się do niego dobrały.

–Cuchnie gorzej niż ser Bennis – powiedział Jajo, gdy Maester obchodził z dala padlinę.

Ser Eustace wstrzymał konia.

–Dziwne. Nie wiedziałem, że zostały tu jeszcze jakieś rysie. Ciekawe, co go zabiło. – Nie doczekał się odpowiedzi. – Tutaj zawrócę. Podążajcie dalej tą drogą na zachód, a dotrzecie wprost do Zimnej Fosy. Masz pieniądze? – Dunk przytaknął. – Dobrze. Wracaj z moją wodą, ser – rzekł i odjechał niespiesznie tam, skąd przybyli.

–Chyba już wiem, jak powinieneś rozmawiać z lady Webber, ser – powiedział Jajo, gdy stary zniknął im z oczu. – Musisz zyskać jej przychylność dwornymi komplementami. – Chłopak wyglądał w swoim kubraku równie świeżo jak ser Eustace.

Czy tylko ja jeden się pocę? – pomyślał Dunk.

–Dwornymi komplementami? Jakimi to?

–Wiesz, ser. Że jest piękna i tak dalej. Dunk nie był przekonany do pomysłu.

–Przeżyła czterech mężów, więc musi być stara jak lady Vaith.

Jeśli powiem jej, że jest piękna, chociaż okaże się brzydka, uzna mnie za kłamcę.

–Musisz znaleźć coś, co da się powiedzieć, nie kłamiąc. Tak robi mój brat Daerion. Mawia, że nawet stare, brzydkie kurwy miewają ładne włosy albo kształtne uszy.

–Kształtne uszy? – spytał z rosnącym powątpiewaniem Dunk.

–Albo ładne oczy. Powiedz jej, że suknia wydobywa kolor jej oczu. – Chłopak się zastanowił. – Chyba że będzie miała tylko jedno oko, jak lord Bloodraven.

„Pani, ta suknia wydobywa barwę twego oka...” Dunk słyszał pełne galanterii zdania padające z ust innych rycerzy i lordów. Oni nigdy nie wyrażali się tak bezpośrednio. „Pani, masz piękną suknię. Podkreśla barwę twoich urodziwych oczu”. Damy bywały stare i pomarszczone, tłuste i pokryte krostami, głupie czy prymitywne, ale wszystkie nosiły suknie i miały dwoje oczu. I wszystkie uwielbiały kwieciste komplementy. „Cóż za piękna suknia, pani. Wydobywa naturalny czar twoich barwnych oczu...”

–Błędny rycerz wie jednak prostszy żywot – rzekł ponuro Dunk. – Jeśli powiem coś nie tak, gotowa wpakować mnie do worka i cisnąć do fosy.

–Wątpię, aby mieli w zamku tak wielki worek, ser. Jakby co, możemy zawsze skorzystać z mojego buta.

–Nie. Nie możemy – warknął Dunk.

Gdy wyjechali z lasu, znaleźli się nad strumieniem, daleko powyżej tamy. Woda

wezbrała na tyle, że Dunk mógł się w końcu zamoczyć. Było wystarczająco głęboko, aby nawet mężczyzna się utopił. Na drugim brzegu rysował się przekop odprowadzający część

wody na zachód. Biegł równolegle do drogi i zasilał niezliczone mniejsze kanały wijące się wśród pól. Gdy przejdziemy strumień, będziemy zdani na łaskę Wdowy, pomyślał Dunk. W co ja się pakuję? Był sam i za całe wsparcie miał dziesięcioletniego chłopca.

Jajo powachlował twarz.

–Dlaczego się zatrzymujemy, ser?

–Wcale się nie zatrzymujemy.

Dunk skierował wierzchowca do wody. Jajo podążył za nim na mule. W najgłębszym miejscu woda sięgnęła Gromowi do brzucha. Ociekając, wyszli na drugi brzeg. Przed nimi biegł wykop, długi i prosty jak włócznia. W słońcu lśnił złotem i zielenią.

Gdy kilka godzin później dojrzeliby wieże Zimnej Fosi, Dunk zatrzymał się, aby zmienić przyodziewek i poluzować miecz w pochwie. Nie chciał mieć kłopotów z jego wyciągnięciem, gdyby zaszła taka potrzeba. Jajo z całą powagą sprawdził tymczasem swój sztylet. Jechali teraz bok w bok, Dunk na wielkim rumaku, chłopak na krępym mule, obaj w barwach Osgreyów.

Po tym wszystkim, co opowiadał ser Eustace, Zimna Fosa nieco ich rozczarowała. W porównaniu z Końcem Burzy albo Wysogrodem czy innymi zamczyskami, które Dunk widywał, była to dość skromna budowla. Niemniej na pewno był to zamek, a nie tylko ufortyfikowana wieża. Zewnętrzne, zwieńczone blankami mury wyrastały na trzydzieści stóp i miały wieże w narożnikach. Każda mierzyła połowę tego co Standfast. Na wieżycach i masztach powiewały sztandary Webberów, nakrapiany pająk na srebrnej sieci.

–Ser? Zobacz, dokąd płynie woda – odezwał się Jajo.

Wykop kończył się pod wschodnim murem zamku. Doprowadzał wodę do fosy, od której budowla wzięła nazwę. Szum małego wodospadu sprawił, że Dunk mocniej zacisnął zęby. „Nie dostaną mojej szachownicowej wody”, przypomniał sobie ser Eustace’a.

–Chodź – powiedział do chłopaka.

W łuku głównej bramy zwieszał się w nieruchomym powietrzu rząd sztandarów. Nad nimi widniał wyryty w kamieniu znacznie starszy znak. Wieki działania deszczu i wiatru zostawiły na nim swój ślad, ale nadal można było rozpoznać szachownicowego lwa. Brama była otwarta. Gdy wjechali na most zwodzony, Dunk zauważył, jak bardzo woda opadła w fosie. Co najmniej sześć stóp.

Przy bronie drogę zagrodziło im dwóch strażników. Jeden miał długą czarną brodę, drugi w ogóle nie nosił zarostu. Brodaty spytał, po co przybywają.

–Mój pan z rodu Osgreyów przysłał mnie z poselstwem do lady Webber – odparł Dunk. –

Jestem ser Duncan Wysoki.

–No, poznaję, że nie jesteś Bennis – powiedział ten bez brody. – Jego wyczulibyśmy z daleka. – Mężczyźnie brakowało jednego zęba. Nad sercem naszyty miał znak nakrapianego pająka.

Brodaty spojrział podejrzliwie na Dunka.

–Nikt nie może stanąć przed naszą panią, jeśli ser Lucas nie wyrazi zgody. Chodź ze mną. Twój pacholek może zostać z końmi.

–Jestem giermkim, a nie pacholkiem – zaprotestował Jajo. – Jesteś ślepy czy tylko głupi?

Bezbrody wybuchnął śmiechem. Brodaty natomiast przytknął ostrze włóczni do szyi chłopaka.

–Powtórz to.

Dunk strzelił giermka w ucho.

–Nie. Bądź cicho i zajmij się końmi. – Zeskoczył z siodła. – Ja porozmawiam z ser Lucasem.

Brodaty opuścił broń.

–Jest na dziedzińcu.

Przeszli pod ostrymi prętami brony, pokonali szyję bramną i znaleźli się na zewnętrznym dziedzińcu. W psiarni ujadły ogary, zza oprawnych w ołów szyb siedmiobocznej drewnianej świątyni słychać było śpiewy. Przed kuźnią kowal z czeladnikiem podkuwali rumaka bojowego, obok zaś jakiś giermek wypuszczał do tarczy strzałę za strzałą, w czym sekundowała mu nie mniej celnie piegowata dziewczyna z warkoczem. Nieco dalej obracał się kołowrót atakowany nieustannie przez pół tuzina rycerzy.

Ser Lucasa Długiego znaleźli wśród gapiów obok kołowrotu. Rozmawiał z roslym i otyłym septonem, który pocił się jeszcze bardziej niż Dunk. Białą szatę mężczyzny można by wyzymać. Inchfield stał przy nim prosty i sztywny niczym kopia. Był wysoki... ale nie tak wysoki jak Dunk. Sześć stóp i siedem cali, ocenił Dunk. A każdy cal bardziej puchnie z dumy niż poprzedni. Wprawdzie nosił szatę z czarnego jedwabiu przetykanego srebrem, wyglądał jednak tak surowo, jakby patrolował Mur.

–Panie – odezwał się strażnik. – Mamy tu kogoś z kurzej wieży.

Chce audiencji u naszej pani.

Septon odwrócił się pierwszy. Gwizdnął przy tym z zachwytem, jakby był pijany.

–Co my tu mamy? Błędneho rycerza? Wielkich macie ich w Reach. – Uczynił znak błogosławieństwa. – Niech Wojownik zawsze staje z tobą. Jestem septon Sefton. Niezbyt szczęśliwie dobrane imię, ale moje. A ty jak się zowiesz?

–Ser Duncan Wysoki.

–Skromny jest – powiedział septon do ser Lucasa. – Gdybym ja był tego wzrostu, mówiłbym o sobie ser Sefton Ogromny. Albo ser Sefton Wieżowy. Lub Sięgający Chmur.

Jego okrągła twarz płonęła rumieńcem, na szacie widać było plamy od wina.

Ser Lucas przyjrzał się Dunkowi. Był raczej starszym mężczyzną, gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką. Bardziej zyłasty niż muskularny, o uderzająco brzydkiej twarzy. Wargi miał grube, zęby żółte i poprzekrzywiane, szeroki i mięsisty nos, lekko wylupiaste oczy. Jest zły, pomyślał Dunk, zanim jeszcze tamten się odezwał.

–Błędni rycerze to albo uzbrojeni żebracy, albo banici. Pokój z tobą.

Nie chcemy tu takich jak ty.

Dunkowi twarz pociemniała.

–Ser Eustace Osgrey wyprawił mnie ze Standfast z posłaniem do pani tego zamku.

–Osgrey? – Septon spojrzał na ser Lucasa. – Ten od Iwa z szachownicy? Myślałem, że Osgreyowie już wymarli.

–Prawie, ale to bez znaczenia. Stary jest ostatnim z nich. Pozwoliliśmy mu zatrzymać zrujnowaną wieżę kilkanaście staj na wschód stąd. – Ser Lucas spojrzał pogardliwie na Dunka. – Jeśli ser Eustace chce rozmawiać z naszą panią, niech sam się tu pofatyguje. Byłeś z Bennisem przy tamie – dodał, mrużąc oczy. – Nie próbuj zaprzeczać. Powinienem cię powiesić.

–Niech nas Siedmiu strzeże. – Septon otarł rękawem pot z czoła. – To rozbójnik? Jeśli tak, to wielki. Ser, wyprostuj złe drogi swego żywota, a Matka okaże ci miłosierdzie – rzekł i podkreślił bogobojną prośbę pierdnięciem. – Och, wybaczcie mi wiatry. Tak to jest, jak się jada fasolę i jęczmienny chleb.

–Nie jestem rozbójnikiem – powiedział Dunk z całą godnością, na jaką było go stać.

Na ser Lucasie Długim nie zrobiło to żadnego wrażenia.

–Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę, ser... o ile naprawdę jesteś ser. Zmykaj do kurzej wieży i powiedz ser Eustace'owi, aby dostarczył nam ser Bennisa Śmierdzącego.

Jeśli oszczędzi nam kłopotu porywania go ze Standfast, nasza pani okaże może przychylność.

–Przybyłem, aby porozmawiać z waszą panią o ser Bennisie, awanturze przy tamie i kradzieży naszej wody.

–Kradzieży? Powiedz to naszej pani, a przed wieczorem będziesz pływał w worku. Naprawdę jesteś pewien, że chcesz z nią rozmawiać?

Dunk był pewny tylko tego, że chętnie wyrznąłby pięścią w tę pełną Pożółkłych, krzywych zębów gębę.

–Powiedziałem już, po co przybyłem.

–Och, niech z nią porozmawia – odezwał się septon. – Co złego może z tego wyniknąć? Ser Duncan ma za sobą długą drogę w palącym słońcu, niech więc powie, co ma do powiedzenia.

Ser Lucas znowu przyjrzał się Dunkowi.

–Nasz septon to pobożny człowiek. Chodź. Będę wdzięczny, jeśli postarasz się streszczać.

Ruszył przez podwórzec i Dunk musiał się pospieszyć, aby za nim nadążyć.

Drzwi świątyni otworzyły się i wierni zaczęli wychodzić na schody. Byli wśród nich rycerze i giermkowie, z tuzin dzieci, kilku starców, trzy septy w białych szatach i kapturach... i pulchna kobieta wysokiego rodu w sukni z granatowego adamaszku obszytego koronkami z Myrish tak długimi, że aż ciągnęły się za nią po ziemi. Dunk uznał, że musi mieć ze czterdzieści lat. Rude włosy nosiła upięte wysoko pod srebrzystą siatką, jednak o wiele czerwiejsza była jej twarz.

–Pani – powiedział ser Lucas, stając przed nią i jej kapłankami – to błędny rycerz, który przybył z posłaniem od ser Eustace’a Osgreya. Czy wysłuchasz go?

–Skoro tego chcesz, ser Lucasie – odparła i spojrzała na Dunka tak przenikliwie, że ten z miejsca przypomniał sobie wszystko, co Jajo mówił o czarach Wdowy. Jego zdaniem nic nie wskazywało na to, aby kąpała się we krwi dla zachowania urody. Była przysadzista i niezgrabna, z dziwnie spiczastą głową, czego włosy nie mogły do końca ukryć. Nos miała za duży, a usta za małe. Posiadała dwoje oczu, co było dla Dunka dobrą nowiną, ale wszelka galanteria już go opuściła.

–Ser Eustace kazał mi porozmawiać o niedawnej sprzeczce przy tamie – powiedział.

Kobieta zamrugnęła.

–Jakiej tamie?

Wkoło zebrał się tłum. Dunk czuł na sobie nieprzyjazne spojrzenia.

–Na strumieniu. Na Wodzie Szachownicy. Raczyła pani wybudować na nim tamę...

–Och, jestem całkiem pewna, że niczego nie budowałam – odparła. – Cały ranek spędziłam na modłach, ser.

Dunk usłyszał chichot ser Lucasa.

–Nie twierdzą, że sama ją pani wybudowała, ale że... bez tej wody zginą wszystkie nasze plony... wieśniacy uprawiają fasolę, jęczmień i melony...

–Naprawdę? Bardzo lubię melony. – Uśmiechnęła się. – Jakie to melony?

Dunk rozejrzał się niespokojnie. Czuł, że rumieniec ogarnia jego twarz. Coś tu jest nie tak, Lucas robi ze mnie głupca, pomyślał.

–Pani, czy możemy kontynuować tę rozmowę w... bardziej prywatnym miejscu?

–Ten wielki prostak chce się z nią przespać! – krzyknął ktoś i dokoła wybuchnął śmiech.

Kobieta skuliła się przerażona i uniosła ręce, aby zakryć twarz. Jedna z sept przysunęła się zaraz i otoczyła ją ramieniem.

–Co tu tak wesoło?! – rozległ się nagle donośny i zdecydowany głos. – Nikt mi nie powie, abym też mogła się pośmiać? Ser, dlaczego niepokoisz moją biedną siostrę?

To była dziewczyna, którą wcześniej widział na strzelnicy. Przy biodrze miała kołczan, a w ręku łuk niemal tak wysoki jak ona sama. Inna sprawa, że nie była zbyt wysoka. Jeśli Dunkowi brakowało cała do siedmiu stóp, jej brakowało tyle samo do pięciu. Mógłby obiema dłońmi objąć ją w pasie. Miała rude włosy zebrane w warkocz sięgający aż do ud, brodę z dołkiem, zadarty nos i nieco piegów na policzkach.

–Wybacz nam, lady Rohanne – odezwał się młody i przystojny lord z centaurem Caswellów wyszytym na kaftanie. – Ten przygłup wziął lady Helicent za ciebie.

Dunk spojrzał po kolei na obie kobiety.

–Więc to ty jesteś Czerwoną Wdową? – spytał, zanim zdążył pomyśleć. – Ale jesteś za...

–Młoda? – Dziewczyna rzuciła łuk chudemu młodzieńcowi, z którym wcześniej ćwiczyła. – Tak się składa, że mam dwadzieścia pięć lat. A może chciałeś powiedzieć, że jestem za mała?

–Piękna. Chciałem powiedzieć piękna. – Dunk nie wiedział, skąd coś podobnego przyszło mu do głowy, ale wcale nie żałował swych słów. Podobał mu się jej nos i jasnorude włosy, i drobne kształtne piersi rysujące się pod skórzaną kamizelą. – Myślałem, że będziesz... to znaczy... powiadają, że cztery razy zostałaś już wdową, więc...

–Mój pierwszy mąż zmarł, gdy miałam dziesięć lat. On miał dwanaście i był giermkim mojego ojca. Zginął na Polu Czerwonej Trawy.

Obawiam się, że moi mężowie w ogóle nie wytrzymują długo. Ostatni zmarł wiosną.

Tak mówiono o tych, którzy odeszli w czasie wielkiej wiosennej zarazy dwa lata temu. Zmarł wiosną. Wiele dziesiątków tysięcy umarło tamtej wiosny, a wśród nich mądry król i dwaj jego młodzi, obiecujący następcy.

–Przykro mi z powodu tej straty, pani. – Galanteria, nie zapominaj o galanterii, powtarzał w myślach Dunk. – Chciałem powiedzieć... twoja suknia...

–Suknia? – Spojrzała na swoje buty, spodnie, luźną płócienną tunikę i skórzaną kamizelę. – Nie noszę sukni.

–I włosy... to znaczy... są miękkie i...

–Skąd możesz to wiedzieć, ser? Gdybyś kiedykolwiek ich dotknął, chyba bym to pamiętała.

–Nie miękkie – wyjąkał Dunk. – Chciałem powiedzieć rude. Są bardzo rude.

–Bardzo, ser? Mam nadzieję, że nie tak intensywnie, jak intensywny jest teraz twój rumieniec – rzekła ze śmiechem i widzowie jej zawtórowali.

Wszyscy prócz ser Lucasa.

–Pani, ten człowiek to jeden z najemników ze Standfast – wtrącił się nagle. – Był z Bennisem herbu Brunatna Tarcza, gdy ten zaatakował twoich kopaczy przy tamie i pociął twarz Wolmerowi. Stary Osgrey wysłał go, aby z tobą porozmawiał.

–Owszem, pani. Nazywam się ser Duncan Wysoki.

–Raczej ser Duncan Tępy – powiedział brodaty rycerz noszący potrójnie złożoną błyskawicę Leygoodów.

Rozległy się śmiechy. Nawet lady Helicent doszła do siebie na tyle, że zachichotała.

–Czy uprzejmość umarła w Zimnej Fosie wraz z moim ojcem? – spytała dziewczyna. Nie, to już nie dziewczyna, ale dorosła kobieta, pomyślał Dunk. – Zastanawiam się, jak ser Duncan mógł popełnić taką pomyłkę?

Dunk zerknął krzywo na Inchfielda.

–To moja wina.

–Zaiste? – Czerwona Wdowa zmierzyła Dunka od stóp do głów, lecz najdłużej zatrzymała wzrok na jego piersi. – Drzewo i spadająca gwiazda. Nigdy nie widziałam tego herbu. – Dotknęła jego szaty, wodząc dwoma palcami za gałęzią wiązu. – I to wymalowane, a nie wyszyte. Słyszałam, że Dorneańczycy malują na jedwabiu, ale ty wyglądasz na zbyt rosnącego, aby stamtąd pochodzić.

–Nie wszyscy Dorneańczycy są niscy, pani. – Dunk czuł jej palce przez jedwab. Dostrzegł, że na dłoni też ma piegi. Założył się, że wszędzie jest piegowata, pomyślał i w ustach mu zaschło. – Spędziłem rok w Dornie.

–Czy wszystkie dęby wyrastają tam tak wysoko? – spytała, przesuwając palcami po gałęzi w okolicy jego serca.

–To ma być wiąz, pani.

–Powinnam poznać. – Cofnęła rękę. – Tutaj jest zbyt gorąco i brudno na rozmowę. Septonie, pokaż ser Duncanowi drogę do mojej komnaty audiencyjnej.

–Z przyjemnością, siostrze.

–Nasz gość na pewno jest spragniony. Mógłbyś też posłać po dzban wina.

–Naprawdę? – Kapłan aż pojaśniał. – Skoro tak mówisz.

–Dołączę do was, gdy tylko się przebiorę. – Odpięła pas z kołczanem i podała go towarzyszowi. – Chcę też widzieć maestra Cerricka. Ser Lucasie, poproś go, aby się zjawiał.

–Zaraz go przyprowadzę, pani.

Spojrzała chłodno na swojego kasztelana.

–Nie trzeba. Wiem, że masz wiele obowiązków w zamku. Wystarczy, jak przyślesz Cerricka do moich komnat.

–Pani – zawołał za nią Dunk – mojemu giermkowi kazano zostać przy bramie. Czy on też może do nas dołączyć?

–Masz giermka? – Gdy się uśmiechała, wyglądała najwyżej na piętnaście lat. Piękna, wesółka i zwodnicza, pomyślał Dunk. – Skoro chcesz, to oczywiście.

–Nie pij wina, ser – szepnął mu Jajo, gdy czekali z septonem w komnacie audiencyjnej.

Kamienne podłogi okrywały pachnące słodko plecionki z sitowia, na ścianach wisały gobeliny ze scenami z turniejów i bitew.

Dunk prychnął.

–Nie musi mnie truć – odpowiedział szeptem. – Ma mnie za wielkiego głupka z głową pełną pęczaku.

–Tak się składa, że moja dobra siostra lubi pęczak – powiedział septon Sefton, wracając z dzbanem wina, dzbanem wody i trzema kubkami. – Tak, słyszałem. Jestem gruby, ale nie głuchy. – Napełnił dwa kubki winem i jeden wodą. Ten trzeci dał chłopcu,

który popatrzył nieufnie i odstawił naczynie. Septon nie zwrócił na to uwagi. – To szlachetny arbor. Świetne wino, ale trucizna nadaje mu szczególny posmak. – Mrugnął do Jaja. – Sam rzadko pijam, ale tak słyszałem. – Podał kubek Dunkowi.

Wino pachniało intensywnie i było słodkie, ale Dunk nie spieszył się z piciem. Poczekał, aż septon pochłonie trzema łykami połowę zawartości swego kubka. Jajo skrzyżował ręce na piersi i nadal ignorował wodę.

–Lubi pęczak – podjął septon. – I ciebie też, ser. Znam swoją dobrą siostrę. W pierwszej chwili pomyślałem nawet z nadzieją, że może to jakiś zalotnik z Królewskiej Przystani przybył, aby prosić ją o rękę.

Dunk zmarszczył brwi.

–Skąd wiedziałeś, że jestem z Królewskiej Przystani?

–Ludzie stamtąd mają charakterystyczny akcent. – Kapłan pociągnął kolejny łyk wina, potrzymał go w ustach, przełknął i westchnął z zadowolenia. – Służyłem tam wiele lat u wysokiego septona w Wielkim Sepcie Baelora. – Westchnął ponownie. – Nie poznałbyś miasta po wiośnie. Pożary je odmieniły. Czwarta część domów zniknęła, a kolejna czwarta część stoi pusta. I jeszcze szczury zniknęły. To jest najdziwniejsze. Nigdy jeszcze nie widziałem miasta bez szczurów.

Dunk też o tym słyszał.

–Byłeś tam podczas zarazy?

–Tak. Straszny czas, ser, straszny. Ludzie budzili się zdrowi rano i umierali przed zachodem słońca. Umierali tak szybko, że nie dawano rady ich chować. W końcu zaczęto układać ciała w stos w smoczej studni, a gdy miał on już dziesięć stóp, lord Rivers nakazał kapłanom ognia go spalić. Blask stosu bił przez okna tak samo jak w dawnych dniach, gdy pod kopułą gnieździły się jeszcze prawdziwe smoki. W nocy było go widać w całym mieście, ciemnozieloną łunę magicznego ognia. Ta zieleń prześladuje mnie do dzisiaj.

Powiadają, że wiosna była zła w Lannisport, ale gorsza w Starym Mieście, jednak w Królewskiej Przystani zabrała czterech na każdym dziesięciu. Nikogo nie oszczędziła, młodych ani starych, bogatych ani biednych, wielkich ani maluczkich. Nasz dobry wysoki septon też pożegnał się z życiem, chociaż był głosem bogów na ziemi. Odeszła prawie trzecia część naszych oddanych sióstr. Jego wysokość król Daeron, słodki Matarys i śmiały Valarr, Ręka... Och, to był przerażający czas. Pod koniec pół miasta zanosilo modły do Obcego. – Upił kolejny łyk. – A ty gdzie byłeś wtedy, ser?

–W Dornie.

–Dzięki więc niech będą Matce. – Wielka wiosenna zaraza nigdy nie dotarła do Dorne'u. Może za sprawą tego, że Dorneańczycy zamknęli granice i porty, podobnie jak Arrynowie z Vale, którzy też ocaleli. – Taka rozmowa o śmierci może odstręczyć od wina, ale w takich czasach trudno o radość. Mimo wszystkich naszych modlitw susza nie ustępuje, królestwo chwieje się w posiadach i co rusz wybucha gdzieś zarzewie buntu. Bittersteel i synowie Daemona Blackfyre'a knują w Tyrosh, krakeny Dagona Greyjoya wyją niczym wilki na zachodnim morzu, docierając aż do Arbor. Uniosły już podobno połowę bogactw Pięknej Wyspy i sto kobiet. Lord Farman wzmacnia obronę, chociaż moim zdaniem zachowuje się jak mężczyzna zakuwający swą ciężarną córkę w pas cnoty. Lord Bracken gaśnie z wolna w Tridencie, a jego najstarszy syn zmarł wiosną. To znaczy, że dziedziczyć po nim będzie ser Otho. Blackwoodowie nigdy nie zaakceptują Brutala Brackena jako sąsiada, dojdzie więc do wojny.

Dunk słyszał o pradawnej animozji między Blackwoodami a Brackenami.

–Czy ich pan lenny nie wymusi pokoju?

–Lord Tully ma dopiero osiem lat i otaczają go same kobiety – odparł septon. – Riverrun niewiele pomoże, a król Aerys pomoże jeszcze mniej. O ile jakiś maester nie napisze o tym książki, król niczego nie zauważy. Lord Rivers nie dopuści do niego żadnego Brackena. Trzeba pamiętać, że Ręka Króla jest półkrwi Blackwoodem. Prędzej już pomoże kuzynom uporać się z Brutalem. Matka naznaczyła Riversa w dniu narodzin, a Bittersteel naznaczył go ponownie na Polu Czerwonej Trawy.

Dunk wiedział, że chodzi o Bloodravena. Królewski zausznik nazywał się naprawdę Brynden Rivers. Jego matka była z rodu Blackwoodów, jego ojcem był król Aegon Czwarty.

Gruby kapłan upił wina i podjął opowieść.

–Co do Aerysa, Jego Łaskawość bardziej obchodzi stare zwoje i zakurzone proroctwa niż lordowie i nasze prawa. Nie zadbał nawet o splodzenie dziedzica. Królowa Aelinor modli się codziennie w Wielkim Sepcie, prosząc Matkę o błogosławieństwo potomka, ale nic z tego nie wychodzi. Aerys trzyma się własnych komnat i podobno prędzej księgę weźmie do łóża niż kobietę. – Nappełnił ponownie kubek. – Nie miejcie złudzeń. Tak naprawdę to lord Rivers

rządzi nami za pomocą swych czarów i szpiegów. Nie ma nikogo, kto mógłby mu się przeciwstawić. Książę Maekar stroi fochy w Summerhall, pielęgnując żal do swego panującego brata, książę Rhaegal w swym szaleństwie muchy by nie skrzywdził, a jego dzieci... to jeszcze dzieci. Wszystkie urzędy trafiły do rąk przyjaciół albo faworytów Riversa, słabsi lordowie liżą pokornie jego dłoń, a nowy Wielki Maester jest tak samo oddany magii jak jego mistrz. Czerwona Twierdza pełna jest Zębów Kruka, nikt więc nie dostanie się do króla bez jego zgody.

Dunk poruszył się niespokojnie. „Ile oczu ma lord Bloodraven? Tysiąc i jedno”. Zostało żywić nadzieję, że Ręka Króla nie ma tysiąca i jednego uszu. Część z tego, co mówił Sefton, pachniała zdradą. Spojrzał na chłopaka, ciekaw, jak przyjmuje te sensacje. Jajo ledwo utrzymywał język za zębami.

Septon wstał ciężko.

–Moja dobra siostra zjawi się dopiero za chwilę. Jak wszystkie wielkie damy, musi najpierw przymierzyć dziesięć sukien i dopiero jedenasta pasuje jej do nastroju. Chcesz jeszcze wina? – Nie czekając na odpowiedź, napełnił ponownie oba kubki.

–Ta dama, z którą przez pomyłkę rozmawiałem na początku, to twoja siostra? – spytał Dunk, pragnąc zmienić temat.

–Wszyscy jesteśmy dziećmi Siedmiu, ser, ale poza tym... Nie, na bogów. Lady Helicent to siostra ser Rollanda Ufferinga, czwartego męża naszej pani, który zmarł wiosną. Przed nim był mój brat, ser Simon Staunton, który miał pecha udławić się kością kurczaka. Zimna Fosa roi się od pociotków, bo ile razy któryś mąż umierał, jego krewni pozostawali w zamku, aby pić wino mojej pani i zajadać jej chleb. Całkiem jak szarańcza, tyle że w atłasach i aksamitach. – Otarł usta. – Ale i tak musi znowu wyjść za mąż, i to niebawem.

–Musi? – spytał Dunk.

–Testament jej ojca tego wymaga. Lord Wyman chciał wnuków, aby podtrzymali jego ród. Gdy zachorował, próbował wydać córkę za ser Lucasa, aby odejść ze świadomością, że jest ktoś silny, kto będzie jej bronić. Rohanne jednak go odrzuciła i nasz pan zemścił się na niej za to w testamencie. Jeśli w drugą rocznicę jego śmierci pozostanie niezamężna, Zimna Fosa przejdzie na jego kuzyna Wendella. Może dostrzeżliście go na dziedzińcu. Niski mężczyzna z wolem. Ciągłe puszcza wiatry, chociaż tego akurat chyba nie powinienem mówić, bo sam nie jestem lepszy. Ser Wendell może

być głupim pierdzistołkiem, ale jego żona to siostra lorda Rowana... I jest diablo płodna, nie da się zaprzeczyć. Rodzi tak często, jak on pierdzi. Ich synowie są równie paskudni jak ojciec, córki nawet jeszcze gorsze, a wszyscy liczą dni. Lord Rowan uznał testament, władza naszej pani skończy się zatem po następnej pełni.

–Dlaczego zwlekała tak długo? – spytał głośno Dunk.

Septon wzruszył ramionami.

–Po prawdzie, zalotników jakoś zabrakło. Moja dobra siostra nie należy do kobiet, których widok byłby przykry dla oczu, jak sam już zresztą zauważyłeś, porządny zamek i rozległe włości zaś dodają jej uroku. Można by sądzić, że chętnych będzie więcej niż much, że zaraz zjadą się tłumy młodszych synów i rycerzy bez ziemi. Nic bardziej mylnego. Czterech zgasłych mężów skłania do ostrożności, a niektórzy powiadają też, że jest bezpłodna... chociaż nigdy w jej obecności, chyba że chcą obejrzeć wronią klatkę od środka. Dwa razy donosiła ciążę, rodząc raz chłopca, a raz dziewczynkę, ale żadne nie dożyło dnia nadania imienia. Ci nieliczni, których nie zrazi gadanie o truciznach i czarach, zostają zniechęceni przez Długiego. Lord Wyman nałożył na niego obowiązek chronienia córki przed niewartymi uwagi zalotnikami, co w mniemaniu kasztelana oznacza wszystkich zalotników. Każdy, kto chciałby jej ręki, musi najpierw zmierzyć się z nim na miecze. – Dokończył wino i odstawił kubek. – Nie muszę dodawać, że nikt taki się dotąd nie znalazł. Najbardziej wytrwali byli Cleyton Caswell i Simon Leygood, chociaż chodziło im raczej o jej ziemię niż osobę. Gdybym sam miał kogoś obstawiać, byłbym za Geroldem Lannisterem. Może nie jest najładniejszy, ale podobno złotowłosy i bystry. I ma ponad sześć stóp wzrostu...

–...lady Webber zaś lubi listy od niego. – Ta, o której była mowa, stanęła właśnie w drzwiach razem z młodym maesterem o wielkim, haczykowatym nosie. – Przegrałbyś zakład, dobry bracie. Gerold nigdy nie porzuci dobrowolnie przyjemności Lannisport i splendoru Casterly Rock dla jakiegoś zagubionego zamku. Jako brat i doradca lorda Tybolta cieszy się większymi wpływami, niż mógłby kiedykolwiek mieć jako mój mąż. Co do innych, ser Simon musiałby sprzedać połowę mojej ziemi, żeby spłacić swoje długi, ser Cleyton zaś drży jak liść, ile razy Lucas Longinch spojrzy w jego stronę. Poza tym jest ładniejszy niż ja. A ty, septonie, jesteś największym plotkarzem Westerosu.

–Bo ja w ogóle jestem wielki – odparł zupełnie nie speszony Septon.

–Ty jesteś Czerwoną Wdową? – spytał zdumiony Jajo. – Jestem prawie tak wysoki jak ty!

–Pewien chłopiec zauważył to samo niespełna pół roku temu. Posłałam go do izby tortur, aby zrobili go wyższym. – Gdy weszła na podwyższenie i siadła na krześle, warkocz przerzuciła przez lewe ramię i ułożyła na podolku. Był tak długi, że wyglądał jak zwinięty do snu kot. – Ser Duncanie, nie powinnam droczyć się z tobą na dziedzińcu, gdy próbowałeś być dworny. Wszystko przez twój rumieniec. Nigdy żadna dziewczyna nie kokietowała cię w tej wiosce, w której wyrosłeś taki wysoki?

–Ta wioska to Królewska Przystań. – Nie chciał wspominać o Pchlim Zadku. – Były tam dziewczyny, ale... – Takie kokietowanie, jakie zdarzało się w Pchlim Zadku, mogło doprowadzić do obcięcia stopy.

–Pewnie bały się ciebie. – Lady Rohanne pogłaskała swój warkocz. – Bez wątpienia bały się tego, jaki jesteś wielki. Nie myśl źle o lady Helicent, jeśli można prosić. Moja dobra

siostra to prostoduszna osoba, nie ma w niej zła. Przez swój stan nie może się nawet ubrać, bez pomocy sept.

–To nie była jej wina, tylko moja pomyłka.

–Kłamiesz bardzo dwornie, ale znam ser Lucasa. Ma okrutne poczucie humoru i poczuł się urażony samym twym widokiem.

–Dlaczego? – zdumiał się Dunk. – Nic mu nie zrobiłem.

Uśmiechnęła się tak, że zaraz pożałował, iż nie jest brzydsza.

–Widziałam, jak stałeś obok niego. Jesteś wyższy od Lucasa o dłoń. Lub prawie tyle. Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz nie mógł na kogoś spojrzeć z góry. Ile masz lat, ser?

–Prawie dwadzieścia, pani. – Dunk lubił brzmienie słowa „dwadzieścia”, chociaż naprawdę był o rok albo dwa lata młodszy. Nikt nie wiedział tego na pewno, z nim włącznie. Musiał mieć kiedyś matkę i ojca, jak wszyscy, ale nie znał ich, nie poznał nawet ich imion, w Pchlim Zadku zaś nikogo nie obchodziło nigdy, kiedy ani z kogo się urodził.

–Jesteś tak silny, jak się wydaje?

–A na jak silnego wyglądam, pani?

–Na dość silnego, aby ser Lucas miał powody do niepokoju. Jest moim kasztelanem, chociaż nie ja go wybrałam. Podobnie jak Zimną Fosę, odziedziczyłam go po ojcu. Zyskałeś tytuł na polu bitwy, ser Duncanie? Twoja mowa sugeruje, że nie urodziłeś się w stanie rycerskim, o ile wybaczysz mi tę uwagę.

Urodziłem się na samym dnie, pomyślał Dunk.

–Błądny rycerz, ser Arian z Pennytree, wziął mnie na giermka, gdy byłem jeszcze chłopcem. Nauczył mnie rycerskiego rzemiosła.

–I to ser Arian pasował cię na rycerza?

Dunk zaszurał nogami. Teraz dopiero ujrzał, że jeden z butów się rozsznurował.

–Nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić.

–Gdzie jest teraz ser Arian?

–Nie żyje. – Dunk uniósł wzrok. Potem zawiąże but. – Pochowałem go na stoku wzgórza.

–Poległ w walce?

–Przemókł na deszczu i się przeziębił.

–Starzy ludzie mają kruche zdrowie. Nauczyłam się tego przy drugim mężu. Miałam trzynaście lat, gdy za niego wyszłam. On w następne imieniny miał skończyć pięćdziesiąt pięć, ale nie dożył tego dnia. Gdy był już od pół roku w ziemi, wydałam na świat jego syna, ale Obcy przyszedł i po niego. Septonowie powiedzieli, że ojciec chciał go mieć przy sobie. Co o tym sądzisz, ser?

–Może i tak było, pani – odparł z wahaniem Dunk.

–Bzdura – powiedziała. – Chłopiec urodził się za słaby. Za drobny. Ledwie miał siłę ssać. Bogowie darowali jego ojcu prawie pięćdziesiąt pięć lat, mogliby więc dać synowi więcej niż trzy dni.

–Na pewno.

Dunk nie wiedział wiele o bogach. Czasem zaglądał do septu i modlił się, aby Wojownik dał mu siłę, ale poza tym nie myślał o Siedmiu.

–Przykro mi, że ser Arian nie żyje – powiedziała. – A jeszcze bardziej żałuję, że wstąpiłeś na służbę do ser Eustace’a. Nie wszyscy starzy ludzie są tacy sami, ser Duncanie. Dobrze byś zrobił, wracając do domu w Pennytree.

–Nie mam innego domu niż ten, gdzie przysięgam na miecz. – Dunk nigdy nie widział Pennytree, nie był nawet pewien, czy leży w Reach.

–Przysięgnij więc służyć tutaj. Czasy mamy niepewne. Potrzebuję rycerzy. Wyglądasz na kogoś z niezłym apetytem, ser Duncanie. Ile kurczaków zdołasz zjeść?

W Zimnej Fosie mógłbyś też jadać czerwone mięso i słodkie owoce. Twój giermek również potrzebuje chyba lepszego wikt. Jest tak niedożywiony, że wszystkie włosy mu wypadły. Dostanie kwaterę z innymi chłopcami w jego wieku. Spodoba mu się. Mój fehmistrz będzie go uczył.

–Sam go uczę – powiedział Dunk.

–I kto jeszcze? Bennis? Stary Osgrey? Kurczaki?

Były dni, gdy Dunk kazał chłopcu gonić kurczaki. Chciał, aby nauczyło go to refleksu. Wiedział jednak, że gospodyni uśmiełaby się, słysząc o takich naukach. Rozpraszały go ten zadarty nos i piegi. Musiał co chwila przypominać sobie, po co ser Eustace go tu wysłał.

–Przysięgłem na miecz posłuszeństwo Osgreyowi, pani – rzekł. – I tak zostanie.

–Rozumiem, ser. Porozmawiajmy zatem o mniej przyjemnych sprawach. – Pociągnęła swój

warkocz. – Nie zamierzamy tolerować ataków na zamek ani jego mieszkańców. Możesz zatem podać powód, dla którego nie powinnam wrzucić cię do fosy?

–Przybyłem jako poseł i piłem twoje wino, pani – przypomniał jej. Miły smak tego wina ciągle czuł w ustach. Jak dotąd nie otruto go, za to nabrał chyba za jego sprawą śmiałości.
– Poza tym nie masz dość dużego worka, aby mnie w nim zmieścić.

Ku jego uldze kupiła żart Jaja.

–Mamy jednak kilka akurat na Bennis. Maester Cerrick powiada, że Wolmer ma policzek rozcięty prawie do kości.

–Ser Bennis stracił do niego cierpliwość, pani. Ser Eustace przysłał mnie, bym zapłacił cenę krwi.

–Cenę krwi? – Roześmiała się. – Wiedziałam, że jest stary, ale nie podejrzewałam, że aż tak. Czy wydaje mu się, że żyjemy w Erze Herosów, kiedy życie ludzkie było warte nie więcej niż mieszek srebra?

–Kopacz nie został zabity, pani – przypomniał jej Dunk. – Na ile widziałem, nikt nie zginął. Został tylko zraniony.

Przesunęła palcami po warkoczu.

–Na ile ser Eustace wycenił policzek Wolmera?

–Na sztukę srebra. I trzy sztuki dla ciebie, pani.

–Ser Eustace nisko ceni mój honor, chociaż trzy sztuki srebra to zawsze więcej niż trzy kurczaki. O wiele lepiej zrobiłby, dostarczając mi Bennis, bym mogła go ukarać.

–Za pomocą worka, o którym wspomniałaś?

–Niewykluczone. – Owinęła warkocz wokół ręki. – Osgrey może zatrzymać swoje srebro. Za krew można zapłacić tylko krwią.

–Możliwe, pani. Ale dlaczego nie posłać po mężczyznę, którego zranił Bennis, i nie spytać go, czy woli srebro czy Bennis w worku?

–Och, wybrałby srebro, gdyby nie mógł wybrać jednego i drugiego. W to akurat nie wątpię, ser. Ale wybór nie należy tu do niego. Chodzi o lwa i pajaka, nie o jakiegoś wieśniaka. Chcę Bennis i dostanę go. Nikt nie najedzie moich ziem i nie podniesie bezkarnie ręki na moich poddanych.

–Najpierw ty, pani, najechałaś ziemie ser Osgreya i podniosłaś rękę na jednego z jego poddanych – powiedział Dunk bez zastanowienia.

–Naprawdę? – Znowu pociągnęła warkocz. – Jeśli myślisz o tym złodzieju owiec, to był to notoryczny przestępca. Dwa razy skarżyłam się na niego Osgreyowi, ale nic nie zrobił. Nie chciałam prosić trzeci raz. Królewskie prawo daje mi możliwość wymierzenia

sprawiedliwości.

–Na swojej ziemi – odezwał się Jajo. – Królewskie prawo pozwala wymierzać sprawiedliwość tylko w obrębie własnych dóbr.

–Bystry jesteś – powiedziała lady Rohanne. – Skoro wiesz tyle, wiesz też zapewne, że rycerz z nadaniem ziemi nie może ukarać nikogo bez zgody swego pana lennego. Ser Eustace podlega lordowi Rowanowi. Bennis złamał pokój króla, wyciągając miecz, i musi za to odpowiedzieć. – Spojrzała na Dunka. – Jeśli ser Eustace dostarczy mi Bennisa, utnę mu nos i tyle. Jeśli jednak będę musiała po niego pojechać, nie obiecuję, że na tym się skończy.

Dunka ogarnęło nagle złe przeczucie.

–Przekażę to, ale nie wyda ser Bennisa. – Zawahał się. – Powodem problemów jest tama. Gdybyś, pani, zgodziła się ją zburzyć...

–Niemożliwe – odezwał się młody maester. – Zimna Fosa utrzymuje dwadzieścia razy tyle ludzi co Standfast. Na polach naszej pani pszenica, kukurydza i jęczmień giną z braku wody. Lady Rohanne ma pół tuzina sadów z jabłoniąmi, śliwami i trzema gatunkami grusz. Ma krowy, które będą się cielić, pięćset czarnonosych owiec i hodowlę najlepszych koni w Reach. Mamy tuzin ciężarnych klaczy.

–Ser Eustace też ma owce. I melony na polach, i fasolę, i jęczmień...

–Przecież bierzecie tę wodę do fosy! – powiedział głośno Jajo.

Rzeczywiście, przypomniał sobie Dunk.

–Fosa ma kluczowe znaczenie dla obrony zamku – rzekł z naciskiem maester. – Czy sugerujecie, że lady Rohanne ma się wystawić na atak, i to w tak niepewnych czasach?

–Sucha fosa to nadal fosa – powiedział wolno Dunk. – Poza tym są tu jeszcze grube mury pełne silnych obrońców.

–Ser Duncanie – odezwała się lady Rohanne – miałam dziesięć lat, gdy doszło do buntu czarnego smoka. Błagałam ojca, żeby się nie narażał albo żeby zostawił tu chociaż mojego męża. Pytałam, kto będzie mnie chronił, jeśli obaj zginą. Wziął mnie wtedy na blanki i przedstawił mocne strony naszego zamku. „Pilnuj ich, powiedział, a będziesz bezpieczna”. W pierwszym rzędzie wskazał fosę. – Poglądziła policzek końcem warkocza. – Mój pierwszy mąż zginął na Polu Czerwonej Trawy. Ojciec znalazł mi następnych, ale Obcy

zabrał i ich. Nie ufam już mężczyznom, jakkolwiek silni by się wydawali. Ufam tylko kamieniom, stali i wodzie. Wierzę w moc fosy i będę dbała, aby moja fosa nie wyschła.

–To, co powiedział pani ojciec, jest słuszne, ale nie daje prawa zabierać Osgreyowi wody.

Pociągnęła warkocz.

–Przypuszczam, że ser Eustace powiedział ci, iż ten strumień to jego własność.

–Od tysiąca lat – potwierdził Dunk. – Nazywa się nawet Woda Szachownicy. To oczywiste.

–Tak... – Znowu szarpnęła kilka razy warkocz. – Tak jak rzeka nazywa się Mander, chociaż Manderleyowie zostali wyparci z jej brzegów tysiąc lat temu. Jak Wysogród jest Wysogrodem, chociaż ostatni Gardner zginął na Polu Ognia. Casterly Rock należy do Lannisterów i nigdzie nie można trafić na ślad rodu Casterów. Świat się zmienia, ser. Ten strumień ma swe źródło na Wzgórzach Podków. Gdy ostatnim razem sprawdzałam, należały one do mnie. Ta woda też jest więc moja. Cerricku, pokaż mu.

Maester zszedł z podwyższenia. Nie mógł być dużo starszy od Dunka, ale w szarych szatach i łańcuchu na szyi wyglądał na znacznie starszego, poważniejszego

i mądrzejszego. W ręku trzymał stary pergamin.

–Niech pan się przekona na własne oczy, ser – powiedział, rozwijając zwój i podając go Dunkowi.

Dunk-kunk, gruboskórny jak mur zamku, pomyślał po raz nie wiadomo który. Czuł, że policzki znowu mu płoną. Ostrożnie wziął pergamin i, zmarszczywszy brwi, spojrzał na tekst. Nie potrafił odczytać ani słowa, ale poznał pieczęć pod wyszukanym podpisem, pieczęć z wizerunkiem trójgłowego smoka Targaryenów. Królewską pieczęć. Dokument wyglądał na królewski dekret. Dunk przesunął po nim kilka razy oczami, jakby czytał.

–Jednego słowa nie mogę tu odczytać – mruknął po chwili. – Jajo, spójrz tylko, masz lepsze oczy niż ja.

Chłopak doskoczył do niego.

–Które to słowo, ser?

Dunk wskazał.

–To? Aha... – Jajo przebiegł szybko dokument wzrokiem, uniósł oczy i ledwo zauważalnie pokiwał głową.

To jej strumień i ma na to dokument, zrozumiał Dunk i poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

–To... musi być jakaś pomyłka – powiedział. – Synowie starego zginęli w służbie króla, dlatego więc Jego Łaskawość miałby odbierać mu strumień?

–Gdyby król Daeron nie był tak łaskawy, ser Eustace straciłby również głowę.

Przez chwilę Dunk niczego nie rozumiał.

–Co chcesz przez to powiedzieć, pani?

–To, że ser Eustace Osgrey to buntownik i zdrajca – odparł za swoją panią maester Cerrick.

–Ser Eustace przedłożył czarnego smoka nad czerwonego w nadziei, że Blackfyre odda Osgreyom te ziemie i zamki, które utracili za Targaryenów – wyjaśniła lady Rohanne. – Głównie chodziło mu o Zimną Fosę. Jego synowie zapłacili za zdradę życiem. Gdy przywiózł ich kości do domu i oddał córkę wysłannikom króla jako zakładniczkę, jego żona rzuciła się ze szczytu Standfast. Czy ser Eustace powiedział ci o tym? – Uśmiechnęła się smutno. – Nie, chyba jednak nie.

–Czarny smok. – Ślubowałaś zdrajcy, głupcze. Jadasz chleb zdrajcy i sypiasz pod dachem buntownika. – Pani... – powiedział, odzyskując mowę – to było piętnaście lat temu. Teraz zaś panuje susza. Nawet jeśli kiedyś był buntownikiem, obecnie ser Eustace potrzebuje wody tak samo jak wszyscy.

Czerwona Wdowa wstała i wygładziła spódnice.

–Niech więc się modli o deszcz.

Dunk przypomniał sobie nagle to, co stary powiedział mu w lesie, tuż przed rozstaniem.

–Jeśli nie chcesz dać wody przez wzgląd na niego, może zrobisz to przez pamięć jego syna?

–Jego syna?

–Addama. Służył jako paż i giermek twemu ojcu, pani. Twarz lady Rohanne nagle stężała.

–Podejdź bliżej.

Nie wiedział, co innego mógłby zrobić. Podest dodawał gospodyni dobrą stopę, ale i tak Dunk był wyższy od niej.

–Uklęknij – rozkazała.

Gdy to uczynił, wymierzyła mu z całej siły policzek. Zabolalo, poczuł smak krwi płynącej z pękniętej wargi. Była silniejsza, niż się zdawało, jednak nie zraniła go tak naprawdę. Przez

chwile Dunk myślał tylko o tym, by chwycić ją za ten długi, rudy warkocz i przełożyć przez kolano niczym rozpuszczone dziecko. Ale opamiętał się. Podniosłaby krzyk i zaraz zjawiłoby się w komnacie ze dwudziestu rycerzy gotowych mnie zabić, stwierdził.

–Śmiesz powoływać się na pamięć Addama? – spytała, poruszając nozdrzami. – Wynoś się z zamku, ser. Natychmiast.

–Nie chciałem...

–Wynoś się, bo znajdę jednak odpowiedni dla ciebie worek, nawet gdybym sama miała go uszyć. Powiedz ser Eustace'owi, że ma mi jutro dostarczyć ser Bennisa, bo inaczej sama się po niego udam z ogniem i mieczem. Zrozumiałeś? Ogniem i mieczem!

Septon Sefton ujął Dunka pod ramię i wyciągnął czym prędzej z komnaty. Jajo podążył zaraz za nimi.

–To było bardzo niemądre, ser – szeptał gruby kapłan, prowadząc go ku schodom. – Wysoce niemądre. Żeby wspominać Addama Osgreya...

–Ser Eustace powiedział mi, że chłopiec był jej bliski.

–Bliski? – Septon westchnął ciężko. – Kochała go i on kochał ją. Nigdy nie doszło do niczego więcej niż parę pocałunków, jednak... to Addama opłakiwała po Polu Czerwonej Trawy, nie swego męża, którego prawie nie znała. Winiła ser Eustace'a za śmierć syna, słusznie zresztą. Chłopiec miał wtedy dwanaście lat.

Dunk wiedział, czym może być taka rana. Ile razy ktoś wspomniał przy nim o Łąkach Ashford, przed oczami stawało mu trzech dobrych ludzi, którzy zginęli, aby ocalić jego stopę. Wiedział, że to nigdy nie przestanie go boleć.

–Powiedz swojej pani, że nie chciałem jej urazić i proszę ją o wybaczenie.

–Zrobię co w mojej mocy, ser – odparł septon. – Przekaż jednak ser Eustace'owi, aby jak najszybciej dostarczył tu Bennisa. W przeciwnym razie ona będzie dla niego surowa. Bardzo surowa.

Dunk poczekał, aż mury i wieże zamku znikną na zachodzie, i dopiero wtedy zagadnął swojego giermka.

–Co było na tym pergaminie?

–Nadanie praw własności, ser. Lordowi Wymanowi Webberowi przez króla. Za wierną służbę podczas ostatniej rebelii lord Wyman i jego potomkowie otrzymali wszelkie prawa do Wody Szachownicy od jej źródeł na Wzgórzach Podków po Jezioro Liści. Podano także, że lord Wyman i jego potomkowie mają prawo polować do woli w Lesie Wata na zwierzyne

płową, dziki i króliki oraz corocznie wyciąć w nim dwadzieścia drzew. – Odchrząknął. – Niemniej nadania te są tylko czasowe. Dokument stwierdza, że jeśli ser Eustace umrze bez prawego męskiego potomka, Standfast powróci do korony, a przywileje lorda Webbera stracą moc.

Byli marszałkami Północnej Marchii przez tysiące lat... pomyślał Dunk.

–Czyli staremu zostawiono tylko tę wieżę, aby miał gdzie umrzeć.

–No i głowę – powiedział Jajo. – Jego Łaskawość darował mu życie, ser. Mimo że był buntownikiem.

Dunk spojrzał na chłopaka.

–Ty byś mu nie wybaczył?

Jajo musiał zastanowić się chwilę.

–Czasem zdarzało mi się służyć na dworze podczas obrad królewskiej rady

i pamiętam, że bardzo się o takie rzeczy kłócili. Stryj Baelor powiadał, że najlepiej zachować umiar w karaniu honorowego przeciwnika. Jeśli pokonany uwierzy, że zostanie mu wybaczone, może odłożyć miecz i ugiąć kolano. W przeciwnym razie gotowy będzie walczyć do upadłego i zabije jeszcze więcej lojalnych poddanych oraz niewinnych ludzi. Jednak lord Bloodraven dowodził, że wybacząc buntownikom, sieje się jedynie zarzewie następnej rebelii. – Widać było, że ma wątpliwości. – Dlaczego ser Eustace opowiedział się przeciwko królowi Daeronowi? To był dobry król, wszyscy tak mówią. Przyłączył Dornę do królestwa i uczynił mieszkańców tej krainy naszymi przyjaciółmi.

–Musiałbyś spytać o to ser Eustace'a, Jajo. – Dunkowi wydawało się, że zna odpowiedź, ale chłopiec chyba nie chciałby jej usłyszeć. Stary pragnął zamku z lwem nad bramą, a otrzymał jedynie groby pośród jeżyn, pomyślał. Gdy składał się przysięgę na miecz, ślubuje się posłuszeństwo i walkę u boku pana w razie potrzeby, a nie wnikanie w jego prywatne sprawy i kwestionowanie lojalności... jednak ser Eustace go oszukał. Powiedział, że jego synowie zginęli, walcząc za króla, i pozwolił mi wierzyć, że strumień należy do niego, pomyślał znowu.

Noc zastała ich w Lesie Wata.

Wszystko przez Dunka, który miał jechać prosto do domu, skręcił na północ, żeby raz jeszcze rzucić okiem na tamę. Chodziło mu po głowie, aby zburzyć ją gołymi rękami, ale Siedmiu i ser Lucas Długi nie dali mu nawet szansy. Przy tamie pełniło straż dwóch ludzi z kuszami. Jeden moczył nogi w skradzionej wodzie i Dunk chętnie udusiłby go już za ten tylko występki, ale mężczyzna usłyszał ich i szybko sięgnął po broń. Drugi był jeszcze szybszy, bo zdążył nawet nałożyć bełt. Dunk mógł jedynie spojrzeć na nich groźnie.

Musieli się cofać po własnych śladach. Dunk nie znał tych okolic równie dobrze jak ser Bennis, a nie chciał narobić sobie wstydu, gubiąc się w tak małym lesie. Nim przeszli przez strumień, słońce zawisło nisko nad horyzontem, a na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy. Wraz z nimi zaś chmary muszek. Pośród ciemnych drzew Jajo znowu się odezwał.

–Ser? Ten gruby septon powiedział, że mój ojciec stroi fochy w Summerhall.

–Ludzie mówią różne rzeczy.

–Ale mój ojciec taki nie jest.

–Może tak, może nie. Ty stroisz fochy.

–Nie, ser. – Jajo zmarszczył czoło. – Naprawdę?

–Czasem. Nie za często. W przeciwnym razie ucho bardziej by cię bolało.

–Uderzyłeś mnie przy bramie.

–Ale lekko, góra na pół gwizdka. Gdyby to było naprawdę, poczułbyś.

–Ciebie Czerwona Wdowa uderzyła z całej siły.

Dunk dotknął spuchniętej wargi.

–Nie musisz się tak z tego cieszyć. – Twojego ojca nikt nigdy nie wytargał za ucho, pomyślał. Możliwe, że właśnie dlatego księżę Maekar jest właśnie taki. – Gdy król mianował lorda Bloodravena swoją Ręką, twój ojciec odmówił udziału w radzie i opuścił Królewską Przystań, udając się do własnej siedziby – przypomniał chłopcu. – Jest w Summerhall już od półtora roku. Jak to nazwać, jeśli nie strojeniem fochów?

–Gniewem – odparł wyniośle Jajo. – Jego Łaskawość powinien mego ojca uczynić Ręką Króla. Jest jego bratem i najlepszym dowódcą w królestwie, przynajmniej od czasu śmierci stryja Baelora. Lord Bloodraven nie jest nawet prawdziwym lordem, nazywają go tak jedynie z głupiej dworności. To czarownik, i do tego nisko urodzony.

–Jest bastarden, ale urodził się nie najgorzej. – Bloodraven mógł nie być prawdziwym lordem, lecz rodziców miał znamienitych. Jego matka zaliczała się do grona kochanek króla Aegona Niegodnego. Bastardy po nim były zmorą Siedmiu Królestw. Na łożu śmierci uznał większość z nich, nie tylko tych z wyższych sfer, jak Bloodraven, Bittersteel i Daemon Blackfyre, których matki były damami, ale również pomniejszych, zrodzonych przez dziewczki z tawern, córki kupców, komediantki czy nawet ładne wieśniaczki, na których zawiesił oko. Zawołanie rodu Targaryenów brzmiało „Ogień i Krew”, ale ser Arian powiedział kiedyś, że zawołanie Aegona winno brzmieć „Umyjcie Ją i Przyprowadźcie Mi do Łoża”. – Król Aegon oczyścił Bloodravena z piętna nieprawego pochodzenia – stwierdził Dunk. – Podobnie jak

pozostałych.

–Stary wysoki septon powiedział memu ojcu, że prawa królewskie to jedno, a boskie to drugie – rzekł z uporem chłopiec. – Tylko dzieci zrodzone w małżeństwie i pobłogosławione przez Ojca i Matkę zasługują na miano prawych, każdy bastard zaś zrodzony jest z żądy i słabości. Król Aegon mógł uznać te dzieci, ale nie był w stanie zmienić ich natury. Wysoki septon był przekonany, że bastardy rodzą się do zdrady... Daemon Blackfyre, Bittersteel, nawet Bloodraven. Lord Rivers był sprytniejszy niż pozostali dwaj, stwierdził, ale w końcu też okaże się zdrajcą. Doradził memu ojcu, aby żadnemu z nich nie ufał. Ani w ogóle żadnemu bękartowi, jakkolwiek byłby urodzony.

Zrodzony do zdrady, pomyślał Dunk. Zrodzony z żądy i słabości. Niegodny zaufania, jakkolwiek byłby urodzony...

–Jajo, a czy nie przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że być może giermkujesz u bękarta?

–Ty, ser? – Chłopaka aż zatkało. – Na pewno nie.

–A jednak to możliwe. Nie znałem mojej matki, nie wiem nawet, co się z nią stało. Może umarła, gdy mnie rodziła? Najpewniej była dziewczką w tawernie, może kurwą. Nie znajdziesz w Pchlim Zadku żadnej wysoko urodzonej. Czy poślubiła kiedykolwiek mojego ojca? A jeśli tak, to co się z nim stało? – Dunk nie lubił wracać do czasów poprzedzających spotkanie z ser Arlanem. – W Królewskiej Przystani był sklep z peklowanym mięsem, do którego dostarczałem szczury, koty i gołębie. Kucharz powtarzał zawsze, że mój ojciec był złodziejem i trudnił się obcinaniem sakiewek. Dodawał, że większość ludzi wolałaby ujrzeć go na szubienicy, ale chyba posłali go na Mur. Gdy służyłem u ser Arlana, zapytałem go raz, czy pewnego dnia nie moglibyśmy ruszyć na północ, aby podjąć służbę w Winterfell czy innym tamtejszym zamku. Wydawało mi się, że gdybym tylko zdołał dotrzeć do Muru, pewnie znalazłbym tam starszego mężczyznę, bardzo wysokiego i podobnego do mnie. Ale nigdy się tam nie wybraliśmy. Ser Arian odpowiedział, że na północy nie potrzeba błędnych rycerzy, a lasy pełne są wilków. – Pokręcił głową. – Tak czy owak, bardzo możliwe, że służył bękartowi.

Raz jeden Jajo nie wiedział, co powiedzieć. Wokoło robiło się coraz ciemniej. Świetliki krążyły niespiesznie między drzewami niczym ruchome konstelacje. Na niebie lśniły prawdziwe gwiazdy, więcej gwiazd, niż ktokolwiek mógłby policzyć, nawet gdyby żył tak długo jak król Jaehaerys. Dunkowi wystarczyło podnieść głowę, aby odszukać starych przyjaciół: Ogiera i Lochę, Królewską Koronę, Latarnię Crone'a, Galerę, Ducha i Księżycową Pannę. W dali zbierały się jednak chmury, zasłaniając wskazujące północ niebieskie oko Lodowego Smoka.

Nim dotarli do Standfast, znad horyzontu wyrzał księżyc. W jego blasku dostrzegli ciemną sylwetkę wyrastającej na szczycie wzgórza wieży. Z górnych okien sączyło się żółtawe światło. Ser Eustace kładł się zwykle zaraz po kolacji, ale tej nocy było widać

inaczej. Czeka na nas, pomyślał Dunk.

Bennis też nie spał. Znaleźli go siedzącego na schodach. Żuł tytoń i ostrzył miecz, co słyhać było już z daleka. Jakkolwiek ser Bennis był abnegatem, nigdy nie zaniedbywał swej broni.

–Proszę, wróciłeś – powiedział. – A ja tu szykuję broń, aby ratować cię z rąk Czerwonej Wdowy.

–Gdzie są ludzie?

–Katapulta i Mokry Wat trzymają wartę na dachu, na wypadek gdyby Wdowa nadciągnęła. Reszta poszła spać obolała. Mocno ich przegoniłem. Z tego dużego idioty utoczyłem nawet trochę krwi, żeby go rozwścieczyć. Wtedy lepiej walczy. – Uśmiechnął się, pokazując ciemne zęby. – Ładnie sobie wargę rozwalileś. Następnym razem uważaj na kamienie. Co powiedziała?

–Że zatrzymuje wodę, a ciebie chce za zranienie robotnika przy tamie.

–Tak myślałem. – Bennis splunął. – Tyle hałasu o byle wieśniaka. A powinien mi wręcz podziękować. Kobiety lubią mężczyzn z bliznami.

–Rozumiem, że w takim razie nie będzie ci wadziło, gdy potnie ci nos.

–Gadanie. Gdybym tego chciał, sam bym go sobie pociął. – Uniósł kciuk. – Ser Bezużytecznego znajdziesz w jego komnacie. Jak zwykle rozpamiętuje dawną świetność.

–Walczył dla czarnego smoka – odezwał się Jajo.

Dunk mógłby dać chłopakowi kuksańca, ale Bennis tylko się roześmiał.

–Jasne. Wystarczy na niego spojrzeć. Czy wygląda wam na kogoś, kto trzyma z wygranymi?

–Nie bardziej niż ty. Inaczej nie byłoby cię tu z nami. – Zwrócił się do giermka. – Zajmij się Gromem i Maesterem, a potem przyjdź do nas na górę.

Gdy Dunk wyłonił się z otworu w podłodze, stary rycerz siedział w nocnym stroju przy ciemnym kominku. W dłoni trzymał ciężki srebrny kubek swojego ojca, naczynie zrobione dla któregoś z Osgreyów jeszcze przed Podbojem. Zdobit je lew ułożony z jadeitu i złota, chociaż obecnie niektórych kawałków już brakowało. Usłyszawszy kroki Dunka, uniósł głowę i zamrugał jak ktoś wyrwany ze snu.

–Wróciłeś, ser Duncanie. Czy twój widok powstrzymał ser Lucasa Inchfielda, ser?

–Nie zauważyłem, aby tak się stało, panie. Raczej rozpalil w nim złość.

Dunk opowiedział wszystko, jak umiał najlepiej, chociaż pominął epizod z lady Helicent, który robił z niego skończonego głupka. Chętnie nie wspominałby też o policzku, ale warga spuchła mu tak bardzo, że ser Eustace musiał to zauważyć. Gdy to się stało, zmarszczył brwi.

–Twoja warga...

Dunk dotknął jej ostrożnie.

–Gospodyni mnie spoliczkowała.

–Uderzyła cię? – Osgrey otworzył i zamknął bezgłośnie usta. – Uderzyła posła, który przybył pod moim rodzowym lwem? Śmiała podnieść na niego rękę?

–Nic wielkiego, ser. Przestało krwawić, zanim jeszcze wyjechaliśmy z zamku. Ona nie chce srebra, tylko ser Bennisa. I nie rozbierze tamy. Pokazała mi pergamin z jakimś tekstem i królewską pieczęcią. Dokument powiada, że strumień jest jej. I jeszcze... – Zawahał się. – Powiedziała, że stanąłeś...

–Po stronie czarnego smoka? – Ser Eustace jakby nagle zmałał. – Obawiałem się, że to zrobi. Jeśli chcesz odejść ze służby, nie będę cię zatrzymywał. – Wpatrzył się w kubek, chociaż trudno było orzec, co naprawdę widzi.

–Powiedziałaś mi, panie, że twoi synowie zginęli, walcząc dla króla.

–I tak było. Prawowitego króla, Daemona Blackfyre'a. Króla, Który Niósł Miecz. – Wąs starego rycerza zadrżał. – Zwolennicy czerwonego smoka nazywali siebie lojalistami, ale to my, popiecznicy czarnego, byliśmy prawdziwie lojalni. Chociaż teraz... wszyscy, którzy maszerowali wraz ze mną, aby osadzić Daemona na Żelaznym Tronie, zniknęli już jak poranna rosa. Może tylko mi się śnili. Albo, co bardziej prawdopodobne, lord Bloodraven i jego Zęby Kruka włali strach w ich serca. Przecież nie mogli tak wszyscy umrzeć.

Dunk nie mógł odmówić mu racji. Aż do teraz nie spotkał nikogo, kto walczyłby dla Uzurpatora. A przecież musiały ich być tysiące, pomyślał. Pół królestwa opowiedziało się za czerwonym smokiem, pół za czarnym.

–Ser Arian zawsze powiadał, że obie strony stawały dzielnie. – Wydawało mu się, że stary rycerz chce usłyszeć coś takiego.

Ser Eustace ujął kubek w obie dłonie.

–Gdyby Daemon przejechał mimo Gwayne'a Corbraya... gdyby Fireball nie został zabity w przeddzień bitwy... gdyby Hightower, Tarbeck, Butterwell i Oakheart użyczyli nam wszystkich sił, zamiast siedzieć okrakiem w obu obozach... gdyby Manfred Lothston nie

okazał się zdrajcą... gdyby sztormy nie opóźniły statków lorda Brackena z kusznikami z Myrish... gdyby nie przyłapano Quickfingera z wykradzionymi smoczymi jajami... gdyby choć jedna z tych rzeczy przebiegła inaczej, wszystko mogłoby się potoczyć dokładnie na odwrót. To my bylibyśmy lojalistami, a zwolenników czerwonego smoka wspomiano by jako tych, którzy walczyli o utrzymanie na tronie uzurpatora Daerona Fałszywego, ale przegrali.

–Mogłoby tak być, panie – rzekł Dunk. – Jednak los zrządził inaczej. Poza tym wszystko to działo się już lata temu. Wybaczone wam.

–Tak, wybaczone. Jak długo żyliśmy na klęczkach i oddawaliśmy zakładników, aby zapewnić o naszej przyszłej lojalności. – W jego głosie dało się wyczuć zgorzknienie. – Ocaliłem głowę za cenę życia mojej córki. Alysanne miała siedem lat, gdy zabrali ją do Królewskiej Przystani. Dwadzieścia miała, gdy umarła jako milcząca siostra. Pojechałem raz zobaczyć się z nią, ale nawet do mnie, własnego ojca, nie mogła się odezwać. Królewskie miłosierdzie to trujący dar. Daeron Targaryen zostawił mnie przy życiu, ale zabrał mi dumę, marzenia i honor. – Ręka mu zadrżała i nieco wina wylało się z kubka na kolana, ale stary nawet tego nie zauważył. – Powinienem pójść z Bittersteelem na wygnanie albo umrzeć z synami i moim kochanym królem. To byłaby śmierć godna moich znakomitych przodków, dumnych lordów i wielkich wojowników. Łaska Daerona sprawiła, że skarłałem.

W głębi serca nigdy nie pochował czarnego smoka, uświadomił sobie Dunk.

–Panie?

To był głos Jaja. Wszedł, gdy ser Eustace mówił o swojej śmierci. Stary rycerz zamrugnął, jakby widział giermka po raz pierwszy.

–Tak, chłopcze? O co chodzi?

–Jeśli można... Czerwona Wdowa powiedziała, że przyłączyłeś się, panie, do rebelii, aby odzyskać zamek. Czy to prawda?

–Zamek? – Osgrey jakby się zmieszał. – Zimna Fosa... Tak, Daemon obiecał mi zamek, ale nie o to chodziło.

–Zatem dlaczego? – spytał Jajo.

–Dlaczego? – Ser Eustace zmarszczył czoło.

–Dlaczego został pan zdrajcą? Skoro nie chodziło o zamek?

Rycerz długo wpatrywał się w chłopaka, zanim odpowiedział.

–Jesteś tylko dzieckiem. Nie zrozumiesz.

–Może jednak.

–Zdrada... to tylko słowo. Gdy jeden księżę walczy z drugim o tron, na którym obaj się nie zmieszczą, wszyscy, wielcy lordowie i zwykli ludzie, muszą tak samo wybierać. Po walce zwycięzcy zostaną okrzyknięci lojalnymi i prawowitymi, przegranych zaś po wsze czasy zwać będą buntownikami i zdrajcami. To właśnie mój los.

Jajo zastanowił się nad tym.

–Tak, panie... tylko... król Daeron był dobrym człowiekiem. Dlaczego wybrałeś Daemona?

–Daeron... – Ser Eustace niemal wymamrotał to słowo i Dunk zauważył, że stary jest już pijany. – Daeron był patykowaty, przygarbiony i miał brzuszek, który kołysał mu się przy każdym kroku. Daemon trzymał się prosto, był dumny i miał płaski, twardy jak dębowa tarcza brzuch. I umiał walczyć. Toporem, kopią, cepem, wszystkim, co wziął do ręki. Ale gdy ujmował miecz, był samym Wojownikiem. Z Blackfyre'em w dłoni nie miał równego sobie wśród ludzi... nawet Ulrick Dayne ze Świtem, nawet Smoczy Rycerz z Mroczną Siostrą nie mogliby się z nim równać. Poznasz człowieka po przyjaciółach jego, Jajo. Daeron otaczał się maesterami, septonami i śpiewakami. Zawsze jakieś kobiety szeptały mu na ucho, a jego dwór pełen był przybyszów z Dorne'u. Zresztą jak mogło być inaczej, skoro kobietę stamtąd wziął sobie do łóża, a własną siostrę sprzedał na księżniczkę Dorne'u, chociaż z całego serca kochała Daemona? Daeron nosił to samo imię co Młody Smok, ale gdy jego dorneańska żona urodziła mu syna, nazwał go Baelor, po najłabszym królu, jaki kiedykolwiek zasiadał na Żelaznym Tronie. Daemon zaś... Daemon nie zajmował się niczym, czym król zajmować się nie powinien, a wokół siebie miał największych rycerzy królestwa. Lord Bloodraven chce, aby ich imiona popadły w zapomnienie, więc zabronił nam nawet o nich śpiewać, ale ja pamiętam. Robb Reyne, Gareth Szary, ser Aubrey Ambrose, lord Gormon Peake, Czarny Byren Flowers, Redtusk, Fireball... I Bittersteel! Pytam was, czy była kiedy druga tak szlachetna kompania, kompania bohaterów? Dlaczego, chłopcze? ... Pytasz mnie dlaczego?... Ponieważ Daemon był lepszym człowiekiem. Stary król też to widział. Dał mu miecz. Blackfyre'a, miecz Aegona Zdobywcy. Klingę, którą Targaryenowie dzierżyli od Podboju... Przekazał mu go w dniu, w którym pasował go na rycerza. Dwunastoletniemu chłopcu.

–Mój ojciec powiada, że to dlatego, że Daemon był wojownikiem, a Daeron nie – rzekł Jajo. – Po co dawać konia komuś, kto nie umie jeździć? Ale miecz to jeszcze nie królestwo.

Stary rycerz drgnął i wino znowu wylało się z kubka.

–Twój ojciec to głupiec.

–W żadnym razie – zaprzeczył Jajo.

Osgrey wykrzywił gniewnie twarz.

–Zadałeś pytanie, a ja odpowiedziałem, ale nie zniosę bezczelności. Powinieneś częściej go bić, ser Duncanie. Jego maniery pozostawiają wiele do życzenia. Jeśli będę musiał, sam też go...

–Nie – przerwał mu Dunk. – Nie zrobisz tego, ser. – Zmienił zamiar. – Jest ciemno. Wyjdziemy o brzasku.

Ser Eustace spojrział na niego z wielkim zdumieniem.

–Wyjedziecie?

–Opuścimy Standfast i służbę u ciebie, panie. – Okłamał nas. Cokolwiek powiedziec, nie był to czyn honorowy, pomyślał Dunk. Rozpiął pelerynę, zwinął ją i złożył na kolanach starego.

Osgrey spojrział nań spod przymrużonych powiek.

–Czy ta kobieta zaproponowała ci służbę? Czy zostawiasz mnie dla łoża tej kurwy?

–Nic mi nie wiadomo, aby była kurwą. Ani wiedźmą czy trucicielką. Ale to i tak bez znaczenia. Nie udajemy się do Zimnej Fosy, tylko w dalszą drogę.

–Na bezdroża, chciałeś powiedzieć. Aby niczym wilki krążyć po lasach i napadać na uczciwych ludzi na szlakach. – Ręka mu zadrżała, aż upuścił kubek, który w smudze wina potoczył się po podłodze. – Idź więc. Idź. Nie chcę was tutaj. Nie powinienem w ogóle was przyjmować. Idź!

–Jak pan każe, ser. – Dunk wycofał się, a Jajo poszedł za nim.

Tej ostatniej nocy Dunk chciał się znaleźć jak najdalej od Eustace’a Osgreya, położyli się więc w piwnicy, między rekrutami. Nie mógł odpocząć. Lem i płaczący Pate chrapali, jeden chwilami, ale głośno, drugi ciszej, ale stale. Z głębi podziemi napływały smrodliwe miazmaty. Dunk miotał się na pościeli i co rusz zapadał w płytki sen, aby znowu się obudzić. Ugryzienia meszek z lasu swędziały dotkliwie, a na dodatek w sienniku były pchły. Chętnie wyrwę się stąd, myślał. Uwolnię się od starego, ser Bennisa i całej reszty. Może rzeczywiście powinien wziąć chłopaka do Summerhall, aby ten mógł zobaczyć się z ojcem. Spyta go rano, gdy będą już daleko.

Ranek wydawał się jednak rozpaczliwie odległy, a w głowie Dunka kłębiły się czarne i czerwone smoki, lwy w szachownicy, stare tarcze, sponiewierane buty, strumienie, fosy, tamy i dokumenty z wielką królewską pieczęcią, których nie umiał odczytać.

I ona też tam była, Czerwona Wdowa, Rohanne z Zimnej Fosy. Widział jej piegowatą twarz, smukłe ramiona i długi rudy warkocz. Czuł się przez to winny. Powinienem śnić o Tanselle, Tanselle za Wysokiej, ale nie za wysokiej dla mnie, stwierdził. To ona namalowała mu znak na tarczy, gdy ocalił ją przed Jasnym Księciem, ale wyjechała jeszcze przed próbą siedmiu. Nie mogłaby znieść widoku mojej śmierci, myślał często Dunk, ale jak było naprawdę? Przecież był gruboskórny jak mury zamku. To, że rozmyślał o Czerwonej Wdowie, było wystarczającym dowodem ubóstwa jego ducha. Tanselle uśmiechnęła się do mnie, ale nigdy się nie objęliśmy, nie pocałowaliśmy się, nawet w policzek, dumiał. Rohanne chociaż go dotknęła. Świadczyła o tym opuchnięta warga. Nie bądź głupi, powtarzał sobie. Ona nie jest dla kogoś takiego jak ty. Jest za mała, za bystra i zbyt niebezpieczna.

W końcu przydrzemał i zaczął śnić. Biegł przez polanę pośrodku Lasu Wata, ku Rohanne, a ona szła w niego strzałami. Każda dochodziła celu i trafiała go w pierś, ale ból był dziwnie słodki. Powinien zawrócić i uciec, jednak dalej biegł ku niej, powoli, jak zwykle w snach, jakby powietrze zgęstniało niczym miód. Raz za razem nadlatywały kolejne strzały. Jej kołczan, zdawało się, nie miał dna. Jej szarozielone oczy lśniły zwodniczo. Twa suknia podkreśla kolor twoich oczu, chciał powiedzieć, ale ona nie miała sukni. Niczego na sobie nie

miała. Na jej małych piersiach widać było gromadki piegów, sutki miała czerwone i twarde jak maliny. Gdy potykając się, dotarł do jej stóp, przypominał wielkiego jeżozwierza, ale jakimś cudem zachował dość sił, aby złapać ją za warkocz, ściągnąć na dół, na siebie, i pocałować.

Obudził się nagle, usłyszawszy krzyk.

W ciemnej piwnicy ludzie przeklinali, wpadali na siebie i przewracali się, szukając spodni i broni. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Jajo znalazł łojową świecę i zapalił ją, aby rzucić nieco światła na scenę wydarzeń. Dunk był pierwszy przy schodach. Niemal zderzył się ze zbiegającym nimi Samem Stoopsem, który sapał przy tym jak miech i bełkotał coś od rzeczy. Dunk przytrzymał go za ramiona, chroniąc przed upadkiem.

–Sam, co jest?

–Niebo – wyjęczał stary. – Niebo!

Nic więcej nie udało się z niego wydusić, wszyscy ruszyli więc na dach, aby samemu spojrzeć. Ser Eustace znalazł się tam przed nimi. Stał oparty o parapet w swoim nocnym stroju i wpatrywał się w dal.

Słońce wschodziło na zachodzie.

Dunk dopiero po dłuższej chwili pojął, co to znaczy.

–Las Wata płonie – powiedział przyciszonym głosem.

Z dołu dobiegały przekleństwa Bennis, wiązanki tak ordynarne, że nawet Aegon Niegodny by się zarumienił. Sam Stoops zaczął się modlić.

Byli za daleko, aby dojrzeć płomienie, ale czerwony blask ogarnął już połowę zachodniego horyzontu i przyćmił światło gwiazd. Królewska Korona była ledwie widoczna zza dymu.

Ogień i miecz, powiedziała, przypomniał sobie Dunk.

Ogień płonął do rana. Nikt nie zasnął już tej nocy w Standfast. Nie minęło dużo czasu, a poczuli dym i ujrzeli płomienie tańczące niczym dziewczęta w szkarłatnych spódnicach. Wszyscy zastanawiali się, czy pożar do nich dojdzie. Dunk stał na wieży i wbijał oczy w ciemność, wypatrując jeźdźców.

–Bennis, ona chce ciebie – powiedział, gdy brunatny rycerz pojawił się na wieży. Jak zwykle żuł tytoń. – Może powinieneś wyjechać.

–Co, mam uciekać? – ryknął. – Na moim koniu? Równie dobrze mógłbym dosiąść któregoś z tych cholernych kurczaków.

–No to się poddaj. Ona chce tylko twojego nosa.

–Lubię mój nos, Dunk. Niech spróbuje mnie dostać, a zobaczymy, kto, co i komu potnie.

Siadł ze skrzyżowanymi nogami i oparł się o mur. Wyciągnął z kieszeni osetkę i znowu wziął się do ostrzenia miecza. Ser Eustace stał nad nim. Po cichu rozprawiali o tym, jak prowadzić tę wojnę.

–Długi spodziewa się nas przy tamie – usłyszał Dunk. – Podpalimy więc ich pola. Ogień za ogień.

Ser Bennis dodał, że można też spalić młyn.

–To z górą dwadzieścia staj z drugiej strony zamku, nie będą nas tam szukać. Spalimy młyn i zabijemy młynarza. Będzie ją to drogo kosztować.

Jajo też słuchał. Zakaszłał i spojrzał szeroko otwartymi oczami na Dunka.

–Ser, musisz ich powstrzymać.

–Jak? – spytał Dunk. Czerwona Wdowa ich powstrzyma. Ona i ten jej Lucas, pomyślał. – Oni tylko tak gadają. Inaczej zaraz posikaliby się ze strachu. A nie mogą sobie na to pozwolić, póki tu jesteśmy.

Świt wstał szary. Dym gryzł w oczy. Dunk chciał wyruszyć jak najwcześniej, chociaż po nieprzespanej nocy nie mieli raczej szans zająć tego dnia daleko. Wraz z giermkim ugotował jajka na śniadanie, podczas gdy Bennis smażył jajecznicę dla reszty oddziału. To są ludzie Osgreya, my zaś już nimi nie jesteśmy, powtarzał sobie

Dunk. Zjadł cztery jajka. Uznał, że ser Eustace jest mu tyle winien. Jajo zjadł dwa. Popili je piwem.

–Możemy się udać na Piękną Wyspę – powiedział chłopak, gdy zbierali rzeczy. – Jeśli mają tam teraz intruzów, lord Farman może potrzebować pomocy.

To był dobry pomysł.

–Byłeś kiedyś na Pięknej Wyspie?

–Nie, ser – odparł giermek. – Ale powiadają, że naprawdę jest piękna. Podobnie jak siedziba lorda Farmana. Nazywa się Piękny Zamek.

Dunk się zaśmiał.

–Niech będzie i piękny. – Poczł, jak wielki ciężar spada mu z serca. – Zajmę się zwierzętami – powiedział, wiążąc części zbroi konopnym powrozem. – Ty idź na dach i weź

nasze posłania. – Ostatnim, czego pragnął tego ranka, było spotkanie twarzą w twarz z lwem. – Jeśli zobaczysz ser Eustace’a, nie zaczepiaj go.

–Tak, ser.

Bennis ustawił tymczasem rekrutów w szereg i usiłował nauczyć ich postępowania tyralierą z tarczami i włóczniami. Na Dunka nie zwrócił najmniejszej uwagi. Poprowadzi ich wszystkich na śmierć, pomyślał Dunk. Czerwona Wdowa będzie tu lada chwila.

Jajo wypadł z wieży i z posłaniami w objęciach zbiegł, stukocząc po drewnianych schodach. Ser Eustace stał wyprostowany na balkonie powyżej, dłonie opierał na parapecie. Gdy napotkał oczy Dunka, wąsy mu zadrżały, ale szybko się odwrócił. Powietrze było ciemne od dymu.

Bennis miał tarczę przerzuconą przez plecy. Była z surowego drewna, pokryta niezliczonymi warstwami starego pokostu. Otaczał ją żelazny pierścień, ale nie miała herbu, tylko centralny metalowy łeb, który przypominał zamknięte oko. Ślepa jak on sam, pomyślał Dunk.

–Jak zamierzasz z nią walczyć? – spytał.

Ser Bennis spojrzał na swoich żołnierzy.

–Nie utrzymam wzgórze z taką garstką. Wycofamy się do wieży i zabarykadujemy się tam. – Pokazał drzwi. – Jest tylko jedno wejście. Wciągniemy drewniane schody i nie zdołają nas dostać.

–Aż zbudują własne. Mogą też przynieść liny i bosaki, żeby skoczyć na was z góry. Albo cofną się i naszpikują was bełtami, gdy będziecie próbowali utrzymać drzwi.

Wieśniacy łowili każde słowo. Cała sztuczna odwaga ich opuściła. Stali, ściskali broń i patrzyli to na Bennisa, to na Dunka. W końcu zaczęli popatrywać po sobie.

–Wiele nie zdołają. Na otwartym terenie rycerze Wdowy zaraz ich rozniosą, a w wieży włócznie będą całkiem nieprzydatne.

–Mogą rzucać różne rzeczy z dachu – powiedział Bennis. – Katapulta jest dobry w rzucaniu kamieniami.

–Pewnie zdoła cisnąć jeden i drugi. Potem ktoś ustrzeli go z kuszy.

–Ser? – odezwał się Jajo. – Ser, jeśli mamy jechać, to teraz, zanim Wdowa nadciągnie.

Chłopak miał rację. Jeśli zostaniemy, znajdziemy się w pułapce, pomyślał Dunk. Ale i tak się wahał.

–Puść ich, Bennis.

–Co, mam rozpuścić nasz oddział zuchów? – Rycerz spojrzął na wieśniaków i wybuchnął śmiechem. – Żadnych takich prób - ostrzegł. – Wypatroszę każdego, kto spróbuje ucieczki.

–Spróbuj, a ja wypatroszę ciebie. – Dunk wyciągnął miecz. – Wracajcie do domów! – krzyknął do wieśniaków. – Wracajcie do swoich wiosek i sprawdźcie, czy ogień ominął wasze pola i domostwa.

Nikt się nie ruszył. Brunatny rycerz spojrzął na niego, pracując szczękami. Dunk zignorował go.

–Idźcie – powtórzył. Miał wrażenie, że jakiś bóg wkłada słowa w je go usta. To nie Wojownik. Czy istnieje bóg głupców? – zastanowił się. – Dalej! – ryknął na całe gardło. – Zabierzcie włócznie i tarcze, ale idźcie, bo nie dożyjecie jutra. Chcecie jeszcze kiedyś ucałować żony? Chcecie trzymać dzieci w ramionach? To wracajcie do domów! Ogłuchliście?

Nie ogłuchli. Kurczaki wpadły w popłoch, gdy Wielki Rob kopnął jednego podczas ucieczki, a Pate'owi tylko pół stopy zabrakło, aby potknąwszy się o własną włóczę, rozpruć brzuch Willa Fasolowego. Ostatecznie jednak jakoś się wymięli. Meloni uciekli w jednym kierunku, Fasolowi w drugim, Jęczmienni zaś w trzecim. Ser Eustace krzyczał coś za nimi z góry, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Przynajmniej na niego ogłuchli, pomyślał Dunk.

Zanim stary rycerz wyłonił się z wieży i pokonał schody, na dole, pośród kurczaków, zostali już tylko Dunk, Jajo i Bennis.

–Wracajcie! – krzyknął ser Eustace za umykającym szybko oddziałem. – Nie macie mojej zgody na odejście. Nie macie mojej zgody!

–To bezcelowe, panie – powiedział Bennis. – Nie wrócą.

Kipiąc z gniewu, ser Eustace natarł na Dunka.

–Nie miałeś prawa ich rozpuszczać. Żadnego prawa! Zabroniłem im odchodzić. Zabroniłem ci ich zwalniać.

–Nie słyszeliśmy, panie. – Jajo zdjął kapelusz i spróbował odgonić nieco dym. – Kurczaki gdakały za głośno.

Stary usiadł ciężko na najniższym stopniu schodów.

–Co obiecała ci za dostarczenie mnie? – spytał Dunka słabym głosem. – Ile złota dała ci za zdradę i odesłanie mych ludzi, abym został sam?

–Nie jesteś sam, panie. – Dunk schował miecz. – Spałem pod twym dachem, a jeszcze rano jadłem jajka twoich kur. Nadal jestem ci coś winien. Nie ucieknę z podkulonym ogonem. Mój miecz tu pozostanie. – Dotknął pasa.

–Jeden miecz. – Osgrey wstał powoli. – Cóż da nam jeden miecz przeciwko tej kobiecie?

–Na początek spróbuje wyprzeć ją z twojej ziemi. – Dunk bardzo chciałby wierzyć, że to możliwe.

Wąsy starego drżały przy każdym oddechu.

–Tak – powiedział w końcu. – Lepiej ruszyć śmiało na spotkanie, niż kryć się za kamiennym murem. Lepiej umrzeć jak lew niż jak królik. Przez tysiąc lat byliśmy marszałkami Północnej Marchii. Muszę włożyć mą zbroję. – Ruszył po schodach na górę.

Jajo spojrzał na Dunka.

–Nie wiedziałem, że masz ogon, ser.

–Chcesz w ucho?

–Nie, ser. Chcesz zbroję?

–Tak. I jeszcze coś.

Zastanowili się, czy ser Bennis powinien iść z nimi, ostatecznie jednak ser Eustace rozkazał mu zostać w wieży. Wobec tego, co prawdopodobnie mieli spotkać, jego miecz

i tak wiele by nie zmienił, za to jego widok mógł niepotrzebnie rozjuszyć Wdowę.

Brunatny rycerz nie dał się długo namawiać. Dunk pomógł mu zwolnić żelazne zatyczki blokujące stopnie, po czym Bennis wspiął się na górę, odwinął starą, szarą konopną linę i pociągnął ją z całej siły. Jęcząc i skrzypiąc, drewniana konstrukcja uniosła się i zostawiła między górą kamiennych schodów a wejściem do wieży dziesięć stóp przerwy. Sam Stoops i jego żona już wcześniej schronili się wewnątrz. Kurczaki musiały bronić się same. Ser Eustace siedział na swym siwym rumaku.

–Jeśli nie wrócę do zmroku... – zawołał.

–...to pojedę do Wysogrodu, panie, i powiem lordowi Tyrellowi, że ta kobieta spaliła las mojego pana, a potem zamordowała jego samego.

Dunk podążył za swoim giermkim w dół stoku. Stary jechał na końcu przy wtórze cichego pobrząkiwania zbroi. Zerwał się wiatr, słychać było więc też łopot jego płaszcza.

Na miejscu, w którym jeszcze wczoraj rósł Las Wata, rozciągało się dymiące pustkowie.

Ogień prawie już wygasł, ale tu i ówdzie pośród morza popiołów pełgały jeszcze płomyki. Czasem napotykali pnie spalonych drzew wznoszące się ku niebu niczym poczerwiałe włócznie. Inne drzewa leżały w poprzek zachodniej drogi z połamanymi i osmalonymi konarami oraz czerwienią pełgającą w ich wnętrzach. Ściółka też płonęła i miejscami dym wisiał w powietrzu niczym szara mgła. Ser Eustace zanosił się kaszlem i przez chwilę Dunk obawiał się, że stary rycerz będzie musiał zawrócić, ale w końcu mu przeszło.

Natknęli się na szczątki jelenia, potem jeszcze na zwęglone truchło borsuka. Nic tu nie przeżyło, z wyjątkiem much. Te, zdawało się, były zdolne przetrwać wszystko.

–Pole Ognia musiało wyglądać podobnie – powiedział ser Eustace. – To wtedy, dwieście lat temu, zaczęły się nasze nieszczęścia. Ostatni z zielonych królów zginął w tej bitwie, a wraz z nim kwiat rycerstwa Reach. Ojciec powiadał, że smoczy ogień był tak gorący, że topił nawet miecze. Potem zebrano je i przekuto na Żelazny Tron. Wysogród przeszedł z rąk królewskich w ręce namiestników i znaczenie Osgreyów zmalało, aż w końcu marszałkowie Północnej Marchii stali się ziemianami zależnymi od Rowanów.

Dunk nie miał nic do powiedzenia, przez jakiś czas jechali więc w ciszy. W końcu Eustace znowu zakaszłał.

–Ser Duncanie, czy pamiętasz historię, którą ci opowiadałem?

–Możliwe, ser. Którą?

–O Małym Lwie.

–Pamiętam. Był najmłodszym z pięciu synów.

–Właśnie. – Stary znowu zakaszłał. – Gdy zabił Lancela Lannistera, ludzie z zachodu zawrócili. Bez króla nie mogli prowadzić wojny. Rozumiesz, o czym mówię?

–Tak – odparł z wahaniem Dunk. Czy potrafiłbym zabić kobietę? – zastanowił się. Po raz pierwszy pożałował, że nie jest naprawdę gruboskórny. Nie mogę być taki, pomyślał. Nie mogę na to pozwolić.

Przy brodzie zostało kilka zielonych drzew. Z jednej strony miały osmalone pnie. Woda wydawała się mroczna. Jest błękitnozielona, zauważył Dunk. Ale już nie złota. Dymy przestłoniły słońce.

Ser Eustace zatrzymał się na brzegu.

–Przysięgłem, że nie przekroczę tego strumienia, jak długo ziemia po drugiej stronie należy do niej.

Był w kolczudze i blachach okrytych poźółkłym płaszczem. Miecz miał u boku.

–A jeśli ona nie przybędzie, ser? – spytał Jajo. Ogniem i mieczem, przypomniał sobie Dunk.

–Przybędzie.

Zjawiała się po godzinie. Najpierw usłyszeli jej konie, potem coraz głośniejszy brzęk zbroi. W dymie trudno było ustalić, z jak daleka dobiega, aż z szarego oparu wychynał chorąży z osadzoną na szczycie drzewca żelazną podobizną białoczerwonego pająka. Poniżej zwisała smętnie chorągiew Webberów. Gdy chorąży ujrzał ich na drugim brzegu, zatrzymał się i poczekał na ser Lucasa, który zjawiał się chwilę później. Od stóp do głów zakuty był w blachy.

Dopiero wtedy nadjechała lady Rohanne na czarnej jak smoła klaczy okrytej srebrzystym jedwabiem przypominającym pajęczynę. Jej płaszcz był z tego samego materiału; łopotał, lekki niczym powietrze, jakby chciał ulecieć z jej ramion i nadgarstków. Miała na sobie emaliowaną zieloną zbroję łuskową, ozdobioną złotem i srebrem. Pasowała na nią niczym rękawiczka – wydawać by się mogło, że jedzie oklejona letnimi liśćmi. Długi warkocz kołysał się jej na plecach w takt kroków. Obok podążał czerwony na twarzy septon Sefton na wielkim siwym rumaku. Z drugiej strony jechał maester Cerrick na mule.

Za nimi wyłoniło się pół tuzina rycerzy w towarzystwie tyluż giermków. Z tyłu postępowała jeszcze kolumna kuszników, która dotarłszy do brodu i zauważywszy Dunka po drugiej stronie, rozsypała się na boki. Łącznie trzydzieści trzy dusze, wyłączając z tego septona, maistera i Wdowę. Jeden z rycerzy szczególnie zwrócił uwagę Dunka: przysadzisty łysy mężczyzna w kolczudze i skórach, z gniewną twarzą i rozrosłym wolem.

Czerwona Wdowa podjechała do samej wody.

–Ser Eustace, ser Duncanie – zawołała. – Widzieliśmy pożar, który roznieciliście w nocy.

–Widzieliście? – odkrzyknął ser Eustace. – Jasne, musieliście widzieć... bo sami go rozpaliliście.

–To podłe oskarżenie.

–O podły czyn.

–Spałam ostatniej nocy w towarzystwie dworek. Obudziły mnie krzyki na murach. Prawie wszystkich obudziły. Starcy wspięli się na wieże, dzieci przy piersi płakały, widząc łunę. Wiemy tylko tyle, że to wasza robota, ser.

–To wyście rozniecili ogień – upierał się stary rycerz. – Mój las przepadł. Przepadł, powiadam!

Septon Sefton odchrząknął.

–Ser Eustace! – zagrzemiał nad wodą. – Wszędzie teraz są pożary, w lasach królewskich, nawet w puszczech. Susza zmieniła drzewa w chrust!

Lady Rohanne uniosła rękę i wskazała za siebie.

–Popatrz na moje pola, Osgrey. Też je wysuszyło. Musiałabym oszaleć, aby podkładać ogień tak blisko. Wystarczyłoby, aby wiatr zmienił kierunek, wystarczyłaby iskra, a ogień przeszedłby strumień i strawił połowę moich zbiorów.

–Tak? – zawołał rycerz. – Niemniej to mój las spłonął... bo ty go spaliłaś. Wiem, że umiesz odwracać zakłębiami wiatr, tak jak wykorzystywałaś czarną magię, by sprowadzić śmierć na swoich mężów i braci!

Oblicze lady Rohanne stężało, tak samo jak wcześniej w Zimnej Fosie, zanim uderzyła Dunka.

–Bez sensu gadanie – odparła. – Nie będę marnować na nie czasu, ser. Przekaż nam Bennisa herbu Brunatna Tarcza albo sami po niego pójdziemy.

–Na to wam nie pozwolę – rzekł donośnie ser Eustace. – Nigdy i w żadnym razie. – Poruszył wąsami. – Ani kroku dalej. Ta strona strumienia należy do mnie i nie jesteście tu mile widziani. Nie oczekujcie ode mnie gościny. Nie będzie chleba, nie będzie soli, nawet kawałek cienia ani kropli wody nie będzie. Jesteście tu intruzami. Zabraniam wam wkraczać na ziemię Osgreyów.

Lady Rohanne przeciągnęła warkocz nad ramieniem.

–Ser Lucasie – powiedziała tylko, a jej kasztelan skinął na kuszników. Ci zsiadli z koni, naciągnęli cięciwy i dobyli bełty z kołczanów. – A teraz, ser – zawołała Wdowa, gdy kusze były już wycelowane – czego dokładnie mi zabraniasz?

Dunk miał dosyć.

–Jeśli samowolnie przejdziecie strumień, złamiecie królewski pokój.

Septon Sefton wysunął się z koniem krok do przodu.

–Król nigdy się o tym nie dowie. Nic by go to zresztą nie obchodziło – zawołał. – Wszyscy jesteśmy dziećmi Matki, ser. Na jej litość, daj nam drogę.

Dunk zmarszczył brwi.

–Nie wiem wiele o bogach, septonie... ale czy nie jesteśmy też dziećmi Wojownika? – Potarł kark. – Jeśli spróbujecie przejść, po wstrzymam was.

Ser Lucas Długi wybuchnął śmiechem.

–Oto błędny rycerz, który chce się zmienić w błędnego jeża, pani – powiedział do Czerwonej Wdowy. – Rzeknij słowo, a wpakujemy mu tuzin bełtów. Na tę odległość łatwo przejdą przez taką zbroję.

–Nie. Jeszcze nie, ser. – Lady Rohanne przyjrzała mu się zza strumienia. – Jest was tylko dwóch mężów i dziecko, a my mamy trzydziestu trzech ludzi. Jak zamierzasz nas powstrzymać? – krzyknęła.

–Powiem – odparł Dunk. – Ale tylko tobie.

–Jak sobie życzysz. – Wbiła pięty w boki konia i wjechała do wody. Zatrzymała się, gdy nurt sięgnął brzucha klaczy. – Czekam. Podjedź, ser. Obiecuję nie zaszyć cię w worku.

Zanim Dunk zdążył odpowiedzieć, ser Eustace złapał go za ramię.

–Jedź do niej – powiedział. – Ale pamiętaj Małego Lwa.

–Jak każesz, panie. – Dunk wprowadził Groma do wody. Zatrzymał się przy Wdowie. – Pani.

–Ser Duncanie. – Wyciągnęła dłoń i położyła dwa palce na jego opuchniętej wardze. – To moje dzieło, ser?

–Nikt inny nie uderzył mnie ostatnio w twarz, pani.

–Źle zrobiłam. Naruszyłam zasady gościnności. Dobry septon uświadomił mi to w gorzkich słowach. – Spojrzała na brzeg, na ser Eustace'a. – Ledwie pamiętam już Addama. To było pół mego życia temu. Wiem jednak, że go kochałam. Jego i nikogo innego.

–Ojciec pochował go w jeżynach, wraz z braćmi. Chłopak bardzo lubił jeżyny.

–Pamiętam. Zrywał je dla mnie, a potem jedliśmy je ze śmietaną.

–Król wybaczył staremu Deamonowi – powiedział Dunk. – Chyba czas, abyś ty wybaczyła mu Addama.

–Daj mi Bennis, a zastanowię się nad tym.

–Bennis nie jest mój, abym mógł nim dysponować. Westchnęła.

–Wolałabym cię nie zabijać.

–A ja wolałabym nie ginać.

–No to dajcie Bennisa. Utnę mu nos i to będzie koniec całej sprawy.

–Nie będzie. Zostaje jeszcze kwestia tamy i pożaru. Wydacie nam podpalaczy?

–W lesie były świetliki. Może to one...

–Nie czas na żarty, pani – ostrzegł ją Dunk. – Naprawdę. Rozbierz tamę i daj ser Eustace’owi wodę w zamian za las. To byłoby chyba uczciwe, prawda?

–Może byłoby, gdybym to ja spaliła las. Czego nie zrobiłam. Byłam w Zimnej Fosie, w łożu.
– Spojrzała na nurt. – Co ma nas powstrzymać przed przejechaniem na wasz brzeg? Osty na dnie? Łucznicy ukryci na pogorzelisku? Powiedz, co to.

–Ja. – Ściągnął rękawicę. – W Pchlim Zadku zawsze byłem większy i silniejszy niż inni chłopcy, mogłem więc każdego pobić i okraść. Stary nauczył mnie, że się tego nie robi. Powiedział, że to złe, a poza tym mali chłopcy miewają starszych braci. Spójrz na to, pani.
– Zsunął sygnet, który miał na palcu, i podał go Wdowie.

Musiła puścić warkocz, aby go wziąć.

–Złoto? – spytała, poczuwszy wagę. – Co to jest, ser? – Obróciła sygnet na dłoni. – Złoto i onyks. – Spojrzała na pieczęć i nagle oczy jej się zwężyły. – Gdzie go znalazłeś, ser?

–W bucie. Był owinięty w gałgan i wepchnięty przed palce.

Lady Rohanne zacisnęła dłoń na sygnecie. Spojrzała na Jajo i starego.

–Bardzo ryzykujesz, pokazując mi ten pierścień, ser. Ale co to zmienia? Jeśli rozkażę ludziom ruszać...

–Cóż... To znaczyłoby, że będę musiał walczyć.

–I zginąć.

–Zapewne. A wtedy Jajo wróci tam, skąd przybył, i opowie, co się tutaj stało.

–Jeśli też nie zginie.

–Wątpię, abyś zabiła dziesięcioletniego chłopca – powiedział w nadziei, że się nie myli. – W każdym razie nie tego dziesięcioletniego chłopca. Masz trzydziestu trzech ludzi, jak sama powiedziałaś. Ludzie zwykli rozmawiać. Szczególnie ten gruby. Jakkolwiek głębokie groby wykopiesz, wieść się rozejdzie. A wtedy, cóż... być może pajak da radę lwu, ale smok to już całkiem inna historia.

–Wolałabym zostać przyjacielem smoka. – Przymierzyła sygnet. Był o wiele za duży, nawet na jej kciuk. – Ale smok czy nie smok, muszę mieć Bennisa herbu Brunatna Tarcza.

–Nie.

–Uparty jesteś. Całe siedem stóp uporu.

–Bez jednego cala.

Oddała mu pierścień.

–Nie mogę wrócić do Zimnej Fosy z pustymi rękami. Powiedzą, że Czerwona Wdowa straciła zęby, że jest zbyt słaba, aby wymierzyć sprawiedliwość, że nie daje rady obronić swojego ludu. Nie rozumiesz tego, ser.

–Może jednak. – Lepiej, niż przypuszczasz, pani, pomyślał. – Pamiętam, jak kiedyś ser Arian najął się na służbę u pewnego pomniejszego władcy na wybrzeżu burz. Miał pomóc mu w walce z innym lordem. Gdy spytałem starego rycerza, o co oni walczą, powiedział: „Naprawdę o nic, chłopcze. To tylko takie zawody w sikaniu na odległość”.

Lady Rohanne spojrzała na niego wstrząśnięta, ale zaraz się uśmiechnęła.

–Słyszałam już tysiące pustych komplementów, ale po raz pierwszy rycerz wspomniał w mojej obecności o sikaniu. – Jej piegowała twarz ponownie spoważniała. – W takich zawodach władcy oceniają swoją siłę i biada temu, kto okaże słabość. Kobieta zaś musi sikać dwa razy dalej, jeśli chce utrzymać władzę. Jeśli do tego ta kobieta jest

niewielkiego wzrostu... Lord Stackhouse rości sobie pretensje do moich Wzgórz Podków, ser Clifford Conklyn chce od dawna Jeziora Liści, ci ponurzy Durwellowie ciągle podkradają mi bydło... pod własnym dachem zaś mam Lucasa. Każdego ranka budzę się z myślą, czy nie spróbuje siłą wziąć mnie za żonę. – Zacisnęła dłoń na warkoczu, jakby był liną utrzymującą ją nad przepaścią. – Wiem, że tego pragnie. Wstrzymuje go tylko lęk przed moim gniewem. Z tego samego powodu Conklyn, Stackhouse i Durwellowie nie pozwalają sobie na zbyt wiele wobec Czerwonej Wdowy. Jeśli jednak ktokolwiek z nich dojdzie do wniosku, że osłabłam...

Dunk włożył pierścień na palec i wyciągnął sztylet.

Dziewczyna spojrzała z lękiem na nagą stal.

–Co robisz? Postradałeś rozum? Tuzin ludzi mierzy do ciebie z kusz.

–Chciałaś krwi za krew. – Przyłożył ostrze do swojego policzka. – Źle ci powiedzieli. To nie Bennis zranił kopacza, tylko ja. – Przycisnął klingę do twarzy i ciął. Gdy strząsnął krew ze sztyletu, kilka kropli dosięgło jej twarzy. Jeszcze trochę piegów, pomyślał. – Proszę, Czerwona Wdowa ma, czego chciała. Policzek za policzek.

–Wariat... – Oczy załzawiły jej od dymu. – Gdybyś był lepiej urodzony, wyszłabym za

ciebie.

–Tak, pani. A gdyby świnię miały łuski, skrzydła i zionęły ogniem, byłyby smokami. – Schował ostrze. Twarz zaczęła go palić. Krew spływała mu po policzku na naszyjnik. Jej woń zaniepokoiła Groma, który zaczął młócić wodę kopytami. – Wydaj nam ludzi, którzy podpalili las.

–Nikt z nas tego nie planował – odparła. – Chociaż być może któryś z moich poddanych uczynił to z własnej woli, sądząc, że mnie ucieszy. Jak mogłabym wydać ci kogoś takiego? – Obejrzała się na swoich ludzi. – Chyba lepiej, żeby ser Eustace wycofał oskarżenie.

–Pierwej świnię zioną ogniem, pani.

–W takim razie muszę dowieść mej niewinności przed bogami i ludźmi. Powiedz ser Eustace’owi, że domagam się przeprosin... albo sądu bożego. Wybór należy do niego, ser. – Zawróciła konia i ruszyła na swój brzeg.

Na miejsce walki wybrano sam strumień.

Septon Sefton wszedł do wody i odmówił modlitwę, prosząc Ojca w Niebiesiech, aby spojrzał na tych dwóch ludzi i osądził ich sprawiedliwie, Wojownika o siłę dla tego, którego sprawa jest czysta i prawa, Matkę zaś o miłosierdzie dla kłamcy i wybaczenie jego grzechów. Gdy skończył, po raz ostatni zwrócił się do ser Eustace’a Osgreya.

–Ser, błagam, wycofaj oskarżenie.

–Nie – odparł stary spod drżących wąsów. Gruby septon spojrzał na lady Rohanne.

–Dobra siostrze, jeśli ty to zrobiłaś, wyznaj swą winę i zaproponuj ser Eustace’owi zadośćuczynienie za las. Inaczej popłynie krew.

–Mój rycerz dowiedzie niewinności mojej osoby. W oczach bogów i ludzi.

–Sąd boży poprzez walkę to nie jedyna możliwość – powiedział septon, stojąc po pas w wodzie. – Błagam, pojedźmy do Złotego Gaju i przedstawmy sprawę lordowi Rowanowi.

–Nigdy – rzucił ser Eustace.

Czerwona Wdowa pokręciła głową.

Ser Lucas Inchfield spojrzał na lady Rohanne. Twarz pociemniała mu ze złości.

–Gdy tylko ta komedia się skończy, wyjdiesz za mnie. Tak jak życzył sobie twój ojciec.

–Mój ojciec nie znał cię tak dobrze jak ja – odparła.

Dunk przykleknął przy swoim giermku i oddał mu sygnet ze znakiem czterech trójgłowych smoków, herbem Maekara, księcia Summerhall.

–Schowaj go z powrotem do buta – powiedział. – Gdybym zginął, jedź do najbliższej siedziby przyjaciół twego ojca i powiedz, by odstawili cię do Summerhall. Nie próbuj pokonać całego Reach na własną rękę. Pamiętaj! Inaczej mój duch przybędzie, aby dać ci w ucho.

–Tak, ser. Ale sądzę, że nie zginiesz.

–Jest za gorąco, aby umierać. – Nałożył hełm, a Jajo pomógł mu przypiąć go ciasno do kołnierza. Ciągłe miał krew na twarzy, chociaż ser Eustace oddał kawałek własnego płaszcza, aby zatamować krwawienie.

Wstał, podszedł do Groma i wspiął się na siodło. Dym prawie się już rozwiął, ale niebo było nadal ciemne. Chmury, pomyślał, ciemne chmury. Tak dawno ich nie było. Może to znak. Ale dla kogo? Dunk niezbyt dobrze potrafił odczytywać znaki.

Na drugim brzegu ser Lucas też dosiadał konia. Był to kasztanowaty rumak, szybki i silny, ale nie tak wielki jak Grom. Braki wzrostu wyrównać miała zbroja: naczótek, nakarczek i kolczuga z drobnych ogniów. Sam Długi nosił malowaną na czarno zbroję i srebrzystą kolczugę. Na szczycie jego hełmu lśnił złowieszczo onyksowy pająk, ale na tarczy miał własny znak: ukośny pas z czarnych i białych kwadratów na szarym polu. Dunk ujrzał, jak przeciwnik oddaje tarczę giermkowi. Nie zamierza jej użyć, pomyślał. Gdy inny giermek podał Inchfieldowi topór bojowy, jasne stało się dlaczego. Osadzony na zagiętej, długiej rękojeści topór był śmiertelnie groźną bronią, ale ciężka głowica z kolcem wymagała użycia obu rąk. Lucas uważał widać, że w tym pojedynku nie będzie potrzebował dodatkowej osłony. Muszę sprawić, aby pożałował swego wyboru, pomyślał Dunk.

Sam trzymał tarczę na lewym ramieniu. Była to ta sama tarcza, na której Tanselle wymalowała jego wąż ze spadającą gwiazdą. Gdzieś z głębin pamięci wyłynęła dziecięca rymowanka: „Dębie w żelazie, strzeż mnie pilnie, bo śmierć mi inaczej i piekło niechybnie”. Wysunął miecz z pochwy. Dobrze leżał mu w dłoni.

Wbił pięty w boki Groma i wjechał do strumienia. Po drugiej stronie ser Lucas zrobił to samo. Dunk zboczył w prawo, aby ustawić się do przeciwnika lewą stroną, po której miał tarczę. To wcale nie spodobało się Lucasowi, też więc skręcił szybko w rozpryskach wody. Dunk wychwycił pierwsze uderzenie na tarczę, chociaż musiał w tym celu obrócić się w siodle. Cios wstrząsnął ramieniem, aż zęby mu zadzwoniły. W odpowiedzi zamachnął się mieczem, mierząc pod uniesioną rękę. Stał zadzwoniła o stal.

Lucas krążył, próbując zająć Dunka z nie chronionego tarczą boku, ale Grom sam się obracał jak trzeba, gryząc drugiego wierzchowca. Miażdżące uderzenia topora spadały jedno za drugim. Inchfield aż stawał w strzemionach, aby włożyć w nie jak najwięcej siły.

Dunk wychwytywał każdy cios skulony za tarczą i próbował sięgnąć przeciwnika, ale jak dotąd – na ramionach, boku i nogach – ciągle trafiał na stal. Krążyli tak, burząc wodę, i na razie Lucas cały czas atakował, a Dunk głównie się bronił, szukając słabych miejsc wroga.

W końcu dojrzał jedno. Ile razy tamten unosił topór do ciosu, pod pachą pojawiała się szczelina, chroniona wprawdzie kolczugą i skórą, ale nie stałą. Dunk uniósł tarczę, przymierzając się do ataku. Jeszcze chwila, moment... Topór opadł, odskoczył i znowu się uniósł. Teraz! Dunk wbił Gromowi ostrogę, przysuwając go do przeciwnika, i spróbował wrazić miecz w szczelinę.

Ta jednak zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, i miecz ześliznął się po blasze, a Dunk, nazbyt wychylony, omal nie spadł z siodła. Topór znowu opadł i osuwając się po żelaznym obramowaniu tarczy oraz hełmie, uderzył Groma w kark.

Rumak kwiknął i stanął na tylnych nogach. Tocząc pełnym cierpienia wzrokiem, uderzył zbliżającego się Lucasa jednym podkutym kopytem w twarz, drugim zaś w ramię, po czym runął na jego wierzchowca.

Wszystko to zdarzyło się w mgnieniu oka. Oba konie splątały się, kopiąc i gryząc, burząc wodę i podnosząc muł z dna. Dunk próbował wyskoczyć z siodła, ale stopa uwięzła mu w strzemieniu. Upadł twarzą naprzód. Zanim woda chlusnęła z otworów hełmu, zdążył jeszcze zaczerpnąć desperacko powietrza. Ciągle nie mógł uwolnić stopy i dzikie manewry Groma omal nie wyrwały mu nogi ze stawu. W końcu jednak mu się udało i przez chwilę miotał się bezradnie w strumieniu. Wkoło zrobiło się zielono, niebiesko i brunatno.

Ciężar zbroi pogrążał go. Uderzył ramieniem o dno. Skoro tu jest dół, góra będzie w przeciwnym kierunku, pomyślał i wparł stalowe rękawice w piasek i kamienie. Ostatecznie zdołał jakoś stanąć i wysunąć głowę nad powierzchnię. Woda wylewała się ze wszystkich szczelin, ale stał i mógł oddychać.

Na lewym ramieniu miał ciągle poobijaną tarczę, ale miecz gdzieś zniknął. W hełmie chlupotała zarówno woda, jak i krew. Gdy spróbował zrobić krok, poczuł przenikliwy ból w kostce. Konie, chociaż nadal splątane, próbowały już się podnieść. Rozejrzał się. Jedno oko zalewała mu krew, ale wypatrywał przeciwnika. Nie ma go, pomyślał. Utonął albo Grom roztrzaskał mu czaszkę.

Nagle ser Lucas wynurzył się z wody tuż przed nim. W rękę trzymał miecz. Wymierzył potężny cios i tylko masywny naszyjnik uratował głowę Dunka. Dunk nie miał jak odpowiedzieć, mógł tylko osłaniać się tarczą, oddawał więc pole, a przeciwnik postępował za nim, krzycząc i tnąc raz za razem. Trafił w końcu Dunka w drętwiejącą rękę nad łokciem. Dodatkowo bolała chłopaka rana na biodrze i noga, przy kolejnym kroku zaś kamień obrócił mu się pod stopą. Stracił równowagę i opadł na jedno kolano. Tkwiąc po pierś w wodzie, uniósł tarczę, aby odbić kolejny cios, ale tym razem ser Lucas uderzył na tyle silnie, że gruba dębowa tarcza pękła na pół, drzazgi zaś uderzyły Dunka w twarz. W uszach mu

dzwoniło, usta miał pełne krwi, ale dosłyszał jakoś giermka wołającego: „Bierz go, ser, bierz go! Jest dokładnie przed tobą!”

Dunk runął naprzód. Lucas unosił właśnie miecz do kolejnego cięcia, gdy uderzony w brzuch poleciał do tyłu. Strumień ponownie zamknął się nad oboma, ale tym razem Dunk był gotowy. Objął Inchfielda ramieniem i przycisnął go do dna. Bąbelki powietrza wymykały się spod poobijanej przyłbicy Lucasa, ten jednak nadal próbował walczyć. Chwycił leżący na dnie kamień i co rusz uderzał nim w głowę i ręce Dunka, który gorączkowo macał swój pas. Czyżbym zgubił też sztylet? – pomyślał. Ale nie, sztylet był na miejscu. Zacisnął dłoń na rękojeści, skierował go z wolna na przeciwnika, przebił jego skórzany strój i kolczugę pod pachą, a następnie wepchnął jak najgłębiej i obrócił. Ser Lucas szarpnął się i siły go opuściły. Dunk oderwał się od niego. Brakowało mu tchu. Jakaś ryba przepłynęła mu tuż przed oczami. Była długa, biała i smukła. Co to jest? – myślał. Co to? Co to?...

Obudził się w niewłaściwym zamku.

Gdy otworzył oczy, nie wiedział, gdzie jest. Panował błogosławiony chłód. W ustach czuł smak krwi, na oczach zaś miał opaskę z ciężkiego materiału nasyconego czymś

wonnym. To zapach goździków, pomyślał.

Dunk sięgnął do twarzy i zdjął opaskę. Nad nim płonęła oświetlająca wysoko sklepioną powałę pochodnia. Po belkach stropowych wędrowały wrony, zerkały na niego małymi, ciemnymi oczami i krakały czasem z cicha. Przynajmniej nie oślepiłem, pomyślał. Był w wieży maestera. Pod ścianami stały szafki z ziołami i napojami zamkniętymi w dzbankach oraz flaszkach z zielonego szkła. Na długim stole nieopodal piętrzyły się książki i pergaminy, stały też jakieś dziwne instrumenty z brązu, a wszystko naznaczone wronimi odchodami.

Spróbował usiąść. Natychmiast przekonał się, że to nie najlepszy pomysł. W głowie mu się zakręciło, a lewą nogę przeszył ból. Kostkę miał owiniętą płótnem, podobnie jak pierś. I ramiona.

–Nie ruszaj się.

W polu widzenia pojawiła się jakaś twarz. Młoda, ale wyrazista, z brązowymi oczami i haczykowatym nosem. Dunk znał to oblicze.

Należało do mężczyzny noszącego się na szaro, z wykonanym z rozmaitych metali łańcuchem na piersi. Dunk złapał go za rękę.

–Gdzie...?

–W Zimnej Fosie – powiedział maester. – Byłeś zbyt poważnie ranny, aby zabierać cię do Standfast, i lady Rohanne nakazała przewieźć cię tutaj. Wypij to. – Uniósł do ust Dunka kubek z czymś, co miało gorzki smak octu winnego, ale przynajmniej usunęło posmak krwi.

Dunk wypił wszystko do dna. Potem ruszył palcami prawej dłoni. I palcami lewej. Przynajmniej ręce mam sprawne, stwierdził.

–Co... co mi jest?

–Spytaj raczej, co ci nie jest – parsknął maester. – Pęknięta kostka, rozwalone kolano, złamany obojczyk... i żółtozielone siniaki na całym tułowiu. Prawe ramię masz tak poobijane, że zrobiło się niemal czarne. Myślałem też, że doznałeś pęknięcia czaszki, ale okazało się, że nie. No i jest jeszcze rana na twarzy. Obawiam się, że zostanie po niej blizna. Poza tym utonąłeś, zanim wyciągnęliśmy cię z wody.

–Utonąłem?

–Nigdy nie przypuszczałem, że ktoś może się nałykać tyle wody, nawet ktoś tak wielki jak ty, ser. Miałeś szczęście, że studiowałem kiedyś wierzenia i praktyki kapłanów Topielca, którzy wiedzą nie tylko, jak utopić człowieka, ale również jak przywrócić utopionego do życia.

Utonąłem, pomyślał Dunk. Znowu spróbował usiąść, ale zabrakło mu sił. Utonąłem w wodzie, która nie sięgała mi nawet do szyi. Roześmiał się i jęknął z bólu.

–Ser Lucas?

–Nie żyje. Miałeś jakieś wątpliwości?

Nie. Dunk mógł wątpić w wiele rzeczy, ale nie w to. Pamiętał, jak Lucas Inchfield nagle zrobił się całkiem bezwładny.

–Jajo. Chcę Jaja...

–Głód to dobry znak – powiedział maester. – Na razie jednak bardziej potrzebujesz snu niż jedzenia.

Dunk pokręcił głową i zaraz tego pożałował.

–Jajo to mój giermek...

–Naprawdę? Dzielny z niego chłopak i silniejszy, niż się wydaje. To on wyciągnął cię ze strumienia. Potem pomógł nam wyłuskać cię ze zbroi i przyjechał tutaj na wozie. Nie

spął, tylko siedział przy tobie z mieczem na kolanach, czuwając, żeby nikt nie zrobił ci krzywdy.

Nawet mnie podejrzewał o nieczne zamiary i zmusił do próbowania wszystkiego, co chciałem ci podać. Dziwny, ale bardzo oddany.

–Gdzie jest?

–Ser Eustace poprosił chłopca, aby towarzyszył mu podczas uczyty weselnej. Nie miał tu nikogo, więc twojemu giermkowi niezręcznie było mu odmówić.

–Uczyty weselnej? – spytał Dunk, nie rozumiejąc, o co chodzi.

–Nie możesz tego wiedzieć, oczywiście. Zimna Fosa i Standfast pogodziły się po twojej walce. Lady Rohanne ubłagała ser Eustace’a, aby pozwolił jej przejść strumień i odwiedzić grób Addama. Uklękała w jeżynach i się rozplakała. Ser Eustace był tym tak poruszony, że zaczął ją pocieszać. Całą noc rozmawiali potem o młodym Addamie i szlachetnym ojcu mojej pani. Lord Wyman i ser Eustace byli kiedyś dobrymi przyjaciółmi. Aż do rebelii Blackfyre’a. Dziś rano nasz dobry septon Sefton udzielił ślubu twemu panu i mojej pani. Obecnie ser Eustace Osgrey jest lordem Zimnej Fosi, a jego lew powiewa obok pająka na każdej wieży zamku.

Dunkowi zakręciło się w głowie. To ten napój, pomyślał. Dał mi coś na sen. Zamknął oczy i pozwolił, aby ból odpłynął. Słyszał jeszcze krakanie wron, własny oddech i jeszcze coś... coś cichszego, równego, uspokajającego.

–Co to jest? – wymamrotał. – Ten odgłos...

–To? – Maester posłuchał chwilę. – To tylko deszcz.

Nie zobaczył jej aż do dnia wyjazdu.

–To niemądre, ser – biadolił septon Sefton, gdy Dunk kuśtykał z trudem przez dziedziniec. Rycerz jedną nogę miał unieruchomioną i wspierał się na kuli. – Maester Cerrick mówi, że nie wróciłeś jeszcze w pełni do zdrowia, ten deszcz zaś... Jeśli się nie przeziębisz, to możesz się znowu utopić. Poczekaj chociaż, aż przestanie padać.

–To może potrwać lata. – Dunk był wdzięczny grubemu septonowi, który odwiedzał go niemal codziennie... Rzekomo, aby modlić się za niego, chociaż znacznie więcej czasu przeznaczał na plotki. Będzie mu brakować jego żywego języka i wesołego towarzystwa, ale to niczego nie zmieniało. – Muszę jechać.

Deszcz smagał go tysiącem szarych, zimnych smug. Peleryna była już całkiem mokra. Nosił tę samą wełnianą pelerynę, którą Eustace dał mu już raz wcześniej. Stary rycerz przekazał mu ją ponownie, jako podarunek pożegnalny.

–Za odwagę i wierną służbę, ser – powiedział.

Brosza, która ją spinała na ramieniu, też była prezentem: zrobiony z kości słoniowej pająk ze srebrnymi nogami. Plamy na grzbiecie miał z pokruszonych granatów.

–Mam nadzieję, że nie wyruszasz w szalony pościg za Bennisem – rzekł septon. – Jesteś tak poobijany, że obawiałbym się o ciebie, gdy byś spotkał go w takim stanie.

Bennis, pomyślał z goryczą Dunk. Przeklęty Bennis. Gdy Dunk stał nad strumieniem, brunatny rycerz związał Sama Stoopsa i jego żonę i splądrował Standfast od szczytu wieży po piwnice, unosząc wszystko, co miało jakąś wartość, począwszy od świec, ubrań i broni, a skończywszy na srebrnym kubku Osgreya i małej szkatułce z monetami schowanej za pokrytym pleśnią gobelinem w sali wielkiej starego rycerza. Dunk miał nadzieję, że spotka jeszcze kiedyś Bennisa, a wtedy...

–Bennis może poczekać.

–Dokąd więc się udajesz? – Septon dyszał ciężko. Nawet teraz trudno mu było nadążyć za Dunkiem.

–Na Piękną Wyspę. Do Harrenhal. Do Tridentu. Wszędzie potrzebują błędnych rycerzy. – Wzruszył ramionami. – Zawsze chciałem zobaczyć Mur.

–Mur? – Septon aż się zatrzymał. – Nie wiesz, co czynisz, ser Duncanie! – krzyknął, stojąc w błocie z rozpostartymi na deszczu ramionami. – Modlę się, ser, modlę się, aby Latarnia Crone'a oświetliła ci drogę!

Dunk poszedł dalej.

Czekała na niego w stajni, cała w zieleni, stojąc tuż obok żółtych bel siana.

–Ser Duncanie – powiedziała, gdy uchylił wrota. Rudy warkocz zwieszał jej się z przodu, jego koniec sięgał ud. – Miło widzieć cię na nogach.

Leżącego nie widziała, pomyślał.

–Co sprowadza cię do stajni, pani? To nie jest dobra pogoda na przejażdżkę.

–O to samo mogłabym spytać ciebie.

–Jajo ci powiedział? – Jak nic, należy mu się jeszcze jeden prztyczek w ucho, pomyślał.

–Dobrze, że powiedział, bo inaczej musiałabym posłać ludzi, aby cię zawrócili. To okrutne z twojej strony próbować tak wymknąć się bez pożegnania.

Ani razu nie odwiedziła go, gdy dochodził do siebie w wieży maestra Cerricka. Ani razu.

–Zieleń dobrze ci służy, pani – powiedział. – Wydobywa barwę twoich oczu. – Niezgrabnie przeniósł ciężar ciała na kulę. – Przyszedłem po swojego konia.

–Nie musisz jechać. Jest tu dla ciebie miejsce. Możesz zostać, gdy już wrócisz do zdrowia. Mianuję cię kapitanem swojej gwardii, a Jajo dołączy do innych giermków. Nikt nigdy nie dowie się, kim jest.

–Dziękuję, pani, ale nie.

Grom stał kilka bokсів dalej. Dunk pokuśtykał w jego stronę.

–Proszę, zastanów się jeszcze, ser. Czasy mamy niebezpieczne, nawet dla smoków i ich przyjaciół. Zostań, aż całkiem wyzdrowiejesz. – Szła obok niego. – Lord Eustace też by się ucieszył. Bardzo cię polubił.

–Wiem – rzekł Dunk. – Powiedział mi, że gdyby jego córka żyła, chciałby, abym ją poślubił. Byłabyś wtedy moją teściową. Mógłbym mówić do ciebie mamó. Nigdy nie miałem matki, a na pewno wysoko urodzonej.

Przez chwilę wydawało się, że lady Rohanna znowu go uderzy. Może odkopnie mi kulę, pomyślał Dunk.

–Jesteś na mnie zły, ser – powiedziała jednak. – Pozwól, że wynagrodzę ci to wszystko.

–Dobrze. Pomożesz mi osiodłać Groma.

–Miałam co innego na myśli. – Ujęła swoją smukłą, piegowatą dłoń jego dłoń. Założę się, że wszędzie jest piegowata, przypomniał sobie Dunk. – Jak dobrze znasz się na koniach?

–Jeżdżę na jednym.

–To stary rumak wyhodowany do walki, powolny i gwałtowny. Nie nadaje się do podróżowania.

–Ale jakoś podróżować muszę. Mam do wyboru jego albo to. – Wskazał na swoje stopy.

–Masz wielkie stopy – zauważyła. – I dłonie. Pewnie cały jesteś wielki. Za wielki na większość zwykłych koni. Wyglądają przy tobie jak kucyki. Ale potrzebny ci szybki i rośły

wierzchowiec. Taki, na jakich Dorneańczycy wędrują po pustyni. – Wskazała boks naprzeciwko boksu Groma. – Taki jak ona.

Była to klacz pełnej krwi, z jasnym okiem i długą, ognistą grzywą. Lady Rohanne wyjęła z rękawa marchew i pogłaskała zwierzę po łbie.

–Marchew, nie palce – powiedziała. Potem odwróciła się do Dunka. – Mówię na nią Płomień, ale ty możesz nazwać ją, jak chcesz. Na przykład Przeprosiny.

Dunkowi na chwilę zabrakło słów. Wsparty na kuli spojrzał na klacz w całkiem inny sposób.

Była wspaniała. Lepsza niż wszystkie konie starego. Jeden rzut oka na jej długie nogi pozwalał ocenić, jak musiała być szybka.

–Hodowana była dla urody. I dla szybkości. Dunk obrócił się do Groma.

–Nie mogę jej wziąć.

–Dlaczego?

–To za dobry koń dla mnie. Tylko spójrz na nią.

Rohanne okryła się rumieńcem. Ujęła warkocz i zaczęła skręcać go w palcach.

–Musiałam wyjść za mąż, wiesz przecież. Wola mojego ojca... Nie bądź niemądry.

–A jaki mam być? Jestem tylko gruboskórnym bękartem.

–Weź tego konia. Nie pozwolę ci wyjechać bez czegoś, co by ci o mnie przypominało.

–Będę cię pamiętał, pani. Nie musisz się o to obawiać.

–Weź ją!

Dunk złapał jej warkocz i przyciągnął dziewczynę do siebie. Różnili się znacznie wzrostem, on zaś miał z kulą ograniczoną swobodę ruchów. Omal nie upadł, zanim odnalazł jej usta. Pocałował ją mocno. Jedną ręką objął go za szyję, drugą otoczyła plecy. Przez te kilka chwil Dunk dowiedział się o całowaniu więcej niż ze wszystkich scen, które podpatrzył. Ale gdy ostatecznie skończyli, wyciągnął sztylet.

–Już wiem, co chcę na pamiątkę, pani.

Jajo czekał na niego przy wartowni. Siedział na ładnym gniadoszu, w dłoni zaś trzymał wodze Maestera. Gdy Dunk podjechał na Gromie, chłopak nie krył zdziwienia.

–Mówiła, że ma dla ciebie nowego konia, ser.

–Nawet wysoko urodzone damy nie zawsze zdołają postawić na swoim – rzekł Dunk, gdy przekraczali most zwodzony. – Nie konia chciałem. – Wody w fosie było tak dużo, że mogła niebawem przelać się przez brzegi. – Wziąłem co innego na pamiątkę. Kosmyk jej rudych włosów. – Sięgnął pod pelerynę i z uśmiechem pokazał warkocz.

Nikt nie usunął splecionych ciał z żelaznej klatki na rozstajach. Nawet muchy i kruki już je opuściły. Na gołych kościach zostały tylko małe skrawki skóry i włosów.

Dunk zatrzymał się i zmarszczył brwi. Kostka bolała go od jazdy, ale nie zwracał na to większej uwagi. Cierpienie było nieodłączną częścią rycerskiego fachu. Tak samo jak

miecze i tarcze.

–Którędy na południe? – spytał chłopaka. Trudno było orzec cokolwiek, gdy świat szarzał w deszczu.

–Tam jest południe, ser. – Jajo pokazał. – A tam północ.

–Na południu jest Summerhall. I twój ojciec.

–Mur jest na północy. Rycerz spojrzał na niego.

–To długa droga.

–Mam nowego konia, ser.

–Owszem. – Dunk musiał się uśmiechnąć. – A dlaczego chcesz zobaczyć Mur?

–No... slyszalem, że jest wysoki.

Przełożył Radosław Kot

Opowieści O Atonie Stwórcy Orson Scott Card

Seventh Son (1987) Siódmy syn (1993)

Red Prophet (1988) Czerwony prorok (1996)

Prentice Alvin (1989) Uczeń Alvin (1995)

Alvin Journeyman (1996) Alvin czeladnik (1999)

Heartfire (1998) Płomień serca (2003)

The Crystal City (2003) Kryształowe miasto (2004)

W „Opowieściach o Alwinie Stwórcy”, alternatywnej wizji historii, która nigdy się nie wydarzyła, Orson Scott Card pokazuje, jaki mógłby być świat, gdyby nie doszło do amerykańskiej Wojny o Niepodległość i gdyby magia z ludowych wierzeń naprawdę działała.

Ameryka Północna jest podzielona na kilka prowincji, Francuzi i Hiszpanie zaś nadal żywo zaznaczają swoją obecność w Nowym Świecie. Trwająca w Europie rewolucja naukowa zmusza wielu ludzi z „talentem”, czyli umiejętnościami magicznymi, do emigrowania do Ameryki. Przybywają tam ze swoją magią. Książki cyklu opisują życie Alwina, który jest siódmym synem siódmego syna i z tego już tylko powodu dysponuje niespotykaną mocą. Jego przeznaczeniem jest dorosnąć do statusu Stwórcy, szczególnej postaci, jakiej nie widziano już od tysiąca lat. Niemniej każdy Stwórca musi stawić czoło swojemu

Niszczycielowi, istocie reprezentującej niezmiernie, nadnaturalne zło. Adwersarz Alvina stara się wykorzystać przeciwko niemu nawet jego rodzzonego brata, Calvina.

Podczas swoich peregrynacji Alvin poznaje otaczający go świat i spotyka się z takimi problemami, jak niewolnictwo i nieustanna wrogość między osadnikami a rdzennymi Amerykanami, którzy władają zachodnią częścią kontynentu. Akcja cyklu zdaje się zmierzać ku ostatecznej konfrontacji Alvina z Niszczycielem, przy czym stawką w tej walce będzie los całego kontynentu, a może i świata.

Królowa Yazoo Orson Scott Card

Alvin patrzył, jak kapitan Howard wita na pokładzie kolejną grupę pasażerów, dobrze sytuowaną rodzinę z piątką dzieci i trzema niewolnikami.

–To prawdziwy Nil Ameryki – powiedział kapitan. – Ale nawet Kleopatra nie żeglowała nigdy wśród takiego przepychu jak ten, którego wy doświadczycie na *Królowej Yazoo*. Rodzina zapewne go doświadczy, pomyślał Alvin, ale niewolnicy nie za bardzo. Chociaż jako słudzy pasażerów i tak będą mieć lepiej niż dwa tuziny skutych razem, pojmanych zbiegów, których całe popołudnie trzymano na zalanym słońcem nabrzeżu.

Alvin miał oko na tych ludzi od jedenastej, kiedy wraz z Arthurem Stuartem przybył do Carthage City. Arthur miał wielką ochotę nieco się rozejrzeć i Alvin pozwolił mu iść. Miasto, które mieniło się Fenicją Zachodu, mogło być bardzo interesujące dla chłopca w wieku Arthura, nawet jeśli był on pół-Murzynem. Wprawdzie istniało ryzyko, że ktoś go weźmie za zbiega, zwykła rzecz na północnym brzegu Hio, jednak w Carthage mieszkało też wielu wolnych czarnych, a Arthur Stuart nie był głupcem. Umiał zachować czujność.

Niewolnicy też byli tu liczni. Obowiązywało prawo, że czarny niewolnik z Południa pozostaje niewolnikiem nawet na terenie wolnego stanu. A największą hańbą byli ci skuci biedacy, którzy przedostali się własnymi siłami przez Hio, aby zyskać wolność, ale stali się ofiarami Odszukiwaczy, znowu trafili w kajdany i pod bat. W niewolę. Rozzłoszczeni panowie dbali o to, żeby cierpienie pojmanych podziało odstraszająco na pozostałych. Nic dziwnego, że więźniowie tak często popełniali samobójstwo. Albo przynajmniej próbowali.

Alvin widział, że większość skutych razem dwudziestu pięciu czarnoskórych była ranna, przy czym wiele z tych ran zadali sobie zapewne sami. Odszukiwacze nie byli skłonni znęcać się nad cudzą własnością, za której odprowadzenie mieli dostać nagrodę. Nie, rany na nadgarstkach i brzuchach były znakiem, że wolność jest dla tych ludzi cenniejsza niż życie.

Alvin starał się ustalić, na który statek trafią zbiedzy. Najczęściej jedynie przeprowadzano ich promem przez rzekę, a następnie prowadzono łądem. Zbyt często zdarzało się, że niewolnicy wyskakiwali za burtę i szli na dno pod ciężarem łańcuchów, aby Odszukiwacze ryzykowali długi transport rzeką.

W pewnej chwili Alvin dosłyszał szmer ich rozmów. Sporadycznych, bo można było za to

oberwać, i cichych, ale wystarczyło tego, aby dotarła do niego melodia języka. Z całą pewnością nie był to angielski, ani ten z północy, ani z południa, ani nawet slang niewolników. Nie przypominał też żadnego afrykańskiego języka, zresztą odkąd Brytyjczycy wypowiedzieli handlarzom niewolników otwartą wojnę, niewielu z nich docierało tutaj z drugiej strony Atlantyku.

Mogli zatem rozmawiać po hiszpańsku albo po francusku. W obu przypadkach oznaczało to, że ich celem będzie zapewne Nueva Barcelona, przez Francuzów nadal zwana Nowym Orleanem.

To zrodziło w umyśle Alvina kilka pytań. Przede wszystkim: W jaki sposób tak liczna grupa uciekinierów z Barcelony zdołała przedostać się do stanu Hio? To musiała być długa wędrówka, zwłaszcza jeśli nie znali angielskiego. Peggy, żona Alvina, wychowała

się w rodzinie abolicjonistów i wraz z tatą, Horacym Guesterem, nieraz przemycała uciekinierów przez rzekę, dzięki czemu Alvin dobrze wiedział, jak skuteczny może być taki tajny ruch. Prowadził działalność daleko w dół rzeki, w nowych hrabstwach Mizzippy i Alabam, jednak Alvin nigdy nie słyszał, aby jakikolwiek hiszpańsko – czy francuskojęzyczny niewolnik przebył aż tak długą, mroczną drogę do wolności.

–Znowu jestem głodny – odezwał się Arthur Stuart.

Alvin obrócił się i spojrzał na chłopca, a właściwie młodzieńca, który robił się coraz wyższy i przechodził już mutację. Stał zaraz za nim z rękami w kieszeniach i patrzył na *Królowę Yazoo*.

–Zastanawiam się, czy zamiast tylko patrzeć na ten statek, nie powinniśmy raczej nim odpłynąć – powiedział Alvin.

–Jak daleko? – spytał Arthur.

–Pytasz z nadzieją na krótką czy długą podróż?

–Płynie do Barcy.

–Dotrze tam, jeśli mgły na Mizzippy pozwolą – zauważył Alvin. Arthur skrzywił się ironicznie.

–To dobrze – powiedział. – Wokół ciebie zawsze kłębi się mgła.

–Możliwe – odparł Alvin. – Woda nigdy nie była mi przyjazna.

–W dzieciństwie pewnie tak. Teraz mgła robi to, co chcesz.

–Tak sądzisz – mruknął Alvin.

–Sam mi to pokazywałeś.

–Wtedy chodziło o dym ze świeczki. Poza tym nie jest powiedziane, że każdy dym czy każda mgła będą mnie słuchać.

–Wcale tego nie twierdzą – powiedział Arthur, szczerząc zęby.

–Na razie chcę zobaczyć, czy ten statek zabiera niewolników. Arthur spojrzał tam, gdzie patrzył Alvin, na czarnoskórych.

–Dlaczego po prostu ich nie uwolnisz? – spytał.

–A dokąd by poszli? Są pod strażą.

–Niezbyt czujna to straż – powiedział Arthur. – Ci tak zwani strażnicy zajmują się raczej dzbanami. W żadnym razie nie są to już pełne dzbany.

–Odszukiwacze nadal mają ich skarbczyki i szybko pojmaliby wszystkich ponownie, z czego wynikłaby jeszcze większa bieda.

–Nie zamierzasz więc nic z tym zrobić?

–Arthurze Stuarcie, nie mogę uwolnić z okowów wszystkich niewolników na Południu.

–Widziałem, jak topiłeś żelazo niczym masło – przypomniał Arthur.

–No to powiedzmy, że grupa niewolników ucieknie, zostawiając stopione kawałki żelaza, które były wcześniej kajdanami – stwierdził Alvin. – Co pomyślą o tym władze? Że jakiś kowal się tu podkradł z miniaturowym miechem i toną węgla, rozpalił ogień i stopił łańcuchy? A potem uciekł, zabierając cały żużel w kieszeni?

Arthur spojrzał z urazą na Alvina.

–Zatem po prostu nie chcesz się narażać.

–Jasne – mruknął Alvin. – Wiesz przecież, że straszny ze mnie tchórz.

Rok wcześniej Arthur zamrugałby tylko i przeprosił, ale teraz, gdy głos mu się zmienił, słowo „przepraszam” o wiele rzadziej gościło na jego wargach.

–Uzdrowić też wszystkich nie jesteś w stanie – powiedział. – Ale nie powstrzymuje cię to przed uzdrawianiem przynajmniej niektórych.

–Nie ma sensu ich uwalniać, skoro nie pozostaną tu wolni – stwierdził Alvin. – Jak sądzisz, ilu z nich ucieknie, a ilu utopi się w rzece?

–A dlaczego mieliby skakać do rzeki?

–Bo wiedzą równie dobrze jak ja, że zbiegły niewolnik nie zazna wolności w Carthage City. To może być największe miasto nad Hio, ale jeśli chodzi o niewolnictwo, należy bardziej do Południa niż do Północy. Powiadają nawet, że organizuje się tutaj wiele ukrytych po piwnicach targów niewolników, władze zaś wiedzą o tym i nic nie robią, bo i dla nich to dochodowy interes.

–I ty też nie możesz nic zrobić...

–Wyleczyłem im kostki i nadgarstki w miejscach, gdzie kajdany wżarły się w ciało. Dałem im nieco ochłody w pełnym słońcu i oczyściłem wodę, którą dostali do picia, aby się nie pochorowali.

Arthur Stuart poczuł się w końcu nieco zakłopotany.

–Nigdy nie twierdziłem, że nie potrafisz być miły dla innych.

–Na razie mogę tylko tyle – powiedział Alvin. – Teraz i tutaj. Nie zamierzam też dawać moich pieniędzy temu kapitanowi, jeśliby niewolnicy popłynęli na południe na pokładzie jego statku. Nigdy nie zapłacę żadnemu kapitanowi statku transportującego niewolników.

–Nawet nie zauważy tego braku.

–Zauważy, zauważy – rzucił Alvin. – Kapitan Howard na niuch potrafi powiedzieć, kto ile ma w kieszeni.

–A to coś, czego nawet ty nie umiesz – powiedział Arthur.

–Ma dryg do pieniędzy. Tak sędzę. Zatrudnia pilota, żeby prowadził statek po rzece, inżyniera do utrzymania maszyny parowej i cieślę, który dba o koło łopatkowe i potrafi naprawić kadłub, gdyby za bardzo zbliżyli się do lewego brzegu podczas podróży w dół Mizzippy. Dlaczego więc jest kapitanem? Chodzi o pieniądze. Wie, kto je ma i jak je od tego kogoś wyciągnąć.

–To jak sądzisz, na ile cię wyceni?

–Na dość dużo, abym miał własnego rosnącego i młodego niewolnika, ale za mało, żeby starczyło na takiego, który trzyma gębę na kłódkę.

–Nie jestem twoją własnością – zaperzył się Arthur.

–Arthurze, nie chciałem wcale, abyś towarzyszył mi w tej podróży. Nie lubię zabierać cię na południe, bo muszę wtedy udawać, że jestem twoim panem, a nie wiem, co gorsze: gdy ty udajesz, że jesteś moim niewolnikiem, czy gdy ja udaję kogoś gotowego traktować innych jak swoją własność.

- To pójdę sobie i już.
- Zawsze tak mówisz.
- Tobie i tak nie robi to różnicy, bo możesz zmusić mnie, abym został, jeślibyś chciał.
- Nie mów „jeślibyś”. Peggy dostaje szału, gdy to słyszy.
- Nie ma jej tutaj, poza tym sam też podobnie przed chwilą powiedziałeś.
- Młodsze pokolenie powinno być zawsze doskonalsze niż starsi.
- No to chyba przyznasz, że niezbyt mi się w tej kwestii przysłużyłeś. Uczysz mnie już od iluś lat, a nadal ledwie udaje mi się zapalić świeczkę albo rozłupać kamień.
- Mam wrażenie, że radzisz sobie nie najgorzej i że stać cię na więcej. O ile naprawdę się skoncentrujesz.
- Koncentruję się tak bardzo, że łeb mi potem pęka.
- Chyba raczej powinienem powiedzieć, że za mało serca w to wkładasz. Nie chodzi o zdobycie władzy nad świeczką, kamieniem czy kajdanami, skoro o nich była mowa. Nie masz ich zmuszać, by robiły to, co chcesz, ale sprawiać, żeby cię posłuchały.
- Nie widziałem, abyś namawiał żelazo do wygięcia się czy kawał wyrzuconego na brzeg drewna do wypuszczenia gałązek z liśćmi. A jednak to się dzieje.
- Możesz tego nie widzieć ani nie słyszeć, ale to właśnie robię. Tyle że przedmioty nie rozumieją słów, a tylko plan, który powstaje w moim sercu.
- Dla mnie to tylko słowa.
- Bo nie nauczyłeś się jeszcze, jak to robić.
- Co znaczy, iżeś jest kiepskim nauczycielem.
- Podobnie jak Peggy, skoro ciągle mówisz „iżeś”.
- Różnica w tym, że wiem, jakich słów nie używać, gdy może mnie usłyszeć. Natomiast garnka nie załatam, niezależnie od tego, czy jesteś obok czy nie.
- Mógłbyś, gdybyś się przyłożył – powiedział Alvin.
- Chcę popłynąć na tym statku.

– Nawet jeśli przewozi niewolników? – spytał Alvin.

– Jeśli zostaniemy na brzegu, nie przestanie tego robić – zauważył Arthur.

– I ty nie jesteś idealistą...

– Popłyniesz na *Królowej Yazoo*, panie mój i władco, i będziesz mógł dopilnować, aby ci niewolnicy w dobrym stanie trafili z powrotem do piekła.

Szyderstwo w jego głosie było irytujące, ale całkiem na miejscu, uznał Alvin.

– Będę mógł – powiedział. – Małe błogosławieństwa to też coś, gdy brak innych.

– No to kup bilet, bo statek wypłynie pewnie z samego rana i powinniśmy być już wtedy na pokładzie, prawda?

Alwinowi nie spodobała się ta mieszanka beztroski i zapału u Arthura.

– Nie zamierzasz przypadkiem uwolnić tych biedaków podczas podróży? – spytał. – Musisz wiedzieć, że jeśli wyskoczą za burtę, to utoną, bo niewątpliwie żaden z nich nie umie pływać. Uwalnianie ich byłoby zwykłym morderstwem.

– Nie mam takiego planu.

– Musisz mi obiecać, że ich nie uwolnisz.

– Palcem nie kiwnę, żeby im pomóc – oznajmił Arthur. – Tak jak ty, gdy tylko zechcę, potrafię zmienić moje serce w głaz.

– Mam nadzieję, że wiesz, że takie gadanie nie sprawia mi radości. I chyba zdajesz sobie sprawę, że nie zasłużyłem na podobne epitety.

– Chcesz powiedzieć, że nie trzeba mieć serca z kamienia, aby widzieć coś podobnego i nic nie robić?

– Gdybym to potrafił, byłbym gorszym człowiekiem, ale szczęśliwszym – powiedział Alvin.

Potem podszedł do lady, gdzie płatnik *Królowej Yazoo* sprzedawał miejsca na rejs. Kupił sobie tani bilet aż do Nuevy Barcelony i drugi, według taryfy przewidzianej dla służących. Był zły na siebie za wygłoszone przy tej okazji kłamstwo, ale postarał się, jak mógł najlepiej, i płatnik niczego nie zauważył. Zresztą może wszyscy właściciele niewolników mieli sobie coś do zarzucenia i dlatego Alvin wiele się od nich pod tym względem nie różnił.

Nie dało się ukryć, że Alvin był tak podekscytowany podróżą, jak to tylko możliwe. Uwielbiał wszelką maszynierię, metalowe osie, tłoki i korbowody, gorący niczym w kuźni ogień i ściśniętą w kotle parę. Fascynowało go wielkie koło łopatkowe, które obracało się niemal

tak samo jak tamto, przy którym dorastał w młynie ojca, tyle że tym razem nie

woda obracała kołem, ale koło napierało na wodę. Z przyjemnością wyczuwał, jak stal napina się pod wpływem działających na nią sił, jak skręca się z lekka, ugina, kurczy, rozgrzewa i stygnie. Wysłał swój przenikacz, aby zbadać wszystko dokładnie, i niebawem znał maszynę statku równie dobrze jak własne ciało.

Inżynier pokładowy był dobrym człowiekiem, który dbał o swe królestwo najlepiej, jak umiał, ale pewnych rzeczy nie mógł wiedzieć. Nie dostrzegał drobnych pęknięć metalu, nie rozpoznawał miejsc poddanych nazbyt dużemu obciążeniu ani takich, które nie były wystarczająco smarowane, przez co tarcie dochodziło do wartości krytycznej. Gdy tylko Alvin zrozumiał, jak to wszystko powinno działać, zaczął uczyć metal sztuki samouzdrawiania. Pęknięcia zniknęły, a powierzchnie wygładziły się na tyle, że tarcie przestało być problemem. Nie minęły nawet dwie godziny od wypłynięcia z Carthage, a maszyna parowa stała się szczytem doskonałości. Alvin mógł już tylko spokojnie się przechadzać wraz z innymi po lekko drżącym pokładzie i podziwiać za pomocą przenikacza nieustanną, posuwisto-zwrotną pracę maszyny.

Niebawem jednak odszedł od niej w myślach i zaczął interesować się bardziej współpasażerami.

Ci najbardziej majątni tkwili w kabinach pierwszej klasy. Ich służący przebywali w specjalnych pomieszczeniach tuż obok, aby zawsze być pod ręką. Do kolejnej grupy zaliczali się ci, którzy chociaż nie śmierzdzieli groszem, to jednak mogli, podobnie jak Alvin, pozwolić sobie na kabinę drugiej klasy. W każdej z nich mieszkało czterech pasażerów, ich ewentualni służący zaś musieli spać pod pokładem tak samo jak załoga, tyle że w większym ścisisku. Nie wynikało to z braku miejsca na statku, ale z obawy, że gdyby załoga miała takie same warunki jak czarni, bez wątplenia zaczęłyby się buntować.

Na końcu znajdowali się pasażerowie trzeciej klasy, którzy nie mieli nawet prycz, a tylko ławy. Dla tych, którzy nie płynęli daleko, było to całkiem dobre rozwiązanie, ale wielu z tych biedaków czekała podróż o wiele dłuższa, do Thebes, Corinthu czy nawet Barcy. Jeśli pośladki zaczną ich boleć od twardego drewna, to trudno, nie będzie to pierwszy ból, jakiego zazną w życiu, ani też ostami.

Alvin poczuł się jednak w obowiązku zmienić kształt siedzisk na nieco wygodniejszy, co nie wymagało zresztą specjalnego wysiłku. Równie łatwo przyszło mu namówić wszy i pluskwy do skierowania się do kabin pierwszej klasy. Potraktował to jako program edukacyjny dla insektów, które też przecież powinny mieć możliwość poznania życia wyższych sfer. Krew bogacza na pewno smakuje takiemu stworzonku jak likier, pomyślał. Niech sobie zatem użyje, zanim jego krótkie życie dobiegnie końca.

Wszystko to zajęło Alwinowi dłuższą chwilę, ale oczywiście nie pochłonęło jego uwagi bez reszty. To byłoby niebezpieczne, skoro nadal miał wrogów gotowych go zabić. Musiał też

uważać na obcych, zanadto zaintrygowanych zawartością worka, który ciągle ze sobą nosi. Cały czas zerkał więc na płomień serc wszystkich osób na pokładzie i gdyby ktokolwiek bliżej się nim zainteresował, Alvin zaraz by się o tym dowiedział.

Tak przynajmniej powinno to wyglądać w teorii. W rzeczywistości wyszło inaczej. Choć nie wyczuł wkoło żadnego płomienia, nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu. Alvin omal nie wyskoczył z tego wszystkiego za burtę.

–Co, u diabła... Arthurze Stuarcie, nie podkradaj się tak do mnie.

–Inaczej się nie da przy hałasie, jaki robi ta maszyna – powiedział Arthur Stuart, ale uśmiechnął się przy tym szeroko niczym stary Davy Crockett. Wyraźnie był zadowolony z siebie.

–Dlaczego tym jedynym talentem, który zdecydowałeś się opanować, sprawiasz mi najwięcej przykrości? – spytał Alvin.

–Sądzę, że dobrze jest czasem wiedzieć, jak ukryć... płomień serca – odparł Arthur. Ostatnie słowa wymówił cicho, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał. Lepiej było nie budzić zainteresowania podobnymi tematami.

Alvin chętnie uczył wszystkich ludzi, którzy brali rzecz poważnie, ale też wolał unikać dociekliwych obcych, zwłaszcza że wielu z nich na pewno pamiętało opowieść o zbiegłym czeladniku kowalskim, który ukradł złoty pług. Nieważne, że była to historia w trzech czwartych zmyślona i w dziesięciu dziesiątych nieprawdziwa, tak czy owak mogła skusić kogoś do napaści na Alvina i rabunku. A byłoby co kraść, gdyż złoty pług istniał naprawdę i znajdował się w worku. Alvin wolałby go nie stracić, szczególnie po tym, jak przez pół życia nosił go ze sobą po całej Ameryce.

–Na tym statku nikt nie dostrzeże twojego płomienia serca oprócz mnie – powiedział Alvin. – Nauczyłeś się więc go ukrywać po to jedynie, by zniknąć z oczu osobie, przed którą nie powinieneś się nijak ukrywać.

–Wręcz przeciwnie – stwierdził Arthur Stuart. – Jeśli niewolnik winien się przed kimś kryć, to właśnie przed swoim panem.

Alvin zgromił go spojrzeniem. Arthur wyszczerzył zęby.

–Chętnie poznam kogoś, kto jest tak łaskawy dla swego sługi! – Ktoś zahuczał nagle w pobliżu.

Alvin obrócił się i ujrzał niewysokiego mężczyznę z szerokim uśmiechem na twarzy, którego ogólny wyraz sugerował, iż należy ona do osoby zwykle zadowolonej z siebie.

–Nazywam się Travis – powiedział jegomość. – William Barret Travis, prawnik urodzony, wychowany i wykształcony w Koloniach Korony. Obecnie zaś szukam ludzi, którym widziałaby się legalna praca tu właśnie, na rubieżach cywilizacji.

–Ludzie, którzy mieszkają po obu stronach Hio, mają się za wybitnie cywilizowanych – zauważył Alvin. – Ale owszem, nie byli w Camelocie i nie widzieli króla.

–Czy wydawało mi się, że nazwałeś swojego chłopaka „Arthurem Stuartem”?

–Ktoś zażartował sobie kiedyś, nadając mu to miano – wyjaśnił Alvin. – Uważam jednak, że całkiem do niego pasuje. – Przez cały czas Alvin zastanawiał się, czego może chcieć ten gość. Po co zagadnął kogoś tak ogorzałego, zwalistego i na pozór mało rozgarniętego?

Czuł, że Arthur Stuart ma wielką ochotę się odezwać, ale ostatnią rzeczą, której by teraz potrzebował, były kłopoty wynikłe z paru beztrosko wypowiedzianych słów. Złapał go więc mocno za ramię, wskutek czego jakby wydusił mu powietrze z płuc. Arthur tylko z cicha westchnął.

–Ale masz ramiona – powiedział Travis.

–Jak większość – odparł Alvin. – Dwa, dobrze dopasowane, po jednym na rękę.

–Już myślałem, że jesteś kowalem, ale kowale zawsze mają jedno ramię większe.

–Chyba że używają lewej ręki tak często jak prawej, żeby utrzymać proporcje.

Travis zachichotał.

–To wyjaśnia tajemnicę. Zatem jesteś jednak kowalem.

–Gdy mam miechy, węgiel, żelazo i dobry tygiel.

–Wydaje mi się, że nie nosisz tego wszystkiego w swoim worku.

–Proszę pana, byłem raz w Camelocie i nie sędzę, aby poruszanie po tak krótkiej znajomości podobnych tematów jak ramiona czy worek było przejawem dobrych manier – zauważył Alvin.

–Jasne, cały świat jest źle wychowany, tak bym powiedział. I przepraszam. Nie

chciałem urazić. Widzisz, zajmuję się rekrutacją, naborem ludzi z talentami, których potrzebujemy. Najchętniej takich, którzy nie znaleźli sobie jeszcze miejsca w życiu. Wędrujących, można by powiedzieć.

–Wielu wędruje – odparł Alvin. – Ale nie wszyscy są tymi, za których się podają.

–I dlatego zainteresowałem się tobą, przyjacielu – powiedział Travis. – Nikogo nie udawałeś, a na rzece takich jest niewielu. Sam wystawiłeś sobie dobrą rekomendację.

–Skoro tak mówisz, to chyba nie znasz rzeki. Tutaj takich jest wielu, ale boją się zdemaskować.

–Powiedziałaś „zdemaskować”, a nie „odstłonić” czy „ujawnić” Musiałaś kończyć szkoły.

–Nie aż tyle, aby kowal zmienił się w dżentelmena.

–Zajmuję się rekrutacją – powtórzył Travis. – Do wyprawy.

–I potrzebujecie akurat kowali?

–Silnych mężczyzn, którzy potrafią się posługiwać różnymi narzędziami.

–Ale ja już mam pracę – odparł Alvin. – I sprawę do załatwienia w Barcy.

–Nie chciałbyś więc zobaczyć nowych krain, należących jeszcze do krwiożerczych dzikich i czekających na przybycie chrześcijan, którzy przerwą składanie okropnych ofiar?

Alvina ogarnęły nagle złość i strach i jak zwykle, gdy mu się to zdarzało, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

–Domyślam się, że będziecie musieli w tym celu zebrać się na odwagę i przeprowić na drugą stronę rzeki – powiedział niezwykle spokojnym głosem. – Słyszałem, że czerwoni z tamtej strony mają bardzo dobry wzrok i nie gorszy słuch i tylko czekają na białych. Ich zdaniem biali to murowana wojna.

–Och, nie zrozumiałeś mnie, przyjacielu – wykrzyknął Travis. – Nie mówię o tych preriach, które przemierzali niegdyś traperzy i na które czerwoni nie wpuszczają teraz żadnego białego.

–Jakich więc dzikich miałeś na myśli?

–Tych z południa, przyjacielu. Z południa i zachodu. Meksykańskie plemiona dzikusów. Tych, co budują zigguraty i odprawiają na ich szczytach dzikie obrzędy, podczas których wrywają ludziom serca. Na żywca.

–Zaiste, daleka wyprawa – powiedział Alvin. – I niemądra. Na prawdę myślicie, że paru Anglików z prawnikiem na czele dokona tego, z czym nie poradziła sobie potęga Hiszpanii?

Travis opierał się o reling obok Alvina i też wbijał spojrzenie w wodę.

–Plemiona Mexica dotknął rak rozkładu. Czerwoni pod ich jarzmem szczerze ich nienawidzą. Na dodatek uzależnili się od Hiszpanii przez handel używaną bronią. Dojrzeli do podboju,

tyle powiem. Poza tym niby jak wielką armię zdołają wystawić, skoro przez wieki co rusz zabijali kogoś na tych swoich ołtarzach?

–Tylko głupiec dąży do wojny, jeśli nie musi walczyć.

–Tak, całe stado głupców, którzy chcą zostać bogaczami jak Pizarro. Zaledwie z garstką ludzi podbił cały wielki kraj Inków.

–Bogaczami jak Pizarro albo trupami jak Cortes?

–Teraz obaj już są trupami – mruknął Travis. – Myślisz, że ktoś żyje wiecznie?

Alvin był rozdarty między pragnieniem oznajmienia temu gościowi, żeby zaczął molestować kogo innego, a wciągnięciem go w rozmowę w celu lepszego poznania tych dziwnych planów. Pomyślał jednak, że na dłuższą metę może to być zbyt męcząca

znajomość.

–Jak na razie marnuje pan czas, panie Travis. Inni będą pewnie bardziej zainteresowani niż ja, bo mnie pańska propozycja zupełnie nie ciekawi.

Travis uśmiechnął się jak najszerzej, ale Alvin ujrzał, jak jego płomień serca rozbłyska i pulsuje niespokojnie. Ten człowiek nie cierpiał, gdy mu odmawiano, ale maskował to uśmiechem.

–Ale i tak miło było poznać – powiedział Travis, wyciągając dłoń.

–Bez urazy – odparł Alvin. – Dziękuję, że uznał mnie pan za kogoś, kogo chciałby widzieć u swojego boku.

–W rzeczy samej, bez urazy – powtórzył Travis. – Nie będę już cię niepokoił, ale gdybyś zmienił zdanie, przyjmę cię z otwartym sercem.

Uścisnęli dłonie, pokleпали się po ramionach i Travis odszedł, nie oglądając się za siebie.

–Proszę, proszę – odezwał się Arthur Stuart. – Założysz się, że nie chodzi im ani o wojnę, ani o podbój, tylko o zwykły wyjazd dla zdobycia choć małej części złota Meksyku?

–Trudno powiedzieć. Mówił zbyt otwarcie jak na kogoś planującego coś zakazanego przez króla i Kongres. Gdyby go złapali, nie mógłby liczyć na pobłażliwość ani w Koloniach Korony, ani w Stanach Zjednoczonych.

–Och, nie wiem. Prawo prawem, ale co by było, gdyby król Artur doszedł do wniosku, że przydałyby mu się nowe ziemie i nowi niewolnicy? I znalazł sposób, żeby zdobyć jedno i drugie, nie wywołując wojny ze Stanami?

–Jest w tym trochę sensu.

–Nawet więcej, jak sądzę – powiedział Arthur.

–Dobrze ci robią wędrówki w moim towarzystwie. W końcu zaczynasz nabierać rozumu.

–Sam dawno już na to wpadłem.

Zamiast odpowiedzieć, Alvin wyciągnął z kieszeni list i podał go chłopcu.

–To od pani Peggy – stwierdził Arthur i przebiegł pismo wzrokiem. – Nie mów mi tylko, że spodziewałeś się tego gościa na statku.

–W żadnym razie. Sądziłem, że moje śledztwo rozpocznie się dopiero w Barcelonie. Ale teraz wiem już, kogo tam szukać.

–W liście jest mowa o jakimś Austinie.

–Który na pewno ma podwładnych. Ludzi krążących tu i tam i werbujących żołnierzy do przyszłej armii.

–I jeden z nich właśnie trafił na ciebie.

–Słyszał, jak się do mnie odzywałeś, i pomyślał, że skoro pozwalam na tak wiele niewolnikowi, to kiepski ze mnie pan i pewnie łatwo dam się zagadać.

Arthur Stuart złożył list i oddał go Alwinowi.

–Zatem król szykuje jednak inwazję na Meksyk. I co z tego?

–Jeśli ruszy na plemiona Mexica, zostawi z konieczności wolne stany w spokoju, nieprawdaż? – odparł Alvin.

–Może więc niewolnicze stany nie będą skłonne podejmować walki?

–Ale wojna z Meksykiem kiedyś się skończy. Jeśli do niej w ogóle dojdzie. A gdy się skończy, to król albo przegra, wskutek czego będzie rozsierdzony, zhańbiony i gotowy na wszystko, albo wygra, wskutek czego będzie tak bogaty, że da radę kupić całą flotę, jeśli ino zechce.

–Pani Peggy nie byłaby zachwycona, słysząc, jak mówisz.

–Wojna to zła rzecz, gdy napada się na kogoś, kto nigdy cię nie skrzywdził. Ani nie zamierzał tego zrobić.

–Ale chyba dobrze byłoby skończyć to składanie ludzi w ofierze?

–Myślę, że gdy czerwoni modlą się o wyzwolenie od plemion meksykańskich, nie tęsknią za nowymi panami. Szczególnie za takimi, którzy uczynią z nich niewolników.

–Ale chyba niewola jest lepsza niż śmierć?

–Twoja matka tak nie uważała. Skończmy już tę rozmowę. Robi mi się od tego smutno.

–Od myśli o składaniu ludzi w ofierze czy o niewolnictwie?

–Nie. Od tego, że pozwalasz sobie na takie porównania – powiedział Alvin i przygnębiony poszedł do kabiny. Na razie miał ją tylko dla siebie, położył więc złoty pług na koi i zwinął się wokół niego, aby się zdrzemnąć. Miał nadzieję, że dojrzy coś więcej i zrozumie we śnie, dlaczego Travis tak śmiało mówił o całym planie. I dlaczego Arthur Stuart był ślepy na pewne rzeczy, chociaż sporo osób zdobyło się na niejedno poświęcenie, aby tylko mógł pozostać wolny.

Drugiego pasażera dokooptowano Alwinowi do kabiny dopiero w Thebes. Zszedł na ląd, żeby obejrzeć miasto, które dumnie nazywano największym miastem nad amerykańskim Nilem, a gdy wrócił, na jego koi ktoś spał.

Było to irytujące, ale zrozumiałe. Chodziło o najlepszą koję w kabinie – na samym dole i po tej stronie, która zapewniała ciepły blask słońca w chłodne ranki, a oszczędzała skwaru popołudnia. Poza tym Alvin nie zostawił w kabinie nic, co by świadczyło, że w niej mieszka. Worek wziął ze sobą, a z nim wszystko, co miał na tym padole. Oczywiście poza dzieckiem, które jego żona nosiła w łonie, tak samo zresztą jak on taskał wszędzie ze sobą złoty pług.

Tak więc Alvin nie obudził gościa. Obrócił się na pięcie i wyszedł poszukać Arthura Stuarta albo spokojnego kąta, gdzie mógłby zjeść przyniesioną z lądu kolację. Arthur nie chciał schodzić z pokładu, co Alwinowi nie wadziło, ale nie powinien tak zniknąć z oczu. Wszyscy wiedzieli, że odgwizdano już sygnał do wypłynięcia, i Arthur powinien czekać na Alvina. A jednak nie czekał.

Nie żeby Alvin nie wiedział, gdzie jest jego przyjaciel. Zwykle udawało mu się wypatrzyć płomień serca Arthura i był prawie pewien, że ten nie zdołałby się przed nim ukryć, gdyby chodziło o coś bardzo ważnego. Teraz odkrył jego obecność pod pokładem, w pomieszczeniach dla niewolników, gdzie nikogo nie obchodziło, kim jest ten chłopak ani gdzie jest jego pan. Co tam robił, to całkiem inna sprawa.

Ledwie Alvin wyjął z worka chleb z kukurydzianej mąki, ser i jabłecznik, wyczuł, jak Arthur rusza się z miejsca i zmierza na pokład. Nie po raz pierwszy Alvin zastanowił się, do jakiego stopnia Arthur naprawdę rozumie stwarzanie.

Arthur Stuart nie był z natury skłonny do kłamstwa, ale potrafił zachowywać wiele dla siebie. Może nie wyjawiał tak naprawdę Alwinowi, ile dotąd się nauczył? Może wychodził na

górze właśnie teraz, bo wiedział, że Alvin wrócił z miasta i zamierza się posilić?

Oczywiście Alvin ledwo zdążył wgryźć się w chleb i ser, gdy Arthur opadł na ławę obok niego. Alvin mógłby skorzystać z jadalni, ale tam „sługa” nie mógł usiąść obok pana, na pokładzie zaś nikogo to nie obchodziło. Możliwe, że wyglądał tym samym na kogoś z nizin, w każdym razie w oczach właścicieli niewolników, ale Alvina nie obchodziło, co myślą o nim właściciele niewolników.

–I jak? – spytał Arthur.

–Chleb mają tu dobry.

–Rany, nie pytam o chleb!

–Ser też jest niezły, chociaż robią go z mleka najbardziej chudych, brudnych, paskudnych, chorych, niedowidzących, kościstych i wystraszonych krów, jakie kiedykolwiek wybierały się na tamten świat.

–O ile dobrze cię zrozumiałem, mleczarstwo nie jest ich mocną stroną.

–Gorzej. Jeśli Thebes ma być największym miastem nad amerykańskim Nilem, powinni czym prędzej wziąć się do osuszania okolicznych bagien. Hio i Mizzippy łączą tu swoje koryta, ponieważ teren jest nisko położony. Niskie położenie oznacza zalewiska i częste powodzie. Nie trzeba być uczonym, żeby na to wpaść.

–Swoją drogą nigdy nie słyszałem o uczonym, który potrafiłby odróżnić nizinę od wyżyny.

–Wiesz, Arthurze, uczeni nie muszą reprezentować poziomu mułu i wodorostów w kwestii... mułu właśnie.

–Rozumiem. Żyje gdzieś taki uczyony, który szanuje zarówno księgi, jak i rozum. Tyle że nie przybył jeszcze do Ameryki.

–Czego dowodem jest fakt, że wybudowano to miasto pośrodku bagnisk.

Zachichotali obaj i napchali do ust tyle, że rozmowa musiała ustać.

Gdy całe jedzenie zniknęło, a Arthur zjadł więcej niż połowę zapasu i wyglądało na to, że chętnie jeszcze by coś przekąsił, Alvin spytał go niby od niechcienia:

–Co takiego ciekawego znalazłeś na dole, na pokładzie służących?

–To znaczy niewolników?

–Staram się mówić jak ktoś, kto sam posiada niewolnika – wyjaśnił spokojnie Alvin. – A ty powinieneś wyrażać się jak czyjaś własność. Inaczej lepiej nie ruszaj ze mną na południe.

–Chciałem ustalić, jakim językiem mówi ta gromada uciekinierów.

–I?

–Nie jest to francuski, co wiem od jednego Cajuna. Nie jest to też hiszpański, co wiem z kolei od gościa, który wychował się na Kubie. Nikt nie wie, po jakiemu oni mówią.

–No to przynajmniej wiemy, kim oni nie są.

–Dowiedziałem się czegoś więcej – powiedział Arthur.

–Zamieniam się w słuch.

–Ten gość z Kuby wziął mnie na bok i szepnął: Powiem ci coś, chłopcze, chyba słyszałem już wcześniej te mowę. Spytałem go, co to za język, a on powiedział, że tak se myśli, to wcale nie są zbiegowie.

–Dlaczego tak sądzi? – spytał Alvin, odnotowując, jak zgrabnie Arthur oddał słowa i akcent rozmówcy. Kiedyś potrafił powtórzyć wiernie każdy usłyszany dźwięk, nie tylko ludzką mowę. Idealnie odtwarzał śpiew ptaków i odgłosy zwierząt, płacz dziecka, szum wiatru wśród drzew i skrzypienie butów. Potem jednak Alvin przemienił go wewnątrz tak, aby Odszukiwacze nie mogli go rozpoznać. Musiał w tym celu sięgnąć do najdrobniejszych, ukrytych cząstek ciała Arthura. Był to okrutny czyn, szczególnie wobec dziecka, jednak pozwolił mu zachować wolność. Nie było zatem nad czym się rozczulać, chociaż szkoda, że Arthur stracił swój talent.

–Powiedział, że słyszał takie gadki kiedyś, dawno temu, gdy był u massuha, co jeździł do Meksyku.

Alvin pokiwał mądrze głową, chociaż nie miał pojęcia, co to może znaczyć.

–Spytałem go, jak to się stało, że czarni zaczęli mówić narzeczaniami Mexica, a on odpowiedział, że w Meksyku żyje cała masa czarnych.

–To całkiem możliwe – powiedział Alvin. – Mexica wyrzucili Hiszpanów z pięćdziesiąt lat temu. Zainspirował ich chyba Tom Jefferson, uwalniając Cherricky od króla. Wcześniej Hiszpanie musieli sprowadzić do Meksyku bardzo wielu niewolników.

–Jasne – mruknął Arthur Stuart. – Ale zaciekało mnie, jak to jest, że skoro Mexica składają tyle ofiar, nie biorą do tego w pierwszej kolejności Afrykanów? On odparł, że czarni są brudni i Mexica nie mogą ich ugotować dla swojego boga. A potem długo się śmiał.

–Wygląda na to, że czasem można skorzystać z tego, że ktoś ma cię za nieczystego.

–Słyszałem wielu kaznodziejów, którzy głosili, że wobec Boga wszyscy ludzie są nieczyści.

–Arthurze, to oczywiste, że nie mówisz prawdy. Nie przypominam sobie, abyś nadstawiał kiedykolwiek ucha na głos wielu kaznodziejów.

–Dobrze, słyszałem, że wielu kaznodziejów tak uważa. Co wyjaśnia, dlaczego nasz Bóg nie domaga się podobnych ofiar. Nikt z nas nie jest godzien, biały czy czarny.

–Nie sądzę, aby oddawało to poglądy Boga na to, jakie są jego dzieci – powiedział Alvin. – Ty chyba też tak myślisz.

–Myślę, co myślę – rzucił Arthur. – Nie zawsze to samo co ty.

–Cieszę się, że w ogóle myślisz.

–Dla rozrywki. Nie zamierzam zajmować się tym zawodowo.

Alvin zachichotał i Arthur spojrział nań z satysfakcją.

–Zatem mamy tu dwudziestu pięciu niewolników, którzy należeli do Mexica – zastanawiał się głośno Alvin. – Tyle że teraz płyną w dół Mizzippy na tym samym statku, którym podróżuje werbownik szukający żołnierzy na wyprawę przeciwko Meksykowi. Zaiste cudowny zbieg okoliczności.

–Przewodnicy? – spytał Arthur.

–Całkiem możliwe. Być może noszą łańcuchy z tego samego powodu, dla którego ty udajesz niewolnika. Aby wszystkich zwieść.

–Chyba że ktoś jest tak głupi, że myśli, że skuci niewolnicy będą dobrymi przewodnikami w nie znanym kraju.

–Przypuszczasz, że mogą nie być skłonni do współpracy?

–Kto wie, czy śmierć z głodu pośrodku pustyni nie wydaje im się taka zła. Zabraliby w ten sposób nieco białych poganiaczy ze sobą.

Alvin pokiwał głową. Chłopiec zrozumiał, że niewolnicy mogą czasem dobrowolnie wybrać śmierć.

–Niemniej nie mówię językiem Mexica. Ty też nie.

–Na razie.

–Nie wiem też, jak się go nauczyć. Nie dopuszczają do nich nikogo.

–Na razie – powtórzył Arthur Stuart.

–Mam nadzieję, że nie kombinujesz niczego niemądrego, o czym nie zamierzasz mi powiedzieć.

–Mogę ci o wszystkim powiedzieć, czemu nie. Już załapałem się na kolejkę karmienia zbiegów i wynoszenia kibla. Tuż przed świtem, kiedy nikomu nic się nie chce.

–Ale pilnują ich dzień i noc. Jak uda ci się z nimi porozmawiać?

–Nie przesadzaj, Alvinie. Przynajmniej jeden musi znać angielski, bo inaczej nikogo nigdzie nie doprowadzą.

–Angielski albo hiszpański, znany też komuś z poganiaczy. Pomyślałeś o takiej możliwości?

–Dlatego właśnie poprosiłem tego z Kuby, aby nauczył mnie hiszpańskiego.

To było to.

–Nie było mnie tylko sześć godzin, Arthurze.

–No, raczej nie jest to biegła znajomość.

Alvin raz jeszcze zastanowił się, czy przypadkiem Arthur nie zachował z dawnego talentu więcej, niż skłonny był przyznawać. Nauka nowego języka w sześć godzin? Oczywiście nie było gwarancji, że kubański niewolnik sam dobrze zna hiszpański albo zna go lepiej niż angielski. Ale może jednak Arthur miał talent do języków? Może tak naprawdę nie naśladował nigdy niczego, ale opanowywał nową mowę? Były takie talenty, pojawiali się ludzie, którzy usłyszawszy kogoś obcego, zaczęli mówić jego językiem, jakby władali nim od dziecka.

Czy Arthur Stuart miał taki właśnie talent? Może teraz, gdy stawał się mężczyzną, zaczynał nad nim panować? Alvin poczuł ukłucie zazdrości i zaśmiał się z siebie. Też pomyśl, z twoimi talentami nie masz powodu komukolwiek zazdrościć, pomyślał. Mogę sprawić, że kamień będzie płynąć jak woda, a woda stwardnieje niczym stal i stanie się przezroczysta jak szkło. Umiem zmienić żelazo w żywe złoto, a jestem zazdrosny, bo nie potrafię opanować obcego języka równie łatwo, jak kot uczy się spadać na cztery łapy? To grzech niewdzięczności, jeden z wielu grzechów, za które wyślą mnie w końcu do piekła.

–Z czego się śmiejesz? – spytał Arthur.

–Dotarło do mnie, że nie jesteś już małym chłopcem. Ale mam nadzieję, że w razie kłopotów – gdyby na przykład ktoś przyłapał cię na rozmowie z niewolnikami i zaczął batożyć – dasz mi jakoś znać, że potrzebujesz pomocy?

–Jasne. Z drugiej strony, gdyby ten nożownik, który śpi w twoim łóżku, zaczął sprawiać kłopoty, przekażesz mi jakoś, co wyryć na twoim nagrobku? – spytał z uśmiechem Arthur Stuart.

–Nożownik?

–Tak mówią na dole. Ale na pewno sam go wypytasz po swojemu i wszystko ci opowie. Zwykle tak robisz, prawda?

Alvin przytaknął.

–Pewnie od razu przejdę z nim do rzeczy.

–Jak dotąd udawało ci się przy tym nie zginąć.

–Mam całkiem dobrą średnią – odparł skromnie Alvin.

–Ale nie zawsze dowiadujesz się tego, czego chcesz.

–Jednak zawsze jest to coś użytecznego. Na przykład jak łatwo jest niektórych rozdrażnić.

–Gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że to właśnie jest twój talent.

–Drażnienie ludzi?

–Niektórzy dostają piany na pysku, ledwie tylko się przywitasz – powiedział Arthur Stuart.

–Na ciebie zaś nigdy nikt się nie wścieka.

–Jestem dość sympatycznym gościem.

–Nie zawsze – stwierdził Alvin. – Potrafisz być niekiedy irytujący z tą pewnością siebie.

–Nie dla przyjaciół – uśmiechnął się Arthur.

–Nie. Ale rodzina wychodzi z siebie.

Nim Alvin dotarł do kabiny, „nożownik” obudził się już i gdzieś poszedł. Alvin rozważał, czy nie położyć się na tej samej koi, którą przecież zajął jako pierwszy, ale uznał, że to zapewne spowodowałoby awanturę, a aż tak mu nie zależało. Był zadowolony, że w ogóle ma gdzie spać, a przy czterech kojach na dwóch nie było sensu prowokować nikogo do sprzeczki o pierwszeństwo.

Odpywając w sen, jak zwykle sięgnął ku Peggy. Dojrzał płomień jej serca i upewnił się, że wszystko jest w porządku. Potem sprawdził bicie serca rosnącego w jej łonie dziecka. Ta ciąża miała się zakończyć inaczej niż pierwsza, kiedy to dziecko urodziło się przedwcześnie

i nie mogło samodzielnie oddychać. Nie będzie powtórki z tamtych strasznych minut, kiedy życie maleństwa gasło z chwili na chwilę, kiedy jego ciało siniało i umierało w jego ramionach, chociaż on rozpaczliwie szukał w środku tego, co należy naprawić. Cóż z tego, że jest się siódmym synem siódmego syna, jeśli nie potrafi się pomóc własnemu pierworodnemu?

Przez pierwsze tygodnie po tragedii byli sobie bardzo bliscy, ale potem Peggy zaczęła się od niego odsuwać, unikać go, aż w końcu zrozumiał, że robi, co może, aby nie dopuścić do pojawienia się kolejnego dziecka. Odbił z nią wtedy rozmowę. Oznajmił, że nie ma przed czym uciekać, wiele rodzin traci dzieci, czasem nawet podrośnięte, ale mimo to należy próbować ponownie, do skutku, aby znaleźć ukojenie, za każdym razem gdy się pomyśli o małym ciałku spoczywającym głęboko w ziemi.

–Dorastałam, mając przed oczami dwa takie groby – odparła. – Wiedziałam, że zawsze gdy moi rodzice na mnie patrzyli, widzieli dwie siostry, które odeszły. Obie otrzymały takie samo imię jak ja.

–Owszem, ale ty byłaś żagwią i wiedziałaś więcej, niż dzieci powinny wiedzieć o takich sprawach. Nasze dziecko najprawdopodobniej żagwią nie będzie. Będzie tylko czuło, jak je kochamy i jak bardzo go pragnęliśmy.

Nie był pewien, czy udało mu się ją przekonać, czy też może zdecydowała się na kolejną próbę tylko ze względu na niego. Przez całą ciężę, tak jak poprzednio, jeździła po całym kraju, działając na rzecz abolicji w nadziei, że uda się coś wywalczyć bez wojny. Alvin tymczasem przebywał w Wigor Kościele albo Hatrack River i nauczał podstaw stwarzania.

W końcu znalazła jednak dla niego zadanie i wysłała go statkiem w dół rzeki do Nuevy Barcelony, chociaż najbardziej ze wszystkiego pragnął zostać razem z nią w domu, gdzie najlepiej mógłby się o nią troszczyć.

Oczywiście, skoro była żagwią, wiedziała świetnie, czego Alvin pragnie, tutaj nie było miejsca na sekrety. Widocznie więc bardziej potrzebowała samotności, niż on potrzebował jej towarzystwa. Potrafił się z tym pogodzić.

Niemniej i tak szukał jej zawsze przed zapadnięciem w sen i usypiał z płomieniami serca Peggy i dziecka przed oczami.

Gdy się obudził, było ciemno, ale wiedział, że coś jest nie tak. Obok siebie wyczuł cudzy płomień serca, potem usłyszał cichy oddech kogoś, kto skradał się ku jego koi. Sięgnął przenikaczem i odkrył, że nieznajomy wysuwa właśnie rękę w kierunku worka, który Alvin trzyma pod pachą.

Rabunek? Na pokładzie płynącego rzeką statku takie pomysły rzadko się opłacały. Chyba że mężczyzna pływał na tyle dobrze, aby dotrzeć do brzegu z brzemiem złotego pługa.

Napastnik miał nóż za pasem. Nie wyciągnął go, czyli nie spodziewał się kłopotów.

Alvin odezwał się więc możliwie jak najspokojniej:

–Jeśli szukasz jedzenia, jest w szafce po przeciwnej stronie kabiny.

Serce mężczyzny głośno załomotało. Odruchowo sięgnął po nóż.

Był naprawdę szybki i Alvin pojął, że nie ma znaczenia, czy trzyma broń w ręku czy za pasem. Ostatecznie wychodziło na to samo.

Jednak po chwili napastnik się opanował. Bez wątpienia pomyślał, że przecież w tych ciemnościach Alvin nie widzi lepiej niż on.

–Chrapałeś – powiedział. – Chciałem przewrócić cię na bok.

Alvin wiedział, że to kłamstwo. Gdy Peggy wspomniała wiele lat temu o jego chrapaniu, dokładnie zbadał, dlaczego ludzie chrapią, i tak zmienił swoje podniebienie, aby więcej nie hałasować po nocy. Zgodnie ze swoimi zasadami nie posługiwał się swoim talentem dla własnej korzyści, ale uznał wyleczenie z chrapania za dar dla innych ludzi. On przecież nigdy przez sen nic nie słyszał. Mimo to udał, że wierzy mężczyźnie.

–Dzięki – powiedział. – Sypiam jednak bardzo lekko i wystarczy mi powiedziec „obróć się”, a to zrobię. W każdym razie żona tak mówi.

Ośmielony tym obcy poruszył temat, który tak go interesował.

–Wiesz, tak do siebie tulisz ten worek, że aż można się zaciekawić, co wartościowego w nim trzymasz.

–To na wszelki wypadek. Przekonałem się już, że gdy go nie tulę, znajdzie się w końcu ktoś gotowy wziąć go sobie po ciemku i bez pytania, aby sprawdzić, co jest w środku.

Mężczyzna zachichotał.

–Domyślam się więc, że nie zamierzasz mi nic powiedzieć.

–Zawsze odpowiadam na uprzejmie zadane pytania – stwierdził Alvin.

–Ale pytanie, co masz w worku, nie należałoby do uprzejmych. Rozumiem, że na takie pytania nie odpowiadasz w ogóle.

–Miło mi poznać kogoś, kto wie, na czym polegają dobre maniery.

–Dobre maniery i nóż, który się nie łamie, to dwie rzeczy pozwalające mi utrzymać pokojowe kontakty ze światem.

–Mnie wystarczają dobre maniery – powiedział Alvin. – Co więcej, bardziej podobały mi się twój nóż za czasów, gdy był jeszcze pilnikiem.

Mężczyzna skoczył w kierunku drzwi. Nóż trzymał już w dłoni.

–Kim jesteś i co o mnie wiesz?

–Nic o tobie nie wiem – odparł Alvin. – Jestem kowalem i poznam pilnik przerobiony na nóż. Łatwiej niż miecz, jeśli o to chodzi.

–Nie wyciągałem noża na pokładzie.

–Miło mi to słyszeć. Jednak gdy byłem tu poprzednio i spałeś, było jeszcze dość jasno, abym mógł zobaczyć kształt i rozmiar pochwy z nożem. Nikt nie robi noży tak grubych przy podstawie, za to proporcje pasowały idealnie do pilnika.

–Nie mogłeś poznać aż tyle, tylko się przypatrując. Słyszałeś coś. Ktoś się wygadał.

–Ludzie zawsze coś mówią, ale tym razem akurat nic o tobie. Znam mój fach nie gorzej niż ty swój. Nazywam się Alvin.

–Alvin Smith, co?

–Mam to szczęście, że noszę również nazwisko. Skłonny jestem przypuszczać, że ty też.

Mężczyzna zachichotał i schował nóż.

–Jim Bowie.

–Nie brzmi to jak nazwa fachu.

–To szkockie słowo. Oznacza „jasnowłosego”.

–Masz ciemne włosy.

–Ale pierwszy Bowie był zapewne jasnowłosym wikingiem, który tak polubił gwałcenie i łupienie ludu Szkocji, że tam został.

–A jeden z jego potomków poczuł zew krwi i ruszył za morze.

–Jestem od stóp do głów wikingiem – odparł Bowie. – Masz rację co do noża. Byłem kilka lat temu pod Natchez świadkiem pojedynku. Akurat w kuźni. Obaj chybili i sprawy wymknęły się spod kontroli, pewnie wszyscy czekali na krew i nie chcieli odejść rozczarowani. Jeden gość przestrzelił mi nogę, pomyślałem więc, że lepiej będzie się Wynieść, gdy nagle zobaczyłem majora Norrisa Wrighta, który dopadł chłopca, o połowę mniejszego od niego, i nie wytrzymałem. Chociaż krwawiłem jak zarzynana świnia, złapałem za pilnik z kuźni i

gładko przebiłem mu serce.

–Musisz być silnym mężczyzną, skoro ci się udało.

–Nawet więcej. Nie trafiłem między żebra, tylko przebiłem się przez żebro. My, wikingowie, w szale bitewnym jesteśmy prawdziwymi mocarzami.

–Czy dobrze się domyślam, że potem przerobiłeś ten właśnie pilnik na nóż?

–Pewien szlifierz w Filadelfii zrobił to dla mnie.

–Tylko szlifując, bez kucia?

–Dokładnie.

–Ten nóż przynosi ci szczęście.

–Jak dotąd żyję.

–Faktycznie potrzebujesz dużo szczęścia, skoro masz w zwyczaju wykradać śpiącym ich worki.

Uśmiech zniknął z twarzy Bowiego.

–Nic nie poradzę, że jestem ciekawy.

–Och, wiem, to i moja wada.

–Teraz twoja kolej – powiedział Bowie.

–Na co?

–Abyś opowiedział o sobie.

–Ja? Cóż, mam tylko zwykły nóż, ale sprawdził się nieźle na pustkowiach.

–Wiesz, że nie o to pytam.

–Ale o tym właśnie mówię.

–Opowiedziałem ci o moim nożu, opowiedz mi więc o swoim worku.

–Wszystkim opowiadasz o swoim nożu, dzięki czemu rzadko musisz go wyciągać – stwierdził Alvin. – Ale ja nie opowiadam o moim worku nikomu.

–To tylko podsycza ciekawość. Może nawet budzić pewne podejrzenia.

–Niekiedy dochodzi do tego – przyznał Alvin. Usiadł, opuścił nogi na podłogę i wstał. Zmierzył już Bowiego spojrzeniem i wiedział, że jest przynajmniej cztery cale od niego wyższy, a dzięki pracy kowala jest też szerszy w ramionach. – Uśmiecham się jednak wtedy tak serdecznie, że podejrzenia znikają.

Bowie roześmiał się głośno.

–Jesteś rosty jak trzeba! I nikogo się nie boisz.

–Boję się bardzo wielu ludzi – powiedział Alvin. – Zwłaszcza takich, którzy potrafią wbić pilnik prosto w serce.

Bowie pokiwał głową.

–Ciekawe. Wielu się mnie boi, ale im bardziej się boją, tym mniej są skłonni przyznać to otwarcie. Po prawdzie ty pierwszy powiedziałeś, że się mnie boisz. A czego

boisz się najbardziej? Albo najmniej?

–Powiem ci tyle. Trzymaj ręce z dala od mojego worka, a nigdy nie będziemy musieli tego sprawdzać.

Bowie znów się roześmiał, ale tym razem jego śmiech przypominał prychnanie żbika.

–Lubię cię, Alvinie Smisie.

–Miło mi słyszeć.

–Znam kogoś, kto szuka takich jak ty.

Zatem Bowie należał do grupy Trávisa.

–Jeśli mówisz o panu Travisie, to już się poznaliśmy i doszliśmy do wniosku, że każdy z nas pójdzie swoją drogą.

–Aha – mruknął Bowie.

–Dołączyłeś do niego w Thebes?

–Mogę opowiadać o moim nożu, ale nie o interesach.

–Zależy, kto w czym ma interes. Bo ja na przykład najchętniej położyłbym się znowu spać i wrócił do tego snu, z którego mnie wyrwałeś, abym przestał chrapać.

–To dobry pomysł – zgodził się Bowie. – A ponieważ przez twoje chrapanie w ogóle oka nie zmrużyłem, pewnie też się prześpię, zanim słońce wstanie.

Alvin położył się i zwinął w kłębek wokół worka. Leżał plecami do Bowiego, ale oczywiście użył przenikacza, aby dokładnie wiedzieć, co robi jego współpasażer. Mężczyzna przez dłuższy czas stał i obserwował Alvina, a po biciu serca i szumie krwi można było poznać, że coś go gryzie. Czy był zły, czy może się bał? Trudno orzec coś takiego, nie widząc twarzy. A i widząc, nie zawsze się zgadnie. Jednak płomień jego serca płonął jasno i Alvin stwierdził, że mężczyzna zastanawia się, co zrobić z kłopotliwym towarzyszem.

Tak pobudzony nie będzie miał szansy rychło zasnąć, pomyślał Alvin. Sięgnął więc do Bowiego i powoli go uspokoił. Zwolnił bicie jego serca, wyrównał oddech. Ludziom się wydaje, że to emocje powodują zmiany w ciele, ale Alvin wiedział, że jest odwrotnie. Ciało reaguje po swojemu, a emocje są skutkiem tych zmian.

Kilka minut później Bowie ziewnął odprężony. Niebawem zasnął. Z nożem przy pasie i z dłonią niedaleko noża.

Travis zaiste dobrał sobie ciekawych przyjaciół.

Arthur Stuart był zdecydowanie zbyt pewny siebie. Niemniej kiedy o tym się wie, zawsze można taką pewność zrównoważyć dodatkową dozą ostrożności, nieprawdaż? Tyle że pewność siebie oznacza zazwyczaj mylną ocenę własnego bezpieczeństwa.

Peggy nazywała takie rozumowanie „błędnym kołem”, które nie mogło doprowadzić do niczego dobrego. Naprawdę niczego. Tak mówiła. Ile razy Arthur przypominał sobie o Peggy, zawsze zaczynał zwracać uwagę na swój sposób wypowiedzania się i zaraz odkrywał różne błędy. Tylko co mogła mu przynieść troska o poprawność języka? Zostanie pół-Murzynem przemawiającym niczym dżentelmen. Będą na niego patrzeć jak na tresowaną małpę. Jak na psa chodzącego na tylnych łapach. Na pewno nie ujrzą w nim prawdziwego dżentelmena.

Chyba dlatego był tak pewny siebie, wręcz zaczepny. Ciągle chciał czegoś dowieść. Chociaż akurat nie Alwinowi.

Nie, właśnie Alwinowi, który nadal traktował go jak chłopca, chociaż Arthur był już mężczyzną. Traktował go jak syna, ale Arthur nie był jego synem.

Takie myśli też oczywiście nie prowadziły do niczego dobrego. Zwłaszcza gdy przyszło mu wziąć kubek z nieczystościami i ruszyć z nim powoli przed siebie. Powoli i leniwie, aby móc sprawdzić, czy któryś z niewolników mówi po hiszpańsku albo angielsku.

–*Quien me comprende?* - wyszeptał. – Kto mnie rozumie?

–*Todos te comprendemos, pero calle la boca* - szepnął trzeci mężczyzna w rzędzie. Wszyscy cię rozumiemy, ale zamknij się. – *Los blancos piensan que hay solo uno que hable un poco de ingles.*

Mówił chętnie, ale bardzo szybko i z całkiem innym akcentem niż Kubańczyk. Jednak gdy Arthur złapał melodię języka, rozumiał słowa bez specjalnego trudu. Okazało się, że wszyscy mówią po hiszpańsku i udają, iż tylko jeden z nich duka nieco po angielsku.

–*Ouieren fugir de ser esclavos?* - Czy chcecie uciec z niewoli?

–*La unica puerta es la muerta.* - Jediną drogą jest śmierć.

–*Al otro lado del rio* - zaczął Arthur – *hay rojos que son amigos nuestros.* - Po drugiej stronie rzeki żyją czerwoni, którzy są naszymi przyjaciółmi.

–*Sus amigos no son muesteros* - odparł mężczyzna. Twoi przyjaciele nie są naszymi.

Ktoś obok pokiwał potakująco głową.

–*Y ya no puedo nadar.* - A ja i tak nie umiem pływać.

–*Los blancos, que van a hacer?* - Co zamierzają biali?

–*Piengan en ser conquistadores.* - Wyraźnie nie przejmowali się za bardzo planami swoich panów. – *Los Mexicanos van comer sus corazones.* - Mexica zjedzą ich serca.

–*Tu hablas como cubano* - wtrącił się kolejny. Mówisz jak Kubańczyk.

–*Soy americano* - odparł Arthur. – *Soy libre.* *Soy...* - Nie wiedział, jak jest po hiszpańsku „obywatel”. – *Soy igual.* - Jestem równy. Chociaż nie do końca, pomyślał. Jestem równiejszy niż wy.

Kilku czarnych prychnęło na te słowa.

–*Ya hay visto, tu dueho.* - Arthur zrozumiał tylko „dueño”, właściciel.

–*Es amigo, no dueho.* - On jest moim przyjacielem, a nie właścicielem.

Uznali to za dobry żart, ale śmiali się oczywiście po cichu. Kilku zerknęło na drzemiących pod ścianą strażników.

–*Me de promesa.* - Obiecacie mi. – *Cuando el ferro quebra, no se maten. No salguen sin ayuda.* - Gdy pękną okowy, nie pozabijajcie się. A może znaczyło to: Nie dajcie się zabić. Tak czy owak, nie uciekajcie bez pomocy. Arthurowi zdawało się, że to właśnie powiedział, ale spojrzeli na niego, jakby nic nie rozumieli.

–*Voy a quebrar el ferro* - powtórzył.

Jeden z nich uniósł kpiąco ręce. Zabrzęczały łańcuchy. Paru znowu obejrzało się na strażników.

–*No eon la mano* - powiedział Arthur. – *Con la cabeza*.

Spojrzeli po sobie z wyraźnym rozczarowaniem. Arthur wiedział, co pomyśleli: Ten chłopak oszalał. Wydaje mu się, że może skruszyć łańcuchy głową. Nie umiał jednak lepiej im tego wytłumaczyć.

–*Mahana* – powiedział.

Pokiwali mądrze głowami, ale żaden z nich mu nie wierzył. To było na tyle, jeśli chodzi o godziny spędzone na nauce hiszpańskiego. Chociaż może problem leżał w tym, że nic nie wiedzieli o stwarzaniu i nie potrafili sobie wyobrazić kogoś zmieniającego żelazo siłą umysłu.

Arthur Stuart wiedział, że potrafiłby to zrobić. To była jedna z tych rzeczy, których nauczył się od Alvina na samym początku. Jednak dopiero podczas tej podróży

zrozumiał, o co naprawdę chodzi z wnikaniem do wnętrza metalu. Wcześniej sądził, że trzeba w tym celu mocno się napiąć w myślach. Ale nie. Rzecz była całkiem prosta i polegała na znalezieniu właściwego wyobrażenia. Podobnie podchodził do języka. Najpierw wyczuwał jego smak, a potem zanurzał się weń. Wtedy wiedział, że chociaż „mano” kończy się na „o”, powinno mieć przed sobą „la”, a nie „e”. Takie rzeczy po prostu wyczuwał.

W Carthage City zapłacił dwadzieścia centów sprzedawcy słodkich bułeczek, a ten nie miał ochoty wydawać mu reszty. Zamiast krzyknąć na sprzedawcę – bo co niby wskórałby na tym nabrzeżu młodziutki pół-Murzyn wrzeszczący na białego? – Arthur wyobraził sobie tylko, jak moneta, którą cały ranek ścisnął w dłoni, robi się ciepła. Odniósł wrażenie, że zrozumiał strukturę metalu, tak samo jak pojął muzykę języka. Im dłużej zaś myślał, tym cieplejsza się robiła.

Zachęcony nie przerywał, aż nagle mężczyzna krzyknął i zaczął uderzać się po kieszeni, do której wrzucił ćwierćdolarówkę.

Palila go.

Próbował wydostać ją z kieszeni, ale poparzyła mu palce. W końcu zerwał z siebie surdut, odpiął szelki i na oczach wszystkich opuścił spodnie. Następnie wytrząsnął monetę na chodnik, gdzie zaczęła zaraz przysmalać drewno.

Gdy mężczyzna skupiał całkowicie uwagę na swoim oparzeniu, Arthur podszedł do niego. Przez cały czas schładzał w myślach monetę. Podniósł ją z chodnika.

–Przypominam, że jesteś mi winien resztę – powiedział.

–Trzymaj się ode mnie z daleka, czarny diable – odparł mężczyzna. – Jesteś czarownikiem i tyle. Przeklinanie cudzych pieniędzy jest jak kradzież!

–Zabawnie to brzmi w ustach kogoś, kto policzył mi dwadzieścia centów za kawałek pieczywa wart tylko piątkę.

Obok przystanęło kilku przechodniów.

–Chciałeś zatrzymać ćwierciaka tego chłopca?

–To jest karalne, nawet w wypadku czarnych.

–Jak można ich okradać, skoro nie mogą się bronić?

–Podciągnij spodnie, głupcze.

Chwilę później Arthur otrzymał swoją resztę i chciał podać mężczyźnie monetę, ale ten nie pozwolił mu nawet zbliżyć się do siebie.

No, próbowałem, pomyślał Arthur. Nie jestem złodziejem. Jestem stwórcą.

Daleko mi do niezwykłych dokonań Alvina, ale, do licha, rozgrzałem monetę na tyle, że wypaliła sobie drogę z kieszeni.

Jeśli to potrafię, mogę nauczyć się też całej reszty, pomyślał. I to właśnie dodawało mu teraz pewności siebie. Codziennie ćwiczył na każdym kawałku metalu, który wpadł mu w ręce. Oczywiście nic by nie dało, gdyby rozgrzał i stopił kajdany niewolników. Nie podziękowałiby mu za ciężkie poparzenia, których doznaliby podczas takiego wyzwalania.

Nie, tym razem musiał zmiękczyć metal bez rozgrzewania. To było o wiele trudniejsze. Wiele razy przyłapywał się na tym, że znowu wyteża umysł, że chce siłą nadać metalowi miękkość. Jednak gdy się odprężył i wyczuł jego strukturę niczym pieśń, z wolna zaczął dochodzić, na czym polega ten talent. W końcu tak zmiękczył swoją klamrę od pasa, że mógł jej nadać dowolny kształt. Po kilku minutach doszedł jednak do wniosku, że najlepszy w tym wypadku jest kształt klamry, aby spodnie mu nie opadały.

Z mosiądzem szło łatwiej niż z żelazem, bo z natury był bardziej miękki. Poza tym

Arthur nie był aż tak szybki. Widział, jak Alvin potrafi wykrzywić lufę broni, z której do niego strzelano, tak szybko działał. Arthur wziął to pod uwagę. Dwudziestu pięciu niewolników, każdy z obręczą na nadgarstku i na kostce. Musiał ich przekonać, żeby spokojnie poczekali, aż uwolni ostatniego z nich. Jeśli zerwą się za wcześniej, wszystkich złapią.

Oczywiście mógłby poprosić Alvina o pomoc, ale Alvin powiedział już, co o tym myśli. Niech dalej będą niewolnikami, tak postanowił. Arthur nie chciał na to pozwolić. Ci ludzie byli pod

jego opieką. Teraz też już był stwórcą, na swój sposób, i sam musiał podjąć decyzję, kiedy i jak przystąpić do działania. Nie miał zdolności Alvina, nie umiał uzdrawiać ludzi, zmuszać zwierząt do posłuchu czy zamieniać wody w szkło. Nauczył się jednak zmiękczać żelazo, więc, u licha, uwolni tych ludzi.

Jutro w nocy.

Następnego ranka przepłynęli z Hio na Mizzippy i po raz pierwszy od wielu lat Alvin ujrzał mgłę Tenskwy Tawy.

Była jak ściana. Słoneczne niebo bez najmniejszej chmurki, a na rzece jakby mgiełka. Nagle jednak nie widziało się w niej dalej niż na kilkaset jardów, a i to tylko wtedy, gdy płynęło się wzdłuż koryta. Wystarczyło skierować się w stronę prawego brzegu, a mgła gęstniała tak bardzo, że nie widać było nawet dziobu łodzi.

Była to bariera stworzona przez Tenskwą Tawę dla ochrony czerwonych, którzy ruszyli na zachód po klęsce Ta-Kumsawa. Wszyscy czerwoni, którzy nie chcieli żyć pod prawami białych i mieli dość wojny, przeszli przez rzekę na zachód, a wtedy Tenskwa Tawa... zatrzasnął za nimi drzwi.

Alvin słyszał opowieści traperów, którzy tam chadzali. Mówili o górach tak skalistych i wysokich, że śnieg utrzymywał się na nich do początku czerwca. O miejscach, gdzie ziemia wypluwała tryskające na pięćdziesiąt stóp strumienie gorącej wody. O stadach bizonów tak licznych, że można było iść wzdłuż nich cały dzień i noc, a rano widziało się dookoła ciągle tyle samo zwierząt. Łąki i pustynie, lasy sosnowe i jeziora skrzyły się pomiędzy górami niczym klejnoty. Najwyższe szczyty zaś sięgały na tyle wysoko pod niebo, że gdyby się na nie wdrapać, nie byłoby czym oddychać.

Cała ta kraina należała teraz do czerwonych i biali nigdy nie mieli otrzymać do niej wstępu. Po to właśnie była ta mgła.

Wyjątkiem był Alvin. Wiedział, że gdyby tylko chciał, mógłby rozproszyć mgłę i przebyć rzekę. Co więcej, nie zostałby tam zabity. Tenskwa Tawa tak zdecydował, a nie było czerwonego, który sprzeciwiłby się Prorokowi.

Najchętniej zszedłby teraz na brzeg i poczekał, aż statek odpłynie, żeby zrobić kanoe i powiosłować w poszukiwaniu starego przyjaciela i nauczyciela. Dobrze byłoby z nim porozmawiać o wszystkim, co działo się na świecie, o plotkach na temat nadciągającej wojny między Stanami Zjednoczonymi a Koloniami Korony, a może między wolnymi stanami a stanami uznającymi niewolnictwo. Także o pogłoskach o możliwej inwazji Hiszpanii na ujście Mizzippy lub wybuchu wojny między Koloniami Korony a Anglią.

Teraz doszły jeszcze plotki o wojnie z Mexica. Co zrobiłby z tym Tenskwa Tawa? Może miał własne kłopoty, może pracował nad sojuszem wszystkich czerwonych, aby ruszyć na południe i bronić ich terenów przed ludźmi, którzy wywlekali swe ofiary na szczyty

zigguratów i wyrwali im serca, żeby zadowolić w ten sposób swojego boga.

Takie to myśli przepływały przez głowę Alvina, gdy stał oparty o reling na sterburcie. Nie wiedział wprawdzie, dlaczego marynarze nie używają normalnych określeń w rodzaju

„prawo” i „lewo”, tylko muszą wymyślać własne nazwy, ale tam właśnie stał i patrzył na mgłę. Nie widział przez nią więcej niż ktokolwiek inny, ale nagle coś jednak dostrzegł. Nie oczami, tylko wewnętrznym spojrzeniem. Wyczuł przed sobą płomienie serc.

W wodzie było dwóch ludzi. Znajdowali się dokładnie pośrodku rzeki, nie dało się więc orzec, z którego brzegu na który zmierzali. Nurt obracał nimi wkoło i byli przerażeni. Po chwili Alvin wiedział już więcej. Mężczyźni płynęli na ciężko załadowanej tratwie bez dryfkotwy. Zatem na pewno nie byli to marynarze. Tratwa musiała być domowej roboty. Gdzieś po drodze straciła jednak rumpel, a pasażerowie nie potrafili jej utrzymać na kursie. Zdani wyłącznie na łaskę nurtu, nie wiedzieli, co się dzieje pięć stóp od nich.

Wprawdzie *Królowa Yazoo* nie płynęła zbyt cicho, ale mgła zawsze tłumi dźwięki. Zresztą nawet jeśli usłyszeli statek, czy mogli poznać, co ten warkot oznacza? W przerażeniu byli pewnie gotowi uznać, że rzeką nadpływa jakiś potwór.

Czy Alvin mógł im jakoś pomóc? Ale jak powiedzieć, że widzi coś, czego nikt inny nie dostrzega? Nurt rzeki był zaś zbyt silny i zbyt złożony, aby przejąć nad nim kontrolę i przesunąć tratwę bliżej.

Nadeszła pora na małe kłamstwo. Alvin obrócił się i krzyknął:

–Słyszycie? Widzicie ich? Niesterowna tratwa na rzece! Ludzie na tratwie wzywają pomocy, niesie ich nie wiadomo gdzie!

Pilot i kapitan natychmiast wychyliłi się przez reling sterówki.

–Niczego nie widzę! – zawołał pilot.

–Już mgła ich zasłoniła – odparł Alvin. – Ale parę sekund temu byli tuż obok.

Kapitan Howard wiedział, ku czemu to zmierza, i wcale nie był zadowolony.

–Nie skieruję *Królowej Yazoo* głębiej w tę mgłę! Nie ma mowy, mój panie! Wyrzuci ich na brzeg w dole rzeki. To nie nasza sprawa.

–Ale to prawo rzeki! – krzyknął Alvin. – Ludzie w niebezpieczeństwie!

Pilot zawahał się. Tak głośliło prawo. Trzeba było udzielać pomocy.

–Nie widzę żadnych ludzi w niebezpieczeństwie! – odparł kapitan.

–Nie trzeba od razu zawracać statku – powiedział Alvin. – Dajcie mi łódź, a powiosłuję po nich.

To też nie spodobało się kapitanowi, ale pilot był uczciwym człowiekiem i niebawem Alvin znalazł się na wodzie z dłońmi na rękojeściach wiosła.

Zanim jednak zdążył odbić, z góry skoczył Arthur Stuart. Upadł na dno łodzi.

–W życiu nie widziałem tak niezgrabnego skoku – powiedział Alvin.

–Miałbym przegapić taką okazję?

Przy relingu pokazał się jeszcze ktoś, kto do nich zamachał.

–Nie spiesz się pan tak, panie Smith! – zawołał Jim Bowie. – Dwóch silnych mężczyzn lepiej nada się do tego niż jeden!

On też skoczył i to całkiem zwinnie, jeśli wziąć pod uwagę, że był co najmniej dziesięć lat starszy od Alvina i dwadzieścia od Arthura Stuarda. Łodzią nawet nie zakołysało i Alvin zastanowił się, jaki talent ma ten człowiek. Wydawało się z początku, że umiejętność zabijania, ale może to było tylko ubocznym polem jego działania. Bowie zaraz rzucił się do wiosła.

Siedzieli po przeciwnych burtach i wiosłowali, Arthur zaś trzymał ster i patrzył przed dziób.

–Jak daleko są? – pytał co chwila.

–Prąd mógł znieść ich dalej – odparł Alvin. – Ale są tam.

Gdy w oczach Arthura pojawił się sceptycyzm, Alvin spojrzał na niego w taki sposób, że chłopak w końcu zrozumiał.

–Chyba ich widzę – powiedział, wspierając kłamstwo Alvina.

–Tylko nie próbujcie płynąć do samego brzegu, bo czerwoni nas zabiją – odezwał się Jim Bowie.

–Jasne – odparł Alvin. – Nawet o tym nie myślałem. Widziałem ich jak na dłoni i nie chcę mieć ich śmierci na sumieniu.

–No to gdzie są teraz?

Oczywiście Alvin to wiedział i wiosłował w ich kierunku, jak mógł najlepiej. Sęk w tym, że Bowie nie wiedział tego co on, i wiosłował nieco gdzie indziej. Ponieważ obaj siedzieli plecami do tratwy, Alvin nie mógł udać, że widzi cokolwiek, i musiał wiosłować silniej niż Bowie.

W końcu Arthur wzniósł oczy do nieba i zapytał:

–Czy moglibyście przestać się na siebie boczyć i zaczął wiosłować w tym samym kierunku?

Bowie roześmiał się. Alvin westchnął.

–Niczego nie zauważyłeś – powiedział Bowie. – Obserwowałem cię, gdy wpatrywałeś się we mgłę.

–Dlatego właśnie się z nami zabrałeś.

–Muszę wiedzieć, co kombinujesz.

–Chcę uratować dwóch ludzi, których tratwę porwał prąd.

–Utrzymujesz, że to prawda?

Alvin pokiwał głową i Bowie znów się roześmiał.

–Niech mnie diabli porwą, jeśli to prawda.

–A to już sprawa między tobą a diabłami – zauważył Alvin. – Nieco bardziej z nurtem poproszę.

–Jaki masz talent, człowieku? – spytał Bowie. – Widzisz przez mgłę?

–Na to wygląda, prawda?

–Chyba nie. Sądzę, że ukrywasz o wiele więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

Arthur zmierzył masywną sylwetkę Alvina, prawdziwego kowala.

–Czy to możliwe? – spytał.

–A ty nie jesteś niewolnikiem – dodał Bowie.

Tym razem się nie roześmiał. Taka wiedza była niebezpieczna.

–Jestem – odparł Arthur Stuart.

–Żaden niewolnik nie pyskowałby w ten sposób, głupcze – powiedział Bowie. – Masz tak niewyparzoną gębę, że na pewno nigdy nie poczujesz smaku bykowca.

–Zaiste dobrze zrobiłeś, że się ze mną zabrałeś – zauważył Alvin.

–Nie martwcie się. Mam swoje tajemnice i potrafię dochować waszych.

Wiem, że potrafisz, ale czy zechcesz? – zastanowił się Alvin.

–Nie ma tu wielu tajemnic – powiedział. – Będę musiał zabrać go na północ i wrócić potem następnym parowcem płynącym w dół rzeki.

–Twoje ramiona świadczą, że naprawdę jesteś kowalem – stwierdził Bowie. – Ale żaden kowal nie poznałby po pochwie, że jakiś nóż był kiedyś pilnikiem.

–Jestem dobry w tym, co robię.

–Alvin Smith. Naprawdę powinieneś podróżować pod innym nazwiskiem.

–Dlaczego?

–Jesteś tym kowalem, który zabił kilka lat temu paru Odszukiwaczy.

–Którzy zamordowali matkę mojej żony.

–Och, żaden sąd by cię nie skazał – powiedział Bowie. – Tak jak mnie za to, co ja zrobiłem. Chyba mamy ze sobą sporo wspólnego.

–Mniej, niż myślisz.

–Ten sam Alvin Smith pozbawił swego mistrza pewnego cennego przedmiotu.

–Kłamstwo – odparł Alvin. – I on świetnie o tym wie.

–Och, na pewno. Ale tak mówią ludzie.

–Nie trzeba zaraz we wszystko wierzyć.

–Jasne, wiem. Nie zmęczyłeś się przypadkiem wiosłowaniem?

–Wolę nie ścigać tej tratwy, póki prowadzimy tę rozmowę.

–Chciałem ci tylko delikatnie zasugerować, że wiem, co nosisz w swoim worku. Jeśli plotki nie kłamią, masz jakiś potężny dar.

–A co, ludzie twierdzą, że potrafię latać?

–Że umiesz zmieniać żelazo w złoto.

–Byłoby fajnie – mruknął Alvin.

–Więc zaprzeczasz, tak?

–Umiem zmienić żelazo w wiele rzeczy. W podkowy, zawiasy...

–Ale raz zrobiłeś coś takiego, prawda?

–Nie – odparł Alvin. – Powiedziałem ci, że to kłamstwo.

–Nie wierzę ci.

–Zatem nazywasz mnie kłamcą.

–Nie poczułeś się chyba dotknięty? Uprzedzam, że wygrywam wszystkie pojedynki. Mam na to sposób.

Alvin nie odezwał się, a Bowie spojrzał przenikliwie na Arthura.

–Aha – powiedział. – Tak to wygląda.

–Co? – spytał Arthur.

–Nie boicie się mnie.

–Ja tak – odparł Arthur.

–Boisz się tego, co wiem, ale nie tego, że wyzwę twojego „pana” na pojedynek.

–Jestem przerażony – mruknął chłopak.

W ułamku sekundy Bowie puścił wiosło i sięgnął po nóż. Obróciwszy się płynnie, spróbował sięgnąć nim gardła Alvina.

Tyle że nie miał już noża. W dłoni trzymał samą rękojeść.

Gdy pojął, że jego cenny nóż zniknął, uśmiech powoli spelzł mu z twarzy.

–Co ty zrobiłeś? – spytał.

–Zabawne pytanie ze strony kogoś, kto właśnie chciał mnie zabić – odparł Alvin.

–Chciałem cię tylko wystraszyć. Nie musiałeś niszczyć mi noża.

–Nie mam talentu do rozpoznawania cudzych intencji. A teraz siadaj i wiosłuj.

Bowie złapał za wiosło.

–Ten nóż przynosił mi szczęście.

–Zatem możesz uznać, że szczęście właśnie cię opuściło – stwierdził Alvin.

Arthur pokręcił głową.

–Powinien pan bardziej uważać, na kogo wyciąga pan broń, panie Bowie.

–Potrzebujemy takich ludzi jak ty – powiedział Bowie. – Tyle tylko chciałem przekazać. Naprawdę nie musiałeś niszczyć mi noża.

–Gdy następnym razem będziesz kogoś werbował, nie próbuj grozić mu nożem.

–Ani tym, że zdradzisz jego sekrety – dodał Arthur.

Bowie po raz pierwszy sprawiał wrażenie bardziej zaniepokojonego niż rozdrażnionego.

–Nigdy nie mówiłem, że znam twoje sekrety. Domyślam się tylko tego i owego.

–No cóż, Arthurze, pan Bowie zauważył wreszcie, że znajduje się na środku rzeki, w łodzi płynącej wśród mgły w niebezpiecznej misji ratunkowej, z dwoma ludźmi, którym groził zdemaskowaniem.

–W takiej sytuacji dobrze jest uważać – skomentował Arthur.

–Nie dam się tak łatwo wyrzucić z łodzi – powiedział Bowie.

–Nie zamierzamy cię skrzywdzić – oświadczył Alvin. – Nie jesteśmy do siebie podobni, ty i ja. Zabiłem raz człowieka w gniewie, ale do dziś tego żałuję.

–Ja też – mruknął Bowie.

–Z niczego tak nie jesteś dumny, jak właśnie z tego. Zachowałeś nawet tę broń i twierdziłeś, że przynosi ci szczęście. Pod żadnym względem nie jesteśmy podobni.

–Nie wydaje mi się.

–Gdybym chciał cię zabić, nie musiałbym wcale wyrzucać cię z łodzi.

Bowie pokiwał głową. A potem nagle puścił wiosło. Przycisnął dłonie do ust i do szyi.

–Nie możesz oddychać, prawda? – powiedział Alvin. – Nikt cię nie dusi. Dalej, wciągaj i wydychaj powietrze. Tak jak robiłeś to przez całe życie.

Bowie nie tyle się dławził, ile raczej ciało nie chciało go słuchać.

Alvin nie czekał, aż mężczyzna zsinieje. Chciał tylko, aby poczuł się całkiem bezradny. Następnie przypomniał jego ciało, jak się oddycha, i Bowie chciwie wciągnął powietrze.

–Skoro ustaliliśmy już, że nic ci tu z mojej strony nie grozi, zajmij my się tymi nieborakami na tratwie – zaproponował Alvin.

Nagle mgła się rozproszyła i ledwie pięć stóp dalej pokazała się tratwa. Wystarczył jeden zamach wiosłami i już byli obok. Dopiero wtedy pasażerowie niesterownej jednostki zorientowali się, że ktoś do nich dopłynął.

Arthur Stuart już wspinał się na dziób z liną, aby uwiązać ją do tratwy.

–Bogu niech będą dzięki – powiedział niższy z dwóch mężczyzn.

–Przybyliście akurat na czas – powiedział wyższy, pomagając Arthurowi zamocować linę. – Zniosło nas na tym wraku, a przez mgłę nie mogliśmy nawet podziwiać widoków. Tak czy siak, marna podróż.

Alvin roześmiał się.

–Cieszę się, że nie upadliście na duchu.

–Och, modliliśmy się przez cały czas i śpiewaliśmy hymny – dodał tyczkowaty mężczyzna.

–Ile ty masz wzrostu? – spytał Arthur, gdy tamten stanął tuż nad nim.

–Sięgam od ziemi do głowy. Ale i tak nie dorosłem jeszcze do moich nowych szelek.

Gość miał styl. Trudno było go nie lubić.

Alvin z miejsca nabrał podejrzeń. Jeśli taki właśnie był talent nieznanego, to nie należało mu ufać. Jednak mimo to nadal dawało się go lubić.

–Kim jesteś? Prawnikiem? – spytał Alvin.

Ustawili już łódź przed tratwą, aby ją holować w drodze powrotnej na statek.

Mężczyzna wyprostował się na pełną wysokość i ukłonił. Alvin w życiu nie widział równie niezgrabnego manewru. Gość składał się z samych łokci i kolan, nie było w nim niczego niekościstego, z twarzą włącznie. Bez wątpienia można było nazwać go brzydkim. I jeszcze te osłaniające oczy brwi jak u małpy. Niemniej... jego widok nie sprawiał przykrości. Gdy się uśmiechnął, był to ciepły i serdeczny uśmiech.

–Abraham Lincoln ze Springfield. Do usług, panowie – powiedział.

–A ja jestem Cuz Johnston ze Springfield – dodał ten drugi.

–Cuz jest od „kuzyna” – wyjaśnił Abraham. – Wszyscy go tak nazywają.

–Teraz już tak – mruknął Cuz.

–Czym jest kuzynem? – spytał Arthur Stuart.

–Nie moim – odparł Abraham. – Wygląda jednak na kuzyna, prawda? Jest ucieleśnieniem kuzynostwa, kwintesencją kuzynowskiego podejścia do bliźnich. Gdy zatem zacząłem mówić na niego Cuz, nawiązałem tylko do rzeczy oczywistej.

–Po prawdzie jestem synem drugiej żony jego ojca, z jej pierwszego małżeństwa – powiedział Cuz.

–Co sprawia, że tak całkiem obcy sobie nie jesteśmy – zgodził się Abraham.

–Jestem wam bardzo wdzięczny za to, że nas znaleźliście. Dzięki temu stary Abe nie będzie mógł dokończyć najbardziej paskudnej i niewiarygodnej opowieści, jaką kiedykolwiek słyszałem – stwierdził Cuz.

–To była prawdziwa historia – zaprotestował stary Abe. – Usłyszałem ją od kogoś zwanego Bajazem. Miał ją zapisaną w swojej księdze. Nigdy nie umieszcza tam niczego, co by nie było prawdą.

Stary Abe, który nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, był spostrzegawczy. Dojrzał szybką wymianę spojrzeń między Alvinem i Arthurem.

–Znacie go? – spytał.

–Zaiste, jest prawdomówny – zgodził się Alvin. – Jaką opowieścią cię uraczył?

–O pewnym dziecku urodzonym wiele lat temu. I o tragedii jego brata, którego zabił pień niesiony przez falę powodziową, gdy ratował swą rodzającą matkę, przepływającą się furmanką przez rzekę. Jego los był przesądzony, ale dożył w wodzie chwili narodzin brata, który został w ten sposób siódmym synem siódmego syna. Przyszedł na świat, gdy wszyscy synowie jeszcze żyli.

–Piękna opowieść – odparł Alvin. – Też widziałem ją w jego księdze.

–Wierzysz, że jest prawdziwa?

–Tak.

–Nigdy nie powiedziałem, że to nieprawda – mruknął Cuz. – Powiedziałem tylko, że wolałbym nie słuchać tego na tratwie niesionej prądem poprzez mgły Mizzippy.

Abe Lincoln zignorował niemal poetycki ton kompana.

–Mówiłem właśnie Cuzowi, że ta rzeka nie daje nam nawet w połowie takiej szkoły jak tamten o wiele mniejszy strumień z opowieści. I wtedy nas uratowaliście, co dowodzi, że nasza rzeka jest bardzo łaskawa dla niewprawnych tratwowiczów.

–Sami zbudowaliście tę tratwę, co? – spytał Alvin.

–Rumpel się złamał – powiedział Abe.

–Nie mieliście zapasowego?

–Nie wiedzieliśmy, że możemy go potrzebować. Ale gdy tylko dobijemy do brzegu, zaraz taki zmajstruję.

–Jesteś złotą rączką?

–A gdzie tam. Ale z rumplem dam sobie radę. Prędzej czy później. Alvin zaśmiał się.

–Cała ta tratwa wymagałaby przeróbki.

–Chętnie zobaczę, co zrobiliśmy nie tak. Jak dla mnie to całkiem porządna robota.

–Paru rzeczy jej brakuje, głównie od spodu. Przede wszystkim dryfkotwy. Powinna być na rufie. Dzięki temu rufa jest zawsze z tyłu. Poza tym obciążyliście ją mocno z przodu, przez co ciągle się obracała.

–Cóż, przyznaję się do winy – powiedział Abe. – Bez wątpienia nie urodziłem się na marynarza.

–Podobnie jak większość ludzi – stwierdził Alvin. – Oczywiście oprócz naszego przyjaciela, pana Bowiego. Nie może powstrzymać się przed wskoczeniem do łodzi, gdy tylko trafia się okazja, aby pomachać wiosłami.

Bowie uśmiechnął się lekko i skinął głową Abe’owi i Cuzowi. Tratwa wlokła się wolno za nimi, a Alvin i Bowie wiosłowali z całych sił, aby pokonać nurt.

–Może moglibyście stanąć z tyłu tratwy, aby nie zanurzała się tak dziobem? – spytał Arthur.
– Tak trudniej jest ją holować.

Nieco zakłopotani Abe i Cuz zaraz przeszli na rufę. Gęsta mgła prawie całkiem ich ukryła i tłumiała dźwięki do tego stopnia, że nie dawało się rozmawiać.

Powrót do parowca zabrał nieco czasu, jednak pilot, jako z gruntu dobry człowiek, nakazał zwolnić, chociaż kapitan Howard sarkał, że tracą w ten sposób czas. Nagle mgła się rozproszyła, usłyszeli dźwięk koła łopatkowego i tuż przed nimi zamajaczyła *Królowa Yazoo*.

–Niech mnie kaczk! – zawołał Abe. – Ale zgrabny parowiec tu macie.

–On nie jest nasz – odparł Alvin.

Arthur zauważył, że Bowie czym prędzej wdrapał się na pokład, byle tylko znaleźć się z dala od łodzi. Z irytacją strącał z ramion dłonie ludzi, którzy poklepywali go, jakby był bohaterem.

Arthur nie miał do niego pretensji, chociaż pewien był jednego. Bowie, choć porządnie wystraszony, nadal był dla nich zagrożeniem.

Gdy uwiązano już szalupę do *Królowej Yazoo*, a obok umocowano tratwę, pasażerowie stłoczyli się w oczekiwaniu na wyjaśnienia, jak udało się odnaleźć rozbitków w słynnej mgle Mizzippy.

–Jak powiedziałem, byli blisko – wyjaśnił Alvin. – Ale i tak musieliśmy ich szukać.

Abe Lincoln tylko się uśmiechnął i nie powiedział ani słowa, ale nie był głupcem. Arthur Stuart nie miał co do tego wątpliwości. Abe wiedział przecież, że tratwa wcale nie znajdowała się blisko. Wiedział też, że Alvin wracał prostym kursem, jakby był w stanie dostrzec parowiec.

Ale czy to miało dla niego znaczenie? Kilka chwil później opowiadał już każdemu, kto chciał go słuchać, jak to porwał się na budowę tratwy i jak prąd obracał nią we mgle.

–Tak mnie skręciło, że pół dnia mnie rozplątywali i za nic nie mogli dojść, jak wydobyć moją głowę spod pachy.

Nie było to aż tak zabawne, ale opowiadał w taki sposób, że trudno było się nie śmiać. Nawet jeśli historia nie miała trafić do księgi Bajarza.

Wieczorem przybili do przystani i tyle osób wsiadało i wysiadało, że Arthur Stuart zdecydował się poczekać jeszcze z wyzwaniem dwudziestu pięciu niewolników.

Zamiast tego udał się wraz z Alvinem na odczyt, który miał się odbyć w jadalni parowca. Przemawiać miał sam Cassius Marcellus Clay, znany abolicjonista, który uparł się głosić słowa prawdy pośrodku kraju uznającego niewolnictwo. Wydawało się to szaleństwem, ale słuchając go, Arthur pojął, że jest w tym pewna metoda. Clay nie obrzucał nikogo obelgami, nie utrzymywał, że niewolnictwo jest grzechem, ale zwracał uwagę na to, co hołdowanie niewolnictwu czyni z właścicielami i ich rodzinami.

–Jakie są skutki wychowywania dzieci w przekonaniu, że same ni gdy nie wykonają żadnej pracy? Co będzie z ich rodzicem, gdy się zestarzeje? Nie nauczył nigdy potomków pracy, nie znają zatem jej wartości i gotowi będą wydawać jego pieniądze, nie myśląc

o przyszłości.

Skoro zaś te dzieci zwykły traktować pogardliwie każdego człowieka o ciemniejszej skórze i nie szanować jego pracy, o prawie do wolności nie wspominając, jak odniosą się do starego ojca, gdy nie będzie już przydatny? Gdy bowiem traktuje się jednego człowieka jak sprzęt, dlaczego dzieci nie miałyby zacząć dzielić wszystkich ludzi na użytecznych i bezużytecznych, gardząc tymi ostatnimi?

Arthur Stuart słyszał wielu abolicjonistów, ale ten był wyjątkowy. Zamiast podburzać tłumy i ryzykować, że właściciele niewolników wytarzają go w smole i pierzu (albo i jeszcze gorzej), on kazał im zastanawiać się nad czymś, co wcale nie było przyjemne. Zapewne wielu skłonnych było w takiej chwili inaczej spojrzeć na własne dzieci i kwestię użyteczności jako takiej.

Możliwe jednak, że w ogólnym rozrachunku Clay nie mógł aż tak dużo wskórać. Bo i co mieli zrobić właściciele? Uwolnić niewolników i przenieść się na północ? To byłoby całkiem jak w Biblii, gdzie Jezus polecił młodemu bogaczowi, aby sprzedał wszystko, co ma, oddał pieniądze biednym i ruszył za nim. Miarą bogactwa tych ludzi byli niewolnicy. Wyzwolenie ich oznaczałoby życie w biedzie albo przynajmniej przejście do grupy pośledniejszych obywateli, którzy muszą płacić innym za wykonywaną pracę. Wynajmować ludzi, zamiast ich posiadać. Nikt nie miał dość odwagi, aby to zrobić, w każdym razie Arthur nikogo takiego nie napotkał.

Zauważył jednak, jak uważnie Abe Lincoln wsłuchiwał się w słowa Claya i jak bardzo lśniły mu przy tym oczy, zwłaszcza gdy mówca poruszył sprawę odsyłania czarnych do Afryki.

–Ilu z was byłoby zadowolonych, gdybyście usłyszeli o planie odesłania was do Anglii, Szkocji, Niemiec czy innego kraju, z którego przybyli tu kiedyś wasi przodkowie? Bogaci czy biedni, wolni czy nie, wszyscy jesteśmy teraz Amerykanami. Nie można odsyłać do Afryki niewolników, których dziadkowie też urodzili się na tej ziemi. Afryka nie jest już ich ojczyzną, nie bardziej niż Chiny czy Indie.

Abe pokiwał głową i Arthur odniósł wrażenie, że do tej chwili tyczkowaty mężczyzna był przekonany, iż takie właśnie rozwiązanie byłoby najlepsze – zapakować wszystkich na statki i odesłać do Afryki.

–A co z Mulatami? Co z ludźmi o jaśniejszej skórze, w których żyłach płynie w równej mierze krew europejska i afrykańska? Mieli by zostać rozdarci pomiędzy dwie krainy? Nie, bo cokolwiek powie my, i oni są częścią tego kraju. Gdy zaś bierzesz czarnego w niewolę, sam na siebie nakładasz więzy. Jesteś bowiem przywiązany do niego tak samo mocno jak on do ciebie. Ma to silny wpływ na jego charakter, ale i na twój też. Uczynić czarnego sługą, a siebie uczynisz tyranem.

Spraw, że będzie drżał ze strachu przed tobą, a zamienisz się w potwora. Czy sądzicie, że wasze dzieci nie widzą was w tym stanie i że nie zaczynają się was bać? Nie da się prezentować jednej twarzy niewolnikom, a drugiej twarzy rodzinie w nadziei, że uwierzy.

Po odczycie Alvin i Arthur planowali pójść na swoje miejsca, ale przystanęli jeszcze na chwilę przy relingu tuż nad tratwą.

–Jak ktokolwiek, kto to słyszał, może po powrocie nie wyzwolić swoich niewolników? – spytał Arthur Stuart.

–Jak widzisz, może. Ja ciebie nie uwalniam.

–Bo tylko udaję niewolnika – szepnął Arthur.

–Mógłbym więc chociaż udać, że cię uwalniam, aby dać dobry przykład innym.

–Nie mógłbyś. Co wówczas byś ze mną zrobił?

Alvin uśmiechnął się i pokiwał głową. Arthur miał rację.

–Nie powiedziałem, że to byłoby łatwe. Ale gdyby wszyscy to zrobili...

–Ale nie zrobią – powiedział Alvin. – Gdyby uwolnili niewolników, nagle staliby się biedni. A tak pozostają bogaci. I jako bogaci utrzymują władzę.

–Nie ma zatem nadziei.

–Musieliby zrobić to wszyscy naraz, zmuszeni prawem, a nie jeden po drugim. Dopóki można gdziekolwiek trzymać niewolników, źli ludzie będą czerpać z tego korzyści. Trzeba po prostu całkiem zakazać niewolnictwa. Dlatego właśnie nie rozumiem Peggy. Wszystkie jej perswazje ostatecznie nic nie dają, bo gdy tylko ktoś wypuszcza niewolników, traci też wpływy wśród tych, którzy nadal ich mają.

–Kongres nie może zakazać niewolnictwa w Koloniach Korony, a król w Stanach. Cokolwiek więc się zrobi, zostanie ta różnica. Między krajami akceptującymi i nie akceptującymi niewolników.

–W końcu dojdzie do wojny – stwierdził Alvin. – Wcześniej czy później wolne stany będą miały dość niewolnictwa albo te drugie nazbyt się od niego uzależnią. Gdzieś wybuchnie rewolucja. Osobiście sądzę, że wolność nie nadejdzie, dopóki nie obali się króla i Kolonie Korony nie dołączą do Stanów.

–To się nigdy nie zdarzy.

–Sądzę, że wręcz przeciwnie. Ale za cenę straszego rozlewu krwi. Ludzie walczą najbardziej zażarcie wówczas, gdy nawet sami przed sobą nie potrafią przyznać, że bronią niesłusznej sprawy. – Splunął do wody. – Idź spać, Arthurze Stuarcie.

Arthur nie mógł jednak zasnąć. Opinie Claya wzburzyły nieco atmosferę pod pokładem. Niektórzy niewolnicy mieli mu za złe, że budził u białych poczucie winy.

–Wspomnicie moje słowa – dowodził pewien mężczyzna z Kenituck. – Gdy czują się winni, dla poprawy nastroju wmawiają sobie, że zasłużyliśmy na to, aby być niewolnikami. A przecież w takim wypadku musimy być przesiąknięci złem i należy nieustannie nas karać.

Arthurowi wydało się to wręcz szokujące, ale przecież był on niemowlęciem, gdy matka

wyniosła go ku wolności, i nie wiedział, jak naprawdę wygląda niewolnictwo.

Nawet gdy w końcu zrobiło się cicho, nadal nie mógł spać. W końcu wymknął się na pokład.

Na wschodnim brzegu, gdzie mgiełka była rzadka, panowała księżycowa noc. Widać było gwiazdy.

Dwudziestu pięciu zbiegów spało na rufowym pokładzie. Niektórzy mamrotali coś przez sen. Strażnik też zasnął.

Miałem was dzisiaj uwolnić, pomyślał Arthur. Ale za długo by to trwało. Nie zdążę do rana.

Potem pomyślał jednak, że może zdąży. Może mógłby uwinąć się nieco szybciej.

Usiadł w cieniu i po kilku nieudanych próbach zdołał się skupić na okowach na kostce najbliższego niewolnika. Zaczął wyczuwać metal tak samo jak wcześniej monetę i zmiękczać go podobnie jak klamrę u pasa.

Niestety, kajdany były masywniejsze i wykonane z twardszego metalu. Zanim zdołał zmiękczyć kolejny odcinek, poprzedni ponownie twardniał. I tak w kółko. Arthur poczuł się jak Syzyf, o którym czytała mu kiedyś Peggy. Gość, który wtaczał w Hadesie kamień na szczyt góry, ale na każdy krok w górę zsuwał się dwa, przez co po całym dniu pracy był dalej od wierzchołka niż na początku.

A potem Arthur omal nie przeklął siebie głośno za własną głupotę.

Nie musiał zmiękczać całej obręczy. Przecież nie chodziło o to, aby zsunęli kajdany niczym rękawy surduta. Wystarczy zająć się zawiasami, które są słabsze i cieńsze.

Spróbował i ku swej radości prawie nie napotkał oporu, ale nagle coś zauważył.

Połówki zawiasów nie były połączone. Brakowało spajającego je bolca.

Sięgnął w myślach do kolejnych zawiasów i odkrył to samo. Wszystkie bolce zniknęły. Wszyscy niewolnicy byli już w istocie wolni.

Wyszedł z cienia i stanął między nimi.

Nie spali. Dali mu dyskretne znaki, aby odszedł, aby usunął się z widoku.

Jakby na sygnał wszyscy otworzyli okowy i złożyli je ostrożnie na pokładzie. Oczywiście nie odbyło się to w całkowitej ciszy, ale strażnik nawet się nie poruszył. Podobnie jak wszyscy inni na uśpionym statku.

Czarni wstali i wyskoczyli za burtę po przeciwnej stronie od brzegu.

Chcieli się utopić. Nikt nie nauczył ich pływać, nie mieli okazji nauczyć się tego sami. Wybrali śmierć.

Tyle że nie było słycać żadnego plusku. Do Arthura dotarło to dopiero po chwili.

Gdy wszyscy niewolnicy już zniknęli, wstał i podszedł do relingu. Niewolnicy stali na tratwie. Ostrożnie przenosili dobytek Abe'a Lincolna na szalupę. Szalupa nie była wielka, ale też i Abe nie posiadał zbyt wiele, cała praca nie trwała więc długo.

Dlaczego postanowili nie kraść niczego Lincolnowi? Ostatecznie i tak byli już złodziejami, skoro kradli samych siebie swoim panom. Tak w każdym razie głosiła teoria, jak gdyby człowiek, który staje się wolny, mógł dzięki temu czynowi pozbawić kogoś czegokolwiek.

Potem ułożyli się na tratwie, tworząc ze swoich ciał zgrabny stos z wystającymi poza burty rękami, które zastąpiły wiosła. Płynąc z prądem, skierowali się we mgłę, ku brzegowi krainy czerwonych.

Ktoś położył Arthurowi rękę na ramieniu. Chłopak omal nie wyskoczył z butów.

To był oczywiście Alvin.

–Lepiej, żeby nas tu nie widzieli – powiedział cicho. – Chodźmy na dół.

Poprowadził Arthura do kwater niewolników, gdzie przysiedli w kuchni oświetlonej jedynie zawieszoną przez Alvina lampą.

–Domyślałem się, że masz jakiś niemądry plan – szepnął Alvin.

–A ja myślałem, że oni nic cię nie obchodzą i pozwolisz im zostać w niewoli. Nie wiem, jak mogłem się tak pomylić.

–Tak bardzo się nie pomyliłeś. Nie mam pojęcia, czy to dzisiejsze domysły Bowiego, czy może jego próba zabicia mnie... Tak, Arthurze. Nie zatrzymał tego noża. Gdyby w rękojeści tkwiło ostrze, poderznąłby mi gardło. Może to więc lęk przed śmiercią sprawił, że pomyślałem, że niezręcznie byłoby stawać przed Bogiem, poniechawszy uwolnienia dwudziestu pięciu ludzi, chociaż można było im pomóc. I jeszcze ta przemowa pana Claya wieczorem. Możesz uznać, że mnie nawrócił.

–Pan Lincoln się nawrócił – zauważył Arthur.

–Może. Chociaż nie wygląda mi na kogoś, kto mógłby posiadać drugiego człowieka.

–Wiem, dlaczego to zrobiłeś.

–Tak?

–Bo wiedziałeś, że w przeciwnym razie ja to zrobię – powiedział Arthur.

Alvin wzruszył ramionami.

–Wiedziałem, że spróbujesz.

–Dałbym radę.

–Ale zajęłoby ci to zbyt wiele czasu.

–Już wziąłem się do roboty. Zauważyłem, że wystarczy zmienić zawiasy.

–Niewątpliwie – przytaknął Alvin. – Jednak tak naprawdę wybrałem dzisiejszą noc z powodu obecności tratwy. To prawdziwy prezent, nie sądzisz? Wstyd byłoby nie skorzystać.

–Co się z nimi stanie, gdy dotrą na brzeg czerwonych?

–Tenskwia Tawa się nimi zajmie. Dałem im coś, co mają pokazać pierwszemu czerwonemu, którego spotkają. Zaprowadzi ich prosto do Proroka, gdziekolwiek by akurat był. A gdy zobaczy ten znak, da im wolne przejście przez swój kraj. Albo może nawet pozwoli im się tam osiedlić.

–A może będzie ich potrzebował do pomocy w walce z Mexica. Jeśli tamci ruszą na północ.

–Może.

–Co to za znak? – spytał Arthur.

–Kilka takich drobiazgów. – Alvin pokazał lśniący sześcian, który przypominał najczystszy lód albo szkło. Tyle że szkło nigdy nie bywało tak jasne.

Arthur chwycił przedmiot i pojął, co widzi.

–To woda. Sześcian wody.

–Więcej. Postanowiłem je zrobić dziś na rzece, gdy omal nie doszło do rozlewu mojej krwi. Tak właśnie się je sporządza. Do wody dodałem odrobinę mnie samego, aby były twarde jak stal. Znasz prawo. „Stwórca staje się...”

–„Stwórca staje się częścią tego, co stworzył” – powiedział Arthur.

–Idź spać. Nikt nie powinien widzieć nas tej nocy razem, a nie mogę nieustannie powstrzymywać ich przed obudzeniem się.

–Czy mogę to zatrzymać? Chyba coś w nim widzę.

–Możesz dojrzeć w nim wszystko, jeśli będziesz wystarczająco długo się wpatrywać – odparł Alvin. – Ale nie, zatrzymać go nie możesz. Skoro ludzie uznają za drogocenne to, co mam w worku, pomyśl, ile by oddali za kawałek zestalonej wody, który pokazuje rzeczy bliskie i dalekie, przeszłość i teraźniejszość.

Arthur wyciągnął rękę, aby oddać kostkę Alwinowi.

Alvin jednak nie przyjął jej, tylko lekko się uśmiechnął. Nagle sześcian przeciekł Arthurowi przez palce. Chłopak spojrzał niepokieszony na małą kałużę na blacie.

–To tylko woda – powiedział Alvin.

–I odrobina krwi.

–Nie. Tę wziąłem z powrotem.

–Dobrej nocy – powiedział Arthur. – I... dziękuję, że ich uwolniłeś.

–A co innego mogłem zrobić, skoro tak przypadli ci do serca, Arthurze? Patrzyłem na nich i myślałem: Ktoś kiedyś kochał ich tak, jak twoja mama kochała ciebie. Umarła, aby cię uwolnić. Aż tyle robić nie musiałem. Wystarczyło trochę fatygi i ryzyka.

–Ale widziałeś, co zrobiłem, prawda? Zmiękczyłem metal, nie rozgrzewając go.

–Dobrze sobie poradziłeś, Arthurze. Bez wątpienia jesteś już stwórcą.

–Tylko trochę.

–Z dwóch stwórców jeden zawsze będzie nim bardziej niż drugi.

Ale zamiast się tym zadręczać, lepiej przypomnij sobie, że zawsze jest jeszcze ten trzeci, lepszy od nich obu.

–A kto jest lepszy od ciebie? – spytał Arthur.

–Ty – odparł Alvin. – Odtąd zawsze do każdego funta sztuczek będę dodawał uncję współczucia. A teraz idź już spać.

Dopiero teraz Arthur poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zniknęła siła, która utrzymywała go dotąd na nogach. Z trudem dotarł do koi i od razu zasnął.

Rano rozpętało się pandemonium. Oskarżenia fruwały we wszystkich kierunkach. Niektórzy winili tratwowiczów, bo z jakiego innego powodu niewolnicy mieliby zostawiać ich rzeczy w łodzi? Ktoś w końcu zauważył, że gdyby tego nie zrobili, nie zmieściliby się na niewielkiej tratwie.

Potem skierowano podejrzenia na strażnika, który zasnął, ale mało kto dał temu posłuch. Gdyby był winny, uciekłby przecież, zamiast spać na pokładzie, aż ktoś z załogi zauważy ucieczkę i zaalarmuje wszystkich.

Dopiero po zniknięciu niewolników wyszło na jaw, kto był ich właścicielem. Alvin podejrzewał wcześniej Trvisa, ale to kapitan Howard narzekał najgłośniejsze. To była niespodzianka. Wyjaśniło się jednak, dlaczego przewożono ich tym właśnie statkiem.

Ku zdumieniu Alwina Howard i Travis tak łypali oczami na niego i Arthura, jakby wszystkiego się domyślali. Chociaż w zasadzie nie powinien się temu dziwić. Jeśli Bowie opowiedział im, co stało się z jego nożem, mogli się zastanawiać, czy ktoś mający podobną władzę nad żelazem nie mógłby usunąć bolców z zawiasów.

W końcu tłumek zaczął się z wolna rozchodzić. Jednak kapitan i Travis zostali. Gdy Alvin i Arthur też chcieli się oddalić, Howard podszedł prosto do nich.

–Chcę z tobą porozmawiać – powiedział mało przyjaznym tonem.

–O czym? – spytał Alvin.

–O twoim chłopcu. Widziałem podczas porannej wachty, jak przy nich sprzątał i jak z nimi rozmawiał. Wzbudziło to moje podejrzenia, bo żaden z nich nie znał angielskiego.

–*Pero todos hablaban espanol* - powiedział Arthur Stuart. Travis musiał go zrozumieć, bo aż nim zatrzęsło.

–Wszyscy znali hiszpański? Kłamliwe skunksy.

Z jakiegoś powodu zakładał, że niewolnicy powinni postępować wobec niego uczciwie.

–To też ważne – powiedział kapitan Howard. – Nie dość, że z nimi rozmawiał, to jeszcze dowiedział się czegoś, o czym nawet ich pan nie miał pojęcia.

Arthur chciał zaprotestować, ale Alvin położył mu dłoń na ramieniu. Nie zamknął jednak jego ust.

–Mój chłopak dopiero co nauczył się hiszpańskiego i chciał skorzystać z okazji, żeby trochę popraktikować. I tyle. O ile nie potraficie dowieść, że otworzył ich kajdany za pomocą wiadra z nieczystościami, można go spokojnie wyłączyć ze sprawy.

–Nie sądzę, żeby to on ich uwolnił – powiedział kapitan Howard. – Przypuszczam jednak, że był czymś szpiegiem, który przekazał im szczegóły planu.

–Nie przekazywałem nikomu żadnego planu – wyrwało się Arthurowi.

Alvin ścisnął go mocniej. Żaden niewolnik nie miał prawa mówić w ten sposób do białego,

zwłaszcza do kapitana statku.

Nagle zza pleców Howarda i Tralisa odezwał się ktoś jeszcze:

–Możesz im powiedzieć, chłopcze. Nie trzeba już utrzymywać tego w tajemnicy.

To był Bowie.

Alvin zastanowił się z rozpaczą, jakich to sztuczek pirotechnicznych będzie musiał użyć, aby odwrócić uwagę wszystkich i uciec z Arthurem.

Bowie powiedział jednak coś, czego Alvin zupełnie nie oczekiwał.

–To ja poleciłem chłopcu dowiedzieć się od nich paru rzeczy. Szykowali jakiś paskudny rytuał Mexica. Coś z wyrywaniem serc w nocy, gdy już zostaną naszymi przewodnikami. Zdradziecka banda. Postanowiłem, że lepiej będzie bez nich.

–Ty postanowiłeś! – warknął kapitan Howard. – A kto ci dał takie prawo?

–Mianowałeś mnie dowódcą zwiadowców, a oni mieli być w zwiadzie. Zaważyły względy bezpieczeństwa. To od początku był głupi pomysł. Jak sądzicie, dlaczego Mexica zostawili ich przy życiu, zamiast wydrzeć im serca? To była pułapka. Od samego początku. No, ale nie daliśmy się w nią złapać.

–Wiesz, za jaką cenę? – spytał kapitan.

–Nic cię nie kosztowali – powiedział Travis. Na tę uwagę kapitan nieco spuścił z tonu.

–Chodzi o zasadę. Tak ich uwalniać...

–Nie do końca – powiedział Bowie. – Wysłałem ich za rzekę. Jak myślicie, co się tam z nimi stanie? O ile przepłyną w tej mgle, oczywiście.

Było jeszcze trochę narzekań, ale też i śmiechu, i ostatecznie sprawa ucichła.

Alvin wrócił do kabiny i poczekał na Bowiego.

–Dlaczego? – spytał.

–Powiedziałem, że umiem dochować tajemnicy – odparł Bowie. – Obserwowałem ciebie i chłopaka i muszę przyznać, że było warto. Otworzyliście kajdany, nawet ich nie dotykając. Nie sądziłem, że w ogóle istnieje taki dar. Jak rozumiem, jesteś stwórcą.

–To chodź ze mną – powiedział Alvin. – Zostaw tych ludzi. Nie wiesz, że ich los jest przesądzony? Mexica nie są głupi. Podróżujesz z trupami.

–Może i tak. Potrzebują jednak moich umiejętności. Ty nie.

–Bynajmniej. Nie wiem, ilu ludzi na tym świecie potrafi ukryć przede mną swój płomień serca. To twój talent, prawda? Znikać ludziom z oczu, gdy tylko chcesz. Nie zauważyłem, byś nas obserwował.

–A mimo to wczoraj cię obudziłem, tylko sięgając do worka – powiedział Bowie, szczerząc zęby.

–Sięgając? A może odkładając go na miejsce?

Bowie wzruszył ramionami.

–Dziękuję, że nas ochroniłeś i wzięłeś winę na siebie. Bowie zachichotał.

–Jaka tam wina. Travis miał już serdecznie dość wszystkich kłopotów związanych z utrzymaniem tych czarnych. Tylko Howard się przy nich upierał, ale on się z nami nie wybiera. Ma nas tylko wysadzić na brzegu Mexica.

–Mogę cię uczyć. Tak jak uczę Arthura Stuarta.

–Nie, chyba nie. Jak powiedziałaś, bardzo się od siebie różnimy.

–Nie na tyle, abyś nie mógł się zmienić. Jeśli zechcesz.

Bowie tylko pokręcił głową.

–Dobrze, podziękuję ci zatem w jedyny sposób, który sprawi ci radość.

Bowie zastygł w oczekiwaniu.

–Tak?

–Już zrobione. Jest taki jak dawniej.

Bowie sięgnął do pasa. Pochwa nie była pusta. Wyciągnął nóż. Ujrzał porządne, zupełnie nie zmienione ostrze.

Można by pomyśleć, że trzyma w rękach cudem odzyskane dziecko.

–Jak to zrobiłeś? – spytał. – Nawet go nie dotknąłeś.

–Było tam cały czas. Tyle że jakby nieco rozproszone.

–Po prostu nie mogłem go zobaczyć?

–I niczego nie mogło przeciąć.

–A teraz już może?

–Przypuszczam, że zginiesz w krainie Mexica. Chcę dać ci jednak szansę, abyś złożył wcześniej nieco ofiar.

–Tak będzie – powiedział Bowie. – Z tym, że oczywiście nie zginę.

–Mam nadzieję, że się jednak mylę, a ty masz rację.

–A ja mam nadzieję, że będziesz żył wiecznie, Alvinie Stwórco – odparł nożownik.

Tego ranka Alvin i Arthur Stuart zeszli z pokładu statku, podobnie jak Abe Lincoln i Cuz. Razem wyruszyli do Nuevy Barcelony, a po drodze opowiadali sobie niewiarygodne historie. Ale to już całkiem inna opowieść.

Przełożył Radosław Kot

Obca

Diana Gabaldon

Outlander (1991) *Obca* (1999)

Dragon fly in Amber (1992) *Uwięziona w bursztynie* (2000) *Voyager* (1994) *Podróżniczka* (2000) *Drums of Autumn* (1997) *The Outlandish Companion* (1999) *The Fiery Cross* (2001)

A Breath of Snow and Ashes (w przygotowaniu)

Lord John Grey *Hellfire* (nowela opublikowana w Wielkiej Brytanii w zbiorze *Past Poisons*, 1998)

Lord John and the Private (2003)

Lord John and the Brotherhood of the Blade (w przygotowaniu)

W 1946 roku młoda kobieta imieniem Claire Beauchamp Randall wyjeżdża z mężem do Szkocji na drugi miesiąc miodowy. Wcześniej rozdzielili ich wojna – Frank był oficerem, ona pielęgniarką w szpitalu polowym – i teraz postanowili odtworzyć małżeństwo oraz pomyśleć o założeniu rodziny. Plany biorą w łeb, kiedy Claire, wędrując samotnie po górach, pewnego popołudnia wchodzi w kamienny krąg i znika.

Pierwszą osobą, jaką widzi po odzyskaniu przytomności, jest mężczyzna w mundurze oficera brytyjskiego z XVIII wieku, dziwnie podobny do jej męża. Jak się jednak okazuje, nie

ma w tym niczego dziwnego, gdyż jest to jego prapradziadek, kapitan Jonathan Randall zwany Black Jackiem. Poza wyglądem obaj mają jednak niewiele wspólnego, gdyż przodek jest sadystycznym biseksualnym zbrojnym. Uciekając przed nim, Claire wpada w ręce Szkotów, którzy z prywatnych powodów też pragną uniknąć spotkania z Black Jackiem.

W wyniku zawilego splotu wydarzeń Claire, aby pozostać poza zasięgiem kapitana Randalla, zgadza się poślubić młodego Szkota Jamiego Frasera. Cały czas ma nadzieję uciec, wrócić do kamiennego kręgu i do swoich czasów. Po czym stopniowo zakochuje się we Fraserze.

Cykl podstawowy to historia Claire, Jamiego i Franka oraz skomplikowane losy podwójnego małżeństwa obejmującego dwa różne wieki. Jest to także historia ostatniego powstania szkockich górali pod wodzą Karola Edwarda Stuarta i ucieczki pokonanych w bitwie pod Culloden do Nowego Świata pełnego obietnic, a w rzeczywistości równie niebezpiecznego jak stary. A niejako przy okazji cykl „Obca” zajmuje się niuansami, działaniem i komplikacjami podróży w czasie i historii.

W serii występują setki postaci tak historycznych, jak i fikcyjnych. Jedną z najciekawszych i najbardziej skomplikowanych jest lord John Grey, którego czytelnik poznaje w powieści *Dragonfly in Amber*, a który potem występuje we wszystkich książkach serii. Jako homoseksualista w czasach, gdy ta skłonność mogła zaprowadzić na szubienicę, był przyzwyczajony do dochowywania tajemnicy. Był też człowiekiem honorowym i uczuciowym (uczucia te nie zawsze były odwzajemniane).

Jego przygody przeplatają się z losami głównych bohaterów w tej samej linii czasowej (choć jest ona dość skomplikowana) i w tym samym wszechświecie, ale tu główną postacią jest lord John Grey.

Lord John I Sukub Diana Gabaldon

Nota historyczna: W latach 1756-1763 Wielka Brytania wraz z sojusznikami - Prusami i Hanowerem – walczyła z połączonymi siłami Austrii, Saksonii i Francji (swego odwiecznego wroga). Jesienią 1757 roku książę Cumberland został zmuszony do kapitulacji pod Kloster-Zeven, pozostawiając Fryderyka Wielkiego okrążonego przez wojska francusko-austriackie, a resztę sił sprzymierzonych w rozsypce i nieładzie. Konflikt ten przeszedł do historii jako wojna siedmioletnia.

I. Śmierć na białym koniu jeździ

Niemiecki Greya poprawiał się skokowo, ale stale, mimo to ledwie wystarczył w obecnej sytuacji. Pod koniec długiego nudnego dnia pełnego deszczu i papierkowej roboty z korytarza dobiegły odgłosy głośnej dysputy, po czym w drzwiach pokoju Greya pojawiła się głowa kaprała Helwiga. Kapral miał przepraszającą minę. – Major Grey? – spytał – *Ich habe ein kleines Englisch problem*. Chwilę później kapral Helwig zniknął w korytarzu na

podobieństwo węgorza w mule, a major John Grey, brytyjski oficer łącznikowy przy 1. Regimencie Piechoty Hanowerskiej, stał się rozjemcą w trójstronnym problemie, którego uczestnikami byli: szeregowy piechoty brytyjskiej, cygańska prostytutka i pruski karczmarz.

„Mały problem z angielskim” – powiedział Helwig. Z tego, co Grey słyszał i widział, wynikało, że problem polegał raczej na braku angielskiego, to znaczy braku wspólnego języka.

Karczmarz mówił jakimś lokalnym dialektem z taką szybkością, że Grey rozumiał jedno słowo na dziesięć. Szeregowy potrafiący wydukać co najwyżej „ja”, „nein”, parę przekleństw i ze trzy zdania pozwalające zamówić coś do picia albo sfinalizować niemoralną transakcję, był tak wściekły, że nawet po angielsku słowa nie mógł wykrztusić.

Cyganka zaś, której urodę psuł brak zęba, znała niemiecki mniej więcej tak jak on sam, jeśli chodzi o stronę gramatyczną, bo słownictwo miała zdecydowanie bogatsze i barwniejsze.

Grey gestami zmusił w końcu karczmarza do zamilknięcia, podobnie jak i szeregowca, który próbował coś powiedzieć, ale głównie się jękał, i skupił się na wyjaśnieniach Cyganki. Choć zdawał sobie przy tym sprawę, że prawdopodobnie jej wersja ma niewiele wspólnego z prawdą.

–...a potem ta angielska świnią wsadziła mi (nieznane cygańskie słowo) swojego (niezrozumiały kolokwializm)! A potem...

–Popopowiedziała, że zrobi to za sześć pensów, sir! Tak powiedziała, alalale...

–Te-świńskie-psy-robiły-pod-stołem-ohydne-rzeczy-i-go-wywró-ciły-aż-noga-się-złamała-i-naczynia-potłukły-nawet-mój-duży-półmi-sek-co-kosztował-sześć-talarów-w-St.Martin-na-odpuście-i-mięso-się-zmarnowało-bo-spadło-na-podłogę-i-psy-je-porwały-a-mnie-pogryzły-gdy-chciałem-im-zabrać-a-cały-czas-tamci-się-pieprzyli-jak-bure-lisy-na-podłodze-a-

Potem...

W końcu udało się osiągnąć jakieś porozumienie dzięki temu, że Grey zażądał, by wszyscy wysypali na stół całą posiadaną w kieszeniach gotówkę. Niechętnie i z grymasami, ale uczynili, co kazał, i na stole pojawiły się trzy niewielkie kupki miedziaków tu i ówdzie przetykanych srebrem. Grey przeliczył je, biorąc pod uwagę wielkość monet i wartość metalu, a nie nominały, jako że monety pochodziły z przynajmniej sześciu różnych krajów. Po czym poprzekładał nieco monet z różnych kupek na inne i dwie mniej więcej równe podsunął Cygance oraz szeregowcowi nazwiskiem Bodger. W kupce Cyganki były złote kolczyki i złota obrączka dość prymitywnej roboty.

Większą zaś dał karczmarzowi, po czym spojrzał groźnie na wszystkich, wskazał na pieniądze, a zaraz potem na drzwi. Błyskawicznie zrozumieli, że mają zabierać gotówkę

i zmiatać, nim się zdenerwuje i straci panowanie nad sobą.

I tak też zrobili, choć Cyganka posłała mu na pożegnanie wysoce interesujące przekleństwo, które zapamiętał do przyszłego wykorzystania.

Po czym mógł wreszcie w spokoju wrócić do przerwanej korespondencji.

26 września 1757

Do Harolda, earla Melbton od lorda Johna Grey-Maitland

Królestwo Prus

Milordzie, W odpowiedzi na pytanie dotyczące mojej sytuacji ośmielam się twierdzić, że jest dość dobra. Moje obowiązki i warunki życia są całkiem znośne...

Zrobił przerwę, uśmiechając się lekko na myśl, jak też Hal to zinterpretuje.

Zakwaterowany jestem z kilkoma brytyjskimi i niemieckimi oficerami w domu księżnej von Lowenstein, wdowy po pomniejszym pruskim arystokracie, mającej miłą posiadłość w pobliżu miasta.

Kwaterują tu dwa brytyjskie regimenty: 35. Regiment Piechoty sir Petera Hicksa i pułk 52., którym, jak słyszałem, dowodzi pułkownik Ruysdale. Nie spotkałem go jeszcze, ponieważ jego oddział przybył ledwie kilka dni temu. Zostałem przydzielony do hanowerskiego regimentu piechoty, który wraz z Prusakami zajmuje wszystkie nadające się do tego kwatery w miasteczku. Ludzie Hicksa kwatrują nieco na południe, Ruysdale'a na północ.

Francuskie siły zauważono w odległości mniejszej niż dwadzieścia mil, ale nie spodziewamy się natychmiastowych kłopotów. Ponieważ jednak o tej porze roku śnieg może spaść wcześniej, co oznacza koniec walk, mogą spróbować ostatniego ataku przed zimą. Sir Peter prosił, bym przesłał pozdrowienia.

Zanurzył pióro w kałamarzu i dopisał:

Jestem wdzięczny twojej żonie za bieliznę, nieporównanie lepszej jakości niż dostępna tutaj.

W tym momencie musiał przełożyć pióro do lewej ręki, by podrapać się energicznie po wewnętrznej stronie lewego uda. Miał bowiem na sobie majtki lokalnej produkcji, a te, choć dobrze wyprane i pozbawione robactwa, wykonane były z szorstkiego płótna i na dodatek jeszcze najprawdopodobniej nasączone jakąś substancją uzyskaną z ziemniaków, nadzwyczaj drażniącą skórę.

Powiedz, proszę, matce, że jestem nadal cały i nie głoduję. A nawet wręcz przeciwnie: księżna ma doskonałego kucharza. Kochający brat

Zapieczętował list sygnetem i zabrał się do sporządzania listy śmierci i dezercji, o których donosiły ostatnie meldunki. Było to czysto mechaniczne zajęcie, ale uciążliwe, gdyż właśnie wybuchła epidemia czerwonki i w ciągu ostatnich dwóch tygodni stracili kilkunastu ludzi.

To mu przypomniało ostatnie słowa Cyganki. Coś tam było o krwi i wnętrznościach, choć nie wszystko zrozumiał. Może po prostu próbowała go przekląć, by zapadł na czerwonkę...

Przerwał zapisywanie, bawiąc się piórem. Czerwonka raczej nie występowała przy tak chłodnej pogodzie. Była to choroba typowo letnia, pojawiająca się w upały. Zima to czas gorączki, grypy, kataru i suchot.

Nie był zbyt skłonny wierzyć w klątwy, natomiast wierzył w trucizny. Dziwka miała dość okazji, by truć klientów... tylko po co? Zabrał się do lektury kolejnych meldunków, ale nie stwierdził nagłej fali napadów czy zaginięć cennych przedmiotów, a koledzy zmarłego na pewno by to zauważyli. Choćby dlatego, że rzeczy martwego żołnierza sprzedawano na aukcji, a z uzyskanych w ten sposób pieniędzy spłacano jego długi, toteż wszyscy byli tym żywo zainteresowani. Jeżeli coś zostało, wysyłano to rodzinie.

Wzruszył ramionami – choroby i śmierć zawsze szły krok w krok za wojskiem, niezależnie od pogody czy cygańskich klątw. Mimo to dobrze byłoby ostrzec szeregowego Bodgera, by uważał na to, co je, zwłaszcza w towarzystwie kobiet lekkich obyczajów.

Zaczął padać delikatny deszcz i jego stukanie o szyby połączone z uspokajającym szelestem papierów oraz skrzypieniem pióra spowodowało miłe uczucie bezmyślnej senności.

Z której wyrwał go odgłos kroków na drewnianych schodach.

Do pokoju wszedł, schylając się odruchowo, by nie wyrznąć czołem w futrynę, kapitan Stephan von Namtzen, landgrave von Erdberg. Jegomość idący za nim nie musiał się schylać, jako że był o dobrą stopę niższy.

–Kapitanie von Namtzen. – Grey wstał uprzejmie. – W czym mogę panu pomóc?

–Przyprowadziłem Herr Blomberga – wyjaśnił po angielsku Stephan, wskazując głową niskiego, nerwowego grubaska. – Chciałby pożyczyć twojego konia.

Grey był tak zaskoczony, że zamiast spytać, kim jest Blomberg i po co mu koń, wykrztusił tylko:

–Którego?

Po przyjrzeniu się gościowi stwierdził, że Herr Blomberg jest jakimś urzędnikiem państwowym, gdyż na szyi nosił ozdobny złoty łańcuch o szerokich ogniwach, na których zawieszona była siedmioramienna gwiazda. Umocowano na niej plaketkę z namalowaną jakąś historyczną sceną. Grawerowane srebrne guziki i klamry przy butach dowodziły, że jest to człek majątny, łańcuch zaś, że nie jest szlachetnie urodzony.

–Herr Blomberg jest w miasteczku Burgermeister – wyjaśnił Stephan, jak zwykle podchodząc do sprawy logicznie i w sposób uporządkowany. – Potrzebuje białego ogiera, żeby odkryć i zniszczyć sukuba. Ktoś powiedział mu, że masz takiego konia.

I zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, kto też udzielił burmistrzowi tak dokładnych informacji.

–Sukuba? – spytał Grey, ustawiając wypowiedź Stephena według własnych zasad logicznych.

Herr Blomberg nie znał angielskiego, ale to słowo musiał rozpoznać, bo energicznie pokiwał głową, omal nie zrzucając przy tym staromodnej peruki, po czym wygłosił długą przemowę, gwałtownie przy tym gestykułując.

Przy aktywnej pomocy Stephana Grey zdołał zrozumieć, że Gundwitz odwiedziła ostatnio seria tajemniczych i niepokojących wydarzeń. Konkretnie wielu mężczyzn twierdziło, że w czasie snu padli ofiarami młodej kobiety o demonicznym wyglądzie. Nim o wydarzeniach dowiedział się burmistrz, sytuacja stała się poważna – zginął człowiek.

–Niestety – dodał po angielsku Stephan – zabity był nasz.

I zacisnął usta, nie ukrywając, że nie podoba mu się to wszystko.

–Nasz? – spytał Grey, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, poza tym że mowa o żołnierzu.

–Mój – sprecyzował Stephan z wyraźnym niezadowoleniem. – Prusak.

Landgrave von Erdberg miał pod sobą trzystu piechurów hanowerskich zaciągniętych z własnych ziem i wyekwipowanych oraz utrzymywanych z własnych funduszy. Poza tym pod jego rozkazami znajdowały się dwie kompanie pruskiej jazdy, a czasowo także część baterii artylerii, której oficerowie zmarli na czerwonkę.

Grey miał zamiar poznać więcej szczegółów dotyczących zarówno samej śmierci, jak i demonicznych wizyt, ale przepytывanie Stephana przerwał mu Herr Blomberg z minuty na minutę tracący spokój i opanowanie.

–Wkrótce będzie ciemno – oświadczył po niemiecku. – Nie chcemy wpaść do otwartego grobu, i tak jest strasznie mokro.

–*Ein offenes Grab?* - powtórzył Grey, czując nagle dreszcz na plecach.

–Zgadza się – przytaknął Stephan. – Źle by się stało, gdyby twój koń złamał nogę. To wspaniałe zwierzę. Lepiej już chodźmy.

–Co to jest su...sukub, milordzie? – spytał szcękający zębami Tom Byrd.

Szcękał głównie dlatego, że było mu zimno: słońce zaszło, deszcz lał i sam Grey czuł, jak przez ramiona jego oficerskiego płaszcza przesiąka powoli wilgoć. Byrd był tylko w cienkiej kurtce mundurowej, która przemokła błyskawicznie i przygnęła do jego pleców i piersi niczym papier do świeżej wołowiny u rzeźnika.

–Jak mniemam, to taka odmiana żeńskiego... ducha – poinformował go Grey, starannie unikając określenia „demon”.

Przed nimi znajdowała się otwarta brama cmentarza, a rozpościerająca się za nią ciemność wyglądała zdecydowanie groźnie. Nie było sensu straszyć chłopaka.

–Konie nie lubią duchów – przyznał Byrd. – Wszyscy to wiedzą, milordzie.

Objął się ramionami, ale i tak trząśnięty z zimna, więc przysunął się bliżej do Karolusa. Ten jakby na potwierdzenie potrząsnął łbem, opryskując wodą z grzywy tak Greya, jak i jego ordynansa.

–Chyba nie wierzysz w duchy? – zdziwił się Grey, siłąc się, by jego ton brzmiał krzepiąco.

I przetarł dłonią twarz, zbierając z niej mokre kosmyki włosów. Miał nadzieję, że Stephan się pospieszy.

–Nie chodzi o to, czy ja w nie wierzę, milordzie, tylko czy one wierzą w nas. Kto to w ogóle jest ten sukub? – zainteresował się Byrd, ignorując fakt, iż latarnia, którą niósł, strzelała na deszczu, gdyż osłona była nieszczelna.

Migotliwy, przygaszony płomień oświetlał niewiele więcej niż jego i konia, ale za to wyraźnie odbijał się w ich oczach, nadając im niesamowity blask.

Grey spojrzał z nadzieją w kierunku karczmy, do której burmistrz i Stephan udali się po kopaczy. Znajdowała się na drugim końcu ulicy i widać było wokół niej jakiś ruch. Pomysł był sensowny, bo ludzie odurzeni piwem z pewnością z większym entuzjazmem niż trzeźwi podejść do perspektywy nocnego kopania na cmentarzu.

–Nie wiem dokładnie, bo nie wierzę w duchy – wyjaśnił. – Natomiast Niemcy zdają się uważać, że sukub, czyli ee... żeński duch, może pojąć ciało niedawno zmarłego.

Tom spojrzał w stronę cmentarnej bramy, po czym wrócił spojrzeniem do Greya.

–Och? – bąknął.

–Ach – odparł Grey.

Byrd bez słowa nacisnął kapelusz na uszy, wtulił głowę w stojący kołnierz kurtki i przytulił do piersi linkę do wiązania konia. Opuszczone kąciki ust i przygnębiona mina mówiły same za siebie.

Karolus przestąpił z nogi na nogę i rzucił łbem. Deszcz i cmentarz zdawały się nie wywierać na nim wrażenia, ale najwyraźniej zaczynał się nudzić. Grey poklepał go po szyi, a ogier odwrócił łeb i parsknął mu prosto w ucho, co było przejawem czułości, nie złościwości.

–Jeszcze chwilkę – powiedział Grey uspokajająco, wczepiając palce w przemoczoną grzywę. – Tom, kiedy zjawi się kapitan von Namtzen z ludźmi, poprowadzisz wolno Karolusa przez cmentarz. Trzymaj się kilka kroków przed nim, ale nie ciągnij go i nie naprężaj linki. Ma iść zupełnie swobodnie.

Rola Toma sprowadzała się do ochrony konia. Chodziło o to, by ten nie potknął się o jakiś rozsypujący się nagrobek albo nie wpadł do otwartego grobu. Dlatego chłopak miał iść przodem, ale Grey uznał, że lepiej mu tego dokładnie nie tłumaczyć. Z tego, co zrozumiał, idealnie byłoby puścić Karolusa samopas na cmentarzu i pozwolić mu samodzielnie połączyć między grobami, ale ani on, ani Stephan nie mieli zamiaru ryzykować, że wierzchowiec w ciemnościach złamie nogę.

Dlatego Grey zaproponował, by poczekać do rana, ale Herr Blomberg się uparł i nie było dyskusji. Sukub musi zostać odnaleziony bez zwłoki. Grey chciał poznać szczegóły napaści, ale zdołał się dowiedzieć niewiele więcej ponad to, że szeregowca Koeniga znaleziono na kwaterze, a jego ciało nosiło ślady jednoznacznie świadczące o tym, jak zginął. Jakie to były ślady, już mu nie powiedziano.

Jako że odebrał klasyczne wykształcenie, czytał o inkubach i sukubach, ale nauczono go, by podobnie jak inne tego typu historie traktował je jak papistowskie przesady wymyślone w średniowieczu. Tak samo jak nonsensy o świętych chodzących z głowami pod pachą czy o posągach, których łzy uzdrawiały. Jego ojciec był racjonalistą, obserwatorem natury i zdecydowanie zwolennikiem logiki, a nie przesądów.

Dwa miesiące spędzone z Niemcami uświadomiły mu, że są oni bardzo przesądni – bardziej nawet niż szeregowi żołnierze angielscy. Nawet Stephan nosił małą, rzeźbioną podobiznę jakiegoś pogańskiego bożka jako ochronę przeciwko uderzeniu pioruna. Sądząc z zachowania burmistrza, było to typowe podejście jak na Prusaka.

Na ulicę wyroili się z karczmy ludzie z pochodniami i śpiewając coś, nieskładnie ruszyli ku nim. Karolus parsknął i zastrzygł uszami. Jak dowiedział się Grey od Stephana, ogier bardzo lubił parady.

–No, wreszcie. – Z mroku wyłonił się Stephan wyglądający na całkiem z siebie zadowolonego. – Wszystko gotowe?

–Od dobrej chwili. Ruszaj, Tom.

Kopacze wyposażeni w szpadle, motyki i oskardy ustawili się z boku, chwiejąc się z lekka i nadeptując jedni drugich. Tom, trzymając przed sobą delikatnie latarnię, zrobił kilka kroków i stanął. Potem odwrócił się i pociągnął za linkę.

Karolus nawet nie drgnął.

–Mówiłem, milordzie: konie nie lubią duchów – oznajmił radośniej. – Mój wuj miał kiedyś dyszlowego, co kroku obok cmentarza nie zrobił. Musieliśmy z nim dwie ulice objeżdżać, żeby minął cmentarz.

Stephan prychnął z niesmakiem.

–To nie duch – oświadczył, występując do przodu z zadartą brodą. – To sukub.

A sukub to demon. To zupełnie co innego.

–*Daemon?* - zaniepokoił się jeden z kopaczy, słysząc znajome słowo. – *Ein Teufel?*

–Demon? – Byrd spojrzał na Greya z wyrzutem.

–Coś w tym guście – przyznał Grey niechętnie. – O ile w ogóle coś takiego istnieje, w co mocno wątpię.

Zachowanie ogiera pozbawiło obecnych pewności siebie. Wśród kopaczy rozległy się szurania i pomruki, a niejedna głowa zwróciła się w stronę karczmy.

Z rozmysłem ignorując te oznaki wahania, Stephan podszedł do ogiera, poklepał go po szyi i powiedział coś zachęcająco po niemiecku. Koń parsknął i rzucił łbem. Nadal nie reagował na delikatne pociąganie za linkę, za pomocą którego Tom próbował go skłonić do pójścia za sobą. W końcu obrócił łeb w stronę Greya, co spowodowało, że Byrd stracił równowagę. Puścił linkę, usiłował utrzymać latarnię, pośliznął się na kamieniu pokrytym błotem i z głośnym plaśnięciem usiadł na tyłku.

Wywołało to ryk śmiechu kopaczy i natychmiast podniosło ich na duchu. Nie zważając na to, że przemokli, a deszcz zgasił część pochodni, powymywali z kieszeni rozmaite kubki, znalazło się też parę bukłaków i ku Tomowi wyciągnęło się kilka rąk z pełnymi już naczyniami. Chcieli zrekompensować mu nieszczęście.

Grey także został poczęstowany. Gdy pociągnął solidny łyk gorzałki o śliwkowym smaku, zdecydował:

–Pojadę na nim.

I zanim Stephan zdążył zaprotestować, złapał Karolusa za grzywę i wskoczył na jego szeroki grzbiet. Koń uznał jego znajomy ciężar za wystarczająco uspokajający czynnik – przestał podejrzliwie strzyc uszami i gdy Grey ścisnął go kolanami, ruszył przed siebie.

Tom także wyraźnie nabrał ducha, gdyż podbiegł i złapał linkę. Z tyłu rozległy się niezbyt składne, za to radosne wiwaty i cała grupa ruszyła w ślad za ogierem przechodzącym właśnie przez otwartą bramę.

Zdawało się, że na cmentarzu jest znacznie ciemniej niż na ulicy. I znacznie spokojniej, bo kopacze szybko przestali żartować, a nawet rozmawiać, i szli w niepewnym milczeniu przerywanym jedynie stłumionymi przekleństwami, gdy któryś po ciemku wlaź na nagrobek. Grey słyszał bębnienie deszczu o swój kapelusz oraz tupoty i młaśnięcia towarzyszące każdemu postawieniu nogi w błocie przez Karolusa.

Wytrzeszczał oczy, próbując dostrzec coś poza kręgiem słabego blasku rzucanego przez latarnię Toma, ale było zbyt ciemno. Było też zimno, a płaszcz przemakał coraz bardziej. Na dodatek zaczęła pojawiać się mgła – widział, jak jej pasemka unoszą się spod butów Toma i znikają w blasku latarni. Ale coraz więcej gromadziło się wokół porośniętych mchem, zaniebanych nagrobków, pochylonych dziwnie niczym zepsute zęby w przeżartych skorbutem dziąsłach.

Jak mu wyjaśniono, biały ogier miał moc pozwalającą wykryć obecność istot nadprzyrodzonych i powinien zatrzymać się przy grobie, który wybrał sobie sukub. Wtedy grób zostanie rozkopany i podejmie się odpowiednie kroki, by tę istotę zniszczyć.

Grey znalazł w tym rozumowaniu kilka luk, zaczynając od samego faktu istnienia sukubów, poprzez wątpliwość, dlaczego rozsądne zwierzę chciałoby mieć z nimi coś wspólnego, a kończąc na tym, że Karolus nie wybierał drogi, bo robił to Tom. Choć nie napinał linki, dla każdego, kto znał konie, było oczywiste, że ogier pójdzie jego śladem, jak długo chłopak będzie szedł przed nim, trzymając linkę.

I było wysoce mało prawdopodobne, by zatrzymał się, jeśli Tom tego nie zrobi. A wtedy jedynym skutkiem całego pomysłu będzie to, że zziębnięci i przemoczeni nie

zdażą na kolację. Ale z drugiej strony byłoby jeszcze bardziej przemoczeni i zziębnięci, gdyby musieli rozkopać grób i wykonać...

Poczuł na łydce czyjaś dłoń i przygryzł język, by nie wrzasnąć.

–Wszystko w porządku? – rozległ się głos Stephana, który w ciemnym wełnianym płaszczu był prawie niewidoczny w mroku, tym bardziej że zostawił na kwaterze ozdobiony piórami kapelusz i nałożył zwykły, znacznie lepiej chroniący przed deszczem.

Stracił w ten sposób nieco na majestatyczności, natomiast stał się bardziej ludzki.

–Naturalnie – odparł Grey, opanowując złość. – Jak długo to potrwa?

Von Namtzen wzruszył ramionami.

–Dopóki koń się nie zatrzyma albo dopóki Herr Blomberg nie będzie usatysfakcjonowany.

–Czyli dopóki Herr Blomberg nie nabierze ochoty na kolację.

Gdzieś z tyłu dobiegał głos burmistrza zachęcającego idących i do dającego im odwagi.

Spod kapelusza von Namtzena wydobył się obłoczek pary towarzyszący ledwie słyszalnemu śmiechowi.

–Jest bardziej... uparty?... niż można by podejrzewać. Pilnowanie dobrobytu miasteczka to jego obowiązek. Zapewniam, że wytrzyma tyle co ty.

Grey zacisnął usta, nie chcąc ponownie gryźć się w język.

Wielka dłoń Stephana nadal obejmowała jego łydkę tuż nad brzegiem cholewy. Mimo że było zimno, nie czuł żadnego bijącego od niej ciepła, ale dawała poczucie bezpieczeństwa i czegoś jeszcze.

–Koń dobrze się sprawuje, *nicht wahr*?

–Jest wspaniały – odparł szczerze Grey. – Jeszcze raz ci dziękuję.

Von Namtzen machnął lekceważąco ręką, ale równocześnie chrząknął z zadowoleniem. Wbrew protestom Greya podarował mu tego ogiera „na dowód sojuszu i przyjaźni”, jak oznajmił. A potem zamknął go w przyjacielskim uścisku i ucałował formalnie – w policzki i w usta. Grey postanowił uważać ten uścisk za przyjacielski tak długo, jak długo okoliczności nie pokażą, że było inaczej. Jeżeli pokażą. Dłoń Stephana nadal obejmowała jego łydkę ukrytą pod fałdą szarego płaszcza...

Spojrzał w stronę kościoła, ciemnego kształtu za cmentarnym murem.

–Jestem zaskoczony, że kapłana tu nie ma – przyznał. – Czyżby nie pochwalał tego... obrzędu?

–Kapłan nie żyje. Jakaś gorączka... *die rote Ruhr*, ponad miesiąc temu. Ze Strausbergu wysłali nowego, ale jeszcze nie przybył.

Czemu nie należało się dziwić, gdyż między Strausbergiem a nimi znajdowały się główne siły francuskie. W tych warunkach podróż była co najmniej utrudniona, jeśli w ogóle możliwa.

–Rozumiem. – Grey obejrzał się przez ramię.

Kopacze zrobili przerwę na otwarcie nowego naczynia ze śliwowicą.

–Wierzysz w tego sukuba? – spytał cicho.

Ku jego zaskoczeniu von Namtzen nie odpowiedział natychmiast. Wciągnął głęboko powietrze i wydawało się, że chce wzruszyć ramionami, ale tego nie zrobił.

–Widziałem... dziwne rzeczy przy wielu okazjach – powiedział w końcu cicho. – Zwłaszcza w tym kraju... a ten człowiek jest martwy.

Uścisnął łydkę Greya i puścił ją.

Grey odetchnął głęboko zimnym, ciężkim powietrzem o zapachu dymu i grobu.

I natychmiast pożałował tego skojarzenia.

–Przyznam, że jednego nie rozumiem – powiedział, poprawiając się na końskim grzbiecie. – Sukub to demon, jeśli się nie mylę. W jaki sposób może więc bezpiecznie ukryć się na cmentarzu? To przecież poświęcona ziemia?

–Och – zdziwił się zapytany, jakby to było coś oczywistego. – Sukub obejmuje w posiadanie ciało zmarłego i odpoczywa w nim w ciągu dnia. Nieboszczyk ma prawo przebywać na cmentarzu, prawda? Ktoś taki za życia musiał naturalnie być zły i wredny, zdeprawowany albo zboczony. I dzięki temu sukub może chronić się na cmentarzu.

–Ile czasu musi minąć od czyjejś śmierci, by sukub mógł pojąć jego ciało? Albo ile maksymalnie może minąć, by jeszcze mógł to zrobić? – spytał Grey.

Takie ograniczenie do stosunkowo świeżych grobów znacznie ułatwiłoby poszukiwania, tym bardziej że z tego, co widział w blasku latarni, większość pobliskich nagrobków stała tu jeśli nie od wieków, to od kilkudziesięciu lat na pewno.

–Tego nie wiem – przyznał von Namtzen. – Podobnie jak nie wiem, czy to ciało opuszcza w nocy grób, czy to demon unosi się w powietrzu. Jedni mówią tak, inni tak.

Toma Byrda nie było już prawie widać we mgle, ale Grey dostrzegł, że chłopak tak wcisnął głowę w ramiona, że kapelusz prawie ich dotykał. Odchrząknął więc i spytał:

–Aha. A... co dokładnie macie zamiar zrobić, jeśli znajdziemy stosowne ciało?

Von Namtzen poczuł się pewniej, co od razu dało się słyszeć.

–A to akurat jest proste. Otworzymy trumnę i przebijemy serce nieboszczyka żelaznym prętem. Herr Blomberg przyniósł odpowiedni.

Z przodu, od strony Byrda, dobiegł trudny do zidentyfikowania dźwięk, który Grey postanowił zignorować.

–Rozumiem – mruknął, wycierając rękawem nos.

Jedyną korzyścią z tej rozmowy było to, że przestał odczuwać głód.

Przez chwilę szli w milczeniu, nawet burmistrz przestał gadać. Z tyłu słychać było tylko mlaskanie towarzyszące krokom w błocie i gulgot świadczący o tym, iż zapasy alkoholu nie zostały wyczerpane, a kopacze wiernie maszerują i pokrzepiają się regularnie.

–Ten zabity – odezwał się w końcu Grey. – Szeregowy Koenig.

Gdzie został znaleziony i jakie obrażenia były na jego ciele? Wspomniałeś coś

o śladach...

Von Namtzen już otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy nagle Karolus spojrział w bok, rozdymając chrapy. Potem rzucił łbem tak gwałtownie, że Grey omal nie oberwał.

1 parsknął. W tym momencie Tom wrzasnął, puścił linkę i rzucił się do ucieczki.

Ogier obrócił się na tylnych nogach i skoczył z przysiadu, przelatując nad niewielkim kamiennym aniołkiem stojącym mu na drodze. Grey ledwie dostrzegł przeszkodę – przestraszyć się już nie zdążył, gdyż rzeźba z otwartymi jakby w zaskoczeniu ustami przemknęła pod końskim brzuchem i zniknęła z pola widzenia.

Nie mając w ręku wodzy i nie mogąc dosięgnąć linki wypuszczonej przez Toma, Grey mógł zrobić tylko jedno – złapać się kurczowo obiema dłońmi grzywy, zacisnąć kolana na bokach ogiera i trzymać się ze wszystkich sił. Za sobą słyszał wrzaski, ale nie zwracał uwagi na nic poza koniem stanowiącym w tej chwili żywioł.

Karolus gnał przez mrok niczym kula armatnia, sadząc długimi susami. Mimo że Grey pochylił się nad jego szyją, wiatr gwizdał mu w uszach, jedynie momentami zagłuszany przez głośny oddech wierzchowca. Albo jego własny – bo tego akurat nie był pewien.

Oczy mu łzawiły, a mokre pasma grzywy chlastały go po twarzy, ale dojrzał gdzieś z przodu migotliwe światełka i zorientował się, że zacierają w stronę zabudowań miasteczka. Od których cmentarz oddzielał sześciostopowej wysokości mur...

Pozostało mu jedynie mieć nadzieję, że koń zauważy go w porę.

Zauważył. Karolus zahamował tak gwałtownie, że spod jego kopyt bryznęły fontanny ziemi i suchej trawy. Grey omal nie przeleciał przez jego łeb, a w następnej sekundzie niemal zjechał po jego zadzie, gdy ogier stanął dęba. A potem opadł na cztery nogi, odwrócił się i

potruchtął spokojnie kawałek, potrząsając łbem, jakby chciał się uwolnić od linki do wiązania.

Grey zsunął się z jego grzbietu i stanął na drżących nogach. Po chwili zdołał chwycić linkę zgrabiętymi palcami i obaj przystanęli.

–Ty biała cholero! – krzyknął pełen radości, że przeżył, i roześmiał się. – Jesteś wspaniały!

Karolus parsknął cicho, słysząc komplement, i lekko trącił go łbem. Wyglądało na to, że już się nie boi. Grey nie miał pojęcia, co spowodowało atak paniki. Miał też nadzieję, że Byrdowi nic się nie stało.

Oparł się o cmentarne ogrodzenie, łapiąc gorączkowo oddech i czekając, aż serce odzyska normalny rytm. Podniecenie powoli ustępowało i zaczął zauważać rzeczy, na które poprzednio nie zwrócił uwagi.

Po przeciwnej stronie cmentarza dojrzał ciasne skupisko pochodni rozświetlających mgłę czerwonałą poświata. Trzymający je mężczyźni stali ramię przy ramieniu, najwyraźniej czymś bardzo zainteresowani. A ku niemu zbliżała się wysoka, czarna postać oświetlona luną. Wyglądała naprawdę groźnie w rozwianym czarnym płaszczu. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to kapitan von Namtzen.

–Majorze Grey! – rozległ się głos von Namtzena. – Majorze Grey!

–Tutaj! – odkrzyknął.

Postać lekko zmieniła kierunek i ruszyła długimi krokami, co chwila wymijając jakąś przeszkodę. Obserwując to nieregularne zygzakowanie, Grey nie mógł wyjść z podziwu, jakim cudem Karolus przebiegł taki teren, nie łamiąc nogi albo i karku. A raczej karków: swojego i jeźdźca.

–John – sapnął Stephan, obejmując go. – Jesteś cały?

–Cały – potwierdził Grey, odwzajemniając uścisk. – Co się stało? I co z moim ordynansem?

–Wpadł w dziurę, ale nic mu się nie stało. Znaleźliśmy ciało. Mężczyzny.

Grey poczuł serce w gardle.

–Co...

–Nie w grobie – pospieszył z zapewnieniem Stephan. – Leży na ziemi wsparty o nagrobek. Twój ordynans nagle dostrzegł w blasku latarni jego twarz i się przeraził.

–Nic dziwnego. Też któryś z twoich?

–Nie. Jeden z waszych.

–Co?! – zdumiał się Grey.

Usiłował zorientować się, czy tamten nie żartuje, ale jego twarz była jedynie ciemnym owalem.

Hanowerczyk uściskał go delikatnie i wypuścił z objęć.

–To angielski żołnierz. Idziesz zobaczyć?

Grey przytaknął, czując dziwny ciężar w piersiach. O mniej niż godzinę konnej jazdy na południe i północ od miasteczka stacjonowały angielskie jednostki. Logiczne było, że

w wolnym czasie żołnierze właśnie tu ciągnęli w poszukiwaniu alkoholu, kompanów do gry w kości czy kobiet. Dlatego przecież on sam się tu znajdował – był oficerem łącznikowym przy sojuszniczych wojskach niemieckich.

Ciało wcale nie wyglądało tak przerażająco, jak się spodziewał. Trup na wpół leżał, na wpół siedział, wsparty o kolano kamiennej matrony trzymającej książkę. Nie było widać ani rany, ani krwi, ale gdy Grey zobaczył jego twarz, poczuł w żołądku lodowatą bryłę.

–Znasz go? – spytał obserwujący go uważnie Stephan.

Jego twarz była równie spokojna i pozbawiona wyrazu oblicza otaczających ich posągów.

–Tak. – Grey przyklęknął obok nieboszczyka. – Rozmawiałem z nim kilka godzin temu.

Delikatnie dotknął palcami szyi nieboszczyka. Skóra była luźna i mokra od deszczu, ale jeszcze ciepła. Nieprzyjemnie ciepła. Spojrzał w dół i zobaczył, że szeregowiec Bodger ma rozpięte spodnie, z których wystaje koszula.

–Nadal ma kutasa czy mu go zjadła? – spytał ktoś półgłosem po niemiecku.

W odpowiedzi rozległy się ciche parsknięcia.

Grey zacisnął usta i szarpnął przemoczoną koszulę. Odprężył się nieco, stwierdziwszy, że szeregowiec Bodger jest bardziej niż cały. Pozostali musieli poczuć to samo, gdyż za jego plecami rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

Wstał, nagle zdając sobie sprawę z głodu, zmęczenia i mokrych pleców.

–Zawińcie go w coś i przynieście... – urwał, zastanawiając się dokąd.

Nieboszczyk musiał wrócić do swego regimentu, ale przy tej pogodzie i po nocy była to niedorzeczność.

–Przynieście go do zamku – zdecydował. – Tom, pokaż im drogę i poproś ogrodnika, żeby zaprowadził was do jakiejś szopy.

–Tak, milordzie. – Tom Byrd był prawie tak blady jak nieboszczyk, na dodatek znacznie bardziej ubłocony, ale już w pełni nad sobą panował. – Mam zabrać konia czy pan na nim pojedzie?

Grey, który zapomniał zupełnie o istnieniu Karolusa, rozejrzał się, szukając go.

Jeden z kopaczy musiał zrozumieć, o co chodzi, gdyż przez grupę przetoczył się pomruk *das Pferd* i wszyscy zaczęli się rozglądać, unosząc wyżej pochodnie i wyciągając szyje.

Ktoś coś zauważył; krzyknął i wycelował palcem w mrok. Rzeczywiście w pewnej odległości widać było nieruchomy biały kształt.

–Jest na grobie!

–Stoi!

–Znalazł go!

Okrzyki nałożyły się na siebie i wszyscy ruszyli w tym kierunku.

Grey zaczął się obawiać, że ogier ponownie przestraszy się i ucieknie.

Do niczego takiego nie doszło. Karolus skubał sobie spokojnie resztki kwiatów złożonych u stóp imponującego nagrobka. Stał przy grupie grobów rodzinnych, z których jeden był całkiem świeży, o czym świadczyły wieńce i wzruszona ziemia. Gdy został oświetlony blaskiem pochodni, Grey bez trudu przeczytał wyryte na nim nazwisko:

BLOMBERG.

II. Ale co tak właściwie robi taki sukub?

Schloss Lowenstein rozświetlały świece i pochodnie, a w kominku mimo późnej nocy płonął ogień. Pora kolacji co prawda dawno minęła, lecz w kredensie jedzenia było w bród, toteż Grey i von Namtzen natychmiast się do niego zabrali. Improwizowaną ucztę przerywali jedynie po to, by zdać relację z wieczornych wydarzeń lub odpowiedzieć na pytania zaciekawionych obecnych.

–Nie! Matka Herr Blomberga? – Księżna von Lowenstein przycisnęła palce do ust, wytrzeszczając równocześnie oczy w pełnym zachwyty niedowierzaniu. – Stara Agatha? Nie wierzę!

–Podobnie jak Herr Blomberg – zapewnił ją von Namtzen, biorąc pieczone udko bażanta. – Był w tej kwestii bardzo... porywczy?

I spojrzął pytająco na Greya, który potwierdził ruchem głowy.

Co prawda sam użyłby określenia „choleryk”, ale nie bardzo wiedział, jak to powiedzieć po niemiecku, tak by obecni właściwie go zrozumieli. Wszyscy mówili po angielsku, okazując tym samym uprzejmość brytyjskim oficerom nie znającym niemieckiego. A obecnych było trzech: Billman, kapitan jazdy, pułkownik sir Peter Hicks, najstarszy rangą w okolicy, i porucznik Dundas, młody Szkot dowodzący sekcją kartograficzną.

–Ta kobieta była święta! Absolutnie święta! – zaprotestowała księżna wdowa Lowenstein, żegnając się starannie. – Nie wierzę w to! Po prostu nie wierzę!

Młodsza księżna posłała teściowej przelotne spojrzenie, po czym odwróciła twarz, napotykać wzrok Greya. Jej niebieskie oczy błyszczały w blasku świec, co było skutkiem wypitego alkoholu i wrodzonej przewrotności.

Od roku sama była wdową, ale znosiła to dzielnie. Grey się temu niezbyt dziwił, jako że sądząc po portrecie wiszącym nad kominkiem, zmarły małżonek był od niej o jakieś trzydzieści lat starszy.

–Jakby mało było kłopotów z Francuzami! – westchnęła, próbując wyglądać na zatrwożoną. – Teraz jeszcze będą nas w snach prześladowały demony!

–Och, pani będzie całkiem bezpieczna, madam. Zapewniam – uspokoił ją sir Peter. – W tym domu jest wystarczająco wielu odważnych oficerów i nie tylko.

Księżna wdowa spojrzała na Greya i powiedziała coś po niemiecku z tak ciężkim akcentem, że ten nie zrozumiał ani słowa. Za to księżna zarumieniła się jak peonia, a von Namtzen zakrzuszył winem.

Kapitan Billman walnął go otwartą dłonią w plecy.

–A są jakieś wieści o Francuzach? – spytał, zdecydowany sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze, czyli bardziej ziemskiej natury tematy.

–Wygląda na to, że trochę ich się tu zaczęło kręcić – odparł Billman, wskazując wzrokiem obecne niewiasty, co sugerowało, że owo „trochę” było zamierzonym eufemizmem. – Pewnie za dzień lub dwa ruszą na zachód.

Albo do Strausbergu, by dołączyć do regimentu, który tam stacjonował. Grey nie powiedział tego jednak, tylko odwzajemnił spojrzenie Billmana. Gundwitz bowiem leżało w dolinie rzeki stanowiącej najdłuższą, ale najwygodniejszą drogę do miasta.

–Tak więc sukub wam uciekł, co? – spytał Billman, zmieniając te mat.

Von Namtzen odchrząknął.

–Nie powiedziałbym tego – ocenił. – Herr Blomberg co prawda nie pozwolił otworzyć grobu, ale ustawiłem przy nim warty.

–Od ochotników musiało być gęsto – bąknął sir Peter, spoglądając na najbliższe okno.

Mimo paru warstw jedwabnych i wełnianych zasłon oraz zamkniętych drewnianych okiennic słychać było szum deszczu przetykany odległym grzmotem piorunów.

–Dobry pomysł – oświadczył jeden z niemieckich oficerów łamanym, ale zrozumiałym angielskim. – Plotki w wojsku zła rzecz. Zwłaszcza o demonach, a żołnierz blisko.

–Ale co tak właściwie robi taki sukub? – spytała księżna.

Wywołało to serię kaszlnięć, chrząknięć i nagłego zainteresowania winem wśród obecnych mężczyzn, zgodnie unikających jej pytającego spojrzenia. I pogardliwe prychnięcie księżnej wdowy najwyraźniej uważającej ich reakcję za tchórzliwą.

–Sukub to demon żeński – wyjaśniła synowej.– Przybywa do mężczyzn w snach i odbywa z nimi stosunek, by uzyskać ich nasienie.

Oczy księżnej stały się okrągłe – nie ulegało wątpliwości, że tego nie wiedziała.

–Dlaczego? – zdumiała się. – Przecież demony nie mogą rodzić dzieci, prawda? Więc po co mu to?

Grey poczuł, jak ogarnia go wesołość, więc czym prędzej zajął się winem.

–Nie mogą – zgodził się Stephan von Namtzen, nieco przy tym czerwieniejąc, ale z determinacją brnął dalej: – Sukub po uzyskaniu... eee... esencji parzy się z inkubem, czyli męskim demonem.

I skłonił się uprzejmie księżnej wdowie, która odruchowo dotknęła jakiegoś religijnego medalionu przypiętego do sukni.

Von Namtzen wziął głęboki oddech, świadom, że wszyscy go słuchają, i wbił wzrok w portret zmarłego księcia. Po czym dodał:

–Inkub nocą wyszukuje zwykłą kobietę, kopuluje z nią i zapładnia ukradzionym nasieniem, powołując w ten sposób do życia kogoś, kogo określamy mianem diabelskiego pomiotu.

Porucznik Dundas, młodzian i najpewniej prezbiterianin, wyglądał, jakby właśnie ktoś go dusił. Pozostali, choć zdecydowanie pokraśniali na twarzach, próbowali sprawiać wrażenie, że cała sprawa jest im znana i niewiele ich w sumie obchodzi. Księżna wdowa przyjrzała się z namysłem synowej, a potem wbiła wzrok w portret zmarłego syna z taką miną, jakby pogrążyła się w niesłyszalnej dla reszty rozmowie.

–Ooch! – Pomimo późnej godziny i nieformalnego charakteru spotkania księżna miała ze sobą wachlarz.

Teraz rozłożyła go, kryjąc za nim twarz, tak że widać było tylko oczy. Spojrzała na Greya prosząco i spytała:

–Lordzie Johnie, czy naprawdę myśli pan, że taka kreatura kręci się gdzieś w pobliżu? – I zadrżała, wdzięcznie poruszając przy tym biustem.

Ani wyraz oczu, ani biust nie wywarły na zapytanym wrażenia. Tym bardziej że był pewien, iż księżna jest całą sprawą bardziej podniecona niż przestraszona. Niemniej uśmiechnął się i odparł uspokajająco, jak przystało na racjonalnego Anglika.

–Jestem pewien, że taki stwór nie istnieje.

Jakby na przekór jego słowom w tym momencie zawiąło potężnie – wiatr załomotał okiennicami i zagwizdał w kominie, a o dach z wielką siłą uderzyły krople. Deszcz tak lał, że przez moment nie sposób było rozmawiać.

Wszyscy znieruchomieli, słuchając odgłosów tej furii żywiołów. Grey spojrzał na Stephana – ten uniósł nieco podbródek i uśmiechnął się lekko. Grey odpowiedział podobnym uśmiechkiem i odwrócił głowę. Zrobił to akurat w momencie, gdy jakiś ciemny kształt wpadł przez komin i z przeraźliwym wrzaskiem wylądował w ogniu.

Zawtórowały mu natychmiast kobiety. I być może porucznik Dundas, ale tego Grey nie był w stanie stwierdzić.

Coś miało się rozpaczliwie w ogniu, piszcząc przeraźliwie. Po sali rozszedł się smród palącej się skóry – ostry i

kwaśny. Grey odruchowo złapał pogrzebacz i wygarnął owo coś z kominka na znajdującą się przed nim blachę, gdzie nadal podskakiwało dziko i wyło rozdzierająco.

Stephan podbiegł i rozgniółł je obcasem, uciszając na zawsze.

–Nietoperz! – oznajmił spokojnie. – Zabierz go!

Służący, do którego skierowane było polecenie, czym prędzej podszedł, przykrył serwetką rozdeptane i nadpalone truchło i zgrabnie umieścił je na tacy. Po czym wyniósł majestatycznie z salonu. Grey z trudem powstrzymał się od śmiechu, gdyż oczyma wyobraźni zobaczył powrót nietoperza w roli pieczystego przystrojonego zieleniną na śniadanie.

W salonie zapadła cisza. Przerwało ją niespodziewane bicie zegara – wszyscy najpierw podskoczyli, a potem wybuchnęli nerwowym śmiechem.

Stało się to jakby sygnałem do zakończenia wieczoru – kobiety wycofały się na spoczynek, a mężczyźni podzielili na małe grupki, dopijając wino i brandy. Grey bez zdziwienia stwierdził, że koło niego znalazł się sir Peter.

–Można na słowo, majorze? – spytał cicho.

–Oczywiście, sir.

Odeszli na bok pod pretekstem obejrzenia niezwykle naturalistycznej rzeźby Erosa stojącej na jednym ze stolików.

–Rano, jak sądzę, dostarczy pan ciało do Pięćdziesiątego Drugiego? – spytał sir Peter.

Wszyscy oficerowie obejrzeni trupa i stwierdzili, że zmarły nie należał do ich oddziałów. W drodze eliminacji uznano więc, że musiał Regimentu Pieszego pułkownika Ruysdale'a kwaterującego po drugiej stronie miasteczka.

Nie czekając na odpowiedź, sir Peter dodał:

–Francuzi przygotowują się do czegoś. Po południu zwiadowcy zameldowali o ich wzmożonej aktywności. Nie wiemy tylko, gdzie i kiedy się ruszą. Byłbym znacznie spokojniejszy, gdyby Ruysdale przesunął część ludzi bliżej mostu w Aschenwaldzie. Tak na wszelki wypadek.

–Rozumiem – przytaknął ostrożnie Grey. – I chce pan, bym mu zawiózł taką wiadomość.

Sir Peter skrzywił się lekko.

–Wiadomość to on już dostał, bo wysłałem do niego kuriera. Ale tak sobie myślę, że nie byłoby źle, gdyby pan mu zasugerował, że von Namtzen także by sobie tego życzył.

Grey mruknął coś niezobowiązująco.

Wszyscy wiedzieli, że między Peterem a Ruysdale'em nie panują najlepsze stosunki, mimo że pierwszy był nominalnym dowódcą sił stacjonujących w okolicy. Pomysł był więc sensowny, gdyż Ruysdale mógł być bardziej skłonny zrobić to, na czym zależało sojusznikowi, niż to, o co prosił przełożony, który miał równą szarżę, a tylko nieco dłuższe starystwo.

–Wspomnę o tym kapitanowi von Namtzenowi – odparł. – Spodziewam się, że zgodzi się z pańską opinią, sir.

Zamierzał odejść, ale coś w zachowaniu rozmówcy powiedziało mu, że ten ma jeszcze jakąś sprawę.

–Sir? – spytał więc.

–Sądzę... – sir Peter rozejrzał się i jeszcze bardziej ściszył głos -...że należałoby doradzić księżnej... delikatnie, ma się rozumieć, bo nie ma powodów do alarmu... że istnieje pewna niewielka możliwość... że gdyby Francuzi chcieli przejść doliną...

Urwał, położył dłoń na głowie Erosa i wskazał wymownym gestem drugiej ręki inne ozdoby pomieszczenia. Było

wśród nich sporo kosztownych, rzadkich okazów.

–Mogłaby chcieć przenieść się wraz z rodziną w bezpieczniejsze miejsce – dodał. –

I umieścić w równie bezpiecznych kryjówkach kilka drobiazgów. Niechętnie ujrzałaby

coś takiego dekorującego biurko jakiegoś francuskiego generała, prawda?

„Coś takiego” było czaszką olbrzymiego niedźwiedzia. Jak poinformowała ich wcześniej księżna, dawno wymarłego niedźwiedzia jaskiniowego. Czaszka spoczywała na niewielkim stoliku i była pokryta cienką złotą blachą wiernie oddającą jej kształt oraz ozdobioną prymitywnymi wzorami. Od nosa do nasady pyska biegł rząd półszlachetnych kamieni, który następnie rozdzielał się, okrążając oba oczodoły.

–Prawda – zgodził się Grey. – Jest całkiem... Rozumiem, że chciałby pan, bym o tym

z księżną porozmawiał?

Sir Peter odprężył się zauważalnie.

–Wydaje się mieć do pana słabość – przyznał ze zwykłym humorem. – Więc pańska rada może zostać uważniej wysłuchana, nie? Poza tym jest pan oficerem łącznikowym, prawda?

–Jestem – przyznał średnio zadowolony Grey, który właśnie uświadomił sobie, że dostał rozkaz. – Zajmę się tym tak szybko, jak tylko będę mógł, sir.

I nie zatrzymywany przez sir Petera oddalił się w kierunku schodów.

Księżna von Lowenstein rzeczywiście zdawała się mieć do niego słabość i nie był zaskoczony, że sir Peter to zauważył. Na szczęście miała też słabość do Stephana von Namtzena, i to chyba większą, jako że na obiad regularnie serwowano na jego cześć hanowerskie przysmaki.

Grey dotarł na piętro i zawahał się – na schody wychodziły trzy korytarze i za każdym razem musiał się zastanowić, który prowadzi do jego pokoju. Przy tej okazji kątem oka dostrzegł ruch w lewym i odwrócił się na tyle szybko, by dostrzec, jak ktoś chowa się za płytową zbroją stojącą przy ścianie.

–*Wer ist das?* - spytał ostro.

I usłyszał stłumione westchnienie.

Ostrożnie, lecz szybko podszedł do zbroi i zajrzał za nią. Zobaczył małego, ciemnowłosego chłopca przytulonego do ściany i obiema dłońmi zasłaniającego usta. Chłopiec miał oczy jak spodki i ubrany był w nocną koszulę oraz szlafmycę, co jednoznacznie świadczyło, że uciekł ze swego pokoju, w jakiś sposób gubiąc po drodze nianię. Grey widział go wcześniej raz czy dwa, więc wiedział, że to syn księżnej, tylko nie bardzo pamiętał, czy ma na imię Heinrich czy Reinhardt.

–Nie bój się – powiedział, wolno i wyraźnie wymawiając niemieckie słowa. – Jestem

przyjacielem twojej mamy. Gdzie jest twój pokój?

Chłopak nie odpowiedział, ale odruchowo spojrzął w głąb korytarza. Grey nie dostrzegł żadnych otwartych drzwi, toteż wyciągnął ku niemu dłoń, mówiąc:

–Jest już bardzo późno. Poszukamy twojego łóżka?

Dzieciak tak energicznie pokręcił głową, że pompon szlafmycy uderzył o ścianę.

–Nie chcę do łóżka – oznajmił. – Tam jest zła kobieta. *Eine Hexe*.

–Czarownica? – powtórzył Grey, czując, jak coś zimnego przesuwa mu się po

plecach. – A jak ona wygląda?

Malec spojrział na niego nie rozumiejącym wzrokiem.

–Jak czarownica – powtórzył cierpliwie.

–Aha – bąknął Grey, po czym wyciągnął rękę. – Chodź i pokaż mi ją. Jestem żołnierzem i nie boję się czarownic.

–Zabijesz ją, wytniesz jej serce i spalisz w ogniu? – zaciekawiał się malec, odklejając od ściany i dotykając pochwy sztyletu wiszącego przy pasie Greya.

–Cóż, być może. Ale najpierw musimy ją znaleźć.

Złapał chłopaka pod ramiona i posadził sobie na biodrze. Malec z ochotą objął go w pasie nogami i przytulił się, gdyż w korytarzu panował półmrok rozświetlany jedynie lampą, a od kamiennych płyt posadzki ciągnął chłód. Nadal mocno padało – przez okiennice okna na końcu korytarza przedostawała się cienkim strumieniem woda, tworząc na podłodze niewielką jeszcze kałużę, w której odbijało się światło lampy.

Gdzieś w oddali zagrzmiało i chłopak złapał Greya za szyję, przyciskając się doń mocniej.

–Wszystko w porządku. – Grey poklepał go uspokajająco po plecach, choć jemu serce też podeszło do gardła, gdy usłyszał ten niespodziewany łoskot.

Burza musiała obudzić i przestraszyć malca.

–Gdzie jest twój pokój? – spytał.

–Na górze. – Chłopak pokazał na koniec korytarza.

Prawdopodobnie znajdowały się tam schody dla służby albo i druga klatka schodowa, gdyż zamek był budowlą rozłożystą i naprawdę dużą. Grey nauczył się drogi do swojej komnaty i na tym poprzestał. Miał nadzieję, że chłopak lepiej zna budynek i nie będą całą noc krążyli po jego chłodnych zakamarkach.

Gdy zbliżali się do końca korytarza, niebo rozświetliła kolejna błyskawica. W tym błysku zobaczył, że okno jest uchylone, a okiennice otwarte. Wraz z grzmotem nadleciał wiatr, odchylił jedną z okiennic i do korytarza wpadła fala lodowatego deszczu.

–Oj! – Dzieciak tak mocno objął go za szyję, że Grey ledwie złapał oddech.

–Wszystko w porządku – zapewnił go, rozluźniając jego uchwyt i uwalniając jedną rękę.

Wychylił się, łapiąc okiennicę, a równocześnie osłaniając malca przed wiatrem. Kolejny piorun rozświetlił czarne niebo, oślepiając go na chwilę. Grom przetoczył się niczym wóz pełen kamieni. Grey odruchowo uniósł głowę, spodziewając się dojrzeć któregoś z germańskich bogów radośnie gnającego przez chmury w bojowym rydwanie...

I w tym momencie dotarło do niego, co zobaczył w blasku błyskawicy. Zamrugał gwałtownie i spojrział w dół. Wzrok go nie mylił – do okna, z którego się wychylał, przystawiona była drabina. Cóż, może chłopak rzeczywiście zobaczył w pokoju kogoś obcego.

–Poczekaj – polecił, stawiając malca na podłodze. – Zostań tu, a ja zamknę okno.

Odwrócił się, wychylił ponownie i zdecydowanym ruchem odepchnął drabinę. Zniknęła w mroku – nawet nie usłyszał, jak upadła. Zamknął okiennice, potem okno i ponownie podniósł trzęsącego się, tym razem z zimna, brzdąca. Podmuch wiatru zgasił jedyną w korytarzu lampę, więc nie pozostało mu nic innego jak odnajdywać drogę po omacku.

–Jest ciemno – powiedział malec drżącym głosem.

–Żołnierze nie boją się ciemności – zapewnił go Grey, odruchowo myśląc o cmentarzu.

–Ja się nie boję! – zaprzeczył brzdąc, wtulając policzek w szyję Greya.

–Oczywiście, że się nie boisz. Jak masz na imię? – spytał, mając nadzieję odwrócić jego uwagę.

–Siggy.

–Aha, Siggy. A ja jestem John. Johannes w twoim języku.

–Wiem – przyznał ku jego zaskoczeniu chłopak. – Służące uważają, że jesteś przystojny. Mniejszy od Landgrave’a Stephana, ale ładniejszy. Jesteś bogaty? Bo on jest bardzo bogaty.

–Nie umrę z głodu – przyznał Grey, zastanawiając się równocześnie, gdzie są te przekłete schody, bo lada moment spodziewał się je znaleźć, spadając z nich.

Brzdąc najwyraźniej przestał się bać, bo zaczął się wygodniej mościć. Grey odkrył też, że ma całkiem określony zapach przypominający zapach miesięcznych szceniaków. No i był zdecydowanie ciepłym stworzeniem.

Dopiero w tym momencie przyszło mu do głowy coś, o co dawno powinien był spytać: tak małe dziecko nie mogło być pozostawione bez opieki.

–A gdzie jest twoja niania?

–Nie wiem. Może czarownica ją zjadła.

Z tą radosną odpowiedzią zbiegł się błysk światła w oddali i słaby jeszcze dźwięk głosów. Grey pospieszył ku nim i odnalazł schody akurat w momencie, w którym zbiegła z nich niewiasta w nocnej koszuli, czepku i szalu, trzymająca porcelanowy lichtarz.

–Siegfried! – ucieszyła się. – Gdzie pan był, paniczku Siggy? Co się... och!

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z obecności Greya i cofnęła się jak uderzona.

–*Guten Abend, Madam* - powitał ją uprzejmie Grey. – To twoja niania, Siggy?

–Nie – prychnął Siggy zdumiony jego ignorancją. – To Hetty, służąca mamy.

–Siggy? Siegfried, to ty? Oj, mój chłopcze! – Światło w górze zamigotało, gdy kolejna osoba zbiegła pędem po schodach.

Księżna von Lowenstein złapała podanego jej przez Greya chłopca i przytuliła go tak mocno, obcałując przy okazji, że mu szlafmyca spadła.

Na schodach pojawiły się następne osoby, poruszające się znacznie stateczniej. Dwóch mężczyzn i kobieta w strojach o różnym stopniu niekompletności i należący bezwzględnie do służby. Każde trzymało albo lichtarz ze świecami, albo latarnię. Wyglądało na to, że Grey miał szczęście i natknął się na ekipę poszukiwawczą.

Rozmowa nabrała zdecydowanie bezładnego charakteru, gdy Grey i Siggy zaczęli równocześnie opowiadać, a Hetty i księżna przerywać opowieść okrzykami zgrozy.

–Czarownica? – Księżna przyjrzała się synowi. – Naprawdę widziałeś wiedźmę czy tylko miałeś zły sen?

–Nic mi się nie śniło! Obudziłem się i w moim pokoju była czarownica. Dostanę marcepana?

–Może dobrze byłoby przeszukać dom – wtrącił Grey. – Niewykluczone... że czarownica... nadal tu jest.

Księżna z natury miała bladą, porcelanową cerę, ale słysząc to, stała się wręcz zielonkawa. Grey spojrzał wymownie na malca, toteż oddała go Hetty i kazała zanieść do pokoju dzieciennego, nim zwróciła się do Greya.

–Proszę mi powiedzieć, co zaszło – poleciała, łapiąc go za ramię. Grey zdał jej relację i na koniec spytał:

–Gdzie jest niania chłopca?

–Nie wiemy. Poszłam zobaczyć, jak mały śpi, zanim sama się położyłam... – W tym

momencie księżna zdała sobie sprawę, że wygląda raczej mało elegancko w grubej wełnianej koszuli nocnej, na którą narzuciła szal, oraz w podobnie grubym czepku i pończochach. – Siggy’ego nie było w pokoju, niani też nie. Jacob, Thomas, przeszukajcie najpierw dom, potem resztę!

Na zewnątrz zagrzmiało, przypominając wszystkim, że pada, ale obaj służący oddalili się natychmiast, i to całkiem szybko. Ponieważ służąca poszła wraz z Hetty, nagle zostali sami.

Na stopniach paliła się pojedyncza świeca w porcelanowym uchwycie zostawiona przez kogoś ze służby. Grey miał dziwne wrażenie, że grube, kamienne ściany nieco zbliżyły się do siebie.

–Kto mógł to zrobić? – spytała księżna cicho i nie kryjąc strachu. – Chcieli zabrać Siegfrieda? Dlaczego?

W opinii Greya chodziło właśnie o porwanie. Inny powód nie przyszedł mu do głowy, dopóki księżna nie wyszeptwała:

–Myśli pan... że to ona? – Jej oczy były pełne przerażenia. – Sukub?

–Nie sędzę. – Ujął jej dłonie; okazały się lodowate, co nie było dziwne, biorąc pod uwagę panującą w zamku temperaturę, więc ścisnął je lekko i uśmiechnął się. – Sukub nie potrzebowałby drabiny, prawda?

Na wszelki wypadek nie dodał, że jeśli dobrze zrozumiał tłumaczenie księżnej wdowy, to z tak młodego chłopca sukub nie miałby żadnego pożytku.

Sina zieleń zaczęła ustępować z twarzy księżnej, gdy dotarła do niej prosta logika jego odpowiedzi.

–Nie potrzebowałby – zgodziła się.

Jej oczy nadal wyrażały strach, lecz już nie przerażenie. Spróbowała nawet się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wyszło.

–Może nie najgorszym pomysłem byłoby postawienie warty przed pokojem syna – zasugerował. – Choć sędzę, że... sprawca... będzie już wystarczająco zniechęcony.

Wzdrygnęła się. Albo z zimna, albo na myśl o krążących po domu intruzach – tego nie potrafił określić. Ale i tak była spokojniejsza, niż się spodziewał, toteż skorzystał z okazji, by przekazać jej ostrzeżenie sir Petera Hicksa. Przyszło mu zresztą na myśl, że solidny przeciwnik w postaci Francuzów powinien być łatwiejszy do zaakceptowania niż zjawy czy kryjący się w mroku porywacze.

I miał rację.

–Żabojady?! – zdumiała się, nie kryjąc pogardy i prostując się odruchowo. – Już próbowali zdobyć zamek i nigdy im się to nie udało. Nie uda się i tym razem. Prapradziadek mojego męża stawiał te mury. Mamy tu studnie w podziemiach, stajnię i duże magazyny żywności. To miejsce zostało zbudowane z myślą o przetrwaniu każdego oblężenia.

–Jestem pewien, że ma pani rację, ale odrobina ostrożności nie zawadzi, prawda? – Uśmiechnął się Grey, puszczając jej dłonie.

Prawdę mówiąc, chciał, by ta rozmowa dobiegła końca: miał za sobą naprawdę długi dzień i było mu coraz bardziej zimno.

–Nie zawadzi – zgodziła się księżna.

Po czym zawahała się, nie bardzo wiedząc, jak w tych warunkach oddalić się z gracją. Znalazła nieco nietypowe wyjście – postąpiła krok ku niemu, stanęła na palcach i opierając dłonie na jego ramionach, pocałowała go w usta.

–Dobrej nocy, milordzie – powiedziała miękko. – *Danke*.

Odwróciła się i wbiegła po schodach na górę.

Grey stał przez moment osłupiały, spoglądając w ślad za nią i nadal czując dotyk jej jędrnych, nie skrępowanych

gorsetem piersi. W końcu potrząsnął głową, wziął świecę, którą mu zostawiła na schodach, i prostując się, ziewnął potężnie.

Zmęczenie zaczynało go dopadać i miał jedynie nadzieję, że znajdzie swój pokój w tym kamiennym labiryncie. Powinien był spytać księżną o drogę, ale było już za późno. Ruszył przez korytarze oświetlane migotliwym blaskiem świecy ledwie rozpraszającej mrok. I dopiero gdy zobaczył jej odbicie w kałuży pod oknem, uzmysłowił sobie coś, co powinno przykuć jego uwagę wcześniej – ktoś musiał otworzyć okiennice.

Od wewnątrz.

Grey dotarł do głównych schodów w chwili, gdy pojawił się na nich kroczący statecznie Stephan von Namtzen. Po jego chodzie widać było wpływ brandy, ale zachował trzeźwość umysłu, o czym dobitnie świadczyła reakcja na relację Greya.

–*Dreckskerlel* - warknął i splunął na podłogę. – Służba przeszukuje zamek, powiadasz... i myślisz, że nic nie znajdą?

–Może znajdą nianię – odparł Grey. – Ale jeśli porywacz miał w zamku sprzymierzeńca, a musiał mieć... albo porywaczka, bo chłopak mówił, że zobaczył czarownicę.

–*Ja*. Rozumiem – przytaknął ponuro von Namtzen, zaciskając dłoń w pięść. – Może lepiej pójdę porozmawiać z księżną. Mogę kazać moim ludziom pilnować domu. Jeśli przestępca jeszcze tu jest, nie wydostanie się.

–Jestem pewien, że księżna będzie wdzięczna – przytaknął Grey, nie kryjąc zmęczenia. – Ja muszę rano odwieźć trupa do pułku. A, właśnie...

I przedstawił mu życzenie sir Petera. Stephan zgodził się natychmiast.

–Chcesz, żebym przekazał jakieś wiadomości wojskom przy moście? – spytał Grey, mając na myśli pruskich artylerzystów pozostających pod komendą Stephana.

Ten zamyślił się, po czym kiwnął głową.

–*Ja*, masz rację. Lepiej, żeby z oficjalnego pisma dowiedzieli się o... – nie dokończył.

A Grey z lekkim rozbawieniem pojął, że kapitan von Namtzen obawia się wymówić słowo „sukub”.

–Plotek lepiej unikać – zgodził się, przerywając niezręczną ciszę. – A jeśli już mowa o plotkach, sądzisz, że Herr Blomberg zgodzi się na ekshumację mamusi?

–W żadnym wypadku! Prędzej sam da się przebić tym prętem. – Stephan uśmiechnął się, ale szybko spoważniał. – Lepiej, żeby złapać tego, co się bawi tak. Szybko.

Zaczął mówić niegramatycznie, co było dobitną oznaką zmęczenia, toteż Grey nie odezwał się, nie chcąc przeciągać rozmowy. Przez chwilę stali w milczeniu, słuchając odległego szumu deszczu i czując w kościach cmentarny chłód.

Von Namtzen odwrócił się niespodziewanie i złapał go za ramiona.

–Uważaj na siebie, John. – I nim Grey zdążył zrobić cokolwiek, przyciągnął go do piersi i pocałował w usta.

A potem puścił, uśmiechnął się i ruszył w górę schodów z cichym:

–*Gute Nacht*.

Grey zamknął za sobą drzwi pokoju i oparł się o nie jak ktoś ścigany. Tom śpiący na chodniku przy kominku usiadł, zamrugał gwałtownie i spytał:

–To pan, milordzie?

–A kto? – prychnął Grey, nie kryjąc zmęczenia. – Spodziewałeś się wizyty sukuba?

Ordynans natychmiast oprzytomniał i spojrzał podejrzliwie na starannie zamknięte okno, za którym widać było równie pieczołowicie zamknięte i zaryglowane okiennice.

–Nie powinien pan tak żartować, milordzie – powiedział z naganą. – Ostatnio zabiła Anglika.

–Masz rację, Tom. Przepraszam szeregowca Bodgera. A tak na marginesie, zrobił to demon, to on. – Grey był zbyt wyczerpany, by poczuć się urażonym uwagą Byrda. – Choć nadal nie znamy powodu jego śmierci. Jak dotąd nie odkryliśmy też żadnego dowodu ingerencji sił nadprzyrodzonych. Jadłeś coś?

–Jadłem, milordzie. Kucharka już poszła spać, ale wstała i dała nam jeść. I piwa. Chciała wiedzieć, co ja znalazłem na cmentarzu.

Słyszając to „ja”, Grey uśmiechnął się lekko. Oczywiście było, że wcześniejszy protest wynikał przynajmniej w części z poczucia własności – w końcu był to „jego” nieboszczyk.

Usiadł ciężko i poczekał, aż Tom zdejmie mu buty i nadal wilgotne skarpety. Pokój był niewielki, ale dzięki temu ciepły i jasny, bo Tom solidnie napalił w kominku. Ogień oświetlał jedwabne tapety w pasy i wygodne łóżko. Po zimnie cmentarza i chłodzie zamkowych korytarzy wreszcie czuł na skórze ciepło. Odkrycie dzbanka z ciepłą wodą do mycia jeszcze poprawiło mu samopoczucie.

–Mam z panem jechać, milordzie? Rano, znaczy – spytał Tom, rozwiązując mu harcap i biorąc się do czesania włosów.

Grzebień moczył od czasu do czasu w roztworze z liści laurowych i rumianku, który miało odstraszyć wszy.

–Nie. Powinienem najpierw pomówić z pułkownikiem Ruysdale’em. Któryś ze służących może jechać za mną z ciałem – zdecydował Grey i zamknął oczy.

Czuł się senny i z trudem zmobilizował się, by się rozebrać i opluskać twarz oraz szyję w ciepłej wodzie.

–Natomiast byłoby dobrze, gdybyś porozmawiał z tutejszą służbą i dowiedział się, co sądzi o dzisiejszych wydarzeniach – dodał.

To nie powinno być trudne zadanie, gdyż jutro zamek będzie zapewne dosłownie trząść się od plotek.

Umyty, uczesany i w ciepłej, suchej nocnej koszuli oraz szlafmicy zamknął drzwi za Tomem objuczonym jego brudnym uniformem.

Przez moment patrzył z wahaniem na lakierowaną powierzchnię drewna, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś jest na korytarzu. Widział jednakże jedynie niewyraźne odbicie własnej twarzy i słyszał tylko oddalające się kroki Toma.

Dotknął palcami ust, westchnął i zasunął zasuwę.

Stephan całował go już wcześniej. Podobnie jak bardzo wielu ludzi, jako że był z niego niepoprawny *embrasseur*. Ale ten ostatni pocałunek był czymś więcej niż przyjacielskim czy żołnierskim pożegnaniem. I nadal czuł jego rękę na swej łydce... albo też wszystko to było urojeniem wynikającym ze zmęczenia i niecodziennych przeżyć. Normalnym zachowaniom wyobraźnia przypisywała nie istniejące motywy...

A jeśli to nie było urojenie?

Potrząsnął lekko głową, wyjął spod kołdry butelkę z ciepłą wodą, której zadaniem było rozgrzanie pościeli, i wśliznął się do łóżka. Nim zasnął, uśmiechnął się złośliwie – spośród wszystkich mężczyzn obecnych tej nocy w Gundwitz on był najmniej podatny na wdzięki sukuba.

III. Środek na bezsenność

Dowództwo 52. Regimentu mieściło się w Bonz, małej wiosce oddalonej o jakieś dziesięć mil od Gundwitz. Pułkownika Ruysdale’a Grey znalazł w głównej izbie największej gospody w trakcie narady z kilkoma oficerami. Pułkownik zdecydowanie nie był w nastroju, by tracić czas na zajmowanie się ciałem jakiegoś szeregowca.

–Grey? A tak, znam pańskiego brata. Coś pan znalazł?... Gdzie...

No, dobra, zobaczymy... Niech pan poszuka sierżanta-majora Sappa.

Tak, Sapp będzie wiedział, co... – I Ruysdale machnął ręką, dając do zrozumienia, że tenże podoficer udzieli Greyowi wszelkiej niezbędnej pomocy.

–Pojmuję, sir, i zaraz się tym zajmę – obiecał Grey. – Czy mam rozumieć, że sytuacja rozwinęła się w sposób, o którym powinni zostać poinformowani nasi sojusznicy?

Ruysdale spojrział na niego zimno, wydymając górną wargę.

–A kto to panu powiedział, majorze?

Zamiast odpowiedzieć, Grey spojrział wymownie przez okno. Dobosze bili na alarm, podoficerowie wrzeszczeli, a z chałup wysypywali się żołnierze, dopinając mundury i nakładając oporządzenie. Wyglądało to niczym mrowisko, w którym ktoś energicznie zakręcił kijem.

–Jestem oficerem łącznościowym przy hanowerskiej piechocie kapitana von Namtzena, sir – przypomniał mu Grey. – Regiment obecnie jest na kwaterach w Gundwitz. Będzie panu potrzebne jego wsparcie.

Ruysdale wyglądał na obrażonego, ale nim zdążył wybuchnąć, wtrącił się kapitan w mundurze artylerzysty:

–Może wprowadziłbym majora Greya w sytuację, sir? Pan ma ważniejsze sprawy na głowie...

I wskazał zebranych oficerów – wszyscy z uwagą przysłuchiwali się rozmowie, ale po żadnym nie było widać napięcia typowego dla ludzi świadomych, że czeka ich walka z wrogiem.

Ruysdale prychnął i machnął ręką, co bardziej przypominało oganianie się od dokuczliwego owada niż uprzejme pozwolenie na odejście.

Grey skłonił głowę i wymamrotał:

–Pański sługa, sir.

I wyszedł.

Na zewnątrz rzeński, chłodny wiatr właśnie przeganiał ostatnie chmury po wczorajszej burzy. Przytrzymując ręką kapelusz, kapitan wskazał mniej reprezentacyjną gospodę i spytał:

–Ogrzeje się pan, majorze?

Grey doszedł do wniosku, że wiosce nie grozi, jak przypuszczał, natychmiastowa inwazja, więc skinął głową i śladem kapitana ruszył ku gospodzie.

Po krótkim marszu znaleźli się w mrocznym, nieco zadymionym wnętrzu, w którym unosił się zapach wieprzowiny i sfermentowanych ogórków.

–Benjamin Hiltern – przedstawił się kapitan, zdejmując płaszcz i pokazując oberżyskie dwa palce. – Napije się pan, majorze?

–John Grey. Z przyjemnością. Rozumiem, że zdążymy przełknąć, co podadzą, zanim wróg nas zaskoczy?

Hiltern parsknął śmiechem i usiadł naprzeciwko, pocierając czerwony od wiatru nos.

–Mamy dość czasu, by nasz uprzejmy gospodarz – wskazał ruchem głowy zasuszonego jegomościa nalewającego coś do dzbana – upolował dzika, upiekł go i podał

z jabłkiem w pysku, gdyby miał pan takie życzenie.

–Czuję się zobowiązany, ale jadłem już śniadanie.

Grey przyjrzał się uważniej oberżyskie i stwierdził, że ten ma tylko jedną nogę. Drewniana proteza w miejscu drugiej wyglądała na mocno zużytą, i to nie tylko chodzeniem.

–Szkoda, bo ja nie. *Bralkartoffeln mit Ruhrei* - rzucił głośno Hiltern.

Oberżysta kiwnął głową i zniknął za drzwiami prowadzącymi do tylnej części budynku.

–Ziemniaki pieczone z jajkiem i szynką. Doskonale – rzekł Hiltern.

Po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i wsunął jej narożnik za kołnierz, robiąc z niej serwetkę.

–Nie wątpię – zgodził się uprzejmie Grey. – Można tylko mieć nadzieję, że żołnierze są równie dobrze karmieni, biorąc pod uwagę wysiłek, jaki, zdaje się, ich czeka.

–A, to... – radość na cherubinkowatej twarzy Hilterna przygasła nieco, ale tylko trochę. – Biedacy. Dobrze, że choć przestało padać.

A widząc uniesione brwi rozmówcy, wyjaśnił:

–Karne ćwiczenia. Wczoraj odbył się mecz w kręgle między drużynami złożonymi z ludzi pułkownika Bamptona i naszymi. Ruysdale założył się z Bamptonem Howardem, i to o sporą sumkę. Rozumie pan?

–I przegraliście. Rozumiem. Więc żołnierze...

–Za karę dziesięciomilowy marsz w pełnym oporządzeniu. Do rzeki i z powrotem. Przynajmniej nabiorą kondycji i unikną kłopotów. – Hiltern przymknął oczy i pociągnął energicznie nosem.

Z kuchni zaczął dobiegać aromat smażonych ziemniaków.

–Rozumiem. A co z Francuzami? Ostatnie meldunki zwiadu donosiły o jakiejś aktywności oddziałów znajdujących się kilka mil od rzeki?

–A tak, przez dzień albo dwa mieliśmy nadzieję, że się ruszą. Wtedy może zaczęłoby się coś dziać, gdyby poszli w tę stronę. Ale wygląda na to, że się rozmyślili i powędrowali na zachód.

–Dlaczego? – zaniepokoił się Grey.

Most w Aschenwaldzie broniony przez kompanię pruskiej artylerii był dobrym miejscem do przekroczenia rzeki. Najbliższy znajdował się kilka mil na północ, w Grunebergu, i broniony był przez grenadierów pułkownika Bamptona Howarda.

–Tam, za rzeką, jest kupa Francuzów – wyjaśnił Hiltern. – Sądzymy, że postanowili do nich dołączyć.

Była to interesująca informacja, którą powinni znać także sir Peter i dowódcy niemieccy. I to z oficjalnego meldunku, a nie dzięki przypadkowej rozmowie przeprowadzonej przez oficera łącznikowego, który przybył w zupełnie innej sprawie. Pułkownik Hicks był w tej kwestii nader konsekwentny, ale Ruysdale, jak widać, nie uważał tego za niezbędne.

–Och! – Hiltern najwyraźniej pomyślał o tym samym. – Jestem pewien, że powinniśmy was o tym zawiadomić, ale było trochę za dużo zamieszania. A potem przestało to być takie pilne, bo zwiadowcy za meldowali, że Francuzi czyszczą oporządzenie, uzupełniają zapasy i siedzą na miejscu. W końcu nim spadnie śnieg, muszą dokądś pójść.

I uśmiechnął się przepraszająco, unosząc równocześnie brew. Grey po sekundzie wahania przyjął przeprosiny – skoro Ruysdale miał w nosie przekazywanie sojusznikom

tego, czego się dowiedział, należało zdobyć inne źródło informacji. A Hiltern był najwyraźniej chętny do dzielenia się nowinami i miał odpowiednią funkcję w sztabie, by je znać.

Pogawędzili o różnościach, nim oberżysta przyniósł śniadanie i piwa, ale Grey nie dowiedział się niczego ciekawego. Może poza tym, że Hiltern był zupełnie niezainteresowany śmiercią szeregowca Bodgera. I że nie chciał wdawać się w szczegóły owego zamieszania, komentując je lekceważąco jako „straszne nudy”, a słowem tym towarzyszył równie lekceważący gest.

Dalszą rozmowę o niczym przerwał im dochodzący z zewnątrz turkot wozu i odgłos końskich kopyt. Potem zaś

rozległo się głośne pytanie, gdzie jest *Zutn Englanderlager*. Ponieważ pytający miał hanowerski akcent, Grey natychmiast zorientował się, co się dzieje.

–A to co znowu? – zainteresował się Hiltern, odwracając się na stołku.

–Sądzę, że szeregowy Bodger właśnie wrócił do jednostki – wyjaśnił Grey, wstając. – Jestem wdzięczny za towarzystwo i informacje, kapitanie Hiltern. Mam jeszcze pytanie: gdzie znajdę sierżanta-majora Snappa?

–Nad rzeką – odparł Hiltern nieco bełkotliwie, bo z gębą pełną kartofli.

Grey zaklął w duchu – nie miał ochoty tkwić tu cały dzień, czekając na powrót podoficera, by przekazać mu trupa i równocześnie cały problem.

–A gdzie znajdę chirurga? – spytał.

–Nigdzie. Zmarł na czerwone. – Hiltern zmarszczył czoło. – Proszę poszukać Keegana. To jego pomocnik.

Ponieważ obóz świecił pustkami, Greyowi trochę czasu zajęło dopytanie się o drogę do lazaretu. Kiedy go znalazł, zlokalizowanie namiotu operacyjnego nie stanowiło już problemu. Kazał położyć zwłoki na najbliższym stole i odesłał woźnicę wraz z wozem do zamku. Wolał nie ryzykować niczego, co mogłoby spowodować przedłużenie opieki nad trupem.

Keegan okazał się niewysokim Walijszym w okularach i z szopą rudych, kręconych włosów. Mrugając oczami zza szkieł, pochylił się nad ciałem i pomacał je brudnym paluchem.

–Nie ma krwi.

–Nie ma.

–Gorączka?

–Chyba nie. Rozmawiałem z nim kilka godzin wcześniej i wyglądał na zdrowego.

–Hmm... – Keegan pochylił się niżej i zajrzał w nozdrza nieboszczyka, jakby spodziewał się, że właśnie tam kryje się przyczyna zgonu.

Widząc jego nie pierwszej czystości palce i zaschniętą krew na rękawach koszuli, Grey zmarszczył brwi. Keegan wyglądał całkiem normalnie jak na lekarza, ale Greyowi nie podobało się, że jest brudny.

Keegan spróbował unieść powiekę nieboszczyka, ale mu się nie udało. Przez noc ciało zesztyniało i chodne ręce na powrót stały się bezwładne, cała reszta była niczym drewno. Keegan westchnął i zabrał się do ściągania z trupa butów, a potem ubłoconych i podartych pończoch. Paluch lewej stopy wystawał przez szczególnie imponującą dziurę niczym łebek jakiegoś ciekawskiego robaka.

Keegan wytarł dłonie o już i tak brudny kaftan i potarł nos, głośno nim pociągając. Grey z trudem opanował odruch, by się od niego odsunąć, i zdał sobie z pewnym zaskoczeniem sprawę, że znów myśli o kobiecie. Czyli o żonie Frasera. Fraser niewiele

o niej mówił, ale to właśnie przydawało wagi jego słowom.

Pewnej nocy w mieszkaniu komendanta więzienia Ardsmuir zasiedzieli się przy szachach dłużej niż zwykle. Skończyło się ciężko wywalczonym remisem, który sprawił Greyowi większą satysfakcję niż niejedno zwycięstwo nad słabszym przeciwnikiem. Przy takich okazjach zwykle popijali sherry, ale tym razem sączyli specjalną odmianę clareta przyslaną Greyowi przez matkę. Trunek należało wypić do końca, jako że zawartość otwartej butelki psuła się następnego dnia. Było to mocne wino, które w połączeniu z podnieceniem wywołanym grą spowodowało, że Fraser stracił nieco ze swej słynnej oziębłości.

Już po północy ordynans Greya sprzątnął ze stołu. Wychodząc, potknął się o próg, bo był zaspany. Rozciągnął się jak długi i zaciął paskudnie odłamkiem szkła. Fraser poderwał się jak oparzony, dopadł chłopaka i zatamował mu krew własną koszulą. A gdy Grey chciał posłać po chirurga, powstrzymał go, mówiąc bez ogródek, że jeśli to zrobi, zabije ordynansa. Jeśli chciał, by chłopak przeżył, lepiej niech pozwoli jemu, Fraserowi, go opatrzeć.

Zdziwiony Grey zgodził się i musiał przyznać, że Fraser zrobił to z wprawą i rzadko spotykaną delikatnością. Wpierw obmył sobie ręce i ranę winem, potem umoczył w nim jedwabną nitkę, a igłę opalił nad płomieniem świecy. Widząc zaskoczenie Greya, wyjaśnił:

–Moja żona tak robi, bo widzisz, są takie maciupcie bydlaki, co się zwą bakterie i... – przerwał, przygryzając wargi, bo akurat wiązał pierwszy szew, po czym dodał: – Jeśli dostaną się do rany, ta zacznie ropieć i się paprać. Więc należy umyć ręce i ranę, nim się do niej zabierzesz, a narzędzia albo przetrzeć alkoholem, albo opalić nad ogniem, wtedy się te bakterie zabije.

Skończył drugi szew i uśmiechnął się do ordynansa, który kiwał się na stołku blady jak ściana.

–Nigdy nie pozwól dotknąć się chirurgowi, który ma brudne łapy.

A wszyscy mają. Lepiej się wykrwawić, bo to szybka śmierć, niż powoli zdychać, gnijąc i śmierdząc, nie?

Zakończył trzeci i ostatni supełek i poklepał ordynansa z zadowoleniem.

Grey do istnienia bakterii podszedł równie sceptycznie jak do istnienia sukubów, ale od tej pory jakoś tak automatycznie patrzył wszystkim lekarzom na ręce. I wydawało mu się, że im bardziej któryś dba o czystość, tym mniej pacjentów traci, choć pewności nie miał, bo dokładnie tej materii nie przestudiował.

W obecnej sytuacji było to zresztą bez znaczenia, bo stopień ubrudzenia dłoni Keegana nie był żadnym zagrożeniem dla nieboszczyka Bodgera, toteż Grey nie protestował, gdy Keegan rozebrał trupa, cmokając przy tym na widok różnych niespodzianek.

Najgłośniejsze wywołała jedna, o której Grey już wiedział.

Szeregowiec Bodger umarł bowiem z pełnym wzrodem i choć sztywność ciała zaczęła już ustępować, nie dotyczyło to jego członka.

–Cóż, przynajmniej umarł szczęśliwy – ocenił Keegan. – Słodki Boże w niebiesiech!

–To normalny objaw? – spytał Grey, który spodziewał się, że gdy ustąpi stężenie pośmiertne, będzie to dotyczyło wszystkich członków.

Tymczasem stało się inaczej i było to bardzo widoczne zwłaszcza w świetle dnia. A to dlatego, że całe ciało nabrało woskowego odcienia, rzeczony organ zaś stał się ciemnopurpurowy.

Keegan trącił go ostrożnie palcem.

–Twardy jak drewno, raczej niepotrzebnie. – Normalny? Nie wiem.

Ci, z którymi miałem do czynienia, umarli albo na gorączkę, albo na czerwonkę, a ciężko chorzy raczej nie myślą o... takich przyjemnościach... hmm.

I w zamyśleniu kontemplował nieboszczyka.

–A co mówi kobieta? – spytał niespodziewanie, otrząsając się po dłuższej chwili z zadumy.

–Ta, z którą był? Nic nie mówi, bo uciekła. I trudno jej się dziwić. – Grey nie dodał na wszelki wypadek, że nie bardzo rozumie, dlaczego w podobnych sytuacjach wszyscy odruchowo zakładają, że chodzi o kobietę, gdyż biorąc pod uwagę spór, który musiał rozstrzygać w przypadku Bodgera, na pewno chodziło... – A co właściwie spowodowało jego śmierć? – spytał, widząc, że Keegan ogląda całego nieboszczyka, ale co chwilę wraca spojrzeniem do...

Co było zrozumiałe, jako że nawet pomijając barwę, był on rzeczywiście godzien uwagi.

Keegan potrząsnął kędziorami.

–Nie widzę żadnej rany... Może cios w głowę? – I pochylił się nad głową nieboszczyka, obmacując ją starannie.

Grey usłyszał, że do namiotu zbliża się grupka ludzi, więc czym prędzej zdjął kapelusz i zakrył nim imponujące przyrodzenie trupa, by nie stało się to przedmiotem dyskusji w szeregach. W obozie pozostali jedynie chorzy i ozdrowieńcy, reszta maszerowała już od dawna ku rzece, a tych namiot operacyjny najwyraźniej nie interesował, bo minęli go, rozmawiając, w bezpiecznej odległości. Grey zabrał kapelusz i po chwili powiedział:

–Znam jedynie reputację pułkownika Ruysdale’a. Słyszałem, że jest ostry, ale nie słyszałem dotąd, że jest też głupi.

Keegan uśmiechnął się, nie przerywając oględzin.

–Nie powiedziałbym, że jest – ocenił po chwili. – Przynajmniej nie do końca.

Grey milczał zachęcająco i zostało to właściwie zrozumiane.

–Chce ich zmęczyć. Przeprowadzić do obozu w takim stanie, że będą zasypiać przy kolacji – wyjaśnił Keegan.

–Tak?

–Oni całymi nocami nie śpią, bo się boją, że we śnie nawiedzi ich ta, jak jej tam... sukuba. A to, choć jest miłe dla oberżystów, nie jest dobre dla dyscypliny, bo ludzie zasypiają na warcie albo w czasie musztry... – Keegan obrzucił rozmówcę badawczym spojrzeniem i dodał: – Sam pan nie najlepiej sypia, majorze, prawda?

I wskazał cienie pod oczami Greya.

–Ostatniej nocy rzeczywiście późno poszedłem spać – zgodził się Grey. – Przez odkrycie ciała szeregowca Bodgera.

–Hmm... no tak... – Keegan wyprostował się. – Śladu uderzenia. Wygląda, że go ta sukuba dopadła.

–Jak rozumiem, słyszał już pan plotki o demonie?

–Oczywiście, że słyszałem – zdziwił się Keegan. – Wszyscy słyszeli! Przecież już od dobrej chwili o nim rozmawiamy!

Okazało się, że Keegan nie miał pojęcia, w jaki sposób plotka dotarła do obozu, ale wiedział, że rozprzestrzeniała się potem niczym pożar w puszczy i w ciągu dwudziestu czterech godzin wiedzieli o sukubie wszyscy. Najpierw posypały się złośliwe żarty, potem sceptyczne uwagi, później przyszła niechętna wiara, gdy dotarły wieści o snach

i przeżyciach męskiej części mieszkańców miasteczka. A gdy dowiedziano się o śmierci pruskiego żołnierza, zapanowała panika.

–Zapewne nie widział pan jego ciała? – spytał Grey.

Walijczyk potrząsnął przecząco głową.

–Ponoć biedak w ogóle już nie miał w sobie krwi, ale kto może wiedzieć, czy to prawda? Może dostał apopleksji. Widywałem takie przypadki: czasami krew rzuca się nosem, żeby zmniejszyć ciśnienie w mózgu. Wszystko potem wygląda jak w rzeźni.

–Wydaje się pan racjonalnie myślącym człowiekiem. – Grey zaryzykował komplement.

Keegan parsknął śmiechem, umilkł, wyprostował się i ponownie wytarł dłonie o poły kaftana.

–Jeśli ma się do czynienia z żołnierzami tak długo jak ja, człowiek przyzwyczaja się do najdziwniejszych opowieści. Zwłaszcza gdy wojsko jest w obozie dłuższy czas. Wtedy ludzie nie mają wystarczająco dużo zajęć, a dobra historia rozchodzi się błyskawicznie. A jeśli chodzi o sny...

I wymownie uniósł oczy do nieba.

Grey pokiwał głową, potwierdzając, że wie, iż żołnierze naprawdę wierzą w sny.

–Więc nie potrafi pan podać przyczyny śmierci szeregowca Bodgera? – upewnił się.

Keegan podrapał się po głowie, a raczej po śladach świeżych ukąszeń na karku. Pchły najwyraźniej go lubiły.

–Niczego nie znalazłem, majorze. Poza oczywistym, ma się rozumieć, ale to nie jest śmiertelna przypadłość. Natomiast może pan popytać jego kolegów. Tak na wszelki wypadek.

Ta zagadkowa uwaga wywołała pytające spojrzenie Greya. Keegan chrząknął, odkaszlnął i wyjaśnił:

–Mówiłem, że ludzie nie śpią, żeby nie dawać sukubie okazji?

Mówiłem. Cóż, niektórzy poszli dalej i wzięli sprawy w swoje ręce.

Dosłownie.

I dodał, że ktoś w obozie wpadł na wcale rozsądny sposób – skoro sukub atakował, by zdobyć nasienie, to najbezpieczniej było się go pozbyć. Wtedy upatrzy sobie kogoś innego. Większość tych, którzy zdecydowali się na ten sposób, robiła to w samotności, ale żołnierze mieszkają w raczej mało komfortowych warunkach, toteż o prywatność naprawdę trudno. Cała sprawa wyszła zresztą na jaw w wyniku protestów mieszkańców wioski, którzy donosili o masowym niemoralnym zachowaniu żołnierzy na jej terenie. To właśnie spowodowało reakcję Ruysdale'a.

–Tylko tak sobie myślę, majorze, że cmentarz nie jest chyba najlepszym miejscem na romanse, nawet gdyby trafiła się okazja. Ale jakby tak grupa kolegów doszła do wniosku, że warto by stawić czoło sukubie na jej własnym terenie, dajmy na to? I gdyby szeregowiec Bodger, tak?... w trakcie nagle osunął się na kolana... To spodziewałbym się, że jego towarzysze prysnęliby natychmiast, woląc nie odpowiadać na żadne pytania.

–Ma pan bardzo interesujący sposób rozumowania, panie Keegan – pochwalił Grey. – Wysoce racjonalny. Nie sądzę, by to pan doradził ten... środek ostrożności?

–Kto, ja? – Keegan bez powodzenia próbował udać oburzenie. – Cóż za pomysł, majorze!

–Właśnie – zgodził się Grey i wyszedł.

Po nocnej burzy dzień był słoneczny i spokojny, a na dodatek ciepły. Miało to jednak i złe strony – ziemia po ulewie rozmokła i taka już pozostała. Plac apelowy po zbiorce

całego regimentu był dosłownie zryty podeszwami i kopytami, choć konie mieli tylko oficerowie. Droga, którą pomaszzerowała jednostka, także była w podobnym stanie. Ten marsz będzie należał do naprawdę ciężkich, toteż choć Ruysdale mógł nie planować ćwiczeń jako kary, i tak wszyscy je tak potraktują.

Grey jako artylerzysta odruchowo oceniał przydatność terenu dla zaprzęgów artyleryjskich i stwierdził, że w tym ugrzęzłoby po osie nawet lekkie działo pułkowe małego wagomiaru. Pusty jaszcz może przejechałby bez większych problemów.

Odwrócił się i przyjrzał odległym wzgórzom zajęтым ponoć przez Francuzów. Jeżeli mieli ze sobą armaty, istniała niewielka szansa, by w tej chwili wybierali się dokądkolwiek. Mimo to sytuacja napełniała go niepokojem, co w końcu zmuszony był z niechęcią przyznać. Francuzi najprawdopodobniej ruszą krótszą trasą na północ, bo nie istniał żaden powód, dla którego mieliby nadkładać drogi, a Gundwitz nie miało żadnego znaczenia taktycznego i było zbyt małe, by złupienie go warte było znacznie dłuższego marszu. Na dodatek między nimi a miasteczkiem znajdował się 52. Regiment. Ale patrząc na pusty plac apelowy, czuł między łopatkami dziwne swędzenie, zupełnie jakby za nim stał ktoś z nabitym pistoletem.

Przypomniały mu się słowa sir Petera Hicksa dotyczące rozmieszczenia sił Ruysdale'a – sir Peter najwyraźniej też czuł podobne swędzenie.

A skoro tak, to mogło się okazać, że Ruysdale jednak był durniem.

IV. Artylerzyści

Było po dwunastej, gdy Grey dojechał do rzeki, zostawiając z boku i z tyłu kolumnę 52. Regimentu Pieszego,

który miał jeszcze spory kawałek do pokonania. Z oddali rzeka wyglądała sielsko w promieniach jesiennego słońca. Jej brzegi porośnięte były drzewami o liściach przeważnie już złotych czy rdzawych, ale żywo kontrastujących z szarą ziarną zaoranych pól i zielonych jeszcze miejscami łąk.

Gdy jednak podjechało się bliżej, złudzenie pryskało. Rzeka była szeroka i płynęła wartko, a na jej powierzchni często tworzyły się wiry. Widać było, że mocno przybrała po ostatnich deszczach, i nawet z pewnego oddalenia dawało się zauważyć, że nurt niesie wyrwane z korzeniami drzewa i krzewy, a od czasu do czasu i truchło jakiegoś mniejszego zwierzęcia, które nieopatrznie próbowało przepłynąć.

Pruscy artylerzyści zajęli stanowiska na niewielkim pagórku porośniętym zagajnikiem. Miejsca było dość, bo okazało się, że mają tylko jedną dziesięciofuntówkę i moździerz, choć do obu dysponowali sporym zapasem kul i prochu. Tak broń, jak i amunicja były w doskonałym stanie, osłonięte od deszczu i starannie poukładane zgodnie z pruskim zamiłowaniem do porządku.

Artylerzyści powitali go wręcz kordialnie, bo każde wydarzenie przerywające monotonię, jaką stanowiło pilnowanie mostu, było mile widziane. A ponieważ przed opuszczeniem obozu Grey zaopatrzył się w dwa duże bukłaki z piwem, jego przybycie było tym miłą niespodzianką.

–Zje pan z nami, majorze – zaprosił go w rewanżu hanowerski porucznik dowodzący oddziałem, odbierając piwo i rozkazy.

Ponieważ od śniadania minęło sporo czasu, Grey przyjął zaproszenie z przyjemnością. Rozpostarł płaszcz na wskazanym gładzie, rozluźnił halsztuk i zasiadł do posiłku złożonego z sucharów, sera i piwa. Zakończył go kęsem dobrze przyprawionej parówki, której niestety niewiele zostało.

Porucznik Dietrich był w średnim wieku i miał imponujące brwi i rzęsy. Po śniadaniu otworzył przywiezione przez Greya rozkazy i zajął się lekturą. Grey zaś ćwiczył niemiecki z pozostałymi artylerzystami. Dyskretnie, lecz uważnie obserwował przy tym Dietricha, ciekaw, jaka będzie jego reakcja na pismo von Namtzena.

Doskonałym wskaźnikiem nastroju porucznika okazały się jego brwi. W początkowej fazie lektury były nieruchome, po czym podjechały do nasady włosów i pozostały tam dość długo, gdyż najwyraźniej niełatwo było mu otrząsnąć się z zaskoczenia. Następnie wróciły na miejsce, ale niezbyt pewnie, bo nie pozostały w bezruchu. Oczywiście było, że właśnie się zastanawia, ile z otrzymanych informacji należy przekazać podkomendnym.

Złożył pismo i obrzucił Greya pytającym spojrzeniem. Ten skinął lekko głową na znak, że zna jego treść.

Porucznik rozejrzał się, spoglądając w pierw na swoich ludzi, a potem do tyłu, jakby oceniając odległość do brytyjskiego obozu i dalej, do miasteczka. Potem przygryzł wąsa i spojrzał z namysłem na swego gościa. Wreszcie przecząco pokręcił głową – zdecydował, że nie powie im o sukubie.

Grey uznał to za rozsądne – skoro dotąd nie dotarła do nich plotka, istniała spora szansa, że długo jeszcze nie dotrze. A artylerzystów było tylko dziesięciu i na dodatek byli to Prusacy z rozbitej baterii. Nie sposób było przewidzieć, jak się zachowają.

Dietrich schował papiery do wewnętrznej kieszeni i przyłączył się do rozmowy. Jednak to, czego się dowiedział, musiało mu ciążyć, gdyż Grey ze starannie ukrywanym rozbawieniem stwierdził, że rozmowa dość szybko zesłała na tematy manifestacji sił nadnaturalnych, choć nikt świadomie jej na to nie sprowadzał.

Ponieważ dzień był słoneczny, rzeka miło szumiała, a piwa chwilowo było pod dostatkiem, historie o duchach, stygmatkach i bitwach na niebie traktowano jako rozrywkę. W mroku i chłodzie nocy byłyby zupełnie inaczej odbierane, co zresztą zwykle w niczym nie przeszkadzało – były i będą opowiadane także wówczas. Największym bowiem wrogiem żołnierza jest nie kula, bagnet czy zaraza, ale nuda.

Jeden z kanonierów zakończył właśnie opowieść o nawiedzonym domu w swym rodzinnym mieście, w którym nocami słychać było płacz dziecka. W końcu mieszkańcy przeprowadzili śledztwo, odkryli, że dobiega on z jednej konkretnej ściany, i rozebrali ją. Znaleźli zamurowany komin, a w nim szczątki młodego chłopaka i nóż, którym podciął sobie gardło.

Większość słuchaczy odruchowo odzegnała urok, tworząc z palców prawych dłoni znak rogów, ale na twarzach dwóch Grey zauważył wyraz niepewności i zaniepokojenia. Obaj spojrzeli na siebie porozumiewawczo i

pospiesznie odwrócili wzrok.

–Zdarzyło ci się może coś podobnego? – spytał Grey młodszego, uśmiechając się przy tym, by pytanie wyglądało na zupełnie przypadkowe.

Chłopak – bo nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat – zawahał się, ale pozostali zaczęli tak naciskać, że nie opierał się długo.

–Ja... my... – wskazał głową towarzysza -...ostatniej nocy w czasie burzy usłyszeliśmy z Samsonem płacz dziecka. Dochodził znad rzeki, więc wzięliśmy latarnie i poszliśmy sprawdzić. Nic nie znaleźliśmy, ale płacz dalej było słyhać, więc ruszyliśmy jeszcze wzdłuż brzegu, nawołując. W końcu daliśmy sobie spokój, bo przemokliśmy do suchej nitki i zrobiło się naprawdę ślisko.

–A, tośta się tym zajmowali – roześmiał się jeden z kanonierów, już po dwudziestce. – A myśma se myśleli, że sie obmacujeta pod mostem.

Chłopak poczerwieniał tak gwałtownie, że oczy mu prawie na wierzch wyszły,

i skoczył na mówiącego z takim impetem, że go przewrócił. Po czym obaj potoczyli się po liściach i trawie, młócąc się zawzięcie pięściami.

Grey i Dietrich zerwali się równocześnie. Pierwszy kopniakami rozdzielił walczących, drugi sklął ich, aż ziemia zajęczała. Grey złapał chłopaka za kark, podniósł i potrząsnął nim. Po czym korzystając z wrzasku porucznika, powiedział cicho, lecz dobitnie:

–Śmieję się, to był żart!

Chłopak spojrział na niego szklanym wzrokiem, najwyraźniej niczego nie pojmując, i aż się trząsł, by komus przyłać.

Grey potrząsnął nim ponownie, aż mu zęby zaklekotały, postawił i pod pozorem otrzepywania munduru z liści oznajmił ostrym szeptem:

–Będziesz się tak zachowywał, to się domyślą prawdy. Śmieję się, do cholery!

Samson był bardziej doświadczony i dobrze wiedział, co należy robić – rechotał ze świńskich przycinków i odgryzał się jeszcze ostrzej. Chłopak spojrział na niego i oprzytomniał. Grey odetchnął z ulgą, odwrócił się i oznajmił głośno:

–W tak parszywą pogodę obmacywać się mogliby jedynie prawdziwi desperaci! Ja tam poczekałbym na przyjemniejszą.

–Jesteśmy w polu naprawdę długo, panie majorze – odparł któryś ze śmiechem i stosownym ruchem bioder. – Teraz nawet owca w śnieżycy byłaby mile widziana!

–Tak? Pierdol się, Wulfie, bo żadna owca cię nie zechce! – warknął zaczerwieniony jeszcze, ale już w pełni panujący nad sobą chłopak.

I splunął, wywołując ryk śmiechu pozostałych.

–A mógłbyś to zrobić, jeśli masz tak długiego wała, jak twierdzisz, Wulfie – dodał złośliwie Samson.

Wulfie w odpowiedzi wywalił na brodę zadziwiająco długi jęzor i pomachał nim.

–Chciałbyś się przekonać! – burknął, gdy go schował.

Dalszą pogawędkę przerwało przybycie dwóch kanonierów, mokrych do pasa, którzy z wysiłkiem wciągnęli na pagórek dorodną martwą świnię. Spotkało się to z pełną aprobatą obecnych, z których połowa natychmiast zabrała się do wybebeszania i czyszczenia niespodziewanego dodatku do obiadu. Reszta podjęła co prawda rozmowę, ale już bez poprzedniego zapału. Grey już zaczął się zbierać do odjazdu, gdy któryś z mężczyzn powiedział ze śmiechem coś o jakiejś Cygance.

–Co mówiłeś? – spytał odruchowo po angielsku Grey. – To znaczy... *was habt lhr gesagt?*... Cyganie? Widzieliście ich ostatnio?

–O tak, majorze – potwierdził zapytany. – Dziś rano przejechali przez most. Sześć wozów zaprzężonych w muły. Ciągłe jeżdżą tam i z powrotem, więc często ich widzujemy.

Grey z pewnym wysiłkiem zdołał zachować spokojny ton.

–Doprawdy? – Spojrzał na Dietricha i drażył temat: – Nie wydaje się panu możliwe, że mogą szpiegować dla Francuzów?

–Naturalnie, że szpiegują – zdziwił się nieco porucznik. – Tylko co im powiedzą? Że tu jesteśmy? Myślę, że to akurat Francuzi od dawna wiedzą, jeśli nie są ślepi.

I wskazał lukę w drzewach, przez którą widać było odległy może o milę 52. Regiment powoli zbierający się w drogę powrotną po krótkim odpoczynku i ugaszeniu pragnienia nad rzeką.

Grey pokiwał głową – każdy, kto posiadał lunetę, mógł ze wzgórz po drugiej stronie rzeki policzyć, ile łąt ma pies Ruysdale'a, więc trudno było się spodziewać, by nie miał pojęcia o obecności artylerzystów siedzących na pagórku od paru dni. Co się zaś tyczyło informacji o ruchach wojsk angielskich czy hanowerskich, to ponieważ ani Hicks, ani

Ruysdale nie orientowali się, dokąd czy kiedy wyruszą, Cyganie nie byli w stanie sprzedać tej informacji nieprzyjacielowi.

Uśmiechnął się i pożegnał z porucznikiem, zdecydowany porozmawiać o Cyganach ze Stephanem. Może byli niegroźni, ale należało to sprawdzić, choćby dlatego że wiedzieli, jak małe siły bronią mostu. A jakoś nie podejrzewał, by Ruysdale zdecydował się spełnić polecenie Hicksa, choć Grey mu je powtórzył.

Pomachał artylerzystom, którzy zajęci oprawianiem świniaka ledwie zwrócili na niego uwagę. Odwzajemnił mu się jedynie chłopak zajęty wycinaniem odpowiednich na rożen gałęzi.

Podjechał do mostu i zatrzymał konia, rozglądając się uważnie. Za rzeką teren początkowo był płaski, szybko jednak zaczynał falować, tworząc łańcuch coraz wyższych wzgórz. Najwyższe miały już strome ściany i tam właśnie ponoć obozowali Francuzi. Wyjął z kieszeni rozkładaną lunetę i starannie obejrzał szczyty najpotężniejszego pasma. Nie zauważył żadnego ruchu: ani konia, ani ludzi, ani sztandarów. Ale unosił się tam dym wyraźnie widoczny na tle błękitnego i bezchmurnego nieba. A tyle dymu musiało pochodzić z wielu ognisk...

Francuzi rzeczywiście obozowali na wzgórzach.

Następnie Grey dokładnie zlustrował niższe, łagodnie pofałdowane wzgórza, ale nie zauważył śladów cygańskiego taboru czy obozowiska. Ani też śladu dymu.

Powinien ich odszukać i wypytać, ale było już popołudnie, a jego czekała daleka droga do zamku. Dlatego ruszył z powrotem, nawet nie spoglądając na zalesiony pagórek, który zajmowali pruscy artylerzyści.

Chłopak musi nauczyć się ukrywać swoje preferencje seksualne albo stanie się materacem dla każdego, kto będzie miał na niego ochotę. A wielu będzie miało, gdyż Wulfie miał rację: po miesiącach w polu żołnierze nie byli wybredni. A chłopak z delikatną skórą i pełnymi, czerwonymi wargami był zdecydowanie atrakcyjniejszy od owcy.

Karolus potrząsnął łbem i zwolnił, gdyż Grey za bardzo ściągnął wodze. Nie zdawał sobie z tego sprawy, gdyż dłonie same zacisnęły się na rzemieniach. Zmusił się do odprężenia i poklepał ogiera po szyi, przemawiając do niego cicho i łagodnie. Potem, gdy obaj się już uspokoili, trącił go piętami i ruszyli w dalszą drogę.

Tę odruchową reakcję wywołało wspomnienie najgorszych chwil w życiu. Został zaatakowany nocą w obozie w Szkocji po bitwie pod Culloden. Ktoś zaszedł go od tyłu i złapał za szyję. Był pewien, że zginie, ale napastnikowi nie o to chodziło. Nie odezwał się ani słowem, a to, co zamierzał, zrobił sprawnie i brutalnie. I zniknął, zostawiając go skulonego na ziemi i niezdolnego do wydania żadnego dźwięku. Szok, ból i upokorzenie były zbyt silne. Na szczęście wszystko odbyło się w cieniu rzucanym przez wóz taborowy, toteż nikt go nie zauważył, gdy leżał, dochodząc do siebie.

Nigdy nie dowiedział się, kim był napastnik ani czy zareagował on na coś w jego zachowaniu, czy też po prostu skorzystał z nadarzającej się okazji.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, nikomu nie powiedział, co zaszło, i niczym się nie zdradził. Nim pojawił się między ludźmi, obmył się i starannie poprawił ubranie. A potem chodził prosto, pewnie stawiał kroki, mówił normalnie i patrzył wszystkim w oczy. Dzięki temu nikt nie podejrzewał, co kryje się pod spodniami mundurowymi. Ten, który go zaatakował, zachowywał się tak samo i niczym się nie zdradził. Ani wówczas, ani potem. Mogliby nawet jeść przy jednym stole, a Grey i tak nie miałby o tym pojęcia.

Ale od tego dnia zawsze nosił przy sobie nóż. I nigdy już nikt nie dotknął go wbrew

jego woli.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i jadąc do zamku, Grey rzucał coraz dłuższy cień. Jak zawsze pozbawiony twarzy.

V. Mroczne sny

Grey ponownie spóźnił się na kolację, ale tym razem przyniesiono mu ją do salonu, tak że mógł jeść, słuchając rozmów reszty towarzystwa. Dopilnowała tego osobiście księżna Louisa darząca go tego wieczora zaskakującą uwagą. Ponieważ jednak był zmęczony po całym dniu spędzonym na końskim grzbiecie, odpowiadał na pytania raczej zdawkowo, toteż szybko oddaliła się, zostawiając go sam na sam z jakimś zimnym mięsiwem, grzybami i cebulą.

Prawie skończył jeść, gdy poczuł na ramieniu masywną, ciepłą dłoń.

–Więc byłeś u moich artylerzystów koło mostu? – Bardziej stwierdził, niż spytał von Namtzen. – Wszystko u nich w porządku?

–W jak najlepszym – odparł, uznając, że nie ma sensu... jeszcze wspominać mu

o najmłodszym kanonierze. – Powiedziałem im, że Ruysdale podeśle posiłki. Mam

nadzieję, że to zrobi.

–Most? – zainteresowała się księżna wdowa, przerywając rozmowę i marszcząc brwi. – Nie musi się pan martwić. Most jest bezpieczny.

–Jestem tego pewien, madam. – Stephan skłonił się, strzelając obcasami. –

1 zapewniam, że takim pozostanie. Obaj z majorem Greyem ochronimy was, moje panie.

Stara dama wyglądała na lekko rozbawioną tym stwierdzeniem.

–Most jest bezpieczny – powtórzyła, dotykając przypiętego do sukni medalionu. – Od trzystu lat żaden wróg nie przekroczył mostu w Aschenwaldzie. I żaden go nigdy nie przekroczy!

Stephan spojrział na Greya i odchrząknął cicho. Grey odchrząknął głośniejsze i pochwalił jedzenie. Gdy księżna wdowa oddaliła się, Stephan potrząsnął głową i uśmiechnął się.

–Słyszałeś o tym moście? – spytał.

–Nie, a powinienem? Coś w nim jest dziwnego?

–To tylko plotka. – Von Namtzen wzruszył ramionami, nie kryjąc pogardy dla przesądów innych. – Podobno most ma strażnika, który broni przejścia przez niego nieprzyjaciołom rodu Lowensteinów. Ten strażnik to jakiś duch czy coś w tym stylu.

–Doprawdy? – bąknął Grey, przypominając sobie zasłyszane od artylerzystów historie.

Czyżby któryś pochodził z okolicy i słyszał o strażniku?

–*Mein Gott*. - Stephan potrząsnął głową, jakby opadły go komary. – Jak ludzie mogą wierzyć w takie brednie?

–Jak sądzę, nie chodzi ci tylko o te, ale o wszystkie? – spytał Grey. – O sukuba też?

–Nie mów mi o tym cholerstwie! – burknął ponuro von Namtzen. – Moi ludzie boją się własnego cienia i snują się jak mary po piekle. Każdy boi się przyłożyć głowę do poduszki, żeby nie zobaczyć tej cholery we śnie.

–Nie tylko pańscy ludzie tak się zachowują – oznajmił sir Peter, który podszedł, by nalać sobie kolejny kielich wina.

Ledwie to zrobił, upił solidny łyk i wstrząsnął się lekko. Stojący za nim Billman dodał posępnie:

–Przeklęta banda przesądnych lunatyków!

–A... – ożywił się Grey. – Jeśli można zasugerować... pomysł poddał mi chirurg Ruysdale'a...

I wyjaśnił cicho, na jakie rozwiązanie wpadł Keegan. Słuchacze nie okazali aż takiej dyskrecji.

–Co?! Chłopaki Ruysdale'a walą konia i męczą biskupa?! – wykrztusił sir Peter, dusząc się od tłumionego śmiechu.

Poczerwieniał tak, że Grey zaczął się obawiać, iż się udławi. Billman dostał ataku kaszlu, który zgiął go prawie wpół.

–Może nie wszyscy – wyjaśnił Grey zadowolony, że porucznika Dundasa nie ma w pobliżu. – Ale wystarczająco wielu, żeby stanowiło to problem. Jak rozumiem, nie zaobserwowaliście podobnego fenomenu wśród waszych ludzi... jeszcze.

Sir Peter pokręcił przecząco głową, niezdolny wykrztusić słowa.

–Walą konia? – Stephan trącił Greya łokciem i uniósł brwi. – Jakiego biskupa? O co tu chodzi?!

–Och! – Nie znając stosownego niemieckiego idiomu, Grey wykonał prawą ręką wymowny gest, oglądając się uważnie przez ramię, by sprawdzić, czy nie przygląda im się któraś z niewiast.

–A! – ucieszył się von Namtzen i uśmiechnął szeroko. – Doskonały pomysł! Może rozsądnie byłoby samemu się tak zabezpieczyć?

I trącił Greya łokciem znacznie poufalej.

Kobiety i niemieccy oficerowie pochłonięci dotąd grą w karty zaczęli coraz częściej zerkać ku Anglikom, nie kryjąc zdziwienia. W końcu jeden spytał o coś von Namtzena, co uratowało Greya od konieczności udzielenia odpowiedzi.

W tym też momencie coś mu się przypomniało, toteż złapał Stephana za ramię, gdy ten już się obracał, by dołączyć do karcianego stolika.

–Jedno pytanie, Stephan. Widziałeś ciało tego zabitego żołnierza z twojego regimentu? Koeniga, zdaje się?

–Nie widziałem. Słyszałem od tych, którzy widzieli, że miał rozszarpane gardło, jakby padł ofiarą dzikiego zwierza. Aznaleziono go w jego kwaterze.

Von Namtzen potrząsnął głową i oddalił się.

Grey dokończył posiłek, prowadząc kordialną pogawędkę z sir Peterem i Billmanem, a równocześnie dyskretnie obserwując grę w karty, do której dołączył Stephan.

Von Namtzen był tego wieczoru w wyjściowym mundurze, co u człowieka drobniejszej postury mogłoby wyglądać wręcz śmiesznie, biorąc pod uwagę, że według angielskich gustów niemieckie obwieszanie się orderami było dużą przesadą. Ponieważ jednak był potężnej postury i miał lwią grzywę blond włosów, jedynie przyciągał uwagę.

I to najwyraźniej nie tylko księżnej Louisy, ale także trzech jej przyjaciółek, które otaczały go niczym księżycy krążące po orbicie. Von Namtzen akurat sięgnął do kieszeni, wyjął z niej coś i pokazał. Wszystkie trzy kobiety zbiły się w gromadkę, by lepiej widzieć.

Grey odwrócił się, odpowiadając na pytanie Billmana, ale cały czas nurtował go ten sam problem. Próbował stłumić uczucia, jakie wzbudził w nim Stephan, ale takich rzeczy nie da się kontrolować. Czasami wybuchały gwałtownie niczym kartacz, czasami przebijały się stopniowo niczym krokus przez śnieg i lód. Ale zawsze w końcu zaistniały.

Nie kochał Stephana – co do tego nie miał wątpliwości. Lubił go i szanował, ale nie darzył miłością. Natomiast wszystko wskazywało na to, że go pożądał – na samą myśl o nim krew zaczynała mu szybciej krążyć w żyłach i stawała się jakaś taka gorętsza...

Czaszka niedźwiedzia jaskiniowego nadal spoczywała na honorowym miejscu.

Podszedł powoli, by ją dokładniej obejrzeć. Co umożliwiło mu dyskretną obserwację Stephana.

–Przecież pan się nie najadł, milordzie! – Poczuł dotyk delikatnej, ale zdecydowanej dłoni i zobaczył kokieterijnie uśmiechniętą księżną. – Taki silny mężczyzna, cały dzień na powietrzu... zaraz każę służbie podać coś specjalnego!

–Zapewniam panią, księżno... – zaproponował Grey, ale nie chciała go słuchać.

Poklepała go delikatnie wachlarzem i odplynęła niczym połyskliwa chmurka, by zarządzić przygotowanie dla niego deseru.

Czując się niczym tuczony baran, Grey schronił się w męskim towarzystwie, czyli stanął obok von Namtzena zamykającego właśnie portfelik, który przed chwilą wzbudził takie zainteresowanie przyjaciółek gospodyni. Obecnie panie zaglądały graczom w karty i zakładały się, kto wygra.

–Cóż to takiego? – spytał.

–Ach... – Von Namtzen zawahał się, ale tylko przez moment, nim wręczył Greyowi obiekt jego zainteresowania.

Mały, skórzany portfelik był zaopatrzony w złoty zamek. Wewnątrz znajdowała się miniatura wykonana ręką mistrza. Przedstawiała głowy dwojga dzieci – chłopca i dziewczynki. Oboje byli blondynami, a chłopak – starszy z rodzeństwa – miał trzy lub cztery lata.

–Moje dzieci – wyjaśnił Stephan.

Grey poczuł, jakby go ktoś rąbnął w żołądek. Otworzył usta i nie był w stanie wymówić słowa. A raczej tak mu się wydawało, bo z zaskoczeniem usłyszał swój uprzejmie zainteresowany głos:

–W rzeczy samej udane. Jestem pewien, że w czasie twojej nieobecności stanowią pociechę twojej żony.

Von Namtzen skrzywił się leciutko.

–Ich matka nie żyje – stwierdził. – Umarła przy porodzie Elise.

Moja matka opiekuje się nimi.

I bardzo delikatnie dotknął miniatury opuszką palca.

Grey wybąkał stosowne kondolencje i wycofał się, mając w głowie chaos myśli i spekulacji.

Był tak oszołomiony, że gdy przyniesiono mu ów specjalny deser, zjadł go w całości. I to mimo świadomości, że ciasto porzeczkowe z bitą śmietaną polane brandy nie wyjdzie mu na zdrowie, bo po porzeczkach zawsze musiał się drapać w najrozmaitszych miejscach.

Myślał intensywnie jeszcze długo po odejściu kobiet na spoczynek. A że przyłączył się w tym czasie do gry, stawał ostro i nie zwracał uwagi na rozgrywkę, wygrywał, bo los jak zwykle był przewrotny.

Istniała możliwość, że się pomylił i zachowanie Stephana wobec niego nie przekroczyło zwyczajowych granic, ale...

Ale często zdarzało się, że tacy jak on żenili się i mieli dzieci. Zwłaszcza gdy tak jak von Namtzen posiadali tytuły i posiadłości i chcieli mieć spadkobierców, by zapewnić trwałość rodu. Ta myśl pomogła mu wrócić do równowagi i choć zmuszony był już drapać się po karku, zaczął zwracać większą uwagę na grę.

I przegrywać.

Grę w karty zakończono godzinę później. Grey trochę ociągał się z wyjściem, mając nadzieję na wymianę paru spokojnych zdań ze Stephanem, ale tego zatrzymał akurat

kapitan Steffens, toteż w końcu wyszedł samotnie, drapiąc się coraz bardziej.

Korytarze zamku były jasno oświetlone, więc bez trudu odszukał drogę do pokoju. Szedł szybko, gnany nadzieją, że Tom jeszcze nie śpi i być może wyprosi od tutejszej służby coś na swędzenie. Jakąś maść albo... rozmyślenia przerwał mu szelest materiału za plecami, więc odwrócił się błyskawicznie.

I zobaczył nadchodzącą energicznym krokiem księżną Louise.

Była w nocnej koszuli, ale nie tej co zeszłej nocy. Ta była jedwabna i powłóczysta, doskonale opinała ciało i wyraźnie ukazywała kształt dorodnych piersi. Musiało jej być w niej zimno, mimo że narzuciła też bogato wyszywany szlafrok.

Nie miała czepka, a włosy, nie zaplecione jeszcze na noc, ale starannie wyszczotkowane, spływały złocistą kaskadą poniżej ramion. Pomimo wypitej brandy Grey poczuł, że robi mu się zimno.

–Milordzie – powiedziała i dodała z uśmiechem: – Mam coś dla ciebie, John.

I wyciągnęła rękę, w której trzymała jakieś niewielkie pudełeczko.

–Pani – odparł, opanowując chęć cofnięcia się, gdyż dotarł do niego zapach jej perfum: tuberozy.

A był to zapach, którego szczególnie nie cierpiał.

–Mam na imię Louisa – powiedziała, zbliżając się o kolejny krok. – Możesz chyba tak się do mnie zwracać, gdy jesteśmy sami. Prawda?

–Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz... Louiso.

Miał wystarczające doświadczenie, by wiedzieć, co się święci. Był przystojny, z dobrej rodziny i miał pieniądze. Stanowił więc idealny materiał na męża i oto stał się obiektem polowania. Na nieszczęście ze strony kobiety królewskiej krwi, która była przyzwyczajona dostawać to, co chciała.

Ujął jej wyciągniętą dłoń, teoretycznie by ją ucałować, naprawdę zaś by utrzymać bezpieczny dystans. Zastanawiał się, czego ona dokładnie chce. I dlaczego.

–To... żeby ci podziękować – powiedziała, wciskając mu w lewą dłoń pudełko. – I żeby cię chroniło.

–Zaręczam, że żadne podziękowania nie są potrzebne. Nie zrobiłem niczego, by na nie zasłużyć – wykrztusił, myśląc gorączkowo, dlaczego Louisa chce się z nim przespać.

Bo że chce, nie ulegało wątpliwości – widział jej podniecenie, lekko rozszerzone źrenice, zarumienione policzki i gwałtownie bijący puls na szyi. Ucisnął lekko jej palce i wypuścił, a potem spróbował oddać pudełko.

–Naprawdę, madam... to jest Louiso, nie mogę tego przyjąć. Z pewnością jest to rodzinny skarb.

Pudełko rzeczywiście wyglądało na cenne. Sądząc po wadze, wykonano je z okładanego złotem ołowiu lub z czystego złota. I ozdobiono wieloma klejnotami, które mimo prymitywnego cięcia musiały być szlachetne, choć nie był w stanie w tych warunkach ich rozpoznać.

–Och, to pamiątka rodowa – zapewniła go spokojnie. – Znajduje się w posiadaniu rodziny męża od setek lat.

–W takim razie z pewnością...

–Nie! Musisz je zachować. Ochroni cię przed tą kreaturą.

–Kreaturą? Masz na myśli...

–*Der Nachtmahr* - powiedziała, ścisząc głos i odruchowo spoglądając przez ramię, jakby obawiała się, że gdzieś w pobliżu w powietrzu unosi się sukub.

Nachtmahr oznaczało zmorę senną, czyli sukuba. Grey wstrząsnął się odruchowo –

choć korytarz oświetlono znacznie lepiej niż zeszłej nocy, większość blasku dawały świece. A ich płomienie falowały w podmuchach ledwie wyczuwalnych przeciągów, przez co na ścianach i suficie pływały cienie.

Spojrzał na pudełko. Na wieczku wygrawerowano jakiś napis po łacinie, ale by go zrozumieć, musiałby spokojnie obejrzeć go w dobrym oświetleniu.

–To relikwiarz – dodała, podchodząc bliżej. – Z relikwią świętego Orgevalda.

–Co? A... tak. Nadzwyczaj ciekawe – bąknął, z trudem ukrywając niechęć.

Ze wszystkich papistowskich praktyk, które budziły jego sprzeciw, najbardziej obrzydliwy wydawał mu się zwyczaj kawałkowania ciał świętych i rozsiewania ich szczątków po najdalszych zakątkach świata, do jakich tylko papistom udało się dotrzeć. Swoistą zagadkę stanowiło to, w jaki sposób coś podobnego znalazło się w posiadaniu von Lowensteinów będących od pokoleń luteranami. Dopiero po chwili zrozumiał – skoro relikwia była od tak dawna w rękach rodu, uważano ją po prostu za talizman, nie za obiekt kultu.

Z zamyślenia wyrwał go duszący zapach perfum. Korzystając z jego nieuwagi, księżna zbliżyła się jeszcze bardziej, a on nie miał pojęcia, jak się jej pozbyć... od drzwi pokoju dzieliły go dwa kroki i miał ochotę pokonać je jednym susem, wskoczyć do środka i zabarykadować się. Zdawał sobie jednak sprawę, iż tego właśnie nie może zrobić.

–Będziesz chronił mojego syna i mnie – wymamrotała, spoglądając na niego ufnie spod złocistych rzęs. – Więc ja będę chroniła ciebie, drogi Johnie.

I zarzuciła mu rękę na szyję, po czym przywarła wargami do jego ust w pełnym pasji pocałunku. Zwykła uprzejmość wymagała, by ją objąć, więc tak uczynił, równocześnie gorączkowo szukając ratunku. Jak na złość nigdzie w pobliżu nie było służby i nikt jej nie przeszkadzał...

W końcu jednak ktoś to zrobił. W pobliżu rozległo się znaczące chrząknięcie i Grey z ulgą przerwał pocałunek oraz wysunął się z jej ramion.

Ulgą była krótkotrwała – minęła w momencie, gdy dostrzegł stojącego parę kroków dalej landgrave'a von Erdberga przyglądającego mu się spod zmarszczonych brwi.

–Przepraszam, księżno – oznajmił Stephan lodowato. – Chciałem pomówić z majorem Greyem. Nie wiedziałem, że jest zajęty.

Księżna zarumieniła się, ale nie spieszyła. Poprawiła nocną koszulę, prostując się przy okazji, dzięki czemu jej biust stał się jeszcze wydatniejszy, i powiedziała spokojnie:

–A, to ty, Erdberg. Nie martw się, właśnie opuszczałam drogiego majora. Teraz jest cały twój. – I uśmiechnęła się tryumfalnie, po czym wystudiowanym gestem przesunęła palcami po zaczerwienionym policzku Greya i odwróciła się. A potem oddaliła dumnie.

W korytarzu zapadła wymowna cisza.

W końcu przerwał ją Grey.

–O co chodzi, kapitanie?

Von Namtzen przyglądał mu się zimno, jakby nie mogąc się zdecydować, czy mu przyłać czy nie.

–O nic. To poczeka – warknął w końcu.

Po czym obrócił się na pięcie i odmaszerował, znacznie głośniej stawiając kroki niż księżna.

Grey dotknął dłonią czoła i odczekał, aż w skroniach przestanie mu pulsować. A zaraz potem skoczył do drzwi swego pokoju w nadziei, że zdąży, nim coś znów się wydarzy.

Zdażył.

Siedzący przy kominku na stołku Tom uniósł głowę, słysząc gwałtownie otwierane

drzwi, ale gdy zobaczył w nich tylko Greya, wrócił do cerowania bryczesów. Puścił w nich szew, gdy Grey demonstrował energiczny wypad szablą jednemu z niemieckich oficerów. Jeśli ordynans usłyszał coś z rozmowy na korytarzu, nie zdradził się niczym, natomiast widząc pudełko, które Grey trzymał w dłoni, spytał:

–Co to takiego, milordzie?

–Co?! A, to... – Grey odstawił je z lekkim niesmakiem na stół. – Relikwiarz z jakimś fragmentem ciała świętego Orgevalda, kimkolwiek on był.

–O! Słyszałem o nim! – ucieszył się Tom.

–Doprawdy? – Grey uniósł uprzejmie brwi.

–W ogrodzie jest jego kapliczka, milordzie. Ilse... ona tutaj jest podkuchenną... pokazała mi ją. On tu w okolicy jest całkiem sławny.

–Aha – mruknął Grey, rzucając na krzesło kaftan i biorąc się do rozpinania guziczków kamizelki, co nie bardzo mu szło. – A z czego słynie?

–Zmusił ich, by przestali te dzieciaki zabijać. Pomóc, milordzie?

–Że co?! – Grey znieruchomiał i spojrzał na ordynansa. – Dam sobie radę. O czym ty mówisz?

Tom odruchowo przecesał dłonią włosy, jak zawsze gdy temat go interesował, i wyjaśnił:

–Bo to było tak, milordzie: panował tu taki zwyczaj, że kiedy budowali coś ważnego, to kupowali dziecko od Cyganów, albo zabierali, tak myślę, i zamuroywali w fundamentach. Zwłaszcza jeśli budowali most. To broniło przejścia każdemu, kto im źle życzył.

Grey znacznie zwolnił tempo rozpinania guzików, czując, jak włosy na karku zaczynają mu stawać dęba.

–A takie dziecko... zamordowane dziecko... pewnikiem płakało, jak sądzę?

Tom przyjrzał mu się zaskoczony.

–Płakało – potwierdził. – Skąd pan wie?

–Nieważne. Tak więc święty Orgevald doprowadził do zaniechania tych praktyk, tak? – Przyjrzał się pudełku z większą sympatią. – To dobrze. I mówisz, że tu jest kaplica... nadal czynna?

–Nie, milordzie. Pełno tam rozmaitych śmieci, od dawna służy za składzik. To znaczy nie jest używana jako kaplica, ale ludzie tam zachodzą. – Przy tych słowach zarumienił się i wrócił do szycia.

Nietrudno było się domyślić, że Ilse pokazała mu inne, popularne wykorzystanie kaplicy, ale Grey nie miał zamiaru drażnić tego tematu.

–Rozumiem. A Ilse powiedziała ci może jeszcze coś interesującego?

–Zależy, co pan uznaje za interesujące, milordzie – odparł Tom, nie odrywając wzroku od igły, ale sposób, w jaki przygryzł górną wargę, jednoznacznie wskazywał, że wie coś, co uważa za prawdziwą rewelację.

–W tej chwili najbardziej interesujące jest dla mnie moje łóżko – sapnął Grey, pozbywając się wreszcie kamizelki.

– Dalej, mów.

–Myślę, że wie pan, że niani nie znaleziono?

–Wiem.

–A wie pan, że nazywała się Koenig i była żoną tego szwabskiego żołnierza, co to go sukub dopadł?

Grey prawie już nauczył Toma, by nie mówił o Niemcach per „Szwaby”, zwłaszcza w ich obecności, ale tym razem nie zareagował.

–Nie słyszałem – powiedział powoli, rozwiązując halsztuk. – Cała służba o tym wie?

Ważniejsze było, czy wiedział o tym Stephan, ale na to pytanie ordynans nie mógł znać odpowiedzi.

–A tak, milordzie. – Tom odłożył igłę. – Bo ten żołnierz pracował tu, w zamku.

–Kiedy? – Zwyczajem było, że żołnierze dorabiali do żołdu, wykonując rozmaite prace w miastach czy na zamkach w czasie wolnym od służby, ale regiment Koeniga stacjonował tu krócej niż miesiąc... ale skoro niańka była jego żoną... – Pochodził z tych stron?

–Tak, milordzie. Oboje się tu urodzili. Pracował tu, a potem zaciągnął się do lokalnego regimentu. Kilka lat temu.

–A co on konkretnie robił na zamku?

–Był cieślą. Na najwyższym piętrze załęgły się korniki i trzeba było wymienić drewniane elementy konstrukcyjne.

–Hmm... jesteś zadziwiająco dobrze poinformowany... długo siedzieliście z Ilse w tej kaplicy?

Tom spojrzał na niego niczym uosobienie niewinności.

–Nieważne – zrezygnował Grey. – Pracował tu także w czasie, kiedy zginął?

–Nie, milordzie. Dwa lata temu jego regiment opuścił te strony. Wrócił z tydzień temu z regimentem kapitana von Namtzena. A na zamek przyszedł tylko z wizytą, odwiedzić znajomych.

Grey w tym czasie zdjął spodnie i teraz z ulgą ściągnął majtki.

–Kto wymyślił coś tak perwersyjnego jak krochmalenie męskiej bielizny?! – jęknął. – Nie możesz pogadać z praczkami, żeby przestały?

–Przepraszam, milordzie. – Tom zabrał się do zbierania porzucanych części munduru. – Ale coś mi nie wychodzi. Chyba nie znam właściwych słów, bo co ja mówię o krochmaleniu, to one zaczynają się śmiać.

–Aha. Tylko uważaj, żeby Ilse się za bardzo nie śmiała. Zostawianie służących gospodarzy w ciąży to nadużycie gościnności.

–A nie, to nam nie grozi! – zaprotestował energicznie Tom. – Za bardzo jesteśmy zajęci rozmową, żeby...

–To staraj się, żeby dalej tak było – poradził mu Grey. – Powiedziała ci jeszcze coś ciekawego?

–Może. – Tom zdjął nocną koszulę grzejącą się przy kominku i pomógł Greyowi ją włożyć.

Ten westchnął, czując na skórze dotyk miękkiej i ciepłej flaneli.

–Ale to tylko plotka, milordzie – uprzedził ordynans.

–Mhm.

–Jeden ze starych służących, który wtedy pomagał Koenigowi, po jego odwiedzinach powiedział do innego służącego, a Ilse akurat to słyszała, że mały Siegfried robi się coraz bardziej do niego podobny. Do Koeniga, znaczy się. Potem zobaczył Ilse i już nic nie powiedział.

Grey sięgający po szlafmycę znieruchomiał.

–Doprawdy? – mruknął.

Tom przytaknął, nie ukrywając zadowolenia z wrażenia, jakie wywarły jego odkrycia.

–Ten w salonie nad kominkiem to zmarły mąż księżnej? – upewnił się. – Ilse mi pokazała. Staro wygląda, no nie?

–Owszem – zgodził się z uśmiechem Grey. – I?

–No więc on był wcześniej dwa razy żonaty i nie miał żadnych dzieci. A panicz Siegfried urodził się sześć miesięcy po jego śmierci. To zawsze wtedy ludzie mówią różne rzeczy, prawda?

–Sądzę, że tak. – Grey włożył kaptcie i dodał: – Dziękuję, Tom.

Spisałeś się lepiej niż dobrze.

Tom skromnie wzruszył ramionami, ale twarz aż mu się rozświetliła z zadowolenia.

–Przynieść herbaty, milordzie? Albo grzanego wina?

–Dziękuję, ale nie. Idź spać, Tom. Zasłużyłeś na porządny odpoczynek.

–Dziękuję, milordzie. – Tom uklonił się, co było widoczną oznaką poprawy manier, stale postępującą, odkąd zamieszkali w zamku i zaczął przyjaźnić się z tutejszą służbą.

Zebrał złożone na krześle rzeczy. W drodze do drzwi zatrzymał się przy stole i przyjrzał dokładnie złotemu relikwiarzowi.

–Ładny drobiazg, milordzie – ocenił. – Relikwia... to kawałek ciała, tak?

–Tak. – Grey już miał zamiar kazać mu go zabrać, ale rozmyślił się: tak cenne rzeczy lepiej mieć na oku. – Sądząc po wielkości relikwiarza, pewnie palec.

Tom pochylił się, próbując odcyfrować zatarty napis.

–Co tu pisze, milordzie? Potrafi pan to odczytać?

–Prawdopodobnie. – Grey wziął pudełko, przysunął się bliżej świecy i ustawił je pod odpowiednim kątem, by litery stały się wyraźniejsze.

Przy tej okazji uwidocznił się także relief na wieczku, który pierwotnie uznał za zwykłą ozdobę. Okazało się, że jest to rysunek relikwii, co potwierdził napis.

–Czy to jest...? – wykrztusił Tom, wytrzeszczając oczy na rysunek.

–Tak jest. – Grey ostrożnie odstawił pudełko.

Obaj przyglądali mu się naprawdę długą chwilę w całkowitym milczeniu.

–Skąd pan to ma, milordzie? – spytał w końcu Tom.

–Księżna mi dała. Dla ochrony przed sukubem.

–Al! – Ordynans przestąpił z nogi na nogę i przyjrzał mu się spod oka. – A... myśli pan, że to zadziała?

Grey odchrząknął.

–Zapewniam cię, że jeśli fallus świętego Orgevalda mnie nie ochroni, to nic tego nie dokona.

Grey, gdy został sam, opadł na fotel przy kominku, zamknął oczy i spróbował uporządkować myśli. Rozmowa z Tomem znacznie go uspokoiła i pozwoliła nabrać dystansu do kwestii związanych z księżną i Stephanem. Mógł na zimno je rozważyć.

Tyle że tak na dobrą sprawę nie wymagały one rozważenia...

Czuł lekkie mdłości, więc nalał sobie szklanekę śliwkowej brandy z karafki stojącej na stole i wypił połowę. Pomogło tak na żołądek, jak i na zdolność myślenia, dzięki czemu mógł zająć się przeanalizowaniem znacznie mniej osobistych aspektów sytuacji.

Odkrycia Toma rzucały na nią zupełnie nowe i całkiem interesujące światło. Gdyby wierzył w istnienie sukuba, a uczciwość nakazywała przyznać, że parokrotnie prawie w nie uwierzył – na cmentarzu i w korytarzu – to teraz przestałby, i to definitywnie.

Próba porwania bezwzględnie była dziełem ludzkim, a związek między zaginioną nianią a zabitym żołnierzem wskazywał, że jego śmierć była częścią tej samej sprawy. Obojętnie, jakie niesamowitości przy tej okazji wymyślono.

Ojciec Greya umarł, gdy chłopak miał dwanaście lat. Udało mu się jednak zaszczepić synowi kult rozsądku, wiarę w słuszność brzytwy Ockhama i prawdziwość zasady *Cuius bono?*

Na pytanie, kto stoi za tym wszystkim, odpowiedź była prosta – księżna Louisa. Zakładając, że plotka była prawdziwa i ojcem dziecka był Koenig, ostatnią rzeczą, jakiej mogła sobie życzyć księżna, był powrót Koeniga i jego pozostanie w okolicy, by każdy na własne oczy mógł zobaczyć, do kogo podobny jest jej syn.

Grey nie miał pojęcia, jak niemieckie prawo reguluje kwestię ojcostwa. W Anglii dziecko urodzone lub poczęte w trakcie trwania małżeństwa automatycznie uznawane było za legalnego potomka męża. Nawet jeśli wszyscy w okolicy i ich dalsi znajomi wiedzieli, że żona była niewierna i to nie raz. W ten właśnie sposób kilkunastu mężczyzn o takich jak on preferencjach dorobiło się dzieci, choć nigdy nawet przez myśl im nie przeszło, by dzielić z żonami łóżko. Być może Stephan...

Wstrząsnął się i wyrzucił tę myśl z umysłu. Były to czcze dywagacje, tym bardziej że chłopak na miniaturze był niezwykle podobny do Stephana. No ale z drugiej strony wiadomo było, że malarze tworzą to, co jak sądzą, chce zobaczyć zleceniodawca, a nie oddają wiernie rzeczywistość, więc...

Złapał szklanekę i duszkiem wypił jej zawartość.

Stracił oddech, w uszach mu zadzwoniło i znów mógł myśleć o tym, co istotne.

–Koenig! – oznajmił głośno.

Czy plotka była prawdziwa czy nie, a po pocałunku sprzed godziny skłaniał się raczej ku pogładowi, że była, obecność Koeniga z pewnością nie mogła księżnej cieszyć. I to, czy zagrażała ona prawom dziecka do uznania za legalne czy nie, było bez znaczenia.

Pozostawało pytanie, czy powrót Koeniga uznała za aż taką uciążliwość, by zorganizować jego śmierć.

Nie wydało mu się to logiczne, gdyż wojsko długo w okolicy nie zabawi – najdalej za miesiąc regimenty odmaszerują. Zabicie Koeniga byłoby więc uzasadnione tylko wtedy, gdyby wydarzyło się coś niespodziewanego, co wymagałoby natychmiastowego działania... może nie wiedział, że jest ojcem dziecka, i gdy odkrył podobieństwo rysów, odwiedzając znajomych na zamku, zażądał pieniędzy czy jakichś przywilejów w zamian za milczenie?

Istniała też możliwość, że cała historia z sukubem została wymyślona, by zamaskować zabójstwo... Pytanie, jak to zrobiono. Plotka przemówiła błyskawicznie do wyobraźni tak żołnierzy, jak i mieszkańców miasteczka, a śmierć Koeniga spotęgowała jej oddziaływanie, ale pozostawała kwestia, jak się zrodziła...

Chwilowo nie był w stanie znaleźć na to odpowiedzi, więc przestał się nad tym zastanawiać. I skoncentrował się na samym zabójstwie.

Jakoś nie był w stanie wyobrazić sobie, by księżna Louisa dokonała go własnoręcznie. Nie dlatego, że nie była do tego zdolna – zauważył, że w sprawach dotyczących dziecka jest bezlitosna. Ale dlatego, że było to fizycznie niewykonalne. Jej obecność w żołnierskiej kwaterze czy w ogóle w miasteczku została by zauważona, a gdyby zjawiała się w przebraniu, ryzyko zdemaskowania byłoby zbyt duże.

Musiał więc dokonać go ktoś inny. Ktoś niezwykle wierny albo jej osobiście, albo rodzinie von Lowensteinów. I nie musiał wcale być to ktoś z zamku. Do miana metropolii Gundwitz nie mogło pretendować, ale na pewno posiadało własnych przestępców rozmaitej maści. Wystarczyło skontaktować się z odpowiednimi ludźmi i zapłacić, a zabójcy z pewnością się znaleźli. Zakładając naturalnie, że było to morderstwo, co jak dotąd stanowiło jedynie nieprawdopodobną hipotezę. O czym musiał pamiętać, bo w przeciwnym razie mógł w zapale dojść do fałszywych wniosków.

Poza tym pozostawała jeszcze jedna kwestia. Nawet przyjmując, że plotka i zabójstwo

były dziełem księżnej, kto zakradł się do pokoju Siggy'ego? Chłopak zobaczył wiedźmę już po zabiciu Koeniga, więc on nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Kto w takim razie próbował porwać malca, o ile to rzeczywiście była próba porwania...

Przeczesał dłonią włosy, drapiąc się przy okazji odruchowo.

Kto był najbardziej lojalny w stosunku do księżnej? Pokojówka? Stephan?

Skrzywił się, ale nie odrzucił tej myśli. Natomiast po dokładnym rozważeniu musiał przyznać, że Stephan na pewno nie przyłożyłby ręki do zamordowania któregoś ze swoich żołnierzy; mógł wątpić w wiele rzeczy związanych z landgrave'em von Erdbergiem, ale na pewno nie w jego honor.

Co z kolei powodowało konieczność przeanalizowania zachowania gospodyni względem niego samego. Mogło naturalnie kierować nią uczucie czy też pociąg fizyczny. Grey nie uważał się za ideał męskiej urody, ale był na tyle uczciwy, by przyznawać, że mógł podobać się kobietom. I wiedział, że paru na pewno się spodobał.

Natomiast jeśli maczała palce w usunięciu Koeniga, jej zaloty musiały być pomyślane jako sposób odwrócenia jego uwagi. Ale istniało też inne wyjaśnienie.

Jedną z mniej ważnych prawd wynikających ze stosowania brzytwy Ockhama, odkryta zresztą przez niego samego, głosiła, że widoczne rezultaty czyjegoś postępowania przeważnie były tymi, które zostały przezeń zamierzone. Rezultatem końcowym zaś sceny korytarzowej było to, że Stephan ujrzał go w ramionach księżnej i że odkrycie to równo i dokładnie go wkurzyło.

Tak więc motywem Louisy mogło być wzbudzenie w von Namtzenie zazdrości.

Jeśli tak, to się jej udało. Stephan był zazdrosny...

Tylko o kogo?

W pokoju robiło się coraz bardziej duszno. Grey wstał, nie mogąc usiedzieć na miejscu, i podszedł do okna. Odblokował i otworzył okiennice. Była pełnia, a księżyc – wielka żółta kula – wisiał nisko nad ciemnymi polami, rzucając srebrzysty blask na dachy Gundwitz i ustawione w równych rzędach namioty poza nim.

Ciekawiło go, czy regiment Ruysdale'a spał spokojnie po forsownych ćwiczeniach. I doszedł do wniosku, że jemu samemu by takie ćwiczenia wyszły na zdrowie. Otworzył okno, wyobrażając sobie, że biegnie nago w chłodną noc, cichy niczym wilk, czując pod stopami zimną, sprężystą ziemię.

Owiało go rześkie powietrze, ale wewnątrz nadal był rozpalony. Ciepło bijące od kominka i rozgrzewające działanie alkoholu spowodowały, że flanelowa koszula, poprzednio tak przyjemnie ciepła, stała się krępującym ciężarem. Pocił się.

Zniecierpliwiony zdjął ją gwałtownymi ruchami i stanął nagi, poddając się chłodnej pieszczocie wiatru.

W porastającym mur bluszczu w pobliżu okna nagle coś się zakotłowało i kilkanaście stworów przeleciało absolutnie bezgłośnie tuż przed jego twarzą. Nie zdążył nawet odskoczyć, mimo iż serce podeszło mu do gardła,

tak szybko to się stało.

Nietoperze. Już ich nie było, zanim zaskoczony umysł zdołał nazwać to, co zobaczyły oczy.

Wychylił się i rozejrzał, ale nietoperze zniknęły w mroku, zajęte łowami. Nic dziwnego, że w miejscu, w którym tyle ich żyło, legendy o sukubach nadal poruszały wyobraźnię. Już samo zachowanie tych istot wyglądało na nadnaturalne.

Pokój wydał mu się ciasny nie do zniesienia.

Wyobraził sobie, że jest demonem latającym w poszukiwaniu ofiary, i zaciekawilo go, czy zdołałby dotrzeć w ten sposób do Anglii... gdyby noc była wystarczająco długa...

Drzewami rosnącymi na skraju ogrodu targnął nagły podmuch wiatru. Pomyślał, że sama noc nie może zaznać spokoju. Że coś się w niej rusza, zmienia, fermentuje.

Krew nadal w nim wrzała. Choć bardziej już się nie rozpałał, nie mógł ochłonąć. Nie wiedział, czy Stephan rozgniewał się na niego, czy na Louise, ale w takiej sytuacji nie mógł w żaden sposób okazać, co do niego czuje, bo było to zbyt niebezpieczne. Co prawda nie miał pewności, jakie jest podejście Niemców do homoseksualistów, ale wątpił, by było łagodniejsze niż Anglików. Tak surowa protestancka moralność, jak i dziki papistowski mistycyzm nie tolerowały tego, co inne i niezrozumiałe. W tym takich preferencji.

Natomiast samo rozważanie niemożliwego uświadomiło mu coś istotnego.

Stephan von Namtzen pociągał go i podobał mu się, ale nie z racji niewątpliwych zalet fizycznych, lecz dlatego że w znacznym stopniu przypominał mu Jamesa Frasera. Był prawie tego samego wzrostu, równie szeroki w barach, miał podobnie długie nogi i tak samo dominował w każdym gronie. Był jednak grubszy i toporniejszej budowy, nie miał też pełnych gracji ruchów Szkota. I choć myśl o nim rozgrzewała krew, nie rozpałała Greyowi serca.

W końcu położył się do łóżka i zgasił świecę. Obserwując grę ognia i cieni na ścianach, widział coś innego – słońce w rudych włosach, pot na opalonym ciele...

Brutalna i szybka dawka kuracji Keegana okazała się skuteczna – poczuł się nie tylko pusty, ale i spokojny. Wpatrzony w grę cieni na drewnianym suficie był ponownie zdolny do myślenia. Ale jedyne, do czego doszedł, to pewność, że musi porozmawiać z kimś, kto widział ciało Koeniga.

VI. Hokus-pokus

Odszukanie kwatery, a więc i miejsca śmierci szeregowca Koeniga było proste. Przyzwyczajeni do częstej obecności wojska Prusacy bowiem jako ludzie praktyczni budowali domy tak, by posiadały izbę z osobnym wejściem, przeznaczoną na kwatery dla żołnierzy. I uważali ich pobyt w miasteczku czy wsi nie za nieszczęście, ale za całkiem korzystną okoliczność. Wojsko bowiem płaciło za nocleg i wyżywienie, a żołnierze nie dość, że pomagali w takich pracach, jak rąbanie drewna czy noszenie wody, to chronili przed złodziejami skuteczniej niż duży pies. I na dodatek nic nie kosztowali.

Kancelaria regimentu Stephana była naturalnie wzorowo prowadzona, toteż choć przyjął Greya chłodno, informacji mógł mu udzielić natychmiast, łącznie z opisem jak dotrzeć do znajdującego się po zachodniej stronie miasteczka domu.

Przez moment wyglądało nawet na to, że będzie mu towarzyszył, gdyż uznał to za swój obowiązek, ale pojawił się kapral Helwig z kolejnym niecierpiącym zwłoki problemem. Helwig średnio dziennie miał ich trzy. Tak więc Grey wyruszył samotnie.

Dom niczym się nie wyróżniał w przeciwieństwie do właściciela, który był karłem.

–Biedak! – oświadczył, gdy usłyszał, po co Grey przyszedł. – Nigdy wcześniej nie widziałem aż tyle krwi!

Herr Huckel sięgał Greyowi do pasa, toteż ten musiał patrzeć w dół, gdy z nim rozmawiał, co było nowym doświadczeniem. Niemniej był inteligentny i mówił logicznie, co zaskoczyło Greya. Większość świadków przemocy albo zapominała szczegóły, albo wymyślała niestworzone historie.

Herr Huckel zaprowadził go do izby i opowiedział spokojnie, co widział:

–Było późno i położyliśmy się już z żoną do łóżka. Żołnierze wyszli wcześniej,
a przynajmniej tak sądziliśmy.

Założenie było sensowne, gdyż tego dnia wypłacono żołd, zwyczajowo gremialnie przepuszczany przez wojaków w szynkach i zamtuzach. Ponieważ w izbie panowała cisza, gospodarze doszli do wniosku, że wszyscy czterej kwaterujący tu żołnierze tak właśnie postąpili.

Nad ranem obudziły ich wrzaski dobiegające z izby, ale okazało się, że nie były to śmiertelne jęki szeregowca Koeniga, lecz reakcja jednego z jego towarzyszy. Wrócił jako pierwszy, mając dobrze w czubie, i trafił na zbryzganą krwią scenę zbrodni.

–O, tu leżał. – Huckel wskazał na przeciwległy kąt starannie utrzymanego i wysprzątanego pomieszczenia.

Poza nieregularnymi, ciemnymi plamami na drewnianej podłodze po tragedii nie zostało ani śladu.

–Nawet ługiem nie dało się tego wyczyścić – dodała Frau Huckel, która przyszła sprawdzić, co się dzieje. – I całą pościel musieliśmy spalić.

Ku zaskoczeniu Greya była nie dość, że normalnego wzrostu, to w dodatku całkiem ładna. Spod czepka wymykały się kosmyki blond włosów, gdy przekrzywiła głowę i przyglądała mu się oskarżycielsko.

–A teraz żaden żołnierz nie chce tu mieszkać – dodała z pretensją, jakby to była wina Greya. – Myślą, że *Nachtmahr* łatwiej ich tu dostanie.

Grey uśmiechnął się przepaszająco.

–Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. Widzieliście ciało?

–Ja nie widziałam – odparła. – Ale zobaczyłam tę starą wiedźmę.

–Doprawdy? – zdziwił się Grey. – A... a jak ona wyglądała?

Podświadomie spodziewał się odpowiedzi w stylu Siggy'ego – logicznej, acz mało pomocnej: „Jak stara wiedźma”.

–Margaretha! – Herr Huckel złapał jej dłoń. – To wcale nie musiała być...

–Ale była! – przerwała mu stanowczo, nie cofając jednak dłoni.

Przykryła ją zamiast tego drugą i dopiero wróciła spojrzeniem do Greya.

–To była stara, siwa kobieta. Włosy miała splecione w warkocze, co zobaczyłam, kiedy wiatr odchylił jej szal. W pobliżu mieszkają tylko dwie stare kobiety. Jedna chodzi wyłącznie o kiju, druga nie chodzi wcale. A ta... ta poruszała się szybko i zwinnie, choć była przygarbiona.

Herr Huckel wyglądał na tym bardziej nieszczęśliwego, im dokładniejszy stawał się opis. Otworzył już nawet usta, by przerwać żonie, ale ta nie dała mu okazji.

–Jestem pewna, że to była stara Agatha! – oznajmiła, ściszej głos.

Herr Huckel zamknął oczy z głuchym jękiem.

–Stara Agatha? – powtórzył Grey. – Aaa! Frau Blomberg, matka Burgemeistera, tak?

Frau Huckel potwierdziła bez chwili wahania.

–Coś z tym trzeba zrobić – oznajmiła. – Wszyscy się w nocy boją.

Albo wyjść, albo spać. Chłopy, których żony nie czuwają nad nimi, gdy śpią, zasypiają przy pracy, przy jedzeniu...

Grey w ostatnim momencie ugryzł się w język. Już miał zamiar sprzedać im środek zaradczy Keegana. Jakoś nie wydawało mu się, by spotkało się to tu z życzliwym przyjęciem. Zamiast tego zabrał się do wypytywania Huckela. Zależało mu na dokładnym opisie ciała.

–Powiedziano mi, że miał przegryzione gardło – zaczął.

Herr Huckel natychmiast zbladł i odzegnał urok.

–Czy gardło miał rozerwane, jak, powiedzmy, ktoś zaatakowany przez wilka, czy...? – urwał, bo gospodarz pokręcił energicznie głową.

–Nie przegryzione! – zaprotestował. – Na szyi były tylko dwa ślady. Dwa otwory jak po ukąszeniu węża. Ale wszędzie było pełno krwi!

I wstrząsnął się odruchowo, odwracając wzrok od śladów na podłodze.

Grey widział kiedyś człowieka ugryzionego przez węża i pamiętał, że rany w ogóle nie krwawiły. Tamten co prawda został ukąszony w nogę, ale...

–To były duże otwory? – spytał, zdecydowany uzyskać jak najwięcej informacji, obojętnie, czy szczegóły były dla opowiadającego miłe czy nie.

W końcu udało mu się ustalić, że rany były spore – miały około ćwierć cala średnicy każda. I znajdowały się z przodu, w połowie szyi. Ponieważ gospodarz rozebrał trupa, by go umyć przed pochówkiem, można mu było wierzyć, gdy zapewniał, że nieboszczyk nie odniósł żadnych innych obrażeń.

Grey rozejrzał się po świeżo pobielonych ścianach. Na jednej, nisko nad podłogą, widniała przebijająca się przez wapno plama, choć mniej wyraźna niż te na podłodze. Najprawdopodobniej tam właśnie skonał targany drgawkami Koenig.

Miał nadzieję, że gdy dowie się, w jakim stanie go znaleziono, zdoła odkryć coś, co połączy śmierć obu żołnierzy. Okazało się, że jedyne podobieństwo stanowi to, że zmarli w naprawdę dziwnych okolicznościach.

Podziękował Huckelowi i zbierał się do wyjścia, gdy dotarło doń, że Frau Huckel podjęła swój przerwany tok myślowy i mówi do niego od dobrej chwili.

–...wezwać czarownicę, żeby czytała z runów.

–Że co proszę?

Wciągnęła głęboko powietrze, ale zdołała powstrzymać się od reprimendy i powtórzyła:

–Herr Blomberg zdecydował się wezwać czarownicę, żeby czytała z runów. Dzięki niej dowiemy się prawdy!

–Co on chce zrobić? – sir Peter wytrzeszczył oczy. – Zwołać sabat czarownic?

–Słyszałem tylko o jednej czarownicy, sir – zapewnił go Grey.

Według Frau Huckel w miasteczku wrzało. Wieść, że ciało zmarłej matki burmistrza służy sukubowi za schronienie, dotarła naturalnie do wszystkich i mieszkańcy byli o krok od rebelii przeciw Blombergowi. Ten okazał się jednak równie uparty co pomysłowy. Odmówił zgody na wykopanie trumny i zbeczeszczenie zwłok, ale wezwał czarownicę, by ta odkryła prawdziwą tożsamość i kryjówkę sukuba, czytając z runów.

–Co to takiego te runy? – zdziwił się sir Peter.

–Nie jestem tak do końca pewny, sir – przyznał Grey. – Jakieś magiczne przedmioty służące do wróżenia czy przepowiadania przyszłości.

–Tak? – Sir Peter potarł w zamyśleniu długi i cienki nos. – Coś tu śmierdzi... Ta wiedźma może powiedzieć wszystko, no nie?

–Sądzę, że może, choć skoro Blomberg za to płaci, ma podstawy uważać, że wróżba wypadnie na jego korzyść – zasugerował Grey.

–Hmm... nadal mi się to nie podoba. Zupełnie mi się nie podoba. Z tego mogą wyniknąć kłopoty. Nie widzisz pan tego?

–Nie bardzo widzę, jak mógłby go pan powstrzymać, sir.

–Może tak, a może nie. – Widać było, że pułkownik intensywnie myśli. – Al! To się da zrobić! Idź pan do Blomberga i powiedz mu, że może sobie robić to całe hokus-pokus, ale tu, na zamku. W ten sposób w razie czego zdołamy dopilnować, żeby nie doszło do

niepotrzebnego zamieszania i nieporozumień!

–Tak jest, sir! – Grey z trudem stłumił westchnienie.

I wyszedł wypełnić otrzymane rozkazy.

Grey wrócił do pokoju, by przebrać się przed kolacją. Był brudny i zirytowany. Większość popołudnia zajęło mu odszukanie Herr Blomberga i przekonanie go, by obrządek odbył się w zamku. A wracając, miał pecha natknąć się na Helwiga i nim zdążył uciec, już tkwił po uszy w sporze między wojskiem a mulnikami twierdzącymi, że nie otrzymali zapłaty.

Zmusiło go to do odwiedzenia dwóch biwaków, obejrzenia trzydziestu czterech mułów i odbycia rozmów zarówno z kwatermistrzem sił angielskich, jak i hanowerskich oraz spotkania z samym von Namtzenem. Ten zachowywał się tak, jakby Grey był osobiście odpowiedzialny za powstanie problemu, po czym w połowie zdania odwrócił się doń plecami, jakby nie mógł na niego patrzeć.

Grey rozebrał się do pasa, posłał Toma po ciepłą wodę i zirytowany czekał, żalując, że nie jest kimś innym, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Zamarł, a irytacja zniknęła momentalnie. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Mógł udać, że go nie ma, na wypadek gdyby to była Louisa, ale jeśli to był Stephan z przeproszeniami lub żądaniem wyjaśnień?

Pukanie powtórzyło się. Było głośnie i zdecydowane. Takie, jakiego trudno spodziewać się po kobiecie, zwłaszcza kobiecie pragnącej zachować wizytę w tajemnicy. Księżnej chyba nie zależało na tym, by wszyscy wiedzieli, że go odwiedziła...?

Po trzecim pukaniu znacznie ostrzejszym niż poprzednie Grey wciągnął głęboko powietrze i otworzył drzwi.

–Chcę z panem porozmawiać – oznajmiła księżna wdowa i majestatycznie wpłynęła do pokoju, nie czekając na zaproszenie.

–O! – bąknął Grey, któremu chwilowo wyleciały z głowy wszystkie niemieckie słowa.

Zamknął drzwi i odruchowo sięgnął po wiszącą na oparciu krzesła koszulę.

Księżna wdowa stanęła przed kominkiem i czekała, aż Grey się ubierze, przyglądając mu się ostro. Na szczęście była kompletnie przyodziana, bo widoku jej *en deshabelle* najprawdopodobniej by nie zniósł.

–Przyszłam spytać – oznajmiła bez wstępów – czy ma pan zamiar poślubić Louise?

–Nie mam – odparł natychmiast. – *Nein*. Uniosła nieznacznie lewą brew.

–*Ja?* Ona myśli inaczej.

Grey potarł szczękę, na której nieśmiało jeszcze, ale już zaczął pojawiać się zarost, gorączkowo szukając dyplomatycznego wyjścia z sytuacji. Znalazł.

–Bardzo podziwiam księżną Louise – przyznał. – Niewiele jest niewiast mogących się z nią równać, ale niestety nie mogę wziąć na siebie takiego zobowiązania, jestem już bowiem po słowie. W Anglii.

Faktycznie był po słowie. Z Jamesem Fraserem, a uzgodnienie było następujące: jeśli kiedykolwiek dotknąby go czy powiedział, co czuje, Fraser skręci mu kark. Może niedokładnie odpowiadało to temu, co większość ludzi rozumie pod tym określeniem, ale po słowie był – bez dwóch zdań. Fraser dał mu słowo honoru.

Księżna wdowa patrzyła nań tak przenikliwie, że gdyby nie miał za plecami drzwi, pewnie by się cofnął. Tak pozostało mu jedynie stać nieruchomo i wytrzymywać jej wzrok.

–Hmh! – stwierdziła w końcu. – W takim razie dobrze.

I bez dalszych wyjaśnień ruszyła ku drzwiom.

Grey ustąpił jej z drogi, ale nim zdążyła przekroczyć próg, złapał ją za rękę.

Odwróciła się zaskoczona i rozgniewana, co zignorował, wpatrując się w przypięty do gorsu medalion.

–Przepraszam, księżno – powiedział, wskazując nań. – Święty Orgevald?

Widział go setki razy i sądził, że to konterfekt jakiegoś świętego. W pewien sposób miał rację, tyle że malunek był raczej niekonwencjonalny i na pewno niepełny, choć dość topornie wykonany i nieco zatarty. Gdyby nie oglądał większej wersji na wieczku relikwiarza, nie zorientowałby się, co naprawdę przedstawia malowidło na medalionie.

–Oczywiście. – Stara dama przyjrzała mu się z błyskiem w oczach, potrząsnęła głową i zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi.

A Greya nagle olśniło. Orgevald nie całe życie był świętym...

Zastanawiając się nad tym, czym mógł się zajmować Orgevald, gdy był jeszcze normalnym człowiekiem, Grey poszedł spać, odruchowo drapiąc świeże ukąszenia pcheł, które przesiadły się z mułów na niego.

VII. Zasadzka

Następny dzień wstał zimny i wietrzny. Po drodze Grey zauważył bażanty kryjące się w krzewach, krowy próbujące szukać ciepła, leżąc na polach, i dachy dosłownie pokryte gołębiami siedzącymi jeden obok drugiego, by się ogrzać. Stwierdził, że wbrew potocznej opinii ptaki mają więcej rozumu niż niejeden człowiek. Na przykład on.

Tylko że ptaki nie miały obowiązków. Choć prawdę mówiąc, nie tylko obowiązki były przyczyną wyjazdu. Po części gnała go ciekawość, po części podejrzenia – chciał odnaleźć Cyganów, a zwłaszcza jedną Cyganekę. Tę, z którą krótko przed śmiercią kłócił się szeregowy Bodger.

A tak zupełnie szczerze – a mógł sobie na szczerąść pozwolić, jako że był sam – chciał też zobaczyć, jak miewa się kanonier o czerwonych ustach.

Natomiast najważniejszym powodem wyprawy było pragnienie opuszczenia zamku. Nie czuł się bezpieczny pod jednym dachem z księżną Louisa i jej teściową. A do biura w miasteczku nie miał ochoty iść ze względu na możliwość napotkania Stephana.

Cała sytuacja była rodem z tandetnej farsy, ale nic nie mógł na to poradzić. A na dodatek ciągle o tym wszystkim myślał. I o Stephanie.

Mógł naturalnie oszukiwać sam siebie, jeśli chodziło o tego ostatniego. Był próżny jak każdy, ale mógłby przysiąc... myśli krążyły w zaklętym kręgu i za każdym razem, gdy chciał przestać, czuł ciepło i odruchową pewność siebie właściciela, z jaką Stephan go pocałował. Tego sobie nie wymyślił, a mimo to...

Zatopiony w myślach dotarł do stanowiska artylerzystów, nie wiedząc jak i kiedy. I stwierdził, że młodzieńca tam nie ma.

–Franz? Pewnie poszedł poszukać czegoś do jedzenia. – Porucznik Dietrich wzruszył ramionami. – Albo zatęsknił za domem i uciekł. Młodym to się często zdarza.

–Przestraszył się – dodał któryś z kanonierów.

–Czego? – spytał ostro Grey, zastanawiając się, czy mimo wszystkich środków ostrożności wieść o sukubie jednak tu nie dotarła.

–On się bał własnego cienia – burknął Samson. – Ciągle gadał o tym dzieciaku, którego płacz usłyszał po nocy.

–Myślałem, że ty też go słyszałeś – odezwał się niezbyt przyjaźnie inny. – Wtedy, nad rzeką, gdy tak lało.

–Ja? Nic nie słyszałem poza piskami Franza – wyjaśnił Samson, wywołując salwę śmiechu obecnych. – Ile razy grzmotnęło, tyle razy pisał.

Grey odetchnął z ulgą, bo po pierwszej wypowiedzi był już pewien, że chłopak się zdradził.

–Uciekł do domu – ocenił Dietrich. – I dobrze. Z tchórza żaden pożytek.

Coś w zachowaniu porucznika przeczyło tej stanowczej ocenie, ale Grey nie zastanawiał się co, bo było to bez znaczenia. Nie mógł rozkazać im niczego, a więc i przedsięwzięcia poszukiwań. Dlatego pożegnał się i pojechał dalej.

Przejechał przez most, przyglądając się rzece. Woda trochę opadła i nurt nie niósł już drzew czy zwłok, a jedynie liście i jakieś drobne, na wpół zatopione rzeczy. Nie chciał się zatrzymywać, ale na ile mógł, na tyle uważnie sprawdził, czy gdzieś w okolicy mostu nie ugrzęzło zmasakrowane ciało młodzieńca albo czy pod powierzchnią nie unosi się twarz topielca o pełnych ustach.

Nie znalazł niczego oprócz zwykłych niesionych przez wodę śmieci i z westchnieniem ulgi skierował się w stronę wzgórz.

Nie wiedział, dokąd jechali Cyganie, jedynie w jakim kierunku zmiierzali, gdy artylerzyści ich ostatni raz widzieli. Szanse na znalezienie ich miał więc niewielkie, ale nie zniechęcał się. Szukał uparcie, regularnie przepatrując okolicę przez lunetę, i wypytywał każdego, kogo spotkał.

Co następowało raczej rzadko. Zawsze byli to chłopcy albo smolarze. Najczęściej zresztą uciekali, gdy tylko zobaczyli jego czerwony mundur. Ci, którzy nie zdążyli, żegnali się regularnie w czasie rozmowy, ale nikt nie przyznał, że widział Cyganów lub słyszał, gdzie obozują.

Było już późne popołudnie, gdy Grey doszedł do wniosku, że czas zakończyć poszukiwania i udać się w drogę powrotną, jeśli nie chce nocować pod gołym niebem. Z zapasów miał tylko butelkę piwa i krzesiwo, a perspektywa udania się na spoczynek z żołdakiem nie była atrakcyjna. A należało jeszcze pamiętać, że o kilka mil na zachód obozowały wojska francuskie, które podobnie jak angielskie rozsyłały w teren zwiadowców. Co prawda miał w olstrach dwa nabite pistolety, a przy boku szpadę, którą władał niezgorzej, ale w starciu z liczniejszym patrolem nie dałoby mu to wiele.

Ponieważ nie chciał ryzykować zranienia Karolusa podczas jazdy po podmokłym terenie, na poszukiwania wybrał się na gniadoszu mającym doskonale maniery i niezwykle pewny krok. Dzięki temu, mocno już zmęczony, mógł skoncentrować uwagę na celu wyprawy. Roślinność na otaczających go wzgórzach była w ciągłym ruchu, ponieważ wiatr co chwila zrywał się niespodziewanie. Wywoływało to złudzenia optyczne – Greyowi wydawało się, że widzi ludzi, zwierzęta czy fragmenty wozu. Kiedy przyglądał się dokładniej, kształty okazywały się tylko grą światła.

Na dodatek wiatr wył i zawodził w różnych tonacjach, a zmęczony umysł dodawał głosy do iluzji. Od dłuższej chwili na przykład zdawało mu się, że słyszy płacz dziecka. Przetarł dłonią twarz i potrząsnął głową. Ale wrażenie pozostało.

Ściągnął cugle, a gdy wierzchołek stanął, zaczął nasłuchiwać, kręcąc głową. Był pewien, że to, co słyszy, było rzeczywistym dźwiękiem, nie złudzeniem, ale nie mógł się zorientować, skąd pochodzi.

Koń też musiał wychwycić ten dziwny odgłos, gdyż zastrzygł uszami i rzucił nerwowo łbem.

–Skąd? – spytał łagodnie Grey, kładąc mu cugle na szyi. – Skąd to dobiega? Możesz znaleźć źródło?

Gniadosz nie miał jednak zamiaru zbliżyć się do źródła zawodzenia, a wręcz przeciwnie. Zaczął się cofać, obracając przy tym nieco i ślizgając na pokrytym pożółkłymi liśćmi piachu. Grey ostro ściągnął cugle, zeskoczył i

przywiązał go do pobliskiego wyglądającego w miarę solidnie krzaka, z którego opadły już liście.

Kierunek, który najbardziej nie podobał się gniadoszowi, musiał być tym, z którego dochodził dźwięk, toteż Grey obejrzał tamten teren szczególnie uważnie. I dostrzegł to, co wcześniej przeoczył – wejście do borsuczej nory częściowo ukryte przez korzenie dorodnego wiązu. To z niej musiało wydobywać się zawodzenie, choć nigdy nie słyszał, by borsuk wydawał podobne dźwięki.

Dobył pistolet, odwiódł kurek i na wszelki wypadek podsypał na panewkę świeżego prochu. Po czym ostrożnie podszedł do nory, obserwując jednakże pobliskie drzewa.

To, co słyszał, rzeczywiście było płaczem, ale nie dziecka. Z bliska bardziej przypominało stłumione łkanie przerywane gwałtownym łapaniem powietrza typowym dla rannych.

–*Wer ist das?* - spytał ostro, stając o kilka kroków od dziury w ziemi i unosząc broń. – Jesteś ranny?

Rozległ się pełen zaskoczenia okrzyk, a potem jakby odgłosy drapania i niepewny głos:

–Major Grey? To pan?

–Franz?! – spytał zdumiony Grey.

–*Ja!* Proszę mi pomóc, panie majorze!

Grey opuścił kurek pistoletu i schował broń za pas. Następnie podszedł do dziury, przyklęknął i zajrzał do środka. Borsuki z zasady najpierw kopią prawie pionowy szyb, a dopiero potem poziomy, zygzakowaty tunel prowadzący do legowiska. Szyb tej nory miał około sześciu stóp głębokości, co skutecznie uniemożliwiało wyjście z niej niewysokiemu Franzowi. Tym bardziej że jak się okazało, przy upadku złamał nogę, co znacznie też utrudniło operację ratunkową.

W końcu dzięki powiązaniu razem koszul i linki przytroczonej do siodła Hognose'a udało się wyciągnąć Franza na powierzchnię. Gdy unieruchomił złamaną kończynę, przykrył rannego surdudem i dał mu piwa.

–Panie majorze... – Franz spróbował unieść się na łokciu i prawie zakrztusił się piwem.

–Spokojnie, leż i nic nie mów. – Grey poklepał go po plecach, zastanawiając się, jak go dostarczyć do mostu. – Wszystko będzie w...

–Panie majorze, czerwone kubraki... *Die Engländer.*

–Co? Jacy Anglicy?

–Zabici! Słyszałem tego malca, więc go poszukałem i... – Franz zaczął opowiadać tak szybko i bezładnie, że Grey musiał się bardzo wysilać, żeby go zrozumieć.

Dzięki pytaniom i kilkakrotnemu powtarzaniu relacji przez chłopca udało mu się w końcu ułożyć wydarzenia w ciąg logiczny. Franz wciąż słyszał płacz dziecka w pobliżu mostu. Ponieważ inni albo go nie słyszeli, albo nie chcieli się do tego przyznać, wyśmiewali się z niego. W końcu chłopak uparł się odszukać jego źródło. Być może jakąś szczelinę, przez którą ze świstem wydobywał się wiatr, jak sugerował Samson.

Zbadał dokładnie podstawę mostu i odkrył pęknięcie u podnóża jednego z filarów. Wsadził tam bagnet i wydłubał jeden z kamieni, co okazało się łatwiejsze, niż sądził. I zobaczył niewielką niszę, a w niej małą ludzką czaszkę.

–I kości – dodał.

Nadal był blady, choć na policzkach zaczynały pojawiać się już rumieńce.

Przestraszył się i uciekł, a gdy panika minęła i usiadł, żeby przemyśleć, co robić dalej, był już dość daleko od pagórka i mostu, no i zrobiło się dość późno.

–Nie mogli mnie dwa razy ukarać za ucieczkę, więc postanowiłem przedłużyć ją i poszukać czegoś do zjedzenia – przyznał.

Dość szybko znalazł zagajnik, w którym rosły orzechy i jeżyny, i zjadł całkiem sporo, szczególnie tych ostatnich. Nadal był zresztą tu i ówdzie umazany ich sokiem. Potem dobiegły doń odgłosy gwałtownej strzelaniny, więc padł plackiem na ziemię i podczołgał się ostrożnie w kierunku, z którego dochodziły. Dotarł do skalnej skarpy; dalej znajdowała się spora niecka, w której grupka angielskich żołnierzy toczyła zażarty bój z Austriakami.

–Jesteś pewien, że to byli Austriacy? – przerwał mu Grey.

–Panie majorze, dobrze wiem, jak wyglądają austriackie mundury! – obruszył się Franz.

Ponieważ dobrze wiedział także, do czego ich właściciele są zdolni, cofnął się, a gdy nikt nie mógł go już z dołu zobaczyć, wstał i pobiegł w przeciwnym kierunku. I wpadł do borsuczej nory.

–Miałeś szczęście, że gospodarza w niej nie było – skomentował Grey.

Zacznął dzwonić zębami, bo sama koszula stanowiła niewystarczającą ochronę przed wiatrem i obniżającą się temperaturą.

–Wspomniałeś coś o martwych Anglikach, skąd o tym wiesz? – spytał.

–Bo znam Austriaków. Zabili wszystkich. Ale nie mogłem sprawdzić.

A Grey musiał to zrobić. Dlatego przykrył surdut i chłopaka liśćmi, żeby z daleka nie rzucali się w oczy, odwiązał gniadosza i pojechał w stronę wskazaną przez Franza.

Ponieważ Grey zachowywał wszelkie środki ostrożności na wypadek, gdyby wokół kręciły się austriackie patrole, do niecki dotarł na krótko przed zmrokiem.

Znalazł w niej porucznika Dundasa i jego patrol kartograficzny oraz ślady walki, ale ani jednego zabitego Austriaka – musieli po starciu zabrać swoich. Zeskoczył z siodła i zabrał się do sprawdzania, czy któryś z leżących jeszcze żyje, choć prawdę mówiąc, nie liczył na to.

Ku jego zaskoczeniu okazało się, że dwóch nadal oddycha: ciężko ranny i nieprzytomny kapral oraz sam Dundas, pchnięty bagnetem w pierś i uderzony kolbą karabinu w głowę. Rana w piersiach zasklepiła się, a porucznik odzyskał przytomność i choć nie bardzo był w stanie się poruszać, mógł mówić.

–Setki ich były... – wychrypiął przez spieczone usta. – Widziałem... cały batalion... i armaty... idą... do Francuzów... Fanshawe... śledził ich... podstuchiwał... pierdolona suk... suk...

Urwał i zakaszał ciężko. Ze śliną pojawiło się trochę krwi, ale łatwiej mu było potem złapać oddech i mówić.

–Zaplanowali wszystko. Kurwy były agentkami. Dawały klientom opium. Koszmary i panika. Rozumie pan, sir?

Grey potwierdził energicznym ruchem głowy, bo rzeczywiście wszystko zrozumiał. Raz w życiu dostał opium od lekarza i dokładnie pamiętał nawiedzające go po nim niesamowite erotyczne sny. Jeśli podobne przeżycia stały się udziałem prostych mieszczuchów, którzy nawet nie słyszeli o istnieniu opium, nie mówiąc już o znajomości skutków jego zażycia, a równocześnie ladacznice zaczęły rozpuszczać plotki o sukubie atakującym we śnie, i jeszcze postarały się, by przynajmniej pierwsi zaatakowani nosili

na ciele ślady świadczące, że padli ofiarami demona, to musiało zadziałać. A potem plotka zaczęła żyć własnym życiem.

Był to skuteczny i naprawdę sprytny sposób na zdemoralizowanie wojsk przeciwnika przed walką. I to właśnie dawało cię nadziei.

Gdyby połączone siły francusko-austriackie miały znaczną przewagę nad oddziałami angielsko-hanowerskimi, nie musiałyby się uciekać do takich subtelności. Po prostu zaatakowałyby frontalnie, przełamały obronę i wygrały. Jeśli jednak obie strony dysponowały zbliżonymi siłami, wtedy taki plan zapewniłby zwycięstwo, gdyż atakujący przez wąskie gardło, jakim był most, miałoby przeciwko sobie zmęczonego kilkoma bezsennymi nocami i wystraszonego żołnierza. Dowodzonego na dodatek przez oficerów nie zwracających odpowiedniej uwagi na zagrożenie ze strony nieprzyjaciela, gdyż mieli aż za dużo innych problemów.

I tak też było – Ruysdale ograniczył się do obserwowania Francuzów. A ci wykazywali akurat tyle aktywności, by skupić na sobie uwagę, lecz nie stanowić zagrożenia. W ten sposób wojska austriackie pozostały nie wykryte i to one miały poprowadzić atak, najprawdopodobniej nocny, i zdobyć most. Gdy znajdą się na drugim brzegu, Francuzi ich wesprą i runą na rozproszone i zaskoczone oddziały angielskie i hanowerskie. I rozbiją je po kolei.

Ułożył porucznika, jak mógł najwygodniej, przyciągnął doń nieprzytomnego kaprała i okrył ich ubraniami pozostałych. Sprawdził manierki i te, w których była woda, przysunął w zasięg ręki Dundasa.

Porucznik miał dreszcze i widać było, że każdy ruch sprawia mu ból, toteż gdy Grey skończył, potrząsnął jego ramieniem najdelikatniej, jak potrafił.

–Christopher, słyszysz mnie? Gdzie jest Fanshawe?

Nie znał podkomendnych Dundasa, a musiał wiedzieć, czy Fanshawe nie dostał się do niewoli, bo to zmieniałoby całą sytuację. Dundas otworzył oczy i wskazał na trupa z roztrzaskaną czaszką.

–Niech pan ostrzeże sir Petera – wyszeptał i obejmując nieprzytomnego kaprała, dodał: – My... poczekamy.

VIII. Czarownica

Grey wpatrywał się od dłuższej chwili w twarz swojego ordynansa, nim pojął, na co patrzy. Nadal natomiast nie miał pojęcia, dlaczego to robi.

–Uch? – spytał.

–Powiedziałem, że ma pan to wypić, milordzie – powtórzył Tom, wyraźnie wymawiając słowa. – Bo inaczej pan padnie na pysk, a tego pan nie chce, prawda?

–Prawda? A, prawda! Oczywiście, że prawda – zgodził się Grey, biorąc podany kubek. – Co to takiego?

–Trzeci raz nie będę sobie strzępił języka! – obruszył się Tom. – Ilse powiedziała, że to pana ocuci i postawi na nogi.

Płyn był brązowy i nieco spieniony, co sugerowało obecność jajka, a gdy Grey wzorem Toma powąchał go, stwierdził, że musi zawierać sporą ilość brandy, a poza tym jeszcze coś, co powodowało lekkie łzawienie oczu... Zresztą nieważne, co tam było, ważne, że miało mu pomóc zachować przytomność umysłu.

Odchylił głowę i wypił duszkiem wszystko.

Był na nogach od prawie czterdziestu ośmiu godzin i świat nabrał przykrego zwyczaju

przechodzenia losowo z zamglonego w ostry i odwrotnie, zupełnie jak widziany przez lunetę. Poza tym cierpiał na przejściowe ataki głuchoty – on, nie świat. A tak dalek być nie mogło.

W nocy najpierw przetransportował Franza na pobojuwisko. Trwało to długo, a chłopak jęczał, raz dlatego że bolała go noga, dwa że pierwszy raz w życiu siedział na koniu, którego na dodatek się bał. Grey zostawił mu swój nóż, by w razie czego miał czym bronić siebie, kaprała i Dundasa regularnie tracącego przytomność.

Potem włożył mundur i pognął na złamanie karku, zmuszając konia do galopu. Taka jazda po pofałdowanym terenie oświetlonym jedynie blaskiem okazjonalnie wychylającego się zza chmur księżyca mogła się źle skończyć. No i dwa razy wylądował na ziemi, gdy Hognose się potknął. Na szczęście żaden z nich niczego sobie nie złamał.

Grey wpierw zaalarmował artylerzystów przy moście, potem dotarł do obozu 52. Regimentu i postawił wszystkich na nogi. Łącznie z pułkownikiem Ruysdale'em, choć nie szczędzono wysiłków, by uniemożliwić mu obudzenie dowódcy.

A potem zebrał ekipę ratunkową i poprowadził ją po rannych.

Dotarli na miejsce tuż przed świtem. Okazało się, że w nocy kaprał zmarł, a Dundasowi też niewiele brakowało, ale dowieźli go do obozu żywego. Podobnie jak Franza, tym razem wygodnie podróżującego na wozie wymoszczonym słomą.

Kapitan Hiltern naturalnie wysłał zaraz umyślnego do sir Petera Hicksa, ale Grey po powrocie do zamku i tak musiał osobiście złożyć relację jemu i von Namtzenowi. Miało to miejsce przed południem i zaowocowało pospiesznym opuszczeniem budynku przez większość oficerów, gońców i adiutantów. Cała machina wojenna ruszyła, z początku wolno i ze zgrzytem, ale rozkręcała się i zaczęła sprawnie funkcjonować zadziwiająco szybko.

I tak po południu Grey został w zamku prawie sam, w dodatku nie bardzo mając cokolwiek do roboty. Oficer łącznikowy był zbędny, jako że rozkazy przewozili kurierzy, a były one zwięzłe i jednoznaczne. Grey nie miał ani kim dowodzić, ani czyich rozkazów słuchać.

Wchodził w skład sztabu sir Petera Hicksa i wiedział, że ma wraz z nim rano wyjechać z zamku, natomiast do tego momentu nie był nikomu do niczego potrzebny.

Czuł się w tej sytuacji dość dziwnie – nigdy wcześniej nie występował w charakterze zapomnianego, zbędnego dodatku. Na to się nałożyło zmęczenie. Rzeczy i ludzie nie wydawali mu się momentami do końca realni czy też materialni na tyle, by ich dotknąć. Wiedział, że powinien iść spać, ale nie mógł, bo zbyt wiele spraw pozostało nie załatwionych, tylko jakoś nie bardzo uświadamiał sobie, czym powinien zająć się najpierw. Wiedział tylko, że to coś ważnego.

Usłyszał, że Tom coś mówi, i skupił się, by go zrozumieć.

–Czarownica – powtórzył z wysiłkiem znajome słowo. – Chcesz powiedzieć, że Blomberg nadal zamierza odprawić te gusła?!

–Owszem, milordzie. – Tom zawzięcie walczył z plamami na mundurze Greya. – Ilse mówiła, że nie spocznie, póki nie oczyści dobrego imienia matki z zarzutów i żadni tam Austriacy nie zdołają mu w tym przeszkodzić.

Greya nagle olśniło – wiedział już, co nie dawało mu spokoju.

–Szlag! On nie wie!

–O czym, milordzie? – zdziwił się Tom, przerywając czyszczenie plam.

–Sukub. Muszę mu wyjaśnić... – Już wypowiadając te słowa, Grey wiedział, że na burmistrzu to wyjaśnienie nie wywrze większego wrażenia.

Oficerowie angielscy czy Stephan mogli bez oporów zaakceptować prawdę. Natomiast mieszczanie będą znacznie mniej skłonni przyznać, że dali się oszukać, i to na dodatek Austriakom.

Poza tym zbyt dobrze znał siłę plotki, by mieć złudzenia, że potrafi ją uciszyć jego wyjaśnienie. Tym bardziej przefiltrowane przez Blomberga, który miał własny interes w tej sprawie. A tylko za jego pośrednictwem mogło ono dotrzeć do mieszkańców Gundwitz.

Najlepszy przykład zresztą miał przed sobą – słuchając jego wyjaśnień, Tom przyglądał mu się z powątpiewaniem i zmarszczonym czołem.

Przesady i sensacje są zawsze znacznie atrakcyjniejsze niż prawda i rozsądek.

Zdanie to dźwięczało mu w głowie, gdy patrzył na reakcję ordynansa. Wygłaszał je wielokrotnie ojciec po podaniu kolejnego ilustrującego je przykładu.

Energicznie potarł dłonią twarz, czując, że zaczyna wracać do życia. Wyglądało na to, że jako oficerowi łącznikowemu pozostało mu jeszcze jedno zadanie do wykonania.

–Ta czarownica, Tom... wiesz, co ma czytać runy. Wiesz, gdzie ona jest?

–A tak, milordzie. – Tom odłożył szczotkę, nie kryjąc zainteresowania. – Jest tu na zamku, zamknięta w spiżarni łowieckiej.

–Zamknięta w... dlaczego?!

–Bo te drzwi mają najlepszy zamek, żeby służba mięsa nie podkradała, milordzie. A, chodzi panu o to, dlaczego

jest zamknięta? Ilse mówiła, że nie chciała tu w ogóle przyjść, więc burmistrz kazał ją sprowadzić siłą i zamknąć do wieczora. Ma tu przybyć z rajcami, magistratem i wszystkimi personami, jakie tylko zdoła zgromadzić.

–Zaprowadź mnie do niej.

Tom zamarł z otwartymi ustami.

Po sekundzie zamknął je z trzaskiem i obejrzał krytycznie Greya od stóp do głów.

–Przecież nie w takim stanie! – zaprotestował. – Nawet się pan nie ogolił!

–Właśnie w takim stanie – oznajmił Grey, wpychając koszulę w spodnie. – Prowadź!

Spizarnia myśliwska była pomieszczeniem za kuchnią i miała solidne, okute drzwi. Naturalnie zamknięte, ale Grey się tym nie przejął – założył, że Ilse orientuje się, gdzie jest klucz. O tym, że jest podatna na urok Toma, wiedział już wcześniej. Miał rację – Tom dostał klucz, a do drzwi dotarli niezauważeni.

–Nie musisz tam ze mną wchodzić – uprzedził cicho ordynansa. – Daj mi klucze, a jeśli mnie tu znajdą, powiem, że sam je wziąłem.

Tom, który na wszelki wypadek uzbroił się w ponadmetrowy widelec do sprawdzania pieczystego, tylko silniej zacisnął dłoń na kółku z kluczem i potrząsnął głową.

Zamek był dobrze naoliwiony, a zawiasy okazały się skórzane, toteż weszli do środka bez hałasu. Ktoś zostawił Cygance świecę, toteż niewielkie pomieszczenie nie było ciemne. Za to pełne fantastycznych cieni rzucanych przez wiszące łabędzie, bażanty, kaczki i gęsi.

Napój przyniesiony przez Toma przywrócił energię Greyowi, ale nie do końca usunął wrażenie nierealności otaczającego go świata. Dlatego też bez specjalnego zdziwienia rozpoznał w uwięzionej dziwkę, z którą kłócił się parę godzin przed śmiercią Bodgera.

Ona najwyraźniej także go poznała, ale nie odezwała się. Obrzuciła go spojrzeniem pełnym pogardy i odwróciła się, najwyraźniej wracając do przerwanej rozmowy ze świńskim łbem leżącym na półmisku na stole.

–Musimy porozmawiać – oznajmił Grey stanowczo, ale cicho, jak by się obawiał, że głośniejszy dźwięk może ożywić wiszące na hakach ptactwo.

Zignorowała go i skrzyżowała ręce na piersiach. Ruch ten wywołał błysk światła w złotych kolczykach i pierścionkach na jej palcach. Dzięki temu Grey spostrzegł, iż na jednym ma prosty sygnet ze znanym mu fragmentem ciała świętego Orgevalda.

Nagle ogarnęło go dziwne przecucie, choć nie wierzył w przecucia. Poczuł wokół siebie ruch, jakby sprawy, których nie rozumiał i nie potrafił kontrolować, ustawiały się właśnie w jakimś ustalonym porządku, zajmując wyznaczone pozycje. Zupełnie jak wirujące kule w planetarium ojca. Nie podobało mu się to, ale nic nie mógł zrobić.

–Milordzie? – szept Toma wyrwał go z zamyślenia.

Spojrzał na ordynansa, unosząc pytająco brwi.

Ten zaś gapił się na kobietę, której twarz widział akurat z profilu.

–Hanna – oznajmił. – Ona wygląda jak Hanna, niańka Siggy’ego.

Wie pan, ta, która zniknęła.

Na dźwięk tego imienia Cyganka odwróciła się i spojrzała na nich wściekle.

Grey poczuł, jak rozluźniają mu się mięśnie karku, zupełnie jakby coś, co dotąd trzymało go w stalowym uścisku, zwolniło uchwyt.

Najwyraźniej także był obiektem, który jakaś siła przesunęła na wyznaczone miejsce.

–Mam pewną propozycję – powiedział spokojnie, wyciągając spod stołu beczułkę solonych ryb.

Usiadł na niej i dał znak Tomowi, by zamknął drzwi.

–Nie mam ochoty słuchać twoich propozycji, ty *Schweinehund* - prychnęła lodowato. – A co się tyczy ciebie, warchlaku...

W jej oczach pojawiły się nie mile błyski, gdy spojrzała na Toma.

–Tylko bez wyzwisk, proszę – osadził ją spokojnie Grey. – Nie udało ci się i jesteś w niebezpieczeństwie, więc trochę grzeczności nie zawadzi. Austriacki plan został rozszyfrowany; nawet do ciebie musiało dotrzeć, że wojsko szykuje się do bitwy, chyba że jesteś głucha jak pień.

Odgłosy świata zewnętrznego były co prawda solidnie przytłumione przez grube mury, ale warkot werbli i równy krok wielu stóp było słychać.

Grey uśmiechnął się uprzejmie i dotknął srebrnego ryngrafu oficerskiego, który przed opuszczeniem pokoju założył na szyję. Dla każdego, kto się choć trochę na tym znał, oznaczało to, że mimo niekompletnego stroju jest na służbie.

–Mogę ci zaproponować życie i wolność. W zamian... – powiedział i urwał, czekając na reakcję.

Nie odezwała się, lecz powoli uniosła brew.

–Chcę wiedzieć, jak umarł szeregowiec Bodger – wyjaśnił, a widząc po jej minie, że nie rozumie, dodał: – Ten angielski żołnierz, który powiedział, że go oszukałaś.

Prychnęła pogardliwie i uśmiechnęła się z mściwym rozbawieniem.

–On. Bóg go zabił. Albo diabeł, do wyboru. Albo... nie! – podsunęła mu pod nos dłoń z sygnetem. – To mój święty! Wierzysz w świętych, świński żołnierzu?

–Nie – odparł spokojnie Grey. – Co się stało?

–Zobaczył, jak wyszłam z gospody, i poszedł za mną. Nie wiedziałam o nim, dopóki mnie nie złapał w alejce. Wyrwałam się i uciekłam na cmentarz. Myślałam, że tam za mną nie pójdzie, ale poszedł.

Bodger był wściekły, podniecony i zdeterminowany. Chciał dostać to, za co, jak uważał, uczciwie zapłacił. Cyganka próbowała walczyć, ale okazał się silniejszy.

–I nagle puf. – Wzruszyła ramionami. – Przestał się ze mną szarpać i wydał taki dźwięk.

–Jaki dźwięk?

–Skąd mam wiedzieć? Mężczyźni ciągle wydają jakieś dźwięki: pierdzą, jęczą, bekają... – Machnęła lekceważąco ręką i opowiadała dalej.

Bodger przyklęknął, opierając się o pomnik, i znieruchomiał. Ponieważ palce miał nadal zaciśnięte na jej sukni, rozwarła je po kolei i uciekła, dziękując świętemu Orgevaldowi za ocalenie.

–Hmm... – mruknął Grey.

Apopleksja? Nagły atak serca? Keegan mówił, że takie powody zgonu są możliwe, a nie znaleźli niczego, co podważałoby wersję Cyganki.

–W takim razie zmarł śmiercią naturalną – ocenił, przyglądając się jej uważnie. – Nie tak jak szeregowiec Koenig.

Uniosła gwałtownie głowę i spojrzała nań badawczo, zaciskając usta.

–Milordzie – odezwał się cicho Tom. – Hanna nazywa się Koenig.

–Nieprawda! – warknęła Cyganka. – Nazywa się Mulengro, tak jak ja.

–Zaraz, po kolei. – Grey opanował odruch, by wstać, widząc górującą nad sobą i rozgniewaną kobietę. – Gdzie jest Hanna i kim jest dla ciebie: siostrą, kuzynką, córką...?

–Siostrą – rzuciła zwięźle i zacisnęła ponownie usta. Grey dotknął ryngrafu.

–Zycie – powtórzył. – I wolność.

I obserwował spokojnie odbijającą się na jej twarzy wewnętrzną walkę. Nie wiedziała, gdyż nie mogła wiedzieć, że nie miał w jej sprawie nic do powiedzenia – nie mógł jej ani skazać, ani uwolnić.

W końcu postawił na swoim, tak jak spodziewał się od samego początku. I niczym w transie wysłuchał jej historii, dzięki czemu wszystkie elementy układanki kolejno znalazły się na właściwych miejscach.

Była jedną z ladacznic zwerbowanych przez Austriaków do rozsiewania plotki o sukubie. I robiła to z dużą przyjemnością, sądząc po tym, jak oblizywała dolną wargę, opowiadając o tym. Jej siostra nie brała w tym udziału. Pracowała w zamku jako niania. Przed laty wyszła za Koeniga, ale wyrzekła się go, gdy się przekonała, jaki jest niewierny. Jak zresztą każdy pies i każdy mężczyzna.

Ta informacja świetnie pasowała do plotki o prawdziwym ojcu Siegfrieda. Grey słuchał dalej.

Koenig odszedł z wojskiem i zniknął z jej życia. Niestety, niedawno wrócił. Miał czelność przyjść na zamek i próbować odnowić związek. Kiedy ona się o tym dowiedziała, postanowiła definitywnie załatwić sprawę, bo Hanna była słaba i wierzyła mężczyznom. Udała się więc nocą na kwaterę Koeniga, planując podać mu przyprawione opium wino, tak jak wcześniej innym.

–Tylko tym razem dawka byłaby śmiertelna, jak sądzę – wtrącił Grey, opierając łokieć na kolanie, a brodę na łokciu.

Zmęczenie zaczynało wracać, choć jak na razie zachowywał zdolność myślenia.

–Miałam taki zamiar – przyznała z uśmiechem. – Ale on znał smak opium. Zorientował się i cisnął we mnie kielichem. A potem złapał mnie za szyję i zaczął dusić.

Wtedy dźgnęła go sztyletem, który zawsze nosiła w zanadrzu. Uderzyła prosto w otwarte usta, tak że ostrze przebiło podniebienie i dotarło do mózgu.

–Krwawił jak zarzynana świnia. W życiu nie widziałeś tyle krwi – oświadczyła, prawie dokładnie powtarzając słowa Herr Huckela.

–Sądzę, że widziałem – poinformował ją Grey uprzejmie.

I odruchowo dotknął rękojeści noża, który oddał mu Franz.

–A ślady po kłach na szyi? – spytał.

–Gwóźdź – wyjaśniła, wzruszając ramionami.

–W takim razie to on... Koenig, znaczy się, próbował porwać chłopaka? – wyrwał się Tom chłonący dosłownie rewelacje ladacznic.

Po czym chrząknął i próbował zapaść się pod ziemię, ale Grey nie zareagował, gdyż i jego ciekawiła kwestia porwania.

–Nie powiedziałaś, gdzie jest siostra – zauważył. – Ale sądzę, że to ciebie malec zauważył w swoim pokoju, prawda?

Co prawda z wyglądu nie kojarzyła mu się z czarownicą czy wiedźmą, ale czego można było wymagać od paroletniego brzdąca, w dodatku wychowanego na zabobonach i przesądach?

Ich rozmówczyni jak na kobietę była wysoka, miała czarne włosy i śniadą cerę, ubrana była barwnie, a w jej kolczykach odbijało się światło. W nocy rozespany malec mógł ją wziąć za wiedźmę. Łączyła też rozwiązłość z oziębłością, co pociągało wielu mężczyzn, ale Grey wątpił, by to akurat uświadomił sobie Siggy.

Kiwnęła głową, obracając na palcu pierścień i przyglądając się z namysłem Greyowi. Najwyraźniej zastanawiała się, czy powiedzieć prawdę, czy skłamać.

–Widziałem medalion księżnej wdowy – poinformował ją uprzejmie. – Z urodzenia jest, jak sędzę, Austriaczką. Podobnie jak ty i twoja siostra.

Wytrzeszczyła na niego oczy i powiedziała coś, czego nie zrozumiał – najpewniej w *romany*.

–I uważasz, że to ja jestem czarownicą?! – powtórzyła po niemiecku.

–Nie uważam. Ale inni tak sądzą i dlatego oboje się tu znaleźliśmy. A wracając do sprawy, to nie mamy za wiele czasu, bo jest właśnie pora obiadu. Myślę, że niedługo po ciebie przyjdą.

Co prawda nie wiedział, na którą przewidziano czytanie z runów, ale popołudnie po sutym posiłku wydało mu się najlogiczniejszą porą.

–Cóż. – Przyjrzała mu się już bez podziwu. – W sumie to twoja wina.

–Co proszę?

–Księżna Gertruda... ty ją nazywasz księżną wdową, zauważyła, że Louisa robi do ciebie słodkie oczy, suka jedna! – Cyganka splunęła na podłogę i mówiła dalej: – Wymyśliła sobie, że wyjdzie za ciebie, pojedzie do Anglii i będzie bezpieczna i bogata. Gdyby tak zrobiła, naturalnie zabrałaby syna ze sobą.

–A księżna wdowa nie chciała rozstawać się z wnukiem – dodał powoli Grey, przypominając sobie plotkę, że stara bardzo kocha chłopca.

Cyganka przytaknęła.

–Więc zorganizowała wszystko tak, żebyśmy zabrały chłopca.

Siostra i ja – wyjaśniła. – Byłby bezpieczny, a kiedy Austriacy by was zabili albo przegonili, dostarczyłybyśmy go z powrotem na zamek.

Hanna pierwsza zeszła po drabinie, by móc uspokoić malca, gdy ten obudzi się na deszczu. Ale Siggy ocknął się wcześniej i wszystko zepsuł, uciekając, a kiedy Grey przewrócił drabinę, Hanna nie miała innego wyjścia, jak oddalić się i zostawić siostrę. Ta ukryła się w zamku i wyszła zeń za dnia dzięki pomocy księżnej wdowy.

–Teraz Hanna jest bezpieczna, z rodziną – dodała.

–Pierścień. – Grey wskazał na sygnet. – To znak, że służysz księżnej wdowie.

Zapytana odsunęła półmisek ze świńskim łbem i przysiadła na stole.

–Jesteśmy Romami – odparła, prostując się dumnie. – A Romo wie nie służą nikomu. Ale ród von Lowensteinów znamy od pokoleń.

To prapradziad księżnej Gertrudy kupił dziecko, które strzeże mostu.

Był to młodszy brat mojego praprapradziadka. Pierścień był znakiem zawartego wówczas układu.

Grey usłyszał ciche chrząknięcie Toma, najwyraźniej nieco ogłupionego tym, co usłyszał. Samego go nieco zatkało z wrażenia, że coś takiego zostało opowiedziane w tak spokojny sposób. Wziął głęboki oddech i odepchnął wizję tego, co zobaczył Franz pod mostem.

Z kuchni dobiegły łomoty świadczące o tym, że obiad dobiega końca. A to oznaczało, że czasu pozostało niewiele.

–Doskonale – powiedział spokojnie. – Ostatnia sprawa: Agatha Blomberg.

–Stara Agatha? – roześmiała się Cyganka. Mimo brakującego zęba okazała się naprawdę ładna, gdy przestała być ponura. – To ci dopiero historia! Jak ktoś może sądzić, że taka stara gropa mogła zostać demonem seksu? Wiedźmowata to ona z natury była, ale to jeszcze nie wystarczy.

I parsknęła śmiechem.

Grey zerwał się na równe nogi i złapał ją za ramię.

–Bądź cicho, bo ściągniesz tu ciekawskich!

Przestała się śmiać, za to prychnęła z rozbawieniem i spytała:

–To co z tą Agatha?

–A to, że kiedy będziesz odprawiać te gusła, dla których cię tu sprowadzili, masz wyraźnie i bez cienia wątpliwości wykluczyć ją z udziału w całej sprawie. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, zostawiam to twojej pomysłowości, która, jak właśnie się przekonałem, jest niemała.

Przyjrzała mu się uważnie i strząsnęła jego dłoń z ramienia.

–I to wszystko? – spytała sarkastycznie.

–Wszystko. Potem możesz odejść.

–Tak? Łaskawe panisko – prychnęła i wstała.

I uśmiechnęła się, ale nie był to miły uśmiech.

Grey uświadomił sobie, że nie zażądała żadnych gwarancji, jak choćby jego oficerskiego słowa honoru. Albo ich nie potrzebowała, albo nie ceniła, ale było to dziwne. A potem zrozumiał, że jej na tym nie zależało, ponieważ się nie bała. Opowiedziała mu to wszystko nie ze strachu ani nie po to, by się uratować, ale z jakiegoś sobie jedynie znanego powodu. Prawdopodobnie wierzyła, że księżna wdowa ją ochroni, albo z uwagi na stare dzieje, albo nie chcąc, by na jaw wyszedł jej udział w porwaniu.

A może jej pewność siebie miała inne podłoże... nawet jeśli tak było, wolał nie zagłębiać się w ten temat. Wstał i wsunął baryłkę pod stół.

–Agatha Blomberg także była kobietą – powiedział.

Cyganka przyglądała mu się z namysłem, pocierając pierścień.

–Ano była – zgodziła się. – Cóż, może więc zrobię, jak chcesz.

Dlaczego właściwie mieliby wykopywać jej trumnę i ciągnąć zwłoki po ulicach?

Brzęk naczyń w kuchni stał się głośniejszy i choć Tom nie odezwał się, Grey doskonale czuł, że ordynans chciałby jak najszybciej stąd wyjść.

–Natomiast jeśli chodzi o ciebie...

Spojrzał na Cygankę, zaskoczony tonem jej głosu – było w nim coś, czego nie potrafił zidentyfikować: nie jad i nie ironia.

Jej oczy błyszczały w blasku świecy niczym dwie ciemne studnie bez dna, a twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

–Powiem ci coś – odezwała się miękko. – Nigdy nie zaspokoisz żadnej kobiety. Każda, która będzie dzielić łóżko z tobą, opuści cię po pierwszej nocy i będzie cię przeklinać.

Grey potarł podbródek i pokiwał głową.

–To jest wielce prawdopodobne – powiedział spokojnie. – Dobrej nocy.

Epilog Przy dźwięku trąb

Plan bitwy został ustalony i pierwsze oddziały wymaszerowały, kierując się ku mostowi w Aschenwaldzie.

Grey był w stajni. Sprawdzał osiodłanie Karolusa, poprawiał popręg i resztę, czyli zabijał czas, czekając na sygnał do odjazdu. Wydawało mu się, że każda mijająca sekunda jest niezwykle cenna.

Na zewnątrz panowało normalne zamieszanie towarzyszące wymarszowi wojska z kwater i lekka panika z racji perspektywy mającej rozegrać się w pobliżu bitwy. Mieszczanie miotali się bezładnie, nawołując żony i próbując znaleźć dzieci, co było bez sensu, jako że przynajmniej chwilowo nic im nie groziło. Grey czuł przyspieszone bicie serca, a po plecach przebiegał mu co jakiś czas dreszcz podniecenia.

W oddali rozlegał się miarowy odgłos werbli, od którego burzyła mu się krew i ścisnęło go w piersiach tak, iż z trudem był w stanie głęboko odetchnąć.

Na podłodze leżało pełno słomy, toteż nie tyle usłyszał, ile wyczuł, że ktoś się zbliża, i odruchowo, odwracając się, ujął rękojeść noża. Podobnie szybkie i zdecydowane reakcje już nieraz uratowały mu życie.

Okazało się, że to Stephan von Namtzen w wyjściowym mundurze i ze zdobionym złotem kapeluszem pod pachą. I z twarzą niezwykle poważną, co ostro kontrastowało ze strojem.

–Już czas – powiedział cicho. – Chciałbym z tobą porozmawiać... o ile mnie wysłuchasz.

Grey puścił rękojeść noża i wreszcie odetchnął głęboko.

–Wiesz, że wysłucham.

Von Namtzen skinął lekko głową, ale nie odezwał się natychmiast. Wydawało się, że szuka słów, choć rozmawiali po niemiecku.

–Ożenię się z Louisą – oznajmił w końcu. – Jeśli dożyję Bożego Narodzenia. Moje dzieci... powinny znowu mieć matkę i...

–Nie musisz się tłumaczyć – przerwał mu Grey, uśmiechając się doń z uczuciem, jako że teraz już nie musiał dłużej zachowywać ostrożności. – Skoro tego chcesz, życzę ci wszystkiego najlepszego.

Von Namtzen rozchmurzył się nieco.

–Danke. Powiedziałem, że się z nią ożenię, jeśli będę żył. Jeżeli nie... – Dotknął piersi, na której nosił miniaturę.

–Jeżeli zginiesz, a ja przeżyję, pojedę do twego domu i opowiem twojemu synowi, jakim żołnierzem i człowiekiem był jego ojciec, którego miałem zaszczyt znać – dokończył za niego Grey. – Tego byś pragnął?

Wyraz twarzy Stephana nie zmienił się, ale w jego szarych oczach widać było wdzięczność.

–Tak. Aznasz mnie być może lepiej niż ktokolwiek inny.

Nadal stał i przyglądał się Greyowi. A ten poczuł się tak, jakby czas przestał płynąć. Bębny nadal grały, na zewnątrz trwało zamieszanie, ale w stajni zapanował spokój.

Stephan wyciągnął ku niemu dłoń, Grey ujął ją i poczuł łączącą ich miłość. Czuł ciepło w sercu, choć tylko przez moment, gdyż zaraz puścili swe dłonie. Lecz każdy na twarzy drugiego dostrzegł to, co chciał zobaczyć.

Stephan odwrócił się już, gdy Grey przypomniał coś sobie.

–Poczekaj! – polecił i zaczął grzebać w jukach.

To, czego szukał, znalazł błyskawicznie i wręczył Stephanowi.

–Cóż to takiego? – zdumiał się ten, obracając w dłoniach złote pudełko.

–Talizman – uśmiechnął się Grey. – Pobłogosławiony przeze mnie i świętego Orgevalda. Żeby cię chronił.

–Ale... – Von Namtzen zawahał się i spróbował oddać mu prezent.

Grey nie przyjął go, za to dodał po angielsku:

–Uwierz mi, bardziej przyda się tobie niż mnie.

Stephan spojrział na niego uważnie, kiwnął głową i wsadził pudełeczko do kieszeni. Po czym wyszedł.

Grey zaś odwrócił się do Karolusa potrząsającego już niecierpliwie łbem i parskającego cicho. Ogier tupnął i Grey poczuł drżenie w obu nogach.

–Czyś dał wierzchowcowi siłę? – zacytował cicho skierowane do boga wojny słowa ze starej księgi, gładząc starannie zaplecioną grzywę siwka opadającą łagodnie wzdłuż łuku jego szyi. – Czyś spowił jego kark gromem? Przemierzył dolinę, ciesząc się siłą, udał na spotkanie zbrojnych mężów i śmiał się ze strachu, i nie bał się ni męża, ni stali.

Przytulił czoło do końskiego barku i czuł, jak pod jedwabistą skórą grają jego mięśnie gotowe do biegu. Poczł zapach końskiego podniecenia i wyprostował się. Klepnął go delikatnie po szyi i dodał:

–Ruszył w odgłosie trąb. Ha, ha, i z daleka bitwę wyczuł. Usłyszał wrzawę i rozkazy kapitanów.

Grey znów usłyszał bębny i poczuł, że zaczynają mu potnieć palce.

Nota historyczna:

W październiku 1757 r. wojska Fryderyka Wielkiego i jego sojuszników wykonały błyskawiczne uderzenie na koncentrujące się w Saksonii siły Francji i Austrii i pokonały je pod Rossbach. Miasteczko Gundwitz nie ucierpiało w wyniku działań wojennych, a po moście w Aschenwaldzie nigdy nie przemaszerował wróg.

Przełożył Jarosław Kotarski

Majipoor Robert Silverberg

Lord Valentine's Castle (1980) Zamek Lorda Valenline'a (1995) Majipoor Chronicles (1981) Kroniki Majipooru (1996) Valen'ne Pon'fex (1983) Valen'ne Pon'fex (1998) The Mountains of Majipoor (1995) Góry Majipooru (1998)

Trylogia Prestimiona

Sorcerers of Majipoor (1997) Czarnoksiężnicy Majipooru (1999) Lord Prestimion (1999) 77ie King of Dreams (2001)

Gigantyczną planetę Majipoor o średnicy co najmniej dziesięciokrotnie przewyższającej średnicę naszej planety zasiedlili w odległej przeszłości koloniści z Ziemi, którzy znaleźli sobie na niej miejsce wśród Piurivarów, inteligentnej rasy tubylców, nazywanych przez ludzi Zmiennokształtnymi lub Metamorfami ze względu na ich wrodzoną zdolność do zmiany wyglądu. Majipoor to planeta niezwyklej wręcz piękności, z przewagą łagodnego klimatu, pełna zoologicznych, botanicznych i geologicznych cudów. Na Majipoorze wszystko rozgrywa się w wielkiej skali, jest wspaniałe, wręcz cudowne.

W ciągu tysiącleci pogłębiała się przepaść między kolonistami a Piurivarami, co doprowadziło w końcu do długiej wojny. Tubylcy zostali pokonani i zesłani do obszernych rezerwatów w odległych zakątkach planety. W tym okresie na Majipoorze osiedlili się także przedstawiciele gatunków pochodzących z innych planet: maleńcy, sprawiający niesamowite wrażenie Vroonowie, wielcy, włochaci czteroręcy Skandarzy, dwugłowi Su-Suherisi i jeszcze inni. Niektóre z tych ras, przede wszystkim Vroonowie i Su-Suherisi, miały wrodzone zdolności parazytów, umożliwiające im uprawianie różnych odmian magii. Niemniej jednak w ciągu tysięcy lat historii Majipooru dominowali tam ludzie. Rozwijali się i mnożyli, aż w końcu populacja Majipooru sięgnęła miliardów. Mieszkali przede wszystkim w miastach liczących od dziesięciu do dwudziestu milionów mieszkańców.

Wypracowany w ciągu wieków system rządów najprościej można byłoby nazwać niedziedziczną podwójną monarchią. Obejmując rządy, starszy władca, zwany Pontifeksem, wybierał młodszego władcę, Koronala. Formalnie

rzecz biorąc, Koronal był adoptowanym synem Pontifeksa, po którego śmierci obejmował rządy, mianując kolejnego Koronala. Obaj władcy rezydowali na Alhanroelu, największym i najgęściej zaludnionym z trzech kontynentów Majipooru: Pontifex na najniższym poziomie rozległego podziemnego miasta nazywanego Labiryntem, które opuszczał tylko w wyjątkowych okolicznościach, Koronal przeciwnie – w ogromnym zamku na szczycie wysokiej na niemal pięćdziesiąt kilometrów Góry Zamkowej, wokół której zaawansowane maszyny utrzymywały atmosferę i klimat wiecznej wiosny. Od czasu do czasu Koronal zstępował z Góry, by odbyć Wielki Objazd, podróż po Majipoorze, której celem było przypomnienie ludności planety o potędze i mocy jej władców. Ze względu na ogrom świata trwała ona zwykle kilka lat i niezmiennie wiodła Koronala na drugi z kontynentów planety, Zimroel, gdzie gigantyczne miasta rozrzucone są wśród potężnych rzek i dzikich tropikalnych lasów. Nieco rzadziej Koronal odwiedzał także trzeci kontynent, leżący na południu, spalony słońcem Suvrael niemal w całości pokryty piaszczystą pustynią przypominającą Saharę.

Kolejna para w systemie rządów Majipooru pojawiła się później. Rozwinięcie na skalę planetarną metody kontaktów telepatycznych umożliwiło wysyłanie nocami przesłań o charakterze wizji i wartościach terapeutycznych. Odpowiedzialna za nie jest Pani Snów, matka rządzącego Koronala, której siedziba znajduje się na wyspie rozmiarów kontynentu, położonej w pół drogi między Alhanroelem i Zimroelem. Następnie powstała kolejna instancja posługująca się telepatią, Król Snów. Dysponując potężniejszymi urządzeniami umożliwiającymi kontakt telepatyczny, kontroluje on i karze przestępców i tych obywateli, których zachowania odbiegają od przyjętych na Majipoorze norm. Rządy Króla Snów są dziedzicznym przywilejem rodziny Barjazidów z Suvraelu.

Pierwsza powieść cyklu, *Zamek Lorda Valentine'a* opowiada o uwięzionym

powodzeniem spisku, którego ofiarą padł legalny Koronal, Lord Valentine, zastąpiony na tronie przez samozwańca. Valentine, pozbawiony pamięci i wypuszczony na wolność na Zimroelu, zarabia na życie jako wędrowny żongler, stopniowo jednak odzyskuje świadomość tego, kim był, i rozpoczyna krótką, uwięzioną powodzeniem kampanię o odzyskanie władzy. W kolejnej powieści, *Valentine Pontifex* Lord Valentine, w głębi serca pacyfista, zmuszony zostaje do walki ze zbuntowanymi Metamorfami marzącymi o wygnaniu z planety zniechęconych kolonistów. Koronalowi udaje się zwyciężyć i przywrócić pokój przy pomocy potężnych stworzeń zwanych smokami morskimi, niewątpliwie inteligentnych, choć o ich inteligencji nikt na Majipoorze nie miał do tej pory pojęcia.

W zbiorze opowiadań *Kroniki Majipooru* przedstawione są sceny z życia obywateli tej wielkiej planety, z całej jej historii i z różnych poziomów społecznych, ukazujące szczegóły, które nie znalazły się w powieściach. Akcja krótkiej powieści *Góry Majipooru* rozgrywa się pięćset lat po śmierci Valentine'a w mroźnych górach północy, gdzie odkryta zostaje odrębna, barbarzyńska ludzka cywilizacja. Najnowsze książki o Majipoorze, „Trylogia Prestimiona”, opowiadają o czasach o tysiące lat poprzedzających rządy Valentine'a, o epoce, w której na planecie święciły tryumfy magia i czarnoksiężstwo. Koronal Lord Prestimion, pozbawiony tronu przez syna swego poprzednika, którego wspomagają czarnoksiężnicy i magowie, rozpoczyna wojnę domową i zwycięża w niej z pomocą swych zwolenników, choć i on musi w końcu się uciec do czarnej magii.

Akcja przedstawionej tu opowieści toczy się znacznie wcześniej niż akcja wszystkich powstałych do tej pory książek o Majipoorze, ponad cztery tysiące lat przed czasami Valentine'a, ponad trzy tysiące przed Prestimionem. Ale upłynęło dziesięć tysięcy lat, odkąd na planecie wylądowali pierwsi ludzcy osadnicy. Początki historii Majipooru stają się już legendą...

Księga Zmian Robert Silverberg

Wczesnym rankiem drugiego dnia swego nowego życia – życia więźnia – Aithin Furvain stał przy wąskim oknie sypialni, przyglądając się z wielkiej wysokości krwistoczerwonym wodom Morza Barbirike. Drgnął nagle, słysząc stuk zasuwki, zamykającej drzwi „jego mieszkania od zewnątrz. Obrócił się i jego wzrok spoczął na smukłej, nieco kocięj sylwetce człowieka, który go uwięził, bandyty o imieniu Kasinibon. Furvain nie zaszczycił go dłuższym spojrzeniem, płynnym ruchem odwrócił się w stronę okna.

– Jest tak, jak mówiłem wczoraj wieczorem, prawda? – spytał Kasinibon. – Na całym Majipoorze nie ma niczego tak pięknego jak to szkarłatne jezioro.

– Ładny widok, rzeczywiście – odparł Furvain cichym, obojętnym głosem.

Ale gospodarza to nie zniechęciło. Wytrwale, wręcz bezlitośnie pogodny, mówił dalej do pleców więźnia:

–Mam nadzieję, że spałeś dobrze i że apartament odpowiada twym gustom, książę

Aithinie.

Grzeczność, wykształcona na dworze tak, że stała się jego drugą naturą, nie pozwoliła Furvainowi stać tyłem do przemawiającego doń człowieka, choćby był bandytą.

–Zazwyczaj nie używam tytułu – powiedział chłodno, beznamiętnie.

–Oczywiście, oczywiście. Ja też. Pochodzę z długiej linii szlachty ze wschodu. Pomniejszej, rzecz jasna, ale jednak szlachty. Te wszystkie tytuły, jakież to archaiczne! – Kasinibon uśmiechnął się. Był to uśmiech chytry, niemal konspiracyjny, kpiący, choć pełen wdzięku. Mimo tego, jak ułożyły się jego losy, Furvain nie mógł wykrzesać z siebie niechęci do tego człowieka. – Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy apartament odpowiada twym gustom?

–Och, oczywiście. Pod każdym względem. Jest to doprawdy wyjątkowo eleganckie więzienie.

–Pragnę zaznaczyć bardzo dobitnie, że nie mówimy o więzieniu, lecz raczej o prywatnym gościnnym mieszkaniu.

–Być może jest tak rzeczywiście. Ale nie zmienia to faktu, że jestem więźniem, prawda?

–Przyznaję, że się nie mylisz. Rzeczywiście, jesteś więźniem. Moim więźniem. Na krótki, mam nadzieję, czas.

–Dziękuję. Doceniam twą szczerłość.

I Furvain powrócił do obserwacji Morza Barbirike, wielkiego, choć wąskiego, przypominającego długą na co najmniej pięćdziesiąt mil, wbijającą się w dolinę włócznie, rozpościerającego się u stóp skalnego, szarego klifu, na którym Kasinibon zbudował swój dom-fortecę. Brzegi jeziora otaczały wysokie, ostre wydmy w kształcie półksiężyca, które z tej odległości wydawały się równie delikatne jak chmury. One także były czerwone. Tu nawet powietrze wydawało się czerwonawe, podobnie promienie słońca. Wczoraj wieczorem Kasinibon tłumaczył gościowi, wówczas niezbyt zainteresowanemu jego wyjaśnieniami, że w Morzu Barbirike żyją nieprzeliczone miliardy małych skorupiaków, których kruche jaskrawe skorupki, rozkładające się przez tysiąclecia, nadały barwę nie tylko wodzie, lecz również otaczającym ją wydmom. Furvain zastanowił się przelotnie, czy jego ojciec, który zdradzał wręcz obsesyjne zainteresowanie ostrymi efektami barwnymi, kiedykolwiek przyjechał obejrzeć to wspaniałe miejsce. Z pewnością.

Z pewnością tak.

–Przyniosłem ci pióra i papier – powiedział Kasinibon, układając schludny stosik na stole obok łóżka. – Jak już wspomniałem, ten widok z pewnością wzbudzi w tobie natchnienie.

–Niewątpliwie – odparł Furvain ciągle tym samym chłodnym, nie zdradzającym żadnych emocji głosem.

–Może po południu obejrzymy sobie jezioro z bliska, ty i ja?

–A więc nie zamierzasz więzić mnie w tych trzech pokojach przez cały czas?

–Ależ skąd! Dlaczego miałbym być tak okrutny?

–No cóż. Z góry cieszę się na tę wycieczkę. Piękne jezioro istotnie może zachęcić mnie do napisania wiersza, a może nawet kilku wierszy.

Kasinibon poklepał stos papieru, uśmiechając się uprzejmie.

–Możesz użyć tego także do napisania prośby o okup – zauważył.

Furvain spojrzał na niego nieco uważniej.

–To już raczej jutro. Być może pojutrze?

–Jak sobie życzysz. Nie widzę powodów do pośpiechu. Będziesz moim gościem tak długo, jak długo zechcesz

nim być.

–Chyba raczej więźniem?

–Owszem, to też – zgodził się Kasinibon. – Gość, a zarazem więzień, choć mam szczerą nadzieję, że będziesz czuł się raczej gościem niż więźniem. Jeśli pozwolisz, teraz cię opuszczę. Muszę niestety oddać się nudnym administracyjnym obowiązkom. A więc do popołudnia. – Gospodarz uśmiechnął się raz jeszcze, skłonił i wyszedł.

Furvain był piątym synem poprzedniego Koronala, Lorda Sangamora, którego najbardziej znanym osiągnięciem były słynne, wspaniałe tunele na Zamkowej Górze, noszące jego imię. Lord Sangamor szczególnie żywo interesował się sztuką, a tunele o ścianach wykonanych ze sztucznego kamienia, promieniującego wewnętrznym barwnym światłem, uchodziły wśród koneserów za dzieło niezwykle. Furvain odziedziczył po ojcu zainteresowania, lecz nie siłę charakteru; w oczach wielu mieszkańców Góry był po prostu leniwym utracjuszem, być może mającym w sobie coś z oszusta. Nawet przyjaciele, a miał ich wielu, nie potrafili znaleźć w nim niczego, co można byłoby nazwać „wartościowym”. Owszem, miał talent do tworzenia lekkich, okazjonalnych wierszy, był dobrym towarzyszem w podróży i tawernie, potrafił żartować, bawić się zagadkami i paradoksami, ale poza tym... poza tym...

Zgodnie ze starożytnym prawem i tradycją syn Koronala nie ma żadnych szczególnych praw. Nikt nie wyznacza mu stanowiska rządowego. Nie może zasiąść na tronie, ponieważ droga na tron wiedzie przez adopcję, nie dziedziczenie. Najstarszy syn Koronala obejmuje na ogół majątek w pobliżu któregoś z pięćdziesięciu miast Zamkowej Góry i wiedzie wygodne życie prowincjonalnego diuka. Drugi, a czasami nawet trzeci syn, może pozostać na Zamku jako doradca, jeśli oczywiście interesują go zawilości i skomplikowane strategie sprawowania rządów. Ale piątego syna, urodzonego w późnym okresie życia ojca i wskutek tego nie dopuszczanego do wewnętrznego kręgu władzy przez tych wszystkich, którzy znaleźli się tam wcześniej, czekało zazwyczaj łatwe, przyjemne, próżniacze życie. Nie było dlań miejsca w sferach publicznych. Piąty syn jest synem swego ojca, ale żadnych przyrodzonych praw nie posiada. Nikt nie oczekuje po nim inteligencji, wykształcenia i silnej woli predestynującej do pełnienia poważnych obowiązków rządowych ani nawet zainteresowania tego rodzaju sprawami. Tacy książęta mają z urodzenia prawo do apartamentu na Zamku, dostają także dużą, dożywotnią

pensję. Oczekuje się, że do końca życia będą dogadzać sobie i żyć przyjemnie, nie ponosząc za nic odpowiedzialności.

W odróżnieniu od wielu książąt o niespokojnej naturze, Furvainowi takie życie bardzo się podobało. Ponieważ nikt niczego się po nim nie spodziewał, on także stawiał sobie niewielkie wymagania. Natura obdarzyła go urodą: był wysoki, szczupły, poruszał się z wrodzonym wdziękiem i elegancją, miał jasne wijące się włosy i stanowczą męską twarz. Doskonale tańczył, śpiewał czystym tenorem, wyróżniał się w sportach nie wymagających brutalnej siły, umiał walczyć na miecze, powoził rydwanami w wyścigach. Przede wszystkim słynął jednak z umiejętności układania wierszy. Potrafił tworzyć je tak szybko, jak z burzowej chmury spadają krople deszczu. W każdej chwili dnia i nocy, tuż po pobudce rankiem po przehulanej nocy albo i w trakcie samej hulanki, chwycił pióro i tworzył, niemal improwizując, czy to balladę, czy sonet, czy wesoły, rymowany epigram, czy wyrafinowaną w swej pozornej prostocie piosenkę, czy nawet serię heroicznych dwuwierszy, a wszystko na dowolny temat. W tego rodzaju igraszkach nie ma oczywiście żadnej głębi, ale Aithin Furvain nie czuł najmniejszej potrzeby badania głębi ludzkiej duszy, a co dopiero przedstawienia wyników badań w wierszowanej formie. Wszyscy znali go jako mistrza w komponowaniu poezji okazjonalnej, upamiętniającej radość chwili, rozkosze łoża lub butelki, czasami kpiarskiej, lecz nigdy gorzkiej albo złośliwej, zawsze takiej, która jest tylko igraszką słowną, błyskotliwą, zachwycającą bogactwem brzmień i kunsztem rymów, lecz nie mówiącą o niczym.

–Powiedz wiersz, Aithinie! – krzyczał ktoś z jego kompanii siedzącej przy suto zastawionym – przede wszystkim winem – stole w jednej z ceglanych tawern Zamku.

–Tak! Wiersz! Wiersz! – podchwytywała reszta hulaków.

Wówczas Furvain mówił najczęściej:

–Niech ktoś poda mi słowo.

I ktoś, może nawet jego aktualna kochanka, rzucał zupełnie przypadkowe słowo, na przykład:

–Parówka.

–Wspaniale. Ty podaj drugie. Szybko. Cokolwiek przyjdzie ci do głowy.

–Pontifex – odpowiadał następny biesiadnik.

–Potrzebne mi trzecie – prosił Furvain. – Hej, ty tam, podaj mi trzecie słowo.

–Steetmoy – krzyczał ktoś, kto być może nie należał nawet do ich grupy.

Furvain zamyślał się wówczas na chwilę, zapatrzony w szklanicę wina, jakby wiersz już w niej pływał, a potem nabierał powietrza w płuca i recytował żartobliwą epopeję, heksametryczny poemat ze skomplikowanym anapestycznym rytmem, którego bohaterami byli Pontifex, rozpaczliwie pożądający parówek z mięsa steetmoya, i jego najbardziej leniwy, najtchórzliwszy dworak, udający się z wyprawą myśliwską na daleką północ Zimroelu, gdzie mieszkają te groźne, drapieżne zwierzęta o białym futrze. Recytacja mogła trwać nawet dziesięć minut, a poemat, choć w zasadzie improwizowany, miał początek, środek i szalenie zabawny koniec, dzięki czemu nagradzano autora entuzjastycznymi brawami i kolejną butelką najlepszego wina.

Dzieła zebrane Aithina Furvaina, jeśli kiedyś przyszłoby mu do głowy je zgromadzić, wypełniłyby wiele tomów, lecz miał on zwyczaj wyrzucać z pamięci stworzone utwory równie szybko, jak je komponował, a większości w ogóle nie fatygował się zapisywać. Tylko dzięki zapobiegliwości przyjaciół, którzy notowali je sami, część z nich przetrwała i osiągnęła pewną popularność na Górze. Dla niego nie miało to jednak żadnego znaczenia. Tworzenie tego rodzaju poezji okazjonalnej przychodziło mu równie łatwo jak

oddychanie, nie widział więc powodów, by zachowywać i hołubić takie błahostki. Nigdy nie marzył przecież o tworzeniu dzieł sztuki wartych tego, by przechowała je pamięć kolejnych pokoleń, takich jak zbudowane przez jego ojca tunele.

Koronał Lord Sangamor rządził jako młodszy monarcha Majipooru sprawnie, energicznie i na ogół z powodzeniem przez trzydzieści lat, a gdy Bogini powołała czcigodnego Pontifeksa Pelxinai do Źródła, sam został Pontifeksem. Musiał wówczas opuścić Zamkową Górę i przenieść się do podziemnego Labiryntu, leżącego daleko na południu Alhanroelu, gdzie tradycyjnie urzędował Pontifex, pojawiając się na świecie tylko w wyjątkowych okolicznościach. Jak przystało na dobrego syna, Aithin Furvain odwiedził ojca niedługo po tym, gdy zasiadł on na nowym, wyższym tronie; takiej wizyty spodziewano się zarówno po nim, jak i jego braciach, ale Aithin nie sądził, by miał kiedykolwiek powtórzyć tę wyprawę. Labirynt był miejscem ciemnym, ponurym, wyjątkowo odpychającym. Nie podobał się jemu i nie podobał się pewnie Sangamorowi, ale jego ojciec, jak wszyscy Koronał, od samego początku zdawał sobie oczywiście sprawę, że tu właśnie dokona żywota. Furvain nie miał obowiązku mieszkać z ojcem ani odwiedzać go po pierwszej kurtuazyjnej wizycie, a ponieważ nie dane mu było dobrze go poznać i żyć się z nim, łatwo pogodził się z myślą, że nigdy się już nie spotkają.

Kilka lat wcześniej on także opuścił Zamek. Gdy jego ojciec był jeszcze Koronałem, Furvain przygotował sobie drugą rezydencję w Dundilmirze, jednym z Miast Zbocza, leżącym przy podstawie gigantycznej, trzydziestomilowej skały, którą była Zamkowa Góra. Jego bliski przyjaciel jeszcze z czasów szkolnych, Tanigel, odziedziczył tytuł diuka Dundilmiru wraz z posiadłościami i zaproponował Furvainowi względnie niewielki majątek nad wulkaniczną doliną, znaną pod nazwą Płomiennej. W istocie wyznaczył mu rolę błazna, opłacanego dworaka, który miał bawić swego suwerena przy stole. To, że syn Koronała przyjmuje nadanie ziemskie z rąk zwykłego diuka, nie do końca godziło się z zasadami, ale Tanigel doskonale rozumiał, że piąty syn rzadko posiada własny znaczny majątek, a także wiedział, że jego przyjacielowi znudziło się spokojne życie na Zamku, że chce zmienić scenerię i cieszyć się lenistwem gdzie indziej. Furvain, który swej godności nigdy przesadnie nie celebrował, przyjął ofertę z radością i przez kilka kolejnych lat doskonale bawił się w Dundilmirze, w wesołej i tęgo pijącej kompanii Tanigela. Na Zamek wracał tylko wówczas, gdy wymagała tego etykieta, przy najważniejszych okazjach, takich jak urodziny ojca, a po jego przeniesieniu się do Labiryntu więcej się tam nie pojawiał.

Ale po pewnym czasie nawet zamożne i wesołe życie w Dundilmirze utraciło swój blask. Furvain wkroczył już w wiek średni i nagle poczuł coś, czego nie doświadczył nigdy przedtem: nieokreślone, choć dokuczliwe rozczarowanie, nie wiedział czym, nie wiedział dlaczego.

Bo rzeczywiście, na co miałby się skarżyć? Żył sobie wygodnie w towarzystwie dobrych, wesołych przyjaciół, podziwiających go za jego jedyny, choć pomniejszy talent, z którego potrafił czynić tak dobry użytek. Zdrowie mu dopisywało, dysponował funduszami więcej niż wystarczającymi na to, by żyć tak, jak lubił żyć, na rozsądnym, choć wygodnym poziomie, nie obawiał się nudy, nigdy nie brakowało mu kompanów czy kochanek. A jednak od czasu do

czasu bolała go dusza, od czasu do czasu zdarzały mu się niewyjaśnialne ataki niezadowolenia z samego siebie. Dokuczały mu zwłaszcza dlatego, że nie potrafił powiedzieć, co jest ich przyczyną.

Być może powinienem podróżować, myślał. W końcu mieszkał na najwspanialszej, najpiękniejszej planecie znanego Wszechświata, lecz prawie jej nie znał: ot, Zamkowa

Góra, kilkanaście spośród Pięćdziesięciu Miast, ładna, choć niezbyt interesująca Dolina Glayge, przez którą przejechał w drodze do nowego domu ojca, Labiryntu. A na Majipoorze tyle było przecież do obejrzenia! Legendarne miasta południa: Sippulgur, złota Arvyanda, Ketheron o wieżach jak iglice, wioski na smukłych palach, rozrzucone wokół jeziora Roghoiz... oraz setki, a może i tysiące podobnych i większych cudów, rozrzuconych jak klejnoty na wielkim Alhanroelu. A Zimroel, o którym nie wiedział właściwie nic? Kontynent bogaty w atrakcje, które zdawały się pochodzić z jakichś czarownic baśni. Nie starczyłoby jednego, a nawet kilku żyć, by zobaczyć choć część tych wspaniałości.

Stało się jednak tak, że ostatecznie ruszył w zupełnie innym kierunku. Uwielbiający podróże diuk Tanigel zaczął snuć plany wędrowki na wschód, na tereny nie zamieszkane i prawie zupełnie nie znane, leżące pomiędzy Zamkową Górą a brzegiem gigantycznego, niezbadanego Wielkiego Oceanu.

Odkąd na Majipoorze pojawili się pierwsi koloniści z Ziemi, minęło dziesięć tysięcy lat, czas aż nadto wystarczający, by zasiedlić świat normalnych rozmiarów; ten jednak był tak ogromny, że nawet przez sto stuleci stałego wzrostu populacji ludzie nie zdołali go poznać w całym jego bogactwie. Majipoor kolonizowano według jednego wzorca: z Zamkowej Góry na zachód do brzegów Wewnętrznego Morza, oddzielającego Alhanroel od Zimroelu i Suvraelu. Właściwie nikt, może oprócz kilku wyjątkowo żądnych przygód wędrowców, nie ruszał na wschód. Znajdowało się tam jedno zaniedbane farmerskie miasteczko, Vrambikat, położone w wiecznie pogrążonej we mgłę dolinie, praktycznie w cieniu Zamkowej Góry, a potem nie było już nic, przynajmniej według list sporządzonych przez poborców podatków w służbie Pontifeksa. Być może istniały gdzieś tam jakieś pojedyncze, maleńkie wioski, być może nie. A przecież pustkowia to obfitowało w naturalne cuda, znane z relacji owych nielicznych śmiałych podróżników. Szkarłatne Morze Barbirike, pojezierze znane pod nazwą Tysiąca Oczu, gigantyczny kanion nazwany Szczeliną Żmii, długi na trzy tysiące mil i nie wiadomo jak głęboki, oraz wiele, wiele więcej: Ściana Ognia, Sieć Klejnotów, Fontanna Wina, Tańczące Wzgórza. Być może były to cuda jedynie mityczne, choćby częściowo, wymysły bogatej wyobraźni pierwszych podróżników. Diuk Tanigel proponował wielką wyprawę na te nieznane terytoria.

–Ruszymy przed siebie i pójdziemy, gdzie nas oczy poniosą, choćby nad sam brzeg Wielkiego Oceanu! – entuzjazmował się. – Zabiorę ze sobą cały dwór! Kto wie, co znajdziemy? A ty, Furvainie, zdasz relację ze wszystkiego, co zobaczymy, stworzysz prawdziwe arcydzieło naszych czasów, epicki poemat o tym, czego dokonaliśmy!

Diuk Tanigel był mistrzem w snuciu wielkich planów i opracowywaniu ich w najdrobniejszych szczegółach, lecz wcielanie ich w życie nie szło mu aż tak dobrze. I on, i jego towarzysze miesiącami ślęczeli nad mapami i relacjami wędrowców, pochodzącymi sprzed wieluset, a nawet wielu tysięcy lat, kreślili wspaniałe trasy wędrowki po czymś, co było w istocie dziczą pozbawioną jakichkolwiek dróg. Furvain ze zdumieniem uświadomił sobie, że podchodzi do tego projektu z ogromnym entuzjazmem; nawet w snach widywał samego siebie, lecącego niczym wielki ptak ponad nieznany jeszcze pejzażem niewyobrażalnej i niesamowitej urody. Nie mógł doczekać się dnia odjazdu. Zrozumiał, że podróż właśnie na wschód, w krainę nieznaną, jest czymś, co być może zaspokoi tę jego potrzebę, z której istnienia do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy. Tymczasem diuk snuł marzenia i dużo mówił, ale ani mu się śniło wyznaczyć datę wyruszenia ekspedycji i w końcu Furvain pojął, że nie wyruszy ona nigdy.

Diuk nie miał najmniejszej ochoty na wyprawę, po prostu nie mógł żyć, jeśli jakiejś wyprawy nie planował. Tak więc pewnego dnia Aithin Furvain, który nawet na spacer rzadko chodził sam, któremu myśl o samotnej wędrowce gdziekolwiek wydawała się raczej nieprzyjemna, postanowił, że mimo wszystko wyruszy na wschód w pojedynkę.

Nie zrealizowałby zapewne tego postanowienia, gdyby nie cios, który spadł na niego z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Żył w napięciu, ciągle się wahał, nie wiedział, co zrobić, i w tym nastroju odwiedził Zamek pod pretekstem konieczności zapoznania się z mapami, przechowywanymi ponoć w Bibliotece Królewskiej. Gdy jednak dotarł na miejsce, poczuł nieodpartą niechęć do zamknięcia się w przepastnych lochach biblioteki, więc postanowił odwiedzić wybudowane przez ojca tunele. Znajdowały się one na zachodnim zboczu, wewnątrz smukłej skały,

wyrastającej z Góry na wysokość setek stóp.

Lord Sangamor zaprojektował swe słynne tunele w postaci długiej rampy, wijącej się w skalnej iglicy. W sekretnych pracowniach zamkowych artystów, umieszczonych głęboko w trzewiach Góry, powstał syntetyczny kamień promieniujący barwnym światłem. Pod osobistym nadzorem Koronała zespoły murarzy obrobili nieregularne bryły owego kamienia w kwadratowe płyty o jednakowym wymiarze, które wmurowano następnie w ściany i sufity korytarzy oraz sal ze szczególnym uwzględnieniem walorów kolorystycznych i według bardzo dokładnego planu ich stopniowania. Gdy szło się tunelami, w oczy biły kolorowe światła: żółć siarczana w jednej sali, żółć szafranowa w następnej, topaz w kolejnej, dalej szmaragd, dalej krwista czerwień i nagle zdumiewający rozbłysk jasnej czerwieni, z oddzielającymi ją łagodniejszymi w odcieniu barwami, spokojnym fioletem, akwamaryną, czystą jasną zielenią. Była to po prostu symfonia barw, ciągła muzyka światła, niezależnego od światła, od dnia i nocy. Furvain spędził w tunelach dwie godziny, przechodził z sali do sali coraz radośniejszy, pełny rosnącego podziwu... i nagle okazało się, że dłużej tego nie znieśie! Stało się z nim coś, czego nie mógł zrozumieć. Zakręciło mu się w głowie, poczuł mdłości. Umysłowe możliwości jednego człowieka nie wystarczały, by przyjąć i zrozumieć potęgę i piękno tego, co dane mu było widzieć. Furvain drżał, serce mocno biło mu w piersiach. Wiedział, że musi wydostać się na dwór jak najszybciej, więc pobiegł w kierunku wyjścia. Gdyby został tu jeszcze chwilę, padłby na kolana.

Wybiegł z tuneli, oparł się o ścianę, spocony i oszołomiony. Odczekał chwilę i wreszcie zaczął się uspokajać. Zdumiała go siła jego własnych uczuć. Cierpienia fizyczne ustały, ale dręczył go też inny ból, a może tylko niepokój, początkowo niezrozumiały, potem jak najbardziej zrozumiały. Wielkość tuneli wzbudziła w nim najpierw podziw graniczący ze zdumieniem, że coś takiego jest w ogóle możliwe, ale uczucia te nie trwały długo, bo niemal natychmiast w ich konsekwencji pojawiło się miazdzące, przerażające poczucie własnej niedoskonałości.

Furvain zawsze uważał stworzoną przez ojca konstrukcję za zaledwie przyjemną dla oka, oryginalną ciekawostkę. Jednak dziś, gdy zobaczył ją wprawdzie po raz kolejny, lecz w tym przedziwnym, neurastenicznym stanie wzmożonej wrażliwości, w jakim ostatnio coraz częściej się znajdował, był zdruzgotany, gdyż uświadomił sobie, że tunele są wielkim dziełem sztuki. Ogarnęło go uczucie, którego do tej pory nie poznał, nic dziwnego więc, że tak na nie zareagował: pokora. Bo niby dlaczego nie miałby czuć się upokorzony? Ojciec zdołał dokonać rzeczy pięknej i wspaniałej. Stawiając czoło wyczerpującym obowiązkom, którym musiał sprostać jako władca planety, Lord Sangamor znalazł w sobie siłę i natchnienie, by stworzyć arcydzieło, które przetrwa

wieki.

A on tymczasem... a on...

Skutki wstrząsu miał odczuwać jeszcze długo, bardzo długo. Zamiast udać się do biblioteki, zaprosił na kolację jedną ze swych dawnych kochanek, Lady Dolithę. Spotkali się na otwartym tarasie przyjemnej restauracji, zawieszonym tuż nad Wielkim Dziedzińcem Melikanda. Lady Dolitha była kobietą bardzo piękną, o delikatnych rysach, oliwkowej cerze i ciemnych włosach. Cechowała ją także wielka bystrość umysłu. Związał się z nią dziesięć lat temu, na sześć miesięcy, i był to bardzo namiętny związek. Jeśli coś go do niej zraziło, to połączona z błyskotliwością myślenia ostrość jej sądów, nieopanowana chęć wypowiedania zdecydowanych opinii w sposób, w który zazwyczaj się ich nie wypowiada, a poza tym doprawdy przesadna złośliwość. Furvain potrafił jednak docenić zalety towarzystwa inteligentnych kobiet i właśnie owa przerażająca szczerość, która wygnała go z jej łóża, sprawiła, że bardzo cenił sobie tę przyjaźń. Robił wszystko, by Dolitha pozostała przyjaciółką nawet wówczas, gdy przestali być kochankami. I to się udało, była mu teraz bliska jak siostra.

Opowiedział jej o dziwnym przeżyciu w tunelach.

–Któż mógłby się tego spodziewać? – spytał. – Koronał, który jest także wielkim artystą?

W oczach Lady Dolithy błysnęło złośliwe rozbawienie, czyli coś, co wydawało się jej specjalnością.

–Czyżbyś naprawdę sądził, że jedno wyklucza drugie? Artysta rodzi się z talentem artysty. Później człowiek wybiera sobie drogę, także taką, która może zaprowadzić go na tron. Ale dar pozostaje.

–Zapewne, zapewne...

–Twój ojciec doszedł do władzy i rządził długo. Bywa, że człowiek wszystkie swe siły poświęca tylko temu: zdobyciu i utrzymaniu władzy. On jednak wykorzystał swój dar.

–Oznaką jego wielkości było to, że duszę miał wystarczająco wielką, by pomieściła jedno i drugie.

–Albo też wystarczająco mocno wierzył w siebie. Och, każdy sam dokonuje wyborów. I czasami popełnia błędy.

Furvain odważnie spojrział jej w oczy, chód wolałby raczej odwrócić wzrok.

–Dlaczego mi to powiedziałaś, Dolitho? Czy uważasz, że źle zrobiłem, nie szukając pozycji w rządzie?

Podniosła do ust drobną dłoń. Próbowała ukryć uśmiech, ale niezbyt się jej to udało.

–Ależ skąd, Aithinie.

–Więc o co ci chodzi? Daj spokój, nie udawaj, masz mi przecież coś do powiedzenia. Nie bój się, nie zdradzisz niczego, o czym sam bym nie wiedział. Coś mi się gdzieś nie udało. Sądzisz, że zrobiłem zły użytek ze swojego daru, prawda? Że roztrwonilem talent, grając, pijąc i zabawiając ludzi nic nie znaczącymi, choć efektownymi wierszykami, podczas gdy powinienem zamknąć się w jakiejś samotni, gdzie mógłbym stworzyć prawdziwe dzieło, wielkie, głębokie i bardzo filozoficzne, poważne, trudne i pretensjonalne, które chwaliliby wszyscy, a nie przeczytał nikt?

–Och, Aithinie, Aithinie...

–Czyżbym się mylił?

–Jak mogłabym ci mówić, co powinieneś, a czego nie powinieneś pisać? Mogę natomiast z pełnym przekonaniem powiedzieć ci, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy. O tym wiedziałam od dawna. Coś jest z tobą nie tak i już nawet ty o tym wiesz, prawda? Sądzę,

że musi to mieć coś wspólnego z twoim darem, poezją, ponieważ nie ma chyba nic innego, co uznałbyś za ważne, prawda?

Patrzył na nią ze zdumieniem. Jakież to charakterystyczne, pomyślał. Tylko ona ośmieliłaby się to powiedzieć.

–Mów dalej.

–Niewiele zostało do powiedzenia.

–Ale coś jednak zostało. Więc powiedz.

–Mówiłam ci to wielokrotnie.

–Powtórz. Proszę. Potrafię być bardzo uparty, Dolitho.

Dostrzegł, jak ledwie zauważalnie marszczy nos, jak przesuwając językiem za zamkniętymi ustami, i wiedział już, że od tej chwili nie może spodziewać się po niej litości. Ale nie po litość przecież przyszedł do niej tego wieczoru.

–Ścieżka, którą dla siebie wybrałaś, nie jest właściwą ścieżką – powiedziała cicho Dolitha. – Nie wiem, jaka byłaby właściwa, ale z pewnością nie ta, którą podążasz. Musisz zmienić swe życie, Aithinie. Musisz zrobić coś nowego, innego niż dotychczas, a przede wszystkim powinieneś dokonać tego sam. Tylko tyle. Doszedłeś do krańca swojej ścieżki, pora odszukać kolejną. Dziesięć lat temu wiedziałam, że coś takiego musi się zdarzyć, choć ty sam o tym nie wiedziałeś. Nadszedł czas. Nie możesz już oszukiwać sam siebie.

–To prawda, nie mogę.

–Nie możesz się także ukrywać.

–Ukrywać?

–Przed samym sobą. Przed przeznaczeniem, jakiegokolwiek miałyby być. Przed swą istotą. Bo wiesz, że można tego dokonać, Aithinie, lecz nie można ukryć się przed Boginią. Bogini zobaczy cię wszędzie, zobaczy cię zawsze. Więc zmień swe życie. Jak? Tego nie mogę wiedzieć.

Przyglądał się jej oszołomiony.

–Nie, nie możesz – przyznał i zamilkł na chwilę. – Za to ja wiem, od czego mam zacząć. Od podróży. Wyjadę, sam. Gdzieś, gdzie nie spotkam nikogo, gdzie stanę twarzą w twarz z samym sobą. A potem zobaczymy.

Rankiem następnego dnia, zapominając o mapach, które mogły być, lub których mogło nie być, w królewskiej bibliotece – czas planowania minął – wrócił do Dundilmiru. Przez tydzień porządkował sprawy oraz gromadził zapasy na podróż na daleki wschód. Po czym wyruszył, samotnie, nic nikomu nie mówiąc o tym, dokąd zmierza. Nie miał pojęcia, kogo i co spotka na swej drodze, ale wiedział, że dojdzie do spotkania zmieniającego jego życie na lepsze. To poważne przedsięwzięcie, myślał, wielka wyprawa w poszukiwaniu prawdziwego, wewnętrznego życia Aithina Furvaina, które z jakiegoś powodu zgubił dawno, dawno temu. „Musisz zmienić swe życie” – powiedziała Dolitha i tak, oczywiście, to właśnie miał zamiar zrobić. Czeka go coś całkiem nowego. Nigdy jeszcze nie uczynił tak poważnego kroku. Wyruszył w dziwnie optymistycznym nastroju, z czujnym umysłem i śmiałymi oczekiwaniami. Azaledwie tydzień po minięciu małego, brudnego miasteczka Vrambikat pojмали go bandyci i odprowadzili do warowni Kasinibona.

Ani mu w głowie powstało, że w niezbadanej, prowincjonalnej krainie mogą zdarzać się tego rodzaju bezprawne uczynki, ale też przesadnie się nie zdziwił. Majipoor był światem spokojnym, to prawda. Władcy od tysięcy lat rządili planetą, ponieważ zgadzali się na to podwładni... lecz odległości były tu tak niewyobrażalnie wielkie, że gdzieś tam władza

Korona i Pontifeksa po prostu musiała być słaba, przynajmniej w rzeczywistości. Niewątpliwie istniały obszary, którymi centralny rząd władał wyłącznie nominalnie. Jeśli jakaś wieść z Alhanroelu docierała na daleki Zimroel i wysmażony słońcem Suvrael na południu po bardzo wielu miesiącach, to czy można powiedzieć, że rząd sprawował tam władzę? Co Korona na szczycie Zamkowej Góry i Pontifex w otchłani Labiryntu wiedzieli o tamtejszych wydarzeniach? Owszem, obywatele w zasadzie przestrzegali prawa, bo inaczej zapanowałby chaos, wydawało się jednak oczywiste, że w bardziej oddalonych prowincjach mieszkańcy robili, co chcieli, głosząc oczywiście, że przestrzegają i zawsze będą przestrzegać zarządzeń władzy centralnej.

A tu, na wschodzie, gdzie nie mieszkał nikt... no, praktycznie nikt... i gdzie rząd nie próbował nawet udawać, że istnieje, komu i na co mógłby się on przydać?

Po opuszczeniu Vrambikatu Furvain jechał niespiesznie sielską równiną. Zamkowa Góra długo ciążyła mu cieniem za plecami, na zachodzie, lecz wreszcie poczęła maleć, za to z przodu pojawiła się linia ciemnych wzgórz. Wszystko, co miał przed oczami, wydawało się ciągnąć na niepoliczalne miliony mil. Jeszcze nigdy nie widział przestrzeni tak ogromnej, pozbawionej jakiegokolwiek, choćby najmniejszego śladu osadnictwa. Miał wrażenie, że jest jedynym człowiekiem w tym świecie. Powietrze było tu upajająco czyste, niebo bezchmurne, pogoda dopisywała. Wszędzie dookoła ziemię pokrywała jaskrawożółta trawa o krótkich liściach i grubych łodygach, gęsta niczym dywan. Tu i tam pasły się wśród niej zwierzęta, których nigdy nie widział, nie zwracające na człowieka najmniejszej uwagi. Wędrował tak dziewięć dni. Samotność okazała się doświadczeniem odświeżającym, oczyszczającym. Im głębiej pogrążał się w ten milczący świat, tym bardziej doświadczał uzdrowienia, oczyszczenia duszy.

W południe zatrzymał się w miejscu, gdzie z gęstej żółtej trawy wyrastały małe skaliste pagórki. Rozsiadł wierzchowca i pozwolił mu się paść. Zabral ze sobą piękne stworzenie, długonogie i dumne, klasy wyścigowej, niezbyt nadające się do długich, powolnych marszów. Musiał często przystawać, pozwalać mu odpocząć i odzyskać siły.

Wcale to Furvainowi nie przeszkadzało. Wędrował przecież donikąd, więc dlaczego miał się spieszyć?

Siedział z zamkniętymi oczami, myśląc o tym, co go jeszcze czeka, i próbując wyobrazić sobie, jakie cuda zobaczy. Szczelina Żmii na przykład: jak w rzeczywistości będzie wyglądał kanion, sięgający w same trzewia planety? Pionowe, lśniące niczym złoto ściany, tak strome, że nie ma co marzyć o zejściu nad wodę, tam gdzie szybka zielona rzeka, wąż bez głowy i ogona, mknie ku odległemu morzu. Wielki Sierp: czytał, że to smukła, półkolista skała lśniącego białego marmuru, rzeźba – dzieło Bogini – wznosząca się w doskonałej samotności na setki stóp ponad gładką brunatną pustynię, delikatny łuk wzdychający i łkający niczym harfa na wietrze ześlizgującym się po jego krawędziach. Opis Sierpu powstał w czasach Lorda Stiamota, przed czterema tysiącami lat. Anonimowy autor napisał, że na widok jego zarysu na niebie, z tym lub innym księżycem lśniącym u szczytu, rozplakałby się nawet skandarski wozak. Fontanny Embolain: grzmiące gejzery aromatycznej różowej wody,

miękkiej jak jedwab, wybuchające co pięćdziesiąt minut, dzień i noc, noc i dzień. A dalej, rok drogi, a może dwa lub trzy lata, potężne klify z czarnego kamienia, przerywanego żyłami oślepiąco białego kwarcu, strzegące brzegu Wielkiego Oceanu, którego nikt nigdy nie przebędzie, Oceanu pokrywającego niemal połowę planety...

–Wstań – rozległ się ostry, nieprzyjemny głos. – Znalazłeś się na terenie prywatnym bez pozwolenia właściciela. Kim jesteś?

Furvain tak długo samotnie przemierzał milczącą dzicz tej krainy, że ludzki głos wdarł się w jego marzenia niczym meteor orzący głębię bezgwiazdznego nieba. Obrócił się i zobaczył dwóch patrzących na niego nieprzyjaźnie mężczyzn, stojących o kilka zaledwie kroków od niego na jednym z pagórków, mężczyźni potężnie zbudowanych, obdartych i uzbrojonych. Trzeci i czwarty strzegli karawany kilkunastu wierzchowców, powiązanych szorstką żółtą liną.

–Teren prywatny, powiadasz? – spytał, zachowując doskonały spokój. – Przecież miejsce to nie należy do nikogo, przyjacielu. A zatem należy do wszystkich.

–Należy do pana Kasinibona – powiedział niższy i groźniej wyglądający z napastników. Miał zrosnięte brwi, tworzące jedną linię nad zmarszczonym w tej chwili od wysiłku myślenia czołem. Przemawiał głosem szorstkim, gardłowym, z dziwnym akcentem, zacierającym wszystkie spółgłoski. – Tylko on udziela pozwolenia na przejście po swej ziemi. Jak się nazywasz?

–Jestem Aithin Furvain z Dundilmiru. – Furvain nadal nie tracił spokoju. – Będę wdzięczny, jeśli powiecie swojemu panu, którego imię nie jest mi znane, że nie było moim zamiarem naruszyć jego ziemi lub własności. Podróżuję sam, chcę tylko jechać dalej i nie zamierzam...

–Dundilmiru? – przerwał mu drugi z mężczyzn, unosząc gęste brwi. – To miasto na Górze, o ile się nie mylę? Co mieszkanięc Zamkowej Góry robi w tej części kraju? To nie miejsce dla ciebie. – Nieoczekiwanie parsknął śmiechem. – A kim ty w ogóle jesteś, synem Koronała?

Aithin uśmiechnął się lekko.

–Skoro już pytasz, dobry człowieku, wiedz, że istotnie jestem synem Koronała. No, raczej byłem, aż do śmierci Pontifeksa Pelxinai.

Mój ojciec nazywa się...

Szybki cios w twarz zadany grzbietem dłoni posłał go na ziemię. Zaskoczony Furvain zamrugał. Uderzenie było lekkie, zwykły policzek; upadł tylko dlatego, że niczego takiego się nie spodziewał i po prostu stracił równowagę. Nie pamiętał, by ktoś kiedyś go uderzył, nawet gdy był dzieckiem.

–...Sangamor – dokończył, raczej z rozpędu niż z ochoty, po prostu te słowa miał już na wargach, przygotowane do wypowiedzenia. – Był Koronałem pod rządami Pontifeksa Pelxinai, a teraz sam jest Pontifeksem...

–Człowieku, nie cenisz sobie zębów? Uważaj, bo jeśli dalej będziesz ze mnie kpił, znów oberwiesz!

–Powiedziałem ci samą, czystą prawdę, przyjacielu. – W głosie Furvaina brzmiało lekkie zdumienie. – Jestem Aithin z Dundilmiru, syn Sangamora. Moi rodzice mogą to potwierdzić.

W tym momencie zaświtało mu, że przyznawanie się do pochodzenia z królewskiego rodu przy tego rodzaju mężczyznach nie jest zapewne najinteligentniejszym z pomysłów, ale co się stało, to się nie odstanie. Nie sądził, że są na Majipoorze miejsca, w których synowi Koronała niebezpieczeństwo może grozić wyłącznie z tytułu pochodzenia. Zresztą w żaden sposób nie mógł zabronić tym ludziom przejrzania jego papierów. Skoro wiadomo już było, kim jest, należało przyjąć, że nikomu, nawet tu, w tej głuszy, w głowie nie postanie myśl o ograniczeniu swobody syna Koronała... nawet piątego syna.

–Wybaczam ci, że mnie uderzyłeś – zwrócił się do mężczyzny, który go przewrócił. – Nie wiedziałeś, z kim masz do czynienia. Osobiście dopilnuję, by nie spotkała cię za to żadna kara. A teraz, za waszym pozwoleniem, panowie, i z całym szacunkiem dla

waszego pana Kasinibona, nadszedł czas, bym ruszył swoją drogą.

–Twoja droga wiedzie cię, człowieku, do pana Kasinibona. Wyrazy szacunku złożysz mu osobiście – powiedział ten, który uderzył w twarz.

Poderwali go brutalnie na nogi. Gestem rozkazali mu wsiąść na wierzchowca, którego następnie ich towarzysze, najwyraźniej stajenni, przywiązali na końcu szeregu. Dopiero teraz Furvain dostrzegł coś, czego nie zauważył wcześniej: to, co wziął za niewielki garb na najwyższym wierzchołku wzgórza stojącego wprost przed nimi, było w istocie niską budowlą. W miarę jak zbliżali się ku niej stromą ścieżką, która właściwie nie była nawet ścieżką, lecz raczej wydeptanym przez kopyta wierzchowców wąskim pasem w trawie, gdzieniegdzie całkowicie zarośniętym, coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że patrzy na sporą umocnioną budowlę, czy nawet fortecę, wzniesioną z tego samego lśniącego szarego kamienia co samo wzgórze. Choć zaledwie piętrowa, budowla była tak duża, że zajmowała większą część garbu na wierzchołku. Ścieżka wiodła w bok, obchodząc szczyt szerokim łukiem, dzięki czemu dostrzegł wschodnią stronę budowli: ściana opadała kilkoma dodatkowymi kondygnacjami aż na dno doliny. Niebo ponad doliną miało dziwny, czerwony odcień, a gdy wspięli się na sam grzbiet, pojawiło się przed nim długie, wąskie jezioro o jaskrawoczerwonej wodzie, otoczone równoległymi rzędami potężnych wydm z piasku o tej samej barwie. A więc tak wygląda słynne Morze Barbirike! Kasinibon, kimkolwiek był ten wódz bandytów, zbudował swą cytadelę w jednym z najwspanialszych punktów widokowych na całym Majipoorze, miejscu o zapierającym dech w piersiach majestacie. To była zuchwałość tak wielka, że aż godna podziwu, pomyślał Furvain. Kasinibon może sobie być bandytą, a nawet i łotrem, ale z pewnością ma duszę artysty.

Wspięli się na szczyt wzgórza i zeszli przed frontowe wejście; Furvain miał więc okazję przyjrzeć się budynkowi dokładniej. Był masywny, kanciasty, przysadzisty, zaprojektowany z naciskiem raczej na solidność niż elegancję, a jednak miał w sobie pewien prosty, wiejski wdzięk. Do kwadratowej części centralnej dobudowano dwa długie skrzydła, których frontowe ściany opadały aż na dno Doliny Barbirike. Projektujący tę budowlę architekt z całą pewnością myślał raczej o walorach obronnych niż o czymkolwiek innym. I twierdza rzeczywiście wydawała się nie do zdobycia w jakikolwiek konwencjonalny sposób. Od zachodu podejścia nie było, bo najwyższa część zbocza, po którym tak pracowicie się wspinali, stanowiła pionową skalną ścianę, a nad nią wznosił się mur pozbawiony choćby jednego okna. W tym miejscu prowadząca z równiny ścieżka skręcała szerokim łukiem w prawo, przechodziła przez grzbiet wzgórza i wiodła ku ścianie frontowej. Tu atakujący był wystawiony na ostrzał z budynku i nie miałby się gdzie schronić. W skład umocnień wchodziły dwie wieże strażnicze, częstokół, spuszczana krata w bramie oraz imponujący wał obronny. Do środka prowadziło tylko jedno wejście, niezbyt szerokie. Okna w murze były wąskie i wysokie, bezużyteczne dla napastników, za to bardzo przydatne dla prowadzących ogień obrońców.

Furvaina wprowadzono do środka bez większych ceremonii. Nikt go nie popychał, nikt go nie szarpał, ba, nikt go nawet nie dotknął, po prostu otoczono go ze wszystkich stron i prowadzono szybkim krokiem. Ludzie Kasinibona z pewnością nie wahałoby się użyć siły, gdyby mieli po temu choćby najdrobniejszy powód. Przeszli w ten sposób długim korytarzem lewego skrzydła, wspięli się po schodach jedną kondygnację i weszli do niewielkiego apartamentu składającego się z sypialni, pokoju dziennego oraz pomieszczenia wyposażonego w wannę i umywalkę.

Było to wnętrze bardzo surowe, o ścianach z tego samego szarego kamienia, który

widział z zewnątrz, pozbawionych jakichkolwiek dekoracji. Okna we wszystkich trzech pokojach były, jak inne okna w budynku, wąskie i wysokie, a wychodziły na jezioro. Apartament umeblowano isticie po spartańsku: kilka prostych stołów i krzeseł, wąskie, wyglądające na twarde łóżko, kredens, kilka pustych półek, wyłożony cegłą kominek. Furvainowi przyniesiono bagaż i pozostawiono go samego, a kiedy spróbował otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte od zewnątrz. A więc jest to specjalne mieszkanie dla nieproszonych gości, pomyślał Furvain. Z pewnością nie był pierwszy.

Mijały godziny, a ciągle nie miał przyjemności spotkać się z gospodarzem. Chodził z pokoju do pokoju, badając nowe otoczenie; poznanie go w najdrobniejszych szczegółach nie zabrało mu wiele czasu. Potem przez jakiś czas przyglądał się jezioru, ale i jego piękno, choć bez wątplenia niepowtarzalne, wkrótce zaczęło blednąć. Następnie skomponował trzy wierszowane epigramy, w ironiczny sposób wykpiwające jego obecne kłopotliwe położenie, ale we wszystkich przypadkach niezwykłą trudność sprawiła mu puenta; nie znalazł zadowolającej i w końcu wszystkie trzy wyrzucił z pamięci.

Nie irytował się specjalnie tym, że został pojmany w ten niezwykły sposób. Póki co traktował niewolę jako interesującą nowinkę, fascynującą przygodę w podróży, epizod, o którym będzie opowiadał przyjaciółom po powrocie. Uważał, że nie ma powodów do obaw. Kasinibon... no cóż, ten Kasinibon był pewnie jakimś drobnym szlachcicem z Góry, którego znudziło słodkie, spokojne życie w Banglecode, Stee, Bibiroonie czy skądkolwiek

pochodził, więc wyruszył na tajemniczy wschód, by zdobyć tu własne księstwo. A może naruszył prawo, nic poważnego oczywiście, ale... Albo obraził potężnego krewniaka i uznał, że lepiej będzie usunąć się poza zasięg cywilizowanego społeczeństwa. Niezależnie od tego, co rzeczywiście zaszło, Furvain nie widział powodu, dla którego Kasinibon miałby wyrządzić mu krzywdę. Niewątpliwie zechce mu zaimponować, pokazać, jak wielką ma władzę, zapewne będzie też ciskał na niego gromy i wściekał się, że ktoś obcy naruszył granice posiadłości bez zezwolenia jej samozwańczego właściciela, a potem w końcu zwolni nieproszonego gościa.

Cienie nad jeziorem wydłużały się, słońce powoli wędrowało w stronę Zimroelu. W miarę jak dzień chylił się ku końcowi, Furvain stawał się coraz bardziej niespokojny. Wreszcie doczekał się gościa, ale był nim sługa, Hjort o okrągłej, jakby spuchniętej twarzy i wielkich żabich oczach swej rasy. Postawił na stole zastawioną tacę i wyszedł bez słowa. Zciekawiony Furvain przyjrzał się kolacji. Butelka różowego wina, talerz bladego, bezbarwnego mięsa, misa wypełniona czymś, co wyglądało jak nierozwinięte pączki kwiatów. Proste jedzenie wiejskiego ludu, pomyślał Furvain. Ale wino miało łagodny, głęboki smak, mięso było miękkie i przyprawione doskonale dobranym, aromatycznym sosem, pączki kwiatów zaś, jeśli w ogóle nimi były, okazały się wprawdzie słodkawe, lecz pozostawiły po sobie ostry, przyjemny posmak.

Krótko po posiłku do pokoju wszedł drobny, niemal eteryczny mężczyzna około pięćdziesiątki, niewysoki, bardzo szczupły, o szarych oczach i wąskich ustach, ubrany w zielony skórzany kaftan i szare pończochy. Zachowywał się w sposób nie pozostawiający wątpliwości co do tego, że posiada władzę i umie ją sprawować. Nosił cienkie wąsiki, krótką spiczastą bródkę, włosy miał długie, kruczoczarne z wieloma siwymi pasmami, związane w kucyk. Otaczała go atmosfera chytrych i ironicznego cwaniactwa... która bardzo spodobała się Furvainowi.

–Jestem Kasinibon – powiedział. Mówił głosem spokojnym, cichym, wysokim, ale też i stanowczym. – Przepraszam cię, jeśli do tej pory w jakiś sposób uchybiłem gościnności.

–W niczym nie uchybiłeś – odparł chłodno Furvain. – Jak dotąd.

–Lecz z pewnością przyzwyczajony jesteś do znacznie wspanialszego otoczenia i wykwintniejszej kuchni niż ta, którą mogę ci zapewnić. Moi ludzie powiedzieli mi, że jesteś synem Lorda Sangamora. – Kasinibon obdarzył Furvaina krótkim, ledwo dostrzegalnym uśmiechem. W jego zachowaniu nie było ani śladu szacunku, a co dopiero uniesienia. – Czy może źle ich zrozumiałem?

–Zrozumiałeś ich bardzo dobrze. Rzeczywiście, jestem jednym z synów Sangamora. Najmłodszym. Nazywam się Aithin Furvain. Jeśli chcesz zobaczyć dokumenty...

–Nie sądzę, by było to konieczne. Całe twe zachowanie zdradza, kim i czym jesteś.

–Jeśli mogę spytać...

Ale Kasinibon zignorował te słowa i mówił dalej tak gładko, że trudno byłoby uznać to za nieuprzejme.

–Czy pełnisz więc ważną funkcję w rządzie Jego Wysokości?

–Nie pełnię żadnej funkcji w rządzie Jego Wysokości. Z pewnością wiesz, że urodzenie nie daje pozycji w systemie władzy. Synowie Koronała sami kształtują swą przyszłość, nic nie jest im dane. Gdy dorosłem, stało się dla mnie jasne, że moi bracia wykorzystali wszystkie dostępne nam możliwości. Żyję z wypłacanej mi przez państwo pensji. Dość skromnej – dodał Furvain, ponieważ nagle przyszło mu do głowy, że Kasinibon może myśleć o okupie.

–Chcesz mi powiedzieć, że nie piastujesz żadnego oficjalnego stanowiska?

–Nie piastuję.

–A więc co robisz? Nic?

–Zapewne nic, co można byłoby nazwać pracą. Spędzam czas w towarzystwie przyjaciela, diuka Dundilmiru. Moim zadaniem jest zabawiać go oraz jego dwór. Zostałem obdarzony pewnym pomniejszym darem. Tworzę poezję.

–Poezję! Jesteś poetą? Jakie to wspaniałe! – Oczy Kasinibona zabłyśły, jego twarz odmieniła się, straciła jakże charakterystyczny, chytry wyraz, stała się nagle dziwnie młoda i niewinna. – Poezja to moja wielka pasja – wyznał

cicho Kasinibon, jakby wstydził się do tego przyznać. – Uspokaja mnie i pociesza w życiu na skraju nicości, życiu tak dalekim od cywilizacji. Tuminok Laskil! Vornifon! Dammiunde! Czy wiesz, ile ich dzieł znam na pamięć?

Przybrał uroczystą pozę i zaczął recytować poemat Dammiunde'a, jedno z jego najbardziej napuszonych dzieł, śmiertelnie poważną, patetyczną do granic obrzydliwości opowieść o rozdzielonych przez zły los kochankach, którą Furvain, nawet jako dziecko, uważał za żalostną i absurdalną. Doprawdy, z najwyższym trudem zachowywał powagę, gdy gospodarz raczył go fragmentem jednej z najbardziej niedorzecznych pieśni, opisującej pościg przez bagna Kajith Kabulon. Lecz po pewnym, bynajmniej nie krótkim czasie Kasinibon zorientował się chyba, że jego gość nie darzy sławnego dzieła Dammiunde'a najwyższym szacunkiem, ponieważ nagle zaczerwienił się ze wstydu i przerwał recytację w pół słowa.

–Trochę staroświeckie – przyznał zażenowany. – Ale zakochałem się w nim jako dziecko.

–Rzeczywiście, Dammiunde nie należy do moich ulubionych poetów. Ale jeśli chodzi o Tuminoka Laskila...

–Och, tak, Tuminok Laskil!

I jak na zawołanie Kasinibon poczęstował gościa do obrzydliwości cklwym lirykiem wielkiego poety z Nimoya, pochodzącym z czasów jego najwcześniejszej młodości. I tym

razem Furvain nie zdołał ukryć pogardy dla tego dzieła, zresztą nawet nie próbował, więc gospodarz znów się zaczerwienił, znów nie dokończył, tylko natychmiast zaczął recytację znacznie późniejszego wiersza, trzeciego z mrocznych *Sonetów pojednania*, który wygłosił dziwnie płynnie, ze zdumiewającą głębią wyrazu. Furvain znał ten wiersz doskonale, podziwiał go i w myśli, niezwykle wzruszony, powtarzał jego słowa aż do ostatniej linijki. Siła sonetu zrodziła się nie tylko w nim samym, lecz także w sposobie recytacji, technicznie znakomitym, popartym jednak prawdziwą miłością do dzieła.

–Podoba mi się znacznie bardziej niż poprzednie – odezwał się po chwili, czując, że musi coś powiedzieć, by przerwać niezręczną ciszę, stworzoną przez samo piękno wiersza.

Kasinibon wyraźnie się uradował.

–Ach, rozumiem! Wolisz głębsze, posępniejsze dzieła, nie mylę się, prawda? Być może dwa pierwsze wiersze wprowadziły cię w błąd, rozumiem to, ale proszę, uwierz mi, nie powtórzę tego błędu. I ja przecież znacznie wyżej cenię późniejsze dzieła Laskila. Przyznaję, że nie mam nic przeciwko prostocie, ale uwierz mi, że w poezji szukam mądrości, pocieszenia, nawet wskazówek, a nie tylko prostackiej rozrywki. Twoje dzieła, jak mniemam, są właśnie dziełami poważnymi. Ktoś o twej inteligencji z pewnością tworzy poezję wartą czytania. Jakże to dziwne, że nigdy o tobie nie słyszałem.

–Jak już powiedziałem, mój talent należy raczej do tych pomniejszych. Pomniejszy talent, pomniejsza twórczość, która z niego powstała. Potrafię dostarczać rozrywki, oczywiście, ale nic więcej. Nie publikowałem swych wierszy. Przyjaciele sądzą, że powinienem to zrobić, ale te moje drobiazgi nie wydają mi się warte publikacji.

–Czy uczyniłbyś mi zaszczyt, deklamując jedno ze swych dzieł?

Aithinowi Furvainowi wydało się to po prostu idiotyczne. Co miał zrobić? Tak tu stać i dyskutować o poezji z przywódcą bandy, która uwięziła go prawem kaduka? Dzięki poczynaniom tych łotrów siedział oto zamknięty w ponurej fortecy na krańcu niczego i miał tam tkwić, co w tej chwili wydawało mu się niemal pewne, przez bardzo długi czas. Poza tym nic nie przychodziło mu do głowy, może oprócz najbardziej prostackich wierszyków dla najbardziej prostackich dworzan. I okazało się też, całkiem niespodziewanie, że nie chce zaprezentować się temu zupełnie obcemu człowiekowi jako ktoś w rodzaju błazna, a nim przecież w rzeczywistości był. Więc przeprosił gospodarza, tłumacząc, że wskutek trudów dzisiejszego, obfitującego w niezwykle wydarzenia dnia czuje się zbyt zmęczony, by dobrze recytować.

–A więc jutro, mam nadzieję – powiedział Kasinibon. – Bardzo bym się cieszył, gdybyś pozwolił mi wysłuchać części twych najwybitniejszych dzieł, a także gdybyś stworzył jakieś nowe znakomite poematy pod moim dachem.

–Ach! – Furvain zmierzył go długim, przenikliwym spojrzeniem. – Czy możesz mi powiedzieć, ileż to mniej więcej czasu spędzę pod twoim dachem?

–To zależy. – W oczach Kasinibona znów pojawił się wyraz ironicznego cwaniactwa, ale tym razem jego gościowi nie wydał się już sympatyczny. – To zależy od hojności twojej rodziny i przyjaciół. Ale o tym możemy porozmawiać jutro, księżę Aithinie. – Wskazał okno. Nad jeziorem lśnił księżyc, wydobywając z mroku węzowy, rubinowy pas, ciągnący się daleko na wschód. – Ten widok, księżę Aithinie, z pewnością zainspiruje kogoś o twojej poetyckiej naturze.

Furvain milczał. Niczym nie zniechęcony Kasinibon opowiedział mu w skrócie o pochodzeniu jeziora, które zawdzięczało swój niezwykle wygląd małym skorupiakom, rozkładającym się i przez wieki tak niezwykle barwiącym wodę.

Zachowywał się kubek w kubek jak dumny gospodarz, przedstawiający uroki okolicy zaciekawionemu gościowi. Ale jego gościa nie interesowały w tej chwili cuda krajobrazu oraz sposób, w jaki uatrakcyjnia go lokalna fauna. Kasinibon najwyraźniej to zrozumiał, skrócił bowiem wykład.

–Panie – powiedział na koniec – śpij dobrze i wypocznij, czego ci życzę ze szczerego serca.

Był więc więźniem, przetrzymywanym dla okupu. Cóż za wspaniale niedorzeczny pomysł! I jakże logiczne jest to, że człowiek, który wymyślił tę bzdurę, uwielbiał dziecinne, idiotyczne, romantyczne poematy Dammiunde'a! Tylko Dammiunde mógł wpaść na pomysł, by domagać się okupu za przypadkowo zatrzymanego wędrowca!

Ale... po raz pierwszy od czasu przybycia do twierdzy Furvain poczuł ukłucie niepokoju. Nagle ta cała pozornie absurdalna sprawa wydała mu się całkiem poważna. Kasinibon mógł sobie być niepoprawnym romantykiem, ale z pewnością nie był głupcem, świadczyła o tym choćby wybudowana przez niego, niemożliwa do zdobycia kamienna forteca. Jakimś cudem wykroił sobie księstwo odległe o niespełna dwa tygodnie drogi od samej Zamkowej Góry i najprawdopodobniej sprawował w nim władzę absolutną, niezależny od nikogo i sam sobie stanowiący prawo. Gdy na łąkach złotej trawy jego ludzie trafili na bezbronno wędrowca, nie mieli oczywiście pojęcia, że jest nim syn Koronala... lecz gdy się o tym dowiedzieli, i to od samego wędrowca, bez wahania doprowadzili go przed oblicze swego pana, który też nie uznał, że poniesie jakieś ryzyko, jeśli zatrzyma go dla okupu. Był gotów zażądać okupu za najmłodszego syna Lorda Sangamora!

A więc jestem zakładnikiem.

I kto niby miałby zapłacić okup? On sam, Aithin Furvain, nie dysponował znaczącym majątkiem w gotówce. Oczywiście w odróżnieniu od diuka Tanigela. Tylko że diuk Tanigel potraktuje zapewne prośbę o okup jako kolejny dowcip swego ulubionego żartownisia, pośmieje się nad nią i wyrzuci ją do śmieci. Kolejne, sformułowane bardziej stanowczo żądanie spotka zapewne ten sam los, zwłaszcza jeśli Kasinibon w zamian za wolność dworskiego poety zażąda absurdalnie wysokiej sumy. Diuk był człowiekiem bogatym, ale czy uzna, że towarzystwo Furvaina warte jest, powiedzmy, dziesięć tysięcy rojalów? Była to cena bardzo wysoka w stosunku do wartości twórcy błahej, okazjonalnej poezji.

Do kogo mógł więc zwrócić się Furvain? Do braci? Nie, raczej nie. Jego bracia, wszyscy czterej, byli ludźmi surowymi, a przede wszystkim skąpymi; bez syknięcia nie wydaliby nawet najdrobniejszej monety. W ich oczach był zwykłym zerem, człowiekiem bezużytecznym i niepoważnym. Woleliby raczej pozostawić go tu, by okrywał się kurzem na krańcu cywilizowanego świata, niż wydać na jego ratunek choćby pół korony. A jego ojciec, Pontifex? No, dla Pontifeksa pieniądze nie stanowią problemu. Ale Furvain z łatwością potrafił wyobrazić sobie, jak ojciec mówi:

–No, to Aithin będzie miał nauczkę. Za łatwo mu się żyło. Niech teraz sam się przekona, że życie bywa bardziej skomplikowane.

Z drugiej strony Pontifex nie mógł przecież godzić się z bezprawiem, choćby takim jak bezprawie Kasinibona. Chwytać niewinnych wędrowców i więzić ich dla okupu? Coś takiego uderzało w serce kontraktu społecznego, dzięki któremu rozkwitła cywilizacja świata tak wielkiego jak Majipoor. Ale nawet jeśli zwiadowcy armii podejną pod fortecę, to co powiedzą? Że jest nie do zdobycia. Jaką decyzję podejmą dowódcy? Że nie warto ryzykować życia. Och, oczywiście, władze wystosują stanowcze ultimatum, nakazujące

Kasinibonowi uwolnienie więźnia, i dekret zakazujący mu brania następnych, ale nikt nie zrobi nic, by wprowadzić je w życie. Zostanę tu do końca swoich dni, pomyślał Furvain ponuro. Dokonam żywota jako więzień w kamiennej twierdzy, wędrując po jej pustych korytarzach, w których słyszeć będę wyłącznie echo własnych

kroków. Kasinibon obdarzy mnie łaskawie pozycją dworskiego poety i będziemy recytować sobie nawzajem dzieła zebrane Tuminoka Laskila... póki nie zwariuję.

Niewesoło to wyglądało. Ale dziś za wcześnie było jeszcze decydować, co jest wesołe, a co niewesołe. Furvain odsunął od siebie czarne myśli i uznał, że nadeszła pora na sen.

Łóżko, wąskie i twarde, nie dorównywało temu, na którym sypiał w Dundilmirze, ale było znacznie lepsze od koca rzuconego na ziemię i snu pod gwiazdami, do którego zdążył się przyzwyczaić w ciągu dziesięciu dni wędrówki. Zasypiając, Furvain doznał uczucia, które znał aż za dobrze: oto powstawał wiersz i prosił go, by pozwolił mu się urodzić. Nie widział go jeszcze wyraźnie, był to tylko cień bez substancji, bez formy, ale mimo to był pewien, że jest na tropie czegoś niezwykłego, przynajmniej dla niego. Uczucie to było jednak inne niż zazwyczaj, wyjątkowe. Ten utwór miał być dziełem wielkim, bezprecedensowym, głębszym niż wszystko, co dotąd napisał, choć czego dotyczył, Furvain nie potrafił powiedzieć. Temat musiał być wielki, co do tego nie miał wątpliwości. Poemat coraz usilniej pragnął ujrzeć światło dnia. Musiał być wspaniały. Musiał dotykać duszy, serca i umysłu, musiał zmienić tych wszystkich, którzy się z nim zetkną. Rozmiar tego dzieła wręcz przerażał Furvaina. Nie wiedział, co z tym robić i skąd coś takiego pojawiło się w jego wyobraźni. Była tam moc, był rytm i melodia, poważna i jednocześnie radosna. Ale oczywiście sam utwór nie pojawił się w jego umyśle; zarys, rozmiar tak, lecz nie dzieło. Dzieło umykało jego pojmowaniu, nie chciało się ukazać, przynajmniej samo z siebie, a kiedy próbował go osiągnąć, umykało mu ze zręcznością młodego bilantona, pozostawało na wyciągnięcie ręki, aż wreszcie znikło w mrocznej studni gdzieś poza świadomością i nie wróciło, choć Furvain długo bronił się przed snem i czekał. Cekał...

W końcu zrezygnował, znów chciał zasnąć. Dzieł nie można przywołać, wiedział o tym z doświadczenia. Przychodziły, kiedy gotowe były przyjść; nie da się ich skusić, zwabić. Furvain jednak nadal zastanawiał się nad tematem. Nie miał pojęcia, jaki mógłby on być, był niemal pewny, że nie poznał go nawet we śnie. Nie znał żadnych szczegółów, nie miał na czym budować. Wiedział tylko jedno: oto objawiło mu się coś wielkiego, majestatycznego, głębokiego i bardzo doniosłego. O tym nie wątpił... no, niemal nie wątpił. W jego umyśle objawiło się ważne dzieło i wszyscy byli pewni, że potrafi je stworzyć... wszyscy oprócz niego samego. Jednocześnie kusiło go i drażniło; nie ukazało mu nic więcej poza nieokreśloną aurą, czysto zewnętrznym blaskiem. I znikło, jakby wyśmiewając lenistwo całego jego życia. Co za ironia: wielki, nigdy nie zapisany poemat... Aithina Furvaina! Świat nigdy się o nim nie dowie, a on będzie je oplakiwał do śmierci.

Furvain uznał, że jest po prostu śmieszny. Bo co takiego stracił? Śpiący umysł płał mu figle, to wszystko. Dzieło, które jest wyłącznie cieniem cienia, nie jest dziełem. W tej sytuacji myśl o utracie arcydzieła wydawała się absurdalna. Skąd miał wiedzieć, że to rzeczywiście był dobry wiersz, skoro niczego się o nim nie dowiedział? Jakimi kryteriami ma oceniać coś, co nigdy nie zaistniało? Schlebiał sobie, sądząc, że coś mu się objawiło, że coś ma. Przecież doskonale wiedział, że Bogini nie dała mu talentu do pisania rzeczy wielkich. Był człowiekiem leniwym i płytkim, zdolnym tworzyć zgrabną, nawet błyskotliwą poezję okazjonalną, i to wszystko. Powinien zapomnieć o arcydziełach.

Krążący mu po głowie, tuż poza zasięgiem świadomości poemat był tylko duchem, fantomem stworzonym przez zmęczony umysł, pragnący już tylko snu, fantasmagorycznym pokłosem przedziwnej rozmowy z Kasinibonem. Wytłumaczywszy to sobie, Furvain przymknął oczy i zasnął, tym razem bez żadnych kłopotów.

Kiedy się obudził, nadal pamiętając marzenie o poemacie, choć było ono tak niewyraźne i mgliste jak sen, który umyka śpiącemu, lecz nie daje się zapomnieć do końca, nie od razu się zorientował, gdzie jest. Nagie kamienne ściany, wąskie, twarde łóżko, zamiast okien wąskie szpary, przez które wpadały promienie porannego, lecz bezlitosnego słońca... ach, oczywiście, oczywiście! Jest więźniem w fortecy Kasinibona. Najpierw poczuł gniew, bo oto wybrał się w samotną podróż, która miała zaowocować wspaniałymi odkryciami i oczyścić mu duszę, a trafił w łapy nędznych bandytów; potem gniew minął i Furvain zaczął cieszyć się fascynującym nowym doświadczeniem, które przyniósł mu los; wkrótce jednak gniew wrócił, bo przecież bezczelnie wtrącono się w jego własne życie. Lecz gniew, choć usprawiedliwiony, na nic się przecież nie zda. Najważniejszy był spokój i tylko spokój się liczył. Furvain powinien cieszyć się przygodą oraz oczywiście zbierać spostrzeżenia, z których po powrocie do Dundilmiru złoży anegdoty i zgrabne wierszyki, ku uciesze przyjaciół.

Wykąpał się, ubrał i zajął studiowaniem efektów świetlnych, tworzonych przez odbicie promieni słonecznych w wodach jeziora, o tej wczesnoporannej godzinie karmazynowych raczej niż szkarłatnych. Potem powróciła irytacja i gdy gniewnym krokiem chodził z kąta w kąt, Hjort przyniósł mu śniadanie. W południe Kasinibon złożył mu drugą wizytę, tym razem bardzo krótką, zaledwie kilkuminutową, a po jego wyjściu więźniowi dzień zaczął nieznośnie się dłużyć. Nadeszła pora na lunch, po którym Furvain poświęcił trochę czasu na intelektualną pogoń za

nieuchwytnym arcydziełem, ale były to próby beznadziejne, z góry skazane na klęskę; pozostawiły po sobie nieokreślony żal. Mógł jedynie gapić się na jezioro, wspaniałe, nie mające sobie równych, o urodzie zmieniającej się z godziny na godzinę w zależności od tego, pod jakim kątem promienie słońca odbijały się od powierzchni wody. I choć takie piękno można podziwiać długo, nieuchronnie nadchodzi czas, w którym błędnie, pozostawiając po sobie nudę.

Furvain zabrał w podróż kilka książek, ale gdy spróbował czytać, okazało się, że nie ma najmniejszej ochoty na lekturę. Słowa wydawały mu się abstrakcyjnymi znaczkami, za którymi nic się nie kryje. Nie znalazł też rozrywki w poezji własnego autorstwa. Było zupełnie tak, jakby zniknięcie wyobrazonego w nocy arcydzieła odebrało mu także talent do tworzenia lekkiej poezji. Fontanna, z której przez całe życie czerpał wodę i w której zawsze było jej aż nadto, teraz tajemniczo wyschła. Poezji zabrakło, tak jak na kamiennych ścianach jego więzienia zabrakło ornamentów. Poezja nie mogła już pocieszyć go w jego samotności. Och, nigdy przedtem samotność nie była dla niego problemem. Oczywiście nie znał jej za dobrze, ale w tych nielicznych chwilach gdy nie otaczali go przyjaciele, układał wiersze i bawił się w słowne gry, a teraz z powodów, których nie potrafił wyjaśnić, dar ten został mu odebrany. Wprawdzie podczas kilkudniowej podróży po wschodniej krainie samotność nie dokuczała mu wcale, w istocie uznał to całkiem nowe doświadczenie za interesujące, stymulujące i pouczające, ale wówczas mógł przecież podziwiać wspaniałe krajobrazy, pojawiające się każdego dnia egzotyczne okazy fauny i flory, absorbowało go także wyzwanie, jakim była samotna podróż: konieczność gotowania posiłków, wyszukiwania odpowiednich miejsc na odpoczynek w dzień i na noclegi, szukanie źródeł wody i tak dalej. A teraz, zamknięty w małych pokoikach o nagich ścianach, miał tylko to, co sam sobą reprezentował,

a reprezentował sobą, prawdę mówiąc, niewiele: ot, bogactwo wyobraźni poetyckiej. Z nieznanym jednak przyczyn stracił dostęp do tego bogactwa. Niedługo po lunchu pojawił się Kasinibon.

–Jedziemy nad jezioro? – spytał.

–Oczywiście, bardzo chętnie.

Wódz bandytów poprowadził go dostojnie po pustych, kamiennych korytarzach, odbijających echem stukot ich kroków. Schodzili w dół, w dół i w dół, aż dotarli na najniższy poziom twierdzy, a stamtąd przez wąskie wyjście wydostali się na pokrytą ciemnym żwirem ścieżkę, która łagodnymi łukami doprowadziła ich na brzeg. Ku zaskoczeniu Furvaina Kasinibonowi nie towarzyszył żaden z jego ludzi; byli tylko we dwóch. Kasinibon kroczył pierwszy, spokojnie, nie oglądając się za siebie, jakby w głowie nie powstała mu myśl, że w każdej chwili może zostać zaatakowany przez swego więźnia.

Mógłbym wyrwać nóż z pochwy, przyłożyć mu do gardła i tak wymusić obietnicę uwolnienia, myślał Furvain. Albo przewrócić go, parę razy walnąć jego głową w ziemię i uciec. Mógłbym też...

Ale były to tylko bezprzedmiotowe, a nawet bezsensowne rozważania. Kasinibon był mężczyzną niewielkiego wzrostu, ale sprawiał wrażenie bardzo zręcznego i silnego; napastnik z pewnością wprędce pożałowałby, że wybrał go sobie na ofiarę. Poza tym jego ludzie mogli przecież kryć się w pobliskich krzakach. A nawet gdyby udało się Furvainowi pokonać go i uciec, co by zyskał? Bandyci wytropiliby go i sprowadzili z powrotem do twierdzy w ciągu godziny.

Jestem jego gościem, powiedział sobie Furvain. A on jest gospodarzem. Trzymajmy się tego, przynajmniej na razie.

Nad brzegiem jeziora czekały na nich dwa wierzchowce. Jednym z nich było piękne stworzenie maści kasztanowatej, wielkiego ducha, o płonących czerwonych oczach, na którym Furvain przyjechał z Dundilmiru. Drugi był żółtawy, krótkonogi, wyglądał jak wiejskie zwierzę pociągowe. Kasinibon wskoczył na siodło i gestem zachęcił gościa, by poszedł w jego ślady.

–Morze Barbirike – rozpoczął monotonnym głosem zawodowe go przewodnika – ma blisko trzysta mil długości, lecz zaledwie dwa tysiące stóp w najszerszym miejscu. Z obu stron zamykają je strome klify, nie do pokonania przez człowieka. Nie udało nam się znaleźć źródła, które by je zasilalo; zapas wody uzupełniany jest wyłącznie deszczami.

Widziane z bliska jezioro bardziej niż z fortecy przypominało wielkie morze krwi. Czerwień była tak intensywna, że o przezroczystości wody nie można było w ogóle mówić. Od brzegu do brzegu rozciągała się równa

plaszczyna czerwieni, pod którą nie widać było zupełnie nic. Odbijała się w niej ognista kula palącego okrutnie słońca.

–Czy coś tu żyje? – spytał Furvain. – Oprócz skorupiaków, którym morze zawdzięcza tak niezwykłą barwę?

–Och, oczywiście. Woda to woda. Co dzień tu łowimy. Jezioro jest wyjątkowo rybne.

Brzeg jeziora oddzielała od otaczających go wydm ścieżka tak wąska, że z trudem mieściły się na niej dwa wierzchowce idące obok siebie. Podążali na wschód. Kasinibon, któremu najwyraźniej podobała się rola przewodnika, dzielił się z Furvainem wiedzą botaniczną i biologiczną. Pokazał mu roślinę o krótkich, grubych, soczystych fioletowych liściach w kształcie palca, zdolną rozkwiatać na najbardziej jałowych, suchych piaskach, zwisającą z wysokich wydm niczym grube sznury, a także drapieżnego ptaka o żółtej szyi i oczach jak paciorki, unoszącego się pozornie nieruchomo w powietrzu i czasami, znienacka, spadającego z nieba z nieprawdopodobną szybkością, nurkującego

i unoszącego się z jakimś nieszczęśliwym mieszkańcem jeziora w dziobie, oraz puchate, małe okrągłe kraby biegające przy brzegu niczym myszy, grzebiące w błocie w poszukiwaniu pożywienia. Podawał prawidłową nazwę każdego z tych stworzeń, a Furvain wpuszczał ją do głowy jednym uchem, a wypuszczał drugim. Nigdy nie pasjonowała go historia naturalna, choć te stworzenia wydawały mu się interesujące na swój sposób. Kasinibon jednak, który najwyraźniej kochał swą ziemię, wiedział wszystko, co można wiedzieć o każdym najmniejszym drobiazgu. Furvain słuchał więc uprzejmie jego wywodów, choć wydawały mu się banalne i nudne.

Porywała go bowiem wyłącznie barwa wody i piasku, niesamowity kolor Doliny Barbirike. Było to piękno, piękno niezwykle. Furvain miał wrażenie, że nagle cały świat stał się szkarłatny. Wzrok nie sięgał za szczyty wydm, więc perspektywa była ograniczona z lewej do samego czerwonego jeziora i widocznych za nim czerwonych wydm, z prawej do wyniosłej czerwonej ściany z piasku, wyrastającej tuż przy ścieżce, u góry zaś niebem, które swą barwę czerpało z leżącego poniżej świata i przypominało kopułę lśniąca bladym szkarłatem. Czerwień, czerwień, czerwień... Otaczała go ze wszystkich stron, zamykała w swych murach, nie istniało nic oprócz niej. Więc Furvain poddał się jej. Pozwolił, by go posiadała.

Kasinibon zwrócił wreszcie uwagę na milczenie i głębokie skupienie gościa.

–To, co tu widzimy, to prawdziwa poezja – powiedział z dumą, szerokim gestem obejmując jezioro, wydmy, niebo i daleki, ciemny kształt swej fortecy, królującej na wzgórzu za ich plecami. Zatrzymali się jakieś dwie mile od punktu, gdzie ścieżka dochodziła do brzegu Morza Barbirike. Wszystko wyglądało tu dokładnie tak, jak w miejscu, w którym rozpoczęli wycieczkę: czerwień, czerwień, czerwień, wszechświat składający się wyłącznie z czerwieni. – Jest to dla mnie niewyczerpane źródło natchnienia. Z pewnością też się ze mną zgodzisz. Napiszesz tu swoje arcydzieło. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

W jego głosie brzmiała niewątpliwa szczerłość. On marzy o tym poemacie, uświadomił sobie Furvain. Ale sposób, w jaki ten mały bandzior wkroczył w jego myśli, wydał mu się obrzydliwy, słowo „arcydzieło” wstrząsnęło nim głęboko. Nie miał ochoty słuchać o arcydziełach, zwłaszcza po niby-śnie z ostatniej nocy, wykpiwającym jego niedoskonałości i niedostatek ambicji, udawającym, że prowadzi go do celu, którego Furvain nie mógł osiągnąć wskutek jakiejś wady duszy.

–Obawiam się, że poezja mnie opuściła. Przynajmniej w tej chwili – powiedział krótko.

–Powróci! Z tego, co mi powiedziałeś, wnoszę, że tworzenie poezji leży w twojej naturze. Czy był kiedyś czas, gdy niczego nie stworzyłeś? Na przykład przez tydzień?

–Zapewne nie. Doprawdy, nie sposób powiedzieć. Wiersze pojawiają się, kiedy chcą, mają jakiś swój wewnętrzny rytm. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Przynajmniej świadomie.

–Minie tydzień, dziesięć dni, dwa tygodnie... ale słowa znów zaczną się rodzić – oznajmił Kasinibon. – Wiem, że tak będzie. – Wyglądał na dziwnie podnieconego. – Aithin Furvain pisze swój wielki poemat jako gość Kasinibona z Barbirike! Czy wolno mi oczekiwać dedykacji? Tak, być może! Czy też byłoby to za wiele?

Sytuacja stawała się nieznośna. Czy to się nigdy nie skończy, ten nieustanny nacisk całego świata spodziewającego się, że Furvain stworzy dzieło, którego stworzyć nie potrafi?

–Czy wolno mi poprawić cię raz jeszcze? Jestem twoim wziętniem, Kasinibonie, a nie

gościem.

–Mam nadzieję, że wypowiedasz te słowa bez goryczy.

–A cóż dałaby mi gorycz? Choć gdy porywa się kogoś dla okupu...

–Okup to takie brzydkie słowo, Furvainie. Wymagam tylko, by twoja rodzina opłaciła kopytkowe, które nakładam za przejście przez moje terytorium, ponieważ najwyraźniej nie jesteś w stanie zapłacić sam. Jeśli chcesz, mów o okupie. Ale to słowo mnie obraża.

–W takim razie je wycofuję. – Furvain ukrywał irytację, najlepiej jak potrafił, pod wymuszoną lekkością głosu. – Pochodzę z wysokiego rodu, Kasinibonie. Nie w moim guście jest obrażać gospodarza.

Kolację zjedli razem, we dwóch, w wielkiej, rozbrzmiewającej echem każdego słowa i dźwięku, oświetlonej blaskiem świec sali, w towarzystwie plutonu sług, Hjortów w jaskrawych liberiach, zachowujących się z absurdalną w tych okolicznościach, uroczystą godnością, co było zresztą cechą charakterystyczną tej niezbyt urodziwej rasy. Była to kolacja wystawna: kompot z owoców, których Furvain nigdy przedtem nie kosztował, potem gotowana na parze ryba o niezwykle delikatnym smaku, podana z sosem, w którego skład z pewnością wchodził miód, po rybie zaś mięso z grilla z gotowanymi warzywami. Każdemu daniu towarzyszyły bezbłędnie dobrane wina wyjątkowej jakości. Od czasu do czasu na korytarzu biegnącym wzdłuż sali przy jej niższym końcu pojawiały się niewyraźne sylwetki innych bandytów, ale żaden z nich nie wszedł do środka.

Kasinibon wypił sporo i z lekka pijany opowiadał o sobie bez żadnych ograniczeń. Najwyraźniej bardzo, wręcz rozpaczliwie zależało mu na tym, by zdobyć przyjaźń gościa. Z jego opowieści wynikało, że sam jest młodszym synem, mianowicie trzecim synem Księcia Kekkinorku. Ale Furvain nie wiedział nic o tej miejscowości.

–Znajduje się dwie godziny marszu od brzegu Wielkiego Oceanu – tłumaczył Kasinibon. – Moi przodkowie przybyli tu do pracy w kamieniołomach. Wydobywali piękny błękitny kamień znany jako morski szpat, którego wielki Koronał z dawnych czasów, Lord Pinitor, użył do dekoracji murów miasta Bombifale. Po wykonaniu zamówienia część górników postanowiła nie wracać na Zamkową Górę. Zamieszkali w Kekkinorku, mieście nad brzegiem Wielkiego Oceanu, jako ludzie wolni, nie uznający władzy Pontifeksów i Koronałi. Mój ojciec, Książę, był szesnastym w prostej linii uprawnionym do tego tytułu.

–Tytułu nadanego przez Lorda Pinitora?

–Tytułu, który pierwszy Książę sam sobie nadał. – Kasinibon uśmiechnął się lekko. – Jesteśmy potomkami prostych górników i murarzy. Lecz jeśli cofniemy się w czasie wystarczająco daleko, odkryjemy przecież, że w żyłach arystokracji Góry płynie krew ludu.

–To prawda – przyznał Furvain. Ten temat nie interesował go zbyt. W tej chwili próbował pogodzić się jakoś z myślą, że siedzący tuż obok niego, drobny, brodaty człowieczek na własne oczy widział legendarny Wielki Ocean. Że urodził się i wychował w tej części Majipooru, która dla wszystkich była czymś niewyobrażalnym i mitycznym. Sama myśl o tym, że istnieje gdzieś tutaj prawdziwe miasto, nie znane geografom, nie uwzględniane w spisach ludności, zbudowane na najdalszym wschodzie Alhanroelu, wiele tysięcy mil od Zamkowej Góry, wydawała się nieprawdopodobna. Co więcej, ci ludzie wykształcili własną arystokrację: książąt, markizów i kto wie, co jeszcze, i struktura ta przetrwała szesnaście pokoleń... wszystko to było po prostu niewiarygodne!

Kielichy znów były pełne. Przez cały wieczór Furvain pił niewiele, tyle tylko ile musiał, ale Kasinibon okazał się bezlitosny w swej hojności i jego gość zaczynał odczuwać skutki działania alkoholu. Gospodarz spoglądał na niego szklanymi oczami pijaka.

Powtarzając się, często nawet nie kończąc zdań, tak że momentami trudno było pojąć, o co mu chodzi, opowiedział o jakiejś gorzkiej rodzinnej waśni. Z tego, co mówił Kasinibon, można było się domyśleć, że posprzeczał się z bratem o kobietę, zdaje się, że wielką i jedyną miłość jego życia. Zwrócił się o pomoc do ojca, lecz ojciec wziął stronę brata. Furvain znał to aż za dobrze: chciwy, egoistyczny brat, obojętny, wyniosły ojciec, młodszy syn traktowany lekceważąco, niemal z pogardą. Ale jemu to jakoś nigdy nie przeszkadzało, nie budziło żalu; zapewne dlatego, że nie był człowiekiem ambitnym i nie marzył, by dokonać czynów wielkich. Żył w przekonaniu, że energiczny, władczy ojciec i agresywni, zawsze walczący o swoje bracia po prostu go nie

dostrzegają. Oczekiwał – w najlepszym razie – obojętności i nie czuł rozczarowania, gdy się z nią stykał. Mimo to potrafił stworzyć sobie przyjemne, a w każdym razie satysfakcjonujące życie, oparte na przekonaniu, że im mniej człowiek się po życiu spodziewa, tym mniejsze będzie rozczarowanie tym, co życie mu zaoferuje.

Kasinibon różnił się jednak od niego, tak jak ogień różni się od wody. W jego żyłach płynęła gorąca krew, wiedział, czego chce, i potrafił to zdobywać. Zwykła kłótnia przerodziła się w poważną awanturę zakończoną napaścią Kasinibona... na kogo? brata? ojca?... tego Furvain nie był pewien. W każdym razie po tym zdarzeniu Kasinibon uznał, że lepiej będzie dla niego opuścić Kekkinork, a może go wygnano, to znów było niejasne, i przez całe lata wędrował po wschodniej krainie, by wreszcie tu, w Barbirike, znaleźć idealne miejsce na budowę ufortyfikowanej rezydencji, gwarantującej skuteczną obronę przed każdym, kto chciałby targnąć się na jego upragnioną, lecz gorzką niezależność.

–I od tej pory mieszkam nad jeziorem – kończył opowieść. – Nie chcę mieć nic wspólnego ani z rodziną, ani z Pontifeksami i Koronalami. Jestem panem samego siebie, jestem władcą swego królestwa, choćby i niewielkiego. Ci, którzy wkraczają na mą ziemię, muszą płacić kopytkowe. Jeszcze wina, Furvain?

–Dziękuję, nie.

Kasinibon napełnił mu kielich, zupełnie jakby nie usłyszał odpowiedzi. Furvain uniósł rękę, by go powstrzymać, ale zaraz ją opuścił.

–Lubię cię, wiesz, Furvain? Prawie się nie znamy, ale jak mało kto umiem oceniać ludzi na pierwszy rzut oka i widzę w tobie głębię, widzę wielkość.

A ja widzę, że jesteś pijany, pomyślał Furvain, ale nie powiedział tego na głos.

–Jeśli za ciebie zapłacą, to chyba będę musiał cię wypuścić. W końcu jestem człowiekiem honoru. Ale będę tego żałował. Brakuje mi tu inteligentnego towarzystwa. Szczerze mówiąc, w ogóle brakuje mi towarzystwa. Oczywiście sam wybrałem sobie takie życie, ale...

–Pewnie czujesz się bardzo samotny.

Furvain uświadomił sobie w tej chwili, że nie widział w twierdzy żadnej kobiety, nikogo oprócz służących, Hjortów, i kilku bandytów, samych mężczyzn. Czyżby Kasinibon należał do najrzadszego w świecie gatunku: mężczyzn, którzy potrafią kochać tylko jedną kobietę? I czy była nią ta dziewczyna z Kekkinorku, którą odebrał mu brat? Jeśli tak, jakże gorzkie musiało być jego życie w tym miejscu, w tej oddalonej od świata fortecy. Nic dziwnego, że szukał pocieszenia w poezji, nic dziwnego, że w zaawansowanym przecież wieku znajduje tyle radości w nonsensownych, infantylnych, przegadanych dziełach Dammiunde'a czy Tuminoka Laskila.

–Samotny, owszem, nie sposób temu zaprzeczyć. Samotny... samotny... – Kasinibon spojrzał na gościa przekrwionymi oczami, tak czerwonymi jak wody Morza Barbirike. – Ale można nauczyć się żyć samotnie. Przez całe życie dokonujemy wyborów, prawda? Nie są to nigdy wybory doskonałe, ale zawsze są nasze, prawda? W końcu wybieramy to, co wybieramy, ponieważ... wybieramy... ponieważ... ponieważ...

Kasinibon mówił coraz ciszej, coraz mniej spójnie, i w końcu zaczął bełkotać. Furvain pomyślał, że gospodarz zasnął zmorzony winem, ale nie, nie, oczy miał otwarte, jego wargi nadal się poruszały, nadal szukał słów odpowiednich do wyrażenia myśli... jakakolwiek myśl chciał wyrazić. Furvain czekał cierpliwie, aż wreszcie stało się jasne, że gospodarz tych słów nie znajdzie. Pochylił się więc i dotknął jego ramienia.

–Proszę o wybaczenie – powiedział – ale zrobiło się bardzo późno.

Kasinibon skinął głową. Hjort w liberii poprowadził Furvaina do jego apartamentu.

Tej nocy Furvain miał sen tak jasny i tak potężny, że nawet jeszcze śpiąc, był pewien, iż jest to przesłanie od Pani Wyspy, która co noc odwiedza miliony mieszkańców Majipooru, przynosząc im pociechę i radę. Jeśli rzeczywiście było to przesłanie, to pierwsze w jego długim życiu: Pani nieczęsto zwraca uwagę na księżęta Góry, a spośród nich Furvain był najmniej prawdopodobnym kandydatem, ponieważ zgodnie z tysiącletnią tradycją Panią Wyspy zostawała matka rządzącego Koronala, a więc przez niemal całe życie Furvaina panującą Panią była jego babka, a ona nie wkroczyłaby w umysł członka rodziny, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. Oczywiście Lord Sangamor został Pontifeksem Sangamore, na tronie w Zamku zasiadł nowy Koronał, na wyspie panowała nowa

Pani, ale mimo to... przesłanie? Dla niego? Tu? A niby czemu?

Gdy zasypiał po raz drugi, zdążył pomyśleć jeszcze, że nie, to nie mogło być przesłanie, tylko wytwór jego umysłu, do granic możliwości podnieconego wieczorną opowieścią Kasinibona. Wizja była zbyt osobista, zbyt intymna jak na dzieło Pani, dla której był przecież zupełnie obcą osobą. Ale – i z tego doskonale zdawał sobie sprawę – ten sen, w odróżnieniu od wielu, być może wszystkich innych snów, miał w sobie moc kształtowania życia śniącego.

Jego umysł bowiem przeniesiony został z ponurej fortecy Kasinibona. Leciał nad pograżoną w ciemności równiną tajemniczej wschodniej krainy, aż wreszcie osiadł po drugiej stronie błękitnych klifów Kekkinorku, tam gdzie zaczyna się Wielki Ocean, gigantyczny, niezmierny, rozciągający się przez pół świata, od brzegów Alhanroelu po brzegi Zimroelu. Tu, na wschodzie, tak daleko od miejsc, które poznał, dane mu było zobaczyć świt, blask wstającego słońca: różowy na nadbrzeżnych piaskach, bladezielony na płytkiej wodzie, ciemniejszy aż do szarego lazuru głębi tak wielkiej, że aż niepojętej.

Nad oceanem unosił się Duch Bogini. Furvain odczuwał jego obecność. Duch bezosobowy, niepoznawalny, nieskończony, wszystkowidzący. Choć nie miał on formy, nawet najłagodniejszego zarysu, Furvain rozpoznał go natychmiast, tak jak Duch rozpoznał jego. Poczł dotknięcie i jego umysł został wciągnięty w ten byt, na jedną oszalałą chwilę stał się z nim jednością, roztopił się w czymś ogromnym. I w tej jednej chwili Furvain poznał poemat wspanialszy nade wszystko, co napisał, arcydzieło spadło nań kaskadą, dzieło boże, nie ludzkie, objawiające wszystkie sekrety życia i wszystkie sekrety śmierci, przeznaczenie każdego świata we Wszechświecie i każdej istoty żyjącej na każdym z tych światów. A przynajmniej tak myślał, gdy obudził się i leżał drżący, zdumiony i przerażony, podziwiając wspaniałość wizji, którą Bogini roztoczyła przed nim... i zabrała.

Nie pozostał bowiem po tej wizji najmniejszy nawet okruc, najdrobniejszy szczegół,

z którego można byłoby ją odbudować. Pękła jak bańka mydlana, znikła w mroku. Jak poprzednio dotarł na granicę, za którą znajdowało się arcydzieło wyrefinowane, piękne i doniosłe jak żadne inne... i jak poprzednio nie dano mu tej granicy przekroczyć.

Ale dzisiejszy sen różnił się od poprzedniego w samej swej najgłębszej istocie. Tamten był okrutnym żartem, bolesną kpina. Pokazał mu poemat, lecz zabronił doń dostępu, pozostawił po sobie upokarzającą pewność, że Furvain nosi w duszy arcydzieło, lecz nie znajdzie ścieżki i nigdy do niego nie dotrze. Tym razem poemat miał w garści, przeżył go wiersz po wierszu, strofa po strofie, pieśń po pieśni, poznał go w całej jego wspaniałości. Budząc się, utracił tę więź... ale być może będzie w stanie ją odnaleźć? Pierwszy sen powiedział mu: „Twój dar jest niczym, pozwala ci tworzyć zaledwie banalne wierszyki”, drugi zaś: „Jest w tobie coś wielkiego, co czyni cię równym bogom, walcz i odnajdź to coś, bo możesz to zrobić”.

Treść wizji znikła, coś jednak pozostało. Zaraz po przebudzeniu Furvain zdał sobie sprawę z tego, że w jego pamięci tkwi wypalona forma, szkielec, kielich, w który wlane było dzieło. Wzór metryczny, schemat rytmów, sposób konstruowania strof z wersów i pieśni ze strof. Owszem, ten kielich był pusty, ale skoro istniał, istniała też nadzieja, że można znaleźć sposób, by napełnić go winem treści.

Struktura poematu była tak niezwykła, że wręcz niemożliwa do zapomnienia, ale Furvain nie miał zamiaru podejmować ryzyka. Sięgnął po pióro i czystą kartkę papieru, by ją zapisać. Nie, nie chodziło mu o fabułę, na razie przynajmniej wydawało się to za trudne, zaczerniał więc papier wyłącznie nic nie znaczącymi sylabami, zwykłym bełkotem, zachowującym jednak podstawowy wzór metryczny możliwie jak największego fragmentu całości. A kiedy już tego dokonał, spojrzł na swe dzieło w zdumieniu. To, co zapisał, odczytywał głośno, raz za razem, świadomie analizując czysty, niezakłócony zapis podświadomości. Forma poematu była tak niezwykła, że niejedyn nazwałby ją zapewne komicznie niezwykłą. Furvain zliczył sylaby na palcach, zanalizował rymy i po prostu musiał sam siebie spytać, czy w całej długiej historii Majipooru jakiś poeta wymyślił coś równie trudnego. No i czy jakiś poeta w całej długiej historii Wszechświata był w stanie stworzyć jakiegokolwiek liczące się dzieło o strukturze podobnie niezwykłej i skomplikowanej.

Była ona bowiem wręcz cudownie złożona. W całości odrzucona została metryka oparta na akcentowaniu, którą znał tak doskonale: jamby, trocheje, daktyle, spondeje i anapesty, dzięki czemu był w stanie tak błyskawicznie układać swe wiersze okazjonalne. Znał ją doskonale, wręcz się z nią zrócił i dlatego przyjaciółom wydawało się, że mówienie wierszem przychodzi mu łatwiej niż zwykle wypowiedzi, że niemal nie wymaga aktu twórczego. A ten nowy wzór – Furvain powtarzał go szeptem raz za razem, usiłując odkryć jego sekret – był mu obcy i nie dał się

popogodzić z jego wiedzą o sztuce poezji.

Początkowo Furvain nie dostrzegł żadnego powtarzalnego schematu rytmicznego, nie pojmował więc, co jest w tym tak fascynującego i magicznego. Nagle zdał sobie sprawę, że metryka jego wyobrazonego poematu jest ilościowa, opiera się nie na akcentowaniu, lecz na długości sylaby. System ten wydał się mu wyjątkowo arbitralny, wykluczający jakąkolwiek regularność. Dopiero po pewnym czasie Furvain zorientował się, że temu, kto potrafiłby go wykorzystać, system ten oferował bardzo wiele przez swą niemal nieograniczoną plastyczność. Tkwiła w nim moc inkantacji; ci, którzy raz usłyszeli go i zrozumieli jego siłę, daliby mu się porwać jak zakłęciu. Równie niezwykle był schemat rymów: zwrotki siedemnastowerszowe, pozwalające na zastosowanie zaledwie trzech różnych rymów, złożone z pięciu dystychów rozdzielonych trioletem i zrównoważonych

czterema na pozór nierymowanymi wersami, które w rzeczywistości nawiązywały do sąsiednich strof.

Czy na podstawie tej struktury można byłoby stworzyć poemat? Oczywiście, pomyślał Furvain. Ale który poeta miałby tyle cierpliwości, by w ten sposób stworzyć dzieło znaczące pod jakimkolwiek względem? Bogini? No tak, pewnie. Z samej definicji Bogini mogła zrobić wszystko, bo cóż znaczył dobór sylab i rymów dla istoty wszechmocnej, powołującej do życia światy i gwiazdy? Ale, pomyślał Furvain, wyzywanie na pojedynek Bogini było nie tylko bluźnierstwem, lecz zwyczajną głupotą. Oczywiście stworzenie kilku strof według tych zasad nie byłoby dla Furvaina większym problemem, gdyby się do tego przyłożył, może nawet dałoby się stworzyć z nich jakąś sensowną całość, ale pieśń? Cykl pieśni, który składałby się na spójny poemat, mający początek, środek i koniec? Nie, pomyślał. Nic z tych rzeczy. Jego samego w jednej chwili wyzułoby to ze zdrowych zmysłów. Bez wątpienia wzięcie udziału w czymś takim byłoby pierwszym krokiem w szaleństwo.

Niemniej był to jednak wspaniały sen. Pierwszy pozostawił go ze smakiem popiołu w ustach, ale ten przekonał go, że on sam – nie Bogini, lecz on, bo Furvain nie przywiązywał większej wagi do religii i był pewien, że schemat poematu narodził się w jego umyśle bez żadnego nadnaturalnego wsparcia – potrafi wymyślić system metryczny o stopniu komplikacji wymykającym się wszelkiej analizie. Ten system musiał gdzieś w nim tkwić i powoli dojrzawać, aż wreszcie objawił się we śnie. A pomogło w tym, jak stwierdził Furvain, napięcie wynikłe z utraty wolności. Nie był już dłużej ubawiony perspektywą pobytu w twierdzy Kasinibona, coraz trudniej przychodziło mu spoglądać na całą tę sprawę z przymrużeniem oka. Gniew, który budziła w nim niewola, frustracja i niepokój musiały mieć jakiś wpływ na pracę jego mózgu, stare myśli ujawniły się na wiele nowych sposobów, tortura duszy nadała nowy wymiar talentom poetyckim.

Oczywiście nie miał zamiaru wypróbować systemu, który poznał tej nocy; cieszyła go sama świadomość, że potrafił stworzyć coś tak wspaniałego. Być może zwiastowało to powrót zdolności tworzenia lekkiej poezji okazjonalnej? Furvain wiedział doskonale, że nigdy nie da światu arcydzieła, którego z tak gorączkową nadzieją oczekiwał Kasinibon, dobrze byłoby jednak odzyskać ów miły, choć pomniejszy przecież talent, towarzyszący mu do niedawna.

Mijały jednak dni, a Furvain z niewyjaśnionych przyczyn pozostawał bezproduktywny. Ani ponaglenia Kasinibona, ani jego własne usilne próby przywołania muzy nie przynosiły żadnych rezultatów. Zdolność tworzenia poezji okazjonalnej znikła, jakby jej nigdy nie było, i czasami Furvain miał wrażenie, że rzeczywiście nigdy jej nie było.

Niewola dokuczala mu coraz bardziej, kładła się na jego sercu coraz większym ciężarem. Furvain przyzwyczajony był do nieróbstwa z wyboru, lecz teraz zmusiły go do niego okoliczności, z czym nie potrafił się uporać. Marzył o tym, by znów ruszyć w drogę. Kasinibon robił oczywiście wszystko, co w jego mocy, by nie wyjść z roli czarującego gospodarza. Codziennie podróżowali po szkarłatnej dolinie, codziennie do kolacji pili najwspanialsze wina ze zdumiewająco dobrze zaopatrzonej piwniczki, Furvain dostawał wszystkie książki, o które poprosił – najwyraźniej gospodarz miał bibliotekę zaopatrzoną równie dobrze jak piwniczkę – przy każdej okazji wciągał go też w dyskusję o sztuce poetyckiej.

Nie dało się jednak ukryć, że Furvain jest jego gościem z przymusu, że nie mieszka w ponurym apartamencie w ponurej fortecy, bo tego chce. Przechodził wewnętrzny

kryzys, a z samym sobą musiał radzić sobie jako jeniec, i to jeniec człowieka nader ograniczonego. Kasinibon dał mu teraz pełną swobodę poruszania się po budynku i poza budynkiem – gdyby więzień zapragnął uciec, dokąd by uciekł? – ale długie, odbijające echo korytarze i puste sale wydawały się wyjątkowo niesympatyczne. W towarzystwie Kasinibona także nie było niczego sympatycznego, choć Furvain próbował przekonać sam siebie, że jest wręcz przeciwnie, a oprócz Kasinibona któż miał dotrzymywać mu towarzystwa? Wódz bandytów, ofiara

nienawiści do rodziny, samotnik od lat, był tu takim samym jeńcem jak on. Pod pokrywą powierzchownej życzliwości, pod tym całym pogodnym sposobem bycia, kryła się i wrzała wściekłość. Furvain widział ją i bał się jej.

Nadal nie wysłał listu z prośbą o okup. Uważał, że i tak nic to nie da, a w dodatku może przynieść mu wstyd; co będzie, jeśli jego prośba nie zostanie wysłuchana? Coraz bardziej zanosilo się na to, że pozostanie tu do końca życia, co napawało go rosnącą rozpaczą.

Najtrudniej było mu znieść umiłowanie poezji, tak dobitnie manifestowane przez jego gospodarza. Kasinibon nie chciał rozmawiać o niczym innym, a tymczasem dla Furvaina poezja nigdy nie była ulubionym tematem rozmowy. Rozmawiać o poezji mogą akademicy, pozbawieni twórczego daru i kompensujący to sobie nieskończonymi dyskusjami nad czymś, czego sami nie byli w stanie tworzyć, znawcy, uważający za swój święty obowiązek noszenie przy sobie cienkiego tomiku poezji, a nawet zagładanie do niego od czasu do czasu i cytowanie co bardziej odpowiednich fragmentów. Furvain, któremu tworzenie poezji przychodziło z największą łatwością i który nieszczególnie cenił to, co sam osiągnął, nie uznawał tego rodzaju rozmów za sensowne. Dla niego poezja była czymś, co się tworzy, a nie czymś, o czym się dyskutuje. Cóż to więc była za okropność, znosić towarzystwo najbardziej gadatliwego w świecie amatora... i do tego ignoranta!

Jak większość ludzi, którzy zdobyli wykształcenie wyłącznie dzięki własnym staraniom, Kasinibon pochłaniał wszystko bez wyjątku i bez wyboru, i wszystko podziwiał. Oklepane obrazy, nieudolne rymy, do niczego nie prowadzące metafor... pomijał je bez najmniejszego wysiłku, prawdopodobnie nawet ich nie zauważał. W wierszach szukał jakiegoś, choćby byle jakiego, ładunku emocjonalnego, a jeśli go znalazł, nic innego go nie interesowało.

Tak więc pierwsze kilka tygodni pobytu w fortecy Furvain spędził na słuchaniu Kasinibona recytującego swe ulubione utwory. W bibliotece znajdowały się setki, tysiące tomów poezji wszystkich znanych mu poetów i wielu, o których nigdy nie słyszał. Kolekcja była obfita, do tego stopnia, że samo jej bogactwo świadczyło o całkowitym braku gustu właściciela. Czym innym jest przecież miłość, a czym innym rozwiązłość.

–Przeczytam ci to! – Oczy Kasinibona płonęły. Sięgał po któreś z naprawdę wielkich dzieł Gancislada czy Emmengilda, a potem, nie czekając, aż gość przyswoi sobie w pełni te przepiękne wersy, mówił: – Wiesz, co mi przypomina ten poemat? – I sięgał po ukochany tomik Vortrailina, i z identycznym entuzjazmem recytował wiersz tak obrzydliwie sentymentalny, że gorszego nie sposób było sobie wyobrazić. Po prostu nie potrafił rozpoznać różnicy.

Coraz częściej zdarzało się, że prosił gościa, by recytował mu dzieła dobrane według jego własnego gustu; zapewne pragnął, by prawdziwy zawodowiec wtajemniczył go w skomplikowane sekrety sztuki. Furvain, którego upodobanie skłaniało do poezji lekkiej, łatwej i przyjemnej, takiej, jaką tworzył sam, lecz który jak każdy arystokrata znał i potrafił docenić poważniejsze prace, z wystudiowaną złośliwością wybierał z półek biblioteki gospodarza dzieła najbardziej współczesne, najbardziej skomplikowane,

najbardziej niezrozumiałe, takie, których on sam, a co dopiero Kasinibon, nie był w stanie do końca pojąć. Ale gospodarz i tak był w nich zakochany.

–Jakie to wspaniałe – powtarzał oczarowany. – Czyż nie jest to czysta muzyka?

Jeszcze chwila, a oszaleję, powtarzał sobie Furvain.

Na początku tych poetyckich spotkań Kasinibon zwykł był prosić gościa o recytację jednego z jego dzieł. Furvain nie mógł już, jak pierwszego dnia, tłumaczyć się tym, że jest zbyt zmęczony, zbyt roztargniony. Nie mógł także twierdzić, że zapomniał wszystkiego, co kiedykolwiek napisał, bo nawet Kasinibon by w to nie uwierzył. Więc musiał się poddać, przedstawić jakąś fraszkę i jakiś epigram. Kasinibon wychwalał go za to z całego serca, najwyraźniej szczerze. I podobała mu się nie tylko elegancja i sprawność techniczna, lecz także, jak to ujął, „wgląd w ludzką naturę”. Było to zawstydzające, sam bowiem twórca czuł się zażenowany trywialnością tematu i sprawnością techniczną, która przydawała mu iluzji głębi. Tylko arystokratyczne wychowanie powstrzymywało go przed wykrzyknięciem: „Kasinibonie, czy ty naprawdę nie widzisz, jakie jest to płaskie, jakie bezwartościowe?” Ale to byłoby okrutne, a poza tym niegrzeczne. Ich znajomość przyjęła już pozór przyjaźni, który ze strony Kasinibona nie był może nawet pozorem, a przyjacielowi nie mówi się przecież w oczy, że jest głupcem. Zwłaszcza jeśli z różnych powodów nadal chce się go mieć za przyjaciela.

Najgorsze było jednak to, że Kasinibon z nieudawaną nadzieją oczekiwał, iż pod jego dachem powstanie nowe dzieło, cudowne i wspaniałe. W tym punkcie kończyły się wszystkie żarty i kpiny, pozostawało tylko równie rozpaczliwe jak żalosne pragnienie, by jego imię wieki złączyły z imieniem poety, który pod jego dachem stworzył ponadczasowe arcydzieło. A poza nadzieją leżała niepohamowana potrzeba, co Furvain wyczuwał bezbłędnie. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie zawsze wszystko będzie się tak dobrze układać, że Kasinibon nie przestanie nalegać... i nalegać... póki nie dostanie dzieła, o którym marzy. Na razie ograniczał się do pytań o nowe wiersze, pytań, które łatwo było zbyć banałami, skądinąd zresztą prawdziwymi, o braku natchnienia. Ponaglenia stawały się jednak coraz częstsze.

Do tej pory Furvain odsuwał od siebie problem okupu, a musiał przecież się nim zająć prędzej czy później. Coraz dobitniej zdawał sobie sprawę z tego, że nie przetrwa tu dłużej bez załamania psychicznego. Ale z twierdzy Kasinibona mógł się wydostać wyłącznie dzięki cudzym pieniądзом. Czy na całym Majipoorze istnieje ktoś, kto zechce zapłacić za jego wolność? Znał odpowiedź na to pytanie, ale doprawdy nie chciał, by jego obawy się potwierdziły. Niemniej jeśli nie poprosi, do śmierci będzie słuchał poważnych, uroczystych recytacji najgorszych poematów w historii ludzkości i bronił się przed żalonymi naleganiami, by stworzył dzieło wielkie i majestatyczne, którego, jak dobrze wiedział, nie jest w stanie stworzyć.

–Powiedz mi, ile mam zażądać za swą wolność? – spytał pewnego dnia, gdy jechali wzdłuż brzegu szkarłatnego morza.

Kasinibon odpowiedział. Wymieniona przez niego suma była wręcz oszałamiająca, przeszło dwukrotnie przewyższała tę, którą Furvain wyobrażał sobie w najgorszych koszmarach. Ale zadał pytanie i otrzymał odpowiedź, zatem doprawdy nie mógł się targować.

Uznał, że powinien zacząć od diuka Tanigela. Wiedział, że braciom będzie w zasadzie obojętne, czy zostanie na zawsze w niewoli czy nie. Ojciec mógł okazać się łaskawszy, ale mieszkał przecież w dalekim Labiryncie, a zwrócenie się do urzędującego Pontifeksa niosło pewne ryzyko. Gdyby bowiem, zamiast zapłacić, skierował na wschód żołnierzy

z rozkazem ocalenia uwięzionego księcia, Kasinibon zareagowałby zapewne na atak w sposób nieprzyjemny i kto wie, czym by się to skończyło. Podobne ryzyko niosła za sobą próba zwrócenia się do nowego Koronala, Lorda Hunzimara. W rzeczywistości walka z bandytyzmem na kresach leżała w sferze odpowiedzialności Koronala, lecz to właśnie budziło zastrzeżenia Furvaina. Załóżmy, że Hunzimar wyśle wojska z zadaniem wskazania Kasinibonowi jego miejsca w strukturze świata; niewątpliwie dokonają one tego, po co zostały wysłane, ale jaką cenę zapłaci za to jeniec? A była jeszcze gorsza możliwość. Hunzimar nie przejawiał dotąd sympatii dla synów poprzedniego Koronala; co się stanie, jeśli nie zrobi nic? Nie, Tanigel był jego jedyną nadzieją, niezależnie od tego, jak słabą.

Furvain orientował się z grubsza w wielkości majątku diuka i wiedział, że gigantyczna suma, której zażąda, równa się mniej więcej jego tygodniowym wydatkom na dwór i uczyty w Dundilmirze. Być może Tanigel zapłaci przez wzgląd na spędzone wspólnie szczęśliwe chwile. Przez cały dzień Furvain pisał, kreślił i pisał na nowo list do diuka, starannie dobierając słowa, mające oddać rozbawienie, więcej, łobuzerski humor pożeniony ze wstydem, że oto zdarzyło mu się popaść w takie tarapaty, a jednocześnie wyrażające przekonanie, że jeśli Tanigel nie zapłaci, nigdy już nie zobaczy swego dobrego przyjaciela. Wreszcie Furvain oddał list Kasinibonowi, ten zaś przekazał go jednemu ze swych ludzi, który miał go dostarczyć do Dundilmiru.

–A teraz – powiedział Kasinibon – proponuję, byśmy dzisiejszego wieczoru zwrócili uwagę na ballady Garthaina Hagavona...

Na początku czwartego tygodnia niewoli Furvain znów odwiedził we śnie Wielki Ocean i znów pobrał nauki od Bogini, która objawiła mu się w postaci wysokiego mężczyzny o szerokich barach, jasnowłosego, pogodnego, ze srebrną opaską Koronala na głowie. Gdy się obudził, pamiętał wszystko, każdą sylabę każdego wiersza, każdy wiersz każdej zwrotki, każdą zwrotkę około jednej trzeciej pieśni, jeśli potrafił dobrze ocenić objętość dłuższych dzieł. Ale niemal natychmiast zaczął to zapominać. Ze strachu, że straci całe dzieło, przystąpił do spisywania możliwie najdłuższych fragmentów. W miarę jak wersy układały się na papierze, zrozumiał, że pisze zgodnie ze skomplikowanym schematem metryki i wierszowania, przekazanym mu przez Boginię w ciągu ostatnich dwóch tygodni. A więc była to część tego właśnie poematu.

I zapewne niewielka część. To, co Furvain zdążył zapisać, zaczynało się w połowie strofy i kończyło wiele karetek później również w połowie strofy. Było poetyckim opisem kampanii sprzed wielu tysiącleci, wojny wypowiedzianej

przez Lorda Stiamota zbuntowanym Metamorfom, czyli Zmiennokształtnym, rdzennym mieszkańcom planety. A właściwie fragmentu tej kampanii: słynnego marszu przez wzgórza pasma Zygnor na północy Alhanroelu, podczas którego jego żołnierze palili krainę, wysuszoną w ciągu długiego, upalnego lata, by wykurzyć niedobitki Metamorfów z kryjówek. Furvain dotarł w opisie do konfrontacji Stiamota z upartym, zamożnym osadnikiem i arystokratą od pokoleń, nie zamierzającym się dostosować do rozkazu ewakuacji, choć także i jego ziemia miała zostać spalona.

Kiedy Furvain nie mógł już pisać, zaczął czytać poemat i ogarnęło go zdumienie. Nie wiedział, co ma o tym sądzić, był straszliwie dezorientowany. Podejście do tematu, styl, opis zdarzeń, niezwykły schemat metryczny, przedziwny wzór rymów... nikt nie mógł mieć wątpliwości, że to dzieło Aithina Furvaina. Lecz jakim cudem coś tak wielkiego, coś tak głębokiego, mogło narodzić się w jego myślach i wyjść spod jego ręki, jeśli nie dzięki bezpośredniej interwencji Bogini? Poemat był majestatyczny, tylko to słowo oddawało

mu całą sprawiedliwość. Furvain odczytał go ponownie, na głos, radując się dźwięcznymi asonansami, prostotą i siłą wersu, jedyną w swoim rodzaju konstrukcją strofy. Jeszcze nigdy nie napisał niczego podobnego. Techniki zapewne mu nie brakowało, po prostu nie wiedział, że można z niej zrobić taki użytek.

Poza tym pisał o epizodzie kampanii Stiamota, o którym nie mógł wiedzieć. Oczywiście w szkole uczył się o tym Koronalu i jego walce z Metamorfami. Wszyscy się uczyli, w końcu był on największym bohaterem w całej historii Majipooru. Ale Furvain skończył szkołę wiele lat temu. Czyżby właśnie w szkole usłyszał te nazwy: Milimorn, Hamifieu, Bizfern, Kattikawn? Czy pisał o rzeczywistych miejscach, czy też były one wyłącznie tworem jego wyobraźni?

Jego wyobraźni? Chyba każdy potrafi wymyślić jakąś nazwę, ale nie sposób wymyślić procedur militarnych. Wiedza o liniach zaopatrzenia, drogach służbowych, organizacji porządku marszu nie przychodzi znikąd. Owe fragmenty brzmiały tak, jakby wyszły spod ręki kogoś, kto o tych sprawach wie znacznie więcej od niego, bo on nie miał o tym pojęcia. A więc czy może powiedzieć sobie szczerze, że poemat jest jego dziełem? Choć, z drugiej strony, przecież to on zaczął go pisać. Czyżby rzeczywiście był narzędziem w rękach Bogini i na jej życzenie stworzył ten fragment? Aithin Furvain nie był człowiekiem religijnym i może dlatego wiara w to przechodziła jego możliwości. A jednak... a jednak...

Kasinibon od razu zrozumiał, że coś się zmieniło.

–Zacząłeś pisać, prawda? Prawda?

–Tak. Zacząłem pisać poemat – przyznał niepewnie Furvain.

–Wspaniale! Kiedy go zobaczę?

Błysk podniecenia w oczach Kasinibona był tak jaskrawy, że Furvain musiał się cofnąć o parę kroków.

–Na to chyba jeszcze za wcześnie. Za wcześnie, by pokazywać go komukolwiek. W tej chwili mógłbym łatwo stracić drogę. Wystarczyłoby jedno przypadkowe słowo i już nigdy nie trafiłbym na ścieżkę, którą mam podążać.

–Przyrzekam, że nie powiem słowa. Po prostu chciałbym...

–Nie. Proszę. – Furvain zdumiał się, słysząc w swym głosie stalową nutę. – Nie jestem nawet pewien, czego częścią jest to, co do tej pory napisałem. Muszę pomyśleć, zastanowić się, zastanowić się bardzo głęboko. I muszę to zrobić sam. Samodzielnie. Kasinibonie, przecież już ci tłumaczyłem, czego się obawiam. Jeśli coś komuś pokażę, stracę trop i być może nie napiszę niczego.

Kasinibon wydawał się rozumieć. Natychmiast się zawstydził i niemal uniżenie powiedział:

–Tak, oczywiście, byłoby tragedią, gdyby moja ingerencja wpłynęła na twe natchnienie. Wycofuję prośbę. Mam tylko nadzieję, że gdy sam dojdiesz do wniosku, że to możliwe, pozwolisz mi zapoznać się choćby z kilkoma strofami?

–Owszem. Kiedy nadejdzie właściwy czas.

Furvain wrócił do swego mieszkania i zasiadł do pracy, nie bez obaw. Było to dla niego nowe doświadczenie:

zasiadać do pisania. W przeszłości wiersze znajdowały jego, z głowy trafiały bezpośrednio na papier. Nigdy nie musiał ich szukać. A dziś świadomie usiadł przy małym, obdrapanym stoliku, położył na blacie dwa z trzech piór, postukał w krawędzie stosu papieru opuszkami palców, aż stały się zupełnie gładkie, po czym zamknął oczy i przywołał natchnienie.

Szybko zrozumiał, że natchnienia nie da się tak po prostu przywołać, a w każdym

razie natchnienia koniecznego do napisania dzieła tego kalibru. W takim wypadku trzeba nieomal wybrać się na wyprawę, wielkie poszukiwanie materiału, trzeba go znaleźć, trzeba chwycić w garść, nagiąć do własnych potrzeb. Furvainowi wydawało się, że pisze poemat o Lordzie Stiamocie. Doskonale, a więc cały, aż do najmniejszej cząstki, musi sięgnąć poprzez tysiąclecia i wejść z nim w rodzaj związku, musi dotknąć jego duszy, musi podążyć jego ścieżką.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Furvaina bardzo martwił brak wiedzy historycznej. O Stiamocie i jego czasach wiedział tyle, ile każde dziecko wynosi ze szkoły, a że szkoły kończył dość dawno, wiedza ta była mocno zatarta, więc jak może brać na swe barki ciężar opowieści o epokowym konflikcie, który na zawsze zakończył walki kolonistów z Metamorfami?

Przerażony własną ignorancją Furvain przejrzał bibliotekę Kasinibona. Ale Kasinibon najwyraźniej nie interesował się historią i miał tylko jedną książkę z tej dziedziny: syntetyczną historię Majipooru, przeznaczoną najwyraźniej dla młodego czytelnika. I rzeczywiście, notatka na tylnej okładce dowodziła, że jest to pamiątka z dzieciństwa gospodarza, spędzonego w Kekkinorku. Furvain nie znalazł w niej oczywiście tego, czego szukał, a tylko krótki, uproszczony do granic możliwości zarys faktów: od prób negocjacji ze Zmiennokształtnymi, poprzez decyzję o wypowiedzeniu im wojny, która miała raz na zawsze skończyć bandyckie najazdy na miasta i osady, oraz samą wojnę, aż do jej tryumfalnego końca, wypędzenia krajowców z kontynentów zamieszkałych przez ludzi i osadzenia na wieki wieków w rezerwach, umieszczonych wśród tropikalnej dżungli Zimroelu. Tekst kończył się peanem na cześć wielkiego Koronała, opisującym, jak to dzięki Stiamotowi planeta mogła się rozwijać, mogła przyjmować nowych kolonistów różnych ras, osiągnęła spokój i bogactwo. Stiamot z pewnością był najgłośniejszym bohaterem w historii Majipooru. Książeczka Kasinibona wymieniała daty i bitwy, nie wspominała jednak o tym, jakim był człowiekiem, co myślał i czuł, jak wyglądał.

I nagle Furvain uświadomił sobie, że wcale nie potrzebuje tych informacji. Pisał poemat, nie pracę historyczną czy biograficzną. Może wymyślać, co mu się spodoba, dopóki pozostanie wierny powszechnie znanym faktom. Poeta piszący o legendzie Stiamota nie musi interesować się tym, czy jego bohater był wysoki czy niski, gruby czy chudy, z natury wesoły czy też zawsze zamyślony i ponury. Lord Stiamot stał się postacią mityczną, a mity przekraczają granice historii. Historia może być równie arbitralna jak poezja – mówił sobie Furvain – czym bowiem jest w rzeczywistości, jeśli nie wyborem jednych faktów z całego mnóstwa innych i układaniem z nich czytelnego schematu, który niekoniecznie musi być prawdziwy. Wybór faktów oznacza z definicji odrzucanie innych faktów, często tylko dlatego, że nie pasują do wzoru, który historyk już sobie wyobraził. Prawda staje się więc abstrakcyjnym konceptem; trzej różni historycy, którzy mają ten sam zestaw faktów, mogą wyprodukować trzy zupełnie różne „prawdy”. Ale z mitami jest zupełnie inaczej. Mity docierają głęboko, do fundamentalnej prawdy ducha, do tej niezgłębionej studni, jaką jest wspólna świadomość rozumnej rasy, i wreszcie aż do miejsca, w którym prawda nie jest jedną z możliwości, lecz fundamentem, na którym zbudowano wszystko. W tym sensie mit może być znacznie bardziej prawdziwy niż historia; tworząc wyobrażone epizody wierne samej istocie opowieści o Stiamocie, poeta może objawić prawdę w sposób niedostępny historykowi. A więc Furvain postanowił, że napisze o micie Stiamota, a nie o tym, co się działo „rzeczywiście”. Może wyobrazić sobie wszystko, pod jednym warunkiem: pozostanie wierny wewnętrznej prawdzie opowieści.

Odtąd poszło mu łatwiej, chociaż tak naprawdę w tej opowieści nie było nic łatwego.

Aithin Furvain wypracował sobie technikę medytacji, która doprowadzała go do granicy snu, a następnie przechodził w rodzaj transu. Wówczas, z każdym dniem coraz szybciej, przychodził do niego przewodnik, jasnowłosy mężczyzna w opasce Koronała na głowie, i przedstawiał mu obrazy oraz zdarzenia, których przelewanie na papier zajmowało cały dzień.

Człowiek ten miał na imię Valentine. Był mężczyzną uroczym, cierpliwym, przyjaznym, zawsze uśmiechniętym; absolutny ideał przewodnika. Furvain nie pamiętał Koronała o tym imieniu, nie wymieniała go także książeczka Kasinibona. Valentine najprawdopodobniej nigdy nie istniał, ale Furvainowi wcale to nie przeszkadzało, nie miało bowiem nic wspólnego z jego celem. Mógł sobie tego Valentine'a wymyślić sam, najważniejsze, że był ktoś, kto

brał go za rękę i prowadził w mgliste królestwo starożytnej historii, i robił to doskonale. A może Valentine był ujmującą fizycznie formą woli Bogini, której on sam służył jako narzędzie? Głosem nie istniejącego Lorda Valentine'a, powtarzał sobie Furvain, siła kształtująca Wszechświat zapisuje poemat w mej duszy.

Pod przewodnictwem jasnowłosego mężczyzny śpiący umysł poety poznawał czyny Lorda Stiamota od chwili, gdy zorientował się on, że długa, gorzka, partyzancka walka z Metamorfami musi się wreszcie skończyć. Furvain oglądał bitwy, każdą następną bardziej krwawą od poprzedniej i ostatni, okrutny akt wojny: spalenie północy. Widział, jak tubylcy się poddają, jak powstaje na Zimroelu prowincja Piurifayne, rezerwat, w którym mogą żyć w spokoju, lecz którego granic nie wolno im przekroczyć. Kiedy budził się z transu, pamiętał wszystko, co widział, i pozostawało mu tylko ubrać to w odpowiednie do powagi tematu i metryki wiersza słowa. Poznawał nie tylko same zdarzenia, ale także nieuchronne konflikty i równie nieuchronne zbiegi okoliczności, z których wynikały; nawet człowieka tak dobrego i wyrozumiałego jak Stiamot mogły one zmusić do prowadzenia brutalnej, okrutnej wojny na wyniszczenie. Opowieść dostawał gotową, trzeba było zaledwie przelać ją na papier i właśnie tu Furvain robił użytek ze swego wrodzonego talentu oraz długo nabywanej wprawy. W pewnym momencie poczuł się tak, jak się czuł w dawnych czasach; strofy o skomplikowanej strukturze, o niesłychanie trudnym rytmie, dar z pierwszego spotkania z Boginią, weszły mu w krew i poemat pisał się coraz szybciej i szybciej.

Czasami nawet zbyt szybko. Gdy Furvain opanował już ów dziwny sposób tworzenia strof, produkował stronę za stroną i coraz częściej bywało, że zbacał w niepotrzebne dygresje, mącące czysty nurt narracji. Kiedy tak się zdarzało, przestawał pisać, wrywał zbędne fragmenty i zaczynał od miejsca, w którym rozstał się z tematem. Nigdy przedtem nie poprawiał swych „dzieł” i początkowo wydawało mu się to strasznym marnotrawstwem czasu i energii, bo przecież to, co usuwał, było napisane doskonale pod każdym względem, równie dźwięczne, technicznie wspaniałe i eleganckie jak to, co zostawiał. W końcu zrozumiał jednak, że elegancja i techniczna doskonałość to nie cel, lecz narzędzie. Jego celem było opowiedzenie pewnej historii w sposób najlepiej ukazujący jej wewnętrzne znaczenie.

Skończywszy pieśń o lordzie Stiamocie, Aithin Furvain ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedział się, że Bogini bynajmniej z nim nie skończyła. Nie przerywając pracy, nawet po to, by się zastanowić, co właściwie robi, nakreślił linię pod ostatnią strofą i zaczął pisać – znowu od środka zwrotki i z trzyrymowym schematem – o wcześniejszym fragmencie historii: dekrete Lorda Melikanda, który umożliwił przedstawicielom ras niehumanoidalnych osiedlenie się na Majipoorze w celu skutecznego skolonizowania ogromnej, wówczas niemal nie zamieszkałej planety.

Pracował nad tym projektem przez kilka dni, po czym, nie skończywszy pieśni o Melikandzie, zwrócił się ku innemu epizodowi z dziejów swej planety: wielkiemu zebraniu w Stangard Falls nad rzeką Glayge, podczas którego Dvorna ogłoszono pierwszym Pontifeksem Majipooru. I właśnie wtedy Aithin Furvain uświadomił sobie, że jego wielki poemat epicki ma opisać całą historię Majipooru.

Była to myśl przerażająca. Furvain nie potrafił uwierzyć, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Za poważne wydawały mu się własne ograniczenia. Miał wrażenie, że dostrzega kształt, jaki musi przyjąć opowieść o tysiącach lat, od pojawienia się pierwszych ziemskich kolonistów do dnia dzisiejszego, i był to kształt ogromny. Takiej budowli nie podeprze się jednym, choćby najwspanialszym łukiem, taki łuk musi się składać ze wzniosłych, pięknych segmentów; w końcu historia Majipooru to opowieść o nieustannej zmianie, nieustannych przekształceniach, ciągłej syntezie przeciwieństw. Początki kolonizacji, straszny chaos anarchii, pojawienie się Dvorna prawodawcy, pierwszego Pontifeksa, początek ekspansji, którą umożliwił dekret Lorda Melikanda, budowa wielkich miast Zamkowej Góry, zasiedlanie Zimroelu i Suvraelu, nieuniknione, tragiczne starcie z Metamorfami, równie nieuniknione i równie tragiczne wojna Lorda Stiamota, człowieka pokoju zmienionego w brutalnego wojownika, pokonanie Zmiennokształtnych, osiedlenie ich w rezerwach i tak dalej, i tak dalej, aż do dziś, gdy na najpiękniejszej planecie wszechświata mieszkały już miliardy istot rozumnych.

Wszechświat nie znał wspanialszej historii. Ale czy zdoła opowiedzieć ją Aithin Furvain, człowiek o małej duszy i wielu wadach? Furvain umiał realistycznie ocenić sam siebie. Wiedział, że jest powierzchowny, leniwy, że goni za przyjemnościami życia, że jest słaby i że nie znosi odpowiedzialności. Wiedział, że przez całe życie wybierał drogę najmniejszego oporu. Jak ktoś taki, mający jedynie pewną dozę sprytu i technicznych umiejętności, może porwać się na tak wielkie dzieło, może zamknąć historię planety w jednym poemacie? Tego już było za wiele, przynajmniej dla niego. On z pewnością podobnego poematu nie stworzy. Podejrzał, że jest to w ogóle niemożliwe. W każdym razie niech spróbuje to zrobić ktoś inny, nie Aithin Furvain.

A jednak, a jednak... Aithin Furvain pisał poemat. Czy też może poemat pisał się sam? To nie miało znaczenia, w każdym razie rozrastał się z każdym wierszem, każdego dnia. Kto chce, niech to nazwie natchnieniem, kto chce,

niech mówi o tym, że w duszy Furvaina pękła jakaś tama i wylało się z niej coś, co – sam o tym nie wiedząc – więził przez lata. Wszystko jedno, prawdą pozostawało, że napisał już jedną całą pieśń oraz fragmenty dwóch innych i że tworzył dzień w dzień, bez przerwy. Poza tym poemat był dziełem wielkim, co do tego nie można było mieć żadnych wątpliwości. Furvain czytał go raz za razem, kręcąc głową w zdumieniu nad doskonałością swej pracy, nad muzyką poezji, czystością narracji. Czuł się przy nim mały, bezradny. Nie miał pojęcia, w jaki sposób dokonał tego, czego dokonał, trząsł się ze strachu na myśl o tym, że to cudownie odnalezione źródło natchnienia wyschnie tak nieoczekiwanie, jak wytrysło.

Rękopis, choć nie dokończony, stał się dla niego czymś najcenniejszym na świecie. Widział w nim teraz swą drogę do nieśmiertelności. Martwił się tym, że istnieje tylko jedna wersja i że znajduje się w pokoju, który można zamknąć tylko od zewnątrz. Bojąc się, że coś się stanie z rękopisem, że może go poplamieć atramentem, że ukradnie go i zniszczy któryś z niepiśmiennych łotrów mieszkających w fortecy, choćby z zazdrości, że stał się tak bliski Kasinibonowi, skopiował tekst kilkakrotnie, a kopie pochował troskliwie we wszystkich pomieszczeniach swego niewielkiego mieszkania. Oryginał

chował wieczorami w najniższej szufladzie szafki, pod przechowywanymi tam ubraniami. Po paru dniach, sam nie wiedząc dlaczego, nabrał zwyczaju troskliwego układania trzech piór na wierzchu stosu zapisanych kart tak, by tworzył wzór gwiazdy. Chciał wiedzieć, czy ktoś zagląda do szuflady.

Trzy dni później zauważył, że pióra zmieniły położenie. Powtórzył wzór z wielką dbałością o kształt: dwa skrajne pióra leżały pod idealnie tym samym kątem w stosunku do środkowego pióra. I znów po sprawdzeniu tego samego dnia stwierdził, że leżą odrobinę inaczej. Zupełnie jakby intruz zrozumiał, po co Furvain je tak kładzie, i dla niepoznaki postarał się po lekturze powtórzyć wzór, ale zrobił to niedbale. Wieczorem Furvain ułożył pióra jeszcze inaczej, a nazajutrz po południu zobaczył, że znów leżą prawie, ale tylko prawie tak samo. Powtórzyło się to następnego dnia. I następnego.

Uznał, że szperać w szufladzie mógł tylko Kasinibon. Nikt z jego bandytów, a już z całą pewnością żaden służący, nie zadawałby sobie tyle trudu. Wkrada się, kiedy nie ma mnie w mieszkaniu, i czyta mój poemat! – powiedział sobie Furvain z oburzeniem.

Ruszył wściekły na poszukiwania, a gdy dopadł gospodarza, zarzucił mu naruszenie prywatności. Ku jego zdumieniu Kasinibon nawet nie próbował się bronić.

–Jednak się zorientowałeś. – Pokręcił głową. – Ależ to oczywiste, że nie mogłem się powstrzymać. – Jego oczy płonęły podnieceniem. – Twe dzieło jest wielkie, Furvainie. Wspaniałe! Tak mnie poruszyło, że po prostu nie umiem tego wyrazić. Brak mi słów. Ta scena pomiędzy Stiamotem i kapłanką Metamorfów, kiedy ona przychodzi i płacze za swym ludem, a on płacze wraz z nią...

–Nie masz prawa grzebać w mojej szafce – przerwał mu Furvain. Głos miał zimny jak lód.

–Dlaczego nie? Przecież to mój dom. Mogę robić, co mi się podoba. Powiedziałeś tylko, że nie chcesz rozmawiać o nie dokończonym utworze, a ja uszanowałem twoje życzenie, prawda? Czy coś powiedziałem? Choćby słowo? Milczałem tak długo... bo przecież zacząłem lekturę ładnych parę dni temu. Prawie od samego początku. Wiedziałem, co piszesz każdego dnia, w istocie uczestniczyłem w tworzeniu arcydzieła, łyż wzruszenia jego pięknem spływały mi po policzkach, ale milczałem... nigdy o tym nie wspomniałem...

Furvain znów wpadł w gniew.

–Szperasz mi po szufladach od tak dawna? – krzyknął zaskoczony.

–Tak. Codziennie. O wiele wcześniej, nim zastosowałeś sztuczkę z piórami. Słuchaj, przecież pod moim dachem człowiek, którego chronię i żywię, tworzy wielki poemat epicki, niedoścignione arcydzieło. Dlaczego mam odmawiać sobie przyjemności śledzenia, jak powstaje?

–Spalę go! Raczej go spalę, niż pozwolę się szpiegować!

–Nie mów głupstw. Pisz dalej. Zostawię cię w spokoju, ale nie wolno ci przestać, jeśli to właśnie zamierzasz. Popełniłbyś straszną zbrodnię przeciw sztuce. Dokończ pieśń Melikanda. Dokończ pieśń Dvorna. I pisz, pisz aż do końca. – Nagle Kasinibon roześmiał się złośliwie. – I tak nie potrafisz przerwać. Poemat rzucił na ciebie zaklęcie. Jesteś w jego mocy.

–A skąd ty to możesz wiedzieć? – Furvain spojrział na niego z wściekłością.

–Nie jestem taki głupi, jak chciałbyś wierzyć.

Lecz potem Kasinibon zmiękł, poprosił o wybaczenie, obiecał, że spróbuje opanować ciekawość. Wydawało się, że szczerze żałuje tego, co zrobił, i boi się, iż naruszając prywatność gościa, może narazić dzieło, które w przeciwnym wypadku pozostałoby

niedokończone. Powtarzał, że gdyby Furvain potraktował jego wścibstwo jako pretekst do zarzucenia pracy, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Ale i do niego miałby żal do końca życia. Wreszcie niemal krzyknął:

–Musisz pisać! Musisz! Nie możesz przestać.

Furvain nie mógł gniewać się dłużej, nie na człowieka, który tak trafnie potrafił ocenić jego charakter. Nie miał wątpliwości, że Kasinibon rozpoznał jego wrodzone lenistwo, jego pragnienie, by nie angażować się w coś tak ambitnego i trudnego jak poemat o takiej skali. Ale także widział, że dzieło to trzyma twórcę i nie chce puścić, trzyma tak mocno, że nawet beznadziejny leń nie potrafi się powstrzymać i co dzień siada do ciężkiej pracy. Co mu każe pracować? Coś tkwiącego głęboko w jego duszy, coś niepojętego, owszem, ale działanie tego czegoś wzmagają upór, z jakim Kasinibon zachęcał go do dalszego pisania. Furvain nie mógł po prostu zlekceważyć siły perswazji gospodarza, nie teraz, kiedy dzięki jeszcze większej sile sam chciał pracować! Jasne. Nie mógł przerwać. Po prostu nie mógł.

–Nie obawiaj się, będę pisał dalej – powiedział z niechęcią. – Tylko nie włącz mi do pokoju.

–Zgoda.

Kasinibon odwrócił się do wyjścia, ale Furvain miał jeszcze jedno pytanie.

–Czy z Dundilmiru przyszła odpowiedź w sprawie okupu?

–Nie. Nic. Nie dostałem żadnej wiadomości. – I Kasinibon szybko wyszedł.

Żadnej wiadomości? No, tego można się było spodziewać, pomyślał Furvain. Tanigel wyrzucił list. A może przekazał jego treść dworowi i teraz wszyscy się z niego śmieją? Popatrzcie, popatrzcie, biedny głupek Furvain dał się złapać bandytom.

Był pewny, że Tanigel się nie odezwie. Należałoby więc napisać nowy list, może do ojca, do Labiryntu, może do Lorda Hunzimara, na Zamek, może do kogoś jeszcze, jeśli ktoś konkretny przyjdzie mu do głowy, i dać go Kasinibonowi do wysłania?

Tymczasem Furvain dalej pracował nad swoim dziełem. Coraz łatwiej było mu wejść w trans, tajemniczy Lord Valentine posłusznie zgłaszał się na wezwanie, by oprowadzać go po zamierzonych dziejach, aż do momentu narodzin świata. Rękopis stawał się coraz grubszy. Piór nie ruszał nikt i wreszcie Furvain postanowił oszczędzić sobie kłopotów z ich układaniem.

Widział już ogólny zarys konstrukcji poematu.

Miał on się składać z dziewięciu części i w wyobraźni Aithina Furvaina wyglądał jak wieloczęściowy łuk konstrukcyjny, którego zwornikiem była pieśń Stiamota. Należało zacząć od przybycia na Majipoor pierwszych kolonistów, porzucających nędzę Starej Ziemi, pełnych nadziei i gotowych stworzyć raj na tym najcudowniejszym ze światów. Furvain opíše w pierwszej pieśni ich początkowe, skromne jeszcze wypady na niezbadane terytoria, zdumienie urodą i wielkością nowej ojczyzny, powstanie pierwszych małych osad. W drugiej zamierzał przedstawić kilkaset lat, podczas których osady przerodziły się w miasta, a także wojny między owymi miastami, zakończone całkowitym upadkiem porządku publicznego, nadejściem anarchii i ogólnego nihilizmu.

Trzecią miała być pieśń Dvorna. Ten prowincjonalny przywódca z leżącego na zachodzie miasteczka Kesmakuran zdecydował się na marsz przez Alhanroel i wzywał po drodze wszystkich chętnych, by ruszyli za nim i pomogli mu stworzyć stabilny rząd, obejmujący swym zasięgiem całą wielką planetę. Siłą osobowości, a także z pomocą armii, stworzył ten rząd: niedziedziczną monarchię, której głową był cesarz. Dvorn znalazł jednak dla niego inną nazwę: Pontifex, co w starożytnym języku oznaczało

„budowniczego mostów”. Każdy Pontifex wybierał sobie i adoptował pomniejszego króla, Lorda Koronala, pełniącego władzę wykonawczą i po śmierci Pontifeksa przejmującego jego tron. Dvorn i jego Koronala, Lord Barhold, zdobyli poparcie ludności Majipooru, a ich dzieło przetrwało do dziś.

Czwarta pieśń miała być pieśnią niejako przejściową, pokazującą, jak z konstrukcji Dvorna wyłania się społeczeństwo współczesnego Majipooru. Stworzono wówczas wielkie maszyny utrzymujące sztuczną atmosferę, umożliwiające zdobycie wysokiej na trzydzieści mil góry, nazwanej później Zamkową, i rozpoczęcie budowy miast na jej zboczach. Lord Melikand przenikliwie rozpoznał niebezpieczeństwo stagnacji, wynikające ze szczupłości populacji ludzkiej, i w celu umożliwienia pełnej kolonizacji planety wydał dekret pozwalający osiedlić się na niej Skandarom, Vroonom, Hjortom i różnym innym rasom rozumnym. Rozpoczęły się starcia z Metamorfami, których fala obcych przybyszów wypierała z terenów uważanych przez nich za własne. Tak zaczęła się wojna.

Ukończona już piąta pieśń Lorda Stiamota zajmowała w łuku miejsce zwornika. Furvain, choć niechętnie, musiał jednak przyznać, że trzeba ją będzie rozbudować, być może podzielić na dwie, a może nawet trzy pieśni. Tylko w ten sposób odda się sprawiedliwość tematowi. Koniecznie trzeba przecież pokazać moralne męki Stiamota, straszną ironię jego rządów: ten łagodny, miłujący pokój człowiek musiał poświęcić się dla swego ludu, wypowiedzieć upiorną wojnę tubylczej rasie, która przecież nie chciała niczego innego jak tylko zatrzymania dla siebie własnej planety. Trzeba było także opowiedzieć o tym, jak Lord Stiamot wybudował na Górze zamek, upamiętniający jego epokowe zwycięstwo; i to będzie zwieńczeniem środkowej części poematu. Potem nadejdzie pora na ostatnie trzy pieśni. Siódma i ósma miały pokazać, jak na planetę wraca pokój i jak wygląda dojrzały, stabilny Majipoor. Trzecia powinna być wizją przyszłości, ale Furvain nie miał jeszcze pojęcia, co w niej zawrze; w każdym razie powinien przedstawić w niej sposób na uzdrowienie rany, którą wojna ze Zmiennekształtnymi zadała samej materii życia. Powinien pokazać powrót równowagi.

Furvain znał też tytuł poematu. *Księga zmian*. Nazwie go tak, bo przecież mówił on o zmianach, tych sezonowych, ale też i o nieustannej zmianie wywołanej upływem czasu. O przepływie zdarzeń, zderzonych z niezmienną, świętą wiecznością, jaką jest przeznaczenie Majipooru. Królowie wstępowali na trony, panowali i umierali, wywoływano wojny i kończono je, ale wspólnota inteligentnych istot trwała i miała trwać niczym wielka rzeka o niewyczerpanych źródłach, płynąca korytem wytyczonym przez Boginię, tak że wszystkie zmiany były zaledwie portami na jej brzegach. Trwała i miała trwać niczym droga, na której nie brak niebezpieczeństw i wyzwań, ale te ciągle przeszkody tworzą tylko wyższą syntezę: Dvorn musiał zatriumfować nad anarchią, Stiamot musiał pokonać Metamorfów, a kiedyś, w przyszłości, nastąpi też zwycięstwo zwycięzców nad ich zwycięstwami. Furvain wiedział, że to właśnie musi pokazać: wzór wyłaniający się z upływem czasu, demonstrujący, że wszystko, nawet niewybaczalny, lecz i nieunikniony grzech wojny z Metamorfami, jest częścią schematu, który obowiązywać będzie zawsze: triumfu organizacji nad chaosem.

Kiedy Furvain nie pisał, bał się. Straszliwie bał się ogromu swych zamierzeń i własnej niedoskonałości, tym lepiej widocznej przy tym właśnie ogromie. Tysiące razy dziennie musiał walczyć z przemożną ochotą odstąpienia od pracy. Ale na to nie mógł sobie pozwolić. „Musisz zmienić swe życie” – powiedziała Lady Dolitha, gdy razem jedli obiad w restauracji na Zamkowej Górze. Tak. Jej ostre słowa miały siłę rozkazu. Furvain

zmienił swe życie, życie zmieniło jego, więc musiał pisać, musiał tworzyć poemat, który da światu jako zadośćuczynienie za wszystkie zmarnowane lata. Kasinibon także bezlitośnie gonił go do pracy. Nie wchodził już do jego pokoju, nawet nie pytał o poemat, ale nie spuszczał z niego wzroku, mierzył postępy widocznym na twarzy gościa zmęczeniem i stopniem zaczerwienienia oczu, patrzył, obserwował, milczał, lecz mimo to wymagał. Furvain nie miał tarczy na tę broń.

Zatem pracował. Od rana do nocy. Z pokoju wychodził tylko na posiłki. Kiedy był już niemal kompletnie wyczerpany, kładł się na krótki odpoczynek. Wpadał w trans, który był niczym podróż przez piekło umysłu. Niepewny, ogarnięty wątpliwościami, kręcił się w kółko w niezgłębionych ciemnościach. Mijały godziny, już był przekonany, że nie spotka przewodnika, że się zgubił, więc bał się coraz bardziej, drżał, pocił. Lecz w końcu zawsze rozbłyskiwało cudowne światło i wychodził na jasne, soczyste łąki, gdzie słyszał śpiewy, widział tańce, gdzie był majestat świętych głosów i świętych wizji, a słowa płynęły rzeką, nie kontrolowane przez świadomość.

Mijały miesiące. Zaczął się drugi rok jego niewoli i drugi rok pracy nad poematem. Stos zapisanych kartek rósł. Furvain nie pracował systematycznie; pisał te fragmenty poematu, które najgłośniejszy domagały się zapisania. Za zakończoną uważał tylko jedną pieśń, piątą, najważniejszą część, opowieść z czasów Stiamota; bardzo zaawansowana była także pieśń Melikanda, a pieśń Dvorna zbliżała się do końca. Zdążył też stworzyć kilka sporych fragmentów pieśni pierwszej, tej o historii pierwszych kolonistów. Niektóre inne fragmenty, zwłaszcza mniej

dramatyczne, zaledwie naszkicował, a z pieśni dziewiątej nie miał ani jednego wersu. Nie napisał także ani słowa o początku i końcu historii Stiamota. Pracował chaotycznie, ale inaczej po prostu nie potrafił. W końcu zbierze te fragmenty w całość, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Od czasu do czasu pytał Kasinibona o odpowiedź na prośbę o okup. Nieodmiennie słyszał: „Nie. Nikt nie odpowiedział”. Przeszło to mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Nic nie miało znaczenia. Nic oprócz pracy.

Nagle, po napisaniu zaledwie trzech strof dziewiątej, ostatniej pieśni, Furvain poczuł się tak, jakby uderzył głową w ścianę, a może raczej stanął na brzegu bezdennej, ciemnej otchłani: w każdym razie w opowiadaniu historii Majipooru dotarł do miejsca, z którego nie mógł już iść dalej. Zdarzało mu się to w przeszłości, nawet często, ale tym razem było inaczej. Wówczas nie chciał iść przed siebie, lecz uczucie to szybko mijało, Furvain bowiem nie mógł przecież wstać i odejść od pracy bez wstydu. Teraz natomiast odczuwał niemoc twórczą, która wynikała z tego, że przed sobą nie widział nic. Tylko ciemność.

Pomóż mi, modlił się, nie wiadomo do kogo. Prowadź mnie.

Nikt mu nie pomógł, nikt nie zamierzał go poprowadzić. Aithin Furvain pozostał sam. A sam nie miał pojęcia, co zrobić z materiałem, który zamierzał zawrzeć w dziewiątej pieśni. Pojednanie ze Zmiennokształtnymi... zadośćuczynienie za wielki, choć nieunikniony grzech, który ludzie popełnili przeciw rdzennym mieszkańcom tego świata... odpuszczenie, odkupienie, może nawet naprawienie krzywd... po prostu nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Oto mamy Majipoor, niemal dziesięć tysięcy lat po Dvornie, cztery tysiące lat po Stiamocie, i jak tu mówić o pojednaniu z Metamorfami? Jakie zadośćuczynienie? Jakie odkupienie? Zmiennokształtni nadal byli zamknięci w rezerwatach na Zimroelu; jeśli pozwalano im je opuścić, pozostawali pod ścisłym nadzorem, a na Alhanroel w ogóle nie mieli wstępu. Świat wcale nie był bliżej rozwiązania tego problemu niż w chwili przybycia na Majipoor pierwszej grupy kolonistów. Rozwiązanie Lorda Stiamota – zwyciężyć, podbić, wyekspediować na

południowy Zimroel, zagarnąć resztę świata – nie było żadnym rozwiązaniem, a wyłącznie środkiem doraźnym, z czego sam Stiamot doskonale zdawał sobie sprawę. Ten wielki Koronał wiedział też, że jest już za późno, że kolonizacji nic nie powstrzyma, że tego, co się stało, nie można cofnąć. Podjął gorzką decyzję: w interesie miliardów ludzkich osadników miliony krajowców miały oddać wolność.

Jeśli Stiamot nie znalazł rozwiązania tego problemu, myślał Furvain, to jak ja mam je znaleźć?

W takim razie nie mógł napisać dziewiątej pieśni. I co gorsza, zaczął podejrzewać, że przez to nie będzie też w stanie dokończyć reszty. Teraz, gdy uznał, że wzniesionego gmachu nie będzie w stanie wykończyć zgodnie z zamiarem, opuściło go natchnienie. Gdyby próbował przeć dalej siłą rozpędu, najprawdopodobniej zrujnowałby to, co zrobił do tej chwili, rozcieńczyłby dzieło nieważnymi, błahymi treściami. Ale nawet gdyby udało mu się jakimś cudem skończyć pracę, czuł teraz, rozczarowany i zrozpaczony, że nie powinien ujawnić jej światu. Nikt nie uwierzyłby, że to on napisał *Księgę zmian*. Ludzie pomyśleliby sobie, że doszło do jakiejś kradzieży, oszustwa, pogardzano by nim, gdyby nie wyjawiał prawdziwego autora. Lepiej, żeby nie było żadnego poematu, niż gdyby opublikował poemat, który na stare lata ściągnąłby mu hańbę na głowę.

Z tego rozumowania wynikał jeden wniosek. Musi zniszczyć rękopis, zniszczyć go jak najszybciej.

Zaczął wyciągać kolejne kartki z kryjówek, rozrzuconych po całym jego skromnym mieszkaniu. Układał je na stole. Powstał z tego całkiem pokaźny stos. Bywały dni, kiedy Furvain czuł się zbyt zmęczony, by tworzyć, albo nie dopisywała mu wena; zajmował się wówczas kopiowaniem istniejących części, by zminimalizować szansę utraty pracy wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Trzymał także zapisy wszystkich odrzuconych fragmentów, skreślonych lub poprawionych później strof. Prawdziwa góra papieru. Będzie pewnie płonąć godzinami.

Bardzo spokojnie zdjął z góry stos kartek grubości mniej więcej cala i zaniósł go do kominka.

Znalazł zapałkę. Zapalił ją. Przez chwilę z tym samym strasznym spokojem przyglądał się płomieniowi, a potem podłożył go pod róg stosu.

–Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Kasinibon, wbiegając do pokoju. Przede wszystkim zdeptał płonąca zapałkę, leżącą na kamieniach kominka. Rękopis nie zdążył się zająć.

–Palę poemat – odparł cicho Furvain. – A w każdym razie próbuję spalić.

–Co?

–Palę poemat.

–Oszalałeś! Załamałeś się pod ciężarem tak ogromnej pracy!

Furvain potrząsnął głową.

–Nie, nie... mam wrażenie, że nadal pozostaję przy zdrowych zmysłach. Wiem, że nie potrafię pisać dalej. Kiedy to sobie uświadomiłem, uznałem, że najlepiej będzie zniszczyć niekompletny poemat. – I chłodnym, pozbawionym emocji głosem opowiedział Kasinibonowi o tym, co przemyślał sobie w ciągu ostatniej półgodziny.

Kasinibon słuchał, nie przerywając mu, a potem długo zachowywał milczenie. Nagle, patrząc w okno ponad ramieniem gościa, zaczął mówić pełnym napięcia, głuchym, ledwie słyszalnym głosem:

–Muszę się do czegoś przyznać, Furvainie. Tydzień temu dostałem okup. Od twojego przyjaciela, diuka. Nic ci o tym nie powiedziałem, bo chciałem, żebyś skończył poemat, a wiedziałem, że nigdy tego nie zrobisz, jeśli wrócisz do Dundilmiru. Bałem się... ale teraz

rozumiem, że postąpiłem źle. Nie mam prawa cię przetrzymywać. Możesz zrobić, co zechcesz. Wyjedź, jeśli taka jest twoja wola, ale, błagam na wszystko, nie niszcz tego, co napisałeś. Zostaw mi kopię swej pracy.

–Chcę ją spalić.

Kasinibon spojrział mu w oczy. A kiedy przemówił, głos miał ostry niczym trzask bicia. Znow był wodzem bandytów.

–Nie. Zabraniam! Oddaj mi ją z dobrej woli albo ci ją zabiorę!

–A więc jednak nadal jestem więźniem. – Furvain uśmiechnął się lekko. – Naprawdę dostałeś okup?

–Przysięgam.

Aithin Furvain skinął głową. Teraz jemu wypadło milczeć. Obrócił się plecami do gospodarza, zapatrzył na czerwoną toń jeziora.

Czy ukończenie poematu naprawdę nie jest możliwe? – spytał sam siebie.

Nagle zakręciło mu się w głowie i poczuł, jak w jego duszy porusza się jakaś siła. Wyznanie Kasinibona obaliło mur, przerzuciło most nad otchłanią. Znikło gdzieś wrażenie, że nie można posunąć się naprzód choćby o krok. Dziewiątą pieśń miał w garści.

Bo przecież nie musiał opowiadać, jak rozwiązano problem Zmiennokształtnych. Przez czterdzieści wieków, licząc od czasów Stiamota, nie rozwiązał go żaden Koronal i żaden Pontifex, więc któż mógł wymagać, by dokonał tego poeta? Poeta nie ponosi odpowiedzialności za rządy nad krajem. Za to ponosi odpowiedzialność za poezję. W *Księdze zmian* on, Aithin Furvain, dał Majipoorowi lustro, w którym odbijała się przeszłość planety, nie jego zadaniem było dopisywanie jej przyszłości. W każdym razie nie dosłownie. Niech przyszłość odkrywa sama siebie, to przecież przyjdzie z czasem.

Założmy, powiedział sobie, założmy... założmy... Założmy, że zakończę poemat proroczą, tajemniczą wizją, że przedstawię tragicznego króla, który, jak Stiamot, jest człowiekiem pokoju zmuszonym do prowadzenia wojny, cierpiącego męki wskutek sprawowania władzy. Usłyszał nawet fragmenty tekstu: „Złoty król... korona w pyle... święty uścisk przysięgłych wrogów...” Co znaczyły te słowa? Nie wiedział i nie musiał wiedzieć. Musiał tylko pisać. Musiał dać czytelnikom nadzieję, że za wiek, dwa, za kilka lub kilkanaście wieków pojawi się jakiś niewyobrażalny dziś władca, który zjednoczy w sobie siłę pokoju i siłę wojny tak, by stanowiły dokładne przeciwieństwo, a więc równoważyły cierpienie i osiągnięcia Stiamota. W ten sposób ów król zaprowadzi równowagę w swym władztwie, równowagę zakłóconą pierwotnym grzechem odebrania planety tym, do których należała z prawa urodzenia. Trzeba zakończyć poemat wyraźnym przesłaniem: pojednanie jest możliwe. Nie musiał wyjaśniać, jak do niego doprowadzić: wystarczy tylko powiedzieć, że można się pojednać.

I w tym momencie Aithin Furvain zrozumiał wreszcie, że nie tylko zdoła skończyć poemat, ale musi to zrobić. Że

to jego obowiązek, jego służba. A także, że poemat może skończyć tylko tu, pod czujnym okiem nieubłaganego bandyty, porywacza i strażnika. W Dundilmirze nieuchronnie wróciliby do swego dawnego, płytkiego stylu życia.

Podszedł do stołu. Zebrał tę wersję rękopisu, która zawierała wszystko, co napisał do tej pory, i podał ją Kasinibonowi.

–To dla ciebie – powiedział. – W prezencie. Czytaj, jeśli chcesz, tylko nic nie mów, póki ci nie pozwolę.

Kasinibon przyjął rękopis, kurczowo przytulił go do piersi.

–A pieniądze z okupu odeślij Tanigelowi – mówił dalej Furvain. – Poinformuj diuka,

że przysłał je za wcześnie. – Wydzielił kolejny, mniejszy fragment manuskryptu: jedną z kopii ukończonej pieśni Stiamota. – Poślij mu także to. Żeby wiedział, czym jego stary, dobry, leniwy przyjaciel zajmował się podczas wizyty na dalekim wschodzie. – Uśmiechnął się. – A teraz proszę... gdybyś tak pozwolił mi wrócić do pracy...

Przełożył Krzysztof Sokołowski

Inny Świat Tad Williams

City of Golden Shadow (1997) Miasto złocistego cienia (1999) River of Blue Fire (1998) Rzeka błękitnego ognia (2000) Mountain of Black Glass (1999) Góra z czarnego szkła (2001) Sea of Silver Light (2001) Morze srebrzystego światła (2002)

Postacie z czterech tomów „Innego Świata” Tada Williamsa, których akcja rozgrywa się w bardzo bliskiej przyszłości, odkrywają wszechświat istniejący obok naszego – fantastyczny, sztuczny wszechświat ukryty w światowej sieci informacyjnej. Wszechświat, który zawiera światy umieszczone w innych światach, a te w jeszcze innych.

Wszechświatem tym jest sieć informacyjna Inny Świat, stworzona przez najbogatszych i najpotężniejszych ludzi na Ziemi, grupę występnych osobników, znaną jako Bractwo Graala. Sieć Innego Świata składa się z setek światów wirtualnych, najlepszych, jakie można stworzyć za pomocą fortuny i najnowocześniejszych technologii. Wiele z nich stanowi niemal idealne symulacje okresów historycznych, inne nawiązują do sławnych powieści, takich jak książki o krainie Oz czy *Władca pierścieni* Tolkiena. Jeszcze inne, na przykład nie kończący się Dom czy komiksowa Kuchnia, są zupełnie niepowtarzalne. Panowie Bractwa Graala zamierzają nie tylko odwiedzać te kosztowne placówki zabaw, ale i przenieść się do nich – pragną pozbyć się swoich obumierających ciał i żyć wiecznie w sieci jako nieśmiertelni bogowie.

Jednak z jakiegoś powodu dzieci, które odwiedzają sieć Innego Świata, zapadają w śpiączkę w świecie rzeczywistym. Członkowie Bractwa Graala zrobią wszystko, żeby to ukryć, posuwając się nawet do morderstw, zatem tajemniczy pan Sellars zbiera w sieci grupę zwykłych ludzi z całego świata; ich zadaniem jest dostać się do Innego Świata i zbadać, co się dzieje z dziećmi. W wirtualnym świecie dokonują oni przerażającego odkrycia: ich umysły nie mogą powrócić do prawdziwych ciał, a co gorsza, te ciała (pogrążone w śpiączce, podobnie jak ciała dzieci, które próbują uratować) także są narażone na niebezpieczeństwa światów wirtualnych. Jeśli członkowie grupy poniosą śmierć w Innym Świecie, naprawdę umrą. Tak więc zostają uwięzieni w tych ultrarealistycznych światach pełnych potworów i szaleństwa, raz atakuje ich dżabbersmok z wiersza Lewisa Carrolla, kiedy indziej kryją się za murami Troi albo uciekają przez pustynię przed rozgniewanym egipskim bogiem.

Tajemnice wirtualnego systemu okazują się jeszcze dziwniejsze niż mechanizm, który uwięził ochotników w sieci. W miarę jak bohaterowie wędrują coraz dalej w głąb niezbadanych miejsc, zaczynają sobie uświadamiać, że sieć jest o wiele bardziej skomplikowana, niż przypuszczali, i odkrywają, że w sercu systemu istnieje coś żywego – coś, co realizuje własne plany.

Ci zwykli ludzie, którzy znaleźli się w samym centrum niewyobrażalnych wydarzeń, zmagając się z bogatymi i potężnymi członkami Bractwa Graala, wynajętym przez nich mordercą Johnem Strachem oraz niezwykle niebezpieczeństwami wirtualnych światów, muszą także pokonywać własne niepowodzenia i lęki. Orlando Gardiner, chłopiec cierpiący na nieuleczalną chorobę, który żyje naprawdę jedynie wtedy, kiedy jest w sieci, walczy dzielnie do końca, do chwili śmierci, w obronie swojej przyjaciółki Sam Fredericks oraz innych ochotników uwięzionych wraz z nim w Innym Świecie i w dużej

mierze dzięki niemu ci zwykli ludzie odnoszą nieoczekiwane zwycięstwo. Oczywiście zapłacili za nie wysoką cenę. Orlando i inni musieli poświęcić życie.

Ale w sieci Innego Świata nawet śmierć nie jest czymś jednoznacznym.

Chłopiec, Który Znalazł Szczęście Po Śmierci Tad Williams

Tharagorn Strażnik siedział pogrążony w rozmowie z Elrodem Półelfem w przepelnionym ciszą półmroku Sali Kominkowej. Minęło dużo czasu, odkąd widział się po raz ostatni z władcą elfów, który powrócił właśnie z wędrówki po świecie. Rozprawiali o bieżących wydarzeniach, między innymi o nieoczekiwanych najazdach goblinów w pobliżu Gór Mglistych. Dlatego też posłaniec elfów z charakterystyczną dla siebie wdzięczną nieśmiałością czekał cierpliwie na progę, aż zauważy go któryś z rozmówców.

–Pewien przybysz pragnie rozmawiać z Tharagornem – odpowiedział elf na pytanie Elronda. – Wygląda na niziołka.

–No, to o mnie chodzi. – Rozległ się głos, donośniejszy i trochę mniej subtelny niż te, które zazwyczaj słyszano w Ostatnim Przyjaznym Domu. Postać była o połowę niższa od obecnych w komnacie, a jej stopy pokrywała sierść tak gęsta i zmierniona, że wydawało się, iż stoi ona zanurzona po kostki w sierści dwóch martwych kozłów górskich. – Bongo Futrzak, do usług – przedstawił się przybysz i wykonał głęboki skłon. – Ładnie mieszkasz, Elrond. Lubię stare rzemiosło. Tharagornie, możesz poświęcić mi minutkę?

–Na miłość boską, Beezle – mruknął strażnik. – Wybacz – zwrócił się do gospodarza. – Mogę cię przeprosić na chwilę?

–Naturalnie. – Elrond wyglądał na nieco zdziwionego, chociaż symulacja potrafiła przyswajać albo po prostu ignorować anomalie. – Czy to naprawdę jest niziołek? Nie oglądaliśmy podobnego osobnika chyba od czasu, kiedy Gandalf przyprowadził tu przed laty z Shire swojego przyjaciela Bilbo Bagginsa.

–Tak, no cóż, to jest... inny rodzaj hobbita – odparł Tharagorn i zaraz dodał ściszym głosem: – Mniej udany gatunek, jeśli domyślasz się, co mam na myśli.

–Hej! Słyszałem, co powiedziałaś!

Elrond i posłaniec oddalili się, pozostawiając Tharagorna, znanego także jako Orlando Gardiner, w wysokiej komnacie w towarzystwie małego kudłatego przybysza.

–Beezle, co ty wyrabiasz, do cholery?

–Daj spokój, szefie, przecież sam powiedziałaś, że mogę tu przyjść tylko ucharakteryzowany. – Podniósł stopę i spojrzął na nią z wyraźnym podziwem. – Co myślisz? Ładne futerko, prawda?

–Bongo Futrzak?

–Przecież wszyscy tutaj podobnie się nazywają. Rozumiesz, nie mam za dużo miejsca na te wszystkie szczegóły z Tolkiena.

Orlando wpatrywał się w karłowatą szkaradę, która stała przed nim. Można było dyskutować, czy bardziej pasuje do tej symulacji niż normalna komiksowa postać wielonogiego Robala Beezle'a, lecz bez wątplenia miał przed sobą najbardziej paskudnego hobbita na świecie. Zaczynał podejrzewać, że poczucie humoru jego programowego agenta przekroczyło nieco standardowe normy przewidziane gwarancją. Może przez wszystkie te lata dawał Beezle'owi zbyt dużo swobody w samoprogramowaniu poza siecią.

–Mówię poważnie – rzekł Beezle. – Przyganiał kociół garnkowi, szefie Tharagornie. Tharagorn? Co, siedzisz tutaj i czekasz na Powrót Króla?

–Cha, cha. Zabawny z ciebie kod. Wybrałem to imię, ponieważ brzmi podobnie do imienia Thargor. – Imię to Orlando nosił w sieci przez prawie całe swoje dzieciństwo,

kiedy występował jako krzepki barbarzyńca przemierzający z mieczem liczne światy gier i kiedy po każdej przygodzie mógł wracać do świata rzeczywistego. W tej chwili poczuł się jednak nieco zawstydzony. – Słuchaj,

potrzebowałem imienia, które będzie łatwe do zapamiętania. Zdajesz sobie sprawę, ile imion noszę w tej sieci? – Uzmysłowił sobie, że usprawiedliwia się przed istotą, którą kiedyś dostał jako prezent urodzinowy, i to niespecjalnie drogi. – A właściwie co cię tu sprowadza?

–Robota, szefie – odparł urażony Beezle. – W końcu pełnię rolę futrzastolapego połączenia z twoim napiętym kalendarzem spotkań. Mówiliśmy już o kolacji z twoimi rodzicami, więc o tym zapewne pamiętasz. I pamiętasz też, że wcześniej masz spotkanie z Fredericks?

–Tak. Przyjdzie tutaj.

–Świetnie, pozostali będą mieli niezły ubaw. Może przyjmiesz ją w Komnacie Wiecznych Nostalgicznych Śpiewów? Albo w Salonie Srebrzystych Chichotów?

–Twój sarkazm nie uszedł mojej uwagi. – Orlando sam czasami myślał nie-tak-całkiem-nabożnie o świecie Tolkiena, ale w końcu stanowiąc namiastkę jego domu. Na początku, kiedy już na stałe przeniósł się do sieci, po tym, jak zmogło go poprzednie życie, Śródziemie – a zwłaszcza Rivendell – było jego ulubioną przystanią, znanym, ukochanym miejscem, w którym mógł odpocząć, nabrać sił i zmierzyć się z obowiązkami, a nawet z możliwościami, jakie daje nieśmiertelność, o czym przypominała mu na każdym kroku pradawna rezydencja Elronda.

–A tak przy okazji, dzisiaj przypada pierwszy piątek miesiąca w świecie Wodehouse’a – ciągnął Beezle. – Pamiętasz?

–Och, fenfen. Nie, zapomniałem. Ile mam czasu?

–Spotkanie zacznie się za jakieś trzy godziny.

–Dzięki. Będę tam. – Widząc, że Beezle nie rusza się z miejsca, Orlando zapytał: – Co jeszcze?

–No cóż, skoro mam zachować swoją postać i opuścić ten przerośnięty pensjonat normalną drogą przez most, to mógłbyś przynajmniej powiedzieć „Bywaj zdrów, Bongo Futrzaku” czy coś takiego.

Orlando zgromił go spojrzeniem.

–Zgrywasz się.

–Tak byłoby uprzejmie.

–Fenfen – rzucił Orlando, lecz Beezle ani drgnął, czekając na pożegnanie. – Rany, dobra. Bywaj zdrów, Bongo Futrzaku.

–Powinieneś jeszcze dodać: „I niech twe stopy obrośnie jeszcze gęstsza sierść”.

–Wynoś się już stąd.

–Dobra. I ty bywaj zdrów, Tharagornie, Pieszczochu Elfów.

Okazało się, że w potrzebie Beezle potrafi poruszać się całkiem szybko na swoich kosmatych stopach.

Sam Fredericks spóźniła się prawie godzinę, ale to nie miało znaczenia, ponieważ w Rivendell goście mogli dostać coś do jedzenia i picia o każdej porze, jeśli tylko nie przeszkadzało im ograniczone menu. Ludzie, którzy przed laty stworzyli ten symświat – grupa z Holandii, jak dowiedział się Orlando – odtworzyli go bardzo wiernie. W powieściach nie wspominało o tym, żeby serwowano jakieś mięsa w Imladris, jak elfy nazywały pałac Elronda, tak więc kuchnia wydawała tylko chleb, miód, owoce, warzywa i produkty mleczne. Orlando, który spędził dużo czasu w symulacji Tolkiena w pierwszym okresie życia w sieci, pamiętał, jak nieraz gotów był powlec się do Mordoru

po pizzę pepperoni.

Sam Fredericks, ubrana w strój elfa, wyglądała dokładnie tak samo jak w czasie ich ostatniego spotkania; jej mlecznoczekoladowa skóra lśniła, a czuprynę kręconych włosów przytrzymywała jedynie przepaska z sukna, co nadawało jej nieco wygląd pirata. Objęli się na przywitanie. Pierwsza odsunęła się Sam.

–Zjesz coś?

–Nie jestem specjalnie głodna – odpowiedziała. – Ale ty się nie krępuj, jeśli masz ochotę.

–Sam, nie przejesz się tutejszym jedzeniem, a ja w ogóle nie muszę jeść. Spytałem z grzeczności. – Poprowadził ją na jeden z zadaszonych balkonów. Z doliny w dole dochodził szum rzeki, choć latarnie Rivendell oświetlały zaledwie czubki drzew.

Sam usiadła na ławce. Orlando zajął miejsce obok niej i wyprostował długie nogi. Był to jeden z jego nawyków z czasów choroby, którego nawet on był świadomy: jeśli tylko będzie to możliwe, nigdy już nie wystąpi w chorym lub ułomnym ciele.

–I co? – zapytał. – Wszystko w porządku?

–Tak. A u ciebie?

–Och, wiesz. Krzątam się tu i tam, mam oko na wszystko. Ta robota okazała się o wiele trudniejsza, niż się spodziewałem. Kiedy zgodziłem się zostać tym jakby strażnikiem leśnym, myślałem, że będę, bo ja wiem, zapobiegał wojnom, czy coś takiego.

Sam uśmiechnęła się.

–Jak Superman?

–Tak, albo Bóg. Staram się nie ograniczać swoich ambicji. – Zamilkł na moment. Śmiech Sam rozległ się trochę za późno. – Ale odkąd Sellars i Kunohara przekonali pozostałych, żeby wszystko puścić na żywioł, jestem raczej antropologiem lub kimś takim. – Patrick Sellars zebrał ludzi, którzy nie pozwolili na wykorzystanie sieci w pierwotnych celach, to jest na zapewnienie nieśmiertelności członkom Bractwa Graala, ludziom równie podłym jak bogatym. Kunohara, były pomniejszy członek Bractwa, który zwrócił się przeciwko niemu, ostatecznie wspomógł Sellarsa w jego wysiłkach, ocalając życie zaawansowanym symom z sieci, a także Orlandowi, który został powielony w sieci, zanim umarł fizycznie, i teraz istniał tylko w postaci informacji. Niedługo potem także Sellars porzucił swoje obumierające ciało i przeniósł się do Innego Świata, lecz w przeciwieństwie do Orlanda uczynił to dobrowolnie.

–Antropologiem? – powtórzyła Sam.

–Tak, poza naprawianiem oczywistych błędów kodu, które nie pojawiają się zbyt często, moja praca polega głównie na sporządzaniu raportów i obserwowaniu interesujących, nieoczekiwanych wydarzeń. Tylko że Sellars odszedł, a Kunohara jest wciąż zajęty, więc zastanawiam się, dla kogo są te moje raporty.

–Myślę, że dla całej reszty, dla pozostałych. A także dla innych, którzy być może będą chcieli kiedyś to zbadać. – Sam wzruszyła ramionami. – Brakuje ci go? Mam na myśli Sellarsa.

–Tak. Nie mogę powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi, nie tak jak ty i ja. – Miał nadzieję, że zobaczy uśmiech na jej twarzy, lecz ona tylko skinęła głową. – Był za... nie wiem. Stary. Mądry. Jednak przekonałem się do niego, kiedy już poznałem go bliżej. A poza tym, Sam, był jedyną osobą, która przebywała tu ze mną. Wiedziałem, że nie zostanie tu na zawsze – że jest zmęczony, że chce podążyć za ludźmi z informacji w to wielkie coś. Ale chyba spodziewałem się, że uda się nam nakłonić go, żeby został jeszcze kilka lat. – Oczywiście nie wyjawiał Sam całej prawdy, ponieważ przejął się odejściem

Sellarsa o wiele bardziej, poczuł się samotny i opuszczony. W końcu ten okaleczony był pilot był jedyną osobą we wszechświecie, która w pełni rozumiała dziwne uczucie, jakie towarzyszyło świadomości, że żyje się tylko w sieci, że twoje prawdziwe ciało jest już prochem, że większość ludzi, których znałeś, uważa cię za zmarłego... i w zasadzie ma rację.

Poza tym Sellars był miłą osobą, a także – być może z powodu albo pomimo swoich cierpień – dobrym słuchaczem. Należał do nielicznych, którzy widzieli, jak Orlando Gardiner płacze. Oczywiście wydarzyło się to na początku jego życia w sieci. Potem Orlando nigdy już nie płakał. Po prostu nie miał na to czasu.

Upłynęło kolejne pół godziny; Sam i Orlando siedzieli na balkonie w Rivendell, rozmawiając o różnych rzeczach. Trochę nawet sobie żartowali, lecz on wciąż wyczuwał pewną nienaturalność w zachowaniu przyjaciółki. Orlando poczuł coś, czego zupełnie nie spodziewał się doświadczyć w towarzystwie Sam Fredericks i co dopiero po wielu długich minutach rozpoznał jako strach. Przeraził się na myśl o tym, że ona może nie chce z nim tam być, że ich przyjaźń jest już tylko obowiązkiem.

W rozmowie znowu powrócił temat sieci. Ku jego zdziwieniu Sam zdawała się sądzić, że to on potrzebuje pociechy.

–Świetnie sobie radzisz jako strażnik całego wszechświata. Jesteś odpowiedzialny za wszystkie te światy.

–Obecnie trzysta dziewięćdziesiąt osiem. Kilka innych zamknęło się tymczasowo, ale niebawem rozpoczną swój cykl od nowa. To i tak zaledwie jedna czwarta tego, co było, lecz Sellars wykasował wiele z nich, ponieważ były zbyt skanerskie, dziwaczne, przerażające czy okrutne.

–Wiem, Orlando. Przecież też byłam na tamtym spotkaniu.

–Sam, na pewno wszystko w porządku? Wydajesz się jakaś... sam nie wiem, smutna. – Przyjrzał jej się uważniej. – Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że nie zmieniałaś symu chyba od roku.

–I co z tego? Rany, Gardiner, chcesz, żeby wszyscy tutaj nosili stroje według mody na elfa?

–Nie miałem na myśli ubrania. – Chciał jej opowiedzieć o wersji rivendellskiego szyku w pojęciu Beezle'a, ale wciąż nie potrafił się pozbyć niepokojącej go myśli. – Sam, co się dzieje? Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie chcesz zmienić swojego symu? Na pewno masz coś bardziej współczesnego, co wykorzystujesz w odległych i bliskich lokalizacjach czy w domu.

Wzruszyła ramionami – nie pierwszy raz – lecz nie spojrzała mu w oczy.

–Mam, ale co to za różnica? Myślałam, że jesteś moim przyjacielem, Orlando. Czy to naprawdę takie ważne, żeby zobaczyć, czy... urosły mi piersi od naszego ostatniego spotkania?

Drgnął.

–Myślisz, że dlatego chcę zobaczyć twoją prawdziwą postać?

–Nie. Nie wiem. A ciebie co gryzie?

Stłumił gniew, głównie dlatego, że znowu poczuł przyływ strachu. Czasem wydawało mu się, że przyjaźń z Salome Fredericks jest jedyną rzeczą łączącą go ze światem, z którego musiał odejść. Jego rodzice to co innego – na miłość boską, byli i zawsze będą jego rodzicami – podobnie jak pozostali, którzy przetrwali w sieci Innego Świata i którzy także zawsze będą jego przyjaciółmi, ale Sam...

–Cholera, Fredericks, nie rozumiesz tego? Jesteś... jesteś częścią mnie.

–Wielkie dzięki. – Wprawdzie powiedziała to z przekąsem, lecz jej spojrzenie mówiło, że bardziej jest nieszczęśliwa niż zagniewana. – Przez całe życie chciałam być kimś ważnym, ale żeby zostać częścią Orlanda Gardinera? Nigdy nawet nie liczyłam...

–Wiesz, że nie to miałem na myśli. Fenfen, chciałem powiedzieć, że jesteś w... no dobra, w moim sercu, choć to brzmi obleśnie słodko. Dzięki tobie wciąż czuję się jak ktoś, kto żyje, a przecież oboje wiemy, że tak nie jest.

Teraz ona drgnęła, lecz wciąż oddzielała ich jakaś ściana.

–A co to ma wspólnego z moim symem? Kiedy mnie poznałeś, myślałeś, że jestem chłopakiem!

–To co innego, Sam. – Zawahał się, a potem położył dłoń na jej ramieniu. Najpotężniejszy na świecie silnik symulacyjny sprawił, że poczuł to, co powinien poczuć: ciepłą skórę na jej nadgarstku, aksamitne fałdy rękawa przykrywające jej ramię. – Wiem, że nigdy nie dorosnę, nie tak jak w normalnym życiu. Może i nie będę już miał prawdziwego ciała, ale to nie znaczy, że spodziewam się, że wszyscy będą zabawiali się tu ze mną, jakbyśmy byli na Placyku Zabaw Piotrusia Pana. Spójrz na mnie, Sam. – Wiedział, że jedynie poczucie winy nie pozwala jej odwrócić wzroku, lecz w tej chwili gotów był chwycić się każdego dostępnego środka. – Jeśli ukrywasz przede mną jakieś sprawy, a zwłaszcza te zupełnie normalne, tylko dlatego, że uważasz, iż czegoś nie zniosę... to chyba jest najgorsze, co może mi przyjść do głowy. Chorowanie na progerię nie polegało tylko na tym, że wiedziałem, że młodo umrę. Musiałem także patrzeć, jak każda osoba, którą poznaję, spogląda na mnie, a potem zaraz szybko odwraca wzrok, jakbym był jakimś ludzkim odpowiednikiem wypadku samochodowego. Nawet ci poczciwcy, którzy próbowali traktować mnie jak wszystkich innych... no cóż, nie miałem wątpliwości, że bardzo się

starają. Nie chcę już, żeby się nade mną użalano, Sam.

Wyglądała na przybitą i zawstydzoną.

–Wciąż nie rozumiem, Orlando. Co to ma wspólnego z moim symem?

–Nie chcesz, żebym zobaczył, jak teraz wyglądasz, ale nie dlatego, że masz pryszczka na nosi? czy coś w tym rodzaju i czujesz się skrępowana. Nie chcesz tego, bo wiesz, że wyglądasz inaczej, dorastasz, zmieniasz się czy co tan jeszcze. Powiedz, że się mylę. Rany, Fredericks, jestem w tej sieci już prawie trzy lata. Myślisz, że łudzę się, że wszystko pozostanie takie samo? Nie będę cierpieł z tego powodu. Ale skoro nie chcesz misie pokazać, to... to tak, jakbyś nie wierzyła w naszą przyjaźń. Jakbyś chciała powiedzieć, że możemy być takimi kumplującymi się dzieciakami, jakimi byliśmy w grze Środkowego Kraju.

Spojrzała na niego jak dawna Sam, rozbawiona pomimo irytacji.

–Ten sam stary Gardiner. Jak zawsze wszystko wiesz. – Wzięła głęboki oddech. – Dobra, chcesz zobaczyć, jak wyglądam? W porządku. Jej sym z Rivendell znieruchomiał na chwilę, kiedy ponownie wybierała swoją postać, a nowe informacje przechodziły przez zaporę ślepych przekazów, która oddzielała sieć Innego Świata od oficjalnej sieci. A potem nagle, niczym wydrukowany obraz, pojawiła się prawdziwa postać Sam. – Zadowolony?

–Aż tak bardzo się nie zmieniłaś – powiedział, ale nie mówił prawdy. Urosła o cal lub dwa, lecz także nabrała kobiecych kształtów – była szersza w biodrach, co podkreślały jeszcze bryczesy elfów. Sam, którą znał, była smukła i gibka jak chart. Zauważył też, że jej twarz się wydłużyła. Wyglądała ślicznie, wcale nie dlatego, że była tą Sam, którą kochał. Uświadomił sobie również, że okłamał ją i w innej kwestii: jednak cierpieł, kiedy ujrzał ją o rok starszą, jako siedemnastolatkę, a nie szesnastolatkę. Cierpieł, i to bardzo. – Dzięki.

–Och, Orlando, przepraszam. Po prostu się pogubiłam. Nie chodzi o to, ale o coś zupełnie innego. – Pochyliła się do przodu i oparła łokcie o kolana. Znowu unikała jego spojrzenia. – Widzisz... ja widuję się z kimś.

W pierwszej chwili nie zrozumiał i pomyślał, że ona wciąż mówi o symach i obrazach.

–Och, czy to... coś poważnego?

–Nie wiem. Tak, chyba tak Spotykamy się od paru miesięcy.

Orlando wziął głęboki oddech.

–No cóż, mam nadzieję, że dobrze wam się ułoży. Fenfen, czy to właśnie cię gryzło przez cały dzień? Przecież okres zazdrości mamy już dawno za sobą. – Musiał przyznać, że po części dlatego, iż ona przedstawiła sprawę jasno już na początku ich prawdziwej przyjaźni, kiedy Orlando odkrył, że Sam jest dziewczyną, ona zaś dowiedziała się o jego chorobie;

powiedziała wtedy, że kocha go tak samo jak on ją, ale nigdy nie będzie to romantyczne uczucie. Co przyjął z zadowoleniem, ponieważ uważał, że ten związek będzie trwał przez całe ich życie i nie zniszczy go seks.

Często zastanawiał się, czy nastolatki w prawdziwym świecie mówią sobie równie żałosne kłamstwa.

–Sama nie wiem. Po prostu... boję się tego. Czasem czuję się, jak bym... – Pokręciła głową. – Jakbym nie była dobrą przyjaciółką. Twoją przyjaciółką – poprawiła się szybko. – Nie odwiedzam cię tak często, jak powinnam. Pewnie myślisz, że jestem okropna.

Roześmiał się zaskoczony.

–Nie przyszło mi to do głowy. Bez obrazy, Sam, ale to nie jest tak, że kiedy cię tu nie ma, siedzę z założonymi rękami i czekam na twoją kolejną wizytę. Dwa dni temu umykałem przed strzałami w Edo, kiedy grupa wojowników próbowała obalić władzę w szogunacie Tokugawa. Tydzień wcześniej razem z kapitanem Nemo badałem podmorskie ruiny.

–A więc... masz się dobrze? Pod każdym względem? Nie czujesz się znudzony albo... albo samotny?

Ponownie ścisnął jej ramię. W Sali Kominkowej znowu rozbrzmiał śpiew elfów, refleksja na temat światła Dwóch Drzew. Wydawało się, że te głosy należą do samej doliny, że tę pieśń wykonują wspólnie noc, las i rzeka.

–Znudzony? Nie, kiedy pomyślę o alternatywach. Nie, Frederico, nie zwracaj sobie mną głowy – zawsze będę miał dokąd pójść, czym się zająć, spotkać się z kimś. Chyba jestem najszczęśliwszym nieżywym chłopcem na całym tym świecie.

Właściwie nie chodzi o to, że Sam spotyka się z kimś, pomyślał, przygotowując się do połączenia z rodzicami, ani nawet o to, że ukryła przed nim ten fakt. W istocie, jak teraz sobie uświadomił, wciąż nie wiedział, czy ta nowa osoba w jej życiu jest dziewczyną czy chłopakiem. Sam zawsze zachowywała się śmiesznie pod tym względem, unikała rozmów na podobne tematy, zirytowana pytaniami, jakby Orlando mógł zmienić zdanie na jej temat, gdyby określiła swoją orientację seksualną. Nie, nie chodziło o to, że ma kogoś, ani nawet o to, że dorasta. Kochał ją, naprawdę kochał, i pragnął, żeby wiodła szczęśliwe życie bez względu na wszystko. Chodziło raczej o to, że nagle przestraszył się na myśl, że być może on sam nigdy nie dorośnie, choć dotąd uważał inaczej, pomimo swojej wyjątkowej sytuacji. Przeszył go nagle dreszcz niepokoju, kiedy przyszło mu do głowy, że może staje się nieważny dla wszystkich ludzi, nie tylko dla Sam, że choć odczuwa upływ czasu w tej Wymyślonej Krainie tak samo jak ona w świecie rzeczywistym, to wszystko, czego doświadcza tutaj, nie przypomina ani trochę dorastania.

Może żeby dorosnąć, trzeba istnieć naprawdę. Może trzeba robić prawdziwe

rzeczy, błaznować na prywatce, przewrócić się i skaleczyć kolano, zakochać się albo choćby... choćby... mieć prawdziwy puls. Może ja nigdy naprawdę się nie zmienię. Będę jak jeden z tych symów – sym czternastolatka. Zawsze. Szybko odrzucił tę przerażającą myśl. Teraz miał przed sobą Rodzinny Wieczór, co nawet w najlepszych okolicznościach było wystarczająco trudnym zadaniem.

Wydawało mu się to trochę nieuczciwe, że nawet po śmierci musi wciąż odwiedzać dom. Nie żeby nie kochał Conrada i Vivien. Właśnie dlatego, że kochał ich tak bardzo, było to dla niego tak trudne.

Wziął głęboki oddech, w sensie metaforycznym – w każdym razie poczuł się tak, jakby wziął głęboki oddech – a gdy to uczynił, przypomniał sobie, że jego rodzice mają dla niego dzisiaj jakąś niespodziankę. Wcześniej poprosili go, aby połączył się z innym miejscem w ich domu zamiast ekranu ściennego. – *Właściwie jest to niespodzianka Conrada* – wyjaśniła matka. Uśmiechnęła się wtedy, lecz on widział, że nie jest do końca zadowolona. Pamiętał dobrze ten wyraz jej twarzy: pojawił się na jej obliczu, kiedy Conrad podarował mu rower na jego jedenaste urodziny. Każdy, nawet sam Orlando, mógł powiedzieć ojcu, że kości syna są zbyt kruche, a mięśnie zbyt słabe na to, żeby choć myśleć o jeździe na rowerze, ale Conrad Gardiner upierał się, że jego syn musi mieć wszelkie szanse na prowadzenie normalnego życia.

Kiedy w ostatnim roku prawie już nie opuszczał łóżka, wreszcie pozbyli się roweru, aby zrobić więcej miejsca na sprzęt medyczny, zapasowe filtry i butle z tlenem. Oczywiście nigdy nie wsiadł na ten rower. Progeria, która zniszczyła jego poprzednie życie i ostatecznie mu je odebrała, była chorobą, która zamieniała dzieci w dygocących starców, a potem zabijała je, najczęściej zanim osiągnęły wiek nastolatków.

Otwierając połączenie, Orlando zastanawiał się, dlaczego nie może połączyć się z nimi przez ekran ścienny, jak zwykle. Lubił kontaktować się z nimi w ten sposób, ponieważ stwarzało to pozory normalnej sytuacji, kiedy dziecko łączy się z rodzicami, jakby po prostu było w szkole w innym stanie, a nie żyło w zupełnie innym wszechświecie.

Może Conrad pozbył się starego ekranu i ma teraz taki z głębokim polem. Wspominał coś o tym, że chciałby zainwestować w ekran stałokrystaliczny.

Połączenie otworzyło się i od razu ujrzał wpatrzonych w niego rodziców. Matka miała łzy w oczach, jak zawsze na początku ich spotkania, ojciec zaś najwyraźniej promieniał dumą. Ale jednocześnie Orlando widział ich w jakiś dziwny sposób i potrzebował chwili, by się zorientować w czym rzecz.

Patrzę przez inny imager, uzmysłowił sobie. Miałem rację, to nowy ekran. I zaraz dotarło do niego, że nawet jeśli jego rodzice sprawili sobie nowy ekran, to zainstalowali go w jadalni, a nie w salonie: za ich głowami widać było stary dębowy kredens, a obok na ścianie plakat z francuskimi tancerkami kankana, który wisiał tam od lat.

–Cześć. Co się dzieje, nowy ekran? – Odruchowo uniósł dłoń, by przesłać mamie pocałunek, co zwykle czynił – jasne, krępowano go to, ale czuł, że powinien wykonywać pewne rzeczy inaczej, skoro nie mógł nikogo dotknąć – a wtedy jakiś cień pomknął ku niemu. Uchylił się, chociaż już dawno temu pozbył się prawdziwego ciała. Zbliżający się obiekt zatrzymał się i zawisł w jego polu widzenia zupełnie jak symulowana dłoń.

Bo to była dłoń, tyle tylko że nie symulowana. Wydawało się, że tkwi przed ekranem jego rodziców, dlatego znalazła się w jego polu widzenia, dziwna, gładka, śniada dłoń wykonana chyba z lśniącej plastali. Zapominając, że przecież nie posiada ciała, wyciągnął ramię, by jej dotknąć. Wtedy obiekt także się wyprostował, oddalając się od niego, jakby

to była jego ręka, która reaguje na jego myśli. Zafascynowany i zaniepokojony, bo już zaczynał się domyślać, o co chodzi, spróbował sprawić, aby palce tamtej dłoni poruszyły się, tak samo jak zrobiłby ze swoją symulowaną ręką. Palce poruszyły się. Tylko że nie należały do żadnego z jego symów, nie było ich nawet w sieci – znajdowały się w jadalni Conrada i Vivien, w świetle rzeczywistym.

–Cholera, co to jest?

–Podoba ci się? – Ojciec kiwał głową, jak zwykł robić zawsze, częstując kogoś domowym piwem, za czasów kiedy jeszcze przyjmowali gości.

No właśnie, pomyślał Orlando. Teraz kiedy już mnie nie ma, znowu mogą zapraszać gości.

–Czy mi się podoba? Ale co to takiego? Jakieś mechaniczne ramię przymocowane do nowego ekranu?

–To nie jest nowy ekran, ale całe ciało. Żebyś, no wiesz, mógł tutaj być. W domu, razem z nami. Kiedy tylko zechcesz.

Orlando dostrzegł już drugie ramię. Napiął je, złączył obie dłonie i spojrzał w dół. Jego pole widzenia przesunęło się i zobaczył cylindryczny, buraczkowy tułów i wyposażone w stawy nogi.

–Ciało?

–Powinienem być wpaść na to wcześniej – powiedział ojciec. – Nie wiem, dlaczego tak się nie stało – przecież twój agent programowy miał niewielki korpus z wszystkimi tymi mechanicznymi nogami, dzięki którym mógł pełzać po całym domu, pamiętasz? Zacząłem się więc rozglądać, aż znalazłem coś, co wydało mi się odpowiednie. To taka zdalnie sterowana postać wykorzystywana do rekonesansów – zdaje się, że zbudowano ją dla misji antarktycznych, a może wojskowych. Dotarłem do kolekcjonera i kupiłem ją od niego. Musiałem tylko zmienić stopy, bo oryginalne bardziej przypominały dłonie. – Najwyraźniej był trochę zdenerwowany, bo w takich chwilach zawsze paplał bez sensu. – Pewnie były lepsze

przy wspinaczce albo chodzeniu po lodzie. Dziwne, że nie wyposażono go w narty, bieżnik czy może...

–Conrad – przerwała mu Vivien – wystarczy. Nie mów już o rękach zamiast stóp. To jest... irytujące. – Zerknęła szybko na Orlanda, który wciąż wyglądał na mocno zdumionego.

–To... z czego ja patrzę?

–Z twarzy – odparł ojciec. – A przynajmniej tak powinno być, dlatego trzeba będzie zmienić to, co masz teraz w miejscu twarzy. Nie chciałem zepsuć niespodzianki, więc teraz na ekranie-twarzy widać całego malutkiego Orlanda.

–Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Chcesz powiedzieć, że ja mogę... poruszać się w tym?

–Jasne, spróbuj! – rzucił entuzjastycznie Conrad. – Przejdź się!

Możesz chodzić po całym mieszkaniu!

–Nie musi, jeśli nie ma na to ochoty – wtrąciła matka.

Orlando napiął mięśnie, czy też wydał mentalne polecenie, które napinało mięśnie w świecie rzeczywistym i lepszych światach wirtualnych. Komiksowe palce przysunęły się do stołu i zacisnęły na jego krawędzi. Przesunął stopy i wstał, a jego pole widzenia się przesunęło, niezbyt pewnie. Kiedy nadstawił uszu, usłyszał delikatny, chlupocący szum sprężających się i rozprężających fibromotorów.

–Pomóc ci?

–Nie, Conradzie. Poradzę sobie. – Wstał i zrobił kilka niepewnych kroków, po czym

zatrzymał się i spojrzał na swoje stopy – ogromne, owalne bryły podobne do butów Myszkii Miki. Poczł się dziwnie w takim niezgrabnym ciele: jego ciała z Innego Świata reagowały jak jego własne i czyniły go silniejszym, szybszym i o wiele bardziej zwinnym, niż kiedykolwiek był w prawdziwym życiu.

Nie zaglądał do łazienki od czasu swojej śmierci. Był zaintrygowany, a nawet dziwnie poruszony, mogąc znowu poruszać się po dawnym domu, ale nie miał pewności, czy mu się to podoba. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze, na tę dziwną postać o patykowatych kończynach. Na ekranie płyty twarzy widać było cały sym Orlanda, przez co wyglądał jak jeden z tych ogromnych japońskich robotów potworów, sterowanych przez człowieka z wnętrza głowy. Wyregulował swój sym, tak że pojawiła się tam tylko twarz, i nagle, choć bynajmniej nie była to jego prawdziwa twarz – nikt, nawet on sam, nie oglądał tego od momentu, kiedy jego fizyczne ciało zostało poddane kremacji – cała jego postać wydała się bardziej prawdziwa i o wiele bardziej niepokojąca.

Czy tego właśnie chcą dla mnie? Tego... czegoś? Wiedział, że Conrad ma dobre intencje, że jego rodzice pragną znaleźć jakiś sposób na to, aby jego obecność w ich życiu stała się bardziej rzeczywista, bardziej fizyczna, ale nie miał pojęcia, czy potrafiłby istnieć, choćby tylko przez krótki czas, w ciele tego plastalowego stracha na wróble.

Spojrzał na twarz, którą prezentował swoim rodzicom, twarz nastolatka stosowną do jego wieku, utworzoną na podstawie rysopisów z różnych policyjnych baz danych, skorygowaną zeskanowanym obrazem czaszki i rysami obojga rodziców. *Twarz dziecka, które powinni byli mieć, pomyślał. Przyklejona tutaj jak lizak na patyku.*

Orlando bardzo się starał. Zasiadł z rodzicami do kolacji i próbował się skupić, gdy oni opowiadali mu o przyjaciółach i krewnych, o pracy i drobnych niedogodnościach życia w pilnie strzeżonej dzielnicy Crown Heights, lecz czuł się bardziej obco niż zwykle. Serwomięśnie jego nowego ciała były toporne, a taktory mniej zaawansowane niż te, do których przywykł: dwukrotnie potrącił kieliszek matki i niemal przewrócił stół, kiedy wstawał po posiłku.

–Chyba będę już leciał – powiedział.

–Wszystko w porządku? – zapytała go matka. – Wydajesz się jakiś przygnębiony.

–Nie, nic mi nie jest. Mam tylko spotkanie w Drones Club.

–W tym angielskim klubie z lat dwudziestych, o którym nam opowiadałeś? – zapytał Conrad. – To musi być interesujące. Wspominałeś chyba, że jest tam teraz wojna, prawda?

–Mniej więcej.– Wciąż trudno było wytłumaczyć rodzicom wszystko, co dotyczyło Johna Stracha i ogromnych zniszczeń, których ten zabójca dokonał w wielu symulacjach Innego Świata w krótkim okresie panowania w systemie jako zły bóg. – Symulacja odradza się powoli, ale pozwoliliśmy, aby działało się to samoczynnie, zamiast wyczyścić zmiany i rozpocząć cykl od nowa, dlatego gdzieniegdzie rozwój wypadków jest dość skanerski. Adaptacje, jak pożar w lesie, zmieniły ekosystem. Zrąbane. – Dostrzegł niepewność na ich twarzach. – „Zrąbane”? To znaczy zabawne. Zabawne w dziwny sposób.

–Wiesz tak dużo na ten temat – powiedziała matka. – O całej tej skomplikowanej sieci. Tyle się nauczyłeś. Naprawdę uczyniłeś wiele, żeby odnaleźć się w... – Vivien Fennis miała już powiedzieć „w tej strasznej sytuacji”, ale oczywiście była zbyt doświadczona, zbyt bystra, żeby zniszczyć obraz dumnej mamy, jaki przed nim malowała. – Żeby odnaleźć się w swoim życiu w tym nowym świecie. A właściwie

w nowym wszechświecie. Wciąż trudno nam w to wszystko uwierzyć czy choćby to pojąć.

–Zdobyłeś tam wiedzę godną naukowca najwyższej klasy – wtrącił Conrad. – Nawet jeśli nie jest potwierdzona dyplomem. Ale w końcu doświadczenie ma swoją wagę, prawda? Może kiedyś...

–Wszystko to musi pozostać w tajemnicy – ja, sieć Innego Świata, wszystko. Inaczej rozpoczęłyby się nie kończące się procesy o to, kto jest właścicielem sieci. Jest warta gazylardy. W najlepszym wypadku armia rozebrałaby ją na części i wykorzystała do własnych celów. Dobrze o tym wiecie. – Orlando starał się delikatnie rozwiać fantazje Conrada, ale musiał to zrobić: co kilka miesięcy Conrad snuł pełne nadziei, zupełnie niepraktyczne plany, przy których ten śniady robot wydawał się czymś całkiem normalnym. – Posłuchajcie, sprawy mają się tak, że już nigdy nie będę żył w prawdziwym świecie. Przykro mi. Też chciałbym dorastać tutaj i wieść życie, jakiego pragnęliście dla mnie. – Wziął głęboki oddech: czuł, że ogarnia go irytacja, a nie chciał tego. Dlaczego wszyscy mieli jakieś idiotyczne oczekiwania co do jego osoby? Rozumiał swoich rodziców, ale brak wiary Sam w niego wciąż go bolał. – Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia. To i tak jest o wiele lepsze, niż być martwym. Nie zamartwiajcie się o mnie. Jak sami powiedzieliście, ta sieć to cały nowy wszechświat i właśnie ja mogę go badać. Jestem szczęśliwy.

Szczęśliwy czy nie, zaczął czuć się tak, jakby brakowało mu powietrza. Żegnając się z rodzicami, starał się zachować pogodny nastrój do tego stopnia, że pozwolił im nawet uściskać ciało robota, choć było to dziwaczne i nieco żenujące doświadczenie, zapewne także i dla Conrada. Kiedy sadowił mechaniczną postać na krześle, żeby się nie przewróciła, kiedy już ją opuści, ogarnęło go w końcu wyraźne przygnębienie. Wydostanie się z tego okropnego, buczonego więzienia i powrót do wolności sieci przypominały długo oczekiwane wyzwolenie się ze źle dopasowanego, drapiącego swetra, świątecznego prezentu od ciotki, która wreszcie poszła do domu.

Do zebrania Towarzystwa Obieżyświatów pozostało jeszcze pół godziny, szedł więc wolno ulicami Londynu z powieści P. G. Wodehouse'a, zatopiony w rozmyślaniach.

Przed pojawieniem się Stracha ta symulacja była małym, pełnym blasku światem przepelnionym niezmaconą radością; przedstawiała Londyn, w którym biedni byli zadowoleni ze swojego losu, a pozbawieni wyrzutów sumienia bogaci mogli się skupić na takich istotnych dla nich sprawach, jak zjedzenie naprawdę dobrego śniadania albo uniknięcie spotkania z okropnymi ciotkami (które mogły nagle się pojawić i zepsuć wspomniane wcześniej śniadanie, podobnie jak miliony innych niewinnych rozrywek). Teraz tamten Londyn stał się zupełnie innym miejscem. Niczym jakiś demagogiczny socjalista, którego nie potrafiliby wymyślić nawet najbardziej paranoidalni torysi, John Strach najpierw rozwścieczył, a potem uzbroił klasę robotniczą tego miasta – grupę niezbyt liczną w świecie Wodehouse'a, ale nie całkiem nieobecną. Hordy złożone głównie z ogrodników, lokai, szoferów, gońców, pokojówek i kierowców taksówek napadły na ulubione miejsca wyższych sfer, oblegając i atakując bogaczy w ich posiadłościach, apartamentach w Kensington i klubach. Całe dzielnice stanęły w ogniu, kiedy socjaliści i anarchiści o błędnym wzroku, którzy dotąd istnieli bardziej w pogłoskach, stali się rzeczywistością, a do tego okazali się w wielu przypadkach wytrawnymi podpalaczami. Doszło nawet do masakr, publicznych rzezi wrogów klasowych – ofiarą była ta klasa, która w danym momencie przegrywała w konflikcie – chociaż dzięki pogodnej atmosferze świata Wodehouse'a nawet straszne skutki poczynań Stracha szybko ustąpiły, gdy tylko ustał jego bezpośredni nadzór

nad symulacją. Mimo to zaimam Sellars

i Kunohara zdołali zniwelować rezultaty interwencji Stracha – kilka tygodni po usunięciu samego Stracha – miasto pogrążyło się w stanie dziwnego zmierzchu, który stanowił połączenie atmosfery Londynu po bombardowaniach i błędnego bezprawia charakteryzującego jego wcześniejsze elżbietańskie wcielenie, urozmaicone mrocznymi cieniami, które przywarły do dziewiętnastowiecznego miasta w czasach zbrodni Kuby Rozpruwacza.

Na Curzon Street pełno było powozów i koni – tylko nieliczne samochody przetrwały Nieprzyjemność, jak nazywano okres terroru – dlatego Orlando musiał wciąż patrzeć pod nogi, kierując się do Hyde Parku. Obozy bezdomnych, które pojawiły się w pierwszych tygodniach rozruchów, nabrały cech stałych osiedli i teraz wieczorny chłód rozświetlały ogniska. Nie było rzeczą rozsądną zbyt swobodnie spacerować po parku – zdesperowani, zziębnięci i wygłodniali ludzie już dawno wybili wszystkie wiewiórki z parku i wodne ptactwo ze stawu Serpentine, a także ścięli na opał większość pięknych starych drzew. Wielu spośród bogatszych mieszkańców miasta, którzy sądzili, że skoro skończył się okres Nieprzyjemności, to znowu będzie można pojeździć konno aleją Rotten Row, przekonało się, że końskie mięso może przybyć do parku na własnych kopytach, jak za dawnych czasów, ale opuszcza go jedynie w jakimś żołądku.

A jednak jeśli istniał ktoś, kto mógł przechadzać się po Hyde Parku, nie bacząc na swoje bezpieczeństwo, był to właśnie Orlando Gardiner, nieśmiały półbóg systemu, półbóg, który miał wiele do rozważenia.

Czy czegoś nie rozumiem? Conrad i Vivien mają dobre intencje. Dlaczego tak trudno jest ich zadowolić? W końcu jestem ich jedynym dzieckiem i wiadomo, że sprawy nie ułożą się tak, jak pragnęli – żadnych szkolnych nagród, żadnych dziewczyn, małżeństwa ani wnuków... Jednak bez względu na to, jak bardzo się starał, czuł jedynie nieodpartą odrazę do myśli o tym, że znowu się znajdzie w tamtym zdalnie sterowanym ciele. Wcale nie poczuł się w nim bardziej naturalnie, wręcz przeciwnie, w jeszcze większym stopniu odczuł różnicę między jego nowym życiem a starym, jakby prawdziwy świat zamienił się w obcą planetę, przybrał postać toksycznego środowiska, w które Orlando może wejść jedynie w chrobocącym kombinezonie robota. Lecz fakt, że tak właśnie odbierał świat rzeczywisty przez ostatnie trzy lata, nie miał znaczenia; dopóki miał możliwość kontaktowania się z rodzicami telefonicznie, mógł sobie wyobrażać, że odbywa roczną służbę w siłach ONZ w Afryce czy coś w tym rodzaju, ale teraz ojcowskie pragnienie naprawiania rzeczy mogło skruszyć pracowicie budowany mur iluzji Orlando.

Jednak najmocniej poruszyła go tak naprawdę rozmowa z Sam. Nie chciał być kimś, kto nigdy nie dorośnie, kto się nie zmieni bez względu na doświadczenia. To wydawało się gorsze niż kombinezon robota – było porównywalne z prawdziwą śmiercią. Stałby się kimś w rodzaju ducha.

Duch w martwym świecie. Nic się nie zmienia, ani ja, ani te światy.

Skręcił przez park w kierunku Dover Street, gdzie znajdował się klub. Grupy młodych chuliganów stały wokół ognisk rozpalonych w koszach na śmieci, wyśpiewując prześmiewcze serenady do swoich rywali. Wyglądało na to, że szykują się do czytania – w lokalnym slangu „czytanie i pisanie” oznaczało bitwę gangów.

Żyją swobodnie, upomniał samego siebie. Nie mój interes. Wciąż dochodzi tu do bójek, a ja nie mogę się tu zjawiać za każdym razem, żeby ich rozdzielić.

Spojrzał na roześmianych młodzieńców w szalikach, rękawiczkach bez palców i ukradzionych cylindrach, ubranych jak urwisy z Dickensa. Niektórzy z nich bez żenady

ostrzyli noże i brzytwy. W normalnym cyklu tego symświata całe ich zło polegałoby na tym, że ciskaliby śnieżkami w nie spodziewającego się niczego pastora albo grubego wuja, ale nawet ten dowód pewnej elastyczności ambicji dopuszczzonej przez system nie zmienił odczuć Orlanda. Być może ci chuligani przystosowali się do wysokiego poziomu miejscowego chaosu, jednak wciąż pozostawali takimi samymi pomniejszymi postaciami, jakimi byli w poprzednich wersjach tego świata. Stawało się jasne, że pomimo wcześniejszych optymistycznych przepowiedni Kunohary i Sellarsa pewna głębia rzeczywistości, nuta nieprzewidywalności, zgasła w sieci Innego Świata na dobre wraz ze śmiercią systemu operacyjnego. To, co pozostało, wciąż było niesamowicie złożone, ale całkowicie pozbawione życia.

Nic dziwnego, że wszyscy nieustannie mnie pytają, czy wszystko w porządku. A przecież problem tkwi nie we mnie, lecz w tej sieci. Nic tu się naprawdę nie zmienia, a jeśli nawet, to przypomina to bluszcz, który rozrasta się dziko na czyimś podwórku – te same zmiany, które powtarzają się w nieskończoność. To nie jest świat, który się rozwija, raczej duża zepsuta zabawka, i nawet jeśli jest to bardziej skomplikowane niż wszystko inne, co kiedykolwiek wykonano, to i tak zawsze będzie miało się nijak do życia w prawdziwym świecie. Orlando uzmysłowił sobie, że to nie brak innych ludzi go przygnębia – symy zamieszkujące liczne światy były zdumiewająco zróżnicowane i zdolne do autoaktualizacji, ich oprogramowanie interaktywne było bardzo elastyczne, a przygotowane wcześniej historie tak rozległe, że w większości przypadków nie dało się ich poznać na tyle dobrze, aby odkryć luki w ich niemal doskonałym naśladowaniu życia. On jednak wiedział, że nie są prawdziwe, i na tym polegał w dużej mierze problem. Był także najpotężniejszą osobą w tym miniaturowym wszechświecie – Sellars odszedł, a Hideki Kunohara bywał często zajęty – co jeszcze bardziej zakłócało równowagę między nim samym a jego współmieszkańcami.

Tak, oto kim jestem, uzmysłowił sobie. Nie jestem Aragornem ani Lone Rangerem. Raczej Supermanem, tak jak powiedziała Sam. Jestem jedyny w swoim rodzaju w tych światach i spędzę życie na udzielaniu pomocy ludziom, którzy są niższymi istotami – którzy nigdy nie wydadzą mi się prawdziwi. Mam na to mnóstwo czasu, ponieważ mogę żyć wiecznie.

Po raz pierwszy odkąd ponownie narodził się w systemie, jego potencjalna nieśmiertelność wydała mu się bardziej ciężarem niż darem.

Zebranie już się zaczęło, ale inni spóźnialscy wciąż wchodzili do Salonu Bertrama W. Woostera – sali upamiętniającej, jak się dowiedział Orlando, byłego członka Drones Club, którego udusił tłum rozwścieczonych bagażowych w czasach Nieprzyjemności. Orlando zabrał swoją coca-colę i zajął miejsce z tyłu. Początkowo jego prośba o ten napój wprawiała w zakłopotanie obsługę baru, ale w końcu interweniował właściciel klubu i odtąd przy każdej wizycie Orlanda czekała na niego butelka syropu i syfon z wodą sodową.

Oczywiście przychodził tam tylko na zebrania – symulacja Wodehouse'a nie należała do jego najbardziej ulubionych miejsc, poza tym Orlando unikał przynależności do jakichkolwiek klubów, nawet za życia, lecz Towarzystwo było inne.

–Zanim powitamy dzisiejszego prelegenta – mówił przewodniczący – przeczytam kilka istotnych ogłoszeń, wiadomości od członków, którzy nie mogli przybyć na spotkanie, ale mają coś ważnego do zakomunikowania. – Przewodniczący, sir Reginald de Limoux, przystojny, szczupły mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, miał orli nos i opaleniznę, jaką w tym świecie mogli się poszczycić pracownicy fizyczni albo

podróżnicy. Bez wątplenia nie należał do tych pierwszych. – Przejście między Bizancjum Chryzostoma a Toylandią nie jest już bezpieczne. W Toylandii wciąż nie ma spokoju, a pewna grupa militarna opanowała sklep, w którym otwiera się portal, i założyła tam swoją kwaterę główną. Są to drewniani żołnierze, więc jeśli nie jesteście termitami, powinniście raczej unikać tego przejścia. – Kilkoro członków klubu roześmiało się uprzejmie. – Odwiedzający Toylandię mogą jednak korzystać z przejścia w lesie, którego strzegą grupy bardziej sprzyjające swobodnym podróżom. Co do podróży, to otrzymaliśmy raport o odkryciu nowego przejścia w Beninie, w oazie tuż za granicami miasta...

De Limoux podawał kolejne ogłoszenia, a Orlando popijał colę, przyglądając mu się uważnie. Zastanawiał się, ile ze swojej źródłowej osobowości zachował przewodniczący. Był jednym z cieni Jongleura, wykonanych na podstawie kopii zdjętych z Feliksa Jongleura, wiekowego przemysłowca i pierwotnego pana Innego Świata, który planował wieczne życie w swojej sieci jako bóg sprawujący rządy w licznych światach. I rzeczywiście Jongleur osiągnął swoistą nieśmiertelność, podobnie jak wielu innych bogatych, potężnych i wielce niegodziwych założycieli Bractwa Graala, lecz nie w sposób, w jaki on czy inni mieli nadzieję ją uzyskać.

Kopie te nigdy nie zostały wykorzystane w celu, w którym je stworzono – miały bowiem posłużyć za podstawę do stworzenia nieśmiertelnych, opartych na informacji wcieleń ich właścicieli, tymczasem uległy zniekształceniu w ostatnich burzliwych dniach życia pierwotnego systemu operacyjnego i pozwolono im rozproszyć się po całym systemie. Nikt nie wiedział, ile ich jest ani jakim zmianom uległy, ponieważ nie można było w bezpieczny sposób wytropić indywidualnych symów w tak dużej sieci. Orlando Gardiner, pełniący

funkcję konserwatora sieci, związał się z Towarzystwem Obieżyświatów między innymi dlatego, że mógł śledzić losy licznych klonów ludzi z Bractwa Graala, które trzymały się klubu, wiedzione być może podświadomym impulsem.

Początkowo Orlando dziwił się, że Kunohara i Sellars, którzy posiadali największą wiedzę o systemie Innego Świata, nie spróbowali usunąć tych pozostałości pierwotnych panów sieci. Utrzymywali jednak, że nawet gdyby udało się odnaleźć wszystkie kopie, nie musiałyby one automatycznie być przestępcami, tak jak dzieci złodzieja nie muszą być złodziejami, a także że nawet najbardziej nikczemni członkowie Bractwa Graala nie byli gorsi od innych okropnych symów, naturalnych mieszkańców sieciowych światów. Panowie Graala byli niebezpieczni, bo mieli pieniądze i wpływy, a także sprawowali z zewnątrz kontrolę nad siecią. W obrębie sieci te klony i kopie powstawały od nowa, jedne z wyraźnymi defektami osobowości, które pojawiały się w większości wcieleń, za to inne z zaskakującymi skłonnościami do przeistoczenia się w uczciwych obywateli. Obserwując przewodniczącego Towarzystwa, Orlando pomyślał, że ta konkretna wersja Jongleura, sir Reginald de Limoux, stanowiła wypośrodkowaną kopię – porywczy i bez wątpienia nie pozbawiony ambicji, ale na pewno nie skończony czarny charakter.

Innym przywilejem, którym pierwotny system operacyjny obdarzył cienie Graala i nieliczne podobne im istoty – między innymi kopie prawdziwych przyjaciół i znajomych Orlanda, takich jak Anglik Paul Jonas – była możliwość w miarę swobodnego poruszania się po światach sieci. Oni też, jako jedyni spośród wszystkich symulowanych dusz w sieci, wiedzieli o istnieniu światów poza granicami symulacji, w której żyli. W przeciwieństwie do Orlanda podróżnicy ci nie rozumieli, kim są ani w jakim wszechświecie żyją, niemniej jednak posiadali pewną wolność myśli, która wyróżniała ich spośród pozostałych symów.

W rzeczywistości byli oni najbliżsi Orlandowi w obecnej chwili. Po spotkaniach Obieżyświatów pozostawał w Drones Club, przysłuchując się wesołym opowieściom i przechwałkom członków Towarzystwa, ponieważ przywodziło mu to na myśl szczęście, które kiedyś znalazł w tawernach poszukiwaczy przygód w starej grze Środkowego Kraju.

A poza tym nawet najbardziej niesamowite opowieści podróżników zawierały cenne dla niego informacje. Może i Orlando był strażnikiem wyposażonym w boskie moce, ale i tak nie potrafił ugasić każdego zarzewia konfliktu w czterystu różnych światach.

Kiedy przewodniczący przedstawił wszystkie ogłoszenia, zapowiedziany prelegent zajął miejsce na mównicy i rozpoczął opowieść o swojej ostatniej wyprawie. Wyglądało na to, że ten dżentelmen zapaścił się do Troi i Xanadu, dwóch symświatów dobrze znanych Orlandowi, dlatego Orlando skupił się na innych sprawach. Tak bardzo pochłonęły go rozważania o tym, w jaki sposób ponownie skontaktować się z Sam, że nie usłyszał znaczących chrząknięć za plecami aż do chwili, kiedy stojąca z tyłu osoba klepnęła go w ramię.

–Panie Roland? Ktoś pilnie chce się z panem zobaczyć. – Osobą tą był Jeeves, właściciel

Drones Club, wysoki mężczyzna o twarzy pokerzysty, który, jak mówiono, w czasach przed Nieprzyjemnością był kamerdynerem, ale potem bardzo szybko wspiął się po drabinie społecznej. – Słyszał mnie pan, panie Roland?

Dopiero po dłuższej chwili Orlando rozpoznał pseudonim, który nosił w tym świecie.

–Przepraszam. Ktoś chce się ze mną spotkać? – Czyżby to był znowu Beezle, ubrany w coś absurdalnego, na przykład szkocki pas albo hełm tropikalny? Ale przecież Orlando zakazał swojemu agentowi kontaktować się z nim bezpośrednio jedynie w Rivendell, swoim ulubionym schronieniu; trudno było mu odpocząć i rozkoszować się śpiewem elfów i blaskiem ognia, kiedy kilkakrotnie w ciągu godziny nękał go programowy agent z tym swoim ochryłym głosem i manierami brooklyńskiego taksówkarza.

–Tak, proszę pana, ma pan gościa – rzekł Jeeves, nachylając się do niego. – Młoda dama. Bardzo atrakcyjna, że się tak wyrażę, ale chyba nieco... onieśmielona. Pozwoliłem sobie posadzić ją w ustronnym miejscu – niektórzy ze starszych bywalców klubu wciąż mają dość konserwatywne pojęcie o kobietach. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale powiedziała, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki, a z jej słów wywnioskowałem, że może to być coś, co chciałby pan omówić z nią... na osobności.

Orlando spojrzał uważniej na mężczyznę: surowe usta, wysokie, świadczące o inteligencji czoło. Jeeves nie powinien wiedzieć, kim są naprawdę Obieżyświaty – oficjalnie stanowili oni grupę zwykłych podróżników i poszukiwaczy, którzy spotykali się w klubie raz w miesiącu – nie powinien też wiedzieć, kim naprawdę jest Orlando Gardiner. Zawsze jednak spoglądał na Orlanda z dużą estymą i błyskiem w oku, jakby podejrzewał, że jest on kimś więcej, niż wydaje się być. Orlando zaś często zastanawiał się, czy aby sam Jeeves nie jest jednym z maskujących się Obieżyświatów. Jeśli tak było, to znalazł sobie doskonałą kryjówkę, tuż pod nosem Towarzystwa.

Zanotował w pamięci, aby w wolnej chwili dokładniej przyjrzeć się temu Jeevesowi, po czym odwrócił się i spojrzał w głąb sali. Członkowie Towarzystwa pograżyli się w uprzejmej, ale swarliwej dyskusji na temat nowej wyprawy. Orlando wiedział, że będą się spierać przez następne pół godziny i zapewne nie skończą dyskusji w tym miesiącu. Wyprawy wymagały środków, a ci spośród Obieżyświatów, którzy posiadali własne fortuny w jednym z symświatów, rzadko kiedy mogli przenosić swoje zasoby albo rzeczywiste środki z jednej symulacji do drugiej. Faktycznie jedynym kapitałem, którym mogli dysponować w każdym miejscu, była ich wiedza, dlatego też większość członków

Towarzystwa ceniła sobie swoje członkostwo niemal tak bardzo jak życie. Wstał, przekonany, że w tym barze nie wydarzy się już nic, czym nie mógłby zająć się później.

Jeeves poprowadził go do drzwi osobnej sali, po czym odszedł korytarzem równie cicho jak grasujący kot. Orlando wszedł do przytulnego pomieszczenia i niemal wpadł na ubraną w jasną sukienkę młodą kobietę, która grzała dłonie przy ogniu. Dopiero kiedy wyciągnął

przed siebie rękę, by utrzymać równowagę, zorientował się, że wciąż trzyma coca-colę.

–Przepraszam – powiedział i postawił szklankę na gzymsie kominka. – Nazywam się Roland. Powiedziano mi, że szuka mnie pani.

Była ładną kobietą, tak jak mówił Jeeves, typem wielkookiej, szczupłej piękności o ciemnych, kręconych włosach i rumieńcu na policzkach, który podkreślała jeszcze jej niemal przezroczyta skóra. Spojrzała na niego z lekkim niepokojem, jakby spodziewała się, że w każdej chwili może rzucić się na nią albo, co gorsza, ją wyśmiać.

–Być może się pomyliłam. Powiedziano mi... Myślałam, że zastanę tu osobę, której szukam. Podano mi nazwisko Roland, a ja szukam Orlanda Gardinera. – Przyjrzała mu się uważniej, jakby była krótkowidzem albo szukała podobieństwa u nowo poznanego odległego krewnego, a potem na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji. – Ale to nie pan. Nigdy wcześniej pana nie widziałam.

Zdziwił się, że jego prawdziwe imię padło z ust syma i że właśnie mu powiedziano, iż nie jest sobą, lecz kiedy tylko usłyszał głos kobiety, potwierdziły się przypuszczenia, które powziął w chwili, gdy ją zobaczył. Ta młoda kobieta była kolejnym cieniem Avialle Jongleur, albo jedną z oryginalnych kopii zmarłej córki Feliksa Jongleura, albo też duplikatem wykonanym z tamtych kopii podczas ostatnich dni istnienia systemu operacyjnego. Prawdziwa Avialle była obsesyjnie zakochana w Angliku Paulu Jonasie, dlatego większość kopii, a na pewno wszystkie utworzone z żywej Avialle po jej spotkaniu z Jonasem, zachowała to zaślepienie. Podczas podróży dręczonego zanikiem pamięci Jonasa po sieci Innego Świata kopie pojawiały się w różnych przebraniach, czasem dodając mu otuchy, kiedy indziej mu pomagając albo też błagając o jego miłość i zrozumienie.

Ale żadna z nich nigdy nie miała nic wspólnego z Orlandem, zatem nie miał on pojęcia, dlaczego któraś miałaby go szukać, i to pod jego prawdziwym imieniem.

–Twierdzi pani, że nigdy dotąd mnie nie widziała. – Wskazał jej fotel. – Sprawiała wrażenie gotowej zerwać się do ucieczki niczym królik po usłyszeniu najmniejszego szelestu, co go bardzo zaintrygowało. – Muszę przyznać, że też pani nie rozpoznaję. Natomiast znam kogoś o imieniu Orlando Gardiner i może mógłbym przekazać mu wiadomość. Czy może pani przedstawić mi swój problem? – Zdał sobie sprawę, że atmosfera otoczenia coraz bardziej mu się udziela, przez co zaczyna mówić jak mieszkaniec tego symświata.

–Och. Pan... go zna? – Spojrzała na niego z nadzieją, lecz była to nadzieja zmieszana ze smutkiem, jakby właśnie usłyszała, że zamiast tortur ofiarowano jej łaskę szybkiej śmierci. – Gdzie mogę go znaleźć?

–Proszę powiedzieć, o co chodzi. Obiecuję, że mu to przekażę.

Z wahaniem podniosła dłoń do ust. Była bardzo blada, lekko drżała, lecz Orlando dostrzegł teraz w jej ogromnych oczach determinację, która kłóciła się z jej wyglądem. *Pewnie wiele*

ryzykowała, żeby tu przybyć, pomyślał. *Chyba bardzo jej zależy na tym, abym dostał tę wiadomość.*

–Dobrze – odezwała się wreszcie. – Nie mogę już bardziej pogрузić się w hańbie.

Zdam się na pańską dyskrecję, panie Roland. Ufam, że zachowa się pan jak dżentelmen. Proszę przekazać panu Gardinerowi, że muszę się z nim zobaczyć możliwie jak najszybciej. Znalazłam się w straszliwych opałach. Straszliwych. Jeśli nie spotka się ze mną, to nie wiem, co zrobić. – Kurtyna jej powściągliwości nagle opadła, w jej oczach zalśniły łzy. – Jestem zdesperowana, panie Roland!

–Ale dlaczego? – Orlando próbował znaleźć chusteczkę, bez powodzenia, lecz ona zdążyła wyjąć własną z rękawa i już ocierała twarz. – Przykro mi, panno... pani... Obawiam się, że nie wiem, jak się pani nazywa. Proszę posłuchać, nie chcę pogarszać spraw, ale naprawdę muszę wiedzieć, dlaczego pragnie pani się z nim spotkać, zanim przekażę mu wiadomość.

Kiedy spojrzała na niego, jej oczy wciąż lśniły od łez, lecz wydawało się, że podjęła decyzję. Jej usta przestały drżeć. Przemówiła głosem pełnym godności przemieszanej z samokrytycyzmem:

–Nie jest to znowu jakaś niezwykła historia w tym naszym niegodziwym świecie, panie Roland. Nazywam się Li via Bard. Jestem nie zamężną kobietą, która zaszła w ciążę. Z panem Gardinerem.

A potem nagle, jakby osiągnęli punkt kulminacyjny jakiejś doskonałej sztuczki magicznej, młoda kobieta po prostu rozplynęła się w powietrzu.

Znaleźć jedną kobietę w jakichś czterystu symświatach, z których każdy ma wielkość prawdziwego kraju, kilka milionów symulowanych mieszkańców i żadnego centralnego systemu śledczego? jasne, żaden – problem. Bułka z masłem. Ostatnimi czasy trudno mu było rozweselić nawet samego siebie.

–Beezle? Masz jakieś wieści z tego kraju w Amazonii, tego całego Zaginionego Świata z dinozaurami? Jak on się nazywa?

–Klonowa Biała Kraina, szefie. Tak, mamy potwierdzenie. Rzeczywiście, zdaje się, że jest to jeszcze jedna kopia Avialle Jongleur, ale inaczej wygląda i posługuje się innym nazwiskiem – Valda Jackson czy jakoś tak. Jest też starsza, o ile nasz informator się nie myli. Nie zachowuje się też raczej jak kobitka w ciąży. Prowadzi ekspedycje w głąb terytorium i chleje jak szewc.

–Fenfen. – Orlando rozejrzał się po przestronnym pokoju i zmarszczył brwi. Z zewnątrz dochodziło melodyjne szemranie rzeki, a powietrze przenikała woń roślinności, lecz tym razem nie dawało mu to ukojenia. Musiał przyznać, że nie czuje się już w Rivendell tak dobrze jak kiedyś i że nie jest już ono miejscem, w którym najlepiej mu się pracuje, choć

pozwolił, aby Beezle kontaktował się z nim w tej symulacji, nie meldując się osobiście. Ostatecznie nie chciał zamienić Ostatniego Przyjaznego Domu, rajy z czasów jego dzieciństwa, w tętniącą pracą stolicę Orlandii. Może powinien przenieść swoją bazę operacyjną. – Minęły trzy miesiące, a ta kobieta mogła równie dobrze wyparować z kodu sieciowego, tyle udało się ustalić. Gdzie ona jest?

–Szefie, to jest akcja poszukiwawcza. Przecież mówiłeś, że tu nie ma żadnego centralnego systemu rejestracyjnego. Na to trzeba czasu. No, ale tego to ci chyba nie brakuje, jak mi się zdaje.

–Jeśli będę chciał posłuchać filozoficznych wykładów, to sobie kupię moduł z wtyczką programową. Kiedy już się skontaktujesz z Sam, zapytaj ją, czy możemy się spotkać w jakimś innym miejscu. Niech sama wybierze.

–O panie, twe życzenie jest dla mnie rozkazem.

–Ładnie tu, prawda? Zawsze lubiłam japońskie herbaciarnie i tym podobne.

Orlando zmarszczył nos.

–Chyba pierwszy raz słyszę, jak używasz słowa „ładnie” w innym kontekście niż „No, Gardiner, ładnie namieszałeś”.

Sam Fredericks zmarszczyła nieco czoło, lecz jej samurajski sym zamienił to w grymas, który byłby ozdobą maski no.

–A co to ma znaczyć? Że stałam się typową dziewczyną czy co?

–Nie, nie. – Czuł się przygnębiony. Od incydentu z Livią Bard widział się kilkakrotnie z Sam, ale wciąż nie nadawali na tych samych falach. – Po prostu nie spodziewałem się, że wybierzesz takie miejsce na nasze spotkanie.

–Zawsze opowiadasz o tym, jak bardzo ci się tu podoba. – Spojrzała na zewnątrz herbaciarni. Za otwartymi panelami ściany i dalej za ogródkiem ze skalniakami, piaskiem i drzewkami rozciągał się widok na drewniane dachy miasta. Po drugiej stronie Nihon-Bashi, okazałego drewnianego mostu nad Sumidą, wznosił się dumnie zamek Edo.

–Najbardziej podoba mi się wojenna część tej symulacji, chociaż jej cykl już się prawie skończył: szogun zainstalował się już na dobre. No i broje tutaj są *ho dzang*.

–*Ho Dang!* Dawno już nie słyszałam, żeby ktoś tak się wyrażał. – Dostrzegłszy wyraz jego twarzy, dodała pospiesznie: – Tak, broje mają świetne, zwłaszcza hełmy z tym czymś wystającym – przy nich twoje elfy wyglądają dość marnie. Ale muzyka mnie nie bierze. Zawsze przypominała mi miauczenie nieszczęśliwych kotów.

Orlando klasnął w dłonie, odsyłając gejszę, która grała cicho *Jiulę* na shamisen. Teraz słyhać było jedynie dochodzące z ulicy w dole ochryple zawrozenie handlarza wodą.

–Teraz lepiej?

–Chyba tak. – Spojrzała na niego uważnie. – Przepraszam, że tak trudno było się ze mną skontaktować. Jak tam twoje szlachetne poszukiwania?

–Szlachetne poszukiwania? Jak te, które prowadziliśmy w przeszłości w Środkowym Kraju?
– Opanował nagły przyływ strachu – czy Sam uważa, że on w ogóle się nie zmienił? –
Chodzi ci o tę kobietę w ciąży.

–Tak. – Zmusiła się do uśmiechu. – To szlachetne poszukiwanie, Orlando, bo ty jesteś typem szlachetnego faceta.

–Choć, jak się zdaje, uwiodłem tę biedną dziewczynę, a potem ją porzuciłem. Postępek, który wśród ludzi raczej nie uchodzi za szlachetny.

Sam zmarszczyła brwi, ponieważ tym razem zirytowała ją jego nonszalancja.

–Przecież tego nie zrobiłeś. Tylko dlatego, że pojawił się jakiś twój sklonowany występny sobowtór...

–Może, ale nie sądzę. Nie znalazłem ani śladu jakiegś kopii mojej osoby. Wierz mi, kazałem Beezle’owi przeczesać wszystkie dane, jak tylko od nowa uruchomiliśmy sieć.

–A myślałam, że nie ma tu żadnego głównego archiwum czy czegoś takiego.

–Bo nie ma, ale istnieje pewna nieoficjalna baza, którą założył Kunohara, kiedy razem z Sellarsem ponownie uruchomili sieć, i teraz większość poszczególnych światów ma własne bazy będące częścią symulacji. Na przykład świat Wodehouse’a, w którym spotkałem tę kobietę, otworzył się mniej więcej w wersji prawdziwego Londynu z początku dwudziestego wieku, a zatem posiada rejestry urodzin i zgonów, książki telefoniczne i tym podobne. Dane są czasem trochę pokręcone, ponieważ jest to raczej świat komediowy, ale z pewnością nie ma tam najmniejszej wzmianki o Livii Bard.

–A zatem uważasz, że przybyła z innego miejsca. To znaczy, że jest jednym z tych podróżników, którzy mogą przemieszczać się swobodnie z jednego świata do drugiego. Nie pamiętam – czy wszystkie cienie córki Jongleura miały takie możliwości?

Pokręcił głową i poczuł wysoko związane włosy.

–Nie wiem. Zawsze należały do najbardziej nieobliczalnych cieni, ponieważ system operacyjny mocno przy nich majstrował. – Odchylił się do tyłu, obracając w dłoniach czarkę z herbatą. Łatwo było uwierzyć w to, że ta tajemnicza kobieta sądzi, iż jest w ciąży – wiele

spośród cieni Avialle żywiło podobne przekonanie, ponieważ prawdziwa Avialle była w ciąży, przynajmniej przez jakiś czas. Orlando dokładnie sprawdził relacje Sellarsa oraz notatki Kunohary, usiłując zrozumieć cokolwiek, i chociaż wiele rzeczy usłyszał bezpośrednio z ust Paula Jonasa, była to bardzo dziwna i trudna do zrozumienia historia.

–Orlando?

–Wybacz, Sam. Zamyśliłem się.

–Chciałam cię tylko zapytać... czy jesteś absolutnie pewny, że... że tego nie zrobiłeś?

–Czego nie zrobiłem?... Fenfen, Fredericks, pytasz o to, czy jej nie zapłodniłem? – Poczuł, jak jego policzki pokrywa rumieniec, który absolutnie nie przystoi samurajowi.

Sam wyglądała na nieco zmieszana.

–Nie chciałam wprawiać cię w zakłopotanie.

Pokręcił głową, choć zdecydowanie czuł się zakłopotany. W chwili śmierci był czternastoletnim inwalidą, któremu choroba odebrała normalne dzieciństwo i dojrzewanie. Obdarowany życiem po śmierci, a także zdrowiem i wigorem, o jakich wcześniej nawet nie śnił, jak również niemal całkowicie pozbawiony nadzoru dorosłych, oczywiście pozwalał sobie na eksperymenty. Początkowo świadomość, że jego partnerki są w pewnym sensie nie bardziej prawdziwe niż to, co można było wypożyczyć z najbardziej prymitywnych pornowców, nie przeszkadzała mu zbytnio, podobnie jak dwuwymiarowość ilustracji w pismach z gołymi panienkami nie martwiła wcześniejszych pokoleń, ale te nowe doświadczenia szybko mu się znudziły, a on poczuł się samotny i cokolwiek zde gustowany całą sytuacją. Ponadto obiecał sobie, że nigdy nie zbliży się do żadnej z członkiń Towarzystwa Obieżyświatów, bo żywił mieszane uczucia co do ich pochodzenia, tak więc tym samym został pozbawiony możliwości nawiązania bliższych kontaktów z osobą posiadającą wolną wolę.

Oczywiście miłość i seks nigdy nie należały do tematów, które potrafił poruszać swobodnie w rozmowach z Sam Fredericks.

–Ujmę to w ten sposób – odezwał się wreszcie. – Gdybym był w sytuacji, w której mogłoby do tego dojść, tobym o tym pamiętał. Ale, Sam, to i tak nie ma znaczenia. Ona nie jest prawdziwą osobą, a ciąża też nie jest prawdziwa – ona jest tylko konstruktem!

–Ale czy nie wszystkie kopie tej jak-jej-tam Jongleur były w ciąży? Wszystkie sądziły, że tak jest, albo przynajmniej niektóre z nich, no nie?

–Avialle Jongleur. Owszem, ale jak mówiłem, to nie są rzeczywiste ciążę. Lecz nie w tym rzecz. Chodzi o to, skąd ta dziewczyna zna moje prawdziwe imię i dlaczego uważa, że to moje dziecko.

Sam skinęła powoli głową.

–Tak, nieprzyjemna sprawa. Cóż więc zrobisz?

–Nie wiem. Szukam jej od miesiący, ale zniknęła. Beezle nalega, abym pozwolił mu stworzyć oddział Minibeezle'ów, co by nam pozwoliło dokładniej przeszukiwać system – nie tylko teraz, ale w każdej chwili, kiedy zajdzie taka potrzeba. Niezły pomysł, ale nie jestem pewny, czy chcę zostać Napoleonem armii robali.

Sam Fredericks odchyliła się do tyłu, bawiąc się swoją czarką.

–Sprawiasz wrażenie... nie wiem, bardziej pogodnego niż pod czas naszych poprzednich spotkań.

Wzruszył ramionami.

–Robię swoje. Wydawało mi się, że to ty jesteś przygnębiona.

–Skanerstwo. Pewnie iskrzyło między nami z jakiegoś powodu. Orlando uśmiechnął się.

–Pewnie tak.

Sam wyprostowała się.

–Mam coś dla ciebie. Czy możesz importować to do sieci? Jest na górnym poziomie mojego systemu i ma etykietę „Orlando”.

–Przyniosłaś mi coś?

–Chyba nie sądzisz, że zapomniałam o twoich urodzinach?

On sam niemal o nich zapomniał.

–Właściwie to dopiero jutro. – Dziwne, jak niewiele znaczą takie rzeczy jak urodziny, kiedy nie chodzi się do szkoły i nie ma zbyt wielu przyjaciół – to znaczy normalnych przyjaciół.

–Wiem, ale przecież jutro się nie spotkamy, prawda?

–Siedemnaście lat. Stary już jestem.

–Stary – też coś! Jesteś młodszy ode mnie, więc daruj sobie te gadki. – Na niskim stole pojawił się niewielki zapakowany podarunek. – Widzę, że znalazłeś. Otwórz.

Zjął wieczko i spojrzał na przedmiot umieszczony na wirtualnej wyściółce w wirtualnym pudełku.

–Bardzo ładne, Sam.

–Wszystkiego najlepszego, Gardino. Nie gap się tak – ta bransoletka to dowód przyjaźni, ty idioto. Przeczytaj, co tam jest napisane.

Odwrócił prostą srebrną bransoletkę i przeczytał inskrypcję:

DLA ORLANDA OD SAM. DOZGONNI PRZYJACIELE.

Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

–Dzięki.

–Wiem, że w wielu miejscach, które odwiedzasz, nie będziesz mógł jej nosić, ale długo się zastanawiałam nad tym, co można ofiarować komuś, kto może mieć wszystko, czego tylko zapragnie – odrzutowe samoloty, żywego oswojonego dinozaura i co tylko mu przyjdzie do głowy. Wszystko, co mogę ci ofiarować, a czego tutaj nie masz, to ja sama. Jesteśmy przyjaciółmi, Gardiner, pamiętaj o tym. Bez względu na wszystko. Do końca naszego życia.

Orlando z ulgą przyjął fakt, że jego sym posiada zbyt wiele cech samuraja, aby mógł się popłakać – rumieniec był już wystarczająco kompromitujący.

–Jasne – powiedział. – Bez względu na wszystko. – Wziął głęboki oddech. – Hej, masz ochotę się przejść, zanim wrócisz do siebie? Pokażę ci kawałek Tokaido – to coś w rodzaju głównej drogi. Najlepsze miejsce do zwiedzania. Jak nam dopisze szczęście, to może spotkamy kilku książąt, którzy wciąż przychodzą do miasta. Są szlachcicami i dwa razy w roku muszą przyjść tu z pielgrzymką. Niektórzy z nich mają liczną świtę, żołnierzy, konie, flagi, konkubiny i cały ten fen, mówię ci, wielka parada. Coś w rodzaju samurajskiego Disneylandu.

–Widzę, że dobrze znasz to miejsce!

–No cóż, nie próżnuję.

–Chyba nic nie zaplanowałaś na dzisiejszy wieczór? – zapytał Beezle, kiedy Orlando uaktywnił swój sym z Rivendell. – Twoi rodzice mają pewne plany.

–Rany, jasne, kolacja urodzinowa. A to znaczy, że będą chcieli, abym założył ten *ichi*

seen kombinezon robota. Conrad pewnie podłączył do niego przewód z powietrzem, żebym mógł zdmuchnąć świece na torcie. – Tak bardzo nie miał ochoty paradować w tym stroju, że ostatnio unikał spotkań z rodzicami. Ale i tak podczas trzech wizyt złamał nogę u stołu i zbił kilka wazonów, a także niechcący wyrwał drzwi z zawiasów. Robot precyzyjnie posługiwał się dłońmi, ale w pozostałej części przeznaczony był do poruszania się w szybach górniczych albo lukach zatopionych statków, dlatego miał tyle wdzięku co słoń na

wrotkach. Orlando nie chciał urazić rodziców – a Conrad był bardzo dumny ze swojego pomysłu – lecz po prostu nienawidził robota.

Przecież mam się czym zająć. Na przykład w chwili obecnej dwaj członkowie Towarzystwa utknęli w symulacji Domu, w samym środku jakiejś rebelii, i nie mogli uciec, na skutek zakłóceń programowania flora ze Świata Bronte uległa mutacji, wskutek czego plebania w Haworth została oblężona przez mięsożerne kaktusy, on zaś wciąż nie miał pojęcia, gdzie może być Livia Bard ani dlaczego padł ofiarą tak dziwnego oskarżenia z jej strony. *No, nie próżnuję.*

–Szeffie, podjąłeś już jakąś decyzję co do moich podagentów?

–Wciąż się nad tym zastanawiam.

–Żeby ci tylko to nie zaszkodziło – słyszałem, że myślenie nie jest dobre dla początkujących. Jesteś gotowy do wizyty u staruszków? Bo jeśli tak, to chyba najpierw powinienes odebrać pilną wiadomość od tego całego Elronda. Chce, żebyś natychmiast zszedł na dół.

–Rany, to się nigdy nie kończy. Otwórz połączenie z tym śmiesznym robotem moich rodziców, dobra? Jak już skończę tam na dole, wpadnę do garderoby i pójdę prosto do nich.

–Jasne, po co mamy zrywać ciągłość. – Uwaga ta zabrzmiała podejrzenie sarkastycznie. – Spokojna głowa, szefie, czuwam nad wszystkim. Idź do Elronda.

Zszedł już do połowy zgrabnych drewnianych schodów między chatką, którą nazywał swoim domem, a głównymi budynkami, kiedy coś mu przyszło do głowy. *Po jaką cholerę Beezle przekazywałby wiadomość od Elronda? Rivendell tak nie działa.*

Znalazł odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, gdy tylko wszedł do głównej sali i ujrzał swoich rodziców, a także mnóstwo elfów, krasnoludów i innych mieszkańców Śródziemia, którzy czekali tam na niego.

–Niespodzianka! – zawołali zebrani. – Wszystkiego najlepszego!

Orlando zatrzymał się na progu zdumiony. Salę ozdobiono flagami ze złotogłowia i wszędzie płonęły świece. Oparte na kozłach stoły zastawiono jadłem i napitkami. Matka podeszła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję, ucałowała go i przytuliła. Kiedy wreszcie odsunęła się nieco, spojrzała na niego zaniepokojona, lecz także zarumieniona z ekscytacji.

–Nie gniewasz się? Mówiłeś, że twoja sieć radzi sobie z różnymi niezgodnościami. Chyba niczego nie zepsujemy, prawda?

–Nie, Vivien. Po prostu jestem... zaskoczony.

Ubrana była w strój elfa, długą, żółtobeżową suknię, a włosy miała upięte wysoko na czubku głowy, gdzie przytrzymały je spinki z brylantami.

–Czy wyglądam śmiesznie? – zapytała. – Ta miła dziewczyna Arwena dała mi spinki do włosów. Tak chyba ma na imię – nie zapamiętałam jej z książek, ale w końcu czytałam je dawno temu.

–Ta miła dziewczyna Arwena? – Orlando uśmiechnął się mimowolnie. – Skądże, wyglądasz świetnie.

Conrad podszedł z pucharem w dłoni.

–Te krasnoludy nie wylewają za kołnierz. I co ty na to? Zrobiliśmy ci niespodziankę?

Orlando zdobył się jedynie na skinienie głową, zdumiony i poruszony. Przyjęcie, jak się zdawało, rozkręciło się już na dobre. Ktoś wsunął mu w dłonie puchar z piwem. Elrond zbliżył się i skłonił przed rodzicami Orlanda.

–Pozdrawiam cię w ten radosny dzień, Tharagornie – powiedział elf. – Zawsze jesteś ozdobą naszego domu.

Ku przerażeniu Orlanda Vivien zaczęła flirtować z Elrondem, lecz pan domu przyjął to z sympatią. Conrad na szczęście odszedł na bok, by przyjrzeć się belkom w suficie – zajmował się amatorsko stolarką – tak więc Orlando nie musiał się bać, że jego ojciec wda się w jakąś bójkę z władcą elfów.

Arwena Undomiel, córka Elronda – którą matka nazwała „miłą dziewczyną” – stała u boku swojego ukochanego, Aragorna, który, jak można było sądzić po postrzępionym płaszczu, wrócił właśnie z podróży. Mężczyzna, od którego Orlando w pewnym sensie pożyczył sobie imię w tym świecie, zostawił na chwilę swoją narzeczoną i podszedł do Orlanda, by uścisnąć mu dłoń.

–Najlepsze życzenia, kuzynie. Dawnośmy się nie widzieli. Nie miałem pojęcia, że ktokolwiek poza granicami krainy niziołków obchodzi urodziny w taki sposób.

–To pomysł moich rodziców.

–I dobry pomysł. Szlachetni z nich ludzie. – Aragorn objął go, po czym wrócił do Arweny, stojącej teraz w towarzystwie swoich braci Elladana i Elrohira, równie utrudzonych podróżą jak Aragorn, tak jakby pędzili, co koń wyskoczy, by tu przybyć. Księżniczka wzniosła puchar w milczącym toaście na cześć Orlanda. Poczuli się mile polectany, gdyby nie świadomość, że nic tu nie dzieje się naprawdę i że wszystko zostało zaprogramowane.

–Nawet nie chcę wiedzieć, w jaki sposób wszystko to urządziliście, Vivien – zwrócił się do matki.

–Beezle nam pomógł. – Wskazała na małą okazałą postać o niezwykle włochatych stopach w drugim końcu sali, która pracowicie przepijała do trzech krasnoludów z Dale. – Jest prawie jak człowiek, prawda?

–A kto nie jest? – Ponownie ją uścisnął. – Dzięki. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

Vivien wypytywała Elronda o jakieś sprawy związane z prowadzeniem domu – chyba nawet powiedziała „znaleźć pomoc kuchenną” – kiedy nagle uwagę Orlanda przykuła blada sylwetka, sunąca wśród tłumu na środku sali. Przez chwilę tylko gapił się na tę kobietę i zastanawiał, która to z postaci Tolkiena i dlaczego wydaje mu się znajoma.

–O mój Boże! – wyszeptał. – To ona!

Zanim Vivien zdążyła zapytać go, dokąd idzie, był już przy kobiecie w bieli, która właśnie weszła do Sali Kominkowej. W migocącym blasku świec przypominała ducha, ale nawet jeśli nie była samą Livią Bard, to musiała być jej identyczną kopią.

Podniosła wzrok, gdy stanął przed nią, zaskoczona i trochę przestraszona.

–O co chodzi?

Uzmysłowił sobie, że wyraz jego twarzy mógłby przestraszyć każdego. Po tylu miesiącach poszukiwań ta kobieta tak po prostu przechodzi przed jego nosem!

–Panno Bard. Livio. Szukałem cię.

Kiedy odwróciła się w jego stronę, przeżył kolejny szok. Biała zwiewna szata nie mogła ukryć jej zaawansowanej ciąży.

–Kim jesteś? – Spojrzała na niego uważniej i zamrugowała gwałtownie. – Czy to możliwe? Czy naprawdę nim jesteś?

I znowu zniknęła.

–Beezle! – ryknął Orlando. – To była ona! Stała przede mną, a potem zniknęła! Co się z nią stało?

–Tego ci nie powiem, szefie. Chwileczkę, tylko odsunę nieco Snoriego i już do ciebie idę.

Zanim jego rodzice i wierny agent programowy dotarli do niego, Orlando osunął się na kolana na podłogę Sali Kominkowej i zaczął w nią bezlitośnie walić pięściami. Conrad i Vivien zaproponowali, aby odwołać ucztę, lecz Orlando wiedział, że ta uroczystość ma ogromne znaczenie zarówno dla nich, jak i dla niego samego, zatem dźwignął się na nogi i wrócił do gości. Jednak mimo licznych rozrywek i atrakcji pogrążonego w biesiadnym nastroju Rivendell, ledwo zauważał, co się wokół niego dzieje. Gdy tylko uznał, że nie

będzie to już niegrzeczne, przeprosił pozostałych i skierował się do swojej sypialni. Po drodze zatrzymał się, by zamienić słowo z Beezle'em.

–Dobra, masz moją zgodę – skończyły mi się pomysły. Zmontuj swoją małą armię podagentów. Ale wyświadcź mi przysługę i postaraj się, żeby to nie były robale, dobra? Muszę spotkać się z Kunohara, a po wizycie u niego będę miał dość podobnych istot na całe lata.

–Zrobi się, szefie.

Orlando położył się, Beezle zaś długo jeszcze popijał z krasnoludami z Dale. Pokazał im, w jaki sposób można wybekać kilkanaście strof *Pieśni o królowej Beruthiel*, a także dowiódł, że w pewnej fazie nawet krasnoludy powinny przestać pić.

Elfy nie narzekają, lecz następnego ranka ludzie Elronda mieli pełne ręce roboty, kiedy zabrali się do sprzątnięcia.

–Panie Gardiner, zawsze miło mi pana widzieć, ale mam nadzieję, że mnie pan zrozumie. – Kunohara wskazał mu jedno z krzesel ustawionych na balkonie, z którego roztaczał się widok na morze traw i zarośli wielkości drzew, przypominające zastygłą w bezruchu falę tsunami. Był niewysokim mężczyzną w średnim wieku, ubranym w nowoczesne kimono, o czarnych, przyprószonych siwizną włosach i brodzie, a przynajmniej tak zawsze wyglądał jego sym. – Nie mam ostatnio zbyt dużo czasu. Mój siostrzeniec – jeszcze tak niedawno podrostek – podburza ludzi przeciwko mnie, aby przejąć władzę.

Twierdzą, że zbyt dużo pieniędzy z rodzinnego interesu idzie na, jak to określają, „rozrywki prezesa”. Mają na myśli mnie, a tę symulację zaliczyliby do rozrywek, gdyby wiedzieli, że ona istnieje. – Zmarszczył czoło. – Tę firmę zbudowali moi rodzice, a oni chcą mi ją odebrać. Oczywiście zmiażdżą ich, ale to smutne dla rodziny, dla mnie zaś irytujące. Zmarnuję wiele środków. Orlando skinął głową.

–Doceniam to, że znalazł pan dla mnie czas. – Nie mając okazji poznać go tak dobrze jak niektórzy z jego towarzyszy, Orlando nigdy nie darzył specjalną sympatią Hidekiego Kunohary, który w pewnym sensie niezmiennie pozostawał niedostępny, nawet kiedy siedział w towarzystwie, pogrążony w pozornie swobodnej pogawędce. Orlando zawsze zastanawiał się, co tamten myśli naprawdę, i może dla tego nigdy do końca mu nie ufał, ale po odejściu Sellarsa nie było poza Kunoharą osoby, która by lepiej rozumiała logikę systemu.

Jeśli w ogóle można tu mówić o logice, pomyślał Orlando.

–Przejrzałem pańskie wiadomości – powiedział Kunoharą i urwał nagle, wpatrzony

w niezwykle pomarańczowoczarne motyla wielkości małego samolotu, który zniżył się tuż nad ziemię i zaraz ponownie wzbił w powietrze, błyskając skrzydłami w słońcu. – To

motyl dzienny – oznajmił. – *Numata*, jak mi się zdaje. Cieszę się, że pojawiły się tak blisko stacji.

Hideki Kunoharą mieszkał w odtworzonym domu o wiele za dużym dla każdego, kto nie był co najmniej królem, a przynajmniej tak byłoby w prawdziwym świecie, gdzie ludzi ograniczały takie drobiazgi jak prawa fizyki, lecz rozmiary nie stanowiły problemu w prywatnym węzle, w którym można było przemieszczać się w mgnieniu oka. Wcześniej budynek był stacją badawczą, którą Kunoharą wydzierżawiał rządowi i wydziałom biologii na uniwersytetach, ponieważ wszyscy goście w tym świecie odkrywali, że są mniejsi niż większość tutejszych owadów i innych bezkręgowców. Była to fascynująca, choć czasami i przerażająca perspektywa: wcześniej stacja badawcza została zniszczona przez mrówki, a wszystkie ludzkie symy zginęły podczas zakłóceń w sieci. Dom Kunohary także uległ zniszczeniu. Balkon, na którym teraz siedział w towarzystwie Orlando, był przedtem jednym z wysoko wyniesionych stanowisk widokowych, wybudowanych wzdłuż południowej ściany głównego kompleksu; podczas rozmowy Orlando obserwował najprzeróżniejsze monstra, które pasły się albo pożerały karmę na opadającej łagodnie łące, w tym ptaki wielkości pasażerskiego odrzutowca, wyciągające z wilgotnej gleby metrowej długości dżdżownice.

–Tak czy inaczej, przeczytałem pańskie wiadomości i tak naprawdę niewiele mam do powiedzenia, panie Gardiner. Czy rozważał pan możliwość, że jest to ktoś spoza sieci? Prawdziwa osoba, która w jakiś sposób odkryła pańskie imię, a może nawet ktoś, kto pana zna i bawi się z panem?

–To byłoby gorsze niż obecny problem – odparł Orlando. – Ponieważ jeśli nie jest to nikt z moich przyjaciół, a nie wyobrażam sobie, aby ktoś z nich był zdolny do takich zabaw, mogłoby to oznaczać, że nasz system zabezpieczający został złamany. Ta sieć miała pozostać tajemnicą.

–Mamy na zewnątrz grupkę ludzi, którzy pomagają nam ją utrzymać jako sieć rozproszoną.

–Owszem, ale nawet oni nie wiedzą o moim istnieniu.

Kunohara przytaknęła.

–Rzeczywiście, ewentualność, że jest to ktoś z zewnątrz, wydaje się mało prawdopodobna.

–Moim zdaniem istnieje cień Orlando, choć nigdy go nie widziałem ani też nie słyszałem o jego istnieniu.

–Co nasuwa kolejne pytania, panie Gardiner. Możliwe, że istnieje pańska kopia i że choć minęły już prawie trzy lata, nie udało nam się jej znaleźć – w końcu to duża sieć. Wydaje się nawet prawdopodobne, że posługuje się ona pańskim prawdziwym imieniem i nazwiskiem, nie zwracając naszej uwagi. Ale aby przyjąć taką hipotezę za uzasadnioną, musimy odpowiedzieć na jedno pytanie.

–Wiem. – Orlando zmrużył oczy, wpatrując się w parę owadów podobnych do much, które goniły się ponad gigantyczną trawą; mieniące się owady wielkości taksówek wykonywały taneczny duet, połyskując szklistymi skrzydłami. Nie przepadał za robakami, a już na pewno nie za takimi, które są większe od niego, ale w niektórych momentach, takich jak ten, niemal rozumiał świat Kunohary, choć bynajmniej nie jego samego. – Problem z cieniem Orlanda polega na tym, skąd ta kobieta wiedziała, że ja mam coś wspólnego z Orlandem Gardinerem, kiedy znalazła mnie w świecie

Wodehouse'a, i w jaki sposób ponownie odszukała mnie w świecie Tolkiena. Jak mnie wysledziła?

–Jak pan wie, kopie córki Feliksa Jongleura są naprawdę niesamowite – rzekł Kunohara. – Wydaje się, że niektóre z cieni Avialle potrafią przemieszczać się dowolnie z jednej symulacji do drugiej. Wprawdzie inni także mogą wędrować z symulacji do symulacji, ale czynią to w sposób tradycyjny, typowy dla Obieżyświatów, poprzez przejścia. Z drugiej strony, niektóre z cieni Avialle, jak się zdaje, w ogóle nie opuszczają swoich symulacji, choć zwykle odgrywają jakąś istotną lub niezwykłą rolę w swoim świecie.

–Tak, choćby ta, którą spotkaliśmy w zamrażarce w komiksowej Kuchni. Sądzę, że prawdziwa Avialle – rzeczywista osoba – była niezmiernie ważna dla starego systemu operacyjnego, a zatem może wszystkie jej cienie także mają jakieś znaczenie dla systemu. – Nagle przyszło mu do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyślał. – Ale dlaczego? Przecież teraz mamy zupełnie inny system operacyjny.

–Po części, ale sprawa jest o wiele bardziej złożona – odparł Kunohara i cmoknął. – Nie dało się usunąć z sieci wszystkich pozostałości dawnego systemu operacyjnego, tej biednej, umęczonej istoty, znanej jako Inny. Także i z tego powodu podejrzewaliśmy, że podejmując wysiłki stworzenia swoistego życia, czego dokonał choćby z surowym tworzywem z eksperymentów Sellarsa, mógł oddziaływać na całą sieć, tak że zmienił całkowicie jej strukturę i nadał jej postać czegoś żywego i rozwijającego się.

–Ale przecież tak się nie stało. Zawsze pan tak twierdził.

–To prawda, nie znaleźliśmy na to żadnych dowodów. Nie napotkaliśmy żadnych stworzeń informacyjnych, podobnych do tych, które wyhodował system, a które już nie istnieją. Nie trafiliśmy też na najmniejsze ślady procesu ewolucyjnego, który by się rozpoczął ponownie w jakikolwiek sposób. W tej materii może mi pan zaufać, panie Gardiner – permutacje życia, a teraz pseudożycia, są moją pasją i dokładnie przebadałem naszą sieć w poszukiwaniu ich śladów. To cudownie złożony przedmiot badań, lecz w swej istocie przypomina każdą inną sieć – jest martwym artefaktem. Obawiam się, że wraz ze śmiercią Innego i ucieczką w kosmos jego stworzeń informacyjnych sieć została definitywnie pozbawiona życia.

Dla Orlanda nie było to nic nowego – spłaszczenie wszystkiego, brak prawdziwych zmian,

martwiło go od wielu miesięcy – lecz teraz, kiedy Kunohara oznajmił mu to w tak kategoriyczny sposób, poczuł się, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

–Ale przecież symy rozmnażają się w swoich symświatach. Mają dzieci. Zwierzęta rodzą młode. Niech pan spojrzysz na swoje robaki – składają jaja, nieprawdaż? Płodzą te swoje gigantyczne maleństwa.

–Owszem, ale tylko w granicach matrycy symulacji. Reprodukacja jest częścią programu dla symów, ale to jeszcze nie jest prawdziwe życie, w każdym razie nie bardziej niż historia, którą pan by napisał, a w której rodzi się dziecko. W tym systemie nowe życie jest konstruktem. Weźmy cienie Avialle – niektóre z nich są nieustannie w ciąży, tak jak prawdopodobnie ten, którego pan szuka. Lecz to nie jest prawdziwa ciąża, a jedynie zaprogramowana cecha, jak kolor włosów syma albo szybkość, z jaką potrafi biegać.

–Owszem, ale przecież kiedy widziałem ją po raz ostatni, była naprawdę w ciąży! Żaden z cieni Avialle nigdy nie osiągnął takiego stanu, żeby ciąża była widoczna. Sam to czytałem w pańskich notatkach.

Kunohara pokręcił głową.

–Panie Gardiner, jest pan młodym, inteligentnym człowiekiem, a także doskonałym konserwatorem światów sieci, i nie wątpię, że Patrick Sellars, gdziekolwiek teraz przebywa, jest dumny, że wybrał właśnie pana, ale nie jest pan naukowcem – przynajmniej jeszcze nie.

Czy może pan stwierdzić z całą pewnością, że ona naprawdę była w zaawansowanej ciąży, czy też opiera pan swoje stwierdzenie na tym, co widział pan z odległości kilku metrów w ciągu zaledwie kilku sekund? Z psychologicznego punktu widzenia symulowane osoby po trafią być niemal równie skomplikowane jak prawdziwi ludzie. Może ona uważa, że jest w ciąży, lecz jej brzuch nie rośnie – i nigdy nie urośnie, o czym ona nie wie – dlatego wsuwa pod sukienkę poduszkę lub coś podobnego, być może wiedzona niepokojem. Nie, panie Gardiner, mój przyjacielu, kiedy uda nam się ją zbadać i przekonać się, że naprawdę jest ciężarna, wtedy będziemy mogli zacząć się zastanawiać, w jaki sposób różni się od innych cieni Avialle Jongleur. Póki to nie nastąpi, niech pan nie wyciąga pochopnych wniosków.

Orlandowi niespecjalnie spodobał się ton wykładowcy, który przyjął Kunohara.

–A zatem sugeruje pan, że całe to zamieszanie spowodował jeszcze jeden historyczny klon Avialle, który w jakiś sposób natknął się na moje imię – i tylko tyle.

–Panie Gardiner, ja nic nie mówię na temat tego, co to jest, ponieważ nie mam dość informacji. – Kunohara złączył wyprostowane palce i pokręcił powoli głową. – Dzielę się jedynie z panem swoimi podejrzeniami, a także poważnymi wątpliwościami. Ludzie wydają tryliony kredytów na to, aby wszystko w tej sieci wyglądało jak prawdziwe, ale proszę nie mylić pozorów z rzeczywistością, a w szczególności proszę nie mylić pozorów reprodukcji i

innych symptomów życia, bez względu na to, jak bardzo są doskonałe, z prawdziwą reprodukcją i prawdziwym życiem. Życie to bardzo uparte zjawisko, które posługuje się zdumiewającą liczbą strategii, by przedłużyć swe trwanie w nieskończoność. Natomiast nasza sieć naśladuje te procesy dla celów jej ludzkich użytkowników, którzy pragną stworzyć realistyczne środowisko. Jednak istnieje ogromna przepaść między czymś symulowanym a rzeczywistym procesem, który jest imitowany. A teraz proszę mi wybaczyć, ale prawnicy czekają na mnie już od pół godziny. Orlando podziękował mu za spotkanie, lecz Kunohara już otwierał swoje połączenie i tylko skinął głową. Orlando pozostawił go rozmawiającego z samym sobą, tak to przynajmniej wyglądało, i wpatrzony w horyzont swojego przerośniętego królestwa. Kwiaty wielkości sekwoi skrzypiały, kołysane orzeźwiająco bryzą.

Beezle czekał na Orlanda w jego sypialni w Rivendell. Schowany przed wzrokiem elfów, nie skrępowany obowiązującymi zasadami, nie trudził się nawet, by udawać hobbita, lecz pojawił się w swojej tradycyjnej postaci, którą można by opisać jako czarny mop z oczami, komiksowy pająk czy też szczególnie denerwujący kleks z testu Rorschacha. Tego dnia naturalny wygląd Beezle'a uświetnił sflaczały cylinder w paski. Na widok Orlanda agent wyszczerzył zęby w uśmiechu i zatańczył na swoich włochatych nogach.

–Jesteś w dobrym nastroju.

–Za to o tobie, szefie, nie można chyba tego powiedzieć. Jak poszło z Kunohara?

–Na razie nic nie udało się ustalić. On chyba uważa, że za bardzo się podniecam.

–Wiem, co ci poprawi humor. Przedstawię ci moją załogę.

–Co? Och, podagentów. Wiesz, Beezle, chyba nie jestem w nastroju do tego, aby pozwolić jakimś małym robalom łaźnić po sobie...

–Żadnych robali, sam to powiedziałeś. – Agent zdjął kapelusz zamaszystym ruchem,

a wtedy z wnętrza zaczęły wyskakiwać małe postacie, które szybko zebrały się na podłodze wokół jego nóg. – Zacerpnałem swój pomysł ze świata doktora Seussa. Poznaj Kotki A1 do A99, B1 do B99, C1 do C99...

–Kapużę. – Orlando stał zanurzony po kostki w lagunie malutkich kotków w kapeluszach. – Jest ich dwa tysiące sześćset, a ja nie muszę witać się ze wszystkimi. Chyba powinienem dziękować Bogu, że nie zacerpnałeś pomysłu z *Hop on Pop*. – Patrzył, jak kotki wspinają się na łóżko i zaczynają skakać na poduszce niczym na trampolinie. – W jaki sposób, do cholery, coś takiego ma zdobyć dyskretnie informacje, których potrzebujemy? Trudno powiedzieć, żeby nie rzucały się w oczy, nie sądzisz?

–Szefie, szefie. – Gdyby Beezle miał szyję, to z pewnością w tej chwili pokręciłby głową. Tymczasem wykonał coś, co przypominało włochatą odmianę tańca hula. – To są moi

podagenci. Chyba nie sądzisz, że ja szukam informacji w takiej postaci jak teraz? W ogóle w jakiegokolwiek postaci. Przecież jestem programem – i to dobrym programem. Po prostu łączę się ze źródłem na poziomie maszyny. One będą pracować podobnie. Pomyślałem sobie tylko, że może raporty przekazywane w ten sposób będą zabawniejsze.

–Świetnie. – Beezle był drugą osobą – no, w zasadzie drugą istotą – która w ciągu minionej godziny wytknęła mu, że popełnia błąd, wydając osąd na podstawie tego, co widzi. Pod tym względem sieć była bardzo kusząca – tyle czasu i pieniędzy poświęcono na to, aby światy wyglądały jak rzeczywiste miejsca. Z tą myślą spojrzął na swój wirtualny nadgarstek, nadgarstek Tharagorna, gdyż był w Rivendell, i na wirtualną bransoletkę, dowód przyjaźni, którą nosił teraz na rękę. Wyglądała jak prawdziwa bransoletka, ale nie była prawdziwa; nigdy nie była rzeczywista, lecz dla niego miała taką samą wartość, a może nawet większą niż kawałek prawdziwego metalu, ponieważ przyjaźń, którą symbolizowała, była prawdziwa.

Na tym polegała istota sprawy, nad którą musi się zastanowić, lecz jego uwagę odwrócił żywy koci dywan, który niespodziewanie wzbił się w powietrze, popłynął do kapelusza Beezle'a i zniknął w jego wnętrzu z głośnym plaśnięciem.

–Szefie, zapomniałem ci powiedzieć. Powinieneś chyba wybrać się do symulacji Wodehouse'a – ktoś zostawił tam dla ciebie wiadomość.

–Przecież kolejne spotkanie odbędzie się dopiero za kilka tygodni.

–Zwołali nadzwyczajne zebranie komitetu i przypadła twoja kolej.

–Nie mam czasu. Uzasadnij to jakoś.

–Może jednak zechcesz tam pójść. Chyba próbują się pozbyć tego, jak mu tam, de Limoux, prezesa.

–Dlaczego?

–Wygląda na to, że parę członkiń klubu spodziewa się dziecka i twierdzi, że on jest tatusiem.

–Nie miałem z tym nic wspólnego! – Sir Reginald aż pobladł z gniewu. – Z żadną z nich! Prawie nie znam pani Haynes, a Maisie Macapan nie cierpię. Wszyscy o tym wiedzą.

Orlando sam ledwo znał pierwszą z wymienionych: cichą, bezbarwną kobietę, która chyba zawdzięczała swoją symulowaną egzystencję wczesnym testom jednej z programistek projektu Graala. Drugą kobietą był cień Ymony Dedoblanco, jedynej kobiety w ścisłym gronie Bractwa Graala. Pierwowzór można było z ręką na sercu określić mianem potwora, lecz jej cień zachował jedynie mniej zabójcze, choć wciąż irytujące wady, głównie graniczące niemal z megalomanią zaabsorbowanie własną osobą. Podobnie jak jej szablon, miała wygórowane ambicje, dlatego często nie mogła dojść do

porozumienia z sir Reginaldem, cieniem Jongleura.

–Dlaczego nie ma tutaj tych kobiet? – zapytał Orlando. – Czy de Limoux nie powinien uzyskać sposobności do bezpośredniej konfrontacji z oskarżycielkami?

–Panie Roland, jest pan człowiekiem honoru – rzekł sir Reginald. – Właśnie, dlaczego ich tu nie ma? I co to za bezprawny sąd, oparty na oskarżeniach, które są w oczywisty sposób absurdalne? Wszyscy wiedzą, że jestem szczęśliwym mężem, mam żonę i dzieci w Trzeciej Republice Francuskiej.

–Szczęśliwy mąż może zbłądzić – zauważył wąsaty podróżnik o imieniu Renzi, który zdaniem Orlanda mógł być jeszcze jednym produktem eksperymentów z początków sieci albo też zdegradowanym cieniem jego przyjaciela Paula Jonasa.

–Ale nie z tą Macapan! – De Limoux wydawał się bardziej obrażony taką ewentualnością niż samym oskarżeniem. – Już prędeż skoczyłbym do klatki pełnej głodnych lwic.

–Obie kobiety nie czują się dobrze, panie Roland – wyjaśnił Renzi. – Ich zeznania, trzeba to przyznać, są dość dziwne. Obie jednak potwierdzają swoje oskarżenia. Jeśli chodzi o pannę Macapan, to wszyscy wiemy, że nie pała sympatią do sir Reginalda, za to pani Hayes nie należy chyba do osób, które by wymyślały podobne rzeczy.

–O ile ta suka Macapan jej nie przekupiła – warknął de Limoux. – Zrobi wszystko, żeby przejąć moje stanowisko.

–Skoro przekupiła jedną, mogła też przekupić dwie – powiedział Orlando. – Gdyby chciała tylko zniszczyć pańską reputację, sir Reginaldzie, to czy nie wydaje się dziwne, że uczyniła z siebie jedną z ofiar, skoro wszyscy wiedzą, że ma z panem na pieńku?

–Chyba nie chce pan powiedzieć, że wierzy w te bzdury, panie Roland?

–Nie twierdzę, że wierzę lub nie wierzę w cokolwiek, sir Reginaldzie. Mam za mało informacji. Po prostu głośno myślę.

Podczas gdy pozostali pograżyli się w dyskusji, w jego głowie zaczęła się kształtować pewna myśl. Nawet w początkowej postaci ta myśl była bardzo dziwna.

Miał przed sobą rejestry podróży członków Towarzystwa Obieżyświatów – zgodnie z konwencją symulacji były to oprawione w skórę i zapisane ręcznie księgi – rozłożone na drewnianym stole, który pełnił rolę jego biurka w Rivendell. Przed rokiem Orlando dyskretnie nalegał, aby członkowie Towarzystwa przyjęli zasadę prowadzenia zapisków ze swoich podróży, które udostępniano potem w bibliotece Towarzystwa, umieszczonej w Drones Club, i teraz cieszył się, że to zrobił.

Orlando zauważył coś bardzo ciekawego, co dotyczyło de Limoux i jego obu oskarżycielek,

i sporządził niewielką tabelę, by lepiej przyjrzeć się ich wyjazdom i przyjazdom. Kiedy utwierdził się w swoich przypuszczeniach i wbił wzrok w notatki, obgryzając koniec ołówka, przepełniony czymś, co było bliskie zdumienia, usłyszał w uchu głos swojego agenta.

–Szeffie?

–Niech zgadnę, Beezle. Masz dla mnie nowe wiadomości. Kolejna członkini Towarzystwa jest w ciąży i kolejny mężczyzna wypiera się ojcostwa.

Po chwili ciszy rozległ się głos agenta:

–*Nieźle, szefie, jak na to wpadłeś?*

–Zaczyna mi się układać w głowie.

–*Chcesz wiedzieć, o kogo chodzi?*

–Jeśli moja hipoteza jest słuszna, to nie ma to większego znaczenia. Pozwól, Beezle, że wrócę do pracy. Dam ci znak, kiedy będę cię potrzebował, co, jak sądzę, nastąpi niebawem.

–Szeffie?

–Beezle, próbuję się skupić. Dzięki za informacje, ale już spadaj, dobra?

–*To ważne, szefie.* Orlando westchnął.

–O co chodzi?

–*Chodzi o Kotki N-42 i N-45 – dwóch z moich podagentów, pamiętasz? Chyba powinieneś pomyśleć o jakiejś premii dla nich. Może roczny zapas rybich łbów czy coś w tym rodzaju.*

–Rybich łbów?... Beezle, doprowadzasz mnie do szału. O czym ty gadasz, do cholery?

–*O nagrodzie. W końcu znaleźli twoją dziewczynę.*

–Znaleźli... – Orlando wyprostował się. – Jesteś pewny?

–*Cień Avialle, ciemne, kręcone włosy, bez wątpienia w ciąży. W zaawansowanej ciąży.*

–Rybie łby dla każdego. Albo nie, daj im całe ryby. Gdzie ona jest?

–*Ma mieszkanie w Starym Chicago, dasz wiarę? Chyba jest tam od niedawna. Wysłałem ci adres, łatwy do odnalezienia. Mieszka nad klubem przy Trzydziestej Siódmej Ulicy w Giles.*

–Już tam jestem.

I tak było. Wystarczyła jedna podprogowa komenda, by znalazł się w samym centrum tamtego symświata, szybciej i pewniej, niż gdyby podróżował magicznym dywanem. Czasem dobrze było być kimś w rodzaju boga.

Trzydziesta Siódma Ulica tętniła życiem. Wprawdzie nie widać było gangsterów w stylu Ala Capone, co zwykle kojarzyło mu się ze Starym Chicago, ale na chodnikach tłoczyło się mnóstwo zwykłych ludzi różnych ras. Wszyscy wydawali się wystrojeni, jakby zdążali na jakąś uroczystość, mężczyźni w krawatach, kobiety w eleganckich sukniach. Mieszkanie mieściło się nad klubem o nazwie Nawalanka u Zębatego, o fasadzie ozdobionej umieszczonym nad drzwiami, buczącym neonem w kształcie rozciągniętych w uśmiechu ust. Pod okapem stała grupka czarnoskórych mężczyzn w eleganckich wатовanych garniturach, którzy rozmawiali ze sobą, palili papierosa i spoglądali na zachmurzone niebo, blokując jednocześnie wejście na schody prowadzące do części mieszkalnej budynku. Orlando zastanawiał się, czy tamci mężczyźni mogą być gangsterami. Właściwie to nie miał nawet pewności, czy w tamtych czasach działały gangi Afroamerykanów, ale nie chciał tracić czasu na niepotrzebne kłopoty. Niestety, występował w jedynym symie, który miał przygotowany do świata Chicago, a był to mężczyzna rasy białej, wprawdzie dość wysoki i silny, niemniej zaprogramowany tak, by raczej nie rzucał się w oczy, niż odstraszał potencjalnych wrogów. Jednak mężczyźni przy drzwiach wydawali się bardziej zainteresowani papierosem, którym kolejno się zaciągali; ledwo na niego spojrzeli, kiedy przecisnął się między nimi i ruszył w górę po wąskich schodach.

–Zdaje się, że jakiś dżentelmen do panienki – rozległ się głos jednego z nich za plecami Orlanda.

–Malutka przyjęła już niejednego – dodał drugi, a pozostali cicho się roześmiali.

Korytarz wypełniała woń pleśni, a chodniki tak pociemniały od brudu, że Orlando nie był w stanie rozpoznać ich wzoru, choć nie wątpił, że kiedyś coś takiego istniało. Zapukał do drzwi z numerem, który podał mu Beezle.

Otworzyła mu, nie zdejmując łańcucha. Od razu otworzyła szerzej oczy. Wpuściła go, lecz zachowywała się niemal tak, jakby chodziła we śnie: była wyraźnie przestraszona

i zdezorientowana. Ubrana była w jasnoniebieską watowaną podomkę, a rozpuszczone włosy rozsypały się jej na ramionach.

–Kim jesteś? – zapytała.

Orlando był w zasadzie jeszcze bardziej zdezorientowany niż ona.

–A kim ty jesteś? – zapytał, choć wiedział, kim jest ta kobieta. Wiedział, że to cień Avialle Jongleur – ciemne kręcone włosy, duże oczy i głos, który nie pozostawiał cienia

wątpliwości. Zgodnie z tym, co mówił Beezle, kobieta była w zaawansowanej ciąży. Problem polegał na tym, że to nie był jego cień Avialle Jongleur, od razu to stwierdził. Z wyjątkiem podobieństwa oczu i włosów była to zupełnie inna kobieta.

–Ja... nazywam się Violet Jergens. – Zdawała się bliska płaczu. – Czego chcesz? Wydajesz mi się znajomy.

Nie przyszło mu nic innego do głowy, jak ujawnić prawdę.

–Jestem Orlando Gardiner.

Na chwilę jej twarz niemal się rozjaśniła i przypominała buzię dziecka w bożonarodzeniowy poranek, rozpromienioną zdumieniem i radością, lecz później jej uśmiech zgasł, a jego miejsce zajęły zmieszanie i niepokój.

–Marzyłam o dniu, w którym Orlando wróci do mnie i staniemy się rodziną. Ale ciebie nigdy wcześniej nie widziałam. – Zrobiła krok do tyłu i zasłoniła twarz dłońmi. – Proszę, kimkolwiek jesteś, nie krzywdź mnie.

Orlando pokręcił głową. Jego teoria, która wydawała się bardzo obiecująca, teraz się zachwiała.

–Wybacz. Nie mam zamiaru cię krzywdzić. – Liczył na to, że przy najmniej jego pierwotne założenie okaże się prawdziwe. Postanowił, że zada kobiecie to samo pytanie, które zadałby Livii Bard. – Powiedz mi tylko jedno. Jak wygląda Orlando Gardiner?

W pierwszej chwili wydawała się rozgniewana jego pytaniem, lecz zaraz potem na jej obliczu zaszła zmiana.

–Ja... ostatnio nie było mi łatwo. To wszystko jest... ja...

–Nie pamiętasz, prawda? Kobieta rozplakała się.

–Nie czuję się dobrze.

Uznał, że nadeszła stosowna chwila, by zdobyć kolejną informację.

–Musisz mi zaufać. Czy... czy mogę dotknąć twojego brzucha?

–Co?

–Przysięgam, że nie skrzywdzę ciebie ani twojego dziecka. Obiecuję, że zachowam ostrożność, panno Jergens.

Nie wyraziła zgody, ale i nie cofnęła się, kiedy podszedł bliżej. Wyciągnął powoli rękę i położył dłoń na jej brzuchu w miejscu, w którym podomka była wydęta niczym wypełniony

wiatrem żagiel. Brzuch nie poddał się pod jego dotykem i, o ile się zorientował, był ciepły jak u prawdziwej kobiety.

Tym razem nie zdziwił się, kiedy Violet Jergens zniknęła nagle niczym przebita bańka mydlana. Nie próbował jej szukać na Trzydziestej Siódmej Ulicy ani nigdzie indziej. Nie musiał jej szukać, ponieważ coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ją spotka, tak jak i inne podobne do niej kobiety.

Kunohara, pomyślał, jesteś mi winien przeprosiny.

–Nie rozumiem – powiedziała Sam. – A zatem teraz jeszcze jedna z tych kopii Avialle uważa, że jesteś ojcem jej dziecka? – Rozmawiali przez telefon, ponieważ uczyła się do egzaminów i nie miała zbyt wiele czasu. To było nawet całkiem przyjemne, uznał Orlando, tak rozmawiać twarzą w twarz z dwóch różnych miejsc. Poczuł się, jakby znowu

żył w prawdziwym świecie, tyle tylko że Sam Fredericks znajdowała się w Wirginii Zachodniej, on zaś przebywał w Atlantydzie, czy raczej unosił się nad jej wodnym grobem, usiłując rozwiązać problem związany z ruchem fal, zanim miasto wyłoni się z głębin oceanu i symulacja ponownie rozpocznie swój cykl. – Co się tam dzieje?

–Ponownie spotkałem się z Kunoharą. Chyba już wiemy, o co chodzi. – Nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: – W dużej części sam to rozpracowałem, ale Kunohara zaakceptował moją teorię i wyjaśnił jedną jej część, której nie potrafiłem rozgryźć. Te ciężkie w Towarzystwie Obieżyświatów dały mi do myślenia – nawiasem mówiąc, mamy ich tam już z pół tuzina. Jeszcze nie wiem, co zrobić z tym bałaganem. Zupełnie zeskanowali, same oskarżenia, zaprzeczenia, burzliwe zebrania i groźby pozwów sądowych. A problem polega na tym, że podobnie jak w przypadku moim i cieni Avialle, wszyscy mają rację.

–Chwileczkę. – Sam odłożyła książkę. – Myślałam, że własności koligatywne pierwiastków to najgorsza rzecz, jaka może istnieć, ale to wszystko jest jeszcze trudniejsze. Jak to możliwe, że wszyscy mają rację? Mówiłeś, że nie widziałeś jej wcześniej i nie zabawiałeś się z nią.

Orlando pokręcił głową.

–Nie i nie. Z tą drugą też nie ani z innymi, które z pewnością się pojawiają. Także prezes Towarzystwa nie zapalał nagle sympatią do swojego arcywroga Maisie Macapan i nie obdarował jej podarunkiem macierzyństwa – choć w pewnym sensie to uczynił.

–No nie, Gardiner, to już czyste skanerstwo. Gadasz jedno, a potem mówisz coś innego. Nic z tego nie rozumiem.

–To Kunoharą sprawił, że zacząłem się nad tym zastanawiać. Zjechał mnie za to, że myślę pozory z rzeczywistością, i powiedział coś takiego: *Panie Gardiner, niech pan nie zapomina, że Życie posługuje się wieloma strategiami, by przedłużyć swe trwanie w*

nieskończoność, co uczynił w ten swój ogromnie irytujący sposób. Przynajmniej dla mnie irytujący. I wtedy zacząłem się zastanawiać nad tym, jak bardzo złożona była zawsze ta sieć. Inny, pierwotny system operacyjny, hodował życie z wirusów i antywirusów informacyjnych. W ten sposób program stworzył kopie dzieci, oparte na prawdziwych dzieciach. Może nie były to żywe istoty, ale nie były też normalnymi symami.

–Nie program. Inny był osobą, Orlando, pomimo tego, w jak straszny sposób obeszlą się z nim ludzie z Graala. Ale już go nie ma.

–Owszem, ale system został zbudowany na bazie jego mózgu, tak więc wszystkie jego pierwotne odruchy wpłynęły na całą sieć. A w szczególności – i tutaj wpadłem na mój trop – wywarł głęboki wpływ na ludzi cienie, wszystkie te kopie, które stworzył i rozpowszechnił w sieci.

–Takich jak twoi ludzie z Towarzystwa, którzy potrafią przechodzić ze świata do świata dzięki przejściom. A także jak cienie Avialle.

–Które nie potrzebują przejść, aczkolwiek mogą z nich korzystać. W rzeczywistości poza mną cienie Avialle są jedynymi symami, które potrafią poruszać się swobodnie po sieci. Ta cecha czyni je najbardziej zaawansowanymi spośród wszystkich kopii, nawet jeśli niektóre z nich są trochę niezrównoważone. Tak więc ja i cienie Avialle to najbardziej zaawansowane istoty w sieci. Rozumiesz?

Sam zmarszczyła brwi.

–Nie bądź taki profesor Zagadka. Całą noc ślęczałam nad książką pod tytułem *Chemia: kluczowa nauka* i teraz dokucza mi piekielny ból głowy.

–A ja od kilku nocy studiuje biologię, więc kto tu ściemnia?

–Po prostu wyjaśnij mi to.

–W takim razie może zamiast „najbardziej zaawansowane” powiem, że ja i cienie Avialle jesteśmy najlepiej dostosowanymi stworzeniami w sieci. Tak jak w „przetrwaniu najlepiej dostosowanych”.

–Mamy do czynienia z ewolucją?

–Tak, w pewnym sensie na to wygląda. Nawet pozbawiona pierwotnego systemu operacyjnego sieć wykazuje tendencję do... jeśli nie do prawdziwego życia, to do życiopodobnych zachowań. Chce się reprodukować. W rzeczywistości teraz, kiedy pierwotny mózg sieci nie istnieje, bardziej przypomina ona prawdziwy organizm. Po prostu próbuje różnych strategii i jeśli któreś z nich się sprawdzają, to je kontynuuje. Widzisz, pod pewnymi względami ludzie w sieci, przynajmniej tacy jak ja i członkowie Towarzystwa, którzy są w jakimś sensie żywi, są prawdziwymi ludźmi. Myślimy, czujemy, planujemy. Ale z

punktu widzenia sieci jesteśmy raczej komórkami jednego organizmu – czy też osobnikami w ulu. Tym ulem jest sieć, my zaś jesteśmy trutniami, pracownikami i tak dalej. Takim przykładem posługiwał się w każdym razie Kunohara. Te rzeczy to jego konik, chociaż mylił się, twierdząc, że sieć jest martwa.

–Spodoba mu się to, jeśli są w niej ule. Ale wciąż nie rozumiem, Orlando. Czy sugerujesz, że system chciał, żebyś skojarzył się z cieniami Avialle? Przecież nigdy się nie spotkaliście, a ona już jest w ciąży. To nie ma sensu.

–Ma, jeśli przypomnisz sobie, co powiedział Kunohara, że nie powinniśmy mylić pozorów z rzeczywistością, że życie posługuje się wieloma strategiami. To, że wyglądamy jak ludzie, a kobiety wydają się być w ciąży na zwykły ludzki sposób, nie oznacza jeszcze, że musi się to odbywać tradycyjną metodą. Pomyśl o kwiatach. One także się rozmnażają, ale czasem informacja genetyczna pochodzi z dwóch roślin oddalonych od siebie o całe mile – które z pewnością nigdy się nie spotkały. Natomiast kiedy ludzie czy też my, humanoidalne symy, myślimy, że jesteśmy w ciąży, zakładamy, że nastąpiło to w sposób tradycyjny. – Zmarszczył brwi. – W przeciwieństwie do ludzkiego sposobu rozmnażania się, muszę powiedzieć, że model sieciowy jest trochę niedopracowany w dziedzinie motywacji – rozumiesz, „robimy to, bo mamy frajdę” i tym podobne.

–Zwolnij trochę, Sherlocku. A zatem system... łączy twój materiał genetyczny i materiał genetyczny innych ludzi, by stworzyć nowych ludzi? Przecież ty nie masz żadnego materiału genetycznego. – Spojrzała na niego przerażona. – Przepraszam, Orlando, nie chciałam...

–Nie przejmuj się, od dawna o tym myślałem. To zupełnie inna i bardzo dziwna gra, w której może brać udział nawet taki umarłak jak ja. Widzisz, to nie jest materiał genetyczny w sensie tradycyjnym. Kunohara nazywa to kodyfikacją nas przez sieć – tworzenie schematów naszych osób, kopii, co jest najbliższym odpowiednikiem genów. Po prostu system znalazł sposób na ich mieszanie. – Widząc, że Sam wciąż wygląda na zaniepokojoną, uśmiechnął się. – A co do łączenia materiału... owszem, tak to się dzieje, lecz nie całkiem przypadkowo. Dobry system reprodukcyjny zawiera zwykle komponent typu „zwycięzcy łączą się w pary”. Dlatego mój materiał ujawnił się pierwszy i został połączony z cieniem Avialle – najlepiej dostosowani rodzice, pamiętasz? – i dlatego więcej niż jedna Avialle jest ze mną w ciąży. Jesteśmy najbardziej mobilni, a ja posiadam największą moc – choć nie mam pewności, czy system bierze ten czynnik pod uwagę – tak więc mój materiał... chyba muszę wymyślić nowe słowo, bo „materiał” nie pasuje... moje informacje są najbardziej atrakcyjne. Ja jestem jeden, za to cieni Avialle jest więcej;

dążą do tego, by wybrać moje informacje, jeśli tylko się da.

–Jak to się odbywa? Czy sieć po prostu... zapładnia je twoją informacją?

–Nie. To kolejna ciekawa sprawa. Wpadłem na to, kiedy przyglądałem się członkom Towarzystwa. Dwie kobiety zaszły w ciążę, a cień Jongleura powiedział, że nie ma z tym

nic wspólnego. W świetle moich własnych doświadczeń, zacząłem się zastanawiać, czy nie mówi przypadkiem prawdy. Przejrzałem więc dzienniki podróży całej trójki i przekonałem się, że w zasadzie nigdy nie byli w tym samym świecie w tym samym czasie, że nie wspomnę już o możliwości wskoczenia do łóżka. Przebywali blisko siebie jedynie podczas zebrań członków Towarzystwa w symulacji Wodehouse'a, a cień Jongleura zawsze wracał potem do swojego rodzinnego świata, co znaczy, że szanse zapłodnienia i ciąży w kategoriach tradycyjnych były znikome. Za to wszyscy podróżowali przez te same przejścia łączące światy sieci, najpierw de Limoux – to ten mężczyzna – a potem kobiety.

–Przejścia? Chcesz powiedzieć, że to przejścia?

–Tak sądzimy. Podobnie jak pszczoły, które ocierają się o pyłki i przenoszą je na inne kwiaty, czy też niektóre ryby lub owady, które udają się w to samo miejsce, by złożyć tam plemniki i jajeczka, ale nie muszą znaleźć się tam w tym samym czasie. System wytwarza męską informację – pochodzącą od ludzi takich jak ja czy de Limoux – w pewnym sensie aktywną reprodukcyjnie, którą mogą przejąć kobiety, przechodząc przez bramy. Ja i Kunohara mamy zamiar ograniczyć podróże członków Towarzystwa, bo inaczej wszystkie kobiety zajdą w ciążę.

Sam wykręcała dłonie tak samo, jak robiła to w chwilach, kiedy coś ją niepokoiło.

–To znaczy, że pozwolisz, aby to się stało? Tylko... jakie dzieci urodzą te kobiety? To czyste skanerstwo, Orlando! Rozumiesz, co mam na myśli? Jeśli to ma być tak jak u ryb czy owadów, to może one urodzą... całe stadka dzieci. – Na jej twarzy znowu pojawił się wyraz przerażenia. – Czy to potomstwo będzie w ogóle podobne do dzieci?

–Sądzimy, że tak. Nawet jeśli metodologia jest oparta na czymś w rodzaju kultury ula, to sieć, jak się zdaje, posługuje się raczej ludzkimi modelami w przypadkach ciąży – pamiętaj, że została zaprogramowana do symulowania podobnych procesów. Jak na razie kobiety mają się dobrze, a lekarze ze świata Wodehouse'a, którzy je zbadali, usłyszeli tylko jedno serce w łonie każdej z matek. Istnieje też kilka innych wskazówek, które świadczą o tym, że są to ludzkie dzieci – a przynajmniej na tyle podobne do ludzkich, na ile może tego dokonać system, skoro nie mamy do czynienia z prawdziwymi ludźmi w charakterze rodziców, a jedynie z kopiami, do tego bardzo niedoskonałymi w niektórych wypadkach. Po pierwsze, bardzo trudno jest posłużyć się ludzkimi symami w systemie jako dawcami informacji – czyli rodzicami – jeśli zamierzasz potem znacznie zmienić informacje. Łatwiej jest wykorzystać ludzkie modele rodziców i dzieci, które już są wbudowane, rozumiesz? Inny powód jest jednocześnie odpowiedzią na jedno z pytań, które mnie dręczyły, odkąd zająłem się całym tym problemem. Nie mogłem tego rozgryźć, ale Kunohara mi pomógł.

–Mów dalej. Może to jakoś załapię. – Sam wyglądała, jakby ktoś grzmotnął ją w głowę. – Gardiner, tuziny kobiet w sieci, które mają urodzić twoje dzieci. Chyba mieszkasz przy Ulicy Niesłuchanej Wprost Wyjątkowości.

–Czułbym się mile połączony, gdyby wszystko to odbywało się w tradycyjny sposób. W każdym razie kiedy próbowaliśmy poskładać jakoś to wszystko, napomknąłem Kunoharze, że dwa pytania wciąż nie dają mi spokoju. Po pierwsze, skąd cienie Avialle znały moje imię, skoro nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Kunohara twierdzi, że to

jeszcze jeden dowód na to, że będziemy mieli ludzkie dzieci. Ssaki wyższego rzędu, zwłaszcza ludzie, mają długie dzieciństwo i wymagają intensywnej opieki rodzicielskiej. W interesie strategii reprodukcyjnej sieci leżało stworzyć dawcom możliwość połączenia się w celu wychowania dzieci, tak aby kobiety otrzymały nie tylko informację genetyczną od mężczyzn, lecz także wiedzę o tym, kim jest ojciec, oraz możliwość znalezienia go, nawet jeśli do końca nie wiedzą, w jaki sposób zaszły w ciążę. Dzięki temu kobiety z Towarzystwa dowiedziały się, że tatusiem jest de Limoux, a cienie Avialle odkryły, że noszą moje dzieci – tak chyba muszę powiedzieć, choć w rzeczywistości nie miałem z tym nic wspólnego.

–Ale to nie ma sensu, Orlando. To znaczy do pewnego stopnia ma, ale jeśli sieć naprawdę chce, abyś odegrał rolę ojca tych dzieci, to dlaczego matki znikają za każdym razem, kiedy je namierzysz?

–Widzisz? Chociaż tak długo dręczyłaś swój biedny, obolały umysł wiedzą chemiczną, to i tak wciąż jesteś bystrzejsza, niż ci się wydaje. To właśnie było moje drugie pytanie. Kunohara też znalazł na nie odpowiedź. Trochę żenująca sprawa.

–Rany, gadaj.

–Otóż wyższe ssaki, zwłaszcza takie jak my, które potrzebują obu rodziców, posiadają złożoną strategię zalotów, które prowadzą do późniejszego związku i pojawienia się potomka. Ponieważ w reprodukcyjnej strategii sieci nie istnieje nic, co by przypominało zaloty przed ciążą, więc system... wypracował formę zastępczą. Coś na podobieństwo zalotów p o ciąży. Coś w rodzaju tańca godowego czy też – jak to nazwał Kunohara w przypadku pszczoł? – lotu weselnego.

–Że co?

–Skutecznie działa to tylko w wypadku cieni Avialle, które potrafią przenosić się z miejsca na miejsce w jednej chwili – po prostu znikają – ale niektóre z członkiń Towarzystwa także znikają, choć w bardziej konwencjonalny sposób. Na przykład ta Maisie Macapan wyniosła się do Rzymu z czasów cesarstwa. Wszystkie te ucieczki mają wzbudzić zainteresowanie ojca, który powinien podążyć za kobietami, rozumiesz? – Pokręcił głową. – Mnie to wzięło, i to jak.

To była najtrudniejsza część i Orlando wiedział, że nie wyjaśnił wszystkiego wprost. Przypomnił sobie, co powiedziała mu Sam, zanim się rozłączyli.

To chyba dobrze - stwierdziła – bo wydajesz się bardzo przejęty i zainteresowany. Już zaczynałam się martwić o ciebie – przez jakiś czas sprawiałeś wrażenie bardzo

przygnębionego. Tylko co to wszystko znaczy? W jaki sposób zamierzasz być ojcem wszystkich tych dzieci, jeśli rzeczywiście się urodzę? Co zrobisz, Orlando?

Prawda była taka, że nie miał pojęcia – wciąż nie znał odpowiedzi na setki pytań. Czy system znalazł się w tym punkcie tak niespodziewanie? Czy może raczej doszedł do tego drogą ewolucyjnych prób i błędów w zakamarkach sieci? Czy miał świadomość tak jak dawny system operacyjny, czy tylko dopracowywał dawne tendencje pozostawione przez pierwotny system? A może zmierzał w kierunku nowego rodzaju świadomości. Czy Orlando i pozostałe symy ostatecznie staną się komórkami jakiejś większej żywej istoty? Niektóre z tych pytań po prostu go przerażały. Wciąż odczuwał podniecenie związane z rozwiązaniem tej zagadki, ale z drugiej strony wiedział, że cała ta rzeczywistość nie będzie tak prosta, by ją wyjaśnić ludziom. Bo nigdy nie była prosta – szczególnie to, co zamierzał im przedstawić, dlatego dotąd mówił wymijająco.

Skoro istnieją dziesiątki moich dzieci, to oczywiste jest, że nie mogę być ich ojcem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Może trzeba będzie zatrzymać ten proces po

pierwszej grupie, przynajmniej jeśli chodzi o moją osobę – bo co zrobimy, jeśli sieć zamierza kontynuować to w nieskończoność, pokolenie po pokoleniu? A jeśli traktuje mnie jak królową matkę w roju, czy raczej króla ojca, i zamierza uczynić ojcem tysięcy dzieci? Dobrze, że przynajmniej miał czas na przemyślenie problemu i przedyskutowanie go z Kunoharą, gdyż istniała ograniczona liczba potencjalnych matek, których ciąża będzie zapewne trwała tyle samo czasu, co ciąża w prawdziwym świecie. Entomolog był zachwycony rozwojem wypadków i zamierzał jak najszybciej uporać się ze swoimi kłopotami prawnymi, by móc rzucić się w wir badań nad nowym paradygmatem.

Dla niego to jest łatwe – jego informacja nie została skopiowana w systemie. On nie musi się obawiać odpowiedzialności za dziesiątki dzieci. Lecz jeśli istniał ktoś, kto miał strzec swoich dzieci, to był nim właśnie Orlando, strażnik Innego Świata. Bo w końcu, jak mawiali szeryfowie na Dzikim Zachodzie, ja jestem prawem po tej stronie rzeczywistości.

Boże, sam nie wiem. Coś wymyślę, mam przyjaciół. Będzie dziwnie, ale ja przecież nie żyję i właśnie udaję się do rodziców, więc czy mogę się czemuś dziwić? To dopiero będzie przygoda.

Mam zostać ojcem! Ja! Wciąż wracał do tej myśli, która go przerażała i podniecała. Jakie będą te dzieci? Jak się zachowa sieć, kiedy pierwsze pokolenie dorośnie i doczeka się swoich potomków, jeszcze bardziej zaawansowanych? W historii ludzkości nikt nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Nieznana kraina. Mam przed sobą nieznaną krainę.

–Beezle, idę – oświadczył. – Nie chcę, żeby mi przeszkadzano, chyba że zawali się wszechświat, który znamy, rozumiesz? Odbieraj wszystkie wiadomości.

–Jasne, szefie. Zostanę tutaj, w tym wymyślonym kosmosie, i pobawię się z kotami.

Orlando otworzył połączenie z domem rodziców. Tym razem chętnie wejdzie w postać tego upiornego plastalowego stracha na wróble. Po tym, jak natrudzili się, aby zorganizować to surrealistyczne, ale i wzruszające przyjęcie urodzinowe w Rivendell, czuł, że jest im coś winien. Co więcej, chciał, żeby byli w dobrym humorze, kiedy oznajmi im, że, wbrew wszelkiej logice, będą mieli wnuka.

Może nawet czterdzieścioro albo pięćdziesięcioro wnucząt.

Przełożył Paweł Kruk

Jeźdźcy Smoków Z Pern Anne McCaffrey

Trylogia Podstawowa

Dragon flight (1969) *Jeźdźcy smoków* (1991) *Dragonquest* (1971) *W pogoni za smokiem* (1995) *The White Dragon* (1978) *Biały smok* (1995)

Trylogia Harfiarzy

Dragonsong (1976) *Śpiew smoków* (1995) *Dragonsinger* (1977) *Smoczy śpiewak* (1995) *Dragondrums* (1978) *Smocze werble* (1996)

Inne Pozycje Cyklu

Morela, Dragonlady of Pern (1983) *Moreta, pani smoków z Pern* (1996) *Nerilka's Story* (1986) *Opowieści Nerilki* (1996) *Dragonsdawn* (1988) *Narodziny smoków* (1997) *The Renegades of Pern* (1989) *Renegaci z Pern* (1997) *All the Weyrs of Pern* (1991) *Wszystkie weyry Pern* (1998) *The Chronicles of Pern* (1992) *The Girl Who Heard the Dragons* (1994) *The Dolphins of Pern* (1994) *Delfiny z Pern* (1998) *The Second Chronicles of Pern: Red Star Rising* (tyt. bryt.), *Dragonseye* (tyt. am.) (1996) *Smocze Oko* (1998) *The Masterharper of Pern* (1998) *Mistrz harfiarzy z Pern* (1999) *The Sky of Pern* (2000) *Niebiosa Pern* (2001) *Gift of Dragons* (2002) *Dragon's Kin* (z Toddem McCaffreyem, 2003) *Dragon Blood* (Todd McCaffrey, 2004) *The Atlas of Pern* (1984)

The Dragonlovers Guide To Pern (1989) *Ilustrowany przewodnik po planecie Pern* (2000)

Ludzie, niezadowoleni z pełnego techniki życia na Ziemi, zdecydowali się skolonizować inną planetę, na której życie nie byłoby tak uzależnione od technologii. Kilkuset osadników dotarło do systemu Rukbat, posiadającego sześć planet, z których pięć poruszało się po stałych orbitach, jedna zaś krążyła dziko wokół pozostałych. Trzecia planeta nadawała się do zamieszkania, toteż osiedlili się na niej i nazwali ją Pern. Wykorzystali przywiezione materiały oraz same statki do jej skolonizowania i przekształcenia w nowy dom.

Pern byłby idealnym miejscem, gdyby nie jedna rzecz: w nieregularnych odstępach czasu w jego pobliżu przelatowała szósta planeta, uwalniając przy tym chmary mikoryzoidowatych

zarodników niszczących wszelkie życie organiczne, którego dotkną, i na lata wyjąłwiających kompletnie ziemię, na którą spadną. Koloniści nazwali je Nićmi i natychmiast zaczęli szukać sposobu pozwalającego skutecznie z nimi walczyć i je niszczyć.

Ktoś wpadł na pomysł, by wykorzystać zamieszkujące Pern ogniste jaszczurki, niewielkie gady, które potrafiły ziać ogniem i latać. Dawały się łatwo oswajać, stanowiły więc doskonały materiał do badań. Dzięki genetyce i selektywnej hodowli po kilku pokoleniach koloniści dysponowali rasą z początku stosunkowo niewielkich, potem jednak w pełni już wyrosniętych smoków. Współpraca smoków z jeźdźcami pozwoliła zniszczyć Nici podczas najbliższego Opadu i utrzymać kolonię na planecie. Ustalono quasifeudalną strukturę społeczności rolniczej i zbudowano odpowiedniki miast, acz o specjalnym przeznaczeniu: w weyrach mieszkały smoki i ich jeźdźcy, w warowniach administratorzy i rolnicy, w siedzibach zaś rzemieślnicy.

Wiele powieści i opowiadań o Pernie traktuje o sprawach codziennego życia i polityki wewnętrznej między warowniami a weyrami w okresach wyznaczanych przez kolejne Opady. Cały cykl obejmuje ponad dwa i pół tysiąca lat. Od pierwszego lądowania kolonistów do odkrycia przez ich potomków zapomnianej wiedzy, przechowywanej w głównym komputerze flagowego statku kolonizacyjnego.

Akcja pierwszej trylogii, zwanej podstawową, toczy się dwadzieścia pięć wieków po lądowaniu. Bohaterka *Jeźdźców smoków*, Lessa, wraz z dwoma innymi jeźdźcami, F'larem i F'norem, są przekonani, że zbliża się kolejny Opad, ponieważ jednak od ostatniego upłynęło już czterysta lat, spotykają się z powszechną niewiarą i sceptycyzmem. Poza próbami zmobilizowania mieszkańców do obrony Lessa ma jeszcze inny problem: wie, że na planecie nie ma wystarczającej liczby smoków, by można było skutecznie zniszczyć Nici podczas Opadu. Dlatego decyduje się na desperacki krok: dzięki smoczej umiejętności poruszania się w pomiędzy cofa się w czasie o czterysta lat, do momentu tuż po ostatnim Opadzie. Jeźdźcy smoków z tego okresu zaczynają się właśnie nudzić, dlatego też bez trudu przekonuje większość z nich, by udali się z nią do jej czasów i pomogli zniszczyć Nici podczas kolejnego Opadu. Przybywają w samą porę i likwidują zagrożenie.

Akcja *W pogoni za smokiem* rozgrywa się siedem lat później. Stosunki między Jeźdźcami z Przeszłości, jak nazywani są ci sprowadzeni przez Lessę, a oryginalnym pokoleniem jeźdźców stają się coraz bardziej napięte. Po walce z jednym ze starych jeźdźców F'nor zostaje wysłany na Południowy Kontynent, by się wykurował i odzyskał siły utracone w wyniku odniesionych ran. Odkrywa tam pędraki zdolne neutralizować Nić już po tym, jak wkopie się ona w ziemię. Rozumiejąc, że odkrył nową, potężną broń, zaczyna planować, jak rozmieścić je w miarę równomiernie na obu kontynentach. W tym samym czasie nieoczekiwany Opad przyspiesza pojedynek F'lara, Władcy Weyru Benden, z Tronem – przywódcą Jeźdźców z Przeszłości. F'lar zwycięża i doprowadza do wygnania wszystkich tych jeźdźców, którzy nie chcą zaakceptować go jako nadrzędnego Władcy Weyrów. Wygnani udają się na Południowy Kontynent.

Ostatni tom trylogii, *Biały smok*, opisuje losy Jaxoma, który od chwili Wylęgu opiekuje się genetyczną anomalią: jedynym białym smokiem na Pernie. Ponieważ jest on mniejszy od wszystkich innych smoków, no i nikt nigdy nie słyszał o smoku albinosie, obaj stają się obiektami uprzedzeń i drwin ze strony innych jeźdźców smoków. Jaxom ma także zostać lordem jednej z najstarszych warowni na planecie – Ruathy – toteż nie brakuje wątpliwości w jego kwalifikacje. Tak Jaxom, jak i Ruth, jego smok, udowadniają w końcu, ile są warci, dowodząc przy okazji, że większe nie zawsze znaczy lepsze. Jaxom otrzymuje obiecaną warownię, zdobywa dziewczynę i staje się ważnym członkiem społeczności.

Druga trylogia, określana mianem „Trylogii Harfiarzy” lub „Trylogii młodzieżowej”,

przeznaczona jest dla nieco młodszych czytelników i opisuje losy Menolly – uzdolnionej dziewczyny, która z nie docenianej przez nikogo szarej myszki staje się harfiarką i opiekunką ognistych jaszczurek.

Kolejne nowele, jak i opowiadania, podobnie jak ta traktują o rozmaitych aspektach życia kolonistów od początków obecności ludzi na planecie.

Poza Pomiędzy Anne McCaffrey

Wstęp

Kiedy ludzie osiedlili się na trzeciej planecie systemu Rukbat w sektorze Sagittarian, zwanej Pern, zwracali niewielką uwagę na siostrzaną planetę zwaną Czerwoną Gwiazdą, posiadającą ekscentryczną orbitę. System został przecież zbadany i uznany za bezpieczny, a pochodzący z Ziemi koloniści, co do jednego weterani wojenni, byli najbardziej zainteresowani stworzeniem spokojnego społeczeństwa rolniczego niezależnego od techniki. Dlatego też gdy osiem lat później dotknęła ich katastrofa w postaci zagrożenia z kosmosu, nie byli przygotowani, by sobie z nią poradzić. Powodem problemów był organizm spadający z nieba w postaci cienkich pasm, zżerający każdy organiczny materiał, z jakim się zetknął. Koloniści nazwali go Nićmi i walczyli z nim, jak umieli. Okazało się, że kamień i metal dają przed nim ochronę, a woda i ogień go niszczą, ale spadało go tyle, że wydawało się, iż nie uda się przed nim obronić.

W końcu znaleziono rozwiązanie, łącząc pomysłowość i inżynierię genetyczną. Modyfikując geny niewielkich zwierząt żyjących na planecie, wyhodowano smoki ze starych ziemskich legend. Stały się one najskuteczniejszą bronią w walce z Nićmi, ponieważ mogąc trawić określony rodzaj skał, były w stanie ziać ogniem, spalając w ten sposób Nici w powietrzu, nim zdążyły opaść i wryć się w ziemię. Smoki potrafiły nie tylko latać, ale i teleportować się, toteż mogły szybko manewrować i unikać zagrożeń w trakcie zwalczania Nici. A telepatyczna więź z jeźdźcami, tworząca się w chwili wykluwania się smoków z jaj, powodowała, że one i ludzie działali w idealnej harmonii.

Jeźdźcy smoków stali się bohaterami i wiele dzieci marzyło, iż gdy dorosną, dołączą do ich

grona i doświadczą unikatowej psychicznej i emocjonalnej więzi łączącej jeźdźca i smoka. Wiąż ta miała jednak ciemną stronę – śmierć jednego z partnerów oznaczała najczęściej i śmierć drugiego. Jeśli ginął jeździec, smok popełniał samobójstwo, wchodząc w pomiedzy. Jeśli ginął smok, a jeździec nie targnął się na swe życie, wegetował, gdyż brak mu było „połowy siebie”.

Po zakończeniu trwającego pięćdziesiąt lat Opadu Nici na planecie wykształciły się trzy warstwy społeczne i trzy rodzaje siedzib: warownie będące centrami administracyjnymi i schronieniami w czasie Opadu, siedziby, gdzie cechy doskonaliły i uczyły fachów, oraz weyry, gdzie mieszkały smoki wraz z jeźdźcami.

W czasie Szóstego Opadu Nici w roku 1543, a dokładnie trzeciego dnia dziesiątego miesiąca, wydarzyło się coś bez precedensu. Archiwa żadnego z weyrów nie zawierały najmniejszej wzmianki o tym, by kiedykolwiek stało się coś podobnego. Kontynent nawiedziła nieznana plaga i uzdrowiciele sporo się namęczyli, nim odkryli skuteczne lekarstwo. Miało ono postać uodparniającej szczepionki, którą jak najszybciej powinien dostać każdy człowiek. Dlatego jeźdźcy i smoki musieli dostarczyć odpowiednie jej ilości nie tylko do wszystkich siedzib czy warowni, ale też do każdego gospodarstwa rolnego, nawet najmniejszego. By tego na czas dokonać, musieli skorzystać z mało poznanej i zrozumianej zdolności smoków do teleportacji nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Było to niebezpieczne, gdy smok i jeździec byli już zmęczeni, gdyż nawet najlepiej wyszkolonym i zgranym mogło się zdarzyć popełnienie błędu.

Biegusy zaczęły się niepokoić, ale Thaniel nie zwrócił nawet na to uwagi. Jak to mu się często zdarzało, wspominał ukochaną żonę, której nadal mu brakowało, choć zmarła już dość dawno temu. Byli niczym dwie połowy jednej całości – razem stanowili coś doskonałego. Wyjął z kieszeni zniszczoną chusteczkę i pogładził ją czule. W rogu miała wyhaftowane zielone i niebieskie kwiatki. Haft był staranny, jak wszystko, co robiła małżonka. Westchnął ciężko – śmierć była niesprawiedliwa. I przerażająco ostateczna.

Zawsze zastanawiało go, dlaczego rośliny powracają do życia po każdej zimie, podczas gdy człowiek może żyć tylko raz i to krótko.

Był nieco żylastym mężczyzną w średnim wieku i w dobrej kondycji, którą zawdzięczał latom spędzonym w siodle i na ujeżdżaniu wierzchowców. Trzy obroty temu biegus kopnął go w kolano, skutkiem czego Thaniel permanentnie utykał i nie miał już szybkości niezbędnej do bezpiecznego układania czy oporządzania biegusów. Większość jego dotychczasowych obowiązków przejęły w związku z tym dzieci, a on zajął się w znacznej mierze tym, co robiła dotąd żona, czyli utrzymywaniem porządku i gotowaniem dla całej rodziny. Od śmierci żony mieszkał tylko z dziećmi. Najmłodszy był Bill, przy którego skomplikowanym porodzie zmarła matka, a najstarszy Maynar. Jemu też najlepiej szło ujeżdżanie i układanie wierzchowców. Młodsza od niego Jerra była już prawie kobietą, która, jak ojciec miał nadzieję, wkrótce znajdzie sobie dobrego męża gdzieś w sąsiedztwie. Młodsza z dwóch córek, Brailli, miała zamiar wybrać się do Siedziby Tkaczy, by doskonalić umiejętności, gdy tylko skończy się

plaga. A Destry, średni syn, przejawiał talent do obcowania ze zwierzętami.

Przeraźliwe ryki jego ulubionego wierzchowca, Rusty'ego, wyrwały go w końcu z rozmyślań. Thaniel potrząsnął głową i zaczął się zastanawiać, co też mogło tak zirytować starego Rusty'ego. Nic nie przerażało go tak jak smoki, ale smoki w okolicy prawie się nie pojawiały. A potem przypomniał sobie, że miał otrzymać szczepionkę dla wszystkich domowników. Ktoś miał ją dostarczyć razem z instrukcją obsługi. W obejściu mógł się pojawić smoczy jeździec.

Z kubkiem gorącego i słodkiego kłahu, którego właśnie sobie nalał, wyszedł z kuchni i podszedł do okna, po czym rozejrzał się uważnie. Wszystko było po staremu – równina porośnięta falującą trawą, tu i ówdzie nieliczne drzewa, którym udało się przetrwać lodowate wichury. W pobliżu domu stała stajnia, co prawda nie murowana jak w Crom czy Naboi, gdzie kamienie były najobfitszym plonem z pól, jak słyszał, ale na tyle solidna, by mogły tam zimą przebywać zwierzęta.

Obok znajdowała się zagroda otoczona drewnianym płotem. Płot był mocny – pale dobrano tak, że na ich osadzenie silny człowiek potrzebował całego dnia. Obok wiodącej do niego bramy był wodopój, tak sprytnie pomyślany przez kogoś z przodków, że cały czas dopływała doń woda ze źródła oddalonego o dwanaście smoczycych długości. Dopiero gdy spojrział w górę, dostrzegł smoka zniżającego się do lądowania na placu obok. Rusty jak zwykle się nie pomylił, choć w jaki sposób tak wcześnie wyczuwał smoki, Thaniel nie miał pojęcia.

Wyszedł z domu szybkim, ale uważnym krokiem, by nie rozlać na dłoń gorącego płynu. Dopiero wtedy zauważył, że smok jest blado-żółty i ma nisko opuszczony łeb, co oznaczało, że bardzo się zmęczył. Po wylądowaniu omal nie dotknął nosem ziemi, dopiero potem wyprostował się, odzyskał równowagę i westchnął z ulgą. A przecież była to królowa, czyli jeden z największych i najsilniejszych smoków na całym Pernie. Nigdy nie widział tak wyczerpanego smoka, nawet po długim Opadzie.

–Thaniel – jeździec wymówił jego imię, czym jeszcze bardziej za skoczył gospodarza.

Rozpoznał bowiem w przybyszu Moretę z weyru Fort. Znał ją ze zgromadzeń, na które ludzie przybywali z daleka, by wspólnie świętować. Jego gospodarstwo znajdowało się na terenach, za których chronienie przed Nićmi odpowiedzialny był weyr Ista, toteż jeśli pojawiali się tu jacyś jeźdźcy, to właśnie z tego weyru.

Moreta sięgnęła do torby przewieszanej przez szyję smoka i wyjęła z niej dwie paczuszki. Thaniel pospieszył, by je odebrać, i podał jej kubek.

–Właśnie zaparzyłem, a wyglądasz, pani, jakbyś potrzebowała go bardziej niż ja.

–Nie masz pojęcia, jak mi tego brakowało – odparła z uśmiechem, pijąc drobnymi łyčzkami gorący napar.

Po pierwszym łyku otrząsnęła się, jakby zrzucała z ramion jakiś ciężar lub napięcie. Spojrzała na zachodzące powoli słońce i westchnęła głęboko z satysfakcją. Thaniel nie wiedział, z czego ona wypływała, a Moreta nie wyjaśniła mu tego. W czym nie było niczego dziwnego – jeźdźcy smoków, a tym bardziej jeździec królowej, nie musieli niczego wyjaśniać czy dzielić się przemyśleniami ze zwykłym gospodarzem.

–W tych paczkach jest szczepionka dla twojej rodziny i zwierząt – powiedziała Moreta. – Jeśli nie chcecie sami robić zastrzyków, jutro przybędzie uzdrowiciel.

Thaniel wzdrygnął się, słysząc słowo „zastrzyk”, ale Moreta i tak wytłumaczyła mu, jak podać szczepionkę. Potem rozejrzała się, jakby zdziwiona, że nie widzi nikogo więcej z domowników.

–Sprawdzają młode, wrócą wieczorem – rzekł i zajrzał do mniejszej paczuszki.

Zawierała starannie zabezpieczone przed stłuczeniem szklane flakoniki.

–Akurat tyle, ilu nas jest – ucieszył się i w tym momencie zorientował się, że Moreta jest wyczerpana.

Zapamiętał ją jako atrakcyjną kobietę o krótkich blond włosach i przepastnych oczach. Teraz oczy były podkrążone, skóra miała szarawy odcień, a z całej postaci jakby uszło powietrze. Wyglądała znacznie starzej, zupełnie jak Leri, która przecież żyła o wiele obrotów dłużej.

Może była to wina słońca... ale gdy przeniósł wzrok na smoka, nie miał wątpliwości – był równie zmęczony jak Moreta. Miał obwisłą skórę, a jego wielopłaszczyznowe ślepia były przygaszone i ledwie coś się w nich tliło.

–Dlaczego robisz, pani, to, co należy do początkujących jeźdźców? – spytał, nie kryjąc dezaprobaty.

Dla niego i jego bliskich otrzymanie szczepionki było ważne, ale nie spodziewali się, że do jej dostarczenia zostanie zaangażowany złoty smok.

–Wychowałam się w Keroon i byłam tu już wcześniej. Żaden jeździec z Isty nie zna tych stron tak dobrze jak ja, a wszyscy mają pełne ręce roboty. Tylko pamiętaj, żeby najpóźniej jutro podać szczepionkę, nawet gdyby nie zjawił się uzdrowiciel – przypomniała, oddając mu kubek.

Zauważył, że drugą dłoń zaciskała na uprzęży, jakby bała się, że może w każdej chwili spaść ze smoczego grzbietu.

–Dziękuję za klah, był mi naprawdę potrzebny.

–A ja dziękuję za lekarstwo – odparł, cofając się.

I ze zdziwieniem spostrzegł, że złoty smok lekko drży.

–To był nasz ostatni przystanek – wyjaśniła Moreta z uśmiechem i ponownie spojrzała na słońce. – Dostarczyliśmy już wszystkie szczepionki.

–Bezpiecznych lotów – powiedział serdecznie i dodał zaniepokojony: – Zaczyna się ściemniać.

–Jeszcze tylko jeden skok w pomiędzy, Holth – w głosie Morety słychać było zachętę. – To wszystko i będziemy w domu.

Ulga, z jaką wypowiedziała ostatnie zdanie, chyba dodała sił królowej, gdyż wystartowała z wyskoku i prawie natychmiast zniknęła.

Thanielowi wydało się, że wzbiła się za nisko, ale nie znał się na tym zbyt dobrze. Zaniósł kubek i paczuszki do domu. Te ostatnie położył ostrożnie na środku stołu, przy którym spożywano posiłki, a sam poszedł do kuchni i nalał sobie kłahu. Osłodził go, czując miłe zadowolenie i dumę. Wszyscy mówili, że parzy dobry kłah, a teraz sama Moreta napiła się go z wyraźną przyjemnością. Usiadł, trzymając oburącz kubek, i zamyślił się. W tym momencie dotarło doń coś, na co powinien był zwrócić uwagę znacznie wcześniej, a co było tak dziwne, że aż powiedział na głos:

–Holth?!

Pamięć czy zdolności kojarzenia miał jak najbardziej w porządku, a był pewien, że królowa, której dosiadała Moreta, nazywała się Orlith. Z tego, co wiedział, smoczyca niedawno złożyła jaja, i to dwadzieścia pięć, co znaczyło, że najprawdopodobniej wykluje się nowa królowa. A złote smoki bywały drażliwe na punkcie swoich młodych – być może dlatego Moreta przybyła na nie swoim smoku.

Bo Holth, nie miał co do tego wątpliwości, była królową, której dosiadała Leri. A Leri była jeźdźcem, zanim jeszcze on objął rodzinną gospodarkę, i była wiekowa. Słyszał, że cierpiała na bóle stawów i jej kondycja fizyczna tak się pogorszyła, że nie mogła już wraz z jeźdźcami swego weyru brać udziału w walce z Nićmi. Skoro Moreta nie przybyła na swoim smoku, mogło to tłumaczyć jego opłakany stan. Rozdzielono go z jego jeźdźcem, a Moreta nie знаła dokładnie jego możliwości i zmusiła do zbyt wielkiego wysiłku, czego Leri nigdy by nie zrobiła.

W tym momencie stado w zagrodzie, które już się uspokoiło, ponownie ogarnięte paniką zbiło się w gromadę przy wschodnim ogrodzeniu, a Rusty zawył tak przeraźliwie jak biegus, którego dopadł wąż. Tyle że masywne, płaskie węże równinne nigdy go nie przerażały; wręcz przeciwnie, ze sporą przyjemnością tratował je przy każdej okazji. Teraz jednak wrzasnął tak, że Thaniel aż się wzdrygnął; zupełnie jakby wydarzyło się coś strasznego,

czego wierzchowiec nie rozumiał i o czym nie miał pojęcia.

Wyjrzał, ale nie zobaczył niczego ani na ziemi, ani w powietrzu. Nikt nie przybywał i nic się nie działo. Nawet powierzchnia jeziora była spokojna. Jezioro nigdy nie wysychało, zasilane z jakiegoś podziemnego źródła, dlatego korzystać z niego mogli wszyscy, podobnie jak z rzeki Keroon, ale ta leżała znacznie dalej na wschód. Z tej racji jego gospodarstwo, podobnie jak poprzednie, zwano Źródlanym. I wszyscy uważali, że woda w nim jest lepsza niż w rzece.

Otrząsnął się z ponurego nastroju i wrócił do kuchni. Zamieszał gulasz, który już ładnie dochodził, i ponownie się zamyślił.

Ponieważ z natury lubił się martwić, zaczął się zastanawiać, dlaczego Moreta zajmowała się czymś tak mało istotnym i dlaczego nie przybyła na swojej królowej. Imię „Holth” wymówiła bardzo wyraźnie, nie mógł się przesłyszeć.

W końcu dał sobie spokój i doszedł do wniosku, że może uzdrowiciel będzie znał odpowiedzi na nurtujące go pytania. Zamieszał gulasz, wachając go z aprobatą, i czekał z niecierpliwością, aż dzieci wrócą, by opowiedzieć im, co zaszło.

Cała piątka zjawiała się, gdy zaczęło zmierzchać, z nowinami o zdrowych młodych i miejscach, gdzie można znaleźć mniejsze stada. Thaniel opowiedział im o wizycie Morety. Dzieci zasypały go pytaniami, zaskoczone, że jeździec królowej pofatygował się osobiście, ale po krótkiej, acz zażartej dyskusji, z której nic nie wynikło, wrócili do kwestii leżącej na stole szczepionki.

–Nie ma sensu czekać na uzdrowiciela – oznajmiła Jerra. – Ja zrobię wszystkim zastrzyki. Plagę roznosi wiatr i dopiero byśmy głupio wyglądali, gdyby dotarła tu przed uzdrowicielem, a my, mając lekarstwo, nie użylibyśmy go.

W opinii Thaniela nie wyglądaliby głupio, tylko martwo, ale nie powiedział tego.

–Skończymy jeść i zrobię zastrzyki – dodała nie znoszącym sprzeciwu tonem Jerra. – Widziałam, jak uzdrowiciel to robi: trzeba włożyć się w skórę i nacisnąć.

Jerra przejawiała czasem dyktatorskie zapędy, w przeciwieństwie do matki, ale zawsze mając na względzie dobro rodziny. Thaniel kiwnął głową, przyjmując jej propozycję. Wszyscy zasiedli do kolacji, ale rozmowa jakoś się nie kleiła, bo każdy spoglądał na leżące na środku stołu szczepionki.

Wrzask Rusty'ego rozbrzmiał tym głośniejsz, omal nie zwałając Thaniela ze stołka.

–Co się dzieje? – zdziwił się. – Głupieje przez cały dzień?! Siedzący najbliżej okna Maynar wstał i wyjrzał.

–Mamy gości – oznajmił.

–Gości? – zmartwiła się Jerra. – A gulaszu nawet dla jednego nie wystarczy!

–Trzy smoki – stwierdził Thaniel, podchodząc do drzwi i zdejmując z haka latarnię, by stosownie przywitać przybyszów. Gdy wyszedł, ze zdziwieniem stwierdził, że dwa smoki oprócz jeźdźców mają też pasażerów.

–To Źródlane Gospodarstwo? – spytał męski głos.

–Ano. A kim wy jesteście?

–Mistrz Harfiarzy Tirone z Kamianą, jeźdźcem królowej Pelian, uzdrowicielka Desdra z A'danem, jeźdźcem Tigratha, oraz D'say na Critithu. Czy Moreta była tu dziś po południu?

–Była krótko przed zmierzchem, przywiozła nam lekarstwo – odparł Thaniel. – Chodźcie do środka. Napijcie się wina i klahu.

Wszystko, o czym chwilowo był zdolny myśleć, to że jednym z gości jest uzdrowicielka, więc powinno udać się uratować rodzinę przed pełną dobrej woli, ale nie mającą żadnego doświadczenia w kwestii robienia zastrzyków Jerrą. Na szczęście zaparzony był dzbanek świeżego klahu, a Jerra z siostrą zdołały znaleźć cenne i rzadko używane kielichy do wina. Wino też zostało piorunem odkorkowane – było to dobre czerwone wino z winnic na wzgórzach Crom.

–Doceniamy waszą gościnność, ale nie mamy czasu – powiedział Tirone, wchodząc. – Wypijemy coś, ale przede wszystkim powiedzcie nam, co wiecie o Morecie i Holth.

Widać było po nim i jego towarzyszach, że są poważnie zmartwieni. Dopiero teraz Thaniel zaczął się bać – Moreta powinna już dawno temu wrócić do weyru Fort.

–Dałem jej kubek klahu – powiedział z nadzieją, że postąpił słusznie.

–A co ona powiedziała? – spytała Kamiana.

–Podziękowała mi.

–Powiedziała coś jeszcze przed odlotem?

–Ano. A złoty smok... było mi go naprawdę żal: był zmęczony i wyglądał staro – Thaniel zamilkł, zdając sobie sprawę, że nie o to go zapytano. – Rzekła do niego: „Jeszcze tylko jeden skok w pomiędzy, Holth, i będziemy w domu”, jeśli mnie pamięć nie myli. Wydało mi się to dziwne, bo jej smok to Orlith...

Nikt nie skomentował ostatniego zdania.

–Przecież musiała przywołać z pamięci obraz Fortu? – bąknęła Desdra.

Goście spojrzeli po sobie nerwowo.

–Obie były wyczerpane, gdy tu dotarły – odezwała się Kamiana. – Moreta pół dnia latała na Orliith, potem przesiadła się na Holth i też miała sporo przesylek do rozwiezienia. A Holth to stary smok...

Desdra w tym czasie otworzyła mniejszą z paczek, sprawdziła zawartość i spytała:

–Zaszczepić was?

–Oczywiście – odparł czym prędzej Thaniel. – Nie wiemy, kiedy odwiedzi nas uzdrowiciel, bo nasz dom leży na uboczu. A moja córka jedynie widziała, jak to się robi...

Jerra, nawet jeśli żałowała, że ominie ją przyjemność nauczania się, jak robić zastrzyki, nie dała tego po sobie poznać – bez słowa odpięła guzik i podwinęła rękaw bluzki.

–Thaniel, czy Holth dobrze wystartowała? – spytała Kamiana.

–Wydaje mi się, że tak. Ale jak już mówiłem, obie były zmęczone.

Kamiana westchnęła ciężko.

–Może Moreta była zbyt wyczerpana, by zrobić jeszcze raz to, co każdy jeździec powinien przed startem. Zwłaszcza na obcym smoku – zasugerowała.

–Moreta dobrze знаła Holth – zaprotestował Tirone.

Kamiana pokręciła przecząco głową.

–Znała ją, ale nie jako jeździec, a to nie to samo. Inaczej zna się zaprzyjaźnionego smoka, a zupełnie inaczej takiego, na którym się lata. Wygląda na to, że różnica jest większa, niż dotąd sądziliśmy.

–A na dodatek całe to zgranie czasowe – dodała Desdra, przyciskając do ramienia Jerry wacik po zrobieniu zastrzyku. – Nawet wypoczętemu mąci się od tego w głowie.

Goście zamilkli, zajmując się winem i klahem.

Thaniel ledwie to zauważył, podobnie zresztą jak jego dzieci – ich uwaga skupiona była w całości na uzdrowicielce i szczepionce. Thaniel był następny w kolejce. Rękaw podwinął już wcześniej, a teraz Desdra złapała go za rękę i wbiła cierrń w skórę. Skrzywił się lekko, czując ukłucie, ale zaraz rozpogodził – mieli szczęście, że uzdrowicielka tu trafiła i byli już zabezpieczeni przed zarazą.

Po zaszczepieniu wszystkich członków rodziny goście wstali, przepraszając za pośpiech i dopijając, co tam który jeszcze miał. Następnie podziękowali za gościnę i wyszli.

–Sądzę, że zaginęły w pomiędzy – powiedziała Kamiana na tyle głośno, że Thaniel ją usłyszał.

–Taka strata! – westchnął Mistrz Tirone. – Musisz dopilnować, by innym się to nie przydarzyło.

–We wszystkich weyrach podjęto już niezbędne kroki. Ja tylko nie mogę zrozumieć, jakim cudem tak doświadczony jeździec nie potrafił wyobrazić sobie celu. Ani dlaczego Holth automatycznie nie poleciała do Leri, skoro już skończyła misję.

–Dokąd teraz? – spytał cicho Tirone, siadając na niebieskim smoku za jeźdźcem.

–Wracamy do warowni Fort, bo wy też musicie być mocno zmęczeni – zdecydowała Kamiana. – Sama was potem odwiozę do waszych siedzib.

Każdy z jeźdźców głośno i wyraźnie powiedział, dokąd chce lecieć, smoki kolejno wzbijały się w powietrze i po paru sekundach znikaly w pomiędzy, czemu towarzyszyły wrzaski biegusów.

Thaniel został sam na zalanym księżycowym blaskiem placu.

Tej nocy Thaniel został sam w gospodarstwie, gdyż młodzi rozjechali się, by jak

najszybciej zaszczepić stada, i wiadomo było, że wrócą późno. Nagle Rusty zawył wyjątkowo przeraźliwie. Thaniel zaniepokojony odchylił zasłonę i wyjrzał ostrożnie przez okno – pozostałe zwierzęta były spokojne i wyraźnie zdziwione zachowaniem starego Rusty'ego. Thaniel zaczął się zastanawiać, czy zwierzak nie zgłupiał ze starości, co nie byłoby miłe, gdyż musiały go uśpić...

Nagle ogarnęło go takie przerażenie, że puścił zasłonę i cofnął się o krok. Serce mu waliło, z trudem łapał oddech, ale podszedł do drzwi i ostrożnie uchylił je na tyle, by wyjrzeć. Oprócz przerażonego Rusty'ego nie zauważył niczego niezwykłego. Otworzył więc drzwi szeroko, wyszedł i skierował się w stronę zagrody.

–Kto tu? – zawołał donośnie. – Jest tu kto?

Rusty wrzasnął w odpowiedzi.

–Cicho, durniu! Przecież widzę, że nikogo tu nie ma! – zirytował się Thaniel, wskazując wymownym gestem pustą przestrzeń.

Rusty jednak zignorował go całkowicie – wrzeszcząc przeraźliwie, zaczął galopować w

kółko, dziko przewracając ślepiami.

–Zamknij się, kretynie! – Thaniel wrzasnął równie głośno. – Jeźdźcy szukający Morety już dawno wrócili do weyru i nigdzie nie ma śladu smoka, więc czego się drzesz?!

Nagle poczuł, jakby dotknął ramieniem sopła lodu. Odruchowo się cofnął, obejmując się ramionami.

–Co się tu wyprawia? – wymamrotał. – Przecież to nie zima i przeziębienie mnie nie łapie?!

W tym momencie uświadomił sobie znacznie gorszą możliwość.

–Czyżby dopadła mnie zaraza?!

Trzęsąc się ze strachu, odwrócił się i pognał do domu. Ledwie znalazł się wewnątrz, zatrzasnął z hukiem drzwi.

Jakiś czas później wrócili do domu Jerra, Maynar i pozostali. Stwierdzili, że ojciec jest nieswój – siedział przy ogniu na brzegu stołka i trzymał między kolanami zaciśnięte dłonie.

–Co się stało, tato? – spytała zatroskana Jerra.

–Nic.

–Zobaczyłeś coś? – zainteresował się Maynar.

–Nic nie widziałem – odparł Thaniel ostro i wpatrzył się w ogień.

Następnego dnia zjawili się dwóch jeźdźców smoków, by sprawdzić, czy wszyscy ludzie i zwierzęta w obejściu zostali zaszczepieni i czy nikt po zastrzyku nie miał jakichś dolegliwości. Rusty oczywiście na ich widok znów dostał szału ze strachu. Thaniel zapewnił ich, że ludzi szczepiła sama uzdrowicielka Desdra, i chciał dodać, że jedynym efektem ubocznym było to, że stary Rusty głupieje, bo boi się smoków, których przez ostatnie dwa dni zobaczył więcej niż zwykle przez rok, ale ugryzł się w język, świadom, że jeźdźcy nie są w nastroju do żartów. Ciągle chodziło mu po głowie, że był ostatnim człowiekiem, który widział Moretę i Holth. Myśl ta nie dawała mu spokoju, stając się powodem coraz większego poirytowania.

Młodzi naturalnie zauważyli jego nastrój i przez następną dobę zawsze ktoś zostawał z nim w gospodarstwie, podczas gdy inni objeżdżali stada. A przynajmniej tak miało być, gdyż tuż przed zmrokiem wpadł na spienionym wierzchowcu Billy z informacją, że biegus utknął w wąskiej rozpadlinie i nie może sam się wydostać, bo nie ma gdzie postawić kopyta. By go wyciągnąć, potrzebna była dodatkowa para rąk, dlatego Jerra, która miała tego dnia dyżur przy ojcu, musiała jechać z nim. Thaniel pomógł im skompletować liny,

pasy i latarnie, którymi objuczyli biegusa Billy'ego, i oboje odjechali. Thaniel praktycznie wygonił ich, zapewniając, że nic mu nie będzie, a zwierzę trzeba uratować.

Kurz po ich odjeździe ledwie zdążył opaść, gdy Rusty rozpoczął koncert, a Thaniel poczuł się dziwnie nieswojo. Z sercem w gardle podkradł się do drzwi i złapał pałę długości ramienia. Ostrożnie otworzył drzwi i rozejrzał się po niebie w poszukiwaniu smoków. Żadnego nie dostrzegł, za to zobaczył Rusty'ego stojącego dęba, a przednimi nogami kopiącego jakiegoś niewidzialnego przeciwnika. Rusty po paru chwilach zaczął się uspokajać, ale zaraz potem znów podniósł wrzask. Tym razem był tak przerażony, że cofnął się tyłem od płotu tak szybko, jak tylko mógł przebierać nogami.

W pewnym momencie stanął i wpatrzył się uważnie w coś przed sobą. Tyle że była tam jedynie pustka. A potem zaczął przednim kopytem ryć ziemię, jakby szykował się do ataku. Troska o zwierzę okazała się silniejsza od strachu – Thaniel wyszedł z domu i podszedł do zagrody, nawołując uspokajająco Rusty'ego. Ten jednak ignorował go, strzygąc uszami i ciągle wpatrując się w coś, co było przed nimi i co tylko on mógł zobaczyć.

–O co ci chodzi, staruszkule? – spytał Thaniel, obserwując z niepokojem grę mięśni wierzchowca. – Co ci nie daje spokoju?

Przetarł dłonią oczy i spojrzał uważnie w miejsce, w które gapił się Rusty. Nagle ten skoczył w tył, prawie siadając na zadzie, tak prędko chciał się od czegoś oddalić. Poderwał się gwałtownie i pomknął wzdłuż płotu jak żreback, to stając dęba, to zmieniając kierunek, jakby gonilo go coś naprawdę przerażającego.

Thaniel zamarł z otwartymi ustami.

–Przecież on tak głupieje tylko wtedy, gdy w pobliżu znajduje się smok – mruknął, gdy odzyskał głos. – Jeśli się nie uspokoi, będę go musiał uspić. Nie da się wytrzymać takich brewerii noc w noc!

I potrząsając głową ze smutkiem, wrócił do domu.

Rusty regularnie co wieczór miewał ataki paniki.

Dopiero piątego wieczora po zniknięciu Morety Thaniel znalazł się we właściwym momencie we właściwym miejscu. Była pełnia i ku swemu całkowitemu zaskoczeniu zobaczył, jak blask księżycy oświetla eteryczną postać smoka i jeźdźca.

Klnąc głośniej, niż Rusty rżał, rzucił pałę, odwrócił się i uciekł do domu, barykadując za sobą drzwi.

Pięć Dni Wcześniej...

Moreta poczuła się lepiej po wypiciu kłahu, którym poczęstował ją stary gospodarz. Nie

pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła, ale musiało to być niedawno, bo nie czuła głodu. Czuła natomiast ogromne zmęczenie – nawet najdłuższy Opad nie wydawał się tak ciągnąć i wyczerpywać sił. Teraz pozostał już tylko jeden skok w pomiędzy i obie nareszcie wypoczną.

Holth skoczyła, a Moreta zaczęła swoją wyliczankę pomagającą przeżyć strach przed w pomiędzy.

–Czarno, czarniej, najczarniej...

Było jej bardzo zimno, mimo że klah ją rozgrzewał. Odruchowo objęła się ramionami i zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na całkowitą ciemność jak zwykle panującą w pomiędzy. Gdy je otworzyła, kątem oka dostrzegła coś dziwnego i zupełnie nieoczekiwanego.

Wydawało jej się mianowicie, że widzi światło. Odwróciła głowę w tym kierunku i potrząsnęła nią zaskoczona – rzeczywiście szarość mieszała się tam z kompletną czernią. I nie dokuczało jej już to przeraźliwe zimno. Poczwała potrzebę ruchu i nagle zorientowała się, że Holth jest nieruchoma, a musiało już minąć więcej niż zwyczajowe osiem sekund.

A nadal tkwiły bez ruchu w pomiędzy...

Holth? - spytała telepatycznie. – Co się stało? Dlaczego nie wróciliśmy do weyru Fort?

Jesteśmy w pomiędzy. Nie „widziałam”, dokąd chcesz lecieć – odparła zaniepokojona Holth.

Moreta poczuła rosnącą panikę i spróbowała przypomnieć sobie, co powiedziała tuż przed startem, ale nie bardzo była w stanie. Potrząsnęła głową zła na samą siebie.

Musiałam przywołać z pamięci obraz Fortu, Holth! – zaprotestowała, próbując zmusić zmęczony umysł do myślenia. – Za długo jestem jeźdźcem, by popełnić tak szkolny błąd! Obie jesteśmy zmęczone. Kazałaś mi znaleźć się w pomiędzy, no to tu jesteśmy.

Dlaczego nie spytałaś, dokąd masz lecieć? – spytała ostro Moreta, próbując zrozumieć, jak tak doświadczony smok mógł zapomnieć o czymś tak podstawowym.

Cały dzień mówiłaś mi, gdzie mamy się dostać i na kiedy. Zawsze podawałaś mi dokładne kierunki i czas według słońca. Tym razem powiedziałaś mi tylko, żeby lecieć w pomiędzy – w telepatycznym głosie Holth słyhać było desperację.

Walcząc z rosnącym przerażeniem, Moreta zdała sobie sprawę, że rzeczywiście wspomniwała tylko o skoku w pomiędzy, zakładając, że Holth słyszała też, że to ostatni skok, jaki muszą zrobić. Sens był oczywisty: miały skoczyć w pomiędzy do „domu”, czyli do weyru Fort, gdzie obie mogły odpocząć i gdzie czekały Leri i Orlith. Ciśniej objęła się ramionami i spojrzała za siebie. W przeszłość, której nie mogła zmienić.

Rusz się, Holth! Może zdołamy znaleźć drogę powrotną.

Holth prychnęła niedowierzająco i nie poruszyła ani skrzydłem, ani nogą.

Nie mogę nigdzie lecieć.

–Co to znaczy, że nie możesz? – Moreta tak się zdziwiła, że spytała głośno.

Jeszcze nie i nie z tobą – odparła niezrozumiale Holth.

Musimy wrócić do domu. Czekają na nas. Leri będzie się martwić o ciebie, a Orlith o mnie.

Wiem, ale nie mogę się z nimi skontaktować.

Przestraszona Moreta poszukała znanej i uspokajającej telepatycznej obecności Orlith, zawsze istniejącej w jej umyśle, a silniejszej, gdy były rozdzielone. I nie znalazła jej pierwszy raz od chwili Naznaczenia! Jęknęła głucho: to było niemożliwe! Poczła wszechogarniający żal, a po policzkach popłynęły jej łzy.

–Orlith!

I wtedy dostrzegła jakiś ruch. Był to szary kształt na szarym tle, ale kształt znajomy: smoka z jeźdźcem.

–Witam! – rozległ się męski głos, a jeździec pomachał do niej.

Moreta zamarła. To był niemożliwy koszmar: w pomiędzy nic się nie działo i niczego się nie słyszało, bo niczego tu nie było.

–Poczekajcie na mnie! – zawołał jeździec.

Moreta i tak nie mogła zrobić nic innego. Odruchowo otarła policzki i obserwowała, jak niezwykle mały spiżowy smok zatrzymał się zgrabnie nos w nos z Holth. Ta

wyciągnęła szyję i dotknęła nosem jego nosa, jak nakazywała uprzejmość. A potem cofnęła łeb – zrobiła to energiczniej niż cokolwiek innego od paru godzin.

Duluth? - spytała zaskoczona Holth.

–Co tu się wyprawia? Kim jesteś? Dlaczego cię widzę i słyszę? – zdenerwowała się Moreta, czując ponownie nastającą panikę.

Holth niespodziewanie się cofnęła.

–Jestem Marco Galliano – przedstawił się młodzieniec uspokajającym tonem.

A przynajmniej Moreta uznała go za młodzieńca. Nie znała go, więc musiał być nowym jeźdźcem. Ale co dziwniejsze, nie słyszała też o spizowym smoku imieniem Duluth.

–Nie bójcie się, pomogę wam – zapewnił Marco. – Zimno wam, bo obie drżycie.

–Nie z zimna. – Moreta spróbowała zapanować nad paniką spowodowaną świadomością, że utknęła w pomiędzy.

–Słuchaj, wiem, że to dla ciebie nowe przeżycie. Duluth i ja codziennie patrolujemy okolicę, szukając zagubionych.

–Patrolujecie codziennie?! – powtórzyła Moreta, nie wierząc własnym uszom.

Czuła, jakby szarość otaczała ją coraz szczelniej, i zacisnęła dłonie na uprzęży, bojąc się, że straci przytomność. A gdyby tak się stało i gdyby spadła z Holth, nie byłoby już dla niej żadnego ratunku. Jęknęła.

–Lećcie za mną, zaprowadzę was tam, gdzie jest ciepło i jasno – powiedział Marco.

I zgrabnie zawrócił.

–Czekaj! Dokąd lecisz?! – krzyknęła Moreta.

Lećcie za mną, to łatwe – odparł Duluth.

–Nie mam pojęcia dlaczego, ale zawsze mogę wrócić do Paradise – dodał Marco.

Duluth rozpędził się i wystartował, więc Moreta ponagliła Holth, by ta zrobiła to samo. Holth nie potrzebowała zachęty – najwyraźniej podobnie jak Moreta chciała jak najszybciej znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tu, gdzie była. Morecie zakręciło się w głowie i poczuła całkowitą dezorientację.

Przez długi czas, albo tak jej się przynajmniej wydawało, lecieli prosto. Potem Duluth zanurkował ostro i przeleciał przez czarną podłogę w pomiędzy. Pojawiła się w niej na moment dziura i Moreta skierowała Holth prosto w nią.

Wyłoniły się nad błękitnym morzem, mając przed sobą białą, piaszczystą plażę, a za nią łąd porośnięty drzewami. Moreta usłyszała szum fal i Duluth wylądował na piasku. Holth zrobiła natychmiast to samo i westchnęła głośno, instynktownie pozostawiając rozpostarte skrzydła, by chłonać jak najwięcej ciepła, co było typowe dla wszystkich smoków. Moreta poczuła na twarzy dotyk słońca i odetchnęła z ulgą.

Jesteśmy bezpieczne!, – ucieszyła się. – Możemy wrócić do domu, Holth!

Holth nie odpowiedziała, tylko wryła się głębiej w ciepły piasek.

Moreta spróbowała się zorientować, gdzie się znajduje, ale ciepło połączone z wyczerpaniem okazały się silniejsze. Zaczęła zsuwać się ze smoczego grzbietu i miała tylko tyle przytomności, by wylądować na czworakach, a nie plackiem.

–Jesteście zmęczone – powiedział Marco, podnosząc ją bez wysiłku. – Twój smok już zrobił to, co najrozsądniejsze. Ty też się prześpij.

Chciała mu powiedzieć, że Holth wcale nie jest jej smokiem, ale nie mogła sklecić zdania. Pozwoliła się poprowadzić w cień, świadoma, że gdyby jej nie podtrzymywał, nie dokonałaby tej sztuki. Słońce dodawało jej sił. Rozpięła kurtkę. W pewnym momencie spojrzała przez ramię, by upewnić się, że z Holth wszystko w porządku. Było – stara królowa rozciągnęła się na piasku, podwinęła ogon i już chrapała.

–O, tu będzie dobrze. Gdy odpoczniesz, poczujesz się lepiej i po rozmawiamy. – Marco oczyścił kawałek ziemi z suchych gałązek i usadził ją w cieniu.

Potem zdjął jej kurtkę, zrobił z niej poduszkę i pomógł Morecie się położyć. Zamykając oczy, Moreta miała nadzieję, że gdy je otworzy, będzie z powrotem w domu, a wszystko to okaże się jedynie wyjątkowo paskudnym koszmarem.

Usłyszała jeszcze uspokajający głos Marco, ale słów już nie rozumiała.

I zapadła w sen.

Moretę obudziło pomrukiwanie Holth zmieniającej pozycję na piasku. Ponieważ ocknęła się całkowicie przytomna, zauważyła, że Marco siedzi obok. Położył jej dłoń na ramieniu gestem kogoś znacznie starszego i bardziej doświadczonego. Panika, którą czuła, zasypiając, nie powróciła. Teraz była spokojna.

–To nie był sen, choć bardzo byś tego chciała – powiedział Marco. – To jest rzeczywistość. Weszłyście w pomiędzy i nie wyszłyście stamtąd. Ale ja was znalazłem.

Moreta usiadła i oparła się plecami o pień najbliższego drzewa. W tym momencie zauważyła, że Marco jak na jeźdźca ma dziwny strój, ale troska o Holth była silniejsza od ciekawości.

–Chyba doszła do wniosku, że czas wygrzać boki, bo poruszyła się pierwszy raz od chwili wylądowania – wyjaśnił Marco. – Poza tym jedynie chrapała, ale o tym, że robi to głośno, sama wiesz najlepiej.

Marco był przystojny, choć nie tak jak Alessan. Moreta zmusiła się, by o nim nie myśleć. Sytuacja była wystarczająco zła i przerażająca nawet bez rozważania, czy zobaczy jeszcze ukochanego czy nie.

–Gdzie my właściwie jesteśmy, skoro nie wyszliśmy z pomiędzy – spytała?

–Holth mówiła, że masz na imię Moreta i jesteś z weyru Fort – odparł z pewnym szacunkiem. – Duluth jest pod wrażeniem.

–A ty z jakiego jesteś weyru?

–Z żadnego. W naszych czasach nie było jeszcze weyrów. Zapomnieliście o historii czy co?
– spytał, nie kryjąc rozczarowania.

–Oczywiście, że nie zapomnieliśmy – obruszyła się.

–W takim razie kim byli pierwsi jeźdźcy? – spytał cicho.

Spojrzała nań, czując, jak opada jej szczęka. Wiedziała, kim byli pierwsi jeźdźcy...

–Ty i Duluth... – powiedziała, z trudem przypominając sobie to, czego kiedyś się uczyła. – Byliście pierwszymi, którzy skoczyli w pomiędzy, by uniknąć zderzenia z jakimś pojazdem latającym nad rzeką Paradise...

Urwała i rozejrzała się.

–Zasady bezpiecznych skoków w pomiędzy opanowano później – dodał Marco. – Duluth i ja zareagowaliśmy instynktownie.

–I od tej pory znajdujecie się w pomiędzy? – spytała. Jej żołądek zmienił się w lodowatą bryłę.

–Mniej więcej. Trochę trwało, nim sobie uświadomiłem, że mogę, kiedy zechcę, wrócić tam, gdzie ostatni raz wszedłem w pomiędzy, czyli nad Paradise. Naturalnie, nim zdałem sobie z tego sprawę, armada Jima Tilleka już odpłynęła. Poleciałem za nimi na wschód, ale napotkałem taką burzę, że omal mnie nie strąciła z grzbietu Dulutha. On sam wyszedł z niej z naderwanym ścięgnem w prawym skrzydle. Na szczęście miałem jeszcze mrocznik, więc udało mi się go wyleczyć. Nim mogliśmy znów lecieć, było już po sztormie i armady znaleźć się nie udało. Musieli solidnie oberwać, bo znaleźliśmy wraki

i różne szczątki wyrzucone na brzeg. Ale żadnych ciał. Wróciliśmy więc tutaj i zadomowiliśmy się. Za drzewami są budynki, więc miałem gdzie zrobić magazyn, bo zbierałem wszystko, co morze wyrzuciło, na wypadek gdyby ktoś po to wrócił. Nikt nie wrócił. A potem przez przypadek spotkałem innych, których spotkał ten sam los.

–Innych? Gdzie oni są?

–Prawdopodobnie polują. Smoki nadal lubią polować, choć zdobycz rzadko zjadają, a w okolicy jest masa bydła, które trzeba było wypuścić przed przeprowadzką, bo na statkach

było miejsce tylko dla najlepszych zarodowych sztuk. Rozmnożyły się więc, a koty...

–Koty? – przerwała mu Moreta.

–No, koty, te, które wyhodował Ted Tubberman i wypuścił na wolność.

–To one są nosicielami zarazy! Nie pozwól, żeby któryś się do ciebie zbliżył!

Marco roześmiał się.

–Nie ma obawy – zapewnił ją. – Nie mam broni, a to raczej duże kociaki, poza tym boją się smoków. Jak stały się nosicielami?

–Nie mam pojęcia, ale nie ulega wątpliwości, że to one. I nie wiem, ilu ludzi zmarło, nim uzdrowiacze opracowali szczepionkę.

–Jak koty przedostały się na północ? – zdziwił się Marco.

–Jakiś marynarz z rozbitego statku znalazł na brzegu jednego i przyniósł go, sądząc, że zarobi trochę, pokazując go na Zgromadzeniach. Zanim wysledziliśmy źródło epidemii, zbyt wiele osób zostało zarażonych.

–Nie słyszeliście o kwarantannie?

–Oczywiście, że słyszeliśmy, ale zaraza rozprzestrzeniała się zbyt szybko, a początkowo nikt nie miał pojęcia o jej istnieniu, a co dopiero o tym, skąd się wzięła. Zdarzały się wcześniej choroby zakaźne, ale przeważnie sezonowe i ograniczone do niewielkiego obszaru. Z taką, która dotknęła prawie wszystko, co żywe, mamy do czynienia pierwszy raz.

–Smoki i jeźdźcy też umierali?

–Tak. Skąd wiesz?

–Bo widziałem kilkoro z nich – odparł posępnie. – Znacznie więcej niż nawet przy ciężkim Opadzie.

–Skoro widziałeś ich w pomiedzy, musiałeś zauważyć, dokąd się udali! – stwierdziła, czując nagły przyływ nadziei.

Marco potrząsnął głową z dziwnym wyrazem twarzy.

–Nie wiem, dokąd się udali. Nie byłem tam jeszcze...

Duluth potwierdził to cichym chrząknięciem.

Moreta przypomniała sobie, że Marco, gdy zaginął, miał podobnie jak wszyscy należący do pierwszych jeźdźców nie więcej niż dziewiętnaście-dwadzieścia obrotów. Teraz liczył sobie ponad tysiąc pięćset.

Naturalnie jeśli w ogóle istniał! Poczwała przemożną chęć wyciągnięcia ręki i sprawdzenia, czy naprawdę jest materialny.

–Nadal nie rozumiem... – zaczęła i głos jej się załamał.

–Jak można być tu i w pomiędzy? – Marco potrząsnął bezradnie głową. – Ja też tego nie rozumiem, ale jak widać można. *Cogito ergo sum*.

–Że co proszę?

–To taki stary ziemski język zwany łaciną. Sentencja znaczy: „Myślę, więc jestem”.

–Aha.

–Właśnie. A tak na marginesie, który rok... to jest obrót mamy?

Moreta przez chwilę przyglądała mu się, nim powiedziała:

–Tysiąc pięćset czterdziesty trzeci. Prawie skończyło się Szóste Przejście. W jaki sposób ty przetrwałeś? – spytała.

–Nie jestem pewien, ale w pomiędzy czas musi płynąć inaczej. A to by pasowało do mojej teorii, że jest to inny wymiar albo poziom... czy jak tam to zwać.

–A czy... – Moreta zawahała się, nie chcąc wydać się wścibska -...nie jesteś samotny?

–Mam Dulutha. – Marco spojrział na smoka wygrzewającego się obok Holth.

I w jego oczach załśniło coś, co mógł zrozumieć tylko inny jeździec.

Widząc ten błysk, Moreta jeszcze dotkliwiej odczuła brak więzi z Orlith.

Duluth mruknął cicho, a śpiąca Holth poruszyła się, ale nie obudziła.

–A co wam się przytrafiło? – spytał Marco.

–Pech i zmęczenie wynikające ze zbyt wielu zmian czasu.

–Zmian czasu?

Moreta wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać. Im bliżej była finału, tym bardziej opuszczał ją spokój, który czuła po przebudzeniu.

–To moja wina, bo powiedziałam jej tylko, że ma skoczyć w pomiędzy. I utknęliśmy, a potem nas znalazłeś – zakończyła i rozplakała się. – I nie pożegnałam się z Orlich!

–No, spokojnie... – Marco delikatnie objął ją ramieniem i kołysał, dopóki nie przestała płakać. – W jedno popołudnie dostarczyłaś przesyłki w czterdzieści miejsc? Start i lądowanie zajmują sporo czasu...

Nawet nie próbował ukryć niedowierzania.

–Dlatego musiałam podróżować także w czasie. Smoki to potrafią.

–Smoki potrafią podróżować w czasie? – zdumiał się.

–Potrafią. To niebezpieczne i potwornie ogłupiające dla jeźdźca, ale wykonalne. Już to robiłam wcześniej, nawet udałam się w przyszłość, ale nigdy nie czyniłam tego tak często w tak krótkim czasie. I nie zdecydowałabym się na to, gdyby nie zaraza. Inaczej nie dałoby się rozwieźć na czas szczepionki: za dużo miejsc, za mało jeźdźców. Ponieważ najlepiej znałam okolice Keroon, wzięłam ten właśnie rejon. Używałam słońca jako drogowskazu, ale musiałam cofać się w czasie, żeby dostarczyć wszędzie lek. Byłyśmy obie naprawdę wyczerpane, gdy wręczyłam ostatnią paczkę...

Pogładził ją po ramieniu i spojrzał z takim zrozumieniem, że zamrugła zaskoczona.

–Marco, dlaczego tak długo tu jesteś? – spytała podejrzliwie. Wzruszył ramionami.

–Bo nie mam dokąd się udać ani dokąd wrócić.

–Nie próbowałeś lecieć za innymi smokami, które widziałeś w pomiędzy?

–Próbowaliśmy. I nic z tego nie wyszło. Lecieliśmy przez wiele godzin i ciągle było to samo: nie kończąca się szarość. Momentami wydawało mi się, że widzę koniec, ale to było złudzenie. Oddalał się tak szybko, jak Duluth był w stanie lecieć... A czasami smoki, które widzę... przeważnie z jeźdźcami, po prostu się oddalają... czasami lecą w górę... Nie kierują się w pomiędzy, bo już tam są. Kierują się gdzieś... poza pomiędzy.

–Poza pomiędzy? – Moretą wstrząsnął dreszcz. – Przecież tam nic nie ma!

Zapadła złowroga cisza, która ciągnęła się, aż Marco spytał cicho:

–Jesteś pewna?

–To ty powinieneś być pewien. Przyleciałeś tu na statku kosmicznym, więc musisz wiedzieć, jak wygląda cały Pern.

–Możesz mi wierzyć, że wiem – powiedział nostalgicznie. – Ustawili wszystkie

ekrany na obraz dziobowych kamer, żeby w każdym pomieszczeniu można było obserwować zbliżającą się planetę. Większość z nas już nie spała, przygotowując się do lądowania. I nie mogliśmy się napatrzeć. Piękna planeta, piękniejsza niż Ziemia: błękit morza, zielone łądy, trochę pustyni... i nasza!

W oczach zapłonęło mu coś trudnego do określenia.

–Widziałeś pomiędzy? Jak wygląda?

Marco patrzył na nią długo i z namysłem, nim odpowiedział:

–Pomiędzy to coś, co mogą znaleźć tylko smoki. To ich specjalne miejsce. My go nawet nie widzimy i sami nie potrafimy odnaleźć.

–Smoki wchodzą w pomiędzy, by umrzeć – stwierdziła rzeczowo Moreta.

–Może w tym celu przechodzą przez pomiędzy, ale tam nie umierają – sprzeciwił się również rzeczowo. – Nie ma ciał ani szkieletów. Sprawdziłem i sprawdzam, gdy widzę smoka w szarości.

–Jesteś pewien?

–Absolutnie.

Ona sama nie była już niczego pewna, ale nie odezwała się ani słowem. Wiedziała, że smoki wchodzą w pomiędzy, kiedy ich jeźdźcy giną. Wiedziała, że czasami skakał tam smok z jeźdźcem, jeśli któryś z nich był tak poważnie chory czy ranny, że było wiadomo, iż nie pożyje długo. Nagle podskoczyła i oznajmiła stanowczo:

–Muszę wrócić do Orlith i oddać Holth Leri... jakoś.

–Rozumiem.

–Powiedziałeś, że mogę wrócić do miejsca ostatniego skoku, tak? – spytała, wstając i otrzepując piasek z ubrania.

Spojrzał na nią z twarzą pozbawioną wyrazu.

–Możesz wrócić, ale nie jestem pewien, czy to ci w czymś pomoże.

–Jeśli zdołam wrócić do Źródlanego Gospodarstwa, to zdołam też wrócić do weyru Fort.

Przekrzywił głowę i uśmiechnął się złośliwie.

–Z tym możesz mieć pewien problem, bo widzisz... jesteś martwa.

Spojrzała na niego z mieszaniną przerażenia i niedowierzania.

–To dlaczego jestem tu z tobą? – spytała.

I również przekrzywiła głowę, wpatrując się z natężeniem w jego oczy. A potem wyciągnęła rękę i pociągnęła go tak, by wstał. Spojrzał na jej dłoń, zacisnął zęby i ponownie spojrzał jej w oczy. A potem powiedział:

–Nie jesteś z właściwym smokiem. Powinnaś wejść w pomiędzy z Orlith, nie z Holth.

Złapał jej dłoń i wstał płynnym ruchem.

–Przecież musi być jakiś sposób, by przekazać Leri wiadomość.

Marco uśmiechnął się smętnie.

–Nie sądzę, by cię zobaczyli – wyjaśnił. – I wątpię, by pisanie wiadomości się powiodło.

–Dlaczego? Westchnął ciężko.

–Problem polega na tym, by stała się widoczna.

Moreta spojrzała zaniepokojona na stojące nisko nad horyzontem słońce.

–Muszę lecieć – zdecydowała i sięgnęła po kurtkę. Włożyła ją i poczuła na ramieniu ciężką dłoń Marco.

–Powinnam była zaraz wrócić i czekać – dodała, uwalniając się.

–Nie! – oznajmił tak głośno i stanowczo, że spojrzały na niego oba rozbudzone

smoki, choć ich oczy nadal miały zieloną, pokojową barwę. – To by ci nic nie dało.

Spojrzała na niego z namysłem. Marco nie chciał jej o czymś powiedzieć, tego była pewna, tylko nie wiedziała, co to jest.

On zaś przyglądał się równie uważnie jej twarzy, aż w końcu się odezwał:

–Miałem naprawdę dużo czasu na myślenie. Znacznie więcej niż człowiek powinien mieć. I zaczynam wierzyć, że smoki są nieśmiertelne. Myślę, że to dlatego ciągle jestem tu z Duluthem.

–Nieśmiertelne?

–Smoki się nie starzeją, prawda? Mogą żyć setki obrotów.

–Ale odnoszą rany w czasie Opadu Nici i są podatne na choroby! – zaprotestowała.

–Oczywiście, ale to są czynniki zewnętrzne. Jeśli nie zostaną poważnie zranione albo nie zachorują, nie starzeją się, więc teoretycznie mogą żyć, jak długo chcą. Zwykle chcą żyć tyle, ile ich jeźdźcy, ponieważ więź telepatyczna między smokiem i jeźdźcą jest niezwykle silna, ale to nie znaczy, że muszą ginąć, gdy jeździec umrze. Jeźdźcy mają swoje przesady czy przekonania, inne grupy też. Na Ziemi istniało sporo różnych przekonań i wierzeń kształtujących ludzkie postępowanie. Niektóre z tych systemów wierzeń były całkiem użyteczne, inne stanowiły kompletny nonsens, ale nie o to mi chodzi. Ten, w który wierzyło najwięcej ludzi w rejonie, z którego pochodzę, zakładał, że w człowieku jest jeszcze coś poza kośćmi, mięsem i krwią.

Oslupiała Moreta potrząsnęła głową.

Marco westchnął i przez chwilę szukał właściwych słów.

–Nie uważasz, że wszyscy mamy coś specjalnego, coś innego? – spytał. – Esencję, która różni nas od wszystkich pozostałych?

–Nie bardzo różnię się od wszystkich pozostałych, których znam.

–Jesteś jeźdźcą królowej. I twoja esencja... moc... i twego smoka są połączone na wieczność. Nigdy nie zostaniecie rozdzielone.

Moreta skrzywiła się boleśnie. Od tego gadania o kościach, krwi i esencjach tylko jej się w głowie kręciło. Rozpierała ją potrzeba działania, i to natychmiastowego. Miała nieodparte wrażenie, że marnuje czas.

–Jak wiesz, jestem rozdzielona z moim smokiem – oświadczyła, pod chodząc do Holth – i jeśli mam zdążyć wrócić, to muszę ruszać teraz.

Marco poszedł za nią. Spojrzał na Dulutha, a ten natychmiast wygrzebał się z piasku. Holth zrobiła to samo, a w jej ślepiach pojawił się pomarańczowoczerwony wir zaniepokojenia.

Co się dzieje? - spytała.

–Wszystko w porządku – uspokoiła ją Moreta. – Wracamy do Źródlanego Gospodarstwa. Spróbuję skontaktować się z Orlith. Muszę jakoś przekazać Leri wiadomość, by do nas dołączyła.

Leri - powtórzyła ze smutkiem Holth. Moreta odwróciła się i spytała:

–Marco, jesteś pewien, że możemy odbyć podróż powrotną?

–Każdy może wrócić do miejsca ostatniego skoku. I nigdzie więcej – westchnął głęboko i

dodał: – Nie możesz teraz skoczyć tam, gdzie zamierzałaś wtedy.

Po czym wzruszył ramionami i nałożył sfatygowaną kurtkę.

–Polecimy z wami, szybciej traficie.

Holth powoli wstała. Duluth niespodziewanie wyciągnął łeb i dotknął jej pyska, co ją wyraźnie ożywiło. Z nową energią odwróciła się i czekała, aż Moreta mamrocząca słowa zachęty i uspokojenia wdrapie się na jej grzbiet.

–Teraz wyobraź sobie to gospodarstwo zaraz po zmierzchu – powiedział Marco, nakładając hełm i poruszając nim, by dobrze osiadł na głowie. – My z Duluthem poczekamy w pomiędzy, żeby pokazać wam drogę tutaj.

Moreta przymknęła oczy i wyobraziła sobie najdokładniej, jak potrafiła, pusty plac przy ogrodzeniu obok wodopoju i spadzisty dach, od którego szaroniebieskich dachówek odbijała się księżycowa poświata.

–Powodzenia. – Marco uniósł oba kciuki.

–Lecimy do Źródlanego Gospodarstwa, Holth – powiedziała na wszelki wypadek głośno Moreta.

Mimo że piasek był raczej niepewnym podłożem, złota królowa wystartowała pewniej i energiczniej, niż jej się to ostatnio zdarzało.

–Czarno, czarniej, najczarniej... – mamrotała Moreta, nie otwierając oczu.

–Nurkuj, Moreta! – krzyknął Marco.

Holth runęła w dół i otoczyło ją świeże, chłodne powietrze. Moreta otworzyła oczy i zobaczyła wschodzący mniejszy z dwóch księżyców. W zagrodzie stary biegus wrzeszczał wniebogłosy, pozostałe zaś stały spokojnie i gapiły się na niego zdziwione. Marca ani Dulutha nigdzie nie było widać i Moreta poczuła strach.

Holth wylądowała z gracją prawie przy samym ogrodzeniu. Z okien pobliskiego domostwa padało ciepłe, żółte światło. Już miała polecieć Holth, by podeszła do budynku, gdy drzwi wpierw się uchyliły, a potem otworzyły i w progu stanęła znajoma postać, która po paru sekundach ruszyła w stronę zagrody.

–Kto tu? – zawołał Thaniel. – Jest tu kto?

–To ja, Moreta – zawołała, ale najwyraźniej jej nie usłyszał.

Za to biegus ponownie wrzasnął ogłuszająco.

–Cicho, durniu! – zgromił go Thaniel. – Przecież widzę, że tu ni kogo nie ma!

I zatoczył ręką krąg, obejmując gestem miejsce, w którym były Moreta i Holth.

–Thaniel! Jestem tu, nie widzisz mnie czy co?! – krzyknęła z ca łych sił, trącając równocześnie Holth, by ta podeszła bliżej.

Stary biegus ponownie zaczął wrzeszczeć, biegając w kółko i dziko wywracając ślepiami.

–Zamknij się, kretynie! – krzyknął równie głośno Thaniel. – Jeźdźcy szukający Morety już dawno wrócili do weyru i nigdzie nie ma śladu smoka, więc czego się drzesz?!

Moreta osłupiała. Thaniel najwyraźniej ani jej nie widział, ani nie słyszał. Podjęła ostatnią próbę – zsunęła się z grzbietu Holth i podbiegła do Thaniela, stając bezpośrednio przed nim i to tak blisko, że gdy się odwrócił, omal nie trącił jej nosem. Złapała go za ramię. Stary natychmiast zatrząsł się od stóp do czubka głowy i zaczął coś mamrotać do siebie, po czym głośniej dodał:

–Czyżby mnie zaraza dopadła?!

–Żadna zaraza, stary durniu! Po prostu próbuję cię zmusić, żebyś mnie zobaczył! – warknęła Moreta, ale jej nie usłyszał, za to biegus nadal się awanturował.

Thaniel nagle odwrócił się, pobiegł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

–Marco miał rację! – jęknęła. – Jak mogę się z nim skontaktować, skoro on mnie nie słyszy ani nie widzi?!

Zniechęcona wróciła do Holth i wspięła się na jej grzbiet.

Zaglądając przez okno, zauważyła, że Thaniel nadal obejmuje się ramionami, jakby było mu zimno lub jakby czegoś się bał.

Nie widział nas - oznajmiła ponuro Holth. – Weszłyśmy w pomiędzy, ale nigdy nie przybyłyśmy.

Pomyśl o weyrze Fort, Holth, i zawieź nas tam. Pomyśl o górach nad weyrem, o półce skalnej, na której tak długo leżałaś, chroniąc Leri. Pomyśl o domu i doleć tam.

Ostatnia myśl Morety była zarówno życzeniem, jak i poleceniem i Holth wystartowała, wznosząc się coraz wyżej przy wtórze miarowego łopotu skrzydeł. A potem skoczyła w pomiędzy, gdzie było zimno i... szaro. Ale nie aż tak zimno jak poprzednio. Wyliczanka Morety dawno dobiegła końca, a one nie wyszły z pomiędzy nad weyrem Fort ani nad znajomymi górami, gdzie smoki miały zwyczaj wylegiwać się w słońcu.

Moreta wstrząsnął dreszcz aż po koniuszki palców. Pochyliła się nad szyją Holth, czując jej ciepło mimo rękawic, i przytuliła do niej policzek. Wokół panowała przygnębiająca szarość zlewająca się w oddali z czernią.

–Nie udało się? – Marco pojawił się nad nimi.

–Thaniel gadał sam do siebie albo do swojego przerażonego biegusa. Mówił, że szukali mnie jeźdźcy smoków – odparła, próbując nie poddać się panice. – Ale mnie nie widział.

I ponownie wstrząsnął nią dreszcz.

–W takim razie lepiej wróćmy nad rzekę. Tam jest przynajmniej cieplej. I zastanowimy się, co robić. – W głosie Marco słychać było optymizm.

–A co możemy zrobić?

–Powiedziałaś, że Thaniel mówił sam do siebie i do biegusa, który był przerażony, tak?

Moreta kiwnęła głową.

–Skoro tak, to zwierzak musiał cię widzieć albo wyczuć. Ale raczej widzieć, bo biegusy są strasznie głupie. Jeśli więc będziesz tam wracać i go straszyć, Thaniel powinien zacząć się zastanawiać, co się dzieje – wyjaśnił z lekkim rozbawieniem.

–Po co mam tam wracać?

–Na Ziemi sporo ludzi wierzyło, że widzi esencję tego, kto zmarł. Inaczej nazywano ją duchem. Panowało wśród nich przekonanie, że duch powraca do ulubionego miejsca. Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem: nie zmyślam. A powszechne było przekonanie, że duchy pojawiają się po to, by skłonić żyjących do zrobienia czegoś.

–Nie mam bladego pojęcia o duchach, ale nie mam ochoty straszyć ludzi!

–Cholera, przecież już to zrobiłaś! Przeraziłaś biegusa i przestraszyłaś solidnie, jak sądzę, tego chłopca. Dla nich jesteś martwa, więc musisz wracać, jeśli chcesz coś osiągnąć.

–Na przykład co?

–Może Thaniel cię w końcu zobaczy, a może znajdziesz sposób, by mu przekazać, czego chcesz. To jedyny pomysł, na jaki wpadłem, zastanawiając się, jak cię znów połączyć z twoim smokiem.

–Zaraz powinnam wrócić?

–Chyba nie. Powinnaś wracać codziennie o tej samej porze, a raczej co noc. Inaczej Thaniel pomyśli, że biegus dostał fioła, i nic z tego nie wyjdzie. Wróć jutro o tej samej

godzinie. A teraz lećcie za mną na plażę.

Moreta co prawda nie mogła sobie wyobrazić, jak ten plan mógłby się powieść, ale z braku lepszego postanowiła spróbować. A teraz posłusznie podążyła w ślad za Duluthem. W pewnym momencie Marco z pewnością siebie doświadczonego dowódcy wskazał w dół. Duluth zanurkował i zniknął w nierównej podłodze pomiędzy.

–Tak, musiała być bardzo zmęczona – powiedziała Leri.

Kamiana przestała się już nawet zastanawiać, ile razy kobieta powtórzyła te słowa, rozważając w kółko wydarzenia, które pozbawiły ją ukochanego smoka. Tragedia sprawiła, że Leri dosłownie postarzała się w oczach.

–Zaraza szaleje, a my mieliśmy za mało smoków i jeźdźców... mnie bolały wszystkie stawy, a Orliith niepokoiła się o jaja... obie chciały dokończyć dostarczanie leku, a ja je jeszcze zachęcałam... ale obie powinny tu wrócić całe i zdrowe!

Jęknęła i sięgnęła po kubek, który zawsze znajdował się pod ręką. Mimo iż prawą dłoń miała powykręcaną, zdołała go złapać i unieść. Upiła długi łyk, odstawiła naczynie i czekała, aż lekarstwo zacznie działać, tłumiąc ból.

–Naprawdę chciałabym, żeby to wszystko już się skończyło – westchnęła. – Mam dość tego starego, bolącego ciała. Orliith powie działa, że jeśli poczekam, aż jaja będą gotowe do wylęgu, zabierze mnie ze sobą w pomiędzy.

Kamiana skłoniła głowę, nie znajdując słów. Siedziała więc w milczeniu, delikatnie trzymając Leri za rękę.

Na kamiennych płytach korytarza rozległy się kroki, a potem usłyszały chrząknięcie. Kamiana wstała i podeszła do drzwi.

–Przyszliśmy zobaczyć się z Leri – powiedział Sh'gall.

Za nim stali zatroskani Desdra, Lidora, Levalla i Mistrz Tirone.

–Wejdźcie, proszę. – Kamiana zaprosiła ich gestem do środka. – Leri ma dość życia i bólu, ale wasze towarzystwo pomoże jej przestać rozpamiętywać utratę Holth... mam nadzieję.

–Nie powinnam była zachęcać Morety i Holth do rozwiezienia tych szczepionek – oznajmiła Leri zamiast powitania. – Tillek i równina Telgar należą do Wysokich Rubieży. Trzeba było zmusić M'tana do wywiązania się z obowiązków. A tak Orliith zaczęła bać się o jaja, bo wszystkie królowe ciągle przylatywały i odlatywały, i nie chciała zostawiać ich bez opieki...

–A Holth... – dodała Kamiana – zgłosiła się na ochotnika.

–Bo ją do tego namówiłam! – odparła ostro Leri. – Wiedziała, że po porannych lotach jestem cała obolała, i chciała pomóc Morecie... życzyłam im szczęścia... Holth była stara, ale też doświadczona i godna zaufania...

Z jej oczu popłynęły łzy, więc Kamiana podała jej chusteczkę i spojrzała wymownie na Tirone'a i Desdrę. Nikt się nigdy nie dowie, co tak naprawdę przydarzyło się Morecie i Holth. Wiadomo było jedynie, że zagięły.

Leri wyprostowała ramiona i dodała:

–A Moreta była jednym z najlepszych jeźdźców. Pamiętacie, jak uratowała U'sena, gdy jego smok miał tak poważnie zranione skrzydło? Podleciała tak blisko, że mógł się przesiąść na Orlith w powietrzu! I pomogły z Orlith Kordetchowi obniżyć lot i wylądować. Tylko naprawdę doskonały jeździec potrafiłby dokonać czegoś takiego.

Z tym wszyscy się zgodzili, bo rzeczywiście był to nie lada wyczyn. A zarówno błękitny smok, jak i jego jeździec nadal latali.

W oczach Leri ponownie pojawiły się łzy.

–Czy na zawsze będę rozłączona z Holth, a Orlith z Moretą? – spytała z rozpaczliwą bezradnością.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, a wszystkim zrobiło się jej żal. Kamiana nie była jedyną osobą, która usilnie starała się nie rozplakać.

–Często o tym myślałem – przyznał cicho Sh'gall. – Czy kiedy nasze życie się kończy, jest to rzeczywiście koniec, czy też udajemy się gdzieś z naszymi smokami i nadal istniejemy.

–Chciałabym myśleć, że jest coś więcej, gdzieś... – W głosie Leri pobrzmiwał ból. – Jakaś dalsza część życia... ale jestem tylko starą głupią kobietą mającą nadzieję odnaleźć ukochaną smoczycę w pomiędzy.

Mistrz Tirone odchrząknął i oznajmił profesorskim tonem, rozstawiając odruchowo nogi, jak to czynił podczas wykładu.

–Jeśli chodzi o pomiędzy, wiemy jedynie, że jest to obszar nicości oddzielający tutaj od tam. Ale nie mamy pojęcia, czym on jest w istocie. Być może to inny wymiar, przez który mogą podróżować jedynie smoki.

–Inny wymiar? – powtórzyła zaskoczona Lidora.

–Jak wysokość, szerokość czy głębokość – dodał Tirone.

–Ale tego nie wiemy, prawda? – upewniła się Levalla z Weyru Benden.

–Nie. I nie jestem pewien, jaki to ma związek z tą... sytuacją – dodał Sh’gall.

–Czy Orlith słyszała Moretę? – spytał Tirone z nadzieją w głosie.

–Mówi, że nie – odparła Leri tonem sugerującym, że pytanie o to smoka było dla niej czymś oczywistym. – Jest załamana. Gdy tylko młode będą gotowe do wylęgu, udamy się obie w pomiędzy.

Wywołało to gorący sprzeciw wszystkich obecnych.

–Dlaczego protestujecie? – spytała Leri, gdy Sh’gallowi udało się zaprowadzić względny spokój. – Bez smoka nie mam żadnych powodów, by tu zostać, a wiele, by wyruszyć w pomiędzy.

–Jeśli twój stan się pogorszył, mogę zwiększyć dawkę środka przeciwbólowego – zaproponowała Desdra.

Leri spojrzała jej prosto w oczy i oznajmiła:

–Nie masz wystarczająco silnego środka, by uśmierzył ból po utracie Holth. A poza tym nie czas się smucić: jest królewskie jajo i dwadzieścia cztery inne. Są naszą przyszłością i zasługują na całe nasze oddanie i troskę. Wasze oddanie i troskę.

I spojrzała wymownie na Kamianę, która nie rozplakała się, choć miała mokre oczy. Ta objęła ją delikatnie i powiedziała:

–Masz więcej odwagi, Leri, niż my wszyscy.

Drugiego wieczora Moreta spróbowała nowej taktyki. Zsiadła z Holth i podeszła do zagrody, w której stary Rusty oznajmiał donośnie, że smok jest blisko.

–Buuu! – krzyknęła, przechylając się przez ogrodzenie.

Rusty wrzasnął tak, że Moreta musiała złapać się płotu, żeby jej fala nie przewróciła.

W tym momencie drzwi domu otworzyły się i stanął w nich Thaniel z solidną pałą w garści. Rusty stanął dęba, a przednimi nogami zaczął kopać powietrze przed sobą.

Mając widownię, Moreta cofnęła się o parę kroków i zamarła w bezruchu, czekając, aż Rusty trochę się uspokoi, po czym podbiegła do ogrodzenia, przechyliła się przez nie i ponownie ryknęła:

–Buuu!

Rusty wrzasnął znowu i zaczął cofać się tak szybko, jak tylko mógł przebierać nogami. W końcu zatrzymał się i przyglądał się jej podejrzliwie w obawie, co nowego wymyśli. Rył przy

tym przednim kopytem ziemię i strzygł uszami.

Thaniel podszedł do ogrodzenia i spytał:

–O co chodzi, staruszkę? Co ci nie daje spokoju?

–No dalej, Rusty! – krzyknęła Moreta. – Nie widzisz Holth czy przestałeś bać się smoków? Zobaczmy, jak ci się to spodoba! Holth, chodź tutaj.

Holth ruszyła w jej kierunku. Widząc to, Rusty skoczył w tył, prawie siadając na

zadzie, po czym poderwał się i pomknął wokół płotu, ale w połowie drogi wyhamował, stając dęba, i zawrócił, bo uświadomił sobie, że zbliża się do Holth.

Thaniel zamarł z otwartymi ustami.

–Przecież on tak głupieje tylko wtedy, gdy w pobliżu znajduje się smok – wymamrotał. – Jeśli się nie uspokoi, będę go musiał uśpić. Nie da się wytrzymać takich brewerii noc w noc!

I potrząsając głową, wrócił do domu.

Moreta nie miała już żadnych wątpliwości – Rusty widział i słyszał zarówno ją, jak i Holth. Teraz pozostało tylko znaleźć sposób, by to samo zobaczył Thaniel i by stary zrozumiał, czego ona chce.

Tym razem Marco nie czekał w pomiędzy. Moreta odetchnęła głęboko, by się uspokoić, ale oprócz zimna poczuła także strach.

Holth, wyczuwasz gdzieś Dulutha?

Nie.

A możesz wrócić nad Paradise? - spytała, choć była prawie pewna odpowiedzi.

Nie. Gdybym mogła bez kłopotów korzystać z pomiędzy, to tak. Mogę jedynie dolecieć tam normalnie, ale to daleka droga.

Moreta dostała dreszczy, nie bardzo wiedząc, co robi, jeśli Marco się nie pojawi.

Nagle wyczuła z prawej strony ruch i gdy odwróciła głowę, zobaczyła znajomy kształt.

–Przepraszam – powiedział Marco. – Uwinęłaś się szybciej, niż się spodziewałem.

–A ty gdzie byłeś? – spytała ostro i dodała: – Bałam się.

–Przecież wiesz, że bym cię tu nie zostawił. Wydawało mi się, że zobaczyłem jakiś ruch,

więc poleciliśmy sprawdzić, ale to było jedynie złudzenie. Przepraszam, że was obie przestraszyłem.

Moreta kiwnęła głową na znak, że przyjmuje przeprosiny. I wrócili nad rzekę.

–I jak tam dzisiejsze nawiedzanie? – spytał Marco, gdy siedzieli już wokół małego ogniska, które rozpalał co noc, obserwując wylegujące się w piasku smoki.

–Nawiedzanie?

–Tak na Ziemi nazywano to, co robisz.

–Ach, rozumiem...

Moreta opowiedziała mu wszystko, rozbawiając go pomysłowością w straszaniu Rusty'ego.

–Teraz pozostaje mi tylko jakoś pokazać się Thanielowi i przekazać mu wiadomość – zakończyła. – Jeśli zdoła zobaczyć mnie, zdoła zobaczyć i wiadomość. Nie mogę go nawiedzać w nieskończoność, a powinien być bystrzejszy od biegusa.

Mówiąc to, bawiła się nadpaloną gałązką. Marco wyjął jej ją z rąk i napisał na piasku duże M.

–Nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym – przyznał – ale też żaden jeździec nie utknął w pomiędzy z cudzym smokiem... Nie wiem, czy to się uda, ale najlepiej będzie, jeśli spróbujesz napisać wiadomość na ziemi. Tylko jaką?

–„Sprowadź Leri. Moreta”.

–Zwięzłe, konkretne i zrozumiałe – przyznał z uznaniem. – Miejmy nadzieję, że ją zobaczy.

Przez trzy kolejne wieczory Moreta wracała o tej samej porze i straszyla Rusty'ego na różne sposoby. Słyszając jego wrzaski, Thaniel za każdym razem wychodził i stawał przy zagrodzie, ale nie zauważał ani Morety, ani wiadomości wypisywanej na ziemi.

Piątej nocy Moreta nie bardzo wiedziała już, co wymyślić, gdy w trakcie pisania

wiadomości zza chmur wyrztał księżyc w pełni. Najwyraźniej to właśnie było niezbędne, by Thaniel mógł ją ujrzeć, jęknął bowiem:

–Moreta!

I uciekł do domu, wrzeszcząc równie głośno jak Rusty, tyle że w bardziej zróżnicowany sposób.

–No, chyba nas w końcu dostrzegł! – oświadczyła z satysfakcją Moreta, gdy drzwi z hukiem

zatrzasnęły się za Thanielem.

I co teraz? - spytała Holth. *Wracamy w pomiędzy, do Marco.*

Marco po wysłuchaniu jej opowieści ocenił:

–Przestraszyłaś go tak, że teraz powinny wystarczyć ze dwie wizyty, żeby zrobił, co chcesz.

Wiadomość do weyru przyniósł osobiście zarządca stacji kurierów. Zaadresowana była do Leri, a nadawcą był Thaniel ze Źródlanego Gospodarstwa. Wiadomość brzmiała następująco:

„Moreta zjawia się codziennie tuż po zapadnięciu zmroku. Chce się widzieć z Leri. Co mam robić?”

–Ha! Ależ my jesteśmy głupi! – westchnęła Leri. – Orlith! Jaja stwardniały już wystarczająco?

Od strony Wylęgarni dobiegł basowy pomruk. Orlith nadal była zajęta usypywaniem stosownego wzgóрка piasku, by największe jajo znalazło się nieco wyżej od pozostałych. Czyniła to jednak niezwykle wolno. Dłuższe obserwowanie jej przy tej czynności uzmysławiało każdemu, co tak naprawdę robi.

–Gra na zwłokę – skomentowała Leri zwięźle.

Teraz podziękowała zarządcy stacji, nagradzając go za fatygę pełnym kredytem.

–Czy będzie jakaś odpowiedź, pani?

–Będzie – zdecydowała Leri po chwili namysłu. Zarządca wyjął z kieszeni przybory do pisania i czekał.

–Odpowiedź będzie następująca: „Dziękuję za wiadomość. Przybędę wkrótce, gdy tylko Orlith uzna, że nadszedł czas wylęgu. Nic nie rób i czekaj. Leri”.

Zarządca skłonił się i wyszedł.

Rankiem trzy dni później Orlith poinformowała Leri, że młode wyklują się tego właśnie dnia. Leri ubrała swe najcieplejsze rzeczy, wiedząc, że w pomiędzy i tak na niewiele się przydadzą, i wyszła z weyru, nie oglądając się za siebie.

Spojrzała w niebo i oceniła:

–Dobry dzień, by rozpocząć ostatni etap podróży.

Po czym dodała telepatycznie:

Mam nadzieję, Orlith, że nie będzie to dzień naznaczony niepotrzebnym smutkiem. Dzień Wylęgu to radosne nadzieje na przyszłość, a nie smętne wspomnianie przeszłości.

Thaniel został w domu zajęty wypiekiem chleba. Co dzień wynajdywał sobie jakieś poważniejsze zajęcia, żeby nie zwariować. I tak już posiwiiał, ale kiedy dostał wiadomość od Leri, zaczął mieć nadzieję, że koszmar wkrótce się skończy. I dlatego, ignorując nalegania dzieci, dzień w dzień zostawał w domu, czekając na Leri. Tyle że od paru dni zgodnie z jego sugestią Maynar dosiadał Rusty'ego.

Ponieważ stary panikarz był nieobecny, Thaniel zorientował się, że Leri przyleciała, dopiero gdy wyjrzał przez okno i zobaczył ją otuloną w futra na grzbiecie wielkiej złotej królowej. Czym prędzej wziął kubek z klahem i kilka skibek świeżo upieczonego chleba

i zaniósł jej. Leri zjadła i podziękowała. Widać było, że porusza się z trudem i siedzi wykrzywiona, by sprawiało jej to jak najmniejszy ból.

–Jeślibyś potrzebowała czegoś jeszcze, pani, wystarczy zawołać – powiedział Thaniel.

–Dzięki, ale niczego mi nie trzeba – odparła Leri, oddając mu kubek.

Thaniel wrócił do zajęć domowych, ale regularnie sprawdzał przez okno, co się dzieje. Właśnie kończył sprzątać ze stołu, gdy słońce zaczęło zachodzić. Nalał sobie kubek klahu, zastanawiając się, czy nie poczęstować Leri ponownie, i w tym momencie zorientował się, że napełnił płynem dwa kubki.

Zaniósł więc jeden Leri. Ta podziękowała mu uprzejmie i piła napar drobnymi łyżkami. Ponieważ Thanielowi po całym dniu stania zaczęła dokuczać zraniona noga, wrócił do domu, by chwilę posiedzieć w oczekiwaniu na to, co jeszcze wydarzy się tego niezwykłego dnia.

Zapadł zmrok i krótko potem pojawił się drugi złoty smok. Thaniel dowiedział się o tym, słysząc radosne okrzyki kobiet i ryki smoków. I odetchnął z ulgą.

Przyglądając się z progu powitaniu, też się popłakał. Moreta zeskoczyła z Holth i podbiegła do Orlith, gładząc ją czule po łbie, a ślepią królowej rozbłysły ze szczęścia błękitem. Leri wypuściła kubek i podeszła tak szybko, jak była w stanie, do Holth, po czym przytuliła się do jej szyi. Z jej postaci biły szczęście i radość.

–Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę, serce moje – wykrztusiła przez łyzy.

Gdy pierwsza fala wzruszenia minęła, obie kobiety wdały się w cichą rozmowę, oświetlane blaskiem wschodzącego księżyca. Thaniel nie miał pojęcia, o czym rozmawiały, ale gdy zobaczył, że Leri z trudem dosiada Holth, podbiegł do nich.

–Dziękuję, gospodarzu Thaniel, za to, że miałeś dość odwagi i rozumu, by zorientować się, czego potrzebujemy – oznajmiła uroczyście Moreta. – Weyry zawsze będą za to wdzięczne tobie i twojej rodzinie, podobnie jak Orlith i ja.

Przez chwilę jeszcze przyglądała mu się uważnie, po czym spojrzała na Leri i powiedziała, nie kryjąc satysfakcji:

–Teraz tworzymy właściwe pary.

W tym momencie Orlith uniosła łeb i spojrzała w kierunku weyru Fort. Ryknęła tryumfalnie, a po sekundzie to samo zrobiła Holth.

–Wykluła się nowa królowa! – oznajmiła radośnie Moreta. – Nazywa się Hannath, a jej jeźdźcem została Oklina! Doskonała wiadomość przed długą podróżą!

–Młodsza siostra Alessana? – zdziwiła się Leri. – Mówiłam ci, że w warowni Ruatha są potomkowie jeźdźców.

–Miło mieć pewność. – Moreta wyprostowała się, wiedząc, że o Alessanie nie może w tej chwili myśleć, i powiedziała, patrząc na Leri: – Teraz możemy lecieć we czwórkę.

Po czym usadowiła się wygodnie i powiedziała wyraźnie:

–Jeszcze tylko jeden skok w pomiędzy, Orlith. I potraktuj to do słownie.

Orlith kiwnęła łbem, odwróciła się od Holth, przeszła kawałek i wystartowała. Holth zrobiła to samo chwilę później. Nawet nie zauważając, że rozdeptała po drodze upuszczony przez Leri kubek po kłahu. Oba smoki wzbiły się w powietrze i nabierały wysokości, majestatycznie machając skrzydłami, oświetlone blaskiem księżyca. Obie dosiadające ich kobiety uniosły prawe ramiona z zaciśniętymi pięściami i obie pary zniknęły w pomiędzy.

Życzący im wszystkiego najlepszego Thaniel nie był w stanie powstrzymać łez. Podszedł i podniósł z ziemi ucho – jedyny w miarę cały fragment kubka. Nagle poczuł się

dziwnie spokojny, co nie przydarzyło mu się od wielu lat. Być może istniało jakieś miejsce, do którego ewentualnie trafi. Miejsce, o którym jeszcze nie wiedział, a w którym być może spotka swą ukochaną żonę. Wsunął ucho do kieszeni i poklepał się po niej – wiedział, że zawsze będzie mu przypominało Moretę.

Przełożył Jarosław Kotarski

Wojna O Rift Raymond E. Feist

Trylogia „Wojna O Rift”

Magician (1982, wyd. poprawione 1992)

Adept magii (1996), *Mistrz magii* (1996)

Silverthon (1985) *Srebrzysty ciern* (1996)

A Darkness in Senthanon (1986) *Mrok w Senthanon* (1997)

Trylogia „Imperium” (Z Janny Wurts)

Daughter of the Empire (1989) *Córka Imperium* (1995) *Sewant of the Empire* (1990) *Sługa Imperium* (1996) *Mistress of the Empire* (1992) *Władczynie Imperium* (1996)

Samodzielne Powieści Dotyczące „Wojny O Rift”

Prince of the Blood (1989) *Książę krwi* (1998)

The King’s Buccaneer (1992) *Królewski bukanier* (1998)

Cykl „Wojna Z Wężowym Ludem”

Shadow of the Dark Oueen (1994) *Cień Królowej Mroku* (1999) *Rise of a Merchant Prince* (1995) *Książę kupców* (2000) *Rage of a Demon King* (1997) *Furia króla demonów* (2000) *Shards of a Broken Crown* (1998) *Odpryski strzaskanej korony* (2002)

Cykl „Dziedzictwo Wojny”

Krondor: The Betrayal (1998) *Zdrada w Krondorze* (2002) *Krondor: The Assassins* (1999) *Skrytobójcy w Krondorze* (2002) *Krondor: Tear of the Goods* (2000)

Cykl „Konklawe Cieni”

Tales of the Siher Hawk (2003) *Szpon srebrnego jastrzębia* (2004) *King of Foxes* (2004) *Magician’s Son* (2005)

Serię fantasy „Wojna o Rift” autorstwa Raymonda E. Feista zaczynają przygody pary chłopców, Puga i Tomasa, którzy pragną wznieść się ponad swe plebejskie pochodzenie. Każdy realizuje marzenia dzięki przyrodzonym zdolnościom i ingerencji czynników zewnętrznych. Pug dostaje się do niewoli w czasie wojny z najeźdźcami z planety Kelewan. Podczas pobytu w Imperium okazuje się, że posiada magiczne zdolności, zaczyna więc szkolenie. Takie były początki kariery jednego z największych magów tamtych czasów. Tomasz z kolei napotyka umierającego smoka, który wręcza mu magiczną zbroję. Dzięki niej został wojownikiem, a jego dokonania przeszły do legendy.

Dzieje młodzieńców przeplatają się z opisami obu planet – Midkemii i Kelewanu – oraz toczącej się wojny nazwanej wojną o Rift lub o Pęknięcie. Atak Midkemii stał się bowiem możliwy dzięki magicznie wywołanemu i utrzymanemu Pęknięciu czasoprzestrzeni, określanemu także mianem Riftu. Midkemia to młody i pełen

konfliktów średniowieczny świat. Kelewan jest znacznie starszy i przepojony tradycją (można go porównać do Japonii za szogunatu), bynajmniej jednak nie spokojniejszy, choć otwartą wojnę zastępują tam często skomplikowane intrygi. Zamieszkujący go Tsurani przy pierwszej okazji zaatakowali Królestwo Wysp na Midkemii, chcąc zarówno podbić nowe ziemie, jak i zdobyć bogate złoża metali, które są prawdziwą rzadkością na Kelewanie. Jedynym połączeniem między planetami był magiczny portal zwany Riftem, dzięki któremu inwazja była całkowitym zaskoczeniem, a najeźdźcy podbili sporo terenów należących do Królestwa. Tomas stopniowo odkrywa, że posiadał moc Valheru, mitycznej istoty z Midkemii, która – jak głosiły legendy – była prawie równa bogom i walczyła z nimi. W ostatnim tomie trylogii rozstrzygają się losy wojny. Najeźdźcy zostają przepędzeni, Tomas uzyskuje kontrolę nad starą magią, która próbowała go sobie podporządkować, a Pug – już jako wielkiej mocy mag – wraca na ojczystą planetę.

Trylogia „Imperium” opisuje konflikt z przeciwnego punktu widzenia, przedstawiając Kelewan, jego mieszkańców, ich spory i życie. Bohaterką jest lady Mara, która w wieku siedemnastu lat zostaje głową rodu Acoma i natychmiast znajduje się w centrum gry o władzę, intryg i zamachów. Jedynie dzięki rozumowi, umiejętności improwizacji oraz grupie oddanych doradców i oficerów udaje się jej wyjść zwycięsko z rozmaitych pułapek zastawianych przez wrogów. Stopniowo zwiększa swe siły, aż w końcu zdobywa dominującą pozycję w Imperium Tsuranuanni, i to mimo miłości do Kevina, niewolnika z Midkemii, oraz konfrontacji ze stojącymi ponad prawem magami.

Cykl „Wojna z Wężowym Ludem” to opowieść o Eriku, bękarcie szlachetnie urodzonego, i jego najlepszym przyjacieli, uliczniku Roo. Królestwo zostaje ponownie napadnięte, tym razem jednak zagrożenie przychodzi teoretycznie zza morza, a w praktyce także z innej planety. Najeźdźcy nie są nawet ludźmi. W tym cyklu magiczny portal ma postać mostu, a przeciw siłom ciemności obok zbrojnych formacji występują ponownie Tomas i Pug.

Cykl „Dziedzictwo wojny” zawiera trzy powieści, których akcja toczy się kilka lat po zakończeniu walk. Opisują one przygody Jimmy’ego Loskleara, księcia Aruthy, i innych bohaterów oryginalnego cyklu.

Cykl „Konklawe cieni” to powieści, których akcja toczy się w trakcie wojny, ale w nowych miejscach, i przedstawia losy nowych bohaterów. Podaje także nowe informacje o tym, co działo się w czasie tego konfliktu.

Feist uważa Midkemię za swój główny wirtualny świat, a wszystkie opowiadania o niej traktuje jako prozę historyczną opisującą fikcyjną, acz spójną rzeczywistość.

Kurier Raymond E. Feist

Wiatr targał gałęziami, strącając z nich ostatnie brązowe już liście. Skrzypieniu gałęzi towarzyszył szum jodeł i świerków, jakby drzewa protestowały przeciwko temu, czego wiatr był zapowiedzią – długiej i mroźnej zimie nadciągającej wielkimi krokami. Żołnierze kulili się

przy ogniskach. Śnieg co prawda powinien spaść dopiero za kilka tygodni, ale wielu pochodzących z tych okolic wyczuwało zbliżanie się mrozów. Chłód niczym lodowe ostrza przenikał nawet przez pikowane przeszywanice. Wszyscy powkładali ciepłą bieliznę i po dwie lub nawet trzy pary skarpet: ile tylko się dało, by można było jeszcze wcisnąć nogi w buty. I wszyscy narzekali, że im palce drętwieją, gdy tylko obuwie przemoknie. Wszystko wskazywało na to, że ta zima zacznie się wcześniej, będzie ciężka i potrwa zbyt długo.

Ludziom nieprzygotowanym na nagłą zmianę pogody rzadko udawało się opuścić podnóża Szarych Wież, a żołnierze z Królestwa Wysp przygotowani byli na wszystko, ale nie na mroźną zimę. Teoretycznie przed jej nastaniem powinni byli znaleźć się w koszarach i domach miast prowincji Yabon i siedząc w ciepłe kominków, obserwować świat zza szyb. Doświadczeni weterani zdawali sobie jednak sprawę, że jeśli pogoda szybko nie złagodnieje, do LaMut, Ylith czy Yabon będą maszerowali po kolana w śniegu. A takiego marszu nie przetrzyma część rannych, którzy przy normalnej pogodzie bez problemów wróciliby do domów.

W całym obozie dało się wyczuć rosnące oczekiwanie na decyzję książąt, którzy powinni sobie uświadomić, że wczesne nadejście ostrej zimy oznacza rychłe zakończenie walk, i wydać odpowiednie rozkazy. Szef intendentury wraz z kucharzami, jak i kwatermistrz z chłopcami taborowymi sprawdzający niewielkie zapasy żywności, ubrań i broni także od czasu do czasu przerywali pracę i spoglądali w niebo, przekonani, że pora zbierać się do powrotu w domowe pielesze. Płatnerz oglądający pogięty napierśnik nie polecił co prawda czeladnikowi nie dorzucać węgla do paleniska, ale zastanawiał się, czy jest sens reperować fragmenty zbroi tu, czy lepiej zrobić to dokładniej po powrocie do koszar. I tak nie powinien być już potrzebny w tej kampanii. Ranni w namiotach, kawalerzyści oporzędzający konie i najemnicy śpiący, gdzie tylko znaleźli odpowiednie miejsce, wszyscy byli przekonani, że czas zarządzić powrót do domu.

W namiocie dowodzenia Vandros der LaMut skończył czytać właśnie dostarczone rozkazy i pokiwał głową.

Po czym spojrzał na swego zastępcę, kapitana Petira Leymana, i powiedział:

–Wracamy na zimę do domu. Rozkaz książąt Brucala i Borrica.

–Najwyższy czas – skomentował Petir, chuchając w dłonie, choć nosił grube, skórzane rękawice, więc nie mógł mieć zgrabiących palców. – Dopilnuję, żeby w zamku przygotowali odpowiedni zapas opału. Czuję w kościach, że to będzie naprawdę sroga zima.

Earl LaMut zerknął przez otwarte wejście namiotu na zewnątrz. W namiocie było względnie ciepło dzięki płonącym w koszu węglom.

–Nim dotrę na radę wojenną do Yabon, na pewno będzie aż za dużo śniegu – ocenił i westchnął. – Zakładając, że w ogóle tam dotrę.

Rzeczywiście wygląda na to, że zima będzie ostra.

Leyman przytaknął bez słowa. Vandros zaś wstał i polecił:

–Potrzebuję kuriera. Trzeba zawiadomić wysunięte obozy. – Podeszedł do rozłożonej na stole mapy i dodał: – Gruder, Moncrief i Summerville muszą wycofać się spokojnie i bez pośpiechu. Z tym nie powinno być problemu, bo jest na tyle zimno, że przeciwnik też powinien wycofywać się na zimowe kwatery.

–„Powinien” to niebezpieczne słowo, sir.

–Zgadzam się, ale jak dotąd nigdy nie atakowali od momentu, gdy zaczął padać śnieg. W górach jest im równie chłodno jak nam, a tkwią tu już wystarczająco długo, by zdawać sobie sprawę, że pierwszego śniegu można spodziewać się w ciągu paru dni. Ruszą do obozów.

–Byłoby to miłe z ich strony. I zrobiliby nam uprzejmość, pozostając tam do wiosny.

Vandros pokiwał głową.

–Przeznacz Argenti, że rozpoczynamy powrót do domu. Za dzień lub dwa sam ruszę w drogę ze strażą tylną – polecił. – I każ kurierowi uważać. Dostałem meldunek, że silny patrol w barwach Minwanabich zgubił się gdzieś na wschód od Królewskiego Traktu na północ od LaMut. Nikt nie wie, gdzie się podziali, ale na pewno znajdą się w najmniej odpowiednim momencie.

–Rozumiem.

–A drugiego kuriera przyślij do mnie – dodał.

Leyman kiwnął głową i wyszedł.

Czekającego zaś na kuriera Vandrosa opadły wspomnienia. Gdy nadeszły wieści o najeźdźcach, był kapitanem lekkiej kawalerii na dworze ojca, czyli dowodził najbardziej brawurowym oddziałem jazdy w Yabon. Tsurani dali mu gorzką i ciężką lekcję, uświadamiając, jak naprawdę wygląda wojna, i skutecznie pozbawiając złudzeń na temat sławy i chwały.

Tsurani – przybysze z innego świata, choć niektórym szlachetnie urodzonym w Królestwie naprawdę wiele czasu zajęło pogodzenie się z tym. Dotarli na Midkemię za pomocą magicznego przejścia zwanego Rift. I znaleźli się akurat na obszarze Królestwa Wysp. Szczęśliwie się złożyło, że w dolinie, wysoko w łańcuchu Szarych Wież. Dzięki temu szybki atak z ich strony nie wchodził w grę, co było dobrą wiadomością. Złą zaś, że pozycja ta skutecznie uniemożliwiała zdobycie tego przyczółka z uwagi na niedostępność miejsca.

Tsurani byli dzielnymi i odważnymi wojownikami. Nosili pancerze pomalowane na jasne kolory, a ich barwy oznaczały przynależność do konkretnego rodu czy też domu. Uzbrojenie zarówno obronne, jak i zaczepne wykonano z dziwnego, obcego surowca nieznanego na Midkemii i niewiele mniej odpornego od stali. Pierwszej wiosny zaatakowali bez uprzedzenia i zajęli sporo ziem należących do Królestwa Wysp oraz do Wolnych Miast Natał.

Było to siedem lat temu. Od tej pory wojna toczyła się ciągle z wyjątkiem zim. I nie przynosiła rozwiązań korzystnego dla żadnej ze stron. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Przez pięć z tych lat Vandros był earlem. Trzy lata temu Tsurani przeprowadzili dużą ofensywę przeciwko Crydee, próbując zdobyć całe Dalekie Wybrzeże. Atak na północ był zaskoczeniem, ale nie powiódł się, podobnie jak oblężenie. Od tamtej pory obie strony tkwiły w martwym punkcie i utrzymywały dotychczasowe pozycje. Żadna nie miała sił i ochoty na poważniejszy atak, co naturalnie nie oznaczało, że walk – i to nawet na dużą skalę – nie toczono.

Choć militarnie sytuacja nie była fatalna, ekonomicznie rzecz miała się inaczej. Koszt prowadzenia wojny był bowiem ogromny: podatki rosły, a zwerbować można było coraz mniej żołnierzy. W tym roku brak ludzi stał się problemem tak poważnym, że Vandros

musiał wynajmować najemników. Niewielu okazało się wartych swej ceny, ale przynajmniej przeciwnik w pierwszej kolejności zabijał tych wojowników z bożej łaski, a nie jego podwładnych.

Drugą nieprzyjemną niespodziankę sprawiła mu pogoda – całe życie spędził w tej okolicy i wiedział, że zima będzie sroga. Zawieje w zimie były rzeczą normalną, ale teraz było na nie zdecydowanie za wcześnie, a tego dnia powietrze sprawiało wrażenie, jakby pierwszy atak miał nastąpić lada chwila. Rozkaz powrotu do domu przyszedł dosłownie w ostatniej chwili.

W namiocie pojawił się kurier, przerywając mu dalsze rozmyślenia.

–Sir? – spytał.

–Podejdź do stołu, Terrance.

Młodzian zsalutował i wykonał polecenie. Ubrany był w tradycyjny strój Korpusu Kurierów: noszoną na bakier okrągłą futrzaną czapkę z płaskim denkiem, do której z boku przypięta była złota odznaka jednostki, zieloną kurtkę rozciętą w pasie i ozdobioną złotym obszyciem na ramionach oraz rękawach, z przepisowymi sześcioma parami złotych guzików z przodu. Oraz obcisłe, szare spodnie, w kroku i na siedzeniu podszyte skórą, wpuszczone w czarne, skórzane buty do konnej jazdy. Uzbrojony był w nóż i kawaleryjską szablę, a na szlaku przy zimnej pogodzie stroju dopełniał szary gruby płaszcz. Poza tym miał tylko rację owsa dla wierzchowca i manierkę z wodą. Kurierzy jeździli lekko i szybko – taka była ich dewiza.

Temu konkretnemu kurierowi Vandros przyglądał się z lekką irytacją, gdyż był to członek rodziny. Konkretnie daleki kuzyn: siostrzeniec jego dziadka, dokładnie rzecz ujmując. I

wykorzystał to pokrewieństwo, by dostać się do wojska w zbyt młodym w zgodnej opinii rodziców i earla wieku. Skoro jednak już tu był, młody wiek i brak doświadczenia przestawały się liczyć i earl nie mógł zrobić nic, co nie odbiłoby się na honorze rodu. Terrance miał zaledwie szesnaście lat – należał do urodzonych na kilka dni przed Świętem Przesilenia Letniego, kiedy to obchodzono ich urodziny. I nadal nie musiał się golić. Do wojska wstępowali nawet młodszy, rzecz jasna za zgodą rodziców, a służba w Korpusie Kurierów była znacznie lżejsza niż w kawalerii, a zwłaszcza w ciężkiej jeździe. Ponieważ chłopak dobrze walczył z konia, mógł trafić do lekkiej kawalerii i z nią na front. Przydział do kurierów zawdzięczał dwóm rzeczom: wyjątkowym umiejętnościom jeździeckim i doskonałej pamięci. W Korpusie Kurierów bowiem służyli wyłącznie najlepsi jeźdźcy w całym Yabon.

–Twoja kolej? – spytał niepotrzebnie Vandros.

–Moja, sir – potwierdził zapytany. – Kapitan Leyman kazał zgłosić się dwóm. Wypadło na mnie i Williamsona Denika. On był następny, więc jedzie do LaMut. Ja drugi i dlatego tu jestem.

Kurierzy otrzymywali zadania rotacyjnie, według kolejności. Była to nienaruszalna zasada poparta nie tylko tradycją, ale i zdrowym rozsądkiem. Inaczej bowiem niektórzy starsi kurierzy braliby wyłącznie łatwe i bezpieczne trasy, zostawiając żółtodziobom najtrudniejsze, przy pokonywaniu których było najwięcej ofiar.

Vandros nie odezwał się, choć pożałował, że nie spytał wcześniej, kto jest następny w kolejce. Mógłby wezwać tu pierwszego z tej dwójki, a Leymanowi kazać wysłać do LaMut Terrance'a. W ten sposób bez ingerowania w regułę, co napotkałoby zdecydowany sprzeciw wszystkich kurierów, Williamson miałby do objechania obozy, a kuzyn byłby w drodze do LaMut.

Bez słowa wskazał na mapę. Była to klasyczna mapa sztabowa przedstawiająca obszar walk i najbliższą otaczającą go okolicę. Terrance znał ją równie dobrze jak on sam, czyli na pamięć.

Powodów inwazji nikt tak do końca nie rozumiał, ponieważ wszelkie próby negocjowania choćby zawieszenia broni, nie mówiąc o zakończeniu walk, zostały przez nieprzyjaciela odrzucone.

Na dobrą sprawę nikt nie miał okazji nawet dłużej porozmawiać z którymś z dowódców wroga, toteż wszystko nadal pozostawało w sferze domysłów. Najpopularniejszy w Królestwie pogląd opierał się na zeznaniach jeńców, których udało się pojmać żywcem. Żołnierze bowiem bili się aż do śmierci, a jeśli musieli się wycofać, dobijali wcześniej rannych. Otóż w świecie, z którego pochodzili, metal był prawdziwą rzadkością i rody rządzące Imperium gotowe były na wszystko, by go zdobyć. Swoisty paradoks stanowiło to, że dla nich stal była cenniejsza od złota, gdyż miała większe praktyczne zastosowanie.

Vandrosa jakoś to tłumaczenie nie przekonywało – przez te lata zbyt wiele padło trupów bez żadnych strategicznych korzyści, aby konflikt toczył się wyłącznie o metal. Musiał istnieć inny powód, tyle że jak dotąd nie miał pojęcia jaki.

Mapa obejmowała rejon ograniczony od zachodu przez masyw Szarych Wież. Dalej znajdowały się tereny księstwa Crydee i brzeg Bezkresnego Morza, ale tam dowodzili książę Arutha i baronowie Carse i Tulan, więc jego ten obszar nie obchodził. On był odpowiedzialny za działania na terenie Księstwa Yabon aż do dawnej granicy z Wolnymi Miastami i tak daleko w głąb Szarych Wież, jak uda mu się dotrzeć.

Wskazał palcem trzy miejsca – jedno na południowy zachód od obozu, w którym się znajdowali, drugie na południe od niego i trzecie na południowy wschód od drugiego. Razem te cztery obozy stanowiły podstawę obrony całego rejonu. Stacjonujące w nich siły bowiem były w stanie znaleźć się wystarczająco szybko w każdym rejonie, w którym przeciwnik próbowałby ataku, i powstrzymać przynajmniej pierwsze uderzenie.

Problem polegał na tym, że tego systemu wzajemnie wspierających się obozów nie można było zaopatrzyć w ciągu zimy, co zmuszało wojska Królestwa do wycofywania się za każdym razem, gdy zaczynał padać śnieg.

–Wiadomość dla baronów Grudera, Moncriefa i Summerville’a.

Czas się wycofać – zaczął Vandros.

Następnie przekazał Terrance’owi dokładne polecenia, kto ma pierwszy zacząć odwrót, w jakim porządku ma się on odbywać i kiedy oczekuje, że wszyscy dotrą do wyznaczonych na zimowe kwatery miast.

Młodzian cały czas przyglądał się mapie, a gdy earl skończył, powiedział:

–Rozumiem. Wiadomość zapamiętałem, sir.

Vandros nie sprawdzał tego – z doświadczenia wiedział, że usłyszy dokładnie powtórzone własne słowa. Była to zwyczajowa metoda przekazywania rozkazów przez kurierów. Dlatego musieli mieć doskonałą pamięć. Zdarzało się, że przewozili dokumenty, ale najważniejsze rozkazy zawsze były ustne. Dzięki temu nawet gdyby kurier padł po drodze, wróg nie uzyskałby żadnych wiadomości.

–To ma być stopniowy, zorganizowany odwrót. I wyłącznie walki defensywne – dodał earl.

Oznaczało to, że dowódcy mają unikać starć z oddziałami przeciwnika, chyba że zostaną przez nie zaatakowani po drodze na wschód. Założenie było takie, że nieprzyjaciel, podobnie jak w poprzednich latach, będzie zainteresowany tym samym, a nie zdobywaniem nowych terenów.

–Stopniowy, zorganizowany odwrót. Wyłącznie walki defensywne – powtórzył

Terrance.

Earl LaMut przyjrzał mu się uważnie i spytał:

–Coś mówisz przez nos... Jak się czujesz?

–Zwykły katar, sir. Nie ma o czym mówić.

–W takim razie ruszaj w drogę. I Terry...

–Tak?

–Nie daj się zabić. Nie mam ochoty tłumaczyć twojej matce, jak mogłem do tego dopuścić.

Terry uśmiechnął się i odparł:

–Dołożę starań, sir.

I wyszedł.

Vandros zaś, mimo że od pięciu lat posyłał ludzi na śmierć, często tak młodych jak Terry, nadal żałował, że kuzyn nie jedzie do LaMut. Jedyne pocieszenie stanowiła świadomość, że o tej porze roku nawet ta trasa powinna być bezpieczna. Tsurani mieli okazję dobrze poznać tutejsze zimy, toteż w tej chwili najpewniej myśleli o tym samym co jego żołnierze, a nie o walce. Poza tym miał ważniejsze problemy na głowie i na nich skupił uwagę. Konkretnie zaś na zorganizowaniu sprawnego odwrotu sił głównych stacjonujących w tym obozie.

Z zewnątrz dobiegały znacznie weselsze rozmowy żołnierzy – najwyraźniej rozniosła się już wieść o powrocie do domu.

Idący przez obóz Terrance jak zwykle był obiektem żartów i przycinków ze strony starszych żołnierzy. Powód był ciągle ten sam: jego młody wiek i uroda. Już na początku został ostrzeżony przez starszych pośłańców, że takie zachowania są regułą i należy je ignorować. W powszechnej opinii kurierzy mieli wygodną służbę, której można było jedynie zazdrościć, bo całymi dniami byczyli się w namiotach i nie ryzykowali życia na patrolach. Tego, że podczas bitwy jeździli nieustannie z rozkazami wymagającymi dostania się w samo centrum starć, nikt nie zauważał, bo wszyscy byli zbyt zajęci staraniem się, by przeżyć.

Terrance był wysoki jak na swój wiek – miał nieco ponad sześć stóp wzrostu – lecz dopiero zaczynały mu się wykształcać męskie barki i plecy. Na dodatek był blondynem o niebieskich oczach i zaroście najbardziej przypominającym meszek. Stanowiło to nieustający powód jego irytacji, gdyż tradycją wśród kurierów były wąsy i starannie przycięta bródka złośliwie

zwana kozią. Próbował je zapuścić, ale po miesiącu sam doszedł do wniosku, że wygląda głupio, i ponownie zaczął się golić. Naturalnie pozostali kurierzy nadal przezywali go gołowąsem, ale w rozmowach w cztery oczy paru uspokoilo go, że zarost sam się pojawi, a regularne golenie przyspieszy ten proces.

Od początku też, czyli od wiosny, starał się zachowywać milczenie i nieprzenikniony wyraz twarzy, by ukryć to, jak niepewnie czasami się czuje. Po pierwszym miesiącu służby doszedł do wniosku, że zaciągnął się pochopnie, przeceniając swe możliwości. Na szczęście w ciągu siedmiu miesięcy, które od tego czasu minęły, nie zagroziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Mimo to bał się, że może w jakiś sposób zawieść albo się załamać, sprowadzając hańbę na rodzinę, a więc i na earla, i potwierdzając opinię rodziców, iż zaciągnął się w zbyt młodym wieku. Wówczas nie brał pod uwagę odpowiedzialności, a potem nie mógł się już wycofać.

Ale po roku służby i zimie spędzonej w rodzinnej posiadłości w pobliżu LaMut powinien nabrać większej pewności siebie i przestać udawać. A matka z kolei powinna przestać w każdym liście czynić mu wyrzuty i żądać, by natychmiast wrócił.

Dotarł do namiotu zajmowanego wraz z Charlesem McEvoyem z Tyr-Sog i stwierdził, że towarzysz wyleguje się na pościeli, czytając list.

–Od Clarise? – spytał, wchodząc.

–Zgadza się – potwierdził starszy o cztery lata kurier. – Dostałeś zlecenie?

–Wypada moja kolej.

–Dokąd?

–Do wszystkich trzech baronów – odparł Terry z uśmiechem. – Z rozkazami wymarszu. Za kilka tygodni zobaczysz się z nią. Wracamy na zimę do domu.

Charles usiadł z wrażenia.

–Najwyższy czas! – ucieszył się. – Zrobiło się tak zimno, że człowiekowi przyrodzenie zamarza. A jaki pożytek ma kobieta z chłopca bez przyrodzenia?

Terrance parsknął śmiechem – Charles ożenił się w zimie, a od wiosny nie widział żony.

–Ty lepiej się zastanów, jaki ona ma z ciebie pożytek przez ostatnie miesiące – poradził.

–Wynoś się! Za takie rady to...

–Spokojnie, wezmę tylko płaszcz i już mnie nie ma.

–Jedź bezpiecznie, Terry – powiedział poważnie Charles.

–Jedź bezpiecznie, Charlie – odwzajemnił się tradycyjnym pożegnaniem kurierów Terrance i wyszedł.

Jego wierzchowiec, tak jak inne konie kurierskie, znajdował się w prowizorycznej stajni. Była to dziewięcioletnia gniada klacz o pewnym kroku i dobrym refleksie. Nie była najszybszym wierzchowcem w obozie, ale Terrance lubił jej zrównoważony temperament i wytrzymałość. Gdyby zaszła potrzeba, biegłaby cały dzień i padła bez protestu. Nazywała się Bella.

Gdy się zbliżył, uniosła łeb i parsknęła cicho – wiedziała, że to jej jeździec i że wyruszą. Poklepał ją po szyi i powiedział:

–Czas na spacer.

Zdjął z drąga pod tylną ścianą swoje siodło i osiodłał klacz wprawnymi ruchami. Sprawdził, czy manierka i worek z obrokiem są pełne. W drodze powinien być co prawda tylko dwa dni i nocować w obozie, a wracać przez kolejne dwa, ale nigdy nic nie wiadomo. Od wschodu słońca minęły dopiero dwie godziny, więc podróż powinna być łatwa. O ile nie wpadnie w jakieś kłopoty, powinien wrócić następnego dnia o zmroku.

Odwiązał klacz, wskoczył na siodło i ruszył na zachód.

Kiedy minęli granice obozu, a Bella rozgrzała się, ponaglił ją, by przeszła w cwał.

Wiatr przenikał mu przez płaszcz. Twarz miał zupełnie pozbawioną czucia, z nosa mu leciało, a ponieważ przestał wycierać go rękawem, obie dziurki tak się zatkały, że musiał oddychać ustami, co zaczęło drażnić płuca. Czuł się tak, jakby ktoś zacisnął mu na piersi stalową obręcz, i doszedł do wniosku, że przyjęcie tego zlecenia nie było najrozsądniejszą decyzją w jego życiu. Powinien był iść do kapitana dowodzącego Korpusem Kurierów i powiedzieć, że zbyt źle się czuje, by wyjechać. Tyle że wtedy nawet mu to przez myśl nie przeszło: żeby wykręcać się zwykłym przeziębieniem!

Dwa razy zatrzymał się w miejscach w miarę osłoniętych przez drzewa, by dać odpocząć koniowi. Przerwy były krótkie, aby Bella się nie zastała, bo to zwiększało szanse okulażenia w dalszej drodze.

A do tego nie chciał dopuścić, gdyż była doskonałym wierzchowcem dla kuriera: spokojna, godna zaufania i szybko reagująca na polecenia. Kiedyś, jeszcze w lecie, zrobił

postój na szlaku, by się rozejrzeć. Z krzaków wypełzła żmija, kierując się ku koniowi. Większość wierzchowców spanikowałaby, a Bella spokojnie uniosła nogę, poczekała na właściwy moment i rozgniotła łeb gada na miazgę.

Po drugiej przerwie zorientował się, że ma opóźnienie, niezbyt duże, bo ze dwie godziny, ale zawsze. Rozkazy dotrą co prawda w wyznaczonym terminie, ale nie lubił takich sytuacji.

A poza tym będzie musiał dłużej poczekać na ciepły posiłek i łóżko, co do którego mógł tylko mieć nadzieję, że okaże się ciepłe. Miał też niemiłą świadomość, że jeśli wiatr nie osłabnie, następnego dnia jazda będzie trudniejsza, gdyż oba obozy, do których miał dotrzeć, znajdowały się na pogórzu. I bliżej linii wroga.

Cały czas pamiętał, że nieprzyjaciel rozsyła sporo patroli, ale jak dotąd nie widział żadnego. Gdyby zabili konia, do celu dotarłby dopiero w południe następnego dnia, o ile nie zamarzłby w ciągu nocy.

Po dwóch godzinach jazdy zsiadł z konia i przez następne trzydzieści minut szedł, prowadząc Bellę. Nie bardzo jej się to podobało, gdyż wyczuwała bliskość jedzenia i osłoniętej przed wiatrem stajni.

Po półgodzinie znów znalazł się w siodle i przynaglił klacz do galopu. Rozglądał się, wiedząc, jak łatwo coś ważnego przeoczyć. Zdawał sobie sprawę, że kurier jest najłatwiejszym celem, nie licząc chłopców taborowych. Wystarczyło dwóch-trzech zbrojnych w zasadzce albo jeden dobry łucznik i rozkazy earla nigdy nie dotarłyby do baronów.

Trzy godziny później dostrzegł ruch na północy. Między drzewami przez chwilę zamajaczyły postacie, a raczej barwy, gdyż z takiej odległości ludzi nie dostrzegł, natomiast poruszające się kolorowe plamy zwróciły jego uwagę. Nic bowiem w przyrodzie nie było ani jaskrawopomarańczowe, ani wściekle szkarłatne. Natomiast żołnierze rodu Minwanabich nosili czarnopomarańczowe zbroje, a rodu Anasati szkarłatnożółte.

Zmusił Bellę do szybszego biegu i zdwoił czujność, ale nie dostrzegł już śladu najeźdźców czy innego niebezpieczeństwa. Las pozostał pusty i cichy.

Mimo to odprężył się dopiero, gdy znalazł się o kilka minut drogi od pierwszego obozu, wiedząc, że jest już na terenie obserwowanym przez własne czujki. Poczł dym ognisk, gdyż wiatr wiał mu prosto w twarz. Był to miły zapach, bo oznaczał rychły odpoczynek.

Usłyszał wołanie wartownika:

–Jeździec się zbliża!

I wiedział, że jest już w obozie.

Gdyby był pieszo, z pewnością sprawdzono by jego tożsamość już pół godziny wcześniej i powtórzono procedurę kilkakrotnie. O ile nie doszłoby do tego wcześniej – ledwie znalazł się za niewidoczną w terenie linią uznaną za granicę Królestwa. Ponieważ jednak napastnicy nie używali koni, czujki uznały ten środek ostrożności za zbędny. Terrance parokrotnie już zastanawiał się, dlaczego przeciwnik nie wyszkolił jeźdźców i nie używał zdobycznych wierzchowców. Nikt nie potrafił mu jednak udzielić odpowiedzi, jako że nikt, z kim o tym rozmawiał, nie miał okazji pogadać z żywym Tsurani na jakikolwiek temat.

Znał położenie namiotu dowódcy, więc podjechał tam. W tym obozie dowódcą był baron Gruder, jeden z wasali księcia Sutherland, oddelegowany pod rozkazy earla. Miał pod sobą ludzi pochodzących z różnych prowincji Yabon, wzmocnionych żołnierzami z Południowej Marchii. Terrance rozmawiał z nim dotąd trzy razy i wiedział, że jest

konkretny, bezpośredni do bólu i całkowicie pozbawiony talentów towarzyskich.

Strażnik wpuścił go do namiotu, a drugi zaprowadził Bellę do polowej stajni. W obozie stacjonowali kopijnicy z LaMut, kompania lekkiej jazdy z Zan i dwie kompanie ciężkiej piechoty z Ylith oraz Tyr-Sog. Ten rok upłynął im na ciężkich walkach z Tsurani i ich sojusznikami Cho-ja, zwanymi potocznie Robalami.

Terrance wyprężył się o dwa kroki przed baronem i wyrecytował:

–Rozkazy od earla LaMut, sir.

–Wycofujemy się? – spytał bez wstępów Gruder tonem wskazującym, że spodziewa się takiego właśnie polecenia.

–Tak, sir. Ma pan się wycofać, zachowując gotowość bojową, do kwater zimowych wyznaczonych przez księcia – odparł Terrance i zaczął powtarzać bardziej szczegółowe polecenia.

Wśród drobniejszej arystokracji stale dochodziło do niesnasek i powszechna była zawiść o zakres władzy, Gruder nie był więc zachwycony oddelegowaniem pod rozkazy „obcego” earla. Kurierzy szybko nauczyli się przy takich jak ta okazjach powoływać się co chwila na rozkazy od lordów Borrrica i Brucala. W ten sposób zapobiegali tyradom barona ubolewającego nad tym, że Vandros zostawił go tu bez wystarczającej liczby ludzi, dostaw żywności, zapasów uzbrojenia, złota na bieżące wydatki i wszystkiego, co według barona było niezbędne do prowadzenia wojny. Terrance był zziębnięty i głodny, toteż ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, była kolejna lawina gorzkich żalów.

–...i toczyć walki wyłącznie defensywne – zakończył.

–Coś jeszcze?

–O około trzy godziny jazdy od obozu zauważyłem w lesie, na północ od szlaku ze wschodu, wojska przeciwnika, sir.

–Zdołałeś rozpoznać jakie konkretnie?

–Minwanabi i Anasati, sir.

Gruder zamyślił się głęboko.

–Z tego, co wiemy, te dwa rody się nie lubią... – myślał na głos. – Musieli zaplanować coś poważnego, skoro ich wojska maszerują pod wspólnym dowództwem... Hm, będę musiał mieć na nich oko...

–Sir – odezwał się najneutralniej jak potrafił Terrance, przypominając o swym istnieniu.

I zastanawiając się równocześnie, skąd pochodzą podobne wiadomości, skoro żołnierze przeciwnika wołają śmierć od niewoli. Nie spytał o to jednak, zdając sobie doskonale sprawę, że jest od przewożenia informacji, a nie od ich zbierania czy interpretowania.

Baron spojrzał na niego i najwyraźniej przypomniał sobie o jego istnieniu.

–Doskonale. Najedz się i prześpij, a jutro ruszaj dalej. O świcie zaczęły wycofywać wojska.

Wychodząc, Terrance słyszał, jak baron woła adiutanta. Rozkaz w ciągu paru minut dotrze do wszystkich oficerów – zajmą się tym paziowie. Spojrzał w niebo – słońce zachodziło, a od zachodu napływały ciemne chmury, przyspieszając zapadanie zmroku.

Oznaczało to, że w nocy będzie padać – chmury były ciężkie od wilgoci. A sądząc po temperaturze, spadnie nie deszcz, lecz śnieg. Był głodny, ale wpiery postanowił sprawdzić, jak zajęto się Bellą. Dla kuriera koń zawsze był ważniejszy od niego samego.

Gdy szedł do stajni, coś mokrego osiadło na jego policzku. Spojrzał w górę i dostrzegł pierwsze, nieliczne jeszcze płatki śniegu. Zwolnił, klnąc w duchu. A wszystko wokół nagle

jakby się zakotłowało, gdy rozeszła się wieść o zapowiedzianym powrocie do domu. Ludziom od razu poprawiły się humory.

Terrance ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się chmurom. Jeśli spadnie dużo śniegu, będzie jechał znacznie wolniej i może zostać zmuszony do nocowania w ostatnim obozie. Pozostało jedynie mieć nadzieję, że Killian, bogini natury, powstrzyma śnieg jeszcze choćby przez dzień. Choć patrząc na radosne twarze żołnierzy, pomyślał, że milej z jej strony byłoby, gdyby powstrzymała go jeszcze przez tydzień.

Wzruszył ramionami i pomaszerował energicznie w stronę stajni.

Stwierdził, że Bella jest pod dobrą opieką. Rozkulbaczona i wytarta stała w dobrze osłoniętym od wiatru miejscu i miała pod dostatkiem siana. Zarżała cicho na powitanie. Sprawdził jej nogi i kopyta. Dopiero potem rozejrzał się i zauważył, że sporo zagród stoi pustych.

–Duży patrol nocny? – spytał stajennego.

–Duże straty tego roku – wyjaśnił ten ponuro. – W ludziach i w koniach.

Terrance pokiwał głową.

–Dziękuję, że się nią dobrze zająłeś – powiedział, klepiąc klacz po szyi.

–Taka praca – burknął mężczyzna, ale widać było, że jest zadowolony.

Terrance uśmiechnął się i wyszedł.

Namiot jadalny odnalazł bez trudu, kierując się węchem, i stanął w kolejce za młodszym oficerem lekkiej jazdy. Gdy przyszła jego kolej, kuchcik wpierw wręczył mu drewniany talerz i metalowy kubek. Żołnierze mieli własne naczynia trzymane w namiotach, ale kurierzy zawsze podróżowali bez obciążenia.

Jedzenie nie było rewelacyjne, ale ciepłe i sycące, a herbata, choć gorzka – gorąca. Zjadł w samotności, usiadłszy pod ścianą, zadowolony, że większość obecnych go ignoruje. Gdy skończył, oddał kuchcikowi naczynia i wyruszył na poszukiwanie miejsca do spania.

Kurierzy sami znajdowali sobie nocleg, co często oznaczało spanie pod gołym niebem z siodłem pod głową i płaszczem jako przykryciem. Przez większą część roku były to całkiem miłe warunki, ale tej nocy stanowczo nie do przyjęcia.

Zbliżając się do namiotów jazdy, odchrząknął i nagle dostał ataku kaszlu, którego nie mógł opanować. Dobrze, że w pobliżu było drzewo, bo aż go zgięło i gdyby nie miał się czego złapać, wylądowałby na ziemi. Gdy napad w końcu minął, wypluł kluchę gęstej, zielonkawej flegmy i dopiero mógł głębiej odetchnąć. W gardle pozostał mu gorzki, przypominający siarkę posmak, a dotychczasowe swędzenie zmieniło się w ostre drapanie przy każdym przełknięciu śliny.

–Szląg! – mruknął cicho.

Był bardziej chory, niż sądził jeszcze kilka godzin temu, a miał przed sobą cały dzień jazdy. Albo i dwa, jeśli pogoda się pogorszy, nim dotrze do obozu earla i dostanie lekarstwo od aptekarza. Nie było jednak innego wyjścia – musiał wykonać zadanie.

Już spokojnie dotarł do rzędu namiotów i zaczął pytać o wolne miejsce do spania kolejno w każdym z nich. W pierwszych sześciu miejsca nie było, ale w siódmym leżał tylko jeden kawalerzysta. Przyglądał się Terrance'owi przez moment, po czym wskazał najbliższe postanie.

–Proszę. Właścicielowi już nie będzie potrzebne.

Terrance nie zadawał zbędnych pytań. Usiadł na kocu i przyjrzał się jeźdźcy. Był o przynajmniej dziesięć lat starszy, ale wyglądał tak, jakby różnica wynosiła co najmniej dwa razy tyle. Zapadnięte, przekrwione i podkrążone oczy oraz ściągnięta twarz wyraźnie

świadczyły o zmęczeniu i niewyspaniu.

–Świeżo z patrolu? – domyślił się Terrance.

–Wczoraj wróciłem. Złapaliśmy ich patrol na polu... – Mężczyzna opadł na posłanie. – Nasz dowódca, wydając rozkaz do szarży, nie wiedział, że to jedynie forpoczta. Reszta jeszcze była w lesie. Niewiele brakowało, a wycięliby nas w pień.

–Połączone siły paru domów?

–Ano. Ponad setka na nas trzydziestu. Nie było miło, ale niewielu z nich wróciło do lasu... Nie myśl, że jestem gbur, ale naprawdę muszę się przespać. Rano znów jedziemy na patrol.

Terrance ugryzł się w język – nie czas i miejsce było mówić jeźdźcy o rozkazach, które przywiózł, bo patrol i tak mógł zostać wysłany. Dlatego rzekł tylko:

–Dobrej nocy.

Odpowiedziało mu jedynie miarowe posapywanie.

Odwiązał sznurek, pozwalając, by zakrywający wejście płat płótna opadł i zasłonił je, po czym położył się na cienkim sienniku i szczelnie otulił kocem. Koc co prawda nie był pierwszej świeżości i śmierdział potem, ale był gruby i dobrze grzał. A poza tym Terrance był młody, zmęczony i sypiał już w gorszych warunkach. Nim zasnął, miał jeszcze dwa ataki kaszlu, łagodniejsze i krótsze niż pierwszy, ale i tak za każdym razem sprawdzał, czy nie obudził kawalerzysty. Niepotrzebnie się niepokoił – jak każdy doświadczony żołnierz, jeźdźca nauczył się ignorować wszelkie hałasy nie oznaczające natychmiastowego zagrożenia.

Młodzian zamknął oczy i odprężył się, czując opadającą go senność. Mimo chłodu pocił się, więc jeszcze szczelniej owinął się kocem. Poty były dobre na przeziębienie, tak mu zawsze w domu powtarzali... i z obrazem domu przed oczyma zasnął.

Rano śnieg sypał w najlepsze. Idąc na śniadanie przez obóz pełen uśmiechniętych, rozradowanych żołnierzy, Terrance czuł się, jakby był nie z tej bajki. Wszystko go bolało i miał wrażenie, jakby w ogóle nie odpoczął. A poza tym czekało go zadanie.

Zjadł więc szybko śniadanie złożone z ciepłego jeszcze chleba, miodu, masła i wołowiny z dodatkiem suszonych owoców. Posiłek był tak urozmaicony, gdyż kucharze jako ludzie rozsądni wyszli z założenia, że im więcej wojsko zje, tym mniej oni będą musieli pakować i zabierać ze sobą do LaMut.

Ledwie skończył, podszedł do niego sierżant z czarną klapką na lewym oku i twarzą poznaczoną bliznami.

–Baron cię wzywa – oznajmił i odwrócił się, pewien, że młodzian pójdzie za nim.

Była to pewność uzasadniona.

Terrance stanął w wejściu do namiotu i natychmiast rozkazano mu wejść.

–To dla earla – oznajmił baron Gruder, podając mu zapieczętowany pakiet. – Moncrief i Summerville bez wątpienia także dadzą ci podobne meldunki.

–Wiem, sir.

–Walki defensywne – rzekł tymczasem Gruder bardziej do siebie niż do niego. – O czym ten Vandros marzy?! Właśnie dostałem wiadomość, że cztery dni temu zdobyto jedną z naszych wysuniętych placówek. Tsurani nie wysyłają zwykłych patroli, to ruch sporych sił. Ani chybi coś kombinują... Jeśli mamy kiedykolwiek wygrać tę wojnę, musimy atakować, a nie siedzieć i czekać na ich atak. Przedwczoraj natknęliśmy się na ich silny patrol i to na pewno nie był ten, który ty widziałeś, bo nasza jazda starła go w pył. Uważaj więc, bo sporo ich się tu kręci. Coś mi się widzi, że tym razem przeciwnik może spróbować zająć nasze pozycje, gdy się wycofamy. W ten sposób spokojnie je

ufortyfikuje i na wiosnę będzie miał nowe zdobycze terytorialne. Przekaż to pozostałym i powiedz, że będę wycofywał wojska stopniowo, zachowując pełną gotowość do walki. Obronnej naturalnie. I dopilnuj, żeby earl Vandros dostał mój raport!

Terrance kiwnął głową i czekał, czy będą dalsze polecenia.

Po dłuższej chwili baron przypomniał sobie o nim i dał znak, że może odejść.

Młodzian zasalutował, odwrócił się i wyszedł, zmierzając prosto do stajni.

Kwadrans później Terrance opuszczał obóz, który już zaczynano zwijać. Jechał wolno, by dać Belli czas na rozgrzanie się. Ziemia nie zamarzała, a śnieg szybko topniał i na terenie obozu już zmienił się w błoto. Wiedział, że będzie musiał zrobić kilka przystanków, by oczyścić kopyta klaczy, ale to błoto było niczym w porównaniu z gęstą, lepką mazią sięgającą pęcin, zdolną oderwać podkowę lub zdjąć człowiekowi but, jaką regularnie napotykało się wiosną.

Skierował klacz na południowy zachód i ponaglił, by przeszła w lekki kłus. Bella nieco się zdenerwowała, gdy dopadł go atak kaszlu; gdy minął, poklepał ją uspokajająco po szyi. A potem pokłusowali dalej już równym tempem.

Terrance zatrzymał konia.

Powietrze było nieruchome, jakby przyroda wstrzymała oddech w oczekiwaniu następnego ataku zimy. Dobrą godzinę wcześniej przestało padać, ale wiedział, że wkrótce znowu

zacznie. Świeciło nie zasłonięte chmurami słońce, ale jedynie obiecując ciepło, a nie dając go.

Temperatura była tak niska, że zamarzyły wszystkie kałuże i Bella co chwila rozkruszała na nich lód. Zimno przenikało przez płaszcz, a każdy wydech klaczy otaczał jej łeb obłokiem pary.

Na dokładkę od zachodu zbliżały się chmury.

Od chwili opuszczenia obozu nie natknął się na nic podejrzanego, ale starał się cały czas zachowywać czujność. Miał gorączkę, niezbyt wysoką, ale wystarczającą, by skutecznie utrudniała mu skupianie uwagi. Poza tym bolały go wszystkie kości, jakby stały się za krótkie.

Pozwolił Belli na moment wytchnienia, rozglądając się uważnie. Jechał traktem przylegającym do linii drzew od południa i rozległej łąki od północy. W pewnej odległości widać było kolejny charakterystyczny punkt orientacyjny, oznaczający, że jest na dobrej drodze. Kurierzy nie wozili ze sobą map, by nie ułatwiać życia przeciwnikowi w razie pojmania lub zabicia. Dlatego zapamiętywali wszystkie punkty orientacyjne na przydzielonej trasie.

Jakiś ruch na przeciwległym końcu łąki zwrócił jego uwagę. Spomiędzy drzew wyszła grupka postaci i zaczęła powoli iść w jego kierunku. W pierwszym momencie sądził, że to wrogii patrol, ale szybko zmienił zdanie – idący nie poruszali się w żadnym szyku i nie mieli różnobarwnych pancerzy. Prawdę mówiąc, wyglądali na obszarpańców i sprawiali wrażenie, jakby zależało im tylko na tym, by jak najszybciej przebyć otwarty teren i ruszyć dalej na południe.

Zdecydował się na nich poczekać w nadziei, że posiadają jakieś ciekawe informacje o ruchach wroga na północy czy zachodzie. Kiedy się zbliżyli, stwierdził, że to wieśniacy lub drwale. Wszyscy, nawet dzieci, nieśli jakieś tobołki z dobytkiem.

Jeden z mężczyzn zauważył go, wskazał pozostałym i nagle wszyscy zaczęli krzyczeć i energicznie wymachiwać rękoma. Terrance zaintrygowany wjechał na łąkę i ruszył im na spotkanie. Doszło do niego mniej więcej na środku łąki, gdyż piesi przyspieszyli kroku, na ile mogli, i teraz z trudem łapali oddech.

–Witaj! – krzyknął jeden z mężczyzn, ledwie Terrance znalazł się w zasięgu głosu. – Jesteś żołnierzem?

Mówił w języku Wolnych Miast, który młodzian rozumiał, jako że yaboneski dialekt był bardzo podobny, a tym posługiwali się wszyscy w okolicy, choć w domu mówiono Królewskim Językiem.

–Tak – odparł. – A wy kim jesteście?

–Pochodzimy z wioski Ralinda leżącej siedem mil na północ.

Kiwnął głową na znak, że wie, gdzie znajduje się wieś, i dodał, nie kryjąc zdziwienia:

–Sądziłem, że Ralinda jest w rękach Tsurani.

–Wczoraj ją opuścili – poinformowała go jedna z kobiet. – Wszyscy sobie poszli. W zeszłym roku zostawili kilku żołnierzy, żebyśmy nie uciekli, a w tym roku nie. No to uciekliśmy.

Terrance ponownie kiwnął głową, obrócił się w siodle i wskazał za siebie.

–Kiedy dotrzecie do lasu, skierujcie się na północny wschód i idźcie skrajem. Dojdziecie do traktu prowadzącego do obozu barona Grudera. Właśnie go zwijają i wracają do LaMut. Zabierzcie się z nimi, a znajdziecie schronienie na zimę. Wiecie, dokąd poszli Tsurani?

–Na południowy zachód – odparł ten sam mężczyzna, który do niego wołał.

Terrance dokonał w myślach szybkich obliczeń i zaklął w duchu.

–Dzięki – powiedział jednak spokojnie. – Powodzenia.

Po czym zawrócił konia i trącił go piętami, skłaniając do szybszego biegu. Sprawa bowiem zaczynała wyglądać poważnie – jeśli przeciwnik wycofał nawet wioskowe garnizony i to w sposób sugerujący, że nie zamierzają wrócić na zimę, znaczyło to, że koncentrował wszystkie dostępne siły. A to mogło oznaczać jedynie jakiś poważny atak. Biorąc pod uwagę kierunek, w którym wymaszerowali żołnierze z wioski, celem mógł być tylko obóz Moncriefa. Przez moment zastanawiał się, czy nie zawrócić, ale nawet gdyby przed zmrokiem zdążył dotrzeć do obozu Grudera, nim wysłane przez niego posiłki przybyłyby do obozu Moncriefa, byłoby już po bitwie. Poza tym wcale nie miał pewności, czy wnioski, do których doszedł, są słuszne.

Był jednakże przekonany, że tak. A więc mógł zrobić tylko jedno – próbować zdążyć przed przeciwnikiem i ostrzec barona Moncriefa.

Bella nadal galopowała, choć była zmęczona. Terrance starał się utrzymać szybkie tempo i nie zajeździć przy tym wierzchowca. Dlatego na zmianę jechał galopem, kłusem i stępą, ale od chwili spotkania z wieśniakami nie zrobił żadnej przerwy. Żał mu było Belli, lecz ważniejsze było ostrzeżenie na czas Moncriefa. Był to zresztą jego obowiązek.

Ciężki, wysiłony oddech klaczy stanowił wyraźne ostrzeżenie, że zbliża się do kresu sił. Znał ją i wiedział, że nie zatrzyma się, póki nie padnie, ale nie to było jego celem. Nie było szans, by dotarł przed przeciwnikiem do obozu Moncriefa, jeżeli będzie musiał biec więcej niż dwie mile.

Ściągał stopniowo wodze, aż klacz przeszła w stęp. Powoli odzyskiwała oddech; po pięciu

minutach prawie wrócił do normy. Terrance z ulgą otarł pot z czoła. Czuł strumyki spływające po szyi i zdał sobie sprawę, że mimo zimna jest cały mokry. Gardło miał suche i usta spieczone niezależnie od tego, ile pił, a piersi ścisnęła mu niewidzialna obręcz uniemożliwiająca naprawdę głęboki oddech. Trzy razy musiał się zatrzymać, gdyż dopadły go ataki kaszlu. Po każdym spluwał flegmą i za każdym razem była ona gęstsza. Na dokładkę zaczęły go boleć żebra.

Na ile mógł, ignorował własne dolegliwości, skupiając uwagę na odnajdywaniu drogi i wypatrywaniu zagrożenia. Wjechał właśnie do zwężającej się doliny długości trzech-czterech mil, biegnącej na południowy zachód. Przy jej końcu znajdował się szlak do kanionu prowadzącego do obozu barona Moncriefa.

W lesie na północy dostrzegł ruch, więc wstrzymał konia i stanął w strzemionach, by lepiej widzieć. Przyjrzał się uważnie skrajowi lasu i dostrzegł między drzewami błyski różnych barw – błękitu, zieleni i szkarłatu.

Oznaczało to, że dostrzegł wojska nieprzyjaciela, a gama kolorów świadczyła, że są to połączone siły kilku rodów. Czyli Gruder miał rację – wróg przygotowywał się do ataku na wycofujące się wojska Królestwa, by zwiększyć posiadany teren.

Tsurani przestali próbować podbić nowe obszary po pierwszym roku walk, co doprowadziło do utworzenia stałej linii frontu. Atak na Crydee i próba zdobycia Natal, a tym samym wyjścia na Gorzkie Morze, były jedynymi wyjątkami od tej reguły.

Co naturalnie nie oznaczało, że nie mogą po sześciu latach zmienić taktyki, jak to właśnie zrobili.

Trącił klacz piętami, zmuszając ją ponownie do biegu.

Podobnie jak większość żołnierzy Królestwa, wiedział, że tsurańska piechota jest znacznie lepsza. W ciągu doby mogła pokonać pięćdziesiąt mil i nie stracić całej gotowości bojowej. Dwudziestomilowy przemarsz był dla niej spacerkiem.

Biorąc pod uwagę to, jak też odległość dzielącą go od drzew, za którymi wiodła droga do kanionu, nie był pewien, kto zdoła dotrzeć tam najpierw – on czy przednia straż najeźdźców.

Bella z początku galopowała równie szybko jak po całonocnym odpoczynku, ale czuł, że z każdą minutą ubywa jej sił. W połowie drogi przeszła w kłus, a gdy do drzew pozostało pięćdziesiąt kroków – w stępa. I zaczęła się potykać.

Terrance zeskoczył z siodła i zdjął płaszcz, zbyt gruby, by można było w nim biec. Chłód przenikający przez tunikę nałożył się na zimny pot, którym był zlany, ale zarejestrował to jakby mimochodem. Sprawdził, czy ma pod ramieniem torbę z meldunkiem Grudera, i odwrócił łeb Belli w stronę, z której przybyli. Posyłając cichą modlitwę do Ruthi, bogini

szczęścia, uderzył klacz po zadzie. Odeszła kilka kroków i stanęła, ciężko robiąc bokami. Po czym odwróciła ku niemu łeb.

–Do domu, Bella! – powiedział w miarę głośno.

Kiwnęła łbem i powoli ruszyła przed siebie.

Terrance także, ostrożnym półbiegiem, żeby nie pośliznąć się na oblodzonej miejscami ziemi. Miał przed sobą dwie mile i nie mógł ryzykować choćby skręcenia nogi, bo oznaczałoby to śmierć lub niewolę. I tak kilkakrotnie się zachwiał, ale zdołał utrzymać się na nogach.

Kiedy był o parę kroków od drzew, usłyszał za sobą okrzyk – przeciwnik go dostrzegł. Spojrzał w prawo i dostrzegł pół tuzina zbrojnych w barwach Domu Minwanabi gnających w jego kierunku na łeb, na szyję. Czas ostrożności dobiegł końca, więc też ruszył pędem, mając nadzieję, że ścigający nie znają okolicy równie dobrze jak on, bo w przeciwnym razie nie miał szans.

Wpadając między drzewa, słyszał chrzęst drewnianych sandałów wrogów na zamarznętej trawie. W pień obok niego wbiła się długa strzała o czarnym drzewcu, a potem zasłoniły go drzewa. Po kilkunastu krokach skręcił ostro w lewo, przeskakując przez krzaki między paroma grubymi pniami, i znalazł się na ścieżce prowadzącej do niewielkiego stawu odległego o dwieście do dwustu pięćdziesięciu jardów. Po paru krokach zbiegł z niej na prawo i pod górę, zataczając równocześnie koło, aż znalazł się za

niewielkim wzniesieniem. Założył, że pogoń straciła go z oczu między drzewami i po odkryciu ścieżki pobiegnie nią aż do stawu, co da mu trochę czasu. Co prawda w ten sposób znalazł się między pościgiem a strażą przednią, ale nad tą ostatnią miał kilka minut przewagi, a poza tym biegł na skróty.

Wiedział, że jeśli nie dotrze do przełęczu co najmniej pięć minut przed nimi, to nim ją pokona, łucznicy naszpikują go strzałami.

Pierwszy raz od dnia wstąpienia do wojska kłął kawaleryjskie buty z wysokimi obcasami. Przez nie kilka razy mało nie rozciągnął się jak długi. Postanowił pogadać o tym z szewcem, gdy wróci, po czym uświadomił sobie, że znacznie lepszym rozwiązaniem będzie unikanie konieczności biegania.

Wypadł na polankę, za którą był wylot kanionu, i zwiększył jak tylko mógł tempo, choć w płucach zaczynało mu rzeźcić. Znalazł się przy skałach i w tym momencie jakieś sześć cali od jego głowy przemknęła kolejna czarna strzała. Pobiegł dalej, trzymając się jak najbliżej lewej ściany kanionu.

Był wąski – mogłoby nim jechać tylko dwóch konnych obok siebie – i stanowił dobre miejsce do obrony, gdyż atakujący musieli nacierać w długiej a wąskiej kolumnie, toteż

niezbyt wielu obrońców mogło powstrzymać armię. Wiedział, że przy wylocie kanionu, czyli mniej więcej pół mili stąd, jest placówka własnych wojsk – i to ona właśnie była jego celem.

Miał nadzieję, że pogoń zwolni, widząc, w jakiej okolicy się znalazła, w obawie przed zasadzką, ale klekot drewnianych sandałów na skalistym podłożu pozbawił go złudzeń. Tsurani widzieli jednego lekkobrojnego, uciekającego by ocalić życie, i ani im w głowie było zachowanie jakiegokolwiek ostrożności.

Czuł nasilające się objawy zmęczenia – nogi zaczynały mu drżeć i ciągle brakowało mu powietrza. Spróbował oddychać głęboko, nie przerywając biegu, co omal nie skończyło się napadem kaszlu. Z każdym krokiem opuszczały go siły, ale zdołał dopaść zakrętu, dzięki czemu choć chwilowo nie zagrażali mu łucznicy.

Do pokonania zostało mu nieco ponad sto jardów. Dostrzegł przed sobą barykadę z pni sięgającą piersi dorosłego mężczyzny obsadzoną przez swoich. Została zbudowana niedawno, bo gdy był tu ostatnim razem, jeszcze jej nie było. Za nią kanion rozszerzał się i przechodził w płaskowyż, na którym znajdował się obóz. Okrzyk dobiegający od strony barykady uzmysłowił mu, że został zauważony, toteż nie przerywając biegu, zamachał gwałtownie rękoma.

Wiedział, że z wyglądu w niczym nie przypomina żołnierza Tsurani, ale mógł mieć jedynie nadzieję, że będzie to równie oczywiste dla łuczników za barykadą, właśnie zakładających cięciwy na łuki.

Moment później wypuścili pierwsze strzały i odetchnął z ulgą, gdyż przeleciały nad jego głową. A z tyłu dobiegły go krzyki i jęki trafionych, co oznaczało, że pogoń dosłownie deptała mu po piętach.

To dodało mu sił – dopadł barykady, odbił się i wylądował na górze, bez oporu pozwalając obrońcom złapać się i ściągnąć na drugą stronę. Chwilę później ktoś pomógł mu wstać. Terrance uniósł głowę i zobaczył mężczyznę z dystynkcjami sierżanta i paskudną, niestarannie zszytą raną na policzku, nie mającą więcej niż tydzień.

–Życie ci obrzydło? – spytał podoficer.

–Nie miałem... wyboru... koń padł... wiadomość dla barona... – wysapał Terrance.

I dostał ataku kaszlu.

–Rozumiem, że chciałeś jak najszybciej dostarczyć wiadomość, ale musiałeś ich

ściągnąć? – spytał jeden z żołnierzy. Przykucnął za barykadą, gdyż w powietrzu zafurczały pierwsze czarne strzały.

Terrance splunął flegmą, czując wszystkie żebra, i wykrztusił:

–Nachalna hołota.

–Będziesz żył? – zainteresował się sierżant. – Czy wyplujesz płuca?

–Będę żył. To tylko paskudne przeziębienie – zapewnił Terrance. – Nie ma o czym mówić...

Jeszcze chwilę pozostał w półskłonie, opierając ręce na ugiętych kolanach, nim zaryzykował wyprostowanie się.

–Potrzebuję konia, sierżancie.

–Wybierz sobie, są przywiązane za namiotami. W zeszłym tygodniu straciliśmy paru chłopaków. Kto nas atakuje?

–Mieszany oddział. Duży. Wygląda to na próbę wypchnięcia nas w czasie odwrotu, bo takie przyniosłem rozkazy baronowi.

–Pięknie! – warknął sierżant, dobywając miecza. – Gotuj się! Zaraz robi się gorąco!

Głos miał donośny i odchodzący już od barykady Terrance słyszał go wyraźnie. Podobnie jak żołnierze odpoczywający w namiotach rozbitych sto jardów na południe. Teraz dopinali oporządzenie, łapali broń i biegli ku barykadzie. Sierżant musiał ogłosić alarm, gdy tylko zobaczył biegnącego kuriera, gdyż inaczej w obozie panowałoby znacznie większe zamieszanie. Według szacunków Terrance'a obrońców była dobra setka, w tym sporo łuczników. Oznaczało to, że powinni barykadę utrzymać przynajmniej przez godzinę bez wzmocnienia. A przez ten czas on spokojnie dotrze do obozu, a baron natychmiast wyśle sierżantowi posiłki, gdy tylko dowie się o natarciu.

Szybko ocenił przywiązane do rozciągniętej między palikami linki konie i wybrał gniadego wałacha o dobrze wysklepionej piersi i mocnych nogach. Wyglądał na silnego i wytrzymałego, a to w przypadku kurierskiego konia było ważniejsze od szybkości.

Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze kopyta – wszystkie podkowy się trzymały, a kopyta były zdrowe, bez pęknięć czy innych problemów. Obejrzał zawieszona na drągu siodła i wybrał prawie równie lekkie jak jego własne. Dwa razy musiał przerywać z powodu nawrotów kaszlu, ale gdy splunął flegmą drugi raz, zaczęło mu się lżej oddychać i ogólnie lepiej się poczuł. Zaświtała mu nadzieja, że może przeziębienie samo ustąpi, ale skupił się na ważniejszych rzeczach. Obejrzał dokładnie wybrane siodło i uprzęż – należały do zwiadowcy, w przeciwieństwie do pozostałych, ciężkich i przeznaczonych dla walczących konno. Placówkę obsadzała piechota konna, czasami zwana dragonami, z zasady walcząca pieszo, ale w razie potrzeby mogąca odgrywać rolę pomocniczej kawalerii. I było to widać po siodłach.

Okulbaczył konia, dosiadł go i starając się za wszelką cenę nie myśleć o strachu ani o tym, że ledwie uniknął śmierci, ruszył w drogę. Wiedział, że podobne rozważania tylko by go

dobily psychicznie i rozkleily, a w6wczas nie byly w stanie dokończyć zadania.

Walach parsknal i ruszył znanym szlakiem, zostawiając za soba nasilajace się odglosy walki. Terrance pozwolił mu na kilka minut klusa dla rozgrzewki, po czym tracił go zdecydowanie piętami, naklaniając do galopu.

Nie musiał powtarzacz zachety, a poniewaz do obozu bylo mniej niz cztery mile, wypoczety wierzchowiec pokonal je w kilka minut. Terrance podjechał pod namiot dowodzenia, zsiadł i rzucił wodze jednemu z wartownik6w. Drugiemu oznajmił zwięzle:

–Rozkazy od earla!

Wartownik kiwnal gl6waz, po czym wsunal jz do namiotu i zaanonsowal go. Odsunal się, przytrzymujz pl6tno zaslaniajzce wejście. Terrance wszedł, zasalutowal i oznajmił:

–Przywiozlem rozkazy od earla i wiadomosc od barona Grudera, sir.

Moncrief byl starszy, na oko dobrze po sześćdziesiatce, a i trudy wojny odcisnely na nim swoje piętno. Mial siegajzce ramion szpakowate wzlosy i glęboko osadzone, podkrzzone oczy.

–Jakie rozkazy przyslal earl? – spytal cicho.

–Wycofac się na kwatery zimowe. Stopniowo i w szyku, toczz wyłzcznie walki defensywne. Wiadomosc od barona Grudera: spodziewa się silnego ataku nieprzyjaciela tuż przed lub w trakcie odwrotu. Sdzzi, że przeciwnik chce zdobyć nowe tereny – wyrecytowal Terrance. – I jeszcze jedno, sir. Zaraz po moim przybyciu barykada w północnym kanionie zostala zaatakowana przez mieszane siły zložone z wojsk Anasati i Minwanabi w sile co najmniej kompanii. Baron zamrugal gwałtownie.

–Co?!

–P6lnocna barykada jest obecnie atakowana i dowodzazcy obronaz sierzant uprzejmie prosi o wsparcie.

–To dlaczego od razu tego nie powiedziales?! – Nie czekajz na odpowiedź, baron zaczal wykrzykiwacz rozkazy.

Terrance zasz stal cierpliwie, jako że nie dostal polecenia odejścia. Gdy Moncrief skonczył wydawacz dyspozycje, spojrzal na niego i spytal:

–Cos jeszcze?

–Stracilem po drodze konia, sir. Wziazlem jednego z czekajzcych przy barykadzie. Mogę go zatrzymacz, by m6c dokończyć zadanie?

–Oczywiście.

–Czy otrzymam jakieś meldunki, sir?

–Normalnie napisałbym raport, ale w tych warunkach raczej nie będę miał czasu. – Jakby na potwierdzenie jego słów do namiotu wkroczył giermek, a w ślad za nim zbrojny z elementami zbroi barona, który najwyraźniej zamierzał osobiście poprowadzić posiłki ku barykadzie. – Zdam earlowi raport osobiście po powrocie do LaMut. Ty natomiast powiedz, co się dzieje, baronowi Summerville’owi i poproś, by wycofał się w sposób, jaki uzna za najstosowniejszy, chroniąc skrzydło.

–Rozumiem, sir.

–Możesz odejść.

Terrance opuścił namiot, odebrał od wartownika wodze i ruszył na poszukiwanie kuchni. Był chory, głodny i zmęczony, a nade wszystko spragniony. I musiał przeciskać się przez kilkuset zbrojnych, którzy wypadli z namiotów i gnali na miejsce zbiórki pododdziałów, ledwie ogłoszono alarm. Objął on wszystkie jednostki – nawet rezerwę przeznaczoną do obrony obozu lub wzmocnienia innych placówek.

W namiocie kuchennym wrzała praca, gdyż kucharze z pomocnikami na gwałt przygotowywali prowiant dla wyruszających z odsieczą. Terrance złapał najbliższego kuchcika spieszącego z koszem jeszcze ciepłego chleba i spytał:

–Manierka?

–Nie mamy. Trzeba w intendenturze – odparł chłopak i wywinął się z uchwytu.

Terrance złapał kawałek chleba, nim kuchcik zniknął, biegnąc ku wozowi taborowemu, i dopchał się do dwóch innych niosących beczkę do połowy napełnioną jabłkami. Poczęstował się jednym, nim zauważyli, i choć nie było najświeższe, zjadł je z przyjemnością, przegryzając chlebem.

Głównego kwatermistrza znalazł zajętego pakowaniem zapasów na wozy.

–Jestem kurierem od earla – wyjaśnił. – Potrzebuję manierki i płaszcza.

Kwatermistrz odwrócił się, zlustrował go spojrzeniem i spytał:

–Swoje straciłeś?

–Razem z koniem, sir.

–To trochę lekkomyślne z twojej strony. Terrance zignorował uwagę i spytał:

–To co z płaszczem i manierką?

Kwatermistrz wskazał rzeczy leżące koło namiotu, pod który akurat podjeżdżał pusty wóz, i powiedział:

–Jeśli nie przeszkadza ci zaschnięta krew, to może coś tam znajdziesz.

Następnie pochylił się nad kupą worków, bukłaków i różności, pogrzebał w niej i podał mu manierkę. Nim Terrance zdążył otworzyć usta, dodał:

–Beczki z wodą są tam, ale na twoim miejscu bym się pospieszył.

Beczki stały na środku obozu i były już obiektem zainteresowania żołnierzy napelniających przed wymarszem manierki i bukłaki. Ponieważ przed rozpoczęciem odwrotu musiano stoczyć bitwę, taboryci uwijali się przy załadowywaniu na wozy wszystkich zapasów, które mogły przydać się walczącym. Terrance przełknął ostatnie kęsy chleba z jabłkiem i podszedł do sterty ubrań. Normalnie zostałyby najpierw przebrane, jako że zostały zdjęte z zabitych. Te, które uznano by za nadające się do dalszego użytku, zostałyby wyprane i załatane, po czym wróciłyby na stan kwatermistrzostwa. Resztę by spalono. Ponieważ teraz wszystkim się spieszyło, dwaj chłopcy taborowi wrzucali wszystko jak leci na wóz.

–Poczekajcie! – krzyknął, przyspieszając kroku. Znieruchomieli zaskoczeni.

–A bo co? – spytał jeden.

–Bo potrzebuję płaszcza. W moim pewnie paraduje już jakiś Tsurani.

–Tylko się pospiesz – dodał drugi, krępy i szeroki w barach, który najprawdopodobniej za rok będzie już w piechocie. – Mamy jak najprędzej zabrać to wszystko do LaMut. Tam posortują.

Próbując zignorować smród potu, krwi, moczu i kału, Terrance pochylił się nad stertą. Przerzucił z pół tuzina płaszczy, peleryn i opończy, nim dostrzegł znajomy szary kolor.

Spod kilku par zakrwawionych i zabrudzonych spodni wyciągnął kurierski płaszcz i obejrzał go starannie. Poza dziurą po strzale na plecach był cały i nawet całkiem czysty. Przerzucił go przez ramię i oznajmił:

–Biorę go.

Żaden z chłopaków nie odezwał się słowem, za to obaj ze zdwojoną energią wrócili do ładowania odzieży na wóz.

Terrance zaś, prowadząc konia, doszedł do beczek i napełnił manierkę. Zdążył wsiaść na wierzchowca, gdy do beczek dotarła nowa kompania piechoty i zaczęła je opróżniać w

rekordowym tempie. Resztki wylewali taborycy, przewracając beczki przed załadowaniem na wozy. W okolicy nie brakowało strumieni, więc nie było sensu wieźć pełnych beczek do LaMut.

Terrance zdążył zrobić dwa kroki, gdy zgiął go kolejny napad kaszlu. Ten był wyjątkowo uporczywy, a wypluta flegma naprawdę gęsta. Musiał zresztą splunąć raz jeszcze, nim atak ustąpił. Za to oddychało mu się potem znacznie lepiej i głębiej. Po drugim ostrożnym wydechu westchnął z ulgą – chwilowo miał spokój. Włożył płaszcz i pociągnął nosem – czuł obcy pot, ale był to jeszcze zapach, a nie smród, i wiedział, że wkrótce przestanie zwracać na niego uwagę. Odruchowo zaczął się zastanawiać, do kogo

należał. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zginęło trzech kurierów, ale do tego obozu wysłano tylko Jacka Macklina, więc najprawdopodobniej był to jego płaszcz.

Mając świadomość, że nigdy się tego nie dowie, dosiadł konia i ruszył w dalszą drogę. Stracił pół dnia, co oznaczało, że będzie zmuszony nocować w trzecim obozie.

Sprawdził, czy torba z raportem Grudera znajduje się na swoim miejscu, i przynaglił konia do galopu. Nie chciał, by noc zastała go w terenie, skoro przeciwnik wykazywał tak niezwykłą aktywność.

Wałach nie był tak dobrym wierzchowcem jak Bella, ale okazał się posłuszny i wyszkolony do jazdy po bezdrożach. Szybko wykonywał polecenia i szedł pewnie, co zaczęło napawać jeźdźca otuchą. Co prawda z obozu barona Grudera wyruszył nieco ponad osiem godzin temu, ale było to męczące osiem godzin, a po ucieczce przed śmiercią nie odpoczął, toteż czuł się podwójnie zmęczony.

Dwukrotnie w ciągu popołudnia ogarniały go nagłe fale gorąca wywołujące obfity pot na całym ciele, który na twarzy zmieniał się błyskawicznie w lodowatą maskę pod wpływem zimnego wiatru. Ignorował jak mógł własne dolegliwości i tuż przed zmierzchem dotarł do obozu barona Summerville'a. Warty przepuściły go bez słowa i nie zatrzymywany podjechał do namiotu dowodzenia.

Jeden z wartowników go zaanonsował, a potem wziął od niego wodze, gdy zsiadł z konia.

Baron Summerville był jedynym z całej trójki, którego Terrance dobrze znał – był zresztą także synem odległego kuzyna i większość czasu spędzał na dworze w Krondorze. Przynajmniej do wybuchu wojny.

–Terry! – powitał go z radością. – Jakie wieści?

–Książę zarządził powrót na kwatery zimowe.

–Wspaniale – ucieszył się Summerville, wskazując mu krzesło, po czym przyjrzał mu się uważnie. – Wyglądasz nieszczególnie. Chory jesteś?

–Przeziębienie, sir. Nie ma o czym mówić.

–Wina?

–Trochę, sir – zgodził się Terrance.

Drapało go w gardle i doszedł do wniosku, że wino powinno na to pomóc.

Baron dał znak służącemu, który nalał trunku do dwóch kubków i podał każdemu z nich po jednym. Terrance z lubością pociągnął długi łyk. Rzeczywiście pomogło.

–Rozkazy od earla: wycofać się w sposób stopniowy i uporządkowany, tocząc jedynie walki defensywne, sir – powiedział. – Baron Gruder sądzi, że Tsurani wykorzystają nasz odwrót, by zająć dodatkowe obszary, prawdopodobnie atakując. Wiadomość od barona Moncriefa: wróg atakuje jego obóz od północy.

Gospodarz wstał i podszedł do mapy. Studiował ją przez chwilę, nim się odezwał:

–Myślę, że Gruder ma rację, gnojki próbują zepchnąć Moncriefa na południowy wschód i w ten sposób odciąć nas obu od Grudera i sił głównych. Wtedy moglibyśmy tylko wycofywać się jak najszybciej do LaMut.

Zamilkł i podrapał się po starannie utrzymanej, krótko ostrzyżonej blond brodzie. Dbał o nią nawet w polu, co było dość pracochłonnym zajęciem.

–Tu mieliśmy i mamy spokój. Zwiadowcy nie wykryli śladu przeciwnika, więc sądzę, że mogę ruszyć na pomoc Moncriefowi, nie łamiąc rozkazu earla. Jeśli połączymy siły, to tocząc walki obronne, ma się rozumieć – w końcu to oni go zaatakowali, no nie? – Właśnie, więc tocząc walki obronne, zdołamy zepchnąć ich na pozycje wyjściowe, a potem skrócić na wschód i ruszyć do domu. Tylko Gruder musi przez ten czas pozostać

na miejscu... Potem będzie za późno, żeby przeprowadzić drugie natarcie. Kilka tygodni zajmie im przegrupowanie i podciągnięcie świeżych sił. A to będą musieli zrobić, żeby uzupełnić straty i na wypadek, gdybyśmy jednak zostawili tu garnizony. Wtedy będzie już mróz i śnieg po pas i do wiosny nigdzie się nie ruszą! Ale obawiam się, Terry, że w związku z tym będę musiał cię prosić, byś do earla wracał dłuższą drogą.

–Proszę?

–Chcę, żebyś o świcie wyruszył do Moncriefa i powiedział mu, że wycofuję się w jego stronę. W południe powinienem znaleźć się w jego obozie z większością sił. Reszta będzie stanowiła wzmocnioną tylną straż na wypadek, gdyby w okolicy były oddziały przeciwnika chcące nas obejść i wyjść na nasze tyły.

–Rozumiem, sir.

Summerville uśmiechnął się z zadowoleniem i spytał, zmieniając temat:

–Jak rodzina, Terry?

–Dobrze, sir. Miesiąc temu dostałem list od matki. W domu spokojnie, ojciec nadal służy w armii księcia Brucala w północnym Yabon i krótko wcześniej przyszedł list od niego. Mój brat Gerald nadal dowodzi kompanią jazdy z Tyr-Sog pod rozkazami ojca.

–Czyli faktycznie wszystko w porządku. Najlepiej założyć, że wszystko jest dobrze, póki nie dostanie się pewnych wieści, że jest inaczej. W przeciwnym razie można mieć problemy ze spaniem i jedzeniem – ocenił Summerville.

–Zgadza się, sir.

–Skoro o jedzeniu mowa: zaprosiłbym cię na kolację, ale rano wyruszamy, będę więc miał masę roboty i nie wiem, kiedy coś przekąszę. Na pewno będzie już późno, a ty po całym dniu jazdy musisz być głodny. Zgłoś się lepiej do kuchni i powiedz, żeby dali ci jeść. Aha, rano nie musisz przychodzić po rozkazy, bo je znasz. Tylko wyrusz o świcie.

–Wyruszę, sir.

Terrance dopił wino, wstał i uklonił się.

–I Terry... – dodał gospodarz.

–Tak, sir?

–Nie daj się zabić, dobrze?

–Oczywiście, sir – obiecał z uśmiechem Terrance.

I wyszedł.

Od wartownika dowiedział się, że koń jest już w stajni, więc poszedł w kierunku namiotu jadalnego. Nim do niego dotarł, wyczuł zmianę w życiu obozowym, które wyraźnie przyspieszyło. Musiała już rozejść się wieść, że rano wyruszają wesprzeć sąsiadów, a potem wracają do domu.

Ponieważ pora kolacji już minęła, odszukał kucharza i po paru słowach wyjaśnienia dostał solidny posiłek wsparty winem z butelki nie dopitej przez barona przy obiedzie. Usiadł na zewnątrz jak najbliżej rozpalonego w kuchni ognia, który miło grzał przez płótno namiotu, i zabrał się do pałaszowania posiłku.

W połowie jedzenia dopadł go kolejny atak kaszlu, po którym cały był obolały, jakby się obściskował z niedźwiedziem. Każdy oddech sprawiał mu trudność. Wino miało zbawienny wpływ, gdyż łagodziło ból gardła i zapobiegło ponownemu napadowi kaszlu. Czuł się

potwornie zmęczony i przymknął oczy, by chwilę odpocząć.

Nagle poczuł, że ktoś delikatnie trąca go w nogę.

–Chłopcze, jeśli się nie ruszysz, do rana tu zamarzniesz.

Uniósł głowę i zobaczył nad sobą kucharza. Ten wyszedł wyrzucić psom resztki i znalazł go śpiącego z talerzem z nie dojedzoną kolacją w jednej, a drewnianą łyżką

w drugiej dłoni.

–Masz gdzie spać? – spytał kucharz.

–Nawet nie zdążyłem poszukać...

–To się nie trudź, bo nie znajdziesz. Po ostatnich uzupełnieniach walk prawie nie było, oddziały mają pełne stany i w namiotach pełno. – Kucharz poskrobał się w brodę. – Możesz spać przy ognisku pod wozem, jeśli wstaniesz przed świtem. Musimy przygotować śniadanie przed wyruszeniem.

–Bardzo dobrze, bo o świcie muszę wyjechać – ucieszył się Terrance.

–Dobra. W takim razie chodź.

Kucharz poprowadził go wokół namiotu, gdzie dwóch kuchcików zasypywało szuflami popiołu palenisko kuchenne, w którym płonął węgiel i kłody drewna. Terrance nie wiedział, że w kuchni używano obu rodzajów opału. A potem zdał sobie sprawę, że nie wie o wielu rzeczach dotyczących kuchni i kwatermistrzostwa.

Obok następnego namiotu stały gliniane naczynia rozmaitych kształtów i wielkości, a obok innego dzbany, niektóre niewiele niższe od niego. W pobliżu dostrzegł z dziesięć ceglanych pieców, z których właśnie wyciągano drewnianymi łopatami gorące bochenki chleba. Zapach świeżego pieczywa był tak apetyczny, że pociekła mu ślinka, mimo że dopiero co zjadł kolację.

–Zabieracie je do LaMut? – spytał.

–Moglibyśmy – odparł kucharz. – Potrzebna byłaby lina i blok, ale można by je załadować na wzmocniony wóz. Tylko po co? Prościej je zostawić, nigdzie do wiosny nie pójdą, a śnieg im nie zaszkodzi. Wiosną trzeba będzie tylko przegonić ptaki i zwierzaki, które w nich zamieszkają, oczyścić – i będą gotowe do użytku. A gdyby obóz został przeniesiony, przewiezie się po dwa dniennie na znacznie mniejszą odległość.

Kawałek za piecami znajdował się ponad tuzin wozów taborowych ustawionych w półkole wokół sporego ogniska.

–Oto twoja sypialnia – poinformował go kucharz. – Wczołgaj się pod któryś wóz, połóż na kocu i przykryj drugim. Reszta przyjdzie, jak skończy wyjmować chleby. To zawszone urwisy, ale porządne, nie będą ci się naprzykrzać. A jak to mawiają, w kupie ciepłej. Pobudka na godzinę przed świtem.

Terrance podziękował mu i kucharz odszedł. Chłopak zaś wczołgał się pod środkowy wóz, ostrożnie pokonując labirynt stworzony przez rozmaite rzeczy wiszące i leżące, jak patelnie, brudne ubrania, talerze oraz kilku śpiących kuchcików wyglądających na chorych. Znalazł w końcu parę niezbyt czystych koców, położył się na jednym i przykrył drugim.

Gdy czekał na sen, przyszło mu na myśl, że chłopcy taborowi i kuchciki wiodą żywot nie do pozazdroszczenia – już zapadł zmrok i żołnierze udali się na spoczynek, a oni nadal pracują, pakując zapasy i przygotowując jedzenie na śniadanie, myjąc naczynia i sprzątając. Mieli wstać godzinę przed świtem, bo przewidziany był poranny wymarsz, co oznaczało, że prześpią się może z pięć godzin. Fakt, że do południa i po obiedzie będą mogli się zdrzemnąć, ale niewiele to zmieniało. Było to ciężkie i wyczerpujące zajęcie.

Zaczął się znów pocić i mimo płaszcza i koca zatrzęsły nim dreszcze. Zdołał jednak zdusić kolejny atak kaszlu i odprężyć się na tyle, by znów ogarnęła go senność. Przypomniawszy sobie słowa pewnego weterana, które usłyszał w pierwszym tygodniu pobytu w obozie:

Nauucz się spać przy każdej okazji, jaka się trafi, bo nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzy się następna.

Była to naprawdę mądra rada.

I z tą świadomością zasnął.

Przez moment nie wiedział, gdzie jest i co się dzieje. Protesty budzonych kuchcików i własne zmęczenie skutecznie ogłupiły go na tyle, że gwałtownie usiadł i jeszcze szybciej padł z powrotem po silnym zderzeniu głowy z podwoziem wozu.

Nadal było ciemno.

–Uważaj, bo se łeb rozwalisz – ostrzegł go najbliższy leżący kuchcik. Terrance rozmasował bolące miejsce i mruknął:

–Dzięki, na pewno zapamiętam.

Doświadczeni sąsiedzi wydostawali się spod wozów na czworakach. Począł, aż skończy się ten eksodus, i dopiero wtedy ostrożnie poszedł w ich ślady. Był zmęczony i zeszywniały, co normalnie nie przytrafiało mu się nawet po noclegu na gołej ziemi. Czuł się parszywie, pomimo że dopiero co zakończył nocny odpoczynek. Naturalnie ledwie się wyprostował i zrobił parę kroków, rozkaszał się i to tak, że musiał kilkakrotnie odpluwać flegmę. Gdy atak się skończył, bolały go wszystkie żebra; łyzy stanęły mu w oczach.

Przez długą chwilę miał ochotę sięść i płakać – nigdy dotąd nie czuł się tak wyczerpany i bezradny. Własne ciało zdawało się sprzeciwiać mu tak samo jak przyroda, a na myśl o całym dniu jazdy żyć mu się odechciewało.

W obozie głównym był aptekarz robiący wywar z ziół i czegoś jeszcze, doskonały na kaszel, gorączkę i przeziębienie. Tak jak sobie założył, Terrance powinien zacząć się leczyć wczoraj, a najpóźniej dziś po południu. Tymczasem, musząc najpierw dotrzeć do Moncriefa, a potem ominąć wojska przeciwnika, do głównego obozu będzie w stanie dotrzeć dopiero następnego dnia.

A to oznaczało, że gdy już znajdzie aptekarza, będzie miał zapalenie płuc, czyli coś znacznie poważniejszego od zwykłego przeziębienia. Nie miał wyboru, więc zmusił się do wstania i zajęcia kolejno tym, czym musiał. No i do odsunięcia myśli o tym, ile wysiłku będzie wymagała następna czynność.

Mijając ludzi zajętych przygotowaniem śniadania i pakowaniem ostatnich zapasów, by tabor był gotów do wyruszenia wraz z wojskiem, stwierdził, że wbrew pierwszemu wrażeniu wszystko jest celowe i zorganizowane. Każdy wiedział, co ma robić, a to, że czasami na siebie wpadano, było normalne – większość pakujących stanowili chłopcy taborowi, a chłopcy zawsze muszą się wygłupiać i kłócić.

Mieli twarde życie, ale lepsze niż bezdomne dzieci w miastach. Tu dostawali przynajmniej dwa posiłki dziennie, albo i trzy, i bezpieczne miejsce do spania. W innych armiach bywało z tym różnie, ale w królewskiej od kilkunastu lat znęcanie się lub gwałt były przestępstwami, za które wieszano.

Część z tych chłopców, gdy dorośnie, zostanie żołnierzami, inni kucharzami czy taborytami. Jak choćby ta para nadzorująca załadunek metalowych kotłów i rusztów do pieczenia. Byli o dwa lub trzy lata młodszy od niego, ale widać było, że wiedzę, jak to się robi, czerpią z doświadczenia, nie z teorii. Doradzali młodszemu lub pokazywali im, jak postąpić, gdy nie było innej rady. Tyle że wtedy niezguła, do którego słowa nie trafiały, na zakończenie lekcji dostawał w ucho, by lepiej zapamiętał.

Dotarł do namiotu kuchennego i stwierdził, że kończono właśnie demontaż wszystkich metalowych elementów pieców, palenisk, rusztów i całej reszty. Jedzenie leżało rozłożone na drewnianych stołach, przy których jeszcze nie było tłoku, gdyż nie ogłoszono pobudki. Obecni byli tylko żołnierze, którzy zeszli z wart i pikiet.

Gdy dotarł do końca pierwszego stołu, zagrano pobudkę. Z namiotów jak zwykle odpowiedziały przekleństwa, ale wojsko zaczęło wstawać, więc złapał chleb, kawał sera i gruszkę wyglądającą na niezepsutą. Wsadził ją do kieszeni, a chleb z serem od razu zaczął jeść, idąc w kierunku stajni. Ponieważ manierek czy bukłaków nigdzie nie dostrzegł, pozostało mieć nadzieję, że jego własna nadal wisi na łęku siodła, gdzie ją zostawił.

W stajni kawalerzyści sprawdzali przed śniadaniem konie, co było naturalnym odruchem, jako że od stanu wierzchowców zależało ich życie. Ponieważ stajenni mieli pełne ręce roboty, wsunął niedojedzony chleb z serem w zanadrze i odszukał swego wierzchowca. Nie zaopiekowano się nim dobrze, więc zaczął od czyszczenia kopyt, a potem zajął się szukaniem siodła. Znalazł je, ale po manierce nie było śladu.

W podręcznym magazynku dostrzegł worek z owsem. Był tylko do połowy napełniony, ale chwilowo tyle wystarczyło. Wrócił, założył koniowi worek na łeb, by mógł spokojnie zjeść, i poszedł szukać manierki czy bukłaka.

Zajął mu to prawie kwadrans i skończyło się na bukłaku, ale w końcu napełnił go i wrócił do stajni. I znalazł krępego, masywnego stajennego zabierającego worek jego koniowi.

–Hej! – wrzasnął zirytowany. – Co ty wyprawiasz?!

Stajenny odwrócił się, ukazując nos zdefasonowany od bijatyk, i prychnął:

–Biorę worek, bo nikt nie kazał mi go nakarmić, a to moja część stajni.

–To mój koń i musi się najeść.

–A co mnie to obchodzi, paniczku? Se poczekaś na swoją kolej i twoja chabeta tyż.

Terrance rozpoznał w nim chama szukającego okazji do rozróby, bo miewał już z podobnymi do czynienia. Nie zastanawiając się, zrobił krok do przodu i kopnął go w krocze. Ten jęknął i klęknął, łapiąc się za przyrodzenie i wytrzeszczając oczy, i próbował złapać oddech.

Terrance musiał przyznać, że trafił na wyjątkowo wytrzymałego osobnika – większość mężczyzn po takim kopie zwinęłaby się w kłębek i chciała umrzeć. Ten najwyraźniej jeszcze nie miał dość, więc Terrance uciekł się do ostatecznego argumentu.

Kiedy stajenny odzyskał oddech i chciał wstać, stwierdził, że jego gardła dotyka sztych szabli kuriera.

–Teraz posłuchaj uważnie, durniu – oznajmił spokojnie Terrance. – Dasz się temu koniowi najeść do syta i założysz mu to zwiadowcze siodło, które tu leży, razem z resztą uprząży. A jeżeli ci się wydaje, że masz problemy, i zaczniesz pyskować, to dopiero się przekonasz, co to są problemy, kiedy baron się dowie, że przez ciebie jeszcze stąd nie wyjechałem! To jak będzie?

–Zaraz się biorę za siodłanie... sir.

Terrance schował broń, ale nie spuszczał baczego spojrzenia ze stajennego, który ostrożnie pozbierał się na nogi i szeroko je rozstawiając, zabrał się do siodłania konia.

–A co byś zrobił, gdybyś nie miał szabli? – Pytanie rozległo się niespodziewanie zza jego pleców.

Terrance odwrócił się i zobaczył wysokiego kawalerzystę przyglądającego mu się z ciekawością.

–Straciłbym masę czasu, szukając oficera, który zmusiłby go do posłuchu – odparł, wzruszając ramionami. – Na pewno bym się z nim nie bil, bo jest silniejszy.

Jezdny uśmiechnął się z uznaniem.

–Rozsądek to dziś rzadkość. Widzę, że znasz granice swoich możliwości. Podoba mi się to.

Terrance chciał coś odpowiedzieć, ale musiał wpierw uporać się z kaszlem. Na szczęście nie był to normalny, długi atak.

–Jesteś chory? – zainteresował się kawalerzysta.

–Nie ma o czym mówić – odsapnął Terrance, łapiąc oddech. Żołnierz wzruszył ramionami.

–W takim razie szczęśliwej drogi.

I nie czekając na odpowiedź, poszedł na śniadanie.

Terrance zaś obserwował stajennego, by ten nie zafundował mu jakiegoś numeru typu niedociągnięty popręg czy pęknięte wędzidło. Przy okazji dojadł chleb z serem. Kiedy chłopak skończył, Terrance sprawdził wszystko, zawiesił na łąku bukłak z wodą i dosiadł konia.

Ledwie ujechał kilkanaście kroków, zrobiło mu się gorąco i zakręciło mu się w głowie. Nawet taki drobiazg jak ustawienie stajennego okazał się wielkim wysiłkiem.

A potem zaczął padać śnieg.

–Pięknie! – mruknął. – śliczny ranek, szlag by to trafił.

Przeszło mu przez myśl, by wrócić do namiotu barona i powiedzieć mu, że jest zbyt chory, by ruszać w drogę, a potem spędzić ze dwa dni w lazarecie albo wozie sanitarnym, nim go nie podkurują na tyle, aby mógł spokojnie dosiąść konia. Chory był naprawdę, a Summerville był jego krewniakiem, choć dalekim. Potwierdziłby, że Terrance mówi prawdę i zrobił, co mógł...

Tylko że sam tak do końca nie był pewien, czy naprawdę zrobił wszystko.

Przez dobrą minutę siedział bez ruchu, zastanawiając się, jaki ma wybór. W końcu doszedł do wniosku, że żaden, i trącił piętami wierzchowca.

Dochodziło południe, gdy Terrance zobaczył obóz barona Moncriefa. Straże były czujne, jako że obozu, zapasowych koni i sprzętu pilnował nieliczny oddział zbrojnych, ale jego przepuściły bez problemów. Podjechał do namiotu dowodzenia strzeżonego przez jednego wartownika, który na jego widok krzyknął:

–Baron dowodzi obroną barykady!

–A jak wygląda sytuacja?

–Cienko.

Nie tracąc czasu, Terrance ruszył ku barykadzie. Wałach sprawował się nieźle; choć nie był tak dobry jak Bella, nadrabiał posłuszeństwem i wytrzymałością.

On sam czuł się paskudnie. Wszystko go bolało i miał wysoką gorączkę. Mimo lodowatych podmuchów wiatru pocił się obficie. Na zmianę było mu gorąco i trzęsły nim dreszcze. Przy pierwszym strumieniu napełnił bukłak i ulżył pęcherzowi pod najbliższym krzakiem. Wiedział, że jedyne, co może zrobić, nim wróci do głównego obozu i znajdzie aptekarza, to jak najwięcej pić.

Cztery mile dzielące obóz od barykady nosiły niewiele śladów bitwy. Martwy koń i para rannych powoli idących w stronę namiotów i podtrzymujących się wzajemnie – to było wszystko.

Gdy znalazł się milę od barykady, usłyszał odgłosy bitwy.

A kiedy ją zobaczył, stwierdził, że sytuacja nie jest aż tak zła, jak mówił wartownik. Przy barykadzie toczyła się zawzięta walka, ale poza zasięgiem strzału z łuku stały dwa odwodowe oddziały gotowe do akcji. Inny odpoczywał i opatrywał rany, najwyraźniej świeżo zluzowany z barykady. Saperzy uwijali się przy katapultach, ładując kamienie do łyżek i posyłając je za barykadę. Łucznicy wspierali obrońców, a skalne ściany odbijały

echem szczęk stali i krzyki walczących, przez co odgłosy przypominały awanturę w kuźni i na więcej niż parę kroków nie słyhać było własnego głosu.

Rozwinięta po obu stronach kawaleria osłaniała flanki na wypadek, gdyby przeciwnik znalazł jakieś przejście przez góry i próbował oskrzydlić obrońców barykady.

Z jednej strony drogi ułożono w równe rzędy ciała – było ich ponad pięćdziesiąt, a chłopcy taborowi regularnie donosili nowe. Z drugiej kładziono rannych nie mogących poruszać się o własnych siłach. Krzątało się wśród nich dwóch pomocników znachora, opatrując rany.

Terrance dojechał do odwodowego pododdziału i spytał dowodzącego nim oficera:

–Gdzie baron?

–Zabity. Jakie wieści przywozisz? Terrance przełknął ślinę i wykrztusił:

–Baron Summerville przybywa z odsieczą.

–Kiedy tu będzie?

–Za godzinę, najdalej dwie.

–To dobrze. Tyle na pewno wytrzymamy.

–Mam mu zawieźć jakąś wiadomość, sir?

–Tylko jeśli uważasz, że to przyspieszy jego przybycie.

–Nie przyspieszy. Maszerują tu tak szybko, jak warunki pozwalają.

–W takim razie lepiej jedź do earla i powiedz mu, co się dzieje. Powiedz mu też, że baron Moncrief zginął jak na rycerza przystało, broniąc wyłomu w barykadzie. Oddał życie za króla i ojczyznę.

–Przekażę to earlowi. Niech bogowie mają was w opiece, sir.

–Ciebie też – powiedział kapitan i skupił uwagę na tym, co dzieje się przy barykadzie.

Terrance zawrócił konia i pojechał drogą, którą przybył, przypominając sobie równocześnie mapę okolicy i zastanawiając się, którędy jechać dalej. Wyszło mu, że musi skierować się na wschód i odszukać szlak wiodący przez góry. Jego wadę stanowiło to, że rozciągał się o tysiąc stóp wyżej niż droga, na której obecnie się znajdował, zaletę zaś, że na pewno omijał tereny zajęte przez wroga.

Śnieg znów zaczął padać, toteż pozostało tylko mieć nadzieję, że nim dotrze do przełęczy, ta nie zostanie kompletnie zasypana. Poklepał wierzchowca po szyi i powiedział smętnie:

–Obawiam się, że żaden z nas nie odpocznie, dopóki nie dojedziemy do głównego obozu.

Chciało mu się płakać na myśl o dalszej jeździe, ale zdołał się opanować.

Skierował konia na wschód i otulił się szczelniej płaszczem, bo trzęsło nim z zimna. W głowie mu pulsowało, a gardło było tak obolałe, że z najwyższym trudem przelatywał ślinę. Nos miał kompletnie zatkany, więc oddychał przez usta, a zimne powietrze zwiększało jeszcze ból gardła. Teraz rzeczywiście nie miał gdzie odpocząć, chyba że poczekałby w obozie na przybycie odsieczy, ale wiedział, że znachor na jego chorobę nic już nie poradzi.

Lepiej więc było podróżować dalej. W ten sposób jechał po ratunek, a równocześnie kończył zadanie.

Koń wspinał się górską ścieżką, od czasu do czasu ślizgając się na zamrożonych skałach, a Terrance próbował się skupić na drodze, co stawało się tym trudniejsze, im bardziej rosła gorączka. Zdawał sobie sprawę, że jeśli koniowi coś się stanie, oznaczać to będzie wyrok śmierci dla nich obu, bo pieszo nie zdoła pokonać przełęczy. Jeszcze kilka godzin temu ta świadomość wywoływała strach, teraz czuł tylko obojętność, jakby to, czy

przeżyje czy nie, tak naprawdę nie miało znaczenia.

Ponieważ nie miał wyboru, jechał dalej.

Kanion, w którym toczyła się walka, znajdował się na wysokości nieco powyżej trzech tysięcy stóp, przełęcz, którą jechał, na wysokości prawie pięciu tysięcy i śnieg padał tu od wczoraj. Zasp co prawda jeszcze nie było, ale mimo to wypadek mógł się przydarzyć.

Wiatr był lodowaty i ciął jak nóż. Terrance stracił czucie we wszystkich wystawionych na jego działanie częściach ciała. Nie pierwszy raz żałował, że nie ma ciepłych spodni, wełnianej czapki i grubych rękawic, ale teraz żałował tego znacznie bardziej niż dotąd. Rozumiał sens podróżowania bez obciążeń, by ulżyć koniowi, ale z chęcią przedłużyłby jazdę o dwie godziny w zamian za parę podbitych futrem rękawic.

Gdy znalazł się w najwyżej położonym miejscu, odetchnął z ulgą, choć wiatr był tu najzimniejszy i atakował z furią drapieżnika. Trącił konia piętami i ten zaczął ostrożnie schodzić, starannie wybierając miejsca, w których postawić kopyta. Teraz każda sekunda jazdy zbliżała ich obu do ciepła i bezpieczeństwa.

Godzinę później Terrance znalazł załom w skalnej ścianie, osłonięty od wiatru i na tyle duży, że mógł się za nim schować. Zsiadł i ustawił konia tak, by stanowił dodatkową osłonę, a równocześnie grzał go trochę. Zyskał w ten sposób krótkie wytchnienie od wszechobecnego zimna. Przy okazji znalazł w kieszeni gruszkę i dał ją wałachowi. Nie było to wiele, ale koń i tak poweselał.

Po kwadransie zdecydował się ruszyć w dalszą drogę, bo wierzchołek bardziej cierpiał od chłodu, niż odpoczywał. Dosiadł go więc i ruszył w dół.

Zmierzchało, gdy Terrance wyjechał wreszcie z gór na lesisty szlak prowadzący do głównego traktu wiodącego do obozu earla. Miał dwie możliwości: jechać nocą lub przenocować w lesie i rozpaść ognisko.

Wybór był trudny, gdyż nocna jazda przyspieszyłaby moment dotarcia do celu, ale groziła zranieniem po ciemku konia. Rozpalenie ognia mogło z kolei ściągnąć wrogich żołnierzy, jeśli tacy kręcili się po okolicy. A mogli, szukając innych, nie bronionych przejść przez góry, choćby takich jak przełęcz, którą jechał.

Zdecydował się kontynuować podróż, a na nocleg zatrzymać się wyłącznie, jeśli znajdzie bezpieczne miejsce.

Dobre pół godziny później, jadąc przez rzadko zalesiony teren, dostrzegł ścieżkę odchodzącą od tej, na której byli. Mogły wydeptać ją zwierzęta, ale mogła też prowadzić do jakiegoś schronienia. Zdecydował się to sprawdzić i ujechawszy pół mili, znalazł się na niewielkiej polance, na której dostrzegł jakiś niski, rozłożysty kształt. Tylko dzięki temu, że świeciły dwa księżycy – duży i średni – rozpoznał, że to chata wbudowana w zbocze pagórka i częściowo wkopana w ziemię. Musiała należeć do jakiegoś smolarza albo myśliwego, ale wyglądała na opuszczoną.

Zsiadł z konia i obejrzał ją dokładnie. Była nie zamieszкана i to od jakiegoś czasu, ale miała kamienne palenisko i porządną dach. Szybko zebrał drewno, by rozpalić ogień. Jeśli tak daleko od traktu natknie się na przeciwnika, będzie to znaczyło, że ma olbrzymiego pecha albo że bogowie przeznaczyli mu śmierć. A na to nic nie mógł poradzić.

Hubkę i krzesiwo woził zawsze ze sobą, a suchych gałązek w pobliżu nie brakowało, więc po chwili ogrzewały go już płomienie. Potem nie było już tak łatwo, bo drewno leżące na ziemi było wilgotne, toteż musiał uważać, by ostrożnie wsuwać je do ognia, tak by najpierw podeszło, a nie zgasło płomieni. Udało mu się, choć z komina zaczęły walić gęste kłęby dymu.

Gdy upewnił się, że ogień nie zgaśnie, zajął się koniem. Rozsiodłał go i spróbował wytrzeć garścią starej słomy z podłogi, co nie bardzo mu wyszło. Potem nalał trochę wody na dłoń i podsunął zwierzęciu. Powtórzył to kilkakrotnie, po czym uwiązał konia do wystającego ze ściany pnia. Obiecał sobie rano sprawdzić, czy nie znajdzie dla niego czegoś do zjedzenia, ale podejrzewał, że obaj będą pościć, nim nie dotrą do obozu.

Potem wrócił do chaty i ułożył się na podłodze przed paleniskiem. Znalazł w kącie jakiś postrzępiony koc, zrobił z niego poduszkę, a płaszcz użył jako przykrycia. Czuł rozkoszne ciepło po raz pierwszy od wielu dni i choć w piersiach mu grało, a każda próba głębokiego nabrania powietrza kończyła się kaszlem, był zbyt zmęczony, by przeszkodziło mu to zasnąć.

Po obudzeniu ledwie mógł się ruszyć. Ogień przygasł – żarzył się jedynie i dawał niewiele ciepła. W plecy kąsało zimno. Odwrócił się z wysiłkiem, wystawiając zziębniętą połowę ciała na ciepło żaru.

Gdy po chwili spróbował wstać, zakręciło mu się w głowie, nogi okazały się dziwnie miękkie, a gdy mimo wszystko się podniósł, pod czaszką tak mu łupnęło, że zobaczył gwiazdy. Żołądek przypominał węzeł i Terrance poczuł, że robi mu się niedobrze, ale zdołał zwalczyć mdłości, przetykając uporczywie ślinę, aż wnętrzności się uspokoiły. Trzymając się ściany, dotarł do drzwi, złapał się klamki i jako tako utrzymując równowagę, otworzył je i wyrzwał na zewnątrz.

Słońce stało już wysoko na niebie. Wiedział, że jest poważnie chory i jeśli dziś nie dotrze do obozu, umrze. A dotrzeć tam musi, nim przestanie być zdolny utrzymać się w siodle.

Trzymając się drzwi, wyszedł na dwór. Koń stał spokojnie tam, gdzie go przywiązał, więc zabrał się do siodłania go. Okazało się to zajęciem wyczerpującym tak fizycznie, jak i umysłowo, i trwało strasznie długo.

Dał wierzchowcowi się napić i sam też to zrobił. Pamiętał, że po drodze jest strumień, więc nie szukał wody. Zresztą w bukłaku jeszcze sporo zostało.

Omal nie stracił przytomności, gdy dosiadł konia. Przez dobrą minutę wszystko wokół wirowało i gdyby kurczowo nie złapał się łęku siodła, spadłby. Wiedział, że ma wysoką gorączkę, a w płucach świszcząca mu przy każdym oddechu. Przy głębszym zaczynało bulgotać. Miał naprawdę solidne zapalenie płuc.

Skierował konia na ścieżkę, którą przybyli, i trącił go piętami.

Pierwsze kilka godzin jazdy było dla Terrance'a serią urwanych wspomnień. Na przemian ostrych obrazów rzeczywistości i halucynacji. Dopóki był przytomny, przynaglał konia do szybszego tempa i trzymał się szlaku; następne, co pamiętał, to gwałtowne szarpnięcia, przez które omal nie wylatywał z siodła, gdyż koń włókł się noga za nogą, próbując skubnąć coś jadalnego z krzaków z dala od ścieżki. Zawracał go więc we właściwym kierunku i zmuszał do szybszego biegu. Po czym miał zwidy, że jest zdrowy, budził się i stwierdzał, że koń ponownie próbuje znaleźć coś do jedzenia.

I zabawa zaczynała się od początku.

Nieco po południu zdał sobie sprawę, że jeśli spadnie z wierzchowca, straci przytomność i zamrznie. Ta myśl nie wywołała strachu, ale poirytowanie, że wcześniej się nie zabezpieczył. Z wysiłkiem odpiął torbę na meldunki, przedłużył ramię i przeciągnął go przez dwa metalowe pierścienie w siodle, po czym obwiązał się nim w pasie i zacisnął supeł. Torbę miał na tyłku – podskakiwała przy każdym końskim kroku, ale to akurat zupełnie go nie interesowało.

W głowie mu huczało, gardło paliło żywym ogniem, płuca protestowały przy każdym oddechu, a stóp i dłoni zupełnie nie czuł.

W pewnym momencie, w kolejnym przeblysku świadomości, stwierdził, że jest już na głównym trakcie prowadzącym do obozu. Tak go to ożywiło, że przez dobrą godzinę nie stracił przytomności i rozglądał się wokół uważnie.

Potem zmęczenie wzięło górę i zdrzemnął się, ale nie dręczyły go majaki. Obudziło go nagłe szarpnięcie – koń stanął i parsknął cicho. Terrance rozejrzał się zupełnie przytomny, gdyż coś mu mówiło, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Był dobre sto jardów na południe od

traktu, więc uniósł się w strzemionach, by lepiej widzieć. Rzemień łączący go z siodłem ciągnął w dół, ale uparł się, by sprawdzić, co też tak zaniepokoiło konia, że zatrzymał się, i to nie po to, by jeść.

Po parunastu sekundach jakieś sto jardów na południe dostrzegł kilkanaście postaci przykucniętych wśród drzew. Błysk szkarłatu powiedział mu wszystko – Tsurani. Pojęcia nie miał, czy był to patrol wysłany na głębokie tyły, czy część sił oskrzydlających oddziały obu baronów, i nie obchodziło go to – zawrócił konia i kopnął go piętami.

Wałach nie potrzebował dalszej zachęty – skoczył, kierując się w stronę traktu i w mniej niż dziesięć sekund pędził już po nim galopem. Terrance pochylił się nad jego grzywą, stając w strzemionach jak na wyścigu. Pilnował, by koń nie zбочzył ze szlaku, mając nadzieję, że nie czeka na nich drugi oddział wroga, który zdążył już dotrzeć do drogi.

Usłyszał dobiegający z tyłu okrzyk i spośród drzew rosnących wzdłuż traktu wypadli nowi przeciwnicy rozciągnięci w tyralierę. Żaden jednak nie był na tyle blisko, by mu zagrozić. Jeden z ostatnich, których minął, wypuścił za nim strzałę, ale bardziej ze złości niż w nadziei trafienia oddalającego się galopem jeźdźca.

A wałach gnał wyciągnięty jak struna przez ponad trzy mile, nim dopadło go zmęczenie i przeszedł w kłus. Terrance także był wyczerpany, więc pozwolił mu na to. Wysięk związany z utrzymaniem się w siodle był tak duży, że dopiero po długiej chwili zdał sobie sprawę, że rozpoznaje okolicę. Kiedy dotrze na szczyt niewielkiego wzniesienia odległego o pół mili, znajdzie się w zasięgu wzroku pierwszej czujki pilnującej traktu.

Nagle poczuł się jak wtedy, gdy brał udział w wyścigu z okazji Święta Przesilenia Letniego. Należał do najmłodszych uczestników, toteż wyczynem byłoby samo dotarcie do mety. A bieg był długi – trasa liczyła prawie pięć mil. Kiedy zobaczył metę, był drugi, ale zmusił się do ostatniego wysiłku i w efekcie minął wyznaczoną linię o krok przed rywalem. Wygrał ze starszym dzięki sile woli. A potem zemdłał i ojciec musiał go zanieść do domu.

Teraz też sprężył się ostatkiem sił i skupił na tym, by pozostać przytomnym i kierować koniem. I jakoś mu się udało – dotarł na pagórek, potem minął stanowiska czujek i wart, które go nie zatrzymywały.

A gdy przejechał kolejne ćwierć mili, znalazł się między pierwszymi namiotami rozstawionymi wśród drzew rosnących wzdłuż drogi. A potem był już na łące, na której mieściła się główna część obozu.

Ściągnął cugle i koń posłusznie zwolnił, a po dotarciu w pobliże stajni stanął. Przechodzący obok stajenny spojrzął na Terrance'a i wrzasnął:

–Pomóżcie mi!

Pospieszyło doń dwóch żołnierzy zaskoczonych wołaniem.

A Terrance puścił łąkę siodła i poleciał w dół. Przed upadkiem uchronił go ramię. Zwisł bezwładnie z siodła. Poczuł, że ktoś go łapie i podtrzymuje, potem rąk było więcej i ktoś musiał przeciąć ramię, bo przestał go ciągnąć.

Potem stwierdził, że dokądś go niosą, i zdziwił się, że już nie jest mu zimno.

A potem była już tylko ciemność.

Targnął nim nagły ból.

Czuł się tak, jakby obdzierano go ze skóry, powoli, zaczynając od czubka głowy, a kończąc na palcach u nóg. Usiadł i wrzasnął.

A raczej spróbował usiąść, bo natychmiast przytrzymały go silne dłonie, a w następnym momencie, gdy osłabł, ułożyły z powrotem na pościeli.

–Będzie zdrow.

Wszystko wirowało, a on był cały mokry od potu śmierdzącego truciznami wydostającymi się z ciała. Skóra płonęła, jakby pot był kwasem, i Terrance już zaczął sądzić, że dorobi się pęcherzy, gdy pieczenie nagle ustąpiło i ból zniknął. A on mógł logicznie myśleć.

Był słaby, ale czuł się w miarę dobrze. Zamrugał gwałtownie i wzrok stopniowo odzyskał ostrość. Przetarł dłonią czoło i stwierdził, że jest suche. Spojrzał na krąg pochylonych nad nim twarzy i oznajmił:

–Będę zdrow.

Następnie powoli usiadł i obrócił się, by móc spuścić nogi z łóżka. Dopiero potem się rozejrzał. Był w namiocie szpitalnym, a obok jego łóżka stała para sanitariuszy, aptekarz i kapłan-uzdrowiciel. Aptekarz pokiwał głową i stwierdził:

–Niewiele brakowało, chłopcze. Jeszcze godzina, góra dwie, i moglibyśmy cię położyć na stos.

Terrance ostrożnie zrobił głęboki wdech... i poczuł się lepiej niż kiedykolwiek od chwili wyjazdu z obozu.

–Co się stało? – spytał nieco chrapliwie.

–Wjechałeś tu prawie o zmierzchu i spadłeś z konia, więc cię przynieśli. Zajmowaliśmy się tobą z przerwami przez całą noc. Dawałem ci różne mikstury, a William robił, co mógł, żebyś przeżył. W końcu gorączka ustąpiła i wróciłeś do zdrowia.

–Zjadłbym coś – powiedział niespodziewanie dla samego siebie Terrance.

I wstał.

Sądził, że zakręci mu się w głowie, ale nic podobnego nie nastąpiło. Pociągnął nosem i powiedział:

–I wykąpałbym się.

–To zapach trucizny, która w tobie siedziała – wyjaśnił uzdrowiciel. – Moje zaklęcia utrzymały twego ducha w ciele na czas potrzebny na oczyszczenie go. A trwało to ładnych parę godzin. A jedzenia rzeczywiście potrzebujesz, bo ani magia, ani wywary nie sycają, tylko leczą.

–Dziękuję wam – powiedział Terrance.

Aptekarz wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

–Nie bardzo miałem wybór. Earl nie byłby zachwycony, gdybym pozwolił zemrzeć jego kuzynowi.

–Dalekiemu kuzynowi – bąknął Terrance.

–Rodzina to rodzina. Zrobiłem, co mogłem, niestety nie zawsze to wystarcza – dodał, wskazując na kilka postać, na których umierali ludzie, którym ani on, ani kapłan-uzdrowiciel nie byli w stanie pomóc.

Terrance pokiwał głową i zajął się miską i ręcznikami przyniesionymi przez jednego z sanitariuszy. Ponieważ było chłodno, a on był osłabiony, ograniczył się do starannego wytarcia całego ciała mokrym ręcznikiem.

Potem ubrał się, spojrzął na aptekarza i powiedział:

–Muszę się zameldować u earla.

–Ale zaraz potem najedz się i wyśpij. – W głosie aptekarza dźwięczała stanowczość. – Nie mam ochoty drugi raz tego samego dnia ratować ci życia.

–Zrobię tak – obiecał Terrance i odszukał wzrokiem torbę z meldunkiem.

Leżała koło postania, więc podniósł ją i wyszedł z namiotu.

Poruszał się wolno, nie chcąc pokazać, że nadal nie trzyma się pewnie na nogach. Wciąż ledwie wierzył, że żyje i że tak dobrze się czuje. Wczoraj bał się, że nie zdąży dotrzeć do obozu na czas. Dopiero teraz w pełni uzmysłowił sobie, że za każdym razem, gdy wyruszał z rozkazami, mógł zginąć. Niby wiedział o tym od początku, ale dotąd jakoś tak do końca to do niego nie docierało. Teraz miał tego świadomość. Podobnie jak i tego, że przezwyciężył własną słabość. To ostatnie wprowadziło go w doskonały humor. Doszedł do namiotu

dowodzenia i poinformował wartownika:

–Mam wiadomość dla earla Vandrosa.

Musiał chwilę poczekać, nim go wpuszczono.

Na jego widok earl przerwał rozmowę z jednym z kapitanów i powitał go:

–Spodziewałem się ciebie dwa dni temu, Terry.

–Trochę mi się trasa wydłużyła, sir.

–Wiadomości.

Terrance podał mu torbę ze słowami:

–Raport od barona Grudera, sir.

–Co jeszcze?

–Przeciwnik zaatakował dużymi siłami kilku domów barona Moncriefa. Baron przez cały dzień odpierał ataki, potem jego wojska zostały wzmocnione przez siły barona Summerville'a. Baron Moncrief zginął w walce.

–Szkoda. To był dobry człowiek i dobry żołnierz. Księżę Bas-Tyra wkurzy się na wieść o jego śmierci. Baron był jego lennikiem i przyjacielem. Coś jeszcze?

–Wczoraj napotkałem silny patrol wroga na południe od obozu. Kierował się na zachód.

–Wyślę patrol jazdy, żeby sprawdzić, co knują.

–To wszystko, sir.

Vandros przyjrzał mu się uważnie. Wiedział, w jakim stanie chłopak dotarł do obozu, a brudny mundur i zakrwawiony płaszcz mówiły resztę.

–Miałeś jakieś kłopoty po drodze? – spytał.

–Nic wartego opowiadania, sir.

–W takim razie idź coś zjeść i wypocznij. I przyślij mi dyżurnego kuriera. Jesteś wolny, Terry.

Kiedy chłopak wyszedł, Vandros uśmiechnął się złośliwie i powiedział:

–Cieszę się, że jest w Korpusie Kurierów. To znacznie bezpieczniejsza służba od liniowej,

nieprawdaż?

Terrance spałaszował śniadanie w namiocie jadalnym, a ze zorganizowanym bochenkiem ciepłego jeszcze chleba, połówką sera i butelką wina ruszył w stronę namiotów kurierów. Odszukał ten wskazany i wsunął głowę do środka. Zobaczył starszego mężczyznę leżącego na pościeli i osłaniającego przedramieniem oczy.

–William? – spytał, nie wchodząc.

–Terry?

–Kto ma dyżur?

–Ja.

–To zamelduj się u earla.

William bez słowa usiadł i zaczął wciągać buty. Terrance zaś poczekał, aż tamten skończy, świadom, że nieuprzejmie byłoby tak od razu odejść.

–Ciężko było? – spytał William.

Terrance kiwnął głową, ale odparł z uśmiechem:

–Eee, nie ma o czym gadać. William uśmiechnął się w odpowiedzi.

–Rozumiem. Do zobaczenia wkrótce.

–Jedź bezpiecznie, Will.

–Ty też, Terry.

Dopiero teraz Terrance wrócił do swego namiotu, usiadł ciężko na pościeli i zabrał się do drugiego śniadania. Pościel Charlesa było puste, więc nie miał z kim gadać, z czego w sumie był zadowolony, bo nie chciało mu się rozmawiać. Miał nadzieję, że zdoła się porządnie wyspać, nim wypadnie jego dyżur, ale wiedział, że nawet obudzony w środku nocy, jeśli nadejdzie jego kolej, pojedzie.

Przełożył Jarosław Kotarski

Symfonia Wieków Elizabeth Haydon

Trylogia „Rapsodia”

Rhapsody: Child of Blood (1999) Rapsodia. Dziecko Krwi (2000) Prophecy: Child of Earth (2000) Proroctwo. Dziecko Ziemi (2001) Destany: Child of The Skry (2001)

Przeznaczenie. Dziecko Nieba (2002) *Requiem for The Sun* (2002) *Requiem za słońce* (2003) *Elegy for a Lost Star* (2003)

„Symfonia Wieków” to opowieść, w której przedstawiono historię świata podzieloną na siedem odrębnych epok. Akcja debiutanckiej trylogii, na którą składają się tomy *Rapsodia*, *Proroctwo* i *Przeznaczenie*, oraz ich kontynuacji toczy się pod koniec Piątego Wieku, wieku Schizmy, i na początku Wieku Szóstego, wieku Zmierzchu.

W każdym z miejsc znanych jako kolebki Czasu, gdzie po raz pierwszy pojawiło się na świecie pięć pierwotnych żywiołów – powietrze, ogień, woda, ziemia i eter – rośnie olbrzymie drzewo. Najstarszym z tych Drzew Świata jest Sagia, która rośnie na wyspie Serendair, gdzie narodził się eter. To dzięki połączonym korzeniom Sagii troje uciekających przed różnymi prześladowcami ludzi, mieszańców, unika niszczącego wyspę kataklizmu i szesnaście stuleci później spotyka się na drugiej stronie świata.

Początkowo trójka towarzyszy jest nastawiona do siebie nieprzyjaźnie. Rapsodia, kobieta mieszanej, ludzko-lirińskiej krwi, jest Bajarką – adeptką tradycji ludowej i muzyki – która posiada umiejętność manipulowania wibracjami tworzącymi życie. Ucieka przed dawnym wrogiem i zostaje niechętnie uratowana z rąk jego pachołków przez dwóch mężczyzn. Brat to drażliwy i odstręczająco brzydki asasyn, który posiada dar pozwalający mu wyczuć i śledzić bicie serca każdej ofiary. Jego jedynym przyjacielem jest Grunthor, olbrzym z rasy Firbolgów, starszy sierżant z kłami, imponującą kolekcją broni i upodobaniem do sprośnych piosenek marszowych. Obaj mężczyźni uciekają przed demonem żywiołu ognia, który ma kontrolę nad prawdziwym imieniem Brata. Rapsodia przypadkowo zmienia imię Brata na Achmed Wąż, pozbawiając demona władzy nad nim i umożliwiając mu ucieczkę. Trójka ta wędruje korzeniami Drzew Świata przez trzewia Ziemi, pokonując płonący w jej środku ogień dzięki posiadanej przez Rapsodię umiejętności manipulowania nazwami. W trakcie tej wędrówki nie ufający sobie adwersarze stają się z wolna niechętnymi przyjaciółmi. Gdy wychodzą na powierzchnię po drugiej stronie, stwierdzają, że ulegli przeobrażeniu – wydaje się, że czas się dla nich zatrzymał. Ponadto zapoznają się z opowieścią o zniszczeniu swej ojczyzny i dowiadują się, że uciekinierzy z Serendair, ostrzeżeni o zbliżającym się kataklizmie dzięki wizji króla, przepłynęli cały świat aż do miejsca, do którego i oni dotarli, zbudowali nową cywilizację i zniszczyli ją podczas wojny w tych stuleciach, które bohaterom umknęły. Teraz ludzie z ich ojczyzny, znani jako Cymrianie, ukrywają się lub nie wspominają o swoim pochodzeniu. Dla trójki towarzyszy staje się oczywiste, że demon znany jako F'dor opuścił wyspę z uciekinierami i przebywa w nieznanym nosicielu, czekając na swój czas i rozsiewając ziarno zniszczenia. *Rapsodia* stanowi kronikę podróży tej trójki, która musi jakoś poradzić sobie z utratą swojego świata i zacząć nowe życie w nowej krainie. Dokumentuje ona też powstanie Firbolgów, półludzkich nomadów, z którymi w końcu przyjdzie im dzielić dolę, oraz dojście Achmeda do władzy w królestwie Ylorc, na ruinach cymriańskiej cywilizacji

w nieprzystępnych górach. W *Proroctwie* odkrycie szponu smoka w starożytnej bibliotece w Ylorc skłania Rapsodię do podróży z Ashem, ukrywającym twarz mężczyzną, by odnaleźć

smoczyce Elynsynos i zwrócić jej pazur, nim dokona aktu zemsty i zniszczy Bolgów. Tom ten rozwija wątek F'dora, chociaż jego tożsamość nadal pozostaje zagadką. Achmed znajduje śpiące cały czas w ruinach kolonii Draków dziecko z żywej ziemi, którym opiekuje się Babka, jedyna osoba z kolonii, która ocalała. Uświadamia sobie, że F'dor szuka Śpiącego Dziecka, ponieważ żebro małej, z Żywego Kamienia, stanowiłoby taki sam klucz jak ten, za pomocą którego otworzył Sagię. Demon użyłby go jednak do otwarcia Grobowca Świata Podziemnego i wypuszczenia pozostałych ognistych demonów, których celem jest wyłącznie zniszczenie i chaos. *Przeznaczenie* doprowadza tę opowieść do końca. Dochodzi do zdemaskowania demona, po czym wywiązuje się walka i następuje odnowienie sojuszu cymriańskiego.

Requiem i Elegy podejmują opowieść trzy lata później i ukazują czynniki, które w ostatecznym rozrachunku wiodą do międzykontynentalnej wojny. Z każdą książką poznajemy coraz większą część dziejów, coraz więcej tajemnic wydobywanych jest na światło dzienne, a relacja rozwija się niczym rapsodia.

Akcja minipowieści zamieszczonej w tej antologii rozgrywa się w Trzecim Wieku i stanowi kronikę zniszczenia Serendair, przedstawiając historię tych, którzy pozostali na wyspie po exodusie.

Próg

Elizabeth Haydon

Dwa wieki temu skazana na zagładę wyspa Serendair przetrwała kataklizm, gdy płonąca gwiazda, znana później jako Śpiące Dziecko, spadła z nieba do morza, niszcząc znaczną część wybrzeża, ale oszczędzając ziemie położone w głębi lądu. Tym razem, gdy śpiące przez wieki pod falami Dziecko wykazuje oznaki ożywienia, ziemia i woda przygotowują się na jego przebudzenie, a mający zdolność prorokowania król wyspy Gwylliam doznaje wizji unicestwienia Serendair w drugim kataklizmie.

Niemal wszyscy opuścili Serendair – Nainowie z gór na północy, Lirinowie z lasów i równin w środkowej części wyspy oraz ludzie – trzema wielkimi flotami ze swoim królem na czele, aby odbudować cywilizację na innym kontynencie. W oczekiwaniu na koniec pozostali niedowiarkowie, głupcy, uparci, zrezygnowani i kilka dusz naprawdę szalonych.

Z rozkazu króla stacjonował tam też jeszcze mały oddział wojskowy, aby utrzymać porządek, zapewnić bezpieczeństwo tym, którzy zostali, oraz zachować nienaruszony choć strzęp królewskiej władzy, na wypadek gdyby do drugiego kataklizmu nie doszło. Chociaż i tak skazani są na zagładę, nie potrafią przewidzieć, co może się wydarzyć, gdy człowiek stanie na progu między życiem a śmiercią.

Oto opowieść o nich, dotąd nie znana światu.

Gorąca para wodna unosiła się tuż nad powierzchnią morza, tak że wydawało się ono

spokojne i ciche jak mglisty poranek. Nad północnymi wyspami jest dzisiaj więcej pary wodnej, pomyślał Hector. Osłaniał oczy przed rażącym blaskiem stojącego w zenicie słońca, które odbijało się od marszczonej falami powierzchni, oślepiając swoją intensywnością. Zdecydowanie więcej, stwierdził.

Zerknął na prawo, gdzie stał wpatrujący się w nieprzeniknioną mgłę Anais. W srebrzystych oczach przyjaciela dostrzegał jak zawsze spokój i refleksję; od dzieciństwa rzadko zmieniały wyraz. Hector wiedział, że i on zwrócił uwagę na gęstniejącą mgłę.

Przez chwilę jeszcze obserwował unoszące się smugi mgły, po czym wstał i wytarł rękawem pot z czoła, nie odrywając wzroku od pary wodnej.

–Ciągłe nie potrafisz dostrzec, jak się to nasila, Seviry mie? – zapytał dla żartu. Wiedział, jaka będzie odpowiedź młodego żołnierza.

–Moim zdaniem od wczoraj nic się nie zmieniło – odparł Seviry mie bez namysłu. – Od przedwczoraj też.

Jarmon, ponad dwa razy starszy od nich, przestał osłaniać ręką oczy i zniecierpliwiony westchnął ciężko.

–I będzie się tak przy tym upierał, dopóki fale nie zaleją mu ust, a morze nie zamknie się nad głową – powiedział. – Wzrok ma doskonały, ale jest ślepy jak kret. Hectorze, nie pytaj go już o to. Wystawia na ciężką próbę tę odrobinę cierpliwości, jaka mi jeszcze została.

Seviry mie splunął w morze i wstał, żeby pójść za Hectorem, który obrócił się i wolnym krokiem oddalał od opuszczonego nabrzeża.

–Nie mam złudzeń, Jarmonie, bez względu na to, co ci się wydaje – mruknął. – Po prostu nie widzę powodu, by uznać nieuchronność zagłady. Może wizja króla była błędna

albo niewłaściwie ją zinterpretował. A może Śpiącemu Dziecku przeznaczone jest się przebudzić, ale woda nie pochłonie całej wyspy. Przecież nie doszło do tego nawet wtedy, gdy gwiazda spadła na Ziemię. Na pewno stracimy część wybrzeża, ale jeśli przeniesiemy się na wyżej położone tereny, jak kazaliśmy zrobić innym...

–Upraszam was, przestańcie – powiedziała Cantha.

Oschłość jej ochryplego głosu przedarła się przez wiatr, a Seviry mie zamilkł natychmiast. Cantha odzywała się rzadko, jakby mówienie sprawiało jej ból. Trudno było jej nie usłuchać, bez względu na to, co powiedziała.

Hector zatrzymał się i obrócił, żeby po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, uważnie przyjrzeć się swoim towarzyszom, czworgu całkowicie różnych ludzi, których łączyło tylko jedno – wszyscy dobrowolnie złożyli w ofierze resztę swego życia i zostali na wyspie, pomagając mu w tej daremnej misji.

Był zaskoczony tym, jak bardzo zmienili się fizycznie od odplynięcia flot, ale jeszcze bardziej wstrząsnął nim fakt, który aż do tej pory umykał jego uwagi. Broda Jarmona, przez całe życie w słynnym odcieniu przypalanej czerwieni, posiwiata tak bardzo, że zlewała się z mgłą, w której stał, a ciało Canthy, zawsze szczupłe i ciemne jak cień, wychudło tak mocno, że pozostało z niego niewiele więcej niż szept wiatru. Wpatrywała się w niego przez mgłę bez mrugnięcia, a miała taką siłę woli, że wypełniała przestrzeń, którą kiedyś zajmowało jej ciało.

Sevirym wbił wzrok w ziemię. Na twarzy miał wypisane, jak bardzo zaboląły go słowa Canthy. Ledwo wyrósł z wieku chłopięcego, gdy bez namysłu związał swój los z Hectorem, i choć przez te ostatnie pięć miesięcy postarzał się o dwadzieścia lat, ciągle miewał napady idealizmu, które burzyły spokój Jarmona. Z każdym rozczarowaniem, z każdą naganą kogoś starszego życie zdawało się coraz bardziej z niego uchodzić, co go w widoczny sposób postarzało.

Hector powoli wciągnął powietrze, po czym pochwycił pełne zrozumienia spojrzenie Anaisa, jakby była to rzucona mu piłka. Anais, najbliższy przyjaciel, brat we wszystkim poza krwią, zawsze czytał w jego myślach – być może to wspólne lirińskie dziedzictwo sprawiało, że ich umysły były jednością, chociaż fizycznie bardzo się różnili. Anais urodził się z cechami charakterystycznymi dla Lirinów: srebrzystymi oczami, różową skórą i prostymi włosami odbijającymi słońce. Hector wdał się w ród swojej matki – o ciemnych oczach i włosach, z koroną loków na czubku głowy, które Anaisowi sięgałyby tylko do czoła. Teraz wyglądali uderzająco podobnie – obaj byli bladzi, a ich twarze pod wpływem okoliczności, wyczerpania oraz gorąca gotującego się morza poszarzały.

Patrzył jeszcze chwilę, ciągle pogrążony w milczeniu, które nakazała im Cantha, niezdolny ustosunkować się do zmian, które zauważył. Potem bez słowa dał sygnał, że czas ruszać.

Cisza panowała przez całą drogę wzdłuż kamienistego brzegu, dopóki nie dotarli do miejsca, w którym czekały na nich konie, nieświadome zmian, jakie przyniósł poranny wiatr. Wtem Anais trzepnął Seviryoma w tył głowy.

–Teraz rozumiem, dlaczego tak się ociągałeś – zażartował. – Chciałbyś się wymigać od układania worków z piaskiem.

Sevirym zdobył się na blady uśmiech.

–Czy można mnie za to ganić?

–No pewnie, że nie – powiedział zgodnie Anais. – Mógłbym nawet zawrzeć z tobą sojusz.

Moglibyśmy wywołać bunt i zażądać rezygnacji z tej otępiającej pracy.

Hector stłumił śmiech, dosiadając swojego deresza.

–Strata czasu, oto, czym by to było. Zniszczenia wyspy być może nie da się powstrzymać, ale układanie worków z piaskiem jest równie nieuniknione jak śmierć.

–Hectorze, nosisz wodę przetakiem – rzekł kwaśno Jarmon. – Jeśli jednak trzeba zająć czymś umysł w oczekiwaniu na koniec, to sądzę, że nie można mieć nic przeciwko temu.

Anais wskoczył na siodło.

–Mów za siebie. Ja bym z tym dyskutował. Gdybym wiedział, że zamierzasz nas tak wykorzystać, nie zostałbym tutaj. Zgodzić się stanąć twarzą w twarz ze śmiercią u boku najlepszego przyjaciela to jedno, ale zniszczyć sobie starannie wypielęgnowane paznokcie w nie mającym końca trudzie budowania fortyfikacji z worków wypełnionych piaskiem to zupełnie inna para kaloszy. To jest tak uciążliwe, że nie da się tego znieść. Hectorze, jesteś mi winien całą noc picia bardzo drogich trunków.

Hector znowu zaśmiał się cicho i poderwał deresza do krótkiego galopu.

Jechali bez słowa wzdłuż północno-zachodniej linii brzegowej, aż dotarli na skraj opuszczonej wioski rybackiej, gdzie zsiadli z koni, żeby przeczesać resztki krytych strzechą chat i zrujnowane nabrzeża. Niewiele trzeba było trudu, żeby ewakuować to miejsce – rybacy znali morze i byli jednymi z pierwszych, którzy zdali sobie sprawę z tego, co nadciąga.

Pięcioro ludzi szło w milczeniu, prowadząc wierzchowce przez zasypane piaskiem i pokruszonymi muszlami ulice, a docierały do nich jedynie wycie przybrzeżnego wiatru, trzeszczenie strzech i skrzypienie drewna oraz odgłosy umykających szczurów i, od czasu do czasu, parsknięcia koni.

Przy ruinach każdego z budynków któreś z nich odłączało się od grupy i przeszukiwało to, co pozostało. Niewiele pozostawiono, jako że rybacy byli ludźmi praktycznymi i zabrali z wioski wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Załadowali to na swoje łodzie i wyruszyli w morze, ku północnemu kontynentowi – najbliższemu schronieniu – w jednej z pierwszych flotylli.

Podczas dwóch wcześniejszych wypraw znaleźli dzikich lokatorów, mężczyzn, kobiety i dzieci z szaleństwem w oczach, którzy przybyli tu z głębi lądu, szukając sposobu, który pozwoliłby im opuścić wyspę po odpłynięciu flot. Te zagubione dusze schroniły się w szkieletach chat, modląc się o cud lub wałęsając bez celu w umysłowym otępieniu. Szczęśliwie okazało się, że da się dla nich znaleźć miejsca na kilku ostatnich statkach ratunkowych, które miały wypłynąć po exodusie flot. Hector modlił się, żeby nigdy nikomu już nie musiał mówić, że na ucieczkę jest za późno, ponieważ lamentsy na wieść o tym za

bardzo przypominały mu łkanie, które słyszał, gdy przekazywał inne, podobne wieści.

Jego myśli, jak zawsze, powędrowały ku Talthei i dzieciom. Gdy zamykał oczy, niemal widział ją, jej napęczniały dzieckiem brzuch, jej rękę na ramieniu syna...

–Ciało – Cantha krzyknęła z ruin starej szopy, w której solono ryby.

Jarmon i Anais wyminęli leżący na piasku stos cynowych latarni oraz zardzewiałych żelaznych zawiasów i otworzyli drzwi. Cantha stała ze skrzyżowanymi rękami tuż za progiem, wpatrując się w zwłoki jakiegoś starca, który zwinął się w kłębek pod pozbawionymi blatu resztkami stołu do oprawiania ryb. W upale krążyły roje much.

–Nie było go tutaj, gdy ostatnio tędy przejeżdżaliśmy, a to było niespełna dwa tygodnie temu, prawda, Hectorze? – zapytał Anais.

Hector skinął tylko głową, wyjmując pudełko na hubkę i krzesiwo, podczas gdy pozostali opuszczali szopę. Uderzył krzemieniem o stal i iskra przeskoczyła na fragment

pokrycia dachu z połamanymi gałęzi.

–Kimkolwiek jesteś, oddaję twoje ciało wiatrowi, a twoją duszę powierzam Bogu Jedynemu i Wszechmocnemu – wypowiedział beznamiętnie słowa, które powtarzał wiele razy w ostatnich kilku tygodniach.

Cantha, pochodząca z rasy Kithów, a tym samym będąca dzieckiem wspomnianego wcześniej wiatru, dmuchnęła delikatnie po drodze na iskry. Rozjarzyły się bardziej, po czym roznieciły się i chwilę później strzeliły wątląm płomieniem.

Gdy pozostałości szopy zaczęły wypełniać dym, a płomienie zaczęły lizać dach, grupka odwróciła się i kontynuowała swoje zadanie. Nie znalazłszy w opuszczonej wiosce nikogo więcej, znowu dosiedli koni i pojechali na południe, nie patrząc za siebie na kłęby dymu i prześwitujące przez nie płomienie.

Stukot kopyt na brukowanych ulicach Kingston, wielkiego miasta portowego, które leżało na południe od wioski rybackiej, odbijający się echem w pustych alejach prowadzących na miejski plac, sprawił, że podróż nie przebiegała już w ciszy.

Ilekoć wracali do stolicy zachodnich krain, widoczne na ich twarzach zubożenie ustępowało miejsca spokojnej konsternacji. Z każdym powtórzeniem cyklu błyszczący klejnot zachodniego wybrzeża wyglądał coraz gorzej, coraz nędzniej. To, co kiedyś było olśniewającym, zbudowanym przed wiekami przez króla wizjonera miastem, stało się wymarłą przystanią duchów i robactwa.

Dojechawszy do pozbawionej wody fontanny na placu, zsiadli z koni. Stopy Seviryma pierwsze dotknęły bruku, potem dało się słyszeć stłumione, głuche odgłosy butów

pozostałych.

–Cholera jasna – mruknął, spoglądając na miejsce, w którym posąg od dawna nieżyjącego króla dosiadającego hipogryfa spoglądał z góry na mozaikę ułożoną na dnie fontanny. Pomnik był bardzo zniszczony, rozpostarte kiedyś szeroko skrzydła wierzchowca rozbito na drobne kawałki zaścielające dno fontanny. Kamienna głowa posągu została zmieciona z ramion i leżała teraz na ulicy, tuż za murkiem fontanny, a pozbawione źrenic oczy wpatrywały się niewidzącym wzrokiem w zamglone niebo.

Jarmon służył potomkom tego króla całe życie. Dobrnął przez kurz i odłamki do podstawy pomnika i niespiesznym ruchem starł pył z inskrypcji:

IMPERIUM ZBUDOWANE PRZEZ NIEWOLNIKÓW UPADA ZA ŻYCIA DESPOTY
MIASTO ZBUDOWANE NA WOLNOŚCI TRWA TYSIĄC LAT

–Upadło połowę szybciej, Wasza Wysokość – powiedział starszy strażnik łagodnie, przesuając stwardniałym palcem po literach.

–Czemu to miało służyć? – rzucił Seviry, nie kierując pytania do nikogo konkretnego. – Czy to było potrzebne? Nie mieli dość zmartwień, że przeznaczali czas na to? Czy wkrótce mało będzie zniszczeń, że chcieli, by było ich więcej? Przeklęte zwierzęta.

–Spokój – powiedział cicho Hector. – To tylko pomnik. Teraz nie ma to znaczenia. Ideał trwa nadal.

Seviry zaśmiał się gorzko i ściągnął wodze wierzchowca, odchodząc od zakurzonej fontanny.

–Trudno musi być wam, ludziom z zachodnich krain, przechodzić przez to jeszcze raz – powiedział po chwili Anais, gdy Jarmon i Cantha w ślad za Seviryem odjechali z placu miejskiego i przeczesywali ruiny przydzielonych im ulic. – Przynajmniej tym z nas, którzy żyli na wschód od Wielkiej Rzeki, oszczędzono widoku stopniowego upadku ojczystych ziem.

Hector nie odezwał się ani słowem, tylko cmoknął na swojego deresza. Wrócili

z Anaisem do rutynowych działań i zajęli się tym, co pozostali – przeszukiwaniem opustoszałego miasta.

Hector jechał otępiały pośród porzuconych sklepów, z których jako dziecko nie chciał wychodzić, tak prowadząc konia, żeby omijał sterty potłuczonego szkła i gruboziarnistego piaskowca, które kiedyś były oknem cukierni; wypiekano w niej ciasta tak wyjątkowe, że ludzie byli przekonani, iż muszą być przepojone magią. Znowu się tam zatrzymał, po raz ostatni, próbując sobie przypomnieć zapach ciasta francuskiego, wygląd zamków wykonanych w całości z ciastek i słodczy, czekoladowe figurki skrzydlatych koni i smoków z truskawkowymi łuskami, ale widział jedynie pustą skorupę budynku z plamami światła na

podłódze, które wpadało przez dziury w dachu, i czuł tylko zapach smoły, oleju i zniszczenia.

Nie wiedział, jak długo tak stał, wpatrzony daremnie w przeszłość, ale gdy głos Anaisa przebił się w końcu do jego świadomości, rozbrzmiał jak dzwon budzący go z głębokiego snu.

–Nic poza paroma bezpańskimi psami i zamordowaniem wron, które schroniły się pod okapem dawnej siedziby prałata.

–Zamordowaniem wron?

Na twarzy Anaisa pojawiła się udawana powaga.

–Tak, te wielkie paskudztwa też. Jedną z nich może być żona prałata.

Hector uśmiechnął się.

–Z pewnością mocno krakała, ale niestety nie może być żadnym z tych ptaków. Niech Bóg Jedyny i Wszechmocny wesprze mojego ojca. Ona popłynęła jego statkiem.

Anais potrząsnął głową ze współczuciem.

–Biedny MacQuieth. Jakby mało miał problemów.

Hector przytaknął, rezygnując z próby przywołania lepszych wspomnień z cukierni.

–W ostatnich dniach przed exodusem największym zmartwieniem mojego ojca była ironia całej tej sytuacji. Młodość spędził na wojnie sereńskiej, by ocalić wyspę przed ogniami Świata Podziemnego, by powstrzymać demony zrodzone z tego ognia przed zniszczeniem Serendair. A teraz, gdy F'dorowie są pokonani, ostatni z ich rodzaju zaś zapieczętowany na zawsze w Grobowcu Świata Podziemnego, wyspa mimo wszystko ulegnie ogniewi: ogniewi z nieba przechowywanemu długo w morzu.

–Nie chce mi się wierzyć, że ironia sytuacji była największym zmartwieniem twojego ojca – powiedział Anais, kopnięciem usuwając z brukowanej ulicy złamany szyld sklepowy.

–Zaglądałeś do stajni?

–Tak.

–Są tam jeszcze jakieś żywe konie?

–To zdumiewające, ale wszystkie te biedne zwierzaki żyją. Większość z nich to tylko skóra i kości. Cantha daje im resztę siana.

Hector westchnął głęboko.

–Myślę, że powinniśmy zboczyć z naszej zwykłej trasy, Anaisie. Zanim stąd odjedziemy, wyprowadźmy je z miasta na pola przy rozdrożu i puśćmy wolno. Z pewnością to bardziej humanitarne niż pozostawienie ich w boksach, gdzie jeść dostaną tylko wtedy, gdy będziemy tędy przejeżdżać. Tam znajdują trawę i wodę.

–Zgoda – powiedział Anais. – Ludzie już się stąd wynieśli. Poza tym, cóż to za opóźnienie na trasie, której nikt nie strzeże?

Hector spojrział przez ramię na główną ulicę, która biegła aż do wejścia do

Zakazanego Miasta w północnej części Kingston.

–Nie wszyscy mieszkańcy wyjechali – sprzeciwił się łagodnie. – Zrobili to jedynie ci, którzy mogli wyjechać.

Anais pobiegł za jego wzrokiem, po czym również westchnął głęboko.

Gdy morski wiatr hulał po opuszczonych ulicach Kingston, sypiąc im piaskiem w oczy, obaj mężczyźni wrócili myślami do wcześniejszych dni, po exodusie flot, ale zanim jeszcze przestały przypluwać do Serendair statki ratunkowe z innych krain. Młody, świeżo koronowany król Gwylliam, autor planu ewakuacji, który ocalił większość swoich poddanych od śmierci w mającym nadejść kataklizmie, popłynął ostatnim statkiem ostatniej floty, był więc przekonany, że każdy obywatel sereński, który chciał wyjechać, wyjechał.

Całkowicie zapomniał o Zakazanym Mieście.

Tak naprawdę nie było niczym zaskakującym, że Miasto umknęło uwagi Gwylliamu. Chociaż geograficznie leżało w jego domenie, był to świat sam w sobie, dawna kolonia karna drobnych złodziejasków i kieszonkowców, która zyskała własny charakter, stając się mroczną i barwną społecznością o wielu poziomach władzy i gróźb niezrozumiałych dla wszystkich poza tymi, którzy żyli za zamkniętymi bramami.

Mimo że na pozór Zakazane Miasto było odcięte, najwyraźniej miało równie wiele tuneli prowadzących poza jego mury jak tama bobrów czy gniazdo szczurów. Już przed wojną sereńską, która skończyła się przed dwustu laty, Miasto było podzielone na Pierścień Zewnętrzny i Wewnętrzny. W tym pierwszym znajdował się kwitnący rynek egzotycznych dóbr i wymyślnych usług, który mieszkańcy świata zewnętrznego mogli odwiedzać, jeśli tylko poddali się kontroli przy bramach.

W środku tygodnia, w dniu znanym jako Dzień Targowy, na dźwięk wielkiego mosiężnego dzwonu wchodzili na bazar, ściskając mocno żeton, dzięki któremu będą mogli opuścić Miasto, gdy dźwięk dzwonu ogłosi koniec wizyty. Kupowali perfumy, które potrafią przenieść umysł poza horyzont rzeczywistości, płótna i jedwabie o nieopisanych kolorach, klejnoty, mikstury, kojące balsamy i niezliczone mnóstwo innych towarów z odległych zakątków świata. Samo istnienie tych egzotycznych towarów mówiło wiele o tym, jak

dziurawe są w rzeczywistości grube mury Zakazanego Miasta.

Pierścień Wewnętrzny – mroczne miejsce, do którego dostęp mieli tylko stali mieszkańcy Miasta – był jeszcze bardziej tajemniczy. W pozbawionych okien budynkach, w skrytych w cieniu alejkach prowadzono interesy innego rodzaju, które ludzie mieszkający poza Zakazanym Miastem mogli sobie wyobrazić jedynie w nocnych koszmarach.

Gdy Hector i jego towarzysze uświadomili sobie, że przeoczono Zakazane Miasto, zaoferowali jego mieszkańcom ucieczkę na pierwszych statkach, które przyplłynęły po exodusie. Hector osobiście udał się do Miasta, którego masywnych bram nikt już z zewnątrz nie strzegł. Odciągnął zasuwę, szeroko otworzył bramę i zachęcał zaskoczonych mieszkańców do ucieczki, by mogli uniknąć zagłady, która z pewnością nastąpi, gdy Śpiące Dziecko obudzi się i wzniesie w niebo, pogrążając w morzu Serendair, co według wizji króla ma wkrótce nastąpić.

W Zakazanym Mieście roіło się wtedy od ludzi. Popatrzyli na niego jak na obłąkanego, po czym obrócili się na pięcie i zajęli swoimi sprawami, jakby go tam nie było.

Następnego dnia, gdy wrócił, by raz jeszcze gorąco namawiać ich do przemyślenia wyjazdu oraz by wyjaśnić, że nadciąga kataklizm, brama była znowu zamknięta.

Przypięto do niej uprzejmą notkę, w której z podziękowaniem i życzeniami wszystkiego najlepszego odrzucono jego propozycję.

Myśl o tysiącach osób po drugiej stronie tej bramy prześladowała Hectora w następnych tygodniach, gdy z pozostałymi towarzyszami okrętowali na ostatnie statki ratunkowe maruderów z krain położonych na wschód od Wielkiej Rzeki czy osoby, które z innych powodów jeszcze nie odpłynęły. Często łapał się na tym, że spaceruje wzdłuż murów Miasta, pragnąc znaleźć jakiś sposób, by skłonić tych, którzy tam rządzą, do zmiany zdania i oszczędzenia tych ludzi.

Po jakimś czasie sprawa ta umarła śmiercią naturalną. Statki przestały przyplýwać, gdy morze nad miejscem spoczynku Śpiącego Dziecka stawało się coraz cieplejsze i woda zęzowa gotowała się, a niektóre jednostki pękały w łączeniach. Hector nie potrafił już zdobyć się na to, by myśleć o ludziach, którzy nadal mogli się znajdować po drugiej stronie muru, skazani teraz na pozostanie na wyspie do jej końca, podobnie jak zgubieni byli ludzie żyjący na wschód od Wielkiej Rzeki, którzy postanowili zostać.

I podobnie jak zgubieni byli on oraz czwórka jego towarzyszy.

Było już o wiele za późno, żeby się tym martwić.

Hector zamrugał – popołudniowe słońce zeszło niżej, oślepiając go. Ostonił czoło i popatrzył na Anaisa, który skinieniem głowy wskazał nabrzeże.

–Jedziemy – powiedział jego liriński przyjaciel z błyszczącymi w słońcu srebrzystymi oczami.

Hector bez słowa cmoknął na konia i ruszył z kopyta.

Wzdłuż nabrzeża płonęły ogniska, ich popioły mieszały się z unoszącą się nad morzem parą wodną. Hector domyślił się, że Cantha, Jarmon i Seviryum musieli znaleźć kolejne ciała, ludzi lub innych ras, lub że zdarzyło się coś ważnego, co usprawiedliwiało przeznaczenie cennego drewna opałowego na stosy pogrzebowe.

Na myśl o tym morzu ognia nie ścisnęło go już w gardle. W tygodniach, które minęły od przybycia i wypłynięcia ostatniego statku, wiele takich ognisk znaczyło trasę, którą przebyli, długą pętlę z południa na północ po ziemiach leżących na zachód od Wielkiej Rzeki. Raz tylko zapuścili się na wschodnie terytoria – rozległe ziemie podkrólestw, których mieszkańcy postanowili zostać, bo albo nie wierzyli w wizję króla, albo – nawet jeśli ją przyjmowali – woleli do końca być na terenach, na których się urodzili. Ponieważ trzecia flota wyruszyła z Kingston, to właśnie na zachodnie ziemie przybywali ostatnio maruderzy i to właśnie tę część królestwa Hector postanowił strzec, żeby podtrzymywać w owych ostatnich dniach daremne poczucie istnienia ładu. Bunty i grabieże osłabły, gdy zaczęły się głód i choroby, a zachodnie wybrzeże płonęło oczyszczającymi stosami, które byłyby wspaniałymi ogniami sygnałowymi, latarniami rozpacz, gdyby na morzu był jakikolwiek statek, który mógłby na nie odpowiedzieć.

Chmury dymu kłębiły się i tańczyły w powietrzu miotane zmiennym wiatrem od morza. Hector widział poruszające się bezgłośnie w tych oparach czarne cienie swoich przyjaciół, rozgrzebujące popioły i dodające do stosów wyrzucone na brzeg drewno.

Na nabrzeżu skinął na niego cień, którym musiał być Anais.

Hector poszedł z oczami piekącymi od dymu na koniec pirsu, gdzie czekał jego przyjaciel z dzieciństwa, i stanął obok niego, po czym wpatrzył się w pluskające morze i nieprzenikloną mgłę. To milczące czuwanie było rytuałem, który obaj wielokrotnie obserwowali od chwili wypłynięcia drugiej floty. Kiedy stali tam razem, tak jak stali owego przerażającego dnia, gdy przekazali swoje żony i dzieci pod opiekę MacQuietha, na chwilę pojawiła się więź, cofnięcie w Czasie, z ostatnim miejscem, w którym życie

ciągle jeszcze miało dla nich sens.

–Nie śnię już o nich – powiedział Anais, wpatrując się w parę wodną. Jego głos tłumilo wycie wiatru.

–Nie?

–Nie. A ty?

Hector głęboko zaczerpnął powietrza, wdychając sól i silny zapach popiołu, i pomyślał o

Talthei, ich synu oraz nie narodzonym dziecku.

–Ja tak. Co noc. – Odwrócił wzrok i popatrzył przez mgłę na fale wznoszące się pod pirsem. – Nie śnię o niczym innym. – Dzień był możliwy do zniesienia tylko dzięki świadomości, że nadejdzie noc i przyniesie takie sny.

Anais pokiwał głową zamyślony.

–Na jawie, jeśli się postaram, mogę przywołać ich twarze – po wiedział – ale w nocy śnię o Drzewie Świata.

Hector zamrugał i zwrócił się twarzą do przyjaciela.

–O Sagii?

Anais jeszcze raz kiwnął głową.

–I o lesie Yliessan, w którym się urodziłem.

W gorącym popołudniowym słońcu Hectorowi nagle zrobiło się zimno na wzmiankę o tym wielkim drzewie; było ono świętością dla ludu jego przyjaciela, Lirinów, dzieci nieba. Sagia była jedną z pięciu kolebek Czasu, miejscem, w którym narodził się żywioł eteru, a jej siła stanowiła podstawę życia wyspy.

–Co widzisz w tych snach, Anaisie?

Anais przechylił głowę, jakby chciał sobie ułatwić przypomnienie wizji.

–Stoję w Yliessan u stóp drzewa, patrząc na jego masywny pień, ku najniższym konarom, które rozpościerają się ponad koronami innych drzew rosnących w tym lesie. Jego srebrna kora lśni. Wokół drzewa tkwią rzędy Lirinów z wszelkich ludów: mieszkających w lesie Lirindarków, przejściowych Lirinwedów, nomadów, którzy żyją za równo w lesie, jak i na polach, ani jednego, ani drugiego nie czyniąc swoim domem, Lirinpanów z miast – a wszyscy czekają. Moi Liringlasowie, śpiewacy nieba, znajdują się na końcu rzędu i czekając, plotą girlandy z kwiatów. Jeden za drugim wszyscy wspinają się na najniższe gałęzie, potem na wyższe, budując swego rodzaju schronienia, gniazda, z braku lepszego słowa. Liringlasowie ozdabiają pień Sagii girlandami kwiatów. – Zamknął oczy, skupiając się na swojej wizji. – Śpiewają. Lirinowie chronią się na Sagii, oczekując końca w Jej ramionach.

Ciszę nabrzeża zburzył głos Seviryra.

–Hectorze, Hectorze! Statek! Statek wchodzi do portu!

Mężczyźni stojący na końcu pirsu odwrócili się zaskoczeni i moc niej wpatrzyli się w mgłę.

Po chwili z trudem udało im się go dostrzec. Wypuszczał wiatr z żagli, zbliżając się do niższego podestu na południowym końcu głównego mola. Hector pobiegł z powrotem pirsem, a chwilę później popędził za nim Anais. Spotkali się z pozostałą trójką.

Jarmon kręcił głową.

–Głupcy – mruknął, obserwując statek znikający w parze wodnej unoszącej się z wału nadmorskiego. – Musi być porzucony. Nie ma na świecie kapitana, który nie orientowałby się w niebezpieczeństwie w tym momencie.

Cantha również pokręciła głową.

–Nie jest porzucony. Jego manewry są celowe.

–Hej! – zawołał Seviry, podbiegając do mola i machając ręką w wirujących czarnych popiołach z ognisk. – Hej! Tutaj!

Odpowiedział im jedynie morski wiatr.

Stali w gęstej mgłę, jak im się wydawało, pół godziny lub dłużej, aż w końcu Anais dostrzegł przyćmione światło, które przedzierało się przez fale w ich kierunku, podskakując tuż nad powierzchnią wody.

–Wysłali szalupę – powiedział, wskazując zbliżającą się poświatę. – Latarnia oświetla dziób, nisko nad wodą.

–To dwu – lub trzymasztowy szkuner – poinformował Jarmon. – Być może brygantyna... nie jestem w stanie stwierdzić. Ależ z niego potwór. Musiał rzucić kotwicę tuż przed wałem nadmorskim. Nie można go za to winić. Nie chciałbym teraz, we mgłę, gdy latarnie przestały być widoczne, wchodzić do tego portu.

–Sevirymie, zapal pochodnię i pomachaj nią – krzyknął Hector, idąc w kierunku końca mola. Wysilał się, żeby coś zobaczyć przez dym i mgłę, ale tylko od czasu do czasu wyławiał wzrokiem maleńką latarnię, która kołysała się na szerokiej zatoce.

–Szaleństwo – mruknął pod nosem Jarmon, gdy Seviry wspiął się na szczyt masywnego wału worków z piaskiem, który wzniesli wzdłuż nabrzeża, i trzymał głównię wysoko w górze. – Od pojawienia się ostatniego statku minęły ponad dwa cykle księżycowe. Dlaczego teraz przyływa następny? Czy nie widzą unoszącej się pary wodnej? Musi sięgać wysoko. Jak mogli nie dostrzec tego z pełnego morza?

–Może mają taki wzrok jak Seviry – podsunął myśl Anais. – Poczekamy, zobaczymy.

Dłuższą chwilę wypatrywali niecierpliwie w milczeniu, po czym jednocześnie ruszyli sporym pirsem przez jasną mgłę, która pochłonęła Hectora, czekającego na jego końcu.

Światło latarni zawieszanej na dziobie szalupy było już blisko, nikło jednak ono rozproszone przez blask słońca we mgłę spowijającej wybrzeże. Poprzez odgłosy fal bijących w pirs usłyszeli czyjś zachrypnięty głos.

–Hej!

W głębi portu ze dwadzieścia głosów podchwyciło ochryple okrzyk.

–Hej! Jest tam kto? Hej!

Przed oczami pięciorga towarzyszy pojawiły się za pierwszą latarnią mrugające światła ułożone w kształt strzały. Z mgły wyłoniła się szalupa z bosmanem za sterem i czterema wioślarzami, a chwilę później w ślad za nią pięć innych.

W pierwszej łodzi stał jakiś mężczyzna; widzieli, jak jego cień nabiera kształtu i ostrości w miarę zbliżania się szalupy do pirsu.

–Hej! Szukam sir Hectora Monodiery'a! Czy to któryś z was?

–To ja – powiedział Hector, chwytając wspornik i wychylając się z końca pirsu, żeby lepiej w mglistym świetle widzieć mężczyznę w szalupie. – Dlaczego tu przyplłynęliście?

Mężczyzna osłonił oczy.

–Jestem Petaris Flynt, kapitan *Stormridera* pływającego pod banderą Marincaer. Przywożę nowiny, rzućcie mi cumę.

Jarmon i Anais zabrali się do cumowania pierwszej szalupy, podczas gdy Cantha poszła pomóc Seviry mowi naprowadzić na pirs pozostałe za pomocą głowni. Hector podał kapitanowi rękę i wciągając go na nabrzeże, odkrył, jak słaby stał się jego uchwyt i jak bardzo wychudły jego ręce.

Kapitan był krzepkim, tęgim mężczyzną o potężnym torsie, długiej siwej brodzie i oczach czarnych jak morskie głębiny. Spojrzał na wyższego o pół głowy Hectora, po

czym przebiegł wzrokiem po reszcie i po pustym nabrzeżu.

–Kto by pomyślał, że wspaniała latarnia w Kingston zgaśnie za mojego życia. – Zadumał się. – Jej istnienie wydawało mi się bardziej pewne niż wschód słońca. Niestety. – Gestem wydał żeglarzom w szalupie komendę „Spocznij”, po czym znowu spojrzął Hectorowi w oczy. – Przyplłynęliśmy tutaj po ostatni ładunek, sir Hectorze. Po wszelkich maruderów, jacy jeszcze zostali, po każdego, kto nie zdążył na ostatni statek. To naprawdę ich ostatnia szansa. Morze powyżej Wysp Północnych jest mętne od gorąca, wody zęzowe gotują się we wszystkich statkach w promieniu dziesięciu lig od Balatronu. Nie mamy pojęcia, czy sobie poradzimy. Odbijamy z przyływem o zachodzie słońca i kierujemy się na południowy

zachód, dopóki wiatr nie zanieś nas do Pół Lodowych, a potem zbaczamy na północ. Każdy, kto o zachodzie słońca znajdzie się na pokładzie, może z nami płynąć. Wszyscy inni zostają... nie będzie wyjątków.

–Niech Bóg Jedyń i Wszechmocny wybaczy mi moją niewdzięczność, ale dlaczego tutaj przyплылиście? – zapytał Hector z niedowierzaniem. – Szlaki żeglugowe wiodące do tego miejsca są zamknięte już od ponad dwóch miesięcy. Exodus skończył się trzy miesiące wcześniej, trzecia flota wypłynęła bowiem w połowie wiosny. Nie został tu nikt, kogo można by uratować. Wszyscy, którzy chcieli wyjechać, już odpłynęli.

Flynt zmarszczył brwi.

–Przybyłem tu z rozkazu króla Marincaer, którego o wysłanie mnie poprosił Stephastion, jeden z baronów Manosse.

–Manosse? – Hector zerknął na Jarmona i Anaisa, a ci wzruszyli ramionami. Manosse było odległym o pół świata wielkim państwem na wschodnim wybrzeżu Północnego Kontynentu. Leżało z dala od ziem, na które uciekli uchodźcy odmawiający wypłynięcia z flotami.

–Tak – powiedział Flynt. – Także z Manosse pochodzą wieści. Tam dotarła flota twojego ojca.

–Do Manosse? – zapytał zaintrygowany Hector. – Dlaczego? Co się stało? Nie tam zmierzali.

–Widocznie dopadł ich silny sztorm – odparł kapitan, mówiąc szybko. – Odłączyli się na południku zerowym. Wiele statków zatoneło. Część ocalałej flotylii dobiła do Gaematrii, Wyspy Morskich Magów, chociaż dla większości jest to miejsce zakazane. Twój ojciec skierował resztę floty z powrotem do Manosse, prawdopodobnie wiedząc, iż osłabione statki nie przetrzymają dalszej podróży na wschód do Wyrmlands, dokąd się pierwotnie udawały. Słyszałem, że zamierzają tam zostać.

Hector przytaknął.

–A co z pierwszą flotą? I trzecią?

Kapitan pokręcił głową.

–Żadnych wieści. Ale jeśli płynęli do Wyrmlands, to obawiam się, że nigdy już o nich nie usłyszymy. To miejsce nie bez powodu nie jest częścią Znanego Świata. – Rozejrzał się nerwowo.

–Masz jakieś wieści o mojej rodzinie? – zapytał Monodiere.

–Powiedziano mi, że twoja żona i syn są bezpieczni w Manosse. Podobnie jak twoja córka.

Twoje dziecko przyszło na świat bezpieczne i zdrowe.

–Wiesz, jakie nadano jej imię?

–Nie, ale twoja żona powiedziała, że je znasz.

–A mój ojciec... czy ma się dobrze? A jego statek? Flynt odwrócił wzrok.

–Przeżył podróż. Z tego, co wiem, jego statek jest nietknięty. Hector i Anais

popatrzyli na siebie z ulgą. Wieści dobrze wróżyły rodzinie Anaisa, która podróżowała z rodziną Hectora, chociaż oczywiste było, że kapitan nie mówi wszystkiego.

–Powiedz o moim ojcu to, czego jeszcze nie powiedziałeś – poprosił Monodiere. – Czy jest chory?

–O ile wiem, nie. – Kapitan gestykulował nerwowo do załogi swojej szalupy, która chwyciła wiośła i podpłynęła do brzegu, po czym ponownie skupił uwagę na młodym mężczyźnie. – Sir Hectorze, twój ojciec czuwa nad morzem. Gdy to, co zostało z drugiej floty, stanęło w porcie, a jego zadanie zostało wykonane, udał się na półwysep Sithgraid, najbardziej wysunięty na południe kraniec Manosse, i stanął w falach przyboju. Powiadają, że tkwi tam noc, dzień i noc, nie przyjmując pożywienia i pomocy od nikogo z wyjątkiem twojej żony i syna. Gdy baron zapytał twą żonę, co on robi, oznajmiła tylko, że czeka.

Hector wysłuchał tych słów w milczeniu, wpatrzony we wschodni horyzont.

–Dziękuję.

Niecierpliwość wygrała w kapitanie walkę z opanowaniem.

–No dobrze, sir Hectorze, przekazałem wieści. Jak ci powiedziałem, przybyłem tutaj, by zabrać ostatnich ludzi, którzy chcą wyjechać, zanim wyspa ulegnie zagładzie. Zbierz ich.

Monodiere odwrócił się i przyjrzał bacznie Flyntowi, jakby usłyszał te słowa po raz pierwszy, po czym skinął głową.

–Dobrze.

–Otwórz bramę, Seviry mie.

Na twarzy młodego żołnierza malowało się z wątpienie, gdy patrzył na masywne wejście do pustych wież strażniczych po obu stronach. Przyglądał się murowi otaczającemu Zakazane Miasto i zauważywszy, że nikt po nim nie chodzi, chwycił zardzewiałą klamkę i pociągnął ze wszystkich sił.

Ciężka drewniana brama, okolona mosiądzem, otworzyła się cicho.

–Popatrzcie tylko – Jarmon mruknął z goryczą – przez czterysta lat trzeba było trzech mężczyzn, żeby odsunąć te mosiężne zasuwki, i siedmiu, żeby otworzyć tę bramę do gniazda złodziei. A teraz otwierają się jak kuchenne drzwi u mojej matki. Naprawdę żyję zbyt długo.

Hector przeszedł wejściem w grubych murach wzmocnionych w środku żelaznymi sztabami, starając się ogarnąć wzrokiem to, co jest za nimi.

Zakazane Miasto było puste.

A może tylko takie się wydawało. Na każdym rogu, za każdym oknem i aleją, wyczuwał obecność cieni, czuł ciężar spoczywającego na nim wzroku, chociaż nikogo nie było widać.

Szli pogrążonymi w ciszy ulicami, przestępując pozostałości bazaru, strzępy tkanin i połamane wozy targowe, błyszczące okruchy szkła i smugi sadzy z wygasłych dawno palenisk. Na każdym rogu Hector zatrzymywał się i wpatrywał badawczo w zakamarki Zewnętrznego Pierścienia, ale niczego nie dostrzegął. Wołał, ale nikt nie odpowiadał.

W końcu doszli do wielkiej studni w centrum Zakazanego Miasta, miasta, które szanowany historyk określał w swoich pracach mianem „króliczej kolonii półświatka, ludzi, którzy żyją wyłącznie w ciemnościach pod ulicami, w matecznikach mających więcej tuneli niż mrowiska”. Hector nie wiedział, czy wierzyć w te opowieści o mitycznych ludziach szczurach, i nie obchodziło go to; wiedział tylko, że dźwięk ze studni rozbrzmiewał będzie w całym mieście. Przechylił się nad cembrowiną i krzyknął:

–Halo! Wyjdźcie teraz, wy wszyscy, do których dociera mój głos!

W imieniu Gwyllliama, Szlachetnego Króla Serendair, nakazuję wam natychmiast opuścić to miejsce! Ostatni statek, jaki tu przybył, czeka w porcie i wychodzi w morze z przyływem o zachodzie słońca.

Chodźcie. Śpiące Dziecko budzi się na północnym zachodzie... ratujcie się!

Jego słowa odbiły się od bruku alejek, zabrzmiały echem w studni i rozniosły po ulicach. Hector czekał. Nie było odpowiedzi.

–Anaisie – powiedział, cały czas obserwując ulice i alejki przed sobą – wróć do bramy i uderz w dzwon Dnia Targowego.

–Jesteś pewien, że on nadal tam jest? – zapytał Anais z powątpiewaniem. – Większość dzwonów w Kingston przetopiono na okucia statków, gdy rozpoczął się exodus.

–Ten dzwon znajdował się w Zakazanym Mieście, które przeoczono przy planowaniu exodusu. Jest zbyt duży, żeby mogli go zabrać ci, którzy czmychali stąd wszelkimi dziurami w murach. Dzwon, dopóki mury nie zaczną się kruszyć.

Pozostała trójka bezwiednie utworzyła z Hectorem krąg, stanąwszy do siebie plecami. Zwróćeni w cztery strony świata wypatrywali oznak jakiegó reakcji. Poza przesuwającymi się cieniami i szelestem rozlegającym się tu i ówdzie w ciemnościach nie było żadnej.

Stali więc z naciągniętymi, ale skierowanymi na kocie łby kuszami, nieruchomi jak te kamienie, nawet wtedy, gdy wielki dzwon rozbrzmiał głośno ze szczytu muru przy bramie.

Fale chropawego dźwięku mosiądzu płynęły pustymi ulicami, gdy Anais raz za razem uderzał w dzwon. Spod okapu budynku z błotnych cegieł stojącego w pobliżu studni dobiegł gwałtowny trzepot – stado nocujących tam gołębi spłoszyło się i pofrunęło w niebo, skrzecząc gniewnie.

Piętnaście długich minut bił wielki dzwon, jego dźwięk cichł zaś po kilku dłuższych chwilach po to tylko, by ponownie rozbrzmieć ogłuszająco. Hector nadal wpatrywał się w pociemniałe aleje, znosząc tę kakofonię bez mrugnięcia okiem, aż ostatecznie na końcu ulicy w pobliżu studni pojawił się ciemny zarys ludzkiej postaci. Mężczyzna poczekał, aż Anais zrobi przerwę w biciu w dzwon, po czym krzyknął na pustej ulicy:

–Kaź mu natychmiast przestać albo kaź go zastrzelić.

–To nie byłoby mądre polecenie – odkrzyknął Hector, podczas gdy troje jego towarzyszy uniosło kusze – za to ostatecznie, jakie wydałeś.

Koścista postać zaśmiała się chrapliwie. Mężczyzna z końca alei wyszedł, lekko kulejąc, w popołudniowe słońce, gdy dzwon zabrzmiał ponownie.

–Przestań, Anaisie – zawołał Hector, gdy chudy mężczyzna wyszedł na plac w tej samej chwili, w której dzwonienie znowu ustało. Niecierpliwie przyglądał się, jak mężczyzna oparł się na lasce i zwrócił twarz na południe, by rzucić okiem na odległy mur. Pozostali nie opuścili broni.

–Bądźcie łaskawi powiedzieć, co waszym zdaniem, robicie – rzekł wyniszczony mężczyzna z mieszanką zniecierpliwienia i dociekliwości. – Poza tym, że niepokoić gołębie i przerwaliście mi popołudniową drzemkę.

–Do portu wszedł ostatni statek ratunkowy. Przyszedłem tutaj podjąć ostatnią próbę ocalenia reszty ludzi króla.

Kościsty mężczyzna rozchylił usta w szerokim, szczerbatym uśmiechu.

–Ach – powiedział zadowolony z siebie, gładząc się chudą ręką po siwym, kilkudniowym zaroście. – Teraz przyczyna tego nieporozumienia jest jasna. Jesteś po

prostu w błędzie. – Jego ton stał się pojednawczy, z nutką przesadnej protekcjonalności, jakby mówił do dzieci. – Widzicie, to nie są ludzie króla, nigdy nimi nie byli. Król zapomniał o

tym miejscu dawno temu, podobnie jak przed nim jego ojciec i dziad. Teraz ja jestem tu królem... no cóż, tak naprawdę nazywają mnie Despotą... odkąd każdy, kto posiadał faktyczną władzę, już dawno wyjechał. To są moi ludzie. Ja decyduję, czy wyjadą, czy zostaną, czy będą żyli, czy zginą. – Pochylił się do przodu na swojej lasce, a jego szczerbaty uśmiech stał się jeszcze szerszy. – A ja mówię, że zostają. Zajmij się więc własnymi sprawami, szanowny rycerzu.

Pędź i wsiadaj na swój statek. Serdecznie dziękujemy ci za twoją wspaniałomyślną propozycję, ale z całym szacunkiem, jako król tych, którzy pozostają, odrzucam ją.

–Jesteś królem niczego – krzyknął Jarmon pogardliwie.

Despota roześmiał się.

–No cóż, mam więc coś wspólnego z Gwylliamem. Jakie to odrażające. Jestem królem w większym stopniu, niż on był kiedykolwiek, on, który przerażał poddanych swoimi wizjami, swoimi przepowiedniami kataklizmu, po czym ich opuścił. Jestem królem, który zrezygnował z przysługującego mu z urodzenia prawa, by ratować własną skórę. Ja przynajmniej zostałem z moimi ludźmi... zostałem na posterunku. W przeciwieństwie do Gwyllيامa nie jestem tchórzem.

Jarmon z pociemniałą od gniewu twarzą uniósł kuszę do oka.

–Wydadaj rozkaz, Hectorze – powiedział stary strażnik. – Chcę go usłyszeć.

–Nie ma czasu na twoje gierki, na twoją głupotę – odparł Hector krótko i uniósłszy rękę, ostrzegł Jarmona.

–Przestań więc marnować ten czas, jaki ci tu jeszcze został – rzekł Despota beznamiętnym tonem. – Wiesz, jak powstało to miejsce? Co tu warto ratować?

Zanim Hector odpowiedział, zmierzył go wzrokiem. Zawsze mówiono mu, że miasto za bramami pełne jest pułapek, ale ten wychudły mężczyzna nie miał według jego rozeznania żadnej broni, nie widział też otwartych okien czy drzwi, w którym mogliby się skrywać łucznicy. Nie miał pewności, czy mniej więcej przecnicę dalej Anais jest na czystej pozycji.

–Ich – powiedział po prostu, wskazując ciemne ulice i aleje. – Każdego, kto nie miał szansy wybrać życia, każdego, kto rozmyślnie został skazany. Mężczyznę. Kobieta. Dziecko. Każdego z osobna i wszystkich razem, którzy chcą wyjechać, bez względu na zbrodnie, jakich się dopuścili, bez względu na ich niewinność. W imieniu króla Gwyllيامa oferuję im tę szansę. A teraz odsuń się! Nie mamy na to czasu!

Stoimy na progu śmierci!

Oczy Despoty również pociemniały, ukazując pozbawioną duszy głębię.

–W takim razie, proszę bardzo, przechodź – rzekł lodowatym to nem.

–Wy pierwsi, Wasza Królewska Mość – odparł Hector.

Opuścił rękę.

Trzy bełty zostały wypuszczone równocześnie i trafiły wyniszczonego mężczyznę w oko, serce i czoło, wchodząc w niego, jakby był z pergaminu. Despota z głuchym odgłosem uderzył plecami o popękane kamienie brukowanego placu, podrywając w powietrze następne stado gołębi. Odgłos upadku i zrywających się do lotu ptaków poniósł się echem pustymi ulicami, po czym zapadła ogłuszająca cisza.

–Anaisie, uderz w dzwon jeszcze trzy razy – krzyknął Hector przez ramię.

Znowu dał się słyszeć metaliczny łoskot, który po chwili przebrzmiał stopniowo.

–A teraz chodźcie! – zawołał Hector w stronę Zewnętrznego Pierścienia. – Chodźcie z nami, jeśli chcecie pozostać przy życiu!

Dłuższą chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Potem – tak daleko, że z trudem dostrzegł to w ciemnych alejach – Hector zauważył, że cienie trochę zgęstniały, po czym się poruszyły.

Wolno, pojedynczo i parami, postaci zaczęły wychodzić na światło placu, niczym duchy w drgającym od słońca powietrzu, mrużąc oczy, jakby ich bolały. Wychudzeni mężczyźni, wyniszczone kobiety i kilkoro obszarpanych dzieci wystąpili, trzymając się blisko siebie, ze spuszczoneymi, pustymi oczami. Hector odetchnął – aż do tej pory nie miał pewności, czy w tym mrocznym mieście w ogóle jest ktoś, kogo można uratować.

–Sevirymie – zwrócił się do młodego żołnierza – zaprowadź tych ludzi na nabrzeże i zadbaj, by trafili na pokład statku. Gdy będziesz przechodził przez bramę, przyślij tu Anaisa. – Szybko przeszukamy dom po domu i Wewnętrzny Pierścień.

Sevirym skinął szorstko głową na wzmiankę o mrocznym wnętrzu Zakazanego Miasta, po czym odwrócił się i wykonał niecierpliwy gest w kierunku jakichś dwóch tuzinów ludzkich cieni wlokących się noga za nogą ku bramie.

–Chodźcie – krzyknął. – Chodźcie za mną do statku. – Będziecie mieli szansę przeżyć następny dzień.

Na kolejnych ulicach, w kolejnych budynkach z cegieł z suszonej gliny nie było żywej duszy; zostały tylko ludzkie szczątki. W Zakazanym Mieście było zdecydowanie więcej zwłok niż gdziekolwiek w zachodniej krainie, zbyt wiele, żeby je spalić czy choćby odmówić nad nimi modlitwę.

Przechodząc od jednego progu do drugiego, od filaru do filaru, wołali w puste korytarze i bili w ściany oraz schody, żeby obudzić kogoś na górnych piętrach czy poddaszach, ale zakłócili jedynie spokój szcurzych gniazd, śpiących ptaków i stad zdziczałych kotów, które wyżerały co się dało w tych kostnicach.

W końcu Anais, który przedostawał się z dachu na dach przez znaczną część miasta, zszedł na dół i stanął pośrodku ulicy przed wewnętrznym murem, który biegł prostopadle do reszty budynków, odgradzając Pierścień Zewnętrzny od leżących za nim ciemnych ulic. Czarna brama z kutego żelaza, przypominająca kształtem ogromną dziurkę od klucza, była wyrwana z zawiasów, metal zaś poskręcany z wściekłą brutalnością. Anais pochylił się, ciężko oddychając z wysiłku i frustracji.

–Pierścień Wewnętrzny musi zaczynać się tutaj – powiedział, łapiąc oddech. – Pewnie będziesz chciał tam wejść, co, Hectorze?

–Tak.

Anais westchnął.

–Oczywiście. Niepotrzebnie marnowałem cenny oddech na to pytanie. Bądź tak miły i daj mi chwilę, bo muszę odsapnąć. Robię się za stary na takie głupoty.

Hector nie odpowiedział. Ileż bym dał za to, żebyś miał szansę się zestarzeć, Anaisie, pomyślał.

–Słońce chyli się ku zachodowi – stwierdziła Cantha, osłaniając oczy dłonią o długich palcach i wpatrując się w nieprzeniknioną mgłę. – Dwie godziny i skryje się za horyzontem.

–Racja, a więc przed nami jeszcze najwyżej trzydzieści minut poszukiwań – rzekł Hector, kiwnięciem głowy dając znać Jarmonowi, żeby pociągnął skręcone wrota i otworzył przejście. – I trzymajmy się tutaj razem. W swoim czasie była to enklawa zła, coś, co najbardziej na tej wyspie przypominało Grobowiec Świata Podziemnego. Nie możemy pozwolić sobie na błąd.

Szybko przecisnęli się przez wejście, uważając, by nie zahaczyć o postrzępiony metal, i każdy z nich po raz pierwszy w życiu wkroczył na ulice Wewnętrznego Pierścienia.

Ich bezbarwność była uderzająca.

Budynki owych najmroczniejszych niegdyś zakamarków świata nie różniły się od tych w Pierścieniu Zewnętrznym, a nawet, jeśli już o to chodzi, w gęściej zaludnionych częściach zachodnich krain. Ulice tutaj były, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze spokojniejsze niż w świecie zewnętrznym, jeszcze bardziej pozbawione czegokolwiek wartościowego, co by zostawiono. Budynki stały w spokoju i wyglądały zupełnie tak samo jak zwykłe domy w dzielnicy mieszkalnej Kingston. Jediną różnicą było to, że tkwiły blisko siebie – tłoczyły się,

ściśnięte jeden obok drugiego przy wąskich ulicach. Gdzieniegdzie z okien zwisały sznury, wiążąc ściśle również powietrze nad ziemią.

Hector odsunął skrzydło drzwi, które wisało na jednym tylko zawiasie, i zajrzał do wnętrza zrujnowanego sklepu.

–Mój ojciec wiele razy chodził tymi ulicami – rozmyślał na głos. – Powiedział, że ciemność spowijająca to miejsce jest już w samym powietrzu. Musiała istnieć w nিকczemnikach, którzy tu mieszkali, bo odnosi się wrażenie, że zabrali ją ze sobą, opuszczając to miejsce.

–I dobrze – mruknął Jarmon. – Może przestłoniła im drogę na morzu i utonęli bez śladu.

Przeczesywali każdą ulicę, każdą aleję, wołając na zmianę, jak to robili w Pierścieniu Zewnętrznym, ale w tej mniejszej, bardziej zwartej części Zakazanego Miasta ich słowa pochłaniała panująca tu zachłanna cisza.

Na którymś z narożników w połowie drogi Cantha przystanęła i zwróciła się w stronę jednej z ulic. Pozostali poszli za nią obok grupy ciemnych budynków do miejsca, w którym – jak się wydawało – jednego z nich brakowało. Szara plama zimnego popiołu zajmowała miejsce pomiędzy nietkniętymi budynkami jak brakujący ząb w tępym uśmiechu.

Kithanka skierowała głowę pod wiatr i wciągnęła powietrze.

–Truciciele – powiedziała. Był to jedyny budynek w Pierścieniu Wewnętrznym, który został starty z powierzchni ziemi.

–Zabrali też ze sobą swoje tajemnice – rzekł Anais.

–Hectorze, nikogo tu nie ma – zawołał przytłumionym głosem zniecierpliwiony Jarmon. – Możemy już stąd iść? Szukaliśmy tak starannie, jak tylko mógłby sobie życzyć Bóg Jedyny i Wszechmogący. Wynośmy się stąd, zanim uruchomimy jakąś pułapkę albo odkryjemy inną oznakę pogardy pozostawioną dla sił Jego Królewskiej Mości.

Monodiere rozejrzał się po opuszczonych ulicach i pustych budynkach – milczących świadkach czynów, których i tak nie dałoby się opisać, nawet gdyby kamienie potrafiły mówić. Kolejna skarbnica tajemnic wchodzi do annałów Czasu, pomyślał zdeprymowany, po czym odwrócił się do pozostałych, którzy przyglądali mu się bacznie z ulicy.

–Tak – rzekł w końcu. – Dość poszukiwań. Zabierajmy się stąd.

Druga szalupa przygotowywała się do odpłynięcia, gdy Hector i pozostali wrócili na nabrzeże w Kingston.

Sevirym pomachał do bosmana, żeby zaczekał, i pobiegł w głąb portu, wypatrując we mgle swoich przyjaciół.

–Ktoś jeszcze?

–Nikt – powiedział Hector beznamiętnie. – Miasto jest puste.

Kapitan *Stormridera* pospiesznie wyszedł z mgły.

–Ten ładunek nie wypełnia statku nawet w dwóch piątych – rzekł posępnie. – To na pewno wszyscy?

–Obawiam się, że tak.

–Więc nie warto było się wysilać – mruknął Petaris Flynt. – Dwudziestka wyniszczonych ludzkich szczurów. To dla nich ryzykowaliśmy ugotowanie się i rozpadnięcie?

Hector spochmurniał w gasnącym świetle zachodzącego słońca.

–Nawet gdybyś ocalił tylko jedną duszę, byłoby to warte twojego wysiłku – powiedział z goryczą. – Szkoda, że mnie nie dano tej szansy. Wracaj na statek, kapitanie, i wypływaj. Spiesz do domu, do tego, kogo kochasz, ze swoim ludzkim ładunkiem. Opuść to miejsce, póki możesz.

Flynt skinął zdecydowanie głową.

–Dobrze. Wchodź więc na pokład, sir Hectorze, i będziemy ruszać ku Polom Lodowym.

Pięć par oczu wpatrywało się w niego zimno przez mgłę.

–Źle nas zrozumiałeś – powiedział w końcu Anais po długiej i niezręcznej chwili milczenia. – My nie wyjeżdżamy.

–Przysiągłem, że tu zostanę – wtrącił Hector, gestem nakazując Anaisowi milczenie. – Z polecenia mojego króla i pana mam tu zostać, by pilnować porządku w tych ostatnich dniach oraz zadbać o sukcesję.

–To szaleństwo! – sapnął Flynt. – Króla tu nie ma, sir Hectorze. Exodus się zakończył, i to zakończył się sukcesem. Nie zostało tu nic, czego należałoby strzec. Z pewnością twojemu królowi nie chodziło o to, byś został tu na pewną śmierć, teraz gdy wypełniłeś już swój obowiązek! Wchodź na pokład.

–Dziękuję, ale nie mogę.

–Z powodu rozkazu króla?

–Tak, z powodu rozkazu króla.

–W takim razie wasz król był głupcem – rzekł kapitan z pogardą. – Jeśli nie zostało tu już

nic, czego trzeba byłoby pilnować, w jakim celu suweren skazuje dzielnych ludzi na pewną śmierć, powierzając im pilnowanie niczego? Jaki człowiek, jaki król by tak postąpił?

–Mój król – warknął Jarmon z oczami pałającymi wściekłością, gdy przepychał się między Anaisem i Hectorem, by zatrzymać się tuż przed Flyntem. – Nasz król. Lepiej, żebyś więcej nie kwestionował jego rozkazów, jeśli sam nie chcesz stanąć twarzą w twarz ze śmiercią.

–Człowieku, pomyśl o swojej rodzinie – powiedział kapitan z rozpaczą, ignorując starego strażnika i zwracając się ponownie do Monodiere’a.

Hector pochylił się w jego stronę.

–Myślę o rodzinie w każdej chwili – rzekł, łagodnie odciągając Jarmona. – Ale złożyłem przysięgę mojemu królowi, a oni – ruchem głowy wskazał pozostałą czwórkę – złożyli przysięgę mnie. Dziękuję ci, kapitanie Flynt, za troskę i za twoje bohaterskie wysiłki na rzecz mieszkańców tej krainy, którzy tu pozostali. Ale tylko jeden z nas odpłynie z tobą.

Kapitan zamrugał. Przez chwilę w powietrzu wisiało napięcie, by ustąpić szokowi, gdy pozostałych czworo z malującą się na twarzach konsternacją popatrywało krzywo na siebie.

Hector odwrócił się i dał znak towarzyszom, skinąwszy głową ku dalszej części pirsu. Przeszli wspólnie połowę drogi do nabrzeża, potrząsając głowami i spoglądając na siebie zmieszani, dopóki Hector nie zatrzymał się z dala od kapitana i nie wskazał przez mgłę brzegu, na którym majaczyła ciemna góra worków z piaskiem.

–Cantho, Jarmonie, idźcie dalej – powiedział łagodnie. – Ty też, Anaisie.

–Ja?– krzyknął Sevirym, zbyt zdenerwowany, żeby powstrzymać cisnące mu się na usta słowa. – Odsyłasz mnie? Nie, Hectorze. Nie odpłynę.

Monodiere znowu dał sygnał swoim zaskoczonym przyjaciółom, każąc im odejść.

–Tak, Sevirymie – rzekł spokojnie, kładąc mu rękę na barku. Młody żołnierz strącił ją gniewnie wzruszeniem ramion. – Tak, odpłyniesz.

–Dlaczego? Czy nie byłem ci równie wierny jak pozostali? Czy okryłem cię hańbą, zawiodłem...?

–Nigdy – przerwał mu Hector, znowu kładąc rękę na ramieniu. – Posłuchaj mnie, Sevirymie. Czasu jest mało, a słów należy używać oszczędnie, żeby ich znaczenie się nie rozmyło. Żaden człowiek nie mógłby życzyć sobie wierniejszego towarzysza i lepszego przyjaciela, niż ty byłeś dla mnie, dla pozostałych... i dla tej umierającej krainy. Ale chcę, żebyś teraz popłynął z kapitanem, aby strzec uchodźców i zagwarantować, że nie będą się zachowywać wojowniczo. – Mimowolnie skrzywił się na widok bólu na twarzy przyjaciela.

–Chcę zostać tutaj, Hectorze.

Monodiere westchnął.

–No cóż, Seviryście, jeden z nas. Ja nie... ale to, czego ja chcę, nie ma znaczenia. Ani to, czego ty chcesz. Obaj jesteśmy niewolnikami tego, co trzeba zrobić, jak postanowił człowiek, który wydaje nam rozkazy. – Jego ton złagodniał. – Wypełniasz ten sam rozkaz króla co pozostali: „Zapewnijcie bezpieczeństwo mojemu ludowi w ostatnich dniach”. Ci wyniszczeni uchodźcy są w takim samym stopniu pod danymi króla jak ty czy ja. Potrzebują naszej ochrony. Zabierz ich stąd, Seviryście. Zabierz ich w bezpieczne miejsce.

Sevirym przymknął oczy, nie potrafiąc już zachować spokojnego oblicza.

–Rozkażesz mi to uczynić wbrew mojej woli i przysiędze? – zapytał głosem zduszonym z bólu.

–Tylko jeśli mnie do tego zmusisz – odparł Hector łagodnie. – Proszę cię raczej, żebyś zrobił to dla mnie jako mój przyjaciel i brat. Przysięgłeś, że będziesz stał u mego boku, pomagając wypełnić zadanie, które mi wyznaczono. Odplywając, pomożesz mi dużo bardziej, niż zostając na miejscu.

Długą chwilę Seviryście wpatrywał się w gnijące deski pirsu, słuchając pluskania przesłoniętych mgłą fal. W końcu skinął głową.

Hector z kolei skinął na trójkę na nabrzeżu i odwrócił się, żeby pójść z Seviryście na koniec pirsu. Anais podniósł rękę, a Seviryście w odpowiedzi bez entuzjazmu uniósł swoją. Jarmon skłonił głowę, po czym stanął plecami do morza. Tylko Cantha ani drgnęła, wpatrując się przenikliwie w mgłę z twarzą pozbawioną wyrazu.

–Porzucam ich i ciebie – mruknął Seviryście, gdy wracali do miejsca, gdzie czekały szalupy i kapitan statku. – Może będę żył, ale skazujesz mnie na życie tchórze.

Hector przystanął nagle i złapawszy Seviryście za rękę, zatrzymał go gwałtownie.

–Niech będzie przeklęty twój język, jeśli raz jeszcze powiesz coś takiego – rzekł szorstko. – I niech będzie przeklęta twoja głowa, jeśli w to wierzy. To, o co cię proszę, wymaga większej odwagi niż zostanie tutaj, Seviryście. – Proszę cię, żebyś żył. Zginąć jest

łatwo, każdy głupiec to potrafi. To życie wymaga odwagi. A teraz wsiądź na ten przeklęty statek i wypełnij swój obowiązek wobec króla, wobec mnie i wobec siebie.

Po chwili Seviryście podniósł wzrok i spojrzał dowódcy w oczy.

–Dlaczego ja? – zapytał cicho. – Popłynę, Hectorze, ale chcę wiedzieć, dlaczego wybrałeś mnie, a nie Anaisa, Jarmona albo Canthę.

Hector wypuścił powietrze.

–Ponieważ nigdy nie byłeś naprawdę przekonany, że zginiesz, Seviry mie. W przeciwieństwie do reszty ciągle miałeś nadzieję, że wyspę da się ocalić, że śmierć nie jest nieunikniona. I być może jest to znak od Boga Jedyne go i Wszechmocnego, że dla ciebie nie jest ona czymś nieuniknionym.

Sevirym przyglądał mu się dłuższy czas, po czym w końcu skinął głową z akceptacją w oczach.

–Znajdę Taltheę i twoje dzieci, Hectorze, i będę strzegł ich do ostatniego tchu.

Hector objął go.

–Dziękuję ci, przyjacielu. Powiedz Talthei, że byłem z nimi myślami do końca, i przekaż, co się tu wydarzyło. Powiedz jej wszystko, Seviry mie, wszystko. Nie oszczędzaj jej. Jest silniejsza niż wielu z nas. – Wzmocnił uścisk. – Powiem ci coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem ani nikomu nie powiem. – Nachylił się bardziej i szepnął przyjacielowi na ucho: – Nikt z nas nie powinien być zmuszony tu zostać.

Sevirym, niezdolny wykrztusić słowa, jeszcze raz kiwnął głową.

Podeszli do końca pirsu, który spowijały nieprzeniknione opary. Cień kapitana czekał bez ruchu. Hector przyglądał się, jak bosman dźwiga lampę z dziobu szalupy, żeby oświetlić Seviry mowi drogę na pokład, po czym uniósł rękę w ostatnim salucie.

W mglistej poświacie latarni szalupy Seviry m uniósł w odpowiedzi rękę.

Hector patrzył, starając się skupić wzrok, dopóki cień nie rozpląnął się w morskiej mgle, po czym odwrócił się do kapitana.

–Dziękuję – powiedział.

–A zatem to wszystko? – spytał z żalem Petaris Flynt. – Nie uda mi się skłonić cię do zmiany decyzji, sir Hectorze?

–To wszystko – odparł Monodiere. – Czy możesz zabrać parę koni ze stajni? Te wierzchowce też służyły swoim życiem królowi, jeśli więc znajdziesz dla nich miejsce, uratowanie ich uraduje moje serce.

Flynt smutno skinął głową.

–Co za strata – mruknął. – Garstka ludzkich szcurów, kilka chudych jak szkielety koni i jeden żołnierz, podczas gdy dzielni ludzie zostają tam, gdzie czeka ich zagłada. Przekaż moje przeprosiny dla twojego starszego przyjaciela, sir Hectorze. Król, który cieszy się tak

wielką wiernością i oddaniem tak lojalnych ludzi, naprawdę musi być wielki.

Hector powoli wypuścił powietrze z płuc.

–Był naszym królem – rzekł po prostu.

–Rozumiem – powiedział Flynt. Rzucił okiem na zachodzące słońce. – Każ swoim towarzyszom przypędnąć te konie i wprowadzić je na szalupy, bo, przed podniesieniem kotwicy uda nam się tylko raz popłynąć na statek. – Przygotowywał się do zejścia do najbliższej z pięciu pozostałych łodzi.

Hector zatrzymał go.

–Doszedłem do wniosku, że każde życie, które uda mi się ocalić, przedłuży trochę moje – powiedział, ściskając mu dłoń. – Dziękuję, że mi pan w tym pomógł, kapitanie

Flynt.

Żeglarz skinął głową.

–Żałuję, że nie dane mi będzie znać cię dłużej, sir Hectorze – powiedział, po czym wszedł do szalupy, wydał rozkazy załodze i zniknął w pochłaniającej wszystko mgle.

Gdy słońce zsunęło się za horyzont, czterej towarzysze stali na szczycie szańców z worków z piaskiem, przyglądając się, jak ciemne maszty *Stormridera* rozplywają się w mroku za gęstą mgłą, oraz wsłuchując się w bijące fale i wycie morskiego wiatru.

–I po wszystkim! – powiedział w końcu Jarmon, gdy nadeszła noc, pochłaniając ostatnie światło na niebie.

Pozostali milczeli. Anais zszedł z wału i podbiegł do końca pirsu, pozwalając, by otoczyła go mgła. Gdy dotarł na skraj, wpatrzył się w ciemność, ale nie powiedział ani słowa.

–Z Bogiem, Seviry mie – krzyknął ostatecznie na wiatr. – Uważaj na lód!

Hector też zszedł z wału.

–Wydaje mi się, że powinniśmy przeznaczyć z godzinę na wzmocnienie worków – powiedział, wycierając piasek z rąk. – Grube płótno już się skończyło, ale możemy nadal kopać piasek i obsypywać nim podstawę... – Głos zamarł mu w gardle, gdy jego wzrok spoczął na dwóch cieniach kryjących się na skraju ciemności.

Na odległym końcu kei, który graniczył z miastem, stała kobieta z ramionami ściśle owiniętymi strzępem poszarpanego szala. Bardziej przypominała zjawę niż istotę ludzką, nic nie mówiła, tylko wpatrywała się pustym wzrokiem w mgłę.

Obok niej tkwiło dziecko, chłopiec, jak się wydawało, chudy, o długich włosach i na tyle mały, że ciągle usprawiedliwiałoby to trzymanie go za rękę, chociaż stał sam. Jego oczy, podobnie jak oczy matki, były duże i w świetle pochodni wydawały się czarne, ale w przeciwieństwie do tamtych, nadal wykazywały oznaki życia.

Światło przygasło na chwilę, gdy Jarmonowi zadrżała ręka.

–Nie – mruknął. – Nie.

Przez chwilę na skraju pirsu słychać było jedynie nieustanne wycie wiatru. Lodowaty deszcz zacinał na opuszczonym nabrzeżu. Hector odwrócił się do pozostałych, gniewnie odsuwając włosy z oczu.

–Jarmonie, Cantho... znajdźcie mi jakąś łódź. Coś tu jeszcze musi być, jakaś szalupa, lekka łódź rybacka, cokolwiek...

–Hectorze – powiedział łagodnie Anais.

–Daj mi pochodnię – rzekł gwałtownie Hector, skinąwszy na Jarmona. – Szybko ich dowiozę. Na statku zobaczą światło...

–Przestań, Hectorze – powiedział Anais bardziej zdecydowanym tonem.

W cieniach rzucanych przez pochodnię widać było płonące jasno z rozpaczy oczy młodego rycerza.

–Na miłość boską, znajdźcie mi jakąś cholerną łódź...

–Przestań – powiedziała Cantha. Jej głos ciął przez wiatr. Pozostali odwrócili się i zobaczyli niewzruszoną twarz oraz oczy błyszczące ze współczucia czy, co bardziej prawdopodobne, od strumieni zimnej wody, które uparcie zalewały jej rzęsy. – Zabierz ich z tego deszczu.

Towarzysze przyglądali się swojemu dowódcy w milczeniu, z uwagą, nieświadomi, że mają coraz bardziej mokre ubrania i głowy. Monodiere zgiął się w pasie i oparł ręce na kolanach, jakby nagle zaparło mu dech w piersi. Stał w tej pozycji dłuższy czas, po czym skinął głową, wciągając powietrze.

–Schronimy się w stajni, dopóki burza nie minie – rzekł Anais, ściskając ramię Hectora, gdy przechodził obok niego w drodze do kobiety i dziecka. – To jedyny budynek, na którym ocalała większość dachu.

Hector skinął głową, ciągle zgięty wpół.

–Zabierzemy ich na noc do gospody na rozstajach dróg – powie dział, gdy mógł już wydobyć z siebie głos.

Kobieta ani drgnęła, gdy Anais się zbliżał, ale dziecko rozszerzyło oczy ze strachu i błyskawicznie schowało się za nią. Liringlaski żołnierz zatrzymał się, po czym odwrócił do pozostałych.

–Hectorze, ty najlepiej sobie z tym poradzisz – rzekł beznamiętnym tonem. – Nie wydaje mi się, żeby on wcześniej widział członka mojej rasy.

Monodiere wyprostował się i strząsnął krople deszczu z ramion i głowy.

–Ja też jestem po części Liringlasem, Anaisie.

Żołnierz wykonał niecierpliwy gest.

–Tak, ale bardziej przypominasz człowieka, ponieważ jesteś człowiekiem. Podejdź tutaj.

Hector wypuścił głośno powietrze i szybko stanął u boku Anaisa.

–Chodźcie z nami – powiedział do kobiety, ale ta zdawała się nie słyszeć; gdyby nie stała wyprostowana, byłby przekonany, że życie już opuściło jej ciało. Kucnął i wyciągnął rękę do dziecka. – Chodź ze mną – rzekł tym samym tonem, jakiego zwykł używać, by zachęcić własnego syna, który był tylko mniej więcej rok starszy od tego chłopca.– Zabierzemy cię tam, gdzie jest sucho.

Dziecko wyglądało zza kobiety, a woda ściekała mu po włosach. Hector skinął na nie ręką.

–Chodź – powiedział ponownie.

Chłopiec zastanawiał się jeszcze chwilę, po czym wziął kobietę za rękę i doprowadził ją, ciągle otulającą się przemokniętym już szalem, do mężczyzn.

Pochodnia Jarmona z sykiem zgasła w deszczu.

Dziecko spało przez całą drogę do rozstajów, opierając się w siodle o Hectora. Kobieta, która siedziała za Anaisem, również spała, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Jej puste oczy pozostawały otwarte, szkliste i patrzyły w dal, ale po przejechaniu mili oddech miała bardziej rytmiczny.

Nikt nie odezwał się słowem przez cały czas, który szóstka ludzi spędziła, tłocząc się, w stajni. Uporczywy deszcz szybko przerodził się w prawdziwą burzę, gwałtowną i ulewną. Strumienie wody bębniły na resztkach dachu stajni i wlewały się małymi wodospadami przez dziury.

–No cóż, przynajmniej konie się wydostały – stwierdził kwaśno Jarmon, przesuwając się, żeby uniknąć nowego przecieku.

–Za co należy być wdzięcznym – powiedział Anais.

Hector nie odezwał się.

Gdy przeszła najcięższa fala burzy, zostawiwszy ogromne chmury mgły zaścielające zimną ziemię, podróżni wyruszyli z Kingston na wschód, przez zniszczony łuk miejski, który kiedyś był cudem architektury, a którego strzaskane fragmenty leżały teraz na drodze. W ciemności zniszczenia nie były tak widoczne jak za dnia, a gdy pozostawili za sobą miasto, niewiele wskazywało na to, że w tę deszczową noc ze światem jest coś nie tak. Konie kłusowały lekko po błotnistej drodze, wyraźnie ożywione, być może odczuwając ulgę, że są z dala od oczyszczających stosów, znowu w chłodnej mgle

rozległych pól.

Po godzinnej jeździe dotarli do rozstajów dróg, na których stała legendarna gospoda, opuszczona obecnie i pozbawiona większości mebli. Gospoda na Rozdrożu zmieniła bieg historii w stopniu większym niż jakikolwiek inny budynek – było to miejsce najważniejszych zebrań i błogosławione schronienie podczas wojny sereńskiej dwa wieki wcześniej, a nawet po niej słynęło z gościnności, bezpieczeństwa i ogromnego kamiennego kominka, w którym nigdy nie wygaszano ognia. Teraz było ciemne i puste jak oczy jadącej z nimi kobiety. Brakowało drzwi, niegdyś ozdobionych złotym gryfem, który, jak powiadano, był talizmanem i sprawił, że gospoda pozostała nietknięta nawet w czasach, gdy wrogowie zajęli zachodnie krainy – zabrała je za morze pierwsza flota. Wejście ziało dziurą niczym mroczna jaskinia.

Być może gościnność była nierozzerwalnie związana z tym miejscem, ponieważ nawet teraz się ją odczuwało, chociaż z gospody pozostał tylko szkielet. Było to ich ulubione miejsce odpoczynku, wciąż też było schronieniem, nawet pod nieobecność właściciela, szynkarza, duchów ogniska domowego i przy braku drzwi.

Jarmon zsiadł z konia, zapalił pochodnię i wszedł do środka, rozglądając się, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Gdy on szybko sprawdzał pustą karczmę i pokoje, Cantha pomagała Hectorowi i Anaisowi zdjąć z koni ich ludzki ładunek.

–Skąd oni się wzięli? – zapytał Hector, gdy chłopiec sennie objął chudymi rękami jego szyję.

–Założę się, że z rynku – powiedział Anais, pomagając kobiecie zsunąć się z siodła.

–Jak mogliśmy ich przeoczyć?

Jego przyjaciel wzruszył ramionami.

–Nie wiem, czy przeoczyliśmy. Mogli przyjść z terenów położonych na wschód od Wielkiej Rzeki lub z wioski nad samą rzeką. Nie możemy uratować wszystkich, Hectorze, chociaż ty oczywiście upierasz się, żebyśmy próbowali. Z pewnością musisz już zdawać sobie z tego sprawę.

Monodiery delikatnie pogładził śpiącego chłopca po plecach, myśląc o innym, podobnym do

niego dziecku.

–Zdaję sobie z tego sprawę, Anaisie.

Cantha odjechała w ciemność i choć obaj mężczyźni zauważyli jej zniknięcie, nie skomentowali go. Przyzwyczaili się do jej nocnych wypraw, podczas których jednoczyła się, jak wszyscy członkowie jej rasy, z wiatrem.

–W środku czysto – zawołał Jarmon z kręgu migoczącego światła w gospodzie.

–Dobrze. Rozpal ogień, Jarmonie. Anaisie, zejdź do piwnic i przynieś prowiant, jeśli jeszcze coś zostało. – Wkroczył mrocznym wejściem do zimnej tawerny.

Idący za nim Anais skinął głową.

–Coś powinno jeszcze być, chyba że dobrało się do niego robactwo. Seviryum złożył tam całkiem spore zapasy. – Wprowadził kobietę do środka, po czym puścił jej rękę, skierował się ku schodom i chichocząc cicho, zaczął po nich schodzić do ukrytego przejścia, gdzie trzymano żywność. Odwrócił się na pogrążonych w ciemnościach stopniach z błyskiem w srebrzystych oczach. – Pamiętasz, jak powiedział, że nie ma sensu przetrwać zagłady tylko po to, żeby umrzeć z głodu?

Hector uśmiechnął się lekko w odpowiedzi.

–Tak.

–Dobrze zrobiłeś, wysyłając go na *Stormriderze*, Hectorze – zawołał Anais przez ramię, schodząc do piwnic.

–Cieszę się, że tak uważasz, Anaisie.

–To prawda – zgodził się Jarmon kwaśno, dmuchając na iskry w kominku. – Teraz przynajmniej umrzemy w spokoju.

Chłopiec obudził się, gdy smużki dymu niosące zapach szynki dotarły do jego nozdrzy; zanim wróciła Cantha, jadł już łapczywie w migoczącym świetle ognia płonącego w kominku.

Anais przestał żuć na chwilę, żeby ją wypytać.

–No, Cantho, co dziś w nocy wiatr miał do powiedzenia? – spytał żartobliwie, podsuwając talerz, który zostawili dla niej na ciężkim blacie stołu. Czekał na miażdżące spojrzenie, które tylko jemu sprawiało satysfakcję.

–Dużo – odpowiedziała chłodno, rzucając kamizelkę na kominek, by wyschła, i siadając obok niego. – Ale wszystko było niejasne.

Trzej mężczyźni utkwili w niej wzrok, gdy sięgnęła po talerz i zabrała się do jedzenia. Czekali w pełnym napięcia milczeniu, żeby coś dodała, ale Kithanka tylko skończyła kolację i pociągnęła duży łyk tak cenionego przez Seviryma cydru.

Długo jedynym dźwiękiem w ogromnej gospodzie było trzaskanie ognia. W końcu Hector podał chłopcu nie tkniętą przez jego matkę kolację i milcząco kazał mu namówić ją, żeby zjadła.

–Cantho – spytał, patrząc, jak kobieta bierze z talerza kawałek zeschniętego sera i przygląda mu się – co mówi wiatr?

Podświetlone ogniem z kominka oczy Canthy były czarniejsze od otaczających ich ciemności. Kasztanowa skóra jej szczupłej twarzy jarzyła się pomarańczowo w odbitym świetle płomieni.

–Coś nadchodzi – powiedziała tylko.

–Co? – zapytał Jarmon. – Co nadchodzi?

Cantha pokręciła głową.

–Gdy wiatry przemawiają, zwykle są jednością – odparła, a jej zachrypnięty głos zabrzmiał czysto.

Po chwili zmienił się, zgrzytając im wszystkim w uszach. Było w nim wycie wielu pozbawionych tonu głosów, kakofonia krzyków nasilających się i cichnących w sporadycznych dysonansach.

–Tym razem nie są – powiedziała dysonansowym głosem wiatru. – Strasznie zawodzą, jakby były przerażone. To, co mówią, pełne jest zamętu, niejasne. Ale cokolwiek nadchodzi, wiatry się tego boją.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. W głosie Canthy słyszeli wycie morskich wiatrów, dudnienie grzmotów, koszmarny rytm zniszczenia, gdy porywy wichury uderzały w budynki, obracając je w perzynę. Brzmiało to niemal jak odgłosy bitwy, zamęt, wrzaski, poczucie krańcowego zagubienia w wirze wojny. Wiatr przepowiadał coś strasznego, ale nie było to nic nieoczekiwanego.

Anais chciał, żeby mimo wszystko powiedziała to na głos.

–Więc co, twoim zdaniem, nadchodzi? – zapytał.

–Koniec – odparła Cantha.

Gdy równo palący się w kominku ogień przegnał już z ogromnych pomieszczeń gospody

chłód pustki, podróżni zaczęli jeden po drugim zasypiać. Najpierw zasnął Jarmon; będąc całe życie członkiem Straży Królewskiej, nauczył się nie spać i czuwać przez wiele dni, a tym samym też błyskawicznie zasypiać, gdy tylko miał możliwość. Jego poślanie leżało za resztkami baru – z grzeczności wobec innych, bo Anais skarżył się

kiedyś, że strasznie głośne chrapanie Jarmona sprawia, iż łuk mu się wygina, a miecz rdzewieje.

Kobieta, która jak dotąd nie zareagowała na żadne pytanie, usnęła wkrótce po Jarmonie. Chłopiec bawił się wesoło z Anaisem, ciskając nożem z różnych pozycji tak, aby utknął on w ziemi, i ponad godzinę siedział na kolanach Hectora, tworząc różne postaci z cieni rzucanych na ścianę w świetle ogniska, zanim w końcu zwinął się przy niej w kłębek pod peleryną Monodiére'a.

Wreszcie i Cantha zajęła swoje miejsce przy otwartym wejściu, gdzie wiatr mógł owiewać ją we śnie, trzymając swego rodzaju wartę, chociaż nawet ryzyko, że zbójcy, którzy nadal przebywali w tej skazanej na zagładę krainie, zbliżą się do gospody, było niewielkie. Jej sława jako enklawy dobra i bastionu tych, którzy go bronią, przetrwała ewakuację i wciąż się utrzymywała.

Gdy reszta już zasnęła, dwaj przyjaciele z dzieciństwa wręczali sobie na zmianę bukłak z winem, oddając się w milczeniu rozmyśleniom. W końcu Anais spojrzał na Hectora, który zadumany wpatrywał się w ogień, i pochylił się do przodu, patrząc jasnym, ale poważnym wzrokiem.

–A więc dziewczynka – powiedział łagodnie.

Hector skinął głową.

–Bliźniaki muszą się cieszyć – rzekł Anais, mając na myśli własne córki. – Były trochę obrażone, gdy okazało się, że twój Aidan to chłopiec.

–Ale i tak cała trójka świetnie się razem bawiła – powiedział Hector, odchylając się i krzyżując nogi na kamieniach kominka. – Świadomość, że nasza przyjaźń została przekazana następnemu pokoleniu, jest dla mnie pociechą.

–Jak ma na imię? Flynt stwierdził, że będziesz wiedział.

Hector znowu kiwnął głową.

–Ustaliliśmy, że jeśli urodzi się dziewczynka, a Talthea, ujrzawszy ją, nie poczuje, że będzie to coś niewłaściwego, otrzyma imię Elsynore.

Anais pociągnął kolejny łyk wina.

–Wspaniała imienniczka – powiedział, unosząc w zabawnym toaście bukłak w kierunku ognia. – Elsynore z Briarwood. Wspaniały sereński wzór do naśladowania.

–Tak, ale nie tylko to kryje się za tym imieniem – rzekł Hector, przyglądając się płomieniom tańczącym i strzelającym nad rozżarzonymi węglami w starym kominku. – Smoczyca, która otworzyła swoje ziemie dla króla i uchodźców...

–Ach, oczywiście. Elynsynos, tak? Nadałeś to imię córce, żeby oddać jej cześć.

–Z pomocą liringlaskiej Bajarki. Nadaliśmy dziecku oba imiona, które wybraliśmy, męskie i żeńskie, żeby można było nazywać je przed urodzeniem.

Anais zachichotał.

–Liczyliście na to, że nadanie dziecku imienia podobnego do imienia smoczycy powstrzyma ją od zjedzenia go?

Z oczu Hectora zniknęło ciepło i odwrócił się, przyglądając się cieniom tańczącym w mroku za nimi. Wpatrywał się w ciemną postać Canthy drzemiącej w otwartym wejściu, po czym rzucił okiem na śpiące dziecko i jego matkę. Nie widział Jarmona, ale zgrzytliwe chrapanie, które nasilało się i słabło w regularnym, niemal marszowym tempie, dowodziło, że śpi mocno.

–Przyznaję, że wieść, iż mój ojciec i druga flota musiały zboczyć do Manosse, dodała mi otuchy – powiedział w końcu. – Manosse dzieli od ziem smoczycy ocean. Jest to od dawna cywilizowany naród o silnym handlu morskim, armii i kupiectwie, ma więc

wszystkie oznaki bezpiecznego miejsca. Oddanie ich pod jego opiekę, gdy wszyscy wiedzieliśmy, że znajdują się na nie naniesionych na mapy ziemiach poza znanym światem, ziemiach będących we władaniu starożytnej smoczycy, której gościnność zawdzięczamy wyłącznie Merithynowi, było dla mnie chyba najtrudniejszą decyzją w życiu. Teraz przynajmniej wiem, że będą bezpieczni.

–Póki będą przebywać w Manosse – stwierdził poważnym tonem Anais. – Każdy uchodźca w czasie zaokrętowania składał królowi hołd lenny na róg, pamiętasz? Mają obowiązek stawić się, gdy tylko róg zabrzmi, pokolenie za pokoleniem. Jeśli Gwylliam go użyje, nie będą mieli wyboru. Będą musieli znowu popłynąć do krainy smoczycy. – Zauważył, że ramiona przyjaciela trochę opadły. – Ale powinno cię uspokoić to, że zdaniem Merithyna jest to bezpieczny i dostatni raj. Gdy z pozostałymi badaczami króla wyruszył na poszukiwania miejsca, do którego mógłby się przenieść nasz lud, nikt, kto skierował statek do tej krainy, nie przeżył, żeby o tym opowiedzieć. Ponieważ był jedynym badaczem Gwylliana, który wrócił, i to ze wspaniałomyślną ofertą azylu, zaryzykowałbym stwierdzenie, że on wie, co mówi.

–Któż to może wiedzieć? – rzekł Hector ze smutkiem. – Któż może wiedzieć, czy

komukolwiek z nich udało się dotrzeć do krainy smoczy? Flynt stwierdził, że nie było żadnych wieści od pierwszej i trzeciej floty. Któż to może wiedzieć? Ale Bóg Jedyny i Wszechmocny obdarzył nas w tych ostatnich dniach słodką łaską. Wiemy przynajmniej, że nasze rodziny są bezpieczne w Manosse. Gdy wyjeżdżały, nie spodziewałem się już o nich usłyszeć. A teraz, jak to Jarmon lubi powtarzać, mogę umrzeć w spokoju.

Anais podniósł się od kominka i przeciągnął leniwie.

–Tak, ale najlepiej nie dzisiaj w nocy – powiedział. – Jakie mamy teraz plany, Hectorze? Czy jest jeszcze jakiś powód, żebyśmy wrócili na naszą trasę? Jeśli, jak uważa Cantha, nadchodzi koniec, dlaczego nie przeżyć go tutaj? Jest tu jedzenie, drewno na opał, schronienie i, co najważniejsze, piwo. Wygląda to na dobre miejsce do spędzenia ostatnich dni.

–Tak – zgodził się Monodiere. – Myślę, że to, co mówisz, jest mądre, chociaż podejrzewam, że twoje upodobanie do znakomitego piwa może mieć całkiem sporo wspólnego z tą propozycją. – Rzucił okiem na kobietę i chłopca. – A głupotą byłaby próba pokonania naszej zwykłej trasy z nimi. Ta kobieta to żywy trup i nie jest w stanie zadbać nawet o własne dziecko. Równie dobrze możemy tutaj urządzić ich, siebie zresztą też, jak najwygodniej. – Wytrzepał swój obozowy koc, rozpostarł go przed kominkiem, po czym ułożył się na nim do snu. – A poza tym jesteśmy na tyle blisko miasta, że możemy dwa razy dziennie zajmować się układaniem worków z piaskiem.

Anais jęknął i przetoczył się w stronę ognia.

Zastygli, śniąc o Drzewie Świata i o twarzach, których już nigdy nie zobaczą, i spali tak przed węglami, dopóki z bezruchu nie wyrwał ich ostry, metaliczny dźwięk wysuwanego z pochwy miecza Canthy.

Jednym płynnym ruchem, który przeczył jej wiekowi, starożytna Kithanka podniosła się, sprężyła i przestąpiła próg, wychodząc na zewnątrz, tam gdzie przedświt zabarwił niebo na przydymioną szarość oznaczającą, że rychło wstanie dzień.

–Stój! Ktoś ty? – zawołała chrapliwie w mrok.

Chwilę później mężczyźni znaleźli się tuż za nią. Wyglądali przez ościeżnicę, podobnie jak ona sprężeni, nasłuchując w półmroku dźwięku, który zwrócił jej uwagę.

Na rozdrożu stał koń, tańcząc z wyczerpania w miejscu. Na nim jeździec, pochylony ze znużenia, usiłował siedzieć prosto w siodle.

–Pomóżcie mi – zawołał głosem starca. – Jestem Brann z wioski Dry Cove na północnym wybrzeżu Kyrlan de la Mar. Szukam żołnierzy króla.

–Jarmonie, przynieś mi latarnię – polecił Hector.

Wyszedł w zimne, szare powietrze, obserwując uważnie, jak jeździec zsuwa się z wierzchowca, chwiejnie postępuje krok naprzód, po czym pada na środku drogi. Gdy mężczyzna się przewrócił, koń odsunął się od niego na kilka kroków, co Hector wziął za oznakę jego kiepskiego ułożenia lub braku umiejętności jeźdźca. Kiedy miał już w ręce latarnię, dał sygnał Anaisowi, żeby czekał z chłopcem i kobietą, po czym skinął na Canthę i Jarmona, żeby poszli za nim.

–Czego chcesz? – krzyknął, zbliżając się.

–Szu... szukam żołnierzy... króla – powiedział starzec chrapliwie.

Monodiere uniósł latarnię, żeby lepiej oświetlić mężczyznę na drodze. Sądząc z tego, co można było zobaczyć w cieniu, był człowiekiem, starym człowiekiem o siwych włosach, które wisiały mu wokół twarzy niczym suche liście na drzewie późną jesienią.

–Jestem Hector Monodiere, w służbie Jego Królewskiej Mości Gwyllliama, króla Serendair. Czego ode mnie chcesz?

–Pomocy, panie rycerzu – wychrypiał mężczyzna, odsuwając flaszkę z wodą, którą podawał mu Jarmon. – Śpiące Dziecko się budzi.

–Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Czego ode mnie w związku z tym oczekujesz?

W nabiegłych z wyczerpania krwią oczach starca utrzymywał się rozpaczliwy błysk, który można było dostrzec nawet w tej szarówce.

–Być może jest sposób, by to powstrzymać... a przynajmniej ograniczyć powódź, która z całą pewnością nastąpi po jego przebudzeniu.

Trójka towarzyszy spojrzała po sobie, a Jarmon splunął na ziemię.

–Obłąd – mruknął, gdy Hector wziął mężczyznę pod ramię i po mógł mu wstać. – Jechałeś taki kawał drogi z północnego wybrzeża, żeby nam o tym powiedzieć? Dlaczego nie uciekłeś z innymi na wyżej położone tereny na wschodzie czy w Wysokie Turnie?

W świetle latarni lepiej było widać rysy mężczyzny. Jak zauważyli już wcześniej, był człowiekiem, ciemnokim i starym, chociaż najwyraźniej postarzał się głównie z powodu trudów życia w północnym klimacie, na surowym wybrzeżu morskim o kamienistych plażach i wysokich falach, gdzie tylko ludzie najbardziej niezłomnego charakteru wytrwale pływali niedaleko ujścia Wielkiej Rzeki. Odziany był w postrzępiony nieprzemakalny strój rybaka. Rozkład i gnienie wyczuwało się w jego ubraniu i oddechu, podobnie jak u większości ludzi, na których natknęli się po odpłynięciu flot; teraz również ich ubrania i oddechy zaczynały nimi przesiąkać. Mężczyzna cuchnął wyjątkowo, a do tego dochodził jeszcze towarzyszący życiu na morzu zapach ryb, którego nigdy nie da się wywabić całkowicie z rąk i ubrania rybaka.

–Moi ludzie są starzy – powiedział. – To, o czym mówisz, może się wydawać łatwe i pewnie takie byłoby dla młodszych, bardziej krzepkich. My jednak od bardzo dawna żyjemy nad morzem, sir Hectorze. Jesteśmy słabi. Ucieczka byłaby męczącym przedsięwzięciem, którego wielu z nas by nie przeżyło. Jeśli Przebudzenie ma wyznaczyć nasz los, jesteśmy gotowi go przyjąć.

–To dlaczego tu przyjechałeś? – zapytał rozdrażniony Jarmon. – Na tej skazanej na zagładę wyspie są inni tacy jak wy – Liringlasowie, Bolgowie, Bengardowie, Gwaddowie, ludzie – ci wszyscy, którzy postanowili, z siebie tylko znanych powodów, zignorować wizję króla i zostać tutaj. Nie możemy wam teraz pomóc. Zaproponowano wam wyjazd. Odrzuciliście ofertę. Przypieczętowaliście już swój los.

–Uspokój się, Jarmonie – powiedział cicho Hector. Zwrócił się do starca, którego nadal podtrzymywał za ramię. – Wejdz do środka i się ogrzej. Mamy jedzenie i picie, którym z radością się z tobą podzielimy.

Starzec pokręcił głową.

–Nie, nie, sir Hectorze. Nie ma czasu. Musisz mi pomóc... wy... wydaje mi się, że znaleźliśmy... sposób...

–Cantho, wezwij Anaisa – rzekł Monodiere. Poczekał, aż liringlaski żołnierz znajdzie się w pobliżu, po czym zapytał raz jeszcze: – Czego ode mnie oczekujecie?

Ze środka plamy światła rzucanego przez latarnię Brann wskazał w ciemność na południowym wschodzie, gdzie horyzont zaczynał się rozjaśniać.

–Jedź do zamku Elysian – powiedział silniejszym głosem. – Wiem, że strzeżesz symbolu króla, jego berła, sir Hectorze. Jest... mi potrzebne.

Jarmon błyskawicznym ruchem chwycił nie stawiającego większego oporu mężczyznę za koszulę i unióśł go nad ziemię.

–Zuchwały pies – warknął starcowi prosto w twarz, z trudem utrzymując wściekłość na wodzy. – Stoimy na krawędzi śmierci tego kraju, zrezygnowaliśmy ze wszystkiego, co mieliśmy, żeby zostać tutaj z kretynami i niewiernymi, którzy śmierć postawili nad życie zaoferowane im przez króla, a ty naprawdę myślisz, że okrylibyśmy się hańbą, robiąc coś takiego dla ciebie podobnych?

–Puść go, Jarmonie – rozkazał mu gniewnie Hector. – Opanuj się.

Strażnik z pogardą rzucił starca na ziemię. Monodiere przykucnął obok rybaka, który trząśł się ze strachu, i przytrzymał go za ramię.

–Potrzebne do czego? Pytam jeszcze raz. Czego ode mnie oczekujecie?

Przez chwilę mężczyzna przebiegał wzrokiem po twarzach patrzących na niego z góry żołnierzy. W końcu skupił się na twarzy Hectora i wydawało się, że to, co w niej zobaczył, uspokoiło go.

–Z najwyższego punktu naszej wioski zawsze można było zobaczyć północne wyspy za cieśniną, która skrywa grób Śpiącego Dziecka, w każdym razie przy dobrej pogodzie – zaczął z wahaniem. Głos mu się łamał. Hector zachęcił go skinieniem głowy. – Teraz morze wrze, a większość linii brzegowej cofnęła się, podczas gdy gwiazda się budzi, gromadząc ciepło i siłę. To, co kiedyś było basenem pływowym Dry Cove, teraz jest piaskiem, panie rycerzu. A gdy morze się cofnęło, odsłoniło coś ogromnego, coś sięgającego innego wieku w Czasie.

–Co? – zapytał Anais.

Starzec przełknął ślinę, kiedy jego wzrok powędrował ku liringlaskiemu żołnierzowi, po czym znowu skupił się na Monodierze.

–Wygląda to na starożytną kopalnię, sir Hectorze, być może srebra, chociaż w Pierwszym Wieku, w Dniu Bogów, zanim jeszcze gwiazda spadła na Ziemię, w skorupę ziemską zagłębiały się kopalnie wszelkiego rodzaju, z których członkowie starożytnych ras czerpali bogactwa tak, jak teraz ludzie wyciągają ryby z morza. Jej ogromu nie da się opisać słowami, przynajmniej ja nie potrafię. Można najwyżej zobaczyć grzbiety i zagłębienia określające niektóre z jej krańców, ale nie wszystkie, odsłonięte teraz przez ucieczkę wody z obszarów pływowych morza, gdy Dziecko przygotowuje się do przebudzenia.

Hector wzruszył ramionami.

–Wciąż nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną czy z berłem króla.

Brann mówił powoli, z namysłem, nerwowo wodząc wzrokiem od jednego żołnierza do drugiego.

–Powiada się, że przed końcem Pierwszego Wieku znaczna część tego, co obecnie znajduje się pod powierzchnią morza, była stałym lądem. Gdy gwiazda Melita, teraz znana jako Śpiące Dziecko, uderzyła z nieba w Serendair, zabrała ze sobą dużą część wyspy, sir Hectorze. Nasze północne wyspy – Balatron, Briala i Querel – były wtedy górskimi szczytami. Wskutek powodzi, która nastąpiła, pod wodą znalazła się niemal połowa pól uprawnych królestwa. Przez stulecia Serendair nosiło nazwę Połowa Krainy, tak wielką jego część pochłoniął ocean po uderzeniu gwiazdy. W tamtych czasach, jeszcze przed pierwszym kataklizmem, po wyeksploatowaniu kopalnia owa, jeśli tym właśnie jest, została prawdopodobnie zamknięta przez jednego z królów władających rasą, która z niej korzystała. Kopalnia tej wielkości byłaby niebezpieczna już choćby z powodu samych swych rozmiarów, ale mogły istnieć także inne powody. Kopalnie, w których złoża się wyczerpały, płyną rzekami kwasu i płoną ogniem, które jedynie czas może powstrzymać. Są w nich

zdradzieckie przepaście i głębokie szyby. Kopalnia tej wielkości musiała być niezwykle niebezpiecznym miejscem, więc ją zamknięto, ogromne wrota zatrzaśnięto i zabezpieczono, wydawać by się mogło, na zawsze. – Głos starca, zachrypnięty z wysiłku, przycichł i mężczyzna nachylił się do Monodiére'a, chcąc mieć pewność, że ten go słyszy. – Sądźmy, że znaleźliśmy te wrota, sir Hectorze.

–I uważacie, że królewskie berło je otworzy?

–Tak – powiedział Brann, a oczy rozbłyły mu z podniecenia. – W rękę króla lub osoby, która występuje w jego imieniu. To może być klucz, z pewnością zaś to ostatni tutaj symbol władzy królewskiej, jedyny symbol jego dominium, którego nie zabrał ze sobą. Te wrota są zwrócone ku grobowi Śpiącego Dziecka i zamknięte w większym stopniu rozkazem królewskim niż za pomocą zamka. Być może, jako regent króla, mógłbyś wykorzystać swą władzę i spróbować je otworzyć. Jeśli uda się rozchylić wrota przed Przebudzeniem, być może – tylko być może – kopalnia ta stanowić będzie swego rodzaju naturalną groblę, tamę, rów odwadniający... to gigantyczna podziemna jaskinia na skraju morza. Z pewnością uzasadnione jest przypuszczenie, że można zmniejszyć rozmiary katastrofy, jeśli martwą falę skieruje się w całości czy choćby w części do tej wielkiej dziury w ziemi. – Zamilkł, przypatrując się bacznie rycerzom, którzy odeszli od niego, żeby się naradzić.

–To śmieszne – mruknął pod nosem Jarmon. – Nie da się zmieścić morza w dziurze w ziemi, tak samo jak nie da się tego zrobić w filiżance do herbaty.

–Niekoniecznie – powiedział Anais, zastanawiając się. – Rybak ma rację, że za pierwszym razem wyspę ocaliły naturalne wały: góry, rafy, nisko położone tereny, które otaczały pierścieniem większy Serendair. Morze pochłonęło część linii brzegowej, ale nie całą.

–Przypominasz mi Seviryra – zakpił Jarmon. – Anaisie, proszę, zapewnij mnie, że trudy układania worków z piaskiem nie przyćmiły ci aż tak bardzo rozumu. – Odwrócił się do Monodiére'a i zobaczył, że dowódca pogrążony jest w myślach. – Ty też, Hectorze. To głupota, stek bzdur.

–A jeśli nie, Jarmonie? – rzekł Hector. – A jeśli w tych ostatnich dniach Bóg Jedyny i Wszechmocny podał nam rozwiązanie? Czy tak trudno uwierzyć, mieć nadzieję, że moglibyśmy zostać oszczędzeni, lub częściowo oszczędzeni, dzięki jego łasce?

–Czy podważasz wizję króla? – dopytywał się wzburzony Jarmon.

–Sam król miał wątpliwości – powiedział łagodnie Hector. – Gdyby miał większą pewność, że kataklizm, który przewidział w dniu swojej koronacji, oznacza całkowite

zniszczenie wyspy, nigdy nie zostawiłby tu nas, nie zostawiłby mnie, żeby zadbać o następstwo tronu. – Spojrzał na Canthę, której oczy zwięziły się z podejrzliwości. – Nie mam racji, Cantho? Stoję w cieniu króla. Pochodzę z jego rodu i jestem jego regentem, by utrzymać jego panowanie nad tą krainą. Jeśli wyspa przetrwa Przebudzenie, dlatego że

zostałem tu, w imieniu Gwyllliama, jego sukcesja również przetrwa. Może wrócić i bez walki odzyskać tron.

–Tak – stwierdziła szorstko Cantha.

–Jeśli zatem sam król dopuszczał możliwość, że całkowite zniszczenie nie jest nieuniknione, to czy i my nie moglibyśmy dopuścić tej możliwości?

Anais dotknął łokcia Hectora.

–A czy nie jesteś bardziej skłonny w to uwierzyć dopiero teraz, z powodu tych, którzy spóźnili się na *Stormridera*? - zapytał w języku Liringlasów.

Monodiere milczał chwilę, po czym wzruszył ramionami.

–Nie wiem już, co mną kieruje – powiedział otwarcie. – Nie po trafię nawet domyślić się, co w tych okolicznościach zrobiłby mój ojciec, a to zawsze było dla mnie probierzem, wskazówką. Podobnie jak w wypadku wiatru, który Cantha opisała ostatniego wieczoru, mam w głowie zamęt. Anaisie, niewiele już zostało we mnie pewności. Mogę tylko powiedzieć, że mnie możliwość ta wydaje się obiecująca, prawdopodobnie dlatego, że pozwala nam cokolwiek zrobić. Chociaż spędzenie ostatnich dni w gospodzie na obżarstwie i opilstwie może się wydawać przyjemne, ten pomysł jakoś mi nie odpowiada. Chlubę przyniesie nam podjęcie próby. Wolałbym zginąć, robiąc coś daremnego, niż przeoczyć szansę ocalenia tego, co mogę.

Pozostała trójka rozważała to w milczeniu. W końcu odezwał się Anais.

–No cóż, nawet z tym mętlikiem w głowie nadal jesteś naszym dowódcą, któremu złożyliśmy przysięgę, Hectorze. Jeśli chcesz podjąć próbę, jesteśmy z tobą. – Spojrzał na Canthę i Jarmona. – Jesteśmy?

–Jesteśmy – rzekł Jarmon.

Cantha ledwie zauważalnie skinęła głową.

Hector zastanawiał się jeszcze chwilę, po czym odwrócił się do starca na środku drogi.

–Spełnię twoją prośbę – powiedział w końcu. – Ale żeby wszystko było jasne: nie wypuszczę berła z ręki.

Twarz mężczyzny zmarszczyła się z ulgi.

–Zgoda. Żaden z moich ludzi nie myślał o niczym innym. I wiedz, panie rycerzu, że bez względu na to, czy ci się powiedzie czy nie, mieszkańcy mojej ojczyzny będą ci zawsze wdzięczni za wszystko, co dla nas zrobisz.

Nawet podejrzliwa z natury Cantha usłyszała w słowach mężczyzny jedynie niezaprzeczną szczerość.

Słońce już wyłoniło się całą tarczą zza horyzontu, gdy siedmioosobowa grupa ruszyła za jaśniejącym porankiem na wschód. Mgła ścieliła się po ziemi, więc wyglądało to tak, jakby jechali złotą drogą w chmurach.

Chłopiec, który wciąż nie zdradził swojego imienia, siedział w siodle przed Hectorem, ciesząc się świeżą bryzą i wspaniałością jesieni, która zaczynała obejmować we władanie okolice. Dziecko czarnych jak sadza miejskich ulic było zauroczone widokiem dzikich polnych kwiatów zaszuszonych przez pierwsze przymrozki, rozległych pól, które układały się w ogromne fale niczym trawiaste morze, wciąż jeszcze zielonych drzew wzdłuż drogi lub w oddali, których liście zaczynały przybierać kolor ognia.

Zamek Elysian leżał na południowym wschodzie, po drugiej stronie Wielkiej Rzeki, która z północy na południe dzieliła na dwie części zachodni kraniec wyspy. Stał na szczycie wysokich klifów górujących nad odległym o dziesięć mil południowym wybrzeżem. Przy dobrej pogodzie z najwyższych wież można było dojrzeć ocean, przechodzący łagodnie w zawietrzne brzegi, które bardzo różniły się od objanych wściekle kłębiącymi się grzywaczami plaż na północy, skąd pochodził Brann.

Gdy znaleźli się o ligę od Wielkiej Rzeki, Anais i Hector spojrzeli na siebie zmieszani. Tak daleko na południe była ona w rzeczywistości pływowym ujściem i huczała wspaniale, wezbrana wodami z północnego morza oraz spływającymi do niej wszystkimi większymi rzekami i strumieniami. Jej głęboką, nieprzemijającą pieśń było słyhać z wielu mil; teraz rzeka milczała, wiatr nie niósł żadnego dźwięku poza nerwowym świergotem ptaków i własnym wyciem.

–Gdy ostatni raz przeprawialiśmy się przez rzekę, wody było mało, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek była taka cicha – powiedział Anais, przyciągając mocniej rękę kobiety do pasa, gdy niebezpiecznie przechyliła się na jedną stronę.

–Kompletnie wyschła – powiedział Brann słabym z wyczerpania głosem. – Są wzdłuż jej biegu miejsca, w których w pozbawionym wody, skalistym korycie stoją tylko błotniste kałuże. W drodze do was jechałem wschodnim brzegiem i gdy mijalem kamienny młyn w Hope's Landing, koło było nieruchome.

–Gorąco gwiazdy wciąga wodę morską do jej grobu – powiedział Hector, wskazując chłopcu kołującego jastrzębia.

–Linia brzegowa na północy cofnęła się o ponad ligę, sir Hectorze – rzekł rybak. – W przeciwnym razie wrota nigdy nie zostałyby odsłonięte.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, ziemia zadudniła.

Żołnierze spięli konie. Już przed exodusem Śpiące Dziecko dawało odczuć swoją obecność, wywołując drgania ziemi, jakby przeciągało się we śnie, który dobiegał końca. Te drgania stawały się coraz silniejsze.

Resztę drogi do rzeki pokonali w milczeniu. Most w Pryce's Crossing był największym w tej krainie i przed nimi majaczyły teraz na tle porannego słońca jego ciemne belki przesłaniające do połowy niebo.

–Zabrałeś trochę chleba dla trolli, Hectorze? – spytał żartobliwie Anais, gdy zwolnili, żeby przedostać się na drugą stronę. Według starych podań należało wrzucić do rzeki okruchy herbatnika czy chleba, żeby udobruchać legendarne bestie, które żyły pod liczącą wiele stuleci budowlą.

–Nie – odpowiedział Monodiere, uśmiechając się nieznacznie. – Powinniśmy teraz oszczędzać każdy okruch, Anaisie. W końcu nie ma sensu przeżyć kataklizmu, żeby umrzeć z głodu.

–Poza tym trolle i tak odpłynęły z drugą flotą – stwierdził Jarmon. Wydawało się, że świeże powietrze otwartych przestrzeni podniosło go na duchu.

–To by tłumaczyło obecność na statku twojego ojca żony prałata – powiedział Anais.

–Nazwanie żony prałata trollem to obraza dla trolli – rzekł Jarmon.

Końskie kopyta stukotały na deskach przerzuconych nad całkowicie suchym korytem rzeki, zagłuszając ich głosy. Gdy ostatni raz wyjeżdżali z zachodnich krain, spojrzeli za krawędź mostu w Pryce's Crossing; widzieli skaliste dno, zwykle ukryte pod warstwą wody wyższą od dorosłego mężczyzny, i małe dopływy ciągle wyzywająco spływające do kamiennego koryta, jakby chciały udowodnić, że rzeka jeszcze nie całkiem umarła.

Gdy w ich polu widzenia pojawiły się wieże zamku Elysian, słońce osiągnęło

najwyższy punkt na firmamencie. Podobnie jak wiele razy wcześniej, żołnierze zatrzymali się na chwilę, aby napawać się odległym majestatem zamku, białym marmurem ciągle błyszczącym na tle niebieskiego jesiennego nieba na szczycie grani, z których wznosił się, triumfujący, niczym latarnia morska.

W tym pałacu urodził się Hector, a także jego matka. Chwilę patrzył w milczeniu, po czym popędził swojego wierzchowca, cwałując z szybkością, która wprawiała w zachwyt jego małego pasażera.

Ale wkrótce melancholia wróciła. Jechali przez nie kończące się niegdyś sady jabłkowe, które otaczały ziemie zamku, teraz nieliczne i pozbawione owoców. Drzewa na nizinach, na zachód od Kingston po drugiej stronie Szerokich Łąk do miejsca urodzenia Hectora, Yliessan, Zaczarowanego Lasu na wschodzie, zostały wycięte szybko i brutalnie, żeby

dostarczyć drewno niezbędne dla exodusu. Nawet jabłonie, które nie nadawały się do budowy statków, zostały ścięte, ich drewno zaś przeznaczone na skrzynie, beczki, a nawet na opał w kuźniach, w których wytapiano stal na okucia, groty strzał i tysiące innych rzeczy. Te nieliczne drzewa, które ocalały, dały skarłowaciale owoce, ale były warte postoju w celu ich zebrania.

Trudniej znieść było przejazd przez Earthwood, kamienny las ciągnący się kiedyś do stóp klifów, na których stoi pałac. Mówiono, że grunt, z którego wyrosły te stare drzewa, był Żywym Kamieniem, czystym żywiołem ziemi pozostałym po okresie przed powstaniem czasu, epoce poprzedzającej pierwszy wiek historii, gdy świat był nowy. Nasiona drzew z tego lasu, jak mówiła legenda, zostały rozrzucone po żyjącej ziemi i wyrosły na gigantyczne sekwoje oraz dęby ożywione magią. Drzewa te, o korze w przeróżnych odcieniach zieleni, purpury, cynobru i złota, były jak same Żywe Kamienie i nigdy nie rozszczepił ich ani nie złamał silny wiatr, nigdy nie spłonęły w ogniu, nigdy nie zgniły od choroby, lecz stały, niezłomne i niezmiennie, a ich starożytne soki krążyły w korze i liściach w nieskończonej, mistycznej symfonii wieków. Anais i Hector spędzili dzieciństwo w tym kamiennym lesie, więc niezmiernie bolesne były dla nich widok połamanych pniaków oraz świadomość, że to najwyższej jakości drewno zabrano, by zrobić kadłuby, maszty i pokłady statków, które nie zgniją, nie będą się palić ani rozszczepiać przy silnych wichrach morskiej podróży.

Te statki dowiozły nasze rodziny w bezpieczne miejsce, przypomniał sobie Hector, gdy mijali szczątki lasu. W bezpieczne miejsce.

Z drugiej strony Earthwood, na szczycie trzystu stopni, które do nich prowadziły, widać było szczyty murów zamkowych. Hector ściągnął wodze i zatrzymał konia, po czym spojrzał na pozostałych, obserwując milczące przerażenie na twarzy wyczerpanego starego rybaka.

–Nie masz co rozpaczać, Brannie – powiedział uspokajająco. – Teraz, gdy nie ma już podjazdów dla wozów, to za ciężka wspinaczka dla większości z nas. Jarmonie, Anaisie, zostańcie tutaj. Ja z Canthą zaraz wracamy.

Dwaj żołnierze, jeden stary, drugi młody, wciągnęli głośno powietrze, ale nic nie powiedzieli.

Przez wszystkie lata, które spędził w pałacu, rozplanowanie i konstrukcja tego miejsca stanowiły dla Hectora źródło nieustającej fascynacji. Gdy wraz z najstarszą przyjaciółką ojca pospiesznie wspinali się po stopniach wyciętych w skale, przechodzili przez opustoszałe ogrody i loggie, które długo upiększały tarasy wiodące do Elysian, nieświadomie spoglądali za siebie na ukryte poniżej nich szczyty. W swoim czasie ponad dziesięć tysięcy żołnierzy stacjonowało zwykle na otoczonych ostrokołem murach

obronnych, wyżłobionych wznoszącymi się pierścieniami w grani, na której stał pałac. Tak dekoracyjne ich ukrycie było zasługą króla Vandemere'a, który zaprojektował i zbudował to miejsce jako olśniewający pomnik nowej epoki pokoju, wiedząc cały czas, że w oddali, zawsze czujna, czai się wojna.

Był to ten król jadący na hipogryfie, którego pomnik leżał teraz w kawałkach w pozbawionej wody fontannie na placu w Kingston.

Dziadek Hectora.

–Znałaś go, Cantho? – zapytał Monodiery, gdy pospiesznym krokiem przemierzali granitowe pasáže, mijając rabaty z uschniętymi kwiatami i sztucznie kształtowanymi roślinami. – Vandemere’a?

–Tak.

Kithanka wzrok miała skupiony na wspaniałych drzwiach, które stanowiły boczne wejścia do pałacu, teraz niestrzeżone. Jedne z nich były nieco uchylone, dając świadectwo kompletności ewakuacji. W swoim czasie drzwi tych pilnowało nie mniej niż dwudziestu strażników.

Biegli strzelistymi holami ze spojrzeniem utkwionym w korytarzach przed nimi, unikali zaś przyglądania się pięknej niegdyś twierdzy. Ich kroki odbijały się echem w ogromnych pomieszczeniach, ogołoconych i nieciekawych w mroku.

Hector znał to miejsce na pamięć; tylko zaniepokojenie, które słyszał w głosie rybaka, oraz przyływ z dawna odmawianej sobie nadziei sprawiły, że opanował chęć, by przystanąć i popatrzeć ostatni raz na pokoje, nisze i wnęki, które uwielbiał od dzieciństwa. Większość tkanin dekoracyjnych ciągle wisiała na ścianach, większość dzieł sztuki była na swoich miejscach, pozostawiona w spokoju przez szabrowników i złodziei, którzy ograbili do czysta resztę okolicy. Było coś świętego w Elysian, co czyniło go nietykalnym; siła, która chroniła go nawet wtedy, gdy król nie zasiadał na tronie.

Hector uświadomił sobie, co to jest, gdy wchodzili do korytarza wiodącego ku sali wielkiej.

W pewnym sensie król ciągle zasiadał na tronie. Gwylliam nazwał Hectora, który pochodził z tego samego rodu, cieniem króla, a zatem w pewnym sensie król nie wyjechał, nie do końca.

–To było niezwykle miejsce dla dziecka – powiedział Monodiery, mijając drzwi do komnaty dziecinnej, w której bawiła się jego matka i jej rodzeństwo, podczas gdy ich rodzice brylowali na dworze. – Było tyle nisz, które można było badać, tyle miejsc, w których można się było chować. Niejeden raz wzywano pałacowych strażników, żeby mnie znaleźli. Zrobiłem sobie kryjówkę pod draperią postumentu w sali historii i zasnąłem tam. To była świetna zabawa, dopóki sam nie doczekałem się syna, który zaczął robić to samo. – Odetchnął głębiej. – Ciągle nie wiem, gdzie ten chłopiec i jego matka mogli się skrywać, że ich przeoczyliśmy.

–Na cmentarzu miejskim – powiedziała Cantha ze wzrokiem utkwionym w znajdujących się przed nimi ogromnych mahoniowych drzwiach sali wielkiej. – W którejś z krypt.

–Dlaczego tak sądzisz?

–Zalatywało od nich śmiercią. – Kithanka chwyciła masywną mosiężną klamkę. – Nadal od nich zalatuje, ale teraz będzie inaczej.

W ciemnym, ogromnym pomieszczeniu ukazał się tron, z którego nieżonaty ostatni król przewodził dworowi, szeroki marmurowy fotel z niebieskimi i złotymi zdobieniami biegnącymi po poręczach ku oparciu. Hector przeszedł po długim dywanie do stóp

podwyższenia, szybko wkroczył po stopniach i siadł śmiało na miejscu władcy. Przez chwilę spoglądał na motto Vandemere'a, wyryte na wieki w ścianie na wprost jego oczu, które każdy kolejny król musiał widzieć cały czas, gdy siedział na tronie:

TEN, KTÓREMU SŁUŻĄ WSZYSCY LUDZIE, MA NAJWIĘKSZY OBOWIĄZEK SŁUŻYĆ WSZYSTKIM LUDZIOM

Wyciągnął rękę na prawej poręczy tronu.

–*Traan der, singa ever monokran fri* - wydał cicho polecenie w języku starożytnych

Serenów, mistycznej rasy Pierwszych Istot zrodzonych z żywiołu eteru, pierwszych mieszkańców wyspy. „Przybywaj, w imię króla”.

Marmurowa poręcz tronu zarysowała się wzdłuż ukrytej skazy i pękła. Spod podium uniosła się na wysokość tronu mechaniczna ręka, trzymając w metalowym uchwycie królewskie berło Serendair.

Symbol państwa wykonany był według prostego projektu: zakrzywiony kawałek ciemnego drewna długości uda mężczyzny, złożony i pokryty skomplikowanymi runami. Pod złotą powłoką ciągle jeszcze można było zobaczyć niewyraźne żłobkowania -purpurowe i zielone, złote i cynobrowe – w kolorach kamiennych drzew Earthwood, z których prawdopodobnie berło wykonano. Na szczycie rozszerzało się w pinakiel, na którym osadzony był brylant wielkości pięści dziecka. W mroku sali klejnot błyszczał przyćmionym światłem.

Hector chwilę przyglądał się berłu zamkniętemu w zaprojektowanym przez króla urządzeniu. Potem chwycił je i wyjął z metalowej ręki.

Cantha przyglądała się temu ciemnymi oczami, w których był błysk, jakiego wcześniej nie widział. Spojrzał na nią pytająco, zachęcając do mówienia, i był zaskoczony, gdy to uczyniła. Cantha zazdrośnie strzegła swoich myśli.

–Gdyby korona przeszła na pierwsze z dzieci Vandemere'a, nie zaś na ostatnie, dawno temu można byłoby ujrzeć ten widok: ty, Hectorze, na tronie jako król.

Monodiere wstał z tronu i zaczął wychodzić z pałacu.

–Zakładam, że oznacza to, iż pisane mi jest tak właśnie dokonać żywota – powiedział, gdy wracali po własnych śladach. – Bo gdybym był królem, nie wyjechałbym. Jednak ty, Cantho, Jarmon, Anais i Seviryum zostalibyście odesłani z pozostałymi, żeby ich strzec w nowym świecie, i żylibyście dalej. Z tego powodu, i tylko z tego, żałuję, że to nie ja odziedziczyłem tron.

Kithanka nic nie powiedziała.

W milczeniu pośpiesznie opuszczali pałac. Na skraju murów Hector dotknął jej ręki.

–Cantho, teraz, gdy minął czas konwenansów i nic nie da się już zyskać dzięki uprzejmościom, powiedz mi jedno – odezwał się. – Gdy oświadczyłaś, że król Kithów postanowił, iż zostajesz tutaj jako przedstawicielka swojej rasy, byłem przekonany, że zgłosiłaś się na ochotnika. Jesteś najlepszą przyjaciółką mojego ojca. To dla niego zostałaś ze mną, tak?

Oczy Kithanki zwęziły się z niezadowolenia.

–MacQuieth nigdy nie zadałby mi takiego pytania. Nikomu by go nie zadał. Hector uśmiechnął się.

–Wiem. Ale on nie musiał pytać.

Cantha odetchnęła głęboko, patrząc na niego z marsową miną. W końcu uległa.

–Owszem – powiedziała. – Nie musiał pytać. Tak, to dla niego zostałam, żeby trwać u boku jego syna, gdy on nie mógł tego uczynić. – Popatrzyła na bujne łąki złocące się w promieniach zachodzącego słońca. – To był równie dobry wybór zakończenia żywota jak każdy inny.

–Dziękuję ci – powiedział Monodiere. – Za to, że zostałaś, i za to, że mi powiedziałaś.

Kithanka skinęła tylko głową.

–Muszę prosić cię o jeszcze jedną przysługę – rzekł Hector, gdy schodzili po kamiennych stopniach. – Musimy się teraz rozdzielić.

Zabranie tej kobiety i chłopca tylko by nas spowolniło i przekreśliło wszelkie ich szanse na przeżycie. Elysian jest najwyżej położonym miejscem w południowej części wyspy. Jeśli jakkolwiek skrawek ziemi zostanie oszczędzony przez morze, to właśnie ten. Zostań z nimi, Cantho, w tych ostatnich dniach. Dbaj o ich bezpieczeństwo, zwłaszcza chłopca. Zostawimy ci zapasy, a w sadach możesz zbierać owoce.

Jeśli uda nam się powstrzymać morze, a tobie skończy się żywność, możesz wrócić do gospody. – Kithanka kiwnęła głową, a Hector ujął ją za łokieć, zmuszając, by na chwilę przystanęła. – Jeśli jednak fala nadciągnie, wejdź najwyżej jak się da. Radziłbym ci, żebyś przebywała w pobliżu wieży wezyra. – Wskazał głową znajdującą się za nimi najwyższą z pałacowych iglic, w której niegdyś mieszkał Graal, doradca króla i jasnowidz.

Cantha raz jeszcze skinęła głową.

Jarmon przygotował wierzchowce, by mogli wyjechać, gdy tylko Hector wróci. Kiedy mężczyźni dosiadali koni, Monodiere usłyszał wrzask.

–Nie! – krzyknął chłopiec, wrywając się z mocnego chwytu Canthy. – Nie! – Zwrócił się do Hectora i patrzył na niego błagalnie. – Nie!

Zostanę z tobą! Zostanę z tobą!

Słowa te odbijały się echem w głowie żołnierza; takie same wypowiedział Aidan na nabrzeżu w dniu, w którym Hector przekazywał swoją rodzinę ojcu przed odpłynięciem.

Zostanę z tobą! Zostanę z tobą!

Gardło mu się ścisnęło, gdy przypomniał sobie Taltheę, taką silną i dzielną, która rozplakała się, usłyszawszy ten ból w słowach ich syna. Sięgnął ręką i pogłaskał wrywającego się chłopca, po czym skinął głową Cancie. Zobaczył jeszcze, jak chłopiec gwałtownie wrywa się z objęć powstrzymującej go Canthy. Kopał i walczył z uporem, który ostatecznie został złamany, i stracił ducha, gdy konie zniknęły z pola widzenia.

Tak samo jak Aidan.

Jechali wzdłuż rzeki na północ drogą mułów, której od dawna towarzyszyły barki obładowane towarami z północnych wysp i dalekich portów. Towarami tymi handlowano na każdym rozstajach dróg i w każdej wiosce, dopóki płaskodenne łodzie nie dotarły w końcu do Portu Południowego, ogromnego miasta w delcie rzeki.

Skały na skraju traktu mułów drżały, gdy przejeżdżali; na północy drgania przybierały na sile i były coraz częstsze, a z powodu mgły nie sposób było niemal zobaczyć teraz nieba.

Skrawki błękitu stawały się coraz rzadsze.

Mężczyźni jechali w milczeniu. Z każdym dniem mgła opadała coraz niżej, sprawiając, że najpierw żarty, później zaś rozmowy stały się zbyt męczące.

W końcu dotarli do Hope's Landing, największego miasta młynów nad Wielką Rzeką, gdzie przecinały się szlaki ze wschodu na zachód. W swoim czasie Hope's Landing było sercem rzeki, tętniącym życiem miastem, w którym krainy zachodnie spotykały się ze wschodnimi i w którym jak okiem sięgnąć ciągnęły się kolumny wozów oczekujących na rozładowanie ziarna dla młynów oraz żywności dla targów na południu, a następowało ponowne załadowanie wszelkimi wyobraźnymi towarami z barek. Teraz miasto było

puste, koła wielkich młynów zaś tkwiły w mule lub zakleszczone były przez głazy, tam gdzie niegdyś woda przepływała swobodnie.

Młyn Pratta był największy ze wszystkich, spinał brzegi rzeki w jej najgłębszym i najszybszym miejscu. Kiedyś mosty łączyły brzeg wschodni z zachodnim, tworząc esplanadę, pośrodku której znajdował się młyn i po której podróźni mogli się przedostać na drugą stronę, przyglądając się prądom rzeki. Zachodniego przęśla nie było, ale jak zauważyli, most wschodni ciągle stał. Pojechali dalej, a żar lał im się wprost na głowy, co było jedynym znakiem, że jest południe.

Tuż za cichym młynem, gdzie droga skręcała na wschód, Hector gestem nakazał grupie się zatrzymać, żeby konie mogły poskubać trawę. Zgarnął garść wygładzonych przez wodę kamyków, po czym skinął na Anaisa i razem podeszli do brzegu Wielkiej Rzeki. Poza wąskim strumyczkiem, który rozlewał się w kałuże i ciekł szerokim korytem, była ona wyschnięta.

–Pamiętasz, że kiedyś rzeka wydawała się szeroka na milę? – zadumał się, obserwując, jak woda opływa skały i połamane beczki, którymi usiane było jej koryto.

–Tak – odparł Anais. – Jeśli się tu wpadło, czekała człowieka pewna śmierć. Ten młyn mełł dzień i noc. Spadłeś od strony północnej, a następnego dnia byłeś już chlebem.

–A teraz możemy z łatwością przejść na drugą stronę, ledwie zamoczywszy stopy. Jakby ta rzeka nigdy nie dzieliła wyspy. – Hector przyjrzał się kamykom, które miał w ręce. – Ojciec powiedział mi kiedyś coś, co nie daje mi spokoju. – Zamilkł na chwilę, próbując dokładnie przypomnieć sobie tamte słowa. – Był Kinsmanem, członkiem bractwa żołnierzy, którym patronował wiatr, i dzięki temu nauczył się przechodzić przez drzwi w wietrze, co przenosiło go w krótkim czasie na wielkie odległości. Gdy zapytałem go, dzięki jakiej magii jest to możliwe, odparł, że to nie magia, a tylko uświadomienie sobie, że odległość jest złudzeniem. Istnieje między nami więź, Anaisie, między nami wszystkimi, przyjaciółmi i wrogami, która przekracza to, co postrzegamy na świecie jako przestrzeń. Ta przestrzeń, ta odległość, jest jedynie progiem między jedną sferą a drugą, jedną duszą a drugą.

Przejdziem, mostem, jeśli wolisz. Im silniejsze powiązanie między dwoma miejscami, tym niższy próg, a w każdym razie tym łatwiejszy do przekroczenia. Odległość między jednym a drugim staje się drugorzędną sprawą. To dzięki wykorzystaniu tej właściwości MacQuieth był w stanie wygrać swoją największą bitwę, w której zniszczył demona ognia F'dora Tsoltana. Jego nienawiść do tego demona i tej pierwotnej rasy tworzyła więź nie do zerwania. Na świecie było za mało przestrzeni, żeby ich rozdzielić. – Westchnął głęboko. – Sądzę, że z tego właśnie powodu moja rodzina jest tuż przy mnie, że widzę ją w snach, ale takich, jacy są teraz, nie zaś we wspomnieniach. Dlatego też ty śnisz o Drzewie Świata i miejscu, gdzie się urodziłeś.

Anais skinął głową i chwilę stali w przyjacielskim milczeniu, przyglądając się płynącemu wąską strużką strumykowi.

–Jak się będzie kształtować pogoda w ciągu kilku następnych dni? – zapytał w końcu Hector, wrzucając kamyk do wody.

–Wydaje się, że jeśli nie liczyć prawdopodobieństwa zagłady, będzie to bardzo ładny tydzień – odparł Anais żartobliwie. – Dlaczego pytasz?

Hector wrzucił wysokim łukiem następny kamyk do strumienia.

–Chciałem się tylko dowiedzieć, jak ci będzie w podróży: czy będziesz suchy, czy mokry od deszczu.

Z twarzy Anaisa zniknął uśmiech.

–W podróży?

Hector wypuścił głośno powietrze i skinął głową.

–Odsyłam cię do domu, Anaisie. Nie ma potrzeby, żebyś jechał dalej z nami. To przedsięwzięcie albo się uda, albo nie, ale twoja obecność nie będzie miała na to wpływu. Nawiedzające cię sny o Yliessan oznaczają, że Sagia wzywa cię do domu. Jeśli Drzewo Świata cię przywołuje, błędem byłoby trzymać cię z dala od niego.

W jednym błysku srebrzystych oczu przyjaciela odbiły się smutek i zrozumienie.

–Zacząłem akceptować wiele rzeczy, których zaakceptowanie jeszcze rok temu było dla mnie czymś niewyobrażalnym, Hectorze, wiele tragicznych i przerażających rzeczy, ale aż do tej chwili nigdy nie przy szło mi do głowy, że nie dokonam żywota u twojego boku.

Hector wrzucił resztę kamyków do koryta rzeki i wytarł rękę w koszulę.

–Całe życie spędziliśmy razem, Anaisie, i było to dobre życie – powiedział opanowanym głosem. – Nie ma potrzeby, żebyśmy umierali razem, póki będzie to dobra śmierć.

Anais odwrócił się.

–Być może, jeśli Seviryum miał rację albo jeśli tobie się powiedzie, wcale nie zginiemy – rzekł.

–Być może – odparł Hector. – Ale jedź do domu.

Ziemia pod ich stopami zadudniła, silniej niż poprzednio, jakby na potwierdzenie.

Gdy wracali do obozu, Monodiere zatrzymał towarzysza po raz ostatni.

–Wiedz, że bez względu na to, gdzie będziemy, gdy nadejdzie koniec, zawsze będziesz ze mną, Anaisie – powiedział z prostotą.

Liringlaski rycerz uśmiechnął się.

–Później też, Hectorze. Nawet śmierć nas nie rozdzieli. – Poklepał przyjaciela po ramieniu. – Nadal jesteś mi winien noc kosztownego pijaństwa.

Po odjeździe Anaisa dni i noce zwały się w jedno.

W oddali, przez mgły unoszące się nad północnymi wyspami, niebo zaczęło się jarzyć żółtawo. Dudnienie przybrało na sile i częstości, co sprawiło, że mężczyźni ciągle byli podenerwowani. Sen wydawał się luksusem, na który nie bardzo mogli sobie pozwolić, chociaż wyczerpanie groziło im, że w gęstej mgle z zapuchniętymi od niewyspania oczami mogą zboczyć ze szlaku.

Gdy w końcu usłyszeli w oddali morze, a daleko nad horyzontem dostrzegli szalejący ogień, zdecydowali, że są wystarczająco blisko Dry Cove, i po raz ostatni rozbili obóz. Hector mieszał resztki ich zapasów wrzucone do wiszącego nad ogniem garnka, podczas gdy stary rybak i Jarmon zajmowali się końmi, zanim usiedli do ostatniego spokojnego posiłku.

–Brannie – rzekł Monodiere, próbując przerwać niezręczne milczenie rozmową – całe życie mieszkałeś w Dry Cove?

Starzec pokręcił głową.

–Nie. Urodziłem się tam, ale dopiero niedawno wróciłem.

–Tak? – zapytał Jarmon, wyjmując metalowy kufel z przykrywką. – To nieczęsto spotykane w rybackich wioskach, prawda? Wydaje się, że większość rodzin mieszka w takich miejscach od pokoleń.

Brann kiwnął głową.

–To prawda. Ale dawno temu miałem okazję wyjechać i skorzystałem z niej. Podróżowałem

po szerokim świecie, robiłem przeróżne rzeczy, lecz miejsce, w którym się

urodziłem, zawsze było mi bliskie. Gdy stało się oczywiste, że Dziecko się budzi, niczego nie pragnąłem bardziej, niż wrócić do domu, żeby pomóc w każdy możliwy sposób.

–Zdajesz sobie sprawę, że szanse na to, iż cokolwiek zdziałamy, nie mówiąc już o ocaleniu twojej wioski, są bardzo małe? – rzekł poważnie Jarmon. – To próżny trud.

–Nie, to nie jest próżny trud – powiedział szybko Hector, ujrzawszy, że światło w oczach rybaka nieco przygasło. – Mamy nikłą szansę. Ale zawsze to szansa. Zawsze trzeba próbować.

–Tylko o to proszę, żeby moi ludzie mogli żyć – wymamrotał Brann, naciągając na ramiona swój koc z workowej tkaniny i układając się do snu.

Gdy oddech starca zdradził, że śpi on głęboko, Jarmon wyjął z tobołka mocno wytarty kapciuch z mieszanką tytoniu i ubił niemal wszystko, co pozostało, w fajce.

Ziemia drżała. Hector odniósł wrażenie, że drgania są dłuższe, niezaprzeczalne zaś było to, że występują coraz częściej. Tuż przed swoim odjazdem na wschód Anais zauważył, że nawet Seviry mowi trudno byłoby je ignorować.

Hector spojrzał w ciemne, pozbawione gwiazd niebo.

–Ty i ja, Jarmonie, tylko my pozostaliśmy – zadumał się, obserwując, jak kłęby gęstniejącej mgły pędzą po niebie gnane zmiennym wiatrem.

–I Brann – rzekł strażnik, wypuściwszy ogromne kółko dymu, które zmieszało się z wszechobecną mgłą.

–I Brann. Może powinieneś być dla niego miłszy. On najwyraźniej przeraźliwie się ciebie boi.

Stary strażnik uśmiechnął się.

–To dobrze. – Pochylił się nad ogniskiem. – Nie ufam już nikomu, Hectorze, zwłaszcza ludziom, którzy okazali się zbyt głupi lub samolubni, żeby nie skorzystać z szansy, jaką im dano, a teraz chcą, żeby w ostatniej chwili ich ratować. Lepiej, że się mnie boją. Mają powód.

Monodiere obrócił w rękach królewskie berło.

–Nie musisz uważać na Branna. Berło jest zbudowane ze starożytnego żywiołu mocy. Pozwala rozpoznać prawdę temu, kto je trzyma. Będę umiał stwierdzić, czy stary rybak kłamie, a jak dotąd mówił nam prawdę i tylko prawdę.

Jarmon wzruszył ramionami.

–A jakie to ma znaczenie? – spytał lekceważąco. – Ty i on jesteście jedynymi ludźmi, którzy mają coś do stracenia. – Hector gestem poprosił go, żeby to wyjaśnił, ale stary strażnik wzruszył tylko ponownie ramionami. – Twierdzisz, że chwałę przynosi podjęcie próby – rzekł, pykając z zadowoleniem z fajki. – Ale tak naprawdę boisz się niepowodzenia. Cały czas się go bałeś... jakby było coś, co możesz zrobić, żeby mu zapobiec. Hectorze, to było skazane na porażkę od samego początku, ale tylko ty z tym walczyłeś. Reszta z nas to naśladowcy, nie przywódcy. Wiemy, że nawet w nieuniknionej porażce można zdobyć chwałę. Ostatecznie dla żołnierza wynik bitwy nie ma znaczenia. Dla niego liczy się to, jak się bił, czy szlachetnie nie ustępował pola, czy też – w obliczu śmierci – zachwiał się. Żołnierz nie decyduje, z kim walczyć, kiedy ani gdzie. Decyzja, żeby pozostać tu z tobą, była jedynym prawdziwym wyborem, jakiego dokonałem w życiu. I jest to wybór, którego nie żałuję. W milczeniu zmagaleś się z decyzją króla, że masz tu zostać, i z naszymi decyzjami, że zostaniemy z tobą. Teraz mógłbyś już tego zaprzestać i przeżyć resztę swoich dni w czymś przypominającym spokój, gdybyś nie był urodzonym przywódcą. W przeciwieństwie do ciebie wiem, że moje zdanie na temat decyzji Jego Wysokości nie ma znaczenia. Liczy się to, jak przeżyję czas od tej chwili do

końca. Hector wpatrywał się w ciemność.

–Jestem cieniem króla. Pochodzę z jego rodu. Jestem regentem, by jego władza nad tą krainą została utrzymana. Jego obowiązki są teraz moimi obowiązkami. Jeśli ich nie wypełnię, to zawiodę.

–Nie oszukuj się, chłopcze – powiedział Jarmon poważnie, odruchowo chowając kapciuch tam, skąd go wyjął. – Władza królewska, która miała znaczenie, zniknęła, gdy on zniknął. Śpiące Dziecko zaczęło powstawać, gdy statku króla nie można było już dostrzec z Serendair. Chociaż nie przeczę, że jego roszczenia do tronu są uzasadnione, ponieważ ty tu jesteś, w ostatecznym rozrachunku nie ma to żadnego znaczenia. Władza, która niegdyś bezdyskusyjnie panowała nad tą krainą, jest złamana. Ochrony, jaką gwarantowała, już nie ma. Są w tym dziury, Hectorze, ziejące dziury, których w czasach króla i wszystkich panujących przed nim władców nie było. Mocne jak żelazo dominium teraz jest podziurawione przez rdzę. Bez względu na to, jak się będziesz starał, nie dasz rady załatać tych dziur. To już zostało postanowione. Próbujesz chronić wyspę w ostatnich dniach z powodu przysięgi, którą złożyłeś, ale twoja władza nie ma znaczenia. – Wyjął fajkę z ust i spojrzał na młodszego mężczyznę. – To jednak nie znaczy, że twoja ofiara była bezwartościowa. Można nigdy nie osiągnąć wielkości samej w sobie, ale gdy ktoś jest przeznaczony do wielkości, rezygnacja z szansy dowiedzenia tego, to dopiero jest poświęcenie. Wykonanie królewskiego rozkazu poddania się w bitwie, którą możesz wygrać, jest najstraszniejszym poświęceniem. Wszystkie inne w porównaniu z tym wydają się mało znaczące. – Jarmon położył się na stercie liści przy ognisku. – No, może poza obowiązkiem układania worków z piaskiem.

Tej ostatniej nocy Hector śnił, jak zawsze, o Talthei i dzieciach. Skalisty grunt pod jego uchem płonął coraz silniejszym żarem z północy, co sprawiało, że te nocne wizje wydawały

się mroczne i mgliste, podczas gdy kiedyś były wyraźne.

Trzymał na rękach swoją córkę, bawił się z synem, pławił z żoną w spokojnym zadowoleniu, gdy poczuł, że jakiś cień skinął na niego. Kiedy spojrział w górę, wzywający go cień przybrał postać. Był to duch od dawna nieżyjącego króla, przodka, którego nigdy nie poznał. Bezgłowy pomnik, rozbity na kawałki na placu w Kingston, znowu cały. Jego dziadek. Vandemere.

Król znowu na niego skinął. Hector spojrział na swoje ręce i zobaczył, że są puste – jego żona i syn zniknęli.

Szedł za cieniem przez zieloną polanę pierwotnego piękna, z powrotem przez Czas. W tym śnie wędrował ścieżką historii, którą rozwijał wstecz, w miarę jak wchodził głębiej w milczący las, przedzierając się przez zasłonę słodkiej mgły.

Cały świat wokół niego się odwrócił, wydarzenia toczyły się wstecz. Obecny, Trzeci Wiek, biegł przed jego oczami do tyłu. Widział floty wracające na nabrzeża, z których wypłynęły przed oczekiwanym drugim kataklizmem, obserwował rozpad nowego imperium na podzielone, które było skutkiem wojny sereńskiej, i samą wojnę. Widział, jak skrwawione pola zasłane pociętymi zwłokami odzyskują zieloną barwę, widział mijające bez pośpiechu epoki, odtwarzanie historii, w miarę jak czas biegł w przeciwnym kierunku.

Hector spojrział przed siebie – cień króla był teraz dalej, znikał we mgle.

Zaczął biec, lecz historia cofała się coraz szybciej. Od wojny sereńskiej cofnął się do wojen rasowych, które ją poprzedzały, a potem do przybycia na Serendair ras ludzkich w Drugim Wieku. Czas jak szalony pędził wstecz. Krzyknął, albo próbował krzyknąć do

króla, ale w tym sennym miejscu, w tej mglistej krainie chłodnej, bujnej zieleni nie rozchodził się żaden dźwięk.

Teraz już gnał na złamanie karku. Odczuwając przymus odkrycia celu tych odwiedzin czy rozkazu, niemal nie zauważył, jak Drugi Wiek przeszedł w Pierwszy, Dzień Bogów, kiedy to świat zamieszkiwały Starsze rasy. Kątem oka zobaczył, jak cofa się pierwszy kataklizm, widział, jak wody pokrywające znaczną część wyspy cofają się, jak gwiazda z powrotem wznosi się w niebo, widział, jak Grobowiec Świata Podziemnego, w którym kiedyś więziony był F'dor, zostaje zapieczętowany, zawierając ponownie pozbawione ciało duchy, które po jego przedziurawieniu uciekły i brały sobie ludzkich żywicieli, takie jak Tsoltan, którego pokonał jego ojciec.

Z każdym odwróconym wydarzeniem świat, przez który przebiegał, stawał się zieleńszy, nowszy, spokojniejszy i żywszy. Właśnie obserwując biegnący do tyłu Czas, Hector zaczął uświadamiać sobie, jak wiele magii zniknęło ze świata, który znał, jak wiele było jej kiedyś, dawno temu, gdy świat był młody.

Gdy Pierwszy Wiek przeszedł w Epokę Przed Czasem, prehistorię, zobaczył narodziny pierwotnych ras, które powstały z pięciu żywiołów: wielkich smoków zrodzonych z żywej ziemi; Kithów, rasy Canthy, dzieci wiatru; przodków ludzi, Mythlinów, istot wodnych budujących piękne podmorskie miasto Tartechor; Serenów, rasy, która zstąpiła z gwiazd i powstała jako pierwsza; i F'dorów, pozbawionych postaci demonów zrodzonych ze starożytnego ognia, niszczycielskich i bezładnych, zamkniętych przez pozostałe cztery rasy w Grobowcu, żeby oszczędzić ziemi zniszczenia z ich rąk.

Widział pierwotny świat, wspaniały, nie zepsuty i spokojny. Ale nawet to zniknęło mu z pola widzenia; ziemia pogrążyła się w morzu, gdy wiatr zamierał, pozostawiając powierzchnię świata trawioną ogniem, aż nie było nic poza kawałkiem jaśniejącej gwiazdy, która oderwała się i sama pomknęła po niebie. Ta jaśniejąca kula pędziła wstecz, łącząc się z płonącym ciałem, którego była częścią.

Wokół niego nie pozostało nic poza usianą gwiazdami ciemnością i cieniem dawno nieżyjącego króla.

W końcu cień Vandemere'a obrócił się i popatrzył na niego ze smutkiem.

„O co chodzi, dziadku?” – zapytał Hector; chociaż żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust, pytanie poniosło się echem w otaczającej ich mrocznej pustce. „Co próbujesz mi pokazać?”

„Wieczność”, powiedział król. Jego głos nie rozbrzmiał, niemniej jednak Monodiere usłyszał słowa.

„Ale o co chodzi z tą wiecznością?” – zapytał Hector, z trudem oddychając w gęstej mgłę wypełniającej mroczną pustkę.

Cień króla zaczął znikać.

„W wieczności nie ma czasu”. Głos Vandemere'a odbił się echem w pustce. „Zostając na wyspie, walczyłeś o to, żeby dać im więcej czasu, a powinieneś walczyć o to, by nie utracili wieczności”.

Hector poderwał się ze snu.

Grunt rozstępował mu się pod głową, wielka szczelina rozrywała Ziemię na kawałki.

W mgnieniu oka był na nogach, chwytając wystraszzonego rybaka i odciągając go od krawędzi rozpadliny, Jarmon zaś skoczył, żeby odwiązać konie.

Ryk jak grom wprowadził w drżenie spalone drzewa wokół nich, a rybak krzyknął coś, czego Monodiere nie dosłyszał. Cofali się, trzymając przerażone zwierzęta z całych sił, po czym pomknęli na oślep na północ we mgłę koloru ognia, dopóki ziemia pod ich stopami

nie przestała drżeć, a pozostało tylko wściekle dudnienie.

–Nic ci się nie stało, Brannie? – zapytał Hector, próbując uspokoić deresza, co mu się nie udało; zwierzę, z położonymi uszami i szaleństwem w ślepiach, rżało ze strachu i tańczyło w miejscu.

Oczy starca były równie szkliste jak konia, ale mimo to skinął głową.

–Przebudzenie... nadchodzi – wyszeptał ledwie słyszalnym z powodu dudnienia głosem. – Nie ma już czasu na sen, sir Hectorze. Nie jesteśmy aż tak daleko. Jeśli się pospieszymy, będziemy w Dry Cove przed świtem. Błagam cię, panie, ruszajmy! Moi ludzie czekają na ratunek.

–Twoi ludzie to głupcy, jeśli do tej pory nie opuścili wioski, starcze – mruknął Jarmon. – Gorąco pali nawet tutaj. Jeśli byli bliżej, to już się usmażyli w buchającym ogniu.

Monodiere chwycił drżącego rybaka za ramiona i pomógł mu dosiąść wierzchowca.

–Ruszamy – powiedział. – Nie będziemy się już zatrzymywać, do póki nie dotrzemy na miejsce albo nie znajdziemy się w zaświatach.

Jechali przez niziny, na których w pobliżu ujścia Wielkiej Rzeki istniały kiedyś miasta i wsie, powietrze zaś było gęste od czarnego dymu, który przesłaniał im wszystko z wyjątkiem koryta.

Konie, nieustannie poganiane i pozbawione częstych postojów, w trakcie których można je było napoić, zaczęły wykazywać oznaki osłabienia. Gdy w końcu wierzchowiec Branna padł w drżącą masę na drodze mułów, Jarmon usadził rybaka, szarego na twarzy z wyczerpania i strachu, za sobą i popędził konia naprzód.

–Rosie, staruszeko, przepraszam – mruknął, poklepując zwierzę po szyi. Na ręce miał krople potu i końskiej śliny. – Wkrótce się to skończy i będziesz mogła odpocząć.

Wreszcie przez wyjący wiatr przebił się z oddali odgłos morza uderzającego o brzeg.

–Tutaj! Jesteśmy tutaj! – wyszeptał Brann, szarpiąc gwałtownie Jarmona za rękaw. – Morze cofnęło się na sporą odległość, ale nadal je słychać.

Hector ściągnął wodze i się zatrzymał. Na północy iskry stopionej ognistej czerwieni, niczym opalizujące robaczki świętojańskie, strzelały na oślep nad morzem, wirując w groźnych wzorach na tle ciemniejszego nieba. Wytężył wzrok, żeby zobaczyć coś przez dym, i wydawało mu się, że dostrzegł zarysy chałup i nabrzeża, osmalone belki wtapiające się w mrok.

Zsiedli z koni, zostawili je przy linii brzegowej i brnęli przez mokry piasek, od czasu do czasu

mijając coś, co kiedyś było prawdopodobnie ciałem człowieka, a teraz leżało pogrzebane pod grubą warstwą popiołu.

Monodiere zerknął na Branna, ale starzec nie odwzajemnił spojrzenia; osłonił oczy, próbując przebić wzrokiem szaroczną mgłę, żeby dostrzec miejsce, w którym, jak sądził, powinny się znajdować wrota do gigantycznej kopalni.

–Tędy – powiedział rybak silniejszym głosem. – To było trochę na północ od tego pomostu, za końcem półwyspu, który kiedyś woda obmywała z trzech stron.

Jakby dla podkreślenia jego słów piaszczysty grunt gwałtownie zadrżał.

–Prowadź – krzyknął Hector, ruszając w ślad za mężczyzną piaszczystą łachą.

Na ośle przedzierali się przez pływowe nieużytki, które kiedyś zalewało morze, a które teraz były oceanem piasku. Wycofujące się morze odsłoniło szkielety statków, rafy i wszelkich rodzajów muszle, połamane i wciśnięte w wilgotne błoto tam, gdzie niegdyś woda biła o brzeg.

W niedużej odległości smuga ognia wystrzeliła w niebo, po czym opadła ciężko z powrotem w morze.

Przez milę od zniszczonego pomostu, potem drugą i następną trójka mężczyzn spieszyła, potykając się w mokrym piasku, który palił teraz przez buty. W końcu, gdy dotarli do miejsca, gdzie z powodu dymu powietrze było niemal czarne, Brann zatrzymał się obok małej, nienaruszonej łodzi rybackiej wciśniętej w dno, opadł na kolana i wskazał coś w dali pod nisko wiszącym dymem.

–Tam – wyszeptał.

Hector kucnął i zwrócił piekące od gorąca i popiołu oczy w kierunku, który wskazywał powykręcany artretyzmem palec starca.

Początkowo poza nie kończącym się piaskiem i czarnym dymem nie widział nic. Jednak po chwili jego wzrok się dostosował i oddech zamarł mu w obolałym gardle.

Stali na czymś, co wyglądało jak wielki grzbiet na dnie morskim, wysoki mur schodzący w dół w szczelinę głęboką na tysiąc, a może i więcej stóp, na dnie której stały kałuże morskiej wody. Monodiere przebiegł wzrokiem po obrzeżach i nie był w stanie dostrzec jej początku ani końca. Wydawało się, że to obniżenie terenu ciągnie się po horyzont, klifowa ściana pod nimi sprawiała, że odnosił wrażenie, jakby stali na rozległej łące na szczycie góry.

Jakakolwiek byłaby wielkość starożytnej kopalni, jasne było, że nawet przy dobrej pogodzie nie dałoby się jej objąć wzrokiem – rozciągała się pod piaskiem, ukryta przez tysiąclecia w morzu, do miejsca, do którego wycofała się woda. W końcu zrozumiał upór, z jakim Brann twierdził, że w tak gigantyczną przestrzeń można skierować wystarczającą ilość wody, by

uratować choć część wyspy.

–Gdzie są wrota? – zapytał, przekrzykując ryk dochodzący z morza na północy.

–Na dnie – odkrzyknął Brann, walcząc w palącym wichrze o utrzymanie się w pionie.

–Czy damy radę zejść po tym klifie, Hectorze? – spytał Jarmon, szukając oparcia dla stopy i nie znajdując go. – Jeśli zsuniemy się z tej wysokości, nie uda nam się zatrzymać. To będzie szybki koniec.

–Wydaje się, że jest swego rodzaju ścieżka, a przynajmniej miejsce, w którym ściana klifu opada łagodniej – powiedział Monodiere, pochylając się znowu, żeby lepiej widzieć.

Brann nerwowo wpatrywał się w niebo.

–Musimy się pospieszyć! – rzekł z naciskiem, gdy płynny ogień znowu wystrzelił w górę, rozsiewając popiół i powodując drżenie ziemi pod ich stopami. Popędził do krawędzi i zaczął zjeżdżać po ścianie, którą wskazał Hector, a po chwili w jego ślady poszło dwóch żołnierzy.

Zmierzali ku dnu szczeliny, podbiegając i ślizgając się, upadając i zjeżdżając na kolanach, a nawet na plecach, po czym natychmiast wstawali, popędzani przez konieczność i bliskość Przebudzenia. Dno morza było tu twarde, jak skała pod piaskiem, ale pozbawione szczytków, które widzieli na wyżej położonym terenie linii brzegowej.

W końcu, gdy opuścili się już o tyle, że mogliby zejść z małej góry, znaleźli się u podnóża klifu ze stopami mokrymi od pozostałości wody, która zalewała to miejsce jeszcze niedawno, i wpatrywali się w ścianę litej skały.

Nad nimi wył i huczał wiatr, ale pozostawał na poziomie morza, wpadając do kanionu tylko na tyle, żeby sypnąć im piaskiem w oczy.

–Gdzie są drzwi? – zapytał Hector, tym razem spokojniej, w niemal zupełnej ciszy.

Brann wskazał wysoką płytę na północy.

–Tam – powiedział drżącym głosem.

Trzej mężczyźni mozolnie przedzierali się przez bezładnie rozrzucone skały dna morskiego, omijając wychodnie i pokonując obniżenia terenu oraz wklęsłości, dopóki ostatni z nich nie stanął w miejscu, które wskazał rybak.

Nad nimi górowało coś, co wyglądało na dwie ciężkie płyty z solidnej ziemi, gładkie jak granit i białe jak resztkę morskiego piasku. Między nimi przebiegała ciemna rysa; gdyby nie ona, nie odróżniałyby się w żaden sposób od reszty skalistych podmorskich wzgórz.

Ziemia ponownie zadrżała im pod stopami, gwałtowniej niż poprzednio. Wiatry w górze

kanionu wyły, przechodząc w wysokie, atonalne zawodzenie, które sprawiało wrażenie nieharmonijnego. W oddali ogień wystrzelił w niebo, zabarwiając chmury na kolor krwi.

Hector wyciągnął z torby berło. Świeciło mu jasno w dłoni, pozłacane drzewce błyszczało poniżej brylantu, który skrzył się niemal groźnie.

Wydawało się, że znajdujące się przed nimi płyty kamienia miękną. Trzej mężczyźni patrzyli niczym zahipnotyzowani, jak piasek pokrywający je od niepamiętnych czasów zaczyna się zsuwać i gromadzić u podstawy, odsłaniając strzeliste płyty tytanicznej wręcz wielkości osadzone w mosiądzu, z masywnymi klamkami wystającymi z płyt tego samego metalu i z dziwną dziurką od klucza w prawym skrzydle. Na tych gigantycznych drzwiach wyryto starożytne hieroglify i zaklęcia, hasła i runy, których Hector nigdy w życiu nie widział.

Brann obserwował nerwowo przez ramię północne niebo.

–Pospiesz się, panie rycerzu – rzekł.

Hector popatrzył na starożytny klucz w swojej dłoni. Wydawał się inny niż przed chwilą; ciemna rękojeść z żywego ongiś drewna, która jego zdaniem była gałęzią jednego z kamiennych drzew, teraz bardziej przypominała kość, a brylant tkwił na jej końcu w miejscu, gdzie znajdowałby się staw. Ostrożnie podniósł klucz na wysokość dziurki, by wybrać kąt, pod jakim trzeba będzie go włożyć.

–*Viden, singa ever monokran fri* - powiedział. „Otwórzcie się, w imię króla!”

Hieroglify na drzwiach zajaśniały, budząc się do życia.

Złocenia zaczęły schodzić z drzewca berła, opadając piaszczystymi, złotymi płatkami.

Hector włożył klucz do zamka i powoli przekręcił go w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Raczej wyczuł, niż usłyszał rozbrzmiewający echem głuchy odgłos. Szczelina między kamiennymi skrzydłami drzwi poszerzyła się minimalnie. Monodiery nacisnął to z prawej, ale poruszyły się niemal niezauważalnie. Spróbował zajrzeć do środka. Zobaczył bardzo niewiele.

Ciemność była porażająca w swojej głębi. Hector ostrożnie pchnął drzwi i uchylił je nieco bardziej, walcząc z wałem piasku, który przez wieki usypał się u ich podstawy. Brann stanął obok niego, poświęcając resztki sił, żeby mu pomóc.

Za nim błyski ognia Przebudzenia wzniosły się niespodziewanie wyżej, płonąc bardziej intensywnie i rzucając cienie na czarną czeluść za drzwiami. Hector zajrzał przez szczelinę.

Ogrom tego miejsca przekraczał wszystko, co był w stanie sobie wyobrazić. Chociaż

widział tylko niewielki fragment, wydawało się, że nie ma ono końca, że nie ma żadnych ograniczających je ścian; przypominało to bardziej otwarcie drzwi na nocne niebo albo przestworza wszechświata.

–Jeszcze raz, panie rycerzu – wyszeptał blady z wysiłku Brann. – Musimy otworzyć je szerzej. Spieszmy się, nie ma już czasu.

Jarmon także naparł z całej siły na drzwi. Z jękiem, od którego Hector zadrżał, prawe skrzydło uchyliło się bardziej w nieskończoną ciemność.

Monodiere znowu zajrzał do środka. Z początku, tak jak poprzednio, nic nie zobaczył. Potem wydało mu się, że w miejscu, do którego z trudem sięgał wzrokiem, dostrzega maleńkie płomienie, być może resztki ogni kopalnianych, które mogły nadal płonąć tysiące lat później. Gdy jednak płomyki te zaczęły się poruszać, poczuł nagle osłabienie i zawroty głowy, a jego uszy zaatakowała kakofonia tysiąca napastliwych głosów, trajkoczących i piszczących z zachwyty.

Niczym ognie na sośnie, żywe płomienie zaczęły obejmować coraz niższe skalne występy gigantycznego szybu, jedne bliżej, inne dalej, a wszystkie pędziły ku drzwiom, przepelniając powietrze niszczycielskim chaosem.

Hector, któremu od radosnego, gwałtownie się zbliżającego wrzasku pękała głowa, mógł się jedynie przyglądać przerażony, jak ogień się rozprzestrzenia, płonąc intensywnie, jak mrowie pojedynczych płomieni pełnie w dół po ciemnych ścianach w kierunku drzwi.

Na chwilę ugięły się pod nim nogi, gdy w pełni uświadomił sobie, co uczynili. Czas się zatrzymał, kiedy prawda grzmiała mu w uszach, głośniejsza od wstrząsów wywoływanych przez Śpiące Dziecko.

Właśnie przebił się przez jedyną barierę odgradzającą życie od pustki, stojącą między ziemią a jej zniszczeniem, a nawet gorzej.

Zagrażało to samemu życiu pozagrobowemu.

–Mój Boże – szepnął. Rękę miał śliską od potu. – Dobry Boże! Jarmonie, to Grobowiec! Przebiliśmy się do Grobowca Świata Podziemnego!

Gardłowe przekleństwo utonęło w odgłosach nadciągającej zagłady i orgiastycznym wrzasku zbliżających się demonów ognia, od dawna pogrzebanych, a teraz pędzących ku wolności.

Żołnierze chwycili klamkę i ciągnęli ją ze wszystkich sił. Udało im się znacznie przymknąć drzwi, ale mogli to zrobić tylko na tyle, na ile pozwalała im przeszkoda w postaci ciała rybaka.

Brann wcisnął się w wejście, kładąc się przez próg.

Jarmon chwycił starca, żeby usunąć go z drogi.

–Przesuń się, głupcze! – krzyknął i wykrzywił usta w grymasie bólu, gdy drzwi przycisnęły mu ramię, trzymając je w miażdżącym uchwycie.

Spojrzeli na mężczyznę. Twarz mu stwardniała, stając się niemal półprzezroczystą maską nie skrywanego zachwytu. Jego pomarszczona skóra wygładziła się wokół rozciągniętych w szalonym uśmiechu ust, nad którymi gorzała para ciemnych, obwiedzionych kolorem krwi oczu.

–Ja – powiedział łagodnie Brann. – Ja jestem tym, przed czym przestrzegali was wiatry, sir Hectorze. Jestem tym, co nadchodzi.

–Nie – wyszeptał Monodiere urywanym głosem. – Ty... ty...

Demon w ciele starca cmoknął z dezaprobatą językiem, chociaż w jego uśmiechu było rozbawienie.

–Spokojnie, sir Hectorze – rzekł z przesadną uprzejmością. – To historyczna chwila, którą należy się rozkoszować! Nie psujmy jej wzajemnymi oskarżeniami, dobrze? – Uwolnił się od trzymającej go ręki Jarmona.

Żołnierze pociągnęli znowu ciężkie drzwi, ale F'dor jedynie mocniej przywarł do

progu, uniemożliwiając ich zamknięcie z siłą, która z każdym momentem była potężniejsza. Hector ciągnął z całej mocy, ale tylko startł sobie skórę ze spoconych dłoni o gorące metalowe uchwyty.

Jarmon cofnął się gniewnie i dobył miecza, ale rybak jedynie skinął w jego kierunku. Ciemny ogień wystrzelił z palców starca i objął broń. Ostrze stopiło się w ręce Jarmona, ciekąc strumieniem płynnej stali. Strażnik krzyczał z bólu, padając ciężko na piasek.

–Berło... – wykrztusił Hector.

–Poczujesz się lepiej, jeśli dowiesz się prawdy? – zapytał z troską demon, zerkając na swoich towarzyszy, którzy byli coraz bliżej. – Rzeczywiście, nie myliłeś się. Wszystko, co ci powiedziałem, było prawdą. Moi ludzie naprawdę bardzo długo żyli na skraju morza i jesteśmy słabego ciała, chociaż silnego ducha. Bez gospodarza lub kogoś, kto udzieliłby nam pomocy, nigdy byśmy nie otworzyli sami tych drzwi. I byłem jak najbardziej szczery, gdy zapewniałem cię, że żaden z moich ludzi nawet nie zamarzy o tym, żeby dotknąć berła, bo dla każdego człowieka naszego rodzaju dotknięcie przedmiotu z Żywego Kamienia ukoronowanego brylantem to pewna śmierć. Dlatego potrzebowaliśmy ciebie. Dziękujemy ci za przysługę.

–Święta ziemia – wyszeptał Monodiere, ciągnąc na próżno drzwi i walcząc z wrzeszczącymi głosami, które mnożyły się w jego głowie. – Gospoda jest świętą ziemią...

–W ogóle nie wszedłem do gospody – powiedział F’dor. – Ani do pałacu, jak sobie przypominasz. Nie, sir Hectorze, nigdy nie przekroczyłem progu żadnego z tych miejsc. Spotkałeś mnie na rozstajach dróg i zostawiłeś u stóp zamku. Miło z twojej strony. – Demon zaśmiał się jeszcze raz. – A to, co opowiedziałem ci o swoim życiu, też było prawdą. Dawno temu miałem szansę opuścić miejsce, w którym się urodziłem. To było przed wiekami, podczas pierwszego kataklizmu, gdy gwiazda po raz pierwszy przedziurawiła Grobowiec. Wielu z nas uciekło, zanim go ponownie uszczelniono, i stało się obiektem trwających całe dzieje polowań. Musieliśmy się przenosić z gospodarza do gospodarza, ukrywać, czekać na swój czas. Ale teraz znowu będziemy żyć w świecie zewnętrznym. Dzięki tobie, sir Hectorze. Pragnąłeś uchronić od zagłady wszystkich, których zdołasz, no i proszę! Wyratowałeś z niewoli całą rasę! I nie tylko nas uwolniłeś z Grobowca, lecz także naszego mistrza: tego, który od dawna obserwował drzwi, czekając na ten dzień. Ty będziesz jego gospodarzem! Cóż może być bardziej budujące niż to? – Ogień w oczach demona dorównywał intensywności temu na niebie. – Gdy stary rybak płynął swoją małą łodzią, by sprawdzić, co odstąpiło cofające się morze, czekałem na niego pozbawiony postaci. Wróciłem do domu, gdy usłyszałem zbliżające się Przebudzenie. Tak jak ci powiedziałem. – Westchnął. – Młodszy, silniejszy gospodarz byłby może lepszy, ale w obliczu nadciągającej zagłady trzeba brać, co się trafia. Czyż prawda to nie wspaniała rzecz? Sztuka polega na tym, żeby interpretować ją w taki sposób, w jaki ktoś chce ją usłyszeć. I wreszcie powiedziałem ci, że będziemy ci wiecznie wdzięczni, panie rycerzu. I będziemy. Będziemy. Wiecznie.

Jarmon stanął chwiejnie i spojrzał Hectorowi w oczy.

–Hectorze – powiedział spokojnie – otwórz drzwi.

Pomimo zawrotów głowy jego głos brzmiał wyraźnie. Oczy Monodiere’a zwężyły się na chwilę, po czym rozszerzyły zrozumieniem.

Resztką sił rzucił się na prawe skrzydło drzwi Grobowca, otwierając je jeszcze szerzej niż wcześniej. Głowa pękała mu od szalonego wrzasku hordy demonów, która była praktycznie przy drzwiach. Próbował odwrócić wzrok od tego przerażającego widoku, ale

stwierdził, że jest on przykuty do zbliżającego się ognia, który płonął czernią z podniecenia, wyrывая się na wolność.

W tej samej chwili Jarmon rzucił się na rybaka i chwycił go za kolana. Wątle ciało nosiciela demona ustąpiło silnym rękoma strażnika, a dzięki jego rozpędowi przetoczyli się przez próg i znaleźli w Grobowcu.

Dało to Hectorowi wystarczająco dużo czasu, żeby zatrzasnąć olbrzymie drzwi, zanim

mrowie F'dorów, którzy byli zamknięci od Pierwszego Wieku, przekroczy próg i znajdzie się w świecie materialnym.

Wyciągnął klucz z dziurki i rzucił go za siebie. Potem przełożył ramiona przez ogromne mosiężne klamki i trzymał je z całych sił, gdy jaśniejące drzwi ciemniały i znowu stawały się pozbawionym życia kamieniem.

Umysł Hectora ustępował pod naporem wrzasku, który słyszał i czuł za tymi drzwiami. Kamień wibrował przerażająco, gdy demony uderzały w nie z drugiej strony, powodując drgania, które wstrząsały całym jego ciałem. Pochylił głowę, zarówno by wzmocnić zamknięcie, jak i spróbować uciszyć przerażające dźwięki, które raniły jego uszy. Wydawało mu się, że wśród demonicznych wrzasków wściekłości słyszy krzyk Jarmona w podobnym tonie, nie dający się z niczym pomylić odgłos męczarni katowanego ciała i duszy.

Gdy tak przywierał kurczowo do płonących drzwi, które paliły mu skórę na piersi i twarzy, niebo za nim pobiełało.

Z grzmiącym rykiem, od którego pękało sklepienie niebieskie, Śpiące Dziecko przebudziło się w głębinach oceanu i z gwałtowną wściekłością uniosło się w niebo.

Dobiegające z drugiej strony drzwi wrzaski zagłuszył ryk piekła, które rozpętało się za nim. Teraz czuł tylko palące gorąco, gorąco, które od tyłu paliło jego ciało do kości i które promieniowało przez kamienne drzwi przed nim, gdy płynny wulkaniczny ogień lał się z nieba, wiążąc go na wieczność w postaci osmalonego szkieletu z mosiężnymi klamkami.

Gdy Hector przekroczył próg śmierci, gdy przeszedł z życia do życia pozagrobowego, w końcu zrozumiał, o czym mówił jego ojciec, a co przekazał Anaisowi. Tuż poza zasięgiem jego wzroku, bliżej niż powietrze z jego ostatniego oddechu, a równocześnie po drugiej stronie świata, widział swojego przyjaciela na gałęziach Drzewa Świata, widział ojca stojącego po kolana w morzu na warcie, Taltheę z córeczką na rękach i Aidana na brzegu. Oczy MacQuietha spoczywały na nim, obserwując go z drugiej strony ziemi, z drugiej strony Czasu.

Gdy jego dusza opuszczała ciało, jednocześnie rozpraszając się i rozszerzając na najdalsze krańce wszechświata, Hector pragnął przez chwilę utrzymać ten niewidzialny postronek, zatrzymać się na tyle długo, żeby ucałować na pożegnanie żonę i dzieci i żeby szepnąć ojcu na ucho poprzez ten próg, ponad którym byli związani ze sobą dzięki miłości:

„Zrobione, ojcze. Możesz przestać czekać... wracaj już do życia”.

Jego ostatnim wspomnieniem było ironiczne rozbawienie. Gdy morze rozlewało się, kryjąc ponownie w swoich głębiach wejścia do Grobowca, jego ciało zostało na miejscu, spalone na glinę, tworząc zamek, który strzeże tych drzwi, czuwający do końca w śmierci, jak czynił to w życiu.

Klucz z żywej ziemi leżał za nim, zagrzebany w piasku dna oceanu, już niedostępny na całą wieczność.

–Japko, Canfa, płosze.

Córka wiatru spojrzała poważnie w najszczerszą ludzką twarzą. Potem wbrew sobie uśmiechnęła się. Z łatwością sięgnęła sękatych gałęzi zdeformowanego drzewa, które były poza zasięgiem patykowatych rąk chłopca, zerwała twarde, czerwony owoc i wręczyła mu go.

Zerknęła w lewo, gdzie na ziemi w przetrzebionym sadzie siedziała kobieta, jedząc z roztargnieniem jabłko, które podała jej chwilę wcześniej, i wpatrując się niewidzącym wzrokiem w srebrną klacz Canthy skubiącą niedaleko jesienną trawę.

Zapanował śmiertelny bezruch, jak za trzaśnięciem drzwiami.

Wiatry, wyjące wściekle od niezliczonych tygodni, ucichły kompletnie.

I Cantha wiedziała.

Na chwilę zastygła w ogromnej pustce świata pozbawionego ruchu powietrza, stojącego na krawędzi zagłady. Tuż przed tym, jak wiatry zaczęły wyć, chwyciła chłopca za tył koszuli i uniosła go w ciężkim powietrzu, po czym poszła do konia, a jemu jabłko wypadło z ręki na ziemię.

Postawiła zaskoczona kobietę na nogi i ją również wsadziła na konia, gdy niebo zmieniło kolor na biały. Dosiadła konia i popędziła wierzchowca, kiedy horyzont na północnym zachodzie wybuchnął strumieniem ognia, który wystrzelił w niebo jak pochwycona przez wiatr iskra ze świecy, a potem rozszerzył się na spód rozplywających się chmur, przepełniając je światłem bolesnym w swej intensywności. Cantha wydała gardłowym głosem polecenie koniowi i pogalopowała, ściskając siedzących przed nią kobietę i chłopca.

Nawet na południowym krańcu wyspy wyczuwali drgania, widzieli, jak ziemia drży pod końskimi kopytami. Cantha czuła, jak podnosi się i opada pierś chłopca, i pomyślała, że może płacze, ale jeśli wydawał jakieś dźwięki, to zagłuszał je przerażający lament wiatrów. Modliła się teraz do tych wiatrów, żeby zwiększyły jej szybkość, żeby ułatwiły jej drogę, ale nie było odpowiedzi.

U stóp murów ściągnęła tych ludzi z końskiego grzbietu, rozcięła popręgi i puściła zwierzę wolno, w myśli żegnając się: „Z bogiem”.

Potem złapała kobietę za rękę, a chłopca wzięła pod pachę i rozpoczęła trudną wspinaczkę po schodach.

Wiatry przybrały na sile, szalejąc i niosąc wielkie ilości popiołu i śmieci, gdy była w połowie

drogi, a mięśnie omdlewały jej z wysiłku. Smagały ją, zapierając dech w piersiach i grożąc utratą równowagi. W końcu musiała puścić kobietę, bo inaczej nie mogłaby utrzymać chłopca.

–Wchodź! – krzyknęła do kobiety, ale ta zatrzymała się tylko, zeszywniała, tam gdzie była. Cantha popędziła ją jeszcze raz, a potem następny, popychając na próżno, aż w końcu zostawiła ją, wbiegając na oślep po schodach, podczas gdy niebo nad nią zmieniało kolor na czarny.

Cantha niosła dziecko, teraz już w ramionach, przez ciemne hole i w górę wieży, wchodząc po dwa stopnie naraz, chłopiec zaś obejmował ją mocno za szyję. Wieża drżała, kołysząc się na wietrze, a kamienne mury, które stały od pięciuset lat niewzruszenie i niezłomie, doświadczane przez wiatry i wojnę, wibrowały wokół nich.

W końcu dotarli na szczyt najwyższej wieży, do zakurzonego pokoju z rzędami półek na ścianach, na których stały książki i słoje, będącego kiedyś mieszkaniem królewskiego wezyra. Cantha, wyczerpana, postawiła chłopca na podłodze, wzięła go za rękę i ruszyła biegiem przez gabinet, otwierając szeroko drzwi, które już trzaskały na wietrze, i nie zważając na kawałki szkła rozrzucone po kamiennej podłodze. Wbiegała po ostatnich

drewnianych schodach i otworzyła klapę na sam szczyt. Mocno trzymała chłopca, gdy wyszli na platformę, na której wezyr jednoczył się z błyskawicą, i popatrzyła na leżący w dole świat.

Na rozległych łąkach i w zniszczonych lasach otaczających zamek Elysian gromadził się w wielkich spiralach pył, chaos wiatrów zaś unosił w górę wierzchnią warstwę gleby. W oddali widziała galopującego swobodnie srebrnego konia, już na zawsze bez siodła. Rozejrzała się, wypatrując kobiety, ale nie mogła zobaczyć stopni wiodących na mury.

Wyczuła, jak chłopiec obok niej poruszył się, więc spojrzała w dół i zobaczyła, że wskazuje północ.

Zbliżała się do nich ściana wody wysokości wieży, ciemnoszara z oddali, tocząc przed sobą zagadkowe szczątki, które niegdyś były miastami i miasteczkami, mostami i młynami.

Ale to była tylko fala wstępna.

Za nią czaiła się prawdziwa fala, której grzbietu Cantha nie potrafiła dostrzec, podnosząca się na spotkanie z mrocznym niebem.

Drżąc, sięgnęła po dziecko i posadziła je sobie na ramionach, głównie po to, by znalazło się jak najwyżej, lecz również po to, by nie zobaczyć znowu wyrazu jego oczu. Jej wzrok przykuwało pionowe morze przetaczające się przez wyspę, pochłaniające rzekę, pola i przetrzebiony sad. Tuż przed tym, jak zalało wieżę, pędząc dalej, by połączyć się z sobą na południowym wybrzeżu, przyszły jej na myśl legendy o enklawach Lirinów, którzy mieszkali

wzdłuż wybrzeża w czasie pierwszego kataklizmu, a których tereny zostały zalane, gdy Dziecko spadło na ziemię. Legenda mówiła, że się przekształcili – oni dzieci nieba – w dzieci morza i zaczęli żyć w podwodnych jaskiniach i grotach, tworząc w ochronnych piaskach oceanu całe cywilizacje, kryjąc się w strzegących ich rafach i oddychając pod falami. Jeśli taka bajka jest możliwa, niech stanie się możliwa dla ciebie, dziecko, pomyślała, poklepując nogę chłopca, która zwisała jej z barku.

Wszelkie światło zgasło w ryczącym pędzie szaroniebieskiej furii.

–Nabierz powietrza, dziecko – powiedziała Cantha.

Sevirym obserwował wznoszenie się ognia z oddali, stojąc na pokładzie rufowym *Stormridera*. Widziana ze skraju Pól Lodowych na południowym krańcu świata wyspa była teraz tak daleko, że początkowo niemal je przeoczył – Przebudzenie wyglądało prawie jak cudowna smuga koloru powstała wskutek zachodu słońca. Gdy jednak chmury zaczęły płonąć na horyzoncie i w tej samej chwili ucichł wiatr, zrozumiał, na co patrzy.

Nie był w stanie oderwać wzroku od ognia, rozżarzonej do białości smugi jaśniejszej niż słońce. A potem, nieświadomy obecności otaczających go członków załogi i pasażerów, którzy również się temu przyglądali, skłonił głowę i pogrążył się w żalu, podczas gdy ogień przygasł i w końcu zniknął w morzu.

Fala dotarła do brzegów wyspy, rozlewając się po osmalonej ziemi i połykając wszystko od Wysokich Turni na północy po południowo – wschodni róg. Przetaczała się po rozległych niegdyś polach i lasach, teraz przeważnie poczerniałych lub pokrytych jarzącą się lawą, aż do Yliessan, gdzie – jak się zdawało – przez chwilę wahała się nad Sagią z konarami ozdobionymi kwiatami, dającą schronienie dzieciom nieba, które tam na koniec szukały bezpieczeństwa. Potem uderzyła w dół, spotykając się z morzem ze wszystkich stron lądu.

Gdy fala stała się jeszcze wyższa, pochłaniając dodatkową wodę, grzywacze zamknęły się nad wyspą, miejscem narodzin Czasu.

A potem powrócił spokój.

Gorąca para zasłała powierzchnię morza, które dzięki temu wydawało się tak spokojne i nieruchome jak mglisty poranek.

Przełożył Robert Bartold

Amerykańscy Bogowie Neil Gaiman

American Gods (2001) *Amerykańscy bogowie* (2002) *Anansi Boys* (w przygotowaniu)

Amerykańscy bogowie opowiadają historię człowieka zwanego Cieniem. Na początku

opowieści przebywa on w więzieniu, odsiadując wyrok za zbrodnię, którą popełnił.

Nie może się już doczekać chwili wyjścia, ponownego spotkania z żoną, odzyskania starej pracy. Lecz tragiczna śmierć żony w wypadku samochodowym kładzie kres marzeniom. Wkrótce Cień zostaje ochroniarzem i kierowcą starego oszusta, zwałcego siebie panem Wednesdayem.

Cień dowiaduje się, że gdy ludzie przybyli do Ameryki, przywieźli ze sobą własnych bogów. Niektórym z bogów wiodło się całkiem nieźle, lecz większość bóstw i istot mitycznych ledwie wiąże koniec z końcem, żywiąc się ochłapami wiary, które udaje im się jeszcze znaleźć. Podczas pracy dla Wednesdaya Cień spotyka wielu z nich: Czernoboga, słowiańskiego boga śmierci, pana Nancy'ego, afrykańskiego boga-oszusta Anansiego, a także zmysłowe boginki i postaci z mitów, niektóre pamiętane, większość zapomnianych.

Sam Wednesday jest amerykańskim aspektem starego nordyckiego boga Odyna. Wygląda na to, że próbuje wszcząć wojnę między starymi bogami i nowymi, podbijającymi serca i umysły ludzi – bogami telewizji, techniki, pieniędzy.

Cień dożywa końca opowieści, Wednesday nie. Cień umiera na drzewie i zmartwychwstaje. Udaje mu się nawet zakończyć wojnę, a potem, już jako nie do końca człowiek, ale też nie bóg, opuszcza Amerykę.

Gaiman mówi: „Zawsze uważałem *Amerykańskich bogów* za tło służące do opowiadania innych historii. Moja następna powieść, ta, którą obecnie piszę, nosi tytuł *Chłopcy Anansiego*; to historia pana Nancy'ego i jego synów, Pająka i Grubego Charleya. Aż do chwili, gdy zadzwonił Robert Silverberg, prosząc o opowiadanie ze świata *Amerykańskich bogów*, uważałem Cienia za kogoś, do kogo wrócę dopiero w odległej przyszłości, i dzięki komu opowiem inną historię o Ameryce. Lecz w mojej głowie coś zaczęło się kłuć. Wizja Cienia w północnej Szkocji, łącząca w sobie różne stare opowieści i czytane niedawno książki archeologiczne. Napisałem to i już w trakcie pisania uświadomiłem sobie, że mam do opowiedzenia jeszcze inne historie dotyczące pobytu Cienia w Wielkiej Brytanii i jego podróży powrotnej do Stanów Zjednoczonych. I wiem już, o czym będzie następna książka ze świata *Amerykańskich bogów*”.

Władca Górskiej Doliny

Opowiadanie Ze Świata *Amerykańskich Bogów*

Neil Gaiman

Ona sama jest nawiedzonym domem, nie włada sobą. Czasem przybywają przodkowie i wyglądają na świat poprzez okna jej oczu. To bardzo przerażające.

Angela Carter, *The Lady of the House of Love*

Rozdział I

Jeśli chcesz znać moje zdanie – rzekł do Cienia drobny człowieczek – to jesteś czymś w rodzaju potwora. Mam rację?

Poza barmanką byli jedynymi ludźmi w barze hotelu w miasteczku na północnym wybrzeżu Szkocji. Cień siedział tam samotnie i sączył piwo, gdy zjawił się nieznajomy i usiadł przy jego stoliku. Było późne lato; Cień miał wrażenie, że wszystko, co go otacza, jest zimne, małe i wilgotne. Przed sobą rozłożył przewodnik z Ciekawymi Trasami Miejsowych Wycieczek. Analizował właśnie trasę, którą zamierzał przebyć jutro, wzdłuż wybrzeża w stronę Cape Wrath. Zamknął książkę.

–Jestem Amerykaninem – rzekł. – Jeśli to ma pan na myśli.

Drobny człowieczek przekrzywił na bok głowę i mrugnął teatralnie. Miał stalowoszare włosy, szarą twarz, szary płaszcz i wyglądał jak małomiasteczkowy adwokat.

–Może istotnie to właśnie miałem na myśli.

Podczas swego krótkiego pobytu w Szkocji Cień często miewał kłopoty ze zrozumieniem tutejszych akcentów pełnych dźwięcznych „r”, osobliwych słów i samogłosek. Tym razem jednak pojmował wszystko doskonale. Wszystko, co mówił drobny człowieczek, było ciche i wyraźne, każde słowo tak starannie wyartykułowane, iż Cień odniósł wrażenie, jakby to on sam mówił z ustami pełnymi owsianki. Jego towarzysz pociągnął łyk ze szklanki.

–Zatem jesteś Amerykaninem. Napalonym, nadzianym i na wakacjach, co? Pracujesz na platformach?

–Słuchani?

–Nafciarz na wielkich metalowych platformach. Od czasu do czasu odwiedzają nas tu nafciarze.

–Nie, nie jestem z platformy.

Drobny człowieczek wyjął z kieszeni fajkę i mały scyzoryk. Zaczął wydłubywać resztki popiołu. Wysypał go do popielniczki.

–W Teksasie też mają ropę – rzekł po chwili, jakby wyznawał mu wielką tajemnicę. – To w Ameryce?

–Tak – potwierdził Cień.

Miał ochotę dodać, że Teksasńczycy uważają, iż Teksas tak naprawdę leży w Teksasie. Podejrzewał jednak, iż musiałby wyjaśnić, co ma na myśli, toteż milczał.

Cień od niemal dwóch lat przebywał poza Ameryką. Nie było go w kraju, gdy runęły wieże. Czasami wmawiał sobie, że nie obchodzi go, czy kiedykolwiek wróci. I czasami niemal w to wierzył. Do Szkocji dotarł dwa dni temu, zszedł w Thurso z promu z Orkneyów i autobusem przyjechał do tego miasteczka.

Drobny człowieczek znów zaczął mówić.

–Pewien teksański nafcjarz w Aberdeen rozmawia ze staruszką, którego spotkał w pubie, coś tak jak my dwaj. Zaczynają gadać i Teksaszczyk mówi: W domu, w Teksasie, wstaję rano, wsiadam do samochodu – wybaczone, ale nie będę próbował naśladować tego akcentu – przekręcam klucz w stacyjce i przyspieszam. Jak wy to mówicie...

–Dodaję gazu – odpowiedział usłużnie Cień.

–Dodaję gazu w porze śniadania i w porze lunchu wciąż jeszcze mam daleko do granicy mojego majątku. A przebiegły stary Szkot kiwa tylko głową. O tak, mówi, ja też kiedyś miałem podobny samochód.

Drobny mężczyzna zaśmiał się donośnie, by zaznaczyć koniec dowcipu. Cień uśmiechnął się i skinął głową, pokazując, iż wie, że to żart.

–Co pijesz? Piwo? Jeszcze raz to samo, Jennie, złotko. Dla mnie lagavulin. – Drobny człowieczek zaczął nabijać fajkę tytoniem z woreczka. – Wiesz, że Szkocja jest większa od Ameryki?

Gdy tego wieczoru Cień zszedł do baru, nie było w nim nikogo poza chudą barmanką, czytającą gazetę i palącą papierosa. Przyszedł, by posiedzieć przy kominku – w pokoju było zimno, a metalowe grzejniki w łazience okazały się jeszcze zimniejsze. Nie oczekiwał towarzystwa.

–Nie – rzekł teraz, zawsze gotów udawać naiwniaka. – Nie wiedziałem. Jak to możliwe?

–To kwestia fraktali – wyjaśnił tamten. – Im coś mniejsze, tym bardziej upakowane. Przejazd na drugi koniec Ameryki mógłby ci zabrać tyle samo czasu co jazda na drugi koniec Szkocji. Gdybyś wybrał odpowiednią drogę. Na przykład kiedy spojrzysz na mapę, wybrzeża to linie proste. Kiedy jednak nimi wędrujesz, krążą i falują. Niedawno widziałem o tym program w telewizji. Świetna rzecz.

–Jasne – rzucił Cień.

Drobny mężczyzna pstryknął zapalniczką, zaczął zaciągać się i głośno wypuszczać powietrze, wciągać i wypuszczać, póki fajka nie rozpałała się na dobre. Wówczas schował do kieszeni płaszcz zapalniczkę, woreczek i scyzoryk.

–Tak czy inaczej – rzekł – jak się zdaje, zamierzasz spędzić tu cały weekend.

–Tak – potwierdził Cień. – Pracujesz w hotelu?

–Nie, nie. Prawdę mówiąc, stałem w holu, gdy się zjawiałeś. Słyszałem twoją rozmowę z Gordonem na recepcji.

Cień przytaknął. Zdawało mu się, że podczas rejestracji w recepcji był sam. Ale możliwe, że obok przechodził drobny człowieczek. Mimo wszystko jednak... w całej tej rozmowie było coś nie tak. We wszystkim było coś nie tak.

Barmanka Jennie postawiła szklanki na barze.

–Pięć funtów dwadzieścia – oznajmiła, podniosła gazetę i z powrotem zagłębiła się w lekturze.

Drobny człowieczek podszedł do baru, zapłacił i przyniósł szklanki.

–Jak długo zostaniesz w Szkocji? – zapytał.

Cień wzruszył ramionami.

–Chciałem zobaczyć, jak tu jest. Połączyć, pozwiedzać. Może ty dzień, może miesiąc.

Jennie odłożyła gazetę.

–To zadupie świata – oznajmiła radośnie. – Powinieneś pojechać w jakieś ciekawsze miejsce.

–I tu się mylisz – nie zgodził się człowieczek. – To tylko zadupie świata, jeśli patrzysz na nie w niewłaściwy sposób. Widzisz tę mapę, chłopcze? – Wskazał palcem upstrzoną przez muchy mapę północnej Szkocji, wiszącą na ścianie naprzeciw baru. – Wiesz, co jest z nią nie tak?

–Nie.

–Wisi do góry nogami – oznajmił tamten triumfalnie. – Północ jest na górze. Jakby chcieli powiedzieć światu, że tu właśnie wszystko się kończy. Nie jedźcie dalej. To koniec świata. Ale widzisz, nie tak było kiedyś. To nie była północ Szkocji, lecz najbardziej wysunięty na południe skrawek świata wikingów. Wiesz, jak nazywa się drugie północne hrabstwo Szkocji?

Cień zerknął na mapę, był jednak zbyt daleko, by cokolwiek przeczytać. Pokręcił głową.

–Sutherland! – wykrzyknął z triumfem jego towarzysz, ukazując zęby. – The South Land, Południowe Ziemie. Może nie dla wszystkich w świecie, ale dla wikingów na pewno.

Barmanka Jennie podeszła do nich.

–Niedługo wrócę – oznajmiła. – Jeśli przed moim powrotem będziecie czegoś potrzebować, zadzwońcie na recepcję. – Wrzuciła do kominka kawał drewna i wyszła.

–Jesteś historykiem? – spytał Cień.

–A to dobre. Może i jesteś potworem, ale zabawnym, przyznaję.

–Nie jestem potworem – zaprotestował Cień.

–Wszystkie potwory tak mówią. Kiedyś byłem specjalistą w Saint Andrews. Teraz prowadzę praktykę internistyczną, no, prowadziłem. Praktycznie przeszedłem na emeryturę. Przez parę dni w tygodniu dyżuruję w gabinecie, tak żeby nie stracić wprawy.

–Czemu twierdzisz, że jestem potworem? – dopytywał się Cień.

–Ponieważ – odparł drobny człowieczek, unosząc szklanę z whisky gestem kogoś, kto podaje niezbijalny argument – ja sam także jestem odrobinę potworem. Swój przyciąga swego. Wszyscy jesteśmy potworami, nieprawdaż? Wspaniałymi potworami wędrującymi przez bagna przesądów... – Napił się whisky i dodał: – Powiedz mi, duży z ciebie facet, byłeś kiedyś bramkarzem? „Przykro mi, stary, niestety nie możesz dziś wejść, to impreza prywatna. No, spróbuj tylko, a dostaniesz, zjeżdżaj stąd” i tak dalej?

–Nie – odrzekł Cień.

–Ale z pewnością musiałeś robić coś podobnego.

–Tak – potwierdził Cień, który kiedyś pracował jako ochroniarz starego boga, działa się to jednak w innym kraju.

–I... hm, nie zrozum mnie źle, ale nie potrzebujesz przypadkiem pieniędzy?

–Každy potrzebuje pieniędzy, ale jakoś sobie radzę. – Nie była to do końca prawda, lecz istotnie kiedy Cień potrzebował pieniędzy, świat zdawał się czynić wszystko, by mu je dostarczyć.

–Nie chciałbyś zarobić drobnej sumki na zakupy jako bramkarz? Luźnym sikiem. Forsa za nic.

–Na dyskotece?

–Nie do końca. Na prywatnym przyjęciu. Wynajmują tu w pobliżu duży, stary dom. Zjeżdżają

się zewsząd pod koniec lata. W zeszłym roku wszyscy bawili się super, szampan na dworze i tak dalej, gdy zaczęły się kłopoty. Wredne typy. O mało nie zrujnowali wszystkim weekendu.

–Miejscowi?

–Wątpię.

–Polityka? – spytał Cień. Nie chciał się angażować w nic politycznego.

–Ani trochę. Żuliki, menele, idioci. W każdym razie w tym roku raczej nie wrócą. Zapewne wybyli gdzieś hen, donikąd, demonstrować przeciwko międzynarodowemu kapitalizmowi. Ale na wszelki wypadek ludziska z dworu prosili, bym poszukał kogoś, kto mógłby zadziałać odstraszająco. Duży z ciebie gość, a oni tego właśnie chcą.

–Ile? – spytał Cień.

–Gdyby doszło do bójki, dasz sobie radę?

Cień nie odpowiedział. Drobnny człowieczek zmierzył go wzrokiem i uśmiechnął się ponownie, ukazując pokryte plamami tytoniu zęby.

–Tysiąc pięćset funtów za robótkę weekendową. To niezła forsa i w gotówce. Nie będziesz musiał nic zgłaszać skarbowce.

–W najbliższy weekend?

–Od piątku rano. To duży, stary dom. Kiedyś jego część należała do zamku. Na zachód od Cape Wrath.

–No, nie wiem – mruknął Cień.

–Jeśli się zgodzisz – rzekł drobnny szary człowieczek – spędzisz fantastyczny weekend w historycznym dworze i gwarantuję, że spotkasz najróżniejszych, ciekawych ludzi. Idealna robótka wakacyjna. Żałuję, że sam nie jestem młodszy. I, no, sporo wyższy.

–Dobra – rzucił Cień i gdy tylko to powiedział, zastanowił się, czy nie pożałuje.

–Porządny z ciebie facet. Podam ci bliższe namiary.

Drobnny mężczyzna wstał. Mijając Cienia, poklepał go lekko po ramieniu. Potem wyszedł, zostawiając go samego w barze.

Rozdział II

Cień od osiemnastu miesięcy przebywał w drodze. Przemierzył z plecakiem całą Europę i północną Afrykę. Zbierał oliwki, łowił sardynki i był kierowcą ciężarówki, a także sprzedawał wino z pobocza szosy. W końcu parę miesięcy temu autostopem wrócił do Norwegii, do Oslo, gdzie przyszedł na świat trzydzieści pięć lat wcześniej.

Sam nie wiedział, czego właściwie szuka, czuł jedynie, że wciąż tego nie znalazł. Choć zdarzały się chwile wśród gór, skał i wodospadów, gdy był pewien, że to, czego potrzebuje, kryje się tuż za rogiem: za granitową iglicą, w najbliższym sosnowym lesie.

Mimo wszystko jednak wizyta w Norwegii okazała się wysoce niezadowolająca i gdy w Bergen spytano go, czy zechce zostać połową załogi jachtu motorowego zmierzającego do Cannes, zgodził się chętnie.

Z Bergen pożeglowali na Szetlandy, stamtąd na Orkneje, gdzie zanocowali w pensjonacie w Stromness. Następnego ranka, gdy tylko odbili od brzegu, silniki stanęły, nieodwracalnie i na amen, i łódź odholowano do portu.

Bjorn, kapitan i druga połowa załogi, został na pokładzie, by zająć się rozmowami z agentami ubezpieczeniowymi i odbierać gniewne telefony właściciela jachtu. Cień nie widział powodu, by czekać. Wsiadł na prom płynący do Thurso na północnym wybrzeżu Szkocji.

Dręczył go niepokój. Nocami śnił o autostradach, o neonowych przedmieściach miasta, w którym ludzie mówią po angielsku. Czasem miasto to leżało na środkowym zachodzie, czasem na Florydzie, czasem na Wschodnim Wybrzeżu, czasem na Zachodnim.

Po zejściu z promu kupił przewodnik dla pieszych turystów, sprawdził rozkład autobusów i wyruszył w świat.

Barmanka Jennie wróciła i zaczęła przecierać wszystkie powierzchnie ścierką. Włosy miała tak jasne, że niemal białe, upięte z tyłu w kok.

–Co miejscowi robią dla rozrywki? – spytał Cień.

–Piją, czekają na śmierć – odparła – albo jeżdżą na południe. To w zasadzie wyczerpuje wszystkie możliwości.

–Na pewno?

–Sam pomyśl. Tu nie ma nic, tylko owce i wzgórza. Oczywiście żyjemy z turystów, ale nigdy nie ma was dostatecznie wielu. Smutne, nieprawdaż?

Cień wzruszył ramionami.

–Jesteś z Nowego Jorku? – spytała.

–Mieszkałem w Chicago, ale tu przyjechałem z Norwegii.

–Znasz norweski?

–Odrobinę.

–Powinieneś zatem kogoś poznać – oświadczyła nagle, po czym zerknęła na zegarek. – Kogoś, kto przybył tu z Norwegii bardzo, bardzo dawno temu. Chodź.

Odwiesiła ściereczkę, zgasiła światła w barze i podeszła do drzwi.

–No chodź – powtórzyła.

–Możesz tak po prostu wyjść? – spytał Cień.

–Mogę robić, co zechcę – rzekła. – To przecież wolny kraj.

–Chyba tak.

Zamknęła drzwi baru mosiężnym kluczem. Razem przeszli do recepcji.

–Zaczekaj tu – poleciała. Zniknęła za drzwiami z tabliczką „dla personelu”.

Po kilku minutach wróciła w długim brązowym płaszczu.

–W porządku, chodź za mną. Wyszli na ulicę.

–Czy to wioska, czy raczej miasteczko? – spytał Cień.

–To pieprzony cmentarz – odparła. – W górę, tędy, chodź.

Ruszyli wąską drogą. Na niebie wisiał wielki, żółtobrązowy księżyc. Cień słyszał morze, choć jak dotąd go nie widział.

–Ty jesteś Jennie? – spytał.

–Zgadza się. A ty?

–Cień.

–To prawdziwe imię?

–Tak mnie nazywają.

–No to chodź, Cieniu.

Na szczycie wzgórza zatrzymali się. Byli na skraju wioski, przed szarym kamiennym

domkiem. Jennie otworzyła furtkę i poprowadziła Cienia ścieżką do frontowych drzwi. Po drodze potracił niewielki krzaczek i w powietrzu rozeszła się słodka woń lawendy. W domku było ciemno.

–Czyj to dom? – spytał Cień. – Wygląda na pusty.

–Nie martw się – odparła Jennie. – Ona wróci za moment. Pchnęła nie zamknięte na klucz drzwi frontowe i razem weszli do środka. Pstryknęła włącznikiem przy framudze. Większą część domu zajmował salon połączony z kuchnią. Wąskie schody wiodły do, jak zakładał Cień, sypialni na strychu. Na sosnowej ladzie ustawiono odtwarzacz CD.

–To twój dom – rzekł.

–Ciasny, ale własny – potwierdziła. – Może kawy albo coś do picia?

–Nie, dzięki. – Cień zastanawiał się, czego chce Jennie. Prawie na niego nie patrzyła, nawet się nie uśmiechnęła.

–Dobrze usłyszałam? Czy doktor Gaskell prosił cię, byś pomógł w obsłudze imprezy w ten weekend?

–Chyba tak.

–To co będziesz robił jutro i w piątek?

–Spacerował – wyjaśnił Cień. – Kupiłem książkę, są tu piękne trasy.

–Niektóre, owszem, są piękne. Inne niebezpieczne. W cieniu nawet latem wciąż można natknąć się na zimowy śnieg. W cieniu rzeczy potrafią przetrwać bardzo długo.

–Będę ostrożny – obiecał.

–To samo mówili wikingowie – uśmiechnęła się w końcu. Zdjęła płaszcz i zostawiła na jaskrawofioletowej kanapie. – Może gdzie się spotkamy. Też lubię spacerować. – Szarpnęła kok z tyłu głowy i jasne włosy rozsypały się na ramionach. Były dłuższe, niż Cień przypuszczał.

–Mieszkasz tu sama?

Z paczki na ladzie wyjęła papierosa, zapaliła go zapałką.

–A czemu pytasz? Nie chcesz przecież zostać na noc, prawda?

Cień pokręcił głową.

–Hotel jest u stóp wzgórza – poinformowała go. – Nie da się go nie zauważyć. Dzięki, że

mnie odprowadziłeś.

Cień pożegnał się i pomaszerował przez lawendową noc za furtkę. Przez chwilę stał bez ruchu, wpatrując się w księżyc nad morzem. Coś nie dawało mu spokoju. W końcu ruszył na dół i dotarł do hotelu. Miała rację, nie można go było przeoczyć. Wspiął się po schodach, kluczem przymocowanym do krótkiego sztywnego breloka otworzył drzwi

pokoju i wszedł do środka. Wewnątrz było zimniej niż na korytarzu. Zdjął buty i w ciemności wyciągnął się na łóżku.

Rozdział III

Statek zbudowano z paznokci martwych ludzi. Sunął naprzód we mgle, podskakując i kołysząc się ciężko na falach wzburzonego morza. Na pokładzie czekały mroczne postaci. Mężczyźni wielcy jak wzgórza czy domy, a gdy Cień zbliżył się, dostrzegł ich twarze: dumni, wyniośli mężowie, wszyscy bez wyjątku. Nie zwracali uwagi na poruszenia statku, wszyscy stali na pokładzie jak przymurowani. Jeden z nich wystąpił naprzód. Potężną dłonią chwycił rękę Cienia. Cień wszedł na szary pokład.

– Witaj w tym przeklętym miejscu – rzekł niskim, ochrypłym głosem mężczyzna trzymający jego dłoń.

– Bądź pozdrowiony! – zakrzyknęli mężowie z pokładu. – Bądź pozdrowiony, niosący słońce, bądź pozdrowiony, Baldurze!

Na akcie urodzenia Cienia widniało imię Balder. Balder Moon. Pokręcił jednak głową.

– Nie jestem nim – oznajmił. – Nie jestem tym, na którego czekacie.

– My tu ginimy, umieramy – odparł mężczyzna o ochrypłym głosie, nie wypuszczając jego ręki.

W mglistym miejscu pomiędzy światami jawy i grobem było zimno. Fala uderzyła o burtę statku, posyłając w powietrze obłok słonego wodnego pyłu, który przemoczył Cienia do suchej nitki.

– Sprowadź nas z powrotem – rzekł mężczyzna trzymający go za rękę. – Sprowadź nas albo pozwól nam odejść.

– Nie wiem jak – rzekł Cień.

Usłyszawszy to, mężczyźni na pokładzie zaczęli płakać i zawodzić. Niektórzy walili drzewcami włóczni o pokład, inni płazem krótkich mieczy tłukli o mosiężne guzy pośrodku skórzanych tarcz. Falom dźwięku towarzyszyły narastające krzyki, dźwięczący w nich smutek zniknął powoli, zastąpiony gardłowym zawodzeniem berserkerów...

Mewa krzyczała na porannym niebie. W nocy wiatr otworzył okno sypialni, które uderzało głośno o ścianę. Cień leżał na łóżku w wąskim, hotelowym pokoju. Skórę miał wilgotną, może od potu.

Zaczął się kolejny zimny dzień końca lata.

Pracownicy hotelu przygotowali dla niego plastikowy pojemnik, zawierający kilka kanapek z kurczakiem, jajko na twardo, małą paczkę chipsów serowo-cebulowych i jabłko. Wręczając mu pudełko, recepcjonista Gordon spytał, kiedy wróci, wyjaśniając, że jeśli spóźni się bardziej niż parę godzin, zawiadomią służby ratownicze. Poprosił też o numer telefonu komórkowego Cienia.

Cień nie miał telefonu komórkowego.

Wyruszył w drogę, kierując się w stronę wybrzeża. Otaczający go krajobraz był piękny, a jego bezludna uroda odbijała się wibrującym echem w pustkach wewnątrz Cienia. Wyobrażał sobie Szkocję jako miejsce łagodne, pełne niskich, porośniętych wrzosami wzgórz. Jednak tu, na północnym wybrzeżu, wszystko zdawało się ostre i kanciaste, nawet szare chmury wędrujące po jasnoblękitnym niebie. Podążał trasą opisaną w przewodniku, przez górskie łąki, obok stodół, po zboczach kolejnych skalistych wzgórz.

Chwilami wyobrażał sobie, że stoi bez ruchu i to świat porusza się pod nim. Że on sam jedynie popycha go nogami.

Trasa okazała się bardziej wyczerpująca, niż przypuszczał. Zaplanował posiłek na pierwszą, lecz już w południe rozboleły go nogi i zapragnął przerwy. Ścieżka doprowadziła go do zbocza kolejnego wzgórza. Znalazł tam głąz dający osłonę przed wiatrem. Przykucnął, by się posilić. W dali przed sobą widział Atlantyki.

Sądził, że jest sam.

–Poczęstujesz mnie jabłkiem? – spytała.

To była Jennie, barmanka z hotelu. Jej zbyt jasne włosy tańczyły wokół głowy.

–Cześć, Jennie. – Cień podał jej jabłko. Z kieszeni brązowego płaszcza wyjęła scyzoryk i usiadła obok niego.

–Dzięki.

–A zatem – podjął Cień – jak sądzę po akcencie, musiałaś przyjechać z Norwegii w dzieciństwie. Mówisz zupełnie jak miejscowi.

–Czy powiedziałam, że pochodzę z Norwegii?

–A nie?

Nabiła na czubek noża plasterek jabłka i zjadła go małymi kęsami, dotykając metalu zaledwie czubkami zębów. Zerknęła na niego.

–To było bardzo dawno temu.

–Rodzina?

Wzruszyła lekko ramionami, jakby była ponad każdą odpowiedź, której mogła udzielić.

–Podoba ci się tutaj?

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

–Czuję się jak *hulder*.

Cień słyszał już to słowo w Norwegii.

–To coś w rodzaju trolla?

–Nie, żyją w górach, jak trolle, ale przybywają z lasów i są bardzo piękne, jak ja. – Uśmiechnęła się szeroko, jakby zdawała sobie sprawę, że jest zbyt blada, zbyt zatroskana i zbyt chuda, by ktokolwiek mógł nazwać ją piękną. – Zakochują się w rolnikach.

–Czemu?

–Nie mam bladego pojęcia, ale tak właśnie jest. Czasem rolnik orientuje się, że rozmawia z jakąś *hulder*, bo z tyłu zwisa jej krowi ogon albo, co gorsza, czasem z tyłu po prostu nie ma nic: *hulder* jest próżna i pusta niczym skorupa. Wówczas rolnik odmawia modlitwę albo zmyka do matki lub gospodarstwa. Ale czasami rolnik nie ucieka. Czasami ciska nożem nad jej ramieniem albo po prostu uśmiecha się i poślubia *hulder*. Wówczas jej ogon odpada, nadal jednak pozostaje silniejsza niż jakakolwiek ludzka kobieta. I wciąż tęskni za swym domem w lesie i górach. Nigdy nie będzie do końca szczęśliwa, nigdy nie będzie człowiekiem.

–Co dzieje się z nią dalej? – spytał Cień. – Czy starzeje się i umiera wraz ze swym rolnikiem?

Jennie zdążyła już okroić jabłko aż do ogryzka. Lekkim ruchem nadgarstka posłała ogryzek w powietrze. Zatoczył łuk i zniknął za zboczem wzgórza.

–Gdy jej mężczyzna umiera... myślę, że *hulder* wraca na wzgórze między drzewa. – Spojrzała przed siebie. – Znam historię o jednej z nich. Poślubiła rolnika, który źle ją traktował, krzyczał na nią, nie pomagał w gospodarstwie, wracał z wioski pijany i wściekły. Czasami ją bił. Pewnego dnia *hulder* jest w domu, rozpala właśnie poranny ogień, gdy on

zjawia się i zaczyna krzyczeć, bo nie dostał jeszcze śniadania. Jest zły,

mówi, że ona nic nie robi jak należy i że nie wie, czemu w ogóle się z nią ożenił. A *hulder* słucha przez chwilę, a potem bez słowa sięga do paleniska i podnosi pogrzebacz, ciężki kawał czarnego żelaza. Bierze go i bez wysiłku zgina w idealne kółko, zupełnie takie jak obrączka. Nie stęka przy tym, nie poci się, po prostu go zgina niczym trzcinę. Rolnik widzi to, robi się biały jak prześcieradło i nie wspomina już o śniadaniu. Przekonał się, co żona potrafi zrobić z pogrzebaczem, i doskonale rozumie, że przez ostatnie pięć lat w każdej chwili mogła zrobić to samo z nim. Aż do śmierci nie tyka jej nawet palcem, nigdy nie wypowiada nawet jednego ostrego słowa. Teraz ty mi coś powiedz, mój panie-nazywają-mnie-Cień. Skoro to potrafiła, czemu w ogóle pozwalała, by ją bił? Dlaczego chciała być z kimś takim? Powiedz mi.

–Może – rzekł Cień – może była samotna. Jennie wytarła ostrze noża o nogawkę dzinsów.

–Doktor Gaskell powtarzał, że jesteś potworem. To prawda?

–Nie sędzę – powiedział Cień.

–Szkoda – mruknęła. – Z potworami wiadomo przynajmniej, na czym się stoi. Mam rację?

–Masz?

–O tak. Wiadomo, że pod koniec dnia zjedzą cię na kolację. A skoro już o tym mowa, coś ci pokażę. – Wstała i poprowadziła go na szczyt wzgórza. – Widzisz, o tam? Po drugiej stronie, w miejscu, gdzie zbocze opada w dolinę, widać dom, w którym będziesz pracował w ten weekend. Widzisz go, o tam?

–Nie.

–Patrz, pokażę ci. Podążaj za moim palcem.

Stała obok niego, wyciągnęła rękę i wskazała odległy skalny grzebień. Cień widział promienie słońca odbijające się w jakimś jeziorze – czy raczej w *loch*, poprawił się w myślach, bo ostatecznie byli w Szkocji – a nad nim wyrastający ze zbocza szary kształt. Wcześniej wziął go za skałę, był jednak zbyt regularny.

–To jest zamek?

–Nie nazwałabym go tak. Po prostu duży dom w dolinie.

–Brałaś udział w takim przyjęciu?

–Nie zapraszają miejscowych – rzekła. – I nie zaprosiliby mnie. Ty też nie powinieneś tam iść. Powinieneś odmówić.

–Płacą całkiem sporo – mruknął.

Wówczas dotknęła go po raz pierwszy, kładąc jasne palce na grzbiecie jego ciemnej dłoni.

–A po cóż potworowi pieniądze? – spytała i uśmiechnęła się. I Cień mógłby przysiąc, że w tym momencie pomyślał, iż może faktycznie jest piękna.

Potem jednak zabrała rękę i cofnęła się.

–I co? – spytała. – Nie powinieneś ruszać dalej na wycieczkę?

Wkrótce będziesz musiał zawrócić. O tej porze roku bardzo szybko robi się ciemno.

Została tam, patrząc na niego, gdy zarzucił na ramię plecak i ruszył w dół zbocza. Dotarłszy na dół, obejrzał się, spojrzął w górę. Wciąż na niego patrzyła. Pomachał, ona zrobiła to samo.

Gdy obejrzał się następnym razem, już jej nie było.

Przeplłynął niewielkim promem przez cieśninę na przylądek i podszedł do latarni morskiej. Stamtąd na przystań jeździły minibusy. Wsiadł do jednego z nich.

Do hotelu dotarł o ósmej wieczór, wyczerpany, lecz zadowolony. Raz, późnym

popołudniem, spadł deszcz, Cień jednak schronił się w porzuconej, zrujnowanej chacie i pograżył w lekturze pięcioletniej gazety, podczas gdy deszcz bębnił o dach. Po półgodzinie deszcz ustał, Cień jednak cieszył się, że ma solidne buty, bo twarda ziemia zamieniła się w błoto.

Konał z głodu. Ruszył do hotelowej restauracji. Była pusta.

–Halo? – rzucił Cień.

W drzwiach między restauracją a kuchnią stanęła starsza kobieta.

–Tak?

–Wciąż podajecie kolację?

–Tak.

Zmierzyła go pełnym dezaprobaty wzrokiem, od zabłoconych butów po zmierzwione włosy.

–Jest pan gościem?

–Tak, pokój jedenaście.

–Cóż... zechce pan zapewne przebrać się do kolacji. Tak jest uprzejmiej wobec innych gości.

–Zatem wciąż podajecie.

–Tak.

Poszedł do pokoju, rzucił plecak na łóżko i zdjął buty. Włożył adidas, przeczesał włosy i wrócił na dół.

Jadalnia nie była już pusta. Przy stole w kącie siedziało dwoje ludzi. Dwoje ludzi, którzy wydawali się różni pod każdym możliwym względem: drobna kobieta, na oko przed sześćdziesiątką, przygarbiona i chuda jak ptak, oraz młody mężczyzna, potężny, niezręczny i idealnie łysy. Cień uznał, że to zapewne matka i syn.

Sam zajął stolik pośrodku sali.

Starsza kelnerka zjawiała się z tacą, podała pozostałym gościom po talerzu zupy. Mężczyzna zaczął dmuchać, by ją ostudzić. Matka pacnęła go mocno w wierzch dłoni.

–Przestań – rzuciła.

Sama zaczęła szybko machać łyżką, siorbiąc głośno.

Łysy młodzieniec rozejrzył się ze smutkiem po sali. Dostrzegł Cienia, który skinął mu głową. Tamten westchnął i z powrotem zajął się parującą zupą.

Cień bez entuzjazmu zajrzał do karty dań. Był gotów złożyć zamówienie, lecz kelnerka znów zniknęła.

Błysk szarości. W drzwiach restauracji stanął doktor Gaskell. Zajrzał do środka, przekroczył próg i podszedł wprost do stolika Cienia.

–Mogę się przyłączyć?

–Ależ proszę, niech pan siada. Mężczyzna usiadł naprzeciw Cienia.

–Jak minął dzień?

–Doskonale. Zrobiłem sobie wycieczkę.

–Nie ma to jak spacer na pobudzenie apetytu. Jutro rano przyślą po ciebie samochód. Zabierz rzeczy. Zawiozą cię do domu, pokażą, o co chodzi.

–A pieniądze? – spytał Cień.

–Załatwię to. Połowę z góry, resztę po wszystkim. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Kelnerka stała na skraju sali. Obserwowała ich, ale wyraźnie nie zdradzała chęci podejścia.

–Tak. Co mam zrobić, żeby dostać tu coś do jedzenia?

–A na co masz ochotę? Osobiście polecam kotlety jagnięce. Są z miejscowych jagniąt.

–Brzmi nieźle.

–Przepraszam, Mauro – powiedział głośno Gaskell – nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale czy mogłabyś podać nam obu kotlety jagnięce?

Kelnerka zacisnęła usta i wróciła do kuchni.

–Dzięki – rzucił Cień.

–Nie ma za co. Mogę pomóc w czymś jeszcze?

–Tak. Ci ludzie, którzy przyjeżdżają tu na przyjęcie – czemu nie wynajmą własnej ochrony? Czemu akurat mnie?

–O, bez wątpienia to zrobią – rzekł Gaskell. – To znaczy sprowadzą własnych ludzi. Ale dobrze jest mieć kogoś miejscowego.

–Nawet jeśli ów ktoś miejscowy to turysta z zagranicy?

–Właśnie.

Maura przyniosła dwa talerze zupy i postawiła przed Cieniem i doktorem.

–Wliczona w cenę – oznajmiła.

Zupa była zbyt gorąca, smakowała lekko pomidorami z odzysku i octem. Głód jednak sprawił, iż Cień zdążył zjeść niemal cały talerz, nim uświadomił sobie, że mu nie smakuje.

–Mówił pan, że jestem potworem – rzekł do stalowoszarego doktora.

–Tak?

–Tak.

–Cóż, w tej części świata jest mnóstwo potworów. – Gaskell skinieniem głowy wskazał parę w kącie. Niska kobieta wzięła serwetkę, umoczyła w szklance z wodą i zaczęła energicznie ścierać szkarłatne plamy zupy pokrywające usta i podbródek syna. Mężczyzna zarumienił się ze wstydu. – To odludzie, nie trafiamy do gazet, chyba że zaginie tu turysta albo wspinacz, czy może umrze z głodu. Większość ludzi zapomina o naszym istnieniu.

Na stole pojawiły się kotlety jagnięce w towarzystwie rozgotowanych ziemniaków, niedogotowanych marchewek oraz czegoś brązowego i wilgotnego – Cień podejrzewał, że u zarania żywota był to szpinak. Zaczął kroić mięso nożem. Doktor podniósł kotlet palcami i odgryzł kawałek.

–Siedziałeś – zauważył.

–Siedziałem?

–W więzieniu. Byłeś w więzieniu – to nie było pytanie.

–Tak.

–Zatem umiesz walczyć. Jeśli trzeba, potrafisz zrobić komuś krzywdę.

–Jeśli potrzebujecie kogoś, kto robi ludziom krzywdę – odparł Ciebie – to zapewne nie jestem tym, kogo szukacie.

Tłuste, szare usta drobnego człowieczka rozchyliły się w uśmiechu.

–Ależ niewątpliwie jesteś. Tak tylko pytałem. Nie możesz mieć pretensji, że pytam. Tak czy owak, on jest potworem – dodał doktor, machając w stronę pary przy stoliku obgryzionym kotлетem. Łysy mężczyzna jadł właśnie łyżką biały pudding. – Podobnie jego matka.

–Według mnie nie wyglądają jak potwory.

–Tylko się drocę. Miejscowe poczucie humoru. Powinni byli cię ostrzec przed moim, gdy tylko zjawieś się w wiosce. „Uwaga, po okolicy kręci się świrnięty stary lekarz i gada o potworach”. Wybacz staruszkowi. Nie przejmuj się tym, co mówię. – Błysk poplamionych tytoniem zębów. Doktor wytarł serwetką ręce i usta. – Mauro, prosimy o rachunek. Ja zapłacę za obiad tego młodzieńca.

–Tak, doktorze Gaskell.

–Pamiętaj – powiedział doktor do Cienia – jutro rano piętnaście po ósmej bądź w holu. Nie spóźnij się, to bardzo zajęci ludzie. Jeśli cię nie będzie, pojedą sami i stracisz szansę zarobku. Półtora tysiąca za jeden weekend, plus premia, jeśli im się spodobaś.

Cień postanowił, że poobiednią kawę wypije w barze. W końcu płonął tam ogień na kominku. Miał nadzieję, że jego ciepło przegna chłód z kości.

Za barem ujrzał Gordona z recepcji.

–Jennie ma wolne? – spytał Cień.

–Słucham? Nie, tylko tu pomagała. Czasem przychodzi, jeśli jesteśmy bardzo zajęci.

–Mogę dorzucić do ognia?

–Bardzo proszę.

Jeśli tak właśnie Szkoci traktują swe lata, pomyślał Cień, przypominając sobie słowa Oscara Wilde'a, to na nie nie zasługują.

W barze zjawiał się łysy mężczyzna. Nerwowym skinieniem głowy powitał Cienia, który

odpowiedział tym samym. Młodzieniec nie miał żadnych widocznych włosów, brwi ani rzęs. Wskutek tego wydawał się nie do końca ukształtowany, jak niemowlak. Cień zastanawiał się, czy sprawiła to choroba, czy może to efekt uboczny chemioterapii. Tamten cuchnął wilgocią.

–Słyszałem, co mówił – wyjąkał młodzieniec. – Mówił, że jestem potworem, że moja mama też jest potworem. Mam dobre uszy, nie wiele mi umyka.

Istotnie miał dobre uszy: przejrzyste, różowe i sterczące z boków głowy niczym płetwy olbrzymiej ryby.

–Masz świetne uszy – odparł Cień.

–W kulki lecisz? – W głosie łysego mężczyzny zabrzmiała agresywna nuta. Wyglądał na gotowego do bójk. Wzrostem niemal dorównywał Cieniowi, a Cień był naprawdę wysoki.

–Jeśli znaczy to to, co myślę, bynajmniej.

Tamten skinął głową.

–To dobrze – rzekł, przełknął ślinę i zawahał się. Cień nie wiedział, czy powinien powiedzieć coś pojednawczego, lecz łysy mężczyzna odezwał się znowu. – To nie moja wina. To przez te wszystkie hałasy. Ludzie przyjeżdżają tu, żeby uciec przed hałasem. I ci ludzie, zbyt wielu tu przeklętych ludzi. Czemu nie wróćcie tam, skąd przy szliście, i nie przestaniecie tak cholernie hałasować?

W drzwiach stanęła matka rozmówcy Cienia. Uśmiechnęła się do niego nerwowo i podeszła szybko do syna. Szarpnęła go za rękaw.

–Już dobrze – mruknęła. – Nie nakręcaj się, nie masz powodów, wszystko w porządku. – Spojrzała na Cienia pojednawczo, bystro niczym ptak. – Przepraszam. Jestem pewna, że nie mówił serio. – Do podeszwy przykleił jej się kawałek papieru toaletowego; jak dotąd tego nie zauważyła.

–Wszystko w porządku – odparł Cień. – Miło jest poznawać ludzi. Kobieta skinęła głową.

–Zatem dobrze – rzekła. Jej syn odetchnął z ulgą. On się jej boi, pomyślał Cień.

–Chodź, skarbie – poleciała kobieta. Ponownie pociągnęła go za rękaw, a on ruszył za nią do drzwi.

Tam jednak zatrzymał się z uporem i odwrócił.

–Powiedz im – rzekł – żeby nie robili takiego hałasu.

–Powiem – przyrzekł Cień.

–Bo ja wszystko słyszę.

–Nie martw się – uspokoił go Cień.

–To naprawdę dobry chłopiec – wtrąciła matka tysego młodzieńca i wyprowadziła syna za rękaw na korytarz, ciągnąc za sobą papier toaletowy.

Cień wyszedł za nią.

–Przepraszam! – zawołał. Odwrócili się, mężczyzna i jego matka.

–Coś przyczepiło się pani do buta.

Spojrzała w dół, drugim butem nadepnęła na papier i uniosła stopę. Następnie z aprobatą skinęła głową w stronę Cienia i wyszła. Cień ruszył w stronę recepcji.

–Gordon, masz może dobrą miejscową mapę?

–Coś jak sztabówkę? Jasne, przyniosę ją panu.

Cień wrócił do baru i dokończył kawę. Gordon przyniósł mu mapę, imponującą, szczegółową – zdawało się, że uwzględniono na niej każdą, nawet najmniejszą ścieżkę. Cień obejrzał ją uważnie, odtwarzając trasę wycieczki. Znalazł wzgórze, na którym zjadł lunch. Przesunął palcem na południowy zachód.

–Tu w okolicy nie ma żadnych zamków?

–Niestety nie. Jest tylko parę na wschodzie. Jeśli pan chce, mam przewodnik po szkockich zamkach. Mógłbym pokazać.

–Nie, nie. Nie trzeba. Czy w okolicy są duże domy, dwory, które ludzie mogliby nazwać zamkami? Wielkie majątki?

–No, na Cape Wrath stoi hotel, o tutaj. – Gordon wskazał palcem miejsce na mapie. – Ale w sumie okolica jest raczej pusta. Pod względem gęstości zaludnienia mogłaby śmiało konkurować z pustynią. Nie ma tu nawet żadnych ciekawych ruin, nie takich, do których można dotrzeć pieszo.

Cień podziękował mu i poprosił o wczesną pobudkę. Pożałował, że nie zdołał odnaleźć na mapie widzianego ze wzgórza domu. Ale może szukał w złym miejscu. Nie byłby to pierwszy raz.

Para w sąsiednim pokoju kłóciła się albo uprawiała seks. Cień nie potrafił stwierdzić, co dokładnie robią, lecz za każdym razem, gdy zaczął osuwać się w sen, budziły go podniesione głosy.

Nigdy nie był pewien, czy to, co zdarzyło się później, miało miejsce naprawdę. Czy rzeczywiście do niego przyszła, czy też stanowiła pierwszy ze snów tej nocy? Lecz na jawie bądź we śnie, tuż przed północą według stojącego obok łóżka zegarka z radiem, usłyszał pukanie do drzwi sypialni. Podniósł się.

–Kto tam? – zawołał.

–Jennie.

Otworzył drzwi, krzywiąc się, gdy oślepiło go światło z korytarza. Wciąż miała na sobie brązowy płaszcz. Spojrzała na niego nerwowo.

–Tak? – spytał Cień.

–Jutro wybierasz się do tego domu.

–Tak.

–Pomyślałam, że się pożegnam – oznajmiła. – Na wypadek gdybyśmy już się nie zobaczyli i gdybyś nie wrócił do hotelu. Po prostu udał się gdzie indziej. I gdybym nigdy cię już nie spotkała.

–Cóż, zatem dobranoc – mruknął Cień.

Jennie zmierzyła go uważnym spojrzeniem, przyglądając się podkoszulkowi i bokserkom, w których sypiał, jego bosym stopom i wreszcie twarzy. Sprawiała wrażenie

zatroskanej.

–Wiesz, gdzie mieszkam – oznajmiła. – Jeśli będziesz mnie potrzebował, wezwij mnie.

Wyciągnęła palec wskazujący i delikatnie musnęła mu usta. Dłoń miała bardzo zimną. Potem cofnęła się o krok na korytarz i stała tak, patrząc na niego, bez ruchu.

Cień zamknął drzwi hotelowego pokoju i usłyszał w korytarzu oddalające się kroki. Wrócił do łóżka.

Z pewnością jednak następny sen był rzeczywiście snem. Przeżywał znów całe swe życie, zniekształcone i pomieszane. W jednej chwili siedział w więzieniu, uczył się sztuczek z monetami i powtarzał, że miłość do żony pozwoli mu to przetrwać. A potem Laura nie żyła, a on wyszedł na wolność. Pracował jako ochroniarz starego oszusta, który kazał mu nazywać się Wednesday.

Nagle we śnie zaroilo się od bogów: starych, zapomnianych bogów, niekochanych i opuszczonych, i nowych bogów, tymczasowych, przerażonych istot, oszukanych i oszołomionych. Plątanina nieprawdopodobieństw, kocia kołyska, która rozrosła się w

siatkę, która rozrosła się w sieć, która rozrosła się w gmatwaninę wielką jak cały świat...

W swym śnie umarł na drzewie.

W swym śnie powrócił z martwych.

A potem była już tylko ciemność.

Rozdział IV

Telefon przy łóżku rozdzwonił się o siódmej. Cień wziął prysznic, ogolił się, ubrał. Spakował swój świat do plecaka. Potem zszedł do restauracji na śniadanie: słona owsianka, okłapy bekoni i tłuste sadzone jajka. Kawa natomiast okazała się zaskakująco dobra.

Dziesięć po ósmej czekał już w holu.

Czternaście po ósmej do środka wmaszerował mężczyzna w kożuchu. Zaciągał się właśnie ręcznie skręconym papierosem. Z radosnym uśmiechem wyciągnął rękę.

–Moon, prawda? – spytał. – Ja nazywam się Smith. Podrzucę cię do domu. – Mocno

ścisnął mu dłoń. – Faktycznie, spory jesteś, nie?

Nie musiał mówić nic więcej, bo Cień i tak wiedział, co chciałby dodać: *ale i tak dałbym ci radę*.

–Tak mówią. Nie jesteś Szkotem?

–Nie ja, brachu. Przyjechałem na tydzień, by dopilnować, żeby wszystko poszło

gładko jak po maśle. Pochodzę z Londynu. – Błysk zębów w ostrej jak brzytwa twarzy.

Cień oszacował, że jego rozmówca jest po czterdziestce. – Chodź do samochodu, po

drodze wszystko ci opowiem. To twoja torba?

Cień zaniósł torbę do samochodu, zabłoconego land rovera, którego silnik wciąż pracował. Rzucił plecak na tył, wdrapał się na fotel pasażera. Smith po raz ostatni zaciągnął się papierosem, z którego został zaledwie zwitek białej bibułki, i przez otwarte okno wyrzucił niedopałek na drogę.

W milczeniu wyjechali z wioski.

–Jak właściwie wymawiasz swoje imię? Balder czy Bolder, czy jeszcze inaczej? Coś jak Cholmondeley, który naprawdę wymawia się Chumley?

–Cień – odparł Cień. – Ludzie nazywają mnie Cień.

–Jasne. Zatem – Smith zawiesił głos – Cieniu, nie wiem, ile stary Gaskell opowiedział ci o przyjęciu w ten weekend.

–Odrobinę.

–Jasne. Najważniejsze jest jedno: cokolwiek się zdarzy, milczysz jak grób. Jasne? Zobaczysz różne rzeczy, bawiących się ludzi, i nikomu o tym nie wspomnisz, nawet jeśli ich rozpoznasz. Łapiesz?

–Ja nie rozpoznaję ludzi – odrzekł Cień.

–I o to chodzi. Jesteśmy tu po to, by dopilnować, żeby wszyscy dobrze się bawili i nikt im nie przeszkadzał. Przyjeżdżają z daleka, aby spędzić tu przyjemny weekend.

–Kumam – mruknął Cień.

Dotarli do promu na przylądek. Smith zaparkował land-rovera na poboczu, zabrał bagaże i zamknął wóz.

Po drugiej stronie przeprawy czekał identyczny land-rover. Smith otworzył drzwi, wrzucił na tył torby i ruszył dalej gruntową drogą.

Skręcili przed latarnią morską. Jakiś czas jechali w ciszy. Droga zniknęła, zamieniając się w owczą ścieżkę. Kilka razy Cień musiał wysiadać i otwierać bramy. Czekał, aż land rover przejedzie, po czym zamykał je za nimi.

Na polach i niskich kamiennych murkach przysiadały kruki, wielkie czarne ptaki, obserwujące Cienia nieprzeniknionymi oczami.

–Słyszałem, że siedziałeś w pace – odezwał się nagle Smith.

–Słucham?

–W pace, w pudle, w pierdłu i wiele innych słów na „w” i „p” oznaczających kiepskie żarcie, brak życia nocnego, prymitywne warunki bytowe i ograniczone możliwości podróży.

–Tak.

–Nie lubisz zbyt wiele gadać.

–Sądziłem, że to zaleta.

–Punkt dla ciebie. Tak tylko rozmawiam, cisza mnie drażni. Podoba ci się tutaj?

–Chyba tak. Jestem tu zaledwie parę dni.

–Mnie to miejsce kurewsko gra na nerwach. Jest tu za daleko, za pusto. Nawet Syberia bywa przyjemniejsza – wiem, bo tam byłem. Odwiedziłeś już Londyn? Nie? Kiedy przyjedziesz na południe, oprowadzę cię. Świetne puby, prawdziwe żarcie i wszystkie te atrakcje turystyczne, które wy, Amerykanie, tak uwielbiacie. Fakt, jazda samochodem to piekło. Tu przynajmniej da się pojeździć, żadnych pieprzonych świateł. Na końcu Regent Street jest takie jedno światło, przysięgam, człowiek czeka pięć minut na czerwonym. Potem zapala się zielone na dziesięć sekund i przepuszcza najwyżej dwa wozy. Jakieś, kurwa, kpiny. Twierdzą, że to cena, jaką płacimy za postęp. Racja?

–Tak – mruknął Cień. – Chyba tak.

Droga zniknęła całkowicie, samochód zataczał się i podskakiwał po nierównym dnie doliny między dwoma wysokimi wzgórzami.

–Wasi goście – zagadnął Cień – przyjadą land-roverami?

–Nie, mamy helikoptery. Zjawią się wieczorem, w porze kolacji. Przylecą i odlecą w poniedziałek rano.

–Zupełnie jak na wyspie.

–Chciałbym, żebyśmy byli na wyspie. Wówczas nie mielibyśmy problemów ze świrniętymi miejscowymi. Nikt nie narzeka na hałasy dobiegające z sąsiedniej wyspy.

–Na waszej imprezie goście mocno hałasują?

–To nie moja impreza, stary. Ja pracuję w obsłudze, pilnuję, by wszystko szło gładko. Ale tak, z tego, co wiem, jak się przyłożą, potrafią pohłasować.

Trawiaste dno doliny zamieniło się w owczy trakt, a ten w podjazd prowadzący w górę zbocza. Lekki łuk, potem ostry zakręt i jechali już ku domowi. Cień rozpoznał go, Jennie pokazała mu go wczoraj podczas lunchu.

Dom był stary, dostrzegł to natychmiast. Niektóre części wydawały się starsze od innych: mur jednego skrzydła wzniesiono z szarych kamieni i odłamków skalnych, ciężkich i twardych. Łączył się on pod kątem z innym, zbudowanym z brązowej cegły. Dach pokrywający cały budynek i oba skrzydła wyłożono ciemnoszarą dachówką. Front domu wychodził na żwirowy podjazd i leżące dalej w dół zbocza niewielkie jezioro. Cień wygramolił się z land rovera. Spojrzał na budynek i poczuł się nagle bardzo mały, zupełnie jakby wracał do domu. Nie było to miłe uczucie.

Na żwirze parkowało jeszcze kilka wozów z napędem na cztery koła.

–Kluczyki do samochodów wiszą w spiżarni, na wypadek gdy byś któregoś potrzebował. Po drodze pokażę ci, gdzie to jest.

Przeszli przez wielkie drewniane drzwi i znaleźli się na środkowym dziedzińcu, częściowo wybrukowanym. Pośrodku widniała niewielka fontanna i mnóstwo trawy: bujny, jadowicie zielony trawnik otoczony szarymi kamieniami.

–Tu właśnie w sobotnią noc odbędzie się impreza – oznajmił Smith. – Pokażę ci twój pokój.

Przeszli do mniejszego skrzydła przez zupełnie zwyczajne drzwi. Minęli pokój pełen

kluczy na haczykach – każdy z kluczy zaopatrzono w papierową etykietę – i wspięli się po schodach. Schody były nagie, pozbawione dywanu, ściany jedynie bielone. („To w końcu część służbowa, chwytasz? Nie wydawali na nią kasy”.) Było tu zimno, w sposób, jaki Ciebie zaczął już rozpoznawać, zimniej wewnątrz budynku niż na zewnątrz. Zastanawiał się, jak to robią i czy to brytyjska tajemnica budowlana.

Smith poprowadził go na samą górę do ciemnego pokoju z wiekową szafą, żelaznym wąskim łóżkiem, które – Ciebie dostrzegł to natychmiast – było mniejsze niż on sam, staroświecką umywalką i niewielkim oknem wychodzącym na dziedziniec wewnętrzny.

–Na końcu korytarza jest kibel – oznajmił Smith. – Łazienka służby mieści się piętro niżej, dwie wanny, jedna dla kobiet, druga dla mężczyzn. Nie mają tu pryszniców. Dostawy ciepłej wody do tego skrzydła są niestety bardzo ograniczone. Twoje małe ubranko wisi w szafie, przymierz. Zobacz, czy pasuje, i zostaw je do wieczora, kiedy zjawia się goście. Z praniem chemicznym też są kłopoty. Zupełnie jakbyśmy wylądowali na Marsie. Gdybyś mnie potrzebował, będę w kuchni. Nie jest tam tak zimno, jeśli tylko odpalili agę. Schodami na dół, potem w prawo, a potem krzycz, gdybyś się zgubił. Nie chodź do drugiego skrzydła, chyba że ci każą.

Zostawił Ciebie samego.

Ciebie przymierzył czarny smoking, białą elegancką koszulę, czarny krawat. W szafie stały też lśniące lakierki. Wszystko pasowało jak skrojone na miarę. Odwiesił ubranie z powrotem.

Zszedł po schodach i znalazł Smitha na podeście, z wściekłą miną dźgającego palcem mały srebrny telefon.

–Brak pieprzonego sygnału. Zadzwoń, teraz próbuję oddzwonie, ale nie ma sygnału. Zupełnie jak w cholernej epoce kamienia. Jak tam ciuchy, w porządku?

–Idealnie.

–Grzeczny chłopiec. Po co pięć słów, jeśli wystarczy jedno, co? Znałem nieboszczyków,

którzy gadali więcej od ciebie.

–Naprawdę?

–Nie, to takie powiedzonko. No chodź. Masz ochotę na lunch?

–Jasne, dzięki.

–Spoko, chodź za mną. To labirynt, ale szybko się połapiesz.

Posiłek zjedli w wielkiej, pustej kuchni. Cień i Smith nałożyli na emaliowane, metalowe talerze stopy kanapek z przejrzystym pomarańczowym, wędzonym łososiem i plastrów ostrego sera. Do tego wzięli po kubku mocnej, słodkiej herbaty. Aga, jak odkrył Cień, okazała się wielką metalową skrzynią, częściowo kuchenką, częściowo bojlerem. Smith otworzył jedno z wielu bocznych drzwi i wrzucił do środka kilka dużych łopatek węgla.

–Gdzie jest reszta jedzenia? I kelnerzy, kucharze? – spytał Cień. – Niemożliwe, żebyśmy byli tylko my.

–Słuszna uwaga. Wszystko przyjedzie z Edynburga. Jak w zegarku. Jedzenie i obsługa zjawia się o trzeciej, rozpakują wszystko. Goście przybędą o szóstej. O ósmej podajemy kolację: bufet. Rozmowy, jedzenie, trochę śmiechu, wszystko spokojne. Jutro od siódmej do południa śniadanie. Goście ruszają na spacer, oglądają widoki i tak dalej, aż do popołudnia. Przygotowujemy ogniska na dziedzińcu. Wieczorem ogniska zaczynają płonąć, wszyscy szykują się do szalonej sobotniej nocy na pustkowiach, miejmy nadzieję, że nie zakłóconej protestami sąsiadów. W niedzielę rano chodzimy na paluszkach, by nie urazić skacowanych gości. W niedzielę po południu lądują helikoptery i machamy

wszystkim na pożegnanie. Odbierasz kasę, ja odwożę cię do hotelu. Albo, jeśli masz ochotę na zmianę, mogę cię zabrać na południe. Jak to wygląda?

–Super – odparł Cień. – A kto właściwie może się tu zjawić w sobotnią noc?

–Natręci, miejscowi, którzy chcą przeszkodzić w zabawie.

–Jacy miejscowi? – dopytywał się Cień. – W promieniu wielu mil nie ma nikogo prócz owiec.

–Miejscowi są wszędzie – rzekł Smith. – Po prostu ich nie widzisz. Ukrywają się jak Sawney Beane i jego rodzina.

–Chyba o nim słyszałem – mruknął Cień. – Nazwisko brzmi jakoś znajomo.

–To postać historyczna. – Smith podkreślił ostatnie słowo. Siorbiąc głośno, pociągnął łyk herbaty i odchylił się na krześle. – Działo się to jakieś sześćset lat temu, po tym, jak

wikingowie zwiali do Skandynawii albo pomieszali się z miejscowymi, nawrócili i zamienili w zwykłych Szkotów, lecz przed śmiercią królowej Elżbiety i wstąpieniem na tron Jakuba, który rządził oboma krajami. Gdzieś w tym czasie. – Napił się herbaty. – A zatem podróźni w Szkocji zaczęli znikać. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. W tamtych czasach jeśli ktoś wyruszał w długą podróż, nie zawsze docierał do domu. Czasami mijały miesiące, nim inni się zorientowali, że już się nie zjawi. Ludzie zwykle winili wilki albo pogodę i postanawiali podróżować w grupach i tylko latem.

Pewien podróżny jednak jechał wraz z grupką towarzyszy przez górską dolinę, gdy nagle ze wzgórza, z drzew, z nor w ziemi wyroliła się grupka, tłum, stado dzieci uzbrojonych w sztylety, kościane pałki i grube kije. Zaczęły ścigać przybyszów z koni, tłuc ich i mordować. Wszystkich z wyjątkiem jednego staruszka, który jechał nieco z tyłu. Jemu udało się uciec. Był sam jeden, ale też jeden wystarczy, prawda? Dotarł do najbliższego miasta i wszczął alarm. Wkrótce oddział mieszczan i żołnierzy wrócił do doliny z psami.

Dopiero po wielu dniach znaleźli kryjówkę. Już mieli się poddać, gdy u wylotu jaskini nad morzem psy zaczęły wyć. Weszli do środka. Okazało się, że pod ziemią jest mnóstwo jaskiń, a w największej i najgłębszej z nich kryje się stary Sawney Beane i jego pomioty, a także trupy rozwieszane na hakach, uwędzone i upieczone. Ręce, nogi, uda, dłonie i stopy mężczyzn, kobiet i dzieci wisiały w rzędach niczym suszona wieprzowina. Obok stały garnce z kończynami marynowanymi w słonej wodzie, zupełnie jak solona wołowina. A wszędzie walały się pieniądze, stosy złota i srebra, zegarków, pierścieni, mieczy, szpad, pistoletów i ubrań. Niewyobrażalne bogactwa, bo oni nigdy nie wydali ani grosza. Siedzieli tylko w jaskiniach, żarli, mnożyli się i nienawidzili.

Beane żył tam wiele lat. Stary Sawney, władca własnego małego królestwa wraz z żoną, a także dziećmi i wnukami, a niektóre z tych wnuków były także ich dziećmi. Kazirodztwo to nieźła rozrywka.

–Czy to naprawdę miało miejsce?

–Tak słyszałem. Zachowały się rejestry sądowe. Żołnierze zabrali całą rodzinę do Leith na rozprawę. Sąd podjął ciekawą decyzję – stwierdzili, że Sawney Beane swoimi czynami usunął się z szeregów ludzkości, potraktowali go zatem jak zwierzę. Nie powiesili go, nie ścięli, po prostu rozpalili wielkie ognisko i wrzucili oboje małżonków do ognia, by spłonęli.

–Co się stało z resztą rodziny?

–Nie pamiętam. Możliwe, że spalili też dzieciaki, może i nie. Pewnie tak. W tej części świata bardzo skutecznie rozprawiają się z potworami.

Smith umył w zlewie ich talerze i kubki, a potem zostawił na suszarce. Następnie obaj

wyszli na dziedziniec. Smith fachowo skręcił sobie papierosa, polizał bibułkę, przyglądał palcami i zapalił zippo.

–Pomyślmy, co musisz wiedzieć przed wieczorem. Podstawy są proste. Odzywaj się tylko pytany: to dla ciebie akurat nie problem, co?

Cień nie odpowiedział.

–Jasne. Jeśli ktoś z gości poprosi cię o coś, postaraj się to załatwić. W razie wątpliwości pytaj mnie, ale rób, co każą goście, jeśli tylko nie przeszkadza ci to w pracy ani nie zmusi do naruszenia pierwszej zasady.

–Czyli?

–Nie. Dmuchał. Bogatych. Lasek. Z pewnością wśród gości znajdą się młode damy, które po wypiciu pół butelki wina wbiją sobie do głowy, że potrzebują ostrego numerka. Jeśli do tego dojdzie, zrobisz jak „Sunday People”.

–Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

–„Nasz reporter przeprosił i wyszedł”. Jasne? Możesz patrzeć, ale nie dotykaj. Chwytasz?

–Chwytam.

–Mądry chłopiec.

Cień odkrył, że zaczyna lubić Smitha. Upomniał się w duchu, że lubienie tego człowieka to niezbyt rozsądny pomysł. Już wcześniej spotykał wielu podobnych Smithów, ludzi pozbawionych sumienia, skrupułów i serca. I zawsze byli równie sympatyczni, jak niebezpieczni.

Wczesnym popołudniem zjawiała się służba przywieziona helikopterem przypominającym pojazd do transportu wojska. Ze zdumiewającą sprawnością wypakowali skrzynki wina i skrzynie jedzenia, pudła i pojemniki. Były tam całe kartony serwetek i obrusów – a także kucharze i kelnerzy, kelnerki i pokojówki.

Lecz jako pierwsi z helikoptera wyskoczyli ochroniarze: potężni, twardzi mężczyźni ze słuchawkami i wyrzuczeniami pod marynarką. Cień nie wątpił, że kryje się tam broń. Kolejno meldowali się Smithowi, który posłał ich, by zbadali dom i teren.

Cień pomagał przy wyładunku, dźwigając pełne warzyw skrzynki z helikoptera do kuchni. Był w stanie unieść dwa razy więcej niż inni. Gdy następnym razem minął Smitha, przystanął.

–Skoro macie tylu ochroniarzy, po co wam ja?

Smith uśmiechnął się przyjaźnie.

–Posłuchaj, synu, na tę imprezę przybędą ludzie warci więcej, niż ty czy ja zdołamy ujrzeć

przez całe życie. Muszą być pewni, że mają dobrą opiekę. Porwania się zdarzają, ludzie miewają wrogów, mnóstwo rzeczy może się wydarzyć. Ale nie przy tych chłopcach. Lecz posyłanie ich, by rozprawili się z marudnymi miejscowymi, jest jak stawianie min, by nie dopuścić ciekawskich. Łapiesz?

–Tak – odparł Cień.

Wrócił do helikoptera i chwycił kolejną skrzynkę podpisaną „młode oberżyny” i pełną małych, czarnych bakłażanów. Postawił ją na skrzynce kapusty i zaniósł obie do kuchni, pewien, że go okłamują. Odpowiedź Smitha brzmiała rozsądnie, nawet przekonująco, tyle że nie była prawdziwa. Nie istniał żaden powód, by go zatrudniać. A jeśli istniał, to z pewnością nie ten, który mu podano.

Jakiś czas przetrawiał tę myśl, próbując zgadnąć, po co znalazł się w tym domu. Miał nadzieję, że nie pokazuje niczego po sobie. Cień lubił ukrywać wszystko wewnątrz. Tam było bezpieczniejsze.

Rozdział V

Wczesnym wieczorem, gdy niebo poróżwiało, pojawiły się kolejne helikoptery i wysiadło z nich parędziesiąt eleganckich osób. Kilka z nich uśmiechało się i śmiało głośno. Większość mieściła się w przedziale między trzydziestką a czterdziestką. Cień nie rozpoznał nikogo.

Smith gładko, od niechcienia, przechodził od osoby do osoby, witając je ciepło.

–Jasne, potem tamtędy, proszę skręcić w prawo i zaczekać w głównym holu. Jest tam piękny ogień. Ktoś się zjawi i zaprowadzi pana do pokoju, bagaż będzie już czekał.

Jeśli nie, proszę dać mi znać, ale na pewno będzie. Witam jaśnie panią, wygląda pani rozkosznie. Czy ktoś ma ponieść pani torbę? Nie może się pani doczekać jutra? Jak wszyscy, jak wszyscy.

Cień obserwował zafascynowany, jak Smith radzi sobie z kolejnymi gośćmi. Jego zachowanie stanowiło błyskotliwe połączenie poufałości i szacunku, ciepła i cwaniackiego uroku. Akcenty, brzmienia, składnia zmieniały się w zależności od tego, z kim właśnie rozmawiał.

Kobieta o krótkich ciemnych włosach, bardzo ładna, uśmiechnęła się do Cienia, gdy niósł do domu jej bagaże.

Smith mruknął do niego:

–Bogata laska. Ręce przy sobie.

Ostatnią osobą, jaka wysiadła z helikoptera, był mężczyzna z brzuskiem. Cień oszacował, że ma około sześćdziesięciu lat. Podszedł do Smitha, wsparł się na taniej, drewnianej lasce i powiedział coś cicho. Smith odparł również zniżonym głosem.

To on wszystkim kieruje, pomyślał Cień. Zdradzał to język ciała. Smith nie uśmiechał się już, nie przymilał. Składał raport, sprawnie i cicho, opowiadając starszemu mężczyźnie wszystko, co ten musiał wiedzieć.

Kiwnął palcem na Cienia, który podszedł do nich cicho.

–Cieniu – rzekł Smith – to jest pan Alice.

Pan Alice wyciągnął rękę i ujął w różowe, pulchne palce wielką, ciemną dłoń Cienia.

–Bardzo mi miło poznać – rzekł. – Słyszałem o tobie same dobre rzeczy.

–Mnie też miło poznać – odparł Cień.

–No dobrze – rzekł pan Alice – pracuj dalej.

Smith skinął głową, odpowiadając Cienia.

–Jeśli można – rzekł Cień – chciałbym się rozejrzeć wokół domu, póki jest jeszcze jasno. Wyczuć, skąd mogą przyjść miejscowi.

–Nie oddalaj się za bardzo – uprzedził Smith. Podniósł teczkę pana Alice'a

i poprowadził go do budynku.

Cień zaczął okrążyć budynek. Wrobili go w coś. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że ma rację. Zbyt wiele szczegółów nie pasowało. Po co zatrudniać do ochrony włóczęgę, kiedy sprowadza się prawdziwych ochroniarzy? To nie miało sensu. Podobnie jak to, że Smith przedstawił go panu Alice'owi po tym, jak parędziesiąt innych osób traktowało Cienia nie jak człowieka, lecz jak zwykłą ozdobę.

Teren przed domem zamykał niski, kamienny mur. Za domem stało wzgórze, przypominające niemal niewielką górę. Przed nim łagodne zbocze opadało w stronę jeziora. Bokiem biegła ścieżka, którą przyszedł tamtego ranka. Zajrzał do kuchennego ogrodu, otoczonego wysokim, kamiennym murem. Za nim rozciągała się pustka. Wszedł do środka i zbliżył się, by obejrzeć mur.

–Mały rekonesans? – spytał jeden z ochroniarzy odziany w czarny smoking. Cień nie dostrzegł go, co oznaczało zapewne, że tamten był świetny w swej pracy. Podobnie jak większość obsługi mówił ze szkockim akcentem.

–Po prostu się rozglądam.

–Sprawdzasz teren? Bardzo mądrze. Tą stroną się nie przejmuj, sto metrów dalej jest rzeka wpadająca do jeziora. Za nią mokre skały, wysokie na jakieś sto stóp, opadające w dół. Nie do przebycia.

–Ach tak. Czyli miejscowi, ci, którzy przysli się skarżyć... skąd właściwie przysli?

–Nie mam bladego pojęcia.

–Powinienem tam pójść i sprawdzić – rzekł Cień. – Może jest jakieś przejście?

–Nie radziłbym – odparł strażnik. – Na twoim miejscu bym tego nie robił. To naprawdę zdradziecki teren. Zacznesz tam łązić, raz się pośliżniesz i zjedziesz wprost na skały, do jeziora. Nigdy nie znajdą twojego ciała.

–Rozumiem – mruknął Cień i faktycznie rozumiał.

Nadal wędrował dookoła domu. Teraz, gdy wiedział już, czego szukać, wypatrzył pięciu innych strażników. Był pewien, że jeszcze kilku przeoczył.

Przez wysokie, przeszklone drzwi głównego skrzydła domu ujrzał wielką, urządzoną w drewnie jadalnię. Goście siedzieli wokół stołu, rozmawiali, śmiali się.

Wrócił do skrzydła służbowego. Po każdym daniu półmiski z resztkami ustawiano na kredensie, obsługa częstowała się do woli, zgarniając jedzenie na papierowe talerze. Smith siedział przy drewnianym kuchennym stole, grzebiąc widelcem w talerzu sałaty i surowej wołowiny.

–Jest tam kawior – poinformował Cienia. – Złoty astrachański, pierwsza klasa. W dawnych czasach notable partyjni zatrzymywali go dla siebie. Osobiście nie przepadam, ale częstuj się.

Cień z grzeczności nałożył sobie na talerz trochę kawioru. Wziął też parę małych gotowanych jajek, makaron i kurczaka. Usiadł obok Smitha i zaczął jeść.

–Nie wiem, skąd mogliby przyjść twoi miejscowi – powiedział. – Twoi ludzie zablokowali podjazd. Gdyby ktoś chciał tu dotrzeć, musiałby przepawić się przez jezioro.

–A zatem zorientowałeś się w terenie.

–Tak.

–Spotkałeś moich chłopców?

–Tak.

–Co o nich myślisz?

–Nie chciałbym mieć z nimi do czynienia. Smith uśmiechnął się złośliwie.

–Taki drażał jak ty? Potrafisz o siebie zadbać.

–To zabójcy – odparł Cień z prostotą.

–Tylko w razie potrzeby. – Smith już się nie uśmiechał. – Możesz spokojnie zostać w pokoju. Gdybym cię potrzebował, wezwę cię.

–Jasne – odparł Cień. – A jeśli nie będziesz mnie potrzebował, to będzie bardzo łatwy weekend.

Smith uśmiechnął się do niego.

–Zasłużysz na swoją zapłatę.

Cień wspiął się po tylnych schodach, przeszedł przez długi korytarz u szczytu domu i zamknął drzwi swego pokoju. Słyszał dobiegające z dali odgłosy przyjęcia. Wyrzwał przez niewielkie okienko. Oszklone drzwi naprzeciwko stały otworem, imprezowicze w płaszczach i rękawiczkach, z kieliszkami wina w dłoniach, wysypali się na wewnętrzny

dzielnice. Słyszał urywki ich rozmów, które zmieniały się nieustannie, płynnie łączyły ze sobą. Dźwięki były wyraźne, ginęły w nich wszakże słowa i znaczenie. Od czasu do czasu z ogólnego zgiełku wybijał się fragment zdania. Jakiś mężczyzna rzekł:

–Powiedziałem mu: ja nie kupuję takich sędzich jak ty, ja ich sprzedaję.

Potem Cień usłyszał kobietę.

–To potwór, moja droga, absolutny potwór. Ale co zrobić?

Druga zaś odparła:

–Gdyby tylko dało się to powiedzieć o moim narzeczonemu! – i obie wybuchnęły śmiechem.

Miał dwa wyjścia: mógł zostać albo próbować odejść.

–Zostanę – oznajmił głośno.

Rozdział VI

Była to noc niebezpiecznych snów.

W swym pierwszym śnie Cień znalazł się z powrotem w Ameryce. Stał pod latarnią.

Wmaszerował po schodach, pchnięciem otworzył szklane drzwi i wszedł do restauracji z rodzaju tych, które zaczynały swe życie jako wagony restauracyjne. Słyszał piosenkę; stary człowiek śpiewał niskim, ochrypłym głosem na melodię *My Bonnie Lies Over the Ocean*:

Mój dziadek sprzedaje kondomy, Dziurawi je lekko, puk, puk. Skrobanki poleca u żony, Raz-dwa i już forsy jest w bród...

Cień przeszedł przez cały wagon. Przy stoliku na końcu siedział posiwiasty mężczyzna. Trzymał w dłoni butelkę piwa i śpiewał:

Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa i już forsy jest w bród.

Na widok Cienia jego twarz rozjaśnił szeroki, mały uśmiech. Mężczyzna machnął butelką piwa.

–Siadaj – rzucił.

Cień usiadł naprzeciw człowieka, którego znał jako Wednesdaya.

–Jaki masz problem? – spytał Wednesday, który nie żył już od prawie dwóch lat – albo przynajmniej nie żył w stopniu możliwym w przypadku tego rodzaju istot. – Poczęstowałbym cię piwem, ale tutejsza obsługa jest do dupy.

Cień odparł, że nie szkodzi, nie chce piwa.

–I co? – Wednesday podrapał się po brodzie.

–Jestem w wielkim domu w Szkocji z mnóstwem naprawdę bogatych gości i oni coś knują. Mam kłopoty, ale nie wiem jakie. Myślę jednak, że raczej poważne.

Wednesday pociągnął łyk piwa.

–Bogaci są inni, mój chłopcze – rzekł po chwili.

–Co to ma niby znaczyć?

–Cóż – odparł tamten. – Po pierwsze, większość z nich jest zapewne śmiertelna. Ty nie musisz się tym przejmować.

–Tylko bez tych bzdur.

–Ale przecież nie jesteś śmiertelnikiem – przypomniał Wednesday. – Umarłeś na drzewie, Cieniu. Umarłeś i powróciłeś.

–I co z tego? Nie pamiętam nawet, jak to zrobiłem. Jeśli tym razem mnie zabiją, pozostanę martwy.

Wednesday dokończył piwo. Potem zaczął wymachiwać butelką, zupełnie jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą, i odśpiewał kolejną zwrotkę:

Mój brat misję ma, istne cudo, Przywodzi grzesznice do cnót, Za dychę przywiedzie ci ruda, Raz-dwa i już forsy jest w bród...

–Nie pomagasz mi – mruknął Cień. Restauracja była teraz wagonem kolejowym

toczącym się z turkotem w śnieżną noc.

Wednesday odstawił butelkę, przygwoździł Cienia spojrzeniem prawdziwego oka, tego, które nie było szklane.

–Wszystko sprowadza się do wzorów – oznajmił. – Jeśli sądzą, że jesteś bohaterem, mylą się. Po śmierci nie jesteś już dłużej Beowulfem, Perseuszem czy Ramą. Zasady zmieniają się całkowicie. Szachy, nie warcaby. Go, nie szachy. Rozumiesz?

–Ani trochę – odparł z frustracją Cień.

Korytarzem wielkiego domu szli ludzie. Poruszali się głośno, pijani, uciszając się teatralnie, gdy potykali się i oddalali.

Cień zastanawiał się, czy to służba, czy może zbłąkani goście z drugiego skrzydła. A potem sny zawładnęły nim ponownie.

Teraz znalazł się z powrotem w chacie, w której dzień wcześniej schronił się przed deszczem. Na podłodze leżało ciało, chłopiec, najwyżej pięcioletni, nagi, na plecach, z rozrzuconymi nogami i rękami. Rozbłysło oślepiające światło i ktoś przepchnął się przez Cienia, jakby w ogóle go tam nie było. Zmienił ułożenie rąk chłopca. Kolejny błysk.

Cień znał człowieka robiącego zdjęcia. To był doktor Gaskell, drobny, stalowowłosy człowieczek z hotelowego baru.

Gaskell wyjął z kieszeni białą papierową torbę, pogrzebał w niej i wsunął coś sobie do ust.

–Marmoladki – rzekł do leżącego na kamiennej posadzce dziecka. – Mniam, mniam. Twoje ulubione.

Uśmiechnął się, przykucnął i zrobił kolejne zdjęcie martwego chłopca.

Cień przeniknął przez kamienną ścianę domku, przepływając przez szczeliny w kamieniach niczym wiatr. Poszybował w dół, ku morzu. Fale rozbijały się na skałach, a on posuwał się dalej ponad falami, szarym morzem, w górę i w dół, w stronę statku zrobionego z paznokci nieboszczyków.

Statek był daleko w morzu. Cień przeniknął powierzchnię wody jak widmo chmury.

Statek był wielki. Wcześniej Cień nie dostrzegał jego ogromu. Czyjaś ręka sięgnęła w dół i chwyciła jego dłoń, wyciągając go z morza na pokład.

–Sprowadź nas z powrotem – powiedział głos równie donośny jak huk wzburzonego morza, nagły, porywczy. – Sprowadź nas albo pozwól nam odejść.

W brodatej twarzy płonęło jedno oko.

–Ja was tu nie zatrzymuję.

Statkiem podróżowali olbrzymi, potężni mężczyźni z cieni i zamarznętego wodnego pyłu, istoty z piany i snów.

Jeden z nich, roślejszy niż pozostali, rudobrody, wystąpił naprzód.

–Nie możemy przybić do brzegu – zagrzmiął. – Nie możemy odejść.

–Wracajcie do domu – powiedział Cień.

–Przybyliśmy do tego południowego kraju wraz z naszym ludem – oznajmił jednooki. – Ale oni nas opuścili, znaleźli innych, łagodniejszych bogów i odrzucili nas w swych sercach. Zrezygnowali z nas.

–Wracajcie do domu – powtórzył Cień.

–Zbyt wiele czasu upłynęło – powiedział rudobrody. Cień rozpoznał go po wiszącym u boku młocie. – Zbyt wiele krwi przelano. Jesteś z naszej krwi, Baldurze. Uwolnij nas.

I Cień chciał powiedzieć, że wcale nie jest ich, nie należy do nikogo, lecz cienki koc zsunął się z łóżka, odsłaniając stopy, a pokój na strychu wypełniło rozmyte światło księżyca.

W wielkim domu panowała cisza. Coś zawodziło na wzgórzach. Cień zadrżał.

Leżał w za małym łóżku i wyobrażał sobie czas jako coś, co wzbiera, rozlewa się w kałuże. Zastanawiał się, czy istnieją miejsca, w których czas zbiera się, piętrzy, miejsca, w których przechowują go w stosach – miasta, pomyślał, muszą być pełne czasu. Wszystkie miejsca, w których ludzie zbierają się, przybywają i przynoszą ze sobą swój czas.

A jeśli to prawda, myślał dalej Cień, muszą też istnieć inne miejsca, gdzie ludzi można znaleźć bardzo rzadko i ziemia czeka, pełna goryczy i granitu. Dla wzgórz tysiąc lat to jedynie mgnienie oka – chmura przepływająca po niebie, falowanie trzciny i nic poza tym. To miejsca, w których czas zalega płytko na ziemi, równie rzadki jak ludzie...

–Oni cię zabiją – szepnęła barmanka Jennie.

Cień siedział obok niej na wzgórzu, w blasku księżyca.

–Czemu mieliby to robić? – spytał. – Nie jestem nikim ważnym.

–Tak właśnie postępują z potworami – odparła. – To właśnie robią. Zawsze robili.

Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ona jednak odwróciła się. Z tyłu była pusta, próżna. Odwróciła się ponownie i spojrzała na niego.

–Odejdź stąd – szepnęła.

–Ty możesz przyjść do mnie – rzekł.

–Nie mogę, na drodze czekają przeszkody. Jest trudna i strzeżona. Mógłbyś jednak mnie wezwać. Jeśli mnie wezwiesz, przybędę.

A potem nadszedł świt, a wraz z nim z bagniska u stóp wzgórza wleciała chmara meszek. Jennie odganiała je machnięciami ogona, nic to jednak nie dało. Opadły na Cienia niczym obłok i po chwili oddychał już meszkami, jego nos i usta wypełniły maleńkie, pełzające, kłujące istoty i zaczął dławić się w ciemności.

Szarpnął się i powrócił do swego łóżka, ciała i życia, do świata jawy. Serce tłukło mu się w piersi, z trudem chwycił oddech.

Rozdział VII

Na śniadanie podano smażone śledzie, pieczone pomidory, jajecznicę, tosty, dwie grube jak kciuk kielbaski i plastry czegoś ciemnego, okrągłego i płaskiego, czego Cień nie rozpoznał.

–Co to? – spytał.

–Czarny pudding – odparł siedzący obok jeden z ochroniarzy. Podczas jedzenia zagłębił się w lekturze wczorajszego numeru „Suna”. – Krew i zioła. Gotują krew, aż zgęstnieje i stwardnieje, tworząc ciemny, ziołowy strup. – Widelcem nałożył na grzankę jajecznicę i zjadł palcami. – No, sam nie wiem. Jak to mawiają, nigdy nie powinno się oglądać, jak powstaje kielbasa i prawo. Coś w tym guście.

Cień zjadł resztę śniadania, czarny pudding zostawił jednak nietknięty. W kuchni pojawił się dzbanek prawdziwej kawy. Cień wypił cały kubek. Czarny, gorący płyn obudził go, oczyścił umysł. Do środka wszedł Smith.

–Hej ty, Cieniasty, mogę cię wypożyczyć na pięć minut?

–Ty mi płacisz – odparł Cień. Razem wyszli na korytarz.

–To pan Alice – wyjaśnił Smith. – Chce zamienić z tobą parę słów.

Z żalosego, bielonego skrzydła służbowego przeszli do wykładanego boazerią,

przestronnego, starego domostwa. Wspięli się po szerokich, drewnianych schodach wiodących do olbrzymiej biblioteki. W środku nie było nikogo.

–Zaraz się zjawi – oznajmił Smith. – Zawiadomię go, że czekasz.

Książek w bibliotece przed myszami, kurzem i ludźmi strzegły zamknięte, oszklone drzwi wzmocnione cienką, metalową siatką. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający jelenia. Cień podszedł bliżej, by mu się przyjrzeć. Jeleń wyniośle spoglądał w dal, za nim rozciągała się zamglona dolina.

–*Władca górskiej doliny* - oznajmił pan Alice, zbliżając się powoli, wsparty na lasce.

–Najczęściej reprodukowany obraz epoki wiktoriańskiej. To nie oryginał, lecz

namalował go sam Landseer pod koniec lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku,

kopiując własny obraz. Uwielbiam go, choć nie powinienem. Lwy z Trafalgar Square to

także jego dzieło. Landseer. Niezły gość.

Podszedł do wykuszowego okna. Cień podążył za nim. W dole na dziedzińcu służba rozstawiała krzesła i stoły. Obok stawu, pośrodku dziedzińca inni ludzie układali stosy drewna. Cień rozpoznał w nich gości.

–Czemu nie każą tego zrobić służbie? – spytał.

–Mieliby im zostawić całą zabawę? – odparł pytaniem pan Alice. – Równie dobrze mógłbyś pewnego dnia wysłać swego służącego na pole, by zastrzelił ci kilka bażantów. W układaniu ogniska, przeciąganiu drew, ustawianiu idealnego stosu jest coś niezwykłego, tak przynajmniej mówią. Sam nigdy tego nie robiłem. – Odwrócił się od okna. – Usiądź – polecił. – Od zadzierania głowy boli mnie szyja.

Cień usiadł.

–Wiele o tobie słyszałem – oznajmił pan Alice. – Od dawna chciałem cię poznać. Mówią, że jesteś byстрым młodzieńcem, który ma przed sobą wielką przyszłość. Tak słyszałem.

–Czyli nie wynajęliście po prostu turysty, który miałby nie dopuszczać na imprezę sąsiadów.

–Cóż, tak i nie. Oczywiście mieliśmy kilku innych kandydatów. Po prostu nadawałeś

się idealnie. A potem zorientowałem się, kim jesteś. Prawdziwy z ciebie dar bogów, prawda?

–Nie wiem. Prawda?

–O tak. Widzisz, to przyjęcie odbywa się od bardzo, bardzo dawna. Urządzają je od prawie tysiąca lat, co rok. I co rok odbywa się walka pomiędzy naszym i ich człowiekiem. I nasz człowiek wygrywa. W tym roku ty nim jesteś.

–Kim... – zaczął Cień. – Kim są oni? I kim ty jesteś?

–Ja jestem gospodarzem – oznajmił pan Alice. – Przypuszczam... – Na moment urwał, postukując laską w drewnianą podłogę. – Oni to ci, którzy przegrali dawno temu. My wygraliśmy. My byliśmy rycerzami, a oni smokami. My zabójcami olbrzymów, oni ogrami. My byliśmy ludźmi, a oni potworami. I to my wygraliśmy. Teraz znają już swoje miejsce. A dzisiejszy dzień służy temu, by nie zapomnieli. Dziś będziesz walczył za całą ludzkość. Nie możemy pozwolić, by zyskali przewagę, nawet na moment. My albo oni.

–Doktor Gaskell mówił, że jestem potworem.

–Doktor Gaskell? – spytał pan Alice. – Twój znajomy?

–Nie – wyjaśnił Cień. – Pracuje dla pana. Albo dla ludzi, którzy pracują dla pana. Myślę, że zabija dzieci i robi im zdjęcia.

Pan Alice upuścił laskę. Pochylił się niezgrabnie i podniósł ją.

–Cóż, osobiście nie uważam, że jesteś potworem, Cieniu. Myślę, że jesteś bohaterem.

Nie, pomyślał Cień. Uważasz, że jestem potworem, ale waszym potworem.

–Jeśli dobrze się spiszesz dziś wieczorem – podjął pan Alice – a wiem, że tak będzie, możesz wyznaczyć własną cenę. Zastanawiałeś się, czemu niektórzy ludzie zostają gwiazdami filmowymi, zysku ją sławę, bogactwa? Z pewnością myślałeś nieraz: Przecież to beztalencie. Co on ma, czego nie mam ja? Cóż, czasami odpowiedź brzmi:

Ma po swej stronie kogoś takiego jak ja.

–Czy ty jesteś bogiem? – spytał Cień.

Wówczas pan Alice zaśmiał się nisko, gardłowo.

–Ładny tekst, panie Moon. Ależ nie, jestem zwykłym chłopakiem z Streatham, któremu nieźle powiodło się w życiu.

–Z kim miałbym walczyć?

–Spotkasz go dziś wieczorem – odparł pan Alice. – A teraz musimy znieść ze strychu pewne rzeczy. Może pomożesz Smithiemu? Duży z ciebie chłopak, uwiniesz się raz-dwa.

Audycja dobiegła końca i dokładnie w tym momencie, niczym na niewidzialny znak, zjawił

się Smith.

–Mówiłem właśnie – rzekł pan Alice – że ten tu chłopiec mógłby ci pomóc znieść rzeczy ze strychu.

–Super – rzucił Smith. – Chodź na górę, Cieniu.

I poszli – przez cały dom, ciemnymi drewnianymi schodami do zamkniętych na kłódkę drzwi, które Smith otworzył, i dalej, na zakurzony, drewniany strych pełen stosów czegoś, co wyglądało jak...

–Bębny? – spytał Cień.

–Bębny – potwierdził Smith. Zrobiono je z drewna i zwierzęcych skór, każdy innej wielkości.
– No dobra, znosimy je.

Zabrali bębny na dół. Smith zabierał po jednym, trzymając je ostrożnie jak bezcenne skarby. Cień brał dwa.

–Co naprawdę wydarzy się dziś wieczorem? – spytał podczas trzeciej czy może czwartej wyprawy na górę.

–No cóż – odparł Smith. – Z tego, co wiem, najlepiej będzie, jeśli większości sam się domyślisz. Na bieżąco.

–A ty i pan Alice? Jaką rolę odgrywacie w tym wszystkim?

Smith zerknął na niego ostro. Ustawili bębny u stóp schodów w wielkim holu. Przy kominku siedziało kilkunastu pogrążonych w rozmowie mężczyzn.

Gdy znaleźli się na górze, poza zasięgiem słuchu gości, Smith odezwał się cicho.

–Pan Alice opuści nas dziś po południu. Ja zostanę dłużej.

–Wyjeżdża? On nie jest częścią tego? Smith sprawiał wrażenie urażonego.

–Jest gospodarzem – odparł. – Ale... – Urwał.

Cień zrozumiał. Smith nie rozmawiał o swym pracodawcy. Znieśli kolejne bębny. Gdy w końcu uwinęli się z wszystkimi, zabrali na dół ciężkie, skórzane torby.

–Co jest w środku? – spytał Cień.

–Pałeczki – wyjaśnił Smith. Po chwili przerwy dodał: – To stare rodziny, ci na dole, bardzo stare pieniądze. Widzą, kto jest szefem, nie czyni go to jednak jednym z nich. Rozumiesz? W dzisiejszym przyjęciu uczestniczą tylko oni. Nie chcą pana Alice'a. Rozumiesz?

I Cień rzeczywiście rozumiał. Pożałował, że Smith opowiedział mu o panu Alisie. Nie sądził, by tamten odezwał się choć słowem, gdyby uważał, że jego rozmówca dożyje następnego dnia.

Na głos powiedział jednak tylko:

–Ciężkie te pałeczki.

Rozdział VIII

Późnym popołudniem niewielki helikopter zabrał pana Alice'a. Land-rovery wywiozły obsługę. Ostatnim kierował Smith. W domu został tylko Cień i goście, uśmiechnięci i eleganccy.

Przyglądali się mu niczym schwytanemu lwu, sprowadzonemu dla ich rozrywki. Ale nie odzywali się do niego.

Ciemnowłosa kobieta, ta, która uśmiechnęła się do Cienia tuż po przylocie, przyniosła mu jedzenie: stek, niemal surowy. Leżał samotnie na talerzu, bez sztuczków, jakby oczekiwała, że Cień zje go palcami i zębami. A że był głodny, tak właśnie zrobił.

–Nie jestem waszym bohaterem – powiedział, oni jednak unikali jego wzroku. Nikt

nic do niego nie mówił, nie wprost. Czuł się jak zwierzę.

A potem zapadł zmrok. Zaprowadzili Cienia na wewnętrzny dziedziniec obok zakurzonej fontanny i grożąc bronią, rozebrali do naga, a kobiety dokładnie wysmarowały jego ciało gęstym, żółtym tłuszczem.

Na trawie przed nim położyli nóż. Machnięcie pistoletem i Cień podniósł broń. Rękojeść zrobiono z czarnego, szorstkiego metalu. Dobrze leżała w dłoni. Klinga wyglądała na bardzo ostrą.

Wtedy szeroko otworzyli wielką bramę dzielącą dziedziniec od świata zewnętrznego. Dwaj mężczyźni rozpalili dwa wysokie ogniska. Płomienie z trzaskiem wystrzeliły w górę.

Otworzyli skórzane torby i każdy z gości wyjął jeden rzeźbiony, czarny kij, przypominający pałkę, ciężki i gruzłowaty. Cień odkrył, że myśli o dzieciach Sawneya Baene'a, rojących się w ciemności, uzbrojonych w pałki z ludzkich kości udowych...

A potem goście ustawili się wokół dziedzińca i zaczęli uderzać pałkami w bębny.

Z początku czynili to powoli i cicho – głęboki, pulsujący dźwięk, przypominający bicie serca. Potem przyspieszyli, wybijając osobliwe rytmy, narastające staccato, rytmy splatające się ze sobą, coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu wypełniły umysł i świat Cienia. Miał

wrażenie, że ogniska migoczą do wtóru bębnow.

I wtedy poza domem coś zaczęło skowyczeć.

W owym skowycie słyhać było ból i cierpienie. Odbijał się echem między wzgórzami, zagłuszając bębnienie. Rozbrzmiewały w nim męka, nienawiść i poczucie strat.

Istota, która potykając się, przeszła przez bramę na dziedziniec, ścisnęła mocno głowę, zasłaniając uszy, jakby chciała uciszyć łoskot bębnow.

Blask ognia oświetlił ją.

Była olbrzymia, większa niż Cień, i naga, całkowicie pozbawiona włosów, ociekająca wodą.

Stwór opuścił ręce i rozejrzał się szybko. Jego twarz wykrzywił szaleńczy grymas.

–Przestańcie! – wrzasnął. – Przestańcie tak hałasować!

A ludzie w pięknych ubraniach jeszcze mocniej i szybciej uderzyli w bębny. Hałas wypełnił głowę i pierś Cienia.

Potwór wystąpił na środek dziedzińca. Spojrzał na Cienia.

–To ty – rzekł. – Mówiłem ci, mówiłem o hałasie. – Zawył głęboko, gardłowo, nienawistnie i wyzywająco.

Stwór powoli podszedł bliżej, ujrzał nóż i zamarł.

–Walcz ze mną! – wrzasnął. – Walcz uczciwie! Nie zimnym żelazem! Walcz!

–Nie chcę z tobą walczyć – odparł Cień. Odrzucił nóż na trawę i uniósł ręce, demonstrując, że są puste.

–Za późno – odparła łysa istota, nie będąca człowiekiem. – Już na to za późno. I rzuciła się na Cienia.

Później, gdy Cień wspominał ową walkę, pamiętał jedynie urywki. Pamiętał, jak to coś przygniotło go do ziemi i jak uskoczył na bok. Pamiętał łoskot bębnow i wyraz twarzy ludzi, gdy patrzyli głodnie, zachłannie pomiędzy ogniskami na dwóch walczących pośrodku.

A oni siłowali się i tłukli pięściami.

Słone łzy spływały po twarzy potwora, gdy zmagał się z Cieniem. Cień oceniał, że żaden z nich nie ma przewagi.

Potwór rąbnął go przedramieniem w twarz i Cień poczuł smak własnej krwi. Wezbrał w nim gniew, czerwona ściana nienawiści.

Zamachnął się nogą, podciął kolano potwora, a gdy ten zachwiał się do tyłu, pięść Cienia rąbnęła go w brzuch. Potwór wrzasnął z wściekłości i bólu.

Rzut oka na gości. Cień ujrzał na ich twarzach żądzę krwi.

Zerwał się wiatr, zimny, morski wiatr i Cieniowi wydało się, że na niebie zawisły potężne cienie, olbrzymie postaci, które widział wcześniej na łodzi zrobionej z paznokci martwych mężów. Postaci te spoglądały na niego. To właśnie ta walka trzymała je uwięzione na statku, niezdolne wylądować, niezdolne odejść.

Walka jest stara, stwierdził Cień. Starsza nawet, niż sądzi pan Alice. Pomyślał to w chwili, gdy szpony stwora rozdarły mu pierś. Była to walka człowieka z potworem, stara jak sam czas: Tezeusz zmagający się z Minotaurem, Beowulf i Grendel, każdy bohater, który stanął pomiędzy blaskiem ognia i ciemnością, ścierając z miecza krew czegoś nieludzkiego.

Ogniska płonęły, bębny łomotały i pulsowały niczym tysiąc serc.

Cień pośliznął się na wilgotnej trawie i w tej samej chwili potwór zaatakował. Cień runął na ziemię. Palce stwora zaciskały się wokół jego szyi, coraz mocniej. Czuł, jak wszystko się rozmywa, oddala.

Kurczowo chwycił kępę trawy, wyrwał ją, głęboko wbił palce, zgarnął garść żdźbeł i lepkiej ziemi i ciężką pacyną uderzył wprost w twarz potwora, na moment go oślepiając.

Dźwignął się szybko i teraz to on był górą. Mocno wbił kolano w krocze stwora, który skulił się, przyjmując pozycję płodową, zawył i zaszlochał.

Cień zorientował się, iż bębny umilkły. Uniósł wzrok.

Goście odłożyli bębny.

Zbliżali się do niego, cały krąg, mężczyźni i kobiety. Wciąż trzymali w dłoniach pałki, teraz jednak unosili je niczym broń. Nie patrzyli jednak na Cienia. Wpatrywali się w leżącego na ziemi potwora i unosząc czarne kije, podchodzili coraz bliżej w blasku bliźniaczych ognisk.

–Stójcie! – rzucił Cień.

Pierwsza pałka opadła na głowę stwora. Ten zapłakał i przekręcił się, unosząc rękę w obronie przed następnym ciosem.

Cień rzucił się na niego, osłaniając go własnym ciałem. Ciemnowłosa kobieta, która wcześniej obdarzyła go uśmiechem, teraz obojętnie uderzyła go z całych sił w ramię. Inna

pałka, tym razem mężczyzny, zadała potężny cios w nogę. Trzecia rąbnęła w bok.

Zabiją nas obu, pomyślał. Najpierw jego, potem mnie. To właśnie robią, zawsze to robili. A potem: Powiedziała, że przybędzie, jeśli ją wezwę.

–Jennie – szepnął Cień.

Nikt nie odpowiedział. Wszystko działo się bardzo wolno. Widział kolejną pałkę opadającą wprost ku jego dłoni. Cień odturlał się niezgrabnie i ujrzał, jak ciężki kij uderza w trawę.

–Jennie – powiedział, przywołując w pamięci obraz zbyt jasnych włosów, chudej twarzy, uśmiechu. – Wzywam cię. Przybądź teraz.

Proszę.

Powiew zimnego wiatru.

Ciemnowłosa kobieta wysoko uniosła kij i zamachnęła się szybko, mocno, celując w twarz Cienia.

Cios nigdy nie dotarł do celu. Drobną dłoń chwyciła ciężki kij niczym gałązkę.

Jasne włosy tańczyły wokół jej głowy, unoszone powiewami lodowatego wiatru. Nie potrafił stwierdzić, w co była ubrana.

Spojrzała na niego. Cieniowi wydało się, że dostrzega w jej oczach zawód.

Jeden z mężczyzn próbował rąbnąć ją w tył głowy. Nie zdążył. Odwróciła się...

Ogłuszający dźwięk, jakby coś pękało, darte na strzępy...

A potem ogniska eksplodowały, tak to przynajmniej wyglądało. Cały dziedziniec zasłany płonące drwa, wpadły nawet do domu. Ludzie krzyczeli pośród podmuchów ostrego wiatru.

Cień z trudem dźwignął się na nogi.

Potwór leżał na ziemi skręcony, zakrwawiony. Cień nie wiedział, czy żyje, czy też nie. Podniósł go, zarzucił sobie na ramię i potykając się, ruszył naprzód.

Gdy tylko znalazł się na zwirowym podejździe, ciężka brama zatrzasnęła się za nim. Nikt inny nie zdoła już wyjść. Cień nie przystawał. Szedł dalej, krok po kroku, w dół, w stronę jeziora.

Gdy dotarł na skraj wody, zatrzymał się i osunął na kolana, łagodnie układając na trawie tysego mężczyznę.

Usłyszał głośny trzask i spojrzął w górę na wzgórze.

Dom stał w płomieniach.

–Co z nim? – spytał kobiecy głos.

Cień odwrócił się. Stała po kolana w wodzie, matka stwora. Brodząc, zbliżała się do brzegu.

–Nie wiem – odparł. – Jest ranny.

–Obaj jesteście – stwierdziła. – Cali we krwi i siniakach.

–Tak.

–Ale jednak – dodała – nie zginął. To miła odmiana.

Dotarła już do brzegu, usiadła, kładąc na kolanach głowę syna. Z torebki wyjęła paczkę chusteczek, splunęła na jedną i zaczęła gorączkowo szorować twarz syna, ścierając krew.

Dom na wzgórzu palił się na dobre. Cień nie przypuszczał, iż pożar może być aż tak głośny. Stara kobieta spojrzała w niebo. Zacmokała w głębi gardła i pokręciła głową.

–Wiesz – rzekła – wpuściłeś ich. Od tak dawna byli uwięzieni, a ty ich wpuściłeś.

–Czy to dobrze? – spytał Cień.

–Nie wiem, kochaniutki – odparła drobna kobieta i znów pokręciła głową. Zaczęła nucić, cicho, kojąco, jakby jej syn wciąż był dzieckiem, i przecierała śliną kolejne rany.

Cień klęczał nagi na skraju jeziora, lecz ciepło płonącego budynku nie pozwalało mu zamarznąć. W szklistej wodzie widział odbicie płomieni. Na niebie wschodził żółty księżyc.

Zaczynał czuć ból. Wiedział, że jutro będzie znacznie gorzej.

Kroki na trawie za plecami. Uniósł wzrok.

–Cześć, Smithie.

Smith omiół wzrokiem całą trójkę.

–Cieniu – rzekł, kręcąc głową. – Cieniu, Cieniu, Cieniu, Cieniu. Nie tak to miało wyglądać.

–Przykro mi – odparł Cień.

–To będzie wielki wstyd dla pana Alice'a. Ci ludzie byli jego gośćmi.

–Byli zwierzętami – poprawił Cień.

–Jeśli nawet – odparł Smith – to bogatymi i ważnymi zwierzętami. Trzeba będzie zająć się wdowami, sierotami i Bóg jeden wie, kim jeszcze. Pan Alice nie będzie zachwycony – wypowiedział to niczym sędzia, ogłaszający wyrok śmierci.

–Czy ty mu grozisz? – wtrąciła staruszka.

–Ja nie grożę – odparł beznamiętnie Smith.

Uśmiechnęła się.

–Ach – mruknęła. – Ale ja owszem. Jeśli ty albo tłusty łobuz, dla którego pracujesz, zrobicie krzywdę temu młodzieńcowi, sami ucierpicie bardziej. – Uśmiechnęła się ponownie, odsłaniając ostre zęby, i Cień poczuł, jak drobne włoski na karku jeżą mu się gwałtownie. – Istnieją rzeczy gorsze niż śmierć – dodała. – A ja znam większość z nich.

Nie jestem młoda i nie przepadam za próżną gadaniną. Toteż na waszym miejscu – dodała, pociągając nosem – dobrze zaopiekowałabym się tym chłopcem.

Jedną ręką podniosła syna niczym drobną lalkę, drugą przycisnęła do siebie torebkę.

A potem skinęła głową Cieniowi i odeszła w głąb ciemnej, szklistej wody. Wkrótce wraz z synem zniknęli pod powierzchnią jeziora.

–Kurwa – mruknął Smith.

Cień nie odpowiedział.

Smith pogrzebał w kieszeni, wyciągnął worek z tytoniem i skręcił sobie papierosa. Zapalił go.

–No dobra – rzekł.

–Dobra? – rzucił Cień.

–Musimy cię umyć i znaleźć ci jakieś ubranie, inaczej zaziębisz się na śmierć. Słyszałeś, co powiedziała.

Rozdział IX

Tej nocy w hotelu na Cienia czekał już najlepszy pokój. W niecałą godzinę po jego powrocie Gordon z recepcji przyniósł mu nowy plecak, pudełko nowych ubrań, nawet nowe buty. Nie zadawał żadnych pytań.

Na stosie ciuchów leżała gruba koperta.

Cień rozdarł ją. W środku znalazł swój (nieco przypalony) paszport, portfel i pieniądze. Kilkanaście plików nowych pięćdziesięciofuntówek owiniętych gumkami.

Raz-dwa i już forsya jest w bród, pomyślał, nie czując żadnej przyjemności. Bez powodzenia próbował sobie przypomnieć, gdzie wcześniej słyszał tę piosenkę.

Wziął długą kąpiel, by pozbyć się bólu.

A potem zasnął.

Rano ubrał się i ruszył naprzód uliczką obok hotelu, wiodącą na szczyt wzgórza poza wioskę. Był pewien, że stał tam domek z lawendowym ogrodem, pasiastym blatem z nagiej sosny i fioletową kanapą. Lecz choć szukał długo, nie znalazł niczego, żadnych śladów świadczących o tym, by kiedykolwiek coś tam było prócz trawy i wysokiego krzaku głogu.

Zawołał jej imię, ale odpowiedział mu tylko wiatr od morza, niosący ze sobą pierwszą zapowiedź zimy.

Gdy jednak wrócił do pokoju hotelowego, czekała na niego. Siedziała na łóżku, opatulona w stary brązowy płaszcz, i uważnie oglądała swe paznokcie. Gdy otworzył drzwi i wszedł do środka, nie uniosła głowy.

–Cześć, Jennie – rzucił.

–Cześć – odparła bardzo cicho.

–Dziękuję – rzekł. – Ocaliłaś mi życie.

–Wezwałeś mnie – powiedziała tępo. – Przybyłam.

–Co się stało? – spytał. Wówczas spojrzała na niego.

–Mogłam być twoja – rzekła. W jej oczach zakręciły się łzy. – Sądziłam, że mnie pokochasz. Może. Pewnego dnia.

–No cóż – rzekł. – Może się przekonamy. Moglibyśmy przejść się jutro razem. Nie będzie to długi spacer, bo chwilowo nie jestem w najlepszej formie.

Pokręciła głową.

Najdziwniejsze, pomyślał Cień, że zupełnie nie wyglądała już jak człowiek. Widział przed sobą to, czym była naprawdę, dziką, leśną istotę. Jej ogon drżał lekko na łóżku pod płaszczem. Była bardzo piękna i odkrył nagle, że jej pożąda.

–Najtrudniejszą rzeczą w byciu *hulder* – rzekła Jennie – nawet *hulder* oddaloną od domu, jest to, że jeśli nie chcesz być samotna, musisz pokochać śmiertelnika.

–Kochaj mnie więc. Zostań ze mną – mruknął. – Proszę.

–Ty – odparła ze smutkiem tonem kończącym dyskusję – nie jesteś śmiertelnikiem.

Wstała.

–Jednak – dodała – wszystko się zmienia. Może teraz zdołam wrócić do domu.

Minęło już tysiąc lat, nie wiem nawet, czy pamiętam mój *norsk*.

Ujęła jego ręce w swe drobne dłonie, dłonie, które potrafiły wyginać żelazne sztaby, miażdżyć kamień w pył, i uścisnęła je delikatnie. A potem zniknęła.

Jeszcze dzień został w hotelu, następnie złapał autobus do Thurso i pociąg z Thurso do Inverness.

W pociągu zdrzemnął się, ale nie śnił.

Gdy się ocknął, obok niego siedział mężczyzna. Mężczyzna o ostrej twarzy, czytający książkę w miękkiej okładce. Widząc, że Cień się obudził, zamknął ją. Cień spojrzał w dół: *Problemy istnienia* Jeana Cocteau.

–Dobra książka? – spytał.

–W porządku – odparł Smith. – To zbiór esejów. Mają być osobiste, ale czujesz, że za każdym razem, gdy autor niewinnie unosi wzrok i mówi: to ja, w istocie blefuje i to podwójnie. Podobała mi się *Piękna i Bestia*. Wówczas czułem się mu bliższy niż poprzez te eseje.

–Wszystko znajdziesz na okładce – zauważył Cień.

–To znaczy?

–Problemy istnienia Jeana Cocteau.

Smith podrapał się po nosie.

–Proszę.– Wręczył Cieniowi egzemplarz „Scotsmana”.– Strona dziewiąta.

Na dole strony dziewiątej zamieszczono krótką notatkę. Emerytowany lekarz popełnia samobójstwo. Ciało Gaskella znaleziono w samochodzie zaparkowanym w popularnym miejscu piknikowym na brzegu morza. Połknął niezłą mieszankę środków przeciwbólowych, popijając prawie całą butelką lagavulina.

–Pan Alice nie znosi, gdy ktoś go okłamuje – oznajmił Smith. – Zwłaszcza pracownicy.

–Jest tam coś o pożarze? – spytał Cień.

–Jakim pożarze?

–Ach, jasne.

–Nie zdziwiłoby mnie jednak, gdyby w ciągu najbliższych miesięcy wielkich i bogatych trafił wyjątkowy pech. Wypadki samochodowe, katastrofy kolejowe, może rozbity samolot. Pograżone w żałobie wdowy, sieroty, narzeczeni. Bardzo smutne.

Cień skinął głową.

–Wiesz – dodał Smith – pan Alice bardzo się troszczy o twoje zdrowie. Martwi się. Ja zresztą też.

–Tak? – spytał Cień.

–Jasne. Jeśli coś ci się przytrafi w tym kraju, może spojrzysz w złą stronę, przechodząc przez jezdnię, pokażesz plik banknotów w niewłaściwym pubie, sam nie wiem. Chodzi o to, że jeśli stanie ci się krzywda, wówczas ta, jak jej tam, matka Grendela, mogłaby źle to przyjąć.

–I?

–I uważamy, że powinieneś wyjechać z Anglii. Tak będzie bezpieczniej dla wszystkich. Nie sądzisz?

Jakiś czas Cień milczał. Pociąg zaczął zwalniać.

–Zgoda – rzekł w końcu.

–To mój przystanek – oznajmił Smith. – Tu wysiadam. Zarezerwujemy ci bilet, oczywiście pierwszej klasy, do dowolnego miejsca, w jedną stronę. Musisz tylko powiedzieć dokąd.

Cień potarł siniaka na policzku. Coś w bólu działało niemal kojąco.

Pociąg zatrzymał się, stali na niewielkiej stacji na pustkowiu. Obok dworca w słabym słońcu parkował duży, czarny wóz. Miał przyciemniane szyby, Cień nie mógł zajrzeć do środka.

Pan Smith opuścił szybę w oknie, sięgnął na zewnątrz, otworzył drzwi przedziału i wyszedł na peron. Przez otwarte okno spojrzał na Cienia.

–I co?

–Myślę – odparł Cień – że przez parę tygodni pozwiedzam sobie Anglię. Będziecie musieli się modlić, żebym przechodząc przez jezdnię, spojrzał we właściwą stronę.

–A potem?

I Cień już wiedział. Może wiedział od początku?

–Chicago – rzekł do Smitha w chwili, gdy pociąg szarpnął i zaczął oddalać się od dworca. Mówiąc to, poczuł się starszy, ale nie mógł odkładać tego wiecznie.

A potem dodał tak cicho, że tylko on to usłyszał:

–Chyba wracam do domu.

Wkrótce potem zaczęło padać – wielkie, ciężkie krople, bębniące o szyby i przesłaniające świat rozmazaną kurtyną szarości i zieleni. Niskie pomruki grzmotów towarzyszyły Cieniowi w jego podróży na południe. Burza zawodziła, wiatr skowyczał, a błyskawice rzucały na niebo potężne cienie. W ich towarzystwie powoli poczuł się mniej samotny.

Przełożyła *Paulina Braiter*

Shannara Terry Brooks

The Sword of Shannara (1977) *Miecz Shannary* (1997) *The Elf stones of Shannara* (1982) *Kamienie Elfów* (1997) *The Wishsong of Shannara* (1985) *Pieśń Shannary* (1997)

The Heritage Of Shannara

The Scions of Shannara (1990) *Potomkowie Shannary* (1997) *The Druid of Shannara* (1991) *Druid Shannary* (1998) *The Elf Queen of Shannara* (1992) *Królowa Shannary* (1998) *The Talismans of Shannara* (1993) *Talizmany Shannary* (1999) *First King of Shannara* (1996) *Pierwszy król Shannary* (1999)

The Voyage Of The Jerle Shannara

Ilse Witch (2000) *Antrax* (2001) *Morgawr* (2002)

High Druid Of Shannara

Jarka Ruus (2003) *Tanequil* (w przygotowaniu) *The World of Shannara* (2001)

Czas Shannary to okres, który nastąpił po apokalipsie niszczącej stary świat i prawie wszystkich zamieszkujących go ludzi. Tysiące lat barbarzyństwa zakończone zostało pojawieniem się nowej cywilizacji opartej na magii, nie na nauce. W tym momencie rozpoczyna się cykl powieści. Pierwsza Rada złożona z najbardziej utalentowanych przedstawicieli nowych ras, których nazwy zaczerpnięto z legend (ludzi, krasnoludów, trolli, gnomów i elfów), zabrała się do niełatwego zadania: odbudowy świata i zakończenia wojny ras, która dziesiątkowała ocalałych z tak zwanych Wielkich Wojen od czasu ich zakończenia.

Konflikt jednakże nie wygasł, choć przybrał odmienną formę. Magia bowiem, podobnie jak nauka, może być używana dla celów dobrych, jak i złych i może wywierać pozytywny bądź negatywny wpływ na tych, którzy mają z nią kontakt. A czasami też żyje własnym życiem.

Miecz Shannary opisuje, w jaki sposób powstrzymano druida żądnego władzy, który manipulował trollami i gnomami, by przy ich pomocy zapanować nad pozostałymi rasami. Nie udało mu się, gdyż ostatni potomek rodu elfów – Shea Ohmsford – z pomocą brata i niewielkiej grupki towarzyszy zdołał użyć słynnego Miecza Shannary, by zniszczyć lorda Warlocka.

W *Kamieniach Elfów* jego wnuk Wil zetknął się z innym wyzwaniem. Wymagało ono odwołania się do magii zawartej w kamieniach Elfów. Ich użycie zmieniło jego genotyp w ten sposób, iż jego dzieci posiadały wrodzoną umiejętność posługiwania się pewnymi rodzajami magii.

W rezultacie w *Pieśni Shannary* Brin i jej brat Jair pomogli druidowi Allanonowi odszukać i zniszczyć Ildatch, księgę mrocznej magii, która zawładnęła lordem

Warlockiem, a teraz robiła to samo z Widmami Mord.

Akcja tego opowiadania dzieje się parę lat po wydarzeniach opisanych w *Pieśni Shannary* i występuje w nim ponownie Jair Ohmsford. Teraz musi dojść do ładu ze swą obsesją na punkcie przeszłości i zastrzeżeniem siostry, by nie używał magii.

Niepokonany Terry Brooks

Przeszłość jest zawsze z nami. Choć Jair Ohmsford dopiero co osiągnął wiek, w którym można go było uznać za mężczyznę, znaczenie tego stwierdzenia rozumiał już, gdy był chłopcem. Znaczyło ono, że będzie kształtowany przez to, co się dzieje, i że wszystko, co się wydarzy, w jakiś sposób będzie konsekwencją tego, co już się stało w przeszłości. Oznaczało, że ludzie, których pozna, pozostawią ślad na jego zachowaniu i przekonaniach. I że jego przeszłe doświadczenia będą miały wpływ na decyzje, które podejmie w przyszłości.

Oznaczało, że życie jest niczym łańcuch, którego ogniw nie da się rozdzielić.

Najsilniejszym ogniwem w jego łańcuchu było wspomnienie o Garecie Jaxie. W przeciwieństwie do innych cenił te wspomnienia i chronił je niczym szklane figurki, które od czasu do czasu zdejmuje się z półki, poleruje i odstawia ostrożnie z powrotem.

Latem drugiego roku po powrocie z Graymark nadal był pod wpływem tych wspomnień. Często budził się w środku nocy, gdyż śniła mu się walka Jaxa z Jachyrą, słyszał głos Mistrza Broni rozmawiającego z przyjaciółmi i sąsiadami albo widział jego twarz w obliczach obcych. Nie przygnębiało go to, a wręcz przeciwnie, gdyż stanowiło dowód, że nadal utrzymuje przy życiu przeszłość, którą otaczał taką czcią.

Pewnego dnia, gdy pracował w rodzinnej gospodzie, pomagając z uprzejmości oberżyscie i jego żonie, do Shady Vale wjechała dziewczyna. Stał akurat na ganku, oglądając deskę, którą zastąpił starą, przedziurawioną przez gnaną wichurą gałąź. Coś w sposobie, w jaki siedziała na koniu, zwróciło jego uwagę. Przestał podziwiać własne rękodzieło i przyjrzał się jej, osłaniając dłonią oczy przed blaskiem słońca odbijającego się w metalowym dachu. Siedziała wyprostowana na masywnym, czarnym ogierze z białą gwiazdką na czole. Jej czarne, rozpuszczone włosy spływały kaskadą loków aż do pasa, lśniąc w słońcu. Nie była wysoka, ale otaczała ją aura pewności siebie wykraczającej poza świadomość możliwości korzystania w razie potrzeby z sił fizycznych.

Dostrzegła go w tymże momencie i skierowała wierzchowca w jego stronę. Zatrzymała się o parę kroków od ganku i uśmiechnęła przekornie, odgarniając z okrągłej twarzy niesforny kosmyk włosów.

–Stałeś się niemową, Jair? – spytała.

–Kimber Boh – powiedział, jeszcze nie do końca pewien, czy go wzrok nie myli. – Nie wierzę!

Zeskoczyła z konia, rzucając mu cugle na szyję w sposób wskazujący, że i tak nigdzie sam nie odejdziesz, podeszła do Jaira i uściskała go długo i mocno.

–Wygląda na to, że dorosłeś – oceniła, rozwichrzając mu czuprynę, by udowodnić, że nie wywarło to na niej wrażenia.

To samo mógł powiedzieć o niej. Przy uścisku przytuliła się i wyraźnie poczuł, że nie jest już dzieckiem, co niełatwo przyszło mu zaakceptować. Nadal pamiętał smukłą i drobną dziewczynę, jaką była dwa lata temu, gdy ją poznał w ruinach Croagh po bitwie, w której uratował Brin.

Potrząsnął głową i przyznał:

–Ledwie cię poznałem.

Odsunęła się o krok.

–A ja cię poznałam od razu. – Rozejrzała się ciekawie. – Zawsze chciałam zobaczyć, gdzie mieszkasz. Jest Brin?

Brin zamieszkała z Ronem Leahem, którego poślubiła wiosną. Teraz spodziewali się pierwszego dziecka – obiecali, że nazwą go Jair, jeśli będzie chłopcem.

Jair potrząsnął głową.

–Brin zamieszkała z Leahem. Dlaczego nie uprzedziłaś, że się tu wybierasz?

–Bo jeszcze tydzień temu sama o tym nie wiedziałam. Napiałabym się czegoś, może wejdziemy i porozmawiamy?

Wewnątrz było chłodno, bo spadzisty, wysunięty dach rzucał cień nawet na stojące przy oknach stoły. Usiedli przy jednym z nich, a oberżysta przyniósł dzban piwa i dwa kubki. Nim odszedł, mrugnął do Jaira porozumiewawczo.

–Zawsze tak robi, ilekroć sprowadzasz tu dziewczynę? – zaciekawiała się Kimber, gdy mężczyzna znalazł się wystarczająco daleko, by jej nie usłyszeć. – Jesteś tu regularnym gościem, jak widzę.

Jair zarumienił się.

–Ta gospoda należy do moich rodziców, ale nie to jest ważne. Powiedz, co cię tu sprowadza?

Zastanowiła się chwilę.

–Tak do końca nie jestem pewna – przyznała. – Chciałam cię od szukać i przekonać, żebyś pojechał ze mną, ale gdy już się tu znalazłam, jakoś zabrakło mi słów. W sumie to może nawet nie będę próbować... posiedzę, dopóki nie będziesz miał mnie dość. To się nazywa wizyta, zdaje się. Co ty na to?

Rozsiadł się wygodniej i uśmiechnął.

–Chyba powiedziałbym, że jesteś mile widzianym gościem i możesz tu zostać, jak długo zechcesz. To chciałaś usłyszeć?

Upiła łyk piwa i potrząsnęła głową.

–To, czego ja chcę, nie ma znaczenia. Może to, czego ty byś chciał, też nie ma znaczenia. Dziadek mnie przysłał. Kazał ci powiedzieć, że to, co uznaliśmy dwa lata temu za zakończone, nie jest zakończone.

Wychodzi na to, że coś nam umknęło.

I wyjrzała przez okno na zalaną słońcem polanę.

–Co za „coś”?

Kimber spojrzała na niego poważnie i spytała:

–Pamiętasz, jak twoja siostra w Graymark spaliła księgę Ildatch?

–Do śmierci nie zapomnę.

–Dziadek twierdzi, że ocalała jedna kartka.

Obiad zjedli w domu Jaira. Przygotował go osobiście z zapasów zostawionych przez rodziców, którzy wyruszyli na południe, gdzie ich specjalne talenty uzdrawiające były akurat niezbędne. Podał zupę jarzynową, chleb, sery i suszone owoce. Zjedli, a potem w milczeniu obserwowali, jak zapada zmrok i okolicę pokrywa czarny jedwab nocy. Na niebie nie było chmur, toteż gwiazdy błyszczą jasno i wyraźnie.

–Nie powiedział ci, do czego jestem mu potrzebny? – Jair powtórzył pytanie piąty czy szósty raz.

Kimber cierpliwie potrząsnęła głową i powtórzyła tę samą co poprzednio odpowiedź:

–Kazał mi sprowadzić ciebie. Nie twoją siostrę, rodziców czy Leaha, ale ciebie.

–I o Kamieniach Elfów też nie wspomniał? Jesteś pewna?

Tym razem w jej błękitnych oczach pojawiły się ślady irytacji:

–Wiesz, że to był jeden z najlepszych posiłków, jakie w życiu jadłam? A był. Zupa

była cudowna i mam zamiar wyciągnąć od ciebie przepis. Ale w tej chwili całkowicie wystarcza mi, że ją zjadłam, nie muszę wiedzieć, jak ją przyrządzić. Może łaskawie przestałbyś zadawać pytania i też potrawił z przyjemnością?

Jair skrzywił się i sięgnął po piwo, ponownie analizując to, co usłyszał, bo miał spore problemy z zaakceptowaniem tego, o co prosiła, nie mówiąc już o zgodzie. Dwa lata wcześniej on i siostra wyruszyli osobnymi trasami, ale mając wspólny cel – dotarcie do kryjówki Ildatch i zniszczenie księgi mrocznej magii, która wpierv stworzyła lorda Warlocka i jego Zwiastuny Śmierci, a potem Widma Mord. Warlocka pokonali Shea i Flich Ohmsfordowie, Widmami Mord musieli zająć się sami. Magia, którą zawierała księga, była tak potężna, że zaczęła żyć własnym życiem – stała się bytem zdolnym podporządkować sobie żywe istoty i zmienić je w potwory rodem ze świata umarłych. Zrobiła to już parokrotnie i gdyby Brin jej nie unicestwiła, robiłaby to nadal.

Księga zresztą omal nie zniszczyła Brin, władającej magią pieśni zdolną oddziaływać na wszystko, co żywe. Brin była groźnym przeciwnikiem, ale także atrakcyjnym sojusznikiem i gdyby Jair nie dotarł do niej na czas, istniała spora szansa, że stałaby się tym ostatnim. Właśnie dlatego Król Srebrnej Rzeki wysłał go śladem jej i Allanona. Dzięki temu Jair wiedział, czego się od niego oczekuje, i odpowiednio wykorzystał swoje, słabsze niż siostry zdolności magiczne polegające na tworzeniu iluzji.

I właśnie to był główny powód, dla którego nie bardzo rozumiał, dlaczego dziadek Kimber wezwał tym razem właśnie jego. Jaki by był charakter zagrożenia ze strony odrodzonej Ildatch, on był najmniej z całej rodziny predestynowany, by stawić mu czoło. Poza tym żywił

poważne wątpliwości co do osoby wzywającego, gdyż miał okazję obserwować, jak nieprzewidywalny, by nie rzec szalony, potrafił być Coglin. Kimber mogła mu ufać, ale to nie znaczy, że on też powinien.

A największym problemem było twierdzenie Coglina, że księga nie została kompletnie zniszczona, bo wiedział, jak Brin się starała, by to osiągnąć i upewnić się, że z Ildatch nie pozostało nic prócz popiołu, gdy spaliła ją, używając magii pieśni. Nie bardzo mógł uwierzyć, żeby siostra popełniła błąd w tak ważnej sprawie.

I miał na dodatek świadomość, że niczego więcej się nie dowie, jeżeli nie pojedzie z Kimber i nie porozmawia z jej dziadkiem. A podróż do Hearthstone leżącego w głębi Easterlandii była długa i męcząca. Podjęcie jej tylko po to, by przekonać się, że stary człowiek się pomylił, naprawdę mu się nie uśmiechało.

Dlatego zadawał dziewczynie tyle pytań, a gdy nie słyszał zadowalających odpowiedzi, powtarzał stare, gdyż nie był w stanie wymyślić nowych, a bardzo chciał cokolwiek ustalić.

–Wiem, że uważasz dziadka za dziwaka – odezwała się Kimber. – Nie zawsze mówi spójnie i logicznie, o czym miałeś okazję się przekonać dwa lata temu, więc nie będę udawała, że jest inaczej. Wiem, że bywa trudny i czasami nie wzbudza zaufania: doszedłeś do tego wniosku, mimo że czas, jaki z nim spędziłeś, był krótki. Ale wiem także, że on widzi rzeczy, których inni nie dostrzegają, i ma do dyspozycji środki, którymi nie dysponuje nikt poza nim. Ja dobrze czytam ślady, a on potrafi odczytać znaki w powietrzu. Z proszków i różnych składników potrafi zrobić rzeczy, jakich nie umiał zrobić nikt od zniszczenia starego świata. Nie można go oceniać po pozorach, bo będzie to błędna i słycona ocena.

–Uważasz więc, że powinienem z tobą jechać, bo jest szansa, że może mieć rację? Powiedz mi prawdę, Kimber.

–Uważam, że rozsądne byłoby uważnie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia –

odparła spokojnie, ale spokój ten nie znajdował odzwierciedlenia w jej oczach. – Sama mam pewne wątpliwości, jeśli chodzi o dziadka, ale wiem, że kazał mi po ciebie jechać po naprawdę głębokim namyśle. To nie był chwilowy impuls. Przyjechałby sam, ale mu nie pozwoliłam: jest za stary i za delikatny. A ponieważ nie było nikogo innego, przybyłam osobiście. To chyba mówi coś o tym, jak podchodzę do całej sprawy. A teraz proponuję posprzątać i usiąść sobie na zewnątrz.

Zebrali naczynia, umyli je i wyszli na ganek, gdzie stała ławka zwrócona ku południowemu zachodowi. Noc była ciepła, pachniała jaśminem i żywicą, a w oddali szumiał strumień. Długą chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając plusku wody. W górze bezgłośnie przeleciała sowa widoczna przez moment na tle księżyca, a z pobliskiej wioski dobiegły śmiechy.

–Wydaje mi się, że w Graymark byliśmy tak dawno – powiedziała cicho. – Wiele się zmieniło przez te dwa lata.

Jair pokiwał głową.

–Często myślałem o tobie i twoim dziadku. Choć przyznam, że nie wiem, dlaczego się o was martwiłem. Doskonale sobie radziście, nim Brin i Ronę was znaleźli, więc pewnie tak było nadal. Ciągłe masz tego bagiennego kota?

–Szepta? Tak. Chroni nas przed tym, przed czym sami nie potrafimy się obronić... ale z tym radzeniem sobie nie jest do końca tak, jak myślisz. Czasy się zmieniają... oboje z dziadkiem jesteście starsi: on potrzebuje mnie bardziej, ja jego mniej. Szept znika częściej i wraca rzadziej. Okolica się rozwija i nie jest już taka dzika jak kiedyś. Mniej niż pięć mil od nas powstała wieś krasnoludów, a gnomy cały czas wędrują z pasma Wolfsktaag do Ravenshorn i z powrotem. To nie ta sama okolica.

–Co zrobisz, gdy dziadek umrze?

Roześmiała się cicho.

–To chyba nigdy nie nastąpi: może żyć wiecznie – westchnęła i spoważniała. – Czasami mam ochotę przeprowadzić się gdzie indziej i zobaczyć kawałek świata.

–Może zamieszkałabyś tutaj – zaproponował. – Mogłoby ci się spodobać.

–Mogłoby.

Nie powiedziała nic więcej, więc ponownie spojrzął w gwiazdy, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Miło byłoby mieć ją za sąsiadkę – dobrze mu się z nią rozmawiało, a podejrzewał, że po pewnym czasie mogliby zostać przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

–Chcę, żebyś wrócił ze mną do Hearthstone – powiedziała nagle, przyglądając mu się z napięciem. – Jesteś mi potrzebny i nie chodzi tylko o tę kartkę. Jestem zmęczona, przykro to mówić, bo oznacza, że jestem słabsza, ale taka jest prawda. Im starszy dziadek się staje, tym trudniej z nim wytrzymać. Nie wiem, czy w sprawie Ildatch ma rację czy nie, ale wątpię, abym sama zdołała ustalić prawdę. Przyznaję, że przyjechałam tu głównie po to, by prosić, byś pojechał ze mną do Hearthstone i porozmawiał z dziadkiem. Podejrzewam, że to w zupełności wystarczy, a mnie bardzo pomoże.

Jair z powątpiewaniem potrząsnął głową.

–Ledwie go znam i nie bardzo rozumiem, jak moja obecność może w czymkolwiek ci pomóc.

Kimber zawahała się, odetchnęła głęboko i oznajmiła:

–Dziadek pomógł twojej siostrze, gdy miała kłopoty. Teraz proszę, byś odplacił za tę pomoc. Myślę, że on cię potrzebuje, niezależnie od tego, czy zagrożenie ze strony księgi

jest realne czy nie. Dla niego jest. I dlatego proszę cię, byś ze mną jechał i pomógł to wyjaśnić.

Jair milczał przez naprawdę długą chwilę, choć wiedział, co odpowie. I co zrobi.

–Zgoda. Pojadę z tobą – powiedział w końcu.

Decyzja była prosta – wiedział, że tak właśnie postąpiłby Gareth Jax.

U oberżysty zostawił list do rodziców z wyjaśnieniem, dokąd i dlaczego pojechał. Spakował to, co uznał za potrzebne, i zamknął dom. Oberżysta pożyczył mu konia – statecznego gniadosza, co do którego można było mieć pewność, że nie zrobi nic głupiego czy niespodziewanego. Jair nie przepadał za końmi, ale doskonale rozumiał konieczność posiadania wierzchowca, gdyż do pokonania mieli spory szmat drogi.

Z Shady Vale pojechali na północ przez las Duln, wokół zachodniego brzegu Tęczowego Jeziora, i dalej przez Callahorn wzdłuż Mermidonu na równinę Rabb. Przecięli ją, posuwając się wzdłuż koryta rzeki o tej samej nazwie, kierując się do górnego Anar, a potem przez przełęcz między łańcuchem Wolfsktaag a puszczą Darklin, unikając w ten sposób zagrożeń tam występujących. Podczas drogi Jair porównywał, w jak odmiennych warunkach w porównaniu do poprzedniej przebiegała ta podróż. Wtedy przybył do Eastlandii ścigany, na każdym zakręcie groziło mu jakieś niebezpieczeństwo – w sumie było ich tyle, że wolał dokładnie nie pamiętać. Gdyby nie Gareth Jax, nie dotarłby do celu. Teraz jechał, nie obawiając się ataku i nie musząc oglądać się ciągle przez ramię. A ten, który tyle razy uratował mu życie, był jedynie wspomnieniem.

–Myślisz, że przed tym życiem mieliśmy inne? – spytała Kimber, gdy siedzieli przy ognisku na ostatnim postoju przed Hearthstone.

Ognisko rozpalili w zagajniku rosnącym nad jednym z dopływów Rabb, w głębi puszczy Darklin. W pobliżu, na polanie oświetlonej blaskiem księżyca, pasły się konie, w powietrzu zaś unosiła się zapowiedź zbliżającej się jesieni – lekki chłód.

Jair uśmiechnął się.

–Nie myślałem o tym – przyznał. – Za dużo kłopotów sprawia mi przeżycie tego życia, żebym miał się zastanawiać, czy były inne.

–Albo czy będą inne po tym życiu? – drażzyła, odrzucając włosy, dla wygody spięte w podróży; rozpuszczała je tylko na noc. – Dziadek tak uważa, a ja chyba się z nim zgadzam. Myślę, że wszystko jest ze sobą połączone. Życia, tak jak chwile, stanowią nierozzerwalny ciąg, a przeszłość stopniowo staje się przyszłością.

Jair wpatrzył się w mrok i milczał przez chwilę.

–Ja zaś sądzę, że jesteśmy związani z przeszłością – powiedział. – Głównie z wydarzeniami i ludźmi, którzy ją kształtowali. Myślę, że jakoś zawsze do niej sięgamy, przeżywając to, co pamiętamy. Czasami by uzyskać informacje, a czasami po prostu dla wygody. Nie pamiętam innych istnień, ale pamiętam, co przeżyłem w tym życiu. I pamiętam ludzi, których w nim spotkałem.

Na moment zapadło milczenie. Kimber usiadła obok i spytała:

–Powiedziałaś to tak... myślisz o tym, co zaszło w Niebiańskiej Studni?

Jair wzruszył ramionami.

–I o tym, którego nazywali Mistrzem Broni? Spojrzał na nią zaskoczony.

–Skąd wiesz?

–To żadna tajemnica: o nikim innym później nie mówiłeś, tylko o nim.

Jak uratował cię w Croagh, jak walczył z Jachyrą. Nie pamiętasz?

Pokiwał głową i po chwili dodał:

–Pamiętam.

–Może twój związek z nim sięga dalej niż tylko w to życie. – Spojrzała nań pytająco.

–Myślałeś o takiej możliwości? Być może w którymś z poprzednich także byliście razem i dlatego właśnie wywarł na tobie takie wrażenie?

Jair roześmiał się cicho.

–Wywarł na mnie takie wrażenie, bo walczył jak nikt, kogo znałem. Był... „niepokonany” to najwłaściwsze słowo. Nikt i nic nie było w stanie stawić mu czoła, nawet Jachyra. Nawet to, co było zbyt potężne dla Allanona.

–To nie oznacza, że nie mam racji – odparła, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Musisz to przyznać, prawda?

Musiał. Podobnie jak sporo innych rzeczy. Podobała mu się i był tym zaskoczony. Tak długo myślał o niej jako o podlotku, że teraz miał problem z zaakceptowaniem faktu, że dorosła. Nie wydawało mu się to możliwe i wprowadzało zamęt w przemyślenia, bo przeszłość ścierała się z terażniejszością. Nie wiedział, co ona do niego czuje, przecież też się zmienił. I nie mógł się zdobyć na to, by o to zapytać.

Po południu następnego dnia dotarli do Hearthstone, kończąc tygodniową podróż. Jair nigdy tu nie był, ale Brin opisała mu dokładnie podobną do komina skałę, toteż od razu ją

rozpoznał. Dostrzegł ją, nim jeszcze wyjechali spośród drzew, gdyż górowała niczym ciemna iglica nad porośniętą drzewami doliną. A jej poszarpany kształt wydawał się idealnie pasować do tej krainy mrocznych plotek i dziwnych wydarzeń. Choć należały one głównie do przeszłości, gdyż teraz sytuacja i okolica wyglądały inaczej. Dwa lata temu nie było tu żadnych dróg, a teraz wjechali na trakt i minęli krasnoludzką wioskę, z której dobiegały śmiechy i dziecięce głosy. Okolice się cywilizowała, dowodząc, że zmiany, choć niekoniecznie na lepsze, są jedyną pewną rzeczą na świecie.

Krótko potem dotarli do drewnianego domu o ścianach porośniętych bluszczem. Dom z przodu i z tyłu miał werandy, a otaczał go starannie utrzymany ogród – wszystko było wypielone i poprzycinane, a mieszanka kolorów i kształtów stanowiła całość przyjemną dla oka. Za domem położona była zagroda dla koni, w której znajdowała się klacz ze źrebakiem, a także pasła się spokojnie krowa. Na samym końcu zbudowano szopy, utrzymane w dobrym stanie i świeżo pomalowane. Budynek osłaniały od słońca drzewa, i to tak skutecznie, że nie było widać nawet kawałka dachu.

Jair spojrzął na dziewczynę.

–Sama wszystkiego dogładasz?

–Przeważnie. – Uśmiechnęła się słabo. – Zawsze lubiłam prace domowe i gospodarskie, odkąd byłam na tyle duża, że mogłam w nich pomagać.

Podjechali pod dom i zsiadli z koni. I natychmiast przez drzwi wypadł Coglin. W workowatym przyodziewku wyglądał na jeszcze chudsze, niż był w rzeczywistości, a rozwiana broda i sterczące na wszystkie strony siwe włosy sprawiały wrażenie, jakby ich właściciel dopiero się obudził. Przeczesał gwałtownie brodę palcami i przyjrzał się podejrzliwie i uważnie Jairowi, jakby nie do końca był pewien, z kim ma do czynienia.

–A więc! – rzucił i podszedł tak blisko, że młodzieniec musiał się cofnąć.

Zajrzał mu głęboko w oczy, obejrzał starannie twarz i spytał:

–To on?

–Tak, dziadku – potwierdziła zawstydzona Kimber.

–Jesteś pewna?

–Jestem, dziadku.

–Bo wiesz, on może być kimś innym. Może być każdym! – Coglin zmarszczył poorlyne bruzdami czoło. – To ty jesteś młody Ohmsford? Jair?

Zapytany przytaknął i powiedział:

–Jestem. Nie pamiętasz? Spotkaliśmy się dwa lata temu w ruinach Graymark.

Starzec przyglądał mu się, jakby nie słyszał pytania. Jair zaś poczuł lekką irytację, bo badawcze spojrzenie nie było wcale przyjemne.

–To konieczne? – spytał wreszcie. – Może byśmy tak usiedli i napili się czegoś?

–Kiedy zdecyduję, że można! – oznajmił gospodarz. – Kiedy skończę! Nie przerywaj, bo mnie dekoncentrujesz!

–Dziadku! – jęknęła Kimber.

Coglin zignorował ją także i polecił:

–Pokaż mi ręce!

Jair wykonał polecenie.

Starzec obejrzał dokładnie jego dłonie, zwłaszcza ich wnętrza, chrząknął, jakby znalazł to, czego szukał, i polecił:

–Chodź do domu, zrobię ci coś do jedzenia.

Weszli i usiedli przy drewnianym stole z ledwie oheblowanych desek, ale posiłek przyrządziła Kimber pod kierownictwem dziadka, który dyrygował nią, kiedy uznał to za stosowne. Co niekoniecznie oznaczało, że było to nieodzowne. A poza tym opowiadał niezbyt składowo o przeszłości i o udziale w niej Jaira, mieszając informacje i obserwacje w dość ogłupiający słuchacza sposób.

–Pamiętam cię. Chłopak. Który wyszedł z siostrą z ruin Graymark.

Oboje byliście pokryci pyłem i śmierdzieliście śmiercią! Ha! Wiem coś o tym zapaszku! Walczyłem z wieloma potworami przybyłymi do tego świata na długo przedtem, nim się urodziliście. Nim urodził się ktokolwiek z tych, którzy jeszcze żyją, i cała masa tych, którzy już nie żyją.

Mogłem opuścić bractwo, ale nie straciłem umiejętności. Ani jednej nie straciłem. Nigdy mnie nie słuchali, żaden mnie nie słuchał, ale to nie znaczyło, żebym się poddał. Nowe odzwierciedla stare. Nie da się rozdzielić magii i nauki. Stanowią całość i obowiązują w nich te same zasady. Allanon to wiedział. Wiedział akurat tyle, by dać się zabić.

Jair nie bardzo rozumiał, o czym gospodarz mówi, ale ożywił się na dźwięk znajomego nazwiska.

–Znałeś Allanona?

–Nie wtedy, kiedy żył. Znam go za to teraz, kiedy jest martwy. Twoja siostra była dla niego prawdziwym darem. Była rozwiązaniem problemu, który musiał załatwić, gdy zobaczył, że zbliża się koniec. Niektórzy mają taki dar. Może ty też któregoś dnia go odkryjesz.

–Jaki dar?

–Wiesz, też kiedyś byłem chłopcem. Druidem kiedyś zresztą też byłem.

Jair wytrzeszczył oczy, nie bardzo wierząc w to, co usłyszał. To znaczy w drugie zdanie, bo z tym, że Coglin był kiedyś chłopcem, mógł się zgodzić. Natomiast wątpił, by ten był kiedykolwiek druidem, no bo gdyby był, co by tu robił?

–Myślałem, że Allanon był ostatnim druidem – bąknął.

Coglin prychnął.

–Myślałeś różne rzeczy i w wielu się pomyliłeś. Chcesz wiedzieć, co tu robisz? – spytał i odsunął talerz z prawie nie tkniętym posiłkiem.

Jair znieruchomiał w połowie kęsa.

Kimber siedząca naprzeciwko mrugnęła do niego i powiedziała szybko:

–Może byś mu pozwolił się najpierw najeść!

Coglin zignorował ją.

–Twoja siostra myślała, że Ildatch została zniszczona. Myliła się – oznajmił. – To nie jej wina, ale myliła się. Spaliła księgę na popiół, to powinien być koniec mrocznej magii, ale tak się nie stało. Chcesz usłyszeć, co się stało? To chodź na dwór, świeże powietrze i niebo nad głowami czasami pomagają przemyśleć pewne sprawy.

Wyszli więc na ganek. Niebo na zachodzie przechodziło akurat z purpurowego w granatowe, a na wschodzie widać już było gwiazdy i księżyc. Starzec zajął jedyny fotel bujany, toteż dla pozostałych została drewniana ławka z prostym, wysokim oparciem. Jair uświadomił sobie, że powinien rozsiodłać i nakarmić konia – było to coś, co należało zrobić, ledwie przyjechał. I co by zrobił, gdyby nie dziwaczne powitanie, które odebrało mu zdolność logicznego myślenia.

Starzec jakiś czas bujał się w milczeniu, po czym bez wstępów zaczął opowiadać:

–W zeszłym miesiącu, w nocy, gdy była pełnia, a gwiazd na niebie morze, obudziłem się i poszedłem nad niewielkie jezioro na południe od domu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Coś mnie do tego skłoniło. Położyłem się na trawie i zasnąłem. I wtedy miałem sen. Tyle że to była bardziej wizja niż sen. Kiedyś często miewałem podobne wizje. Wtedy byłem bliżej

duchów zmarłych, a one przybywały do mnie, bo próbowałem zaspokoić ich potrzeby. Ale to było dawno, gdy byłem druidem, i myślałem, że już się skończyło.

I ponownie zamilkł.

–Dziadku – ponagliła Kimber, gdy milczenie zaczęło się przedłużać.

Starzec spojrzął ponownie na Jaira i podjął opowieść.

–Przybył do mnie duch Allanona i powiedział mi, że Ildatch nie została do końca unicestwiona. Ocalała jedna, nadpalona na brzegach kartka, którą w czasie niszczenia księgi wiatr zwiął między kamienie.

Może po prostu była luźna i prąd powietrza ją tam uniósł, a może księga próbowała się w ten sposób uratować. Nie wiem, a on mi tego nie powiedział. Powiedział mi za to, że odnaleźli ją Mwellreci poszukujący artefaktów, które użyczyłyby im mocy przynależnej Widmom Mord. Mieli świadomość, co znaleźli, bo kartka im to oznajmiła, obiecując też wielkie rzeczy. Księga zawierała tak potężną magię, że nawet ta pojedyncza kartka okazała się żywa.

Jair spojrzął na Kimber. Dziewczyna odpowiedziała niepewnym spojrzeniem.

–Jedna kartka... – powtórzył. – Czy jedna kartka może być nie bezpieczna... Chyba że jest na niej zapisane jakieś potężne zaklęcie?

Coglin przeczesał palcami włosy.

–Czy może być niebezpieczna? Dokładnie to samo pytanie sobie zadałem i gdy się obudziłem, stwierdziłem, że nie może. Wmówiłem sobie, że ta wizja to ułuda wywołana starością. Ale ona się powtórzyła, tym razem gdy spałem w swoim łóżku. Była silniejsza i duch był bardziej uparty. Zganił mnie za bezczynność, przypomniał dawne porażki, kazał cię odszukać i sprowadzić tu. I nie dał mi spokoju następnej nocy. I następnej.

Wyglądał tak, jakby samo wspomnienie ustawicznych wizyt było męczące. Wyraźnie chciał, by te jak najszybciej się skończyły. Jair zrozumiał, dlaczego Kimber tak zależało, by tu przyjechał. Coglin był na skraju załamania nerwowego. Mógł mieć halucynacje albo też rzeczywiście pozostawał w kontakcie z duszami zmarłych. Jedno nie ulegało wątpliwości – to, czego doświadczył, silnie nim wstrząsnęło.

–No dobrze – odezwał się pojednawczo. – Skoro już tu jestem, to co powinienem zrobić?

Coglin spojrzął na niego ze smutkiem.

–Nie wiem – powiedział. – Nie wyjaśnił mi tego.

I wpatrzył się w noc, nie mówiąc już ani słowa.

–Przepraszam – powiedziała Kimber, nie kryjąc zmęczenia i rozczarowania. – Nie sądziłam, że będzie taki ogólnikowy, mając wreszcie okazję porozmawiać z tobą. Powinnam była wiedzieć. I nie powinnam cię tu ciągnąć.

Ponownie siedzieli na ławce, popijając chłodne piwo i słuchając odgłosów nocy. Chwilę wcześniej położyli gospodarza spać i poczekali, aż zaczął chrapać. Kimber zrobiła, co mogła, by przyspieszyć ten proces, podając staremu napar z odpowiednio dobranych ziół.

Jair uśmiechnął się.

–Nie przepraszaj. Cieszę się, że mnie tu sprowadziłaś. Nie wiem, czy zdołam pomóc, ale miałaś rację, nie chcąc się tym samotnie zajmować. Teraz rozumiem, że gdybyś zlekceważyła jego słowa, robiłby się coraz bardziej uciążliwy.

–Przecież to wszystko to stek bzdur! Od miesiący nie spał gdzie indziej niż we własnym łóżku, nie mówiąc już o spaniu na trawie. A to, co mu się śni, to skutek niewłaściwego odżywiania. Jest taki chudy, bo nie chce jeść! – prychnęła sfrustrowana. – I jeszcze to, że Ildatch przetrwała w kawałku papieru! Wierzyłam we wszystko, co mówił, gdy byłam mała. Uważałam go za najmądrzejszego człowieka na świecie. A teraz myślę, że po prostu traci rozum.

Jair upił łyk piwa.

–Nie jestem tego taki pewien – powiedział z namysłem. – Wydaje się całkiem świadomy.

Kimber spojrzała na niego zaskoczona.

–Chyba mu nie wierzysz?

–Nie całkowicie. Istnieje jednak możliwość, że odkrył coś, na co warto zwrócić uwagę. Sny często pokazują nam rzeczy, których od razu nie rozumiemy. Trzeba czasu, by odszyfrować ich znaczenie, ale kiedy się nad tym zastanowić...

–Dlaczego duch Allanona miałby go we śnie nawiedzać i kazać mu sprowadzić cię tu, zamiast objawić się po prostu tobie? – przerwała mu. – Po co mieszać w to dziadka? Nie jest osobą, której chętnie byś posłuchał, zgadza się?

–Jeśli naprawdę miał wizję, to musi istnieć powód, dla którego duch Allanona tak postąpił. Musi być jakoś związany z całą tą sprawą.

Spojrzał na nią, lecz odwróciła się, zaciskając usta z dezaprobatą.

–Zamierzasz mu pomóc? – spytała. – Chcesz spróbować uzmysłwić mu, że to tylko

wyobraźnia, czy zamierzasz zachęcać go bez sensu do takich zachowań?

Zaczerwienił się, słysząc pytanie. Dziewczyna liczyła, że pomoże jej dziadkowi odnaleźć drogę wyjścia ze świata ułudy, a on proponował, że sam tam wejdzie. Tyle że nie mógł równie łatwo jak ona założyć, że to tylko starcze przywidzenia. Nie obciążały go doświadczenia wspólnie przeżytych lat i nie patrzył na Coglina tak jak ona. I nie miał zwyczaju nie wierzyć w duchy, sny i wizje, gdyż sam sporo ich doświadczył. Jak choćby wizyty Króla Srebrnej Rzeki, który dwa lata temu odwiedził go w nader podobny sposób i w podobnych okolicznościach. Gdyby nie to przeżycie i fakt, że potraktował je poważnie, straciłby siostrę, a cały świat wyglądałby inaczej. Takich rzeczy łatwo się nie zapomina. A niewiara nie zawsze jest najlepszym podejściem do tego, czego się nie rozumie.

–Kimber – powiedział cicho. – Jeszcze nie mam pojęcia, co zrobię.

Za mało wiem, by podjąć decyzję. Ale odrzucenie z góry słów twojego dziadka może mieć gorsze skutki niż próba zrozumienia, co się za tym kryje.

I spokojnie czekał, aż przestanie być zła i gapić się w dal, zaciskając usta.

W końcu odwróciła głowę i powiedziała:

–Przepraszam, że tak bez sensu na ciebie naskoczyłam. Zrobiłeś, o co prosiłam, a ja wyładowuję się na tobie. Wiem, że chcesz pomóc.

–Chcę – potwierdził. – Niech się prześpi, a rano przekonamy się, czy znów miał wizję. Porozmawiamy, kiedy się obudzi, i być może zdołamy odkryć, o co chodzi.

Kimber potrząsnęła głową.

–A jeśli się okaże, że wizja jest prawdziwa? Jeśli okaże się, że ściągnęłam cię tu z egoistycznych pobudek i nieświadomie naraziłam na niebezpieczeństwo? Nie chciałam, ale co, jeśli tak się stanie?

Znów wyglądała niczym zagubione dziecko, tak jak dwa lata temu.

–Przed chwilą mówiłaś, że wizja nie musi być prawdziwa. Tylko dlatego, że nie jestem skłonny tak od ręki przyznać ci racji, już zmieniasz zdanie? – spytał z uśmiechem. – Nie powiedziałem, że uważam ją za prawdziwą. Powiedziałem tylko, że może w niej być i trochę prawdy.

–Nie chcę, żeby była w niej jakakolwiek prawda! Chcę, żeby to był wytwór wyobraźni dziadka i nic więcej! Chcę, żeby wszystko wróciło do normy. Mieliśmy już dość problemów z Widmami Mord i księgą mrocznej magii!

Pokiwał głową, a potem delikatnie dotknął jej policzka, zaskoczony własną śmiałością. Gdy przymknęła oczy, stwierdził, że twarz mu płonie, i czym prędzej cofnął rękę.

–Poczekajmy do jutra – powiedział, czując zamęt w głowie. – Może sen nie wróci.

Otworzyła oczy i szepnęła:

–Może.

Odwrócił się, patrząc w mrok nocy, upił długi łyk piwa i czekał, aż powróci mu spokój.

Coglin tej nocy nie miał żadnej wizji. Za to miał ją Jair Ohmsford.

Nie spodziewał się niczego podobnego, kładąc się spać. Był zmęczony po podróży i nieco otępiały po paru kubkach piwa. Konie zostały oporządzone i nakarmione, jego rzeczy umieszczone w szafkach i szufladach, a dom pogrążył się w mroku i ciszy.

Nie miał pojęcia, jak długo spał, nim zaczęła się wizja, natomiast zdał sobie sprawę, że nie zaczynała się stopniowo, lecz pojawiła się nagle i od razu kompletna. I że on sam zachowuje się, jakby był w pełni przytomny.

Stał nad brzegiem jeziora lub morza. Szara i płaska powierzchnia wody rozciągała się jak okiem sięgnąć, odbijając równie płaskie i bezbarwne niebo, tak że nie sposób było rozróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Duch już tam był – unosił się nad wodą wielki i ciemny, zasłaniając kawał horyzontu. Twarz skrywał mu kaptur, widoczne były jedynie dwa punkciki czerwonego światła niczym oczy płonące w czarnej otchłani.

Poznajesz mnie.

Oczywiście, że poznał – instynktownie wiedział, nie musząc nawet chwili się zastanawiać.

Jesteś Allanon.

Za życia. W śmierci jego duch. Pamiętasz, jaki byłem...

Jair ujrzał druida czekającego na Brin, Leaha i jego samego po tamtej nocy w domu. Ciemną i wzbudzącą respekt postać, w jakiś sposób zbyt wielką na wnętrze, w którym przebywał. Usłyszał jego głos wyjaśniający im problem Ildatch i Widm Mord.

Zachowanie i ton głosu urzekały. Nigdy nie spotkał nikogo o tak dominującej osobowości jak Allanon... no, może z wyjątkiem Garetha Jaxa.

Pamiętam cię.

Patrz...

W powietrzu pojawił się obraz niezbyt wyraźny i raczej ciemny. Przedstawiał ruiny rozległej fortecy na tle lasu i gór. Zniszczony Graymark. Wśród stert kamieni i gruzu kręciły się ciemne postacie, zaglądając we wszystkie zakamarki. Kilka z nich zeszło do tuneli grożących zawaleniem, przyświecając sobie pochodniami. Nosiły opończe z kapturami kryjącymi twarze, ale błyski światła odsłaniały raz po raz gadzie łuski na dłoniach. Mwellreci. Zapuszczali się coraz głębiej w ruiny, schodząc do świeżych katakumb, docierając w miejsca, w których znaleźć można było jedynie śmierć i mrok. Nie spieszyli się, metodycznie przetrząsając wszystkie zakamarki, zagłębienia i szczeliny, w których cokolwiek mogło pozostać dotąd niezauważone.

W pewnym momencie jeden z nich zaczął odgarniać kamienie i potrzaskane belki, sycząc niczym wąż. A potem wziął się do kopania. Rył ziemię gołymi rękami, i to długo. Inni poszli dalej, a jego oddech stawał się coraz krótszy i gwałtowniejszy. Ręce pokryły mu ziemia i krew, ale w końcu dotarł do tego, czego szukał...

Wyciągnął z dziury nadpaloną i podartą kartę księgi, na której tekst pulsował niczym żyły pod skórą...

Obraz zniknął.

Patrz...

Pojawił się drugi obraz. Także przedstawiał ogromną, wiekową fortecę, ale w dobrym stanie. Wydała mu się znajoma, ale nie od razu ją rozpoznał. Była równie ponura i złowieszcza co Graymark. Równie mroczna i solidnie wykonana z ociosanych głazów. Obraz tylko przez moment ukazywał ją z zewnątrz, po czym przemknął obok straży do wnętrza warowni, aż do jej podziemi. W sali oświetlonej jedynie dymiącymi pochodniami i wypełnionej stęchłym, wilgotnym powietrzem grupa Mwellretów pochylała się nad kartką odnalezioną w ruinach Graymark.

Zajęci byli jakimś magicznym rytuałem i choć nie miał pewności, podejrzewał, że nie w pełni zdawali sobie sprawę, co się z nimi dzieje. Poruszali się zgodnym rytmem na podobieństwo trybów w maszynie, doskonale zsynchronizowani i ze wzrokiem wbitym w ziemię. W ich ruchach i śpiewie było coś hipnotycznego, jakby reagowali na coś, czego on nie słyszał i nie widział. W zadymionym półmroku przypominali Pajęczaki z łańcucha Toffer, składające się w ofierze Werebestiom w błędnym przekonaniu, że poświęcają życie paru osobników dla dobra wielu.

Mwellreci równocześnie dotknęli kartki, mamrocząc zaklęcia czy modlitwy, które na nic nie mogły im się przydać. Pod ich palcami kartka zaczęła świecić, a pismo pulsować, reagując na ich wysiłki. Jair poczuł, jak wysysa z nich życie.

By powrócić do życia, pozostałość Ildatch potrzebowała pożywienia. Dzięki niemu mogła użyć czarów i zaklęć, które utraciła, i odtworzyć się. Teraz właśnie była pora karmienia.

Obraz zniknął.

Znów był sam z duchem Allanona. Zrobiło się mroczniej, niebo pociemniało, a w wodzie nie odbijało się żadne światło.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że twierdzą było Dun Fee Aran, gdzie więziły go gnomy. I gdzie Stythys próbował pozbawić go wpraw magii, a potem życia. Przypomniał sobie rozpacz i utratę nadziei, gdy wtrącono go do celi położonej głęboko pod

powierzchnią ziemi i lochach pod twierdzą. Przypomniał sobie ciemność i ciszę. Przypomniał sobie strach.

Nie mogę tam wrócić - szepnął, przewidując już, o co poprosi go duch.

Ale duch o nic nie poprosił. Wykonał jedynie nieznaczny gest i po raz trzeci powiedział:

Patrz...

–Wiedziałem! – oznajmił radośnie Coglin. – Nadal żyje! A nie mówiłem? Myślałaś, że jestem starym wariatem, co, wnusiu?! Dalej wyglądam ci na szaleńca? Halucynacje, tak? Wybijała wyobraźnia, tak? Nadal będziesz mnie traktować jak mimozę? I niańczyć jak złośliwe niemowlę?

I puścił się w tany po pokoju, mamrocząc coś do siebie. Jair przyjął ten objaw normalnego zachowania człowieka zdrowego na umyśle spokojnie, starannie unikając wzroku Kimber. Dziewczyna była tak wściekła i zniesmaczona, że odbijało się to w jej spojrzeniu. Na szczęście siedzieli po przeciwnych końcach stołu, jako że była pora śniadania. No i świeciło słońce. Jego promienie wpadające przez otwarte okna odrobinę poprawiały nastrój.

–Nie wyjaśniłeś jeszcze, czego duch od ciebie oczekuje – powiedziała Kimber cicho, co nie znaczyło spokojnie.

–Tego, czego się domyśliłaś – odparł niechętnie, spoglądając jej w oczy. – Wiedziałem, zanim jeszcze pokazał mi trzeci obraz. Mam dotrzeć do Dun Fee Aran i położyć kres temu, co się tam dzieje.

Coglin przestał tańczyć.

–Cóż, potrafisz to zrobić, jak sądzę – ocenił, wzruszając lekko ramionami. – Dokonałeś już tego raz, zgadza się?

–Nie, nie dokonał – sprzeciwiła mu się zniecierpliwiona Kimber. – Zrobiła to jego siostra. I nie rozumiem, dlaczego to nie ona ma dokończyć to, co zaczęła. To jej wina, że Ildatch nadal żyje.

Jair zdecydowanie potrząsnął głową.

–To nie jest niczyja wina – stwierdził. – Tak się po prostu stało.

Poza tym Brin jest w ciąży, ma męża i nie używa już magii.

I z tego, co wiedział, nie zamierzała jej już nigdy użyć. Naprawdę wiele czasu zajęło jej dojście do siebie po tym, co jej się przytrafiło w Naelmord. Był tego świadkiem, ale nie wiedział, czy Brin kiedykolwiek będzie taka jak przedtem. Na dodatek ostrzegła go, że magia jest niebezpieczna i nie można jej ufać, bo może zwrócić się przeciwko używającemu jej w każdym momencie, nawet jeśli przez cały czas była mu przyjazna. Zapamiętał zaszczuty wyraz jej oczu, gdy to mówiła.

Teraz pochylił się, splótł dłonie na blacie i powiedział dobitnie:

–Duch Allanona wytłumaczył mi, że Brin nie może być powtórnie wystawiona na działanie Ildatch. Nawet jeśli byłaby to tylko jedna strona księgi, gdyż jest zbyt wrażliwa na jej magię. Może jej ulec, mimo że sama dysponuje potężną magią pieśni. Musi iść ktoś inny, ktoś, kto dotąd nie miał styczności z magią księgi.

Kimber impulsywnie złapała go za rękę.

–Dlaczego ty? – spytała. – Są jeszcze inni.

–Niekoniecznie. Dun Fee Aran to twierdza Mwellretów, a kartka jest dobrze ukryta i pilnie strzeżona. Samo odnalezienie jej będzie stanowiło problem, z którym mogłaby nie poradzić sobie większość wysłanników. Ja mam magię pieśni, której mogę użyć do stworzenia iluzji, że mnie tam w ogóle nie ma. W ten sposób bez wzbudzania alarmu

zdołam spokojnie ją odszukać.

–Masz rację! – ucieszył się Coglin ożywiony nowym pomysłem. – I dlatego jesteś doskonałym kandydatem!

–Dziadku!

Stary odwrócił się ku niej, przeczesując palcami brodę, i powiedział:

–Przestań na mnie krzyczeć!

–To przestań opowiadać bzdury i zacznij myśleć! Jair nie jest żadnym doskonałym kandydatem! Może być w stanie wśliznąć się tam niepostrzeżenie i odnaleźć kartkę, ale potem musi ją zniszczyć i wydostać się z zamku. A jak ma to zrobić, skoro jego magia pozwala mu jedynie na tworzenie iluzji? Jak będzie się bronił przed rzeczywistym atakiem, gdy go odkryją, a w którymś momencie do tego musi dojść?

–Pójdziemy z nim! Będziemy go bronić! Zabierzemy Szepta... jak tylko to cholerne kocisko wróci z kolejnej łazęgi.

Kimber już nawet się nie zdenerwowała. Przetarła oczy i spytała spokojnie:

–Teraz rozumiesz, co ci mówiłam, Jair? To beznadziejne!

Jair nie odpowiedział, natychmiast przypominając sobie trzeci obraz pokazany przez ducha Allanona. Ten, o którym dotąd nie wspomniał. Był to kalejdoskop niezbyt ostrych obrazów, dodatkowo zagmatwanych przez poruszające się cienie. Ogólnie sprawiało to ogłupiające i niepokojące wrażenie, równocześnie jednak napełniło go pewnością sukcesu.

–Duch powiedział, że znajdę sposób – oświadczył głośno i dodał po chwili wahania: – Jeśli tylko uwierzę w siebie.

Kimber spojrzała na niego dziwnie i powtórzyła:

–Jeśli tylko uwierzysz w siebie?!

–Wiem, brzmi głupio. Jestem przerażony tym, że mam wrócić do twierdzy, i to od momentu, gdy się o tym dowiedziałem. Boję się Dun Fee Aran, odkąd uwięziono mnie tam, kiedy szukałem Brin. Myślałem, że umrę w lochach, ale najpierw jeszcze przytrafi mi się coś gorszego. Nigdy niczego tak się nie bałem. Kiedy się wydostałem, przysiągłem sobie, że za nic tam nie wrócę... – Wziął głęboki oddech i dodał: – Ale myślę, że muszę tam wrócić. Częściowo dlatego, że trzeba powstrzymać księżę, a częściowo dlatego, że po rozmowie z duchem Allanona mam uczucie, że powinienem przestać się tego bać. Trudno mi to wyrazić, ale dał mi pewność, że tym razem będzie inaczej niż poprzednio. Może dlatego, że jestem starszy, a może dlatego, że lepiej przygotowany, by stawić czoło temu, co mnie czeka.

–Albo ci to wmówił, chcąc, byś postąpił zgodnie z jego wolą – dodała Kimber. – To może być druidzka sztuczka albo kant, z których słyną duchy.

Jair pokiwał głową.

–Może być jedno i drugie. Ale czułem, że to nie fałsz. Czułem, że to prawda.

–Oczywiście, że tak czuleś – powiedziała cicho nieszczęśliwym głosem. – Inaczej byłoby to nieskuteczne, prawda? Ściągnęłam cię tu, byś pomógł dziadkowi odzyskać zdrowy rozsądek i spokój, a nie żebyś ryzykował życie przez jego sny. A teraz wszystko, czego się bałam, okazuje się prawdą, tak jak to wykrakałam!

Ścisnęła jego dłonie tak mocno, że aż boleśnie, ale nie próbował ich uwolnić.

–Gdybym tu nie przybył, kto mógłby cokolwiek zrobić? – spytał łagodnie. – Nie planowaliśmy tego i żadne z nas nie jest za to odpowiedzialne, ale po prostu nie możemy

zignorować konieczności. Muszę tam iść, nie mam wyboru.

Skinęła potakująco głową, puszcżając jego dłonie.

–Wiem – powiedziała cicho.

I przeniosła wzrok na Coglina, który stał bez ruchu i wyglądał na przygnębionego. Jakby dopiero teraz uświadomił sobie, czego stał się mimowolnym sprawcą. Uśmiechnęła się do niego smutno i powiedziała:

–Wiem, dziadku.

Starzec pokiwał głową już bez śladu radości.

Zdecydowali, że wyruszą następnego dnia. Do pokonania mieli sporą odległość i oceniali, że podróż zajmie im prawie tydzień. Musieli przedostać się przez łańcuch Ravenshorn i objechać Stare Bagnisko aż do Srebrnej Rzeki, nad płycznami której zbudowano Dun Fee Aran. Teren był poszarpany, a okolica dzika, poza granicą osiedli krasnoludów i obozowisk gnomów. W większości były to puszcze i mokradła częściowo zbyt niebezpieczne, by próbować je przemierzyć. Dlatego najkrótsza droga nie wchodziła w rachubę.

Najlepiej byłoby, gdyby zdołali znaleźć trasę wzdłuż wschodnich podnóży Ravenshorn, ale i tak oznaczało to konieczność zabrania dużych zapasów wody i żywności, bo musieli być przygotowani na najgorsze.

Jair nie był zachwycony perspektywą towarzystwa Kimber i Coglina, ale nic na to nie mógł poradzić. Tereny, przez które musieli przejechać, były mu nie znane dwa lata temu i tak pozostało. Ani wówczas, ani teraz nie zdołałby bez pomocy odnaleźć drogi, a najlepszą pomocą w okolicy mogli służyć właśnie oni. Oboje doskonale znali Anar i do obojga mógł mieć zaufanie. Co prawda wolałby zostawić ich gdzieś w bezpiecznym miejscu, ale wątpił, by się na to zgodzili, nawet gdyby nie potrzebowal ich jako przewodników. Uparli się dopomóc mu doprowadzić rzecz do końca, więc mógł tylko pogodzić się z tym.

Resztę dnia spędzili na pakowaniu zapasów, co było zajęciem pracochłonnym i momentami przygnębiającym jak wspinaczka po stromym stoku, której celem był skok po osiągnięciu szczytu. Niewiele rozmawiali, a większość wypowiedzi dotyczyła przygotowywanego bagażu. Najlepsze, co można było powiedzieć o tym zajęciu, to że skutecznie zabijało czas.

Jair częściej, niż chciałby się do tego przyznać, zastanawiał się, jak bardzo kusi los, wracając tam, skąd uciekł jedynie dzięki olbrzymiemu szczęściu. Co prawda ani wtedy, ani teraz nie miał wyboru, ale była to jedynie teoria. Teraz mógł po prostu zrezygnować, przyznać rację Kimber, oświadczyć, że nie godzi się na rolę bezmyślnego narzędzia. Mógł nawet uznać, że wysiłki ożywienia Ildatch są i tak skazane na porażkę, więc nie ma sensu ryzykować, bo siostra wykonała naprawdę dobrą robotę. Mógł też po prostu oznajmić, że udaje się do rodziców po pomoc, co byłoby zdecydowanie najrozsądniejszym wyjściem.

Tyle tylko że to ostatnie było nierealne, z czego zdawał sobie doskonale sprawę. Był akurat na tyle dorosły, by nie chcieć prosić o pomoc, dopóki nie była to absolutna konieczność. Szukanie pomocy u rodziny umniejszyłoby jego wartość we własnych oczach, choć inni mogliby mieć na ten temat odmienne zdanie. Miał wrażenie, że rodzice tego właśnie się po nim spodziewają jako po najmłodszym i najbardziej niedoświadczonym, któremu zawsze trzeba było pomagać. Gdyby tak postąpił, przyznałby się do porażki, a tego by nie zniósł. Mógł to zrobić – raz już tam był i wrócił mimo niebezpieczeństw, a więc mógł to uczynić powtórnie.

Nadejście wieczoru nie poprawiło mu humoru – zdał sobie sprawę, że do rana nie ma już nic do roboty i pozostaje mu tylko czekać. Zjedli przygotowaną przez Kimber kolację, słuchając wspomnień Coglina o starym świecie i przemyśleń o nowym. Oraz o druidach.

W tej kwestii Coglin był zdania, że nadejdzie czas, gdy powrócą, bo znów będą potrzebni, czy ktoś zdaje sobie z tego sprawę czy nie. Jair wolał się nie odzywać – nie było sensu mówić, co myśli o druidach w ogóle, a zwłaszcza o ich niezbędności.

W nocy Jair miał kolejny senwizję, choć bardziej był skłonny uznać go za to pierwsze. Zaczęło się od tego, że był już wewnątrz Dun Fee Aran, zagubiony w mrocznych i wilgotnych korytarzach, bez szans znalezienia drogi wyjścia. Cały czas słyszał syczący głos, który powtarzał: *Nigdy nie opuśśścisż tego miejssssca*. Jednak jego źródła nie potrafił dostrzec. Wiedział, że gonią go jakieś przerażające stwory, lecz widział tylko ich cienie, a im dłużej się błąkał, tym straszniej się robiło, aż w końcu z najwyższym trudem powstrzymywał cisnący się na usta krzyk.

Wtedy dostrzegł przed sobą komnatę, której wnętrze pogrążone było w kompletnych ciemnościach. Zatrzymał się na progu, wiedząc, że jeśli go przekroczy, wydarzy się coś strasznego. Nie miał jednak wyboru, gdyż prześladowające go cienie były coraz bliżej. Wkrótce dopadną go i zaduszą. Wszedł więc do komnaty, ostrożnie stawiając stopy w nadziei, że to go uratuje, choć obawiał się, że tak się nie stanie.

Z mroku wyciągnęła się ku niemu ręka – smukła i opalona. Wiedział, że to Kimber, i sięgnął ku niej tak wdzięczny, że chciało mu się płakać. Wtedy ktoś pchnął go do tyłu, zmuszając do zrobienia szybkiego kroku. Jego stopa trafiła w pustkę i zaczął spadać, niezdolny zrobić cokolwiek, by się uratować. Ręka Kimber zniknęła, a on leciał i leciał, czekając na nieuchronne uderzenie, które roztrzaska mu kości i pozbawi życia.

I wtedy wyciągnęła się ku niemu druga ręka i zamknęła go w niewiarygodnym uścisku, powstrzymując upadek...

Obudził się, gwałtownie siadając i łapiąc gorączkowo oddech. Przyciskał do siebie skopany koc. Dłuższą chwilę zajęło mu zorientowanie się, że to był sen, a nie jawa. Gdy odzyskał nad sobą panowanie na tyle, by przestać się bać, że znów zacznie spadać, opuścił nogi na podłogę i naprawdę długo siedział z twarzą w dłoniach, oddychając powoli i głęboko. Sen

spowodował, że poczuł się samotny i przestraszony.

W końcu uniósł głowę i rozejrzał się. Za oknem zaczynało świtać, a jego ogarnęła nagła panika.

Zdał sobie w tym momencie sprawę, że nie zdoła dokonać tego, co postanowił – nie jest wystarczająco silny ani odważny, nie posiada potrzebnych umiejętności czy doświadczenia. Nie ma jeszcze dwudziestu lat – pod wieloma względami był już co prawda mężczyzną, ale w głębi serca nadal chłopcem. Najmądrzejsze, co mógł uczynić, to wymknąć się zaraz i odjechać do domu. Dać sobie spokój z ratowaniem świata i ocalić w ten sposób życie.

Długo się nad tym zastanawiał, wiedząc, że powinien zaufać instynktowi. I mając równocześnie świadomość, że tak nie postąpi.

Na zewnątrz robiło się coraz jaśniej, aż w końcu zrobiło się całkiem widno.

Jair wstał i zaczął się ubierać.

Wyruszyli przed południem, kierując się na północ, by przejechać przez Ravenshorn poniżej grzbietu Toffer. W ten sposób najłatwiejszą drogą dostaliby się do Eastlandii. Coglin wytyczył trasę pozwalającą na dotarcie konno do samej twierdzy, jeśli naturalnie nie trafią na wybitnie złą pogodę lub nieprzewidziane przeszkody, co powtarzał zresztą przy każdej okazji. Jair musiał przyznać, że starzec zna okolicę lepiej niż ktokolwiek inny, pomijając wędrownie plemiona gnomów. Martwiło go tylko, na ile dobrze będzie to pamiętał w sytuacji kryzysowej, gdy okaże się to naprawdę ważne. Coglin był

nieprzewidywalny i nic na to nie można było poradzić, toteż pozostało jedynie mieć nadzieję, że nie będzie najgorzej. W tej chwili zachowywał się normalnie i widać było, że pali się do całego przedsięwzięcia.

Żałował też, że Szept się nie zjawiał, gdyż byłby mile widzianym towarzyszem. Niewiele żywych istot odważyłoby się ryzykować spotkanie z dorosłym bagiennym kotem. Ale na jego nieobecność także nic nie mógł poradzić, więc pozostało dać sobie radę bez niego.

Przez pierwsze trzy dni pogoda była dobra, a podróż przebiegała spokojnie. Przekroczyli góry tam, gdzie planowali, i ruszyli dalej, trzymając się z dala od Starych Bagnisk zamieszkanym przez werebestie. Jechali za dnia, by nie zgubić drogi. Na noclegi miejsca starannie wybierał Coglin, a aprobowała je Kimber. Chodziło o takie nieźle ukryte, ale dające dobre pole obserwacji, by zapewnić bezpieczeństwo przy czuwaniu. Kimber każdego wieczora przygotowywała posiłek, który Coglin zjadał bez grymaszenia.

–To zasługa herbatki – wyjaśniła trzeciego wieczora Jairowi. – Dodaję mu trochę lekarstw na sen. Tego samego co w domu, bo czasami to jedyny sposób, by zasnął.

Nie napotkali wielu podróżnych, a sama jazda przebiegała tak spokojnie, że Jair chwilami

nie wierzył, że są na śmiertelnie niebezpiecznej wyprawie. Wyglądało to jak wycieczka w celu obejrzenia nowych okolic. Trudno było uzmysłwić sobie, co na nich czeka na jej końcu, wydającym się na dodatek odległym i nierzeczywistym. Jakby należał do zupełnie innej bajki.

Spokojne chwile nie trwały jednak zbyt długo, gdyż Jair regularnie zastanawiał się, co będzie musiał zrobić po dotarciu do celu. I równie regularnie dochodził do wniosku, że najłatwiejsze będzie dostanie się do środka. Wiedział, jak używać magii, i sprawdzać, co potrafi. Jak długo nie przekraczał znanych granic, tak długo był bezpieczny.

Martwiło go natomiast, co będzie dalej, gdyż spodziewał się, że odkryją go i zaczną ścigać. Wolałby do tego nie dopuścić, ale było to prawdopodobne, więc należało się zastanowić, co wtedy. Był silniejszy niż dwa lata temu i przez cały czas od chwili powrotu do domu pilnie uczył się walki wręcz, tak przy użyciu różnych broni białych, jak i gołymi rękami, ale nie miał żadnego doświadczenia. A znajdzie się w samym sercu wrogiej twierdzy, mając za sojuszników nastolatkę i na wpół obłąkanego starca. Kimber co prawda doskonale rzucała nożem i miała ich spory zapas, a Coglin zabrał ze sobą torbę z dziwnymi proszkami i chemikaliami zdolnymi rozwalać całe ściany, ale Jair jakoś nie potrafił polegać na żadnym z nich. Dlatego kiedy nie zastanawiał się, czy jednak nie zawrócić do domu, co zdarzało się minimum raz dziennie, rozmyślał, jak przekonać oboje, by nie wchodzili z nim do Dun Fee Aran. Nie chciał, by spotkało ich coś złego, niezależnie od tego, jak sam skończy. To jego wezwał duch Allanona i jemu powierzył zniszczenie pozostałości księgi.

Te wątpliwości i lęki prześladowały go równie uporczywie jak kurz na piaszczystej drodze, cały czas przypominając mu, że ta sprawa dobrze się nie zakończy i że on sam nie jest odpowiednią osobą do wykonania zadania, które otrzymał. Nie mógł się pozbyć tych wątpliwości, a one wolno, acz skutecznie osłabiały i tak już cienką jak papier pewność siebie. Z każdą przejechaną milą coraz bardziej czuł się znów podrostkiem, który znalazł się tu przed laty. Dun Fee Aran było piekłem, a Mwellreci podsycali w nim ogień. Żałował, że nie ma z nim dawnych towarzyszy: Garetha Jaxa, Helta, księcia elfów Edaina Elessedila czy krasnoluda Forakera. Mile widziany byłby nawet cyniczny i szorstki gnom Slanter. Poza nim jednakże, a ostatni raz widzieli się dwa lata temu, wszyscy pozostali zginęli w Graymark. Nie mógł ich nikim zastąpić, bo takich jak oni nie sposób było

znaleźć. A skoro uparł się nie mieszać w akcję Kimber i Coglina, oznaczało to, że musi przedostać się do twierdzy i działać samotnie.

Czwartego dnia nadeszła burza – od rana z zachodu nadciągała ława ciemnych chmur, a w południe już lało. Na szczęście jechali na południe, u podnóża gór, więc choć teren był usiany skałami i gęsto zakrzewiony, nie groził im upadek w przepaść. Jednak w pewnym momencie ulewa stała się tak silna, że zmuszeni byli zsiąść i poruszać się pieszo, prowadząc konie. Otuleni pelerynami, z kapturami naciągniętymi na oczy, byli odcięci od siebie nawzajem, tworząc cieniste, pozbawione twarzy postacie z trudem brnące przez deszcz.

Przemoczony i samotny Jair zaczął tymczasem dochodzić do wniosku, że nie doceniał szans na sukces i jest w sumie lepiej przygotowany, niż dotąd sądził. Magia pomoże mu wybrnąć z kłopotów – coraz bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu. Musi tylko dostać się do środka i zniszczyć tę kartkę. Jedną głupią kartkę, nie tak jak poprzednio całą księgę obdarzoną świadomością i zdolną się bronić. Tym razem nie będzie miał przeciwko sobie żadnych Widm Mord, których musiałby unikać, tylko śmiertelne istoty z krwi i kości. Pewnie – niebezpieczne, ale nie aż tak jak Widma Mord. Jest w stanie tego dokonać.

Wierzył w to mniej więcej przez dwie godziny, po czym strach i wątpliwości wróciły, a pewność siebie zniknęła. Człapiąc przez błoto i półmrok, widział oczyma wyobraźni, jak wędruje skalną percią prowadzącą na szczyt, z którego można tylko runąć w przepaść.

Powróciło przygnębienie i coraz większa pewność, że nie podoła.

Tej nocy rozbili obóz poniżej Graymark, na brzegu Srebrnej Rzeki, a dokładnie w dębowym gaju. Drzewa rosły tu tak gęsto, że przez ich splecione korony jedynie gdzieś widać było niebo. Znajdowała się tu masa uschniętych gałęzi, w tym dość na tyle suchych, że mimo niedawnej ulewy udało im się rozpalić ognisko. Bliżej Dun Fee Aran nie zaryzykowałiby tego, ale tu jedyne niebezpieczne stworzenia poruszały się na czterech nogach, a z tymi byli w stanie sobie poradzić. Napotkanie innego niebezpieczeństwa w tej dzicy nie wydawało się prawdopodobne.

Niebezpieczeństwa nie napotkali, ale ledwie skończyli kolację, w pobliżu rozległy się metaliczne łomoty i zirytowany ryk muła. A zaraz potem z mroku padło pytanie, czy można zbliżyć się do ogniska. Coglin niechętnie, ale udzielił zezwolenia i w krąg blasku wkroczył mężczyzna prowadzący na lince muła objuczonego drewnianym rusztowaniem, na którym wisiało kilkadziesiąt garnków, rondli i patelni oraz innych kuchennych utensyliów. Najwyraźniej był to wędrowny handlarz z zapasem towaru.

Mężczyzna przywiązał muła do pobliskiego drzewa i usiadł. Odmówił herbaty, za to z przyjemnością wypił kubek piwa.

–Długi, mokry dzień – ocenił zmęczonym głosem. – W sam raz na piwo.

Poczęstowali go tym, co zostało w kociołku, a ponieważ było jeszcze ciepłe, zabrał się z ochotą do jedzenia. Po pierwszych paru kęsach spojrzał na Kimber i pochwalił:

–Dobre. To mój pierwszy ciepły posiłek od ładnych paru dni i pewnikiem ostatni na parę następnych. Gdy jestem sam, wolę nie rozpalać ognia, a wędrowców tu niewielu się spotyka, więc i ogniska są rzadkością. Towarzystwo miła rzecz i mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko mojemu na tę noc.

–Co robisz w tej okolicy? – spytał Jair, wykorzystując fakt, że gość zaczął rozmowę.

Handlarz zamarł z łyżką w połowie drogi do ust. Po chwili uśmiechnął się i wyjaśnił:

–Jeżdżę tu z towarem parę razy w roku. Docieram tam, gdzie inni handlarze nie trafiają. Może się wydawać, że tu nikt nie mieszka, ale u podnóża gór są wioski, a w nich

ludzie potrzebujący tego, co sprzedają. Po każdej turze wracam do domu, nad Rabb, a potem ruszam z powrotem. Trasa daleka, ale polubiłem to zajęcie. Muszę się martwić tylko o siebie i o muła.

Doniósł łyżkę do ust, przełknął i spytał:

–A wy? Co was sprowadza na wschodnie stoki Ravenshorn? Przepraszam za ciekawość, ale nie wyglądacie na takich, co tu mieszkają.

Jair i Kimber wymienili porozumiewawcze spojrzenia. A Coglin oświadczył najspokojniej w świecie:

–Jedziemy do Dun Fee Aran. Mamy tam pewną sprawę.

Handlarz skrzywił się.

–Zastanowiłbym się i to poważnie, zanim zacząłbym jakieś interesy z Mwellretami – stwierdził, nie kryjąc obrzydzenia. – To nie miejsce dla was. Znajdźcie sobie inne, mniej...

Urwał i kolejno przyjrzał się ich twarzom, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, jak powiedzieć, że chłopak, dziewczyna i starzec nie nadają się do prowadzenia jakichkolwiek interesów z władcami Dun Fee Aran.

–Musimy tylko coś odebrać – wtrącił Jair, próbując zlekceważyć wypowiedź Coglina.

Handlarz pokiwał głową. Twarz miał ściągniętą nie tylko od chłodu czy wilgoci. Doradził:

–Bądźcie ostrożni, Mwellretom nie można ufać. Wiecie, co o nich mówią: jeśli spojrzysz się w oczy któremuś z nich, ukradnie ci człowiekowi duszę. To nie ludzie i nie zachowują się jak ludzie. Nigdy tam nie pojedę, nigdy.

I zabrał się do wskrobywania kociołka.

Nikt się nie odzywał, nie chcąc mu przeszkadzać, lecz gdy skończył i sięgnął po napełniony w tym czasie przez Kimber kubek z piwem, dziewczyna spytała:

–Nigdy nie miałeś z nimi do czynienia?

–Miałem: raz, przez przypadek. Zabrali mi cały towar i porzucili mnie, żebym szezł. Ale znałem okolicę, więc zdołałem wrócić do domu. Od tej pory nie zbliżam się ani do tego miejsca, ani do nich, gdzie bym ich spotkał. To potwory!... Skoro jedziecie do Dun Fee Aran, coś wam powiem. Coś, czego nikomu dotąd nie powiedziałem, bo wątpię, żeby ktoś mi uwierzył. Trzymali mnie trochę, nim zdecydowali, co ze mną zrobić, i wtedy widziałem

dziwne rzeczy. Duchy przenikające przez ściany, jakby ich tam w ogóle nie było. Widziałem moją matkę, od piętnastu lat nieżyjącą. Chciała mnie wyprowadzić na zewnątrz, ale nie mogłem za nią iść, bo nie potrafiłem jak ona przenikać przez ściany. Przysięgam, że to prawda. Duchów było dużo. I innych rzeczy, o których nie chcę mówić. A Mwellreci ich nie widzieli. Albo nie reagowali na nie... Jeśli komuś udało się wydostać z tego zamku, naprawdę nie zechce tam wrócić. Możecie mi wierzyć.

Umilkł i wpatrzył się w mrok, jakby szukając czegoś, co potwierdzi jego opowieść lub też podsunie mu lepsze słowa na wyrażanie wspomnień, od których do końca nie potrafił uciec. W jego oczach widać było strach. Myślał o przeżyciach, których nie sposób zapomnieć. Nie wydawał się ani tchórzliwy, ani przesądny, ale płynne cienie po zmroku najwyraźniej przypominały mu demony, których ktoś inny nawet by nie zauważył.

–Wierzycie mi? – spytał cicho.

Jair poczuł suchość w ustach, ale zdołał wykrztusić:

–Nie wiem. Mężczyzna pokiwał głową.

–Mądrze byście zrobili, gdybyście uwierzyli.

Rano handlarz ruszył w dalszą drogę. Obserwowali, jak wraz z mułem wchodzi między drzewa, kierując się na północ, wzdłuż Srebrnej Rzeki. Podobnie jak duchy, o których opowiadał poprzedniego wieczora, wszedł w ścianę porannej mgły i zniknął.

Cały dzień jechali przez las i gęste zarośla. Okolica była szara, pusta, ponura i mokra. Gdyby nie rzeka, zgubiliby się nie raz. Nawet Coglin często przystawał i zastanawiał się nad wyborem dalszej drogi. Niebo zlewało się z horyzontem, a horyzont z drzewami, sprawiając wrażenie wszechotulającego kokonu. Albo trumny. Świat zamknął się wokół nich i nie miał zamiaru wypuścić, dając jedynie zimną obietnicę rychłego końca. Pustka była przygnębiająca i przerażająca i bynajmniej nie podbudowywała poważnie już zachwianej wiary we własne umiejętności Jaira. Wstrząsnął nią handlarz swymi opowieściami, a okolica robiła, co mogła, by stłumić ją do reszty.

Coglin i Kimber niewiele się odzywali pogrążeni we własnych myślach, zresztą deszcz i nasunięte na oczy kaptury skutecznie zniechęcały do rozmowy. Prowadzili konie niczym zmęczeni wojną zbrojni wracający do domu i przytłoczeni wspomnieniami oraz wyczerpaniem. Droga tego dnia ciągnęła się, a tempo było naprawdę powolne. Jair dotarł do punktu, w którym był pewien, że to wszystko nie ma sensu, a przed zaproponowaniem towarzyszom, by zawrócili, powstrzymywał go jedynie wstyd. Nie mógł przyznać się do słabości – już lepiej było zginąć.

W nocy spali nad rzeką w jodłowym zagajniku, który stanowił dobrą kryjówkę. Konie przywiązali do drzew i czuwali na zmianę. Ognia nie rozpalili – znajdowali się zbyt blisko Dun Fee Aran. Zjedli coś na zimno i popili piwem, po czym w posępnych humorach udali się

spać.

Obudzili się rano zziębnięci i zeszywniali od chłodu i dokuczliwej mżawki. Miłą za zagajnikiem znaleźli pozbawiony roślinności pas terenu biegnący wzdłuż rzeki, dzięki czemu mogli dosiąść koni. Jechali aż do późnego popołudnia bez popasów. Kiedy zaczęło zmierzchać i powiał zimny wiatr od gór, zobaczyli wreszcie cel wyprawy.

Nie był to zachęcający widok – Dun Fee Aran wznosiła się poszarpaną ścianą murów i wież, spowita deszczem i mgłą. Na masywnych, wzmocnionych żelazem wrotach migotliwie odbijał się blask pochodni. Podobny widać było przez wąskie okna – strzelnice, a wszystkie pochodnie kopciły zawzięcie, przez co zamek sprawiał wrażenie dymiących zgliszczy. Nigdzie nie było widać żywej duszy lub choćby cienia rzucanego przez kogokolwiek poruszającego się czy to na murach, czy koło któregoś z okien. Z fortecy nie dobiegał też żaden dźwięk. Sprawiało to wrażenie, jakby całą budowlą zawładnęły duchy.

Cofnęli się aż do skraju lasu i dopiero tam zsiadli z koni. Mimo że czekali aż do zapadnięcia zmroku, uważnie obserwując zamek, nie dostrzegli żadnego ruchu i nie usłyszeli najmniejszego dźwięku.

Patrząc na zamczysko i wiedząc, co czeka na niego wewnątrz, Jair czuł się gorzej niż kiedykolwiek w czasie całej wyprawy.

–Nie możesz tam wejść – powiedziała nagle pełnym napięcia głosem Kimber.

–Muszę.

–Niczego nie musisz! Daj sobie spokój; nawet tu czuję zło emanujące z tych murów. Powietrze jest od niego aż gęste! – złapała go za ramię. – Ten handlarz miał rację, to miejsce dobre tylko dla duchów. Dziadku, powiedz mu, że nie musi tam iść!

Jair spojrzał na Coglina.

A ten wprawdzie odwrócił wzrok, a potem stanął tyłem do niego. Było oczywiste, że zostawia mu podjęcie decyzji, po raz pierwszy od dnia spotkania pozostając w kwestii Ildatch neutralnym. Dobitnie świadczyło to o tym, co poczuł, kiedy zobaczył na własne oczy Dun Fee Aran.

Jair westchnął głęboko i przyjrzał się Kimber.

–Przebyłem długą drogę – powiedział spokojnie. – Muszę spróbować, inaczej wszystko byłoby na próżno.

Kimber rzuciła okiem na ponurą fortyfikację ukrytą w cieniu góry i potrząsnęła głową.

–To nieważne – oświadczyła. – Nie wiedziałam, że to będzie ta kie... to miejsce jest znacznie gorsze, niż się obawiałam. Powiedziałam ci już: nie chcę, by ci się coś stało. A to wygląda na zbyt trudne zadanie dla każdego z nas.

–Wygląda na opuszczone.

Kimber spojrzała na niego z naganą.

–Nie udawaj idioty. Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Wiesz dobrze, że i kartka, i Mwellreci są wewnątrz – warknęła, zaciskając na moment usta. – Wracajmy i to natychmiast. Niech ktoś inny się tym zajmie. Ktoś bardziej się do tego nadający. Jair, nie damy rady!

W jej głosie było tyle desperacji, że resztki jego samozaparicia zaczęły znikać. A w jej oczach był taki sam strach jak w oczach handlarza, gdy opowiadał o swym pobycie w twierdzy. Była to odruchowa reakcja na jej widok, na jej ogrom, posępność i niedostępność. Kimber nie była tchórzem, ale teraz się bała. I nie mógł mieć do niej o to pretensji, bo sam z najwyższym trudem trwał w postanowieniu, że jednak tam wejdzie. Znacznie milej i łatwiej byłoby zdecydować, że wracają.

Jair rozejrzał się, po czym zaproponował:

–I tak jest już za późno, by dokądkolwiek jechać. Rozbijmy obóz w lesie; choć trochę ochroni nas przed deszczem. I zjedzmy coś. Rano pomyślimy, co dalej, i coś zdecydujemy.

Przyjęła to bez protestów i zagłębiła się w las.

Odeszli spory kawałek, by stracić zupełnie z oczu zamczysko i nie znaleźć się na drodze jakiejś wycieczki, gdyby jego mieszkańcy mieli zwyczaj wyjeżdżać po zmroku. Deszcz i wiatr stały się naprawdę dokuczliwe, toteż za najlepsze schronienie uznali kępę jodeł, które przynajmniej osłaniały od wiatru. Przywiązali i rozkulbaczyli konie i zabrali się do posiłku.

Zapasy zaczynały się kończyć. Jair ku zaskoczeniu pozostałych przyniósł bukłak z piwem, który, jak wiedzieli, zachowywał na specjalną okazję. Teraz, skoro dotarli do celu, mogli spokojnie się napić. Choć piwa nie było aż tyle, by ich rozgrzać, to przynajmniej na poprawę humorów powinno wystarczyć. Nalał wszystkim i starannie udawał, że też pije ze swego kubka.

Nie podobało mu się to, co robił, ale uznał, że należy wybrać mniejsze zło, i tak właśnie postąpił.

Kimber i Coglin zasnęli w ciągu paru minut – lekarstwo nasenne, którego trochę pożyczył sobie od Kimber, było naprawdę skuteczne. Obserwował uważnie, jaką dawkę dawała Coglinowi, i dopasował ją tak, by spali do rana. Rozłożył koce obojga i zawinął ich najlepiej, jak umiał, a potem zaciągnął w najbardziej osłonięte miejsce. W nocy nie powinno im nic

grozić.

A rano albo będzie z powrotem, albo będzie martwy.

Przypasał miecz, wsunął za cholewę buta dodatkowy sztylet i otulony opończą ruszył sprawdzić, która z tych dwóch możliwości okaże się prawdziwa.

Jair nie czuł się ani bohatersko, ani pewnie. Czuł się zrezygnowany. Wbrew temu bowiem, co uważała Kimber, nie miał wyboru. Nie był osobą unikającą odpowiedzialności, nawet jeśli do jej ponoszenia został zmuszony. Duch Allanona przywołał właśnie jego i zlecił mu konkretne zadanie. Nie mógł tego zignorować. Już raz w życiu brał udział w podobnym przedsięwzięciu i wówczas zrozumiał prawdę, którą wielu świadomie odpychało. On tego nie potrafił. Prawda zaś była prosta: jeżeli on tego nie zrobi, najprawdopodobniej nie zrobi tego też nikt inny.

Dla niego sprawa od początku była jasna i przesądzona, a wątpliwości i obawy stanowiły jedynie próbę jego zdecydowania.

Był zadowolony z tego, że udało mu się powstrzymać Kimber i Coglina przed towarzyszeniem mu. Wiedział, że chcieli pomóc, i być może okazaliby się pomocni, ale cały czas martwiłby się o nich, co ograniczyłoby jego skuteczność. A poza tym siebie mógł zamaskować skutecznie i na dość długo. Zrobienie tego z trzema osobami, choćby tylko na czas wejścia do twierdzy, zmęczyłoby go poważnie. A to był przecież dopiero początek.

Mgła i deszcz skutecznie ograniczały widoczność, zmuszając go do bardzo ostrożnego marszu. Przed sobą widział żółtą, rozmytą lunę pochodni, dzięki czemu utrzymywał właściwy kierunek. Pod nogami zaś miał pełno liści, suchych gałęzi i kałuż w zagłębieniach nasiąkniętego wodą terenu. Powietrze było chłodne i pachniało mokrą ziemią i wilgotną korą, choć przez to przebijała się ostra woń płonącej smoły, coraz wyraźniejsza w miarę zbliżania się do celu.

Wreszcie wyszedł na skraj lasu i dostrzegł masywne mury twierdzy, czarne i błyszczące od deszczu. Zwolnił, dokładnie przyglądając się blankom i oknom. Nie dostrzegł żadnego ruchu, więc zaczął śpiewać, przywołując magię pieśni. W przeciwieństwie do siostry powitał ją niczym starego przyjaciela – być może właśnie dlatego to on został wybrany przez ducha...

Przed nim znajdowała się główna brama zamczyska – masywne, dębowe wrota okute żelazem i wysokie na ponad dwadzieścia stóp. Znajdowała się w nich jednak furta przeznaczona do wpuszczania pojedynczych osób lub mniejszych grup w warunkach, gdy niebezpiecznie byłoby otwierać bramę. Skierował się ku niej, zmieniając ton – już nie był niewidzialny, teraz powoli przybierał postać kogoś, kto bez problemu powinien zostać wpuszczony.

Gdy stanął przed furką, wezwał cicho strażnika pilnującego jej od wewnątrz. Nie wątpił ani

przez moment, że wejście musi być pilnowane – podobnie jak Kimber wyczuł emanujące z zamku zło i wiedział, że jego źródło nigdy nie zasypia. Na reakcję nie musiał długo czekać – w drzwiach furty odsłonił się wąski otwór, w którym pojawiła się para żółtych gadzich oczu. Ich właściciel zobaczył zmokniętego i zirytowanego Mwellreta, którego cała postawa wyraźnie świadczyła, że jest przyzwyczajony do rozkazywania. Wartownik czym prędzej zamknął szczelinę obserwacyjną, odryglował furtę i otworzył ją przy wtórze jęku zardzewiałych zawiasów.

–Co... – zaczął i głos uwiązł mu w gardle.

Zobaczył bowiem przed sobą ubraną w czarną opończę z kapturem postać mającą siedem stóp wzrostu i uważaną od dwóch lat za martwą.

Zobaczył druida Allanona.

Była to ze strony Jaira bezczelna zagrywka, ale odniosła spodziewany skutek – wartownik odskoczył, sycząc ze strachu, i nawet mu przez myśl nie przeszło zatrzasnąć przybyszowi furtę przed nosem. Jair wkroczył do zamku, zmuszając strażnika do

dalszego cofania się w głąb wartowni. Ten złapał jakąś halabardę, ale wystarczył jeden szybki gest, by ją puścił i przerażony przytulił się wręcz do samej ściany.

–Ukryliście fragment Ildatch – zadudnił głos druida. – Daj mi go!

Mwellret wypadł tylnymi drzwiami, drąc się wniebogłosy tak, że zaczął chrypieć, nim zniknął wewnątrz głównej wieży. Oczywiście nie oglądał się za siebie, zbyt zajęty ucieczką i wszczęciem alarmu – dokładnie tak, jak Jair się spodziewał. Gdyby się obejrzał, zobaczyłby, że druid zniknął, a na jego miejscu pojawił się niepozorny Mwellret. Jair ruszył za wartownikiem, starając się nie stracić go z oczu. Gdy z przeciwka nadbiegali inni zwabieni alarmem, usuwał się pod ścianę, ustępując im z drogi, jak przystało komuś mało istotnemu. Ponieważ wszyscy spieszyli ku bramie, by odeprzeć atak, którego w rzeczywistości nie było, nikt nie zwracał na niego uwagi.

W ten sposób dostał się do głównej części twierdzy i szedł korytarzami, schodami i dalej korytarzami, pamiętając cały czas o jednym: by nie spoglądać w żółte gadzie ślepie. Raz już padł ofiarą ich hipnotycznych możliwości i nie miał zamiaru powtarzać tego przykrego doświadczenia. Wrzaski wartownika postawiły na nogi całą twierdzę, ale wszyscy kierowali się ku bramie, podczas gdy strażnik biegł w przeciwną stronę. Dzięki temu idący jego śladem Jair także pozostawił za sobą największe zamieszanie.

W końcu strażnik dotarł do celu, czyli do kogoś bogaciej ubranego i roztaczającego wokół siebie aurę autorytetu. Wysyczał mu relację, która została wysłuchana bez komentarza. Ten, któremu zameldował o wszystkim, odesłał go z powrotem do bramy i skierował się korytarzem prowadzącym w głąb zamku. I w dół po spiralnych schodach.

Jair podążył jego śladem, mając nadzieję, że się nie pomylił, planując całą akcję. Jego nowy przewodnik maszerował energicznym krokiem, ale nie biegł. Kilkakrotnie obejrzał się, ale Jair zdążył zmienić iluzję – teraz był częścią korytarza: ścianą, powietrzem i nicością. Mwellret mógł się oglądać, ile tylko chciał – i tak nie był w stanie go zauważyć. By to osiągnąć, musiałyby stanąć i dokładnie przyjrzeć się konkretnemu kawałkowi korytarza. A po co miałyby to robić, skoro korytarz był pusty?

Jaira martwiło co innego – to, że Mwellret wcale nie musiał prowadzić go do fragmentu książki. Założył, że przestraszony wartownik pogna zawiadomić kogoś ważnego, i tak też się stało. Rozsądne było i kolejne założenie – że ten ktoś zechce uprzedzić o zagrożeniu ze strony Allanona pilnujących kartki. Jeśli założenie to okaże się fałszywe, znajdzie się w poważnych kłopotach. Użycie magii zawsze wiązało się ze zmęczeniem, jeśli będzie musiał zbyt długo utrzymywać iluzję, zmęczy się tak bardzo, że stanie się nie tylko widoczny, ale także bezbronny.

Dostrzegł przed sobą światło – korytarz prowadził do kutych żelaznych drzwi, przed którymi stało dwóch wartowników ze skrzyżowanymi halabardami. Po obu stronach wejścia płonęły w uchwytach pochodnie. Przewodnik machnął ręką i wartownicy rozsunęli broń, robiąc mu przejście, a następnie odryglowali i otworzyli drzwi. Nadal niewidoczny dla otoczenia Jair skorzystał z nagłej zmiany oświetlenia i wśliznął się do komnaty tuż za Mwellretem. I tuż przed zatrzasknięciem drzwi.

Rozejrzał się czym prędzej. Komnata pozbawiona była okien, a oświetlał ją jedynie blask kopających pochodni. Znajdowało się w niej ośmiu Mwellretów, skupionych wokół dużego stołu zastawionego flakonami, butelkami, słoikami i księgami rozmaitego formatu. Na środku stołu, na podwyższeniu, leżała pojedyncza, pożółkła ze starości kartka o postrzępionych i nadpalonych brzegach. Świeciła dziwnym blaskiem, a pokrywające ją pismo pulsowało w dziwnym rytmie. Roztaczała wokół tak odrażającą aurę, że Jairowi zrobiło się niedobrze.

Zapanował nad tym odruchem i zbierając resztki odwagi, zasunął rygiel w drzwiach.

Gdy rozległ się metaliczny szczęk, dziewięć głów zwróciło się w jego stronę – osiem znad stołu i ostatnia nowo przybyłego, który jeszcze nie zdążył doń dojść. Zaskoczenie i niepewność na moment ich unieruchomiły. Pierwszy ocknął się nieświadom swej roli przewodnik – dobył długiego noża i ruszył ku drzwiom. Jair zaś przesuwiał się pod ścianami, chcąc dotrzeć do stołu z przeciwnej strony. Pozostali odruchowo ustawili się między drzwiami a stołem, tworząc żywy mur blokujący przejście. Uwaga wszystkich skupiona była na drzwiach i na tym, co się za nimi dzieje, toteż Jair uznał, że ma doskonałą sposobność, by zniszczyć kartkę – wystarczyło złapać ją i przytknąć do najbliższej pochodni. Jeśli zrobi to wystarczająco szybko, mogą nawet się nie zorientować, że w ogóle tu jest.

Zmusił się do rozwagi i spokoju, wiedząc, że pośpiech zawsze jest złym doradcą.

Mwellret dotarł tymczasem do drzwi, odsunął rygiel i otworzył je gwałtownie. Zaskoczeni

strażnicy odwrócili się ku niemu, gdy wyrzwał i uważnie zlustrował korytarz. Jair zaś dotarł do stołu i mając wolną drogę, wyciągnął rękę po kartkę. Mwellreci zaczęli syczeć, rozglądając się nerwowo i próbując ocenić, czy coś im grozi czy nie.

Złapał kartkę i wypuścił ją natychmiast z krzykiem, gdyż parzyła palce niczym rozżarzone żelazo.

Mwellreci natychmiast odwrócili się, z osłupieniem przyglądając się cennej relikwii opadającej powoli, by znieruchomieć na stole. Kartka dymiła i skręcała się jak żywa istota. Widok ten wywołał syklowe wrzaski oburzenia i sprawił, że Mwellreci sięgnęli po broń. W następnej sekundzie zaczęli rozpraszać się wachlarzowato po komnacie. Jair zaś skłął się w duchu – kartka chroniła się magicznie, podobnie jak wcześniej cała księga. Albo też chroniły ją magiczne zaklęcia obronne Mwellretów. W sumie było to mniej ważne od świadomości, że nie zdoła jej zniszczyć tak łatwo, jak sądził.

Próbując zachować spokój, cofnął się pod ścianę, by uniknąć miotających się gospodarzy, nadal nie bardzo wiedzących, czego tak właściwie szukają. Wiedzieli, że oprócz nich ktoś jest w komnacie, ale nie mieli pojęcia kto. Jeżeli zdoła ich utrzymać w tej niepewności, będzie miał jeszcze szansę. Jeśli nie...

Gorączkowo rozważał, co powinien zrobić, i gdy wpadł na to, że może przecież przynieść ogień do kartki, czyli położyć na niej płonąca pochodnię, zamiast łapać kartkę i przytykać ją do pochodni, jednego z Mwellretów też olśniło. Złapał jakiś okrągły, drewniany pojemnik leżący na stole i zaczerpnął z niego garść białego proszku. Sypnął go półkolistnie przed siebie. Po czym zrobił krok naprzód i powtórzył całą operację. Proszek przylegał do wszystkiego, czego dotknął, więc gdyby Jair został nim posypany, jego kształt stałby się doskonale widoczny. Jedyne, na co mógł liczyć, to że zniszczy kartkę, nim to nastąpi. I miał świadomość, że jest to jego ostatnia szansa.

Pozostali krążyli wokół stołu, macając zawzięcie powietrze i próbując zapędzić intruza pod proszek sypany przez towarzysza. Na szczęście zaczął on od przeciwległej strony stołu, toteż Jair miał jeszcze trochę czasu. Potrzebował jedynie czegoś, co choć na krótko skutecznie odwróci ich uwagę, by nie zauważyli poruszającej się pochodni. Skoncentrował się i...

Mwellret z pojemnikiem odwrócił się nagle i zaczął sypać proszkiem w jego stronę.

Niespodziewane zagrożenie okazało się zbyt silnym zaskoczeniem i Jair zareagował odruchowo – porzucił niewidzialność i użył magii do stworzenia czegoś groźniejszego. W komnacie pojawiło się kilkanaście postaci Garetha Jaxa w czarnych opończach i z dwoma mieczami w dłoniach. Wszystkie poruszały się jak zawodowi wojownicy i w

pierwszej chwili to wystarczyło – Mwellreci cofnęli się w panice, zaskoczeni nagłym widokiem tylu groźnych wrogów. Nawet wartownicy stojący w otwartych drzwiach przyjęli

pozycje obronne.

Zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z magią, ale była to jej obca forma i nie wiedzieli, co z nią zrobić.

Tego właśnie Jair potrzebował i natychmiast to wykorzystał. Złapał najbliższą pochodnię i szarpnął, ale ponieważ miał spocone dłonie, nie zdołał wyjąć jej z żelaznego uchwytu. To, że się poruszył, zwróciło uwagę Mwellretów, którzy dopiero w tej chwili go dostrzegli, za to natychmiast zrozumieli, co planuje. W innych warunkach być może nie podjęliby natychmiastowego działania, ale zbyt długo znajdowali się pod wpływem czarów księgi i to ona kierowała w znacznej mierze ich postępowaniem. Dlatego gnani irracjonalnym i przemożnym odruchem rzucili się na wyobrażenia Mistrza Broni, wymachując mieczami jak szaleni i nie zwracając uwagi na własne bezpieczeństwo.

Zarówno szybkość, jak i furia ich ataku zaskoczyły Jaira – zdekoncentrował się i fantomy kolejno zniknęły. On sam zaś zaprzestał walki z upartą pochodnią i sięgnął po broń, odwracając się ku Mwellretom. Otoczyli go półkolem najeżonym stalą, z którego nie było ucieczki. Był zbyt powolny i niezdecydowany i stracił jedyną okazję. Dobywając miecza, próbował desperacko przypomnieć sobie, jak walczył Gareth Jax, gdy został otoczony.

I jakby w odpowiedzi powstała nowa postać, zupełnie niespodziewanie i nie przywołana magią pieśni. Był to Mistrz Broni, wyglądający prawie dokładnie tak jak przed chwilą fantomy, tyle że był sam i trzymał tylko jeden miecz. Wyobrażenie to nie oddzieliło się od Jaira tak jak pozostałe, lecz otoczyło go niczym druga skóra i to tak szybko, że nie miał czasu nawet próbować go powstrzymać.

W ciągu paru sekund stał się tym wyobrażeniem.

Ledwie to nastąpiło, Gareth Jax skoczył ku przeciwnikom z szybkością i wprawą zapierającymi dech w piersiach. Ci, uważając, że jest równie niegroźny jak postaciom widzianym poprzednio, zignorowali go. I dwóch zapłaciło za to życiem natychmiast, a trzeci zaraz potem, pchnięty mieczem tak głęboko, że Jair musiał zaprzeć się o trupa, by uwolnić ostrze. Dopiero w tym momencie pozostali zdali sobie sprawę, że mają do czynienia z czymś nowym. Zaatakowali z tą samą co poprzednio furia, ale tym razem był to próżny trud. Wirująca w unikach śmierć z mieczem w jednej, a sztyletem w drugiej dłoni nie została nawet zadraśnięta. Za to jej ostrza co chwila trafiały w cel. Większość Mwellretów zginęła, nim upadła, i zaskoczenie było widoczne na ich twarzach.

Jair szedł przez nich niczym żniwiarz przez łan zboża. Było to przerażające i wspaniałe równocześnie. Na kilka zapierających dech w piersi chwil stał się kimś zupełnie innym. Kimś o umiejętnościach, doświadczeniach i myślach, które były mu całkowicie obce – stał się Garethem Jaxem. I mimo że sam nigdy wcześniej nie doświadczył niczego podobnego, to, co właśnie robił, napełniało go równocześnie strachem i satysfakcją. I chęcią dokończenia rozprawy.

Do walki dołączyli strażnicy – lepiej wyszkoleni we władaniu bronią od dotychczasowych przeciwników, z których większość leżała już na podłodze. Nim Jair przestawił się, że ma do czynienia z nowym rodzajem broni, jeden ze strażników zahaczył jego prawe ramię zakrzywioną częścią ostrza. Ból uprzytomnił mu zagrożenie i zadziałały odruchy. Wykonał unik, dwa szybkie kroki i znalazł się płynnym ruchem wewnątrz pola rażenia. Nim strażnicy zorientowali się, co im grozi, dwoma błyskawicznymi ciosami pozbawił ich życia.

Trzy sekundy później ostatni Mwellret zwał się martwy na podłogę komnaty.

Odwrócił się, rozejrzał po poboju i zobaczył samego siebie stojącego po drugiej stronie stołu. On i ten drugi spojrzeli sobie w oczy i Jair poczuł, że coś się w nim zmienia... A ten, na którego patrzył, powoli robił się przezroczysty, stając się duchem.

Znikał.

Złapał pochodnię, wyszarpnął ją z uchwytu i rzucił na stół. Mieszanka, która znajdowała się w słojach i flakonach, częściowo potłuczonych, musiała zaiste być piorunująca, gdyż natychmiast coś zaczęło wybuchać, a całość zapłonęła energicznym białym płomieniem. W samym sercu ogniska znajdowała się kartka, która wprawdzie zapulsowała, a potem uniosła się na słupie ogrzanego powietrza.

Zamierzając uciec...

Jair, nie zastanawiając się, skoczył, przebił ją sztyletem i przyspilił do blatu stołu tam, gdzie płomienie pulsowały najenergiczniej. Papier zwinął się wokół jego dłoni i poczuł przenikliwy, tnący ból sięgający ramienia. Nie puścił jednak rękojeści sztyletu. Zrobił to dopiero, gdy gorąco stało się naprawdę nie do wytrzymania. Cofnął się i obserwował spalony już kawał papieru powoli zmieniający się w pył.

Dopiero gdy pozostałość księgi stała się popiołem, okrążył stół, przyciskając oparzoną rękę do piersi, i przeszedł przez wizerunek samego siebie. Poczuł się tak, jakby z ramion zdjęto mu olbrzymi ciężar, a gdy się obejrzał, dostrzegł znikającą sylwetkę Mistrza Broni. Powracał tam, skąd Jair go przywołał – do krainy zmarłych.

Jair wyszedł z komnaty, resztką sił koncentrując się na pieśni i na tym, by znów stać się niewidzialnym. Przemykał pod ścianami zadymionych korytarzy i schodów, odtwarzając w pamięci przebytą od bramy drogę. Mimo to czuł się zupełnie odsłonięty, a w głowie kołatało mu ciągle pytanie, co właściwie stało się w komnacie.

Pierwsze, co przyszło mu na myśl, to że Gareth Jax powrócił z martwych, by ostatni raz go obronić. Drugie, że Allanon go przysłał, korzystając z jakiejś tajemniczej druidzkiej magii, która była w stanie przekroczyć granicę śmierci.

Oba te rozwiązania jakoś jednak nie przemawiały do niego. Znacznie bardziej pasowało mu inne – że w jakiś sposób on sam był sprawcą tego, co się stało, i że to magia pieśni ożywiła

ostatnią iluzję.

Było to niemożliwe, ale tak właśnie sądził.

Wspinając się po spiralnych schodach, próbował uspokoić zarówno oddech, jak i umysł. Szaleństwem bowiem było myśleć, że magia, którą władał, mogła ożywiać martwych. Gdyby tak było, oznaczałoby to możliwości, o których wolał nie myśleć, bo ożywianie zmarłych naruszało wszystkie prawa natury. Na samą myśl o tym włosy stawały mu dęba.

Niemniej coś go uratowało i pozwoliło zniszczyć pozostałość po Ildatch, a więc wypełnić misję. Teoretycznie rzecz biorąc, nie powinno być aż tak ważne, co to konkretnie było.

Natomiast w praktyce było to istotne. Doskonale bowiem pamiętał, jak się czuł, będąc częścią Garetha Jaxa. Co czuł, zabijając, słuchając śmiertelnych jęków wrogów, widząc ich zaskoczone spojrzenia, czując ich strach i krew. Pamiętał, z jaką łatwością klinga miecza czy ostrze sztyletu cięły pokryte łuską ciała, i pamiętał przyjemność, jaką sprawiało mu zabijanie. Nawet teraz, choć ciało i umysł miał zmęczone i w całości własne, miał ochotę ponownie zaznać tej przyjemności.

A gdyby się nie obejrzał i nie zauważył, że znika?

Gdyby nie zdał sobie sprawy, w jak niebezpiecznej sytuacji niespodziewanie się znalazł?

Pogrążony w myślach, drogę do bramy odnalazł łatwiej, niż się spodziewał, a panujące w zamku zamieszanie pomogło mu pozostać niezauważonym. Dopóki nie wyszedł na poziom parteru, w ogóle nikogo nie spotkał, a potem były to grupki rozgniewanych, ale i pozbawionych pewności siebie zbrojnych nadal szukających czegoś, czego nie było, i nieświadomych, że druid był iluzją. Odległość i grube kamienne mury musiały stłumić odgłosy walki, gdyż nic nie wskazywało, by ktokolwiek poza nim samym wiedział o zniszczeniu ostatniej kartki księgi i masakrze, jaka temu towarzyszyła. Nikt nie zauważył go także, gdy przemykał do wartowni, a odwrócenie uwagi i tak już rozkojarzonych i przestraszonych wartowników na czas niezbędny do otwarcia furty i wyśliźnięcie się na zewnątrz było dziecinnie proste w porównaniu do wszystkiego, co musiał zrobić wcześniej.

Oddalił się od twierdzy spokojnym krokiem, otulony przez deszcz i mgłę, ale aż do linii lasu nie zrezygnował z magicznej niewidzialności. Dopiero gdy znalazł się wśród drzew, przestał bezgłośnie śpiewać i ciężko usiadł na mokrej ziemi. I wbił pusty wzrok w mgłę. Oparzona ręka pulsowała bólem, zranione ramię piekło i choć żył, czuł się martwy wewnątrz. Przecież podświadomie cały czas chciał wskrzesić Garetha Jaxa, choćby na krótko. Czyż nie dlatego tak się starał pamiętać i hołubił wspomnienia z Graymark i Croagh? By przeszłość, którą tak cenił, stała się terażniejszością.

Położył poparzoną dłoń na ziemi i spojrzał na nią.

Coś tu się nie zgadzało.

Jeśli to Mistrz Broni pozabijał Mwellretów i zniszczył kartkę, to dlaczego on ma poparzoną dłoń i ranę od halabardy?

I dlaczego Gareth Jax walczył tylko jednym mieczem, skoro zawsze używał dwóch ze śmiercionośną precyzją?

Bo on sam miał tylko jeden miecz.

Nagły szok ścisnął go za gardło, gdy zrozumiał, co zaszło. Magia pieśni nie sprowadziła z zaświatów ducha Garetha Jaxa. W komnacie cały czas znajdował się tylko jeden człowiek i tylko jeden duch.

On sam.

Brin ostrzegała go, że magii nie można ufać i że jest niebezpieczna. Zignorował jej ostrzeżenia, zakładając, że ta, którą sam włada, jest słabsza i niegroźna w porównaniu do jej magii. Ona mogła zmieniać wszystko, co żywe – mogła tworzyć i niszczyć, podczas gdy on mógł jedynie stwarzać iluzję, że to robi. Jak coś takiego mogło być groźne?

Nie wziął pod uwagę, że jego magia rozwijała się wraz z nim. Może dlatego, że dorósł, a może była to naturalna konsekwencja upływu czasu. Powody nie były istotne, skutki natomiast jak najbardziej, a dziś miał okazję się o nich przekonać. Pod wpływem zdesperowania i strachu odkrył swe nowe możliwości. I nie były już one niegroźne.

Nie przywołał ducha Garetha Jaxa i to, co zaszło, nie miało nic wspólnego z częściowym choćby ożywianiem zmarłych. Natomiast zmienił siebie na obraz i podobieństwo Mistrza Broni. To on wszystkiego dokonał, jedynie wyglądał jak dawny obrońca. To on stał się repliką doskonałej maszyny do zabijania, jaką był tamten. Dlatego wszystko czuł tak wyraźnie i dlatego odniósł rany. Gareth Jax w podziemnej komnacie był odzwierciedleniem mrocznej części jego własnej natury, z której istnienia dotąd nie zdawał sobie sprawy.

I która prawie całkowicie go zdominowała.

Dlatego że było to konieczne, by przetrwać i zniszczyć ostatecznie Ildatch.

To kolejne olśnienie przyszło tak nagle i było tak ważne, że od razu wiedział, iż jest prawdziwe. Allanon był świadom, do czego zdolna jest magia, i dlatego wezwał go poprzez Coglina. Wiedział, że gdy zajdzie potrzeba, nowe zdolności ujawnią się, by go ochronić.

Kimber Boh miała rację – druid go wykorzystał. Nawet po śmierci nadal był w stanie manipulować żywymi. Sprawa tego wymagała, a okoliczności były sprzyjające i dlatego Jair został poświęcony i dokonał tego, co musiało zostać zrobione, za cenę zajrzenia w najmroczniejszy zakątek swej duszy.

Zamknął oczy i przestał się zastanawiać, co czuje. Chciał wrócić do domu i zapomnieć o wszystkim, co zaszło tej nocy, wraz ze świadomością tego, co mógł teraz osiągnąć dzięki magii pieśni. I nigdy już sobie tego nie przypomnieć.

Przeграł palcami mokre liście i miękką od wilgoci ziemię, wzbudzając specyficzny zapach i czekając, aż znów będzie w stanie myśleć. Od strony fortecy dobiegły go odgłosy zamieszania – pierwsze odgłosy, jakie dały się w niej słyszeć. Niechybnie znaczyły, iż odkryto zniszczenie kartki i wybicie jej sług. Natomiast wątpił, by Mwellreci zrozumieli, co się stało. Na pewno będą próbowali, ale nie sądził, by im się to udało.

Tylko on to wiedział i miał zamiar tak to pozostawić.

Po długiej chwili otworzył oczy i oczyścił poparzoną dłoń z trawy i ziemi. Teraz pozostało wrócić do obozu i zbudzić Kimber i Coglina. I zdać im relację, ale powiedzieć tylko tyle, ile uzna za stosowne, nie zaś wszystko. Całej prawdy być może nigdy nikomu nie powie.

Nie był też pewien, czy nie posłucha rady siostry i nie zaprzestanie używać magii. Bo nie był też pewien, co nastąpi, jeśli zignoruje ponownie tę radę lub jeśli okoliczności znów zmuszą go do sięgnięcia po magię pieśni, tak jak zdarzyło się to tej nocy. I nie wiedział także, jakie będą tego konsekwencje następnym razem.

Przeszłość bowiem zawsze jest z nami, ale czasami jej nie rozpoznajemy.

Wstał i ruszył w stronę obozowiska.

Przełożył Jarosław Kotarski

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/